333

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

303

Ogólnego zbioru Tom 287.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1912. — Tom III.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1912.

4620. 1912. 3
II.
Biblioteka Główna
30.000.-
X-14388
4620/II 3.
/1912

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

HENRYK STRUVE

i jego filozofia.

Dziwna fatalność zawisła nad działalnością i pismami Henryka Struvego.

Kiedy wchodził w życie, słońce spekulacyi filozoficznej już było zaszło. Kiedy z życia odeszedł, kiełki filozoficzne, kryjące się tak długo w gruncie nieuprawianym, znowu w górę wystrzelać poczęły.

Kiedy zaczął pisać i ogłaszać pierwsze swe prace, nad rodzajem filozofii, który uprawiał i któremu hołdował, znak krzyża na wieczny spoczynek kładziono. Kiedy wydał ostatnie swe dzieło, ze czcią pochyliły się czoła młode i dumne.

Działalność Struvego przypadła w czasie dla spekulacyjnych dociekań najniewdzięczniejszym. Zatryumfowało doświadczenie nad myślą czystą, górę wzięło przyrodoznawstwo nad naukami humanistycznemi, kultura materyalna nad duchową. W takich powrotnych chwilach dziejów praca myśli spekulacyjnej skazana jest albo na banicyę z granic nauki, albo na samotność.

Banitą Struve być nie chciał, a przeto nie był. Pozostała mu samotność.

Samotnym był na swych wyżynach, zapatrzony we wzory dawne, hołdujący myśli, którą go zapłodniły studya młodzieńcze, wierny jej do ostatniej chwili, do ostatniego tchu. Przed myślą nową nie ustąpił ani piędzi w ciągu żywota całego. Doskonalił zewnętrznie systemat gotowy, ale nie przerobił jego jądra pod wpływem warunków, odkryć czy teoryi aktualnych.

Samotnie bronił się przed natarczywymi atakami pokolenia niecierpliwego a pewnego siebie, młodego a drwiącego ze wzo-

rów przekazanych zdawna. Uczył, miarkował, rozumował — nie wstrzymał nikogo, nie przerobił nikogo, co gorsza, nikogo nie urobił.

Sprzyjały mu losy zewnętrzne. Ledwie uniwersytet ukończywszy, jako młodzieniec 22-letni, został powołany na adjunkta przy katedrze filozofii do Szkoły Głównej w Warszawie. Tu też po dwóch latach zaledwie został profesorem nadzwyczajnym. Po przekształceniu zaś Szkoły Głównej na uniwersytet (1869), wkrótce otrzymał nominacyę na profesora zwyczajnego (1871). Na stanowisku tem, pracując niestrudzenie, odznaczając się wybitnie na polu działalności społeczno-naukowej, oświatowej i publicystycznej, zdobył powszechny szacunek, uznanie, popularność w społeczeństwie. Był profesorem, radcą stanu, redaktorem, prezesem.

Ale nie w tym kierunku szły jego dążenia główne. Chciał być przedewszystkiem nauczycielem młodych pokoleń, chciał utrzymywać w Polsce tradycyę wielkiej myśli filozoficznej, chciał widzieć jej odrodzenie u swych uczniów. To zaś nie było mu danem. W ciągu swej pięćdziesięcioletniej działalności spotykał się z uznaniem i krytyką, uwielbieniem i napaścią, ale swojej szkoły, własnego grona uczniów, podejmujących jego wysiłki i dążenia, nie wychował. W innych systematach, w innych zakresach przebywała myśl powszechna.

Można nie zgadzać się z poglądami Struvego, można je nawet zasadniczo zwalczać najusilniej, to wszakże trzeba mu przyznać, że był konsekwentny od początku do końca, że myśl swą prowadził prosto, bez zboczeń, w kierunku sobie nadanym przez epigonów idealizmu, których był uczniem bezpośrednim, że niestrudzenie, dla wywalczenia swym przekonaniom obywatelstwa, walczył, że w społeczeństwie krzewić usiłował wiedzę szeroką i ideały szlachetne, oparte na głębszym poglądzie na świat, że wydobył z mroków nieprzejrzanych skarby dawnej myśli polskiej, że był wzorem pracowitości i poświęcenia dla powołania swego.

Gdy zamilkły spory o słuszność lub bezpodstawność samej treści oraz metody filozofii, reprezentowanej przez Struvego, gdy całość tej filozofii przedstawia się obecnie i przedstawiać musi jako dzieło skończone i do przeszłości należące, nie pora na krytykę lub polemikę. Raczej wypada skreślić obraz tej pełnej i w sobie zamkniętej myśli, tego wielkiego, niezwykłego w wyrazie zewnętrznym trudu żywota.

I.

Pierwszym zalążkiem i najwybitniejszem znamieniem systematu filozoficznego jest przedmiot, który mu się przypisuje, i zadanie, jakie mu się stawia. W ciągu paru tysięcy lat swego rozwoju filozofia nie doszła do ostatecznego i powszechnie uznanego przedmiotu swych badań. Gdy jedni rozszerzają jej powołanie do ogólnego na świat poglądu, gdy inni widzieć w niej pragną opracowanie krytyczne najwyższych zasad nauki, gdy jeszcze inni uważają ją za ogólną teoryę stosunków, wartości lub poznania, są, którzy głoszą jej zupełną nieużyteczność, daremność, przeszłość.

A przeto już w tem przekonaniu, jakie dany myśliciel względem podstaw i zadań filozofii żywi, mieści się pewna wskazówka, w jakim kierunku myśl jego rozwijać się powinna lub może.

Przedmiotowi temu poświęca swą uwagę każdy myśliciel, zdążający do szerszych wyników. Przedmiotowi temu poświęcił też uwagę i Struve, i co znamienne dla logiki całości jego pracy, na samym początku swej działalności.

Za temat do wykładu wstępnego po habilitacyi w Szkole Głównej obrał Struve „Wywód pojęcia filozofii“[1]). Zasadniczy pogląd, przeprowadzony w tym wykładzie, oraz metoda samego „wywodu“ stanowią podwalinę, na której się rozwija niezmienione w gruncie późniejsze stanowisko Struvego. Szerszemu nieco i udoskonalonemu w wyrazie zewnętrznym opracowaniu tegoż tematu była poświęcona mowa uniwersytecka p. n. „Cechy charakterystyczne filozofii i jej znaczenie w porównaniu z innemi naukami“ (przekład z rosyjskiego St. Tomaszewskiego, 1875). W całokształcie poglądów filozoficznych Struvego stanowisko względem podstawowych zadań filozofii wyłożone jest we „Wstępie krytycznym do filozofii“ (wyd. I 1896, wyd. III 1903). Wreszcie do tego samego zagadnienia powraca Struve w rozprawie „Przedmiot i zadania zasadnicze filozofii“ („Przegląd Filozoficzny“, 1901).

Zdaniem Struvego, niezgodność myślicieli co do istotnych zadań filozofii, nietylko nie jest zarzutem, ale stanowi, owszem, cechę wybitnie odróżniającą tę naukę od nauk specyalnych. Co

[1]) Odczyt ten wydrukowany został w r. 1863 łącznie z rozprawą habilitacyjną „O stanowisku Arystotelesa w historyi filozofii, mianowicie ze względu na jego metafizykę i logikę“.

do przedmiotu, zadań, metody, głównych wyników takich nauk, jak astronomia, fizyka, chemia, mineralogia, botanika, zoologia, historya, filologia, prawoznawstwo i t. d., istnieje zazwyczaj zgoda pomiędzy uczonymi, spory zaś zaczynają się dopiero w zakresie zagadnień poszczególnych. Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa w filozofii. Tutaj każdy prawie myśliciel samodzielny posiada odrębny pogląd już nietylko na zagadnienia szczegółowe, lecz przedewszystkiem i głównie na zagadnienia podstawowe, wyznaczające wogóle kierunek całej pracy.

Ta nieokreśloność przedmiotu filozofii, ta niemożność zamknięcia jej w granicach jakiejkolwiek specyalności wypływa jednak z samej istoty tej nauki, niezgoda zaś filozofów co do jej zadań podstawowych nie wyłącza jedności wszystkich dążeń filozoficznych. Tłómaczy się to w bardzo prosty sposób: filozofia, jako dążność do myślenia samodzielnego, nie może się opierać na żadnych przesłankach i poglądach, wypływających wprost z tradycyi. „Samodzielność nadaje każdemu umysłowi filozofującemu prawo zwracania swej uwagi przy wytwarzaniu poglądu na świat przedewszystkiem na *te* przedmioty i kwestye, które szczególniej pobudzają go do myślenia i badania właśnie *tych* stron ogólnego istnienia, które, wedle jego przekonania, służą za niezbędną podstawę do rozwiązania głównych zagadnień filozofii. A ponieważ interes, pobudzający do myślenia filozoficznego, jest bardzo rozmaitym ze względu na różność osobników i czasów i zatrzymuje uwagę myśliciela na różnych przedmiotach, to rzecz naturalna, że z tej rozmaitości interesów filozoficznych powstają zarówno różne określenia przedmiotu filozofii, jakoteż i różne kierunki badania i poznawania tego przedmiotu.“ [1])

Pomimo to da się odnaleźć wspólna nić, wiążąca wszystkie dążenia filozoficzne zarówno ze względu na ich treść, jak na formę. A czynnikami, które w wykryciu istoty filozofii mogą być pomocne, jest z jednej strony historya tej nauki, z drugiej—psychologia wiedzy ludzkiej wogóle.

Pierwotnie była filozofia ogółem nauki i skupiała w sobie wszystkie różnostronne usiłowania umysłu ludzkiego, zdążające do poznania i wyjaśnienia zjawisk rzeczywistości. Wraz z rozszerzeniem się wiedzy, nastąpiła potrzeba podziału pracy i wówczas od filozofii zaczęły się stopniowo oddzielać nauki specyalne, stanowiąc coraz bardziej odrębne dziedziny poszukiwań. Jednak

[1]) Cechy charakterystyczne filozofii, str. 12.

filozofia zawsze jednoczyła w sobie całą wiedzę ludzką, pozostając łącznikiem pomiędzy rozstrzelonemi naukami specyalnemi. Gdy zaś i sama przyswoiła sobie charakter nauki odrębnej, zajęła się badaniem ogólnych zasad, na których się nauki specyalne opierają, ale których roztrząsanie nie leży w ich dziedzinie.

Ogólne zasady wiedzy ludzkiej dadzą się podzielić na dwie grupy: 1) zasady umysłowe, czyli podmiotowe; 2) zasady rzeczowe, bytowe, czyli przedmiotowe. Badanie tych zasad łączy się jednak ściśle z poglądem na szczegółowe przedmioty wiedzy i ma na celu ich zrozumienie i wyjaśnienie, a przeto do badań nad ogólnemi zasadami wiedzy włączyć należy także 3) wyjaśnienie szczegółowych przedmiotów wiedzy z punktu widzenia jej ogólnych zasad.

W ten sposób kształtuje się potrójne zadanie filozofii ze względu na jej przedmiot: 1) badanie czynności podmiotowych, które doprowadzają do wiedzy, innemi słowy, czynności poznania rzeczy; 2) badanie przedmiotowych zasad bytu, o ile to jest możliwe, przy pomocy zdolności poznawczych umysłu; 3) wyjaśnienie poszczególnych zjawisk rzeczywistości ze stanowiska ogólnych zasad wiedzy.

Filozofia, jako nauka odrębna, daje się więc określić w sposób następujący: „Filozofia jest nauką, badającą ogólne zasady wiedzy, podmiotowe i przedmiotowe, w celu wyjaśnienia szczegółowych objawów bytu z punktu widzenia tych zasad ogólnych, o ile to jest możliwe przy zdolnościach poznawczych umysłu ludzkiego.“ [1])

Z tem określeniem filozofii wiążą się nierozerwalnie jej cechy znamienne, któremi się ona odróżnia od wszelkich innych objawów życia umysłowego. Cechy te sprowadzają się ostatecznie do dwóch zasadniczych; filozofię charakteryzują mianowicie, krytyczna samodzielność myśli i dążność do ogólnego poglądu na świat. Pierwsza z tych cech jest wynikiem rozwoju filozofii, jako nauki o podmiotowych zasadach wiedzy, wskutek czego filozofia staje się krytyką umysłu i jego czynności poznawczych, t. j. teoryą poznania, logiką, nauką o nauce. Druga cecha wynika z rozwoju filozofii, jako nauki o przedmiotowych zasadach wiedzy, przez co zajmuje się ona roztrząsaniem tak zwanych metafizycznych czynników świata, czynników bytowych, i wytworzeniem z nich ogólnego na świat poglądu.

---

[1]) Wstęp krytyczny do filozofii, str. 75.

Krytycyzm jest przeciwieństwem dogmatyzmu, który zjawia się wówczas, kiedy zdanie jakieś, nie będące samo przez się oczywistem, uznanem zostaje za prawdziwe jedynie na podstawie bezpośredniego zaufania umysłu bądź do samego siebie, do swoich zdolności, natchnienia, objawienia wewnętrznego i t. p., bądź do jakiejś powagi zewnętrznej lub wogóle świadectwa obcego. Wszelka wiedza przyjmuje charakter naukowy jedynie na podstawie uprzedniej krytyki. Krytycyzm więc jest wogóle sprawdzianem naukowości filozofii. Chociaż jednak każda z nauk specyalnych posiłkuje się krytyką, to żadna z nich nie poddaje rozbiorowi procesu poznania wogóle i nie dociera do jego ostatecznej głębi. Dlatego czynniki krytyczne nauk specyalnych mają, co do swych zasad, zawsze charakter dogmatyczny, to znaczy, żaden specyalista, jako taki, nie analizuje samych zasad, na których się wspiera i któremi operuje w swej czynności krytycznej, lecz zapożycza je skądinąd z większą lub mniejszą świadomością ich istotnego źródła. Tymczasem ta właśnie strona była oddawna przedmiotem dociekań filozoficznych.

W tym biegu myśli zastanowić musi stanowisko Struvego względem dogmatyzmu wogóle, a zwłaszcza dogmatyzmu nauk specyalnych. Stanowisko to uzasadnia Struve w następujący sposób.

Przypisywanie dogmatyzmu jedynie religii i teologii jest wręcz niesłuszne, ponieważ i poza tą dziedziną spotykamy różnorodne sposoby myślenia, zasługujące w zupełności na nazwę dogmatycznych. Mówimy o wierze dogmatycznej w religii i teologii tylko dlatego, że większa część teologów i ludzi religijnych uznaje pewne twierdzenia za prawdziwe, nie poddając ich uprzedniemu rozbiorowi, wyłącznie na podstawie bezpośredniego przeświadczenia o ich niewątpliwości. Dlatego też mamy zupełne prawo mówić o wierze dogmatycznej wszędzie, gdzie spotykamy podobne bezpośrednie przeświadczenie o prawdziwości twierdzeń, nieudowodnionych krytycznie. Przypuszczeń zaś dogmatycznych nietylko nie są pozbawione nauki specyalne, lecz, owszem, opierają się na nich. Tak więc nauka, uznana za najściślejszą, matematyka, posiłkuje się całym szeregiem zasadniczych pojęć, jak przestrzeń i czas, ruch i siła, wielkość i liczba; tak nauki przyrodnicze posiadają gotowe pojęcia przyrody, praw i t. d.; tak również nauki humanistyczne opierają się na całym szeregu gotowych i za prawdziwe uznanych pojęć, jako to o duszy, o moralnych lub fizycznych czynnikach dziejów, o prawach rozwoju, o stosunku człowieka do otoczenia, o znaczeniu i celach życia społecznego, o zasadach prawa i moralności i t. d.

Im więcej twierdzeń dogmatycznych dopuszcza pewna nauka, tem, oczywiście, mniej odpowiada wymaganiom krytyki, a co zatem idzie naukowości. Dlatego też każda nauka powinna dążyć do coraz większego ograniczenia swych przypuszczeń dogmatycznych. Tymczasem spostrzedz można niejednokrotnie zjawisko wprost przeciwne. Tak np., nauki przyrodnicze bardzo często nie zadowalają się dogmatami, niezbędnymi dla swego rozwoju, lecz przejmują nadto jeszcze inne dogmaty, które, będąc zbytecznymi dla samego przyrodoznawstwa, ograniczają bez wszelkiego uprawnienia samodzielność innych nauk. Do dogmatów takich należy idea konieczności, jakoby panującej w przyrodzie i wyłączającej rzekomo zarówno ideę rozumnej i samodzielnej zasady wszechświata, jakoteż ideę wolnej woli człowieka. Tymczasem jestto tylko nieporozumienie albo przesąd. „Przyrodoznawstwo samo przez się wymaga tylko dogmatu o istnieniu *praw* przyrody i ich *niezmienności*, lecz ani idea praw wogóle, ani idea ich niezmienności nie mogą być utożsamiane z ideą konieczności, gdyż same przez się zgadzają się i z ideą wolności. Istota rozumna, obdarzona wolną wolą, może sama dla siebie być prawem, t. j. być samodzielną (autonomiczną), i na podstawie samodzielnego postanowienia działać niezmiennie wedle praw, przez siebie ustanowionych. A zatem niezmienność praw przyrody nie wyłącza wcale sama przez się jej rozumnej i wolnej zasady, a jeżeli wielu przyrodników sądzi, że idea Boga sprzeciwia się zasadom przyrodoznawstwa, to skutkiem jedynie niewłaściwego pomieszania pojęć i przeciwnego krytyce rozszerzenia dogmatycznego przypuszczeń przyrodoznawstwa.“ [1])

Nauki specyalne czynią jednak przypuszczenia dogmatyczne nietylko w stosunku do przedmiotów swego badania, lecz również co do podmiotowej czynności poznawczej, a zatem i co do zasad samej nauki, jako takiej. Każda nauka poszczególna urabia swoje własne metody badania drogą doświadczenia i rutyny, wszelkie zaś zagadnienia, dotyczące samej czynności poznawczej, jej środków pomocniczych i różnorodnych wytworów, nie wchodzą w ich zakres. Każdy specyalista, jako taki, operuje przyjętemi metodami swojego zakresu wiedzy, ale do źródła tych metod i ich rozbioru krytycznego niema potrzeby się uciekać. Chyba że porzuca ciasny zakres swej specyalności i udaje się na pole poszukiwań zasadniczych, ale wówczas też przestaje być specyalistą

[1]) Cechy charakterystyczne filozofii, str. 30.

tylko i przetwarza się w filozofa, którego zadaniem jest właśnie poddać krytycznemu rozbiorowi zasadnicze podstawy wszystkich nauk specyalnych.

Filozofia, krocząc drogą wskazaną jej najdobitniej przez Kanta, stosuje zasadę krytyki konsekwentnie, aż do ostatecznych, dostępnych dla umysłu ludzkiego podstaw poznania. Odpowiednio też do swego przedmiotu filozofia obejmuje z jednej strony krytykę umysłu, jako podmiotu poznania, z drugiej zaś—krytykę poglądów na byt, czyli na t. zw. rzeczywistość objektywną, jako ogólny przedmiot poznania. Za punkt wyjścia do takiego zastosowania zasady krytycyzmu oraz za niezbędny w tym względzie środek służy filozofii wątpienie, pogląd sceptyczny na wszelkie dogmatyczne dane wiedzy ludzkiej.

Przytem jednak zapominać nie należy, iż wątpienie jest tylko punktem wyjścia i środkiem dla prawdziwego poznania rzeczy, nie jest zaś jego celem. Przeciwnie, poznanie krytyczne jest w swej istocie właśnie przezwyciężeniem i usunięciem wątpienia. „Prawda wyłącza wszelką wątpliwość. Krytyka stanowi właściwie tylko konieczne przejście od wątpienia do pewności, od niewiadomości do wiedzy. W samej bowiem czynności wątpienia i krytycznej myśli narzucają się nam pewne niewątpliwe dane, które powinny nam służyć za podstawę do prawdziwego poznania rzeczy, o ile takowe jest dla nas dostępnem w granicach naszego uzdolnienia umysłowego.“ [1])

Wszechstronne i ścisłe zbadanie procesu poznania aż do jego ostatecznych, dostępnych dla nas zasad nietylko świadczy o naukowości filozofii wogóle, lecz wykazuje zarazem, że konsekwentnem rozwinięciem krytycyzmu odróżnia się filozofia od dogmatycznych czynników nauk specyalnych. Krytycyzm ten charakteryzuje filozofię tembardziej w stosunku do innych zakresów życia umysłowego, mających za przedmiot ogólny pogląd na świat. Dążąc do ogólnego na świat poglądu, filozofia nie wytwarza go bezpośrednio, lecz opiera się przytem na krytycznym rozbiorze odpowiednich danych, a czyni to tak konsekwentnie, że raczej dla krytycyzmu poświęca pogląd ogólny, niż odwrotnie. Bądź co bądź sama *dążność* do ogólnego poglądu na świat stanowi i stanowiła zawsze cechę znamienną i główną filozofii.

Pogląd na świat wypływa z trzech źródeł: z danych bezpośrednich, z tendencyi moralnych i wreszcie z czynnika czysto

[1]) Wstęp krytyczny do filozofii, str. 98.

myślowego, logicznego. Z danych bezpośrednich tworzy się pogląd naturalny na świat, który, aczkolwiek ważny dla życia praktycznego, nie może człowiekowi wystarczyć i zostaje uzupełniony przez pogląd religijny, wynikający z pobudek moralnych. Po tym poglądzie religijnym następuje pogląd logiczny, który nie ma na celu zaspokojenia uczuć moralnych człowieka, lecz dąży do możliwej przedmiotowości, do określenia świata, jakim jest rzeczywiście sam w sobie.

Otóż logiczny pogląd na świat, w odróżnieniu od dwóch form poprzednich, przedstawia się właśnie w dziejach rozwoju jako filozofia. Niema—twierdzi Struve—filozofa, któryby zasługiwał na to miano, a nie dochodził do pewnego poglądu na świat, jako ostatecznego wytworu swojej pracy myślowej. Przeciwnicy uznania dążności do ogólnego na świat poglądu, jako zasadniczego przedmiotu wszelkiej filozofii, opierają się na pewnych, z góry przyjętych twierdzeniach jakiegoś kierunku teoretyczno-poznawczego, zamiast zdać sobie dokładnie sprawę z faktycznych danych, jakie charakteryzują ten objaw nawet w zakresie ich własnych dążeń filozoficznych. Albowiem nawet negacyjne wyniki w tej sprawie dotyczą w gruncie rzeczy przedmiotów ogólnego poglądu na świat i doprowadzają z konieczności do bliższego określenia tych przedmiotów. Pozytywista, zaprzeczający metafizyce możności poznania istoty świata, musi swoje zdanie należycie uzasadnić, a przez to zmuszony jest do rozbioru zasadniczych podstaw i przedmiotów ogólnego poglądu na świat. Można zaprzeczać nietylko istnieniu Boga, ale i możności wogóle myślowego określenia jakiejkolwiek zasady ogólnego na świat poglądu, nie można tego jednak czynić bez rozbioru danych historycznie zasad i bez wykazania, że żadna z nich nie wystarcza do wytworzenia zadowalającego poglądu na świat o charakterze przedmiotowym. To też „zarówno zupełny sceptyk, jak i połowiczny sceptyk-pozytywista, mają swoje poglądy na świat, choć negacyjne, o ile wogóle zdania swoje usprawiedliwiają w sposób, odpowiadający wymogom nauki i krytyki.“ [1])

Pojęcie świata wytwarza się z ogólnego pojęcia bytu wówczas, kiedy umysł ludzki w nieskończonej mnogości poszczególnych momentów bytu zaczyna dostrzegać pewną jednostajność i prawidłowość. Rozbiorem pojęcia bytu i świata, określeniem jego zasadniczych czynników, charakterystyką jego objawów ty-

[1]) Przedmiot i zadania zasadnicze filozofii, „Przegl. Filoz.“ 1901. str. 419.

powych i ich wyjaśnieniem na podstawie owych czynników zasadniczych zajmuje się właśnie filozofia. Skupia ona ostateczne wyniki badań nad bytem i jego objawami w jedną całość i wytwarza w ten sposób ogólny pogląd na świat, czyniąc przez to zadość przyrodzonej dążności umysłu ludzkiego do objęcia myślą wszechbytu. Filozofia stara się tę dążność zaspokoić i zrzeka się wszechstronnego urzeczywistnienia tego celu jedynie wówczas, kiedy dochodzi do uzasadnionego krytycznie przekonania, że stoi temu na przeszkodzie ograniczoność zdolności poznawczej człowieka. Z uwagi na czynnik, ograniczający wszechstronne urzeczywistnienie dążności do ogólnego poglądu na świat, należy określenie filozofii, jako tej dążności, uzupełnić w imię krytycyzmu słowami, „o ile to jest możliwe, przy pomocy krytycznego poznania rzeczy.“

Z ogólnej charakterystyki filozofii, jako dążności krytycznej do ogólnego na świat poglądu, wynikają jej swoiste zadania oraz rozgałęzienie pracy.

Pierwszem zadaniem filozofii jest krytyczny rozbiór własnej istoty, krytyczne określenie własnego przedmiotu oraz oświetlenie typowych prób rozwiązania jej zagadnień. Stanowi to, według określenia Struvego, „filozofię filozofii“. Drugą gałęzią filozofii jest logika, jako teorya poznania. Trzecią wreszcie stanowi metafizyka, jako rozbiór krytyczny zasadniczych czynników pojęcia bytu, jego własności i form.

Są to zasadnicze nauki filozoficzne, urabiające wszechstronnie czynnik krytyczny, dopiero zaś na ich podstawie można przystąpić do urzeczywistnienia drugiego momentu filozofii, t. j. wytworzenia ogólnego na świat poglądu. Tu powstaje drugi dział nauk filozoficznych, który możnaby nazwać filozofią szczegółową.

Szczegółowe przedmioty świata dadzą się podzielić na trzy najwyższe kategorye: przyroda zmysłowa, człowiek i byt transcendentalny (określany jako Bóg, Absolut, Substancya lub t. p.). Specyalnymi poglądami na trzy te przedmioty zajmują się nauki specyalne: przyrodnicze, humanistyczne i teologiczne. Zadaniem filozofii szczegółowej jest właśnie krytyczne rozpatrzenie wyników i zasad tych trzech szeregów nauk specyalnych, oraz rozjaśnienie tkwiących w nich pojęć.

II.

Podstawy metafizyki, łączącej się w swej metodzie z psychologią z jednej strony, a z logiką z drugiej, budować zaczął Struve już w dysertacyi doktorskiej, poświęconej zagadnieniu duszy („Zur Entstehung der Seele", 1862) oraz w kilku rozprawach, ogłaszanych w języku polskim („O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych", 1867), jakoteż niemieckim („Psychologisch-metaphysische Analyse der Notwendigkeit und Freiheit",— Philosophische Monatshefte 1874—i „Psychologisch-metaphysische Analyse der Grundgesetze des Denkens"—tamże 1876). W roku 1876 posiadał już w tece niektóre rozdziały swej „Metafizyki syntetycznej", lecz ogłosił tylko przystępny tejże wykład w słynnej swej „Syntezie dwóch światów" (1876) oraz jej obronie: „Filozofia syntetyczna i jej krytycy" („Wiek" 1876). Do podstawowych zagadnień powracał też nieraz w pracy dalszej, na co wskazuje szereg rozpraw późniejszych („O nieśmiertelności duszy" 1884, „Materya, duch, energia" 1900).

We wszystkiem, co żyje, rozróżniamy dwie strony: wewnętrzną i zewnętrzną; pierwsza stanowi istotę, druga dotyczy objawów; pierwsza zawiera treść, druga formę; pierwszą nazwać można duszą, drugą ciałem. W ten sposób dzielą się również zasadnicze nauki filozoficzne. Logika, jako teorya poznania, bada stronę wewnętrzną poznania, procesy umysłowe podmiotu, doprowadzające do poznania prawdy; metafizyka zaś rozpatruje ogólny przedmiot poznania, którym jest byt, istniejący niezależnie od podmiotu. Można powiedzieć, że „logika stanowi niejako psychologię filozofii zasadniczej, metafizyka zaś jest niejako jej anatomią i fizyologią. Myśl logiczna, podmiotowa, idea i byt metafizyczny, przedmiotowy, realny stanowią w istocie stronę wewnętrzną i zewnętrzną, treść i formę, duszę i ciało owego powszechnego istnienia, życia, do którego człowiek swoją myślą i swym bytem, swą duszą i ciałem należy".[1])

Metafizyka, jako nauka o przedmiotowym bycie wogóle, może się kształtować w sposób trojaki.

Może przyjąć za zasadę byt zewnętrzny, pozbawiony myśli. Może wychodzić z treści wewnętrznej. Może wreszcie szukać zasady, wyjaśniającej świat, w bycie, któryby obejmował zarówno

[1]) Wstęp, str. 65.

czynniki podmiotowe, jak przedmiotowe, w bycie, poprzedzającym ów rozdział, jaki istnieje w poznaniu.

Pogląd, który uznaje rzeczywistość prawdziwą w bycie przedmiotowym, zewnętrznym, w przeciwstawieniu do podmiotowego, wewnętrznego, zowie się realizmem. Byt zaś zewnętrzny, mający wyjaśniać i wyprowadzać z siebie świat i jego objawy, a więc pojęty jako zasada metafizyczna, sprowadza się do pojęcia materyi. Ze stanowiska realizmu metafizycznego materya jest substancyą, działającą na nasze zmysły zewnętrzne, bezwładną w sobie, lecz podlegającą ruchowi, podzielną, pozbawioną świadomości swych stanów, lecz będącą przyczyną zjawisk nietylko fizycznych, lecz i psychicznych. Realizm, pojmujący materyę jako zasadę metafizyczną, staje się zazwyczaj poglądem materyalistycznym.

W biegunowem do niego przeciwieństwie stoi pogląd na świat, oparty na treści podmiotowej. Ponieważ najwyższym objawem tej treści jest myśl, idea, przeto pogląd ten przybiera nazwę idealizmu. W idealizmie świat zewnętrzny i wszystkie zjawiska fizyczne stanowią wyraz idei, która, będąc pojmowana jako zasada metafizyczna, sprowadza się do pojęcia ducha (spirytualizm). Duch, jako substancya myślowa, jest tu pojmowany jako wszechświat i przeto idealizm metafizyczny łączy się zwykle z panteizmem.

Trzecim wreszcie typowym poglądem na świat jest ten, który się opiera na bycie istoty samej w sobie, niezróżniczkowanej jeszcze przez poznanie ludzkie na czynniki składowe. Ponieważ kierunek ten hołduje zjednoczeniu obu stron bytu, odbijającego się w poznaniu, więc ma on charakter syntetyczny i można go nazwać idealnym realizmem. Ze względu na swą przeciwstawność do materyalizmu z jednej strony i panteizmu z drugiej, idealny realizm streszcza się w zasadzie ontologicznej.

Założenia te i definicye mają doniosłe znaczenie dla zrozumienia biegu systematycznej myśli Struvego, docierającej do pierwotnej jedności bytu.

Poznanie nasze obdarza byt dwiema własnościami, które, będąc przyjęte za zasady metafizyczne, rozszczepiają rzeczywistość na dwa odrębne światy. Te dwa światy to, jak widzieliśmy, dziedzina zmysłowa i duchowa. W dążeniu do pogodzenia ich, do zamiany dualistycznego poglądu na monistyczny, usiłowano jeden czynnik sprowadzić do drugiego, zamiast oba sprowadzić do wspólnej przyczyny lub istoty.

Materya i duch nie są jakiemiś bytami samymi w sobie, lecz są tylko objawami bytu, jako czegoś jednorodnego i pierwotnego.

Byt jest wogóle najwyższą i ostateczną przyczyną wszystkich swoich objawów. Przyczyny dalszej już niema i być nie może. Zarówno według prawa logicznego tożsamości, jak i według prawa zachowania energii, do bytu nic dodać ani od niego nic ująć nie możemy. Wszystkie zjawiska przeszłe, obecne i przyszłe stanowią tylko kombinacyę stałych i niezmiennych czynników bytu. Przyczyny bytu samego dociekać nie można, albowiem stanowi on sam przyczynę wszystkiego, o co tylko pytać możemy. Dlatego też ostatecznem zagadnieniem może być jedynie sprowadzenie wszystkich zjawisk do owych stałych i niezmiennych czynników bytu.

Z drugiej strony, wszelkie zjawisko jest wynikiem działania odpowiedniej, niezmiennej w sobie istoty. Istota zawiera w sobie zasadę istnienia zjawiska; zasadą zaś poznania zjawiska jest rozbiór jego istoty i wykazanie tych własności bytowych, którym zjawisko zawdzięcza swe istnienie.

Stosunek pomiędzy istotą a zjawiskiem może być jeszcze wyrażony w następujący sposób: zjawisko jest samąż istotą, zwróconą ku nam jedną swoją stroną, a więc zewnętrzną i zmienną napozór; istota jest samemże zjawiskiem, rozważanem jedynie ze względu na swą stronę wewnętrzną, niezmienną. Proces poznania zjawiska dobiega swego kresu, urzeczywistnia swój cel, kiedy uda nam się odkryć własności lub działanie istoty, bytu, jako stronę wewnętrzną owego zjawiska.

Ponieważ więc wystarczającą przyczyną tak świata zjawiskowego wogóle, jak i każdego szczegółowego szeregu zjawisk jest byt ze swemi własnościami, przeto bytu tego nie można czynić zależnym od zjawisk, lecz odwrotnie, zjawiska pojmować należy w ich zależności od bytu. Skutek bowiem nie może działać wstecz na przyczynę i nie może w niczem ograniczać, ani tembardziej wyznaczać istoty, z której sam pochodzi. [1])

Pojęcie pierwotnego, jednorodnego i niezależnego bytu jest zatem konieczne dla urobienia sobie poglądu na świat. Bez takiego bowiem pojęcia świat stałby się mieszaniną powikłanych z sobą czynników, różnorodnych co do swej istoty, pozbawionych wszelkiej łączności, działających w najrozmaitszych kierunkach. Takie wszakże pojęcie świata sprzeciwia się ustrojowi naszego umysłu i nie może być przedmiotem poznania.

---

[1]) Por. Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Notwendigkeit. Philosophische Monatshefte, 1874, str. 68 i nast.

Uznając konieczność sprowadzenia zjawisk świata do jego istoty, jako jedyną możność urobienia sobie ogólnego na świat poglądu, a z drugiej strony nie mogąc upatrywać ostatecznej zasady bytu w jego danych nam w czynności poznawczej objawach, zmuszeni jesteśmy pójść dalej i poszukiwać treści świata w bycie najwyższym, do któregoby się dały sprowadzić zarówno duch, jak materya. Do treści tej dociera Struve drogą psychologiczną.

Świadomość o istnieniu pewnych czynników przedmiotowych wynika z bezpośredniego wrażenia oporu. Dopóki jestem pozostawiony sam sobie, nie potrzebuję przyjmować istnienia czegokolwiek poza sobą, czegokolwiek przedmiotowego. Myśl o istnieniu przedmiotu budzi się dopiero wtedy, kiedy w swojem działaniu napotykam pewien opór, ograniczenie. Wrażenie to, z początku czysto zewnętrzne, rozciąga się z czasem i na życie czysto psychiczne: natrafiam w sobie na pewne ukształtowania, o których myślę, które oceniam, nad któremi pragnę panować. Wrażenie oporu, doznawanego przy pomocy zmysłów od otoczenia zewnętrznego, naprowadza mnie na pojęcie świata materyalnego; poczucie zaś rozlicznych ograniczeń wewnętrznych, t. zn. wynikających z mojego ustroju umysłowego, jest źródłem pojęcia świata duchowego. Oba te pojęcia stają się z czasem współczynnikami bytu przedmiotowego, istniejącego niezależnie od poznania i wytwarzają, zależnie od najrozmaitszych warunków i wpływów, dwa zasadnicze poglądy na świat: realistyczny i idealistyczny. Psychologiczne to wszakże źródło zarówno pojęć zasadniczych o bycie, jak zasadniczych systematów metafizycznych, doprowadza najprościej do pojęcia bytu prostego i pierwotnego, jednoczącego w sobie oba pierwiastki.

Sprowadzenie objawów do bytu, który się objawia, ma swe bezpośrednie źródło w poczuciu osobistej energii, uzewnętrzniającej się jako działanie, przyczem siebie pojmujemy jako byt, jako przyczynę, a działanie swoje — jako tego bytu objawy, jako skutek. Podlegając wrażeniom oporu i ograniczenia, innemi słowy, podlegając obcemu działaniu na nas, wnioskujemy, iż jest ono wynikiem obcego bytu, obcej przyczyny.

Różnica pomiędzy działaniem własnem a obcem polega na tem, że gdy przy działaniu własnem ujmujemy przyczynę bezpośrednio jako siebie samych, to działanie obce nie daje możności bezpośredniego wniknięcia w istotę działającą, której objawy są zmienne i zależne od treści podmiotowej. Dlatego też, nie mając żadnej wątpliwości co do istnienia bytu przedmiotowego, gdy podlegamy działaniu obcemu, możemy nie wiedzieć, jakim ten

byt jest w swej istocie. Niepewność ta rozwiązać się jednak daje na podstawie rozbioru owego obcego działania na nas przez możliwie przedmiotowe zrozumienie jego treści, jakoteż charakteru.

Już z tych rozważań wypływa, że byt przedmiotowy określić można ogólnie jako obcą, niezależną od nas energię, objawiającą się w swem na nas działaniu. Jak sami jesteśmy bytami, których energia objawia się w działaniu nazewnątrz, tak byt przedmiotowy jest również energią, objawiającą się w swem działaniu na nas. Przez to określenie wszakże nic jeszcze nie orzekamy o treści wewnętrznej bytu przedmiotowego, ustalamy tylko fakt, że jest on bytem, który na nas działa, przyczyną pewnych skutków, dochodzących do świadomości naszej.

Z określeniem bytu, jako energii, zgadza się najzupełniej współczesne przyrodoznawstwo. Cała fizyka współczesna dąży do wyjaśnienia zjawisk przyrody na podstawie energii, pojmowanej jako zdolność do wykonania pracy mechanicznej. Przez zastosowanie pojęcia energii w fizyce daje się pogodzić odwieczny spór tej nauki z metafizyką. Pojęcie energii nabiera też znaczenia olbrzymiego głównie dlatego, że dadzą się do niego sprowadzić dwa przeciwległe czynniki bytu, oznaczone jako materya i duch.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę, że dwa stany energii, mianowicie, energia potencyalna i kinetyczna odpowiadają w zupełności zasadniczym pojęciom metafizycznym: istoty bytu i jego objawów. Energia potencyalna jest czemś tak samo tajemniczem dla fizyka, jak istota bytu przedmiotowego dla metafizyka. Mimo że jest uznana za źródło wszelkich objawów bytu, bezpośredniej wiedzy o jej treści nie posiadamy zgoła. Sądzić o niej możemy jedynie na podstawie jej przejścia w stan ruchu czyli w energię kinetyczną. Poza tem przejściem w stan czynny, poza zjawiskowością bytu, energia potencyalna, podobnie jak istota bytu, jest tajemnicą niedocieczoną. Ale jej istnienie jest niewątpliwe, jak niewątpliwe jest istnienie bytu.

Rozróżnienie pomiędzy energią potencyalną a kinetyczną wykazuje nadto, że byt nie daje się sprowadzić do samej zjawiskowości. Pragnąc wyjaśnić sobie zjawiska świata jako objawy energii ruchu, musimy je sprowadzić do działania energii potencyalnej. Jak pojęcie energii potencyalnej jest szersze od pojęcia energii kinetycznej, tak pojęcie istoty bytu obejmuje treść znacznie bogatszą, niż pojęcie świata zjawiskowego.

W jaki jednak sposób dadzą się do tak pojmowanej energii sprowadzić dwa zasadnicze czynniki bytu?

Co się tyczy materyi, to traci ona w fizyce współczesnej coraz bardziej charakter samoistności i staje się właściwie tylko wyrazem formalnym dla oznaczenia pewnego stałego podłoża zjawisk fizycznych. Pojęcie materyi sprowadza się w gruncie rzeczy do pojęcia masy, która ze swej strony określa się ściśle tylko jako miara oporu, stawianego przez ciało wobec próby wprawienia go w ruch. Pozostajemy tu więc w zakresie pojęć siły i ruchu. Sprowadzenie wszystkich objawów przyrody do ruchu i dążność do określenia tych objawów oraz wzajemnego ich do siebie stosunku dokonywa się za pomocą formuł matematycznych, będących wytworami racyonalnymi umysłu ludzkiego, wynikami jego pracy myśli. Zdolność zaś do określenia czynnika tak niezależnego bezpośrednio od naszej myśli, jakim jest ruch, powodujący objawy przyrody, dowodzi najoczywiściej jednorodności praw naszej myśli logicznej z prawami owego ruchu. Gdyby takiej jednorodności wewnętrznej nie było, wówczas oderwane procesy myśli naszej, czynne w wytwarzaniu owych formuł matematycznych, nie mogłyby stanowić wyrazu zjawisk zewnętrznych. Tymczasem poddając myśl logicznej prawidłowości, jaka się nam wewnętrznie narzuca bezpośrednio z ustrojem samego umysłu, dochodzimy do wyników, zgodnych z rzeczywistym ruchem świata zewnętrznego i mogących być sprawdzonymi na każdym kroku. Dowodzi to w sposób niezbity, że prawidłowość myśli, która wytwarza matematyczne formuły fizyki i mechaniki, jest jednorodna z prawidłowością ruchu, stanowiącego ogólną przyczynę objawów zewnętrznego bytu przedmiotowego.

Możemy stąd wnioskować, że materya, sprowadzająca się do energii kinetycznej, jest w istocie swojej ruchem, podlegającym racyonalnej prawidłowości.

Racyonalność w objawach ruchu uwydatnia się nietylko w tych wypadkach, kiedy przyrodoznawstwo potrafi je sprowadzić do formuł matematycznych, lecz również wówczas, kiedy zawiłość ruchów uniemożliwia wszelką ścisłą rachubę, np. w objawach życia. Pomimo pewnych analogii, jakie możnaby wykryć pomiędzy tworzeniem się ciał niebieskich z pierwotnych mgławic a stosunkiem jądra i protoplasmy w komórce organicznej, formuły matematycznej ruchu życiowego nie uda się nigdy stworzyć, albowiem pod formą ruchu zewnętrznego występuje tu treść wewnętrzna, dostępna jedynie dla bezpośredniej świadomości. Tej treści ruchu życiowego, treści jakościowo różnej od ruchu mechanicznego, wyrazić nie zdołamy w formule matematycznej. Mimo to jednak, acz z innych względów, objawia się w niej pierwia-

stek racyonalny, polegający na celowej kombinacyi mnogości odosobnionych ruchów w jednym wspólnym kierunku, doprowadzającym do zamkniętego w sobie systematu, zwanego ustrojem.

Zjawiska życia przeprowadzają już w dziedzinę drugiego zasadniczego czynnika bytu, mianowicie w dziedzinę ducha.

Najcharakterystyczniejszym objawem naszego bytu wewnętrznego jest to, że go sobie nie możemy wyobrazić w formach, odpowiadających naszemu poglądowi na objawy zewnętrzne. Wrażenia zmysłowe odgrywają, jako pierwsze bodźce życia wewnętrznego tak potężną rolę, że do nich sprowadzamy z początku wszystkie zjawiska. Z czasem jednak stosunek pomiędzy dwoma czynnikami bytu zmienia się na korzyść czynnika duchowego, którego obecnie żaden badacz poważny nie usiłuje sprowadzić do zmysłowego. Fakty świadomości bowiem są dane równie, a nawet bardziej bezpośrednio, niż fakty zmysłowe. Jaźń ludzka jest uorganizowanym zbiorem przedmiotowych czynników psychicznych, obdarzonych pewną zindywidualizowaną energią. Jak w świecie zewnętrznym odróżniamy swe ciało, podlegające bezpośrednio naszej woli, od pozostałego świata, od nas niezależnego, tak w świecie wewnętrznym wyróżniamy swą duszę, jako całość swej osobistej energii psychicznej, od ducha wogóle, stanowiącego treść całego życia wewnętrznego ludzkości.

Ten to czynnik duchowy da się nie gorzej od materyalnego sprowadzić do swoistej energii. Analogicznie do energii fizycznej można ujmować energię psychiczną jako jeden z objawów powszechnej energii potencyalnej, przechodzącej w różnych przemianach w energię kinetyczną. Wspólnym czynnikiem we wszystkich tych przemianach jest ruch, ale w stosunku do zjawisk psychicznych swoisty ruch psychiczny.

„Ruch tedy, jako skutek przejścia energii wszechbytu ze stanu potencyalnego w stan kinetyczny, jest czynnikiem powszechnym wszelkich wogóle objawów bytu. Wobec tego czynnika, tak naocznie wspólnego zarówno objawom fizycznym, jak psychicznym, upada raz na zawsze bezwzględny dualizm między tymi objawami. Są one różne, ale sprowadzić je możemy do wspólnego mianownika, jakim jest właśnie ruch. Nadto rozumiemy obecnie jasno różnicę między tymi objawami, między ruchem fizycznym i psychicznym. Ruch fizyczny jest ruchem zewnętrznym w stosunku do nas; ruch zaś psychiczny jest naszym własnym umysłowym ruchem. Obcy ruch, najbardziej psychiczny nawet, jeśli jest dla nas dostępny, przedstawia się nam zawsze w formie ruchu fizycznego, zewnętrznego, choć wewnętrznie dla siebie

jest psychicznym. Podobnie i nasz własny ruch psychiczny przedstawiałby się obcemu badaczowi jako ruch fizyczny, gdyby mógł na niego patrzeć zzewnątrz. Różnica między podmiotowym i przedmiotowym bytem sprowadza się wyłącznie do różnego stanowiska w pojmowaniu ruchu. Raz sami się przejmujemy naszym własnym ruchem podmiotowo; drugi raz patrzymy na ruch od nas niezależny, obcy, przedmiotowy. Byt wogóle jest jednym i tym samym w obydwóch wypadkach, jest *ruchem*".[1])

Wszechbyt przedstawia się tedy jako jednorodny co do wszystkich swoich objawów. Jednorodnym jest on wszakże równie ze względu na swą treść wewnętrzną. Treść ta odsłania nam się w naszej organizacyi umysłowej, dzięki której wniknąć możemy w racyonalną prawidłowość najprostszych nawet objawów przyrody. Tu, w naszej działalności psychicznej dochodzimy do zrozumienia owej wewnętrznej treści nawet martwej napozór przyrody. Ponieważ zaś treść racyonalna naszego umysłu jest bezpośrednim objawem działania świadomej siebie myśli, z nią nierozerwalnie się łączy i w niej tylko istnieje, — więc nie możemy tej treści pojąć ani uznawać rozumu wszechbytu, nie przyznając mu zarazem świadomości siebie, wiedzy o sobie. Ten rozum wszechbytu świadomy siebie jest duchem powszechnym, Bogiem.

„Bóg w istocie swojej jest energią potencyalną wszechbytu, a świat ze swym jednolitym ustrojem, fizycznym i umysłowym, jest objawem tej energii, wynikiem jej przejścia w energię kinetyczną, w ruch, dokonywający się według owej racyonalnej i celowej prawidłowości, która stanowi dostępną dla nas, bo objawiającą się faktycznie, treść wewnętrzną istoty wszechbytu".[2])

Oto ostateczny wynik metafizyki Struvego, mającej być podwaliną filozoficznego poglądu na świat. Metafizyka ta, dociekająca ostatecznych zasad rzeczywistości i naszej o niej wiedzy, opiera się z jednej strony na logice, pojmowanej jako teorya poznania, z drugiej—na psychologii, mającej wykazać źródła takich czy innych poglądów na świat. Istnieje wszelako jeszcze jedna droga, doprowadzająca do „syntezy dwóch światów", do stopienia z sobą dwóch przeciwległych kierunków myśli ludzkiej. Jest nią historya.

Wszystkie kierunki i szkoły filozoficzne są objawami różnych typowych usiłowań umysłu ludzkiego, zdążającego do wy-

[1]) Materya, duch, energia, str. 35—6.
[2]) Tamże, str. 40.

tworzenia ogólnego poglądu na świat. Najważniejszem ich źródłem jest organizacya samego umysłu danego myśliciela w związku z jego doświadczeniem naukowem i życiowem. Zdolność całkowita umysłu ludzkiego nie może się przeto objawiać u poszczególnych filozofów i, pragnąc ją ująć w jej całkowitości, należy uwzględnić możliwie największą liczbę jednostek o różnem uzdolnieniu, o indywidualnych potrzebach i dążnościach umysłowych. W zasadzie każdy kierunek filozoficzny, każda szkoła przedstawia pewne czynności prawdy i jeżeli napotykamy w nich sprzeczności, to nie wypływa to z istoty rzeczy, lecz z jednostronnego i zbyt wyłącznego rozwinięcia pewnych czynników myśli na niekorzyść innych, również godnych uwagi, a może i równie prawdziwych. Otóż zjednoczenie wszystkich uzasadnionych prawd, jakie wchodzą w skład różnych poglądów na świat, stanowi zadanie syntezy historycznej na polu filozofii.

Wszystkie szeregi pojęć i poglądów, jakie się wytworzyły w umyśle ludzkim drogą rozwoju naturalnego albo zostały urobione samodzielnie przez człowieka, jako wynik jego dociekań nad światem i samym sobą, dadzą się sprowadzić do zasadniczej przeciwstawności idealizmu i realizmu. Pojęcia te i poglądy, mimo pozornej z sobą sprzeczności, uzupełniają się jednak wzajemnie, jako objawy tej samej ogólno-ludzkiej organizacyi umysłowej, wzięte zaś w odosobnieniu wykazują swoją połowiczność i niezdolność do ogarnięcia całej rzeczywistości. To też ich wyrównanie i organiczne zjednoczenie staje się obowiązkiem każdego myśliciela, obowiązkowi zaś temu odpowiada w sposób względnie najdoskonalszy idealny realizm.

Począwszy od najpierwotniejszych objawów myśli, wiara dogmatyczna w świadectwo zmysłów, wiara, że świat przedmiotowy jest w istocie takim, jakim się za ich pośrednictwem wydaje, jest zarodkiem wszelkich poglądów realistycznych, których konsekwentnym rozwinięciem jest, jak widzieliśmy, sensualizm i materyalizm. Ostateczną zasadą tych kierunków jest realizm zmysłowego poglądu na świat i jego objawy. W imię tego realizmu sensualizm i materyalizm uznają zmysły i doświadczenie zmysłowe za jedyne źródło wiedzy, lekceważą samoistną treść i działanie rozumu, zaprzeczają znaczenia doświadczeniu wewnętrznemu, sprowadzając je do czynników wyłącznie zmysłowych.

Natomiast źródłem idealizmu jest wiara w samoistne i pierwotne znaczenie rozumu w przeciwstawności do zmysłów. Świat zmysłowy ma dla idealizmu wartość tylko pośrednią, a nawet niekiedy wartość złudzenia, pozbawionego istotnego bytu. Praw-

dziwą istotę bytu stanowi, według idealizmu, duch oderwany od wszelkiego związku ze zmysłowością, idea lub idee o treści ogólnej, wolnej od konkretnych pierwiastków. Światu zmysłowemu przeciwstawia się w ten sposób świat umysłowy, jako odwieczny pierwowzór doskonałości, nie mający nic wspólnego z ułudnym, zmiennym, niedoskonałym światem doczesnym.

Dwa te kierunki podstawowe poglądu na świat przedstawiają się dziejowo w różnych ukształtowaniach i odcieniach. Ale ich charakter typowy, zasadniczy jest zawsze ten sam, ponieważ nie wypływa ze zmiennych warunków czasu i miejsca, lecz opiera się na trwałych czynnikach samej organizacyi umysłowej człowieka.

Żaden jednak z tych kierunków typowych nie mógł się ostać w biegu dziejów i wraz z rozwojem nauki. Realizm nie mógł się stale opierać na naiwnem i bezwzględnem zaufaniu zmysłom, lecz chcąc to zaufanie naukowo usprawiedliwić, był zmuszony do krytycznego rozbioru czynności zmysłowych. W obliczu zaś krytyki naukowej wiara ta runąć musiała. Albowiem nawet wyobrażenie zmysłowe, do którego się ostatecznie sensualiści uciekają, chcąc wyjaśnić na ich podstawie całość życia psychicznego, nie są i nie mogą być tożsame ze swemi przedmiotowemi przyczynami zewnętrznemi, stanowią też w gruncie treść psychiczną, podmiotową. Dotyczy to tembardziej wyższych wytworów świata wewnętrznego. Świat więc nie jest wcale takim, jakim go przedstawiają zmysły, lecz jest wytworem działalności podmiotowej, przerabiającej na swój sposób dane doświadczenia zmysłowego. Wynika stąd, że albo trzeba się zrzec poznania prawdy istotnej, albo zbadać owe czynności podmiotowe i ich właściwy stosunek do świadectwa zmysłów. Pierwsza z tych możności ujawnia się w pozytywizmie sceptycznym; druga zmusza realizm do przejścia na pole idealizmu, do krytycznego rozbioru nietylko zmysłów, lecz i umysłu. W ten sposób realizm krytyczny, dążący do zbadania ostatecznych podstaw bytu, zamienia się na realizm idealny.

Z drugiej strony idealizm w swej postaci najczystszej może trwać tylko dopóty, dopóki bezwzględnie dowierza czynnościom podmiotowym i z nich usiłuje wytworzyć świat zewnętrzny. Jednakże metoda taka zamyka osobnika w obrębie własnej istoty i nie zdoła go w żaden sposób związać ze światem zmysłowym. Ograniczając się do wyłącznej wiary w prawdziwą rzeczywistość świata wewnętrznego, idealizm zmuszony jest uznać świat zmysłowy za wyobrażenie tylko i odmówić mu wszelkich podstaw przedmiotowych. W ten zaś sposób i skrajny idealizm kończył

zawsze sceptycyzmem. Pragnąc zaś stąd wyjść i stanąć na niewzruszonym gruncie prawdy, musiał przyjąć rzeczywistość pierwiastków zmysłowych poznania, musiał dopełnić swą treść idealną treścią realną. Szukając zaś tego dopełnienia, zamienia się na idealny realizm.

Tak więc okazuje się połowiczność każdego z powyższych kierunków skrajnych i konieczność ich wzajemnego uzupełnienia, ich syntezy.

Ta syntetyczna tendencya filozofii Struvego rozszerza swe działanie nietylko na podstawowe zagadnienia metafizyki, lecz przenika konsekwentnie do każdej dziedziny ludzkiej myśli i twórczości. Widocznymi jej objawami są też te gałęzie działalności ludzkiej, któremi zajmują się podstawowe, obok metafizyki i teoryi poznania, nauki filozoficzne: estetyka i etyka. Syntetyczną zasadę, dążność do stopienia ideału z rzeczywistością zmysłową, stosuje Struve zarówno w swej teoryi sztuki, jak w teoryi moralności.

III.

Poglądy estetyczne Struvego zawarte są w jego licznych pracach, przeważnie mniejszych rozmiarów, a rozstrzelonych w czasopismach, jak „Ateneum“, „Biblioteka Warszawska“, „Echo“, „Kłosy“, „Świt“, „Tygodnik Illustrowany“ i „Życie“. Niewielka stosunkowo ich ilość umieszczona została w zbiorze „Sztuka i piękno“ (1892). Podwaliną do tego dzieła, które w swej całości stać się miało „do pewnego stopnia estetyką, wyłożoną w sposób ogólnie przystępny za pomocą pojedyńczych, samodzielnych artykułów,“ jest inne zasadnicze w tej dziedzinie studyum p. n. „Estetyka barw, zasady upodobania w barwach i ich zastosowanie do ustroju, sztuki pięknej i wychowania estetycznego“ (1880) oraz poprzednio jeszcze ogłoszone drukiem odczyty publiczne: „O pięknie“ (1865), „O estetycznem wychowaniu kobiet“ (1857), „O teatrze“ (1871). Natomiast planowane przez Struvego wydanie zbiorowe licznych artykułów z dziedziny krytyki i historyi sztuki nie doszło do urzeczywistnienia. Dzieło to p. t. „Przyczynki do historyi sztuki powszechnej i swojskiej, dawnej i współczesnej“ miało obejmować wszystkie ważniejsze studya, któremi tak hojnie ob-

darzał czasopisma powyższe.[1]) Zasadnicze prace w dziedzinie estetyki umieścił w Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej („Estetyka“) i Encyklopedyi Wychowawczej („Estetyczne wychowanie“). Niektóre ze swych prac estetycznych ogłaszał także w języku niemieckim, jak „Hamlet, eine Charakterstudie“ (Weimar 1876; także w „Tygodniku Illustr.“)

Estetykę pojmuje Struve ogólnie jako naukę o pięknie, uważając jej określenie jako naukę o sztuce lub o pięknie artystycznem za zbyt ciasne. Estetyka zajmuje się z jednej strony własnościami ogólnemi piękna, z drugiej strony rozbiorem jego szczegółowych objawów. Część pierwsza stanowi przeto estetykę ogólną, część druga—szczegółową, która, uświadamiając sobie dopiero należycie trzy czynniki piękna, jako to: 1) upodobanie estetyczne, 2) piękno natury i 3) sztukę piękna, dzieli się odpowiednio na trzy części, mianowicie: 1) psychologię piękna, 2) metafizykę piękna i 3) filozofię sztuki.

Zasadniczem pytaniem estetyki jest zagadnienie piękna samego. Na pytanie to: czem jest piękno? odpowiada Struve całkowicie w duchu swej metafizyki idealno-realnej: „Piękno jest harmonijną spójnią czynników zmysłowych z umysłowymi, formy z treścią, rzeczywistości z ideą, materyi z duchem“.[2])

---

[1]) Na treść tej książki miały się złożyć prace następujące. *Część I. Sztuka powszechna.* Wrażenia artystyczne z podróży do Grecyi i Konstantynopola. Podróż do Włoch. Leonardo da Vinci i jego Wieczerza Pańska. Rafael, jego rozwój artystyczny i znaczenie w dziejach sztuki pięknej. Michał Anioł. Murillo. Rubens i Rembrandt. Znaczenie malarstwa holenderskiego. Sztuka francuska: Delacroix i Delaroche, Vernet, Fleury, Gérôme, Millet, Meissonier. Doré, Najnowsze malarstwo francuskie, Wystawa paryska 1889 r. Sztuka angielska: Wrażenia artystyczne z podróży po Anglii i Szkocyi, Galerya narodowa w Londynie. Sztuka niemiecka: Kaulbach, Piloty, Makart, Al. Wagner, Preller, Knaus, Achenbach, Ramberg, Böcklin, Max, Wystawa berlińska 1891. Munkacsy. Rzeźbiarstwo współczesne we Francyi, Niemczech i Włoszech. Udział kobiet w sztukach pięknych. — *Część II. Sztuka polska.* Ogólny pogląd na rozwój sztuki polskiej i pierwsza wystawa sztuki polskiej w Krakowie 1887 r. Budownictwo Warszawy za królów saskich. Architektura współczesna Warszawy, Krakowa i Lwowa. Sylwetki szeregu artystów-malarzy polskich, dawniejszych i współczesnych, oraz charakterystyka ich utworów. Rzeźbiarstwo polskie. Znakomitsi współcześni rzeźbiarze polscy i ich dzieła. Konkursy Tow. Zach. Szt. P. Konkurs na pomnik Mickiewicza. Posągi Żółkowskiego, Królikowskiego i Moniuszki.

[2]) Sztuka i piękno, str. 18.

Stosownie do tego, upodobanie estetyczne polega na czystem i bezinteresownem zadowoleniu, jakie w nas wywołuje równowaga treści z formą, gdy dla treści nie poświęcamy formy, ani też dla formy nie lekceważymy treści, gdy wartości i znaczenia danego przedmiotu nie oceniamy ze stanowiska samej tylko prawdy, dobra, pożytku, ani też wyłącznie technicznie, lecz ze stanowiska zupełnej harmonii pomiędzy treścią a formą.

Te ogólne poglądy na piękno i warunki upodobania estetycznego rozwija wszechstronnie estetyka szczegółowa w trzech działach.

Psychologia piękna, jako część pierwsza estetyki szczegółowej, wykazuje podmiotowe warunki upodobania estetycznego. Wrażliwość umysłu na harmonijne połączenie treści i formy, oraz zdolność doznawania czystego, bezinteresownego upodobania nazywa się poczuciem piękna albo zmysłem estetycznym. Poczucie to opiera się głównie na trzech czynnikach: wrażliwych zmysłach, delikatnem uczuciu i żywej wyobraźni. Przy pomocy wrażeń zmysłowych działa na nas strona zewnętrzna przedmiotu pięknego, jego forma. Uczucia stanowią stronę wewnętrzną piękna podmiotowego, jego główną treść, łączącą się ściśle z pewnemi myślami, ideami. Nastrój estetyczny polega nie na samej treści uczucia i nie na samych wrażeniach zmysłowych, lecz na ich równowadze, wzajemnem uzupełnianiu. Wreszcie wyobraźnia stanowi na polu estetycznem zdolność umysłu, wytwarzającą ową harmonię pomiędzy treścią a formą; występuje ona z jednej strony jako zdolność wyraźnego odtwarzania widzianych dawniej obrazów przy najmniejszej podniecie i wówczas nazywa się imaginacyą, z drugiej strony jako zdolność uplastycznienia oderwanej treści umysłu lub wzruszeń podmiotowych, co stanowi istotę tak zwanej fantazyi.

Metafizyka piękna, jako część druga estetyki szczegółowej, daje rozbiór piękna ze strony przedmiotowej, t. j. zajmuje się zagadnieniem samoistności piękna. Oczywiście rozstrzygnięcie tego pytania zależy przedewszystkiem od ogólnych założeń metafizycznych. Życie jest z istoty swej pięknem, a nawet jest najwyższym wyrazem piękna przedmiotowego, bo urzeczywistnia w sposób najdowodniejszy harmonię pomiędzy treścią a formą. Już sam ustrój organiczny ciała jest formą zewnętrzną, zmysłową, łączącą się harmonijnie z pewną treścią wewnętrzną, z życiem duchowem. Ta zaś harmonia uwydatnia się jeszcze bardziej w objawach życia, gdy każdy ruch zewnętrzny ciała staje się wyrazem pewnych stanów wewnętrznych, a stan wewnętrzny łączy się z odpowied-

nim ruchem nazewnątrz. W przyrodzie spójnia pomiędzy treścią a formą jest tak ścisła, że często wcale sobie tam harmonii nie uświadamiamy (przez co niema też w tych wypadkach mowy o pięknie). W człowieku jednak duch ze swemi dążeniami przewyższa znacznie warunki bytu, t. j. jego formy zmysłowe. Stąd wynika przyrodzona dążność człowieka do przekształcenia tych warunków, do przerobienia ich według wymagań treści duchowej, innemi słowy, do uzgodnienia rzeczywistości faktycznej, otaczającej, z ideałami, chowanymi w duchu. Zharmonizowanie to przedstawia się człowiekowi jako najwyższe przeznaczenie jego istnienia, jako doskonałość, do której dążyć powinien. Całe dzieje ludzkości są właśnie wyrazem tych usiłowań, zdążających do przekształcenia warunków bytu zewnętrznego według wymagań treści wewnętrznej.

Dążenie to zaspokajane bywa trojaką drogą: drogą religii, nauki i sztuki. Religia podtrzymuje wiarę w urzeczywistnienie tego celu; nauka zbliża doń przez krytyczne poznanie rzeczywistości; sztuka wreszcie wyprzedza owo zrównoważenie treści i formy, ideału i rzeczywistości.

Filozofia sztuki, jako część trzecia estetyki szczegółowej, zajmuje się badaniem piękna podmiotowego i przedmiotowego. Przeznaczeniem sztuki jest organiczne spojenie treści idealnej, podnoszącej ducha, z formą realną, mającą wszelkie pozory prawdy i rzeczywistości. Sztuka może, a nawet powinna mieć tendencyę, ale tylko tendencyę estetyczną, skierowaną ku realizacyi piękna. Artysta tworzyć musi z czystego zamiłowania piękna, z chęci przyobleczenia treści swego ducha w odpowiedni kształt, tak samo, jak uczony musi badać rzeczy z czystego zamiłowania prawdy. Sztuka dla sztuki jest tedy hasłem analogicznem do hasła nauka dla nauki. Wszelkie względy uboczne, wszelkie tendencye, leżące poza obrębem piękna, czynią ze sztuki narzędzie dla urzeczywistnienia obcych jej istocie celów, krępują jej swobodny i samodzielny rozwój. Nie znaczy to wszakże, iżby sztuka miała być pozbawioną ideału, iżby hołdować powinna była samej formie. Przeciwnie, oba pierwiastki tkwić winny w sztuce równomiernie i w żadnym kierunku nie zapanowywać jeden nad drugim. Ideał i prawda nawzajem się łączą i uzupełniają w każdem prawdziwem dziele sztuki. Ideał stanowi jego treść wewnętrzną, prawda przyodziewa je w ciało. Utwory sztuki wyprzedzają życiową realizacyę ideałów. Biorąc za podstawę rzeczywistość i na jej tle rozwijając swe pomysły, sztuka wykazuje naocznie, w jakich warunkach idealna treść umysłu stać się może

prawdą realną. Można więc powiedzieć, że „cała sztuka w istocie swojej nie jest niczem innem, tylko naocznem udowodnieniem prawdy ideału". [1])

Punktem wyjścia sztuki może być każdy z jej czynników, zarówno więc treść, jak forma, zarówno ideały, jak prawda. Sztuka może iść w dwóch kierunkach i albo urzeczywistniać ideały, albo idealizować rzeczywistość. Stąd zaś wynika podział sztuk pięknych na dwie grupy zasadnicze: na sztuki idealne, podmiotowe, szukające swego uzupełnienia i wyrazu w objawach przedmiotowych, i sztuki realne, przedmiotowe, czyniące zadość wymaganiom estetycznym podmiotu przez połączenie swych form zmysłowych z treścią idealną. Sztuki pierwszej grupy mają za materyał zmysłowy dźwięki; należą do nich poezya, krasomówstwo i muzyka. Sztuki drugiej grupy mają za materyał kształty przestrzeniowe i obejmują, pod nazwą sztuk plastycznych, budownictwo, rzeźbę i malarstwo.

Poezya i muzyka działają wprost na życie wewnętrzne, wprost na uczucie i poza tym zakresem podmiotowego działania nie posiadają żadnego trwałego, estetycznego bytu, żadnego pierwiastka przedmiotowego, zdolnego im nadać pewną estetyczną samoistność niezależnie od chwilowych poruszeń duszy. Piękno poezyi jest najzupełniej niezawisłe od zewnętrznych cech książki, w jakiej została umieszczona; podobnie nikt nie upatruje piękna w nutach, jakiemi napisane zostało dzieło muzyczne. Są to bowiem tylko środki techniczne, warunkujące możność zachowania i rozpowszechnienia utworów poezyi i muzyki, środki te jednak nie mają nic wspólnego z samemi temi sztukami, którym mają służyć i które mogą istnieć i rozwijać się zupełnie niezależnie od pisma, druku i nut. Poezya i muzyka istnieją tylko w chwili podmiotowej działalności człowieka, z chwilą zaś ustania tej działalności i one istnieć przestają. Mają więc tylko idealny byt, ulotny, chwilowy, ściśle zależny od podmiotowości człowieka.

Wręcz przeciwnie ma się rzecz ze sztukami plastycznemi. Utwory sztuk plastycznych mają byt rzeczywisty, materyalny, niezależny od podmiotowości ludzkiej, bo stanowiący część przyrody zewnętrznej. Dzieła plastyczne nie są przeto w swem istnieniu zależne od ciągłej twórczości artysty; nie muszą być wciąż ponownie stwarzane i odtwarzane, lecz raz stworzone emancypują się zupełnie z pod wpływu artysty i stają rzeczami skończonemi

[1]) Sztuka i piękno, str. 91.

bezwzględnie, gdy tymczasem utwory poetyckie i muzyczne mogą być obdarzane wciąż nowym nastrojem lub charakterem, zależnie od podmiotowej działalności ich odtwórców.

Dwie te grupy sztuk uzupełniają się przez oba możliwe kierunki stopienia treści z formą. Dwukierunkowość tę rozróżnić też można w konstrukcyi historycznej poszczególnych sztuk pięknych, występujących parami po jednej z każdej grupy.

Na czele rozwoju dziejowego sztuki już na dalekim Wschodzie stoją poezya i budownictwo, jako pierwsze objawy działalności artystycznej w dwóch przeciwbieżnych kierunkach. Poezya jest sztuką najbardziej podmiotową, budownictwo — najbardziej przedmiotową. Łącząc się ze słowem, rytmem i wierszem, poezya staje się najpierwszym wyrazem pięknego uzmysłowienia idei. Natomiast budownictwo przedstawia najrealniejszą potrzebę człowieka w świecie zmysłowym, t. j. potrzebę schronienia. Jako sztuka piękna, budownictwo wykazuje zarazem najpierwotniejszą dążność człowieka do idealizowania rzeczywistości, do ożywienia jej kształtów pewną ideą, zdolną wytworzyć upodobanie estetyczne.

Po poezyi i budownictwie następują w świecie klasycznym krasomówstwo i rzeźbiarstwo. Krasomówstwo wraz ze sztuką dramatyczną ma za przedmiot człowieka żywego, mówiącego i działającego pod wpływem natchnienia, wyrabiającego z samego siebie za pomocą słowa, mimiki i gestu formę zewnętrzną dla odpowiedniego wyrażenia treści ducha. Rzeźbiarstwo, przeciwnie, ma za główny przedmiot zewnętrzne kształty człowieka, które ożywia, wlewając w nie treść duchową. W ten sposób obie te sztuki wzajemnie się uzupełniają. „Krasomówca i artysta dramatyczny wyrabiają z siebie żywe posągi; rzeźbiarstwo zaś jest skamieniałem krasomówstwem, posągową sztuką dramatyczną.“ [1])

Wreszcie ostatnia para sztuk pięknych, muzyka i malarstwo, stanowią również z jednej strony najściślejsze zespolenie treści duchowej z wyrazem zmysłowym, a z drugiej strony najwyższe idealizowanie rzeczywistości zmysłowej. W muzyce treść duchowa już wcale nie daje się oderwać od dźwięku, w którym się wyraża, a w malarstwie idea stworzona mocą natchnienia artysty jest dźwignią jego pierwiastka rzeczywistości, którą przeistacza zgodnie ze swemi wymaganiami. Muzyka i malarstwo, stanowiąc najwyższe, nowoczesne wytwory w dziejach rozwoju sztuki, przedstawiają też najściślejszy związek między czynnikami składowy-

[1]) Sztuka i piękno, str. 363.

mi piękna artystycznego i dają wyraz idei o bezpośredniej syntetycznej łączności świata duchowego ze zmysłowym.

Zadowolenie estetyczne, stanowiąc stopienie rozkoszy ducha z rozkoszami zmysłowemi, nosi na sobie najdoskonalszy wyraz człowieczeństwa. Wynoszą go one ponad grubą zmysłowość, ale ochraniają zarazem od ascetycznej obojętności dla świata i wrażeń zmysłowych; pokrzepiają ducha, ale nie odrywają go od rzeczywistego życia; przeciwnie, skłaniają do zharmonizowania potrzeb wewnętrznych z otoczeniem zewnętrznem i stają się przeto jednym z najpotężniejszych czynników kultury. Prawda w nauce, dobro w życiu, a piękno w sztuce—oto hasła, jakie powinny przyświecać ludzkości w drodze do wszechstronnego doskonalenia rzeczywistości.

Wobec ujmowania sztuki jako wyrazu piękna zaciekawiać musi stanowisko, jakie Struve zajmuje względem zagadnienia brzydoty w estetyce. Stanowisko to ma znaczenie tem większe, że zostało wyrażone w czasie największego panowania naturalizmu, który, przypisując główną wagę prawdziwości dzieła sztuki, musiał na pierwszym planie stawiać zjawiska ujemne, jako w rzeczywistości faktycznej najpowszechniejsze.

Brzydocie nie można odmówić roli w sztuce. Przeciwnie, dzieje jej są częścią składową ogólnych dziejów sztuki. Brzydota stanowi potęgę, z którą się estetyka musi liczyć, jak logika liczy się z fałszem, etyka ze złem, prawo z przestępstwem, medycyna z chorobą. Jaka tedy jest jej rola? Dziwnym zbiegiem okoliczności bezwzględny idealizm zgadza się w ostatecznym swym poglądzie na brzydotę ze skrajnym naturalizmem. Motywy jednak obu poglądów są zasadniczo różne.

Szkoła hegloska ujmuje brzydotę jako niezbędny czynnik sztuki w imię zasady, że wszystko, co jest, jest rozumne. Brzydota stanowi w tym systemacie niezbędny moment dyalektycznego rozwoju piękna, jest jego antytezą, wchodzącą łącznie z pięknem, jako czynnikiem dodatnim, twierdzącym, w skład syntezy artystycznej.

Natomiast naturalizm wprowadza do sztuki brzydotę wprost w imię jej faktyczności. Ponieważ, według naturalizmu, zadanie sztuki polega na wiernem odtworzeniu rzeczywistości, rzeczywistość zaś jest pełna objawów brzydoty, więc też odtworzenie brzydoty stanowić ma konieczny warunek sztuki.

Struve nie godzi się na żaden z tych poglądów. Przedewszystkiem przytacza fakt, że brzydota nie jest czynnikiem niezbędnym w sztuce. Tak np. architektura i muzyka już z samej

swej istoty wyłączają brzydotę, a w zakresie rzeźby, malarstwa i poezyi nie brak utworów pierwszorzędnych, wolnych w zupełności od czynnika brzydoty. W każdym razie dzieje sztuki dowodzą, że piękno zawsze może występować samodzielnie w całej pełni, brzydota zaś tylko w tych wypadkach, kiedy się kojarzy z czynnikami łagodzącymi, a nawet przeistaczającymi jej istotę. Wynika stąd drugorzędna rola brzydoty w sztuce, która jej udzielać może miejsca w trzech formach typowych.

Po pierwsze, brzydota służyć może w charakterze jedynie tła, na którem tem silniej odznacza się blask piękna. W podobnej formie brzydota nie wywołuje wrażenia wstrętnego, ponieważ występuje bądź w kształtach miniaturowych (np. karzełki, liliputy), bądź jako dodatek przypadkowy (np. piękne dusze w garbuskach), bądź jako objaw naturalny, wzmagający tylko charakterystykę (np. rubaszność), bądź wreszcie jako wynik pewnej niezręczności technicznej, okupionej wszakże podniosłością treści (np. sztywność w bizantyjskiem malarstwie religijnem).

Drugą formą brzydoty w sztuce jest jego walka z pięknem w charakterze czynnika samoistnego. Na walce tej polega istota wszelkiego wyrazu dramatycznego w sztuce. Ostatecznym jednak celem estetycznym wszelkiej walki dramatycznej może być tylko doraźne wykazanie, że ideały ducha ludzkiego są takiemiż realnemi życiowemi potęgami, jak wszelkie czynniki ujemne, że w nich skupia się właściwy postęp życia, że przeto im się zwycięstwo należy. Zresztą brzydota, biorąc udział w walce dramatycznej, ścierając się z pięknem, nabiera rysów sympatyczniejszych, niż jej się to z istoty należy. Walka, w którą wstępuje, ożywia brzydotę i czyni ją przez to mniej brzydką, nabiera ona bowiem pewnej rycerskości, odwagi, zaparcia i poświęcenia, choćby dla nizkich celów, to zaś budzi zajęcie estetyczne. W ten więc sposób rola brzydoty w sztuce tem jest ważniejsza, im więcej zatraca ona swe cechy istotne i wiąże się z pięknem.

Istnieje wreszcie trzecia forma, w której brzydota może się objawiać w sztuce. Jest nią brzydota w całej nagości i właściwem świetle. W wypadku tym piękno nie używa brzydoty jako swego tła i nie zwalcza jej jako swego przeciwnika, lecz dopuszcza do szczerego wyrazu, aby tem łacniej mogły się ukazać wszystkie jej ciemne strony. Objawami tego ustępstwa na rzecz brzydoty są karykatura i satyra. Zachodzić tu może pytanie, czy dając brzydocie rolę górującą, bezpośrednio jedyną, satyra i karykatura należą jeszcze do dziedziny sztuki. Na pytanie to odpowiedzieć należy, iż stanowią one wyraz sztuki dopóty, dopóki,

pomimo przedstawienia brzydoty na pierwszym planie, zapewniają jednak pięknu zwycięstwo moralne. Takie bowiem tylko zwycięstwo może przejednać poczucie estetyczne. Kiedy jednak piękno zostaje całkowicie wyparte z utworu, nie dając znać o sobie nawet pośrednio zaznaczeniem wstrętności brzydoty przedstawianej, wówczas utwór przechodzi w cynizm i jako taki może wprawdzie bawić umysły niewybredne, ale niema nic wspólnego z poczuciem piękna. Historya przechodziła zawsze nad takimi utworami do porządku dziennego i wciąż na nowo w imię ideałów piękna podejmowała walkę przeciw wszystkiemu, co szpetne, nizkie, plugawe.

IV.

W sposób analogiczny do poglądów estetycznych kształtują się poglądy etyczne Struvego. Wypływając z tych samych zasad metafizyki idealnego realizmu, etyka Struvego zdążała w tymże kierunku podtrzymywania aktualności ideałów, jako wskaźników, w granicach rzeczywistości, jako terenu ich zastosowania. Okoliczności snadź sprawiły, że etyce i zagadnieniom moralności, które, ze względu na zasadnicze dążności i sam charakter umysłowości Struvego, grały w jego systemacie rolę pierwszorzędną, zostało poświęconych stosunkowo niewiele rozpraw. Poza odpowiednimi urywkami „Wstępu“ osobno omówione są te sprawy tylko w kilku niewielkich pracach, jak „Zur Psychologie der Sittlichkeit“ (Philosophische Monatshefte, 1882), „Ruch etyczny nowszych czasów“ (1901), „Zasadniczy charakter etyki jako nauki“ (1902), „O najwyższej zasadzie postępowania etycznego“ (1903), „Epikureizm i altruizm“ (1907); praca p. n. „Anarchizm ducha u obcych i nas“ (1900), wkraczająca dość ściśle w dziedzinę etyki, ma charakter bardziej polemiczny, niż systematyczny. Bądź co bądź, zarówno z tych rozpraw, jak z odpowiednich urywków i uwag w innych pracach, całokształt poglądów etycznych Struvego da się przedstawić w sposób zupełny i niewątpliwy.

Jak każda nauka, tak i etyka może być podzielona na dwie części: etykę ogólną i szczegółową.

Etyka ogólna poddaje rozbiorowi krytycznemu zasadnicze pojęcia etyczne i dąży do określenia praw działalności moralnej wogóle. Do zasadniczych pojęć etyki należą: 1) pojęcie dóbr, jako danych środków i zasobów ludzkiej działalności; 2) pojęcie

obowiązków, jako wymagań dotyczących tej działalności; 3) pojęcie cnoty, jako prawidłowego urzeczywistnienia tych wymagań.

Dobra materyalne, będące wytworami utylitarnej działalności i ustroju ekonomicznego, posiadają wartość etyczną jedynie jako środki pomocnicze do urzeczywistnienia wyższych celów życia. W tem znaczeniu dobra materyalne są pożądane, ale nakładają one na posiadacza obowiązek odpowiedniego ich zużytkowania dla celów wyższych i nietrwonienia dla celów poziomych i ulotnych. W tym kierunku działa rozwój społeczny, rodzący właściwe sobie dobra. Gdy wyłączna dążność do dóbr materyalnych pociąga za sobą ostatecznie rozstrzelenie pracy w celach osobniczych, to, przeciwnie, ustrój społeczny ogranicza coraz bardziej osobnicze współubieganie się na korzyść współdzielczości. Dobra społeczne, do których należą przedewszystkiem porządek prawny, oparty na zasadach humanitarnych, wzajemny szacunek jednostek, stanowiących społeczeństwo, oraz chętne działanie każdej z nich na korzyść ogółu, są niezbędnem uzupełnieniem dóbr materyalnych, albowiem wyznaczają im właściwe stanowisko i cel. Wreszcie poczucie religijne zaszczepia człowiekowi przeświadczenie o moralnym porządku świata, różnym zarówno od porządku fizycznego przyrody, jak i od porządku społecznego w świecie ludzkim. Ani bowiem prawa przyrody, ani prawa społeczne nie mogą wystarczyć dla nadania czynowi charakteru ściśle moralnego, który wypływa jedynie z uznania moralnego porządku świata, jako najwyższej normy życia praktycznego. W imię tego porządku moralnego osobnik sumienny spełnia swe obowiązki życiowe, ekonomiczne i społeczne z własnego popędu, dobrowolnie, niezależnie od kontroli zewnętrznej i osiąga przez to najwyższe dobra, dostępne dla człowieka, dobra duchowe: spokój duszy i czyste sumienie. Prawidłowy rozwój życia praktycznego polega na zgodnem współdziałaniu ustrojów ekonomicznego, społecznego i religijnego. Wszelka sprzeczność pomiędzy tymi ustrojami, jakoteż wszelka wyłączność w rozwoju jednego z nich ze szkodą innych, jest złem.

Trzem dobrom powyższym odpowiadają trzy szeregi obowiązków: względem siebie i przyrodzonych warunków swego zdrowia i życia, względem społeczności ludzkiej (obowiązki rodzinne, towarzyskie, państwowe lub narodowe, ogólno-humanitarne) oraz względem Boga. Jak zasadniczem podłożem dóbr życiowych, któremi się zajmuje część pierwsza etyki ogólnej, jest wyższy porządek moralny, tak zasadniczem podłożem obowiązków, stanowiących przedmiot drugiej części etyki ogólnej, jest sumienie czyli poczucie moralne. Poczucie przynależności do większej całości

i zgody z nią jest źródłem wewnętrznego zadowolenia dla osobnika, zaszczepia mu przeświadczenie o zadaniach i celach życia, godnych natężenia osobistej energii, pracy, poświęcenia. Łączność z szerszym ogółem jest dla niego nietylko fizyczną, lecz i umysłową, moralną potrzebą, która się domaga zaspokojenia wbrew przyrodzonym dążnościom osobniczym. Przeciwnie zaś, wszelka niezgodność z wyższym porządkiem rzeczy pociąga za sobą wewnętrzne niezadowolenie, przygnębia, podkopuje zaufanie do siebie oraz wiarę w cel i przeznaczenie swego istnienia. Takie rozprzężenie normalnej łączności i zgody osobnika z wyższym porządkiem rzeczy, zarówno z najprostszemi prawami przyrody, jak ustrojem społecznym, jak wreszcie z wymaganiami bytu duchowego człowieka, jest źródłem współczesnego anarchizmu duchowego.[1]) W ten sposób sumienie, jako podmiotowa podstawa ideałów etycznych, rozwija się na tle świadomości przynależenia do pewnej ogólniejszej całości i objawia się jako zadowolenie lub niezadowolenie wewnętrzne, wynikające ze zgodności albo niezgodności działania z obowiązkiem.

Samo to działanie stanowi przedmiot trzeciej części etyki ogólnej. Działanie jest moralne, kiedy człowiek danych dóbr używa jako środków do spełnienia odpowiednich obowiązków; niemoralnem zaś jest działanie, nadużywające dóbr dla celów samolubnych. Osobnika, dopuszczającego się czynów niezgodnych z obowiązkiem, pociąga się do odpowiedzialności bądź moralnej, na podstawie oceny działania ze stanowiska sumienności, bądź sądowej ze stanowiska legalności. Na tle tych czynników etyka ogólna określa zasadnicze prawa moralne, jako normy albo wymagania, do których się człowiek stosować powinien. Prawa te mają na polu działalności toż samo znaczenie, co prawa logiczne na polu poznania, t. zn. nie przymuszają one osobnika do działania w ich kierunku, lecz obowiązują go do tego wewnętrznie. Wolna wola i odpowiedzialność osobnika polegają właśnie na możności zastosowania się do owych wymagalników lub odstępstwa od nich, co pociąga jednak za sobą różne następstwa zgodnie z zasadniczem prawem moralnem sprawiedliwości.

Sprawiedliwość polega na tem, że dążności osobnicze, niezgodne z porządkiem moralnym, zawsze rozmijają się ze swoim celem, gdy tymczasem dążności, wypływające z pobudek moralnych, czyniące zadość wymaganiom obowiązku, choćby domagały

[1]) Prw. Anarchizm ducha u obcych i u nas.

się największych ofiar z dobrobytu osobniczego, w końcu jednak wynagradzają osobnika w sposób przez niego niezamierzony. Tak więc człowiek, szukający czy to w rozkoszach zmysłowych, czy to w bogactwie, w ogóle w dobrobycie materyalnym, najwyższego zadowolenia, nigdy go osiągnąć nie zdoła, lecz trawiony coraz większą pożądliwością, doznaje zbyt prędko rozczarowania wobec bezskuteczności swoich wzrastających nieskończenie wysiłków, przez to zaś wpada w zniechęcenie i pesymizm ogólny. Natomiast człowiek, spełniający swe zadanie życiowe bez względów samolubnych, osiąga przez to najwyższe dla człowieka zadowolenie moralne.

Dobrobyt, szczęście, zadowolenie—oto cele, do których człowiek z natury swej dąży. A jednak jakże rzadko cele te osiąga! Winimy o to zazwyczaj losy, a tymczasem główną przyczyną jest ta, że lekceważymy zbyt często najważniejsze źródło prawdziwego szczęścia i zadowolenia. Jest niem wewnętrzna zgoda człowieka z samym sobą, jednorodność i ciągłość jego uczuć, myśli i czynów w pracy około urzeczywistnienia tego, co sam uznaje za dobre i właściwe. W tem wewnętrznem zadowoleniu tkwi też najwyższa nagroda, jaka się każdemu należy za samodzielne urzeczywistnienie najwyższej zasady etycznej, którą też streścić można w następujący sposób: „Działaj zawsze w zgodzie z twojem własnem przekonaniem etycznem, z tem, co sam uznajesz za dobre i właściwe.“ [1])

Etyka szczegółowa stanowi wynik zastosowania ogólnych zasad etycznych do poszczególnych wytworów życia praktycznego. Ponieważ zaś do wytworów tych, jak widzieliśmy, należą ustrój ekonomiczny, społeczny i religijny, więc etyka szczegółowa dzieli się odpowiednio na: 1) etykę ekonomiczną, czyli filozofię ustroju ekonomicznego i dobrobytu materyalnego, 2) etykę społeczną, t. j. filozofię ustroju i dobrobytu społecznego, filozofię społeczeństwa, prawa i państwa, 3) etykę religijną. Każdy z tych działów, jak każdy z działów filozofii szczegółowej, łączy się ściśle z odpowiedniemi naukami specyalnemi, badającemi faktyczne objawy wytworów, podpadających pod ich zakres.

Wszystkie kierunki etyki nowoczesnej, pod wpływem specyalnego zakresu badań, dzielą się na trzy główne grupy. Pierwszą stanowią te, które się opierają na dogmatycznych zasadach

[1]) O najwyższej zasadzie postępowania etycznego, Przegl. Filoz. 1903, str. 178.

przyrodoznawstwa i które przeto nazwać można przyrodniczemi. Drugą grupę składają kierunki, opierające się na dogmatycznej wierze w treść pewnego wyznania religijnego; można je nazwać teologicznemi. Do trzeciej wreszcie grupy zaliczyć należy kierunki, uznające krytycyzm filozoficzny za punkt wyjścia dla wszelkiej etyki naukowej. Zasługują one na nazwę filozoficznych i doprowadzają do etyki filozoficznej w przeciwieństwie do etyki przyrodniczej i teologicznej. Etyka nie jest tu tylko dodatkiem do tej lub innej grupy nauk specyalnych, lecz treścią swoją łączy się bezpośrednio z ogólnym na świat poglądem, opartym na krytycznym rozbiorze podmiotowych i przedmiotowych zasad poznania.

Ze stanowiska krytycyzmu filozoficznego charakter dogmatyczny przypisać należy nietylko etyce teologicznej, lecz i etyce przyrodniczej, która, mając uroszczenia do wyłącznej naukowości, nie zdaje sobie często sprawy z dogmatów, którymi operuje i które zaszczepić się stara etyce. Walka więc z naturalizmem w etyce jest konieczna już w łonie samej etyki filozoficznej.

Rozbiór krytyczny stosunku filozofii do nauk przyrodniczych doprowadza do przekonania, że dogmatyczne przypuszczenia przyrodoznawstwa nie są wystarczające do naukowego wyjaśnienia wielu objawów samej przyrody; tembardziej więc nie mogą one być zastosowane do objawów, przekraczających z istoty swojej czynniki przyrody fizycznej, mianowicie do samodzielnej celowej czynności człowieka. Zaprzeczenie samoistności pierwiastka racyonalnego w człowieku oraz jego samodzielności i wolnej woli jest gwałtem zadawanym faktom życia duchowego w imię dogmatów przyrodoznawstwa. Równie nieuzasadnionemi i przekraczającemi zakres swego zastosowania są dogmaty przyrodoznawstwa, kiedy porządek fizyczny świata uznają za jedyny i najwyższy i dlatego zaprzeczają samoistności porządku moralnego i jego prawom.

Etyka przyrodnicza jest niemożliwa choćby dlatego, że wpada w sprzeczność z samą sobą. Przyrodoznawstwo nie zna bowiem różnicy między moralnem a niemoralnem działaniem człowieka, między tem, co jest, a tem, co być powinno; przyrodoznawstwo powinno najzupełniej objektywnie zachowywać się względem faktów, i nie wolno mu stosować do nich ocen dobra i zła. Gdzie wszystko dokonywa się według mechanicznego determinizmu, tam ocena moralna działania nie jest uprawniona, tam nie może być mowy o tem, co być powinno, bo wszystko dokonywa się tak, jak być musi. Wynikiem przyrodniczego poglądu na działalność człowieka może być conajwyżej bezwzględne uznanie dla wszystkiego, co jest, czyli pomieszanie pojęć musu i powinności. Tymczasem róż-

nica między tem, co jest, a tem, co być powinno, między prawem moralnem a faktem przyrodniczym, między dobrem a złem jest konieczną podstawą etyki, tak samo jak różnica między prawdą a fałszem jest niezbędną zasadą logiki, a różnica między pięknem a brzydotą — zasadą estetyki. Ponieważ zaś takiej oceny nauki przyrodnicze z istoty swej stosować nie mogą, przeto nie mogą też doprowadzać do żadnej etyki. Chyba, że dopuszczają się właśnie owego pomieszania pojęć musu i powinności, ale wówczas wytwarzać mogą raczej zaprzeczenie wszelkiej etyki, niż etykę właściwą.

*

* *

Metafizyka, estetyka, etyka mają za przedmiot trzy grupy ideałów ludzkich. Stosownie do trzech zasadniczych objawów umysłu ludzkiego, jakimi są uczucia, myślenie i wola, znajdujących swój wyraz w twórczej, poznawczej i życiowej działalności człowieka, w sztuce, nauce i moralności, ideały ludzkości przedstawiają się w trzech głównych typach, mianowicie jako ideały artystyczne, poznawcze i moralne, czyli estetyczne, metafizyczne i etyczne. Ze względu zaś na treść tych ideałów oraz ostateczny cel, do którego zmierzają, można je nazwać poprostu ideałami piękna, prawdy i dobra.

W rzeczywistym rozwoju życia umysłowego ideały te nie występują w odosobnieniu, lecz jednocząc się z sobą wytwarzają liczne odmiany i objawy pośrednie, które tylko za pomocą ściśle naukowej analizy rozłożone być mogą na swe czynniki składowe. Tak np. ideały poznawcze, logiczne, łączą się często bardzo ściśle z ideałami estetycznymi. Dla estetycznego ustroju systematu lub nawet poszczególnej teoryi niejeden myśliciel lub badacz zapomina o ściśle logicznem udowodnieniu treści swych poglądów, a zatem o ich prawdzie. I odwrotnie, umysły doktrynerskie, przejęte logicznym formalizmem, naruszają nieraz estetyczną budowę, wogóle piękno swych utworów artystycznych. Podobnież i ideały moralne kojarzą się często z logicznymi i estetycznymi i wskutek tego nieraz ograniczają samodzielny rozwój głównego czynnika danego utworu. W ogólnym rozwoju życia umysłowego takie skojarzenia i wzajemne uzupełnienie zasadniczych ideałów umysłu jest obja-

wem koniecznym, jako warunek wewnętrznej równowagi umysłu i jednolitego postępu wszystkich jego zdolności. W nauce jednak, a więc również w zakresie filozofii, należy ściśle odróżniać działanie, treść i doniosłość każdego z powyższych ideałów. Nauka, więc i filozofia, dąży do samodzielnego urzeczywistnienia jednego tylko z tych ideałów, t. j. ideału logicznego (metafizycznego) prawdy. Ideały zaś estetyczne i moralne wchodzą w skład nauki o tyle, o ile udowodnić można ich prawdę. To też estetyka i etyka, mając jako swą najwewnętrzniejszą treść ideały piękna i dobra, usiłują wykazać, w jaki sposób ideały te dadzą się uzgodnić z formami rzeczywistości, w których im działać wypadnie.

V.

Osobną kartę działalności i osobny tytuł do zasługi stanowią prace Struvego nad historyą filozofii w ogóle, a historyą filozofii w Polsce w szczególności.

Już w swych rozprawach popularnych, przeznaczonych dla szerokiego ogółu i pomieszczanych w czasopismach, uwzględniał Struve w znacznej mierze dziedzinę historyczno-filozoficzną. Odnoszą się tu bardzo liczne studya, jak np. „O filozofii Jana Śniadeckiego“ („Wiek,“ 1873), „O filozofii słowiańskiej“ (tamże 1874), „Salomon Maimon, Żyd polski, filozof,“ „O filozofii Schopenhauera“ (tamże), „Rousseau“ („Tygodnik Illustr.,“ 1879), „Immanuel Kant oraz dziejowa doniosłość jego filozofii“ („Biblioteka Warsz.,“ 1904) i wiele innych, pomieszczanych w „Bibliotece Warszawskiej,“ „Ateneum,“ „Wielkiej Encyklop. Illustrowanej.“

Nad historyą filozofii w Polsce zaczął Struve pracować już w pierwszych latach swej działalności profesorskiej w Warszawie. Pierwszym większym owocem tej pracy był tom pierwszy (jedyny, jaki wyszedł) „Wykładu systematycznego logiki“ (1868—70), zawierający historyę logiki powszechnej i w Polsce. Dwa dalsze tomy „Wykładu“ były podobno przygotowane do druku, ale autor ich nie wydał, zrażony niepowodzeniem księgarskiem tomu pierwszego (w ciągu czterech lat sprzedaż pokryła dziesiątą część kosztów nakładu). Mimo to, poszukiwania swe w zakresie historyi filozofii w Polsce prowadził dalej („Rzut oka na pierwszy okres historyi filozofii w Polsce,“ Ateneum 1877). W latach 1877—80 wydał Struve zbiorowe pisma Józefa Kremera w 12-tu tomach, poprzedzając je wstępem obszernym (wyszedł osobno p. n. „Życie

i prace Kremera," 1881). Owoce swych licznych poszukiwań rozsiał w różnych miejscach swego „Wstępu." Przystąpiwszy wreszcie do opracowania całkowitych dziejów filozofii w Polsce, wydał pierwszy zeszyt „Historyi filozofii w Polsce," zawierający „Wiadomości przygotowawcze" (1900). Zły stan zdrowia nie pozwolił mu jednak dzieła ukończyć, to też wydając ponowne i rozszerzone opracowanie pierwszego tomu „Wykładu systematycznego logiki" p. n. „Historya logiki, jako teoryi poznania, w Polsce" (1911), wyraża tylko życzenie, iżby się ona stała „zachętą dla młodszych pracowników do głębszego wniknięcia w dzieje naszego życia umysłowego, a w szczególności w dzieje naszej filozofii szerzej pojmowanej" (str. VI). W rok po wydaniu tej pracy, która stanowi zarówno zakończenie i najgłębszy wyraz samodzielnych badań Struvego, jak podstawę do dalszych badań w tym kierunku, śmierć zamknęła mu oczy nazawsze.

Obok prac, zmierzających do zobrazowania przeszłości filozoficznej polskiej, postawić należy bardzo liczne, niezliczone chyba, prace krytyczne i sprawozdawcze, w których Struve wyrażał swój stosunek do bieżącej literatury filozoficznej. Znając też zarówno przeszłą, jak bieżącą literaturę filozoficzną polską, jak nikt chyba ze współczesnych, był najgodniejszym do reprezentowania tej literatury wobec Europy. Obowiązku tego nie zaniedbywał, starając się, ile możności, zapoznawać zagranicę z pracą filozoficzną w Polsce, już to na kongresach filozoficznych, już to w osobnych artykułach, umieszczanych w czasopismach fachowych zagranicznych. Do kategoryi tej należą: „Die philosophische Literatur der Polen" („Philosophische Monatshefte," 1874), „Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie" („Archiv für Geschichte der Philosophie," 1895), a wreszcie „Die polnische Philosophie der letzten zehn Jahre 1894—1904" („Archiv für systematische Philosophie," 1905; przekład polski 1907) i „La philosophie en Pologne pendant les dix dernières années" („Congrès internationale de philosophie" Deuxième session, Genève 1905).

Historya filozofii w Polsce była przed Struvem prawie nietknięta. W r. 1863 Krupiński uczynił wprawdzie pierwszą próbę zbudowania takiej historyi, ale próba ta była bardzo niedoskonała. Pozatem nie było się na czem oprzeć. Mimo to, zebrawszy cały drukowany materyał, Struve opracowuje go w „Wykładzie logiki" i ograniczając się wprawdzie świadomie do samej logiki, kreśli obraz rozwoju prawie całej filozofii, ile że popierwsze, dziedzina obrana za punkt wyjścia zbyt blizko styka się z innemi gałęziami filozofii, podrugie zaś pojmowana jest przez Struvego

bardzo szeroko, jako teorya poznania, w którą zresztą włącza zasadnicze zagadnienia metafizyczne. To też tylko skromność niezwykła kazała Struvemu położyć nagłówek „Historyi logiki“ na pracy, którą, jak sam wyznaje, niejeden uczony gotów byłby uważać za historyę filozofii wogóle.[1]) Bądź co bądź, nie wiele tu brakuje dla uzupełnienia dzieła do historyi filozofii polskiej. Zasadnicze momenty są poruszone, podwaliny założone, pozostaje na nich tylko budować. Niestety, dopiero w ostatnich latach swego żywota doczekał się Struve, iż pracę w tej dziedzinie przez niego zapoczątkowaną najmłodsze pokolenie myślicieli naszych podejmować zaczęło...

Cały obszar filozofii polskiej ujmuje Struve w pięć wielkich, acz nierównych, okresów.

Okres pierwszy, który można nazwać akademickim, rozszerza się od rozkwitu Akademii Krakowskiej, t. j. od drugiej połowy XIV w. aż pod koniec XVI. W okresie tym filozofia polska stoi na jednym poziomie z ówczesnym jej stanem u obcych. Opracowywano ją jeszcze, jak i w innych krajach, wyłącznie w języku łacińskim. Ale do scholastycyzmu zaczynają się już dołączać kierunki antyscholastyczne, wznawiane są studya klasyczne, przenikają humanizm i eklektyzm. Głównymi przedstawicielami tych dążności w Polsce XV i XVI w. są Grzegorz z Sanoka, gorliwy wskrzesiciel klasycyzmu, wymagający, aby dzieła starożytnych czytane były w oryginale i bez komentarzy scholastycznych; był on nadto przeciwnikiem wszelkich sporów scholastycznych, które nazywał „vigilantium somnia“; dalej, Jan z Głogowa i Michał z Wrocławia, którzy się wprawdzie trzymali przedewszystkiem Piotra Hiszpana, jednak samodzielnie badali logikę Arystotelesa i pisywali dzieła w swoim czasie powszechnie cenione i zagranicą niejednokrotnie wydawane. Należą tu także Michał z Bystrzykowa (Parisiensis) i uczeń jego Jan ze Stobnicy, zwolennicy poglądów Dunsa Szkota, wreszcie Jakób Górski i Adam Burski, eklektycy, autorzy znakomitych opracowań logiki, w których, obok prac starożytnych, mianowicie Arystotelesa, stoików i Cycerona, uwzględniają i najnowsze dążności swego czasu, reprezentowane przez Rudolfa Agricolę, Piotra Rama i Filipa Melanchtona.

Okres drugi obejmuje panowanie jezuitów i może być nazwany jezuickim. Trwa on od drugiej połowy wieku XVI-go do drugiej połowy XVIII-go. Cechuje go zwrot do dogmatycznego

[1]) Historya logiki (1911), str. V.

formalizmu scholastyki średniowiecznej, podkopującej zarodki samodzielnie rozwijającej się myśli, a zaszczepiając natomiast nauki XIII wieku w formie czczej i beztreściwej. „Ciemnota i demoralizacya były głównem hasłem owoczesnych jezuitów, głównym środkiem, przy którego pomocy dążyli do bezwzględnego panowania nad światem. Niestety, w dwóchsetletnim prawie okresie ich panowania w Polsce udało im się zepchnąć naród na długie czasy z drogi nowoczesnego postępu i wyrobić z niego uległego służebnika ich celów".[1]) Głównymi przedstawicielami filozofii jezuickiej w Polsce byli w wieku XVII-ym Marcin Śmiglecki, Wojciech Tylkowski, Tomasz Młodzianowski, Jan Morawski, Adam Krasnodębski, Stefan Szczaniecki, w XVIII-ym zaś Jerzy Gengell, Adryan Miaskowski, Aleksander Podlesiecki, Andrzej Rudzki, Benedykt Dobszewicz. Wszyscy oni, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego, którzy stanowią przejście od pierwszego do drugiego i od drugiego do trzeciego okresu, używali dyalektyki jako środka do wpojenia w naród, a szczególniej w uczącą się młodzież, ciemnych przesądów średnich wieków i dla tamowania samodzielnego rozwoju filozofii na nowoczesnych, krytycznych zasadach. W czasie, kiedy na Zachodzie zaginęły już prawie ślady scholastycyzmu, kiedy nauka, a zwłaszcza filozofia, nie mogła się już obejść bez podstaw krytycznych, stworzonych przez Bakona, Kartezyusza i ich następców, w Polsce zaznaczył się silny zwrot w kierunku przeszłości, obejmujący despotycznie cały zakres życia duchowego. Myśl, nie uwzględniając należycie faktycznych materyałów wiedzy nowoczesnej, doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego, oraz życiowych danych, utraciła swoją treść właściwą i ograniczyła się do powtarzania oderwanych czynności według jednostronych formuł logicznych. W ten sposób powstała i rozwijała się w Polsce w w. XVII i XVIII uczoność scholastyczna, wytwarzająca najrozliczniejsze zagadnienia i nauki, pozbawione naturalnego związku z istotnemi potrzebami i dążnościami życia umysłowego.[2])

Okres trzeci stanowi reakcyę przeciw jezuityzmowi i charakteryzuje się zaszczepieniem nowoczesnych dążności na gruncie polskim, zaczerpaniem z Zachodu wszystkich tych czynników postępu myśli, które wpłynęły na samodzielny, krytyczny rozwój w drugiej połowie XVIII-go wieku. Okres ten, trwający od po-

[1]) Historya logiki (1911), str. 173.

[2]) Wykład systematyczny logiki (1870), str. 155 i nast.

łowy wieku XVIII-go do roku mniej więcej 1830, może być nazwany okresem Odrodzenia. Do czynników, które wpłynęły na rozbudzenie ruchu filozoficznego na Zachodzie w XVIII wieku, należą: racyonalizm Wolffa, sensualizm i empiryzm Locke'a i Condillac'a, a wreszcie krytycyzm Kanta. Wszystkie te kierunki znajdują żywy odgłos u myślicieli polskich tego okresu i przyczyniają się już przez samą swą różnorodność do ożywienia ruchu piśmienniczego na polu filozofii. Temu też ożywionemu ruchowi, czerpiącemu pokarm duchowy z dzieł pierwszorzędnych myślicieli innych narodów, zawdzięcza filozofia polska podwalinę nowego rozwoju, sięgającego swym wpływem i skutkami aż do naszych czasów. Okres Odrodzenia zaczyna się ograniczeniem wpływu jezuitów przez reformę szkół, dokonaną przez Stanisława Konarskiego. Obejmuje dalej usiłowanie zaszczepienia na gruncie polskim filozofii Wolffa przez przekład z dzieła jego ucznia Gottscheda. Przekład ten, dokonany pod protekcyą i z przedmową Wawrzyńca Mitzler de Koloń, nosił nazwę: „Pierwsze prawdy całej filozofii, w której wszystkie filozofskie nauki przyzwoitym porządkiem wyłożone i na dwie części podzielone są, kwoli tym, którzy publicznie w akademiach lekcye biorą“ (1760). W tymże kierunku działają bardziej samodzielnie Kazimierz Narbutt i Ignacy Włodek. Wpływy empiryzmu objawiają się we wprowadzeniu przez Komisyę Edukacyjną do szkół logiki Condillac'a, którą przełożył Jan Znosko. Nadto Andrzej Cyankiewicz tłómaczy wyjątki z Locke'a, a Patrycy Przeczytański i Jan Śniadecki rozwijają zasady poznania empirycznego. Wreszcie do tego okresu należą pierwsze zawiązki krytycyzmu kantowskiego, zaszczepione najprzód przez przekłady Józefa Bychowca i Szymona Bielskiego, a następnie przez oryginalne pisma Jędrzeja Śniadeckiego, Józefa Hoene-Wrońskiego, Józefa Kalasantego Szaniawskiego, Józefa Emanuela Jankowskiego i Anioła Dowgirda. W tymże kierunku czynni byli pierwsi profesorowie kantyści na wszechnicach polskich: Feliks Jaroński w Krakowie, Adam Ignacy Zabellewicz w Warszawie i Jan Henryk Abicht, powołany z Niemiec na katedrę filozofii do Wilna.

Okres czwarty filozofii w Polsce stanowi najwyższy jej rozkwit. Jestto w najwybitniejszej swej części filozofia idealistyczna, jaka się zrodziła i rozwinęła pod wpływem pokrewnego ruchu w Niemczech. Na tle i jako uzupełnienie filozofii Kanta powstały mianowicie w Niemczech systematy metafizyczne, o kierunku idealistycznym w różnych odcieniach. Powstał najprzód idealizm Fichtego z odcieniem podmiotowym, następnie idealizm Schellin-

ga, obejmujący głównie przedmiotowe czynniki przyrody i dziejów, wreszcie idealizm Hegla o charakterze bezwzględnym. Kierunki te i systematy odbijają się w Polsce, a w połączeniu z ideami filozofii narodowej wytwarzają olbrzymi ruch i najświetniejszy rozwój filozofii w Polsce. Na czele tego ruchu stoi Józef Hoene-Wroński, myśliciel polski acz pisał tylko po francusku. Wychodził on z Kanta i w duchu jego aprioryzmu przedsięwziął reformę wiedzy ludzkiej, wychodząc z nauk matematycznych. Następnie jednak przejął się zagadnieniami historyozoficznemi i z ich stanowiska rozwinął swój systemat mesyanizmu, mający na celu bezwzględne stopienie („unię achrematyczną“) filozofii i religii. Z innych myślicieli tego okresu Józef Gołuchowski, pomimo samodzielnych rzutów myśli, pozostawał w blizkiem pokrewieństwie z idealizmem Schellinga, zwłaszcza w jego ostatniej, zabarwionej religijnie fazie rozwoju. Na podstawach uczucia religijnego oparli również swój idealizm Floryan Bochwic i Józef Żochowski, gdy tymczasem Andrzej Towiański hołdował skrajnemu mistycyzmowi. Z Hegla wychodzili i jego idealizm bezwzględny w różnych formach odzwierciadlali i w różnych kierunkach przerabiali Bronisław Trentowski, Karol Libelt, August Cieszkowski i Józef Kremer.

Z drugiej strony zauważyć należy, iż rozwój idealizmu, zwłaszcza hegloskiego, i jego echo w Polsce, obudziło u nas od samego początku silną opozycyę. Opozycya ta nie miała jednak ani naukowego ani ściśle filozoficznego charakteru, choć pod nazwą filozofii i w jej imię występowała. Jej podstawą, na której się opierała, nie były ani dowody, zaczerpnięte z rozumu i ogólnych praw ducha ludzkiego, ani dane doświadczenia, powołujące się na wyniki nauk empirycznych, lecz wyłącznie powaga dogmatów kościoła i wiara w ich nieomylność. Pomimo tej polemiki ze strony przedstawicieli kierunku religijnego, idealizm rozwinął się w Polsce szeroko, dając pod niejednym względem dowód wysokiego polotu ducha narodowego. Trwał też dopóty, dopóki się sam w sobie nie przeżył i dopóki nie napotkał prawdziwych przeciwników, walczących bronią naukową.

Okres piąty rozpoczyna się właśnie wraz z bankructwem idealizmu bezwzględnego. Trwa on od siódmego dziesiątka lat wieku ubiegłego do pory obecnej i ze względu na przeważający charakter dotyczących badań zasługuje na miano krytyczno-syntetycznego. Reakcya przeciw abstrakcyjnej dyalektyce i dedukcyi idealizmu wystąpiła jeszcze za życia głównych jego przedstawicieli, a z biegiem lat przyjęła coraz szersze rozmiary. Przeko-

nano się dość rychło, że idealizm bezwzględny nie zdoła odpowiedzieć w dostatecznej mierze na żywotne pytania, dręczące umysł ludzki, a wówczas schodzić zaczęto na padół, wnikać w wewnętrzne życie i potrzeby człowieka realnego, w przyrodę i jej zjawiska, zastanawiać się nad faktami rozwoju wiedzy ludzkiej. Reakcya ta nie była w Polsce tak bogata w objawy i tak urozmaicona, jak na Zachodzie, w każdym jednak razie główne typy tej reakcyi istniały i u nas. Zaczerpnięto je wprawdzie w większej części u obcych, ale obdarzono także piętnem indywidualnem. Wszystkie zaś te kierunki tak u obcych, jak u nas, mają ogólny charakter krytyczny i przytem dążą do objęcia jaknajszerszych dziedzin myśli, uwzględniając ze swego stanowiska zasadnicze współczynniki poznania, wiedzy.

Ten syntetyczno-krytyczny charakter współczesnych dążności na polu teoryi poznania utrudnia klasyfikacyę, opartą na przeciwstawności idealizmu i realizmu, albowiem przy koniecznem w badaniach dzisiejszych różnostronnem uwzględnieniu czynników wiedzy przeciwieństwo owo w pewnym stopniu się wyrównywa, ustępując miejsca niezgodzie pod innymi, bardziej szczegółowymi względami. „Zachodzi to szczególniej u nas, gdzie wielostronność stała się jednym z naturalnych objawów naszego życia umysłowego wskutek konieczności posiłkowania się w jego rozwoju i uprawie nietylko własnymi zasobami, lecz i wynikami pracy dziejowej narodów, przodujących dotąd postępem wszechludzkiej kultury. Główne typy poglądów poznawczych, t. j. racyonalizm, empiryzm i mistycyzm powstają wprawdzie i w ostatnim okresie filozofii w Polsce, ale nie mają już tego charakteru jednostronnego, jaki je cechował dawniej“. [1])

Z rozważań tych uwidocznia się, że mylnem jest upatrywanie w ostatnim okresie filozofii polskiej charakteru wyłącznie pozytywistycznego; owszem, jeżeli uwzględnić myślicieli, wnikających samodzielnie w zasady filozofii i obejmujących szersze jej dziedziny, to charakter tego okresu okaże się w całkiem innem świetle.

Za pierwszy rys charakterystyczny, objawiający się w filozofii polskiej ostatniej doby bez względu na sam kierunek myśli, na szkoły, których jest wiele, uznać należy krytycyzm. Wszystkie kierunki i szkoły zajmują się przedewszystkiem rozwiązaniem zasadniczego zagadnienia o wzajemnym stosunku podmiotu i przed-

[1]) Historya logiki (1911), str. 348.

miotu wiedzy, myśli i bytu, ducha i materyi, szukając odpowiedzi na pytanie, czy podmiot, umysł ludzki zdolny jest odtworzyć przedmiotowość od niego niezależną, czy wogóle przedmiotowość istnieje i w jaki sposób może być odtworzona. Przytem każda ze szkół i każdy z myślicieli, badając te sprawy ze swego punktu widzenia, musi go obronić i uzasadnić, oraz poddać krytyce zdania przeciwne.

Krytyka ta stała się najwybitniejszym rysem współczesnej myśli filozoficznej wogóle, lecz stanowi tylko środek do osiągnięcia pewnych wyników dodatnich. Cel ten może być osiągnięty jedynie przez syntezę wszystkich prawd poszczególnych, zdobytych na różnych polach działalności umysłowej człowieka. Synteza ta jednoczy rozdrobnione wyniki działalności krytycznej, a przy udziale samodzielnej pracy myśli doprowadza badacza do ogólnego na świat poglądu, czyniącego zadość danym wiedzy współczesnej. W ten zaś sposób „łączą się z krytycyzmem u wszystkich głębszych myślicieli naszych czasów pewne dążności syntetyczne, mające na oku dojście do wyników dodatnich, do możliwie wszechstronnego i pełnego poznania rzeczywistości“. [1])

W tym poglądzie na charakter i zadania filozofii współczesnej odzwierciadla się w sposób widoczny już sam pogląd systematyczny Struvego na zadania i metody filozofii wogóle.

Struve nie poprzestaje wszakże na samem skreśleniu historyi. Jej przebieg oraz wydatniejsze momenty rozwoju nasuwają mu szereg myśli o charakterze ogólnym filozofii polskiej i warunkach jej dalszego rozwoju.

Dopatrując się ogólnych cech filozofii polskiej, uważa Struve, iż ma ona narówni z filozofią innych narodów europejskich swój odrębny charakter, aczkolwiek w głównych swych zasadach musi naturalnie wiązać się z ogólnym przedmiotem badań w tej dziedzinie. Niektórzy myśliciele, jak zwłaszcza Wroński, Trentowski, Libelt i Cieszkowski, usiłowali nadać filozofii charakter narodowy, przepowiadając jej olbrzymią przyszłość. Nadzieje te, wypływające z ogólnych przesłanek mesyanistycznych polskich, nie sprawdziły się dotąd. Wprawdzie zasada podziału pracy umysłowej, uwydatniająca się zarówno w specyalizacyi naukowej, jak i w różnych kierunkach myśli filozoficznej, występuje na jaw i w dążnościach filozoficznych różnych szczepów ludzkości, a następnie i w różnych narodach, biorących udział w stawianiu i roz-

[1]) Historya logiki (1911), str. 155.

wiązywaniu zadań filozofii. Ale w sprawie tej pamiętać należy, że jak nie można mówić o filozofii danego myśliciela zanim on jej na świat nie wydał, tak również nie można przepowiadać zjawienia się filozofii danego narodu, lecz można ją tylko w odpowiednim wypadku stwierdzić, t. j. można o niej mówić, kiedy jest faktem dokonanym, gdy treścią swą wywalczyła sobie stanowisko dziejowe w ogólnym rozwoju filozofii. „Co do nas—mówi Struve—sądzę, że jeszcze długi czas bardzo poważnie i sumiennie będziemy musieli pracować nad filozofią, póki inni mówić będą o naszej filozofii, jako o samodzielnym współczynniku myśli filozoficznej ludzkości". [1])

Nie zaprzeczając tedy możności filozofii narodowej w zasadzie i uznając faktyczne istnienie odrębnych typów filozofii wśród innych narodów, jak filozofii indyjskiej, greckiej, francuskiej, angielskiej, niemieckiej, twierdzi Struve tylko, iż „aby nadać nauce filozofii odcień narodowy, do tego potrzeba zupełnej dojrzałości umysłu i twórczego ducha, zdolnego wdrożyć badania przedmiotowe w nowe, samodzielne tory. To jednak zależy od wielu bardzo skomplikowanych warunków życia narodowego, a głównie od poprzedniego rozwoju zasadniczych współczynników wszelkiego wogóle postępu na polu nauki i filozofii". [2])

Pomimo jednak, że nadzieje na przyszłe pełne wagi znaczenie filozofii polskiej nie urzeczywistniły się, pomimo, że nawet trudno mówić o filozofii polskiej jako o trwałym skarbie, wzbogacającym doświadczenie myślowe ludzkości, w przebiegu jednak samej tej nauki w Polsce dadzą się wykryć pewne cechy charakterystyczne, zależne od ogólnych czynników psychicznych umysłu narodowego.

Ogólne te cechy filozofii polskiej dadzą się wyrazić jako: 1) dążność życiowa, dzięki której główne współczynniki filozofii, zarówno więc krytycyzm, jak ogólny pogląd na świat, stają się przedewszystkiem środkami do zaspokojenia pewnych potrzeb narodu w danej chwili dziejowej; 2) tendencya syntetyczna, polegająca na obejmowaniu jaknajszerszych kręgów myśli w celu osiągnięcia możliwie pełnego poglądu na przedmiot badania; 3) żywość i obrazowość wysłowienia, wynikająca nietylko z przyrodzonego poczucia estetycznego, ale i z chęci zrównoważenia wszyst-

[1]) Wstęp kryt. do fil., str. 498.
[2]) Historya filozofii w Polsce (1900), str. 8.

kich potrzeb ducha i przemawiania nie do kasty uczonych, lecz do szerszych warstw wykształconego ogółu. [1])

Cechy te nie mają nic wspólnego z ową wygórowaną romantyczną ideą o jakiemś wyjątkowem posłannictwie narodu. Dzisiaj nikt już nie marzy o tem, abyśmy — w rychłym przynajmniej czasie — zająć mogli naczelne miejsce w powszechnym rozwoju filozofii. Pragnąc wszakże dorównać innym narodom na polu filozofii, pragnąc, aby mówiono o filozofii polskiej nie w sensie jej siły zbawczej, lecz w tem znaczeniu, w jakiem mówi się o filozofii innych narodów, należy nietylko trzymać się zasadniczego ducha filozofii polskiej dotychczasowej, scharakteryzowanego w powyższych cechach, lecz należy również strzedz się błędów dotychczasowych.

Urobienie samoistnej filozofii narodowej zależy przedewszystkiem od wewnętrznej ciągłości jej rozwoju, t. j. na uwzględnianiu pracy poprzedników. „Tymczasem związek ten był dotąd u nas zbyt luźny. Hołdując indywidualizmowi, jaki cechuje życie polskie i pod innymi względami, każdy pracownik polski na polu filozofii, jeżeli nie zaczynał wprost od siebie, to przenosił na swojski grunt obce ziarna myśli i pielęgnował je skrzętnie, o swojskich zaś albo zupełnie zapominał, albo uwzględniał je tylko mimochodem. Stąd to pochodzi kwestya: czy mamy mówić tylko o filozofii w *Polsce*, czy też możemy mówić o filozofii *polskiej?*“ [2])

Ten brak ciągłości i związku objawów myśli filozoficznej w Polsce w połączeniu z zamiłowaniem obcych nowinek, a dalej brak solidarności pracowników na polu filozofii, brak wzajemnej pomocy, a często nawet wzajemnego szacunku—wszystko to charakteryzuje dotychczasowy bieg filozofii w Polsce niemniej, niż cechy wyżej wskazane, aczkolwiek ujemnie.

W ostatnich latach widzi Struve zwrot ku lepszemu: założono czasopismo fachowe, towarzystwa filozoficzne i t. d. I oto, widząc, iż ziarna przez niego zasiewane w ciągu lat 50-ciu, dopiero teraz plon wydawać zaczynają, plon, którego już sam zbierać nie będzie, z otuchą Struve każe patrzeć w przyszłość, kreśląc słowa, które brzmią, jak testament.

---

[1]) Historya filozofii w Polsce (1900), str. 65; prw. Historya logiki (1911), str. 522.

[2]) Słówko o filozofii narodowej polskiej. Ruch filozoficzny 1911, № 1, str. 2—3.

„Przy udziale tych instytucyi wyrobić się powinien na przyszłość coraz bardziej wzajemny szacunek członków, a wymiana różnych, mniej lub więcej indywidualnych zdań obudzi chęć kooperacyi, solidarnego złączenia wszystkich sił we wspólnym celu coraz pełniejszego rozwoju filozofii polskiej. Nie zapominajmy, że tylko społeczność solidarnie zrzeszonych jednostek ma przyszłość przed sobą".

U grobu niestrudzonego krzewiciela pracy w umiłowanym kierunku, odpowiadamy na wezwanie sercem wdzięcznem i pomnem:

Nie zapomnimy!

Dr. Adam Zieleńczyk.

ZE WSPOMNIEŃ
Józefa hr. Krasińskiego

1783—1841.

V. [1]

Wojna już była skończona, traktat w Wiedniu zawarty, [2] a zatem nie miałem już nic do czynienia w tym nieszczęśliwym pułku Gwardyi narodowej, prócz wykonywania nudnych prac administracyjno-gospodarczych, zarządzeń wewnętrznych, prezydowania na odbywających się u mnie zebraniach rady Sztabu, oraz udziału w wyznaczonych przez Naczelnego wodza komisyach. Wyznaję, że kilka razy, będąc wykomenderowany na członka Sądu wojennego w takiem miałem te obowiązki obrzydzeniu, żem zawsze się pod różnymi pozorami od tego wykręcał. Po powrocie księcia Poniatowskiego ze sztabem do Warszawy zaraz pierwszych dni lutego 1810 r. ustanowiona była komisya do rozdania Gwardyi narodowej krzyżów wojskowych za kampanię austryacką. Nie bardzo była czynną nasza gwardya w tej kampanii i, mojem zdaniem, nie bardzo zasługiwała na te krzyże, jednakże gdy król Saski dla wszystkich pułków w znacznej liczbie a dla naszego siedem krzyżów przysłał, to jest dwa oficerskie, trzy złote i dwa srebrne, więc odrzucać ich nie można było; z drugiej strony trudno było bardzo wyszukać ludzi, coby istotnie zasłużyli na nie. Ile pamiętam, to oprócz krzyżów na pułki, które

[1] Tom III. 1809—1812. str. 16.

[2] W Schönbrunn dnia 14 paźdz. 1809 r.

się biły, przysłano jeszcze na sztaby, generałów i sztabsoficerów à la suite choć się wcale nie bili. Podług ogólnych wydanych instrukcyi i rozkazów w każdym i w naszym wykomenderowano do tej komisyi dwóch sztabsoficerów, dwóch oficerów, oficera i dwóch żołnierzy. Lubo byłem mianowany członkiem, jednak odmówiłem. Zasiedli: Piotr Łubieński pułkownik, Szaber podpułkownik, Kurtz i Gąsierski kapitanowie, reszty nie pamiętam; ci po długich naradach tak rozdzielili krzyże oficerskie: pułkownikowi i mnie, złote trzy Szabrowi, Orłowskiemu i Bandlichowi. Tym dwóm ostatnim bardzo słusznie, jeżeli nie za odwagę w boju, której nie mieli sposobności okazać, to za wiele przysług oddanych krajowi. Dwa srebrne dano dwóm żołnierzom: Karasińskiemu czyli Karaskowi i Stypułkowskiemu, który się odznaczył w utarczce pod Żeraniem [1]). Nie pamiętam szczegółów tej utarczki, lecz wiem, że tam dowodził Jan Ledóchowski od piechoty, bo był ukryty na Kępie, gdzie chcieli się Austryacy także do Pragi przeprawić. Lecz Stypułkowski i Młynarczyk z tej strony przeprawili się wprzód i zabrali w niewolę krypę z Austryakami. Mnie myśl przyszła, że gdy dla pułku Gwardyi narodowej, w którym tylko dwóch nas było szlachty—pułkownik i ja, dano do rozdania dwa kawalerskie krzyże, a te właśnie nam obu przeznaczone zostały, to zrobi to wielki swar i wznieci zazdrość między obywatelami, a mnie, którym się nie poczuwał do tak wielkich zasług, będzie wszystko jedno, jaki mieć będę czy to czarny czy złoty. Gdy zostałem przywołany na sesyę komisyi dla wysłuchania decyzyi, oświadczyłem chęć zamiany Krzyża mojego z Szabrem podpułkownikiem. Prawda, że był to człowiek ciężki i że często się upijał, ale też przyznać trzeba, że był uczciwy, dobrze myślący i nigdy do żadnych brudów nie należał. Komisya z wdzięcznością zezwoliła, a gdy podając raport o tem Naczelnemu wodzowi do potwierdzenia, wymieniła moje przedstawienie, ten potwierdził je, a do mnie kazał ze Sztabu głównego napisać prócz tego list, pochwalający moje postępowanie.

Gdy w początku jeszcze roku Hilary Krasiński [2]) został dowódcą Modlina, a pogodne dni wiosny nadeszły, zebrawszy się w kilku przyjaciół, zrobiliśmy śliczny spacer łodziami do Modlina, dla odwiedzenia Hilarego, który nas wesoło i z największą

---

[1]) Nad Wisłą pod Warszawą.

[2]) Został komendantem placu Serocka, 28 marca 1810 r., komendantem placu Modlina dopiero 31 maja 1811 r.

uprzejmością, lecz komicznie przyjął, ofiarując nam tylko chleb i wodę, bo mówił „ja daję, co tylko dom ma“ jakoż nie był to żart, i nic więcej nie dał, szczęściem, że jakby to przewidując mieliśmy duże z sobą zapasy.

Znudzony tą obywatelską pół-wojskową służbą, już oddawna wszelkie czyniłem starania, ledwo nie powiem intrygi, żeby otrzymać dymisyę lub też uzyskać inne przeznaczenie. Przecie nareszcie w końcu maja uwiadomiono mnie prywatnie ze Sztabu, że mam dostać wkrótce jakąś komendę na prowincyi, jako organizator nowowcielonych departamentów, więc żebym się przygotował do wyjazdu. Bardzo byłem ubogi wtenczas w pieniądze po weselnych wydatkach [1]), a zatem i źle zaopatrzony w konie wierzchowe, mimo to nie wiedząc jeszcze co to będzie za urząd, i jakie znaczenie tego szumnego tytułu musiałem się zapożyczyć i do Łęczny się udać dla kupienia kilku wierzchowych koni.

Tej zimy więcej mnie niż kiedykolwiek zajmowały prace w Loży m(asońskiej), gdzie będąc posunięty na wyższe stopnie, a mając łatwość mówienia kilku językami, często musiałem przyjmować deputacye różnych narodów i trudnić się licznemi recepcyami. Wtenczas też otworzyła się w naszym lokalu, przy Lesznie niedaleko domu, gdziem mieszkał, ale w dziedzińcu, w dawnym pałacu zwanym Działyński, Loża kobiet pod nazwą Edenu, gdzie mnie W. M(istrz) mianował mistrzem Straszliwym; jakoż dzięki dawniej nabytej wprawie, urząd ten wypełniłem z zadowoleniem dam i W. M. Damy urzędniczki starsze, tej loży,masonki jeszcze za czasów Stanisława Augusta były: Księżna Czartoryska generałowa, księżna Radziwiłłowa z Nieborowa, Sewerynowa Potocka, Sołtykowa, Stanisławowa Potocka, Aleksandrowa Potocka, baronowa Chaudouar; ja zaś przyjmowałem panie: Chodkiewiczową, Osińską, Wielhorską, Kempiscinę, Stasiową Potocką, Cichocką, Żwanową, Marcelową Potocką i wiele innych, których nazwisk nie pamiętam.

Wkrótce po urodzeniu mojej córki [2]), oraz gdy już moja żona do zdrowia i sił wróciła, otrzymałem od sztabu Naczelnego Wodza nominacyę do dwóch województw—Krakowskiego i Sandomierskiego, jako organizatora Gwardyi narodowych oraz spisów wojskowych, z gażą, furażem, mocą paletowania, stójkami

[1]) Krasiński ożenił się 27 września 1809 r. z Emilią Ossolińską, córką Antoniego.

[2]) Maryi,—dnia 18 lipca 1810 r.

i etapem, oraz kwaterą jako też z pozwoleniem wybrania sobie do pomocy adjutantów z rzędu oficerów etatowych, których miałem zostawić w miastach departamentowych i obwodowych, jako instruktorów i komendantów spisów wojskowych. Wybrałem przeto mego przyjaciela Rokickiego [1]), który po wzięciu Warszawy wchodząc do formującego się wojska liniowego został kapitanem i w tym stopniu mi go dodano; zaś z adjutantów płatnych miałem Staneckiego, Francke [2]) Chrzanowskiego i Borodzica [3])—podoficerów: Miętkę i Panuszewskiego i kilku doboszy na instruktorów w departamentach. Z tą świtą wyruszyliśmy naprzód do Radomia, i od tego czasu zaczyna się zawód nowy, służby czynnej, który lubo był, że tak powiem, tytularnie znakomity jako wojskowego organizatora dwóch nowo zdobytych i przyłączonych departamentów, lecz w istocie samej nudny piśmienno-biurowo-administracyjny. Pracą tą powinien by się raczej zajmować prefekt i podprefekci aniżeli wojskowy, choć tylko tytularny.

Nie będę opisywał mojej podróży, ani miast i miasteczek, Radomia, Kielc, Chęcin, Jędrzejowa, Wodzisławia, Miechowa i innych, w których tylko były... [4]) czyli podprefekci, gdzie wszędzie mieliśmy stać, robić konskrypcye, zwoływać ludzi i z pomiędzy nich co było można wynaleźć starych żołnierzy, wybierać na kadry instrukcyjne po małych gminach; z władzami, to jest prefektami, podprefektami i burmistrzami się układać, kontrole spisywać, wybory między obywatelami na oficerów i podoficerów robić i t. p. Zostawiwszy w każdym departamencie oficerów i doboszy na instruktorów i na piśmie dalsze rozkazy a od władz odebrawszy przedstawienia na oficerów i te wraz z raportami odesławszy do sztabu Generalnego, znowu jechałem dalej dla rozpoczęcia na nowo tegoż samego i tak samo, jak się już w pierwszem miejscu zrobiło. Nie zapomnę nigdy spisu wojskowego w Opatowie. Między innymi obywatelami przyjechał jakiś pan Kaszyc, który mianował się niegdyś pułkownikiem oraz podprefekt, który był kochankiem jego żony; obaj razem zaprzeczyli mi władzy organizacyjnej. Podprefekt dowodził, że to jego obowiązek, a Kaszyc, ze to jego urząd dowódzcy batalionu radomskiego, aż musiałem sztafetę do Radomia posłać. Nadszedł też rozkaz od prefekta, żeby moich rozkazów słuchali, ale i na to sobie

[1]) Ignacy, uwolniony z wojska 25/V 1810 r. (?)
[2]) Ludwik, podpor. adjut. gw. nar.
[3]) Michał Stanisław adjut. gw. nar. Warsz. ur. 3 lutego 1810 r.
[4]) Wyraz nieczytelny.

poradzili, bo obaj z panią pojechali sobie spacerem gdzieś daleko, a my sami z burmistrzem musieliśmy rzecz kończyć, chociaż pan podprefekt, odjeżdżając, papiery konskrypcyjne zamknął. W końcu moich czynności z jednym już tylko Rokickim, drugim Staneckim i jednym doboszem przyjechaliśmy do Krakowa dla założenia tamże i uformowania dwóch batalionów Gwardyi Narodowej i jej sztabu. Tu przecież milsze daleko spędziłem chwile, stanąwszy w miejscu tak dobrze mi znanem i między przyjaznemi mi osobami, a od chwili mojego ożenienia w większej części ze mną spowinowaconemi, gdzie oraz czynniejsza czekała mnie praca.

Teraz gdy już Kraków stanowczo do kraju naszego został przyłączony i na nasz sposób urządzony, znalazłem go innym zupełnie od owego Krakowa, który znałem i w którym mieszkałem, za rządów austryackich. Prefektem był mój krewny Stanisław Wodzicki, zaś w czasie, gdy odjeżdżał do dóbr swoich Niedźwiedź o trzy mile od Krakowa, zastępował go Wielogłowski Kasper, później kasztelan, Prezes Senatu Krakowskiego. Gubernatorem był podówczas generał Biegański [1]),—najstarszy dziś generał z żyjących, ma lat 82, niegdyś adjutant Kościuszki, a komendantem miasta Ignacy Zieliński, syn generała, mój blizki krewny, a po nim objął ten urząd pułkownik Tissen pół-waryat, który tyle dziwactw i szaleństw nawyrabiał, że go musiał Biegański wydalić. Mówiono, że gdy był w St. Domingo słońce mu przepaliło głowę skutkiem czego kilku innych, co tam razem z nim byli, również jakieś szusy cierpieli. Z kolei ja znowu zostałem komendantem miasta Krakowa. Było to miejsce rozkoszy i farniente, którego radbym się był trzymać zębami i nogami, ma się rozumieć w czasie pokoju, bo bym się wstydził w czasie wojny w takim zapiecku siedzieć. Lecz nie długo cieszyłem się tym błogosławionym urzędem, pomimo najlepszych świadectw i wstawień o utrzymanie mnie na tej posadzie, przesłanych tak przez gen. Biegańskiego, jak i przez prefekta. Sztab Główny czy to mi niechętny, czyli też jak wóz smarowania potrzebujący, a prócz tego mając wielu na ekspektatywie swoich lizusów, w kilka tygodni później przysłał na komendanta Krakowa pułkownika Gorzkowskiego, a mnie odwołał.

Ale wracam do chwili, gdym stanął ze swoim Sztabem w Krakowie, jako organizator.

---

[1]) Łukasz.

Złożyłem moje instrukcye i rozkazy Sztabu Generalnego u prefekta i zameldowałem się gubernatorowi i komendantowi Krakowa. Dano mi kwaterę na rynku w domu wówczas Lanckorońskich dziś Helcla, na drugiem piętrze i władze wydały stosowne rozkazy do wypełniania moich poleceń. Pooddawałem wizyty, wszędzie dobrze przyjęty, wszędzie znany i zaprzyjaźniony. Zdawało mi się jak gdybym był u siebie. Zacząłem moje prace — lecz wyznaję teraz, że nie z pośpiechem, bo mi się nie chciało prędko kończyć, ażeby nie być znowu w inne departamenty wysłanym. Zostawszy zaś później komendantem Krakowa już myślałem o sprowadzeniu żony i jej rodziców na mieszkanie do Krakowa, gdzie odziedziczyli bardzo wygodny dom przy ulicy Floryańskiej. Gdym przyjechał do Krakowa właśnie w tym domu mieszkał komendant, później więc zająwszy jego miejsce przeprowadziłem się tam, jakby do własnego domu. Zgoła wszystko mi się, że tak powiem, jakby uśmiechało, bo nawet obywatele mieszczanie krakowscy, czy to z powodu nieznanej u nich dotąd nowości, czyli też z pięknego, jaki później u nich poznałem, sposobu myślenia, dopomagali mi z zapałem do uformowania jaknajśpieszniej Gwardyi Narodowej oraz do przewyższenia stolicy co do piękności, porządku i karności. Jakoż każdy przyzna, że Gwardya Narodowa Krakowska, była w całym kraju najpiękniejsza, najlepiej wymusztrowana i, ledwo nie powiem, równająca się pułkom wyborczym, ona jedna była też czynna na linii bojowej w roku 1812. Uformowany batalion z Województwa i miasta Krakowa Gwardyi czynnej wymaszerował w r. 1812 do Zamościa, tam się bił i odznaczał, ale blisko połowę ludzi utracił tak w boju, jak i z chorób wtenczas panujących.

Obywatele między sobą wybrali i podali na moje ręce wybór na oficerów, których ja, stosownie do danych mi instrukcyi zaraz do Sztabu Generalnego przedstawiłem, gdzie ich potwierdzono i nominacye na moje ręce przesłano. Byli to: Rokicki major, kapitanowie: Mączyński Alb., Bartel Piotr, Zamojski Józef, Frölich Wojciech, Mydlarski, Gołęberski Jacek, Statler Kanty, Fuchs Kajetan płatnik, Zakrzewski Kazimierz; porucznicy: Waperal Józef, Przybylski Jan Kanty, Lipnicki J., Koch Rudolf, a od fizylierów Benda Szymon, Kirchmajer Mateusz, Sztencel, Pyszka; podporucznicy: Szweinfleisz, Wenzel Kanty, a od fizylierów: Syrkowski, Krzyżanowski, Schwartz Wenzel Ant., Łącki Mik., Nadmiller, adjutant major Kon. Stanecki, adjutant placu Biernacki, sztabs-lekarz Sztummer, kapelmajster Nowakowski. Z liczby tej połowa prawie oficerów w czasie

kampanii 1812 r. wyszło do Zamościa, a między innymi: Mączyński, Przybylski, Schweinfleisz, Koch, Sztatler, Fuchs, Zakrzewski, drugi Mączyński i Szlencen. Adjutantów podoficerów i wszystkich podoficerów nominacye zależały odemnie po wyborze tychże przez obywateli. Nastąpiły ciągłe układania kontrol, robienie spisów musztry i to wszystko szło z taką gorliwością i zapałem, jakich w Gwardyi Narodowej Warszawskiej nigdy nie dało się spostrzedz.

Prosili mnie obywatele, ażeby na pamiątkę założenia Gwardyi wyznaczyć jaki plac dla niej dla parad, obluzów, wart i musztry, uzyskałem na to pozwolenie prefekta i wybrano plac św. Szczepana, na którym miała być urządzona w tym celu feta, podczas której miano wmurować tablicę marmurową z napisem tej pamiątki i nazwiskiem Placu. Jakoż została wmurowana i do dziś istnieje z napisem: Plac Gwardyi Narodowej i data. Czekaliśmy tylko odpowiedzi od Sztabu Głównego z nominacyami oficerów, przezemnie przedstawionych, a wszyscy pewni, że mi nie odmówią, ekwipowali się i mieli mundury i szlejfy gotowe; dotąd albowiem, lubo już dwa bataliony były kompletne i umundurowane z oficerów ani jeden munduru włożyć nie mógł prócz nas trzech przybyłych, to jest mnie, Rokickiego i adjutanta Staneckiego. Nakoniec przyszły nominacye: Wodzicki dzień wyznaczył na imieniny Napoleona, w którym miała być inauguracya Placu broni, lecz sam musiał wyjechać. Już wszyscy oficerowie wystąpili ubrani, i mogę powiedzieć, że parada Kościelna i na Placu były wzorowe, jakby ze starych żołnierzy złożone — lecz o mało, że się smutnie nie skończyła. Zastępca prefekta Wielogłowski, z którym później kolegowałem w senacie i zawsze byłem w największej przyjaźni, mocno był urażony tem, że oficerowie Gwardyi Narodowej wystąpili w mundurach nie meldując się mu wprzódy. Przeto na tej wielkiej paradzie przyszedł do mnie i spytał, „co to są za panowie, co tak samowolnie mundury przywdzieli, a mnie się nie meldowali—taka rzecz powinna być oddana pod sąd wojenny gubernatora"—a właśnie przed paradą byłem u gubernatora Biegańskiego z oficerami, prezentując ich. Ale gdym mu opowiedział, że się już meldowali gubernatorowi, że mają nominacye ze Sztabu i że po paradzie mieliśmy i jemu oddać wizytę, uspokoił się i odtąd zawsze żyliśmy w zgodzie. Oprócz naszej gwardyi był wówczas Kraków prawie całkiem bez wojska, stały tylko dwa depôts to jest 12-go pułku piechoty, i 2-go ułanów, bardzo nieliczne, bo ledwo po paręset ludzi liczące, więc prawie wszystkie służby

musiała pełnić Gwardya Narodowa, czego dopełniała bez żadnego sarkania, nie tak jak Warszawska.

Gdy komendant miasta, pułkownik Tisson został odwołany, a ja mianowany tymczasowo na jego miejsce, ustąpiłem majorowi Rokickiemu pracę, służbę i musztry z gwardyą, mając do czynienia w biurze placu z rezerwami, kwaterunkami i inspekcyą służby ogólnej miasta. Przez ten czas, mając obowiązek zwiedzania często więzień, nieraz rozmawiałem z Bogusławskim, owym sławnym hersztem złodziei w Polsce, drugim Kartuszem, lecz z tą różnicą, iż ten bogatych okradał, a ubogim świadczył (w pół roku po moim odjeździe uciekł z więzienia lubo bardzo pilnie strzeżony i dobrze warowny, co mu się już po raz trzeci udało). Bogusławski był wykształcony, przyjemnie się tłómaczył, płynnie kilku językami mówił, a im dłużej się go widziało, tem większą wrażał o sobie opinię uczciwego człowieka. Lecz w całym ciągu tego mojego urzędowania, ani nawet w życiu mojem, nie miałem nigdy okropniejszej komendy, jak wtenczas, gdy w ciągu mojego placmajorstwa była egzekucya dwojga osób razem, którą z obowiązku zmuszony byłem dowodzić...

Gdy przyjechał pułkownik Gorzkowski z Warszawy, ustały moje obowiązki komendanta, zaś w zleceniach moich formowania gwardyi po departamentach już skończyła się moja praca albowiem nadspodziewanie szybko wszystkie przepisy dopełnione zostały; zostawały jedynie musztry, które częściowo po kompaniach robił adjutant major Stanecki, a ogólne raz tylko w tydzień, to jest w niedzielę po obiedzie, na błoniach ku Woli, robiliśmy z majorem Rokickim, mianowanym już na stałego i etatowego dowódcę Gwardyi Narodowej w Krakowie. Mając zatem bardzo wiele czasu wolnego, postanowiłem go użyć i zrobić ekskursyę do okolic górnych Krakowa, tak zwanych Polską Szwajcaryą, przybrawszy do towarzystwa majora Rokickiego, wesołego i przyjemnego kolegę, zostawiwszy na te dni kilka komendę podpułkownikowi Mączyńskiemu...

Wróciliśmy trzeciego dnia do Krakowa, skąd, gdy już włożone na mnie obowiązki organizatora Gwardyi Narodowej ukończone zostały, zabierałem się do wyjazdu.

Zaraz, wróciwszy, gdym się dowiedział, że mnie znowu mają na organizacyę wyprawić do departamentu Lubelskiego, dość już mając tego, podałem się do dymisyi, na którą długo czekałem, gdyż od króla z Drezna podpisu jego czekano.

Dopiero w roku 1811 doszła mnie wreszcie dymisya i uwolnienie od Gwardyi Narodowej, która w Warszawie mi już

obrzydła, z powodu nieustannych między oficerami kłótni, a między obywatelami żołnierzami ciągłych tylko wykreślań, nie stawań na rozkazy, aresztowań i t. p. Wkrótce potem dostałem od króla nową nominacyę cywilno-wojskową, bez pensyi, bo żaden z moich kolegów jej nie pobierał—na członka Komisyi Obrachunkowej Likwidacyjnej za pobierane przez wojska dostawy w kampanii 1809 oraz za krzywdy przez też wojska obywatelom uczynione, w której to komisyi prezydował Tomasz Ostrowski, podskarbi[1]), a członkami byli Kniaziewicz, który następnie został prezesem, gdy Ostrowski się oddalił, Wichliński, Szuwalski, Orsetti, Maciej Wodzyński wkrótce wraz z Orsettim i ze mną adjutanci Kniaziewicza, Wodzyński później kasztelan w rewolucyi, wojewoda, teraz emigrant osiadły w Dreznie, godny, szanowny człowiek, mój wielki przyjaciel—ożeniony z Konstancyą Łuszczewską, córką ministra.

Komisya miewała sesye swoje w pałacu Brühlowskim, podczas których trzeba mi było nieraz jako najmłodszemu po dwie godziny codziennie konfrontować całe libry papieru, rachunków ordonatorów, liwerantów i inspektorów z kwitami pułkowników odbierających i obywateli dostarczających żywności, koni, furażów, podwód i t. p.: czy się do grosza pieniędzy oraz ilości i jakości dostawy zgadzają lub czy jakiego kwitu nie braknie. Już dawniej nudziła mnie administracya Gwardyi Narodowej, ażem od niej uciekł, a tu dopiero zdawało mi się, żem z deszczu wpadł pod rynnę. Zwłaszcza, że pan sekretarz Szuwalski wielką mający o sobie a małą o nas opinię, któremu nieraz Gł. Kniaziewicz na funty go wyłajawszy kazał iść za drzwi, tę w rzeczy samej wielką zaletę posiadał, iż z każdej okoliczności umiał korzystać i utrzymywał blizkie stosunki z panami ordonatorami, liwerantami, furniserami, żydami i faktorami, czego najlepsze sam zrobiłem przypadkowo doświadczenie. Jak zwykle, skoro zachodzi potrzeba dostarczenia jakich liwerunków dla nowoformującego się pułku, trafiają się liczni kompetytorowie, ubiegający się o uzyskanie tej dostawy, tak i wtenczas formujący się nowy pułk Huzarów złotych Humińskiego potrzebował dostawy koni, siodeł i rozmaitych rzemieni na konie i dla ludzi. Było zaś trzech liwerantów, ubiegających się o to, jeden Glass, a drudzy dwaj w spółce Witkowski i Massalski. Choć do nas nie należały ani dostawa,

[1]) Dawny podskarbi koronny, za ks. Warszawskiego, marszałek Izby poselskiej 1809 r. w 1811 prezes Senatu.

ani zamawianie rekwizytów, lecz żeśmy mieli nadzór nad inspektorami, którycheśmy pilnowali i kontrolowali, więc chciano ich łaskę przez nas skarbić. Raz po obiedzie u mnie w domu wywołują mnie, że ktoś ma do mnie tajny interes. Rozumiejąc że to Lożowy wychodzę na schody i zastaję tam czekającego Massalskiego. Znajomy mi ten makinion, który mnie już nieraz odrwił na koniach, zaczyna od skargi na jakiegoś Juspetitora, że go odsunięto bezprawnie od liwerunku koni i siodeł, choć je chciał taniej i lepsze dostawić niż żyd Glass, który dał sekretarzowi Szuwalskiemu do rączki 100 dukatów. Zrobiłem mu uwagę, że to do mnie osobiście wcale nie należy, lecz, że jeśli ma dowody w ręku, niech nazajutrz przyjdzie z niemi na sesyę i wyraźnie oskarży Szuwalskiego. Chcę odejść po tej rozmowie, a on niby mnie chcąc ścisnąć za rękę, znienacka wkłada mi do ręki ładunek ze stu dukatami. Ah! już co taka hańba to pierwszy raz w życiu mi się trafiła i mogę powiedzieć, żem całkiem głowę stracił. Wziąwszy ładunek w rękę, jak nim gruchnę w twarz Massalskiego, trafiłem go w sam nos, tak iż krwią się zalał, a dukaty na wszystkie strony po schodach się rozleciały. Poczem jak go porwę za włosy, zacznę bić, pchać, wywracać i nogami kopać, że prawdziwie i sam nie pamiętam na czem się to skończyło—wiem tylko, że wróciwszy na górę długo słowa przemówić nie mogłem. Podobno długo jeszcze potem Massalski zbierał po jednemu rozrzucone po schodach dukaty, a nawet z naszym stróżem, który nadszedł, ujadał się ząb za ząb, że mu jednego dukata braknie, które jak mówił z kieszeni mu się wysypały. Krew tego Judasza przez kilka dni zdobiła nasze schody, gdyż nie kazałem ich wymywać na naukę drugim, dopiero później moja żona kazała je potajemnie wymyć.

W tym roku dnia 16-go lipca żona moja szczęśliwie porodziła syna Stanisława, pierwszego mojego w imieniu Krasińskich zastępcę i sukcesora...

VI. [1])

Najważniejszy w życiu mojem rok 1812, mogę za epokę i dla siebie uważać, jako czas prawdziwie wojskowej służby, niebezpieczeństw, pracy i poświęcenia się a nędzą, niewygodami i mnóstwem nieszczęść zakończony.

[1]) III. 58.

Początek roku w Warszawie był spokojny, cichy, prawdziwa przedburzowa cisza. Moje sesye w Komisyi Obrachunkowej, czasami bale, a często Loże, w których już wtenczas wysokie zajmowałem stanowisko, cały czas mi zabrały, wypadku żadnego, godnego wspomnienia nie pamiętam.

Już były poruszenia wojsk w Europie, lecz ciągle mówiono o pokoju. Jednakże Kniaziewicz generał, czy lepiej rzeczy przewidując, czy też je z lepszego wiedząc źródła, podał się Naczelnemu Wodzowi z powrotem do służby. Od czasu jak wziąwszy dymisyę z legionów wrócił, aż dotąd nie służył; mieszkał na Wołyniu i tam trzymając dzierżawę ożenił się z wdową Stecką, później oboje razem mieszkali albo w Warszawie, lub w dobrach żony w Krakowskiem. Jeszcze przed rozpoczęciem wojennych kroków otrzymał nominacyę na Generała Dywizyi—a la suite.

Życzeniem mojem było, iżbym mógł mieć zaszczyt przy nim i pod nim służyć Ojczyźnie, a nie jak dotąd w Gwardyi Narodowej i odbyć przecie prawdziwą kampanię, nie taką, jak dotąd obywatelsko-amatorską.

Miłość Ojczyzny i, wyznaję, że razem chęć chwały, zdołały wszystkie przeszkody zwyciężyć, pozwoliły dopiąć pożądanego celu. Wojska francuskie i sprzymierzone zaczęły się zbliżać do naszego kraju. Już generał Kniaziewicz miał przy sobie nowo kreowanych adjutantów Macieja Wodzyńskiego i Wilhelma Orsettiego, już nawet posłany został przez księcia Poniatowskiego do księcia Schwarcenberga dla robienia z nim stosownych układów wojennych, jako z dowodzącym armią wojsk sprzymierzonych, a ja siedziałem za piecem. Pomimo wszelkich możliwych zabiegów, widziałem wyraźnie, iż z za pieca osiądę na koszu, przedewszystkiem z powodu prawie niepodobieństwa dymisyonowanemu z Gwardyi Narodowej majorowi uzyskać sztabsoficerski stopień w linii. Gwardya Narodowa równie jak we Francyi miała tylko na paradach pierwszy stopień przed linią, a w awansach, kto chciał przejść z Gwardyi Narodowej do linii choć po długiej służbie szedł o dwa stopnie niżej, a więc mnie z majora wypadało iść na kapitana. Generał Kniaziewicz nie tylko mi nie dopomagał lecz wyraźnie przeszkadzał i odradzał, dając bardzo pozorne przyczyny, że mogę otrzymać tylko stopień kapitana w linii, co byłoby rodzajem degradacyi po tylu latach służby sztabsoficerskiej, że obowiązki domowe mi tego zakazują, ze względu na chorą żonę i dwoje małych dzieci, nakoniec wprost oświadczył, iż nie życzy sobie, żebym przy nim pełnił służbę, albowiem będąc naszym szczerym przyjacielem, a zarazem moim wujem,

ożeniony z rodzoną ciotką mojej żony, mógłby przez najmniejszy favor dla mnie, obudzić zazdrość i nienawiść w wojsku. Przestrzegał mnie nawet, iż gdyby nakoniec był zmuszony przyjąć mnie do swojego sztabu, tedy będzie się ze mną obchodził, nie jak wuj, ani nawet jak przyjaciel, lecz jak obcy zupełnie i jak tylko można najsurowszy dowódzca, czego też wiernie dotrzymał. Wszystko mnie to nie zraziło, ani mogło odstraszyć od raz powziętego postanowienia.

Tymczasem przybył do Warszawy i stanął w pałacu Brühlowskim Hieronim brat Napoleona, schorowany i wycieńczony człowiek, który raczej powinien był w domu siedzieć, niż maszerować na wojnę. Chciał on jednak okazać się godnym swego brata, więc żeby siły wzmocnić, brał codziennie z rana kąpiel w beczce wina czerwonego, które podczas jego pobytu w Warszawie musiało miasto dla niego dostarczać. Mówiono, że jego lokaje to wino butelkowali i sprzedawali kupcom. To pewna, że długo jeszcze, już po wyjeździe króla, wszyscy się bali pić wina czerwonego. Wkrótce za nim zwaliła się chmara jego wojska, najokropniejsza plaga tak w naszym kraju, Litwie, jak i we wszelkich stronach, przez które tylko przeszli, zostawiając ślady zniszczenia, prześladowań i najwyższych ekscesów. Zaraz też, w samej Warszawie zaczęły się nieustające rekwizycye, dostawy nie tylko żywności, lecz nawet mebli, pościeli, stołowych i kuchennych naczyń i t. p., zabieranie gwałtowne z domów i ulicy obywateli na tłómaczy i przewodników, gdy wychodzili dalej zabierali dowolnie wszystkie, jakie tylko były podwody, konie a nawet pojazdy pod panów ordonatorów, komisarzy i ich bagaże, których zwłaszcza mnóstwo miała z sobą zgraja ich administratorów, ordonatorów, kancelistów etc., wiozących wszystko aż do zabranych nam betów. Nie długo też później i nasze wojsko, oddane pod komendę Króla Westfalskiego wymaszerowało za nimi pod osobnem dowództwem ks. Poniatowskiego. Pod jego nieobecność w Warszawie mianowany został jego, jako ministra wojny, zastępcą gen. Józef Wielhorski, mój wuj przez żonę, ciotkę mojej żony. Nieprzychylny mi zawsze sztab główny częścią wyszedł z księciem Poniatowskim, a częścią przeszedł pod rozkazy generała Wielhorskiego, Kniaziewiczowi zaś rozkazano pozostać w Warszawie do dalszego przeznaczenia; wtedy nie szczędząc pracy, starań, próśb, a nawet kobiecych intryg, zdołałem wreszcie uzyskać, iż zastępca ministra wojny dał mi interimalną nominacyę przywracającą mnie do mego dawnego miejsca i stopnia majora Gwardyi Narodowej, zaręczając potwierdzenie tejże przez króla.

Nędzny środek wprawdzie, lecz jak mówią, lepszy rydz niż nic, dobre i to było kiedy nic innego nie można było otrzymać, a w cywilnym fraku nie podobna było robić kampanią, ażeby czasem zamiast krzyża za waleczność nie otrzymać po krzyżach kijem lub płazem od różnych narodów i rodzajów żołnierstwa, gdy tymczasem w mundurze ze szlifami majora i krzyżem, który otrzymałem po kampanii austryackiej, miałem przecież jakąś powagę i znaczenie, tembardziej, iż nasza Gwardya w codziennym wicemundurze, mając u granatowego munduru niebieski kołnierz i łapki, była przez to do ubioru adjutantów bardzo podobna. Wielhorski przytem solennie mi przyrzekł, że pierwsze jakie się tylko trafi wakujące miejsce sztabsoficera w wojsku, dla mnie zachowa i natychmiast mnie do króla przedstawi.

Tu zaczęły się dopiero nasze przygotowania wojenne. Generał Kniaziewicz widząc, że mnie się już żadnym sposobem pozbyć nie może, włożył na mnie obowiązek uformowania jego głównej kwatery w koniach, ludziach, furgonie, kuchni i służących, co mu z moich własnych ludzi i rzeczy, jak można najprędzej zebrałem i wygotowałem. W końcu gdy generał odebrał przez kuryera rozkaz udania się natychmiast za wojskiem, wyruszyłem jako wolontaryusz z adjutantami Wodzyńskim, Orsettim, oraz z całym naszym wojennym dworem w drogę.

Ponieważ żona moja była w przykrej ciąży, więc nie chcąc jej i jej matki także schorzałej, a mnie prawdziwie jak swego syna kochającej, zmartwić i niepokoić, pożegnałem się z niemi na krótki czas pod pozorem, że generała jedynie do granicy odprowadzam. Podróż nasza za armią nic nie miała godnego wspomnienia, prócz jedynie drobnych wypadków, jako to: pewnego razu w pobliżu Augustowa, jadąc wieczorem przez wielkie lasy, wszyscy bez wyjątku słyszeliśmy wyraźną i regularną kanonadę armatnią, tak że każdy strzał dobitnie można było rachować, a jednakże dnia tego, żadnej nie było bitwy, ani nawet mniejszej utarczki. Drugi zaś wypadek zdarzył się na noclegu już nad samą granicą, a mianowicie w miejscu, gdzieśmy nocowali, i we wsiach okolicznych psy tak okropnie wyły, że generał Kniaziewicz, który całe życie był odważny i szedł śmiało w ogień, nie mógł wcale zasnąć tej nocy, wstawał, chodził po izbie i po dziedzińcu, posyłał ordonansów na zwiady, czy nie nadchodzi jaka zasadzka nieprzyjacielska. Nigdy w życiu mojem nie widziałem człowieka w stanie takiego pomieszania, wyraźnie przewidującego nieszczęście. Trzeci najważniejszy wypadek przytrafił nam się, gdyśmy dojeżdżali do Grodna, gdzie stała nasza armia blizko

już od tygodnia, czego ślady już dawały nam się spostrzegać w postaci spotykanych gdzieniegdzie oddziałów furażujących, oraz rozmaitych maruderów. W wiosce przy samym trakcie słyszymy krzyk, po całej wsi się rozlegający. Wpadamy do najbliższej chałupy, skąd dochodziły nas jęki i znajdujemy starą kobietę zabitą, drugą ranioną, krwią zalaną i załamującą ręce, a między niemi marudera, który zastawszy same baby po domach, całą wieś zrabował, starą kobietę zabił, a kilka porąbał, gdyż mu broniły po skrzynkach plondrować. Spostrzegłszy nas wybił okno i chciał ratować się ucieczką, lecz ponieważ ja wchodziłem ostatni i słyszałem wybijanie okna, nie przestępując więc progu wbiegłem do ogrodu i przeciąłem mu drogę. Próbował bronić się, alem mu nogę przebił pałaszem, a gdy padł ujęliśmy go zaraz, rzeczy przy nim znalezione biednym ludziskom oddali, a jego związanego do pierwszego posterunku odprowadzili i zdali raport o tym rabunku.

W miejscu naszego przeznaczenia, to jest w Grodnie, zastaliśmy całe nasze wojsko połączone z Sasami i korpusem króla Westfalskiego, który tam zbyt długo spoczywając zasłużył sobie za to na niełaskę brata i odwołanie. Generał Staś Potocki, dowodzący przez zastępstwo dywizyą 18-tą został przez króla mianowany komendantem głównej kwatery królewskiej, a na jego miejsce dostał Kniaziewicz komendę tejże 18-ej Dywizy, złożoną z 2-go, 8-go i 12-go pułku piechoty, a 14-go i 5-go jazdy, z których dwóch ostatnich nie zastaliśmy w dywizyi, albowiem były przyłączone do osobnego korpusu połączonej westfalskiej, saskiej i polskiej ciężkiej kawaleryi pod komendą francuzkiego generała Latour Maubourga. Stanąwszy na miejscu udaliśmy się do księcia Poniatowskiego i byliśmy mu przedstawieni, przyjął mnie tym razem grzecznie i pozwolił pełnić służbę adjutanta starszego przy generale Kniaziewiczu, pozwalając nosić na lewem ręku zawiązkę z niebieskiej materyi ze srebrem, co było w wojsku francuzkim oznaką oficera od służby, a uwalniało już od nieznośnego piechotnego ryngrafu oznaczającego w piechocie toż samo. Potem byliśmy u króla Westfalskiego, ażeby mu się prezentować; ten najwięcej ze mną rozmawiał, znając Wincentego Krasińskiego i z tego zadowolniony, żem najpłynniej mówił po francuzku. Dywizya nasza co do składu generałów i pułkowników nie była najszczęśliwsza, mieliśmy bowiem generała Żółtowskiego, którego częściej widziałem zaprószonego aniżeli trzeźwego i pułkownika Krukowieckiego, z całym światem żyjącego w niezgodzie, ze starszymi ciągle koty drącego, kopiącego dołki pod równy-

mi, a młodszych, jeśli mu nie pochlebiali, za Boże stworzenia nie mającego, tak iż dnia jednego nie było, żeby lub jego na innych, lub innych na niego skargi nie dochodziły do naszego Sztabu. Chytry, mściwy, najmniejszej nie zapominający urazy, był nietylko całej dywizyi naszej męczarnią, lecz nawet samego Głównego Sztabu księcia Poniatowskiego wrogiem. Z drugiej strony byliśmy szczęśliwi ze składu osób sztab naszej dywizyi formujących: szefem sztabu naszej dywizyi był pułkownik Franciszek Morawski, lecz ten nie długo nas opuścił, zostawszy mianowany generałem i wysłany do formowania i dowodzenia nowych litewskich pułków. Adjutanci trzej, to jest ja, najstarszy, Mac. Wodzyński i Wilh. Orsetti takieśmy przy generale pozostali, jakieśmy z nim przybyli, zaś po generale Stasiu Potockim—sztabowymi pozostali: Ludwik Jelski, Gecewicz i kapitan od inżynierów Kado; oprócz tego szef biura podoficer Taroni [1]) i komenderujący pikietą eskorty kawaleryi, złożonej z odkomenderowanych po kilku ułanów z pułków do naszej dywizyi należących, wachmistrz Beem, pod Mirem awansowany na oficera.

Przed wymaszerowaniem z Grodna, obywatel mieszkający w sąsiedztwie przyszedł do króla Westfalskiego ze skargą, że wojsko w nocy odbiło mu stajnię i zabrało wszystkie jego konie. Rozgniewany król utrzymuje, że to Polacy, a on zaręcza, że Niemcy. Król przez swego adjutanta, Polaka Szymanieckiego, rozkazał Kniaziewiczowi, ażeby mu zaraz przysłał sztabsoficera dobrze mówiącego po niemiecku. Naturalnie, że mnie wyprawił. Król dał mi eskortę, kilku swoich przybocznych żandarmów, a owemu obywatelowi nazwiskiem Szukszta nowego konia z rozkazem, ażeby wszystkie pułki tak polskie, jak i westfalskie objechać i gdzie się konie Szukszty znajdą, te odebrać, jemu oddać, a królowi zdać raport. Udało mi się tego bardzo prędko i łatwo dopełnić i to nie w żadnym polskim, ani westfalskim pułku, lecz w kirasjerach saskich. Konie odebrałem, oddałem Szukszcie i złożyłem w skutku tego raport. Adjutant major pułkowy, na którego dowódzca całą winę złożył, został pod sąd oddany. W lat potem dziesięć, bo 1822 roku, będąc w Karlsbadzie zrobiłem znajomość z generałem saskim Leizerem, wielkim przyjacielem Polaków a osobliwie Kniaziewicza, który po wyjściu z wojska lat kilka mieszkał w Dreznie. Pierwsze zapytanie Leizera, gdy moje nazwisko usłyszał, było czy jestem krewny majora

[1]) Piotr.

Krasińskiego, który w kampanii 1812 był przy królu Westfalskim, a gdym mu odpowiedział, że to właśnie ja ten sam jestem, wyznał mi ze śmiechem, że on też jest tym samym ówczesnym adjutantem majorem od kirasjerów, który był pod sąd oddany za zabranie koni, co wtenczas wypełnił jedynie na wyraźny rozkaz generała Latour Maubourga. Jakoż po odjeździe króla Latour Maubourg zaraz go z aresztu uwolnił. Odtąd byliśmy w przyjaźni, a podczas mojego długiego bawienia w Dreznie często bardzo mnie na obiady i wieczory zapraszał.

Nakoniec otrzymawszy od Napoleona ogromną naganę za tak długi w Grodnie spoczynek, wymaszerowaliśmy i to bardzo śpiesznymi marszami, chcąc czas, niepotrzebnie stracony, nagrodzić. Że nas, jak mówiłem, były trzy dywizye piechoty, więc codzień inna maszerowała, w awangardzie naprzód, a to kolejno, jedna po drugiej zmieniając szyki. Skorzystał z naszego niepotrzebnego w Grodnie pobytu korpus nieprzyjacielski pod komendą Bagrationa i zawsze tak prędko, a razem z tak wielkim porządkiem przed nami się rejterował, żeśmy go nigdzie dogonić, ani nawet nigdzie nie mogli zobaczyć. Usiłując przeciąć mu drogę i nie dopuścić do przeprawy przez Dniepr, nie mieliśmy czasu ani spocząć, ani ugotować jedzenia. Najwięcej ucierpiała kawalerya i artylerya—albowiem Rosyanie na trakcie popalili lub pozabierali magazyny. Okolica wprawdzie była w zboże i furaże przeszłoroczne obfita, lecz w tak spiesznym marszu nie było czasu z boków ściągać, po drodze więc spędzano ludzi z kosami, cięto zielony owies i jeszcze niedojrzałe żyto i dawano koniom, których niżeliśmy doszli do Słucka więcej niż trzecia część już była hors de combat.

Nie zapomnę nigdy naszego noclegu u Tyzenhauza w miasteczku Żołudek. [1]) Tego dnia wszystkie nieszczęścia na mnie się zwaliły, raz, że dywizya nasza szła w awangardzie, a powtóre, że my trzej adjutanci kolejno odbywaliśmy służbę ciągłą i właśnie tego dnia, chociaż służyłem jak ochotnik, na moim ręku świeciła się owa tyle cechująca rycerza niebieska zawijka. Po dwudniowym ciągłym marszu, odpoczywając w nocy po parę godzin najwyżej, przymaszerowaliśmy do Żołudka. Miasteczko dość duże, a za nim na górze pałac obszerny, mieszkanie Tyzenhauza, którego dawniej znałem w Karlsbadzie. Tu mieliśmy przecie całą noc spocząć dla przespania się i ugotowania jedzenia. Zaraz u ro-

[1]) Miasteczko w pow. Lidzkim.

gatki spotkaliśmy deputacyę żydów ze świeczkami i baldachimem, ofiarującą nam chleb i sól, dalej samego właściciela, witającego nas i zapraszającego do pałacu na wieczerzę i nocleg wygodny. Generał kazał postawić dywizyę w szyku obozowym, a sam ze sztabem pojechał do pałacu. Tu się wszystko mi uśmiechało. Obywateli i dam pięknych pełno zjechało się dla przyjęcia nas, pierwszych rycerzy polskich, którzy przyszli ich oswobodzić. Kolacya wykwintna już zastawiona na stołach a wydająca tak miłe wonie dla zgłodniałego żołądka po dwudniowym ciągłym marszu, w którym prócz prostej wódki i przekąsek z żołnierskiego chleba niceśmy w ustach nie mieli, a co najwięcej dla znużonego i już ledwo mogącego się na nogach utrzymać ochotnika, owa miła nadzieja przepędzenia nocy spokojnej na jakiem łożu. Wszystkie te nadzieje, po pracy i trudach były widocznym dla moich zmysłów rajem na tej ziemi. Zsiadamy z koni, wchodzimy do salonów, gdzie widok odalisek i bankietów Lukullusa przenika przez me oczy do serca i zgłodniałego żołądka, a w tem słyszę głos rykliwy generała: „Adjutant od służby!...“ Piorun we mnie trzasł, bo właśnie ja nim byłem. „Jestem generale“. „Siadaj WPan na konia, jedź do dywizyi i powtórz moje rozkazy, ażeby grangardy i placówki były naprzód rozstawione etc. etc.“ reszty nie pamiętam. Już tedy po wszystkiem — rezonowania z generałem nie było—ani słówka odpowiedzieć nie można. Kniaziewicz najlepszy człowiek w prywatnem pożyciu, był tyranem w służbie i najmniejsze uchybienie subordynacyi wprawiało go w furyę taką, że z gniewu sam się zapominał, a często żałował. Za to my jego adjutanci i cały sztab, gdy nie byliśmy na służbie, byliśmy z nim bez żadnej żeny, jak z równym kolegą, a on nawet sam nas ośmielał. Teraz zginęły wszystkie nadzieje, zapach jedynie kurzących się potraw został w mych zmysłach, a widok czarodziejski pięknych kobiet i godnie spędzonej nocy uroczym snem w gorączkowej pamięci. Wsiadłem zaraz na konia i pojechałem. Obóz był kawał drogi za miastem na błoniu, nad rzeczką. Już i drugie dwie dywizye nadeszły, sztaby wszystkie do pałacu pojechały, a nim się nasza dywizya uszykowała i nim reszty rozkazów wypełniłem, żeby z nich raport uczynić, zeszło więcej niż 2 godziny. Wracam cwałem do dworu. Już wszędzie ciemno, wszyscy marszem znużeni śpią, zjadłszy i wypiwszy co tylko było do zjedzenia i do picia w pałacu, a mnie ani kawałka chleba nie zostawiwszy. Szukam kwatery mego generała, którą niełatwo znaleźć, gdyż tam wielu generałów nocowało. Wreszcie dowiaduję się o niej od szyldwachów, znajduję,

i widzę, że generał śpi smacznie w łóżku wygodnem. Budzę go i zdaję raport, „dobrze, dobrze, idź WPan spać“. Opuściwszy go, włóczę się, jak ćma po nocy, nie wiedząc gdzie konia postawić i choć kawałek chleba wyżebrać. Dopiero gdy odszukałem swego masztalerza Mateusza, który i konia odebrał i dał mi wydobyte z kieszeni resztki swojej suchej kolacyi, położyłem się przy generale na trzech stołkach i znużony zasnąłem jak zabity.

Dni były długie, a noce krótkie, późno wróciłem z obozu i zdaje mi się, że ledwo może było pół godziny, jakem zasnął, gdy znowu słyszę grzmot głosu komenderującego „Panie adjutancie“! (takie na mnie te apele generała sprawiały wrażenie, że nawet w parę lat po tej kampanii już po wyjściu ze służby, nieraz usłyszawszy podniesiony głos mimowoli zrywałem się na nogi). „Panie adjutancie!“ wołał generał. Udałem, że nie słyszę, ale powtarza się drugi i trzeci raz toż samo, a coraz mocniejsze wezwanie, muszę więc odezwać się i wstać czemprędzej. „Siadaj WPan na konia i daj mi znać, jak pobudkę zabębnią.“ Nie można generałowi ani pisnąć, rozespany i jakby pijany pojechałem na drugim koniu, ale nie byłem tak głupi, żeby się spieszyć z powrotem i oficerowie liniowi śmieli się ze mnie, po co tak rano przyjeżdżam. Przyznać potrzeba generałowi Kniaziewiczowi, że oprócz tej surowości w służbie, wielkie staranie miał o nas i oprócz kilku dni w początku tych nagłych marszów zawsze w sztabie mieliśmy jedzenia i picia poddostatkiem i bardziej o nas niż o sobie myślał, dla tego też panowie sztabowi koleżki często na obiad do nas z innych dywizyi przyłazili. Byłoby nam jeszcze lepiej, gdyby nie ów nasz wagarmaister Orłowski, który jego i nas okradał, a na moje conto rabował i chował. Najgorzej zaś było w Sztabie głównym Dąbrowskiego, gdzie prócz gotowanego mięsa, chleba i prostej wódki nic więcej nie dawano, a u nas prawie ciągle było wino, kawa, herbata i t. p.

Jeden z oficerów przyjął mnie do swojego baraku i na swojej słomie pozwolił się położyć, gdziem resztę nocy przespał, aż gdy wojsko stanęło w szyku, wtedy dopiero wróciłem do generała i zastałem cały nasz sztab świeży, wyspany, wypoczęty i najedzony po kawie i rannych przekąskach. Pod Nowogródkiem spotkaliśmy w polu idącego piechotą starego marszałka Sołtana, sławnego z wymowy i przywiązania do Ojczyzny w czasie Sejmu Konstytucyjnego. Spotkawszy rozpłakał się jak dziecko, z radości, że się doczekał już oglądania rodaków. Syn jego był właśnie z nami w bateryi artyleryi konnej.

Tu spędziliśmy dzień cały, albowiem przybiegł kuryer od Napoleona odwołujący króla Westfalskiego od wojska, a oddający komendę księciu Poniatowskiemu, co wszystko dość czasu zabrało. Tu już zaczynały nam się oddziały drobne nieprzyjacielskie pokazywać, a nawet odłączonych lub furażujących chwytać. Gajewski [1]) adjutant generała Fiszera, jadący z rozkazem do dywizyi kawaleryi pod komendą Rożnieckiego, został od nich zrąbany i ledwo zdołał uciec, a gdyśmy wyruszyli, szpiegi dali nam wiadomość, iż ariergarda kolumny nieprzyjacielskiej, udawszy się w lewo, teraz się znajduje nie przed nami, lecz na naszym lewym boku, a przeto rozsypano na prawy i lewy bok forpoczty i tyralierów, oprócz tego nas adjutantów z małemi oddziałami wysłano na rekonesanse, aleśmy nie spotkali nikogo. Pod jedną wsią zaraz blizko w polu ujrzeliśmy maleńki lasek, bardziej do ogrodu podobny, w którym widać było dużo małych budek. Jadąc najpierwszy konno, spostrzegłem w tym gaju kozackiego konia okulbaczonego, z pistoletami w olstrach, batem zawieszonym na kuli, a obok niego wetkniętą w ziemię pikę kozacką, do której był tenże koń przywiązany, zaś na niej wisiał piękny krzywy turecki pałasz damasceński z pochwą okutą w mosiądz sztucznie wyrabiany. Naturalnie ponieważ pierwszy tam wszedłem, więc zdobycz była moja i zabrałem ją dla siebie, lecz ostatecznie koń mi tylko pozostał. Generał wziął bat kozacki, który odtąd zawsze nosił zawieszony na ręku, a ów piękny turecki pałasz dał adjutantowi Gecewiczowi, płaksie, albowiem ten mazgaj był od kilku dni bez pałasza, który, idąc w pewnym interesie na płocie zawiesił i zapomniał.

Nie było wątpliwości, że gdzie koń i oręż były znalezione, tam musi być także ich właściciel blizko, a podług szacunku siodła i broni najmniej podoficer: nadbiegły moje woltyżery, splądrowaliśmy cały cmentarz, wszystkie domeczki czyli budy poprzewracali, na drzewach nawet szukali, ani śladu nie zostało, gdzie się podział, poprostu wpadł pod ziemię. Najpewniej był tam zostawiony dla obserwacyi naszego wojska, a widząc nasze za wsią oddziały, musiał wpaść w zboże wówczas dojrzewające i chyłkiem do blizkiego lasu uciec. Już tego dnia nikogośmy schwytać nie mogli dla powzięcia języka, ani nawet śladu znaleźć pobytu nieprzyjaciela, prócz jednego świeżego trupa trębacza od czerwonych huzarów z trąbą przez plecy zawieszoną, na

[1]) Józef, w r. 1810 szef szwadronu.

którego w zbożu koniem najechałem. Lecz wkrótce mieliśmy dwie nieszczęśliwe potyczki: jedną pod Koreliczami, a drugą pod Mirem. Obu byłem naocznym, choć dalekim świadkiem, stojąc jedynie z dywizyą na asekuracyi, gdyż tu i tam ucierała się tylko dywizya kawaleryi, która osobliwie pod Koreliczami ogromnie ucierpiała. W tem miejscu zginął podpułkownik Radzimiński [1]) i wielu oficerów. Skutkiem nieostrożności Rożnieckiego, który nie postawił bocznych rekonesansów, a piechota patrzała i w żadnym punkcie dać nie mogła pomocy, gdyż tylko jedna długa grobla przez błota prowadziła, nieprzyjaciel zaś ukryty dał głowie kolumny przejść, potem ją odciął i wielkie w niej zrządził straty. Nazajutrz zaczął padać tak ulewny deszcz, że świata nie było widać i trwał dwa dni i dwie noce; armaty więzły w błocie, broń nawet cała była zamoczona, a ponieważ kazano nam stać na czystem polu dla okrycia korpusu i obserwowania nieprzyjaciela, przeto i my, bez dachu ani nawet baraku, takeśmy przemokli, że każdy z nas raczej do kłody był podobny, aniżeli do człowieka. Zaraz gdy dnieć zaczęło zdało się generałowi widzieć pod lasem ruszających się ludzi. Kazał mi wziąć eskortę kawaleryi i pluton woltyżerów i udać się tam na rekonesans. Jakoż w lesie może o ćwierć milki od obozu rozwinął się przed nami szereg, może około 20 kozaków, lecz ci widać nie mieli rozkazu na nas nacierać, tylko gdyśmy zbliżyli się ku nim, a woltyżerowie zaczęli rozsypywać się na boki, kozacy znać z powodu deszczu, nie wiedząc czy sami jesteśmy, czy też korpus idzie za nami, rozsypali się także na boki i z obu stron zaczęły się jedynie tyralierskie strzały. Z tej utarczki tyle tylko mieliśmy korzyści, że gdy ubito konia pod kozakiem — ten przygniótł mu nogę i moi ułani go dopadli i wzięli do niewoli, czego też nam najbardziej było potrzeba.

Pamiętam dobrze tego starego kozaka, który lubo ranny jeszcze na ziemi chciał się bronić, wydobył pistolet, strzelił, a potem pałaszem się bronił i byliby go może ułani zakłuli, gdyby nie przeszkodził temu posłany przezemnie wachmistrz eskorty Beem, który kazał go związać i zabrać. Dywizya słysząc strzały przysłała kompanię piechoty na asekuracyę, lecz ta się zaraz wróciła, bo kozacy spostrzegłszy pomoc, cwałem uciekli, a gdy inne rekonesanse za nimi wysłano, już żywego ducha nie napotkały. My z naszym jeńcem wróciliśmy do dywizyi, lecz nie mi-

[1]) Aleksander, pułkownik?

nęło pół godziny od mojego powrotu, gdy generał niespokojny, że później posłane rekonesanse nie wracają, każe mi znowu za nimi z ułanami eskorty jechać. Lubo znużony, chcę spełnić polecenie, lecz żadnym sposobem nie mogę wsiąść na konia, który wciąż się kręcił, a ziemia była tłusta, gliniasta, ja zaś tak byłem przemoczony, że mój mundur i płaszcz pewnie blizko centnara ważyły, widząc to generał, nie wiem czy z niecierpliwości, że nie zaraz jego rozkaz spełniono, czy też z posądzenia mnie o tchórzostwo, w taką wpadł furyę, że się do mnie z krzykiem porwał, aż generał Kazim. Małachowski i kilku sztabsoficerów obecnych ujęli się za mną i sami konia mi przytrzymali. Spostrzegł się zaraz sam generał i przeprosił mnie dodając: „ale to w boju, czasem minuta opóźnienia może zgubę całej armii przynieść". Znowu tedy wziąwszy z sobą wachmistrza Beema i ułanów eskorty pojechałem do owego lasu, lecz jak kamień ciężyło mi na sercu posądzenie generała, że unikam niebezpieczeństwa. Powiedziałem więc sobie, że pójdę szukać okazyi i dać dowody, iż nie jestem tchórzem, lecz może na moje szczęście co do skutków, czy też na nieszczęście co do życzeń, żadna nie zdarzyła mi się tego dnia sposobność okazania odwagi. W zupełnym porządku i z wielką szybkością rejterował się korpus nieprzyjacielski. Nigdzie ani maruderów, ani pociągów nie mogliśmy przejąć. Lecz za to też niszczył naszą armię, zabierając wszędzie po całej drodze ludzi, konie, bydło, magazyny, a paląc wszystkie młyny, mosty i te furaże, których z sobą zabrać nie mógł. To też lubo z moją eskortą oddaliłem się więcej mili od korpusu, mogąc być wszędzie odcięty i zabrany, nie spotkałem nigdzie nieprzyjaciela, wziąłem jedynie oficerską powózkę w trzy konie, wiozącą za swoim panem zasoby wina, cukru, wódek, kawy, ryżu i t. p., którą do dywizyi przyprowadziliśmy z sobą. Wróciliśmy już pod noc, miano nas za przepadłych, gdyż owe rekonesanse cośmy ich poszli szukać oddawna wróciły, nie spotkawszy nas — i o mały włos, żem od swoich nie zginął; gdym bowiem wracał, już był mrok i forpoczty, widząc ruską powózkę z nami, nie poznały nas, a jakiś Maciek zapytał nas, kto idzie i jednocześnie do nas wystrzelił, tak że kula mi koło uszu świsnęła. Lubo mnie generał skarcił, żem bez rozkazu tak daleki zrobił rekonesans, jednak zadowolenie publicznie ogłosił. Zdobycz zaś oprócz licznych wiktuałów, jakie naszemu sztabowi na kilka dni dostawiłem, miała tę jeszcze korzyść, iż wraz z bryczką, końmi i zwoszczykiem zabraliśmy jadącego za armią młodego, jak oni zowią, korneta, który sztabowi głównemu najlepsze dał opisanie ruchów ich

wojska, mówiąc bardzo pięknie po francusku. Dałem najlepsze świadectwo memu wachmistrzowi Beemowi, bo prawdziwie, że on najlepiej z nas umiał rekonesans prowadzić, a Kniaziewicz go podał do awansu, jakoż nazajutrz w Mirze dostał on nominacyę na podporucznika, zostając przy naszym sztabie jako komendant kawaleryi eskorty. Wracając z tego drugiego rekonesansu blizko już bardzo naszej pozycyi, gdzie nasz sztab stał zupełnie, jakby miał nogi w stawie a głowy pod rynną, znaleźliśmy między krzaczkami, drewnianą kapliczkę pełną rozmaitych świętych z drzewa siekierą wyrobionych. Zdawszy generałowi raport, że tak daleko schodziwszy, nigdzieśmy śladu nieprzyjaciela nie widzieli, zaprosiliśmy nasz sztab do tej głównej kwatery, gdzie przecie znaleźliśmy dach i miejsce suche.

Przez ten czas nasz korpus kawaleryi, formujący awangardę, awansował o milę aż do miasta Miru i tam znowu była potyczka z kawalerją nieprzyjacielską równie bez korzyści naszej. Nie widziałem jej, słyszałem tylko strzały. Otrzymawszy rozkaz wyruszenia im na pomoc, spiesznie w nocy wymaszerowaliśmy, a będąc wszędzie zmuszeni armaty i furgony z błot wydobywać i dźwigać—stanęliśmy w Mirze za późno. Tu nas dognał kuryer z Warszawy Kazimierz Grabowski, adjutant generała Kamienieckiego (syn wówczas podkomorzego, później kasztelana i wojewody, p. Kazimierz, wielki rycerz, za piecem siedzący całą kampanię, skończył na kuryerce, a gdym później złożył od wojska akces do konfederacyi i raporta do króla, on znowu przez swego generała, jako kuryer, był do króla posłany z niemi i za te dwie wiosenne wyprawy dostał dwa krzyże, następnie wziął dymisyę a wreszcie został monopolistą wódki w Lublinie!). On to przywiózł mi pierwsze od mojego wyjazdu listy od żony i wiadomości o niej i o dzieciach moich, Bogu dzięki zdrowych, a o mnie niespokojnych, oraz doniesienie do armii o ogłoszeniu w Warszawie Królestwa Polskiego, o otworzeniu w Warszawie Sejmu konfederacyjnego, pod laską starego księcia Adama Czartoryskiego, zwanego Księciem Generałem Ziem Podolskich, oraz z rozkazem do wojska polskiego, ażeby uczyniło akt przystąpienia do tejże Konfederacyi.

Około południa mieliśmy przyjemność, raz pierwszy od naszego rozpoczęcia kampanii spotkać próbkę wojska francuskiego od głównej armii Napoleona, albowiem przyjechali dwaj bracia Szymanowscy, Ignacy i Aleksander, adjutanci marszałka Davouta, przekradając się lasami i manowcami pomiędzy nieprzyjacielem, z rozkazami do księcia Poniatowskiego z małą bardzo eskortą,

bo złożoną tylko z kilku szaserów konnych gwardyi. Dla mnie była to wielka przyjemność oglądania i uściskania dawnych moich przyjaciół, lecz od nich tyle tylko o głównej armii mieliśmy wiadomości, iż ta dotąd jeszcze się nie biła, lecz ciągle parła uchodzącego porządnie nieprzyjaciela. I nasz też korpus od ostatniej potyczki pod Mirem nigdzie już nie spotkał ani widział nieprzyjaciela aż do Smoleńska, przeto od Miru szliśmy już porządniej i mieliśmy lepsze zapasy żywności, lecz za to przysłany rozkaz pospieszenia marszu tak żołnierzy wycieńczył, że z całego pułku 12-go przyszło do Mohilewa ludzi 200—i dopiero nazajutrz reszta nadeszła. Rano dnia następnego wyruszyliśmy do Nieświeża, gdzie zastaliśmy ogromne stajnie moskiewskie, które całej dywizyi za wyborne koszary służyły. Ciekawy był do zwiedzenia sławny Radziwiłłów zamek, w którym stanął sztab główny księcia, lecz zwiedzić go tym razem było niepodobieństwem, gdy tyle tylko czasu spocząć nam dozwolono ile potrzeba konieczna wymaga do ugotowania żywności i paru godzin snu pod dachem w suchem miejscu i na miękiej słomie. Szczęśliwsi daleko byli żołnierze liniowi i ich oficerowie od nas; skoro gdzie stanęli zaraz gotowano, stawiano, znoszono słomę, drwa, zgoła co tylko można było. Nasz generał nie pozwalał użyć żołnierza do usług, a nasi ludzie musieli o koniach myśleć — prawda, że w większych partyach my zabieraliśmy domy lepsze, lecz w szybkich marszach i na noclegach w polu, jeżelim nie był na służbie, a chciałem się lepiej przespać, tom szedł do jakiego pułku a pewnie u każdego oficera znalazłem lepszy nocleg niż u nas.

Wkrótce wymaszerowaliśmy traktem ku Słucku. Gdy dywizya nasza formowała awangardę o milę za miastem, przybył do generała bogaty obywatel Ginter, mający znaczny majątek, przez który właśnie mieliśmy tego dnia przechodzić, prosząc i zaklinając generała o danie mu załogi dla jego domu, gdzie on i rodzina jego mieszkali, ofiarując się armii i sztabowi dostarczyć wszystkiego czego będzie potrzeba, biorąc oraz na siebie obowiązek, że gdy już korpus nasz przejdzie, on załogę swymi końmi odwiezie do miejsca, gdzie stać będzie dywizya. Przecie dnia tego nie byłem nieszczęśliwym służbowym, bo generał przypomniał sobie mój udział w fecie danej dla nas w Żołudku, a litując się już nademną, że byłem zawsze wszędzie i za wszystkich wypychany, dał mi rozkaz wzięcia dwunastu grenadierów i podoficerów a udania się z Ginterem zaraz do jego mieszkania na załogę przez 24 godzin. Otóż przecie (pomyślałem sobie) raz wyśpię się, wyleżę i najem za wszystkie czasy — będę miał, jak to

mówią prawdziwe używantes! Jakoż w rzeczy samej zabrał nas Ginter na swoje bryczki, zawiózł do swojego dworu i przyjął jak tylko można najgościnniej, dał jeść, pić co tylko miał najlepszego. Postawiłem trzech żołnierzy na warcie przy dworze, gumnach i stajni, a innym dał Ginter wygodę, żywność a nawet materace do spania—dosyć żeśmy byli jak w niebie, przytem panowała wielka wesołość. Towarzystwo złożone z kilku dam miejscowych i z okolic oraz z obywateli sąsiednich zwiększało się ciągle przez czas przechodu naszego korpusu. Pełno było wizyt pułkowników i oficerów, wstępujących na obiad, kawę, wieczerzę; ja tylko tego pilnowałem, żeby każdy brał to co mu dają, lecz nie zabierał niczego samowolnie. Na moje nieszczęście wkrótce po mnie wpakował się pułkownik Kr(ukowiecki) i koniecznie chciał mnie zluzować, a sam zostać na załodze, ile że miałem jego żołnierzy pod sobą, lecz nie zezwoliłem na to, powołując się na rozkaz generała. Ten człowiek despotyczny, mściwy, zazdroszczący wszystkiego, nawet kawałka chleba, odjechał, lecz nigdy mi tej załogi nie zapomniał, a ponieważ największą mu sprawiało radość, gdy mógł dręczyć i dokuczać—później przypomniał mi się w Smoleńsku, wystawiając na wyraźną zgubę. Wieczorem była partyjka, fajeczki, gawędka, pączyk i t. p. zgoła zupełnie jakby u dobrego na wsi sąsiada.

Mając rozkaz bawienia tam przez 24 godzin, nie spieszyłem się do łóżka—gdy tyle jeszcze czasu wolnego przed sobą widziałem—a nie przeczuwałem, że napisano było w księdze mojego przeznaczenia, że w całej tej kampanii, nawet już daleko od nieprzyjaciela, ani razu jednego spokojnie nocy nie spędzę—i tak się stało. Ledwie com się położył na miękkiem łożu, aż słyszę, wielki krzyk w domu, a strzelanie w dziedzińcu. Choć korpus Bagrationa oddalił się, jednak oddziały kozackie, nawet z lekkiemi swemi armatkami błąkały się po Litwie i nas straszyły. Zrywam się więc i chcę wyjść, gdy wpada do mego pokoju gospodarz z rozpaczą donosząc, że marudery wpadli do jego stajni i rabują; nasz szyldwach strzelił dla dania znać, lecz nim mu przyszli drudzy mocno zaspani na pomoc, rabusie go związali, a wybiwszy drzwi do stajni, porwali 12 najpiękniejszych koni i uciekli. Ginter prosi mnie i zaklina o pomoc. Lecz jakże ich złapać — noc ciemna, oni mają rącze konie, a my piechotą, ani podobna ich dognać. Żołnierz nasz, stojący na warcie, któregośmy rozwiązali, poznał po kaszkietach, że to byli żołnierze z piechoty i nawet, jak mu się w ciemności zdawało, że z naszej dywizyi, ale nic więcej. Ginter zaklina mnie, ażebym zaraz z nim wsiadł na bry-

czkę i jechał do głównej kwatery na skargę, przyczem objaśnia, że o półtorej mili jest rzeczka Merosz choć wązka lecz głęboka i płynąca przez niedostępne błota, przez które jedna tylko idzie grobla i most długi, tej zaś drogi nigdzie ominąć nie można. Korpus nasz miał przed tą rzeczką nocować, więc jeśli na moście straż postawimy, to konie zabrane nie mogą ujść przed nami. Zastałem księcia Poniatowskiego o milę, stojącego kwaterą w bardzo porządnym obywatelskim dworze, a choć już było po północy jeszcze tam nie spano, albowiem jak ja u Gintera, tak sztab księcia bawił się (a podobno lepiej) u państwa Moniuszków, więc znalazłem wszystkich w najlepszym humorze. Zdałem księciu odpowiedni raport, Ginter zaś wniósł prośbę, żądając kary za najście domu i rabunek, w skutek czego dał mi książę kilku ludzi oraz oficera kawaleryi Ośmiałowskiego [1]) ze swojej eskorty, i kazał, ażebyśmy wraz z Ginterem i jego służącymi stali całą noc przy pierwszym moście, a skoro spostrzeżemy winowajców, prowadzących owe konie, powinniśmy ich schwytać i do sztabu dostawić.

O wschodzie słońca, gdy się awangarda ruszyła i zaczęła już kolumna przez groble przechodzić, stało się to, czego sobie Ginter życzył. Wszystkie 12 koni prowadziło kilku furgonistów a z niemi porucznik 8-go pułku piechoty Szyperski [2]), który dla niepoznania kazał koniom grzywy i ogony poucinać i ubrać w skarbową furgonową uprzęż. Zdobycz odebraliśmy. Szyperski się do mnie porwał, lecz w tejże chwili wypadli żołnierze eskorty księcia związali go i odprowadzili do Sztabu, gdzie został osądzony, w kajdany okuty, zdegradowany i pod strażą piechotą, odesłany. Tymczasem nadeszła i nasza dywizya, mój generał już mnie przy sobie zatrzymał, bośmy dalej ruszali, posłał jedynie rozkaz, przywołujący załogę, którą Ginter jak był obiecał furami odesłał i obdarzył, a prócz tego do mnie bardzo grzeczny list z podziękowaniem napisał. Przymaszerowaliśmy do miasta Słucka, jak dobrze pamiętam, w piątek już późno wieczór.

W tem mieście żydowskiem wojsku brakowało nie tylko żywności i furażów, lecz nawet tego wszystkiego co było potrzebne do codziennego użytku, po tylu dniach nagłego marszu, bez etapów, bez magazynów, w kraju przez nieprzyjaciela spustoszonym. Najwięcej jednak dawał nam się czuć brak chleba, gdyż oprócz kilku domów obywatelskich, nigdzie nie było pieców do pieczenia ani mąki, gdyż młyny poniszczono. Przez sobotę mieliśmy

[1]) Marcin, podp. pułku I jazdy.

[2]) Józef, podporucznik; porucznikiem został w 1813 r.

spocząć, ażeby pozostali w drodze mogli z nami się połączyć, a potem już nie ścigając Bagrationa stosownie do rozkazu rzucić się całkiem na lewo ku Mohylewu dla złączenia się z korpusem francuskim. Zastaliśmy w Słucku wszystkie domy całego miasta pozamykane, a wszystkich żydów w bóżnicy. Natychmiast książę Poniatowski posłał eskortę, ażeby mu przyprowadzili rabina, któremu powiedział, że natychmiast będzie rozstrzelany jeżeli w tej chwili żydów nie uwolni od szabasu, co tenże gdy naprędce wypełnił, w mgnieniu oka całe miasto się oświetliło, sklepy pootwierano, żydkowie jak pszczoły po ulu zaczęli się uwijać, i nietylko, żeśmy dostali żywności, mięsa, chleba, furażu, lecz i lepszych produktów, kawy, cukru, wina, herbaty, rumu, tytuniów i t. p. tak, iż każdy z nas i żołnierze mogli się zaopatrzyć na daleką drogę.

VII.

Przez ten dzień spoczynku, zwiedziłem klasztory Czerncow i Czernic, które niegdyś założyła księżna Radziwiłłowa, i tam też jest pochowana. Pokazują jej ciało, które mają za święte i dlatego w złoconej trumnie złożone, otwierają jedynie przy zapaleniu wielu świec dokoła. Ubrana jest w stroju tych samych zakonnic, które założyła i tę ma osobliwość godną widzenia, iż jej ciało jest zupełnie całe, bez żadnego zepsucia, ani zmiany form zdrowej osoby, kolor jedynie się zmienił, jest albowiem żółtomiedziana. Resztę czasu zajęło mi chodzenie po naszej dywizyi, po wszystkich pułkach i zbieranie podpisów oficerów na akcesie do Konfederacyi Narodowej Warszawskiej. Nazajutrz przededniem wymaszerowaliśmy i stanęli w Dudziczach, w wielkim drewnianym dworze P. P. Jelskich tak obszernym, iż mógł pomieścić wszystkie trzy sztaby naszych dywizyi oprócz głównego, jeszcze liczniejszego, Naczelnego Dowódzcy.

Wkrótce zostałem przywołany do Szefa Sztabu generała Fiszera, od którego otrzymałem rozkaz jechania natychmiast kuryerem do Warszawy, ale już nie tym traktem, którymeśmy maszerowali, a który był nadto zniszczony, by można było koni pocztowych dostać, lecz gościńcem wileńskim, gdyż w Wilnie miałem oddać ekspedycyę do księcia Bassano z raportem do Cesarza od naszego Korpusu. Nie tracąc więc czasu, tylko pożegnawszy się z generałem i kolegami, zostawiwszy ludzi moich, konie i rzeczy, nic z sobą nie wziąwszy, prócz małego mantelzaczka i służącego Augustyna, wyjechałem pod wieczór z Dudzicz.

Z miejsca bardzo wygodnie odbywałem tę podróż czterema dobremi końmi i bryczką na resorach właściciela Dudzicz starego Jelskiego, aż do Mińska, a potem dalej pocztą, ustanowioną przez Francuzów dla przejazdu kuryera i utrzymywania korespondencyi, która to poczta była dawna ruska, z ruskim koniem i izwoszczykiem, a z dodaną tylko załogą francuską i pisarzem Polakiem, umiejącym po francusku. Trudno widać było znaleźć w Litwie takich pisarzy więc brali kogo mogli; na jednej stacyi zastałem pannę a na drugiej młodego Jezuitę z Witebska. Zrazu mi szło wybornie, a w obszernej i miękko wysłanej bryczce zawiesiwszy moją ekspedycyę na szyi w skórzanej torbie i przypiąwszy ją sprzączkami do boków, spałem jakby na łóżku, lecz później, gdym się dostał do owych poczt byłych ruskich, gdzie mi zaczęto dawać kibitki wysokie, a krótkie tak, iż nie mając gdzie się wyciągnąć ani o co oprzeć musiałem skulony siedzieć, a przytem izwoszczyki, jadąc z kuryerem ruskim zwyczajem, lecieli po dołach i korzeniach, jakby rozbieganemi końmi. Sądziłem nieraz, że mi dusza z ciała wyleci, a nie wiem czyli z zaziębienia w nocy czyli też z ogromnego w dzień upału dostałem dyaryi i tak wielkiego parcia w żołądku, iż zdawało mi się że umrę, i chciałem już tylko do Wilna dojechać, aby oddać ekspedycyę księciu Bassano, z prośbą ażeby innego kuryera wyprawił do Warszawy. W tym stanie pod wieczór przyjechałem do miasta obwodowego Oszmiany—każę na poczcie czemprędzej zaprzęgać—lecz konia ani jednego niemasz, bo wszystkie rozleciały się z kuryerami francuskimi—„wszak i ja kuryer“ nalegam, krzyczę,—nic nie pomaga, bo koni wcale w stajni niema. Poradził mi pisarz, abym się udał do podprefekta, starego Żaby, wlekę się więc tam, mając zawsze jak tornister przypiętą na piersiach moją kuryerską torbę skórzaną z depeszami, żeby jej broń Boże nie stracić. Zastałem tam u pana podprefekta zgromadzonych wielu obywateli, z których dobrze mi są pamiętni pan podkomorzy Jankowski i pan chorąży Zambrzuski. Przedstawiam staremu Żabie, że pod jego odpowiedzialnością, muszę mieć konie, lecz i tu słyszę tęż samą odpowiedź: „Cóż począć kiedy ich niemasz“. Nareszcie, gdy powiedziałem, żem bardzo chory i dlatego się spieszę, żebym czasem nie umarł w drodze, obiecali mi, że gdy Jankowski i Zambrzuski wkrótce sami jadą do Wilna, tedy mnie wezmą z sobą, lecz muszą wprzódy skończyć radę powiatową — zaręczając, że mnie przez ten czas ich żony uleczą z choroby. Te panie, wziąwszy mnie pod swoją opiekę zaprosiły do siebie i zaczęły dawać jakąś żółtą starą wódkę i tąż samą żołądek i boki okładać i sma-

rować—więcej nic nie pamiętam, bo naturalnie, że takową prawdziwie litewską kuracyą spoiły mnie, jak belę, poczem mężowie zabrawszy z poczty mój mantelzaczek i służącego, wsadzili mnie między siebie do swojej bryczki, bez duszy i całą noc trzymając jak tłómok, zawieźli do Wilna. Jakie było moje zdziwienie, kiedy rano, o wschodzie słońca, przebudzony turkotem bryczki po bruku zobaczyłem się z końmi i pojazdem na środku kościoła, gdzie pełno ludzi klęczało, i siedziało w ławkach modląc się, obróceni ku mnie twarzami. Nic nie pamiętając co się działo, ani wiedząc, czy żyję i gdzie jestem, zgłupiałem i nie zaraz mogłem przyjść do siebie aż w domu, gdzie na zakończenie kuracyi litewskiej zleli mnie zimną wodą, kazali wypić dużo herbaty i opisawszy moją wczorajszą kuracyę, podróż, nakoniec przyjazd do Wilna, wytłómaczyli, żeśmy wjechali Ostrą Bramą, gdzie nad samą bramą jest Obraz Cudowny Matki Boskiej i kaplica, w której co rano msza się odprawia, a ludzie na ulicy klęczą lub w ławkach siedzą. Byłem już zdrów zupełnie, lecz długo jeszcze odurzony, jak to bywa zwykle po przepiciu, z ciężkością i bólem głowy. Zaraz oddałem ekspedycye od księcia Poniatowskiego księciu Bassano, który kazał mi zaczekać na swoje do Warszawy i zaprosił na obiad. Po obiedzie oddał mi plikę papierów, polecając mi, że są bardzo pilne i wyprawił z rozkazami do dalszych poczt dostawienia jak najprędszego koni. Pożegnawszy się z moimi wczorajszymi opiekunami wyruszyłem w dalszą kuryerską drogę. Znowu te nieszczęsne kibitki byłyby mi wnętrzności przewróciły i kości pogruchotały, ale na stacyi w Trokach spostrzegłem wózek innego rodzaju i ten kupiwszy już, wygodniej dalszą odbywałem drogę, nigdzie się nie zatrzymując. Jechałem na Grodno, Sokółkę, Białystok, gdzie zastałem wielu znajomych oficerów, formujących nowy pułk litewski, lecz razem wielki postrach. Wszyscy się pakowali i wynosili, a nie dawno nawet przed moim przyjazdem wyjechał był do Warszawy król Westfalski Hieronim, który opuściwszy nas w Nowogródku jechał ze swoim sztabem, dworem i małą eskortą ciężkich Westfalskich żandarmów wszędzie nocując, bawiąc się, osobliwie w Grodnie i Białymstoku, gdzie dawał audyencye, przyjmował władze i gości oraz zwiedzał okolice. Przyczyną popłochu było zbliżanie się wojsk rosyjskich, które pod komendą Czyczagowa szły z Wołynia, gdyż oprócz z rekrutów formującego się pułku (Pułk 21 piechoty, Major Węgierski, Szefowie Batalionu: Górski i Andrychiewicz) i gdzieniegdzie rozlokowanych depôts, nie było w bliskości żadnego wojska regularnego. Nawet gdym wyjeżdżał z Bia-

łegostoku, przestrzegał mnie major Węgierski, żebym się w drodze strzegł, żeby mnie gdzie w borach nie uchwycili kozacy, jednak nic mi się złego nie trafiło i szczęśliwie, ale już późno, bo około 10-ej w nocy stanąłem w Tykocinie. Tam na poczcie grzeczny bardzo pocztmistrz Swieżawski, oświadczył mi, że żadnym sposobem koni dać nie może, albowiem wszystkie, tak pocztowe jak i obywatelskie zostały zabrane w rekwizycyę dla mającego bardzo rano wyjechać nocującego właśnie króla Westfalskiego i że nawet plackomendant przy nich postawił warty; nie pomogły nic moje protestacye, że jadę kuryerem, że mam pilne depesze księcia Bassano, na co tę tylko odebrałem odpowiedź, że muszę iść do plackomendanta, który jeśli pozwoli, to zaraz mieć będę konie. Dowiedziawszy się, że plackomendantem był Antoni Oberski mój dawny znajomy, idę do niego, lecz nie zastaję, bo jest u komendanta głównej kwatery króla Westfalskiego. Wiedząc, że nim był generał Staś Potocki, z którym byłem w dawnej przyjaźni, śpieszę tam i zastaję liczne zgromadzenie, faraona, wino, pącz, wesołość. Jak najlepiej przyjęty, wypytywany byłem o wojsko, o znajomych, o nasze wypadki, o szczegóły co do Koreliczów i Miru tak, iż odetchnąć mi nie dawano: wszyscy gadają, częstują, krzyczą, zgoła prawdziwa, wesoła kordegarda. Lecz mnie, jako kuryerowi, trzeba było czemprędzej w drogę odjeżdżać. Przedstawiam Oberskiemu moją misyę, ten mnie odsyła do generała Stasia, któremu pokazuję otwarty wyraźny rozkaz tak księcia Poniatowskiego, jako i późniejszy księcia Bassano. „Nic to wszystko nie pomoże mój kochany — nie pojedziesz, bo ledwo mamy konie dla króla, który do dnia wyjeżdża i kazał wyraźnie, żeby nawet kuryerów nie puszczać.“ Ale zmiłuj się generale, ja mogę pójść pod sąd, jako kuryer bałamucący w drodze.

„My na to łatwo poradzimy, odpowiedział Staś, ja ci dam na piśmie świadectwo, że z wyraźnego rozkazu króla Westfalskiego, a brata Napoleona, musisz tutaj pięć godzin czekać, a przez ten czas albo od nas wrócą konie, albo plackomendant pośle żandarmów na wsie i wystara ci się o furmankę.“ Zaraz mi też napisali urzędowe świadectwo, ja zaś byłem rad, że znużony odpocznę, prześpię się, ogolę, umyję, bo od upału i kurzu nie byłbym do człeka podobny, wjeżdżając do Warszawy. Około północy poszedłem na pocztę, gdzie był mój służący i rzeczy, a zrobiwszy tualetę, położyłem się spać, na wygodnej bardzo kanapie. Ledwom zamknął oczy, słyszę, pukanie do drzwi—wchodzi do mnie westfalski pułkownik, płatnik Guis, z którym poznałem

się jeszcze w Grodnie, Francuz, syn konsula ze Smirny, gdzie długi czas mieszkał, później na czas pewien osiadły w Warszawie, jako właściciel fabryki czyszczenia oleju. Przyniósł mi rozkaz od króla, który dowiedziawszy się, żem od wojska przyjechał, żądał ażebym natychmiast przyszedł do niego. Już przepadła nadzieja słodkiego snu i spoczynku; ubrałem się czemprędzej i idę z Guisem do króla. Było może około godziny 2-giej po północy. Zastałem go w łóżku, przy którem paliły się dwie świece na stoliku i leżało kilka gazet polskich i francuskich. Przyjął mnie bardzo grzecznie i zapytywał o wojsko, o bitwy, o znajome mu osoby, nareszcie po wielu rozmowach zrobił mi to dziwaczne pytanie „dites moi monsieur, mais dites la vérité — je Vous l'ordonne, que dit l'armée Polonaise de mon départ, et sur mon compte?“ Zapytanie bardzo drażliwe, bo wiedziałem dobrze, że wcale nie najlepiej o nim gadano, alem się dość dobrze wykręcił, odpowiadając, że my wojskowi znużeni służbą, marszami i zawsze gotowi do bicia się nie mamy czasu o niczem gadać, a tem mniej rezonować, przeto o tem ani słyszałem mówiących, ani też z nikim nie gadałem. Widać było wyraźnie z jego twarzy, że mi nie wierzył i nie był z mojej odpowiedzi kontent — wziął w ręce gazety berlińskie i warszawskie i rzekł do mnie, że słyszał, iż nawet w Warszawie na sejmie, pozwalają sobie Polacy złośliwych na niego docinków i czynności jego rozsądzają, a ci co go otaczają są pochlebcy i nie chcą mu prawdy powiedzieć. „Vous êtes un vrai militaire donc, un homme franc et pas un rusé courtisan,“ prosił mię więc, żebym mu polską gazetę po francusku przeczytał, osobliwie, gdzie jest mowa i o sejmie. Było kilka numerów „Gazety Warszawskiej“ i musiałem wszystkie mu po francusku czytać, on zaś pilnie je słuchał a nawet w wielu miejscach nie wierzył, czy czego nie opuszczam i przez ramię moje zaglądał, czy nie ujrzy swego nazwiska, szczęściem w tych numerach nie było żadnej o nim wzmianki. W rzeczy samej bywały na sejmie Konfederacyjnym nieraz o nim mowy. Gdym skończył rzekł do mnie: „wiem że mówisz dobrze po niemiecku, bom ciebie posyłał w Grodnie do wojska saskiego [1]), mniej ja

[1]) Miał o osobach bardzo dobrą pamięć i gdym go w r. 1829 widział w Karlsbadzie i spotkał u wód poznał mnie zaraz, ukłonił się i przez swego szambelana kazał prosić do siebie, długo rozmawiał, pytał się o wiele osób, i przypomniał sam tak moją misyę w Grodnie, jak lekturę w Tykocinie, potem sam żonie zaprezentował mnie, mówiąc jej: „gadaj z nim po niemiecku, bo chociaż Polak, gada jak rodowity Niemiec.“

dbam o to, co Niemcy o mnie gadają, bo mi zazdroszczą Królestwa, aniżeli mogą sądzić Polacy których ja kocham i którymi dowodziłem.“ Widać, że nieborak, czy się już był wyspał, czy też cierpiał na bezsenność, ale ja większy nieborak musiałem mu gazety berlińskie tłómaczyć. Ta cała rozmowa i lektura trwała więcej dwóch godzin. Już dnieć zaczynało, gdy nareszcie król wstał i w ciągu mojej lektury ubierał się, ciągle ze mną rozmawiając. Pojazdy zaprzęgano, Staś Potocki i plackomendant przyszli po rozkazy, a nim rzeczy zapakowano, włożył kapelusz na głowę i wyszedł, nie przestając rozmawiać ze mną i zadawać pytań. Ja sądząc, że go tylko do bramy dziedzińca odprowadzę, nawet nie wziąłem kapelusza, który byłem położył, biorąc gazety do czytania. Lecz król nie przestawał gadać, trzymając jak brat Napoleon ręce założone w tył i nie patrząc na mnie, w ten sposób obaj wyszliśmy za miasto i nie wiem co się tam stało, że nas pojazdy dopiero o ćwierć mili dognały. Wtedy cały w myślach zagłębiony kiwnął mi głową i odjechał, a ja całą noc tak przyjemnie spędziwszy, musiałem do miasta piechotą wracać bez kapelusza. Zastałem moją kałamaszkę już zaprzężoną przez gorliwość Komendanta Placu, do której, przeklinając moją lekturę i cały nocleg, wsiadłem i ruszyłem w dalszą podróż.

Od rana tak był duszący upał, że konie po drodze padały, a pod wieczór spotkała mnie ogromna burza i ulewa jakiej nie pamiętam, tak iż moja kałamaszka będąc rodzajem łubianego koryta, przepełniała się wodą. W Zegrzu przestrzegano mnie, że droga do Warszawy jest bardzo niebezpieczna, gdyż wciąż pokazują się kozaki i byli już w Jadowie, Broku a nawet koło Kobyłki i Radzymina. Jednakże wszystko się na strachu jedynie skończyło, zajechałem szczęśliwie i bez żadnego przypadku. Wieczorem już o zmroku stanąłem pod Pragą. Tam usłyszałem na wszystkich punktach oddalonych placówek częste strzelanie z ręcznej broni, jakby forpocztowe utarczki. Zatrzymałem się na piaskach pod-praskich, nie wiedząc czy dalej jechać, czy też uciekać, nie życząc sobie wcale być zabrany przez kozaków, lecz nakoniec zwolna postępując dalej, spotkałem ludzi z Warszawy idących, którzy mnie uspokoili mówiąc, iż to codziennie są takie strzelania na oddalonych forpocztach dla oznaki, że straże nie śpią, oraz dla odstraszenia błąkającego się często kozactwa, które się już czasem pokazywało pod Pragą.

Praga jeszcze w r. 1809 miała wysypany szaniec przed mostem, a w r. 1812 został on lepiej wzmocniony, lecz bardzo słabo osadzony—samemi tylko rezerwami, rekrutami i Gwardyą Naro-

dową. Z zadziwieniem i radością zostałem przyjęty w domu i Bogu dzięki zastałem zdrowych. Zaraz udałem się z ekspedycyą wojskową do Wielhorskiego, Głównego Zastępcy Ministra Wojny blizko naszego domu mieszkającego, w pałacu Karasia przy Krakowskiem Przedmieściu. Akta zaś akcesu Wojska do Konfederacyi odniosłem do jej marszałka, starego księcia generała Czartoryskiego (mieszkającego wówczas w pałacu Potockich przy Krakowskiem Przedmieściu). Znalazłem już go w łóżku. Przyjął mnie jak najgrzeczniej, lecz aktu akcesu nie chciał odebrać, zlecając mi, aby ten akces wojska narodowego do powstania, będący epoką w historyi kraju, był mu oddany nazajutrz publicznie na Sejmie. Nie zapomnę nigdy mojej omyłki w słowach, gdym się z nim żegnał i dziękował, że mi porucza tak świetne poselstwo wręczenia mu publicznie tego wynurzenia woli i życzeń wojska. Chciałem powiedzieć, że się będę pysznił z tego, że jestem oddawcą czyli posłannikiem, składającym tak ważny akt, ale tak brzmiały jeszcze ciągle w mojej głowie słowa i myśli francuskie, że wyrzekłem przez prędkość i zapomnienie te nieszczęśliwe słowa: „Jestem szczęśliwym być porterem.“ Tu przerwał mi żywo mowę i ze śmiechem zawołał książę Czartoryski: „Hola, hola mój Panie, WPan na porter jesteś za tłusty, powiedz raczej: być dubeltowem piwem.“ Nie obraziłem się wcale, anim się przestraszył tym księcia Czartoryskiego pochwyceniem mnie na tak grubej omyłce, znając jego wesołość, dowcip i rubaszno-popularne figle. A gdym mu opowiedział francuskie przeszłej nocy moje prace, wszystko się skończyło na śmiechu i żartach. Moje to szczęście, żem tej omyłki nie popełnił nazajutrz na wielkiej i publicznej sesyi Sejmowej, oddając do laski księcia generała, jako Marszałka Konfederacyi, akta poselstwa mojego od wojska.

Przemówiłem bez przygotowania, w krótkości, lecz tym razem bez żadnej omyłki, (gdym wymówił wyraz „posłannikiem“ nie mógł książę wytrzymać i uśmiechnął się, przypomniawszy sobie wczorajszy porter). Zgromadzony sejm i licznie zebrani słuchacze ogólnymi głośnymi oklaskami i okrzykami okryli akt przeczytany i moje poselstwo. (Ten akt był pisany przez generała Morawskiego). Reszta dnia zeszła mi na odnoszeniu i oddawaniu listów i bilecików do żon, sióstr i kochanek, które mi powierzyli oficerowie z naszego korpusu.

Generał Wielhorski dotrzymał danego mi słowa. Zastałem w Warszawie już gotową dla siebie nominacyę króla Saskiego na podpułkownika pierwszego pułku strzelców konnych pod dowódz-

twem pułkownika Przebendowskiego [1]). Nie był to dla mnie żaden awans. Wówczas podług rang francuskich stopień majora był wyższy od podpułkownika—co później było przeciwnie, lecz nie było to też żadną degradacyą. Przytem z obywatelskiej Gwardyi Narodowej wchodziłem do regularnego wojska i starego pułku, a do tego z załączonym rozkazem Ministra Wojny, przeznaczającym mnie na pierwszego adjutanta generała Kniaziewicza i podszefa sztabu 18-tej dywizyi. Dla wyekwipowania się otrzymałem urlop na kilka tygodni, a generał Kamieniecki, umiejący z każdej okoliczności korzystać, nie pytając mnie o zgodę wysłał do Drezna z mojemi depeszami kuryerem swego faworyta adjutanta-rycerza Kaź. Grabowskiego.

Korzystając śpiesznie z krótkiego urlopu, zająłem się nowem całkiem uekwipowaniem, gdyż przechodząc z piechoty do kawaleryi, musiałem sobie wszystko zupełnie odmienne, niż dotąd sprawiać. Przytem czekały mnie jeszcze większe wydatki. Chciałem rodzinę przed moim do armii powrotem w bezpieczniejszem miejscu osadzić. Zaraz Kraków, kochany Kraków, przyszedł nam na myśl, i postanowiliśmy tam się udać, jak można najprędzej. Lecz jeśli kiedykolwiek był u nas brak pieniędzy, to pewnie nigdy większy niż wówczas, gdyż kapitaliści, a nawet lichwiarze, pochowali swoje grosze, nie wiedząc jaki będzie skutek tak olbrzymiej wojny, a zatem pożyczać nie było u kogo. Swoich funduszów brak był całkowity, gdyż dobra nasze były wyniszczone przechodami, dostawami w produktach ziemskich, kontrybucyami oraz przez Konfederacyjny Sejm nakazywanymi podatkami nadzwyczajnymi, ofiarami i zastępcami. Jeden tylko zostawał środek, to jest sprzedaż domowych i familijnych sreber—śliczne pamiątki po dziadach i po rodzicach, dary królów lub trofea wzięte na nieprzyjacielu. I tego wszystkiego nikt nie chciał kupić, znać z obawy o śmieszne posądzenia z powodu posiadania, lecz trzeba było nieść do mennicy, topić i brać za to pieniądze. Mimowoli łzy mi się toczyły z oczu, gdy sam je zawiózłszy, widziałem jak te pyszne srebra, wazy, puhary, nalewki, dzbany, odwieczne pamiątki bogactw i służby krajowej, wojen i darów dawnych królów młotami tłuczono, łamano, rąbano i w piec ognisty rzucano. Wszelako zdołałem jeszcze uratować dwunastu Królów Polskich opartych na Białych Orłach, dar Jana Kazimierza. Lecz czyż można było inaczej postąpić w tak naglącej potrzebie, przy

[1]) Konstanty.

takim braku gotowizny, chcąc razem i Ojczyźnie służyć i zapewnić ratunek i sposób do życia żonie, siostrze i dzieciom.

Zostawiwszy w Warszawie zlecenia co do kompletnego umundurowania mego i co do ubioru koni podług formy służby, w jaką wszedłem, zabrałem żonę, rodziców, siostrę i dzieci, oraz co tylko można było funduszów i rzeczy kosztowniejszych i pojechaliśmy wszyscy do Krakowa, gdzie ulokowałem rodzinę w domu wówczas Kitlów obok pałacu biskupiego.

Gdy i urlop mój krótki się kończył i zwycięskie wojska olbrzymim krokiem od nas się oddalały, nie miałem czasu do stracenia. Kilka dni tylko zabawiwszy, wróciłem do Warszawy, zabrawszy tylko z Krakowa podoficera z 12-go pułku młodego Jegera, a z Karniewic porządną bryczkę, dobrą furmankę i fornala krakowiaka, oraz oprócz wracającego Augustyna, na prośbę mojej żony drugiego obrotnego i odważnego dawnego od dzieciństwa u nas służącego Karola Łąkasiewicza, razem rymarza, a zatem wygodnego w kampanii. W Warszawie też już znalazłszy wszystkie moje polecenia spełnione, natychmiast w drogę do armii wyruszyłem—że zaś minister wojny prócz tego poruczył mi do odwiezienia kasę dla naszego korpusu, przeto dodano mi na eskortę tego samego podoficera Jegera, pięciu żołnierzy piechoty z bronią, furgon skarbowy i rozkaz otwarty dawania wszędzie po drodze koni, żywności i kwatery.

Trudno sobie wystawić jak mnie w Krakowie, a jeszcze więcej w Warszawie, obładowano listami, biletami, wiktuałami, łakociami dla mężów, braci i kochanków, będących w naszym korpusie.

Podróż moja z kasowym furgonem i eskortą nie mogła być śpieszna, ile że nie wszędzie na etapach zastawaliśmy konie, lecz była zupełnie spokojna, albowiem od czasu, jak przejeżdżałem kuryerem tąż samą drogą została okolica od nieprzyjaciela oczyszczona. Zbliżające się dwa posiłkowe korpusy Szwarcenberga, Austryacki ku Wołyniowi i Saski [1]) ku Brześciowi zmusiły Czyczagowa do cofnięcia się w Pińskie. Jechałem więc przez Białystok, Grodno, Merecz, Troki do Wilna, w której to podróży trzy godniejsze wspomnienia wypadki muszę opisać.

A naprzód w Grodnie pogrzeb pana Augustą Augustowskiego, o którym, gdybym w starym polskim romansie czytał, jeszcze bym nie zupełnie wierzył, a jednakże widziałem go na moje wła-

[1]) Miejsce puste w autografie.

sne oczy. Już wieczorem przyciągnęliśmy do Grodna, a gdy zająwszy daną mi kwaterę oraz postawiwszy wartę koło kasy wyszedłem przejść się po mieście, widzę tłumy ludzi, spieszące do kościoła Dominikanów, a gdy się zapytuję o powód, powiadają mi, że będzie wielki i wspaniały pogrzeb pana Augustowskiego. Nie mając nic lepszego do czynienia, dokąd szli wszyscy, poszedłem i ja. Kościół był pełny świec bez liku, ledwo przepchałem się ku środkowi, gdzie blizko katafalku było dość wolnego miejsca. Pogrzeb wspaniały, kosztowny i nic więcej — ale oto wchodzi na ambonę Dominikanin. Mówi górnie, emfatycznie, lecz i takie kazania, lubo teraz już nie używane, były mi znane ze starych szpargałów. Wtem, gdy ma już kończyć, zwykłe słowa: „teraz słuchacze proście Boga za duszę JW.“ dodaje coś nowego: „Bo oto patrzcie sami—mówi—jak Duch piekielny czuwa i czeka na jego duszę,“ to rzekłszy wzniósł rękę ku sklepieniu kościoła. Widząc głowy wszystkich słuchaczów, nagle, jakby elektryczną iskrą razem się w jedno miejsce obracające, naturalnie i ja tam oczy zwróciłem i ujrzałem z góry spuszczającego się na sznurach dyabła, czyli raczej smoka z papieru, z którego paszczy i oczu ogniste iskry się wydobywały. Tu rozległy się po całym kościele westchnienia, jęki, niby skierowane do Boga za duszę nieboszczyka, a gdy ów smok już spuścił się do wyznaczonego miejsca, cichość się zrobiła, kaznodzieja znowu podniósł rękę i rzekł: „Szanowni słuchacze! widzę, że nieba wysłuchały wasze modły, bo oto Bóg zsyła z nieba swego namiestnika, ażeby obronił duszę cnotliwą od wyraźnej zguby i do Nieba ją przyniósł.“ Tu raz jeszcze podniósł rękę do góry; spojrzałem na owego smoka i widzę, że z drugiej strony także na sznurach spuszcza się święty Jerzy na koniu równie z papieru, trzymający w ręku dzidę, z której przyprawny fajerwerk rzuca tysiączne iskry na owego mniej ognistego smoka, a potem jeszcze miota race, petardy, szmermele, zgoła całą fajerwerkową piekielną artyleryę. Nie wiem czy z przypadku, czy też z planu tego widowiska stało się, że ów papierowy dyabeł smok tak był dobrze trafiony piorunującym mieczem świętego Jerzego, że zapalił się i kawałki zapalone papieru po całym kościele się rozleciały. Dopiero powstał krzyk, smród, dym, jedni gaszą papierki, inni ku drzwiom uciekają, tłoczą się, depczą, gniotą; wiele chustek, kornetów i sukien podartych, popalonych i mnie też, najbliżej na ogień narażonemu dostało się kilkanaście dziur w mundurze od iskier fajerwerkowych. I nieboszczyk, blizko leżący nie został w spokoju, albowiem, gdy z zapalonego smoka, kawałki wpadły między świece, musieli słu-

dzy kościelni i sami księża pospieszyć dla ugaszenia ognia, żeby podstawa wspaniała Jaśnie Wielmożnego zmarłego nie zgorzała, a jego pogrzeb z tak staroświecko-mistycznego nie zamienił się na Indyjski, gdzie umarłych po śmierci palą.

Z Grodna dwie drogi prowadzą do Wilna: jedna pocztowa dalsza a druga bliższa, którą wolałem się udać, to jest przez Merecz, albowiem mniej była zniszczona przechodami wojsk francuskich i łatwiej było dostać koni. W Mereczu miałem równie dziwny wypadek, gdyż zwyczajem wiozącego kasę jest najprzód z nią stanąć przed komendantem placu, lub jeśli go niemasz to przed burmistrzem w miejscach etapowych, czy to do czasu nim konie dostawią czyli też zanim wyszukają pewną kwaterę i szyldwachów dodadzą. Ponieważ był w Mereczu jakiś polski plackomendant, przeto stanąłem przed jego kwaterą, a lubo zajeżdżając przed dom widziałem go w oknie, jednak skoro mnie tylko zobaczył, zaraz gdzieś się tak schował, że ani śladu go nie było, znalazłem jedynie jakiegoś studencika przy stole, który nad papierami siedział i snadź dla niego pracował. Pytam się o komendanta: wyszedł; mówię o kwaterę, widzę że studencik gdzieś idzie z moim rozkazem i wraca szybko z doniesieniem, że komendant zachorował, lecz kazał, żeby jego cały dom i kwaterę dla mnie wypróżnić. Jakoż zaraz i studencik i miejski pachołek i jeszcze jakiś Żyd faktor, rozbijają się żeby mi usłużyć, mnie i ludziom posłać, jedzenie przygotować, moim koniom obroku, siana i słomy dostarczyć, o moje rozkazy pytać;—zgoła ta nieznajoma i niewidoma władza, przyjmowała mnie z takim pośpiechem i staraniem, jakby naczelnego wodza lepiej nie mogła. Już była szara godzina, miałem się kłaść spać, mając konie na bardzo rano zamówione, gdy z największą nieśmiałością, wchodzi na palcach do mnie plackomendant, kłania się, nie śmie mówić, nareszcie pada mi do nóg. Pewny byłem, że owa powiedziana choroba nie była czem innem tylko upiciem się, lub może waryacyą. Chcę go podnieść i ledwo mogę uprosić, żeby mi powiedział czego żąda ode mnie? „Panie majorze, pan mnie nie poznajesz!“ „Prawda odpowiedziałem mu, że nie mogę sobie pana przypomnieć.“ „Jestem porucznik Szostakowski z Warszawy.“ I tego nie pamiętałem nazwiska, dopiero opowiedział mi swoją przeszłość. Ażeby to zdarzenie obszerniej opisać, aż o lat pięć muszę się cofnąć. W r. 1807 nie było jeszcze porządnej konskrypcyi jak później, lecz w nocy brano młodzież po domach i odprowadzano do Prymasowskiego pałacu. Ja właśnie na kantonowej komisyi zasiadałem, żeby uwalniać tych, co należeli do Gwardyi Narodowej;

między innymi przyprowadzono młodego Kielca, syna wdowy po szklarzu, zdatnego do wojska, lecz bardzo matce potrzebnego. Nastąpił płacz i rozpacz, a do mnie prośby o wstawienie się za tą wdową; uzyskałem uwolnienie jej syna, lecz pod warunkiem, ażeby na jego miejsce innego wyszukała. „Ja mam właśnie takiego, odpowiedziała, jest na mojej ulicy młody i zdrowy chłopak, prawdziwy szynkowniany szuler, który nic nie robi tylko pije i młodzież ogrywa w karty.“ Dałem jej wartę, poszła i wkrótce mi przyprowadziła tego majsterka. Był to śliczny młody i zgrabny chłopak, lepszy daleko do wojska aniżeli wychudły Kielc, nazywał się Szostakowski; zaraz go sam oddałem do pułku a Kielca wypuściłem. Od owego czasu aż do tej mojej bytności w Mereczu ani słyszałem o nim nic. Teraz ten przemówił do mnie: „Panie majorze! byłem łotrem, miejskim próżniakiem, a dziś jestem oficerem i mam znaczenie, więc czuję dla pana wielką wdzięczność, bom tobie wszystko to winien. Byłbym może dotąd gdzie w taczkach pracował, a teraz pracuję to prawda, ale zaszczytnie. Dalej opowiedział mi, iż oddany będąc do wojska, wymaszerował do Hiszpanii gdzie, będąc zdatny do pióra został wzięty do kancelaryi generała francuskiego i kolejno dosłużył się stopnia oficera. Następnie, gdy wchodziły wojska do Litwy i osadzały miasta etapowe plackomendantami, on do Merecza został wykomenderowany z powodu znajomości języka polskiego. Dodał, że poznał mnie zaraz skoro tylko zobaczył, lecz nie śmiał przystąpić i przemówić, ażebym przy ludziach poznawszy go, nie przypomniał jego początków służby. Przyjąłem go dobrze i nazajutrz wobec wszystkich grzecznie pożegnałem, on zaś nie tylko nas konno odprowadził, lecz jeszcze mnie i ludzi zaopatrzył na drogę w chleb, drób, masło świeże i t. p.

Pod Mereczem jest wysoka i bardzo przykra góra piaszczysta zwana Pocieszka, która jest jakby progiem dwóch płaskich okolic jednej dolnej, a drugiej górnej; powinna by się raczej nazywać Smutkiem, bo tak trudno jest na nią wjechać, iż umyślnie na dole stoi karczma, ażeby było gdzie donająć koni, a nie jeden nie mogąc ponieść tego kosztu, musi na plecach część ciężaru, co ma na wozie, wnosić, bo inaczej by się pewnie na nią nie wywindował. W tej nędznej karczmie miałem osobliwe zdarzenie: na popasie potrzebując czegoś od mojego podoficera, zawołałem głośno na niego: „Jeger!“ gdyż tak się nazywał. Żyd się przeląkł i ze strachu upadł mi do nóg, pytając skąd ja wiem, że tu jest Jeger? Odpowiedziałem, że tak się mój podoficer nazywa— lecz chcąc się dowiedzieć co to za Jeger u niego się znajduje—

obiecałem, że mu się nic nie stanie złego, gdy powie prawdę. Żyd przyznał się, że od wnijścia wojsk francuskich przechowywał u siebie tego nazwiska podoficera Polaka, lecz służącego w wojsku rosyjskiem, a to przez wdzięczność, iż zostawszy u niego jakby na załodze, Jeger bronił go i ochraniał od kozackiego rabunku. Kazałem go do siebie zawołać, zapewniając, że dopomogę do jego ocalenia. Z wielkim strachem wyszedł ze swego ukrycia na poddaszu, obdarty i wychudły podoficer, a zapytany przezemnie skąd rodem—odpowiedział że z Łomży, gdy zaś imię i nazwisko wymówił, pokazało się, że był bratem rodzonym mego podoficera, który przed laty 12-tu ze szkoły uciekł i wzięty został do wojska. Uściskali się bracia, po tylu latach niewidzenia, ja zaś dałem mu świadectwo i list do Tykocina do Oborskiego, gdzie się zaraz udał przebrany w stary płaszcz polski swojego brata.

Przybywszy do Trok, znalazłem tam znajomego komendanta placu Wojciecha Żukowskiego, kuzyna Jezierskich i razem z nimi wychowanego. Miasteczko nędzne na kępie na jeziorze zbudowane, do której jedna zła grobla prowadzi, tak było przepełnione rezerwami kawaleryi francuskiej, czyli raczej żołnierzami ze wszystkich pułków, którym konie zachorowały lub były odsednione, że pomimo starań Żukowskiego nigdzie zajechać nie mogłem a dalej jechać pod noc z kasą było niepodobna. Wreszcie gdzieś daleko wynalazł mi izdebkę, lecz konie i bryczka musiały stać na dworze, a furgon wtoczyliśmy do sieni, gdzie moja warta go pilnowała, bo innej nie było. Nie upłynęło godziny, wpadli Francuzi z Bawarami do domu, porwali mi dwa konie z zaprzęgiem i mantelzak z bryczki; na krzyk furmana przybiegli moi żołnierze, lecz to wszystko było napróżno.

Udałem się zaraz do komendanta tych rezerw lazaretowych, pułkownika francuskich żandarmów Custine (wnuka sławnego ministra policyi), znanego jako wielkiego łotra i rabusia i dlatego podobno zostawionego do dozoru nad choremi końmi. Pokazawszy mu moje rozkazy i feldrutę, zaniosłem skargę „Que voulez vous? odpowiedział mi: „C'est l'etat de guerre—et d'ailleurs je sais bien, que je commande une bande de brigands.“ Dość mnie grzecznie przyjął, zaprosił na obiad i obiecał, że mi się to przed ranem wróci. Miał z sobą żonę, vel species żony, nie wiem, bom się jej o metrykę ślubną nie pytał, lecz podobniejszą do gospodyni, która się strasznie nudziła w Trokach i bardzo mi była wdzięczna, żem jej darował dwie talie kart i różnych pasyansów i sztuk nauczył, co też może sprawiło, że wróciwszy do kwatery

znalazłem i konie z zaprzęgiem i mój mantelzak na swojem miejscu zwrócone.

Nazajutrz niełatwo mi było wyruszyć z tego miejsca, przepełnionego końmi, a oto właśnie z powodu zupełnego braku koni pod furgon kasowy, aż przecie po wielu staraniach sprowadził mi Żukowski dwie pary nędznych kościotrupów końskich i dwóch mieszczan właścicieli tychże. Co za okropne figury! jeden czarny a drugi żółto-popielaty jeszcze okropniejszy, obaj tak obdarci i tak zbójeckich twarzy, że wybornie by mogli służyć malarzom za wzór kalabryjskich bandytów. Pobliżej mnie stojącego czarnego zapytuję się o popielatego; co to za człowiek tak dziwnej cery? „A to panie jest człowiek górny od samego dyabła, bo to jest Karaim“—odpowiedział – „A tyż sam panie czarny, co za jeden jesteś?“ „Ja panie jestem poczciwy człowiek, jestem Cygan.“ Piękna asekuracya kasy! Jednak na dowód, że nie trzeba pozorom ufać i temi ledwo mogącemi się na nogach utrzymać wywłokami dojechaliśmy do Wilna i przy tej bandyckiej eskorcie żadnego w drodze nie mieliśmy przypadku.

W Wilnie zastałem pełno moich znajomych i kolegów wojskowych, którzy poawansowali i trudnili się formowaniem nowych pułków litewskich, a, że książę Bassano kazał mi się parę dni zatrzymać, mając znowu do armii przesłać jakieś ekspedycye przezemnie, przeto z koleżkami jednego wieczora pozwoliliśmy sobie takiej prawdziwie żołnierskiej hulanki, iż gdyby nie szybka ucieczka nas uratowała, bylibyśmy pewnie przez żandarmeryę francuską schwytani i na noc gdzie w kozie osadzeni. Książę Bassano zaprosił mnie nazajutrz do siebie na wielki obiad. Na nieszczęście od rana deszcz lał jak z cebra, po ulicach strugi wód płynęły, a wówczas nie było w Wilnie, ani jednego pojazdu do najęcia. W tym samym domu co i ja, mieszkał podpułkownik od huzarów francuskich, wesoły, pusty, dowcipny Francuz, który właśnie nas w wilię do tej hulanki namówił. Gdy rozmawialiśmy ze sobą, o sposobach, jakby się można, nie zmokłszy dostać do księcia Bassano na obiad, przyszła mu szalona myśl do głowy, żeby tę podróż odbyć w sposobie dam hiszpańskich lub orientalnych, co też natychmiast wykonanem zostało. Na moje konie z bryczki włożono dery, bo siodeł nie miałem. Chłopaki dwa prowadzili konie za cugle, a my okręceni z głowami w płaszcze, trzymaliśmy w ręku pożyczone parasole dla ochronienia mojej bermycy, z wysokim piórem, a on bogatego, galonami i złotymi sznurkami, ozdobionego chaco i takeśmy zostali do sieni domu księcia Bassano wprowadzeni. Nie musiała to być podobna maska-

rada nowiną w owym czasie, kiedy na nas ani ludzie się nie oglądali, ani chłopcy uliczni za nami nie biegli. Po obiedzie, otrzymawszy ekspedycye od księcia Bassano, a potem od gubernatora Hogendorpa feldrutę i rozkazy o konie pod kasę, wyjechałem w dalszą podróż z Wilna. Na wyjezdnem zeszli się do mnie koledzy z pożegnaniem i radzili mi, ażebym nie słuchając feldruty Hogendorpa, nie jechał wielkim wojennym traktatem na Oszmianę i Smorgonie do Mińska, albowiem kraj ten, przechodami wojsk tak jest zniszczony, że ani żywności, ani koni do furgonu nigdzie nie dostanę, lecz żebym zaraz za pierwszą wsią obrócił się traktem na Nieśwież, drogą wprawdzie trochę dalszą, ale obfitszą we wszystko, co też uczyniłem.

Zaraz za Wilnem, jeszcze nie zjechawszy z wielkiego wojennego traktu, wśród bezdennych piasków spotkałem wózek, na którym siedział z tłomoczkiem polski sztabsoficer, czyli raczej stał smutny przy wozie, gdyż mu szkapa ustała. Zatrzymałem się, widząc tę jego niedolę i dałem mu radę, którą mnie dano, żeby trakt wcześniej opuścił. Był to Bruszkowski [1]), podpułkownik z Legii Polskiej, który dopiero co, wyleczywszy się z ran spieszył z Hiszpanii za moim pułkiem, a że etapowa nędzna furka, którą mu dali, pewnie by go dalej zawieźć nie mogła, przyjąłem go z tak lekkim pakunkiem na moją bryczkę—i jeśli to był dobry uczynek, Nieba mi nagrodziły, bo przez cały czas tej mojej podróży miałem najlepsze w nim towarzystwo i wybornego kolegę. Mieli słuszność ci, co mi tę drogę wskazywali, gdyż w rzeczy samej, im bardziej oddalaliśmy się od wielkiego traktu, tym więcej znajdowaliśmy wygód, koni i lepsze przyjęcie od obywateli.

---

[1]) Andrzej Broszkowski.

Dola i niedola Irlandyi.

I.

Odzyskanie samorządu, utraconego w roku 1800 przez akt Unii z Anglią, nie schodziło nigdy z programu politycznego Irlandyi. Pod nazwą *Repeal* „odwołanie," bronił tej idei nieśmiertelny O'Connell; jako *Home-rule* „domowy rząd," ukazała się w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia. Parnell potrafił zyskać dla niej angielskie stronnictwo liberalne i wielkiego Gladstone'a. Bill samorządu dla Irlandyi, odrzucony w r. 1886 przez izbę niższą, a w r. 1893 przez izbę Lordów, doczekał się obecnie pomyślnego załatwienia. Przywódca posłów irlandzkich, John Redmond, okazał się godnym następcą O'Conella i Parnella, tak jak minister Asquith rozumnym spadkobiercą Gladstone'a.

Repeal żądał dla Irlandyi zupełnej odrębności politycznej, ograniczając się jedynie do unii personalnej z Anglią, *Home-rule* chce samorządu w sprawach tylko irlandzkich, nie naruszając w niczem jedności imperyum brytańskiego. Nie brak i w dzisiejszej Irlandyi zwolenników zupełnej separacyi, [1]) atoli zwyciężyła

[1]) Stronnictwo *Sinn Fein* (My sami), nie uznające parlamentu londyńskiego, jako instytucyi, narzuconej siłą, zwróciło uwagę zwycięstwem przy wyborach municypalnych w Dublinie w r. 1906 i 1907. W praktyce zwalcza emigracyę i odwodzi Irlandczyków od służby wojskowej. Mimo, że wpływ jego rośnie stale na prowincyi, decydującą rolę odgrywa stronnictwo narodowe, *United Irish League*, kierowane obecnie przez Johna Redmonda. (L. Paul Dubois: *Irlande contemporaine et la Question Irlandaise*, Paryż 1907; Raymond Recouly: *En Angleterre*, Paryż 1910).

rada, którą niegdyś wypowiedział Grattan: [1]) „Kanał św. Jerzego nie dopuszcza unii, ocean nie pozwala separacyi.“

Znaczenie *Home-rule'u* można należycie zrozumieć jedynie na tle najogólniejszego bodaj obrazu współczesnej Irlandyi, będącego wynikiem systematycznego podboju Wyspy przez Anglików w latach 1495 do 1691 i następnej polityki zwycięskiego rządu w w. XVIII. Ten podbój systematyczny poprzedzały od końca XII w. najazdy angielskie, przeszkadzając normalnemu procesowi politycznego zjednoczenia czterech państw irlandzkich, *Ulster* (północ), *Leinster* (wschód), *Münster* (południe) i *Connaught* (zachód) [2]).

Najważniejszym wynikiem systematycznego podboju były t. zw. plantacye, to jest masowe wywłaszczenia wolnych Irlandczyków, przodków dzisiejszych chłopów-dzierżawców, a oddanie *wszystkich* gruntów Anglikom, przodkom dzisiejszych landlordów-dziedziców. (W roku 1903 około 14.000 landlordów posiadało 97% wszystkich gruntów). Dawna arystokracya bądź wyginęła, bądź wyemigrowała.

Z chwilą ukończenia zbrojnego podboju, mającego za cel wytępienie ludności celtyckiej, nie chcącej przyjąć kultury angielskiej, rząd londyński prowadził dalej tę samą politykę drogą ustawodawczą, a to zapomocą osławionych „Praw karnych,“ *Penal laws*, tępiących pierwiastki irlandzkie i katolickie kraju. Ogłoszenie Unii i włączenie parlamentu dublińskiego do parlamentu londyńskiego było przełomową chwilą w tej polityce. Mimo, że była to „unia rekina ze swą zdobyczą,“ (słowa Byrona), Irlandya, nie przestając być kolonią podbitą, strzeżoną przez zbrojny garnizon, [3]) zwolna poczyna przecie stawać się częścią państwa bry-

[1]) Henryk Grattan (1746–1820), typ patryoty irlandzkiego, mimo pochodzenia angielskiego, wyznania protestanckiego i wychowania w osławionem do dziś dnia antiirlandzkiem *Trinity College* w Dublinie. Jako poseł w parlamencie dublińskim, korzystał zręcznie z wojny amerykańskiej, by pozyskać zniesienie najuciążliwszych *Penal laws*, praw karnych, tępiących wszystko, co irlandzkie i katolickie. Jako poseł w Londynie po Unii przygotował grunt do politycznej emancypacyi katolików irlandzkich.

[2]) Historyę tego podboju streszcza dobrze, wspomniana książka Dubois, jedno z najlepszych dzieł o stosunkach irlandzkich. Z literatury podróżniczej zasługuje na uwagę książka p. Maryi Bovet (autorki książki o Krakowie) p. t. *Trois mois en Irlande*, Paryż 1909.

[3]) Ten rozdział na dwie Irlandye utrzymał się do dziś dnia. Anglików stale oznacza się nazwą *garnizonu*, lub *Uitlanders*, pospolicie także *The English in Ireland* (Dubois, ibid. część I, rozd. I i II).

tańskiego, a Celtowie irlandzcy z „wrogów“ obywatelami. Atoli zamiast normalnego stosunku prawno-państwowego, powstaje nienormalna „kwestya irlandzka“, a odpowiada jej dwulicowa polityka Anglii, która nie może już Irlandczyków tępić, a nie chce ich jeszcze ratować. Zwolna jednak zaczyna się kwestya irlandzka wyjaśniać, a obecne uchwalenie *Home rule'u* jest tak samo przełomową chwilą dla Erynu, jak nią był akt Unii z przed stu dwunastu lat.

*

* *

Głównem złem współczesnej Irlandyi stała się kwestya agrarna. Anglia wprowadziła tu gwałtownie nowy system gospodarczy w warunkach dla obydwóch stron nadzwyczaj trudnych. Takiż system panował wówczas powszechnie w Europie, atoli wszędzie wykształcił się powoli, wszędzie chłop był tej samej rasy, języka i religii co dziedzic. Ten rozdział ekonomiczny, socyalny i cywilizacyjny, zwiększany był stale w Irlandyi przez dziedziców landlordów i rząd angielski za pomocą niesłychanego wyzysku i prześladowania religijnego i narodowego, aż do czasów ostatnich. Kiedy po wojnach napoleońskich spadły ceny zboża w Anglii, wielcy właściciele ziemscy zaczęli tam coraz szybciej przemieniać gospodarstwo rolne na łąkowe. Chłop irlandzki, nie mający w kraju wielkich ognisk przemysłowych, naturalnych miejsc zbytu dla pracy, jak to było w Anglii, znalazł się w obliczu widma niechybnej katastrofy, tembardziej, że ta przemiana systemu gospodarczego pociągnęła za sobą niesłychane rozdrobnienie ziemi, któremu sprzyjała wielka płodność ludności wiejskiej[1]).

[1]) Już w r. 1851 pastwiska zajmują 87, a w r. 1901, 107 milionów morgów. W r. 1906 pokrywają już 80% całej ziemi. (Dubois, ib. str. 212 i 213, uw. 1).

Typ wielkiej własności w Irlandyi przedstawić może graficznie koło, podzielone na 3 wycinki. Pierwszym będzie *demesne*, grunt we własnej uprawie landlorda, rozłożony wokół zamku, *mansion*; drugi wycinek odpowiada pastwiskom, wynajmowanym na każdy sezon hodowcom bydła, znienawidzonym przez wieśniaka *graziers*; trzeci wreszcie przedstawia grunta wydzierżawione chłopom, są to *tenants*, dzierżawy.

Pierwszy powszechny nieurodzaj ziemniaków sprowadził katastrofę. „Wielki Głód“ w latach 1846—1849 zabrał 985,366 ofiar. Wtedy to zaczęła się na wielką skalę emigracya, a ludność Irlandyi z 8,175,000 w r. 1841 spadła w przeciągu 60 lat do 4,458,000. Obliczenia z r. 1901 pokazują, że na 590,648 drobnych gospodarstw wiejskich 216,923 obejmuje gruntu poniżej 15 morgów, to jest tego minimum (na tamtejsze stosunki), potrzebnego dla wyżywienia rodziny.

Dodać potrzeba, że pod łąki i pastwiska oddano co lepszą ziemię, zostawiając najuboższy grunt pod gospodarstwa chłopskie. Jak szybko odbywał się ten proces, poznać można z tego, że np. w latach 1850—1860 landlordowie zburzyli 282.000 domów chłopskich, pozbawiając w ten sposób ziemi 373,000 rodzin. Emigracya zabrała Irlandyi w tym czasie 1½ miliona ludności. Ruch emigracyjny, chociaż zmalał w latach ostatnich, do niedawna jeszcze zabierał po 50.000 rocznie.

Emigracya zapobiega przynajmniej w części gwałtownemu rozdrabnianiu gruntu i wspomaga Irlandyę stale zasiłkami pieniężnymi tak na cele publiczne, jak i prywatne. W zachodniej, najuboższej części kraju niema prawie rodziny, któraby nie otrzymywała pomocy od synów i córek z Ameryki, bez czego większa część ludności w tych stronach absolutnie nie mogłaby wyżyć.

Stanowisko Anglii w kwestyi agrarnej irlandzkiej było zawsze połowiczne i chwiejne.

Od r. 1829 aż do r. 1867 parlament odrzuca 23 wnioski rządowe, przychylne wieśniakom irlandzkim. Kiedy w r. 1850 dzierżawcy zawiązali ligę dla obrony swych interesów, lord Palmerston wyraził się, że „prawa dzierżawców są krzywdą landlordów.“ Nie mógł jednak rząd stale pozostać na stanowisku bezczynnego widza. Pierwszym krokiem było stworzenie w r. 1849 „Izby Sądowej Ziemskiej“ dla uregulowania długów wielkiej własności. W przeciągu 10 lat Izba wykupiła za 20 milionów f. szt. zadłużonych gruntów z rąk landlordów, które sprzedała następnie około 10.000 spekulantów rolnych, kapitalistów i kupców angielskich, na czem najgorzej wyszli wieśniacy.

Stosunek prawny wieśniaków irlandzkich do ziemi w trzech głównie kierunkach domagał się zdawna reformy. Stając się dzierżawcą na podstawie jedynie ustnej umowy, był wieśniak niepewnym posiadaczem, którego landlord mógł w każdej chwili z gruntu usunąć, a z drugiej strony był poniekąd „glebae adscriptus,“ nie mogąc swej dzierżawy ustąpić drugiemu. Na jego też barkach spoczywały wszelkie wkłady w ziemię i gospodarstwo. Gdy

w Anglii w XIX w. lordowie obrócili setki milionów na polepszenie gospodarstwa rolnego, landlord irlandzki nie wydał nigdy grosza na ziemię, ciągnąc z niej tylko zyski. Wieśniak-dzierżawca obowiązany był do stawiania domu i budynków gospodarskich, on budował drogi i mosty swym kosztem. Z chwilą opuszczenia gruntu nie otrzymywał żadnego odszkodowania za poczynione wkłady. W końcu dodać należy, że landlord mógł w każdej chwili podnosić rentę dzierżawną, pewien będąc, że nie zabraknie nigdy kandydata na opuszczony grunt.

Dla swej obrony zakładają wieśniacy w r. 1850 „Ligę dzierżawców," *Tenant-League*, która na swym sztandarze wywiesza hasło „trzech F" (*Free-Sale*, wolność sprzedaży prawa dzierżawnego; *Fixity of tenure*, kontrakt dzierżawny w miejsce umowy; *Fair rent*, sprawiedliwy czynsz).

Słuszne żądania Ligi uwzględnił rząd częściowo, wprowadzając w r. 1860 kontrakt dzierżawny w miejsce umowy.

Kiedy władzę w Anglii objęło stronnictwo liberalne z Gladstone'm, kwestya agrarna weszła na lepsze tory.

W r. 1870 przeprowadza Gladstone słynny bill agrarny, regulujący stosunki rolne w Irlandyi według „zwyczaju w Ulster," istniejącego w tej prowincyi od XVII w.

Zwyczaj w Ulster był mimo to postępem wobec tak niesprawiedliwych stosunków, jakie panowały w reszcie kraju. Był to „zwyczaj" nadany presbiteryańskim wieśniakom szkockim, sprowadzonym do północnej Irlandyi przez Jakóba I.

Mimo że bill agrarny z r. 1870 nie uwzględniał trzeciego F, to jest niesprawiedliwie wysokich czynszów, był on bądź co bądź pierwszym poważnym krokiem na drodze reform agrarnych, tym więcej, że Gladstone umieścił w nim ustęp o możliwości wykupna gruntów, czyli o uwłaszczeniu wieśniaków irlandzkich. Na razie bill ten tylko częściowo zaradzał złemu, czego dowodem, że nie ustały masowe rugi, *clearances*, a w latach 1870—1876 zanotowano ich 14.080.

Idąc dalej drogą reform agrarnych, wprowadza Gladstone w r. 1881 wieczysty kontrakt dzierżawny i rewizyę rent co 15 lat. W rezultacie powstał w ten sposób dualizm własności, niezdrowy tak pod względem ekonomicznym, jak i socyalnym. Według wyrażenia lorda Dufferin „Gladstone położył gwałtem landlorda i dzierżawcę do jednego łóżka; z konieczności jeden drugiego wyrzuci na ziemię." Opinia publiczna w Irlandyi uważała reformę z r. 1881 za dobroczynną i konieczną, ale tymczasową. Główną jej wadą było to, że nie uwzględniała ani coraz większego

rozdrabniania ziemi, ani coraz szybszego procesu przemiany gospodarstw rolnych na łąkowe.

Ostatecznie stało się rzeczą jasną dla rządu, że dopiero uwłaszczenie wieśniaka irlandzkiego może stać się podstawą do racyonalnych reform agrarnych, wszystkie zaś połowiczne środki tylko odwlekają, a nie załatwiają tej piekącej sprawy. Hasło uwłaszczenia, podniesione przez „Ligę Agrarną," założoną w roku 1880 przez Parnella i Davitta, stało się obok hasła samorządu naczelnym postulatem posłów irlandzkich. Po pierwszej próbie z r. 1885 (bill Ashbourne) wystąpił wreszcie rząd w r. 1903 z wnioskiem powszechnego uwłaszczenia dla całej Irlandyi, który zyskał moc prawa po uchwale parlamentarnej w sierpniu tegoż roku.

Autor billu, Wyndham, sekretarz jeneralny dla Irlandyi, przewiduje dokonanie całego procesu na lat 15. Prawo agrarne z r. 1903 nie postanawia przymusowego wywłaszczenia landlordów. Jestto prawo wywłaszczenia warunkowego, prawo perswazyi; ofiarowuje bardzo wielkie korzyści landlordom, pragnącym sprzedać swą ziemię, a obiecuje w sposób błyskotliwy, choć dosyć zwodniczy, dobrodziejstwa ekonomiczne wieśniakom, wykupującym grunta dzierżawione. Prawo to wyszło z łona rządu, przychylnego landlordom; pod szatą bezstronności ukrywa ono rzeczywiste zamiary rządu, pragnącego lepszej części dla landlordów; podnosi bardzo wysoko cenę ziemi i kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo zawikłania na nowo całej kwestyi agrarnej w Irlandyi. Skutki jego już się po części okazały. Ziemia wzrosła w cenie niezwykle szybko. Gdy przed r. 1903 cena jej wynosiła normalnie 17½ razy więcej, niż renta dzierżawna, to po uchwaleniu prawa wzrosła do 40-tej wielokrotności renty, obdłużając w ten sposób drobną własność na kilka pokoleń (wykup rozłożono na 68½ lat). Dodajmy do tego, że prawo z r. 1903 jest prawem tylko warunkowem, że pozostanie zawsze pewna liczba landlordów, nie chcących sprzedać swej ziemi. Z drugiej strony, z chwilą, kiedy wieśniak z dzierżawcy stanie się właścicielem, kwestya agrarna bynajmniej jeszcze nie zostanie uregulowaną. Wtedy dopiero otwiera się droga do reform: do zapobieżenia rozdrobnieniu ziemi, do ułatwienia wieśniakowi zbytu produktów, a przedewszystkiem do fachowego wykształcenia go jako rolnika[1]).

[1]) Dla ilustracyi stosunków, panujących między landlordami, a wieśniakami, przytaczamy opis naocznego świadka, który w r. 1909 odbywał podróż po Irlandyi (Albert Demangeon: *Impressions d'Irlande*, Rouen, 1910).

Kwestya agrarna najostrzej wystąpiła w zachodniej prowincyi, w Connaught. Posłuchajmy, jak opisuje te strony p. Dubois, autor wspomnianej książki o kwestyi irlandzkiej (str. 288 i nast.).

„Okolica pustynna, skalista, obfita w bagna i torfowiska: sine skały, miejscami żółte od chwastów, czarne błota, porosłe wrzosem, ciągną się w dal nieskończoną, na tych nizinach pagórkowatych, wiecznie do siebie podobnych; rzeki pozbawione odpływu, toczą się leniwo, bez pośpiechu. Co krok wydobywa się

„Patryk (imię popularne w Irlandyi) bynajmniej nie jest zadowolony. Nie wszyscy landlordowie pozbywają się ziemi, nie wszyscy pozbywają się całej ziemi naraz. Na 544.000 dzierżawców zaledwo 80.000 skorzystało dotąd z pomocy skarbu (5.000.000 f. szt. rocznie asygnowanych, jako kredyt na uwłaszczenie; przyp. aut.), inni czekają. Zewsząd wieśniacy domagają się wywłaszczenia landlordów, sami chcą oznaczyć wysokość ceny wykupu, oznaczyć grunta, które im odpowiadają i wykupić je siłą. Oczekując na prawo, niechybnie niedalekie, które postanowi sprzedaż obowiązkową, używają Irlandczycy środków przymusowych, których nauczyła długa praktyka agitacyjna. Byłem świadkiem jednego epizodu tej walki, niewątpliwie bardzo charakterystycznego dla poznania stanu umysłów dzisiejszych wieśniaków.

„Przypadek szczęśliwy zdarzył, że spędziłem 4 dni w samem sercu *Tipperary* (hrabstwo w prowincyi Münster, przyp. aut.) w okolicy, gdzie stosunki między landlordami a wieśniakami są dosyć naprężone, w gościnie u landlorda, p. C... Na wstępie zastałem posterunek policyjny w bramie parku, a później podczas przechadzek spotkałem jeszcze 4 posterunki. Mój gospodarz odziedziczył po swym ojcu wielki majątek, obejmujący 2.000 hektarów. Wkrótce potem w myśl ustaw agrarnych postanowił sprzedać część ziemi (1500 ha) swym dzierżawcom, zatrzymując dla siebie 500 ha wokół domu we własnem gospodarstwie. Wieśniacy z sąsiedztwa, jedni jeszcze bez roli, drudzy nie mający jej dosyć, postanowili go zmusić do sprzedaży reszty ziemi i domu. Pewnego wieczoru przybyli w liczbie około 300, odparli nadbiegłą policyę, dostali się aż pod dom, gdzie połamali drzwi i wybili okna. Nadeszły posiłki policyi, a te z powodu nocy zaaresztowały tylko 8 napastników, z których później trzech skazano na 8 miesięcy więzienia, obostrzonego *hard labour*, pięciu innych na 4 miesiące takiej samej kary.

„Po napadzie ogłoszono zbojkotowanie p. C., to znaczy, że w promieniu 50 km. zakazano wszystkim cokolwiek mu sprzedawać, czy od niego kupować. W sąsiednim mieście Thurles ani jeden kupiec nic mu nie sprzedał; zaczem p. C. zmuszony jest jeździć do Dublina o 150 km. na zakupno wszystkiego, chleba, mięsa, węgla. Bojkot rozciągnął się nie tylko na niego samego, 150 robotników rolnych, pastuchów etc. znalazło się w położeniu albo porzucić pracę, albo narazić się na bojkot. Ponieważ pozostali, zastosowano bojkot i do nich. Potrzeba było więc pomyśleć i o ich wyżywieniu. Dom zamieniono na sklep i p. C. począł sprzedawać swym nowym klientom słoni-

z gruntu woda, zabarwiając wszystko wokół rdzawą barwą. Drogi niedbale krzyżują się w zygzakach, nie troszcząc się o koniec, to znów biegną prosto w dal, nigdzie nie prowadząc. Budował je niegdyś rząd w czas wielkiego głodu, by dać zarobek ludności. Ani śladu drzew, często wieśniak nie zna nawet ich kształtu! Gdzie tylko grunt jest płaski, wszędzie bagna i torfowiska; torfowiska czarne, bądź czerwone. Wykopuje się je w liniach prostych, równoległych, jedne niżej od drugich, piętrami coraz głębszemi, by dostać torfu; małe jego kostki suszą się tuż obok, raczej na świetle, niż na słońcu. Tymczasem wykopane rowy wypełnia zwolna woda czarna, sącząca się zewsząd z gruntu, by z gąbki napęczniałej... Rzadko gdzie spotkać możemy wieś, lub bodaj chałupę samotną: nikogo na drogach. Tę pustkę zaludniają jedynie ruiny starych klasztorów z VII i VIII w., kiedy cała Europa szukała tu mądrości, w Lismore i Clonmacnoise; ruiny opactw średniowiecznych; potężnych zamków starych rodzin anglo-normandzkich; ruiny domów współczesnych, niegdyś szczęśliwych; wszystkie one zdają się bardziej żywe od ludzi na tej ziemi starej, wyczerpanej, wpół-umarłej, gdzie nic już nie może ustać, ani ten zwietrzały mur, upadający pod ciężarem pleśni, ani tam-

---

nę, cukier, świece, materye etc. Ponieważ kowale z Thurles nie chcieli mu kuć koni, trzeba było założyć kuźnię; podobnie okazała się konieczność naprawienia starego pieca i wypalania samemu wapna. W podróży pewien właściciel hotelu wzbronił p. C. wstępu do siebie; śledzą go wszędzie bardzo pilnie i biada każdemu za najmniejszą przysługę. Właściciel trafiki w Thurles za sprzedanie p. C, pudełka zapałek ujrzał u siebie w kilka chwil potem członków Land-ligi, którzy przyszli wybić wszystkie okna w sklepie. Policya strzeże dniem i nocą majątku, gdyż obawiać się trzeba zwłaszcza t. zw. *cattle-driving*, to znaczy masowego przepędzania bydła. Liga uzbraja w kije bandę wieśniaków, którzy przepędzają bydło bojkotowanego, korzystając z osłony nocy. Jeśli policya nie odbije stada, właściciel, któremu grozi ruina, napróżnoby szukał straty: nikt w okolicy ani słowem nie zdradzi, gdzie się bydło znajduje. Bojkot jest straszną bronią, zwłaszcza w majątku p. C., wyłącznie łąkowym. Dochód jego stanowi tuczenie bydła, którego atoli sam nie wyhodowuje, skupując w sąsiedztwie młode barany i cielęta. Z chwilą bojkotu zmuszony jest sprowadzać bydło z daleka, co się znów nie opłaca ze względu na koszta przewozu."

Jakby w odpowiedzi na wytłómaczenie tych anormalnych stosunków, cytuje p. Demangeon w innem miejscu słowa pewnego górala irlandzkiego: „Te pola, które pan widzi w dole, należą do landlorda; ciągnie z nich wielkie dochody, gdy tymczasem jego dzierżawcy mrą z głodu. Jestto Anglik; nienawidzę Anglików, prześladowali moją religię i zabijali mych przodków."

ten most, walący się pod brzemieniem wieków. Jedyne pokrzepienie dają *chapels*, małe kościołki, widne zdala co pewien czas, białe, budowane na pagórkach tuż przy drodze, jedyne świadki życia w tym krajobrazie śmierci. Wszędzie, gdzie tylko grunt pozwala na to, olbrzymie pastwiska, pocięte w kwadraty kamiennymi murami; nigdzie żywej duszy ludzkiej, ani domu; małe czarne krowy, stada owiec, oto jedyni mieszkańcy tych preryi. Dopiero zdala od głównych dróg, gdzieś u podnóża wzgórzy, czy u brzegów wielkich torfowisk grupki maleńkich domków, przylepionych jedne do drugich, w ziemię zapadłych, z dachem słomianym, zaokrąglonym, jak dno wywróconej łódki. Niektóre z nich to lepianki z błota wysuszonego. Tych *mud cabins* jeszcze dziś liczą w Irlandyi około 20.000. Wiele domów stoi pustką, inne znów w ruinie, niektóre z dachem spalonym świecą nagimi murami. Przysłowie irlandzkie mówi, że wieśniak nie ma nic na własność, prócz Pana Boga, wody z nieba i światła dziennego.

„Gdzie jest ziemia zdolna do uprawy, tam niema ludzi, gdzie są ludzie, tam brak lub niedostatek ziemi. Wywrócono naturalną równowagę między ziemią a człowiekiem. Nigdzie w Irlandyi rozdrobnienie gruntu nie doszło tak daleko jak tutaj, w Connaught. Nigdzie też nie srożył się, jak tutaj, wielki głód. Landlordowie radzili złemu, przedsiębiorąc tutaj właśnie na olbrzymią skalę masowe rugi wieśniaków, których skutki widzimy dzisiaj. Za przykładem bogatych hodowców z Leinster i Münster obracają na olbrzymie pastwiska tutejszą ziemię, bynajmniej nie nadającą się do tego. „Bydło zjadło tutaj ludzi," powiedział Tomasz Moore.

„W obwodzie Westport, w hrabstwie Mayo, pod pastwiska obrócono 60.371 hektarów, pozostawiając ledwo 6.000 dla 5.488 rodzin wieśniaczych. Ogółem w temże hrabstwie zaledwo 7% całej ziemi pozostawiono pod uprawę rolną, w niektórych okręgach ten stosunek spada do 5.5%. Jeżeli dochód 10 f. szt. (250 fr.) oznaczymy jako minimum dla utrzymania jednej rodziny, to w obwodzie Westport na 5.488 rodzin 4.811 ma dochód niższy od tego minimum, w Castlebar 3.760 na 4.383, w Ballinrobe 2.776 na 3.849. W hrabstwach Donegal i Mayo połowa rodzin, w obwodach Oughterard i Bellmullet trzy czwarte ma dochód niższy od 4 funtów (100 franków). W pewnej parafii w Roscomon na 1100 domów w 900 bydło mieszka w jednej izbie z ludźmi... Za chałupą małe kwadraciki ziemi czarnej, napęczniałej wodą, odgrodzone kamiennym murem od pola sąsiada. Renta dzierżawna wynosi tu 15 do 60 fr. za hektar, częstokroć więcej, niż w bogatej prowincyi Ulster. Prawa agrarne są tu bezsilne. Choćby wieśniak

został właścicielem gruntu, i tak nie wyżyje z ziemi, ze swego karlego gospodarstwa. Pożywieniem są wyłącznie ziemniaki, w złym roku zacierka z kukurydzy. Powszechnie używają herbaty, gotowanej przez kilka godzin. Stałe używanie trucizny, w ten sposób przyrządzonej, oddawna odbiło się niekorzystnie na umysłowości wieśniaka irlandzkiego. Rodziny wieśniacze nie wyżyłyby tutaj, gdyby nie stała pomoc synów i córek z Ameryki, gdyby nie coroczne wychodźtwo na robotę do Anglii i Szkocyi. W obwodzie Swinefort połowa dorosłej ludności męskiej szuka w ten sposób zarobku, na wyspie Achill nie można znaleść ani jednego zdrowego mężczyzny poniżej 60 lat.“

Zatrzymaliśmy się umyślnie dłużej nad kwestyą agrarną dlatego, że jak z jednej strony jest ona najbardziej palącą, tak z drugiej strony polityka angielska w najtypowszy tutaj objawiła się sposób. Jako żywy protest przeciw tej polityce, zdołał jednak wieśniak irlandzki utrzymać się nawet w tak ciężkich warunkach. Ostatecznie wszakże rząd pod naporem posłów irlandzkich, a zwłaszcza coraz bardziej rewolucyjnych ruchów masowych, rozpocząć musiał reformy, zawsze jednak niewystarczające i zawsze prawie nieszczere. Tak samo ma się rzecz i na innych polach publicznego życia w Irlandyi. Na polu przemysłu, zarządu, języka, religii, oświaty, Irlandya cierpiała ciężko i cierpi do dziś dnia na skutki zarządu angielskiego. I dlatego właśnie walka o *Home-rule* była walką nie o czcze hasła polityczne, ale wprost o środki do życia, a zdobycie samorządu jest ocaleniem Irlandyi od niechybnej zguby.

II.

Przyroda nie pozbawiła bynajmniej „Zielonej Wyspy‘ warunków dobrobytu. Bogate rozwinięcie brzegów nadaje się przewybornie do rozwoju żeglugi, nizinny układ wnętrza kraju i gęsta sieć spławnych rzek pozwalałyby na dobrą i tanią komunikacyę. Bogactwo węgla, rudy żelaznej, pokłady ołowiu, miedzi, cynku, doskonała glinka garncarska, przepiękne marmury, a zwłaszcza produkty rolnictwa i hodowli bydła, dostarczyć mogły poddostatkiem surowego materyału dla rozlicznych gałęzi przemysłu. Było tak niegdyś, kiedy to np. warsztaty irlandzkie dostarczały płócien żaglowych dla całej marynarki brytańskiej. Skarżyli się na to tkacze angielscy Wilhelmowi III, a ten odpowiedział im:

„uczynię wszystko, co tylko w mej mocy, by zniechęcić przemysł lniany w Irlandyi.“

Te słowa charakteryzują najlepiej politykę angielską. Rząd angielski zacieśniał więzy i na ekonomicznem życiu narodu. „Zniechęcanie“ przemysłu towarzyszyło zawsze w Irlandyi prześladowaniu języka i religii.

„Zwolna, jedna za drugą, wszystkie gałęzie naszego przemysłu zduszono w zawiązku lub bezbronne wydano zawiści naszych rywalów angielskich, aż w końcu wyschły do dna wszelkie źródła bogactwa“ (słowa lorda Dufferin. [1])

Dzisiejszy przemysł irlandzki ogranicza się do budowy okrętów, wyrobu płótna i przemysłu gorzelnianego. Budowa okrętów w Belfaście, zatrudniająca przeszło 15.000 robotników, ciągle jeszcze zastrzeżoną jest prawie wyłącznie dla robotników nie-katolików; z fabrykacyi płótna (70.000 robotników) ciągnie zyski protestancka prowincya Ulster; światową sławą cieszą się dublińskie gorzelnie whisky i browary porteru, prócz tego istnieją wszędzie mniejsze gorzelnie, z którymi konkuruje tajne pędzenie wódki po wsiach. Szeroko rozpowszechnione pijaństwo stanowi odwrotną stronę tej gałęzi przemysłu.

Komunikacya kolejowa, pozostająca wyłącznie w ręku kompanii angielskich, jest tego rodzaju, że np. z Dublinu na drugą stronę wyspy do Sligo taniej wypada wysyłka towarów morzem przez Glasgow, niż koleją przez Irlandyę. Kompania amerykańska w Galvay przewozi marmury taniej do Ameryki, niż do któregokolwiek miejsca w samej Irlandyi. Taryfy kolejowe w Londynie pobierają za tonę jaj z Danii 24 szyllingi, za jaja z Irlandyi 94. Straty w przewozie bydła wynoszą corocznie z powodu opóźnień i wypadków kolejowych pół miliona funtów szterlingów.

Wszystkie oszczędności irlandzkie, składane w bankach miejscowych, idą do Anglii dla popierania przemysłu i handlu angielskiego.

III.

Home-rule wprowadza w Irlandyi nie tylko własny parlament, ale i własny rząd odpowiedzialny.

Cała nienawiść Irlandyi zwracała się zawsze nie tyle przeciw parlamentowi londyńskiemu, ile przeciw osławionemu „Zam-

[1]) Dufferin: *Irish Emigration and the Tenure of Irish Land.* Londyn. 1867.

kowi“ w Feniks parku, w Dublinie. Rezyduje tu wice-król, „Lord lejtnant generalny i gubernator generalny Irlandyi.“ W rzeczywistości władza jego i jego pomocnika, „sekretarza naczelnego dla Irlandyi,“ jest raczej nominalną. Istotnymi panami kraju byli zawsze: stały podsekretarz i szef policyi oraz liczne t. zw. *Boards*, czyli ciała administracyjne, z których każde składa się z kilkunastu wyższych urzędników.

Na stanowisku sekretarza naczelnego nie brakło nieraz ludzi bardzo zdolnych i bardzo uczciwych. Zatrzymywani jednak przez większą część roku w Londynie w pracach parlamentu, jako członkowie ministeryum i zmieniający się podczas każdego przesilenia gabinetowego, nie zdołali oni nigdy przełamać oporu tradycyjnej polityki „Zamku.“

Opinia publiczna w Irlandyi uważała zawsze administracyę krajową za „najkosztowniejszą, a najmniej skuteczną na ziemi.“

„Nie wiedzą, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy ich władza; ustawicznie następują sobie wzajemnie na pięty. Jeden departament ma polecenie wyczyszczenia szyb od pola, drugi od wewnątrz, a wynik jest taki, że szyby zawsze są brudne“—powiada o tych *Boards* lord Dunraven. [1])

Ile razy parlament uchwalił prawa korzystne dla Irlandyi, tyle razy „Zamek“ za pomocą interpretacyi psuł cały mechanizm i nie dozwalał mu iść, zatrzymując w ten sposób wszelkie ustępstwa ze strony Anglii.

Poważny wyłom w tym systemie uczyniła dopiero reforma zarządu lokalnego w r. 1898, wprowadzająca w miejsce dawnych *Grand Jury*, mianowanych przez Szeryfa z pośród landlordów nowe instytucye samorządowe, pochodzące z wyboru, a mianowicie t. zw. „Wydziały Hrabstw“ i pomniejsze „Wydziały Obwodowe,“ miejskie i wiejskie. Po pierwszych zaraz wyborach zasiedli w nich w olbrzymiej większości reprezentanci stronnictwa narodowego, obejmując równocześnie wszelkie urzędy, których obsadzanie przyznało prawo tym wydziałom.

Antagonizm narodowy i religijny zaznaczył swe piętno nawet w tej dziedzinie życia publicznego, która z natury swej nie powinna uznawać różnic wyznania i języka. Sądownictwo w Irlandyi, pozostające prawie wyłącznie w rękach Anglików i usuwające katolickich Irlandczyków nawet od sądów przysięgłych, dopomina się zdawna reformy.

[1]) *The Crisis in Ireland*, Londyn, 1905, str. 46.

IV.

Przed Unią była Irlandya pod względem finansów w o wiele lepszem położeniu, niż Anglia. W r. 1800 wypadało w Anglii na głowę 3 f. szt. 2 pensy podatku, a 42 f. szt. 10 szyl. długu państwowego; w Irlandyi wtedy podatki wynosiły 12 szyl. 1 pens, a dług nie przenosił 5 f. szt. 14 szyl. na głowę.

Unia okazała się zgubną dla Irlandyi i na polu finansów. [1]) Rząd londyński wliczył w dług irlandzki koszta Unii, t. j. półtora miliona f. szt., za które kupił głosy parlamentu w Dublinie i 2½ miliona f. szt. wypłaconych „zwolennikom przyłączenia Irlandyi.“ Wojny napoleońskie obciążyły jeszcze bardziej budżet kraju, zaczem wkrótce dług irlandzki powiększył się 4 razy, gdy w tym samym czasie dług angielski wzrósł zaledwo o połowę. Połączenie finansów irlandzkich z angielskimi w r. 1817 było ostateczną klęską dla kraju. [2])

Wyzuty z ziemi ojców, doprowadzony do ruiny ekonomicznej, nie zatracał jednak Irlandczyk przez długi czas kultury rodzimej: jej to wypowiedziała Anglia od samego początku zaciętą walkę. „Celem wszelkiej polityki każdego rządu jest ukształtowanie indywidyuum,“ *the making of charakter*, powiedział nie bez słuszności irlandzki poeta B. W. Yeats. O to przerobienie katolickiego Celta irlandzkiego na episkopalnego Anglika starał się zawsze rząd londyński. Atoli do czasów Kromwela silna, stara kultura celtycka wchłaniała wszystkich przybyszów z Anglii, robiąc tak dalece z nich Irlandczyków, że zasłużyli sobie w dawnej ojczyźnie na nazwę: *Hibernis ipsis Hiberniores*. W połowie XVI w. w parlamencie dublińskim zaledwo jeden hr. Ormond mówił po angielsku.

Słynne „plantacye“ Irlandyi za pomocą kolonistów angielskich i „prawa karne,“ *penal laws*, wprowadzone za królowej Anny,

---

[1]) Podczas Unii przepowiadali parowie irlandzcy bankructwo kraju, a dr. Johnson, Anglik, wyrzekł do jednego z posłów irlandzkich: „Nie łączcie się z nami okradniemy was.“

[2]) W ciągu XIX w. (daty porównawcze z r. 1800 i 1893) ludność Anglii (wraz ze Szkocyą i ks. Wallii) wzrosła trzykrotnie, a obciążenie fiskalne jej mieszkańców spadło o 25% na głowę, gdy w Irlandyi ludność zmalała o 14%, a obciążenie wzrosło na głowę o 140%.

zmieniły postać rzeczy. Z końcem XVIII w. kultura angielska zaczyna przyciągać arystokracyę, duchowieństwo i mieszczaństwo irlandzkie, język angielski zaczyna coraz bardziej wchodzić w użycie. Patryoci irlandzcy, jak poeta Tomasz Moore, a nawet wielki O'Connel, posługują się już prawie wyłącznie językiem angielskim. Pozostał jeszcze lud, mówiący swym językiem. W r. 1831 wprowadza rząd szkoły ludowe, jakby przez ironię zwane narodowemi. Języka irlandzkiego się oficyalnie nie wykreśla, ale nauczycielami są Anglicy, nie umiejący słowa po irlandzku. Wpływ „szkoły narodowej" powoli dał się uczuć. Jeszcze w połowie XIX w. wszędzie prócz miast mówiono po irlandzku, po latach pięćdziesięciu na 4½ miliona ludności zaledwie 600.000 zna swój język, z czego tylko 20.000 używa wyłącznie irlandzkiego.[1])

Język ojczysty stał się w pojęciu ludu synonimem niższej kultury, wieśniak wstydzi się odezwać po irlandzku do człowieka z inteligencyi, choćby to był jego proboszcz, Irlandczyk, jak on z krwi i kości. Anglomania każe ciągle jeszcze zmieniać imiona osób, O'Byrne przerabia się na Burns, Mac-Gaffey na Mahaffy. To samo dzieje się z nazwami geograficznemi Skutki tego procesu są niebezpieczniejsze, niżby się to mogło wydawać.

„Słodycz dźwięku, delikatność, oto cechy dawnego języka celtyckiego. Zmieniając język, wieśniak irlandzki traci z konieczności tę godność wrodzoną, tę grzeczność, które z Irlandyi, jak ze starej Hiszpanii, czyniły naród szlachciców. Demoralizuje się zarówno pod wpływem turystów, jak brukowej prasy londyńskiej. Traci na tem tężyzna intelektualna, giętkość i otwartość umysłu, ponieważ Irlandczyk otrzymuje więcej gotowych idei, niż sam ich stwarza, więcej naśladuje, mniej wynajduje. Inteligencya irlandzka, odcięta od swych korzeni, traci najlepszy środek z językiem narodowym, traci giętkość, aktywność, oryginalność, wysycha i kostnieje. Powstaje głód umysłowy, w zetknięciu z Anglikiem znika dowcip. Anglia wysysa najlepsze siły intellektualne irlandzkie, zatrudniając je u siebie w dziennikarstwie, w służbie kolonialnej, w Indyach.

„Utylitaryzm i materyalizm rasy przemysłowej i zcentralizowanej źle wpływa na tę starą cywilizacyę ludności rolniczej. Irlandya wzięła od Anglii tylko złe, nie dobre; w okręgach zangielszczonych okazał się wzrost przestępstw. Język irlandzki jest

[1]) Obliczenia z r. 1901. Od tego czasu stosunki zmieniły się na lepsze, dzięki akcyi Ligi Gallickiej i coraz bardziej rosnącemu ruchowi celtyckiemu.

najlepszą bronią, jako przesiąkły mistycyzmem i spirytualizmem, przeciw współczesnemu agnostycyzmowi i poganizmowi.“ (Dubois, l. c.).

Zanikająca kultura rodzima i ruina ekonomiczna, oto główne czynniki niedoli Irlandyi. Przypatrzmy się teraz, co zrobiło społeczeństwo irlandzkie, by tej niedoli ulżyć.

V.

Uchwalenie *Home-rule'u* jest przełomowym momentem kwestyi irlandzkiej. Znaczenia samorządu nie doceniali niejednokrotnie sami nacyonaliści irlandzcy, twierdząc, że się przecenia *Home-rule* ze szkodą dla innych spraw, bardziej palących. Takby było w istocie, gdyby samorząd stanowił cel ostateczny wszystkich wysiłków zbiorowych, a jego uzyskanie uwalniało od dalszej pracy. Każdy jednak zrozumie,, że jest to tylko środek, *conditio sine qua non* dla normalnego życia zbiorowego.

Zrozumieli to zresztą i sami Irlandczycy i dla tego oddawna wywiesili na swym sztandarze i inne hasła i potrafili dla nich uzyskać nieraz poważne rezultaty.

Wszystkie reformy agrarne od połowy zeszłego wieku były wynikiem ciężkiej walki. Legalna konstytucyjna działalność w parlamencie, podjęta już przez O'Connella, organizowanie się w ligi (często rozwiązywane przez rząd), obok całego szeregu środków mniej lub więcej rewolucyjnych, od niepłacenia rent dzierżawnych i bojkotowania aż do tajnych związków, zamachów politycznych i zbrojnych powstań—oto broń jaką walczy Irlandya. [1])

[1]) Ostatnie wielkie zbrojne powstanie irlandzkie było w r. 1798. Unia była jego bezpośredniem następstwem.

Oto krótkie wyliczenie ruchów rewolucyjnych w Irlandyi w w. XIX: *Whiteboys* (Biali chłopcy) i *Ribbomen* (Ludzie z wstążką), tajne organizacye agrarne z czasów O'Connella, w 1-szej połowieXIX w., podjęły szereg zamachów na landlordów. Ich miejsce zajęła wkrótce „Partya Wojenna,“ odłam Młodej Irlandyi, przygotowująca rewolucyę w r. 1848 w dzienniku rewolucyjnym *United Irishman*, pod wodzą John'a Mitchel'a i O'Brien'a. Ruch w r. 1848 skończył się na drobnych utarczkach z policyą, uwięzieniu przywódców i upadku Młodej Irlandyi jako stronnictwa.

Fenianie (od mitycznego bohatera Finna), organizacya z lat 60-tych, wywarła szeregiem zamachów i manifestacyi presyę na opinię publiczną

Ustępstwa rządu tłómaczą się nie tyle przyjściem do władzy stronnictwa liberalnego, ile postawą samego społeczeństwa irlandzkiego, co przyznał sam Gladstone [1]).

Reformy agrarne i samorządu lokalnego nie licząc już *Home-rule'u*, nie wyczerpują wszystkich korzyści, uzyskanych przez Irlandyę po Unii.

Gruntowne odrodzenie ekonomiczne kraju na każdem polu i ratowanie rodzimej kultury przez wskrzeszenie zamierającego języka: oto dwie placówki, na których społeczeństwo irlandzkie wytężyło wszystkie swe siły.

Ucisk socyalny i ekonomiczny zburzył nietylko handel i przemysł, podkopał rolnictwo, ale zniszczył wszelki instynkt, zmysł ekonomiczny. „Same tradycye inicyatywy ekonomicznej zaginęły wskutek odwyknięcia“ — powiedział już przed pół wiekiem lord Dufferin [2]), a według wyrażenia sir Horacego Plunketta: „drzewo nietylko odarto z liści, ale zniszczono jego korzenie“.

Społeczeństwo zrozumiało, że chcąc zaradzić złemu, trzeba stworzyć taki stan umysłów i rzeczy, wśród których dopiero mogłaby powstać i rozwinąć się prywatna inicyatywa. Samopomoc i zgrupowanie się, oraz wykształcenie zawodowe: oto wytyczne nowej pracy.

Takie idee przyświecały przed dwudziestu kilku laty gronu ludzi, którzy wzięli sobie za cel ekonomiczne odrodzenie Irlandyi. Pracę należało rozpocząć od Irlandyi rolniczej, skoro rolnictwo jest naczelnym przemysłem kraju. Początek uczyniła założona w r. 1893 przez Plunketta *Irish Agricultural Organization Society*. Celem nowego towarzystwa było „poprawienie warunków ludności rolniczej irlandzkiej przez nauczanie zasad i metod kooperacyjnych“. Kooperacya rolna w Irlandyi, powstała niezależnie od takichże związków na kontynencie, wysunęła oryginalnie na pierwszy plan edukacyjne znaczenie związków. W 10 lat później istniało już w Irlandyi 770 związków rolnych najrozmaitszego typu z 85,000 członków. Z tej liczby ogólnej przypadło 328

w Anglii. Silne oparcie znajdował zawsze F. w emigracyi irlandzkiej. Według Dubois, (ib. str. 71) fenianizm, ruch pozornie poroniony, w istocie dokonał tego, czego nie dopiął ni O'Connell, ni Młoda Irlandya: otworzył nową erę w Irlandyi, spóźnioną erę reform i ustępstw.

[1]) „Bez Ligi rolnej (Land League), prawo agrarne z r. 1881 nie byłoby dziś w kodeksie,“ słowa Gladstone'a (cytowane u Dubois, ibid. str. 48).

[2]) *Irish Emigration and the Tenure of Irish Land*, Londyn. 1867.

na mleczarnie związkowe, 200 na kasy Reiffeisena, reszta obejmowała związki dla zakupu i chodowli bydła, sprzedaży jaj i drobiu, ochrony przemysłu wiejskiego, etc. [1]).

„Jest coś w geniuszu i tradycyach rasy — pisze o wieśniakach irlandzkich sir Horacy Plunkett—co ich usposabia do kooperacyi. Stary duch klanowy jeszcze w nich nie zamarł. Odosobnieni, są oni konserwatystami, szydzącymi z wszelkiej nowości; zebrani razem, ze swymi przewodnikami, są przystępni dla idei i niesłychanie żywo pojmują wielkie wytyczne nowego systemu".

Dobre wyniki już się okazały. W niektórych okręgach zmalała, w innych ustała całkiem emigracya. Za odrodzeniem ekonomicznem poszło i podniesienie poziomu moralnego; dosyć powszechnie zauważono zmniejszenie się pijaństwa i rozrzutności. Nie w jednej wsi irlandzkiej wieśniak stał się nietylko zamożniejszy, ale dzielniejszy i uczciwszy.

Ta sama grupa ludzi dobrej woli z sir Horacym Plunkettem na czele podjęła energiczną akcyę w celu wprowadzenia wykształcenia zawodowego w Irlandyi. Rezultat okazał się pomyślny. W r. 1898 tworzy rząd „Departament rolnictwa i nauczania technicznego". Równocześnie powstają po całym kraju „Komitety rolnicze i techniczne", mianowane przez autonomiczne „Wydziały" po hrabstwach, z pośród ludności miejscowej. Połączona działalność naczelnego departamentu i lokalnych komitetów odrazu zaczęła przynosić owoce. O ile w rolnictwie chodziło o poprawienie tego, co już było, to w nauczaniu technicznem trzeba było wprost stwarzać zawody nieistniejące. Płonnemi okazały się pessymistyczne przestrogi, że z tych szkół wyjdą robotnicy dla Anglii i Ameryki. Wkrótce zaczęły powstawać w Irlandyi warsztaty płócienne, koronkarskie, szklarskie i garncarskie, wskrzeszając tradycye tych gałęzi dawnego przemysłu, zamarłego z początkiem XIX w.

---

[1]) Jednym z głównych autorów tego ruchu był sir Horacy Plunkett, ojciec kooperacyi irlandzkiej, od r. 1898 wiceprezydent „Departamentu rolnictwa i nauczania technicznego w Dublinie." Z przekonań politycznych unionista, z pochodzenia protestant i Anglik, jest mimo to uważany słusznie za jednego z najzasłużeńszych patryotów irlandzkich, jak Grattan i Parnell (również Anglicy protestanci).

[1]) Ob. Kozielsk Kossiłowski: *La Cooperation Agricole en Irlande*, Paryż, 1906, nadto Dubois, l. c. część III, rozdz. III.

Ruch kooperacyjny i nauczanie zawodowe nie mają wcale za zadanie przemiany Irlandyi w kraj wielkiego przemysłu ani wielkiej kultury rolnej. Z konieczności małe gospodarstwo pozostanie typowem dla Irlandyi, trzeba tylko, aby drobni rolnicy byli należycie zawodowo wykształceni i zorganizowani, by wytrzymać wysoką stopę życia współczesnego i obcą konkurencyę. Także i wielki przemysł na wzór okręgów Birminghamu czy Manchesteru wyjątkowo tylko może powstać w Irlandyi, natomiast jest tu miejsce obok rolnictwa dla tych wszystkich małych gałęzi przemysłu, koniecznych do życia ludowego, nie mówiąc już o przemyśle artystycznym, do którego tradycyjne zdolności Celta irlandzkiego szczególnie go usposabiają. Dania i Wirtembergia potrafiły i swe rolnictwo postawić na wysokiej stopie, a równocześnie stworzyć przemysł pomyślny i zdrowy dla kraju. Ten sam problemat otwiera się i dla Irlandyi.

Obok znaczenia ekonomicznego, ważny jest ten ruch i pod względem społecznym. Jak kooperacya i samorząd lokalny, tak i wykształcenie zawodowe nie jest bez wartości edukacyjnej dla jednostek i dla ogółu. Rozłączeni częstokroć przekonaniami politycznemi i wyznaniem, łączą się ludzie w codziennej pracy zawodowej, wypełniającej tak poważną część ich ogólnych celów i dążeń.

VI.

Drugą placówką zdawna zagrożoną, była rodzima kultura irlandzka: od połowy XIX w. język angielski coraz szybciej zaczął wypierać język irlandzki. Członkowie Młodej Irlandyi, Tomasz Davis, O'Brien[1]), oraz arcybiskup z Tuam, Mac-Hale, oto twórcy nowego ruchu, mającego na celu odrodzenie narodowe. Pierwszą organizacyą nowego ruchu była istniejąca do dziś dnia *Society for the Preservation of the Irish Language*, założona przez ks. Nolane w r. 1876. W dwa lata później dzięki staraniom jej członków wprowadzono do szkół elementarnych język irlandzki, narazie warunkowo. Wkrótce powstaje „Unia Gallicka“, wyda-

[1]) O'Brien nauczył się po irlandzku dopiero w więzieniu.

jąca własny dziennik po irlandzku, aż wreszcie w r. 1893, dr. Hyde, uczony znawca folkloru i języków celtyckich, a zarazem wybitny poeta, zakłada „Ligę Gallicką“, która dotąd kieruje całym ruchem celtyckim w Irlandyi.

Ruch gallicki, nadzwyczaj popularny, a żywiołowy, połączył całą Irlandyę bez różnicy przekonań politycznych, budząc wszędzie olbrzymi entuzyazm. Liga Gallicka ma za cel oficyalny: zachowanie języka irlandzkiego, jako języka narodowego, rozpowszechnianie go jako języka codziennego, studyowanie starej literatury irlandzkiej i pielęgnowanie współczesnej nauki irlandzkiej oraz podniesienie sztuk i przemysłu narodowego [1]).

[1]) Oto w streszczeniu program Ligi, (cytowany u Dubois, ibid. część III, rozdz. II).

„Irlandya przebywa obecnie chwilę krytyczną. Stacza się łatwo i lekko po równi pochyłej augielszczenia, gdzie ją czeka zanik narodowości i napis: Finis Hiberniae. Biada naszym ojcom, biada nam samym, niegodnym synom Erynu, żeśmy się zaparli naszej przeszłości i z lekkiem sercem przyjęli asymilacyę z Saksończykiem. Żyjemy kłamstwem i wkrótce z niego pomrzemy: jeszcze jedno, dwa pokolenia i będzie z nami koniec, jeśli nie potrafimy się otrząsnąć, powstać o własnych siłach, jako naród, a nie jako zachodni Anglicy (*Westbritons*) i odbudować sobie Erynu narodowego, Irlandyi irlandzkiej.

„Za długo uważaliśmy politykę za narodowość. Narodu nie ocalą najzręczniejsze manewry parlamentarne, ani najpiękniejsze rozprawy „brygady irlandzkiej“ w Westminsterze, bo nie politycy tworzą naród (o ile go czasami nie gubią), ale węzły łączące nas z przeszłością, ale dalsze życie naszych przodków w nas samych. Ocali naród ta wspólność idei, uczuć, języka, która w pochodzie wieków wiąże każde pokolenie z następnem, a co wszystko, niestety, utraciliśmy od pół wieku, i co nam wszystko teraz trzeba odzyskać. Czy uzyskamy *Home-rule* w 10 czy 20 latach, sprawa to nie jest żywotna dla narodu. *Home-rule* może czekać; ale nie może czekać narodowość, ni język, ponieważ z chwilą ich zatraty wszelka nadzieja wolności ginie sama przez się. Jakżeż— powie nam wtedy Anglik—żądacie niepodległości? Z jakiego tytułu? Nie jesteście Anglikami? Jakim językiem mówicie? Pracujmy więc nad odrodzeniem naszej indywidualności narodowej, a przedewszystkiem nad przywróceniem naszego języka: pierwszą wolnością, to wolność ducha!

„Dlaczego zagranicą biorą nas zawsze za Anglików? Ponieważ język jest pierwszą oznaką narodowości. Język zdobywców w ustach pokonanych, to język niewolników, powiedział Tacyt. Przypomnijmy sobie również jedne z najpiękniejszych słów Tomasza Davis'a: „Lud bez języka narodowego jest tylko przez pół narodem; naród powinien strzedz swego języka baczniej, niż ziemi, to jego najmocniejsza twierdza“. Kiedy język będzie irlandzkim, ir-

W przeciągu 12 lat powstało 964 oddziałów Ligi po całym kraju; sprzedaż książek irlandzkich, przez nią wydawanych przenosi 200,000 rocznie. Istnieją nadto oddziały jej w Londynie, w Oksfordzie, w Stanach Zjednoczonych, w Buenos-Ayres, w Australii, w Nowej Zelandyi. Najlepszymi jak dotąd wynikami pochlubić się może Liga w południowej i wschodniej części kraju [1]).

landzkiemi będą i serca! Bądźcie pewni, że Irlandya mówiąca po irlandzku, będzie wolną na wieki.

„Wiecie wy, co to jest nasz język narodowy? Bezduszny system znaków algebraicznych, czy słownik martwych formułek? Bynajmniej! Jest to dusza narodu. Geniusz ludu, jego wierzenia, tradycye, kształty ducha i serca wciela on w siebie i przechowuje, a one w nim dalej żyją. On to jest kluczem naszych dziejów, naszych wierzeń, naszej psychologii, naszej starej literatury męskiej; to cały świat idei i uczuć potężnych. I chcą, żeby to wszystko znikło! Cała przyszłość duchowa Irlandyi zależy od naszego języka narodowego.

„Szydzi z nas ten, kto twierdzi, że nie chcemy u siebie języka Szekspira! Potrzeba nam języka angielskiego do życia materyalnego, jak irlandzkiego do życia duchowego. Między jednym a drugim tak niema nieporozumienia, jak między katechizmem a tabliczką mnożenia. Chcemy być „dwujęzyczni", jak są Czesi, Szwajcarzy, Flamandowie i tyle innych ludów, które się zalicza między najzdolniejsze i najinteligentniejsze, jako lepiej uzbrojone do walki o byt. „Kto zna tylko jeden język, nie zna żadnego" — powiedział Max Müller. Niema lepszej gimnastyki umysłowej dla naszych dzieci, jak studyum naszego pięknego języka narodowego, bogatego i złożonego, niema dla nich lepszego wychowania moralnego, jak używanie tego języka tak czystego, tak poetycznego i idealnego, który umacnia, uduchowia i który jest najlepszym środkiem obronnym przeciw współczesnemu kultowi Mammona. Nasz język narodowy zrobi z nas narodowców, a wiążąc nas z naszą rasą, przywróci nam to poczucie własnej godności i dumy, tę energię i inicyatywę, które narodom liczebnie słabym dają poczucie odrębności narodowej, — a przez to samo otworzy nam drogi pomyślności materyalnej, ponieważ niema przykładu w Europie, aby ruch narodowy nie pociągał za sobą i odrodzenia ekonomicznego. Tak więc przyszła chwila, w której trzeba wybierać: albo zwyciężyć angielszczenie, albo przez nie zginąć. Albo zrobimy z Irlandyi naród, albo wkrótce nie będzie Irlandyi. Przyszłość jest w rękach ludu".

[1]) Przed założeniem Ligi było w Dublinie zaledwo kilkunastu ludzi, mówiących po irlandzku, w r. 1906 liczono ich 15,000. W r. 1891 pobierało naukę irlandzkiego w 105 szkołach elementarnych 1,371 dzieci, w r. 1906 — 2,551 szkół udziela 95,487 dzieciom nauki języka irlandzkiego, nie licząc 2,580 uczniów szkół średnich.

Wybitną rolę w ruchu celtyckim odgrywa duchowieństwo katolickie, a słynne seminaryum duchowne w Maynooth pod Dublinem jest jednem z głównych ognisk odrodzenia narodowego [1]).

Liga dąży do zaprowadzenia języka irlandzkiego, jako języka urzędowego.

Odrodzeniu języka irlandzkiego towarzyszyć musiało z natury rzeczy odrodzenie literatury, zamarłej z końcem XVIII w. i pielęgnowanej odtąd wyłącznie po wsiach przez poetów ludowych. Druga połowa XIX w. wydała szereg wybitnych poetów irlandzkich, atoli ci posługiwali się przez długi czas wyłącznie językiem angielskim. Wkrótce jednak pod wpływem Ligi, język irlandzki zaczął wypierać angielski w poezyi nowo-irlandzkiej, nawiązującej się do starych poezyi Keating'a (1570—1640). Zaczęły powstawać teatry narodowe, a pierwsze przedstawienie po irlandzku w Dublinie w r. 1901 przyjęła opinia publiczna jako ważne zdarzenie narodowe [2]).

*

* *

Takie są zadatki lepszej doli Irlandyi. Przez odzyskanie samorządu Irlandya staje się znowu jednem z państw europejskich i podejmuje na nowo chlubną pracę cywilizacyjną, przerwaną na tysiąc lat. Stara kultura celtycka Irlandyi nie postąpiła wprawdzie naprzód, ale i nie uległa dekadencyi. Nosi ona w sobie takie głębie, iż powtórzyć się jeszcze może czas, kiedy Irlandya rozsyłała swych misyonarzy po Europie dla sprawowania nowego rządu dusz.

Kazimierz Helle.

---

[1]) Bezstronną ocenę irlandzkiego duchowieństwa katolickiego i jego wybitnej roli w narodowem odrodzeniu kraju, jak niemniej trzeźwą krytykę zarzutów, stawionych zgubnym wpływom katolicyzmu w Irlandyi (*Home-rule*, *Rome-rule*) podaje Dubois w III cz. swego dzieła w rozdz. IV.

[2]) Dubois, ibid. str. 403 i nast.

USTANOWIENIE CENZURY

w Królestwie Kongresowem[1]).

I.

Karta konstytucyjna z dn. 24 grudnia 1815 r., jaką Królestwo Kongresowe otrzymało z rąk swego twórcy, Aleksandra I, posiadała niezawodnie, przy wszystkich utajonych swych brakach, wysokie jak na one czasy zalety, przedstawiała się bez kwestyi jako najliberalniejszy tego rodzaju akt konstytucyjny w Europie ówczesnej, a zarazem, co główna, otwierała należyte pole do swobodnego w obrębach Królestwa wzrostu ducha i sił narodowych. Niedość jednak było samych przepisów zasadniczych konstytucyi grudniowej 1815 r.: wszystko zależało od jej, jak podówczas mawiano, „rozwinięcia“, t. j. od dalszego prawodawczego jej uzupełnienia w szczegółach, zwłaszcza zaś od sposobu jej praktycznego w życiu samem zastosowania. Dotyczyło to między innemi, i to w stopniu najwyższym, arcyważnej sprawy swobody myśli publicznej, a tem samem swobody słowa drukowanego, owej poręczonej wyraźnie przez artykuł konstytucyjny wolności druku, poręki jednej z najdonioślejszych, której losy atoli nierozerwalnie

[1]) Źródła: Archiwum Akt dawnych: Akta generalne tyczące się cenzury, redakcyi pism peryodycznych i gazet krajowych; O wolności druku i cenzurze, Akta Rady Administracyjnej vol. a, b; Cenzura i wolność druku, Akta Rady Stanu, Akta Komisyi Rządowej spraw wewnętrznych i policyi, tyczące się cenzury i redakcyi pism peryodycznych i gazet krajowych, Archiwum Ord. hr. Krasińskich, Korespondencya Stan. Grabowskiego, Winc. Krasińskiego itd.

były sprzężone z powszechnymi losami kraju i rządu krajowego i od nich bezpośrednio zawisłe.

W czasie, gdy w Królestwie Polskiem społeczeństwo dojrzewało do należytej oceny swobód zapewnionych przez Ustawę konstytucyjną, w Europie Zachodniej i w Rosyi dokonywały się powolne, stopniowe, ale bardzo głębokie zmiany w życiu publicznem. Po kongresie Wiedeńskim zapanowała w życiu politycznem Europy zupełna cisza. Aleksander I stał na stanowisku kongresu, jako twórca jego dzieła i pokoju Europy, już jednak zarysowywały się, mgliste jeszcze wprawdzie, ideały Przymierza Świętego; energia twórcza cesarza wyładowała się w wojnach z Napoleonem, ostatni jej wytrysk nastąpił w tworzeniu konstytucyi Królestwa. Później zaczęło ogarniać Aleksandra I zmęczenie duchowe („un incurable dégoût de la vie"), instynkty odziedziczone, przytłumione przez wychowanie, ożywały; Metternich usiłował wszelkimi środkami wciągnąć cesarza do systemu reakcyi ogólnoeuropejskiej, powierzyć mu nawet jej ster, pozostając zresztą jako spiritus movens akcyi powszechnej.

Gdy Razumowskij, rosyjski minister oświaty, podał się do dymisyi, sprawy oświatowe i religijne zostały połączone w jednych rękach ministra wyznań religijnych i oświecenia narodowego (5 listopada 1817 r.) i powierzone ks. Golicynowi, którego Karamzin nazwał ministrem ociemnienia, a który, utonąwszy już podówczas całkowicie w mistycyzmie, usiłował moralność chrześcijańską utrwalić jako podstawę prawdziwej oświaty.

Dwulicowość, właściwa cesarzowi, objawiła się zwłaszcza silnie w r. 1818, gdy pomimo oporu ze strony Rosyan wygłaszał w Warszawie liberalne mowy tronowe, zdobywał w Kaliszu popularność wśród szlachty i mieszczan, spowiadał się ze swych zamiarów restytucyjnych w Puławach, polecał Nowosilcowowi wypracowanie projektu konstytucyi dla państwa rosyjskiego, jednocześnie zaś wprowadzał straszne osady wojskowe w Rosyi, gotował się do kongresu Akwizgrańskiego, który miał na celu zniszczyć wpływ Francyi na Europę, ustalić wpływy reakcyi wcielonej w Przymierze Święte. Ustawicznemu powoływaniu się na prawo, któremu rzekomo miał monarcha ulegać, towarzyszyła ciągła samowola w postępowaniu, despotyzm skryty i zmienny.

Wobec powyżej zarysowanych warunków małe Królestwo konstytucyjne nie mogło rozwijać się normalnie w duchu Ustawy, zwłaszcza, że wogóle „dziwną była kombinacya, czyniąca z jednego monarchy wszechpotężnego autokratę Rosyi i konstytucyjnego króla Polski". Tymczasem społeczeństwo polskie, oswaja-

jąc się z konstytucyą liberalną, w dalszym ciągu wcielało ją w życie, zapragnęło mianowicie skorzystać z niewyzyskanej dotąd dostatecznie wolności druku. Młodzież „małpująca Francuzów“, jak powiada starczy Koźmian w swych Pamiętnikach, „rzuciła się w zawód dziennikarski“. W r. 1818 dwa nowe dzienniki: „Tygodnik Polski i Zagraniczny“ oraz „Gazeta Codzienna Narodowa i Obca“ skorzystały z gwarancyi Ustawy i zwolniły się od cenzury. Obydwa nowe pisma były redagowane przez ludzi młodych, zrzucały pleśń starego dziennikarstwa polskiego, usiłowały kształcić publiczność w kierunku politycznym.

„Tygodnik Polski i Zagraniczny“ początkowo wprawdzie ulegał cenzurze (ocenzurowany po raz pierwszy 17 grudnia 1817 r. przez cenzora Bohusa), już jednak w pierwszym numerze z 1 stycznia 1818 r. uderzył w nowy ton, nieznany dotąd w dziennikarstwie polskiem i wezwał inne pisma peryodyczne, by „troskliwie pielęgnowały słabe jeszcze narodowości zawiązki“, w dalszym zaś ciągu podejmował od czasu do czasu nutę miłości dla ojczyzny i dla wolności, czy to w formie elegii na śmierć Kościuszki, Dąbrowskiego, wiersza o Poniatowskim, „gorącym patryocie“, Hymnu do Boga o zachowanie wolności, wspomnień o legionach, o 3 im maja, czy w formie artykułów o towarzystwach tajnych w różnych krajach.

Na wniosek ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Namiestnik, „lubo niechętnie“, dozwolił Br. Kicińskiemu, byłemu redaktorowi „Pamiętnika Lwowskiego“ i T. Morawskiemu wydawać „Gazetę Narodową i Obcą“ bez cenzury. 3 listopada 1818 r. Komisya Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wobec uchylenia cenzury zapewniała odpowiedzialność karną i mianowicie, chcąc zapobiedz nadużyciom wolności druku, ostrzegła drukarnie, aby nie przyjmowały do druku żadnego pisma, nie znając nazwiska jego autora, ani nie wydawały żadnego dzieła bez oznaczenia nazwiska; również ostrzegała księgarzy i wszelkich sprzedających, ażeby do swego handlu nie przyjmowali książek i pism drukowanych, nie znając z pewnością autora lub drukarni, z której wyszły.

„Gazeta“, pierwsze pismo codzienne, (I numer 1 października 1818 r.) żywo interesowała się życiem konstytucyjnem zagranicznem, głównie francuskiem, ogłaszała obrady izb paryskich, zajmujących się w owym czasie szczególniej kwestyami konstytucyjnemi, czerpiąc wiadomości przeważnie z pism francuskich: „Minerwy“ (red. p. B. Constanta), „Le Vrai Libéral“ (belgijskiego), z niemieckiej „Gazety Hamburskiej“, angielskiej „Morning Chro-

nicle", dając wyjątki z dzieł Bignona i t. p. Wśród innych spraw wiele uwagi poświęcała redakcya kwestyi wolności druku, przyglądając się jej losom we wszystkich prawie państwach; podawała więc wiadomości, o ile dzienniki w Paryżu wolne są od cenzury, o ile druki podlegają konfiskacie, artykuły dziennikarskie karom więzienia lub pieniężnym; zamieszczała obszerne sprawozdania z posiedzeń izby deputowanych w kwietniu i w maju r. 1819, gdy roztrząsano i przyjęto projekt o wolności druku.

Sprawa wolności druku bowiem weszła we Francyi w nowe stadyum. Wolność druku we Francyi została zagwarantowana przez Kartę 4 czerwca 1814 r., już jednak prawo 21 października tegoż roku zawieszało ją przez pomieszanie pojęć zapobiegania i karania jej nadużyć, zaś prawo 9 listopada 1815 r. niszczyło ją zupełnie. W r. 1816 rozpoczęła się zacięta walka o przywrócenie wolności druku. Ministrowie w swych projektach godzili się na wolność druku książek, byle utrzymać ograniczenia dzienników, jako przedstawiających większe niebezpieczeństwo dla rządu dzięki oddziaływaniu bezpośredniemu na publiczność; opozycya żądała zupełnej wolności druku, gdy wszelka inna wolność została stłumiona. 28 lutego 1817 r. przyjęto projekt Decarc'a o przedłużeniu cenzury na dzienniki do 1 stycznia 1818 r., po upłynięciu tego terminu przedłużono cenzurę nadal. Walka parlamentarna zjednoczonej opozycyi rojalistów i niezależnych przetrwała kilka lat, wybuchła z nową siłą na wiosnę r. 1819. Procesy prasowe wzburzyły opinię, przeciw brutalnej działalności cenzury zawiązało się stowarzyszenie przyjaciół wolności druku jawne, którego komitet kierowniczy działał tajnie; istniało ono do 18 grudnia 1819 r. Żądano ustanowienia przysięgłych w sprawach o nadużycia wolności druku, zwalczano pojęcie specyficznego przestępstwa prasowego, dowodząc, że kodeks karny obejmuje odpowiedzialność za wszelkie przestępstwa, druk zaś może być jedynie narzędziem przestępstwa; zwalczano dalej ideę „tendencyi" przestępczych w druku, gdyż pociąga ona za sobą niesprawiedliwość, arbitralność cenzorów i sędziów. Lally-Tollendal ogłosił pięć maksym jako wytycznych dla opozycyi: rząd reprezentacyjny musi mieć za podstawę wolność publiczną i osobistą; niema wolności publicznej i osobistej, bez wolności druku; niema wolności druku bez wolności dzienników; niema wolności druku ani dzienników tam, gdzie przestępstwa druku są sądzone bez przysięgłych; niema żadnej wolności, gdy brak prawa, które gwarantuje wolność przez to, że karze jej nadużycia. B. Constant żądał znie-

sienia kaucyi od dzienników, jako czynnika zapobiegawczego, również powiększonych kar za przestępstwa druku.

Ostatecznie na sesyi wiosennej r. 1819 szereg praw z 17, 26, 30 maja, 9 czerwca uchwalił wolność druku (projekt Broglie'a i Guizot'a); zniesiono cenzurę zapobiegawczą i specyalne prawodawstwo prasowe, nadużycia tej wolności powierzono przysięgłym; Constant i Manuel wywalczyli, by mowy posłów i ich wierne sprawozdania w druku nie podlegały odpowiedzialności sądowej. Oddano jednak druk w ręce warstw uprzywilejowanych przez wysunięcie zasady gwarancyi majątkowej, mianowicie przez ustanowienie wysokiej kaucyi, dochodzącej do 10,000 fr. renty rocznej lub 140,000 fr. kapitału na wydawnictwa peryodyczne; do nich dołączono również półperyodyczne (wychodzące częściej, niż raz na miesiąc), istniał bowiem zwyczaj omijania cenzury, która do r. 1819 ciężyła tylko na wydawnictwach peryodycznych, przez wydawanie luźnych broszur bez określonych systematycznych terminów. Pomimo cenzusu majątkowego, klasowego charakteru, prawa r. 1819 dały możność stronnictwom politycznym propagować swe kierunki i programy; wznawiano dawne pisma, zakładano nowe, rozpoczęła się walka zdań, idei, z początku ostrożna i umiarkowana, później coraz bardziej określona, coraz ostrzejsza.

„Gazeta Codzienna“ podawała również wiadomości z Niemiec, zainteresowała czytelników sprawą Kotzebuego i Sanda, między innemi zaś podawała nowinki o awanturach w teatrze strasburskim, z Berlina o ponowieniu zakazu pukania, gwizdania w teatrze, czyli publicznego wypowiadania niezadowolenia. Wiadomości z Rosyi brak prawie zupełnie. Z powodu Świętego Przymierza mówiła „Gazeta“ wedle „Minerwy“: Narody powinny być połączone takim węzłem braterskim jak monarchowie, którzy, powinni nadać wszystkim narodom konstytucye, tak jak obiecali to uczynić.

Artykuły w materyach politycznych, a nawet kronika bieżąca, trzymane były w tonie żywym, niekiedy namiętnym, w tonie ogólnej nieskrystalizowanej opozycyi przeciwrządowej. Wiele w tem jeszcze było naśladowania teoretyków konstytucyonalizmu i polityków francuskich, zwłaszcza Constanta teorye, argumenty przejmowane żywcem bez przetrawienia. Sytuacya jednak polityczna Królestwa zbliżona była o tyle do francuskiej, że tu i tam nie wytworzyła się jeszcze opozycya zorganizowana w stronnictwo przeciwrządowe, wywrotowe, działała zaś opozycya w duchu monarchiczno-konstytucyjnym, w obronie karty oktrojowanej, ale liberalnej; dlatego wzory walki mogła była czerpać młoda, ledwie

rozpoczynająca swoje istnienie u nas, opozycya u wybitnie zdolnych doświadczonych mężów stanu i zwłaszcza przedstawicieli narodowych francuskich. Przez cały r. 1818 i połowę 1819 opozycya Królestwa trzymała się w tonie bardzo umiarkowanym, ogólnikowym, teoretycznym; wreszcie nadarzyła się redaktorom sposobność do wystąpienia do walki o swobody konstytucyjne konkretne na miejscu, w Królestwie, do rozwinięcia swych teoryi w zastosowaniu do praktyki życiowej. Natychmiast rozwinęła się oddawna przygotowywana walka rządu z ujawnioną opozycyą.

W. Książę Konstanty, bezwzględny władca w Królestwie, uległy mu bez zastrzeżeń niedołężny Namiestnik, wreszcie najgroźniejszy wróg samoistności konstytucyjnej polskiej senator Nowosilcow, wszyscy trzej, zdający sobie sprawę z chwiejnego i dwulicowego stanowiska Aleksandra I wobec Konstytucyi, szanowali prawa przez nią poręczone dopóty, póki była ku temu wyraźna wola cesarza; skoro jednak nastał okres wahań w liberalnym światopoglądzie monarchy, nie mogli trzej rządcowie Królestwa pogodzić się ze swobodą i otwartością opinii publicznej, wypowiadającej się poniekąd w nowych dziennikach. Artykuły polityczne, rozmaitego a przeciwnego rządowi ducha, rozbiór czynności rządowych często z krytyką a nawet z szyderstwem z osób do rządu należących, opozycyjne, drażliwe i uwłaczające artykuły, wedle określeń rządowca Kożmiana, faktycznie zaś stojące na stanowisku konstytucyi nadanej i samoistności narodowej, wywoływały nieukontentowanie W. Księcia, a co za tem idzie i Namiestnika, który skarżył się, że wydawcy „Gazety“ własnemi i obcemi ramotami znieważali rozkazy rządu, nadużywali wolności druku. Nowy powód do niezadowolenia dawało dzieło Niemcewicza, które właśnie zaczęło wychodzić: „Dzieje panowania Zygmunta III“ z epoki „największych krzywd“ i nienawiści między Moskwą i Polską. Recenzya współczesna Dziejów Niemcewicza w bezstronnym „Pamiętniku Warszawskim“ brzmi: Dzieło to za czysty narodowy płód uważać można, wszelka bezstronność, surowość przeciw błędom politycznym rodaków, patryotyzm... Opinia jednak rządowa wypowiedziana we własnem imieniu przez Kożmiana w „Pamiętnikach“ była odmienna: „Niepohamowana nienawiść“ Niemcewicza do Rosyi znajdowała wyraz w „dotkliwych paszkwilach“ przeciw Rosyanom, w „nazywaniu ich moskwicinami“; nie uszły te „krzywdy wyrządzane Rosyi“ i rządowi w druku „bystrej i podejrzliwej“ uwagi senatora, „użalił się“ on przed Namiestnikiem; Namiestnik znajdował słusznemi wyrzeka-

nia Nowosilcowa; narazie nastąpiło tylko zerwanie stosunków osobistych między Zajączkiem a Niemcewiczem, który ze swej strony, nie ufając trwałości dzieła Aleksandra I, wyrzucał Namiestnikowi „oszczędzanie i miłość obecnego położenia aż do krzywdzącej go uległości i czołgania".

Drobna w istocie swej sprawa dała rządowi pochop do targnięcia się czynnego na wolność druku. Aktorka Philis, popierana przez publiczność rosyjską, zachowała się na scenie w sposób, który widzom polskim wydał się ubliżającym, za co też ją wygwizdali. W odpowiedzi na to, jakoby wskutek zażalenia uczynionego przez opiekunów aktorki przed W. Księciem, raczej jednak na wzór odpowiednich zarządzeń współczesnych w Berlinie, na rozkaz W. Księcia przy pośrednictwie Namiestnika, Woyda, prezydent municypalności i policyi miasta stoł. Warszawy wydał 7 maja 1819 r. następujący zakaz, komunikowany komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi. Z woli rządu prezydent uwiadamia publiczność, „iż świstający, lub innego rodzaju czyniący wzgardę aktorom, grającym w teatrze, będą natychmiast aresztowani i policyjnie ukarani".

Wśród publiczności warszawskiej zawrzało; dany zakaz gwałcił wyraźnie zaręczoną wolność osobistą i wolność słowa. Wyraz temu oburzeniu dała trzymająca rękę na pulsie warszawskim „Gazeta Codzienna". W artykule z 13 maja „O nadużyciach policyi w państwie konstytucyjnem" redakcya wystąpiła stanowczo przeciw zakazowi gwizdania, jako też i przeciw groźbie aresztowania przestępujących ten zakaz; policya jest władzą dla kraju zbawienną, o ile trzyma się w granicach jej nakreślonych; zwykła arbitralność podszywa się pod ustawę policyjną. Artykuł powyższy tak chciwie był przez publiczność warszawską czytany, że rozeszły się dwa wydania numeru (1,600 numerów, gdy prenumeratorów stałych było 700). W numerze 185 z 15 maja redakcya, zaznaczając, że uważa to za najmilszą i najświętszą powinność, wydrukowała nadesłaną sobie odezwę Fr. Skomorowskiego, w której autor składał wydawcom za powyższy artykuł podziękowanie w imieniu publiczności, słusznie dotkniętej dowolnem wyrokowaniem policyi w najświętszej sprawie swobód przez konstytucyę zapewnionych; dalej wzywał, aby dziennik żądał publicznego odwołania przez policyę wyroku, ponieważ w państwie konstytucyjnem władze prawodawcze i sądownicze muszą być oddzielone od wykonawczej; jeśli zaś wyraźnie wola rządu nakazała dane postanowienie policyi, „wołamy do rządu samego, aby nam sprawiedliwości nie odmówił". Redakcya od siebie dodała, że monarcha,

nadając ustawę liberalną, zapewnił w niej wolność druku w przekonaniu, że za pomocą tej wolności dowie się o życzeniach i woli narodu. „Powinniśmy stać się godnymi tak wielkiego zaufania".

„Gazeta Codzienna" starała się utrzymać opinię publiczną w danym nastroju; dawała więc w korespondencyi z Paryża wiadomości o dalszych debatach izby nad projektem do prawa o wolności druku; specyalnemi czcionkami drukowała ustępy mów deputowanych, gdzie wykazywano, że wolność druku jest niezbędną towarzyszką rządu konstytucyjnego, że obowiązkiem dzienników jest być bezstronnym organem życzeń i cierpień narodu; dzienniki francuskie zwolniono wreszcie od cenzury, a więc walka parlamentarna o wolność słowa święciła tryumf.

18 maja zamieściła „Gazeta" w Wiadomościach krajowych nowy artykuł Skomorowskiego, artykuł podyktowany równie, jak i poprzedni, naiwną wiarą w moc zaręczeń konstytucyjnych, w siłę społeczeństwa, występującego w ich obronie przeciw gwałtom, nawołujący jednak publiczność do bezwzględnego narazie posłuszeństwa rozkazowi policyjnemu, jednocześnie zaś do skromnego lecz silnego popierania dobrej sprawy, a rząd niewątpliwie uzna wagę obywatelskich przedstawień i ziści je nakoniec. 19 maja podniosły się w tejże sprawie jeszcze inne głosy z pośród czytelników, mianowicie Ign. Kochanowski przypominał rządowi, że nie konstytucya jest dziełem jego, lecz on dziełem konstytucyi, że rząd nie może nadwerężać konstytucyi bez ubliżenia jej twórcy, monarsze. W tymże 188 numerze Jan Olr. Szaniecki popierał wprawdzie zdanie, że wolność druku jest jedną z najgłówniejszych podstaw rządu konstytucyjnego, usiłował jednak umiarkować ton „Gazety", gdyż pragnął przekonać rząd, że Polacy nigdy nie nadużywali wolności słowa. „Piszmy prawdę, przekonywajmy śmiało, stawajmy przy konstytucyi i prawach mężnie, lecz nie wpadajmy w zbytnie uniesienie, nie srożmy się, nie odgrażajmy".

Artykuły zatem Skomorowskiego uznała nawet „Gazeta" jako zbyt gorące, Koźmian nazywa je wprost „rozdrażniającymi"; a przecież, aczkolwiek w tonie gorącego wyrzutu, w argumentacyi były one nawskroś lojalne. Polacy z obawą lecz i nadzieją patrzyli w przyszłość; z niedowierzaniem i lękliwością przyjmowali swobody konstytucyjne, lecz pragnęli je utrzymać choćby na drodze pewnych ustępstw. Tymczasem rząd wyzyskał ujawnioną opozycyę, jako sposobność do ukrócenia wolności druku.

Namiestnik, uważając, że wydawcy „Gazety" nadużyli wolności druku, wydał 15 maja Komisyi Wyznań Religijnych i Oświece-

nia Publicznego zalecenie, aby tę gazetę podciągnęła pod cenzurę rządową, jakiej podlegały inne gazety, w Warszawie wychodzące. Komisya posłała redaktorom dwa reskrypty, w których zostawiała im do wyboru: albo poddanie się pod cenzurę, albo wzięcie na siebie odpowiedzialności. Tę ostatnią, jako „zgodną z prawem“ obrali wydawcy.

Tymczasem artykuł naiwnie opozycyjny Skomorowskiego wywołał oburzenie prezydenta Woydy, który natychmiast 15 maja, omijając bezpośredniego zwierzchnika, t. j. ministra Spraw Wewnętrznych, posłał przedstawienie do Namiestnika, że Skomorowski odważył się wydane podług przepisu namiestnika obwieszczenie określić jako arbitralne wyrokowanie policyi, haniebne karty; gdyby nawet z własnego domysłu, skarżył się prezydent, wydał to obwieszczenie, ohydzenie policyi bezkarnie nie powinno być puszczone; tem mniej gdy z wyraźnej woli rządu zostało wydane; powołując się na długoletnie korzystne dla kraju swe zasługi, prosił o wymierzenie satysfakcyi nie dla siebie, lecz dla urzędu, który piastował. Wobec znieważenia prezydenta Namiestnik polecił 17 maja oddalić od urzędu wydawców tych „pism nieprzyzwoitych“. Pomimo to 17, 18, 19 maja „Gazeta Codzienna“ wyszła bez cenzury, opierając się na porozumieniu z komisyą Wyznań i Oświecenia, łagodząc zarazem ton opozycyi. Namiestnik rozumiał postępowanie „Gazety“ jako opór władzy, poczem, gdy jeszcze 18 maja wydrukowano nowy „niedorzeczny“ artykuł Skomorowskiego, wydał rozkaz 19 maja prezydentowi, z pominięciem Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi, by drukarnię opieczętował. (Pozwolił Brykczyńskiemu, drukującemu tamże swój „Tygodnik“, nadal to pismo wydawać).

Policya miejska rozkaz spełniła; późno w nocy 19 maja, czyli bezpośrednio po wydrukowaniu przez „Gazetę“ artykułów umiarkowanych, lojalnych, potępiających poprzednie wystąpienia gorętsze, policya pod kierunkiem komisarza cyrkułu III, Szyperskiego, wtargnęła do domu senatora Piusa Kicińskiego (ojca Brunona), przy ul. Gęsiej, i pomimo protestu Br. Kicińskiego (w protokóle zaznaczonego), powołującego się na art. 26 Ustawy, drukarnię opieczętowała; wydawnictwo zostało zawieszone. Woyda dopiero po dokonanym fakcie 20 maja zakomunikował to wraz z protokółem komisarza, Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi.

Wobec pogwałcenia własności prywatnej przez prezydenta, wydawcy Br. hr. Kiciński i D. Morawski zwrócili się natychmiast do Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi ze skargą: powołując się na to, że „Gazeta“ wychodziła z wiadomością rządu,

że komisya zatwierdziła ugodę wydawców z prenumeratorami, ogłosiła cenę „Gazety“, uciekali się skarżący pod opiekę prawa z prośbą o przywrócenie używania spokojnego własności, zwracali zarazem uwagę, że dokonany został gwałt konstytucyi, na którym cierpią nietylko wydawcy lecz i prenumeratorzy; z drugiej zaś strony niezachowaną została forma nawet, droga, w jakiej rozkazy rządowe wychodzić zwykły, mianowicie nie widzą oni w danym postępku wpływu ministra Spraw Wewnętrznych i Policyi, który kieruje policyą krajową.

Tymczasem Namiestnik polecił 20 maja komisyom Spraw Wewnętrznych oraz Wyznań i Oświecenia, by przedstawiły na najbliższe posiedzenie Rady administracyjnej projekt do postanowienia, na którego mocy gazety, dzienniki, tygodniki, lub pamiętniki miały zostać oddane cenzurze z zakazem bezwzględnym wydawania „Gazety Codziennej“. Komisya Spraw Wewnętrznych zredagowała 22 maja odpowiedź Namiestnikowi. Powołując się na wierne uszanowanie dla praw krajowych równie jak dla głowy rządu konstytucyjnego, minister przypominał przedewszystkiem prawo: Król konstytucyjnie zapewnił wolność druku, obiecał zarazem podać do ustanowienia prawo względem powściągnięcia jej nadużyć; zanim to nastąpi, oczywistą jest rzeczą, iż powinny trwać te prawidła, jakie były i są w używaniu, a które przystojnemu objawianiu myśli nie ubliżają; o tem należy obwieścić publiczności piszącej, aby się odtąd strzegła wykroczenia przeciw tym prawidłom. Dalej Mostowski określił rolę rządu: Rząd silny i niesprawiedliwości unikający łatwo posłuszeństwo otrzyma, ale jest równie niezbędną potrzebą dla tegoż rządu, dla kraju, dla trwałości swobód, dodaje minister, ażeby posłuszeństwo konstytucyjne dla woli naczelnika rządu nie mogło być odrębne od zaufania i miłości dla jego osoby. Nie zawahawszy się nawet przed pochlebstwem, określiwszy jasno i dobitnie prawo i stosunek rządu do niego, przeszedł Mostowski do spraw, które bezpośrednio wywołały odpowiedź. Z góry przyznał, że dwa artykuły w „Gazecie Codziennej“ umieszczone w wyrazach nieprzyzwoitych, zdrożnymi być rzeczywiście znalazła komisya; lecz jeżeli redaktorowie przez nieporozumienie okazali się niedostatecznie uległymi władzy właściwej, winę tego młodemu niedoświadczeniu przypisać należy, rzecz całą za mało ważną, jaką jest rzeczywiście, poczytać i do karbów zwyczajnych bez krępowania dozwolonej wolności zwrócić doradza. Zarazem wyraził żal, iż nader błahy powód mógł być sprawcą obecnego wzruszenia umysłów i obrad; z prawideł konstytucyi, równie jak z natury rzeczy, zaprzeczyć niepodobna, iż

widze w teatrach za wejście płacący kupili tem samem prawo sądzenia o grze aktorów i objawiania w przystojnym sposobie sądu swojego; oprócz tego łagodność właściwa obyczajom narodu polskiego nie dopuściła w nim nigdy okazywania niesmaków swoich przez świstanie, albo przez różne burzliwe oznaki w innych krajach używane. Gdy więc ogłoszenie w tej mierze wydane 7 maja już niema celu, przeto komisya jest zdania, aby je Namiestnik bez zwrotu na przeszłość i bez narażania nikogo za niepotrzebne nadal uznać dozwolił. Zwróciwszy uwagę Namiestnika, że formy konstytucyą przepisane są szczególną rękojmią bezpieczeństwa i spokojności publicznej, one bowiem jedynie przegradzają wolność od niewoli i rozwiązłości, one trwają i łączą pokolenia, gdy ludzie przechodzą i nikną, upraszała komisya w konkluzyi, aby formy w działaniach przepisane konstytucyą i statutami organicznymi ściśle wykonywane i szanowane być mogły, oraz, kładąc nacisk na to, że pierwszy raz w rzeczy toczącej się została powołaną, przesyłała zamiast żądanego projektu cenzury do ogłoszenia wniosek, ażeby ogłoszenie z dn. 7 maja nie powtórzyło się na przyszłość. Co zaś do pism peryodycznych, nim król ustanowi stałe przepisy względem wolności druku, prawidła za rządów przeszłych używane trwają tymczasowo w swej mocy; a gdy porządek społeczny wymaga, aby bez uszczerbku skromnego i spokojnego objawienia myśli, które jest wolne każdemu, pisma peryodyczne wychodziły za zezwoleniem zwierzchności miejscowej i pod warunkami przez nią z redaktorami ich umówionymi, iż takowe wiernie wypełniać są obowiązani; w uchybieniu czego sami sobie winni byliby pociągnięcia siebie do odpowiedzi, tudzież pism ich wstrzymania lub uchylenia.

Na obszernie motywowaną, lecz zgoła niezgodną z zamiarami władz wyższych, odpowiedź Komisyi Spraw Wewnętrznych wpłynęła bezwątpienia uraza osobista Mostowskiego o pominięcie jego praw i załatwienie spraw jemu przez konstytucyę oddanych przez Namiestnika w porozumieniu bezpośredniem z prezydentem Warszawy; jednocześnie jednak określa ona usposobienie ministra, zgodne z ogólnym nastrojem społeczeństwa, nawet skarżących się przed komisyą wydawców „Gazety Codziennej“; cechuje ją poszanowanie dla konstytucyi, dla form prawnych, a zarazem subtelne, powstrzymywane ironią względem Namiestnika i wyraźne już nauczanie go, przypomnienie mu jego obowiązków, jako naczelnika rządu konstytucyjnego, ciężki wyrzut, iż rząd sam krzewi anarchię. Mostowski próbował walczyć z falą zalewającą społeczeństwo, z wolą W. Księcia i Namiestnika. Przesyłając

odezwę do Namiestnika, Mostowski polecał kopie jej dostarczyć obydwu gazetom warszawskim, pragnął więc oddziałać na opinię publiczną; dalej ministrowi Sekretarzowi stanu, chcąc opinię swą podać do wiadomości króla; polecał również przesłać odezwę do kontrasygnowania ministrowi Wyznań i Oświecenia, który widocznie solidaryzował się z nim w danej akcyi.

Odezwę wysłano do Namiestnika 25 maja. Tymczasem Namiestnikowi oczekiwanie dwudniowe na odpowiedź wydawało się już zbyt długiem (20 maja wydał zlecenie, 22 maja skarżył się, iż to zlecenie długo nie zostało wykonane); przedewszystkiem jednak presya z góry musiała być silna, a stanowisko ministrów jasne, dlatego Namiestnik sam wniósł projekt na posiedzeniu Rady administracyjnej 22 maja i podpisał go.

„Gdy art. 16 konstytucyi krajowej dotąd w zupełności rozwiniętym być nie mógł, a JCK.Mość w odpowiedzi swej na uwagi Izby poselskiej nad raportem Rady stanu z 23 sierpnia (4 września) 1818 r. najłaskawiej oświadczyć raczył, iż chce, aby nadużycia wolności druku podlegały dawnemu prawodawstwu polskiemu przy zachowaniu status quo, póki nowe prawo nie przepisze środków jej ukrócenia—chcąc zapobiedz wszelkim aż do tego czasu wydarzyć się mogącym nadużyciom, postanowiliśmy i stanowimy: Art. I. Komisyi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego poruczamy przedsięwzięcie wszelkich środków, jakie za potrzebne uzna, do ukrócenia nadużyć wolności druku, stosując się do dawnego prawodawstwa polskiego i urządzeń za rządu Księstwa Warszawskiego wydanych. Art. 2. Wszystkie gazety i pisma peryodyczne, bez żadnego wyjątku, podlegać odtąd mają cenzurze rządowej. Art. 3. Wykonanie niniejszego postanowienia komisyom Wyznań Relig. i Oświecenia Publicznego tudzież Spraw Wewnętrznych i Policyi, umieszczenie zaś w „Dzienniku Praw“ Komisyi Sprawiedliwości polecamy“.

Postanowienie Namiestnika wywołało burzę, rozpoczęła się walka społeczeństwa i ministrów z władzami wyższemi.

W sprawie zamkniętej drukarni Kiciński i Morawski szturmowali w dalszym ciągu do ministra Spraw Wewnętrznych, jako do naczelnika policyi krajowej, która drukarnię zamknęła; nie otrzymawszy na pierwsze swoje przedstawienie żadnej rezolucyi, przesłali 26 maja likwidacyę strat codziennych, które ponosili z powodu zakazu używania swej własności, prosili przytem o prędką odpowiedź, bo na zwłoce mógłby stracić skarb publiczny, gdyby od niego wynagrodzenie nastąpić miało. Gdy i ta odezwa została bez odpowiedzi, Kiciński wystąpił jeszcze raz 3 czerwca do mi-

nistra Spraw Wewnętrznych odwołując się do jego znanej sprawiedliwości, przywiązania do konstytucyi, do tego, że zamknięcie drukarni, która nie była pokątną, zadawało gwałt art. 26 konstytucyi, wreszcie do tego, że nie może przed prenumeratorami się tłumaczyć, iż drukarnię rząd zamknął, bo uczynił to nie minister Spraw Wewnętrznych, który jedynie mógł tego prawnie dokonać, prosił o wskazanie drogi, na której mógłby krzywdy poszukiwać, w przeciwnym razie groził, że będzie drogą sądową dochodził należytości. W odpowiedzi na tę odezwę minister Spraw Wewnętrznych zwrócił się do Komisyi Wyznań i Oświecenia z zapytaniem w sprawie drukarni powyższej i otrzymał odpowiedź, że drukarnia Kicińskiego otwarta została na mocy wydanego przez władze municypalne pozwolenia; poczem minister Policyi zwrócił pokrzywdzonych do Namiestnika.

Ostatecznie Namiestnik zgodził się na otworzenie drukarni na posiedzeniu Rady administracyjnej 12 czerwca, odwołując się do postanowienia z 20 maja, dozwalającego na odpieczętowanie drukarni pod warunkiem, by z niej żadne pismo bez cenzury nie wychodziło; ponawiał to i polecał Komisyi Spraw Wewnętrznych, by strzegła, aby dana drukarnia służyła tylko do użytku wydawcy „Tygodnika“. Tegoż dnia minister Policyi przesłał do urzędu municypalnego rozkaz Namiestnika, ale w zmienionej formie i z ograniczoną treścią: by natychmiast drukarnię Kicińskiego odpieczętować kazał i zniósł się z Komisyą Wyznań i Oświecenia, która stosownie do rozporządzenia z 22 maja wyda przepisy, jakie pisma w tej drukarni wydawane być mają; nic ostrzegał o częściowem odpieczętowaniu drukarni i sprawę cenzury zostawiał zupełnie Komisyi Wyznań i Oświecenia.

Gdy odpieczętowano drukarnię bez zawiadomienia jednak redaktorów, że wedle rozkazu Namiestnika „Gazety“ bezwzględnie wydawać im nie wolno, 14 czerwca po trzytygodniowej przerwie wyszedł nowy numer 189 „Gazety Codziennej,“ już ocenzurowanej, lecz nie przez zwyczajnego cenzora, który odmówił swego podpisu, tylko z cenzurą członka Komisyi Wyznań i Oświecenia. Wydawcy spokojnie i przedmiotowo zawiadamiali prenumeratorów o zapieczętowaniu drukarni, którą z woli Namiestnika odpieczętowano, dalej zaś donosili, że z powodu postanowienia Namiestnika o cenzurze rządowej, gdy zachodzi „fizyczna niemożliwość“ odsyłania do cenzorów codziennie artykułów, w „Gazecie“ umieścić się mających, „Gazeta“ z końcem kwartału i po wydaniu numerów zaległych przerywa swoje istnienie; w następstwie tejże „Gazety“ jednak wychodzić będzie dzieło nieperyodyczne,

a zatem cenzurze niepodlegające, p. t. „Kronika drugiej połowy roku 1819“; dzieło to składać się ma ze 100 tomów od początku lipca do końca grudnia wydanych. W tymże numerze J. Szaniecki wzywał społeczeństwo do wypowiadania się, aby wytworzył się duch publiczny i okazał charakter narodowy, którego cechą jest uszanowanie dla tronu, miłość dla ojczyzny; to winno przewodniczyć w porozumiewaniu się w sprawach dobra publicznego, to również zapewni rządowi „mocniejszą rękojmię nad wszystkie cenzury i ustawy ograniczające wolność ducha.“ Następny numer poddano cenzurze rządowej. Dalej idący numer już był prawie gotowy, gdy wydawcy otrzymali rozkaz urzędu municypalnego, wyłączający „Gazetę“ z pod ogólnego dla wszystkich pism peryodycznych przepisanego prawa; Namiestnik powtórnie nakazał wydawcom tej „Gazety“, by Kiciński nie ważył się bez cenzury wydawać żadnego pisma, z wydawaniem zaś „Gazety Codziennej“ wstrzymał się zupełnie, dopóki do jej wydawania dalszego, nie otrzyma wyraźnego pozwolenia rządu (komunikat Woydy 15 czerwca).

Nie poddawali się więc redaktorzy „Gazety Codziennej“. Nie wypełniał rozkazów Namiestnika ściśle i dokładnie minister Spraw Wewn. i Policyi, z najsilniejszą jednak opozycyą spotkało się rozporządzenie Namiestnika w Komisyi Wyznań i Oświecenia, która przeciw zakazowi Namiestnika „publicznie w gazetach protestować się chciała“; „zapobieżono temu tylko przez porozumienie się z ministrem tej komisyi prezydującym.“ Ostatecznie Potocki ustąpił, uległ również Mostowski, ustąpili pomimo głębokiego przeświadczenia, że postępowanie Namiestnika gwałt zadaje Konstytucyi, że w sprawach, podległych ich zawiadywaniu, decydują siły utajone, stojące poza władzami konstytucyjnemi.

Rozporządzenie namiestnika kontrasygnował Potocki; decydował się nie bez walki na cenzurę prasy peryodycznej, będącej w zawiązku, której zresztą znaczenia wielkiego dla społeczeństwa nie przypisywał (stanowisko zbliżone do ministrów francuskich współczesnych). 15 czerwca przesłał Potocki Namiestnikowi „Urządzenie,“ wydane 8 czerwca dla redaktorów gazet i pism peryodycznych, wskutek postanowienia z 22 maja względem cenzury; mianowicie w rozwinięciu art. 2 tego postanowienia ogłaszał przepisy dla redaktorów wszelkich gazet i pism peryodycznych.

Pomimo, że komisya zajęła się przejrzeniem dekretów z czasów Księstwa Warszawskiego, „Urządzenie“ powyższe nie ma nic z nimi wspólnego, zbliża się za to do projektu lutowego z r. 1816 z tą poważną różnicą, w zastosowaniu do rozporządzenia o cenzurze, że cenzorzy-doradcy zastąpieni zostali przez obowiązko-

wych. Wszelkie gazety i pisma peryodyczne miały być przed wydaniem na widok publiczny poddawane pod roztrząśnienie cenzora od rządu ustanowionego; jeśliby autor, redaktor lub drukarz nie chcieli przestać na zdaniu cenzora, wolno im żądać, aby pismo dane niezwłocznie było przesłane pod rozpoznanie i rozstrzygnienie Komisyi Wyznań i Oświecenia. Cenzor przestrzega, aby nie drukowano zdań, znieważających religię, każących moralność i dobre obyczaje, dążących do zachwiania lub obalenia porządku społecznego, znieważających panującego, rząd i prawa krajowe lub odwodzących od należnego im posłuszeństwa, szkalujących wyraźnie czyjekolwiekbądź imię i sławę. Inne dzieła nie podlegają cenzurze, za wykroczenia w nich jednak pociągani są autor, drukarz, ewentualnie księgarz do odpowiedzialności karnej. Mają być ustanowieni cenzorowie, których brakuje; komisye w-dzkie winny podać kandydatów, zaś komisarze wydziału Wyznań i Oświecenia, zasiadający w komisyach w-dzkich, należą z porządku do liczby cenzorów.

Przepisy te rozesłano komisyom w-dzkim, Komisyi Spraw Wewn. i Policyi, ta zaś prezydentowi Warszawy.

Tymczasem przyszła odpowiedź z Petersburga z 8 czerwca wskutek uwiadomienia króla przez Namiestnika, iż brak wyraźnego postanowienia względem dozoru drukarni, księgarni, dzienników i pism peryodycznych stał się powodem do nagannych uchybień. Minister Sekretarz stanu, podejmując życzenia izby co do rozwinięcia art. 16 i 161 Ustawy, żądał, by Rada administracyjna zastanowiła się, czyby nie należało podać projektu do Statutu organicznego, któryby na drodze administracyjno-policyjnej urządzał księgarnie i drukarnie tymczasowo w celu zapobieżenia i powściągnienia nadużyć druku, aż póki prawo, „które zamiarem jest N.Pana kazać na najpierwszym sejmie wnieść, nie oznaczy i nie uzupełni rozporządzeń prawodawczych i karnych do tej materyi ściągających się.“ Jeśli Rada uzna taką potrzebę, wówczas Komisya Wyznań i Oświecenia ma przedstawić projekt statutu, który po przyjęciu przez Radę, ma być odesłany do Rady stanu, poczem pod zatwierdzenie króla za jego bytnością w Warszawie. W projekcie tym należy wyrazić wolę króla co do wniesienia na przyszłym sejmie zupełnego prawa względem wolności druku. Zresztą odezwa zostawiała Radzie wszelką wolność zastosowania rozporządzeń do potrzeb i okoliczności współczesnych, dlatego ani wskazywała, ani broniła użycia podobnego projektu z r. 1816, również dozwalała Radzie zająć się zbieraniem wszelkich mate-

ryałów, potrzebnych do wygotowania projektu do prawa z całą dojrzałością, jakiej tenże wymagał.

Namiestnik przesłał natychmiast odezwę Sobolewskiego Komisyi Wyznań i Oświecenia, aby zajęła się ułożeniem niezwłocznie rzeczonego projektu.

Że cenzura na pisma peryodyczne została ustanowiona samowolnie przez Namiestnika, kierowanego przez siły wyższe miejscowe bez upoważnienia uprzedniego, a nawet bez dyrektyw, płynących z Petersburga, świadczy o tem oprócz powyższej odezwy Sobolewskiego korespondencya tegoż ministra z Czartoryskim. Książę w uwagach o sejmie 1818 r. z 9 maja 1819 r. radził między innymi, by na razie utrzymać dotychczasowy stan druku, zaś w pierwszym czasie wolnym zająć się prawem, nietyle by zmienić, ile by zapewnić na przyszłość wolność, którą się obecnie cieszy druk w sposób dozwolony więcej faktycznie niż prawnie; zarazem skarżył się, że w obecnym stanie tymczasowym wolność druku była poważnie pogwałcona przez fakt, że pozwolono sobie zabronić po ostatnim sejmie druku uwag Izby poselskiej. W odpowiedzi na ten list (z 18 czerwca) Sobolewski oznajmił przedewszystkiem, że nie wiedział o tem, iż zabroniono drukować uwag Izby, a dalej powtarzał zapewnienia, przedstawione w odezwie, że okoliczności wykazują konieczność przepisów o druku, że wobec tego cesarz zażądał przedstawienia sobie projektu statutu organicznego w tym przedmiocie, a także przygotowania projektu prawa na sejm najbliższy.

Samodzielnie, bez odwoływania się do Petersburga, stłumiono opozycyę w Królestwie, reakcya stawała się coraz więcej wymagająca. Prześladowano zwłaszcza byłych redaktorów „Gazety Codziennej“; wzywani oni byli do W. Księcia, który przełożeniami, pochlebstwem, surowem gromieniem, groźbami, wreszcie znieważeniem, usiłował pogodzić ich z wprowadzonemi przez siebie rozporządzeniami. Na przedstawione Namiestnikowi pretensye Brykczyńskiego, wydawcy „Tygodnika,“ który z powodu zapieczętowania drukarni „Gazety Codziennej“ i własnej zarazem opóźnił wydanie czterech numerów „Tygodnika,“ Komisya Spraw Wewn. odpowiedziała, że żądania jego są przesadzone. Gdy Kiciński zwrócił się 12 lipca po raz trzeci do Namiestnika z prośbą o pozwolenie wydania dla prenumeratorów zaległych numerów „Gazety Codziennej,“ o wskazanie cenzora i wynagrodzenie za straty poniesione, a dalej ze skargą na arbitralny urząd municypalny i uzurpowanie sobie praw przez Komisyę Wyznań i Oświecenia, która wyjęła go z pod ogólnych praw obywatelskich, z groźbą

skargi do monarchy na antykonstytucyjne pogwałcenie własności; Komisya Spraw Wewn. dała mu ostrą odprawę, że wskutek reskryptu Namiestnika z 10 lipca dalszych numerów „Gazety“ wydawać mu nie pozwala, straty, jakie poniósł, „jedynie nieroztropnemu postępowaniu przypisać winien i żadnego za to wynagrodzenia nie otrzyma“; inne żądania nie zasługują na żadną odpowiedź.

Prześladowanie redaktorów „Gazety“ i kierunku przez nich reprezentowanego, nie skończyło się na tem. Redaktorzy „Gazety Codziennej“ przy współpracownictwie O. Szanieckiego, I. Kochanowskiego i J. Brykczyńskiego podjęli nowe wydawnictwo: „Kronikę drugiej połowy r. 1819“ w postaci pisma nieperyodycznego, któremu dali motto: „Rara temporum felicitas: qua sentire qua velis et quae sentias dicere possis (Tacitus).“ Duch „Kroniki“ był tenże co i jej poprzedniczki, a więc wyrażano w niej uwielbienie dla cesarza, jako dawcy i obrońcy konstytucyi, błogosławieństwa dla mądrej Ustawy, cześć dla reprezentantów narodu, jako straży konstytucyi przed nadużyciami, wykazywano, że wolność druku stanowi jedną z najpilniejszych podpór konstytucyi i ręczycielek swobód, że ograniczanie tej wolności dowodzi arbitralności albo słabości rządu i t. p.; przytaczano obrady Izby we Francyi w obronie wolności druku oraz prawa przez Izbę w tej kwestyi uchwalone. Autorowie artykułów podpisywali się, jako prawnie odpowiedzialni. Podobny jednak wybieg na wzór paryski, jakim było przeobrażenie peryodycznej „Gazety“ na luźną „Kronikę,“ oczywiście nie na długo łatał sprawę wolności druku.

11 lipca Namiestnik wyraził w reskrypcie do komisyi Spraw wewn. i Policyi zdziwienie, że redaktorowie „Gazety“ nie przestają wydawać pisma w tym samym duchu; zmieniwszy tylko tytuł, w dalszym ciągu zamieszczają wiadomości polityczne, a że „Kronika“ wychodzi cztery razy w tygodniu, niepodobna więc uważać jej inaczej, niż za pismo peryodyczne, a nawet za gazetę; podobne szalbierstwo popełniają wydawcy albo w chęci oszukania czujności rządu, lub jest to nieprzyzwoite naigrawanie się z władzy rządowej; nie zasłania wydawców ich podpis: prawnie odpowiedzialni, bo tu czczy i nic nieznaczący podpis nie uwalnia z pod cenzury, nie istnieje bowiem odpowiednie prawo, ani postanowienie. Uważając zatem podobne omijanie rozporządzeń rządowych za wystawianie rządu na zniewagę, Namiestnik rozkazał to pismo oraz wszelkie inne z tejże drukarni wychodzące, podciągnąć pod cenzurę. Wykonanie rozkazu polecił Komisyi Wyznań i Oświecenia, w szczególności zaś Komisyi Spraw Wewn. i Policyi,

jako sprawującej władzę policyjną, której zalecał być pomocną cenzurze.

Tegoż dnia minister Policyi przesłał Komisyi Wyznań i Oświecenia wynurzenie, iż z całą troskliwością spełni wolę Namiestnika, prosi tylko o oznaczenie cenzora i wskazanie prawideł, wedle których policya może zapewnić cenzurze pomoc skuteczną. Jednocześnie prezydent, przy którym była policya miejscowa, otrzymał zlecenia, aby „bez żadnego wahania i z całą troskliwością przyjąwszy wolę Namiestnika, uskutecznić ją starał się"; zaś Kicińskiego zawiadomiono, że, wedle reskryptu Namiestnika, „Kronika" i inne pisma z tejże drukarni zostały podciągnięte pod cenzurę oraz że prezydent będzie cenzurze pomocny.

Wobec powyższego rozkazu wydawcy „Kroniki" w numerze VII i ostatnim z 17 lipca oznajmiali, że ponieważ mają być poddani cenzurze, fizycznie zaś niepodobna wydawać tego pisma i przesyłać do cenzury, „Kronika" zatem przestaje wychodzić. Na zakończenie wydawcy rzucili groźbę dla władz nie niebezpieczną: „jeżeli przestaję pisać, nigdy nie przestanę tego samego mniemać." Ostatni numer został już ocenzurowany przez K. Tymowskiego i ks. Czarneckiego, cenzorów województwa Mazowieckiego.

Pomimo że rozkazy, udzielone Komisyi Spraw Wewn. i Policyi w danej sprawie zostały wykonane przez ministra Policyi bez zwłoki, Mostowski, który nie stawał w wyraźnej opozycyi, usiłował jednak uchylić się od narzucanych mu a niemiłych obowiązków, oznajmił Namiestnikowi, że dozór, aby pisma publiczne nie wychodziły bez cenzury, nie należy do przedmiotu policyi, komisya nie ma w swych atrybucyach cenzury, nie zna jej przepisów, nie może sądzić o charakterze pism. Gdy jednak na posiedzeniu Rady administracyjniej 13 lipca Namiestnik nalegał na przyjęcie tych obowiązków przez Komisyę Spraw Wewn., Komisya Wyznań i Oświecenia bowiem nie posiada środków egzekutywy, jak tylko za pomocą policyi, „bez policyi wszelkie działania rządu staną się czczemi, rozkazy bezskutecznymi," nastąpi swywola, nieposłuszeństwo, anarchia — biadał Zajączek; Mostowski ustąpił, skarżył się jedynie na brak wyraźnych przepisów, który wywołuje nieporozumienia wśród władz rządowych, a dalej wniósł, by wezwać Komisyę Wyznań i Oświecenia do przyśpieszenia pracy względem ułożenia projektu do tymczasowego postanowienia królewskiego o wolności druku.

Na temże posiedzeniu Komisya Wyznań i Oświecenia została wezwana, by podciągnęła pod cenzurę „Kronikę" oraz by rozcią-

gnęła cenzurę do wszelkich dzieł, traktujących o rzeczach politycznych, bacząc, by w pismach chroniono się w ogólności roztrząsania przedmiotów rządowych, których opaczne wystawianie do tylu nieprzyzwoitości staje się powodem; tylko dzieła naukowe mogą być wyjęte z pod cenzury. Wzywając raz jeszcze Komisyę Spraw Wewn. do czuwania, aby nie drukowano i nie sprzedawano bez cenzury, zakończył Namiestnik swoje przemówienie obszerne i pełne treści, gwałtownie przeciw ministrom skierowane, groźbą, iż doniesie monarsze, że jedynie gorliwość ministrów może utrzymać porządek i spokój w kraju, na nich zatem składa całą odpowiedzialność.

Ministrowie próbowali słabej opozycyi, pod naciskiem jednak silnym i trwałym poddali się i starali uniewinniać poprzednie swe postępowanie. Rozgoryczenie ich przeciw władzom wyższym oczywiście było silne; ostatecznie pogląd ich na sprawę cenzury sprowadzał się do tego, że uważali za konieczne przepisać i ogłosić natychmiast i tymczasowo do następnego sejmu rozporządzenie ogólne i pozytywne, dotyczące przestępstw druku i sposobu ich karania, gdyż w prawie obowiązującem cenzura była ograniczona do pism peryodycznych; postępowanie zaś policyi w stosunku do pism innych wydawało im się arbitralnem, dawałoby pochop do tem liczniejszych wystąpień opozycyjnych. Ministrów, którzy znali jedno tylko stronnictwo porządku i dobra publicznego, zwłaszcza zdecydowanego zwolennika umiarkowania politycznego, jakim był Mostowski, traktowano jako intrygantów, członków rządu, jako opozycyonistów przeciwrządowych, dlatego też Mostowski myślał nawet o dymisyi. Mostowski patrzył trzeźwo na sprawy, związane z drukiem, usiłował więc sprostować opinię cesarza o wypadkach, gorąco protestował przeciw oświetleniu, jakoby w kraju rozwinięto wielką intrygę polityczną, wystąpienie redaktorów „Gazety“ i „Kroniki“ przedstawił jako bezeceństwa kilku młodych ludzi, już zapomniane; pozatem uważał, że opinia powszechna zarówno ludu jak rządu jest całkowicie za utrzymaniem dotychczasowego porządku społecznego, rozprawy zaś o sprawach publicznych leżą w zwyczajach Polaków, o nich to się jednak da powiedzieć: „ils ont causé, ils obéiront“ i dlatego rozprawy te nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla rządu.

To samo zdanie da się zastosować do Mostowskiego; w naradach protestował, rozkazowi Namiestnika jednak był posłuszny. 16 lipca Komisya Spraw Wewn. wysłała do prezydenta, wskutek woli Namiestnika 13 lipca na Radzie wyrażonej, rozkaz, aby tymczasowo, nim postanowienie monarchy nie przepisze prawideł

ostatecznych w materyi wolności druku, jak najpilniej baczył, iżby w żadnej drukarni bez cenzury nie drukowano niczego, coby obejmowało materye polityczne. W ten sposób rozszerzono postanowienie z 22 maja.

Nacisk jednak był coraz silniejszy, łamiący wszelki opór ministrów, mianowicie tegoż 16 lipca Namiestnik w Radzie stanu jeszcze raz polecał Komisyi Spraw Wewn., by zajęła się wypełnieniem postanowienia z 22 maja, na temże jednak posiedzeniu wydane zostało nowe rozporządzenie, uzupełniające a właściwie rozciągające jeszcze działalność cenzury.

„Uzupełniając postanowienie nasze z 22 maja r. b., poddające gazety i pisma peryodyczne pod cenzurę rządową, stanowimy niniejszem, iż przepis art. 2 wyż pomienionego postanowienia rozciągniętym mieć chcemy do wychodzić mogących w Królestwie pism i dzieł wszelkiego rodzaju, to jest gdyby te nawet peryodycznemi nie były. Postanowienie to tymczasowe moc swoją zachowa, dopóki wyrok J. C. K. Mości materyi wolności druku stanowczo nie urządzi.“

W pierwszej redakcyi postanowienie ogarniało materye polityczne, później rozciągało cenzurę do pism i dzieł wszelkiego rodzaju.

Minister Wyznań i Oświecenia nie dał swego podpisu na rozporządzeniu, zastąpił go tym razem uczynny Staszic. Potocki, godząc się ostatecznie na cenzurę pism peryodycznych, był, tak jak Mostowski, przeciwnikiem cenzury na dzieła naukowe, w obawie, iż ta zatamuje całkowicie rozwój oświaty, literatury. Poza odmową kontrasygnowania rozporządzenia odpowiedział minister Oświecenia na ten nowy gwałt jedynie prośbą 20 lipca, by powyższe postanowienie zamieszczone zostało w „Dzienniku Praw“ dla wiadomości powszechnej.

Nie usiłowano jeszcze ograniczać handlu książkami; reskryptem z 6 marca 1819 r. Zajączek, „pragnąc wszelkimi środkami ułatwić rozszenie oświecenia publicznego w Królestwie,“ postanawiał: art 1) Od książek z zagranicy sprowadzanych, wyjąwszy żydowskie, nie ma być pobierana opłata celna; art. 2) Książki, wychodzące z kraju do Rosyi lub transito z zagranicy do Rosyi ekspedyowane (bez wyjątku) nie podlegają opłacie celnej; art. 3) Uboczne drobne opłaty zachowują się nadal.

Cenzura prewencyjna została ustanowiona i urządzona w zupełności, aczkolwiek przez rozporządzenie tymczasowe; kres jednak tej tymczasowości miał położyć, jak głosiło postanowienie

Namiestnika, prosty ukaz cesarski, nie zaś prawo, jak to zaręczał art. 16 Konstytucyi.

Podpisanie samowolnych rozporządzeń Namiestnika przez ministrów, którzy tak niedawno w raporcie o stanie kraju nie znajdowali powodów do ograniczenia wolności druku, a nawet podawali motywy do jej utrzymania, wykazywało brak ich samodzielności, uległość wobec W. Księcia i jego doradców, dlatego też spotkało się z oburzeniem nawet umiarkowanych i „dojrzałych“ sfer społecznych, przywiązanych do swobód konstytucyjnych. Opinia ta jasno wypowiedziała się na sejmie r. 1820, gdzie sprawa wolności druku musiała być podniesiona. Tymczasem pisał ks. Czartoryski do króla: „Jak mogą się utrwalić instytucye i przyjąć cechy rzeczywistości, jeśli ma być kiedykolwiek mowa o ich znoszeniu?“ Społeczeństwo jednak pozostało nadal obce wywrotowej opozycyi kierowanej przez pewną doktrynę; czerpano wprawdzie wzory z opozycyi francuskiej, przedewszystkiem jednak opierano się na hasłach Konstytucyi 3-go maja: zgody, harmonii społeczeństwa z królem, wyrozumiałości dla rządu; opozycya nie schodziła ze stanowiska nadanej Ustawy liberalnej, broniła jedynie zagwarantowanych przez nią praw.

Natalia Gąsiorowska.

PSYCHOLOGIA PANIKI

podczas wojny.

Badając rolę, jaką czynnik moralny odgrywa na wojnie, łatwo zauważymy, że przeważają tam dwojakiego rodzaju wzruszenia: strach i jego odmiany—forma obronna instynktu samozachowania oraz dążności gwałtowne i destrukcyjne, będące wyrazem jego postaci zaczepnej. Należy to do faktów dobrze stwierdzonych, że we wszelkich katastrofach ośrodki hamujące pracują ogromnie słabo (o ile całkowicie nie zawieszają swojej czynności); odruchy stają się panami sytuacyi. W tych warunkach jest rzeczą zupełnie jasną, iż postępki najmniej obmyślone i najzupełniej sprzeczne zostają spełnione. Osobnik, pozbawiony zdolności myślenia i chcenia, znajduje się pod działaniem tylu wpływów, jest nurtowany przez tyle impulsów, że z konieczności staje się ich igraszką. A gdy popędy te posiadają jeszcze potęgę instynktu, gdy zostały pogrążone w głębie naszego jestestwa przez wolną i nieustanną działalność tysięcy wieków—wieków straszliwej próby i walki zażartej o byt—cóż zadziwiającego, że za każdym razem, gdy rozum i wola zanikają lub chwilowo przestają funkcyonować, osobnik pozwala się unieść i popełnia czyny, niestety, nie zawsze zgodne z pojęciami honoru, obowiązku i odwagi?

To nam tłómaczy, przynajmniej częściowo, fatalne panowanie strachu we wszystkich wojnach. Gdyż należy wiedzieć, że strach właśnie posiada główne i prawie decydujące znaczenie na wojnie. Właściwie—to on stanowi o przebiegu bitw; często również decyduje o ich wyniku. Ci, którzy biorą udział w bitwie, są w sytuacyi bolesnej, prawie tragicznej. Z jednej strony poczucie obowiązku, honoru, ojczyzny—uczucie głębokie i działające, dzięki ciągłemu wpajaniu, w sposób pewny i nakazujący; z drugiej zaś strony—instynkt samozachowawczy, ogromne uko-

chanie życia, uporczywe dążenie każdej cząsteczki, każdego atomu—żyć, istnieć za wszelką cenę! Okrutny zatarg pomiędzy sumieniem a siłą automatyczną, niewidzialną, która zapuściła swe korzenie w naszą krew, w najskrytsze wnętrza naszego ustroju. Wynik tego zatargu *w większości wypadków* nie pozostawia żadnych wątpliwości. Wszyscy autorzy, wojskowi i cywilni, którzy pisali o wojnie, zgadzają się pod tym względem. Strach święci tryumfy...

„Strach!...

„Są dowódcy, są żołnierze, którzy go nie znają; są to ludzie o specyalnym harcie. Masa jednakże drży, gdyż nie można unicestwić ciała.“ [1])

„Co się zaś tyczy człowieka przeciętnego, człowieka zwykłego, wygląd jego na polu walki mało się nadaje do pochlebiania dumie gatunkowej człowieka.“ [2])

Książę de Ligne pisze: „Połowa armii, które widziałem, umiera ze strachu jeszcze przed rozpoczęciem bitwy; druga zaś połowa nie jest zupełnie spokojna, niema miny imponującej.“ [3])

„Człowiek straszliwie obawia się śmierci. U dusz wybranych wielkie przejęcie się obowiązkiem, który one tylko są w stanie zrozumieć i wypełnić, skłania czasami pójść naprzód; lecz masa na widok widma zawsze się cofa.“ [4])

Dr. Szumkow w dorywczych badaniach nad psychologią wojny dochodzi do takich-że wniosków. Według niego, wszyscy wojskowi znają strach i uczucia zeń pochodzące; dzieli ich tylko stopień panowania nad sobą w chwili krytycznej. W innem miejscu, analizując męstwo wojskowe, czyni uwagę następującą:

„Człowiek nowy, który nigdy nie uczestniczył w bitwie, zawsze doznaje strachu. Choć posuwa się naprzód i zachowuje odważnie—to nie oznacza atoli, że strach i tchórzostwo są mu zupełnie obce. Nie; on tylko panuje nad sobą i zapomocą woli zwalcza tchórzliwą naturę. Dzieje się tak, jakby w człowieku były dwie istoty: tchórz i zuch. I istoty te toczą nieustanną walkę, a zwycięzca otrzyma nagrodę.“ [5])

---

[1]) Colonel Ardant du Pieg, Etudes sur le Combat, str. 12.

[2]) P. Lacombe, Le Guerre et l'Homme, str. 111.

[3]) Zacytow. przez P. Lacombe'a, str. 114.

[4]) A. du Pieg, dzieło cytow., str. 78.

[5]) Dr. G. Szumkow, Razskazy i nabludienija iz nastojaszczej russko-japonskoj wojny. Woprosy nierwno-psychiczeskoj medicyny. Kijów 1905, str 5; str. 52.

Powiedzieliśmy, że strach, instynkt egoistyczny, zjawia się w walce za każdym razem, gdy życie jest lub zdaje się być zagrożonem. Uczucie zwierzęce samozachowania, które zdawało się drzemać, nagle budzi się i człowiek, pomimo karności, pomimo perspektywy tego, co może go spotkać, czyni wszystko, aby uniknąć niebezpieczeństwa, aby ocalić życie. I wszystko jest mu wtedy użyteczne. Każdy jar, każdy rów, każdy pagórek lub drzewo przedstawiają dla niego ponętę nieprzezwyciężoną; jeżeli chwilę się waha, zawsze jednakże kończy tem, że z nich korzysta. Instynkt życia góruje. A gdy błędny wzrok żołnierza już nigdzie nie odkrywa schronienia, pod wpływem strachu zaczyna wykonywać dziwaczne ruchy, przybiera charakterystyczną postawę. Oto się nachyla, staje się maleńki (jakby dążył do tego, aby przedstawić jaknajwięcej pola), plecami odwraca się do nieprzyjaciela i w tej pozycyi, nieruchomy, pozostaje w przeciągu długich godzin. Albo też nieświadomie wykonywa jakieś niezrozumiałe gesty i za każdym poświstem pękającego granatu lub przelatującej kuli zrywa się i zakrywa głowę i piersi ramieniem. Zbyteczne chyba zauważyć, że wszystkie te poruszenia są bezcelowe i nie mogą służyć do niczego. Postawa, gestykulacya są niezależne od jego osłabionej woli i zjawiają się samorzutnie, drogą automatyczną albo odruchową. A gdy żołnierz niezupełnie jeszcze stracił panowanie nad sobą, gdy wola jego choć trochę jeszcze funkcyonuje a umysł jest w stanie się oryentować—żołnierz staje się przebiegłym: więc korzysta z pierwszej okazyi, aby uniknąć niebezpieczeństw walki, lecz postępkom swoim nadaje pozory jakiejś potrzeby, konieczności. Wskutek tego często się widzi żołnierzy, otaczających *w liczbie zawsze zbyt dużej* ranionych swoich oficerów, przenoszących ich i wołających o pomoc; inni znów starają się odnieść ranionych swoich towarzyszy. Liczni są ci, co występują w ten sposób z szeregu; przyświeca im nadzieja uniknięcia nadzoru i możność legalnego usunięcia się od niebezpieczeństw walki. „Są w tem — powiada Trochu — dwie tendencye. Jedna—naturalna i ogromnie chwalebna: chęć udzielenia pomocy; druga, również naturalna, lecz mniej godna uznania: dążność do usunięcia się od ciosów, nadając przytem postępkowi pozory dobrego czynu.“ [1])

Na wojnie, oprócz instynktu (który budzi się spontanicznie), jest mnóstwo okoliczności, ułatwiających powstanie i rozwój stra-

[1]) Général Trochu, l'Armée française en 1867, str. 119.

chu. Jeśli człowiek normalny łatwo poddaje się uczuciu strachu, człowiek zmęczony, osłabiony, ulega mu o tyle prędzej, że wyczerpanie jest sprzyjającym ku temu warunkiem. Bo *zmęczenie, wyczerpanie fizyczne* usposabiają do strachu. „W organizmie osłabionym—mówi Ribot—strach dąży do uzewnętrznienia się.“ [1]) Pogląd to zupełnie słuszny. Zmęczenie przytępia potęgę funkcyi umysłowych; jednocześnie można zauważyć, że osobnik zmęczony staje się bardzo drażliwy: wszystko go denerwuje i pobudza. W tych warunkach—ponieważ człowiek zmęczony nie potrafi zapanować nad swoją czynnością odruchową—przypadkowa podnieta (bolesne uczucie, smutny obraz) może czynność tę wprowadzić w ruch i wywołać wcale niedwuznaczne symptomaty strachu. Ogólnie rzecz biorąc, wszelka depresya życiowa przygotowuje podatny grunt dla wzruszeń i namiętności. I najmniejsza przyczyna może tedy stać się punktem wyjścia dla uczucia strachu. „Jesteś osłabiony, smutny i chory, i oto czujesz, że nogi zaczynają się uginać, że serce gwałtownie bije, że twarz zastyga...; i doznajesz wtedy udręki strachu i jakiejś dziwnie nieprzezwyciężonej obawy.“ [2])

Imaginacya również gra dużą rolę w wytwarzaniu strachu. Jeżeli dzieci są tak bojaźliwe, to przedewszystkiem dlatego, że mają niezmiernie żywą imaginacyę. Dla Ribot'a i innych psychologów, nieobecność bojaźni jest jeno brakiem imaginacyi. Pod wpływem życia wojennego, imaginacya łatwo zostaje pobudzona; wraz z nią rodzą się i ponure obrazy. O ile zgodzimy się z twierdzeniem, iż „jesteśmy dostępni dla strachu o tyle, o ile wyobrażenie przyszłego nieszczęścia posiada w nas znaczne natężenie“— należałoby oczekiwać, że na wojnie uczucie strachu dojdzie do ostatecznych granic (co rzeczywiście bywa), ponieważ wszystko tam mówi o bólu, o zniszczeniu i o śmierci...

Jeszcze jeden czynnik, nader ważny, mocno przyczynia się na wojnie do rozwoju strachu. Jestto t. zw. *zaraza moralna*. Wszystkie stany uczuciowe objawiają się pod postacią zjawisk organicznych; jedne z nich (z tych zjawisk) są wewnętrzne, inne — zewnętrzne. Ostatnie polegają na niedowolnych reakcyach ruchowych, nadających każdemu stanowi afektywnemu specyalne zabarwienie. I w ten to sposób każde wzruszenie wyraża się

---

[1]) Th. Ribot, Psychologia uczuć (Psychologie des Sentiments), Warszawa 1901, str. 250.

[2]) P. Janet, l'Automatisme psychologique, str. 467.

przez określoną mimikę i postawę. Strach charakteryzuje się wzniesieniem brwi, otwarciem ust, opuszczeniem dolnej szczęki, rozszerzeniem źrenic, etc.[1]) Zdziwienie, niespodzianka, udręka, niepokój i t. p. mają wyrażenie mimiczne nieco odmienne; są to wszakże różnice raczej ilościowe, aniżeli jakościowe. W gniewie i w emocyach egzaltacyjnych—odwrotnie: brwi są energicznie opuszczone, nozdrza rozdęte, wargi zwarte i podane naprzód (lub też rozchylone w ten sposób, że ukazują zęby), dolna szczęka wzniesiona, zęby zaciśnięte.[2])

To samo możnaby powiedzieć i o postawie: jest ona zupełnie inną we wzruszeniach depresyjnych i inną w emocyach stenicznych. Objęty strachem, osobnik robi wrażenie, jakby chciał się skurczyć, ukryć, odwrócić od nieznanego niebezpieczeństwa; w przystępie gniewu przeciwnie: sroga i energiczna postawa wyraźnie wskazuje, że działa tu siła zaczepna, gwałtowna, nie znająca miary i którą nie każda przeszkoda powstrzyma.

Jest rzeczą wiadomą, że *w pewnych warunkach* stany afektywne łatwo się udzielają. W jaki sposób odbywa się to udzielanie się uczucia? Pp. Vigouroux i Juquelier napisali na ten temat ciekawą książkę.[3]) Każdy stan afektywny, jak już wiemy, wyraża się nazewnątrz przez określoną mimikę i postawę. Otóż, o ile przyjmiemy teoryę James'a i Lange'go, teoryę, według której wzruszenie jest jeno świadomością zjawisk ustrojowych (wewnętrznych i zewnętrznych), które mu towarzyszą, wystarczy, iżby objawy zewnętrzne wzruszenia były zaraźliwymi, aby i stany afektywne również się udzielały. Dla autorów naszych jestto faktem stwierdzonym i nie mogącym uledz zaprzeczeniu, że wszelki widok czynów rytmicznych, skoordynowanych i odruchowych wywołuje u widzów mimowolne reakcye ruchowe, dążące do powtórzenia spostrzeżonego ruchu. I tak, podczas niepewnej pogody otwieramy czasami parasol jeszcze przed powzięciem decyzyi, aby to uczynić; jestto akt *czystego* naśladownictwa. Widok człowieka śmiejącego się, kaszlącego, łatwo pobudza nas do śmiechu, do kaszlu; i tu oddziaływa wskazany już naśladowniczy mechanizm.

A gdy ruchowe objawy uczucia raz już zostały odtworzone, osobnik, mimowolnie naśladujący, powinien go w pewnej mierze doświadczyć, ponieważ wzruszenie nie jest niczem innem, jeno

[1]) E. Cuyer, La mimique, str. 329.
[2]) Ibidem, str. 310.
[3]) A. Vigouroux i P. Juquelier, La Contagion morale, 1905.

świadomością zmian cenesteryi,[1]) zmian, które nazewnątrz objawiają się w tych właśnie reakcyach ruchowych.

„Gdy chcę wiedzieć do jakiego stopnia ktoś jest mądry lub głupi, dobry lub zły, albo jakie są w danej chwili jego myśli, nastrajam twarz moją według jego twarzy i oczekuję, aby wiedzieć, jakie myśli lub jakie uczucia zrodzą się we mnie. Zupełnie tak, jakby one miały dobrać się i odpowiedzieć wyrazowi mojej twarzy“ (Edgard Poe).[2])

Tyle nasi autorzy. Karol Féré również uznaje, że „jeśli z twarzy interlokutora można wyczytać jego myśli—to tylko dlatego, że patrząc nań, mimowoli przybieramy jego wyraz; w następstwie zjawia się odpowiadająca temu wyrazowi myśl“[3]). Według Féré'a, Konfucyusz wiedział, że nawyknienie do pewnego ułożenia i do pewnych gestów musi wywoływać określone uczucia. W sumie—to właśnie jest celem ceremoniału, który odgrywa taką kolosalną rolę w religii i w obyczajach Chińczyków.[4])

Nie będziemy się dłużej zatrzymywali nad tą kwestyą. Uważamy za prawdę niezaprzeczalną i codziennej podlegającą obserwacyi, iż *w odpowiednich warunkach* wszystkie stany uczuciowe się udzielają. Ból i przyjemność, smutek i radość, strach i gniew, trwoga, przerażenie, tak samo, jak wściekłość i nienawiść, udzielają się drogą zarazy. Lecz są okoliczności, gdzie zaraza umy-

[1]) Cenesterya—ogół uczuć organicznych, doznawanych w danej chwili.

[2]) Cytow. przez pp. Vig. i Juq., str. 21.

[3]) Ch. Féré, Sensation et mouvement, str. 15.

[4]) Analizie zarazy moralnej, podanej przez profesorów Vigouroux i Juquelier, moglibyśmy uczynić trzy poważne zarzuty: 1-o Mechanizm zarazy, który wydaje się dosyć jasny, o ile przyjąć t. zw. „fizyologiczną“ teoryę wzruszenia (teoryę James'a i Lange'go)—a autorowie są zdecydowanymi jej zwolennikami — traci tę jasność, a nawet wydaje się zupełnie niezrozumiałym, o ile odrzucić zasadniczy postulat tej teoryi, mianowicie, że między zjawiskami organicznemi a stanem afektywnym istnieje *stosunek przyczyny do skutku*. A przecież zachowanie tej rezerwy jest rzeczą uzasadnioną i pożądaną. 2-o Autorowie przesadzają wpływ zarazy umysłowej. Ta zazwyczaj zdarza się *tylko w odpowiednich, w dogodnych dla siebie warunkach*. Wszędzie staraliśmy się to podkreślić. Na osobnika zrównoważonego, wypoczętego, zaraza nie wywrze żadnego wpływu; potrafi on najzupełniej oprzeć się jej działaniu. 3-o Liczne przypadki naśladownictwa, przytoczone przez autorów, nie mogą być zaliczone do kategoryi t. zw. *czystego* naśladownictwa. Są to zjawiska bardziej skomplikowane. To też tłómaczenie ich przez bezpośrednią, automatyczną, odruchową, nieświadomą imitacyę wydaje się już zbyt prostem, a więc—wątpliwem.

słowa szerzy się w sposób zadziwiająco szybki. Wszystko, co zakłóca równowagę pomiędzy naszem świadomem „ja“ a podległemi mu funkcyami automatycznemi, sprzyja rozwojowi zarazy. A więc: roztargnienie, zetknięcie z podobnymi sobie (tłum, pisma, książki), chorobliwy stan organiczny etc. Im bardziej zmniejsza się siła hamująca woli — tem usilniej pracują niższe ośrodki nerwowe; te zaś, im liczniejszych doznają wrażeń, tem intensywniej na własny rachunek powtarzają to, co otrzymały. Gdyż nieobecność woli jest jakby *carte-blanche* dla życia automatycznego. Niekrępowane żadną przeciwwagą, życie to rozwija się w całej pełni i wkrótce zamienia nas w istne automaty.

Wszelkie ludzkie zbiorowisko jest podatnym terenem dla zarazy. Tłumem zawsze rządzi ślepa i nieświadoma siła. To, co go specyalnie charakteryzuje, to zanik życia mózgowego i nadmierny rozwój życia rdzenia pacierzowego. „W duszy zbiorowej— pisze Le Bon—znikają intellektualne właściwości osobników oraz ich indywidualność. Różnorodność tonie w jednorodności, a rej wiodą cechy nieświadome“[1]). A gdy życie rozsądku i woli raz zostało zawieszone, działalność tłumów z konieczności musi stać się instynktowną i automatyczną. Nerwowy i nad wyraz wrażliwy tłum jest ogromnie czuły na wszelkie wpływy i to sprawia, iż staje się igraszką wszystkich zewnętrznych pobudzeń. Stąd właśnie jego impulsywność. Z drugiej znów strony, skutki tej koncentracyi dogodnych dla zarazy warunków (impulsywność, nieobecność rozsądku i woli, panowanie instynktów) nie długo dają na siebie oczekiwać: fatalnie nieświadome naśladownictwo z tego wynika.

Organiczny i psychiczny stan człowieka mogą również być poważnymi czynnikami zarazy. Osobnik zrównoważony, normalny pod względem fizycznym i moralnym, dosyć skutecznie opiera się zarazie. W najgorszym razie podlegnie on jej działaniu tylko w rozmiarach bardzo ograniczonych. Odwrotnie, ludzie niestali, zmienni płacą jej olbrzymi haracz.

Omówiliśmy nieco szczegółowiej mechanizm zarazy moralnej dlatego, iż wyjaśnienie go jest koniecznem dla zrozumienia *paniki* wojennej. Wiadomo, co to jest panika. Jakieś niewytłómaczone przerażenie ogarnia nagle i *bez powodu* oddział wojska i, dzięki samorzutności i intensywności, sprawia, że żołnierze w nieładzie rzucają się do ucieczki. Skutki paniki są okropne.

[1]) G. Le Bon, Psychologia tłumu (Psychologie des foules), 1899, str. 27.

W wojnach starożytnych moment ten bywał dla uciekających początkiem krwawej rzezi; w bitwach współczesnych oznacza on żywiołowe i bezładne cofanie się z druzgotaniem, zabijaniem i obrazami brutalności i okrucieństwa, które są od tego nieodłączne.

Paniki pod Montchantin (w przeddzień bitwy pod Valmy — 1792), pod Solferino (nazajutrz po bitwie—1859), pod Wagram etc. pozostały sławne w historyi wojen. Wszędzie przyczyny popłochu *napozór* są nieznane. Stwierdza się tylko, że żołnierz lub grupka żołnierzy zostają nagle owładnięci strachem; ich trwoga błyskawicznie udziela się tym, którzy ich otaczają; i znowu, ze swej strony, zarażają swoich towarzyszy, i w taki to sposób, ze zdumiewającą szybkością, powstaje panika.

Badania, dokonane nad zarazą moralną, pozwolą nam może wytłómaczyć ciekawe to zagadnienie. Wiemy już, że na wojnie obrazy niebezpieczeństwa i śmierci ciągle się przesuwają przed oczyma żołnierzy. Wytwarza to w nich charakterystyczny stan psychiczny, gdzie zdenerwowanie, niepokój i jakaś wprost chorobliwa pobudzalność zajmują główne miejsce. Pierwszy warunek dla rozwoju zarazy zostaje w ten sposób zrealizowany. Skupianie żołnierzy w liczne masy jest drugim tego czynnikiem. Jak we wszystkich zbiorowiskach ludzkich, właściwości umysłowe indywiduów zanikają; życie rdzenia pacierzowego panuje wszechwładnie. Te dwie przyczyny połączone, działalność jednej wzmocniona przez wpływy drugiej, przygotowują wyśmienity teren dla aktów naśladownictwa. Gdyby w tym momencie żołnierz miał wzrokowe lub słuchowe złudzenie, że nieprzyjaciel się zbliża, gdyby przez mimikę lub postawę okazał dławiące go przerażenie, gdyby krzyknął lub nieopatrznie rzucił się do ucieczki — momentalnie całe to morze ludzkie zostałoby wstrząśnięte dreszczem niespodzianki, później zdziwienia, później zdumienia, a później, przez nieznaczne, lecz zawrotne stopniowanie, doszłoby do trwogi i przerażania. Nieświadome naśladownictwo dokonało swego dzieła: panika została rozkiełznana.

Nie nalegajmy dłużej. Nie ulega wątpliwości, że podczas paniki człowiek przeżywa ciężkie chwile. Doznał on większości tych wzruszeń, które posiadają zadziwiającą zdolność niszczenia energii, przygniatania ducha i dezorganizowania, może na długo, równowagi umysłowej. Wojna, ze wszystkiemi jej perypetyami, minie, lecz ślady jej pozostaną długo jeszcze wyrytymi w życiu psychicznem tych, którzy, biorąc bezpośredni w niej udział, mieli szczęście uniknąć tam śmierci.

Wyczekiwanie przed bitwą jest obfitym źródłem przygnębiających wzruszeń. Wyobraźmy sobie armię, maszerującą w przeciągu długich dni i tygodni w kierunku nieprzyjaciela. Oddani na pastwę klimatu, torturowani przez głód i pragnienie, osłabieni przez choroby, wyczerpani przez zmęczenie, żołnierze wchodzą wreszcie w sferę przyszłych walk. Lecz wroga nie widać. Oczekuje się go ciągle. Co chwila pociski mogą zacząć padać, siejąc zniszczenie i śmierć; każdej chwili cisza przyrody może być przerwana przez potężny huk kanonady, przez bolesne krzyki ranionych, przez beznadziejne jęczenie umierających. Dla wielu każda chwila może już być... ostatnią.

Godzina się zbliża. Niepokój staje się żywszy. Jakaś męka dręczy człowieka i wszystko napawa go strachem. Serce silniej uderza, piersi nierówno falują, mięśnie poczynają drżeć, twarz się pokrywa bladością, oczy się stają ruchome: robią wrażenie, jakby czegoś szukały. A nieprzyjaciela ciągle nie widać. Nerwowość i podrażnienie wzrastają; wśród żołnierzy daje się zauważyć pewne poruszenie. Groźba czyhającego niebezpieczeństwa staje się wyraźniejsza, jakby bardziej nagląca. Jako drapieżny ptak, zdaje się ona unosić nad głowami żołnierzy, lecz ciągle niżej i niżej, i to jej stopniowe obniżanie się wywołuje u żołnierzy charakterystyczne objawy: upadek ducha jest widoczny, przygnębienie spotęgowane, milczące i zagadkowe poruszenie obiega coraz szersze kręgi, a cisza, niby żelazne kręgi, ciężarem kładzie się na mózgi.

Lecz oto pierwsze działa zaczynają grać. Ich huk jest najpierw jakiś oddalony, lecz powoli się zbliża i potężnieje. Powietrze, wstrząsane wybuchającymi pociskami, gwałtownie drży, drganie to dochodzi ucha i brutalnie o nie uderza: wrażenie ogromnie przykre. Kanonada staje się intensywniejsza. Pociski rozpryskują się coraz bliżej, huk jest ogłuszający. Blada przed chwilą maska człowieka nabiera jakiegoś sinego koloru i dziwnie straszną się wydaje. Oczy zatracają ruchomość. Instynktownie zwracają się tam, skąd pociski przychodzą i tak już pozostają. Na miejscu dłużej utrzymać się nie można. Ta bezczynność pod gradem pocisków jest zbyt męcząca: trzeba rzucić się naprzód, albo uciekać.

A gdy coraz celniejsze pociski dosięgają pierwszych ludzi, gdy krew zaczyna się toczyć, a zmiażdżone, zdruzgotane ciała towarzyszy rzucają się w oczy żołnierzy—wytrzymałość nerwów gwałtownie opada, panowanie nad sobą zanika. Jeśli w tej przełomowej chwili nie nadejdzie rozkaz, by rzucić się naprzód—żoł-

nierz dłużej nie wytrzyma i pierzchnie. Instynkt samozachowawczy wypowie ostatnie słowo.

Świadomość nasuwającego się niebezpieczeństwa jest zbyt uciążliwa, aby wobec niej zwykły człowiek, znajdujący się w masie, mógł zachować całkowitą rozwagę. W takich chwilach instynkt samozachowania budzi się nawet w najśmielszych; jego wpływ będzie zresztą wzmocniony przez deprymujące działanie zarazy moralnej. I trzeba będzie dać ujście temu stanowi naprężenia duszy żołnierza; trzeba będzie, choć w części, uwolnić go od ciężaru, który czyni go impulsywnym i tak łatwo pobudzalnym. Za wszelką cenę trzeba będzie znaleźć dla niego zajęcie—choćby miał to być atak na nieprzyjaciela—któreby zajęło jego uwagę. W przeciwnym bowiem razie—najmniej znaczna przyczyna może stać się powodem trwożliwego zamieszania, a nawet — paniki.

„Zdaje się, że najtrudniejszą na wojnie rzeczą jest otrzymywać pociski, nie ruszając się i nie strzelając. Nawet odebranie pod gradem kul pozycyi lub fortyfikacyi nie wymaga tyle energii.“ [1])

A na energię tę żołnierz się zdobywa, robiąc kolosalny wysiłek woli. Wysiłek ten wymaga takiego fizycznego i duchowego natężenia, że dla tej choćby przyczyny, t. j. wskutek fizycznego i moralnego wyczerpania, nie może on być długotrwałym.

Generał de Négrier, mówiąc o roli żołnierza w bitwach, po stwierdzeniu faktu, że „teraz muszą oni zdobyć się na większą sumę energii, niż w czasach przeszłych,“ wypowiada się w ten sposób: „teraz, aby go podtrzymać, żołnierz nie ma już więcej upojeń starożytnych ataków *en masse*. Dawniej niepokój wyczekiwania sprawiał, że żołnierz pragnął tego gwałtownego uderzenia, niebezpiecznego, lecz szybko mijającego. Teraz, wszystkie jego duchowe i fizyczne siły będą w grze w przeciągu długich godzin, a w próbie tej znajdzie on pokrzepienie tylko we własnej wytrwałości.“ [2])

Otóż wytrwałość ta będzie miała skutki zbyt destrukcyjne dla organizmu, aby módz dłużej trwać. I dlatego też na praktycznej głównie znajomości zalet i przywar ludzkiego serca opiera się sztuka wojenna.

Wojsko, jako wielkie zbiorowisko ludzkie, jest impulsywne. Do pewnych granic podlega ono prawom, rządzącym tłumami,

[1]) P. Lacomba, dzieło cytow., str. 117.

[2]) Cytow. przez E. Judet'a we wstępie do 6-go wydania „Etudes sur le Combat“ — Ardant du Pieg'a.

ale *do pewnych tylko granic*, ponieważ jest to tłum, mający *dyscyplinę*. Karność, pojęcia obowiązku i solidarności nie pozostają bez wpływu na postępki żołnierza, a jeśli instynkt samozachowania zwycięża, nie dzieje się to bez uprzedniej uporczywej walki. Żołnierz często doznaje uczucia strachu; tylko tym czynnikom zawdzięczyć należy, że wzruszenie to nie zamienia się w obliczu nieprzyjaciela w trwogę lub przerażenie. Karność zmusza do posuwania się naprzód i pod jej ciśnieniem dokonują się rzeczy, które w innych warunkach nie stałyby się napewno. Lecz w jaki sposób działa dyscyplina?

„Karność ma na celu zmniejszyć ten strach (strach śmierci) przez strach jeszcze większy: przez obawę kary lub wstydu.“ [1])

I tak, podczas bitwy żołnierz *jednocześnie* podlega moralnemu ciśnieniu dwóch wzruszeń jednakowo silnych i jednakowo deprawujących. Instynkt życia pcha go do unikania niebezpieczeństw: stąd dążność do ucieczki. Z drugiej strony, obawa tak poważnego przekroczenia przeciw dyscyplinie, strach być zauważonym, być oddanym pod sąd — wszystko to posiada dosyć siły, aby impuls chwili pohamować, aby zmodyfikować, aby go osłabić. I wtedy, miast uciekać, idzie się naprzód, lecz w jakim stanie! Człowieka pożera niepokój; idzie naprzód, lecz kroki jego bynajmniej nie są pewne, a mózg uparcie szuka jakiegoś wyjścia. W tych okolicznościach zdarzają się rzeczy dziwne i niezrozumiałe. O 50 *lieues* [2]) od nieprzyjaciela istna choroba zaczyna czynić spustoszenia wśród wojska: jest to *choroba upadku ducha*, o formie epidemicznej. Na całej przestrzeni, którą wojsko przebiega, niezwykły widok rzuca się w oczy: tysiące żołnierzy leży na ziemi, jużto rozciągnięci, jakby byli martwi, jużto w pozycyi strzelców, gotowych do strzału. Pod Wagram, na 22,000 ludzi, rzuconych naprzód, 1,500 zaledwie osiągnęło pozycyę. Co się stało z resztą? „Czy pozostali nie byli już zdolni do walki? Nie. 7-iu na 22-ch, trzecia część, proporcya olbrzymia, mogło być rannionych; lecz co się stało z brakującymi 12,000? Otóż oni padli lub położyli się w drodze, *udali martwych*, aby nie pójść do końca.“ [3])

Co się tedy dzieje?

Rzecz bardzo prosta. Żołnierz, dręczony obawą przed nieprzyjacielem i zgrozą, jaką nabawia go wykroczenie przeciw dy-

[1]) A. du Pieg, str. 78.

[2]) Lieue — mila francuska.

[3]) A. du Pieg, str. 158.

scyplinie, pada z własnej woli, w nadziei, że uniknie zdradliwego działania ołowiu, a jednocześnie, że uda mu się wymknąć z pod badawczych spojrzeń przełożonych i towarzyszy. Ta masowa symulacya śmierci nie jest w dziejach wojny zjawiskiem odosobnionem. Wagram nie jest wyjątkiem. „Rzecz ta może się przytrafić *wszelkiemu* wojsku, posuwającemu się pod ogniem nieprzyjacielskim, w jakimbykolwiek porządku było.“ [1])

Przypuszczamy, że i tutaj zaraza moralna nie pozostaje obcą stwierdzonemu zjawisku; być może nawet, że udział jej jest dosyć znaczny.

A żołnierz, który udał martwego, drogo opłaca chwilową dezercyę. Wprost trudno sobie wyobrazić, co musiał przeżyć przez ten czas, okropne myśli, które nieustannie przebiegały mu przez mózg, uczucia, które go nurtowały, i wstrząśnienie, jakiego doznał jego układ nerwowy! Nic dziwnego, że takie chwile fatalnie się odbijają na umysłowości żołnierza i że chwilowy upadek ducha przechodzi często w chorobę istotną i poważną.

Gdyby na zachowanie się żołnierzy miała wpływać tylko dyscyplina, wyniki bitw byłyby dla armii często niefortunne. Na szczęście, jakeśmy już zaznaczyli, są i inne czynniki. Poczucie obowiązku, honoru, solidarności, miłość własna wreszcie, są danemi zasadniczemi i które wiele zmieniają na wojnie. Armia bez poczuć i pojęć moralnych jest jako stado baranów: wszelka niespodzianka ma duże szanse wywołać w niej popłoch. Odwaga nie jest niczem innem, jeno zwycięstwem obowiązku lub miłości własnej nad tchórzostwem.

„Tchórz — to nie ten, kto doznaje wewnętrznego strachu (w tem znaczeniu wszyscy byliby tchórzami), lecz ten, kto nie potrafi postępować tak, jakby tego strachu nie doznawał.“ [2]) Aby postępować w ten sposób, trzeba dużego wysiłku woli; to zaś może mieć miejsce tylko wtedy, gdy wola jest poruszana przez dosyć potężną sprężynę. Sprężyną taką jest właśnie poczucie obowiązku i honoru.

Dyscyplina, faktycznie wspomagana przez wymienione czynniki, sprawia, że ruch skoordynowany mas staje się możliwy. Jeśli istnieje pewna ilość żołnierzy odważnych, z temperamentem i brawujących wszelkie niebezpieczeństwa — olbrzymia większość jednakże nie jest taką i znosi wzruszenia wojenne, specyalnie zaś

[1]) Ibidem.

[2]) Lacombe, str. 120.

emocye walki, tylko dzięki współczesnej działalności wzmiankowanych czynników. Tylko za tę cenę człowiek przeciętny, a więc przystępny uczuciu strachu, może przeciwstawić się ślepej i zabójczej działalności pocisków; tylko za tę cenę staje się on zdolnym do przytłumienia, ewentualnie do nieusłuchania egoistycznych podszeptów instynktu; tylko to potrafi dać mu siłę wytrzymać heroicznie okrutne doświadczenia i dzięki temu wreszcie, na wojnie, obok tylu tchórzliwych wyrachowań, można spotkać się z prawdziwem poświęceniem i częstokroć z zupełną abnegacyą.

Jest rzeczą niemożliwą zbadanie *wszystkiego*, co żołnierz przeżywa na polu bitwy, jako też zrobienie całkowitej analizy przyczyn, powodujących takie lub inne zachowanie się. Człowiek nie zawsze jest do siebie podobny; na wojnie zaś, w tem środowisku *par excellence* chorobliwem, człowiek staje się jeszcze bardziej wrażliwym i tem łatwiej się zmienia. Dzisiejszy śmiałek jutro okaże się tchórzem; nikt nie może się poszczycić, że w każdej chwili zapanuje nad uczuciem. Żołnierze nawet najbardziej obyci z wojną, mają momenty strachu; i przeciwnie: trwożliwi, nieśmiali, często stają się bohaterami. W zachowaniu się ludzi ślepe i nieprzewidziane jest najzupełniej prawem.

W wojnach udatnych, wojska niezmęczone są nastrojone entuzyastycznie. Poprzednie zwycięstwa podtrzymują ich stan moralny i wyrabiają przekonanie, że są niezwyciężonemi. Przekonanie takie częstokroć wystarcza, aby otrzymać zwycięstwo, tak samo, jak uczucie zniechęcenia jest dostateczne, aby wywołać porażkę. Entuzyazm, umiejętnie podtrzymany przez dowódców, jest potężną siłą impulsywną.

Nie wiele trzeba, aby entuzyazm przeszedł w egzaltacyę, a gdy ta ogarnia duszę żołnierza, wszelkie hamulce przestają dlań istnieć. Skierowani w tym stanie przeciw nieprzyjacielowi, żołnierze bezwzględnie go zaatakują, nie zwracając uwagi na straty, które ich dziesiątkują; a rozmach tego żywiołu jest tak potężny, że samo zbliżanie się do pozycyi, zajętych przez nieprzyjaciela, wystarcza, aby ten się cofnął, niedopuszczając do decydujących zapasów. I instynkta destrukcyjne będą miały wolne pole. Żołnierze rzucą się na atakowaną pozycyę i jeśli w owym momencie nieprzyjaciel nie zdołał jeszcze wycofać stamtąd resztek swojego oddziału, napewno padną one ofiarami nieubłaganej rzezi. Nic, oprócz zmęczenia i wyczerpania, nie powstrzyma już tego rozszalałego huraganu. Żaden rozkaz nie zostanie wysłuchany; wszelkie próby opanowania sytuacyi lub przynajmniej ograniczenia jej rozmiarów, będą trudem straconym. Żołnierz

jest najzupełniej opanowany przez żądzę zniszczenia i krwi i rozkiełznanych namiętności nie potrafi ukrócić.

Entuzyazm lub egzaltacya nie są jedynemi przyczynami, zdolnemi wywołać nieprzeparty atak przeciw wrogowi. Po dłuższem wyczekiwaniu w czasie bitwy, wytwarza się tego rodzaju stan psychiczny, że atak staje się konieczny. Ten ruch zaczepny będzie się odznaczał ogromną siłą impulsywną. Żołnierze, dotychczas milczący świadkowie walki, znajdują prawdziwą ulgę w siarczystym rozmachu, który ich niesie naprzód. Ich naprężone nerwy, które z upragnieniem szukały wypoczynku, znalazły ku temu sposobność; od jednego razu niepokój i udręka zostały rozwiane. A gdyby wróg nie ustąpił przed tą siłą rozpędową wojska, gdyby dzielnie, ze spokojem przyjął ich zbliżanie się, jest wiele prawdopodobieństwa, że napadający rzucą się do ucieczki. Jak w zapamiętaniu wojsko uderzyło na nieprzyjaciela, tak samo, instynktownie, zaczuie się cofać w zupełnym bezładzie. Są to rzeczy znane i stwierdzone niejednokrotnie.

Wojska wyrobione, znające obowiązek, zachowują się inaczej. Gdy rozkaz do ataku zostaje rzucony, cisza śmiertelna opanowuje wszystkie serca; w przeciągu minuty (a dla żołnierza trwa ona wieki) wola zawzięcie zmaga się z instynktem. Wszystkie perypetye tej walki z przedziwną wyrazistością rysują się na twarzach żołnierzy. Z początku blade, ziemiste o oczach szeroko rozwartych powoli odzyskują swój zwykły wygląd, i za chwilę już są zdecydowane, wierzące, prawie natchnione. Ale nie jest to ciche i łagodne natchnienie poetów; natchnienie to—to wezwanie na bój, na niszczenie, na mord... [1]) Już nie widać tych przykrych twarzy koloru cytryny, tak częstych podczas odwrotów. Strach znikł. *Naprzód!* Zwyciężyć lub zginąć, lecz prędzej! Byle tylko nie myśleć, nie zastanawiać się. Bo smutne myśli przychodzą do głowy, a tęsknota za rodziną tak szarpie, tak męczy... Na progu śmierci człowiek komunikuje się ze swoimi; do nich należą jego ostatnie chwile...

Lecz gdy bitwa się rozpocznie, wszelkie myśli znikają. Zapomina się o żonie, o dzieciach. Jakaś bezmierna nienawiść rozpala się w duszy żołnierza, ukryte zwierzę się budzi i wtedy — niema litości! Morduje się, niszczy wszysko. Niema cywilizacyi, niema ludzkości. Człowiek poświęca życie, lecz dla tejże przyczyny przestaje być wrażliwym: traci wszelkie poczucie cudzego nieszczęścia i cudzego bólu.

[1]) Ob. Szumkow, art. cyt., str. 59.

Wspomnimy zaledwie wzruszenia tych, dla których wojna z jej smutkami i okropnościami, jest tylko świętem. Są to ludzie specyalnego rodzaju. We wszelkiej armii znajdują się zawsze w pewnej liczbie i u nich natchnienie do pożogi i krwi jest stanem raczej stałym. Typ tego rodzaju nieźle został opisany przez p. Erastowa. Jest nim pułkownik Dorne.

„Życie? do czego, u dyabła, może mi ono służyć, jeśli nie mam w niem nic do zrobienia? Tutaj-to życie! Jeżeli walka jutro dojdzie do skutku, pokażę wam, co to jest życie! Ech, i po co to robić tajemnice...“ [1])

„Tylko w ten sposób potrafię żyć! Kampania! Naprzód na pozycyę, odjąć przednie części! Ustanowić cel, przytwierdzić rurę do kolumny, baterya: ognia! Co? trafiony? Jeszcze raz: ognia! Rozkazy grzmią, babcie [2]) wzdychają, pociski ryczą i wyją, jęki zapełniają powietrze. Oto przestrzeń! Jaki polot! Tylko tam się żyje! To piękne, u dyaska! Życie! Oto prawdziwe życie! Podczas gdy wy rozumujecie... Ech, moi przyjaciele! Życie... Nie wiem, lecz... Posadźcie mnie teraz do koszar lub wypuśćcie na ulicę... lecz... ja... ja rzuciłbym się na ludzi! Tak! Zdusiłbym ich. Wszystko we mnie wre, wszystko szuka ujścia!“ [3])

Ludzie typu Dorne'a, o temperamencie anormalnym i raczej chorobliwym łatwo padają ofiarami wojny. Predyspozycya do zaburzeń psychicznych jest u nich widoczna, a chroniczny stan podniecenia, które w nich stale nurtuje — o ile już przez się nie jest chorobą umysłową o formie ekspansywnej—pod wpływem wojny z pewnością w nią przejdzie.

Adam Cygielstrejch.

---

[1]) G. Erastow, La Déroute, 1909, str. 247.

[2]) Dorne nazywał armaty „grand'mères“ — babciami.

[3]) G. Erastow, dzieło cytow., str. 248.

OBRONA I ZAMKI UKRAINNE
od połowy XV w.

a. Służba ziemska wojenna.

Kolonizacya powolna pod przykryciem zamków trwała dwa wieki prawie, w ciągu czasu trwania tego okresu charakter jej nie da się ująć w stałe i celowo oznaczone granice. Na podstawie wiadomości urywkowych, nie jesteśmy w stanie odtworzyć całokształtu tych przeobrażeń, jakie się odbywały na przestworze połaci stepowej śród miejscowego społeczeństwa — tak ono jest jeszcze ruchliwe, niestałe, a często swawolne na wzór tatarski, tak pojęcie wzajemnych obowiązków jest nieustalone lub niewyraźne. Wypływa to z tej obfitości ziemi wolnej, niczyjej, która dla każdego prawie stała otworem ze wszystkimi darami natury. Powoli jednak rola państwa, z tytułu obrony kraju i ludności, wytwarzać musiała różne stopnie zależności i obowiązków, które przybierały niejako charakter prawa zwyczajowego. Im obrona kraju stawała się im potrzebniejszą, obejmowała szerszy zakres, tem wyraźniej widać było już od końca XV w. środki i sposoby obrony, które możnaby nazwać *systemem litewsko-ruskim*. Polegał on na tem, że dokoła zamków siedziała na ziemi pewna warstwa ludności, pewna klasa raczej, wojskowa, zwana *bojarami*, później ziemianami, obowiązana tytułem rekompensaty za używanie ziemi, do służby wojennej, do obrony zamku. Obowiązek ten nazywał się *służbą ziemską wojenną*.

Ku obronie tej części kraju, a raczej do zamknięcia drogi w głąb Litwy i Wołynia wyprawom tatarskim, wzmocniono dawną linię obronną połaci stepowej. Głównym punktem, najbar-

dziej na północ wysuniętym, był *Kijów*, niejako podstawowym całej obronnej linii posterunkiem. Inne ważniejsze zamki tej połaci były: najdalej wysunięty i najwcześniej zniszczony doszczętnie przez Tatarów *Zwinogród* na Sinej wodzie; następnie na tej samej linii obronnej, nad Dnieprem *Czerkasy* i *Kaniów* później Korsuń; na szlaku Kuczmeńskim, nad Bohem— *Winnica* i *Bracław*, a nad Rowem—*Bar*. W połowie mniej więcej XVI w. nad Rosią odbudowuje się dawny *Jurjew — Biała-Cerkiew* i stoi niejako na przesmyku tatarskim. Otóż te większe zamki stają się nietylko punktami obronnemi, ale i ośrodkami osadnictwa. W połowie XVI w. powstają koło nich całe włoście i osady lub „ciągną" do nich kilkunastomilowe nieraz przestrzenie stepowe, przyszły teren do przypadkowego osadnictwa. Granice tym posiadłościom zakreśla nie posiadanie indywidualne, lecz raczej zwyczaj, że „od wieków" w tę lub inną stronę sięgały „uchody" tego lub innego miasta, dochodzili ludzie „zwierza łowić", „bobry gonić", „jazy stawić", „pszczoły chować", a bardzo rzadko „pasznię pachać". Istniały zatem warunki życia—jak obaczymy szczegółowiej—przypominające prawo pierwotnego władania — „wohin Pflug und Sense geht".

Od połowy mniej więcej XVI wieku rząd polski polecał odbywać tak zwane lustracye i rewizye zamków ukrainnych, jako Królewszczyzn, w celu sprawdzenia zarówno stanu ich obronności, jakoteż praw i obowiązków, zależnych od urzędu zamkowego rozmaitych warstw ludności. Otóż, dzięki tym lustracyom przeważnie, możemy wyrobić sobie pojęcie, jakie istniały kategorye i warstwy ludności i jakie jej były obowiązki. Przedostały się tedy tą drogą do nas szczegóły niezmiernie ciekawe o warunkach życia w połaci stepowej nietylko do roku 1569, ale długo jeszcze po nim, chociaż ze zmianą prawno-państwowego stosunku całej stepowej Ukrainy, zmieniać się poczęły ekonomiczne, polityczne i klasowe warunki życia. Dzięki owym lustracyom także jesteśmy w możności odtworzyć sobie te warunki życia i osadnictwa, w prawdopodobnem przybliżeniu, jakie istnieć musiały w okresie litewskiego władania, w mniejszym stopniu rozwoju niewątpliwie, niż je obserwować i poznawać możemy już mniej więcej od drugiej połowy XVI w.

Rozpatrzymy tedy nieco później te warunki życia Ukrainy kozackiej, jakie na podstawie aktów są dla nas dostępne, nietylko do r. 1569, lecz przeciągające się ku końcowi tego stulecia, a najczęściej, w mało zmienionej formie, trwające przez całą ćwierć XVII w.

Przedewszystkiem kilka wybitniejszych rysów o obronności kraju.

Zacznijmy od *Kijowa*. Jakim był zamek Kijowski do końca XV w. — niewiemy. W tym czasie zburzył go Mengli-Giraj. Kazimierz Jagiellończyk kazał go odbudować na nowo, zawezwawszy do tego „wszystkie wielkie księstwo litewskie“. Zgromadziło się wówczas w Kijowie przeszło 40,000 wojska „konnego“, a „na robotę kijowską przychodziło więcej 20,000 toporów“ [1]). Mimo to Bohdan Andrzejewicz (Sakowicz), wojewoda Trocki, Kijowa „na mierze nie postawił“. Uczynił to dopiero następca jego, wojewoda kijowski Jerzy Pacewicz. Dodać należy, że z „z panem Bohdanem“ w Kijowie byli: kniaź Mstisławski, kniaź Odojewski, kniaź Worotyński, książęta Wiaziemski, Trubecki, Kozielski, Drucki, Kobeżyński, Możajski.

Ze „zdania sprawy“ Zygmuntowi I w r. 1520 nie dowiadujemy się, jakie włoście, ile i gdzie leżały—jako należące do zamku Kijowskiego. Uskarżali się tylko posłowie hospodarscy, że „nieprzyjaciel moskiewski posiadł Putywl, kijowskie dzierżenie, a w Putywlu było czternaście włości hospodarskich“ [2]). Rozdawano je „sługom (hospodarskim) kniaziom, panom, ziemianom ziemi kijowskiej, którzy je po roku dzierżywali, a z tych włości słudzy (hospodarscy)“—przodkowie i ojcowie nasi—„końmi jeździwali“ i „zawsze odziani i obuci byli“. Krótko mówiąc za prawo używania i użytkowania tych włości pełnili wojenną służbę hospodarską („służbę ziemską“), a z ziemi mieli „wyżywienie“.

Zaznaczyć musimy, że w szczegóły opisu zamków, ich stanu obronnego, „naspiżowania“ wdawać się nie możemy, gdyż temat ten nie jest dla nas sam przez się przedmiotem badania.

Rewizya zamku kijowskiego (między 1545—1548) za „dzierżenia kniazia Fridricha Prońskiego“ (1543 — 1555) wskazuje, że obronność jego trzeba było wzmocnić—ściany podwyższyć, blankowanie poprawić. Rewizya ta nietylko daje dokładne pojęcie o stanie zamku, jako punktu obronnego, lecz określa obowiązki strzeżenia zamku. „Stróża“ zamkowa była zatem u wrót Wojewodzinych z ramienia i za opłatą mieszczan — dwóch stróżów, — drugich wrot „rotmistrzowych“ „strzegą drabi po 10 człowieków ustawicznie, w dzień w bramie stojąc, a w nocy po blankach cho-

[1]) Mikołaj Malinowski i Aleks. Przeździecki: *Źródła do dziejów polskich*. Wilno. 1844. T. II, 120.

[2]) Malinowski i Przeździecki: *Źródła do dz. pol.* II, 121.

dząc i krzycząc". Oprócz tego istniała stróża „u wrót ostrogowych" (zapewne od Dniepru), którą opłacali mieszczanie z dochodów miejskich, jakoteż od „pola", od Złotej Bramy. Stróżę tę powinni byli dzierżyć mieszczanie, ale służby nie pełnili, opłacając wojewodzie „stróżowszczyzny" rocznie 15 kop. groszy".

Rewizya zamku Kijowskiego (ok. 1543)[1]) wyjaśnia na czem polegała służba ziemska. Pełnili ją *„bojarowie* albo *słudzy* do zamku Kijowskiego należący zdawna"—Zauszanie—mający osiadłości swoje za Uszą, stąd zwani Zauszanami, o 20 mil od zamku. Powinnością ich było z wojewodą lub „sprawcą" onego przeciw nieprzyjacielowi jechać, szatry, namioty stawić albo inną posługę wedle potrzeby w ciągnieniu czynić[2]). Ze sprawozdania z tej rewizyi widać równocześnie łamanie się starych porządków i przerabianie się bojarów na ziemian i szlachtę. Już w czasie rewizyi bojarowie zastrzegli się przeciw tym „posługom", zasłaniając się „listami J. K. M. pod pieczęcią ziemską, gdzie ich Król JMść od powyższych posług wyzwolić raczył, zostawiając ich przy *wolnościach szlacheckich*, że więcej nie mają być powinni tylko *ziemską pospolitą obronę* wespółek z innymi szlachcicami tej ziemi"[3]). Inni „bojare", którzy w trzech milach od zamku osiadłości swe mieli, powinni byli „na szlaki dla straży jeździć za każdem rozkazaniem Wojewody albo sprawcy onego miejsca, także gdzieby nieprzyjaciel w ziemię wtargnął, pod wojsko podjeżdżać z listy, obwieszczając przyległe zamki o nieprzyjacielu"[4]). Ale i ci zasłaniali się „wolnością i przywilejem", że „zwykłych posług nie czynią i czynić nie chcą".

Powtarzało się to wszędzie i było bezpośredniem następstwem zrównania ziemiaństwa ruskiego ze szlachtą polską. Rozrywał się stary porządek, łamały się dawne prawa i obowiązki, a nowe jeszcze nie weszły i nie umocniły się. Obronność kraju oczywiście traciła na tem. Bezpośrednie straty odnosiło nietylko ziemiaństwo, we wszystkich swoich stopniowaniach, gdyż osadnictwo szło powoli, ale i ludność osadzająca się, narażona bywała na jassyr tatarski, skutkiem braku obrony.

---

[1]) Malinowski i Przeździecki: *Źródła do dziejów pol.* t. II, str. 129. Rewizya zamku Kijowskiego za króla Zygmunta I m. r. 1545—1548.

[2]) Aleksander Jabłonowski: *Źródła dziejowe*, t. XX. Ziemie ruskie. Ukraina. Kijów — Bracław. Warszawa 1894. p. *Inwentarz zamków I. K. M.* z r. 1570, str. 7.

[3]) Aleksander Jabłonowski: *Źródła dziejowe*, t. XX, str. 7.

[4]) ibid.

Na południu, bliżej ku dzikim polom, bliżej ku tatarskim koczowiskom lub pustyniom, kędy się najchętniej włóczyły watahy tatarskie, gdzie zatem niebezpieczeństwo było większe, w połowie XVI w. jeszcze służba ziemska utrzymała się w większym rygorze. Bojarowie w *Czerkasach* obowiązani byli służyć konno, zbrojno i jeździć ze starostą albo bez starosty, z służebnikami jego, przeciw nieprzyjacielowi lub w pogoń za nim. W razie gdyby nie było nawet wieści o nieprzyjacielu, „dla ostrożności“ powinni byli „bojarowie ze starostą albo sługami jego jeździć w pole raz, dwa i trzy w ciągu lata“ [1]). Wogóle na tych kresach tatarskich służba ziemska była pilnie przestrzegana, a obowiązywała nietylko bojarów, lecz mieszczan nawet, o tyle różniąc się od służby bojarskiej, że ponieważ mieszczanie dawali „podarki“ na zamek i podejmowali posłów, przeto na nieprzyjaciela jeździli tylko ze starostą [2]).

W *Kaniowie* „służba wojenna“ obejmowała jeszcze szersze koło obowiązków. „Kaniowcy — powiada lustrator — tak mieszczanie jak i bojarowie, jakoteż poddani ich i cerkiewni, nawet goście wszyscy, t. j. ludzie przypadkowo bawiący w Kaniowie, obowiązani byli przeciw nieprzyjacielowi, w pogoń za nim, konno i zbrojno udać się ze starostą lub jego sługami. Tylko ci byli wolni z mieszczan, którzy odbywali stacye i podwody [3]).

Potrzeba samoobrony wobec ciągłego niebezpieczeństwa tatarskiego, szczególnie w miastach, będących siedzibą starostów, które już ku końcowi XVI w. wyrastać poczęły na stepach, tkwiła tak głęboko śród ludności miejskiej, że możnaby ją śmiało nazwać pewnego rodzaju pospolitem ruszeniem. Jeszcze w pierwszej ćwierci XVII w. mieszczanie Kaniowscy nie dawali żadnych podatków prócz *służby wojennej*, którą każdy z nich konno z orężem przy staroście lub jego namiestniku odprawować powinien. Tak samo mieszczanie Czerkascy, Bohusławscy, Białocerkiewscy, bojarowie putni, jakoteż „starożytni szlachcicy“ pełnili służbę wojenną konno i zbrojno. Bojarowie natomiast, przeobrażając się w szlachtę i ziemiaństwo, z pod dawnego zwyczaju wyłamywali się coraz bardziej, a już na początku pierwszej ćwierci XVII w. zupełnie się wyzbyli obrony własnego kraju.

---

[1]) *Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii.* Część VII. tom I. Kijów 1886, str. 82.

[2]) Ibid.

[3]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 95. Opisanie zamku Kaniowskiego w r. 1552.

Nie chodzi nam o to, ażeby wyliczyć wszystkie miasta starościńskie, lecz żeby wskazać jaki był system obrony połaci stepowej i kto pełnił te obowiązki. Przejdźmy teraz za Dniepr.

Panowały tam zupełnie te same warunki obrony, jakie wskazaliśmy w pasie prawobrzeżnej Ukrainy kozackiej.

W zamkach lewobrzeżnej Ukrainy w Ostrzu (1552) służbę ziemską pełnili bojarowie przy St-scie przeciw nieprzyjaciołom, ale tylko po stronie „Siewierskiej“, także dla rewidowania szlachów (szlachow otwiedywati). Jeszcze w pierwszej połowie XVII w. trwał ten sam system „służby wojennej“, który widzieliśmy w prawobrzeżnym pasie Dnieprowym. „Bojarowie prócz służby wojennej, także posług zamkowych, podatków nie oddają żadnych“ (1615). W siedm lat potem system panuje bez zmiany. „Pomimo ich—mówi lustracya—służbę wojenną przy p. Staroście Ostrzskim odprawować, z listy za mil dwanaście jeździć, straż koleją odprawiać“ (1622). W przededniu prawie największego wybuchu kozackiego (1636) bojarowie z gruntów Staro Ostrzskiego, gdzie z „przodków osiedli“ służbę wojenną pełnili i w niej trwają.

W Pereasławiu, już prawie na pograniczu tatarskiem, obowiązek służby wojennej, czyli obrony ziemskiej rozciąga się nietylko na bojarów, lecz na wszystkich *posłusznych* mieszczan, którzy podatków nie dają żadnych, jeno przy Staroście lub jego Namiestniku służby orężne wykonywać obowiązani (1615). W kilka lat potem o tyle następuje zmiana, że głuchy obowiązek „służby“ określa się dokładniej: „powinni mieszczanie na każdą ekspedycyę 200 koni pod swą chorągwią wyprawić i straż ustawiczną mieć (1622)“. Już wszakże w r. 1636, w czasie lustracyi, mieszczanie złożyli przywilej z r. 1633, mocą którego „od corocznego chodzenia do obozu zwolnieni byli wiecznemi czasy, wyjąwszy pospolite ruszenie przy boku Króla, gdzie z wójtem i chorągwią stawić się mieli“.

W południowej części Ziemi Wołyńskiej, którą w drugiej połowie XVI w. poczęto nazywać Bracławszczyzną, działo się pod względem obrony jeszcze gorzej, niż w Kijowszczyźnie z obu stron Dniepru. Tu, jakkolwiek wyłamywano się już od obowiązków służby wojennej, w miarę utrwalania się pojęć o szlacheckiej wolności, jeszcze przecie, pod grozą niebezpieczeństwa, bojarowie i ziemianie stawali pod bronią z Wojewodą lub Starostą, w Bracławszczyźnie obowiązek służby wojennej ziemskiej był bardzo luźny.

Zacznijmy od *Baru*—już nowego, zbudowanego bliżej tatarskiego szlaku. „Possesorowie“ okolicznych wsi—Łopatyniec, Ba-

ranówki, Podarnowa (Chodaki), Lipkowiec (Szarki), Kumanówki (Radułowicze) i in., których wyliczać nie będziemy, stawali przy staroście w razie potrzeby o jednym lub kilku koniach, ale mieszczanie, może dlatego, że siedzieli na „nowym korzeniu“ od służby uchylali się. Zwalili ją całkowicie na barki Starosty. „Każdy Starosta — mówi lustracya — ma ludzi dla bezpieczeństwa i snadniejszego usłużenia J.K.Mości i Rzptej i zadzierżenia miejsca tego i obrony tych krajów, wedle przemnożenia chować zwykł“ (1615)[1]) Gorzej jeszcze pono bywało na zamku w *Winnicy*. Nie dość na tem, że zamek znajdował się w opłakanym stanie: cały osunął się i ognił, glina opadła, na wielu wieżach podsiębicia, ani wschodów, ani drzwi do blanków nie ma, przytem był mały i z cienkiego drzewa robiony (1545)[2]. Na nowem miejscu ziemianie i mieszczanie zamku budować nie chcą, zasłaniając się niedostatkiem[3]).

Wogóle ludność przynależna do zamku Winnickiego była zamożna, bogata, buńczuczna, a przez kozaków do swawoli zachęcana. Służbę ziemską zaniedbano zupełnie, tak że ziemianie okoliczni i mieszczanie tylko w zamku i horodniach bronić się mogli. Zdaje się, że zdobycie Baru, zniszczenie zamku, uprowadzenie do niewoli ludności wraz ze Starostą Stogniewem Reyem, dało impuls do lepszego zaopatrzenia Winnicy i do przywrócenia obowiązku służby ziemskiej wojennej. Opisanie zamku Winnickiego za dzierżenia Bohusza Koreckiego (1552) wskazuje i na lepszą obronność zamku i na przymusowe skupienie sił obronnych. „Gdy nieprzyjaciel włoście najeżdża—pisze lustrator—każdy kto tylko ma konia, z miasta i włości, powinien jechać ze Starostą albo jego urzędnikiem, a gdyby potrzeba było gonić nieprzyjaciela, wówczas dwóch wysyłało jednego o dwu koń. A leżeć na polu bez potrzeby nie powinni, lecz ku służbie wojennej ziemskiej muszą wszyscy ludzie konie chować, jako miejscy tak i ziemiańscy, a ktoby, bydło mając, konia nie chował, tego Starosta ma grabić za ogórszczyznę“[4]).

Wzmocnienie obrony przez powołanie do niej mieszczan, ziemian i wogóle ludności osiadłej przetrwało aż do pierwszej ćwierci

[1]) Aleksander Jabłonowski: *Lustracya Królewszczyzn*, t. V. Warszawa r. 1877, str. 24.

[2]) Ibid 111.

[3]) Ibid 112.

[4]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII. Kijów 1886, str. 602.

XVII w. Lustrator zapisuje (1615), że mieszczanie podatków do zamku nie dają, ale „obowiązani są straż od Tatar odprawować i przeciw nieprzyjacielowi koronnemu przy Staroście Winnickim konno z orężem wsiadać powinni“ [1]).

Ludność miejscowa okazywała wszędzie nadzwyczajne lenistwo do samoobrony, gdzie mogła i jak mogła wyzbywała się tego obywatelskiego obowiązku,—do czego trzeba ją było zmuszać często przemocą. Wszelki obowiązek wzajemny uważała za „krzywdy i utiski welikije“.

Zamek *Bracławski* „swoim nakładem i ludźmi litewskimi przy sobie zarobił“. Po pięćdziesięciu leciach król Zygmunt August kazał go „zarobić swoim kosztem“ (swoimi pieniezami) dwie trzecie, jedną zaś trzecią zarobili ziemianie i mieszczanie „za newoleju i wielikim karaniem“. Po księciu Ilii Ostrogskim dorabiał zamek kniaź Proński, ale znowu wszystko osypało się i opadło. Stróżów i klikunów nie było ani jednego, gdyż „nie mają na czem chować“. Wody w zamku brakło. Mostu do zamku nie było także. A trzeba pamiętać, że natura krainę tę nadzwyczajnie bogato uposażyła. „Chociażby największe pożytki mieli — pisze lustrator — powiadają nic nie mamy i powinności zamkowych nie chcą ciągnąć“. „Dawnemi czasy za księcia Konstantyna (Ostrogskiego) bojarowie, którzy ludzi swoich mają, powinni byli ile razy potrzeba, jeździć z tymi ludźmi na posługę gospodarską. Mieszczanie zaś, posiadający pasieki, powinni byli każdy o dwu koń w zbroi stawić się, a teraz wszystko się zmieszało. Nietylko u mieszczan, lecz nawet u ziemian na posługę gospodarską konia nie ma, a tak prawie daremnie przy zamku mieszkają. Niektórzy nietylko nie są szlachtą, bojarami, ale nawet niewiadomo skąd przyszli, nazywają się wszakże bojarami i sieliszcza bez daniny hospodarskiej pod sobą trzymają i użytków używają“. Nic dziwnego, że wobec opieszałości z jednej strony i małej siły państwowej z drugiej, Bracław padł ofiarą najazdu i rabunku ze strony cara Przekopskiego Dewlet-gireja. Gdy Tatarzy napadli Bracław było tylko „50-ciu i to mało zdolnych do obrony“ [2]). Drogo zapłacił za tę opieszałość kraj cały. Dopiero po klęsce przywrócono dawny obowiązek służby ziemskiej“. Ziemianie i mieszczanie—zapisuje lustrator—powinni wszyscy jeździć przeciw nieprzyjacielowi ze Starostą lub jego Namiestnikiem“ (1552) [3]). Ale w sześć-

[1]) Aleksander Jabłonowski: *Lustracya Królewszczyzn.* T. V., str. 75.
[2]) Archiw J.-Z. R. Część VI, t. II. Kijów. 1890, str. 20.
[3]) Ibid 22.

dziesiąt kilka lat później już nic lustratorowie o tym obowiązku nie mówią [1]) (1615).

b. Stróże.

Pisząc o Kijowie zanotowaliśmy już stróżę *zamkową* i *ostrogową*, skąd i charakter jej wypływał. Istniał jeszcze trzeci gatunek stróży—*polnej*, której przeznaczenie było zupełnie odmienne od dwóch powyższych typów. Stróża zamkowa, zwana także „klikunami“ miewała dwojakie przeznaczenie: w nocy stać na wieży („kliczut u noczi na wežach“), a w ciągu dnia nosili drwa do zamku i inne posługi odbywali [2]). Brano najprzód „stróży i klikunów“ na wsi, a później najmowano z dochodów zamkowych [3]). Straż ze wsi, należących do zamku, odbywała się koleją, jeśli osadę niszczył nieprzyjaciel—i straż ginęła [4]). Jeżeli Starosta najmował „klikunów“, to z każdego ziemianina bierał podymszczyzny 2½ groszy. Ustawa ta od „dziadów i ojców ustanowiona“ [5]). W Winnicy ziemianin dawał 3 grosze polskie, a ludność nie osiadła półtora grosza [6]).

Stróża ostrogowca, zwana także *miejską* pilnowała *wrót ostrogowych*, a równie była opłacana. Weźmy przykłady. W Bracławiu (1552) składali się na nią ziemianie i mieszczanie i opłacano ich po 80 groszy [7]). W tymże samym czasie w Winnicy ziemianie i mieszczanie dawali z każdego domu po 2 grosze polskie, po dwoje chleba, po mierze jagieł (kowsz) i po 2 główki soli warzenki (gołoważeń). W Czerkasach płacono z każdego domu bojarskiego i mieszczańskiego po groszu i po ćwierci żyta.

Większe daleko znaczenie miała *straż polna*, gdyż jej właściwem przeznaczeniem było przestrzegać ludność miasta przed

[1]) Aleksander Jabłonowski: *Źródła dziejowe*. Lustracya Królewszczyzn T. V. str. 70. n. n.

[2]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 81. (Opisanije Czerkaskawo zamka w 1552 g.).

[3]) Archiw J.-Z. R. Część VII, t. II, str. 22.

[4]) Jabłonowski: *Źródła dziejowe*. Część VI. Rewizya zamków Wołyńskich, str. 119.

[5]) Ibid. 112.

[6]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 601.

[7]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. II, str. 22.

nieprzyjacielem. W Czerkasach np. taka straż polna czuwała nie raz o kilka mil od zamku. Składali się na nią wszyscy bojarowie i mieszczanie „czasu potrzeby“ gdy „na pasznię“ wychodzą, albo gdy się spodziewają nieprzyjaciela. Miewano tedy straż polną „na miejscach uroczystych: na Taśminie pod Czehryniem w 8-miu milach od zamku, na Gołym Taśminie, 5 mil od zamku, na Rdnie (nad błotami Irdyńskiemi)“ 5 milach, pod Suharową mogiłą 6 mil, pod Wielką Mogiłą 3 mile, w Mosznach 3 mile, albo gdzieby potrzeba ukazowała“ (1552). Za Białą Cerkwią pod Ostrą Mogiłą stawała „straż Kijowska“ [1]). W Kaniowie straż polną trzymano tylko „czasu potrzeby, a ustawicznej stróży polowej nie trzymano“ (1552). W Winnicy mieszczanie „klikowszczyzny“ nie dawali, musiał Starosta klikunów sam opłacać, mieszczanie zaś na wiosnę sami straż utrzymywali „na sochach“, jakoteż w jesieni na czas orki i zasiewów dla bezpieczeństwa od Tatar (1545). Po dwu ludzi jezdnych utrzymywano także na Czterech mogiłach i na Gumiennej Dąbrowie. W Bracławiu po zdobyciu zamku przez Dewlet-gireja zwiększyła się ostrożność. Mieszczanie trzymali straż w czterech miejscach: na Sokolcu, o półtorej mili od zamku, drugą także o półtorej mili na Świekolczynym rogu, trzecią w trzech milach na Silnicy, czwartą w półtorej mili od miasta na Stułunowie. Na każdem z powyższych uroczysk „dzierżywali mieszczanie po dwóch ludzi i płacili każdemu tygodniowo 12 groszy“. Dalej jeszcze, w głąb stepów na Zwinogrodczyźnie, na szlakach, sam Starosta straż dzierżywał po 6 ludzi. „Wtedy, gdy car (tatarski) z wojskiem przychodził—dodaje lustrator—nie było żadnej straży, ani zamkowej, ani miejskiej.

W Barze mieszczanie straży nie trzymali, tylko Starosta „dla potrzeby pospolitej“ utrzymywał pewną ilość „służków“, których uczynił wolnymi z obowiązkiem, „ażeby na koniach strzegli krain i jechali gdzie każe“.

Powtarzamy tedy cośmy już powiedzieli: niedostateczność straży dla własnego bezpieczeństwa, opieszałość mieszczan, uchylanie się od dawnych obowiązków samoobrony przyczyniała się nie mało do klęsk wielkich a nagle spadających na ludność miejscową.

Od r. 1569, a często i przedtem, Rzeczpospolita polska sama przedsiębrała środki ochronne od wpadań Tatarów, trzymając ko-

[1]) „Ostrik kurhan kędy straż kijowska strzega“. Paprocki: *Herby rycerstwa polskiego*. Kraków. 1860. str. 221.

ronną straż pograniczną. Widząc opieszałość obrony miast i zamków, powolne zanikanie pod wpływem innej państwowości systemu „służb“ i „służby ziemskiej wojennej“, poczęto myśleć o stałej obronie przez utrzymanie żołnierza zaciężnego. Popis straży koronnej na pograniczu Bracławszczyzny, od dzikich pól, wykazuje, że od Bracławia strzegło 25 jezdnych na Czeczelniku (Czykczalnik), Zwinogrodzie i Koszyłowcach; od Chmielnika na Kożuchowie i powyżej Teterwi 19, na Kopestrzynie 40, nad Morachwą na Kocmaniu (Koczman) na samym szlaku 31 i wreszcie nad Słuczą, na uroczysku Temnyhaj 26 (1529). Stała straż graniczna sięgała jeszcze czasów wcześniejszych, bo za Zygmunta starego (1506—1548) bywało na Rusi stepowej stale 1000 — 3200 jezdnych [1]). Niektóre miasta, a właściwie zamki, na granicy południowej leżące, na niebezpieczeństwo najbardziej wystawione, posiadały załogi stałe. W Kijowie było na załodze Kaspra Stużeńskiego 300 drabów [2]), w rocie Jana Stuzińskiego (zdaje się, że tę pisownią trzeba przyjąć i dla Kaspra) 200 drabów (1570). Niektórzy żołnierze osiadali na zawsze w mieście, budując własne domy. Lustracya (1552) nalicza takich domów przeszło 40 [3]). Wrota zamkowe, w Kijowie nosiły nazwę *drabskich*. W Kaniowie stała załogą rota Dragomira 100 drabów, w Czerkasach Andrzeja Andzioła 100 drabów, w Białej Cerkwi Gosławskiego 100 drabów, w Winnicy ks. Sokolnickiego 100 drabów, w Bracławiu Droszkowskiego 100 drabów, w Chmielniku (1563) 40-tu pieszych, w Kamieńcu 200 pieszych, a wszyscy pobierali żołd ze skarbu królewskiego [4]). W Czerkasach (1552) pocztem służebnym dowodził Rotmistrz Piotr Rozbicki, który „ze swą rotą *nowo* przyciągnął, ze stu drabów z bębnami, z proporcami, ze zbroją. W każdym dziesiątku po dwa kopijniki w zbroi, z oszczepami i kordami, a po 8 strzelców z rusznicami i mieczami“ [5]). Oprócz tego był jeszcze drugi poczet „drabów dawniejszych“ 60-ciu, którzy pod mocą Starosty służyli. Niezależnie od „drabów“ Starosta trzymał jeszcze własnych „służebników“ jezdno i z bronią, „pięćdziesięciu *molodźców*“ „przyjezdnych“, a Kaniowców i Czerkasów, którzy od dziecka służą, 11-a [6]).

[1]) K. Górski: *Historya jazdy polskiej*, str. 55—321.
[2]) K. Górski: *Historya piechoty polskiej*. Kraków 1893, str. 18.
[3]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 116, 117.
[4]) K. Górski: *Historya piechoty polskiej*, str. 18.
[5]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 90.
[6]) Ibid. str. 90.

Widzieliśmy, że rozmieszczenie sił po zamkach było małe, niedostateczne, a nie lepiej się działo z faktyczną obronnością. Przedewszystkiem daty, jakie w tym względzie posiadamy, są dorywcze, niedostateczne, tak że pozwalają wytworzyć sobie zaledwie względne pojęcie o obronności stepowego pogranicza. Wprawdzie, w celu wzmocnienia tej obronności utworzono tak zwane *wojsko kwarciane* (1562), jezdne przeważnie, ale ilość jego na ogół była niewielka, a co gorsza niestała, bo zależna zawsze w wysokości kwarty. W połowie XVI w. (1569) konsystowała na Podolu około 3,000 jezdnych i około 900 piechoty. Ilość ta zwiększyła się np. w rok później nie o wiele, bo przybyło tylko 500 ludzi pieszych (1570). W latach następnych ilość ta, zamiast zwiększać się, malała, ale przybyła natomiast inna kategorya żołnierzy—*kozacy* (1575)[1]).

Utworzenie *piechoty wybranieckiej* (1578) nie o wiele powiększyło siły obronne. W pierwszym roku (1579) Województwo Bracławskie dało tylko 25 wybrańców, a wojew. Kijowskie jeszcze mniej, bo tylko 19. Trudno było z takiemi siłami myśleć o poważnej obronie. A trzeba pamiętać, że niektórzy Starostowie nie pozwalali ludzi pieszych wybierać.

Za Batorego ilość kwarcianego żołnierza zwiększyła się nieco w wojew. Podolskiem (właściwie na Podolu), ale zauważyliśmy już, że wzmocnienie to wogóle następowało skutkiem przyjęcia do służby kozaków, którzy, jako żywioł swawolny i niepewny, rzadko tylko służyli ku obronie kraju, częściej ku swawoli, która powoli wiodła do katastrofy. Próby obliczenia szlacheckiej siły zbrojnej (okazowania) pozostały—w konstytucyach tylko.

c. Zaopatrzenie w broń i prowianty.

Pod tym względem zamki ukrainne pozostawiały wiele do życzenia. Dotkniemy tylko główniejszych punktów, aby sobie wyrobić pojęcie o faktycznej obronności zamku, bez względu na wytrzymałość budynków. W *Winnicy* np. (1545) było tylko dwie armatki (dwa dilca) niewielkie, ale jedna miała koniec urwany, żelazem zaprawiony, a z drugiego „niebezpiecznie strzelać“. Oprócz tego znajdowało się hakownic 26 i 4 „kije staroświeckie“, „nie-

[1]) K. Górski: *Historya jazdy polskiej*, str. 57, 323.

pewne ku strzelbie". Prochu 1 kamień, saletry dwie i pół niewielkie beczki, siarki kamień, ołowiu (swincu) trzy kamienie, kul kamiennych, oblanych żelazem 12, hakowniczych 40. Puszkarz jeden. Tyle wszystkiego [1]). Nie lepiej był zaopatrzony zamek *Bracławski:* posiadał dwa działa „wielkie", a 4 „polnych", ale łoża wszystkich dział liche, niektóre działa „dziurawe", osie i koła słabe, potrzebują oprawy, a działa należałoby przelać na nowo. Rusznicy ani jednej, „kije staroświeckie" do użycia niezdatne. Prochu prawie trzy beczki (po 5 kamieni w beczce), hakowniczego pół kamienia, saletry dwie i pół beczki (mniej więcej po 6 kamieni), kul do dział większych 50, do polnych 200.

Kijów mniej więcej w tym samym czasie był lepiej zaopatrzony (1543—1548): posiadał 13 dział śpiżowych, które lustratorowie zakwalifikowali jako „dobre". Najwcześniejsze, według daty odlewu, sięgało roku 1506 i posiadało herb wyciśnięty orła i pogoń, jak i większość dział, najpóźniejsze nosiło datę 1529 r., większość pochodziła z lat 1524 i 1525. Oprócz dział zamek posiadał 11 serpentyn, z których tylko jedna niezdatna, kijów żelaznych 8, hakownic 82. Prochu do dział (puszennego) 3 beczki i dwie i pół „faski", hakowniczego 3 beczki i dwie i pół „faski", ruszniczego cztery i pół „faski", saletry przeszło dwie i pół beczki. Kul żelaznych do dział ołowiem oblanych 680, nieoblanych 20, kamiennych sto — bez jednej, — serpentynowych 17, hakowniczych „świńcem" oblanych 240. Ołowiu 3 i pół sztuki, do dźwignięcia każdej potrzeba czterech chłopów („czterem mołodzcom wzdymek")[2]). Oprócz tego zamek był zaopatrzony w różne przybory rzemieślnicze i pomocnicze. Widocznie chciano się uchronić poraz drugi od Mengli-girejowych niespodzianek.

Czerkasy były słabo w broń zaopatrzone: posiadały tylko 3 działka, 4 serpentyny, hakownic 36 różnej miary, kijów żelaznych 7, „harkabuzów" różnej miary 29 (1552). Prochu do dział dwie i pół beczki, hakowniczego, „niedawno" przysłanego 4 beczułeczki, a dawnego półtorej solanki, saletry 5 solanek, siarki 2, ołowiu 12 sztuk różnej wagi [3]).

Kaniów w tym samym czasie (1552) przedstawiał się jeszcze

[1]) Aleksander Jabłonowski: *Źródła dziejowe.* T. VI. Rewizya zamków ziemi Wołyńskiej, str. 113.

[2]) Malinowski i Przeździecki: *Źródła do dziejów polskich.* T. II, str. 127, 128.

[3]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I, str. 79, 80.

gorzej: posiadał tylko dwa działka śpiżowe i 1 żelazne, 3 serpentyny różnej wielkości, „kijów“ żelaznych 4, 1 hakownicę śpiżową, 2 stare krótkie, „ku strzelbie niezdatne“ harkabuzów 20. Do tego prochu dla dział solanka nie pełna, hakowniczego tyleż, saletry beczka „wielka“, siarki beczka „dobra“, ołowiu 6 sztuk, każdą „ledwie człowiek z ziemi podnieść może“ [1]).

Pod względem zaopatrzenia w broń Kijowa, zważywszy, że od ostatniej rewizyi zaledwie kilka lat upłynęło, zaszły bardzo nieznaczne zmiany i to głównie w ilości zapasów prochu, saletry, ołowiu [2]).

W *Winnicy* od ostatniej rewizyi o tyle poprawiła się obronność, że w 1552 r. było już o jedno działo więcej, a wszystkie (3) były zdatne do strzałów. Zmniejszyła się natomiast ilość hakownic (z 26) do 20, „kije żelazne“ poszły na brucht, a przybyło 39 arkabuzów.

Bracław w kilka lat po pierwszej rewizyi poprawił się znacznie (1552), ale to już było po cięgach tatarskich.

Zamek w *Ostrzu* w niczem prawie nie ustępował pod względem bardzo słabej obronności Kaniowowi, Winnicy, Bracławowi, a mało co Czerkasom. Jeden tylko stołeczny Kijów przewyższał go. Było tedy w Ostrzu (w 1552) dział „spiżanych“ 4, wszystkie z datą odlewu 1534, 2 serpentyny, 38 hakownic, 1 arkabuz i 13 małych strzelb („rusznic piszczalnych, nieprzyprawnych“); do tego prochu „puszecznego“ „cztery rzeszota“, prochu hakowniczego beczułeczka (1/3 część solanki), rusznicznego półtora funta, saletry 1 solanka, siarki 1/4 solanki, ołowiu 5 kawałków, „dla dwóch ludzi do dźwignięcia każdy, a jedna sztuka na jednego człeka“ [3]).

Odlewnia królewska w Wilnie, oceniając ważność obrony zamków ukraińnych, zaopatrywała je w strzelbę i wszelką amunicyę (1551—1565), a dzięki rachunkom pozostałym możemy stwierdzić, że starania, jak na owe czasy, nie były ani małe, ani pozbawione przezorności. Notujemy te przesyłki w porządku złożonego rachunku.

Do *Ostrza* tedy posłano hakownic 35 jednego typu, drugiego (mniejszego) 15, a wkrótce znowu 40 z odpowiednimi przyborami, ołowiu cent. 21.67, prochu „działnego“ cent. 7.89, hakowni-

[1]) Ibid. 93 — 94. „Solanka na piad' *chromu* niepełna“. Wydawca po „chromu“ postawił znak zapytania, chociaż łatwo się domyśleć, że oznacza to pięść małą, krzywą, zgiętą, kabłąkowatą — chromą.

[2]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII, t. I. str. 108. n. n.

[3]) Archiw J.-Z. R. Cz. VII. t. I. str. 593—594.

czego cent. 4.50, ruśnicznego cent. 3.29. *Kijów* otrzymał hakownic różnej wielkości 110, działo kamienne wielkie 1, falkonet wielki 1, prochu działnego cent. 28.90, hakowniczego kamieni 25, cent. 12.64, rusznicznego cent. 8.48, ołowiu cent. 31.05. *Czerkasom* posłano hakownic 45, falkonetów żelaznych 2, serpentyny lane 2, prochu hakowniczego kamiennego 4 i pół, cent. 1, „działnego“ cent. 5, ruśnicznego cent. 1.52, ołowiu 10 cent., saletry 2.24 cent., kul żelaznych 200. *Kaniów* otrzymał hakownic z formami 15. *Bracław* — hakownic 110, falkonetów wielkich 6, prochu hakowniczego cent. 1.16. *Biała-Cerkiew* otrzymała—około 1552 zbudowano tam zamek — hakownic 50, prochu działnego cent. 7.36, hakowniczego cent. 1, ruśnicznego cent. 1.16 i ołowiu cent. 4.91. Nawet na wyspę Chortycę, gdzie Wiśniowiecki zameczek zbudował, posłano hakownic z formami 50 i prochu hakowniczego cent. 4.02 [1]). Do *Winnicy* posłano falkonetów 3, hakownic 65, prochu działnego cent. 1.16.

Pierwsza koronna rewizya zamków (1570) nie doszła do nas w całości. Brakło jej i przed Unią. Widać to już było ze źródeł, któreśmy cytowali, a szczupłość materyału odnosi się zarówno do Kijowszczyzny, Bracławszczyzny i części północnego Podola. Po unii bezpośrednio materyał jeszcze uboższy. Wzmocnienie jednak zamków pod względem obronności większe. *Kijów* posiadał już dział „litych“ 11, z których 4 strzelają kamiennemi kulami, serpentyn 12, „które są dobrze opatrzone“, hakownic 134— tylko dwie zepsowane,—kijów „szyzanych“ 3. Skarbnica, w której przechowywano prochy i ołów, kule i rozmaite narzędzia — nie będziemy tego wyliczać szczegółowo—była we wszystko zaopatrzona z dużą nawet przezornością.

Zamek w *Białej Cerkwi*, może dla tego, że Kijów był głównym punktem obronnym okolicy, znajdował się w stanie wielkiego zaniedbania. „Wszystkie basznie i horodnie — pisze rewizor—nienakryte, przegniłe i opadłe, że się niczemu nie godzą“. Strzelba zamkowa nie lepszą była. Działek wszystkiego dwa: „jednemu koniec upadł, a drugie bardzo słabe“, jedno działo bez łoża, hakownic 46, „nie wszystkie naprawne“, arkabuzów 18, prochu do dział beczka 1 i 1 „faska“, hakowniczego 1 „faska“ funt.

[1]) Stanisława Łaskiego, W. Sier. *prace naukowe i dyplomatyczne*, wydane z rękopisów muz. Wileńskiego z przedmową Mikołaja Malinowskiego oraz z dodatkiem dział Jana Tarnowskiego. Wilno. 1864. Dodatek mieści w sobie: *Strzelba i munitia własnym nakładem sprawiona w Wilnie i na zamki pograniczne rozesłana.* M. D. LX. V., str. 269—271.

10, siarki pół beczki „mniejsze“, kul „działnych“ 24, hakowniczych 200, „arkabusznych“ 50, sztuk ołowiu (kamieni 10). Zamek *Kaniowski*, choć bliżej ku stepom był wysunięty, wcale nie lepiej się przedstawiał. Dział litych, spiżanych małych 3, hakownic 29, arkabuzów małych 18, kijów 2, działo rozerwane 1, pił 2, topór 1, szpichlerz 1, „w którym nie masz nic i otworem stoi“.

Czerkasy, chociaż jeszcze na większe niebezpieczeństwo wystawione, nie o wiele lepszą miały obronność. „Wszystkie baszty i horodnie—pisze rewizor—opadłe są“. Działek na basztach było 6, serpentyn 4 — jedna zepsowana, hakownic naprawnych 64, nienaprawnych 10, kijów 5, prochu beczek 11½, siarki 2 beczki, saletry beczka, rusnic 42, kul „działnych półczwartej kopy“, kamiennych 26, ołowianych „półpiątej kopy i cztery“, ołowiu sztuk 8. Narzędzi pomocniczych bardzo skąpo.

W pół wieku przeszło po pierwszej lustracyi koronnej obronność zamków ukrainnych nie przedstawiała się wcale lepiej, a w wielu razach gorzej. I obrona przybierać poczęła inny charakter, bo Tatarom nie tyle chodziło o zamki ile o ludność, a gwałtowna fala kolonizacyjna, napływająca z północnych powiatów i z krajów macierzystych polskich, pochłaniała gorączkowo wszystkie siły społeczne. Niestety, wiadomości o obronności zamków z pierwszej ćwierci XVII wieku są bardzo ubogie, im dalej tem uboższe, mimo wszystko jednak, z kilku dat urywkowych, jakiemi rozporządzamy możemy sobie odtworzyć rzeczywiste położenie. Jakkolwiek większe zamki obronne są źle zaopatrzone, ale powstają natomiast nowe stanowiska, nowe zameczki bądź w dobrach królewskich, bądź prywatnych,—szczególnie w tych ostatnich. Nie tylko powstają liczne zamki, ale każdy dwór szlachecki staje się zameczkiem, punktem obronnym nieraz dla szerokiej okolicy, a w ten sposób inicyatywa prywatna spełnia poniekąd zadanie państwa.

Rozejrzyjmy się w tym ubogim materyale rewizyjnym.

Otóż, *Kijów* zawsze stoi na przedzie (1622), jakkolwiek „armata“ mocno uszczuplona. Dział posiada wprawdzie 11, 12-e „spadane“, ale serpentyn już tylko 9, hakownic tylko 24. W tym stosunku idą inne zapasy. W tym samym czasie w *Kaniowie* „parkan nie przykryty“, „nadgniły“, „budowanie nadgniłe, niedobre“. „Strzelby żadnej nie masz“. W *Czerkasach* baszty stare, nadgniłe, komory „popsowane, pogniłe“, „baszta przy wrociech stara, pochylona“,—„wszystko naprawy potrzebuje“. W tym lichym zameczku dział spiżowych 4 z r. 1520 i 1530, serpentyn żelaznych 2, ale „łoża do tych sztuk i koła złe“, hakownic 14, „organków

albo zrywków hakowniczych“ 14, a co najważniejsze, że to wszystko na nic się zdało skoro w zamku „kul, prochu, ołowiu i siarki nie masz“ [1]).

Przybyło natomiast (1622) kilka nowych punktów obronnych: zameczek *Wyszgród*, nad Dnieprem, niedaleko Kijowa „na kopcu częstokołem otoczony“, posiadający baszt 2—o działach rewizor nie wspomina [2]). *Korsuń*, stolica Starostwa, „miasto palami wokoło ostawione“. Jakkolwiek „zamku żadnego w niem niemasz, tylko przygródek, posiada jednak do obrony 1 działo spiżowe, hakownic 16, prochu beczek 1½. *Czehryń*, jakkolwiek należy do Starostwa Korsuńskiego, posiada zamek nad Taśminą na górze wysokiej, skalistej, przykrej, do niego brama, wieża drewniana, baszt 3, parkan „dobrze pobity“, dział 3, hakownica 1, prochu kamieni 4, kul „w potrzebę“. *Kryłów* nieco dalej, także nad Taśminą, „palami i ostrogiem ostawiony“. W *Bohusławiu* zamek nad Rosią „na pagórku zbudowany, palami dębowemi dobremi z baszteczkami obwiedziony“ posiadał działko spiżowe, hakownic 10, muszkietów 4, jakoteż zapas niewielki prochu i kul.

Wyliczyliśmy jeżeli nie najważniejsze punkty obronne, to w każdym razie te, które najbardziej były wystawione na niebezpieczeństwo, pomijając drobne zameczki, mające na celu obronę raczej od przypadkowego hultajstwa, włóczącego się w kraju mało zaludnionym, niż od większych sił nieprzyjacielskich. Nie o opis geograficzny kraju chodzi nam, lecz o wskazanie charakteru obronności. Charakter ten odpowiadał w zupełności topografii kraju, ale nie zadowalał obowiązku państwa — dostatecznej obrony ludności od najazdów tatarskich i kolonizowania pustyń. Rzut oka na mapę przekona nas łatwo, że oddalenie zamków od siebie było zbyt wielkie, obrona zatem mogła być skuteczną tylko w najbliższym promieniu punktów obronnych — i to nie zawsze przy małej sile militarnej państwa. W takich warunkach osadnictwo postępowało najczęściej koncentrycznie w stosunku do zamku. Wogóle charakter obrony południowo-wschodnich i zachodnich prowincyi Rzeczypospolitej polskiej za pomocą zamków należał do typu i systemu zachodnio-europejskiego, który nieodpowiadał zupełnie topograficznemu położeniu prowincyi stepowych. Lepiej do tego nadawał się system wschodni, stosowany przez Chiny, który niewątpliwie stał się pierwowzorem dla W. X. Moskiew-

[1]) *Źródła dziejowe*. T. XX. str. 62.
[2]) Ibid. 57.

skiego. Wspomnieć o nim bodaj kilkoma słowy musimy, aby zrozumieć łatwiej większe rezultaty, jakie osiągnęło, stosując ten system, W. X. Moskiewskie.

Opierał się on na dwóch podstawach: na tworzeniu nieprzerwanej linii obronnej od Tatarów i na użytkowaniu sił nieprzyjacielskich dla własnej obrony. Nie nowy to wprawdzie system w dziejach upadku państwa Rzymskiego—mówię tylko o wynajmowaniu do obrony państwa sił nieprzyjacielskich, — ale W. X. Moskiewskie zbyt było oddalone od zachodu, aby z tych przykładów korzystać mogło. Miało wzory jeżeli nie bliższe, to dostępniejsze. Słabe wewnętrznie i militarnie W. X. Moskiewskie jeszcze ku końcowi XV w. nie mogąc samo skutecznie obronić swojej najbliższej granicy tatarskiej t. z. „brzegu“, ciągnącej się wzdłuż Oki, już od połowy XV w. wynajmowało carewiczów tatarskich do obrony od własnych pobratymów, osadzając ich w Kaszyrze, Kasimowie, Serpuchowie. W ten sposób przy pomocy tatarskiej wzdłuż Oki powstała pierwsza linia obronna od Tatarów, obejmująca kilka tylko ważniejszych punktów. Wszakże już w pierwszej połowie XVI w., kiedy dynastya Girejów opanowała Krym, carstwo Kazańskie i Astrachańskie, obrona „służiłych carewiczów“ tatarskich okazała się niedostateczną, jako mająca charakter przypadkowy. Rząd W. X. Moskiewskiego, pragnąc z jednej strony zabezpieczyć granicę obronną od Tatarów, a równocześnie posunąć ją na południe, w celu zwiększenia terenu osadniczego, już w połowie XVI w. stworzył nową, silniejszą niż poprzednia, linię obronną. Tak zwana Tulska linia szła przez Putywl, Rylsk, Karaczów, Bołchów, Mceńsk, Tułę, Epifań, a składała się z szeregu zameczków obronnych, posiadających stałą załogę. Przestrzenie między zameczkami wypełniały nasypy ziemne i zasieki. W ten sposób tworzyło się stałą zaporę dla rabowniczych kup tatarskich. Za linią obronną postępowało osadnictwo. I linia owa nie była czemś stałem, przeciwnie: rząd W. X. Moskiewskiego przesuwał ją coraz niżej ku stepom tatarskim, zdobywając je w ten sposób dla kolonizacyi i dla państwa. Ku końcowi drugiej połowy XVII w. linia ta broniła już ogromnej połaci kraju, ciągnąc się nieprzerwanem pasmem fortyfikacyi przez Białogród, Koroczę, Oskoł, Usmań, Tambow, Insar, Symbirsk, — następnie przekraczała nawet Wołgę. Trzeba dodać, że ten system obrony, wypróbowany przez późniejszą Rosyę, jeszcze przez Piotra Wielkiego był praktykowany. Przysporzył on państwu ogromnych przestrzeni dla kolonizacyi, zmuszając niejako koczowniczych Tatarów do osiadania na roli pod protektoratem Carów

Moskiewskich. W ten sposób państwo zdobywało sobie ziemię i nowych obywateli.

Chodziło mi o to, ażeby wskazać ów system obrony, tak odmienny od naszego i dający tak świetne rezultaty. Za pomocą tego systemu W. X. Moskiewskie wcielało nie tylko olbrzymie stepy tatarskie, ale siłą rzeczy przerabiało nomadów stepowych na osiadłą ludność. W. K. Moskiewskie posuwało się tedy celowo i wytrwale ku południowi, ku morzu Kaspijskiemu, Aralskiemu, Czarnemu, gdy Rzeczpospolita, skupiwszy obronę kraju na kilkunastu punktach, mogła rozpocząć prawidłową kolonizacyę stepów w miarę słabnięcia potęgi tatarskiej, a rozwinąć ją dopiero z wygaśnięciem jej zupełnem—ale już pod obcem panowaniem.

Nasz system obrony nazwałbym biernym, gdy sąsiad nasz bronił się i zdobywał równocześnie nowe połacie kraju dla osadnictwa. U nas osadnictwo skupiało się około punktów obronnych, gdy stepy czarnomorskie od Siniuchy i Taśminy były dla różnorodnego hultajstwa odkryte i wolne aż do zdobycia i zniszczenia rozbójniczego gniazda—Siczy,—w W. X. Moskiewskiem postępowało ono wzdłuż długiej a nieprzerwanej linii obronnej. W systemie obrony granic W. X. Moskiewskiego tkwił zarodek zwiększającej się z czasem siły obronnej, tkwiącej w samej ludności. System ten wstrzymywał nieprzyjaciela od wtargnięcia w granice państwa, u nas on przemykał się zawsze prawie między zamkami, zostawiając je na uboczu, rabował, palił, uciekał,—a walkę z nim trzeba było toczyć w pogoni, często za granicami państwa. Przy systemie linii obronnych, nieprzyjaciela nie wpuszczano do państwa, zapobiegając nieszczęściu, u nas wpuszczano go bezkarnie, a walczono po nieszczęściu.

Wadliwy system obrony granic południowych Rzeczypospolitej, był przyczyną, że na stepach tworzyły się latifundia magnackie, małe państewka, dla których obrony trzeba było trzymać własne wojsko.

Nie pozostało to bez wpływu na rozwój życia i stosunków wogóle w stepowej połaci Rzeczypospolitej—co już może stanowić odrębny temat badań.

Fr. Rawita-Gawroński.

PIŚMIENNICTWO.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI. *Pisma.* Tom I. Studya historyczno-krytyczne z zakresu dziejów literatury, oświaty i sztuki polskiej, str. 391. Tom II. Studya nad literaturą polską wieku XVI (Rej—Kochanowski). str. 383. Warszawa 1912. Nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

W pięciu obszernych tomach powyższego wydawnictwa, które mieścić będą, oprócz wymienionych w tytule, studya nad literaturą w. XVII, nad przeszłością Warszawy i nad wielkimi pisarzami w. XIX—zawrzeć się ma rezultat czterdziesto-pięcioletniej pracy prof. Chlebowskiego nad literaturą ojczystą. Wydane dotychczas dwa tomy, zamykające bogaty i różnorodny materyał, ujawniają charakter, metodę i kierunek ogólny tej pracy w stopniu, pozwalającym na zdanie sobie sprawy z jej wartości i znaczenia dla historyi literatury polskiej. Jestto tembardziej konieczne, że znajdujemy w niej cechy, posiadające doniosłość pierwszorzędną dla sprawy odrodzenia i odmłodzenia naszej historyografii literackiej, posunięcia jej naprzód na drodze ku nowożytnej metodzie traktowania zjawisk historyczno-literackich i ich ujmowania; jest wreszcie obowiązkiem wobec człowieka, który przez pół wieku pracował niezmordowanie wśród nieprzyjaznych warunków, wśród obojętności, a nawet niechęci otoczenia, wśród okoliczności, mogących zniechęcić i rozgoryczyć, a mimo to nie stracił nic ze świeżości i zapału młodości (najpiękniejszą jest młodość starców), nic z prawości i uczciwości myśli badawczej, nic ze szczerości odczucia i zrozumienia wszystkiego co silne, zdrowe moralnie i piękne.

Określenia powyższe mogą się wydać dziwne w zastosowaniu do historyka literatury, uczonego i badacza. Przyzwyczailiś-

my się bowiem do mierzenia tego typu umysłowego innemi zgoła miarami. Imponują nam więc głównie zasoby nagromadzonej erudycyi—a nie stawiamy sobie pytania czy ta erudycya jest rzeczywiście *wiedzą*, pewnym, zaokrąglonym całokształtem, pewnym poglądem na świat, pewną treścią życiową, czy też tylko nagromadzeniem oderwanych, niepowiązanych z sobą, nieprzetrawionych należycie i nieprzerobionych na osobistą własność duchową faktów i wiadomości. Ważymy wszystko na szali ścisłości i metodyczności naukowej, a nie zastanawiamy się nad kwestyą *skuteczności* panujących metod historyczno-literackich (a to wszak jest decydujące dla każdej metody) nad tem, czy one rzeczywiście odpowiadają swemu celowi, czy nie panuje tu zamieszanie i dezoryentacya, żeby wspomnieć tylko o stosowaniu tej samej metody w określaniu wpływów literackich na wielkich, prawdziwych twórców i na mizernych wierszokletów. Wyszukiwanie i udowadnianie większych lub mniejszych zapożyczeń literackich u wierszokletów daje w rezultacie bardzo pożyteczne przyczynki do historyi prądów umysłowych, ten sam jednak sposób tak samo drobiazgowo i pedantycznie stosowany do twórczości wielkich poetów doprowadza do absurdu, do zaprzeczenia wszelkiej twórczości, która staje się, na tak pojętem stanowisku, „wymyślaniem“ różnych figur, charakterów i sytuacyi, zbieraniem poszczególnych rysów z dzieł innych pisarzy, wyszukiwaniem, szperaniem, wycinaniem, klejeniem — a nie twórczością, nie tworzeniem nowych światów i nowych wartości. Tak samo ma się rzecz z owym brakiem osobistego, bezpośredniego stosunku do rozpatrywanego dzieła i wynoszeniem go do godności zasady naukowej, o czem pisałem już na tem miejscu z racyi studyum p. Pigonia o „Księgach pielgrzymstwa“.

W takim stanie rzeczy, przy panowaniu tego rodzaju pojęć ogólnych, określenia takie, jak młodość, świeżość, zapał, szczerość odczucia i t. p. są z charakterystyk z konieczności wyeliminowane, a nawet uważa się je często za ujmujące ścisłej naukowości i objektywności uczonego, za nieuprawnione niczem wdzieranie się do jego duszy, chęć ujęcia i sformułowania jego „faculté maîtresse“, tak, jakby chodziło o jakiegoś poetę lub malarza. I tu znowu mści się szablonowe ustanawianie przepaści pomiędzy nauką i sztuką, niedopatrzenie pewnych blizkich związków pomiędzy temi dwiema dziedzinami ducha. Poprzez dzieła sztuki staramy się odgadnąć oblicze duchowe artysty, dotrzeć do władz naczelnych jego organizacyi psychicznej i uważamy to za najważniejsze nasze zadanie w dziedzinie krytyki artystycznej—oblicze du-

chowe natomiast uczonego mniej nas obchodzi, jego pogląd na świat i stanowisko wobec życia jest jakoby jego rzeczą prywatną, której niewypada dotykać i która nie znajduje się w bezpośrednim, przyczynowym związku z rezultatami jego pracy naukowej. Rzecz aż nazbyt jasna, że jestto mniemanie z gruntu mylne. Istnieje tu związek przyczynowy taki sam, jak i w innych dziedzinach twórczości ludzkiej i tylko przez dotarcie do podstawowych czynników składowych psychiki uczonego, zrozumiemy jego metodę, nauczymy się oceniać rezultaty jego działalności. Brak wszelkiego poglądu na świat jest także *sui generis* światopoglądem, brak określonego stanowiska wobec życia, również pewnem stanowiskiem — a to wszystko określa stosunek człowieka do jego własnej pracy, do pracy innych, do przeszłości dziejowej, do pewnych zjawisk duchowych, a więc i stosunek historyka literatury do literatury. Są to wszystko rzeczy ogólnie znane i przyjęte, w dziedzinie historyi literatury jednak stale pomijane i ignorowane u nas, dlatego też trzeba je ciągle przypominać i powtarzać, ażeby raz wreszcie ten dział wiedzy naszej wydobyć z tej izolacyi, w jakiej obwarowała i opancerzyła się przed postępem umiejętności w innych dziedzinach, a co zatem idzie, aby zrozumiała swoje doniosłe znaczenie w całokształcie życia duchowego i zdołała wpoić w ogół przekonanie, że nie pracuje „w próżni“, ale w rzeczywistości tak samo konkretnej, jak rzeczywistość przyrodnicza.

Wyjaśnienie, a przynajmniej zaznaczenie powyższych punktów było konieczne przed przystąpieniem do omówienia działalności pisarskiej Chlebowskiego, oraz charakterystyki i oceny jego metody. Działalność ta bowiem nosi od samego początku pewien odrębny charakter; wyciska na niej swe piętno wyraźna i określona indywidualność, skupiająca w sobie cechy i elementy zarówno uczonego i pedagoga, jak i człowieka i obywatela. Typ umysłowy łączy się tu tak ściśle, jak rzadko, z typem życiowym i kulturalnym, wytwarzając jedność i skończoność najzupełniej opanowaną, świadomą celów, do których dąży i środków, jakimi rozporządza. Rzadko kiedy z prac naukowych, filologicznych, historyczno-literackich, wyłania się tak wyraźnie i plastycznie, jak z prac Chlebowskiego, oblicze duchowe ich autora, rzadko kiedy panuje w nich taka jedność i organiczność, wytrwałe postępowanie w raz obranym kierunku, przy ciągłem, postępowem rozszerzaniu horyzontów, przy nieustannem i niczem nieuprzedzonem wzbogacaniu się u wszelkich źródeł wiedzy, życia i piękna.

Już w r. 1884 w rozprawie, przedstawionej na zjeździe naukowym imienia Kochanowskiego, p. t. „Zadania historyi literatury polskiej“ (umieszczonej na początku tomu I niniejszego wydania zbiorowego) wytknął sobie Chlebowski wyraźny cel pracy i wskazał doniosłe znaczenie historyi literatury w życiu duchowem naszego narodu: „Historya literatury powinna... zająć stanowisko odpowiednie tej wyjątkowej doniosłości, jaką pozyskała literatura sama, jako czynnik życia umysłowego i politycznego. Jeżeli świadectwo, jakie składa ona o życiu narodu, jego pojęciach i dążeniach, ma stanowczo przekonać swoich i obcych, rozproszyć błędne mniemania i uprzedzenia, musi ono być rezultatem naukowego badania i objektywnego przedstawienia faktów... Uznanie dziejów literatury za umiejętność pociągnąć musi za sobą odrzucenie dotychczasowych podstaw klasyfikacyi autorów i utworów, a przyjęcie natomiast rezultatu rozbiorów samych zjawisk literackich, uwydatniającego ich wewnętrzne związki lub różnice, oparte na pokrewieństwie lub przeciwieństwie grup pojęciowych i stanów uczucia u ich twórców, tudzież na zawisłości od podobnych lub odmiennych warunków lokalnych, stosunków dziejowych i prądów umysłowych danej epoki“ (str. 56).

Jak zaś sam Chlebowski starał się te zadania wcielić w czyn, o tem mówią we wstępie te proste i piękne słowa: „Z zadaniami historyka literatury i krytyka starałem się w pracach moich zespolić stanowisko nauczyciela-pośrednika, pragnącego rozjaśnić pomniki literatury światłem krytyki naukowej, tudzież ogrzać je ciepłem życia, uwydatniając ich związek z daną epoką, z duszami twórców, a zarazem łączność, blizkość z życiem chwili obecnej“ (str. VI).

Wskazaniom tym pozostał Chlebowski wierny przez cały ciąg swej, półwiekowej niemal, pracy. Był historykiem literatury i krytykiem, nie zapominając o roli nauczyciela-pośrednika, a raczej łącząc te dwie cechy w jedną organiczną całość. To zaś, co jego pracom nadawało świeżość, żywość i nowoczesność, to było właśnie owo, rzadkie bardzo u historyków literatury, „ciepło życia“, uwydatnianie związku i łączności pomników literatury z życiem chwili obecnej, które sprawiło, że jego działalność nie była suchem opisywaniem dokumentów literackich, ale doszukiwaniem się w nich wiecznych wartości życiowych.

Już w zacytowanej powyżej, jednej z pierwszych swoich obszerniejszych prac, dał Chlebowski znakomitą (a dodajmy, że i jedyną dotychczas) próbę ujęcia znaczenia różnic terytoryalnych, etnograficznych i związanej z niemi odrębności stosunków eko-

nomiczno-społecznych, politycznych i umysłowych dla naukowego badania literatury polskiej. Była to teorya Taine'a, z odpowiednią modyfikacyą, a nawet pogłębieniem zastosowana do naszych stosunków. Świadczyła ta rozprawa nietylko o wybitnych zdolnościach syntetycznych, ale i *o głębokiem przemyśleniu* całej naszej przeszłości dziejowej i związanej z nią literatury, o — jeżeli się tak wyrazić można — osobistem przeżyciu dziejów ducha polskiego. Pozatem okazała się już tutaj w całej pełni metoda Chlebowskiego, nie ograniczająca się do odczucia i zrozumienia jakiegoś utworu samego w sobie, ale stawiająca go zawsze precyzyjnie i subtelnie na tle epoki i stosunków, wśród których się ukazał, i starająca się przez analizę odbitego w nim ducha czasu, osądzić jego wartość ideową i artystyczną. To głębokie przemyślenie całokształtu najwybitniejszych i najcharakterystyczniejszych pomników literatury polskiej wszystkich wieków, to ustosunkowanie się do nich historyczne, w najszerszem tego słowa znaczeniu, nadaje erudycyi Chlebowskiego charakter prawdziwej wiedzy, w znaczeniu powyżej wyłuszczonem.

Z tak pojętą metodą ogólną łączy się u Chlebowskiego również nawskroś nowoczesne traktowanie psychiki twórczej. Możnaby powiedzieć ogólnie, że stosuje on tutaj subtelnie i inteligentnie te wyniki, do jakich doszła już na Zachodzie i u nas krytyka literacka, oparta o zdobycze filozofii, psychologii, estetyki, jak niemniej i o bogatsze doświadczenie w dziedzinie zjawisk duchowych i wysubtelnienie organów rozumienia i czucia. Nie można tego powiedzieć o atmosferze, wśród której pracuje nasza historya literatury, wzięta jako całość. Panują tam naogół jeszcze dotychczas, zupełnie zestarzałe pojęcia ogólne, przezwyciężone już punkty widzenia, oryentacye zbyt prostolinijne i prostoduszne, aby mogły odpowiedzieć dzisiejszemu zadaniu subtelnej i głębokiej analizy skomplikowanych stanów psychicznych.

Jedną z największych zasług Chlebowskiego jest właśnie to, że dojrzał on tę rozbieżność, tworzącą się powoli pomiędzy historyą literatury a krytyką literacką, i starał się, na swoim gruncie, temu zapobiedz przez przyswojenie sobie rezultatów tej ostatniej i zastosowanie ich do dziedziny historycznej. Zdaje sobie więc z tego sprawę, że każde dzieło sztuki, z jakiejkolwiekby epoki pochodziło, przedstawia jedyny, zamknięty w sobie świat i ażeby w ten świat wejść, trzeba poszukać jedynej do niego drogi, trzeba umieć stanąć na stanowisku poety, trzeba umieć popatrzeć na świat i życie jego oczyma, a dopiero po takiem chwilowem zidentyfikowaniu się z poetą, można wykazać piękności lub skrzywie-

nia jego spojrzeń, uświadomić jemu samemu jego własne braki i luki, przeciwstawić skutecznie jego poglądowi pogląd inny. Zawsze więc, czy to chodzić będzie o bezimiennych autorów kancyonałów protestanckich, czy o Reja, Kochanowskiego, Szymonowicza, Paska, Konarskiego, Staszica, czy też o Mickiewicza, Słowackiego lub Krasińskiego, zawsze szuka on przedewszystkiem tych zasadniczych elementów, z których dana organizacya duchowa się składa, które nadają jej taką a nie inną postawę wobec świata, określają w sposób decydujący charakter jej działalności twórczej. Na dowód proszę wziąć studya o Reju, Kochanowskim, Krasińskim, Mickiewiczu. Pomimo to, iż bardzo wiele napisano już o tych pisarzach, studya Chlebowskiego o nich przynoszą zawsze coś nowego, inny, a właściwszy sposób ujęcia rzeczy, inne, a lepsze i jaśniejsze oświetlenie rozwoju ich twórczości i jej znamiennych cech.

I jeszcze na jedno chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie na umiejętność zachowania miary w historyczno-filologiczno-porównawczem traktowaniu postaci literackich. O tym ostatnim punkcie wspomniałem już poprzednio. Jest już i w naszej krytyce literackiej dostatecznie stwierdzone, że t. zw. wpływy doprowadzają tylko do stanu świadomości cechy i elementy, istniejące już przedtem nieświadomie w duszy twórcy (naturalnie twórcy rzetelnego, a nie wierszoroba) i na tem tle dopiero dokładnie zrozumiane i ocenione być mogą. Inaczej byłoby zgoła niezrozumiałe, dlaczego taki a nie inny poeta, takie a nie inne dzieło wpłynęło np. na Słowackiego lub Mickiewicza. Jeżeli Byron mógł tak silny wpływ wywrzeć na Słowackiego, dowodzi to, że ten bajronizm musiał tkwić już przedtem w duszy poety polskiego integralnie i nieświadomie, dlatego też utwory Byrona wita, jako objawienie własnej duszy.

Ten pogląd, tak prosty i jasny, a przytem jedynie umiejętny, stosowany był przez Chlebowskiego niemal od początku jego działalności historyczno-literackiej. A czy jest stosowany ogólnie, czy nie panuje u nas poprostu epidemia na polu wyszukiwania wszelkich możliwych i niemożliwych pożyczek literackich, przeciw czemu odzywają się już wyraźne protesty ze strony młodszych badaczy.

Odczuwając dalej żywo piękno formy artystycznej i zdając sobie sprawę z jej znaczenia zasadniczego, nie zaniedbywa Chlebowski nigdy analizy estetycznej na korzyść rozbioru treściowo-ideowego, nie obawia się wygłaszania sądów estetycznych, wiedząc, że one w stosunku do niektórych pisarzy, jak np. Zaleskie-

go, nie mogą być pominięte, bo w takim razie pominie się to, co w nim jest najbardziej indywidualnego i wartościowego: melodyę i muzykę jego wiersza. U żadnego też z naszych historyków literatury nie znajdziemy ani w znikomej części tylu świetnych analiz estetycznych, sięgających w samą głąb obrazowania języka i stylu poetyckiego, co w pismach Chlebowskiego. Do najlepszych w tym kierunku należą rozprawy o Reju, artyzmie Kochanowskiego, „Kołaczach“ Szymonowicza, „Przedświcie“ i t. p. Jego wrażliwość estetyczną wysubtelnia niemało i pogłębia muzykalność, przyswojenie sobie najcelniejszych dzieł muzyki, zarówno starszej, jak i nowszej, które pozwala mu na wniknięcie w pierwiastek muzyczny słowa, uwydatnianie go w związku z innemi cechami stylu, ujawnianie głębokich i istotnych związków pomiędzy najwybitniejszemi dziełami poezyi i muzyki (zob. np. pracę o Chopinie, porównanie Improwizacyi z IX symfonią Bethoveena).

Na tem jednak nie wyczerpuje się stosunek Chlebowskiego do przeszłości. Pragnie on być nietylko historykiem, ale i nauczycielem, pragnie nawiązać tę spójnię duchową pomiędzy przeszłością, a teraźniejszością, pomiędzy światem żywych i umarłych, w imię jedności kultury historycznej i jedności życia narodowego. Pragnie z najwybitniejszych dzieł literatury, z najgórniejszych natchnień i wzlotów, z najgorętszych wybuchów serc, wydobyć pewne zasadnicze, wieczne prawdy i podać je narodowi do wierzenia. A w wyborze tych prawd kieruje się prawością i uczciwością bezwzględną. Szuka siły, zdrowia moralnego i piękna, szuka przezornie i ostrożnie i nie da się omamić pozorami. Każdą ideę i myśl, każde uczucie bada wprzód z wysiłkiem, wali w nią młotem prawdy, czy się ostoi i czy będzie zdolna do życia i do siejby życia. Nie dziw więc, że czasami rozleci się pod tym młotem w drzazgi jakiś pozór siły, jakaś złuda piękna, jakaś słabość moralna. Dowód to tylko wysokich wymagań, wysokiego poziomu moralnego i poczucia odpowiedzialności.

Czy w tym gmachu pracy Chlebowskiego, przedstawionym tutaj tylko w najogólniejszych zarysach, niema jakich rysów, szczerb i luk? Istnieją niewątpliwie i byłoby niesumiennością i brakiem szacunku dla samego autora, ukrywać je tutaj i przemilczać. Zaznaczyć jednak należy z góry, że nie wszystkie one płyną z jego winy. W jakich warunkach zmuszony jest pracować uczony warszawski, o tem wiemy wszyscy dobrze, o tem mówi sam autor w sposób bolesny w przedmowie do I tomu swoich pism. Niewielkie rozmiary prac tu zamieszczonych, przystosowywanie ich z konieczności do ram i wymagań czasopism, dla których były

przeznaczone, a co zatem idzie, pewne niedomówienia, niedociągnięcia, szkicowość, konieczność zainteresowania szerszych kół czytelników i związane z tem odwracanie się od poszukiwań specyalnych i uchylanie od szczegółowych wywodów historyczno-filologicznych — wszystko to, w przeważnej części, położyć należy na karb tych ciężkich warunków i okoliczności, wśród których zmuszony był pracować Chlebowski. Są jednak i w umysłowości jego pewne cechy, które mogą służyć, a nawet służyły już za podstawę do pewnych zarzutów natury ogólniejszej. Już Chmielowski w swoich „Dziejach krytyki literackiej“ zwracał uwagę na skłonność Chlebowskiego „do ryzykownych hipotez“, przy spokojnym zresztą i rozważnym umyśle. Chodziło mu wtedy, zdaje się, głównie o pracę Chlebowskiego o Kochanowskim. Od tego czasu, przy wzmożonej działalności pisarskiej w ostatnich latach, postawił on zapewne jeszcze więcej hipotez, które u ścisłych rygorystów mogłyby również zasłużyć na miano „ryzykownych“. A ktoby bardzo szukał, doszukałby się i w niniejszych dwóch tomach podobnych objawów. Trzeba je rzeczywiście przyjąć, jako pewną organiczną cechę umysłowości Chlebowskiego, nie należy jednak z tego wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Bo przedewszystkiem hipotezy jego są zawsze obszernie uzasadniane, niektóre już się przyjęły, inne może przyjmą się później trochę, a pozatem nie należy zapominać, że stawianie hipotez jest nietylko dowodem żywotności umysłu, ale także najwalniejszym środkiem do posuwania jakiejś dziedziny wiedzy naprzód.

M. K.

Dr. ZDZISŁAW JACHIMECKI. *Ryszard Wagner*. Tom XII wydawnictwa „Nauka i Sztuka“. Lwów (s. a.) H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. Str. 290, 81 illustracyi.

Po niedawno wydanej książce o Chopinie, ukazała się, staraniem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie, nowa książka z zakresu muzyki: praca o Wagnerze. Jestto jakby zewnętrzny wyraz budzącego się u nas zajęcia dla dziejów muzyki i jej rozwoju, a zarazem symboliczne stwierdzenie faktu, że nazwiska Chopina i Wagnera, związane z sobą nierozerwalnie, stały się najpotężniejszem ogniwem w rozwoju muzyki nowoczesnej i bezpośrednim wykładnikiem jej najcenniejszych zdobyczy.

Brak pracy o Wagnerze w języku polskim odczuwano dotkliwie i uciekano się z konieczności do literatury zagranicznej (zwłaszcza niemieckiej), urastającej z dniem każdym do wymiarów olbrzymiej biblioteki. To też książkę d-ra Jachimeckiego powitać należy jako nader pożądaną, bo odpowiadającą rzeczywistym potrzebom naszego ogółu, pracę tem cenniejszą, że stojącą na wyżynie współczesnych badań. Zadanie autora nie było łatwe: napisanie oryginalnej, opartej na źródłowych i samodzielnie osiągniętych wynikach rzeczy o Wagnerze wymagałoby energii całego życia i stałoby się fizyczną niemożliwością, gdyż już samo zużytkowanie istnej powodzi dzieł, dających całokształt twórczości wagnerowskiej i szczegółowych rozpraw analitycznych nastręcza wiele trudu i krytycznej pracy. Zdawał sobie z tego sprawę autor w sposób jasny i wytknął sobie za cel nakreślenie „linii oryentacyjnej," ułatwiającej dotarcie do źródeł wagnerowskiej sztuki i wniknięcie w jej ducha. Książka, oparta na najlepszych pracach zagranicznych (W. St. Chamberlain, H. Lichtenberger, G. Adler, Bulthaupt), nie zestawia drogą kompilacyi obcych rezultatów badawczych, lecz ujmując przedmiot w sposób inny niż szablonowe biograficzno-krytyczne zarysy, wnosi wiele oryginalnych pierwiastków: żywe i barwne słowo, plastykę i jasność układu, podkreślenie momentów najistotniejszych z pominięciem szczegółów drugorzędnych, a przedewszystkiem zespolenie obrazu życia i twórczości w organiczną jedność—zalety, które jej zapewnią trwałą wartość w literaturze wagnerowskiej.

Bogaty materyał ugrupował autor w jedenastu rozdziałach, kładąc główny nacisk na rzecz najważniejszą: krytyczne oświetlenie różnych etapów, po których pięła się twórcza myśl Wagnera ku coraz to wyższym szczytom. Obraz życia, którego nie mącą drobiazgowe, anegdotyczne szczegóły, gromadzone z upodobaniem przez biografów, pełen wyrazistych konturów, zamyka w sobie tylko najbardziej przełomowe fakty, które wywarły stanowczy wpływ na ukształtowanie się warunków życiowych i ewolucyę twórczości artystycznej.

W charakterystyce epoki młodzieńczej, obfitującej w poważne próby dramatyczne (Wesele, Boginki (Die Feen), Zakaz miłości) i zamkniętej dziełem tak wybitnem, jak „*Rienzi*," zaznacza autor brak zdecydowanej fizyognomii artystycznej i odrębnej, indywidalnej nuty u Wagnera, ulegającego jeszcze naciskowi przemożnych i silnych wpływów; podobnie i utwory symfoniczne, jak np. blizka nam „*Polonia*," będąca wyrazem sympatyi i współczucia dla Polski, nie mają własnego tonu twórczego. Potrącając o sto-

sunek Wagnera do Polski, omawia autor niewykonany pomysł dramatyczny, który miał być apoteozą naszej bohaterskiej przeszłości: libretto p. t. „*Kościuszko*“ napisał Henryk Laube, lecz Wagner nie posunął się poza kilka nieznacznych szkiców muzycznych.

W żywych barwach i niezwykle plastycznie odmalował autor chwile paryskiego pobytu, gdy Wagner, stanąwszy nad krawędzią materyalnej nędzy, wśród wewnętrznych zmagań się i bólów ducha, przelał tragizm swej walki życiowej w dzieło, które się stało nietylko zawiązkiem nowej epoki w jego procesie twórczym, lecz zwiastunem nowej ery w rozwoju nowoczesnego dramatu muzycznego. „*Holender tułacz*“ przedstawia bowiem już pierwszą krystalizacyę reformatorskich idei wagnerowskich, kojarząc tok akcyi dramatycznej z psychologiczną treścią muzyki. Występujące tu po raz pierwszy środki muzycznego wyrazu, zwłaszcza nader spoiście przeprowadzona tematyczna struktura, stanowią podłoże nowej techniki dramatycznej, rozwiniętej w następnych dziełach do możliwych konsekwencyi. Autor daje zwięzły komentarz, ułatwiający oryentacyę wśród skomplikowanych splotów dramatyczno-muzycznych, kreśli przejrzysty obraz akcyi scenicznej, oświetla przewodnią ideę dramatu i omawia psychologiczną rolę muzyki: tej metody przestrzega przy każdem dalszem dziele Wagnera, wnikając coraz to głębiej i szczegółowiej w treść swego tematu w miarę, jak z postępem artystycznej twórczości rośnie ważność i znaczenie przedmiotu. Mówiąc o „*Tannhäuserze*“ wskazuje autor wyłaniające się z ogólnego tła pierwiastki religijnej mistyki, będącej jednym z najbardziej zasadniczych rysów w psychicznym charakterze Wagnera; z tego samego ducha głębokiej mistyki wyrosła — zdaniem autora — nawskroś wizyonerska, nadziemska muzyka „Lohengrina,“ przedstawiającego w porównaniu z poprzednimi utworami wyższy szczebel dramatycznego wyrazu i kulminacyjny punkt pierwszej epoki w twórczości Wagnera.

Następującą po stworzeniu „*Lohengrina*“ pełną fermentu fazę w życiu Wagnera, gdy fantastyczne plany, wypełniające jego wyobraźnię i filozoficzno-społeczne utopie pchnęły go do czynnego udziału w rewolucyi drezdeńskiej (1849) i sprowadziły lata ucieczki i tułaczki, odmalował p. Jachimecki szczegółowo, zaznaczając plon tej ważnej i pozornie martwej dla dramatycznej twórczości epoki: posłużyła ona bowiem Wagnerowi do *uświadomienia* wytkniętego celu w całym szeregu estetycznych pism (Sztuka i rewolucya, Sztuka i klimat, Dzieło przyszłości, Opera i dramat), stanowiących niezbędny komentarz jego idei artystycznej. Autor

poddał je wyczerpującej analizie, śledząc ich związek z twórczością, będącą ich praktycznem wcieleniem, a zarazem przytacza wiadomość, oświetlającą stosunek społeczeństwa polskiego wobec nowych haseł reformatorskich: entuzyastyczny list Moniuszki, pełen zachwytu dla idei Wagnera, lecz równocześnie odrzucający muzykę jego jako antytezę estetycznych norm naszego kompozytora. Przy sposobności jedna uwaga: autor odnosi się do twórczości Wagnera uczuciowo i w zapale bezwzględnego podziwu dla jego sztuki nastraja wywody swoje na ton szczerego entuzyazmu, udzielającego się nawet czytelnikowi; to rzecz niezwykle dodatnia i sympatyczna; lecz ten uczuciowy stosunek osłabia nieco krytyczny zmysł, konieczny wobec tylu złożonych pierwiastków wagnerowskiego świata i przesłania mu pewne braki i wady: do nich zaliczam stylistyczną formę pism wagnerowskich. Sami Niemcy przyznają dzisiaj, że Wagner ujmował płomienne swe myśli w ciężką, pozbawioną potoczystości i lekkości konstrukcyę zdań, urastających do potwornych, zagmatwanych okresów i przeładowanych tłoczącymi się wzajemnie obrazami lub porwany pierwszym impulsem, odbiegał od tematu, by z trudem nawiązać przerwany wątek myśli. Co więcej, sam Wagner zdawał sobie sprawę ze swej niemocy stylistycznej i otwarcie mówił, że pisma kosztują go wiele wysiłku, gdyż nieraz męczy się, by słowem wyrazić to, co tak bezpośrednio i bez trudu zakuwał w dzieło sztuki. I to jest powodem, dlaczego pisma Wagnera nie przemówiły do ogółu i nie wywarły takiego wpływu, jakiby wywrzeć były mogły, gdyby ich forma zewnętrzna odpowiadała głębokości treści.

Ustępy o „*Pierścieniu Nibelunga*," zajmują ilościowo najwięcej miejsca w książce d-ra Jachimeckiego; autor nie pozostawia tu ani jednego szczegółu bez objaśnienia. Kreśli on proces powstawania dzieła od pierwszej koncepcyi aż do ostatecznej krystalizacyi w olbrzymiej tetralogii; z wielką plastyką i jasnością szkicuje kontury zawiłej akcyi i skomplikowanej treści, poświęcając szczegółową uwagę przewodniej idei dramatu. Analiza muzycznej tkaniny odznacza się subtelnem wniknięciem w techniczne właściwości i zasadnicze pierwiastki wagnerowskiego stylu w „Nibelungach," opierających się na polifonii motywów przewodnich. Wartość tej części pracy podnoszą rysunki Artura Rackhama, który odtworzył poetyckie światy potężnego dramatu.

Krytyczne uwagi o „*Trystanie*," w którym zespoliły się własne, tragiczne przeżycia artysty z obrazami, wysnutymi z fantazyi, w natchniony hymn miłości, oparł autor nietylko na bogatej literaturze, poświęconej „Trystanowi," lecz uwzględnił nadto ko-

respondencyę pani Matyldy Wesendonck, która natchnęła Wagnera do stworzenia tego dzieła, i wydaną przed niedawnym czasem autobiografię, wobec której zachował należny krytycyzm ze względu na tendencyjnie w niej przedstawione fakty. W ocenie *„Śpiewaków norymberskich“* zaznacza autor dominujący w nich pierwiastek muzyczny, zbliżający ten głęboki dramat muzyczny do stylu operowego; lecz tylko zewnętrznie, gdyż dzięki doprowadzonej do ostatecznych konsekwencyi technice tematycznej motywów przewodnich, posiada muzyka głębię psychologiczną i siłę dramatycznego wyrazu.

Omówiwszy szczegółowo stosunek Wagnera do słynnego jego protektora, króla bawarskiego Ludwika II, i wiążące się z tem bolesne przejścia i walki, które Wagner musiał stoczyć zanim jego idea wcieliła się w widomą formę bayreuthskiego czynu, poddaje d-r Jachimecki rzeczowej i treściwej ocenie dzieło, wyrosłe z tego czynu t. j. *Parsifala*, będącego wykładnikiem idei zbawienia, snującej się jak nić przewodnia przez wszystkie dramaty wagnerowskie. Mistyczny nastrój dramatu znajduje swój symboliczny wyraz w seraficznie czystej muzyce, pełnej podniosłego czaru i roztaczającej atmosferę nadzmysłowego uroku.

Ostatni ustęp książki ujmuje dr. Jach. w syntetyczny zarys, skupiający w sobie krytyczny rzut na zasadnicze pierwiastki twórczości wagnerowskiej. Ze szczególnym naciskiem przedstawia autor iście renesansową indywidualność Wagnera jako poety, myśliciela i artysty i kreśli wyraziste kontury jego filozoficznych poglądów, których ewolucya jest bezpośredniem odzwierciedleniem sztuki wagnerowskiej. W charakterystyce działalności kompozytorskiej podkreśla wpływ Chopina na wzbogacenie się środków muzycznego wyrazu u Wagnera; jestto dzisiaj fakt, uznany przez samych Niemców, że bez Chopina nie dałaby się pomyśleć muzyka wagnerowska, oparta właśnie na nieuchwytnej harmonii chopinowskiej; to też życzyćby należało, by w książce polskiej prócz *ogólnie* zaznaczonego wpływu, znalazły się bardziej pozytywne, szczegółowe i krytyczne argumenty dla poparcia tej niewyświetlonej dotychczas kwestyi bez względu na to, że książka przeznaczona jest dla czytelników, nie obznajomionych dokładnie z teoretyczną stroną muzyki. Sądzę, że dr. Jach. zdołałby ten trudny zresztą problemat uprzystępnić, gdyż posiada prawdziwy dar popularyzacyi, czego dowodem ustępy o strukturze harmonicznej „Tristana“ i „Parsifala;“ byłoby to zadanie wdzięczne, któreby niezwykle podniosło wartość pracy, czyniąc ją wyłączną własnością autora. Można było nawet w najogólniejszych zarysach potrącić o pewne

analogie harmoniczne (enharmonia, chromatyka) i rytmiczne, poprzeć je kilkoma przykładami, zaznaczyć wpływ melodyki chopinowskiej nie dla wyłowienia muzycznych reminiscencyi, lecz na dowód, jak motyw muzyczny przybiera identyczną formę zależnie od duchowego wyrazu—że dla przykładu przytoczę zakończenie chopinowskiego preludyum f-moll (№ 18.) i trystanowskie motywy (art. I. i III.).

Pozwolę sobie wyrazić jeszcze jedno życzenie: w przedstawieniu autora postać Wagnera jest zbyt odosobniona od tła epoki; prawda, że tej miary duch twórczy, jak Wagner, stanowi sam dla siebie epokę, lecz silniejsze zaakcentowanie historycznych podstaw, na których wyrósł jego twórczy czyn, wykazałoby, jakie fazy ewolucyi i zmiennych przetworzeń przebyła „idea wagnerowska“ od pierwszych zarodków do wspaniałej inkarnacyi swej w sztuce syntetycznej; nadto należało poruszyć bodaj szkicowo związek z ogólno-psychicznym nastrojem epoki, a zwłaszcza z prądami romantyki, której ideały estetyczne dojrzały w dziele Wagnera.

Potrąciłem w najgrubszych konturach o bogatą treść książki d-ra Jachimeckiego, dającą wyczerpującą odpowiedź na każde niemal zagadnienie, związane ze sztuką Wagnera. Wplecione w tekst prawdziwie poetyckie przekłady, odznaczające się wiernością, siłą plastyki i polotem, odsłaniają nową stronę talentu autora, mogącego tłómaczeniami swemi oddać cenną przysługę naszej scenie operowej. Pracę uzupełniają uwagi i przypiski, zawierające kilka zajmujących szczegółów, nadto dokładny spis dzieł wagnerowskich i bibliografia najcelniejszych prac o Wagnerze. Staranne reprodukcye części ilustracyjnej nadają artystyczny wygląd tej pięknej pracy.

D-r Józef Władysław Reiss.

S. PIETRASZKIEWICZOWNA. *Dzieje Filomatów w zarysie.* Kraków, 1912. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp., druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie; str. 188.

W czasie słynnego procesu Filaretów w 1823—24 r. wszystkie cenniejsze papiery stowarzyszeń wileńskich, w szczególności akta, korespondencye i t. p. Filomatów, zostały złożone u Onufrego Pietraszkiewicza, jednego z wybitniejszych związkowców i, według świadectwa Kazimierza Piaseckiego, „wysłane na wieś do przechowania“. Znajdowały się w ukryciu pod strażą rodziny

Pietraszkiewiczów aż do 1908 r., kiedy w myśl intencyi ś. p. d-ra Jana Pietraszkiewicza, synowca Onufrego, przewieziono je do Krakowa i powierzono Akademii Umiejętności w celu należytego uporządkowania i ogłoszenia drukiem. O doniosłości Archiwum Filomatów pisano już na tem miejscu (Bibl. Warsz. 1909 r., t. I), dodać tylko należy, iż część materyałów z powyższego zbioru, dotycząca Mickiewicza, została wydana przez prof. Kallenbacha p. t. „Nieznane pisma Adama Mickiewicza“ (Kraków, 1910) i była już przedmiotem wyczerpujących studyów historyczno-literackich wspomnianego wydawcy (w Pamiętniku literackim z 1908 r. i osobno, oraz Bibl. Warszawskiej 1910 r. I i 1911 r. I), nadto pp.: Maryana Szyjkowskiego (Bibl. Warsz. 1910, II), Manfreda Kridla (Sprawozdanie z posiedzeń Tow. naukowego warsz., III, 6) i Józefa Ujejskiego (Pam. lit. 1911).

Na podstawie Archiwum Filomatów skreślona jest również praca p. Pietraszkiewiczówny. Przynosi materyał ważny i ciekawy. Stopniowy rozwój stowarzyszeń wileńskich, od Filomatów do Filadelfistów, zakres i charakter ich prac, organizacya wewnętrzna, czynności i zamiary—przedstawione zostały w nowych częstokroć zgoła nieznanych szczegółach. Podnosząc jednakowoż niewątpliwą wartość ujawnionych przez autorkę wiadomości, musimy wszakże zastrzedz się co do samego sposobu opracowania „Dziejów Filomatów“ i metody pisarskiej. P. Pietraszkiewiczówna zna wyłącznie Archiwum Filomatów, obfita literatura przedmiotu jest dla niej prawie zupełnie obca; praca jej przeto ma charakter referatu, o ile ścisłego i sumiennego, niepodobna stwierdzić przed ogłoszeniem faktycznego materyału źródłowego, z którego korzystała; pod tym względem mamy również pewne wątpliwości, sądząc z niedokładnego wyzyskania znanych w druku materyałów.

Brak tu jakiegokolwiek ogólniejszego tła dziejowego; Filomaci i ich dzieje przedstawione zostały w oderwaniu od żywego podłoża epoki i skutkiem tego ich rola w przeszłości występuje niedość plastycznie i zrozumiale. Ruch umysłowy i społeczny na Litwie w pierwszej ćwierci XIX w., tak powszechny i wartki, pominięto zupełnie ze szkodą dla zobrazowania wydatnej w nim działalności Filomatów. Wszak takie objawy życia publicznego, jak sprawa włościańska, powstanie Towarzystwa Szubrawców i innych jawnych stowarzyszeń, żywy ruch na polu publicystyki, dotykający całego szeregu palących zagadnień społecznych, sprawy uniwersyteckie i wogóle edukacyjne, odbijały się poważnem echem w łonie związków młodzieży wileńskiej. Stosunek do pro-

fesorów, Lelewela i Onacewicza, do Kontryma, Jana Chodźki i Romera Michała, masoneryi i Towarzystwa Patryotycznego — były to sprawy ważne, jednak w „Dziejach Filomatów“ niesłusznie zlekceważone lub zgoła pominięte. Wreszcie geneza związków filomackich. Ich źródłem duchowem—rozczytywanie się w literaturze wieku oświecenia i publicystyce konstytucyjnej i insurekcyjnej Polski z końca XVIII w., echa niedawnej napoleoniady i zdrowe wpływy poczynającej się doby odrodzonego Królestwa Polskiego, nadto niewątpliwe oddziaływanie ideowe, w znamiennych nieraz ujawniające się analogiach, stowarzyszeń akademickich niemieckich. O tem wszystkiem w książce p. P. ani słowa.

Wykład p. P. zaraz na początku rozdziału pierwszego (str. 5) rozpoczyna nieścisła cytata z listu Kołłątaja do Śniadeckiego, wypaczająca poniekąd następne wnioskowanie autorki. Zawiązanie Towarzystwa Filomatów (str. 6) datowane jest 1 października 1817 r., natomiast niema ani słowa o wcześniejszych pracach przygotowawczych, o których wzmianka przy końcu książki (str. 177) jest zbyt ogólnikowa. Tymczasem wczesna inicyatywa wileńska godna jest uwzględnienia, ponieważ zbliża chronologicznie zaznaczone powyżej wpływy niemieckie, wybujałe głównie w 1813—14 r., na genezę towarzystw wileńskich. Nie wie również autorka, że projekt pierwszych „ustawek“ filomackich wyszedł od Zana i Mickiewicza.

P. P., usiłując dowolnie sprzęgnąć działalność ideową Filomatów z... t. zw. pozytywizmem warszawskim 1870–80 r., świtanie romantyzmu z pracą organiczną doby popowstaniowej, chętnie cytuje dla rzekomego poparcia swoich założeń wiersze poetów warszawskich tego okresu. Tu znowu niefortunne dobiera przykłady. Dość zaznaczyć, iż ustęp (str. 7) ze znanego wiersza Maryana Gawalewicza nazywa „pięknym wierszem Juliusza Słowackiego“!

Konspiracyjny charakter Towarzystwa Filomatów z 1817 r. przypisuje autorka „surowym dekretom rządu rosyjskiego, zabraniającym wszelkich stowarzyszeń“ (str. 8). Nie wiemy o jakie „dekrety“ tu chodzi, gdyż reskrypt cesarski o zamknięciu lóż masońskich i zakazujący wszelkich stowarzyszeń tajnych wydany został dopiero 1 sierpnia st. st. 1822 r. Przyczyny tajności Filomatów leżą gdzieindziej i stają się zrozumiałe przy głębszem wniknięciu w ówczesne stosunki uniwersyteckie i ogólno-polityczne na Litwie pod panowaniem Aleksandra I.

Wymieniając rozprawy czytane na posiedzeniach filomackich i innych, p. P. nie określa bliżej daty powstania tych utworów,

co w znacznej mierze dałoby się dokonać, o ile nawet niema tych wiadomości w protokółach posiedzeń; nie wie, jak się zdaje, że wiele utworów Zana ukazało się w druku lub obszernych streszczeniach (np. „Tabakiera"), że traktat Kowalewskiego „O górności Longinusa" był współcześnie drukowany i t. d. Należało przytem podać, choćby w przypiskach, objaśnienia do tytułów rozpraw i nazwisk autorów, zapisanych w protokółach niedokładnie (np. str. 86 Mickiewicza „Majowy kurhanek", zapewne „Kurhanek Maryli" i in.).

Stosunek Filomatów do Towarzystwa Patryotycznego i stowarzyszeń warszawskich przedstawiony został nieściśle, aczkolwiek jest faktem ustalonym porozumiewanie się z Warszawą przez Bansemera, wybitniejszego uczestnika związków akademickich warszawskich, oraz należenie do wileńskiej gminy Tow. Patryotycznego Tomasza Zana, przez niego samego stwierdzony.

O instrukcyi statystycznej, jednej z ważniejszych prac filomackich, p. P. pisze dość obszernie, nie podając wszakże ani jej tytułu, ani treści dokładniejszej, rzucającej nader znamienne światło na społeczne i polityczne poglądy Filomatów. Dodać przytem należy, że instrukcya powyższa znana jest w druku. O Komitecie naukowym, zorganizowanym przez Filomatów w celu urządzenia uzupełniających kursów naukowych dla akademików, podaje autorka krótką zaledwie wzmiankę, utyskując na brak „pewnych danych", tymczasem o Komitecie powyższym istnieją w druku pozytywne relacye Piaseckiego, który stwierdza współudział w pracach Komitetu Lelewela i prawdopodobnie Grodka. Wykłady hodegetyki z ramienia owego Komitetu rozpoczął Jeżowski nie „w pierwszych dniach stycznia" 1822 r., lecz już w początkach grudnia 1821 r.

Z licznych filiacyi Filomatów nie zostało wymienione znane dokładnie „Towarzystwo Sześciu", nader interesujące choćby ze względu na znamienną analogię do stowarzyszenia literackiego, zawiązanego przez Henryka Nakwaskiego i Kellera, uczestnika robót konspiracyjnych Heltmana. Nie poddano również szczegółowszemu rozpatrzeniu stosunku tajnego „Klubu Przyjaciół" do jawnego „Towarzystwa Przyjaciół pożytecznej zabawy"; nie wyjaśniono też pochodzenia nazw stowarzyszeń wileńskich.

Wiadomość o pierwszem śledztwie Promienistych, wszczętem z polecenia Czartoryskiego w 1822 r., pobieżna i niedokładna. Autorka nie zna ogłoszonych drukiem aktów tego procesu, skoro pisze, że „w raporcie do księcia (Czartoryskiego) niema żadnej

wzmianki“ o instrukcyi statystycznej. Nazwiska członków komisyi śledczej błędne.

Do procesu filareckiego z 1823—24 r. znajdujemy w referacie p. P. niektóre nowe przyczynki, wyjęte przeważnie z korespondencyi więziennej, natomiast autorka nie wie ani o pierwszych donosach Chevegrois-Schweizera o związku wileńskim z grudnia 1822 r. i lutego 1823 r., ani o informacyi o Promienistych, udzielonej W. Ks. Konstantemu w Warszawie przez uczniów gimnazyum wileńskiego w lipcu 1823 r., ani o głośnej sprawie Massalskiego, pozostającej w związku z późniejszem aresztowaniem delatora Jankowskiego. Nadto błędy faktyczne: Jankowskiego, aresztowanego w sierpniu, przewieziono z Warszawy do Wilna nie „w październiku“, lecz we wrześniu 1823 r., Więckowicz był uczniem szkoły poniewieskiej, nie kowieńskiej i miał lat 19, nie 11; zeznanie Mickiewicza datowane jest 19, nie 12 listopada 1823 r. Informacye o sprawie Heltmana i towarzystw świsłockich pobieżne i wadliwe, nieznane są autorce ogłoszone drukiem zeznania i listy Heltmana; w nazwiskach błędy: „Krępowski“, zam. Krępowiecki; „Mirecki“, prawdopodobnie — Mochnacki i t. d. Towarzystwa świsłockie nie miały nic wspólnego z konspiracyami uczniowskiemi w innych szkołach litewskich. Reczyński nie był „gimnazistą, prawie dzieckiem“, lecz profesorem w szkole kiejdańskiej, miał lat 27, bynajmniej też nie karano go „skazaniem w sołdaty“.

Mówiąc o następstwach procesu filareckiego w 1824 r., p. P. pisze: „Z grona profesorów ustępują... Chodani, Horodeski, Frank, Bojanus, Grodek, Kontrym... Nowosilcow otrzymuje... starostwo słonimskie“ (str. 182). Otóż Chodani istotnie „ustąpił“, gdyż umarł, lecz jeszcze przed procesem, w lipcu 1823 r.; Horodecki (nie „Horodeski“) również zmarł, w marcu 1824 r.; Frank podał się do dymisyi przed procesem, w lipcu 1823 r.; Bojanus, ciężko chory, od 1822 r. prawie nie brał udziału w sprawach uniwersyteckich; Groddeck zmarł w kwietniu 1825 r.; Kontrym nigdy nie był profesorem. Nowosilcow władał starostwem słonimskiem jeszcze od 1819 r.

Niezależnie od powyższych niedokładności referat p. P. przepełniają błędy w nazwiskach. Notujemy ważniejsze: str. 63—„Zdanowicz“ zam. Zdanowski, „Drzewiecki“ zam. Drzewicki; str. 93 i 118—„Welk“ zam. Woelck; str. 112—„Zabellewicz“ zam. Zubellewicz; str. 135, 138 i in. (stale)—„Mojszel“ zam. Muyschel; str. 115—„Sakowski“ zam. Sękowski; str. 137—„Zachorski“ zam. Zahorski; str. 152—„Moksiewicz“ zam. Maksiewicz i wiele in. Ru-

kiewicz mieszkał w Obwodzie Białostockim, nie „w gubernii grodzieńskiej“ (str. 91, 106, 151); na str. 128 data nie 2, lecz prawdopodobnie 21 grudnia; na str. 137 — do grona Kastalii, nie „do grona Kastala“. Są to zapewne pomyłki nieznaczne, prowadzące jednak niekiedy czytelnika do mylnych wniosków. Poważną wadą metodyczną referatu p. P. jest stałe pomijanie dokładnych dat cytowanych listów, określenie w rodzaju „list pisany w tym czasie“ jest zgoła niewystarczające.

Nie mogliśmy na tem miejscu napisać uzupełnienia pracy p. P., ogólnie tylko możemy zaznaczyć, iż literatura przedmiotu, a przedewszystkiem ogłoszone dotychczas przez prof. Kallenbacha materyały z Archiwum Filomatów, dostarczyć mogą wielu jeszcze komentarzy i ważnych przyczynków do dziejów Filomatów. Wyrażamy nadzieję, że, zgodnie z wolą ś. p. d-ra Pietraszkiewicza, Archiwum Filomatów opracowane zostanie „z gruntowną znajomością rzeczy“ i będzie związane „w prawdziwie naukową całość“, ku rzetelnemu pożytkowi nauki polskiej.

Henryk Mościcki.

HILCHEN HENRYK D-R. *Historya drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, 1835 — 1848 — 1898.* Przyczynek do historyi kolejnictwa w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1912.

Mamy przed sobą dzieło, zakrojone na poważną miarę. Historya drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej stanowi nietylko przyczynek do dziejów kolejnictwa w Polsce, ale równocześnie zawiera sporo faktycznego materyału z dziedziny gospodarki krajowej. Jeszcze w epoce Rzeczypospolitej działacze nasi zajmowali się sprawami komunikacyi. Znakomity poseł na Sejm Czteroletni, Mateusz Butrymowicz, buduje dwa wielkie trakty, pińsko-słonimski i pińsko-wołyński, przez co otwiera się bezpośrednie połączenie Warszawy z Brześciem, Grodnem i Wilnem, komisye zaś skarbowe pilnowały ściśle ustaw drogowych, wotowanych na sejmach. Autor przystępuje odrazu do skreślenia rozwoju sprawy w wieku XIX: wspomina o wysiłkach w czasie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Księstwo z powodu opłakanego stanu środków materyalnych przekazało Królestwu mizerne drogi. Ks. Lubecki już w r. 1825 chciał wypuścić na Wisłę flotyllę dla spławu towarów do Gdańska, do tego bowiem czasu wszystko załatwiane było za pomocą statków pruskich. Rząd Kró-

lestwa zwraca uwagę na budowanie dróg bitych w Królestwie — jak wiemy, wielkie zasługi w tym kierunku położył Staszyc. Na sesyach niejednokrotnie zachodziły spory z ks. Lubeckim, który ze względów oszczędnościowych sprzeciwiał się zbytnim ekspensom (por. Radziszewski, „Skarb i organizacya władz skarbowych w Królestwie Polskiem"). Dopiero po założeniu Banku polskiego zdołano uzyskać większą pożyczkę na podniesienie komunikacyi, co nastąpiło w r. 1829. W tym czasie już w Zachodniej Europie widzieć się dają pierwsze próby zastosowania pary do lokomocyi. I tutaj działacze ówcześni, a na czele hr. Łubieński i Steinkeller, który już w Królestwie Kongresowem grał pewną rolę, zaczynają się interesować sprawami komunikacyi szynowej. Chodziło przedewszystkiem, a można twierdzić nawet, że w początkach stosowania wynalazku i jedynie o przewóz towarów, głównie ze względu na górnictwo. Autor podkreśla, że spław Wisłą podnosił cenę towarów, które, nie przychodząc bardzo często na czas, traciły na dobroci. Było to jednak tylko marzenie, aby w tych niespokojnych latach, gdy chwiał się byt narodu, znaleźć się mogli śmiałkowie do wcielenia w czyn idei. Dopiero po rewolucyi 30 roku, gdy kraj zaczynał powracać siłą rzeczy do stosunkowo normalniejszego już życia, powrócono do tych dawniej pomyślanych planów. I pracę podjęli dwaj ludzie: Henryk hr. Łubieński i Piotr Steinkeller. Nie będziemy wnikali za autorem, komu należy oddać w tej mierze pierwszeństwo. Wiemy, że po rewolucyi 30 roku, gdy naród, pogrążony w zupełnej apatyi, wpatrzony jedynie w słońce emigracyjne, tutaj w kraju prawie nie był zdolny do twórczego czynu, ludzie praktyczni, a rozumiejący położenie, wzięli na siebie ciężar dźwigania społeczeństwa z owej duchowej i fizycznej prostracyi. I właśnie owym niestrudzonym działaczem, który pomimo realizmu i trzeźwości w ujmowaniu istoty rzeczy, piastował w duszy pierwiastki romantyzmu społecznego — był wspomniany wyżej Piotr Steinkeller. Dzięki jego wysiłkom, znalazły się nowe, niewyzyskane dziedziny pracy, poruszone zostały wszystkie ukryte sprężyny machiny gospodarczej, aby przecież w epoce przygnębienia ogólnego i wycieńczenia politycznego, społeczeństwo mogło znaleźć środki do życia. Steinkeller był genialnym projektodawcą, umiał gromadzić koło siebie ludzi i zachęcać do twórczego czynu. Do wykonania planów Steinkellera w dużej mierze przyczynił się Bank polski, na którego czele stał Henryk Łubieński. Obok Steinkellera, była to jednostka, odczuwająca rozumnie potrzeby kraju. I ci dwaj ludzie, przeniknąwszy doniosłość wynalazku, starali się plany swoje urzeczywistnić.

Mieli jednakże do zwalczenia wiele przeszkód. Przedewszystkiem społeczeństwo, a nawet i ekonomiści, nie doceniali znaczenia kolei. Dr. Hilchen przytacza głosy pisarzy, wypowiadających się przeciw niepotrzebnemu zupełnie marnowaniu pieniędzy: „Żelazne koleje są otchłanią—pisze Supiński—w której toną olbrzymie zasoby, nie zostawiając innych po sobie śladów, prócz wysypanej grobli i szyn na niej leżących. Odrywają one zasoby od rolnictwa, odciągając wolne kapitały, utrudniają kredyt, wreszcie tłumią ducha rzeczywistej przemysłowości". Podobne myśli wyrażali pisarze zachodnio-europejscy.

Właściwie ideę kolei żelaznych w Europie spopularyzował Fr. List, jeden z twórców szkoły narodowej w ekonomii politycznej, który w Ameryce zapoznał się z kolejami i po powrocie zaczął nawoływać do jaknajszybszego przystępowania do budowy kolei. Z drugiej zaś strony, projektodawcy z góry wiedzieli, że nie znajdą w kraju potrzebnych kapitałów. Wogóle społeczeństwo nasze niechętnie swoje zasoby materyalne w niewypróbowane przedsiębiorstwa wkłada, a cóż dopiero w tak napozór ryzykowne, jak koleje żelazne. Przeszkody jednakże nie zniechęciły tych ludzi; z większą tylko energią wzięto się do pracy. Już w r. 1835 wygotowano operat, mający na celu przedstawienie istotnego stanu rzeczy z punktu widzenia technicznego i społecznego, oraz plan utworzenia Towarzystwa akcyjnego dla budowy drogi żelaznej, łączącej Warszawę z Granicą. Dom handlowy braci Łubieńskich zawiązał stosunki z bankierem berlińskim, Magnusem, dla zapewnienia potrzebnych kapitałów. Układy były na pomyślnej drodze, gdy nadzwyczajne przesilenie 1837 roku wstrzymało kapitalistów niemieckich. Była to pierwsza porażka, a, niestety, porażek takich było więcej. W każdym bądź razie Steinkeller i Łubieński już poruszyli społeczeństwo i sprawa budowy kolei stanęła na porządku dziennym. Trzeba było uzyskać pozwolenie Rządu, co osiągnięto w r. 1838. Aprobata znów zagnała do energiczniejszego czynu. Zastanawiano się nad siłą pociągową, której przyszła droga wymagała. W zasadzie postanowiono używanie koni, myśl jednakże została wkrótce zarzucona, gdyż projektodawcy uznali całą niepraktyczność pomysłu, który początkowo wydawał się łatwiejszy do przeprowadzenia.

Według § 4 ustawy Towarzystwo budowy miało uchodzić za zawiązane, gdy połowa akcyi w bieg wypuszczoną zostanie. Niełatwe to było zadanie specyalnie na naszym gruncie. W Polsce zwykle niechętnie jest witana wszelka twórcza myśl, wymagająca nakładów finansowych. Przyzwyczailiśmy się chodzić utar-

tą drogą szablonu i dlatego w najlepszych i najbardziej praktycznych projektach zawsze inicyatywa rozbić się musi o brak zainteresowania sił krajowych. Na każdym kroku widzimy liczne tego przykłady.

Podobnie sprawa miała się z finansowaniem drogi Warszawsko-Wiedeńskiej. Trzeba było pomyśleć o kapitałach zagranicznych, a tymczasem nadzieje w tej mierze zawodziły, ponieważ zagranica skutkiem konjunktury politycznej stała w przededniu kryzysu ekonomicznego. W Anglii zdołano umieścić zaledwie 1051 sztuk. Musiano uciekać się do przedłużenia terminu prekluzyjnego. Ostatecznie sfinansowano 1500 akcyi wzamian za szyny i zwrócono się do Rządu z prośbą o pożyczkę 4 mil. złp., pozostałych z funduszu, przeznaczonego na ulepszenie dróg i spławów, proponując, jako zastaw, nierozprzedane akcye. Następnie ulokował Steinkeller w Wiedniu 2500 akcyi. Było to wszystko zbyt mało i Łubieński w liście prywatnym narzekał na powolny rozwój interesów: „Nie przewiduję, jaki to wszystko weźmie obrót, działanie instytucyi i władz, z którymi Tow. drogi żelaznej ma do czynienia, nie jest oparte na żadnych zasadach, ani na żadnem rozumieniu, tylko zawisło od momentalnej dyspozycyi osób istotnie kierujących". Do tego wszystkiego dołączyła się katastrofa domu bankowego Steinera i Towarzystwo otrzymało z powrotem swe akcye. Zawarto kontrakt z domami bankowymi w Berlin ie dla sprzedaży 6000 sztuk.

Tymczasem budowę prowadzono gorączkowo. W r. 1841 Łubieński odbył podróż inspekcyjną, podczas której sprawdził istotne postępy robót, „które są prawdziwym pomnikiem na dalsze lata pracy i wytrwałości". Pomimo tych wysiłków, Towarzystwo z braku poparcia gotówkowego nie mogło doprowadzić sprawy do końca i w r. 1842 wniosło do Rządu Królestwa prośbę o rozwiązanie kontraktu. W prośbie swej założyciele podają krótki rys historyczny powstania projektu drogi i dotychczasowego wykonania. Skutkiem jednak fatalnych okoliczności nadzieja umieszczenia akcyi okazała się płonna, akcyonaryusze zaprzestali wnosić raty za kupione akcye, wyczerpała się pożyczka państwowa, projektowany system amerykański okazał się niepraktyczny. Wobec tych przyczyn Towarzystwo musi się zrzec dalszego prowadzenia sprawy. Rada Administracyjna po otrzymaniu informacyi o stratach Towarzystwa i o stanie majątku zgodziła się na rozwiązanie Towarzystwa.

Jako najgłówniejszy powód upadku Towarzystwa podaje dr. Hilchen fatalny stan światowego rynku pieniężnego z chwilą wy-

puszczenia akcyi; następnie zmiana systemu budowy również w tym względzie miała pewien wpływ. Zaznacza jednak autor z goryczą, że obok tych przyczyn zewnętrznych istniały inne: obojętność kapitalistów krajowych oraz apatya społeczna. Zainteresowanie się sprawą w publicystyce było małe: parę artykułów mniej więcej rzeczowych stanowiło całe oświetlenie kwestyi, a przecież sprawa była doniosłej wagi.

Po rozwiązaniu Towarzystwa, co okazało się w skutkach fatalne przedewszystkiem dla założycieli, Rząd Królestwa postanowił w dalszym ciągu prowadzić zaczęte dzieło. W r. 1845 otwarto drogę żelazną z Warszawy do Grodziska, a dn. 1 kwietnia 1848 r. otwarto na całej przestrzeni od Warszawy do Granicy z odnogą Skierniewice-Łowicz. Długość linii wynosiła 307½ wiorst.

Rozwiązanie Towarzystwa nastąpiło skutkiem braku odpowiednich kapitałów, oraz z powodu niezgodzenia się Rządu na budowę systemem angielskim. Tymczasem Rząd nietylko tym samym systemem budował, ale kapitał, użyty do jej wykończenia, przenosił sumę, o którą założyciele Towarzystwa prosili. Przedsiębiorcy podali całą sumę wydatków na 5,604,111 rb., a tymczasem koszt ogólny wynosił—*6,681,000 rb.* I jak podkreśla autor, pomimo ulg celnych, pomimo że ¾ robót ziemnych już wykonała dyrekcya, Rząd dokończył przeprowadzenia kolei z wyraźną dla przedsiębiorstwa i Skarbu szkodą.

Po otwarciu drogi w r. 1845 uruchomiono 2 pary pociągów, później nastąpiły powolne zmiany w tym kierunku. Od r. 1848 zaczyna się eksploatacya drogi w administracyi rządowej, która nie przynosiła jednakże spodziewanych korzyści. Ostatecznie zgodzono się oddać prowadzenie drogi żelaznej przedsiębiorcom prywatnym z zastrzeżeniem pewnych przywilejów Rządowi. Określono warunki koncesyi: przedsiębiorcy tworzą Towarzystwo z prawem emisyi akcyi; nadzór nad drogą utrzymuje Rząd; po upływie pierwszych 25 lat dzierżawy Rząd ma prawo odkupić drogę. Dzierżawa miała trwać 90 lat; na czele Towarzystwa stanął Leopold Kronenberg. W r. 1858 kolej przeszła w ręce prywatne.

W trzecim rozdziale swej pracy dr. Hilchen zastanawia się nad rozwojem drogi żelaznej w tym właśnie okresie istnienia. Autor, po przedstawieniu ustroju wewnętrznego administracyi, oraz historyi w ostatnich czasach, dochodzi do wniosku, że z początku pod panowaniem żywiołów niemieckich w gospodarce kolejowej sprawy nie szły należycie; dopiero później—kolej rozwijać się poczyna normalnie. Administracya prywatna posiadała

wiele błędów, nieraz wytykanych w prasie naszej, w każdym bądź razie umiała zawsze stanąć na gruncie interesów narodowych.

Praca d-ra Hilchena w szeregu podobnego rodzaju monografii z zakresu historyi naszej gospodarki świadczy, że umiemy własnemi siłami prowadzić prace skomplikowane i umiemy dobrze administrować.

Rozprawa d-ra Hilchena napisana jest umiejętnie, autor umiał wyzyskać źródła drukowane i archiwalne. Zarzuciłbym pewien chaos układu w III części, gdyż autor tok opowiadania przerywa i przechodzi do analizy wewnętrznego ustroju drogi żelaznej, traci przez to całość dzieła. Następnie szkoda, że dr. Hilchen nie dał nam w zakończeniu pewnej syntezy, byłby to nader ciekawy rzut oka, o ile kolej w porównaniu z innemi instytucyami gospodarczemi naszego kraju przyniosła rzeczywistą korzyść gospodarczą. Nie zgodziłbym się z autorem na przytoczenie danych statystycznych, zebranych przez St. Koszutskiego w rozprawie: „Nasz przemysł wielki w początkach XX stulecia, 1905". Posiadamy już źródła nowsze, opracowane nawet przez wspomnianego autora.

Dr. Hilchen pierwszą część pracy swej ogłosił, jako rozprawę doktorską wydziału ekonomicznego uniwersytetu fryburskiego. Profesorem ekonomii we Fryburgu szwajcarskim przez lat parę był obecny profesor politechniki lwowskiej dr. Antoni Kostanecki. I dzięki jego wysiłkom, Polacy, studyujący nauki społeczne, mogli się zająć kwestyami, zaczerpniętemi ze stosunków polskich. Praca d-ra Hilchena stanowi jasny dowód, jaką naukową opiekę posiadali doktoranci we Fryburgu. Rozprawa bowiem nosi charakter naukowy, nie pozbawiony szerszego społecznego ujęcia.

Dr. Żelisław Grotowski.

Kronika miesięczna.

Zamknięcie roku szkolnego. — Czy szkoły nasze dosyć uczą? — Kwestya egzaminów. — Prądy wśród młodzieży. — Zasiew nienawiści. — Polityka bezpłodna. — Winy starszych. — „W chwili ciężkiej i trudnej“. — Jubileusz uniwersytetu lwowskiego. — Sprawa Chełmska w Radzie Państwa. — Zamknięcie Izby i jej bilans. — Zastraszające wieści z Parany.

Zamknęliśmy jeszcze jeden rok szkolny. Tysiące dzieci z radością rozsypało się po polach i lasach, by zasłużonego zażyć spoczynku; setki rzuca szkoły, by wyżej kształcić się zawodowo. Z miłością patrzą na te rzesze najbliżsi: tyle nadziei przywiązanych jest do każdej jasnej czy ciemnej główki! Z miłością, wiarą i nadzieją patrzeć na nie powinno społeczeństwo: wszakże to przyszłość kraju i narodu, wszakże to ci, którzy niebawem z rąk naszych odbiorą ster jego losów a epoce danej swoje indywidualne piętno nadadzą.

Szkoła średnia polska rozwija się coraz lepiej i funkcyonuje coraz sprawniej; wychowanie wytwarza tu już sobie tradycyę, zamiast poprzedniego, koniecznego szukania po omacku i wyrabiania dopiero świeżych, niewypraktykowanych dostatecznie sił nauczycielskich. Oddawszy jej, co należy, musimy zawsze powtórzyć obawę, czy dosyć uczy. Wątpliwość ta wynika przedewszystkiem z teoryi nowoczesnej pedagogiki, która rozwijanie umysłu ucznia stawia na pierwszym planie, a naukę pamięciową na ostatnim. Otóż nie należy zapominać o tem, że uczeń w szkole średniej jedynie czerpie ogólny bagaż wiadomości faktycznych na całe życie; w uniwersytecie będzie tylko pogłębiał i rozszerzał ten, który należeć będzie do wązkiego zakresu jego specyalności. Zbytnie poleganie w dalszem życiu na nieustannem korzystaniu

ze słowników, encyklopedyi, książek pomocniczych może nieraz okazać się zawodnem; wielu późniejszym brakom i niedogodnościom zapobiega wbity w pamięć materyał faktyczny, uczy ścisłości w szczegółach, ułatwia korzystanie z życia. Kiedy porównywamy ludzi dziś już starych z nami—dziś dojrzałymi, musimy im zwykle przyznać większą kulturę umysłową; sprowadzone do najprostszego mianownika — jest to stwierdzenie większego zasobu wiadomości, wyniesionych ze szkoły; a przecież ich epokę charakteryzowało przedewszystkiem t. z. „kucie“, które jednakże w następnych rezultatach życiowych, nie okazało się tak złem, jakby się wydawało. Obyśmy nie potrzebowali stwierdzać tego samego, porównywując synów naszych z nami. Tak zwany „rozwój umysłu“ może być często frazesem, gdy zasób wiadomości ścisłych, faktycznych jest nabytkiem realnym; niewiele przyjdzie w życiu z teoretycznego „rozwoju umysłowego“ temu, kto nie będzie umiał nazwać otaczających go zjawisk przyrody, kto nie będzie mógł związać wycieczek po starych murach z datami i postaciami historycznemi; poprostu — będzie miał o wiele bardziej zubożone życie, bez względu na specyalność, którą sobie obierze i w której może być zresztą doskonałym fachowcem.

Wiemy, że uwagi te idą przeciw współczesnemu prądowi pedagogicznemu, zdajemy sobie sprawę, że szkoła współczesna musi prąd ten uzewnętrzniać, chodzi nam tylko o to, aby ostrzedz przed przesadą w tym kierunku. I o to także, aby zaznaczyć, że prąd ów zanadto i niebezpiecznie zgadza się z naszem przyrodzonem lenistwem. Bo niewątpliwie łatwiej i dogodniej jest mniej od uczniów wymagać; zyskuje to tanią popularność, mniej wyczerpuje siły uczącego, wszystko zaś opromienia pięknym frazesem o swobodzie rozwoju i poszanowaniu indywidualności ucznia.

Niektórzy idą w tym kierunku tak daleko, że zmierzają do zniesienia egzaminów rocznych. Argumenty są znane: egzaminy niczego nie dowodzą i o niczem nie świadczą, a są przeciążeniem intensywną pracą w danym okresie. Pierwszy—oparty jest na spostrzeżeniach naszych własnych, w szkole obcej, wrogiej, gdzie były otoczone aparatem, oddziałującym na wyobraźnię w kierunku nieraz paraliżującego przestrachu, a obracały się około wyciągniętego na los szczęścia pytania, a więc szczegółu, którego znajomość lub nieznajomość istotnie niczego nie dowodziła i dowodzić nie mogła. Ale argument ten upada, gdy mamy do czynienia z życzliwem sprawdzeniem postępów ucznia w ciągu roku, sprawdzeniem, mogącem obejmować kurs cały. A korzyść egzaminów uderza w oczy: dają one sposobność do koniecznego po-

wtórzenia kursu i są potrzebnym czynnikiem w ocenie, czy dany uczeń, bez szkody dla siebie, może być dalej posunięty w nauce. Argument drugi jest istotny; nie przeceniajmy wszakże chwilowego przeciążenia w ciągu jednego miesiąca, gdy możemy z zadowoleniem stwierdzić, że niema go w ciągu roku.

Inna rzecz co do terminu egzaminów. Z całem uznaniem podnieść trzeba krytykę d-ra St. Kopczyńskiego, zwracającą się przeciw porze egzaminowej, ustalonej na czas rozkwitu natury i pierwszych upałów, oraz żądanie, aby przenieść egzaminy na koniec zimy, lub wczesną wiosnę (luty, marzec). Z całą pewnością można również twierdzić, że życzenie to pozostanie pobożnem. W pedagogice, zarówno jak we wszystkich dziedzinach życia, można zauważyć pochopność do reform, sięgających istoty rzeczy, a więc zdawałoby się trudniejszych i większej wymagających ostrożności, natomiast najzupełniej skostniałą beznadziejnie twardą rutynę, gdy chodzi o reformy formalne, dotyczące rzeczy czysto konwencyonalnych. O to nie możemy zresztą szczególnie winić szkół naszych; są one pod tym względem ściśle związane z zachodem.

Pozostawiając praktyczne rozstrzygnienie kwestyi poruszanych specyalistom, przejdźmy do innej kategoryi zjawisk, bliżej bezpośrednio nas obchodzących, mianowicie do prądów politycznych i społecznych; mowa tu oczywiście już tylko o młodzieży uniwersyteckiej i klas wyższych. Fakty życia nastręczają tu materyał do wielu uwag. A jednej nadewszystko—następstw dalszych bojkotu szkolnego. Niema faktu dziejowego, który na dalszą metę wywoływałby jednostronne tylko następstwa: tylko dobre, albo tylko złe. Potężny ruch opinii z przed lat kilku stworzył naszą szkołę, z której słusznie możemy być zadowoleni; wytrzymała próbę czasu, utrwaliło ją życie. W dalszem następstwie jednak, kiedy obok tych szkół zwiększała się ilość młodzieży, wstępującej do zakładów rządowych, stworzył on groźne rozdwojenie. Mówiąc tak nie mamy na myśli różnic opinii w społeczeństwie, bo te być muszą, ale rozdwojenie wśród samej młodzieży, nie oparte nawet na różnicy ideowej, lecz poprostu na gruncie formalnym uczęszczania do takiej czy innej uczelni. Dlatego że formalne—nazwaliśmy je właśnie groźnem. I dlatego jeszcze, że rozdwojenie to w pewnej mierze oparte jest na gruncie klasowym, bo poza nielicznemi wyjątkami do szkół rządowych uczęszczają dzieci rodziców uboższych.

Rozdwojenie to wyraźnie stwierdził niedawny fakt, niepotrzebnie poruszony w pismach, skoro jednak poruszony, wypowie-

dzieć się o nim trzeba. Chodziło o udział młodzieży polskiej i uniwersytetu i politechniki warszawskiej w wielkim pogrzebie narodowym. Młodzież ta pragnęła dla siebie miejsc honorowych; część opinii domagała się zupełnego jej usunięcia z pochodu. Z pomiędzy dwóch skrajnych—a więc niesłusznych rozwiązań, kierownicy wybrali trzecie: wyznaczyli młodzieży tej miejsce właściwe, a zarazem takie, któreby nie kłuło w oczy przeciwników, nie dawało zatem powodu do burd. Za to—nim jeszcze przysypano ziemią drogie i wielkie zwłoki — publicysta, odznaczający się większym talentem niż taktem, napadł na kierowników, zarzucając im stronnicze usunięcie od obchodu inkryminowanej niesłusznie przez pewną część opinii młodzieży.

Przytoczyliśmy ten fakt, aby stwierdzić, jak drażliwą i bolesną jest jeszcze sprawa szkolna, skoro antagonizmy wybuchają jaskrawo nawet wtedy, kiedy zda się, że wszystkie serca polskie jednem biją tętnem. A naszej charakterystyki dotyczy on o tyle, o ile mówiono, że udział młodzieży politechniki i uniwersytetu oburzał uczniów szkół polskich. Tu musimy wyrazić przekonanie, że pośród tej młodzieży niema na szczęście powszechnego odruchu nienawiści ku części swoich rodaków. W znacznej masie młodzież szkół polskich na szczęście polityką się nie zajmuje; uczy się i rozwija w sobie tężyznę fizyczną, oddając się z zapałem różnym sportom. A jej miłość dla ojczyzny, jej uczucia narodowe są zdrowym objawem przywiązania do istotnych wartości narodu, z których korzystać w życiu nikt jej nie przeszkadza, dlatego brak w tej miłości pierwiastków mistyczno-męczeńsko-intellektualistycznych. I wyrosną z pewnością ci chłopcy na dzielnych ludzi, o ile ich starsi nie spaczą i z naturalnej drogi rozwoju nie sprowadzą.

Jeżeli porównamy obecne życie polityczne i społeczne wśród młodzieży z czasami z przed ćwierć wieku, widzimy znaczne różnice. My—ówczesna młodzież narodowa—szukaliśmy dróg naszych sami; przeciwstawialiśmy się z jednej strony importowanemu ze Wschodu socyalizmowi kosmopolitycznemu, z drugiej zaś—pewnemu chłodowi, obojętności, obawom w rzeczach narodowych, które były właściwością pogrobowców ostatniego powstania. To też o naszem pokoleniu śmiało powiedzieć można, że samo szło przez życie, samo zbierało doświadczenia; może przed sądem historyi usprawiedliwi to nieuniknione błędy, które popełniało. Ale po latach dwudziestu pięciu, po doświadczeniach i rozczarowaniach, poczynać snuć dalej tę samą pracę Penelopy, powtarzać smutną

historyę—to obłęd chyba, albo błąd karygodny wobec przyszłości narodu.

Corocznie do uniwersytetów zagranicznych, zwłaszcza galicyjskich, wstępują szeregi wychowańców, którzy normalnie już ukończyli kurs całkowity szkół polskich. Mamy nadzieję, że wniosą oni zdrowy pierwiastek do życia polskiej młodzieży uniwersyteckiej. Bo dziś wiodą wśród niej rej ofiary czasów przejściowych, ci, którym bojkot przerwał normalne wykształcenie szkolne. Z tego przełamania życia wynika ideologia tej młodzieży, oparta z jednej strony o przeświadczenie, że młodzież, jako taka, może sama dokonać ważnego faktu dziejowego, skąd płynie niepospolita—nawet jak na młodzież—zarozumiałość, z drugiej zaś o przekonanie, że młodzież jest osobną klasą społeczną, powołaną z natury rzeczy do przeciwstawiania się starszym. To przekonanie, idące z łatwego uogólnienia wypadków naszych dziejów porozbiorowych, jest poprostu antykulturalne, zaprzecza bowiem ciągłości wysiłków i zaprzecza doświadczeniom z historyi innych narodów cywilizowanych, które przecież sobie nieustannie za przykłady do naśladowania stawiamy, Anglii, Francyi, Belgii, Niemiec. Wszędzie istnieje i istnieć musi różnica między pokoleniami, ale nigdzie w tych krajach młodzież nie odrzuca doświadczeń swoich poprzedników i zabiera się do tworzenia życia dopiero wtedy, kiedy w to życie jako pełno prawni, czynni obywatele wchodzi.

Kiedy czytamy liczne dziś publikacye tego odłamu młodzieży, który nazywa się „niepodległościowym“ i który we wszystkich, zresztą kłócących się między sobą, odcieniach swoich zdaje się stanowić większość, zdumiewa poprostu zdolność realizowania wszelkich, najszaleńszych nawet, utopii—na papierze; wydaje się, że chyba koncepcye te powstają w jakimś obłędzie, fantasmagoryi sennej, której wyprzeć się trzeba będzie — po przebudzeniu. Albo budzi się sceptycyzm, że jestto tylko karkołomna dyalektyka zapędzonego do ostatnich konsekwencyi chłodnego intellektualizmu, któremu brak podkładu młodego, szczerego, gorącego uczucia. I tu mimowoli nasuwa się znowu porównanie z przed lat dwudziestu pięciu: i my wierzyliśmy w spełnienie się wielkich haseł, których nie zrealizowało potem życie, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że są to hasła idealne, ogólnikowe, do których poważnie nie można przykładać bezpośredniego urzeczywistnienia, wiodąc seryo spór o szczegóły drugorzędne, jakby cel był blizki i bezpośrednio urzeczywistnialny. Ma to dwie strony złe: jest niebezpieczne nazewnątrz, jako sposobność do ewentualnych represyi i, co ważniejsza, jest niemoralne, jako twierdzenia, w któ-

re się nie wierzy, puszczane dla łatwowiernej galeryi, albo jako kiwanie palcem w bucie słabego, który nie ma sił nietylko do realizacyi wielkich założeń, choćby częściowej, a nie chce brać się do pracy powszedniej, poziomej, tęczowymi blaski nieopromienionej.

Zdajemy sobie najzupełniej sprawę z tego, że młodzież należy najpierw wyrozumieć, a potem z ojcowską miłością czynić jej uwagi. To też główne ostrza naszych zarzutów kierujemy nie w stronę niedoświadczonej młodzieży, lecz w stronę tych doświadczonych starszych, którzy udzielają jej swego patronatu. Uważamy nadto, że zrozumienie młodzieży nie jest bynajmniej równoznaczne z popieraniem i aprobowaniem jej czynów, jak to się nieraz wydaje leniwym filistrom, zadowolonym, że synowie zdejmują z ich bark ciężar wszelkiego czynu, więc zrzekającym się zgóry prawa krytyki tego czynu. Ale zarazem stwierdzić musimy, że w szeregu ciekawych zresztą artykułów, sprawom młodzieży poświęconych, pierwiastku miłości obok krytyki nie znaleźliśmy, niestety, nie brak tam natomiast niechęci, wywołanej przeciwstawianiem się większości młodzieży. Może inna metoda byłaby odpowiedniejsza, metoda porównawcza, polegająca na wspomnieniach własnej młodości, na odróżnieniu w dawnej działalności pierwiastków błędnych, odrzuconych następnie, i pierwiastków dobrych, trwałych, wcielanych w życie w miarę sił i możności. Te dawne usiłowania i idee należałoby zestawić ze współczesnemi, wykazać podobieństwa i różnice, słowem ułatwić młodzieży zrozumienie zmian, bez którego ze zdziwieniem spostrzegać musi ostrą krytykę za pewne wystąpienia i poglądy, stosowaną przez tych, którzy przed laty podobne — nie takie same — wystąpienia i poglądy aprobowali, szerzyli i wykonywali.

I więcej miłości! Wyraz ten prowadzi nas do punktu wyjścia, do stwierdzenia nienawiści między młodzieżą, opartej na formalnej różnicy zakładów naukowych, do których uczęszcza. Groźniejsze to o wiele, niż chwilowe manowce polityczne, musi bowiem zostawić ślady—z jednej strony głęboki żal—na całe życie, a może w pewnych okolicznościach wywołać i niechętne odsunięcie się od własnego społeczeństwa. To zjawisko przedewszystkiem wszystkiemi siłami zwalczać trzeba. A zwalczymy je skutecznie wśród młodzieży tylko szczepieniem miłości współbraci wszystkich, bez żadnych różnic.

Uderzmy się w piersi, my starsi. Występujemy z ostrą krytyką młodzieży, że sieje ziarna waśni bratniej. A gdzież ma uczyć się miłości? Oto chłopiec czy młodzieniec bierze do ręki

jakiekolwiek pismo. Zależnie od barwy, spostrzega, że każde usuwa z własnego społeczeństwa, z narodu całe olbrzymie zastępy obywateli, że wydaje się czasem, jakoby naród polski składał się z kilku „narodków“, liczących po kilkanaście głów, a złożonych z członków redakcyi i najbliższych ich przyjaciół; miliony obywateli są w imię takich czy innych zasad ze społeczeństwa wyłączane. Cóż dziwnego, że po takim przykładzie ze strony starszych, ów czytelnik idzie w ich ślady i rzuca wielką klątwę narodową na wszystkich, prócz członków swego kółka i siebie? Naprawdę — chociaż w ostatnich czasach przeżyliśmy różne „przeszacowywania wartości“ — nie złożyliśmy przecież do składu szkodliwych rupieci starej oklepanki o współrzędnym związku miłości z nienawiścią. A czas wielki byłoby z tem skończyć. Kto kocha swoje ideały, nienawidząc równocześnie wszystkich, którzy są innego zdania, i tę nienawiść propaguje, zasiewa równocześnie dobre ziarno z kąkolem. A niewiadomo, co się bujniej rozpleni na źle uprawionej roli.

*

* *

Z polityką młodzieży związana jest broszura Tamtego, która niedawno ukazała się p. t. „W chwili ciężkiej i trudnej.“ I ściśle związana jest z życiem; dlatego wolimy mówić o niej tu, niż w dziale sprawozdawczym. Autor traktuje w niej o przeszłości już — acz niedawnej: o t. zw. „żałobie narodowej,“ w ubiegłym karnawale propagowanej. Ze wstępu krótkiego, poświęconego położeniu naszemu w tem państwie, które może się jednak jeszcze pogorszyć, autor wyprowadza zrozumienie czynnika uczuciowego, w jakim mógł się zrodzić projekt manifestacyi, o smutnym nastroju społeczeństwa świadczącej. Ale zrozumienie nie usuwa krytyki, jak to właśnie stwierdziliśmy nieco wyżej. Krytyka prosta: środek nie prowadzi do żadnego celu. Trzeba wszakże patrzeć dalej i w „żałobie“ widzieć początek całego możliwego szeregu manifestacyi, których następstwa przewidzieć trudno, nawet jeżeli się stoi na stanowisku, że o powstaniu, jako ostatecznem ogniwie, nikt dziś absolutnie nie myśli, pomimo różnych elukubracyi drukowanych, tem gorszych, że nieszczerych. Trzy tezy główne: niema „drobiazgów“ politycznych w życiu narodu, skazane-

go na takie anormalne warunki istnienia, jak nasz; nie grozi nam „powstanie,“ ale może grozić wyładowanie się energii uczuciowej, które może sprowadzić na kraj nieobliczalne następstwa; każde wrzenie bywa u nas tylko „robotą młodzieży,“ której nie zwykliśmy przypisywać większego znaczenia, a tymczasem cała historya ostatnich stu lat naszego życia jest dziełem młodzieży. Wniosek stąd, że należy zająć stanowczą, odporną postawę, ile razy widzimy oznaki, wróżące, że lekkomyślność znowu wyciąga dłonie po ster naszego życia. Należy walczyć z takimi objawami, a nie, jak wielu leniwie mówi, lekceważyć, albo milczeć. Trzeba wytworzyć silną, kierowniczą opinię, możność regulowania i ujmowania w zbawienne tamy prądów naszego życia.

Jako zaletę broszury podnieść trzeba jej ton spokojny i objektywny, nie obrażający niczyich uczuć; tembardziej trzeba to podkreślić, im więcej daje się codzień uczuwać w naszem życiu publicznem brak taktu. Sądzimy, że o ile ludzi poważnych przekonać można, to tylko w tym właśnie tonie. Pozatem, zgadzając się wogóle z autorem, trzeba podnieść kilka różnic w szczegółach, chociażby w celu zrobienia paru uwag ogólniejszych.

Autor twierdzi, że „żałoba narodowa w pewnej mierze się udała.“ W jakiej? Szereg instytucyi, które doroczne swoje niedobory dobroczynne pokrywało z balów, musiało w tym roku obyć się bez tego zasiłku; oszczędzone przez ojców rodzin pieniądze puszczono w kabaretach i zagranicą — chybaż nie o takie rezultaty chodziło inicyatorom? Bo w domach prywatnych, w drugiej połowie karnawału bawiono się bardzo dużo. Prawda — że tańczono często w jadalnym — od podwórza, a podawano kolacyę w salonie — od frontu. Inicyatorowie mogą się cieszyć z tego braku odwagi cywilnej, bo ułatwia im znacznie pracę.

„Żałoba narodowa,“ zdaniem naszem, nie udała się. I nie dlatego, żeby narzuconej nie przyjęła opinia, ale dlatego, że „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia.“ Zrodziła się przed ostatniem powstaniem; w ówczesnym nastroju mistycznym była zjawiskiem naturalnem; trwała, bo któż miał się bawić, gdy każda prawie rodzina opłakiwała śmierć kogoś z najbliższych, więc później była tylko sumą wielu żałób prywatnych. Nastrój mistyczny minął bezpowrotnie, osłabły uczucia religijne. Już w r. 1891 nie była żałoba powszechną i była zaszczepiona sztucznie. Dziś — tembardziej, był to tylko „grób pobielany,“ za którym treści nie było, nawet u inicyatorów. Bez serca i wiary, była jako biblijna „miedź brzękająca.“ I dlatego nie wywoływała nawet szacunku, lecz tylko wzruszenie ramion. I wydaje się,

że, jako środek manifestacyjny, minęła chyba — także bezpowrotnie.

Dlatego możnaby kwestyonować aktualność i potrzebę broszury. Ale tutaj oczywiście musi być postawione przekonanie autora na pierwszem miejscu. Jest uzasadnione zresztą — obawą dalszych ogniw w łańcuchu. Obawy tej w chwili obecnej nie dzielimy — jesteśmy przekonani, że i autor pragnie, abyśmy byli dobrymi prorokami.

Niemniej broszura jest pożyteczna, bo nawołuje do praktykowania cnoty, której najbardziej brak naszemu społeczeństwu, odwagi cywilnej i do jawności krytyki. Zbyt rozpowszechniona jest u nas taktyka przemilczania; jest to tylko wyraz obawy przed teroryzowaniem i zarzutem denuncyacyi. Tymczasem niepodobna pomijać objawów życia zewnętrznych, wszystkim znanych, zarówno jak publikacyi drukowanych, a więc chyba do rozpowszechnienia przeznaczonych. A jest już rzeczą zwykłego taktu, aby granic tych nie przekraczać.

Upominając się o przestrzeganie zasady koniecznej jawności i wolności krytyki, jeden stawiamy warunek, aby była rzeczowa i oględna. Sprawy drażliwe, sprawy pierwszorzędnej wagi teoretycznej i praktycznej, muszą być zawsze traktowane z pamięcią o tem, aby—wedle znanej przypowiastki—wylewając wodę z wanienki, nie wyrzucić razem z nią dziecka z kąpieli. Broszura omawiana czyni zadość temu warunkowi—to dobrze. Ale niechże nas Bóg broni w tej dziedzinie od pisarzy grasantów i wolnych strzelców, którzy w najlepszej wierze i woli mogą, wywołując oburzenie, zrobić conajmniej tyleż złego, co propagatorzy niepotrzebnych i bezcelowych manifestacyi.

*

* *

Roku 1661-go przez Jana Kazimierza z kolegium jezuickiego na akademię erygowany, w r. 1784 patentem Józefa II promowany, w r. 1817 patentem Franciszka I potwierdzony, od r. 1871-go czysto polski uniwersytet lwowski obchodził w ubiegłym miesiącu 250-lecie swego istnienia. Założony na glebie użyznionej już poprzednią znojną pracą dla wiedzy i literatury, gdzie żył i działał Grzegorz z Sanoka, Szarzyński, Szymonowicz, Zimorowicz,

Orzechowski, Herburt, Fredro, gdzie pierwsze kroki stawiał Skarga, a przez czas pewien pracował Wujek, uniwersytet lwowski zawsze burzliwe przechodził koleje, zawsze jakby zaprawiając się do walki o swoje istnienie. Zazdrosne o swe prawa dawne akademie, Zamojska i Krakowska, wyzyskiwały umiejętnie niechęć do zakonu Jezuitów, a tak skutecznie, że sejmy kilkakrotnie wzbraniały się zatwierdzić królewski akt erekcyjny. Mimo to nauki prowadzone były na poziomie uniwersyteckim, a po rozbiorach cesarz Józef II stworzył uniwersytet niemiecki, o wązkim zakresie i celach wyłącznie państwowych. Od r. 1784 do 1871 panowały w uczelni tylko łacina i niemiecki; od r. 1826 istniała jedna tylko katedra języka polskiego i literatury, która nie wywierała jednakowoż żadnego wpływu, aż do czasu, kiedy zasiadł na niej w r. 1856 Antoni Małecki, dziś żyjący jeszcze nestor i senior ciała profesorskiego, żywa pamiątka tych czasów, kiedy on jeden tylko mógł języka ojczystego z katedry używać, jedyny, który dożył wspaniałego rozkwitu i jubileuszu uroczystego. Od r. 1871 panującym jest język polski; od r. 1894, kiedy stworzony został wydział lekarski, lwowski uniwersytet jest pełnym, a po Wiedniu drugim w państwie co do liczby słuchaczy.

Stuletnie dzieje niemieckiego uniwersytetu lwowskiego dowodnie świadczą, że obca kultura nie jest w stanie zatamować żywego zdroju narodowej; nie zrobiono w tym okresie czasu nic dla niemczyzny, nadano tylko inne szaty zewnętrzne. A kiedy tamy zniesiono, zdrój trysnął obficie, i dziś uniwersytet lwowski szeregiem wybitnych uczonych, licznemi pracowniami i instytutami pomocniczemi dzielnie służy nauce polskiej i kulturze narodu. Jak cierń w żywem ciele, tkwią w nim katedry ruskie, tworząc stan zapalny i sprawiając, że uniwersytet, jak niegdyś akademia, musi walczyć o swoje istnienie, musi stać nadal niezłomnie na najbardziej wysuniętej placówce wschodniej. A tej placówki odebrać sobie nikomu nie damy.

Cały naród polski ze wszystkich dzielnic dawnej rzeczpospolitej skupił się sercami zgodnie bijącemi w dniu jubileuszu około murów starej uczelni. Ze wszystkich krajów, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, słano życzenia i pozdrowienia, że niby zarzucony był tysiącami wiązanek kwiatów uczuć polskich. Dołącza do nich i swoje redakcya naszej „Biblioteki.“ Niechże wedle słów dyplomu erekcyjnego trwa „po wieczne czasy, w powadze, sile i blasku.“

*

* *

Rada Państwa szybko załatwiła się ze sprawą Chełmską. I tu posłowie polscy spełnili swój obowiązek; podkreślić zwłaszcza trzeba sumienną pracę posła Szebeki oraz jego gruntownie opracowany memoryał. W komisyi, do sprawy tej powołanej, skutkiem arbitralnego i za wszelką cenę pośpieszającego postępowanie jej prezesa, doszło nawet do scen gorszących, których widownią nie powinna być nigdy dostojna i zdawałoby się z założenia swego chłodna Izba wyższa. Stało się inaczej. Więc pohamowali daleko idące pragnienia swoje ci, którzy pragnęli przywrócić ostre kanty projektu rządowego, starte nieco przez Izbę Państwową, więc zmuszono do milczenia tych nielicznych, którzy w imię sprawiedliwości przeciw projektowi występowali: w imię szybkości 28 czerwca 1912 roku przyjęto projekt o wyodrębnieniu ziemi Chełmskiej w redakcyi, uchwalonej przez instancyę niższą. Brak jeszcze sankcyi, która jednak lada dzień nastąpi. Stoimy zatem wobec spełnionego faktu; zawiedzione są nadzieje, o ile jeszcze jakie były, daremne okazały się dzielne usiłowania w imię obowiązku. Stoimy jeszcze wobec jednego dzieła, szybko i sprawnie dokonanego przez obie części ciała prawodawczego. Czy dzieło to było dobre — o tem już pisaliśmy; znamy też jego doniosłość dla kraju i narodu. To nas uwalnia od zbędnych frazesów.

Sesya Izby Państwowej trzeciego powołania została zamknięta; skończyły się jej pełnomocnictwa. Czegóż dokonała w ciągu lat pięciu? Przed siedmiu laty z wysokości Tronu uznano, że państwo rosyjskie potrzebuje reform. Były one w swoim czasie określone konkretnie: prawa obywatelskie czyli zasadnicze rękojmie swobód jednostki, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń, dalej reforma rolna, rozpowszechnienie oświaty, reforma sądownicza. I tyle innych nieskonkretyzowanych. Izby pierwszych dwóch powołań były dla rządu zbyt radykalne; twierdzono często, iż dlatego tylko właśnie nic nie dokonały. Przez odpowiednie zmiany w prawie wyborczem stworzono Izbę trzeciego powołania, pierwszą dotąd, która normalnie żywot swój kończy, Izbę, reprezentującą tak bardzo umiarkowane żywioły społeczeństwa rosyjskiego, że już dalej w tym kierunku iść nie można. Oceniając pracę tej Izby, pomińmy tysiące drobnych spraw, które mogłaby załatwić sama biurokracya, z pewnością prędzej a może i lepiej; cóż pozostanie? Najpoważniejszą reformę—rolną—wprowadził rząd sam na zasadzie art. 87-go; sprawa nauczania powszechnego utknęła w Radzie Państwa; reforma sądów wypadła gorzej niż połowicznie; prawodawstwo robotnicze było tylko dalszym ciągiem tego,

co zrobiła sama biurokracya i co ciągnąć dalej byłoby ją zmusiło samo życie; o rękojmiach obywatelskich oczywiście mowy nawet nie było. A ta bezpłodność prac dwie ma przyczyny. Pierwsza: w państwie rosyjskiem, pozbawionem wszelkich pierwiastków obywatelskich, nie mogły się wyrobić i nie wyrobiły się istotnie żywioły umiarkowane, a w opinii swojej niezależne i dążeń swoich świadome; umiarkowanie jest tu tylko synonimem posłuszeństwa rządowi, chwiejności trzcin, gnących się za lada wiatru z góry podmuchem. Druga: równorzędnie z osłabieniem izby niższej rosły wpływy i znaczenie drugiego czynnika prawodawczego, a w Radzie Państwa skupiły się żywioły, które żadnych nawet zamiarów reform nie brały poważnie i za zadanie swoje uważały bezwzględne hamowanie wszelkich najskromniejszych poczynań. Ze słynnego programu Stołypina: „najpierw uspokojenie, potem reformy“—spełniła się część pierwsza.

Nawet stwierdzony tylokrotnie wrogi stosunek do spraw polskich nie jest samodzielnem uczuciem społeczeństwa rosyjskiego. Duchy złowieszcze zostały i tu rozpętane. A działanie ich widzimy prócz usposobień i nastrojów ciągłych, prócz sprawy głównej, Chełmskiej, w traktowaniu wniosków językowych, w projekcie samorządu oraz wykupu kolei Wiedeńskiej. W zakresie spraw unifikacyjnych, mających upodobnić Królestwo reszcie państwa i równocześnie przynieść korzyść jego mieszkańcom, wymieńmy samorząd miejski, który zapewne utknie w Radzie Państwa, jedynie ważne uchwały, dotyczące zcalenia gruntów włościańskich i drobno szlacheckich, wreszcie muzykę przyszłości — zrównanie podatkowe, czyli obniżenie podatków u nas po wprowadzeniu samorządu miejskiego.

Bilans zaiste niewesoły!

*

* *

Im mocniej i słuszniej stoimy na stanowisku, że emigracya jest u nas zjawiskiem ze względu na znaczny przyrost ludności koniecznem, tem baczniej i pilniej musimy oceniać, jak się powodzi naszym wychodźcom, tem wyraźniejszym obowiązkiem jest

pomoc dla nich i opieka. Spornym od dość dawna terenem wychodźczym dla bezrolnych jest Parana, wątpliwym zwłaszcza ze stanowiska przygotowania na przyjęcie znaczniejszej ilości emigrantów naszych. Tymczasem, coraz to różne okolice kraju ogarnia istna gorączka brazylijska. W roku ubiegłym skutkiem zabiegów i agitacyi fanatycznych zwolenników Parany, ks. Anusza, proboszcza z Araukaryi (Parana), niegdyś znanego w okolicach unickich działacza, oraz p. Michała Pankiewicza, który z jego ramienia cały kraj objeżdżał i broszurę agitacyjną w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozrzucił, wybuchła gorączka parańska w powiatach, należących już dziś do nowej gubernii Chełmskiej. Wbrew ostrzeżeniom znających stosunki zamorskie, wbrew radom księży i obywateli ziemskich miejscowych, ruszyło za ocean kilka tysięcy ludzi. Następstwa nie dały długo na siebie czekać. Miast opisywać od siebie, dajmy głos samym nieszczęśliwym ofiarom:

„Wyjechałem z domu 1 Sierpnia — pisze Stanisław Kucharczyk pod datą 9 Grudnia—i jeszcze jestem w baraku na Calmonie, i nie wiadomo kiej będę na kolonii, i pewno że nie pojadę, bo tak mi tam zginąć za 2 lub 3 tygodnie, to wszystko jedno i tu mi zginąć. Więc powiadam wam, Panowie, żeby tu nasz brat zajrzał na tę naszą niedolę, jak lud cierpi wielką nędzę, to by sobie zapłakał nad tem, bo oto niewinnie ten lud cierpi różne choroby i wali się co dzień 4 i 5 osób do grobu i gryzie świętą ziemię. Coby pracował w kraju, to tu idzie ziemię gryźć, bo w kraju, to się człowiek napracował, ale był zdrów, a tu narodu się najechała moc wielka i padają, jak muchy od ukropu, a na Cruz Machado to dziennie mrze po 30 i więcej narodu. A odsyłają na 3 kolonie, na Cruz Machado, na Ivahy i na Prudentopolis, i wszędzie ludzi dosyć, a o pomiarze borów to niema ani słychu, i wszyscy się, mój Boże, wymarnujemy co do imienia. Więc prosim was, kochani Panowie, przebaczcie nam, żeśmy was nie chcieli usłuchać, jakieście nam mówili prawdę, a teraz to was prosim, żebyście się za nami upomnieli, żeby nas wyrwać z ciężkich rąk brazylijskich.“

„Ludzie bardzo chorują i umierają—pisze żona służącego folwarcznego z pod Radzynia—Hieronim chorował 2 tygodnie, a Jasio 3 tygodnie i nie mogliśmy tam więcej wytrzymać i musieliśmy uciekać do Kurytyby, bo po koloniach pisk, jęk, że nie mogliśmy wytrzymać tego. Jechaliśmy z Kruzmaszady 3 dni furmanką. A w Paranie to jest taka dobroć, że ludzie dzieci sprzedają, jeden chłop to sprzedał chłopca za kilkanaście rubli. A to

i poprostu wyrzekają się swoich żon i dzieci i uciekają we świat, gdzie ich oczy prowadzą, bo tam w Brazylii to jest straszna bieda, bo jednego roku to zboże wytną mrówki, drugiego roku wyschnie—myszy zjedzą, jak nie myszy, to szarańcza wymarnuje".

„...Ojcze duchowny—donosi Ksawery Sokół swemu dawnemu proboszczowi—jakie wielkie zniszczenie narodu w tej puszczy! Na Kruz Maszado umierali po 10 osób na dobę. W Ponta Grossie tak samo. Miasto Kalmon jest dopiero obiecane na miasto, stoi dopiero 40 bud; dziennie znajduje się 5 do 6 umarłych dzieci; woda je niezdrowa, bo ziemia czerwona, z tej ziemi woda tłusta i gorzka, dzieci dostają boleści brzucha i przychodzi śmierć; doktora niema. Ojcze duchowny, umarła żona jednemu, pochował ją we czwartek, to w piątek bierze parę chłopów do karczmy, piją wódkę i bierze ślub rządowy, wiążą im ręce sznurkiem i mówi rząd brazylijski, że ważniejszy ślub rządowy, jak kościelny. Kościół mamy z desek, ale księdza niema, dzieci żyją niechrzczone i umierają bez żadnego poświęcenia, stare bez spowiedzi. Padam do nóg, Ojcze duchowny, całuję w ręce i w nogi. Serdecznie żałuję, żem opuścił swoją wiarę, i kościół i Przenajświętszy Sakrament. Przepraszam ojca duchownego. Amen."

„Ci, którzy przyjechali razem ze mną,—pisze inny—otrzymali dopiero kolonie po czterech miesiącach, gdzie musieli rąbać lasy na drogi, na miasto, które kiedyś ma być i na place dla swoich bud, które stawią z drzewa szczypanego, wszystko to robili za jedno życie, które dostawali od rządu. Miejscowość, na którą ich wywieźli, nazywa się Cruz Machado. Jest bardzo górzysta, porośnięta nie wielkim, ale gęstym lasem, przez którego się trudno przedrzeć, góry są tak wysokie, że trzeba się wspinać na nogach i na rękach, takie są tu okropne góry, i po większej części kamienne. Ludzie umierają strasznie na koloniach, przeważnie dzieci umiera dużo, i starych, i dorosłych, to też kto tylko ma trochę zasobu na drogę, ucieka do miasta i tu z pracy stara się wyżywić. Na koloniach już niektórzy pozasiewali żyto, zasadzili czarną fasolę i kukurużę, lecz skarżą się, że chociaż i ładnie powschodziła, to później jakieś robactwo z wierzchu wygryzło, tak że niewiadomo, co może z tego być."

P. Zygmunt Malanowski donosi Towarzystwu opieki nad wychodźcami z kolonii Iwahy, co następuje: „Przyszli koloniści zostali pomieszczeni w specyalnie na ten cel wzniesionym baraku, oraz „budkach". Ściany owego baraku są splecione, a właściwie zlepione z gałęzi, przez które widać świat boży. Właściwie jest to tylko schronienie przed słońcem, a pali ono niemiłosiernie.

Upały w lutym dochodziły do 47° C., naturalnie na słońcu. Deszcze w Paranie padają dwojakie: pada deszcz drobny, prostopadle, czasami tydzień, naturalnie z pewnemi przerwami, albo burza, przeważnie z zachodu lub północnego zachodu. Otóż w tym ostatnim wypadku całe potoki wody, gnane przemożnym wichrem, wpadają swobodnie do owego baraku, który literalnie cały zalany jest wodą. W budkach dzieje się nierównie gorzej: tam woda leci swobodnie z góry i z dołu. Psy w krajach cywilizowanych mają daleko przyzwoitsze pomieszczenie, niż tu ludzie. Pokrycie owych budek stanowi zielsko i różne chwasty, przytem są tak nizkie, iż człowiek wzrostu średniego, chcąc wejść do środka, musi się dobrze schylić; z wielką biedą może tam spać wprost na ziemi 5 do 6 osób, jednak mieszczą się tam rodziny, składające się i z 10 osób!

„Dotąd niema na kolonii lekarza i apteki, to też śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, ogromna. Ludzie pozbawieni są wszelkiej pomocy i rady, co można, a czego nie wolno. W kraju macierzystym przynajmniej wiekowe doświadczenie i znajomość warunków miejscowych była dla nich lekarzem. W krajach umiarkowanych niestosowanie hygieny płaci się chorobą, tu zaś przeważnie śmiercią. Mięsa na kolonii, z małym wyjątkiem, dostać tylko można wieprzowego, którem odżywiają się także nasi włościanie, zaś pragnienie gaszą zepsutą wodą z rzeki lub z jakiegoś rowu,—w całej Terezinie, jak dotąd, niema zdatnej wody do picia. Zarząd kolonizacyjny kopanie studni uważa wprost za zbyteczne. I w takich to rękach spoczywa życie setek rodzin naszych ziomków! Na lotach pomieszczono dopiero kilka rodzin, gdzie im postawiono takież nędzne budki; w przyszłości mają być postawione domki 6 metrów długie i 4 m. szerokie, naturalnie bez podłóg i sufitów. Obecnie tylko dwóch „inżynierów“ mierzy loty (każdy miernik nazywa się tu szumnie inżynierem) czyli parcele dla kolonistów. Jeden miernik przecina dziennie linię około 1000 metrów, co, jak na tutejsze warunki, jest już dużo, tyle tu przeszkód naturalnych. Czasami, jak małpa chwytając się lian, trzeba się piąć po prawie że prostopadłej ścianie, to znów spuszczać się w głębokie przepaści, gramolić się przez zwały i t. p. przeszkody.“

P. Jordan, delegat Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w „Czasie“, notuje własne obserwacye z przed kilku miesięcy: „Wstąpiwszy do Brazylii w drodze powrotnej z Argentyny, miałem sposobność ponownego zbliżenia się do stosunków wychodźczych w Paranie, które nie były mi obce dzięki dłuższemu poby-

towi w tym kraju przed kilkoma laty. Baraki wychodźców były przepełnione. Zewsząd dochodziły skargi niezadowolenia z powodu bezterminowego czekania na obiecane działki gruntu. Choroby, nędza, demoralizacya, to znamienne czynniki, nurtujące mieszkańców próżniaczych, barakowych osad. Zarobki przy budowlach dróg, obiecywane przez rząd lub towarzystwa kolejowe, okazały się zwodniczymi. Pracy było mało, a wyzysku przy wypłacie bardzo wiele. Niejeden z przybyszów zebrał co mógł groszy, by uciekać do kraju rodzinnego, a w braku pieniędzy płacił za przejazd ciężką robotą na okręcie. Wielu wsiąknęło w bezimienne rzesze robotniczo-tułacze. Nawet ci, którzy działki ziemi dostali, porzucili je z powodu jakości ziemi lub innych nieznośnych warunków. Oczywiście nie brakło i takich, którym udało się stworzyć podstawę do wegetacyi. Stosunek jednak podaży i popytu na działki jest podobno po dziś dzień chaotyczny. Spotkałem się w sferach rządowych brazylijskich z wielkiem niezadowoleniem z powodu nieprzewidzianych skutków niesumiennej propagandy naganiaczy wychodźców z Polski.“

„Tomy całe zajęłoby spisanie wszystkich informacyi niepomyślnych; nie znamy ani jednej pomyślnej — konkluduje „Wychodźca Polski,“ organ Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami. Trzeba raz nareszcie wyraźnie to zrozumieć, że emigracya obecna do Brazylii jest poprostu straszną klęską. niczem nie zrównoważoną. I trzeba raz nareszcie bez ogródek napiętnować działalność wszelkich naganiaczy, czy to będą pokątni agenci, chodzący po wsiach, czy wielcy agenci, jawni lub ukryci, działający na odległość, czy niezrównoważeni „ideowcy,“ czy wreszcie oszuści społeczni w rodzaju księdza Anusza i jego popleczników. Namawianie w tym roku ludzi do wyjazdu do Parany jest poprostu zwykłą zbrodnią, która winnaby podledz kompetencyi sądów kryminalnych.“

Wobec faktów, wyżej przytoczonych, z konkluzyą tą każdy zgodzić się musi. Rozpowszechniając zaś te fakty, spełniamy obowiązek, niewiadomo dlaczego zaniedbany przez prasę codzienną, która daleko skuteczniej mogłaby się w tym względzie przysłużyć dobru pospolitemu.

Publikacye, z których je czerpiemy, wydane zostały przez Towarzystwo Opieki nad wychodźcami, instytucyę bardzo pożyteczną, o bardzo szerokim zakresie działania, a zbyt mało znaną i zbyt mało przez społeczeństwo popieraną. W dziedzinie wychodźtwa panują u nas jeszcze zastarzałe przesądy. Dla sfer radykalnych wszelka pomoc i opieka nad wychodźcami, zwłaszcza

bezstronna informacya jest równoznaczna z przymusowem powstrzymywaniem emigracyi, podczas gdy usilne jej popieranie jest artykułem wiary społecznej. Odwrotnie — dla sfer zachowawczych, zwłaszcza większych posiadaczy rolnych, jest równoznaczna z lekkomyślnem wyludnianiem kraju, a powstrzymywanie emigracyi, choćby informacyą niesumienną, a nawet środkami przymusowymi, jest postulatem programu społecznego. Że Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami kroczy własną i słuszną drogą, świadczy fakt, że obydwu zarzutom podlega — oczywiście niesłusznie. Gorzej, iż płynie stąd nieufność, a za nią brak poparcia. A przecież samo chociażby szerokie ujawnianie i rozpowszechnianie prawdy o Paranie jest już zasługą społeczną i moralną, bo prawdzie służy. A jest to tylko jeden ze szczegółów owocnej działalności, której niebawem obszerniejsze poświęcimy uwagi.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska.

Znowu ubyła nam jedna z najszanowniejszych, najzacniejszych naszych działaczek społecznych. Nieboszczka była jakby żywą „arką przymierza“ między dawnemi i młodszemi laty. Z domu Wysocka, córka oficera b. wojsk polskich, związana była opowiadaniami i najbliższemi tradycyami rodzinnemi z epoką powstania 1830—1831 r. Jako młoda kobieta przeżyła drugie powstanie; widziała, jak strasznie runęły wielkie nadzieje, a na jej lata dojrzałe przypadło odbudowywanie z gruzów idei i przyszłości narodowej. Na tej niwie zawsze dzielną była pracownicą; nie żałowała sił, nie oglądała się lękliwie za siebie. Ta działalność zaprowadziła ją na wygnanie, na północ daleką, wygnanie, które przetrwała w wyjątkowo ciężkich warunkach z niezwykłą pogodą ducha. Po powrocie rąk nie założyła. Nauczała—kształcąc młode panienki, nauczała—pisząc powieści liczne i jeszcze liczniejsze artykuły po czasopismach, zawsze najlepszą tendencyą przesiąknięte i najszlachetniejszym celom służące. Wychowana u Wizytek zachowała do końca żywe uczucie religijne i niezłomne przywiązanie do Kościoła; ale nie była to wiara martwa, formalna, odtrącająca i ograniczająca. Przeciwnie—we wszystkich słusznych dążeniach rozwijającego się w jej oczach ruchu kobiecego uczestniczyła całem sercem, we wszystkich kołach i obozach zasłużoną cieszyła się powagą i liczono się wszędzie z jej ważkiem zdaniem. Miarą tej powagi i tego szacunku był liczny orszak pogrzebowy, a najlepszą charakterystyką zmarłej były wypowiedziane nad grobem słowa, że chowaliśmy córę żołnierzy, która

przeszła przez życie żywotem prostym, żołnierskim, świetlanym ideałem opromienionym i w imię surowego obowiązku spędzonym.

*

* *

Urodzona w r. 1842, we wsi Czortowice, w pow. hrubieszowskim, kształciła się ś. p. Prażmowska w Warszawie. Potem, wyszedłszy za mąż, kilka lat spędziła na wsi, oddając się li tylko wychowaniu dzieci. Śmierć męża skłoniła ją do osiedlenia się w Warszawie, gdzie rozpoczęła żywą działalność jako współpracowniczka „Życia“, „Kłosów“ i „Biblioteki Warszawskiej“. W tym samym mniej więcej okresie powstały jej powieści: „Tajemnica życia“, „Rozsądna panna“, „Nie w porę“, „Anna“, „Serce“, „Romans Gąski“, „Na wyraj“ i inne. Znane są też jej książki dla młodzieży, jak „Podarek babci“, „W dziewiczych lasach Ameryki“ i popularna „Historya Polski“. Ostatnie lata swego życia poświęciła zmarła prawie wyłącznie działalności pedagogicznej. Zwłaszcza jej wykłady literatury polskiej wywierały niezapomniane wrażenie wśród licznych jej uczenic. Jednocześnie ś. p. Prażmowska nie ustawała ani na chwilę w działalności społecznej, pracując niezwykle energicznie. Przerwę w działalności Teresy Prażmowskiej wywołał pięcioletni pobyt w Archangielsku, który nastąpił po aresztowaniu jej w r. 1893 w Odessie. Po powrocie do kraju, zmarła przystąpiła do pracy ze zdwojoną energią.

Ś. p. Jan Purwin.

Straszna choroba, straszna, bo rzucająca się przeważnie na ludzi najlepszych, najofiarniejszych, wyrwała z szeregu działaczy młodych—najwybitniejszego. Ś. p. Jan Purwin, po przerwaniu studyów na politechnice warszawskiej w r. 1905-ym udał się zagranicę, gdzie pięcioletni pobyt w Paryżu, Monachium i Londynie zużytkował na gruntowne wykształcenie się w naukach społecznych i ekonomicznych. Tak przygotowany, powrócił do kraju, aby poświęcić się pracy społecznej w najszerszym zakresie. Już początkowe prace jego, zamieszczane w „Gazecie Warszawskiej“, w „Przeglądzie Narodowym“, w „Ekonomiście“ odznaczały się niepospolitym talentem, niezwykłą gruntownością i jasnością sądu; kto słyszał przemawiającego go publicznie, z katedry odczytowej, nie zapomni nigdy tych samych zalet obok rzadkiej zdolności

uczynienia zajmującym i barwnym najsuchszego przedmiotu. Dzięki tym specyalnym przymiotom słała się przed nim łatwa, wiodąca do zaszczytów, zadawalająca ambicyę karyera naukowa przy uniwersytecie. Ale obok głowy niepospolitej posiadał ś. p. Purwin i niepospolite serce. A to serce powoływało go do pracy mniej zewnętrznie świetnej, ale z pewnością pożyteczniejszej, do pracy dla przyszłości kultury narodu. Więc położył pióro, odłożył księgi i począł jeździć po kraju jako instruktor drobnego kredytu Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Nie umiał nic robić na pół, więc pracy tej z największym poświęcił się zapałem, sił swoich nie szczędził—aż mu ich zbrakło. Był młody—miał zaledwie 34 lata—więc i jeszcze nie bardzo znany. Ale ci, co go znali, wiedzieli, kogo tracą, a przedewszystkiem, kogo traci społeczeństwo, i ze łzą szczerego żalu stali nad mogiłą, gdzie przedwczesny znalazło kres młode i tak pełne nadziei życia.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Na posiedzeniu Wydziału I-go, odbytem w dniu 29 maja r. b., p. Br. Chlebowski przedstawił pracę p. Kazimierza Nitscha p. t. „Z historyi polskich rymów.“ Wziąwszy za punkt wyjścia istnienie w dzisiejszej poezyi polskiej kilkunastu typów rymów niedoskonałych, autor zastanawia się nad czasem i miejscem ich powstania. Kochanowski bowiem rymował zupełnie poprawnie. Ale już na początku XVII wieku prowincyonalne wymowy różnych poetów odbijają się w rymach; od tego czasu np. wolno już łączyć *świece* dowolnie z *lecę* lub z *zakonnice*. Ale największy przewrót spowodowali poeci epoki Stanisławowskiej, którzy, pochodząc prawie wyłącznie z Litwy lub Rusi, wnieśli do rymów swoje właściwości języka, zwłaszcza rymy *okno — mokną* i *słońc? — palące*, które nie mogły powstać w Polsce etnograficznej. Wielcy poeci romantyczni tak je uświęcili, że choć nie odpowiadają ani warszawskiej, ani krakowskiej wymowie, spotyka się je u wszystkich dzisiejszych autorów. W tem „ruskiem“ lub „litewskiem“ pochodzeniu niektórych naszych rymów odbija się też bieg polskiej kultury i znaczny w niej udział prowincyi ruskich, które tylu wydały poetów.

Dnia 3 czerwca odbyło się Zebranie Ogólne Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, poświęcone sprawom administracyjnym. Na Zebraniu tem uchwalono budżet na półrocze II r. b., przewidujący: 1) Utrzymanie dotychczasowych 2-ch pracowni: antropologicznej i neuro-biologicznej; 2) Założenie przy Wydziale III pracowni: mineralogicznej, promieniotwórczej, zoologicznej, oraz chirurgii i patologii doświadczalnej. i przy Wydziale II pracowni historyczno-geograficznej, oraz gabinetu paleograficznego.

Dnia 14 czerwca odbyło się ostatnie przedwakacyjne posiedzenie Wydziału II-go, na którem p. K. Stołyhwo przedstawił pracę p. Ludomira Sawickiego p. t. „Studya nad Abisynią.“ W dyskusyi zabierali głos p.p. Al. Kraus-

har, S. Smolikowski, K. Stołyhwo i przewodniczący, p. J. K. Kochanowski. Po wyczerpaniu przedmiotu p. W. Konopczyński przedstawił pracę swą p. t.: Uwagi nad powstawaniem zasady większości w życiu politycznem ludów nowożytnych."

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Adamowicz Bogusław: Nieśmiertelne głupstwo. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Benedyktowicz Ludomir: Zaklęte jezioro. Poemat w siedmiu pieśniach. Kraków, 1911. Nakładem autora. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Bolesławita B.: Bezimienna. Powieść z końca XVIII w., w 2-ch tomach. Tom I z 6-ciu illustracyami. „Ciekawe powieści." Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego." Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Boniecki: Herbarz polski. Tom XV. Zeszyt III. „Lubońscy — Lutomierscy."

Bouffałł Bronisław: Boy Scouts. Indyanizm w wychowaniu. Warszawa, 1912.

Chojecki Edmund: Harald. Przekład Zofii Sokołowskiej. Część I i II. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Wyborowych."

Cros Edward: Sen królowej. Trylogii dramatycznej część pierwsza. Warszawa, 1912. E. Wende i S-ka.

Dickens Karol: Oliwer Twist. Dziwne przygody sieroty. Romans. Tom II. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka."

Encyklopedya wychowawcza. Tom III, zeszyt 8-my. Warszawa, 1912.

Faguet Emil: Dziesięć przykazań miłości. Kochaj rodzinę. Z francuskiego przełożył A. L. Warszawa, 1911. Księgarnia M. Arcta.

Kraushar Aleksander: Dramat szkolny kaliski w roku 1826. „Miscellanea historyczne". Warszawa, 1912. Nakładem redakcyi „Sfinksa."

— Kraszewski i Wielopolski. (Kartka z lat 1861 — 1863). „Miscellanea historyczne". Warszawa, 1912.

Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Treść: Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) 1847—1912.—Krytyka.—Pod prasą.—Kronika.—Odpowiedź.—Czasopisma.—Bibliografia.—Ogłoszenia.

Lange Antoni: W czwartym wymiarze. Opowiadania. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Skład główny: Warszawa, G. Centnerszwera i S-ka.

Love A. E. H.: Zasady rachunku różniczkowego i całkowego. Z upoważnienia autora przetłómaczyli St. Kalinowski i Wł. Wojtowicz. Nakład Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki.

Mościcki Henryk: Dzieje Porozbiorowe Litwy i Rusi. Zeszyt XI. Wilno, 1912. Skład główny na Królestwo Polskie, Galicyę i Księstwo Poznańskie w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Nusbaum-Hilarowicz Józef, D-r, Profesor Wszechnicy Lwowskiej: Rozwój Świata Zwierzęcego. Tom pierwszy. Embryologia Ogólna. Nakład Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki.

Piętnaście lat Pogotowia Ratunkowego w Warszawie (1897—1912). Napisał d-r Józef Zawadzki, prezes Zarządu. Warszawa, 1912.

Przybyszewski Stanisław: Mocny człowiek. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

— Topiel. Dramat w trzech aktach. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Rygier-Nałkowska Zofia: Kobiety. Powieść. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Skład główny: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

Spis dubletów czasopism Biblioteki Ord. hr. Krasińskich. Warszawa, r 1912.

Sprawozdanie rachunkowe Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy polskich za rok 1911. Warszawa, Bracka 5.

Sprawozdanie trzydzieste z działalności Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia doktora medycyny Józefa Mianowskiego, za rok 1911. Warszawa, 1912.

Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Luty, 1912. Warszawa. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

Starczewski Eugeniusz: Sprawa polska. Kraków, 1912. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki.

Steiner Rudolf, D-r: Przygotowanie do nadzmysłowego poznania świata i przeznaczeń człowieka. Z czwartego wydania z upoważnieniem autora przetłómaczył I. R. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Strindberg August: Miłość a ceny na zboże. Nowele satyryczne. Tłóm. J. M. Nakładem księgarni literackiej Karola Kwaśniewskiego w Krakowie, 1912. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

Sztuka. Literatura.—Teatr.—Muzyka.—Malarstwo.—Rzeźba.—Architektura.—Sztuka Stosowana. Pismo illustrowane. Tom II (zeszyt IV, V, VI). Redaktor wydawca Henryk Juszkiewicz. Warszawa, 1912. Księgarnia Powszechna.

Śnieżyńska Leda: Szal. Szkic powieściowy. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Jana Fiszera.

Teslar Józef Andrzej: Wpływ Biblii na Zygmunta Krasińskiego. Kraków, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i S-ki.

Todorow Petko: Wybór sielanek. Przełożyła z bułgarskiego za pozwoleniem autora Józefa z Zagórowskich Anc. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka.

Victoriano Garcia Marti: Ze świata wewnętrznego. Rozmyślania. Z oryginału hiszpańskiego przełożyła Izabela Lutosławska. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych."

Wawrzeniecki Maryan (członek Komisyi do badań nad historyą Sztuki w Polsce przy Akademii Umiejętności w Krakowie): Dlaczego w 1912 r. w Warszawie zanikło pojmowanie malarstwa historycznego i dziejowego momentu kulturalnego? Przyczynek do dziejów naszej kultury. Nakładem autora. Warszawa. Skład główny w księgarni M. Arcta.

Wolski Wacław: Mare Tenebrarum. Poezye. Serya czwarta. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Zapolska Gabryela: Panna Maliczewska. Sztuka w 3 aktach. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Ziemkiewicz L. M.: Niedoszłe małżeństwo. Humoreska powieściowa. Warszawa, 1912. E. Wende i S-ka.

Zorian E.: Irydion jako dramat psychiczny. Studyum literackie. Lwów, 1912. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. Warszawa, w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Miłość królewska. Powieść historyczna z czasów Władysława Jagiełły. Lwów, 1912. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

ZE WSPOMNIEŃ
Józefa hr. Krasińskiego

1783–1841.

VIII.

W Nieświeżu popasając i zmieniając konie, oglądałem zamek i ciekawości po sławnym niegdyś Radziwille—Panie Kochanku. Z zadziwieniem spotkałem tam mojego kolegę, a niegdyś podkomendnego, Rokickiego majora. Formował on tam pułk strzelców pieszych imienia Kossakowskich, który niedługo potem niedokompletowany jeszcze wraz z pułkiem 22-gim Litewskim Czapskiego, także jeszcze ani musztrowanym nawet, pod komendą generała Kosseckiego został rozbity pod Bobrujskiem. Obu nam było bardzo przyjemne to spotkanie, gdyż aniśmy wiedzieli o sobie, gdzie który się znajduje.

Dalej zajechałem do pięknej wsi Ogińskiego Mołodeczna, gdzie miałem wrażenie, jakbym nagle znalazł się w Guzowie, w dobrach ministra Łubieńskiego. Ogiński był rodzonym bratem z jednej matki Łubieńskiego, która w obu tych miejscach dla pamiątki wystawiła zupełnie jednakowe domy, wysadziła ulice i ogrody, tak, że gdy się było w jednym, zdawało się zupełnie być w drugim. Nie tylko, iż zewnętrzna wszystkiego taż sama postać, lecz co więcej i wewnątrz pałacu, takież same pokoje, meble i obicia, co i w Guzowie; słowem, gdym zajeżdżał, zdało mi się, iż te same osoby wyjdą, jak były zwykły, na moje spotkanie. Mieszkał tam młodszy brat Ogińskiego, cierpiący na pomieszanie zmysłów i komisarz Strumiło, który temi dobrami i nim

zarządzał, a przy kolacyi siedzieliśmy u stołu razem z waryatem, czasami mieszał się on nawet do naszych rozmów.

Stamtąd nazajutrz przyjechaliśmy do Mińska, gdzie wówczas był gubernatorem generał w służbie francuskiej Bronikowski, żonaty z Krasińską, córką starosty Siemiechowskiego, a z pierwszego męża Wolicką. Bronikowskiego lubił bardzo książe Poniatowski, ale nigdy go nie chciał użyć do wojska, wobec czego musiał on wejść w r. 1812 w służbę francuską. A że miał dawną dymisyę generalską, przyznano mu i teraz tę rangę, lecz zawsze tylko à la suite na species niby gubernatora. Towarzyszyło mu dwóch adjutantów, to jest Piotr Krasiński, syn Józefa, z gwardyi Napoleona, a drugi Paweł Olechowski z jakiegoś sztabu francuskiego. Zameldowawszy się generałowi, otrzymałem rozkaz pozostania w Mińsku z powodu, jak mówił, danej mu instrukcyi, żeby wszystkich wojskowych, jakich będzie mógł, a mnie się zdaje i kasy, zbierać dla uformowania kolumny ruchomej, albowiem miasto było zagrożone napadem Rosyan od Bobrujska. Wcale mi się nie podobała komenda, złożona z samych maruderów rozmaitej broni i narodów, a do tego jeszcze w tak niegodziwem towarzystwie, jakie tam zastałem Wyznaję, że nigdy nie byłem świętoszkiem, lecz obyczaje ówczesne w Mińsku oburzenie jedynie we mnie wywoływały. Idąc jednak za radą starego wojaka Bruszkowskiego, mojego kolegi z podróży, ażeby i nas i kasę korpusu od wyraźnej zguby uratować, nie opierałem się zrazu tym rozkazom generała i musieliśmy parę dni w Mińsku zabawić, gdzie mi dano wygodną kwaterę w domu pana Wilka, niby to miejscowego prefekta, a w istocie w mieszkaniu otwartej rozpusty i rozboju kieszeni, gdyby się kto nie miał na ostrożności. Próżne były moje starania u generała Bronikowskiego, nawet pomimo wstawiennictwa krewnego mojego Piotra Krasińskiego o uzyskanie pozwolenia na odjazd, bez feldruty gubernatora, ani dostać koni pod furgon kasowy, ani kasy z Mińska nie mogłem wydobyć. W resztcie poczciwy obywatel Bulewicz dał mi swoje cztery konie i listy do obywateli na trakcie, ażeby mi od dworu do dworu dawano konie, z czego podwójnie skorzystałem, raz że choć trochę dalszą drogą, lecz bocznemi jadąc drożynami przez mniej zrujnowany kraj przebywając, znalazłem wszędzie dobre przyjęcie, konie i łatwiejszą żywność, a oprócz tego, że gdybym jechał wielkim gościńcem, pewnie Bronikowski et comp. byłby za mną pogoń posłał by mnie zwrócić i osądzić jako sprzeciwiającego się rozkazom wyższym, nie wiem, coby się wtedy ze mną stało—ale, co z kasą korpusu, tego się łatwo domyślam. Już nigdy w życiu nie

spotkałem się z generałem Bronikowskim—od Piotra Krasińskiego dowiedziałem się, że dopiero nazajutrz wieczór dowiedzieli się o mojej ucieczce, a generał strasznie się na mnie zgniewał i posłał szukać. Cicho tedy i spokojnie w nocy i to nie razem wszyscy, lecz osobno my piechotą a osobno kasa z eskortą moją, wyruszyliśmy z Mińska Bogu dzięki. Pierwszy zaraz etap i wyborny nocleg mieliśmy w Szczawrach u państwa Gerczałkowskich, i mogę powiedzieć, że pierwszy raz w mojem życiu widziałem na własne oczy, podobny dom, gospodarzy, dwór i obyczaje, jakie jedynie w romansach Niemcewicza, Wężyka lub Skarbka, opisujących z poetyczną przesadą obyczaje 17-go wieku, można wyczytać. W ogólności, ktoby chciał jeszcze taki pogrzeb w Grodnie, dom pana Wilka w Mińsku a państwa Gerczałkowskich w Szczawrach i różne odwieczne zwyczaje widzieć, ten ich w Polsce już nie znajdzie, ale może zobaczyć jedynie na Litwie i na Białorusi. Sam gospodarz, niegdyś Stolnik Orszański, jeszcze przed pierwszym zaborem, był to bardzo podeszły i poważny starzec, a żona jego z domu Miłoszówna, mało co młodsza od niego. Oboje i cały ich dwór ubrani byli w stroje, jakich od młodości używali; dom ogromny, drewniany, składał się z wielkich izb i komnat, a naprzeciw stał wysoki, o kilku piętrach, murowany lamus w arkady dokoła, ze schodami zewnątrz. Gdyśmy zajechali, wyszedł do nas marszałek dworu, człowiek także bardzo niemłody, którego zrazu wzięliśmy za samego dziedzica, równie w starożytne szaty z pasem, na klamrę blachmatową zapiętym, odziany. Oświadczywszy nam, iż Jasny Pan jego jest na nieszporach w kaplicy, wziął od nas list Bulewicza do gospodarza domu pisany, poczem zaprosił do swojej komnaty. Tam długo musieliśmy czekać nim Jasny Pan nabożeństwo ukończył, wreszcie pan marszałek zaprosił nas do sali, gdzie miał wkrótce sam dziedzic nadejść. Sala wielka, pobielana, dookoła była ozdobiona długim szeregiem portretów familijnych, między którymi większa część przedstawiała się w ubiorach jezuitów, dominikanów i zakonnic. Wszystkie krzesła, stołki toczonej roboty, były obite malowaną i złoconą skórą. Na środku sali stał długi stół, jakie w refektarzach bywać zwykły, a takiż sam drugi pod ścianą, na którym suszyły się mąki i kasze, dalej stała kredensowa szafa napełniona wazami, półmiskami, kuflami i rozmaitemi naczyniami z cyny oraz kielichami i flaszami szklanemi. Po niejakiem jeszcze oczekiwaniu, otworzyły się drzwi w głębi, prowadzące do komnat sypialnych Jasnych Państwa, i wszedł do nas sam pan Gerczałkowski. Człowiek poważny, grzeczny ale zimny, dość mile nas przyjął, obie-

cał, że na wezwanie Bulewicza dostarczy nam koni, lecz że przeprasza, iż nie może nas tak przyjąć, jakby sobie życzył, gdyż lubo u siebie jeszcze nie widział żadnego wojska, lecz z obawy złego obchodzenia się, wszystkie srebra i droższe rzeczy odesłał do klasztoru jezuitów w Połocku, a przytem musiał tyle produktów, koni i pieniędzy do Mińska dostawiać, że na wszystkiem mu już zaczyna zbywać. Mówił ze mną o moim ojcu, którego znał, gdy był marszałkiem w Grodnie r. 1782, częstował nas starym miodem, nareszcie później, gdy już się zaczęło ściemniać, zeszli do sali jego żona z fraucymerem i starszyzna dworska, a do sieni wszyscy ludzie służący i folwarczna czeladź. Otworzyły się szerokie okna do kaplicy, gdzie dwaj księża, jeden jezuita, spowiednik pani, a drugi dominikanin, spowiednik pana, zaintonowali wieczorne modlitwy i litanię, na którą lud w sieni i obecni w sali odpowiadali, poczem nakryto stół i dano kolacyę, do której zasiadło nas więcej, niż dwadzieścia osób, lecz wśród nich, oprócz mnie, Bruszkowskiego i podoficera Jegera, żadnego nie było gościa. Większość składała się z samych oficyalistów i urzędników dworskich wyższych stopni, jako to: marszałka, koniuszego, szatnego, łowczego i t. p., którzy wszyscy, skromnie i cicho jak posągi kamienne siedząc, przez cały czas ani słowa się nie odezwali, chyba na zapytanie pana i to powstawszy z miejsca, lub odpowiadając coś któremu z dwu obecnych księży. Sama pani również, jakby niema, miała cały czas oczy w talerz wlepione. Tylko młody jezuita z nami wciąż rozprawiał o wojnie, o marszach i bezbożności Francuzów i t. p. Państwu, księżom i nam usługiwali ludzie, ubrani w zielone kurtki na białych, długich, płóciennych żupanach, a prócz tego za panią stały dwie pokojówki z zawiązanemi głowami, także mające rodzaj kurtek na białych spodnicach; obie one tak samo, jak ich pani, ani słowa nie pisnęły, ani oczu z ziemi nie podniosły, czasami tylko pani przez nie komuś do sypialnej komnaty potrawy posyłała. Kolacya, lubo pewnie nie była inna, jak zwykle, gdyż jużeśmy pod wieczór stanęli i nie było widać, iżby stąd nastąpiło jakie krzątanie, jednakże można rzec, że była ogromna, bo złożona z 12 conajmniej potraw, jedna gorsza od drugiej. Do picia dawano nam wielki dzban wody, do której szary koniec dolewał zawsze z flaszy kwadratowej po trochu wódki, przed panią tylko stała karafineczka, co do formy, trzymająca środek między ampułką a flaszeczką od wódki lawendowej, lecz wina w tem cudownem naczyniu zamkniętego ani nam się kropelki nie dało liznąć, gdyż widać było wymierzoną ilość, ażeby wystarczyło dla Jasnej Pani do wody i dla

każdego ojca duchownego po kieliszku, które im sama pani przez służebne posłała. Za to sam pan, który nas obok siebie posadził, dolewał nam miodu. Po kolacyi pani zaraz wyszła, nie ukłoniwszy się nam nawet, zapewne przejęta wymową księdza-jezuity na bezbożność naszą, jako stronników francuskich. Księża zmówili benedicite, a dwór się przeżegnał i wszyscy rozeszli się w różne strony. Jasny Pan jeszcze z nami nieco pomówił, przez czas, w którym słudzy słali nam w tejże sali słomę i staremi makatami nakrywali, poczem, oświadczywszy nam, że rano będziemy mieć konie do Czerejów, dóbr synowca jego żony, Miłosza, do którego dał nam list, pożegnał i odszedł na spoczynek.

Obaj z Bruszkowskim, zagrzani starym miodkiem, spaliśmy wybornie, gdy nagle przebudziły nas głosy czeladzi, która, wstawszy o godzinie 4-ej rano do roboty, śpiewała przed kaplicą litanię pod przewodnictwem starego spowiednika i zarazem kapelana dominikanina. Na śniadanie dano nam piwa gorącego po szklanicy, poczem wyjechaliśmy w dalszą podróż. Wcześnie jeszcze stanęliśmy w Czerejach u państwa Miłoszów, tu znowu inny świat, inne obyczaje, wielki przepych, elegancya i skąpa duma. Pani Miłoszowa jeszcze słaba, bo niedawno po połogu, kobieta młoda, piękna, zapalona Polka, z tego się otwarcie chlubiąca, on zaś sam zabity przyjaciel i zwolennik Rosyi, już niemłody, wygadujący, co mu ślina do ust przyniosła, na Polskę, Polaków, a więcej jeszcze na Napoleona i Francuzów. Niegdyś poseł ostatniego hanieb-nego Sejmu Grodzieńskiego, potem ciągle zasiedziały w Paryżu, Londynie i Petersburgu, skąd przywiózł wymuszoną elegancyę, niedopieczony przepych, dumę i głupstwo. Służących pełno, choć na wsi, a jednak w liberyi, choć już brudnej i wytartej, ale z galonami, koni mnóstwo, choć chude jak śledzie, ale anglizowane, sam gospodarz codziennie ufryzowany i upudrowany, chcący jedynie po francusku mówić, szpikując przytem mowę cytatami Woltera, Rousseau'a, d'Alemberta i t. p., zgoła oboje z żoną całkowite kontrasty: ona anioł, a on dyabeł, ona słodka, bogobojna, miłosierna, mówiła tylko o szczęściu Ojczyzny i powodzeniu rodaków, a on burkliwy, dumny aż do śmieszności, z niczego się tak nie chełpił, jak ze swojego znaczenia u dworów i na wielkim świecie, najwięcej zaś wysławiał rewolucyjne zbrodnie Francuzów, tudzież wysokie zalety Rosyan. Był prócz tego dla służących i poddanych najokrutniejszym tyranem, czego wkrótce mieliśmy najlepsze dowody. Przyjęli nas z wykwintną elegancyą, lecz obok najmilszego ze strony gospodyni i jej siostry przyjęcia, widać było takie ich przygnębienie, a w przyjęciu gospoda-

rza taki ku nam wstręt i nienawiść do naszych mundurów, że zaraz po obiedzie, skoro nam zaprzężono konie, natychmiast odjechaliśmy.

Wsiadając do pojazdu, pytam się furmana, czy zna drogę do Borysowa, na co mi odpowiedział, że nie, bo nigdy tam nie był, odwróciłem się tedy do pana Miłosza, prosząc, żeby mi kazał dać innego, któryby znał tę drogę. Zaperzył się ze złości, lecz odpowiedział „dobrze", i prosił nas, abyśmy wrócili do pałacu. Za kwadrans najdalej dają nam znać, że już wszystko gotowe. Wsiadamy, lecz widzę, że woźnicę mamy tego samego. Pytam się znowu, czy zna drogę do Borysowa, on zaś, blady jak trup, odpowiada głośno, że zna doskonale. Lecz skorośmy tylko za mur dziedzińca wyjechali, pada mi do nóg, wyznaje i przysięga, że wcale drogi nie zna, ani w życiu swojem tędy nie jechał, będąc świeżo z innych dóbr Miłosza przybyły. „A czemużeś powiedział, że wiesz doskonale?" „Jakże nie miałem tak mówić, kiedy jakem pierwszy raz powiedział, że nie wiem, to przez ten czas, coście państwo do pałacu weszli, ja sto pałek dostałem". I dopiero zaczął nam opowiadać o tyranii swojego pana, o gorszem jeszcze obchodzeniu się jego oficyalistów i o najgorszem ze strony pańskiego arendarza, Żyda, który nietylko że ich sam obdziera i bije, ale i szpieguje, donosi, jeśli który gdzieindziej, nie u niego, wódki się napije i sam na nich pana podburza. Każe sobie, niby za długi, także pańszczyznę odrabiać, a który nie chce, to pewnie dubeltową racyę pałek dostanie, to jest raz od pana, a drugi raz od Żyda.

W ciągu tej rozmowy przejeżdżaliśmy właśnie koło karczmy, będącej na końcu wsi, więc obaj z moim kolegą wspólny ułożyliśmy projekt: wołamy tego sławnego na okolicę arendarza, a faworyta p. Miłosza, grzecznie każemy dać ludziom wódki, rozpytujemy o drogę już nie do Bobrujska, ale do Orszy, o 10 mil odległej, prosimy o pokazanie nam drogi za kołowrotem. Żyd chce przy nas iść piechotą, lecz że był kawał spory i błoto, prosimy go, żeby z nami wsiadł do bryczki, co też on z ceremoniami, zdejmując czapkę, dopełnił, ani się mogąc spodziewać, że nie prędko do owieczek, które tak okropnie golił, powróci, albowiem skorośmy się od jego zamku oddalili, już nie grzeczną prośbą, ale wyraźnym rozkazem zawiadomiliśmy go, że skoro zna dobrze drogę, przeto musi nas, jako przewodnik, do Orszy odprowadzić. Krzyczał, szarpał się, nic nie pomogło. Nasz zaś furman czerejski w nogi nas całował i dziękował, mówiąc, że woli z nami na kraj świata jechać, niż do tego pana i Żyda powrócić w niewolę.

Jeden z naszych żołnierzy dał mu starą furażerkę, a drugi podarty już lejbik i tak mieliśmy jednego żołnierza więcej w eskorcie, który jeśli nas i kasy dobrze, tedy lepiej jeszcze arendarza pilnował, żeby nam nie uciekł. Żyd w takiem towarzystwie zbrojnem, widząc się tak ściśle strzeżonym, pokorny, posłuszny, cichy, jak wilk w dole, doskonale nam służył za przewodnika, a jeszcze lepiej do wyszukania furażu i żywności.

Droga ta boczna z Czerejów do Bobrujska idzie przez kraj nieludny, lecz w porze, gdyśmy jechali, jeszcze ani jeden żołnierz francuski ani polski tam się nie pokazał, najwięcej z powodu rzuconego postrachu, że chłopi miejscowi, w większej części religii greckiej, wyrzynają naszych po lasach i na oddalonych drogach. Jadąc przez długą a wązką groblę, idącą między lasami przez bagniste łąki, ujrzeliśmy raz wielką liczbę chłopów w białych sukmanach, którzy, spostrzegłszy nas zdaleka, biegli z kosami z łąk na groblę dla przecięcia nam drogi. Byliśmy pewni, że w takiej masie idą, żeby nas zabrać i pozabijać. Żołnierze wzięli broń, my nasze pałasze i pistolety i stanęliśmy na drodze, nie chcąc się dobrowolnie poddawać, ja zaś, nie dobywając nawet pałasza, naprzód śmiało przystąpiłem do nich, pytając się, czego chcą od nas. Jeden starszy z siwą brodą, znać, że mający między nimi znaczenie, wystąpił z kupy i zapytał mnie, czy my Francuzi, a gdym mu odpowiedział, że my ich bracia, tak, jak oni, Polacy, zapytał: „Kiedy też wy tu do nas przyjdziecie, bo my was tu wszystkich z chlebem i solą czekamy“. Uspokojony, że nie mają żadnych przeciw nam złych zamiarów, zacząłem mu robić uwagi, że nie mają czego pragnąć, abyśmy do nich przyszli. „Widzę, że macie konie, bydło, a nawet drób i całe chałupy, a gdzie tylko armie nasze przeszły, tam ani psa, ani kota, ani dachu niemasz. Na to mi starzec prawie z płaczem odpowiedział: „Ale my mamy tu gorzej jeszcze, bo mamy panów i Żydów, którzy nas ze skóry obdzierają, męczą, katują, a nawet umierać nie dają spokojnie, przyjdźcie tu panowie, zabierzcie naszych panów i Żydów z sobą, a my wam za to i bydło, i konie, i drób, a nawet żony i dzieci oddamy w opiekę, a będziemy szczęśliwi“. Potraktowaliśmy ich wódką, której zawsze mieliśmy zapas, i z okrzykiem błogosławieństwa otoczyli nasze powozy i przepuścili w dalszą drogę.

IX.

Na pierwszą noc stanęliśmy w miasteczku Borysowie, już za rzeką Berezyną i, niestety, już na wielkim, a zatem spustoszonym trakcie wojskowym. Tu pan-podprefekt Roszkowski dał nam kwaterę u profesora tamtejszych szkół, starego Sucheckiego, którego młoda żona znać nie z gliny, jak pierwsi ludzie w raju, lecz z materyi palnych zbudowana, tak się tej jednej nocy rozkochała w moim podoficerze Jegerze, że gwałtem chciała go namówić, a nawet zmusić, ażeby u nich został, a gdy jej się to nie mogło udać, obdarzyła nas na drogę mnóstwem kapłonów, szynek, kiełbas, masła i chleba, co nam aż do samego Smoleńska wystarczyło. Ponieważ, jak mówiłem wyżej, przez Borysów szedł wielki trakt wojenny, więc też kraj dookoła był całkiem zniszczony i napchany chorymi, maruderami i trenami, to za wojskiem, to od armii się wlokącymi. Podprefekt Roszkowski, człowiek grzeczny, radził nam, żeby, ujechawszy traktem parę mil, znowu wązką drożyną zwrócić się na lewo w bok do jego domu, gdzie mieszkała rodzina. Jakoż znaleźliśmy dom bardzo gościnny, załogę francuską, a samą gospodynię i jej siostrę bardzo przyjemne osoby. Lecz nimeśmy jeszcze z traktu zjechali, zabawny bardzo trafił nam się wypadek. Zaraz wyjechawszy z Borysowa, słyszymy za sobą wielki tętent koni, nas goniących, a zaraz potem dopada nas zgraja kawaleryi obywatelskiej, jakby banda hajdamaków, z pałaszami, dzidami i pistoletami, zgoła z czem kto mógł złapać, a na ich czele sam podprefekt swoją urzędową szarfą przepasany. Pytają mnie, czym nie spotkał Westfalów, jadących czterema karymi końmi? — odpowiedziałem, że nie widzieliśmy żadnych. Dowiaduję się następnie, że owe cztery kare konie należały do pani podprefektowej i że szły ze wsi, a Westfalczycy je napadli i pomimo konwoju odbili i traktem za wojskiem uciekli. Banda zbrojnych ochotników cwałem poleciała dalej w pogoń, wkrótce zaś potem usłyszeliśmy krzyki, a może o ćwierć mili dalej spotkaliśmy cywilnych rycerzy, powracających tryumfalnie z odebranymi końmi, zaś trochę dalej kilku kirasyerów westfalskich piechotą ciągnących wóz, naładowany swojemi rekwizytami, gdyż im jedyny koń, jakiego mieli, zdechł w drodze. Biedne zaprzężone Niemiaszki klęli Polskę i Polaków za swoje nieszczęścia — nam przecie dali pokój, widząc i nasze mundury i naszą eskortę.

Piaski były ogromne, deszcz lał z wichrem, ujechawszy jeszcze milę, trzeba było dać wypocząć koniom, a nie było karczmy ani domu, gdzieby się schronić. Na boku, na górce, widzimy kościół, murem opasany, tam pojechaliśmy, żeby choć od wiatru się zasłonić. I tam też jeszcze przed nami ktoś inny w tym samym zamiarze zajechał czterema tęgimi, pstrokatymi końmi. Znajomość prędko się robi, częstujemy się nawzajem, on świeżo z domu wyjechał, a więc we wszystkie wiktuały był lepiej zaopatrzony. Opowiada nam, że się nazywa Strumiło, że mieszka o dwie mile w bok i że jest majorem. Pytam go w jakim pułku, on odpowiada, że w sapieżyńskim, na co mu odpowiedziałem, że nie znam tego pułku i choć sam z wojska polskiego, nie słyszałem o nim, — pytam więc dalej, gdzież jest ten pułk? Odpowiedział, że jeszcze nie jest nigdzie, ale będzie, bo on właśnie jedzie do Mińska z projektem formowania go, będąc, jako dawny wojskowy, przez obywatelstwo na majora fortragowany. (Bardzo wielu wtenczas na Litwie fortragowało się na stopnie, wielu ich się nie doczekało, lecz niektórym się udało, że nagle wszystkie wojskowe urzędy dostali, jako to: Giełgud, Biszping, Przeździecki, Czapski, Kossakowski, Chrapowicki i t. p., choć nigdy w wojsku nie służyli). Roześmieliśmy się z Bruszkowskim z tego improwizowanego majorstwa, lecz jako starzy koledzy, radziliśmy mu, żeby nie jechał tą drogą, którą dopiero przejechaliśmy, bo Westfalczycy, ciągnący wóz po piasku, będą na jego konie bardzo łakomi. Lecz pan Strumiło z bardzo nadętą miną uderzył ręką w pałasz i rzekł: „A od czegóż ja ten oręż noszę?“ Na nic nasza rada się nie zdała, odjechaliśmy, lecz zaledwie zrobiliśmy pół mili, gdy znowu spotkaliśmy kirasyerów westfalskich, którzy tym razem czterema tęgimi pstrokaczami cwałem dążyli za wojskiem z wesołemi i zwycięskiemi minami.

Z wygodnego i miłego noclegu u pani Roszkowskiej wróciliśmy do traktu, którym przez kraj pusty, czyli raczej całkiem spustoszony przyjechaliśmy do Orszy, miasta etapowego, gdzie nas jeden, jakby na próbkę pozostały, jezuita grzecznie przyjął. Dalej do Dubrowny, miasteczka księcia Lubomirskiego, dalej do miasteczka Łady ostatniego niegdyś Polski, a przeto osiadłego rojami najbrudniejszego żydostwa, którym dalej mieszkać nie wolno, nakoniec przez Krasnoje przyjechaliśmy do Smoleńska, fortecy, wziętej przez naszych szturmem, z utratą wielu moich znajomych (Grabowski, Gawar, Jan Dembiński, Potkański i wielu innych). Tu zastałem gubernatora, generała Jomini, który, będąc w niełasce, nominalnie to stanowisko zajmował, zaś gubernato-

rem wojennym był Charpentier. Był i drugi gubernator generał Charpentier, człowiek ostry, porywczy i dający sobie poddmuchiwać obce rady, co mnie później o mało nie zgubiło. Gdym mu złożył moje rozkazy, feldrutę i depeszę od księcia Bassano, oraz oświadczenie, że prowadzę kasę dla naszego korpusu, odpowiedział, że nie pojadę dalej, gdyż drogi są niebezpieczne i poprzecinane partyami urywczemi Rosyan, którzy kuryerów lub małe oddziały, do armii idące, łapią i zabierają, lecz że właśnie teraz on zbiera kolumnę różnych wojsk i rekonwalescentów i te razem z eskortą artyleryi za kilka dni do armii wyprawia; a wtenczas przy niej będę mógł bezpiecznie pojechać. Dał mi bilet na kwaterę, a rozpytawszy się o ilość moich ludzi i koni, dał stosowną ilość biletów wolnego furażowania, czyli prawie można powiedzieć wolnego rabunku, albowiem gdy w Smoleńsku nie było magazynów napełnionych, a te co były, chowano dla lazaretów i garnizonu jedynie, przeto przechodzący lub jak ich zwano eksterni dostawali tym podobne bilety furażowe, a kto taki bilet otrzymał, powinien był z nim jechać do wsi okolicznych i tam za okazaniem biletu zabierać co było i co tylko było można zabrać na żywność, furaż i t. p. Gdy przyjechałem do Smoleńska, tak już były okolice splądrowane, że ani snopka słomy ze strzechy nie można było wyciągnąć, a więc aż o kilka mil dalej musieli nasi ludzie jeździć. Lecz za to mieliśmy w zysku, że oprócz furażu dla koni, mąki, słomy, do czego mieliśmy prawo, zawsze nam przywozili albo cielęta, albo barany, kury, gęsi i t. p. Wracając do fortecy, znowu w bramie pokazywać trzeba było ten bilet na dowód, iż się bierze dla siebie. Z wozami musiała jeździć zbrojna eskorta, niby na asekuracyę od nieprzyjaciela, a w istocie od Francuzów, którzy, lubiąc cudzemi łapkami kasztany z ognia wygrzebywać, czekali po wąwozach około fortecy na wracających furażników i tak ich umieli oskubać, że nieraz z fury siana wiezionego ledwo się dostała wiązka pod głowę. Dano mi kwaterę bardzo lichą w bocznym zaułku obok wielkiego monasteru u starego statskiego sekretarza, Barsowa, mającego przy sobie żonę i aż pięć córek oraz starą, ślepą mamkę, którą za osobę familii uważano; jedyny zaś jego syn służył w wojsku rosyjskiem. Mogę śmiało powiedzieć, iż to moje zakwaterowanie stało się opatrznością dla tego domu, albowiem przez cały ten czas dość długiego mojego pobytu, broniliśmy ich od rabunku i napaści francuskich. Ciężko bowiem sobie wystawić większych złodziei i rabusiów, jak byli wtenczas maruderzy. Nietylko po drogach, lecz i w samej fortecy, w dzień i w nocy napadali na domy. Gdy raz

postawiłem szyldwacha i nie kazałem wpuszczać nikogo, odgrażali się zemstą i tej samej nocy podpalili dom, szczęściem, że moi ludzie ogień ugasili. Innym razem stara, ślepa mamka z litości, bez mojej wiedzy pozwoliła dwóm bardzo zbiedzonym przenocować w bani, czyli łaźni parowej, maleńkiej budce drewnianej w ogrodzie; skoro tylko weszli i pokładli się na słomie, zaraz zażądali jedzenia, dała im chleba—jeszcze zażądali więcej i coraz to więcej, zaczęli ją szarpać; wtedy wpadli moi ludzie i poprostu kazali im wymaszerować, lecz ci wyprosili sobie nocleg i dopiero przedniem wyszli, zostawiwszy ślady swojej gościny, bo pełno ładunków w piec kamienny porzucali i gdy nazajutrz zapalono ogień, proch całą budę wysadził w powietrze. W drewnianym domku Barsowa obaj z Bruszkowskim mieliśmy jedną szczególnie izdebkę od tyłu dla nas, a nasi ludzie mieścili się w stajni, od ulicy zaś było jeszcze kilka pokoi próżnych, przeznaczonych na kwaterę generalską, czego się właściciele niezmiernie obawiali, a że nas, jak swoich opiekunów, kochali i zawsze w nasz ratunek ufali, więc nie przestawali prosić, żebyśmy mogli dla siebie tę kwaterę wyrobić, lecz zrazu było to niepodobieństwem.

Zastałem w Smoleńsku generała Krukowieckiego, który, wsławiony w czasie oblężenia Smoleńska, jako sprawca, przez zemstę, śmierci walecznego generała Michała Grabowskiego, sam w rękę jedynie ranny przy szturmie fortecy, pozostał w niej dla kuracyi. Zaraz po przyjeździe do Smoleńska, będąc jednej z nim dywizyi, zajechałem na dziedziniec przed jego mieszkanie, a nawet nim od gubernatora dostałem kwaterniczy bilet na pierwszą noc stanąłem zaraz obok niego u kapitana Krasnodębskiego, mocno rannego. Krukowiecki, do którego też miałem listy i paczki od kobiet z łakociami, nalegał i prosił mnie o oddanie mu ich jaknajprędzej, co chcąc uskutecznić, wniosłem moją wielką torbę z ekspedycyami do jego pokoju, w której, jak mówiłem dawniej, miałem wielką ilość listów i bilecików. Sądziłem to niepodobieństwem, żeby mi w tem miejscu mogło cośkolwiek zginąć, ani mi żadna myśl podobna do głowy nie przyszła, jednakże Krukowiecki, nim swoje listy odebrał, wprzód moje wszystkie przetrząsł, i kilka ważniejszych mi zginęło, a nawet jedna ekspedycya Sztabu Generalnego z Warszawy do księcia Poniatowskiego, i gdyby nie nastąpiła nasza nieszczęśliwa rejterada, w której wszystko ginęło, nie wiem, jakbym mógł uniewinnić się z tego. Przyznaję się nawet do tej umysłu mego tępości, czyli raczej do nieumiejętności posądzania, żem wówczas ani pojmował tego, a co później, w Smoleńsku samym, widząc czyny Kruka naocznie, łatwo

zrozumiałem. Tegoż samego zaraz dnia zaczął mi wydawać rozkazy, chciał, żebym mu kasę oddał w depozyt, ludzi których miałem w eskorcie, zostawił do jego usług, straży i służby furażowej, moje konie posłał dla niego za furażowaniem i t. p., zgoła widząc wyraźnie, iż będę musiał adjutantować jemu, gdybym dłużej w sąsiedztwie tego satrapy pozostał, pośpieszyłem się z wyrobieniem dla nas, choć złej, lecz odosobnionej kwatery u Barsowa i trochę oddalonej od Kruka, którego, równie jak w wojsku, i tam wszyscy się obawiali, lecz i wtedy nie opuścił mnie ten wróg, zawsze pałający zemstą, nawet za najmniejsze niewypełnienie jego życzeń. Zaraz mnie odwiedził w mojej kwaterze, a widząc, jakich miałem dobrych ludzi za gospodarzy i zobaczywszy w ich domu próżną kwaterę, natychmiast osądził, że jest ona lepsza od jego mieszkania i postanowił ją zająć i mnie z niej wyrugować. Znałem dobrze charakter człowieka, a bardzo lubiąc tych prostych, ale poczciwych ludzi, u których mieszkałem, i będąc ich prawdziwym opiekunem, koniecznie chciałem ich uwolnić od tego tyrana. Przypadek zdarzył, że i to mi się udało. Jedząc obiad w restauracyi francuskiej, poznałem się z młodym kapitanem saskim, Schreckensteinem, adjutantem generała saskiego, Tyllmana, jadącym jako kuryer z depeszami z Drezna, i równie jak ja, dla przeciętych komunikacyi zmuszonym do siedzenia w Smoleńsku. Gdy na obiad przyszedł, żadnej jeszcze nie miał kwatery; w kampanii przyjaźń koleżeństwa łatwo się zawiązuje, więc zaraz z obiadu bierzemy go do siebie, staje on na noc razem z nami, a nazajutrz idzie do znajomego mu przy gubernatorze szefa Sztabu pułkownika saskiego, melduje mu się, a zastawszy właśnie wiadomość, że gen. Tyllman ranny, ma wkrótce wracać do kraju, bierze zaraz dla niego bilet kwaterniczy na mieszkanie w tym samym, gdzieśmy byli, domu. Ja, lubiący fabrykować, drukuję wielkiemi literami na arkuszu papieru kartę: „Tu jest kwatera generała Tyllmana“ i przybijam na bramie, jak to się zwykle robiło, a mając już w ręku bilet kwaterniczy, byłem pewny, że nikt już wejść nie będzie mógł do domu. Wpadł do nas Kruk właśnie w myśli zabrania domu, a gdy ujrzał kartę, rozkazał gospodarzowi bilet sobie pokazać i poznał zaraz, że to my zrobiliśmy mu tę przysługę; wszedł więc do nas, zaperzony i czerwony, jak indyk, i z furyą wyrzekł te słowa, które nigdy z mojej pamięci nie wyjdą, gdyż cechują jego mściwy charakter: „Wy tu długo nie posiedzicie, ale ja nie oddalę się z tego miasta, aż zobaczę, iż ani jeden kamień tego domu nie zostanie“. Byłby niezawodnie tej zemsty dokonał, gdyby szczęściem dla biednych

ludzi nie wyruszył przedemną, wyprowadzając z sobą furgony, obładowane bogatymi łupami, lecz nie mogąc tego nigdy darować, iż nie mógł mnie wygryźć z tej kwatery, w zamiarach wyraźnej zemsty, przeznaczył mnie Krukowiecki dwa razy raz po raz na wyraźną zgubę i najobrzydliwsze służby.

Nazajutrz po tej wizycie, gdy jego służalcy, za furażem czyli raczej za rabunkiem po dalekich wsiach jeżdżąc, zabierali srebra, książki, a nawet wielkie, ścienne zwierciadła, które dopiero na wierzch słomą i sianem nakrywali, we wsi Engelharda znaleźli w studni dwóch zabitych Francuzów. Zaraz mnie tam chciał Kruk posłać i samowolnie dał mi rozkaz na piśmie, ażebym z moimi żołnierzami pojechał na miejsce, Engelharda uchwycił, osądził, rozstrzelał i wieś spalił, podług ogólnych w tej mierze wydanych prawideł. Gdym mu odmówił tej pięknej usługi, sam poszedł i, oskarżając mię gubernatorowi, żądał sądu na mnie, szczęściem, nim mnie wzięto, przestrzeżony przez Schreckensteina, udałem się sam do generała Charpentier, złożyłem rozkaz, jaki miałem, iżby kasę do korpusu odstawić z włożoną na mnie za nią odpowiedzialnością; generał uznał ważność moich powodów i innego oficera i innych żołnierzy na tę wyprawę posłał i powiedział mi wyraźnie, że nie widzi żadnej przyczyny dlaczego gen. Krukowiecki żądał od niego, abym ja był po to wykomenderowany, kiedy ani garnizonowym, ani też jego adjutantem nie jestem, a tem mniej, czemu za odmowę wypełnienia obowiązków, nie do mnie należących, oddawał mnie pod sąd. Później zrządził przypadek, iż z tejże samej wsi Engelharda była u mojej gospodyni jej znajoma, służąca jego matki, która, umiejąc nieco po francusku, powiedziała mi, że jej pani jest Polka i, słysząc o mnie wiele dobrego, oraz że nie chciałem należeć do niewinnej śmierci jej syna, życzy sobie bardzo, żebym mógł być u niej i dać jej jakie wiadomości o familii; jakoż z moją gospodynią pojechałem. Zastałem staruszkę, mogącą mieć już około 60 lat. Prawie już całkiem zapomniała mówić po polsku. Dom i wieś zniszczone, ona w najokropniejszym smutku po stracie syna, ubrana w grubej żałoby suknie. Już więcej lat czterdziestu minęło, jak opuściła Polskę i familię, o którą, gdym się rozpytywał, okazało się, że nawet była mi daleka krewna, z rodziców Karczewska z Łopacina, o granicę z naszym folwarkiem Bądków w województwie płockiem, a córka brata Karczewskiego, starosty liwskiego,—w dzieciństwie jeszcze, za czasów Konfederacyi Barskiej, została ona wykradziona od rodziców i wywieziona przez oficera rosyjskiego, Engelharda, który z nią później się ożenił i znaczny zostawił ma-

jątek, oraz dwóch synów, z których młodszy był w wojsku, a starszy, teraz przez gen. Kruka oskarżony, został rozstrzelany. Jak mi przysięgała, wcale nie ten był powód tego oskarżenia, gdyż dawno wiedziały władze w Smoleńsku, iż przez broniących się od napaści, zostali ci rabusie zabici, lecz istotną przyczyną tej nienawiści i zemsty Kruka było, iż nie dała ludziom jego zabierać sreber ze swojej kaplicy greckiej, chociaż już dawniej ciż ludzie jej osobiste srebra i kosztowności zabrali. Biedna kobieta zalewała się ciągle łzami i modliła jedynie przed obrazami, oprawnymi w srebro, jakby żegnając patronów, z którymi aż nadto była pewna, że się rozstanie, równie jak ja byłem pewny, że czego Kruk chce, tego musi koniecznie dopiąć. Widząc wszystko co się dzieje, a nie chcąc dłużej być wystawiony na ciosy tak piekielnej jędzy, jakim był gen. Kruk., chodziłem codziennie do gubernatora dla dowiedzenia się, kiedy ta obiecana kolumna ruchoma do armii wyruszy, ażebym z nią mógł się raz dostać do mego korpusu. Codziennie to od jutra do jutra odkładano i tak musiałem kilka tygodni siedzieć na miejscu, nie wiedząc nic o tem, iż od czasu mojego przyjazdu już były całkiem poprzecinane drogi i ani kurvery nie przejeżdżały, ani żadne oddziały przedrzeć się nie mogły, i w końcu, że już armia cała, wyszedłszy z Moskwy, była w całkowitem cofaniu, o czem nie prędzej doszła do nas wiadomość, aż gdy pierwsze czoło całej kolumny zaczęło się zbliżać do Smoleńska. Dowiedział się drapieżny Kruk., sam już będący w trakcie pakowania preciozów, ażeby i swoją osobą umykać, że ja tak się staram od jego zemsty oddalać się, a więc choć sam odjeżdżał, nie chcąc mnie bezkarnie wypuścić, znalazł środek, żeby zgubić mnie na waletę, jakoż podała mu się do tego bardzo dobra okoliczność.

X.

Gdy już cała armia Napoleona zaczęła się cofać, lubo nikt z nas nie wiedział o tem, jednakowoż gubernator odebrał rozkaz uzbrojenia jakiej znacznej kolumny, która miałaby iść nie naprzeciw armii, lecz w inną zupełnie stronę, mianowicie, całkiem w prawo od wielkiego gościńca dla zasłonienia wojska od korpusu rosyjskiego, szybkimi marszami od Kijowa ciągnącego dla przecięcia naszej rejterady. Oddano komendę generałowi Baragued'hiller nad tym korpusikiem, złożonym z oddziałów wszech-narodów

i wszech-broni i nie mającym ani jednej kompanii kompletnej, lecz po kilku ludzi z rozmaitych pułków, samych pochwytanych maruderów, trenerów i wyszłych ze szpitali rekonwalescentów — piękny zbiór! parę armat, mało amunicyi, a nic wcale żywności, cała resursa na furażowaniu po bokach drogi, do którego, od generała zacząwszy, każdy—byli to wyćwiczeni majstrowie. Szanowny gen. Kruk., widząc tak oczywiście zgubną misyę, zaraz w mojem imieniu wyrabia u gubernatora rozkaz dla mnie udania się w marsz z tą kolumną pod komendą gen. Baragued'hiller. Z zadziwieniem odbieram ten rozkaz, gdy w końcu jego wyczytuję, iż niewolno mi więcej zabrać jak jedynie dwa konie: jeden dla mnie, a drugi juczny. Nie znając celu marszu tej kolumny, a zawsze w nadziei, że się przecie dostanę do mojego korpusu i generała, bardzo uradowany, że już przecie od mego wroga się oddalę, śpieszę do gubernatora z podziękowaniem, oraz przedstawieniem mu, że mając furgon z kasą korpusu piątego, nie dość mi jest dwóch koni dla samego jej dociągnięcia do armii. Zdziwiony gen. Charpentier, że ja mu o tej kasie mówię, odpowiedział: „WPan wcale nie jedziesz do swojego korpusu, lecz w inną wcale dyrekcyę jesteś przeznaczony. Wszak gen. Kruk. w jego imieniu oświadczył, że chcesz jemu kasę powierzyć, a sam się udać ku Kijowowi". Osłupiałem na tę zupełnie sprzeczną z moimi zamiarami i obowiązkami dyrekcyę i przedstawiłem gubernatorowi, iż to jest omyłka, gdyż mając wyraźny na piśmie rozkaz ministeryum wojny odprowadzenia kasy i oddania jej płatnikowi generalnemu piątego korpusu, nie powinienem i nie mogę jej na krok odstąpić lub komukolwiek powierzyć, mając prócz tego depesze do Naczelnego naszego Wodza. Opatrzność, sprzyjająca mi do wyraźnego wyratowania od przygotowanej zguby, zrządziła mi szczęście, żem Charpentiego zastał i że mnie przyjął, będąc dnia tego w lepszym, niż zwykle humorze, rozważył moje powody, przyznał mi słuszność, rozkaz odebrał i kazał na inny wyczekiwać. Odetchnąłem.

Tegoż samego dnia przyszedł do nas w wieczór gen. Kruk., zaperzony, z iskrzącemi się swojemi kociemi oczami, a nie mogąc mnie już zgubić, ani kasy w depozyt odebrać, mścił się, dręcząc osoby, któremi się opiekowałem, gadając im bezwstydne słowa, oraz męcząc, jakby ogniem, przepowiadaniem ich przyszłości, zgoła widać było wyraźnie, że radby je i nas zakatować, gdyby nie obecność saskiego adjutanta, Schreckensteina, który, mieszkając z nami, a widząc tego potwora wściekłego, nie opuszczał nas, żeby przynajmniej był jaki świadek, któryby, nie będąc

pod jego komendą, miał oko na jego czyny. Jestem przekonany, że prędzej lub później byłby on swojej zemsty dopełnił, gdyby nie nastąpił jego nagły wyjazd, albowiem nie mając gdzie i co furażować, usłyszawszy o cofaniu się wojska oraz o zbliżaniu ku Mińskowi korpusu Czyczagowa, chcąc korzystać z nieprzeciętych jeszcze dróg do Wilna, porządnie wypakowawszy kosztownemi łupami kilka furgonów, a połączywszy je z furgonami kolegów, sam czemprędzej wyjechał, żeby ich pilnować. Jakoż aż do granicy je odprowadziwszy, wrócił do Wilna i tam go dopiero spotkałem, o czem będzie niżej.

Ów wspomniany korpusik Baragued'hillera, do którego miałem należeć, po wymaszerowaniu ze Smoleńska, w kilka dni zaraz, idąc bez ładu, bez żadnej subordynacyi w rodzaju prawdziwej Siczy hajdamackiej, wpadł na oczekiwany od Kijowa korpus rosyjski, który go otoczył, a godny takiej armii dowódca bez jednego wystrzału zawarł z dowódcą rosyjskim kapitulacyę, wskutek której zapewniono mu wolność jego osoby i całość jego bagażów, a wojsko rozbrojono i na kaukazką linię odesłano, gdzie większa część biedaków z głodu i nędzy wymarła.

Taką to wyprawę dla mnie gotował kochany kolega Kruk.

Formowaliśmy wraz z Schreckensteinem w jego obszernej, generalskiej kwaterze osobną, jakeśmy nazywali, naszą główną kwaterę, która trochę później została powiększona przez przyjazd mego ciotecznego brata, Kajetana Ossolińskiego, wracającego od armii, którego wziąłem z radością do siebie, jak mogłem odziałem, gdyż cała odzież była na nim spróchniała od biedy, i przez parę tygodni cokolwiek odżywiwszy, wyprawiłem do Polski czemprędzej, nim drogi do Litwy zostały nam poprzecinane. Dołączyli się też do nas dwaj koledzy Bruszkowskiego z legionów polskich, z Hiszpanii przybyli, godni ludzie bardzo, pułkownik Kostanecki i kapitan Milberg,[1]) w roku 1830 generał, nakoniec dołączył się też do nas i cywilny, czyli jakeśmy go wszyscy zwali Pekin, niejaki Długoborski, obywatel z Wołynia, który w deputacyi od obywateli do Napoleona jechał, a również jak i my, nie mogąc dalej postąpić, tutaj uwiązł, człowiek wesoły, dowcipny i bardzo miły w towarzystwie. Z tymi kolegami przez ten czas naszego tam pobytu dość mile spędzaliśmy czas w naszej kwaterze. Stołowaliśmy się, jak mówiłem, u kucharza gubernatorskiego, który dość dobrze nam dawał jeść, a raz dał nam na

[1]) Henryk.

obiad potrawkę z kota domowego z kwaskowatym sosem, wszyscyśmy go jedli, a jeden tylko Milberg, który taką zwierzynę w Hiszpanii jadał, poznał ją, a nawet w potrawce pazurki znalazłszy, pokazał je nam, jednak wszyscy jedliśmy dalej zwierzynę. Biedny tylko wołyński Pekinów ambasador, Długoborski, wstał od stołu, jak trup wybladły, mówiąc, że go kot pazurami drapie po kiszkach, i istotnie z tego obrzydzenia i nienawiści, jaką miał do kotów, aż zachorował. Schreckenstein najwięcej się z niego naigrawał i żartował, jak to zwykli czynić Niemcy z Polaków, lecz dowcipny amator mistyfikacyów, Długoborski, zemścił się za to na nim w parę dni później, wprawiając go w innego rodzaju okropny przestrach. Schreckenstein, jak się mówiło wyżej, jechał od króla saskiego, jako kuryer, do armii i wiózł ważne depesze, które trzymał zawsze w swoim pokoju w pościeli pod głową. Raz w wieczór, gdy gdzieś wyszedł, nasz Pekin okno od jego pokoju wysadził, rzeczy porozrzucał, a torbę z depeszami schował tak, że gdy Schreckenstein wrócił, a ten rabunek wyraźny ujrzał, wpadł w rozpacz, przekonany, że je stracił i że niezawodnie pod sąd wojenny zostanie oddany. Szczęśliwy, jakby odżył, gdy się dowiedział o mistyfikacyi Pekina. Nakoniec później zaczęły nas już dochodzić forpoczty Wielkiej Armii, a razem też przyleciała zgraja rozmaitych oficerów od naszego korpusu. Jedni, byli to t. zw. wolontaryusze a la suite, którzy wtenczas się cisną, gdy jest co do złapania czy to w stopniach, czy też w planach, a gdy bieda i niebezpieczeństwo, to kryją się i uciekają, inni znowu, byli to oficerowie, lubo waleczni w boju, lecz teraz bez wojska, które od czasu wyjścia z Moskwy tak nikło, iż się w niektórych pułkach, osobliwie piechoty, ledwo w każdej kompanii kadry zostały. Oficerowie, a nawet generałowie, zostawszy bez żołnierzy, swojemi partyami ściągali się, jak wędrowcy. I taki właśnie zajechał do mojej kwatery, gen. książę Sułkowski, ze swoim adjutantem *Feliksem Szymanowskim, obaj w takiej biedzie, iż pewnie* nie byliby mogli dalej postąpić, gdybym nie dał im jednego z moich koni i trochę żywności na drogę, wyprawiwszy ich dalej ku Polsce. Dowiedziawszy się od nich, że nasz korpus polski o dwa tylko marsze od Smoleńska opuścili, oraz zapewniony, iż drogi teraz zawalone armią francuską są już pewne, nie czekając żadnych rozkazów gubernatora, gdy Tyllman nadjechał i zajął moją kwaterę, zostawiwszy jemu i Schreckensteinowi opiekę moich gospodarstwa, zabrawszy furgon z kasą, ludzi od eskorty i żywność dla nich i dla koni, wyruszyłem przez most na Dnieprze do mojego piątego korpusu, a wlekąc się noga za nogą po wielkich

śniegach i powybijanych dołach, oraz drogą zawaloną pociągami, wozami i zgrają ludu, niby to niegdyś z wojska wracających w niełądzie, nazajutrz rano stanąłem w Dorohobużu, gdzie też prawie razem ze mną stanęła dywizya mego generała Kniaziewicza. Lecz co za uczucie mnie przeraziło na widok naszego wojska! Porównywając ich stan z tym, w jakim byli, gdym się z nimi rozstawał, zdrowymi, porządnie manewrującymi i ubranymi, wesoło z zapałem biegnącymi, gdzie ich bój z nieprzyjacielem i sława wojenna wzywały, teraz ujrzałem ich wynędzniałych, obdartych, chorych i wielu boso, mających ciało od zimna, czem kto mógł złapać, okryte, a nogi u wielu szmatami okręcone. Ja świeży, wypoczęty, wypasiony, nowiuteńko umundurowany, zgoła, jak to mówią, dopiero co z igły zdjęty, zdawałem się być wystawiony przez porównanie na większe jeszcze ich ogólnej nędzy wyobrażenie. Przyjęty od moich kolegów i generała z najwyższą radością, przecie wszystkich znalazłem przy życiu i zdrowych. Zaraz ruszyłem dalej o pół mili do wsi Słobudki do kwatery księcia Poniatowskiego. Wieś owa istniała niegdyś, a może jest i teraz, lecz w chwili, gdy tam zastałem sztab księcia Poniatowskiego, ani wsi, ani domu znaku nawet nie było; tam książę mieszkał w chlewku i to bez dachu. Tym razem przyjął mnie jak można najgrzeczniej, z radością odebrał wiadomości, ekspedycye i listy z Warszawy, których od bardzo dawnego czasu, jak były drogi przecięte, był pozbawiony. Oddałem w zupełnej całości powierzoną mi kasę płatnikowi generalnemu, konie jedynie od furgonu i moje z bryczką zatrzymałem i to nie dla siebie wcale, lecz dla Kniaziewicza i naszego Sztabu, których znalazłem prawie bez koni, gdyż jedne z biedy pozdychały, a inne musieli ze swoich bagażów wyprządz, ażeby je do armat doprządz. Płatnik generalny, Węgierski, pokwitowawszy mnie zupełnie, zaraz całą tę kasę rozdał wojsku za żołd zaległy. I mnie się cząsteczka dostała, lecz na ciężar jedynie, a nie na żaden użytek, albowiem były to pieniądze sardyńskie, które tam, gdzieśmy byli, nie miały żadnego kursu, ani znaczenia. Doniósłszy je później z pracą aż do Warszawy, ledwieśmy je mogli za pół ceny Żydom sprzedać, albowiem były wielkie, jak dwuzłotówki, a bite z tak podłego kruszcu, jak bilony, to jest czarne, brudne i wytarte.

Nazajutrz wyruszywszy, stanęliśmy drugiego dnia pod murami Smoleńska, który tak już był napchany wojskiem, oficerami francuskimi i eskortą Napoleona (który właśnie minął nas tej nocy, gdy byłem w Dorohobużu), że już nikogo do miasta nie puszczano. Musieliśmy, obszedłszy dokoła fortecę, stanąć z kor-

pusem na płaszczyźnie pod murami i tam zabiwakować, bez baraków, bez dachu, a nawet bez ognia, nie mając skąd drzewa dostać, a tem mniej żywności, której brakowało, tak, iż nasi żołnierze oddawna już tylko żywili się mięsem ze zdechłych koni, pieczonych na bagnetach lub pałaszach. Nic przeto dziwnego, że po takich marszach i zupełnym braku żywności, obok nieustannych bójek wśród mrozów i śniegów, armia nasza nędzniała, niszczała i coraz bardziej nikła, tak, że dalej, gdyby ta nasza retreta potrwała, byłby nasz korpus bez wystrzału zgładzony. Zaraz moi sztabowi koledzy rzucili się z chciwością zgłodniałych na zasoby, jakie tylko mieć mogłem w mojej bryce. Prawda, że z radością, a nawet z rozrzewnieniem sam je ofiarowałem, lecz cóż z tego wynikło? Zlecieli się z dywizyi, a nawet z innych jeszcze zgłodniałych sztabów koleżki wychudłe i w mgnieniu oka już nic nie zostało, a nazajutrz nietylko my wszyscy, lecz i ja, sam fundator, zostaliśmy o głodzie. Pieniędzy nam wprawdzie nie brakowało, ale cóż za nie kupić, kiedy człowiek, prócz ziemi, nieba i trupów, nic nie widzi, ani spotyka? Przypomniała mi się wygodna moja kwatera w fortecy, a więc w moim adjutanckim mundurze, za którym jedynie wpuszczano przez bramy do miasta, udałem się do moich poczciwych dawnych gospodarzy i cóżem tam zastał? natłok ludzi, biedę i nędzę. Już Tyllman ze Sztabem wymaszerował, a dom zajęli Francuzi. Tak pełno ich było, jak maku w makówce, że aż sami gospodarstwo z córkami musieli się w ten mróz pod strych wpakować, sami w najwyższej nędzy i braku wszystkiego, radziby czemprędzej z miasta uciec, nie mając już nic do stracenia w domu, lecz byli bez grosza, a nawet obrano ich z sukien cieplejszych, nie mieli więc o czem z miejsca wyruszyć. Z wielkiem mojem i ich ukontentowaniem dałem im moje niepotrzebne a dla nich tyle zbawienne kilka dukatów i, pożegnawszy się z płaczem, udałem się do ostatniej nadziei dostania posiłku, to jest do owego kuchmistrza gubernatorskiego, naszego niedawno restauratora, lecz tam znalazłem czysty rabunek zgłodniałych wilków, którzy tak się do restauracyi licznie nacisnęli, że wejść było niepodobieństwem. Jednak po wielu staraniach i pracy już nie tam, ale w bliskości cesarskiej kwatery udało mi się kupić za luidora dwa bochenki chleba, a za drugiego butelkę wina.

XI.

Nazajutrz raniuteńko przysyła do Kniaziewicza generał Zajączek swego szefa Sztabu z prośbą, ażeby mu ustąpił jednego ze swych adjutantów, ponieważ wszyscy jego rozchorowali się, dwóch miał rannych, teraz ostatni już, jaki z nich pozostał, Jabłkowski, ciężko zasłabł. Że ja byłem, jak mnie nazywali, świeży i wypoczęty, więc Kniaziewicz zaraz mnie wykomenderował do Zajączka na zastąpienie podszefa Sztabu Jabłkowskiego. Wiedziałem dobrze, jaka tam była zawsze bieda, lecz nie chcąc moim kolegom już i tak zbiedzonym dodawać biedy do biedy, przyjąłem to zlecenie, ale nieufając porządkowi tego sztabu, wszystkie konie i rzeczy zostawiłem przy naszej dywizyi, a sam jedynie ze służącym Karolem, na moim kozackim w początku kampanii zdobytym koniku udałem się do 17-ej dywizyi Zajączka, służącej zaraz obok naszej. Tam zaraz odebrałem rozkaz udania się do Smoleńska z raportem do Bertiego. Że zaś staliśmy już drugi dzień na śniegu wśród pola bez dachu i ognia, więc raport pisany był ołówkiem na ćwiartce papieru. Od kilku dni ani ogolony, ani umyty, wyglądałem jak bandyta, więc opowiedziawszy się Zajączkowi, przez ten czas, gdy on ten raport własnoręcznie pisał, wróciłem czemprędzej do mojej bryczki, ogoliłem się, jak było można bez ciepłej wody w polu na mrozie, umyłem się wodą z lodem i w świeże suknie ubrałem. Poraz pierwszy w życiu miałem jechać do Bertiego, a zatem do głównej kwatery Napoleona, którego nigdy jeszcze nie widziałem, a teraz mogłem ujrzeć, więc trzeba było pokazać mu się w przyzwoitym ubiorze. Dzień ten od rana był śliczny, mrozik maleńki ledwo się czuć dawał, a w południe słońce dogrzewało, więc nic więcej nie wziąłem na siebie, jak mundur i bermycę adjutanckie z ozdobami, jakie miałem najlepsze, a na wierzch kołnierz szeroki od wojskowego płaszcza i tak przybywszy do Zajączka, potem odebrawszy raport i instrukcye, na moim myszatym, wiackim koniku kozackim, a z pułku nowoprzybyłym służącym Karolem, wyruszyliśmy do Smoleńska.

Wysłany od generała Zajączka z naszego obozu, stojącego pod murami Smoleńska, do tejże fortecy z raportem do Bertiego, generalnego szefa Sztabu armii, zajechawszy do głównej kwatery, po zameldowaniu się oficerowi służbowemu, niezmiernie długo musiałem czekać w sali służbowej, choć mnie Bertiemu niezwłocz-

nie zameldowano. Nadeszła obiadowa godzina. Francuscy oficerowie sztabowi, których niemało było, poszli do stołu, lecz jak zawsze, tak i wtenczas, egoiści, mnie ani szklanki wody nie dali, i byłbym się na śmierć wynudził, gdybym nie znalazł leżącej tam ślicznej edycyi Donkiszota, którego czytanie przecie cokolwiek tę moją przedpokojową samotność rozerwało. Nareszcie po długim czasie przywołał mnie Bertier do swego pokoju, kartkę raportową odebrał i znowu kazał mi na odpis czekać. Już nie chcąc dłużej czekać niepotrzebnie, a dowiedziawszy się od sztabowych, że w blizkim bardzo domu ma kwaterę Wincenty Krasiński, wówczas pułkownik cheveaux-legerów gwardyi Napoleona, ze swoim sztabem i wieloma innymi oficerami, opowiedziawszy się w Sztabie Bertiego, gdzie mnie szukać mają, poszedłem do kwatery Wincentego Krasińskiego, gdzie zastałem mnóstwo oficerów, wygodnie rozłożonych na słomie. Przyjęli mnie ludzko, dali mi trochę jedzenia i wina, ile tylko chciałem, gdyż beczka Bordeaux stała na środku izby. Znalazłem tam wielu moich znajomych, Kozietulskiego, Łubieńskiego, Zambrzuskiego, Załuskiego Józefa, który właśnie pisał dla Napoleona odezwy do Wołynia i Podola oraz przepisywał plany drogi dla wojska, i wielu innych, a między nimi i naszego znajomego Pekina Długoborskiego, który właśnie po audyencyi, jaką miał u Napoleona, oddany był Załuskiemu tak do instrukcyi o Podolu i Wołyniu, jako też na rodzaj przewodnika w tym marszu. Zabawiwszy tam parę godzin wygodnie i wesoło, zostałem do Bertiego przywołany dla odebrania odpowiedzi; zastałem go przy kominie, na którym się ogień palił, był zaś zatrudniony darciem i paleniem wielkiej ilości papierów. Zaraz obok niego stała figura bardzo niepoczesna a nawet brudna w popielatym surducie, która skoro wszedłem, nagle mnie zapytała: „Combien de baïonnettes êtes Vous?“ Zmięszany tem tak niespodziewanem zapytaniem, a nigdy i w myśli nie mając, żeby to był Napoleon, gdyż wyglądał raczej na jakiegoś pisarczyka, odpowiedziałem: „Je ne sais Monsieur“. Wpadłszy Napoleon w gniew, zawołał: „Qui est ce qui m'af... un aide de camp pareil“. W tym momencie dopiero go poznałem i na szczęście nie przestraszony, ani straciwszy przytomności, odezwałem się: „Sire, je ne suis pas Aide de Camp du General qui m'envoit, n'etant chez lui que depuis une heure“ i dopiero w krótkości, lecz wyraźnie, opowiedziałem mu, że jestem z 18-ej dywizyi do 16-ej przed chwilą przeniesiony. „Ah c'est autre chose“ i zaraz zaczął mi też same robić pytania o stanie naszej dywizyi, ilości ludzi pod bronią, koni, zaprzędze, działach, furgonach i t. p. Moje to

szczęście, iż właśnie w wilię i jedynie z ciekawości rozpytywałem się o to samo pułkownika Denhoffa, wówczas zastępcę szefa Sztabu i żem tego, co mówił, nie zapomniał, a więc mogłem mu wprędce na wszystkie jego zapytania odpowiedzieć, i był kontent z moich odpowiedzi. Mówił z Bertiem, który dał mi zaraz rozkaz do Zajączka i kazał mi niezwłocznie z tymże do naszego korpusu jechać. Jakoż z moim służącym wsiedliśmy natychmiast na konie i pojechali w miejsce, gdzie nasz obóz rano zostawiłem, lecz jakie było moje zdziwienie, gdym, na to miejsce przyjechawszy, już nietylko korpusu, lecz ani żywego ducha, ani śladu nawet nie znalazł, jakby się wszyscy pod ziemię schowali, a nie mogłem nawet żadnego marudera napotkać, któryby mógł mi dać wiadomość, gdzie i w którą stronę się udali. Noc była śliczna, a księżyc w pełni oraz białość śniegu czyniły ją tak jasną, że z daleka widzieć i objekta można było rozeznać; kręciłem się na wszystkie strony, żeby kogokolwiek zobaczyć, boć przecie korpus maszerujący musiał być koniecznie przez kogoś widziany. Przecież nakoniec widząc traktem wielkim jadący kocz upakowany, dognałem go i spostrzegłem w nim generała Rautenstraucha bez peruki, mającego głowę szlafmycą i chustkami obwiązaną, a nie za naszym korpusem, lecz za francuską armią uciekającego; przeląkł się niezmiernie, widząc się gonionym i zatrzymanym, lecz nieco ochłonąwszy, uwiadomił mnie, iż z rana jeszcze, zaraz po moim odjeździe, nasz korpus odebrał nagły rozkaz udania się „a l'extreme gauche“ do Mścisławia traktem, który mi pokazał, a sam w dalszą drogę ku Mińskowi pośpieszył. Udałem się więc czemprędzej za moim korpusem, a ledwo małą milkę ujechawszy, przy jasnem świetle księżyca ujrzałem nagle przed sobą ze 200 kozaków, stojących spokojnie w poprzek drogi.

Lubo już wolniej, jednak bliżej jeszcze nieco dojechałem, chcąc się przekonać, czy czasem nie mylę się, i wróciłem czemprędzej do Smoleńska, a wszedłszy do Bertiego, zaraportowałem, com z blizka i z taką pewnością widział,—odpowiedział mi z gniewem: „Cela ne peut pas être vrai, nous avons donc des rapports de plus loin que cela. L'ordre que Vous portez est tres pressant, ainsi il faut que Vous alliez tout de suite rejoindre Votre Corps, coute que coute“. Już wychodziłem od niego, gdy, namyśliwszy się nieco, kazał mi się zatrzymać, a sam poszedł do Napoleona, wróciwszy zaś niebawem, powiedział, że da mi eskortę, jakoż zaraz ze służbowej sali zawołał oficera Lauristona, młodego, żwawego chłopca, i wykomenderował dwudziestu przybocznych Gendarmes d'elite z oficerem, ażeby aż do korpusu naszego ze mną

jechał. Późno już było w nocy, gdyśmy ze Smoleńska ruszyli tąż samą drogą, którą wprzódy jechałem. Ujechaliśmy nie więcej mili, a nawet minęliśmy to pamiętne mi miejsce, gdziem napotkał oddział kozaków, lecz nikogo nie było widać, i już mi zaczynało być przykro ze wstydu, że mi nie dadzą wiary i niezawodnie za tchórza osądzą, gdy aż do korpusu dojedziemy, nikogo nie spotkawszy. Wesoły Lauriston nie przestawał mnie pytać: „Où sont donc ces Cosaques?“, gdy nagle mały pagórek przejeżdżając, spostrzegamy, jak się wysypują przed nami całą linią kozacy, jak sami moi koledzy osądzili, najmniej do pięciuset, którzy zwolna nam drogę przecinają i w poprzek drogi linią stawają. Stajemy. Następnie rada między mną, Lauristonem i oficerem od żandarmów, wskutek której zgadzamy się, że nie mogąc walczyć z taką masą, musimy się wrócić z raportem, robimy więc obrót wsteczny, lecz nie wiem, czyśmy ćwierć mili nazad ujechali, gdy znów widzimy przed nami drogę przeciętą owymi 200 kozakami, których widziałem w pierwszej mojej podróży, a którzy znać się do krzaków schowali, i ci już nie stali na miejscu, lecz pędem ku nam całą masą szarżują, wydając zwyczajne krzyki, a więc w momencie znaleźliśmy się między dwoma ogniami. Chcieliśmy się w bok rzucić, lecz to było niepodobieństwem. Żandarmi mieli wielkie konie i tempo kute, więc uciekającym padały, a kozacy ich łatwo doganiali, częścią wykłuli, częścią zabrali, bo nic nie wiem, co się z nimi stało. Lauriston, który miał lekkiego i lepiej jakoś okutego konia, krzyknął na mnie „Sauve qui peut“ i szczęśliwie w bok na pola drapnął, zanim do nas kozacy dobiegli, ja zaś nie wiem z jakiego powodu, czy z rady mojego służącego, czy też z chęci prędszego schronienia się, z Karolem rzuciłem się w lewo na błota i między gęste krzaki, i to może było moje szczęście, że mnie nie spostrzegli, ścigając Lauristona i żandarmów, gdyż od chwili, jakeśmy dalej w te gęste chrusty się wdarli, jużem żadnego z nich nie widział, ani słyszał, gdzie poszli. I to do mego szczęścia dodać należy, iż mój mały kozacki, myszaty konik, lubo wcale nie kuty, nic się nie ślizgał i po tych krzakach i błotach wszędzie się ze mną łatwo przemykał. Tu zostawało nam jeszcze trudne pytanie, w którą udać się stronę, czy za dyrekcyą naszego korpusu, czy ku Smoleńskowi, żeby się nie natknąć na snujące się bandy kozackie. Po naradzie z Karolem, uznaliśmy, iż najlepiej będzie miarkować się po księżycu i ciągnąć w głąb chrustów w dyrekcyi ku Mińskowi, a tak oddalimy się coraz więcej od nieprzyjaciela, a musimy się spotkać z traktem albo francuskim albo naszego korpusu.

W dzień, jak mówiłem, był czas piękny, a pod noc mróz się wzmocnił, zaś od pół nocy niebo okryte iskrzącemi gwiazdami, mróz zaś był okropny. Wybrałem się leciukko ubrany, bo w niedaleką drogę do Napoleona, a więc tak byłem przemarznięty, że zacząłem już ani rąk, ani nóg nie czuć, ale przecie zsiadłszy z konia, drapiąc się piechotą po gęstwinie, cokolwiek się orzeźwiłem. W tem położeniu zostawaliśmy dwie noce i jeden dzień, nic nie jedząc ani pijąc, nikogo, ani żadnej chałupy, ani żadnej drogi nie zobaczywszy, przecie nazajutrz w lesie ujrzeliśmy leżącego trupa, co było pierwszym znakiem, że już bliżej byliśmy wielkiego gościńca. Trup był zupełnie z odzieży obdarty, zostały na nim jedynie kawałki starego, podartego, flanelowego kaftanika, a że mi najwięcej zimno dokuczało w uszy, których ani moją bermycą nadziać, ani kołnierzem okryć nie mogłem, więc i z tego korzystając, zdjąłem z nieboszczyka tę niepotrzebną resztę jego ubioru i zrobiłem sobie do bermycy uszy, zasłaniające od zimna biedne moje uszy. Pierwsza noc i dzień tej naszej manowcowej tułaczki jeszcze jako tako przeszedł, wciąż posuwaliśmy się w tym samym kierunku, lecz nazajutrz wieczorem siły mnie opadły i nie mogąc dalej postąpić, szukałem jedynie miejsca, gdzieby się można było z godzinkę przespać. Gdy się ściemniło, zdaleka ujrzeliśmy słabe światełko, jakoż doszliśmy nakoniec do maleńkiego domeczku, stojącego na krzyżującej się drożynie, a przed nim tlił się jeszcze mały ogienek. Była to kapliczka, w której snadź ktoś przedemną albo w południe popasał, lub może przeszłej nocy nocował, gdyż resztki już tylko ognia spostrzegać się dały. Natychmiast Karol dołożył suchych gałęzi i ogień rozniecił, a ja, wszedłszy do kaplicy, znużony, zgłodniały i prawie bez sił, widząc w kącie kupę starej, nadgniłej już słomy, rzuciłem się na nią i kamieniem zasnąłem. Karol nałamał drobnych gałązek brzeziny i dał naszym koniom, które je przez noc wybornie dojadły. Gdy dnieć zaczęło, obudziłem się czerstwy i żywy, a nawet w tej chwili nie głodny, lecz jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał, że smacznie noc przepędziłem na trupie, oddawna na pół przegniłym i lekko tylko słomą pokrytym. Ów znaleziony ogień był największą nadzieją naszą iż się zbliżamy już do ludzi, wkrótce też ujrzeliśmy kupki maruderów francuskich, jak mrówki w bok za żywnością łażących, i od nich dowiedziałem się, że byliśmy blizko wielkiego gościńca wojskowego, prowadzącego do Krasnoj. Obaj z Karolem, od dwóch dni zgłodniali, zaczęliśmy od pytania pierwszych maruderów, czy nie mają cokolwiek żywności; wszyscy odmawiali, nakoniec jeden za dukata sprzedał mi kość z troszką gotowanego mięsa końskie-

go, obsypaną prochem zamiast soli. Obadwa rzuciliśmy się chciwie, będąc zgłodniali, lecz ja ani jednego kęska przełknąć nie mogłem, tak mi się obrzydliwym wydawał. Od samego rana tegoż dnia osobliwszą a nagłą zmianą powietrza zachmurzyło się niebo, ów mróz tak wczorajszego dnia mocny, nietylko że całkiem sfolgował, lecz rano zaczął deszcz padać, a gdyśmy z maruderami do głównego wojskowego traktu się dowlekli, lał już jak z cebra, tak, że nas do nitki przemoczył. Mając jeszcze daleko do pierwszego na trakcie miasteczka Krasnoj, napotkaliśmy przy drodze zabudowania drewniane, ze wszech stron ostrokołami opalisadowane i dlatego całe, że będąc domem poczty wojskowej, miały załogę i wolne były od wszelkich wstępów wojskowych. Wszedłem tam dla osuszenia się lub przynajmniej ogrzania. Zastałem pisarza, Litwina, ogromnego wzrostu wraz z siostrą, ubraną po męsku, a mogącą stanąć na prawem skrzydle grenadyerów, oboje tak niegrzeczni i takie gbury, że pomimo próśb i obietnic jakiej tylko zechcą nagrody, a nawet pomimo kładzenia im w rękę pieniędzy, nie pozwolili mi zanocować i chcieli koniecznie na dwór wyprosić, choć się już ściemniało, a deszcz ulewny nie przestawał padać. Na moje prośby pozwolili mi jednak na pół godziny jedynie ogrzać się, strasząc przytem, że jeśli dłużej zabawię, tedy mnie żandarmami z domu wyprowadzić każą.

Szczęściem dobry mój pomysł, praca i choć mały talencik dały mi dobry nocleg i kolacyę u nich. Mieli oni w tym domu ośmiu parobków litewskich zamiast pocztylionów, nie mając zaś dla nich ani trąbek, ani dzwonków, ani żadnych innych znaków dla bezpieczeństwa, ażeby w drodze nie zabierali im koni wlokący się żołnierze, przypinali im do czapek papierowe kartki z napisami, lecz na moje szczęście ulewny deszcz kartki im przemoczył i pismo pozalewał. Siedząc przy stole, na arkuszu papieru piórem i atramentem odrysowałem im trąbkę pocztową między gałęziami z podpisem wielkiemi, drukowanemi literami u dołu, a do tego wziąwszy z komory marchwi, buraków i liści, ukolorowałem ten rysunek, co im się tak podobało, że mnie prosili, ażebym im dziesięć takich zrobił, a za to ofiarowali mi na noc posłanie, kolacyę dla mnie i człowieka, ćwierć gryki w snopkach dla koni—wielkie bardzo w tem położeniu łaski. Ja też do późna w nocy malując, święcie dopełniłem zrobionego z nimi układu, a szczęśliwi pocztylioni po kolei przychodzili się przypatrywać i stroić w tak piękne oznaki ich dostojeństwa.

Przespawszy się, pożywiwszy, osuszywszy i wypocząwszy nieco po tej dwudniowej biedzie, przedniem wyruszyliśmy z te-

go noclegu, a nie uszedłszy pół mili, gdy jeszcze było szaro, spotkaliśmy uciekających maruderów z krzykiem zwyczajnym „les cosaques!“ Widać było ich kupki małe po kilku, jak pszczoły, bujające po polach, a w oddaleniu po lewej stronie z lasu wysypującą się kolumnę piechoty. Znowu rada wojenna z Karolem, lecz obejrzawszy się dokoła, spostrzegliśmy, że owe hufce latawców kozackich były już więcej poza nami aniżeli na przedzie. Z maszerującej kolumny na nasze szczęście, nim powzięliśmy jeszcze jakieś postanowienie, wysunęło się także na flankiery, jak tylko wyszli z lasu, kilkunastu ułanów. Że już dniało i zaczynało się dobrze rozwidniać, ucieszyliśmy się widokiem naszych chorągiewek, a jeszcze bardziej kilkoma strzałami tychże do przelatujących kozaków, którzy zrazu ku nam dwóm lecieli, lecz gdyśmy nie uciekając, dobywszy jedynie pistoletów, stanęli na miejscu, pędem o kilkadziesiąt kroków od nas z krzykiem przelecieli, parę razy strzelili, lecz zdaje się, że na wiatr, i w bok się rzucili. Jaka była moja radość, gdym się spotkał z pierwszym naszym ułanem z tyralierów, od którego dowiedziałem się, że to nasz korpus idzie, który, odebrawszy rozkaz, inną drogą już posłany, obrócił z traktu mścisławskiego w prawo i manewrami przez lasy i błota przebierał się do wielkiego gościńca. Popędziłem do swoich i spotkałem Zajączka, manewrującego z resztą swojej dywizyi w awangardzie, a zaraz za nim Kniaziewicza. Wszyscy mnie witali, jak wracającego z tamtego świata, mieli bowiem przez drugiego oficera, z rozkazem inną drogą jadącego, wiadomość, żem pierwej odjechał i był gdzieś odcięty, a przeto mieli mnie za zgubionego, ile że sami wciąż byli szarpani w drodze przez zgraje oddziałków kozackich, dookoła nich latających, a nie dających ani furażować po stronach, ani spocząć w marszu.

XII.

Wróciłem przecie do mojego korpusu, choć jeszcze nie do mojej dywizyi, lecz jak mebel pożyczany do Zajączka. Bezpiecznie maszerowaliśmy wielkim gościńcem, którym przed nami w wilię przeszła brygada francuska, a od tyłu już zaczęły dochodzić furpoczty. Dochodząc do Krasnoj, usłyszeliśmy od strony miasta gęste strzały piechoty, a nawet niekiedy lekkiej artyleryi. Widząc wyraźnie, iż brygada francuska ucierała się z nieprzyjacielem, pośpieszył nasz korpus szybkim krokiem i gdy nadszedł do

miasta, zastaliśmy bój po wszystkich ulicach, albowiem daleko większe siły z korpusem generała rosyjskiego Witgensteina, chcąc nam przeciąć drogę, napadły na brygadę francuską, która i tak osłabiona, a nieszczęsnym popłochem maruderów zdemoralizowana, z razu uformowana w czworoboki broniła się, później do kościoła zrejterowała i tam, zatarasowawszy się, właśnie gdyśmy nadeszli, broniła się z okien. Musiałaby się poddać, gdyby nie nasze nadejście, choć i tak nie mogliśmy wszyscy działać. Znowu nagła zmiana powietrza, po deszczu mocny mróz, sprowadziła ogromną gołoledź, tak, iż działa, wejść do miasta nie mogąc, musiały być przez piechotę ciągnione, oprócz zaś wojska rosyjskiego, bijącego się z Francuzami w mieście, stała jeszcze na polu kolumna nieprzyjacielska, obserwująca trakt wielki, a więc nas na flanku trzymająca. Dywizya Kniaziewicza, wtenczas idąca w awangardzie, bez dział, weszła krokiem do ataku w ulice miasta i prawie bez wystrzału bagnetami wyparła oddziały, ucierające się po ulicach z garstkami Francuzów, oraz szturmujące do zamkniętych w kościele, tak, iż uwolniła brygadę francuską, tym atakiem sparaliżowaną. Później, połączywszy się z nimi, przyszli nam na pomoc, albowiem my z dywizyą Zajączka, nie wchodząc do miasta, rozwinęliśmy się przeciw stojącej na naszem prawem skrzydle kolumnie nieprzyjacielskiej. Nadciągnął też podpułkownik Walewski z artyleryą i pod naszą asekuracyą postawił na górze bateryę. Nieprzyjaciel też miał swoją zakrytą i zaczęła się między nami kanonada, a pułk 3-ci piechoty Blumera poszedł do nich na bagnety, lecz i to miało ten jedynie skutek, iż paraliżując ich ruchy, nie dało im możności pójść w pomoc bijącym się w mieście za nadejściem Kniaziewicza, lecz nakoniec gdy dywizya Kniaziewicza bagnetami wyparła z miasta Rosyan, a oswobodzeni Francuzi zaczęli uciekających wypierać bagnetami, zrobił się ruch i w kolumnie, która nas mocno prażyła, a wtenczas ruszyła się ku miastu dla dania pomocy swoim, a gdy się oba oddziały połączyły, szybkim krokiem cofnęli się od miasta, zostawiając nam jedno działo, które nasza artylerya im zdemontowała.

Bitwa ta trwała wszystkiego dwie godziny, a dla nas ledwo godzinę, gdyż jeszcze przed nadejściem naszem długo się ucierano po ulicach, mieliśmy jednak dużo rannych i zabitych. Zginął na miejscu od kartacza obok mnie stojący podporucznik Taroni z naszego sztabu, tylko co od Kniaziewicza przysłany; mnie tylko konia lekko kula karabinowa w zadnie udo raniła, a druga przestrzeliła bermycę, lecz trzeci pułk Blumera, który

szedł na bagnety, dużo od flankowego ognia kartaczowego ucierpiał. W dywizyi Kniaziewicza mniej mieli zabitych, bo między domami armatki lekkie nieprzyjaciela nie mogły działać, a więcej bito się strzelaniem ręcznem i na bagnety. Jak tylko kolumna rosyjska odstąpiła, cały nasz korpus połączył się w mieście i obstawiwszy grand-gardy i forpoczty dokoła, stanął na rynku, albowiem trzeba było koniecznie dać ludziom wypocząć i pożywić się po trzydniowym nagłym marszu bez żadnej żywności i spoczynku. Byliśmy cokolwiek spokojniejsi, gdyż nasze forpoczty dały nam wiadomość o zbliżających się forpocztach kolumny francuskiej, idącej za nami. Lecz nie było czasu do stracenia. W mieście nie zastaliśmy żywego ducha, oprócz Francuzów, a zatem nic do jedzenia z wyjątkiem koni zabitych i rannych, bo pewnie jeśli nawet było co dawniej, to zjedli koleżki. Żołnierze więc zabrali się do zapalenia ognia dla ogrzania się i pieczenia końskiego mięsa, a kawalerya z asekuracyą ruszyła na blizkie wsie za jakimkolwiek furażowaniem. Mając konie zgłodniałe i ja udałem się z tą kawaleryą, wziąwszy z sobą mego Karola i furgonistę Piotrka z Karniewic. Bystre ich oczy dojrzały na łąkach jeszcze nie całkiem rozebrany stóg siana, opuściliśmy kawaleryę, która raczej dążyła do wioski w nadziei zyskania coś bydła, a my prosto do stogu po siano, lecz o mały włos wszyscy trzej nie padliśmy ofiarą tej spekulacyi. Dojechaliśmy szczęśliwie do stogu, ludzie moi najspokojniej powiązali w postronki ogromne wiązki siana, lecz gdy wracamy stępa do miasta, wtem z poblizkich krzaków wypadło na nas kilkunastu kozaków. Ja na moim myszatym kozaczku, będąc dalej trochę od nich, drapnąłem szczęśliwie i dopadłem do oddziału kawaleryi, która już jakiegoś bydlaka ze wsi prowadziła, widziałem zaś na moje oczy, jak kozacy moich ludzi zakłuli i konie zabrali. Wprawdzie, ponieważ ich było mało, więc rzucili się za nimi nasi ułani, lecz było zapóźno, nasze konie były znużone, a kozackie żywe, raźne, więc dognać ich nie mogli, ale doszedłszy do miejsca, znaleźli mego Piotrka zabitego lancami, a Karola zdrowego, bo ten mądry, gdy widział, co się z furgonistą dzieje, rzucił się na ziemię i pod wiązki siana schował, a tak choć go kłuli, to siano go osłaniało, i tylko parę lekkich draśnięć po udach oberwał. Zabrali siano i przyprowadzili Karola pół martwego ze strachu.

Bardzo żałowałem poczciwego Piotrka, a Karolowi musiałem innego dać konia. Gdym wrócił do Krasnej, już nadszedł korpus francuski i zajął miasto, a nam dano rozkaz, byśmy wyruszyli dalej, dość, że ledwo mogli nasi biedni żołnierze surowej nawpół

koniny po kawałku przekąsić. O milę dalej spotkaliśmy idącego chłopa ruskiego bez butów po śniegu, który doszedłszy do nas, chciał widzieć się z Zajączkiem. Gdym go przyprowadził do generała, oddał mu depesze. Był to Komorowski, oficer z pułku 6-go dywizyi Dąbrowskiego, który, umiejąc dobrze po rusku, przebrał się za chłopa, bojąc się być od kozaków zabranym, a to zyskał, że go Francuzi ze wszystkiego, nawet z butów, obdarli. Przyniósł wiadomość, że Dąbrowski ze swoją dywizyą przyszedł z Mińska do Borysowa i, idąc nam na pomoc, tam czekać będzie na dalsze rozkazy, oraz zarejestrował, że drogi do Borysowa są spokojne, o Rosyanach ani słychać, lecz pełno jest maruderów, zaś dalej drogi od Borysowa do Mińska i Mińsk sam są zagrożone od korpusu rosyjskiego, idącego od Ukrainy. Zaraz Zajączek dał mi rozkaz, żebym jechał natychmiast naprzód do Borysowa z rozkazem do Dąbrowskiego, gdyż korpus nasz był w tak złym stanie, że musiał koniecznie pół dnia zabiwakować. Jakoż nasi w mniej trochę zrujnowanej wiosce stanęli, a powziąwszy wiadomość, że za nami idący korpus francuski także miał rozkaz czekania w Krasnej, cały dzień tamże stali, w wolniejszej okolicy furażowali, coś więcej znaleźli i pożywili się.

Ja zaś znowu z Karolem ruszyliśmy pod wieczór w dalszą drogę, w nocy już dojechaliśmy do miasteczka Sody, napełnionego rojem żydostwa i maruderów; tam przecież, lubo za bardzo drogie ceny, można było chleba, wódki i mięsa dostać. I my i konie nasze byliśmy znużeni i zgłodniali, więc musieliśmy kilka godzin przenocować, ile że mając dach i izbę ogrzaną. Zajechałem do Żyda karczmarza, a przekąsiwszy czegoś, napiwszy się wódki i dawszy koniom nie młóconej gryki, gdym ujrzał w izbie stojące jego łóżko, napełnione zwykłemi w kraty betami żydowskiemi, choć tak brudnemi i śmierdzącemi, że pewnie teraz nie chciałbym się ich dotknąć do obtarcia zabłoconych butów, wówczas po kilkodniowej na deszczu, błocie i śniegu szarudze z chciwością rzuciłem się w nie i nie wiem czym już leżał, gdym spał jak zabity. Lecz niedługo trwał ten miły sen, gdyż wkrótce po mnie nadjechał jakiś generał francuski ze swoimi adjutantami, którzy ani pytając się, kto tu leży, za buty mnie wzięli i nieobudzonego z łóżka na ziemię tak raptownie ściągnęli, żem głową o ziemię uderzył, aż mi siniak na czole wystąpił, alem znowu choć na gołej ziemi, zasnął i do rana dospał, nic wiedząc, co się stało, aż gdy ujrzałem, że na mojem miejscu leżą i śpią ów generał i oba eleganckie, francuskie adjutanty. Znowu ruszyliśmy dalej, lecz nie tak daleka była moja podróż, jak byłem wysłany,

albowiem w Dobrownie, spotkałem szwadron naszych ułanów dywizyi Dąbrowskiego, a podług danej mi instrukcyi Zajączka, oddałem im rozkaz do Dąbrowskiego, z którym dalej pojechał kapitan Bromirski, a ja na poczcie, zastawszy grzeczne panny pocztmistrzówny i eleganta pisarza pocztowego, młodego jezuitę, którego im dodano jako dobrze znającego francuski język, u nich się wygodnie rozlokowałem, czekając na nadejście naszego korpusu, co tem szczęśliwszem było dla mnie zdarzeniem, iż znów zmiana pogody sprowadziła ogromne śniegi, które drogi zasypały. Cały dzień tego spoczynku, wygody i pożywienia dodał mi siły i poratował za czas przeszły, rozweseliły mię stosunki owego pisarza jezuity z pannami pocztmistrzównami, które w rozmowach ze mną nie przestawały opisywać rozkoszy i zabaw u OO. Jezuitów w Witebsku, odbywające się tam u nich widowiska, odpusty, fajerwerki i t. p., lecz niewdzięczny jestem, gdy to wyjawiam, bo powinienbym raczej milczeć za dobre schronienie, jakiego u nich doznałem.

Nazajutrz pod wieczór nadszedł nasz korpus, ale w jakże smutnym stanie! Ledwo półtora dnia minęło, jakem go opuścił, a nieszczęśliwy ten zmienny klimat więcej mu szkody zrządził, niż w innym czasie mógłby zrobić cały tydzień marszu. Jak mówiłem, wczorajszego dnia i nocy ciągle walący płachciasty, mokry śnieg tak pozawalał drogi, że nietylko, iż wszyscy ludzie musieli po kolana kopać się w śniegu, lecz nadto sami dźwigać działa i furgony, które inaczej byłyby zostały na drodze; wszystkie nasze sztabowe, bryczkowe i furgonowe konie podoprzęgano do armat, a nasze bryczki z drogi pozrzucano.

Nie zabawił nasz korpus i godziny w Dobrownie, gdyż nadszedł inny. Mieliśmy conajmniej godzinną przez Dniepr przeprawę, gdzie wysokie brzegi i zjazd przykry do rzeki, a jeszcze gorszy wyjazd, spowodowały, że dla uratowania w całości jeszcze zostającej artyleryi o milę drogi prawie musieliśmy na rękach armaty przenosić i drągami dźwigać. Nocleg wypadł nam w dość porządnej wiosce, lecz odtąd zaczęły nas, pomału się ze śniegów dźwigających, mijać en debandade czyli w nieładzie, małe korpusy francuskie, które nietylko, iż nam, idącym w awangardzie drogi tamowały, lecz nawet pozbawiały wszelkiej żywności i furażów w dalszej drodze, a co gorsza, rabowały i paliły. Ponieważ miasto obwodowe Orsza miało swój etap i tam mieliśmy rozkaz dzień spocząć, przeto w nocy zaraz wyprawił mnie Zajączek z ordynatorem Darowskim dla przygotowania kwater i żywności. Stanęliśmy nazajutrz rano, ale już nic nie zastaliśmy, wszystkie do-

my w mieście już były zajęte przez bezbronnych maruderów uciekających wszelkich stopni, a magazyny rozszarpane; wreszcie nadszedł szwadron gwardyi litewskiej Konopki, nowo się formujący i kompania ułanów z dywizyi Dąbrowskiego, wszyscy świeżi, zdrowi i niezmęczeni, bo się dotąd nie bili. Wypędzili oni połowę maruderów z miasta, sami poszli na wsie i dla nas przypędzili pewną ilość bydła i baranów, a my dla sztabu zajęliśmy opuszczony klasztor OO. Jezuitów, w którym, jakby na próbkę, jeden tylko stary jezuita pozostał dla pilnowania kościoła i temu nie zapomnę wdzięczności za dużą porcyę kartofli, słoniną okraszonych, którą mi jedynie mógł użyczyć, a którą zgłodniały, z wielką chciwością pożarłem. Od Orszy, gdzie prawie cały dzień odpoczywał nasz korpus, już przestaliśmy robić awangardą retrety, gdyż przez ten czas mijały nas rozmaite korpusy francuskie, choć z niektórych tylko szczątki, ale nietylko nic nie zyskaliśmy na tej zmianie szyku, lecz ta właśnie stała się dla nas niszczącą i zgubną. Mieliśmy bowiem przed sobą masy ludów, po większej części bez ładu, porządku i subordynacyi pchających się i co tylko było zabierających i niszczących resztę, wchodziliśmy w ich ślady, zastając po nich same pustki i zniszczenie, oraz drogi, mosty i domy zupełnie zniszczone. Doznawaliśmy więc głodu i nędzy przy zupełnej niemożności ratunku i pokrzepienia już i tak sił zniszczonych, a będąc w awangardzie parci ze wszech stron rojami brzęczących około nas kozaków, już nigdy odtąd, obok zupełnego głodu, nie mieliśmy ani jednego dnia ani nocy wolnych dla najkrótszego choćby spoczynku.

W tym dniu Napoleon nas minął, otoczony starą gwardyą i resztkami rozmaitych oficerów, którzy, utraciwszy swych żołnierzy, zostali bez wojska i sami z siebie uformowali jakby rodzaj przybocznej honorowej straży, co tworzyło dość dziwaczne widowisko mieszaniny rozmaitej broni. Zaraz wyszedłszy z miasta, może o pół mili, ujrzeliśmy osobliwszy, a może jeszcze nigdy nie widziany, obraz zniszczenia. Na polach obszernych i płaskich, małą rzeczką błotnistą Uhla przeciętych, przy moście, przez tęż rzeczkę idącym, stanął sam Napoleon, otoczony żandarmami d'elite gwardyi, których wzdłuż brzegów rzeki rozstawił, żeby mu nikt, zjechawszy z traktu, nie wymknął się, tak, iż każdy korpus, a nawet ich cząstki lub sztaby, ranni, chorzy, parki, furgony, zgoła wszystko musiało przed nim przechodzić. Zima i nędza zniszczyła więcej niż połowę koni w artyleryi i pociągach wojsk francuskich. Artylerya więc w tej chwili nie miała możności postąpienia dalej ani jednego kroku, osobliwie po drogach świeżo za-

sypanych ogromnemi śniegami. Panowie generałowie, sztabowi, a nawet ordonatorzy, doktorzy, magazynierzy i t. p., tak francuscy, jak i ligi reńskiej, obładowani mnóstwem łupów nieprzyjacielskich w Moskwie, Kałudze, Smoleńsku i okolicach zdobytych, mieli ilość niezmierną karet, koczów, bryk i kibitek, co podwajało masę armii, a ciężyło marszom, przeto postanowił Napoleon i tego nawału się pozbyć i artyleryę swoją od wyraźnej zguby uratować. Tu zatem postanowiono i wykonano wyraźne zniszczenie bagażu. Szczęśliwy, kto w wilię przybycia Napoleona przez ten most przeszedł, a stokroć szczęśliwszy, kto się dawniej jeszcze wymknął. Sam Napoleon wraz ze swymi sztabowymi zaczął od swoich bagażów, a stoczywszy je na bok, kazał konie wyprządz i podoprzęgać je do armat, a powozy przewrócić i zapalić, który to przykład stał się hasłem dla wszystkich następnych korpusów. Oficerowie, bez wojska jadący w jego eskorcie, jego adjutanci i sztabowi, sami potraciwszy swoje, nikomu też nie darowali, tak, że gdyśmy nadeszli, już była na polu przy drodze druga Moskwa w karykaturze, to jest stosy palących się karet, koczów, bryk, wózków i t. p. Zostawiono ledwo te, które wiozły rannych lub chorych, a nie więcej nad jedną bryczkę na dywizyę dla generała. My w naszym korpusie, oprócz jednej wielkiej budy brodzkiej majora Uszyńskiego, niceśmy nie mieli do stracenia, gdyż gorliwsi od nich w służbie sami generałowie od Smoleńska to zrobili dla nie stracenia żadnego działa, to też nic nam nie spalono, bo nie było co palić, ale ciężko jest opisać rozpacz i płacz Francuzów, Bawarów, Westfalów, Hessów i t. p., gdy zabierano i palono cały plon ich pracy, niebezpieczeństw i trudów. Zabierali na siebie ile mogli kosztowności, resztę zaś żołnierze po tornistrach pakowali, lecz większa część stała się pastwą płomieni. A więc tym sposobem pomnożona liczba koni u dział dalej one wyprowadziła, gdy zaś nam nic więcej nie przybyło, oprócz czterech opasłych koni Uszyńskiego i kilku niepotrzebnych wierzchowców, generał Zajączek otrzymał rozkaz, żeby mniej potrzebne działa zagwoździł i zniszczył, jakoż natychmiast, gdyśmy minęli tę rzekę, dał mi na to streszczone rozkazy i instrukcye. Wprzódy atoli przywołał do siebie adjutanta sztabu swego, Sobiewskiego, i posłał go na rekonesans do miejsca, gdzie, jak sądził, najlepiej będzie ukryć te działa. Lecz Sobiewski lubo odjechał, podobno z tchórzostwa, wcale nie dojechał do wskazanego sobie lasu i wrócił; staliśmy właśnie z korpusem na drodze krzyżowej, z których jedna prowadzi z Orszy do Szkłowa. Zajączek, wysławszy tą właśnie drogą Sobiewskiego, snadź nie

dowierzając mu, wciąż za nim przez lunetę patrzył, i widać że dostrzegł niedopełnienie rozkazu, gdyż skoro wrócił, najokropniej go przed frontem zbeształ i aresztował, a mnie zaraz wyprawił. Dojechałem do wskazanego lasu, nikogo nie spotkawszy i nawet znaku żadnego nieprzyjaciela nie dostrzegłszy, co gdym Zajączkowi doniósł, kazał mi wziąć przeznaczone trzy działa i przy pomocy saperów w najgęstszej części lasu je zakopać. Wszystko najspokojniej nam się udało i w niespełna godzinę doły zostały wykopane i działa same bez lawetów głęboko zagrzebane, a dla lepszego ich ukrycia na pagórkach krzyżyki jakby na grobach wystawiono i mnóstwem gałęzi zarzucono, lawety zaś do korpusu odprowadzono i spalono.

Jużeśmy kończyli nasze zlecenie, gdy się dał słyszeć tętent koni na blizko idącym trakcie, co nas przejęło obawą, że będziemy odcięci lub napadnięci przez okrążających nas ciągle kozaków, lecz pocieszeni a zarazem uradowani zostaliśmy widokiem dwóch kibitek kantynierskich rosyjskich, które, snadź zdaleka nasz korpus ujrzawszy, uciekały ku Szkłowu, a które udało się nam złapać, bośmy im drogę ucieczki przecięli. Ucieszyliśmy się, że w tej biedzie, niedostatku i głodzie pożywimy się ich łupem, przekonaliśmy się jednak, że lubo obładowane towarem, niestety, nie były to kibitki kantynierskie, a więc wiozły nie żywność, lecz mydło, świece łojowe, ryż, herbatę i t. p. Zresztą i to było niezłą zdobyczą, z którą wzamian za zakopane działa wróciliśmy do naszego korpusu. Przez ten czas krótkiego spoczynku ciągle nas mijały zgraje wojsk w nieładzie, a skoro wróciłem z owego smutnego pogrzebu, prowadząc małą zdobycz, zaraz ruszyliśmy dalej za wojskiem. Niedługo doszliśmy do sporego miasta Bobrza, które zdaleka czyniło nam nadzieję dostania przynajmniej kwatery pod dachem, lecz niestety, zanim doszliśmy do miasta, kochani nasi poprzednicy, złupiwszy miasto ze wszystkiego, co tylko znaleźli, dla zabawy w kilku miejscach zapalili domy i gdyśmy do przedmieścia doszli, ukazała nam się jedynie ogromna masa płomieni. Nigdy w mojem życiu takiego nie widziałam ognia. Całe miasto było drewniane, a na środku rynku stał wysoki, kilkopiętrowy ratusz także drewniany, z wyższą jeszcze nad sobą wieżą. Gdy go ze wszystkich stron ogarnęły płomienie przy mocnym wietrze zrobiła się ogromna chorągiew ognista całą okolicę oświecająca, która aż po zupełnem ratusza zawaleniu zniknęła. Nie mogąc już nawet przez ogień i walące się domy przejść traktem, musieliśmy z wielką pracą i mozołem po błotach, zawałach i śniegu obejść miasto dokoła, a dopiero na drugiej stronie na wzgó-

rzach mogliśmy stanąć. Musieliśmy tu nocować, napróżno jednak wszelkiego dokładaliśmy starania i pracy, żeby w tej blizkiej wiosce czyli przedmieściu, nie spalonem, znaleźć jaką chatę lub przynajmniej dach do schronienia przez noc dla naszych starych generałów i dla nas. Wszystko było zajęte i, mogę powiedzieć, przepełnione oficerami, żołnierzami i maruderami, nareszcie dali nam znać nasi, że gdzieś w ogrodzie stoi dom, choć bez drzwi i okien, ale próżny i cały, natychmiast tedy cała nasza starszyzna tam wyruszyła. Nas kilku (adjutantów), obawiając się, żeby nas inni nie uprzedzili, ruszyło naprzód, jako kwatermistrze. Lecz cóż nas tam za widok czekał! Dom ten musiał niegdyś za lazaret służyć i na w połowie już zmierzwionej słomie leżało kilka nadgniłych trupów; mróz ich jedynie od zupełnego spróchnienia i fetoru ochronił. W innym czasie byłoby to pewnie odrazą, a w stanie nędzy, w której zostawaliśmy, stało się ratunkiem, bo innych, może delikatniejszych, odegnało od tej ostatecznej naszej głównej kwatery. Nie było czasu do stracenia, ani ludzi do pomocy, bo każdy musiał o sobie w tej złej doli myśleć, a więc my sami bez namysłu powynosiliśmy nieboszczyków na dwór, i sami, tylko przewróciwszy i poruszywszy to ostatnie ich posłanie, pokładliśmy się na niem, a wkrótce za nami przybyli nasi generałowie i pozasypiali zapewne lepiej, aniżeli na własnej, miękkiej pościeli.

USTANOWIENIE CENZURY

w Królestwie Kongresowem.

II.

Z polecenia danego przez Namiestnika 13 lipca 1819 r. wywiązała się dokładnie Komisya Spraw Wewnętrznych i Policyi. Podobną uległość i pośpiech wykazała Komisya Wyznań i Oświecenia w dopełnieniu woli królewskiej z 8 czerwca, przesłanej przez Namiestnika komisyi 22 czerwca. 15 lipca Staszic w zastępstwie opozycyjnie nastrojonego Potockiego złożył Namiestnikowi projekt do statutu organicznego; były to przepisy administracyjno-policyjne, które miały zabezpieczając zawarowaną przez konstytucyę wolność druku, zarazem zapobiegać jej nadużyciom.

Projekt ten zbliżony był do projektu z r. 1816, przystosowany jednak do nowych rozporządzeń. Zawierał tytułów 4, artykułów 35. Tyt. I obejmował przepisy względem dzieł w kraju wydanych. Wzbroniono mianowicie pod groźbą odpowiedzialności sądowej dzieł, któreby wykraczały przeciw kodeksowi karnemu, przeciw artykułom o przestępstwach stanowiących obrazę religii, o przestępstwie ubliżania monarsze i jego rodzinie, o wystawianiu na wzgardę konstytucyi krajowej; o znieważaniu władz krajowych lub pojedyńczych urzędników, o publikowaniu praw i postanowień rządowych bez zalecenia władzy właściwej, tudzież o pobudzaniu mieszkańców przeciw zwierzchności, o pismach i drukach dobrym obyczajom przeciwnych. W celu zapewnienia odpowiedzialności obowiązani byli autorowie, ewentualnie właściciele drukarni lub dyrektorzy teatrów, umieszczać swe nazwisko na

każdej książce drukowanej, zaś drukarnie i księgarnie winny donieść o swem powstaniu Komisyi Spraw Wewn. za pośrednictwem władz municypalnych, w przeciwnym razie uważane być miały za pokątne.

Tyt. II omawiał cenzurę dzieł; pozostawiał mianowicie cenzorów-doradców z projektu 1816 r. dla dzieł nieperyodyczno-politycznych, zależnie jednak od woli autorów i t. d., by w wypadkach wątpliwych mogli zwolnić się od odpowiedzialności. Art. 12 orzekał: „Co do wydawców pism polityczno-peryodycznych, dzienników, gazet etc., ci obowiązani będą poddawać pisma swoje cenzurze stosownie do postanowienia administracyjnego z 22 maja.“ Dawne określenie „zgadza się z przepisami“ lub „sprzeciwia się przepisom,“ miały być zastąpione przez „może być wydane na widok publiczny“ lub „nie może...“ Wydawcy takich pism mogli się odwoływać od cenzorów do Komisyi Wyznań i Oświecenia, przed którą cenzura była odpowiedzialna oraz która miała wydawać dla cenzury instrukcye.

Tytuł III: „O sposobie postępowania przeciw wykraczającym“ zobowiązywał cenzorów między innemi do baczenia z urzędu na wszelkie dzieła w kraju drukowane. Tytuł IV: „O karach na wykraczających przeciw niniejszemu postanowieniu“ określał kary pieniężne, zaś na redaktorów pism polityczno-peryodycznych, niepoddających tych pism pod cenzurę, nakładał karę wstrzymania dzieła oraz wysoką pieniężną; księgarnie pokątne policya miała prawo zamykać i nakładać na nie kary pieniężne. Opłaty karne przeznaczone zostały na szpitale.

Kopię powyższego projektu przesłano z kancelaryi Namiestnika Nowosilcowowi.

27 lipca, T. Grabowski, główny sekretarz Rady Stanu, oddał pod nieobecność Namiestnika, a z polecenia Komisyi Wyznań i Oświecenia projekt referendarzowi stanu Żochowskiemu do zreferowania, poczem do wniesienia go na pierwsze posiedzenie ogólnego zgromadzenia Rady stanu. Żochowski złożył raport w sekretaryacie stanu 18 sierpnia, to znaczy już po zaszłych nowych wypadkach, mianowicie, po rozciągnięciu cenzury na wszystkie dzieła; pomimo to referent bronił projektu komisyi.

Powołując się na konstytucyę, „najzaszczytniejszą prerogatywę, a razem najmocniejszą rękojmię wszystkich innych praw i swobód,“ stwierdzał, że „wolność druku nie może być wystawiona w myśli obok cenzorów, bez których by pozwolenia drukować nie było wolno,“ sam więc ten wyraz (wolność druku) w konstytucyi wzięty, wskazał potrzebę uchylenia cenzury. Projekt

właśnie zastrzega wszystkim wolność drukowania dzieł, wyszczególnia zarazem wszystkie wypadki nadużycia, które kodeks umieścił w rzędzie przestępstw. Instytucya cenzorów-doradców służyć ma w tym celu, by w troskliwości o dobro publiczne zapobiegać w delikatniejszych materyach przestępstwom, które rodziłyby się z niewiadomości, o ile jednak to zapobieganie nie narusza wolności druku, a więc zostawione jest dobrej woli autorów; przedstawia zaś podwójną korzyść: że może zapobiedz wielu uchybieniom prawu oraz że przenosząc odpowiedzialność z autorów na cenzorów, „spokojnych uczonych do śmielszego pracowania może zachęcić.“ Dalej referent wyjaśniał, dlaczego urządzenie dla wszystkich autorów nie mogło być zastosowane do wydających gazety i dzieła polityczno-peryodyczne; mianowicie pisma te mają wielu czytelników, piszą o „rzeczach obecnych“ i dlatego z większem zajęciem i niejaką namiętnością są rozbierane, działają na umysły i ogólniej, i mocniej, wreszcie dają wiadomości, których skontrolować niepodobna, dlatego „nawet kiedy publiczność fałszywem doniesieniem oszukują, budzą w niej drażliwe namiętności i zamieszanie sprawić mogą.“ To sprawia, że w wielu krajach wyższem nawet oświeceniem celujących, pisma te podlegają cenzurze. Wreszcie referent proponował drobne zmiany.

Raport Żochowskiego nie został już wniesiony na posiedzenie Rady stanu, wraz z projektem pozostał w papierach głównego sekretaryatu tej Rady.

We wrześniu t. r. Namiestnik wezwał znowu Komisyę Wyznań i Oświecenia, ażeby „zająwszy się z całą usilnością ułożeniem projektu do prawa względem wolności druku, mającego być na przyszły sejm wniesionym,“ przedstawiła go w czasie właściwym.

Samowolne postanowienie Namiestnika pośrednio sankcyonował król; mianowicie 13 grudnia t. r. minister Sekretarz stanu przesłał Namiestnikowi instrukcyę do wypracowania projektów: o wolności druku i o wolności osobistej. W sprawie wolności druku doniósł Sobolewski, że jeżeli art. 16 zastrzegł, że prawo przepisze środki do ukrócenia (réprimer) nadużyć, to prawo to może obmyśleć zarazem środki zapobieżenia (prévenir) jej nadużyciom; w ten sposób wystawi najpewniejszą rękojmię przeciw dowolnym organom władzy publicznej, która w przeciwnym wypadku bywa zmuszona w razach potrzeby własne wydawać rozporządzenia tam, gdzie prawideł brakuje. A zatem, zostawiając wprawdzie ostateczne załatwienie sprawy prawu, z artykułu Ustawy, zabezpieczającego wolność druku i dozwalającego ukrócać jej na-

dużycia, król wyprowadził możność zapobieżenia jej nadużyciu czyli cenzury prewencyjnej.

Tymczasem cenzura utrzymała się w dotychczasowej formie nadanej jej przez rozporządzenia Namiestnika. Wykonywanie cenzury dostało się w ręce przeważnie osób duchownych.

W województwie Mazowieckiem dokonano w grudniu r. 1819 podziału pracy w wydziale oświecenia w komisyi wojewódzkiej i rozebrano między siebie cenzurowanie pism warszawskich. Ks. prałat Bohusz podjął się cenzury obydwu gazet warszawskich publicznych, sztuk wszelkich teatralnych, „Pamiętnika Warszawskiego," „Tygodnika," pism wszelkich politycznych. Kanonik Czarnecki — dzieł historycznych, geograficznych, należących do poezyi i wymowy, pedagogicznych, „Pamiętnika Naukowego," „Gazety Wiejskiej." Ks. Bystrzycki, rektor szkoły wojewódzkiej warszawskiej—dzieł matematycznych, chemicznych, teologicznych, duchownych, moralnych, filozoficznych wszelkiego rodzaju. Ks. Lauber przy kościele ewangelickim—wszelkich dzieł niemieckich, wszelkich tłómaczeń z języka niemieckiego na polski oprócz sztuk teatralnych, dzieł ekonomicznych, technologicznych. Jedyny cenzor świecki Dzwonkowski żadnego działu pracy na siebie nie wziął. Powyżsi członkowie cenzury podjęli się „tak ważnych i znacznych prac," „z samej tylko gorliwości o dobro publiczne" czyli bez wynagrodzenia. Wzięli się narazie energicznie do pracy, prosili o przydanie do pomocy nowych członków, „osób znanych z światła swego i moralności:" ks. Szaniawskiego, kanonika i profesora prawa w uniwersytecie oraz Zabellego, profesora filozofii w uniwersytecie warszawskim; prosili, aby Komisya Wyznań i Oświecenia ponowiła rozkaz do drukarzy w Warszawie, żeby nie ważyli się żadnego dzieła przyjąć do druku bez zezwolenia i podpisu cenzora, aby dzieła ocenzurowane umieszczały nazwisko cenzora oraz by manuskrypty przeglądane przez cenzora pozostawały dla kontroli u niego.

Pomimo energicznego zapoczątkowania pracy, władze wyższe nie były zadowolone z cenzorów. Opozycya nie została jeszcze całkowicie zduszona, budziło się coraz większe zainteresowanie do spraw publicznych. Nawet „Pamiętnik Warszawski," którego współredaktorem został w końcu r. 1819 K. Brodziński, teoretycznie wprawdzie i czerpiąc ze źródeł obcych poruszał sprawy ogólnego znaczenia. Charakterystyczny był artykuł „O wpływie rządu na nauki i nauk na rządy," tłómaczony z niemieckiego, gdzie wypowiedziany został pogląd, że rząd nie powinien przeszkadzać, lecz szanować wolność myślenia, inkwizycya szkodliwą jest w dzie-

dzinie nauk, zaraża powietrze, tamuje oddech; tłómacz zaś W. w przypisku objaśniał, że autor mówi tu o cenzurze, która w owym czasie w niektórych krajach wszelkim badaniom tamę kładła, a któryżby miłośnik prawdy i dobra ludzkiego nie oburzył się na takowe znieważenie czystości chęci i wolności duszy człowieka? Dalej autor rozprawy wyrzekał, że książka która przechodzi przez dziesięć cenzur, jest płodem inkwizycyi, zbiczowanym, z kneblem w ustach, nieszczęśliwym niewolnikiem; rząd jednak, dodawał autor, musi wybierać książki. Z tem zdaniem nie zgadzał się tłómacz polski, który w odnośniku zwracał uwagę, że nie zawsze najwyższa mądrość z wielką siłą panuje; dobry i czuły rząd może wolnością kierować, ale tak, żeby przeciw omamieniu i błędowi nie zakaz stawiał, ale niezwyciężoną siłę dobrze wystawionej prawdy; do tego nie zbraknie mu środków, jeśli najlepsze głosy do działania i pomocy przywoła.

W innym artykule: „Rzut myśli jak duch czasu wpływa na prawodawstwo," mówił autor o wolności, która winna być nietykalną własnością każdego obywatela; podobne zasady powinny być wskazówką dla rządu i dla rządzonych, a zawarte są w konstytucyi Królestwa; pracodawcy i wykonawcy niech pilnują, by byli w zgodzie z konstytucyą; „oświecajmy się nawzajem, przyjmujmy dobre prawa z powolnością, o usunienie złych czyńmy przełożenie z uszanowaniem."

W innym numerze zamieszczono artykuł, tłómaczony z niemieckiego, o wolnomularzach, związku poświęcającym się „czystej ludzkości," artykuł utrzymany w tonie sympatyi, choć nie bez krytyki w stosunku do masonów.

Cenzura ks. Szaniawskiego, na którego przeszedł obowiązek kontrolowania „Pamiętnika," podobnym artykułom nie stawiała przeszkód.

W dziennikarstwie tradycye „Gazety Codziennej" i „Kroniki" podjęli ich wydawcy w „Orle Białym" we wrześniu 1819 r., dając motto nowemu pismu: „Prawo i prawda." Że dawano pilne baczenie w Komisyach na pisma polityczne, dowodzi tego między innemi fakt, że natychmiast po ukazaniu się pierwszego numeru „Orła," minister Policyi zwrócił się do urzędu municypalnego, żądając niezwłocznego raportu, czy „Orzeł Biały" wychodzi za wiadomością urzędu i policyi i czy poddany jest cenzurze; jednocześnie zaś zwróciła się Komisya Spraw Wewnętrznych do Dyrekcyi Policyi i Poczt oraz do prezydenta z zapytaniem, jakie środki zostały podjęte do zasięgania wiadomości o pismach wszelkiego rodzaju drukujących się i czy przedmioty w druku będące poddane

były wedle przepisów rządowych cenzurze oraz czy potrzebne są w tym przedmiocie policyi jakie ułatwienia; poleciła wreszcie Komisyi Oświecenia, by „ostrzedz prezydenta o cenzurach i cenzorach wyznaczonych.“ Kontrola ta jednak zorganizowana nie była, urząd municypalny tłómaczył się, że ani cenzura dzieł, ani szczególny nad drukarniami dozór nie został mu poruczony. Przy zbadaniu sprawy „Orła Białego“ okazało się, że I jego tom wyszedł bez wiadomości urzędu, a pismo to ogłosiło właśnie program swej działalności na przyszłość, obiecując mianowicie podawać „krótkie zebranie politycznych zdarzeń, wypadki w samem Królestwie przytrafione.“

„Orzeł Biały“ w dalszym ciągu opierał się na publicystyce francuskiej, która wypowiadała się podówczas śmiało, swobodnie, przedrukowywał rozprawy Pradta, zwłaszcza artykuły Constanta, który „z gorliwością rozsądną bronił swobód;“ podawał wiadomości dokładne o walkach konstytucyjnych na Zachodzie, gdzie panował „pokój niespokojny,“ o rozruchach wewnętrznych w Anglii, Hiszpanii, Niemczech i Ameryce, zajmował się szczególnie sprawami publicystyki i wolności druku w Europie, popierając opinię francuską, iż „pisma peryodyczne nie są twórcami, ale jedynie tłómaczami opinii powszechnej;“ „wolność druku powinna być zaręczona w państwie konstytucyjnem, nadużycia mogą być przedmiotem prawodawstwa;“ „tłumienie wolności druku nie niszczy wrogiej opinii, lecz tai ją“ i t. p.

W stosunku do spraw polskich redaktorzy (dział polityczny, prowadził przeważnie Br. Kiciński) stali na stanowisku monarchii konstytucyjnej, nie szczędzili wyrazów miłości do króla „nasz Ojciec jest między nami“—w czasie październikowej bytności Aleksandra I w Warszawie. Interesowali się sprawami społecznemi, zwłaszcza w r. 1820 zwrócili uwagę na sprawy narodowe, krajowe, wprowadzili dział „Wspomnień narodowych.“

„Myśli Polaka konstytucyjnego“ dały wyraz kierunku pisma: interes tronu leży w utrzymaniu konstytutucyi, ze strony społeczeństwa należy się wdzięczność dla króla, przywiązanie do swobód konstytucyjnych. Stan społeczny korzystniejszy jest dla konstytucyi w Polsce niż gdzieindziej, stopniowo powstanie harmonia między władzami rządowemi a opinią publiczną. Naród powinien się opierać na mądrości króla i mocy opinii publicznej, zgodnej z wolą monarchy. Posłowie są stróżami swobód publicznych. Z konstytucyą nierozłączna jest opozycya słowa, która zaręcza własność i wolność osobistą, nieskazitelność urzędników; „odkąd pisarze są wolni, wszyscy stali się umiarkowanymi.“

Wreszcie autor żąda przysięgłych dla sądzenia wszelkich przestępstw, przynajmniej zaś przeciw nadużywającym druku. „Pisać, myśleć i czynić będziemy jedynie w sprawie drogiego króla, pożądanego prawa i naszej ukochanej ojczyzny“ — oto wyznanie wiary redaktorów, formułujących ją wedle doktryny konstytucyonalizmu na wzór francuski. W sprawie cenzury trafną czynili wydawcy uwagę zgodnie z ogólnem stanowiskiem: „nie mieszajmy wyrazów: uprzedzić i powściągnąć.“

Gdy gazety warszawskie stare rozsiewały dokoła atmosferę stęchlizny, nie usiłując wyjść poza ramki tradycyjnej rutyny, „Orzeł Biały“ wnosił pewien powiew świeży młodości, pozostawał jednak umiarkowanym, nie przekraczał granic zastrzeżonych przez konstytucyę. Pomimo to cenzura pracowała; do 30 czerwca 1820 r. wykreśliła w „Orle“ 2379 wyrazów; w następnym numerze cenzor Bacciarelli drukował uwagę, że nie zostałyby te wyrazy wymazane, gdyby nie drażliwe pióro uwag nad działaniami rządu lub projekty do lepszego urządzenia administracyi krajowej, gdzie w niewłaściwem świetle wystawiają najlepsze chęci i zamiary władz krajowych; gdy uszanują prawo a wykażą prawdę (aluzya do motta pisma), nauczał wydawców cenzor, nie będą potrzebowali trzymać kontroli wymazanych wyrazów, a cenzura nie będzie miała powodu czynienia im tej nieprzyjemności. Z tonu uwag powyższych wyczuwa się pewną życzliwość cenzora w stosunku do redaktorów, potrzebę usprawiedliwienia swego postępowania.

Kierunek „Orła Białego,“ wystąpienie jego już ocenzurowane, potraktowały jednak władze wyższe, jako nadużycia. Doniósł o nich w raporcie tygodniowym Namiestnik cesarzowi z dokładnem przedstawieniem korespondencyi o wyborach. „Orzeł Biały“ podał wiadomość przysłaną przez jakiegoś obywatela z pod Warszawy, że obywatele jednego powiatu dali dowód, jak strzegą godności narodowej, mianowicie nie mając prawa obioru marszałka sejmikowego, zmusili niegodnego urzędu do złożenia laski, zagroziwszy mu opublikowaniem jego życia; (miał to być Ciemniewski, mianowany marszałkiem sejmiku pow. Hrubieszowskiego). Historya ta niepodobała się cesarzowi, lecz uważał on, że środki przedsięwzięte przez rząd wystarczą, aby ukarać nadużycia, co zależeć powinno od wyboru cenzorów.

Przeciw „Orłowi Białemu“ wystąpili jednak W. Książę i Nowosilcow, korzystając z nowej nadarzonej sposobności.

Wśród dość licznych wiadomości o wyborach „Orzeł Biały“ w artykule: „Nowiny wewnętrzne,“ zamieścił wiadomość (w związku

z wyżej wymienioną) o wyborze Rożnieckiego bezpośrednio po wzmiance o żołnierzu, który boi się prochu; materya była delikatna, aluzya przejrzysta, gdyż Rożniecki miał opinię tchórza. Zbyt blizką była jego osoba dla sfer miarodajnych, by dotknięcie jego opinii miało zostać pominięte milczeniem. Nowosilcow wraz z Namiestnikiem postanowili tę sprawę wnieść na Radę administracyjną. Tymczasem dowiedział się o niej W. Książę; wystąpił namiętnie w obronie honoru wojskowego, zapowiedział, że urządzi redaktorom straszną scenę, a po rozprawieniu się z nimi zobowiązał Kicińskiego do wydrukowania w „Orle“ deklaracyi, że gdy został przekonany, iż artykuł mógł obrazić armię całą, której wartość wszyscy znają, prosi o przebaczenie za to, co w nim było obrażającego dla armii, nadal zaś zobowiązuje się nigdy niczego nie pisać przeciw wojskowym, czy Polakom czy obcym (6 lutego).

Nowosilcow, który otrzymał od Kuruty już wydrukowane odwołanie w celu wydania o niem swej opinii, był mu przeciwny, uważał, że zbyt wiele hałasu w tej sprawie zaszkodzi tylko Rożnieckiemu, a gdy W. Książę upierał się przy odwołaniu, zastrzegając, że nie zamierza bronić Rożnieckiego, lecz armii, Nowosilcow dowodził, że skoro „młodzi ludzie“ przepraszają armię, tem samem stwierdzają, że to co pisali, odnosiło się jedynie do Rożnieckiego. Odwołanie w końcu zostało wstrzymane, zgodnie z wolą Nowosilcowa, któremu W. Książę oznajmił, iż zawsze jest gotów przychylać się do życzeń tych, których cesarz obdarza zaufaniem. Wyjaśniło się niebawem, jakie motywy skłoniły senatora do obrony „młodych ludzi;“ potrafił on mianowicie skierować gniew W. Księcia przeciw cenzurze, której wina w danej sprawie była największa, dowodzi ona bowiem albo złej woli cenzorów albo ich niedbalstwa. Na pogląd powyższy zgodził się W. Książę i postanowiono wystąpić przeciw cenzurze. Po porozumieniu z W. Księciem Nowosilcow wystąpił na posiedzeniu Rady administracyjnej 7 lutego w charakterze pełnomocnika cesarskiego z propozycyą mianowania ad hoc komisyi „do zbadania opieszałości w spełnianiu obowiązków“ przez cenzorów nad artykułami w pismach peryodycznych, gdzie są wstępy „nieprzyzwoite, nieprzystojne i obrażające,“ oraz z żądaniem, by cenzorowie niedbali zostali usunięci.

Cenzura została uchwalona bez wyraźnego współudziału Nowosilcowa; obecnie komisarz cesarski zamierzał przeprowadzić jej sprężystą organizacyę. Pośpiech w postępowaniu Nowosilcowa był zadziwiający. Już na posiedzeniu Rady administracyjnej 8 lu-

tego Namiestnik wskutek porozumienia uprzedniego z senatorem wystąpił w sprawie cenzury; donosił z przykrością o nowych nadużyciach wydawców „Orła Białego," którzy ściągnęli już uwagę cesarza (nie dodał Zajączek, że ta uwaga ściągnięta została przez jego własny raport) i nieukontentowanie W. Księcia. Znając wolę monarszą co do nowych a skutecznych środków (dobór cenzorów), zaznaczył zarazem, że trudno mu wątpić dłużej o niedopełnianiu obowiązków włożonych na cenzorów.

Po treściwem przemówieniu, właściwie zagajeniu sprawy przez Namiestnika, wystąpił Nowosilcow. Przedewszystkiem oznajmił, że z przykrem dostrzega zdziwieniem, iż materye nadużyć wolności druku widocznie i stale usuwają się z pod powagi rządu. Przypomniał, że niedorzeczności, napełniające „Gazetę Codzienną" i „Kronikę" drugiej połowy r. 1819 przymusiły rząd do ustanowienia cenzury dla pism politycznych i peryodycznych i cenzura została opatrzona w stosowne przepisy i instrukcye. Potępiając nawet „Gazetę Warszawską" i „Gazetę Korespondenta", zwrócił się gwałtownie przeciw „Orłowi Białemu," który codziennemi prawie swojemi pisemkami albo godności rządu uwłacza i czyny jego w mylnym widoku publiczności wystawia, albo sławę szczególnych osób szarpie, albo rozsiewa prawidła, które tem są śmieszniejsze, iż pochodzą od osób z młodocianego niewyszłych wieku. Powołując się na szkodliwość podobnych wydarzeń dla rzeczy publicznej, na ewentualne nieukontentowanie monarchy, którego wolą jest nietylko karanie, lecz i uprzedzanie nadużyć wolności druku, ostrzegał, że zamiary rządu zostały zawiedzione, wola niedopełniona. Dla zaradzenia złemu złożył wniosek, by Namiestnik przedsięwziął środki skuteczne celem odkrycia, co dotąd stało na przeszkodzie do wykonania względem cenzury rozkazów rządowych, a następnie wprowadzenia tego ważnego przedmiotu w przyzwoite karby porządku.

Namiestnik poparł wniosek Nowosilcowa i czyniąc mu zadość, mianował na miejscu Deputacyę, złożoną z senatora wojewody Badeniego i radcy stanu generała brygady Grabowskiego, polecił jej wyśledzenie i zgłębienie przyczyn, dla których ustanowiona cenzura obowiązków swoich nie dopełnia, a następnie przedstawienie mu opinii swej co do obrania środków, któreby z zupełnym skutkiem odpowiedziały woli króla i zamiarom rządu w tej mierze; zarazem wezwał Komisyę Wyznań i Oświecenia, by mianowanej Deputacyi dostarczyła wszelkich akt i objaśnień.

Przejawiła się na powyższem posiedzeniu buta i kierownicza ręka Nowosilcowa, powolność i gorliwość Namiestnika, który

wbrew otrzymanej odezwie Sobolewskiego, gotował nowe środki dla ukrócenia wolności druku, mianował Deputacyę dla rewizyi działań komisyi rządowych; było to ubieganie woli królewskiej, występowanie nawet przeciw niej, lecz woli Nowosilcowa musiało stać się zadość. Komisarz cesarski w swym raporcie do cesarza 13 lutego akcentował, że jedynie fałszywe pojęcie o wolności druku, namiętność pisania, zwłaszcza młodych, wyszłych zaledwo z liceum, tworzy niepokój; a że zbliża się Sejm, okres największych namiętności, cenzura winna być sprężysta, wychodzić od policyi; gdy jednak cenzura należy do Komisyi Oświecenia, w której są Platerowie, Niemcewicze, Lipińscy, naturalnie muszą płynąć z dzienników nowe głupstwa. Te insynuacye w kierunku Komisyi Oświecenia wskazują wyraźnie, że sferom kierowniczym w Królestwie nie wystarczał dobór cenzorów, lecz potrzebna im była zasadnicza zmiana w organizacyi cenzury.

Wyznaczona Deputacya podała referat w dwu poleconych jej przedmiotach już 29 lutego. Przejrzawszy akty Komisyi Wyznań Religii i Oświecenia Publicznego, tyczące się ogólnego urządzenia cenzury, rozpoznawszy działanie Komisyi województwa Mazowieckiego oraz objaśnienia cenzorów w Warszawie, Deputacya doszła do przekonania, że pisma, wychodzące w Królestwie Polskiem, „zachowały się po największej części w należnych przyzwoitości granicach“; „sami nawet wydawcy „Orła Białego“ więcej umiarkowania w tem piśmie zachowują, aniżeli go okazywali przy redagowaniu „Gazety Codziennej“ i „Kroniki.“ Drobne uchybienia w „Orle Białym“ przypisywała Deputacya „niewczesnemu dowcipowi“ wydawców, którzy potrafili podejść „niedość czujną baczność“ cenzora i umieszczali niekiedy „nieprzyzwoitości... zawarte w wyrazach obojętnych i dwuznacznych.“

Winy w cenzorze (ks. Bohuszu) Deputacya nie znalazła, oddany swym zatrudnieniem na innym urzędzie, stary, mógł nie dopatrzeć się uchybień.

Komisyę Wyznań i Oświecenia uznała Deputacya za winną o tyle, że po ukazaniu się pierwszego artykułu nieprzyzwoitego nie pobudziła ona czujności cenzora, ewentualnie nie dodała mu pomocy; lecz Komisya ta wogóle sądzić może pisma i dzieła religijne i naukowe jedynie, pisemka zaś „ulotne, które polityczne w sobie mieszczą przedmioty, na sprostowanie lub uwiedzenie opinii wpływać usiłują, do codziennych czynności rządu i krajowych mieszają się, postępki ościennych monarchów i narodów sąsiedzkich sądzą i rozgłaszają,“ winny być oceniane przez władze, którym jest powierzane czuwanie nad spokojnością i bezpie-

czeństwem publicznem, t. j. do policyi krajowej. Uchybienia zatem „wogóle wypływają bardziej ze składu rzeczy i okoliczności, aniżeli złej chęci i braku gorliwości u osób.“

W drugim przedmiocie oparła się Deputacya na woli cesarza, pragnącego mieć przepisy, „któreby, wypływając z ducha Ustawy, nie ubliżały w niczem wolnemu myśli wynurzeniu, lecz też nie osłaniały powagą swoją i nie uświęcały nieporządku, swawoli i błędu. Fałszywej wolności druku rząd dopuścić nie powinien, naród pragnąć nie może. Środków, któreby niosły hamulce nadużyciom, krępowały swawolę bez obrażenia wolności, szukać należy „w czuciu, sumieniu i roztropności prawych obywateli kraju, którzy zaszczyceni zaufaniem króla i narodu będą dawali rękojmię dla króla, że granic porządku i należnej przystojności przestąpić nikomu nie dozwolą, dla narodu, że istotną jego upiastują wolność.“

Przechodząc do konkretnych wskazań, Deputacya stanęła na stanowisku, iż należy rozróżnić pisma polityczne i wszelkie inne; dozór nad ostatniemi powierzyć Komisyi Wyznań i Oświecenia, w przedmiotach religijnych osobom duchownym, w naukowych osobom do tego usposobionym. Zaś nadzór i odpowiedzialność za pisma polityczne ulotne, peryodyczne i nieperyodyczne poruczyć należy władzom policyjnym; cenzorami mogliby być pod kierunkiem władz sobie przełożonych w stolicy wiceprezydent urzędu municypalnego, naczelnik biura policyi w Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi oraz komisarz wydziału policyi w Komisyi województwa Mazowieckiego, zaś na prowincyi komisarze wydziału policyi resp. Komisyi wojewódzkich. Ponieważ czynności będą nieuciążliwe, osoby wyżej wymienione powinny spełniać je bez oddzielnego wynagrodzenia lub za małym dodatkiem do pensyi.

W obronie swobody druku Deputacya proponowała utworzenie Poważnego Komitetu Wolności Druku w stolicy urzędującego, złożonego z kilkunastu osób wybranych z pośród trzech władz reprezentacyjnych: Senatu, Izby poselskiej i Rady stanu oraz z jednego członka z Wojska Narodowego mianowanego przez W. Księcia z pośród generałów. Wydawcy pism powinni mieć możność odwoływania się od zdania cenzorów do powyższego Komitetu, którego zdanie ma być ostatecznie obowiązujące. Cenzorowie zatem nie dopuściliby do wykroczeń jako odpowiedzialni urzędnicy administracyjni, zaś Komitet „także nie chciałby asystować fałszywym zapałom, swawoli, niespokojności i błędom,“ zwłaszcza gdy powołanie osób zawisłoby jedynie od rządu. De-

putacya sądziła, że powstałaby cenzura, w powyższy sposób zorganizowana, bardzo ostra, lecz nie możnaby jej nazwać skrępowaniem wolności druku, gdyż kierunek jej spoczywałby w ręku reprezentacyi narodowej.

Deputacya w żadnym z dwu przedmiotów referowanych nie wypowiedziała się jasno i otwarcie, widoczne w całym raporcie usiłowanie lawirowania, pogodzenia sprzecznych żądań społeczeństwa i rządu, usiłowanie, cechujące wszystkie władze konstytucyjne w Królestwie, z wyjątkiem Namiestnika, który nie znał wahań. Deputacya pozostawiała właściwie sprawę w danem stadyum rozwojowem, sankcyonowała rozporządzenia tymczasowe, łudziła się w dalszym ciągu, iż zastąpione one zostaną przez prawo sejmowe; tymczasem usiłowała zrzucić odpowiedzialność z cenzorów, z komisyi, a nawet częściowo z redaktorów, z osób wogóle na warunki; lecz lekarstwa szukała znowu „w czuciu, sumieniu i roztropności prawych obywateli kraju," po środki administracyjne sięgała znowu do Księstwa Warszawskiego; nic nowego znaleźć nie potrafiła, oprócz niefortunnego pomysłu Komitetu Wolności druku, którego zadaniem również było dogodzenie i rządowi i społeczeństwu.

Na projekt Deputacyi niezupełnie godzili się Namiestnik i Nowosilcow, którzy proponowali, by oddać dzienniki poprostu pod dozór policyi generalnej, zwłaszcza że Sumiński, zdaniem Nowosilcowa, był człowiekiem dobrze myślącym, mądrym i ostrożnym. Na wskazaniach jednak Deputacyi oparły się dwie komisye: Spraw Wewnętrznych i Policyi oraz Wyznań i Oświecenia w swych projektach, dotyczących urządzenia cenzury.

Komisya Spraw Wewnętrznych proponowała urządzić postępowanie w materyi wolności druku tak, aby „ani ta w godziwem działaniu krępowana nie była, ani porządek społeczny przez jej nadużycie nie mógł zostać naruszonym." W tym celu „nim sejm prawo stałe w tym względzie uchwali," proponowała komisya ustanowienie „Straży Wolności druku" (na wzór projektowanych we Francyi Comités de Surveillance), którąby się składała z 6 senatorów, 6 posłów, 6 członków Rady Stanu, przez króla mianowanych, a która decyzye swoje względem dozwolenia drukowania większością głosów „według sumienia i honoru" będzie wydawała na piśmie i te będą ostateczne; organizacyę instytucyi i pracy w niej ma określić sama Straż.

Wolnemi od cenzury pozostałyby dzieła naukowe, pisma ulotne lecz nie peryodyczne, nie zamieszczające artykułów politycznych oraz dzieła w materyach politycznych, obejmujące więcej niż

20 arkuszy i nie peryodyczne. Autorowie, wydawcy lub drukarze pism powyższych, podlegaliby odpowiedzialności; Komisya Wyznań i Oświecenia miałaby prawo kazać je zająć lub zatrzymać i odesłać do decyzyi Straży.

Pisma peryodyczne oraz nie peryodyczne w materyach politycznych, zawierające mniej niż 20 arkuszy druku, podlegałyby cenzurze uprzedniej. W Warszawie cenzorowie mieli być wyznaczani od policyi miejscowej, w województwach sprawować będą cenzurę komisarze policyjni. Wszyscy cenzorowie otrzymają wynagrodzenie od rządu. Cenzorowie mieli stosować się do odpowiedniej instrukcyi. „Nie mogą przeszkadzać“ w pismach peryodycznych „wolnemu lecz przystojnemu rozbieraniu materyi politycznych i rządowych,“ „ale nie dozwolą umieszczać rzeczy, któreby bądź wszczynać mogły nieporządek i prowadziły do nieposłuszeństwa rządowi, bądź zelżywemi były szczegółowo lub ogólnie dla osób tak rządzących jak prywatnych, krajowych lub obcych.“ Od zdania cenzora służyłoby wydawcom odwołanie się do decyzyi Straży. W razie niewypełnienia woli cenzora, ten mocen był wezwać pomocy policyi, która mogła pismo zająć i autora, wydawcę lub drukarza pociągnąć do odpowiedzialności sądowej wedle kodeksu karnego.

Projekt Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi treściwy, zawarty w 3 tytułach i 15 artykułach, opierał się wprawdzie na zasadach wskazanych przez Deputacyę, czuć w nim jednak tchnienie bezpośrednie cenzury Księstwa Warszawskiego, mianowicie w tonie, który cenzorom nie nakazuje, lecz zakazuje, w którym przebija się raczej obawa o nadużycie cenzury niż wolności druku; wreszcie projekt ten nie uwzględniał postanowienia Namiestnika z 16 lipca. Nic też dziwnego, że projekt Komisyi Spraw Wewnętrznych został odrzucony.

Przyjęto zaś projekt Potockiego, dokładniej opracowany, lecz mniej liberalny, oparty na poprzednim, a złożony z 5 tytułów i 15 artykułów. I ten projekt powoływał się na art. 16 Ustawy, na zamiar należytego zabezpieczenia wolności druku, „nim w tej mierze stosownie do najwyższych Najjaśniejszego Pana rozkazów projekt do prawa na przyszłym wkrótce mającym nastąpić Sejmie uchwalonym zostanie;“ zarazem jednak zastrzegał niedostateczność dotychczasowych przepisów względem zapobieżenia nadużyciom druku, potrzebę dopełnienia postanowień Namiestnika, utrzymujących cenzurę druków.

Dla zadość uczynienia owej potrzebie i ten projekt ustanawiał Straż Wolności Druku o takim samym składzie jak poprzed-

ni. Straż deliberuje jedynie za odwołaniem się wydawcy pisma lub drukarza od zdania cenzora; decyzye Straży są ostateczne, zwalniają jednak od wszelkiej odpowiedzialności. Zakres władzy cenzorów dla pism peryodycznych i politycznych, określony jak powyżej. Lecz i wszelkie inne dzieła naukowe i literackie podlegają cenzurze, którą Komisya Wyznań i Oświecenia urządzi w Warszawie i po województwach. Cenzorowie dzieł naukowych baczyć jedynie mają, ażeby nie mieściły się w nich materye przeciwne lub uwłaczające religii, dobrym obyczajom i moralności, ani też przedmioty polityczne; względem pierwszych wyda zdanie swoje sam cenzor, drugie odeszle do ocenienia właściwemu cenzorowi policyjnemu.

W ten sposób cenzura została podzielona między dwie komisye rządowe. Cenzorami mieli być, oprócz mianowanych przez komisye urzędników, także Komisarze Wydziału Oświecenia w Komisyach wojewódzkich z urzędu oraz wiceprezydent municypalności, szef wydziału Policyi w Komisyi Spraw Wewnętrznych i po województwach komisarze wydziału policyi. Wszyscy cenzorowie mieli otrzymać osobne wynagrodzenie, wszyscy być ściśle odpowiedzialni za wykroczenia przeciw udzielonej im instrukcyi.

A zatem „wogólności żadne dzieło lub pisma jakiegokolwiekbądź rodzaju drukowane i wydawane na widok publiczny być nie mogą bez zaświadczenia którego z cenzorów lub zezwolenia Straży Wolności Druku.“ Autorom, wydawcom lub drukarzom służyłoby prawo odwołania się od zdania cenzora do Straży. W razie nieposłuszeństwa, obowiązkiem (nie prawem, jak w poprzednim projekcie) cenzora jest wezwać pomocy władzy policyjnej, która pismo zająć, opornych do sądów policyi poprawczej pociągnąć może, drukarnię zaś zamknąć powinna.

Projekt, podpisany przez Potockiego, został przesłany przez Kosseckiego do przejrzenia Nowosilcowowi, który oznajmił w odezwie do Namiestnika, iż „rozkład przedmiotu“ go „zadawalnia,“ zasady wyłuszczone w projekcie uznaje za „sprawiedliwe i stosowne.“ Wypowiedział swe wątpliwości tylko co do dwu punktów, mianowicie by Straż Wolności Druku zbierała się nie jedynie za odwołaniem się wydawcy lub drukarza od zdania cenzora, lecz „i za rekwizycyą rządu,“ wówczas bowiem rząd będzie miał środki zaradcze przeciw niedbalstwu cenzora, który mógłby puścić „pisma buntownicze lub o ogólnej tendencyi;“ czyli z instytucyi obrończej, jaką chciała mieć Komisya Wyznań i Oświecenia, zamierzał uczynić zarazem oskarżającą. Powtóre, będąc zdania, że

nietyle istota treści jest obecnie niebezpieczna, ile forma, w której materye polityczne są dawane czytelnikom, zwracał senator uwagę, że najniebezpieczniejsze są tem samem pisma peryodyczne, czy to ukazujące się w okresach stałych, czy też w określonej ilości numerów (półperyodyczne), „gdyż one najłatwiej szerzą idee, jakie chcą i wytwarzają opinię „o wypadkach dnia zarówno w życiu politycznem jak prywatnem“; dla tego żądał dodania do pisma peryodycznego wyrazów: „jakiegokolwiek bądź rodzaju.“

Pierwszego żądania nie uwzględniono w poprawionym projekcie, drugą poprawkę, niezmieniającą istoty rzeczy, wstawiono. Projekt przejrzany i poprawiony przez Nowosilcowa, został przyjęty na posiedzeniu Rady administracyjnej 14 marca, wykonanie jednak jego zostało zawieszone aż do nadejść mającej w tej mierze woli monarszej.

Pomimo wstrzymania projektu Namiestnik, przesyłając Komisyi Spraw Wewnętrznych i Policyi powyższe postanowienie i wzmiankując o zawieszeniu jego wykonania, „znajduje jednak potrzebę,“ by artykuły, dotyczące pism peryodycznych i politycznych (tyt, II, art. 7 i 8) oraz art. 15 (tyt. V), orzekający poddanie każdego dzieła i pisma pod cenzurę, były natychmiast wprowadzone w wykonanie, by dyrektor policyi przystąpił natychmiast do urządzenia cenzorów i przepisania instrukcyi, którą ma zakomunikować Namiestnikowi wraz z przedstawieniem do nominacyi listy kandydatów na cenzorów płatnych.

Namiestnik pod naciskiem władz miejscowych wyższych, obecnie przedewszystkiem Nowosilcowa, parł ustawicznie naprzód w ograniczaniu wolności druku, wysłał natychmiast do Petersburga raport Deputacyi dla zbadania niedołęstwa cenzury i wynalezienia środków zaradczych oraz swe postanowienie o utworzeniu Najwyższego Komitetu Cenzury z prośbą o rezolucyę monarszą.

W odpowiedzi na raport otrzymał Namiestnik 4 kwietnia odezwę ministra sekretarza stanu, który zastrzegał przedewszystkiem, że obrady na Radzie, wywołane przez wypadki, nie dotyczyły art. 16 Ustawy, o której rozwinięciu cesarz myśli w czasie sposobnym i w formie, jaką uzna za stosowną, lecz jedynie środków, któreby pobudziły czujność cenzury. Dla tego cesarz nie widzi obecnie konieczności wprowadzania w życie owego postanowienia i uważa, że wystarczy pilnować wykonania postanowień o nieograniczonej cenzurze z 22 maja i 16 lipca 1819 r., tak by Komisya Spraw Wewnętrzych wybrała nowych cenzorów do dzienników i pism politycznych, wyznaczyła im pensyę odpowied-

nią i określiła prawidła, któremiby się kierowali oraz włożyła na nich surową odpowiedzialność; w ten sposób cel powyższych postanowień zostałby osiągnięty.

Postanowienie zatem Namiestnika z 14 marca zostało obalone przez rozkaz królewski, poczem 25 kw. odesłano je ad acta. Wolę cesarza cechuje zupełna arbitralność: wprawdzie jest jeszcze mowa o rozwininięciu art. 16, ale ma to uczynić monarcha „w czasie sposobnym“: „w formie jaką uzna za stosowną.“ Projekty komisyi, która tworzyłaby pewną kontrolę nad cenzorami z reprezentantów społeczeństwa, okazały się zbędnemi.

Oświadczenie woli monarszej Namiestnik przesłał natychmiast Komisyi Spraw Wewnętrznych z poleceniem ścisłego jej wykonania; polecał, aby w Komisyi ustanowiona została pod osobistym kierunkiem, dozorem i odpowiedzialnością radcy stanu Sumińskiego, dyrektora generalnego policyi, ścisła cenzura wszelkich pism peryodycznych, politycznych jakiegokolwiekbądź rodzaju, tak w stolicy jak i po województwach wychodzących. Ażeby prócz cenzorów z urzędu, jakimi są komisarze policyi w komisyach wojewódzkich, wezwane zostały stosownie do potrzeby na cenzorów osoby z przedmiotem stosunków krajowych i politycznych obeznane, na zaufanie rządu zasługujące, którym proporcyonalna płaca ma być zapewniona, oraz przepisane dokładne prawidła, według których postępować mają, poddając ich zarazem pod surową odpowiedzialność za niewykonanie lub uchybienie przepisanej instrukcyi, która ma być niezwłocznie wygotowana i zakomunikowana Namiestnikowi.

Stosownie zatem do woli Aleksandra I, wyrażonej w odezwie Sobolewskiego, przy Komisyi Spraw Wewnętrznych została ostatecznie zorganizowana cenzura wszelkich pism peryodyczno-politycznych, tak jak to postanowił Nowosilcow jeszcze w początkach lutego, mianowicie urządzono Komitet Cenzury pod dozorem Sumińskiego, któremu przesłano projekt instrukcyi i nominacyi cenzorów, jednocześnie zaś Komisya Wyznań i Oświecenia wezwana została do ułożenia prawideł dla cenzury.

W odpowiedzi na reskrypt Namiestnika Mostowski przesłał w kwietniu projekt „Instrukcyi dla urzędników, mających poruczoną sobie cenzurę policyjną wszystkich gazet i wszelkich pism peryodycznych i politycznych w Królestwie Polskiem wychodzących,“ zarazem przygotowane nominacye dla Wierzbołowicza i Wołowskiego, referendarzy w Radzie Stanu na cenzorów policyjnych co do pism pomienionych, w szczególności w Warszawie wychodzących.

Instrukcya powoływała się na art. 16 Ustawy, a dalej na okoliczności, że w tym „nader ważnym dla ludów i rządów przedmiocie, ile z jednej strony zależy na nieścieśnianiu dobroczynnych korzyści z upowszechnienia postępu, użytecznych odkryć rozumu i oświecenia, tyle z drugiej rzetelne dobro powszechne strzedz nakazuje szkodliwych skutków rozwolnienia opinii mniej oświeconych ludzi zwodniczemi zdaniami i maksymami; „cokolwiek zaś dawać może kierunek opinii publicznej wedle głównych zasad rządu, onemuż obcem i obojętnem być nie powinno.“ Na takich zasadach teoretycznych oraz na doświadczeniu oparła się potrzeba zwrócenia bliższej uwagi i baczności rządowej na gazety, pisemka ulotne i wszelkiego rodzaju pisma peryodyczne i polityczne. Aprobując tem samem postanowienia Namiestnika, dotyczące cenzury, zastrzegała instrukcya ich tymczasowość, gdy środki zapobieżenia nadużyciu wolności druku zostawione zostały do określenia prawodawstwu.

Po określeniu powyższem charakteru cenzury instrukcya omawiała sprawę składu cenzury pism peryodycznych i politycznych, jako urzędu, „uprzedzającego przewinienia, występki i szkodliwe skutki zgorszenia, któreby pismem publicznem zdziałane być miały,“ czyli jako instytucyi prewencyjnej. Mianowicie cenzura prohibicyjna musi być w stosunkach i styczności z atrybucyą policyi krajowej; cenzorami więc z urzędu pod kierunkiem i dozorem dyrektora policyi są komisarze wydziału policyi przy Komisyach wojewódzkich, w stolicy zaś osobni cenzorowie rządowi. Wszelkie pisma i peryodyczne i o materyach politycznych traktujące, mogą być drukowane jedynie po uprzedniem przejrzeniu i zezwoleniu cenzora rządowego, pod odpowiedzialnością wydawcy i drukarza.

Główne zasady obowiązujące dla cenzorów miały być następujące: Cenzorowie nie powinni przeszkadzać „wolnemu lecz przystojnemu rozbieraniu materyi politycznych“ i innych, „ani wzbraniać gruntownego byle skromnego zgłębiania prawdy, ani nakoniec krępować pióra zatrudniającego się w części historyą czasu i wywodem uwag rozsądnych ze zdarzeń i wypadków znakomitych.“ Mają zaś prawo zakazywać jedynie tego, co sprzeciwia się prawu krajowemu; a więc pilnie i pod surową z majątku i osoby odpowiedzialnością baczyć powinni, by nie drukowano zdań przeciw religji bez względu na różnicę wyznań w kraju dozwolonych, przeciw moralności, monarsze, jego rodzinie i przyjaznym państwom ościennym, „zdań nieostrożnych, opinii i maksym podżegających przeciw krajowym urządzeniom tudzież uwiel-

biających teorye, mające na celu zamieszanie, wstrząśnienie lub obalenie porządku społecznego," nawet gdyby artykuły były wprost tłómaczone z pism zagranicznych do kraju wchodzących; zdań przeciw ustawom krajowym, paszkwilów i potwarzy, pism urzędowych, sądowych i wojskowych bez właściwego upoważnienia.

Od zdania cenzora, które ma być obowiązującem dla wydawcy czy redaktora, wolno im się odwołać do dyrektora policyi, który albo sam spór rozstrzyga albo wnosi go do odpowiedniej instancyi wyższej. Autorzy, wydawcy lub drukarze pism ocenzurowanych stają się wolnymi od wszelkiej odpowiedzialności. Wyrażona także pewna dbałość o redakcye i pisma, mianowicie polecono cenzorom, by przeznaczyli im czas odpowiedni i dogodny do przesyłania sobie pism tak, by nie były one narażone na opóźnienie i uszczerbek.

W kalendarzach cenzorowie baczyć powinni na należyte zamieszczanie dynastyi oraz przestrzegać, by w artykułach niedorzeczności nie miały miejsca. Sztuki teatralne miały ulegać cenzurze: policyjnej, by nie znajdowało się w nich nic przeciw religii i obyczajom, oraz dyrekcyi teatralnej, kontrolującej sztuki pod względem dobrego gustu i postępu sceny. Wreszcie afisze, ogłoszenia, pisemka ulotne i anonimy oraz ryciny, karykatury nieprzyzwoite, gorszące lub szczególne osoby na pośmiewisko narażające, podlegały również pilnemu baczeniu. Zresztą komisya z zaufaniem pozostawiała roztropności cenzorów „zachowanie średniej miary, aby przez ostrożne ich postępowanie i zamiar rządu osiągnionym został i piszący, znani z porządnego sposobu myślenia, nie doznawali ścieśnień niepotrzebnych."

Namiestnik komunikowaną sobie powyższą instrukcyę polecił przedstawić Nowosilcowowi i stosownie do jego uwag poprawić. Poprawki te okazały się nieznaczne. Poczem instrukcyę odesłał Kossecki Mostowskiemu z prośbą, by natychmiast została wprowadzona w życie, oraz z zaleceniem, by oprócz Sumińskiego do Komitetu Cenzury z równą odpowiedzialnością wezwani zostali refer. st. Gliński i Zieliński; (pominięto kandydatów przedstawionych przez komisyę) ci mogą wedle potrzeby przybrać odpowiednio uzdolnionych ludzi, którzyby pod ich dozorem trudnili się cenzurą. Na ten cel, na opłatę cenzorów przeznaczył Namiestnik ze skarbu publicznego 18.000 złp.

Rozkazy Namiestnika, wydane przezeń samowolnie bez porozumienia się z Radą administracyjną, zostały przez Mostowskiego natychmiast spełnione. 26 kwietnia zebrany Komitet Cenzury

złożony z Sumińskiego, Glińskiego i Zielińskiego wezwał do pomocy cenzorów: kanonika Szaniawskiego, profesora uniwersytetu warszawskiego i Fr. Bacciarellego z zapewnieniem im wynagrodzenia. W dalszym ciągu zawiadomiła Komisya o ustanowionych cenzorach urząd municypalny, zalecając mu zarazem, by obwieścił o nich redakcyom gazet i wszystkim drukarniom, zawsze był cenzurze pomocnym na jej zawołanie i pilnie baczył na wszelkie obwieszczenia, afisze, pisemka ulotne, a w szczególności na anonimy i karykatury oraz drukarnie pokątne. Pozatem zaleciła Komisya wszystkim komisyom wojewódzkim zapewnienie cenzury i przesłała im instrukcyę.

Następnie dokonano podziału pracy między cenzorów, mianowicie rozkładu pism, podlegających cenzurze w Warszawie. Gliński podjął się cenzury teatru pod względem policyjnym, Zieliński wszystkich rycin; faktycznie zaś cały ciężar cenzury spadł na dwu płatnych urzędników; Bacciarellemu polecono przeglądanie Gazet Warszawskich, „Orła Białego“ („pod bliższym dozorem“ ref. Zielińskiego, do którego polecano mu się zwracać w każdym wypadku wątpliwym) i wszelkich pism peryodyczno-politycznych; ks. Szaniawskiemu oddano „Tygodnik,“ „Pamiętnik,“ „Irys,“ „Sylwan“ czyli „Wiadomości Leśne;“ później objął cenzurę jeszcze nad „Sybillą Nadwiślańską,“ „Gazetą Wiejską“, kalendarzami i wszelkiemi pismami ulotnemi tudzież politycznemi naukowemi, „Kuryerem Warszawskim,“ „Dekadą Polską.“

Mostowski pragnął jednak pozory prawa zachować, zwłaszcza liczył się z opinią społeczną, dopominał się więc o wypis z protokółu posiedzeń Rady, zawierający postanowienie Namiestnika, zatwierdzające instrukcyę. Okazało się, że podobnego wypisu dostarczyć nie było można, ponieważ instrukcya powyższa została potwierdzona jedynie przez odezwę radcy sekretarza stanu z 19 kwietnia i polecono Komisyi na tem poprzestać. Działo się to znowu wbrew wyraźnej woli Aleksandra I, którego „nie jest żądaniem, aby Rada godziła się bez poprzedniego roztrząsania postanowień.“ Trudno przypuścić, aby Mostowski nie wiedział, że postanowienie Namiestnika na Radę wniesione nie było, żądanie więc wypisu z protokółu stanowiło tylko pośrednie dopominanie się o zachowanie prawa, bezskuteczne jednak.

Pozostawało jeszcze uporządkować sprawę opłaty cenzorów. Bacciarelli zwrócił się bezpośrednio do Namiestnika z przyrzeczeniem dobrej służby, ale zarazem z prośbą, by określono wysokość jego płacy za pełnienie obowiązków cenzora, gdyż to stanowisko jedyny środek jego utrzymania, podczas gdy inni cenzorowie ma-

ją pensyę z racyi innych urzędów. Tymczasem wcześniej jeszcze wygotowany został projekt do zatwierdzenia w kancelaryi Namiestnika, zmniejszający pierwotną sumę na cenzurę do 11 tysięcy, które miały być wypłacane z funduszów ogólnych kraju, przyczem wyznaczono Bacciarellemu 6 tys., Szaniawskiemu 5 tys. Pensyę wypłacano od 15 kwietnia, urzędowanie zaś swoje zaczęli cenzorowie 25 kwietnia. Projekt powyższy uchwalony został na posiedzeniu Rady administracyjnej 10 maja 1820 r.

Cenzura otrzymała tymczasową lecz mniej więcej pełną organizacyę; najistotniejsze w tej ostatniej punkty były, że cenzura pism polityczno-peryodycznych została powierzona władzom policyjnym, oddana zaś do wykonania płatnym cenzorom urzędnikom.

III.

Gdy Rada administracyjna obradowała nad projektami cenzury, a Komisya Spraw Wewnętrznych i Policyi tworzyła tymczasową jej organizacyę, cesarz, który zastrzegł, że prawo sam postanowi w czasie sposobnym i w formie, jaką uzna za właściwą, postanowił poza Królestwem przygotować projekt cenzury, a przynajmniej wytyczne dla niego. W tym celu kazał Sobolewskiemu porozumieć się z Capo d'Istrią, ten zaś wygotował 3 maja 1820 r. swoje uwagi o urządzeniu cenzury w Królestwie. 30 maja Sobolewski przesłał Namiestnikowi jako wolę królewską „Kilka uwag dotyczących wprowadzenia w wykonanie ar. 16 Karty konstytucyjnej Królestwa Polskiego.“

Autor zastrzegał, że mając na względzie, aby myśl i życzenie Karty były uszanowane, art. 16 powinien zapewnić Królestwu prawo, z którego by mogło korzystać, nie zaś prerogatywę, która, nie mogąc być urzeczywistnioną, stawałaby się tem samem ułudną i szkodliwą. W tym celu wskazywał środki, któreby wolność druku uczyniły korzystną dla kraju, tak by popierała ogłaszanie zdań, poglądów mądrych, prawdziwych, pożytecznych dla rządu i zostawiała mu możność występowania przeciw doktrynom niebezpiecznym, usiłowaniom złej woli. Chcąc udowodnić konieczność środków proponowanych, zwracał uwagę na stan cywilizacyi w Polsce, na który zgubnie podziałały jej nieszczęścia, co sprawiło, że Polska nie dojrzała jeszcze do wolności; dodawał wprawdzie otuchy, zwracając uwagę, że Polska ma tem samem

jeszcze przyszłość przed sobą, gdy Zachód cofać się już tylko może, osiągnąwszy szczyt rozkwitu; w obecnej jednak dobie Polska nie może używać praw, do jakich przez ciężkie doświadczenia doszła Europa. W Polsce brak mas czytających, dla tego wolność druku stanowiłaby jedynie przywilej dla jednostek, któreby go nadużywały. Wolność druku zatem wymaga ograniczeń, praw, któreby ją uchroniły od nadużyć. Ponieważ zaś same prawa, zapobiegające nie odpowiadałyby zamiarom Karty, która wypowiada się za prawami karzącemi, należy połączyć system „zapobiegający“ z „ukracającym;“ taka kombinacya ma być podstawą projektu prawa na sejm.

Aczkolwiek cenzura prewencyjna jest przedmiotem ostrych napaści, wyjaśniał dalej autor uwag, to jednak (przeciwnicy jej występują głównie przeciw jej wykonaniu, które często zamiast błędu autora stawia błąd cenzora, naraża na arbitralność, samowolę cenzorów. Tymczasem cenzura powinna dawać rękojmię państwu przeciw wykroczeniom i przestępstwom, zaś autorom przeciw niesprawiedliwości i stronności, a więc ma usuwać wolność nadużyć a zachęcać do wolności umiarkowanej. W tym celu proponował Capo d'Istria utworzenie dwu komisyi: jednej dla cenzury prewencyjnej, drugiej represyjnej. Mianowicie „Komisya poprzedniego roztrząśnienia,“ złożona z 3 członków wybranych przez autorów z pośród senatorów lub osób obieralnych, 3 urzędników publicznych mianowanych przez rząd, 3 członków delegowanych przez Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk, dwu innych—przez uniwersytet, z przewodniczącym wybieranym z pośród urzędników mianowanych, winna przeglądać każde pismo przed wydrukowaniem; ponieważ jednak Ustawa chce mieć nadużycia ukracane, decyzya instytucyi prewencyjnej nie była ostateczna, orzeczenie Komisyi nie zakazywało wydrukować pismo, lecz po jego wydaniu działało prawo karzące, które musi być surowe, dokładne, gdyż przestępstwa w druku są natury moralnej, często bywają względne, ukryte. Dla tej samej przyczyny członkami Komisyi muszą być ludzie wykształceni, zwolennicy prawa, spokoju publicznego, przestępstwa w druku bowiem wyczuć może jedynie przekonanie wewnętrzne. zwykłe sądzenie wedle litery prawa nie wystarcza.

Dalej proponowały Uwagi, by do trybunału najwyższej instancyi dodać Komisyę Doradczą (o charakterze represyjnym), złożoną z 7 członków, z których trzech mianuje rząd, a czterech sam trybunał z pośród obywateli wybieralnych do senatu lub izby, jako zainteresowanych w zachowaniu prawa. Opinia Komi-

syi, naradzającej się nad wnioskami postawionymi przez prezesa trybunału, ma być wskaźnikiem dla trybunału, ma upoważniać do uwolnienia lub skazania oskarżonego. Kary, rozpoznawane przez Radę stanu, winny być surowe: cielesne i pieniężne; stanowić one mogły uzupełnienie kodeksu karnego.

Do odpowiedzialności mieli być pociągani autorowie za pisma przeciw religii lub moralności publicznej (kara hańbiąca), nawołujące do buntu lub nieposłuszeństwa względem prawa, osłabiające szacunek należny rządowi, znieważające monarchę lub jego rodzinę (najmniejsza kara—śmierć cywilna), panujących lub książąt obcych, przedstawiające czyny dobre lub złe jakiegokolwiek obywatela (życie prywatne obywateli jest ich wyłączną własnością). Prawa karne na powyższe przestępstwa winny być tak ułożone, by służyły jako instrukcye dla Komisyi Rozpoznawczej.

Pisma peryodyczne i półperyodyczne, które zawierają rozważanie w materyach prawodawstwa, administracyi, polityki, muszą być poddane pod sąd Komisyi Rozpoznawczej. Dzienniki, które ograniczały się do ogłoszenia rozporządzeń administracyjnych lub przedruków z gazet obcych, miały być poddane uprzedniemu sprawdzeniu przez urzędnika, że brak w nich własnych uwag redaktora. Możnaby jeszcze postanowić, dodaje w końcu autor, że pisma wyłącznie literackie lub ściśle naukowe nie zostają poddane uprzedniemu przejrzeniu; że obywatel, który trzy razy odmówi bez dostatecznej przyczyny przyjęcia obowiązków członka Komisyi Rozpoznawczej lub Doradczej, zostaje pozbawiony praw politycznych; że każde pismo drukowane ma nosić imię autora, wydawcy lub drukarza; że zakaz pisma zaskarżonego musi poprzedzać jego ogłoszenie; że winien być oznaczony główny skład wszystkich egzemplarzy dzieła.

Powyższe rozporządzenie, łącząc system prewencyjny z represyjnym, miało być podstawą prawa o wolności druku. Gdy Królestwo dojrzeje politycznie, rozsądne powściągania staną się zbyteczne, będzie ono mogło korzystać z praw bez ograniczenia; w Europie wówczas może zapanuje spokój, a w takich warunkach wolność druku nie będzie przedstawiała niebezpieczeństwa. Dla względów powyższych Capo d'Istria uważał, że nowe prawo mogło być tylko tymczasowe, trwać winno 10 lat, poczem miała nastąpić jego rewizya. Prawo podobne jednak narazie uważał, za konieczne, gdyż brak odpowiednich urządzeń prawnych w tej dziedzinie dał się już odczuć w Królestwie. Prawo to nazywał nawet konstytucyjnem, gdyż autorowie mogli ogłaszać swe prace pomimo zdania Komisyi; Komisya jednak miała nałożyć cugle

swawoli, bo trwanie rozpoznania odbierało możność wywierania wrażeń raptownych, korzystania z momentu. Gdy wreszcie władza, której trzech członków wybiera sam pisarz, orzeknie o jego pracy ujemnie, autor może mieć pewność, że trybunał, sądzący wedle tych samych praw, potępi go. Wreszcie urząd publiczny, posiadając prawo sekwestru za każdą pracę, zdusi każde zło. A zatem prawo będzie popierało kulturę, myśl, ale nie kosztem interesów państwa; i gdy Polska wykazała niegdyś, jak się nadużywa wolności, teraz wykaże, jak można zrobić z niej użytek pokojowy, jak szczęśliwie i spokojnie korzystać z niej można.

Projekt Capo d'Istryi nie rozwijał art. 16 Ustawy, lecz ustanawiał cenzurę prewencyjną, wprawdzie z zastrzeżeniami i omówieniami, zwłaszcza zaś z obietnicami ulg na przyszłość, gdy Królestwo dojrzeje, a Europa uspokoi się. Aczkolwiek w organizacyi cenzury zostawiał pewien udział społeczeństwu, to jednak dla rządu zachował wpływ dominujący, a nawet stanowczy; usiłował bronić społeczeństwo od nadużyć cenzury, przedewszystkiem zaś bronił rząd od nadużyć wolności druku; wreszcie drogą przymusu wciągał społeczeństwo do udziału czynnego w organizacyi, w działaniach cenzury. I nie mogły osłonić prawdziwych zamierzeń projektu ani punkt o jego tymczasowem 10-letniem trwaniu, ani mianowanie go konstytucyjnym, zgodnym z duchem Ustawy; interesy „kultury, myśli" zostały bezwzględnie podporządkowane „interesom państwa."

Sobolewski, przesyłając „Kilka myśli," zaznaczył z góry, że myśli główne tego pisma zyskały aprobatę króla; prawidła, które ono obejmuje i środki, które podaje, zdają się królowi być jedynymi, gdyż zgadzają się z utrzymaniem porządku powszechnego, zasługują więc, aby zostały uświęcone przychyleniem się wszystkich ludzi roztropnych, prawdziwych przyjaciół wolności umiarkowanej; pomimo to król nie żądał, „aby Rada zgodziła się na nie bez poprzedniego onych roztrząsania," przeciwnie, życzy, „aby roztrząsnąwszy je w zupełnej wolności i rozważywszy z namysłem, Rada te tylko przyjęła, których przystosowanie uzna za najbezpieczniej do pożądanych skutków doprowadzające."

Rada miała uchwalić rozkład i zasady projektu do prawa, mającego być przedstawionym na przyszłym sejmie, a dalej uzupełnić ten projekt rozporządzeniami porządkowemi karnemi i wyjątkowemi, w celu zapobieżenia, aby bądź przez zbytnią surowość, bądź przez brak przezorności „prawo nie było w wykonaniu swem tamowane lub zawiedzione, ani też słusznie wystawio-

ne na zarzut, iż pomnażając ostrożność bez powodów rodzi niebezpieczeństwa, któreby inaczej nie miały rzeczywistości."

Projekt do prawa na sejm powinien łączyć dwa warunki: „wystawić dostateczną rękojmię przeciw wszelkim nadużyciom druku," oraz „ofiarować znaczne podobieństwo zjednania sobie większości głosów obu osób," dla urzeczywistnienia pierwszego warunku Rada ma oprzeć się na znajomości kraju i „ducha teraźniejszego monarchów;" w sprawie drugiego król „życzyłby nie inaczej stanowić w tym przedmiocie, jak przez nadanie sankcyi swej pod tym względem przez sejm uchwalonym środkom." Pomimo, że izba poselska na ostatnim sejmie w projektach swoich prosiła tylko o rozwinięcie art. 16 Ustawy i chociaż art. 161, oznaczając sposób całkowitego rozwinięcia Ustawy, bynajmniej nie przywiązuje do niego uczestnictwa izb sejmowych, król jednak, zważywszy, że dostateczne i zadawalające przedmiotu tego urządzenie wymaga koniecznie rozmaitych postanowień karnych, chce, aby „dla nadania większej świetności rozwinięciu kwestyi tak ściśle połączonej z używaniem swobód," reprezentanci narodu w tem rozwiązaniu brali udział.

Jeżeli sprawa zostanie wniesiona na sejm i projekt nie przejdzie, „nie wypadałoby powtórnie wrócić do tego przedmiotu bez uczestnictwa prawodawstwa i wnieść go w inny sposób jak ten, za którymby się izby już raz oświadczyły." Możnaby przypuszczać, że izby przyjmą projekt, który nawet nie zgadzałby się zupełnie z ich życzeniem, gdyż „ofiarować im będzie pewną rękojmię przeciwko władzy dowolnej rządu," „zakreśli przepisy stałe i prawne tam, gdzieby bez nich z samej natury rzeczy można oczekiwać wprowadzenia mniej więcej arbitralnego porządku." Ponieważ jednak nie należy spuszczać się na los, Rada, zanim królowi przedstawi projekt, niech dojrzale rozważy, do jakiego stopnia projekt „zaradzałby odrodzeniu złego, którego oznaki już się okazały," z drugiej strony zgadzał się z życzeniami większości obu izb.

Król zatem przeciwny był „arbitralnemu" czyli dotychczasowemu porządkowi rzeczy, chciał zdusić zarodki złego z nadużyć wolności druku, ale na drodze prawa; wyczuwa się w odezwie silną presyę w tym kierunku, by projekt tak był zredagowany, aby go większość sejmowa przyjęła; król występował tu jeszcze jako monarcha liberalny.

Zaraz po otrzymaniu Myśli Capo d'Istryi i odezwy Sobolewskiego Namiestnik polecił (19 czerwca) przesłać ich kopie pięciu ministrom w kraju i ministrowi Sekretarzowi Stanu z wezwaniem,

aby uwagi swe względem wykonania art. 16 o wolności druku w jaknajkrótszym czasie przełożyli, dla odesłania następnie całego projektu pod rozwagą ogólnego zgromadzenia Rady stanu; jeden egzemplarz „Myśli“ i odezwy przesłał również Nowosilcowowi. Gdy do 6 lipca ministrowie krajowi uwag nie nadesłali, zwrócił się do nich Namiestnik z ponownem wezwaniem o przedstawienie jaknajśpieszniej żądanej opinii w przedmiocie powyższym.

Po tem wezwaniu powtórnem nadpłynęły odpowiedzi ministrów: Sprawiedliwości (10 lipca), Wyznań i Oświecenia (11 lip.), Spraw Wewnętrznych i Policyi (16 lip.).

Minister Badeni, zachowując ostrożną rezerwę, uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi, zamiast której przedstawił wywody teoretyczne, że należy odświeżyć obraz tego, co dotąd zostało ustanowione lub zaprojektowane w danym przedmiocie i porównać z „Myślami“; „wypada rozebrać troskliwie widoki w temże piśmie objęte i stosować takowe do naszej miejscowości;“ z drugiej zaś strony trzeba znać przypadki nadużyć i z prawodawczą przezornością przewidzieć zdarzyć się mogące, zarazem zbadać, czy są one objęte przez prawo karne obowiązujące, ewentualnie rozważyć nowy rodzaj sądownictwa dla spraw nadużycia druku. W konkluzyi zauważył minister, że doświadczenie jednego wydziału nie jest w tej mierze wystarczające, proponował zatem, aby mianowana była deputacya z różnych wydziałów: Oświecenia, Policyi i Sprawiedliwości, któraby owoc połączonych doświadczeń, widoków i zdań każdego wydziału w jedno zebrawszy ciało, ogólny rezultat przedstawiła Namiestnikowi.

Minister Potocki uznawał, że projekt królewski, ustanawiający komisyę, którąby pisma przed wydrukowaniem roztrząsała, oraz drugą komisyę przy trybunale, mającym sądzić nadużycia, jest stosowny do obecnego położenia, a nawet zbliża się do projektu Komisyi Wyznań i Oświecenia z r. 1816. Zastrzegał jedynie, że nietylko dzieła naukowe, lecz także literackie powyżej 20 arkuszy obejmujące, wolne być winny od cenzury z warunkiem tylko, iż bezimiennie wychodzić nie mogą; nie przedstawia to niebezpieczeństwa, bo doświadczenie wykazało, w jak małej liczbie wydawane są w kraju wszelkie obszerniejsze dzieła uczone, z jaką trudnością rozchodzić się zwykły, przytem w dziełach znaczniejszych nie zdarzyły się nadużycia, w razie zaś jakiego wykroczenia mogą być takowe dzieła z łatwością wstrzymane. Takie zastrzeżenie, akcentował Potocki, mogłoby skłonić izby sejmowe

do łatwiejszego przyjęcia projektu, tembardziej jeżeliby termin, do którego ma prawo obowiązywać, nie był zbyt oddalony.

Żądania Potockiego były bardzo skromne; liczył się on z duchem rządu, wypowiedzianym w „Myślach," dlatego żądał ustępstw nieznacznych, motywując je zresztą widokami, zaczerpniętymi z tychże „Myśli": byle prawo przeszło na sejmie, warto izbom zrobić drobne ustępstwo. Tylko w ostatniej uwadze wyczuwa się bunt dawnego Potockiego; mianowicie nadmieniał on ubocznie, że zwróciwszy uwagę na liczne pisma w materyach politycznych za czasów dawniejszego rządu polskiego wydawane i na dawniejsze ustawy krajowe, mianowicie konstytucye z lat 1669, 1768 i 1773, możnaby utrzymywać, iż dla Polski nie była tak obcą wolność druku, jak autor pisma wyraża — była to dyskretna odpowiedź na policzek wymierzony przez autora „Myśli" przeszłości barbarzyńskiej Polski (barbarzyństwo to w przeciwstawieniu do „zgniłego" kulturalnego Zachodu). Potocki bądź co bądź brał projekt konkretnie, rozważał go z właściwą sobie kompetencyą w danej sprawie.

Minister Mostowski, godząc się na to, że współczesne okoliczności skłoniły większość rządów europejskich do wprowadzenia cenzury tymczasowej lub ograniczonej na pewną ilość lat, oraz licząc się z tem, że cesarz chciał również utrzymać ją w Polsce tymczasowo, zwłaszcza że zastał ją istniejącą, wskazywał, jaki charakter winna mieć ta cenzura; ma ona nie przeszkadzać w wolnem, lecz przyzwoitem wyrażaniu uczuć i życzeń. Do takiego celu mogłyby prowadzić trzy sposoby: utrzymanie cenzury tymczasowej obecnej, bez lub ze zmianami (rozporządzenia administracyjne); poddanie pod rozważenie sejmu projektu cenzury prostej i tymczasowej, której czynność trwałaby do sesyi następnej (system prewencyjny tymczasowy), przedstawienie sejmowi projektu stałego prawa o wolności druku oraz o karaniu jej nadużyć (system represyjny stały); w ostatnim wypadku należałoby zużytkować pierwiastki zawarte w danym do rozważenia projekcie. Minister Oświecenia Publicznego winien przedstawić projekt dekretu lub prawa co do zastosowania powyższych tych sposobów.

I Mostowski w swej odpowiedzi uchylał się od bezpośredniego wypowiedzenia swego zdania; teoretycznie omawiał sprawę i przedmiotowo wskazywał możliwości wszelkie jej rozwiązania, nie przychylając się osobiście do żadnego z nich, zrzucając inicyatywę a zarazem odpowiedzialność na ministra Oświecenia.

Wszyscy trzej ministrowie dawali odpowiedzi treściwe, oficyalne, nieszczere, wymijające.

Po otrzymaniu powyższych uwag ministrów zainteresowanych bezpośrednio w sprawie wolności druku i odnośnej woli królewskiej, Namiestnik na posiedzeniu Rady administracyjnej na własny wniosek wyznaczył Deputacyę złożoną z radców stanu Staszica, Wyczechowskiego i Ilnickiego, polecając im, by po dokładnem roztrząśnieniu uwag wzmiankowanych złożyli w czasie jaknajkrótszym stosowny projekt do prawa, który po rozważeniu przez ogólne zgromadzenie Rady stanu miał zostać wniesiony na sejm. Ostatecznie więc sprawa wolności druku miała być poddana pod obrady i t. p.

*

* *

Sejm r. 1820 obradował w innej atmosferze politycznej niż poprzedni. Już w r. 1816 rozpoczął się nowy okres panowania Aleksandra I, okres kongresów świętego Przymierza i obrony ustanowionego porządku w Europie, właściwie zaś reakcyi przeciw niedawnej przeszłości. Jeszcze jednak na sejmie r. 1818 dają się odczuwać przebłyski młodzieńczych porywów i marzeń cesarza. Na sejmie r. 1820 Aleksander I wystąpił jako ostatecznie zmęczony życiem, walką, jaką staczał z otoczeniem, a zwłaszcza z sobą samym, porzucił świat dążeń liberalnych i wahań, stanął na gruncie polityki realnej, reakcyjnej.

Wypadki rewolucyjne w Europie: zabójstwo Kotzebuego, ks. Berry, rozruchy w Niemczech, w Paryżu, sprawy Hiszpanii, Neapolu i Włoch północnych, dodawały siły dążeniom reakcyjnym rządów europejskich, kierowanych przez Metternicha. W r. 1819 odbyły się zjazdy monarsze w celu spełnienia zadań św. Przymierza w Cieplicach i Karlsbadzie. W Cieplicach jako jeden z punktów najpilniejszych do rozważenia traktowano sprawę ujednostajnienia rozporządzeń, dotyczących wolności druku; Gentz wypowiadał się za koniecznością cenzury, ograniczeniem ilości pism; Metternich wydawał pod swym kierunkiem utajonym „Jahrbücher der Litteratur,“ w których sam prowadził cenzurę polityczną w celu wpływania na opinię. Na konferencyi karlsbadzkiej omawiały rządy pruski i austryacki, między innemi spra-

wy druku, konieczność surowych restrykcyi cenzuralnych, kontroli nad uniwersytetami i innymi szkołami, bacznego śledzenia „demagogów“; Metternich oburzał się, że prasa należy wyłącznie do burzycieli porządku i państwa, ustanowiono więc cenzurę na pisma i książki poniżej 20 ark., na razie tylko na 5 lat (18 paźdz. 1819 r.); utworzono Ober-Cenzur-Kollegium o zakresie działań nieograniczonym, to też spadło ono wkrótce do roli posterunku policyjnego.

Aleksander I na kongresie karlsbadzkim nie był, lecz uznał to, co postanowił Wiedeń i środki przyjęte przez Niemcy zastosował w Polsce („Kilka myśli“ Capo d'Istryi zbliżone do projektu cenzury karlsbadzkiej). Wreszcie na kongresie w Opawie, zebranym dla ugaszenia pożaru w Europie południowej w r. 1820, Przymierze święte poddało się ostatecznie kierunkowi Metternicha. W Lubawie w r. 1821 Metternich mówił już o Aleksandrze I, że z czarnego zrobił się białym, zadowolony był z cesarza, ale jeszcze niepewny, czy monarcha rosyjski wytrwa w danym kierunku; w r. 1822 obalił ostatecznie Capo d'Istryę, aż wreszcie w Weronie zostało uwieńczone dzieło św. Przymierza; Aleksander I, twórca Przymierza, wyzbył się tu resztek odporności wobec reakcyi, wszelkiej samodzielności myśli politycznej na rzecz austryackiego dyplomaty; armie austryacka i rosyjska to, wedle Aleksandra, dwie dywizye jednej wielkiej „armii porządku.“

W sprawach wewnętrznych rosyjskich antagonizm między rządem a społeczeństwem zaostrzał się, w miarę bowiem, jak cesarz, coraz bardziej stanowczo wchodził na drogę reakcyi, ulegał biurokracyi, społeczeństwo coraz silniej poddawało się prądom opozycyjnym. W dziejach oświaty zaznacza się wybitnie powołane jeszcze w r. 1817 ministeryum „ciemnoty“ pod kierunkiem ideowym Golicyna i Magnickiego, którzy byli zdecydowanymi zwolennikami nieuctwa oraz bogobojności chrześcijańskiej: na niej usiłowali oprzeć oświatę narodową.

Odpowiedni charakter przybrała cenzura, charakter nawskroś wsteczny, nietolerancyjny aż do fanatyzmu, niezgodny z liberalną ustawą cenzuralną r. 1804. 4 kw. 1818 r. Golicyn wydał dla kuratorów przepisy, w których przedstawiał „nowy kierunek“ dla cenzury rosyjskiej; ponieważ przed wydaniem ustawy o cenzurze mogły wychodzić w Rosyi książki niezgodne ze współczesnym kierunkiem w sprawach dotyczących rządu i religii, zatem należy wyławiać podobne dawne, nowe drukować ostrożnie, tępić bezbożność i wolnomyślicielstwo, niedowiarstwo, niemoralność, rewolucyjność, filozofowanie marzycielskie. Doszukiwanie się tych

wszystkich cech w literaturze było zresztą zupełnie dowolne, zwłaszcza, że Golicyn był grubym mistykiem, sekciarzem; zabroniono więc drukować katechizmu protestanckiego, jako niezgodnego z wiarą prawosławną; uznano za szkodliwe większość powieści, baśnie fantastyczne i przysłowia ludowe, które psują umysł i smak; usunięto dlatego tablice lankastrowskie nawet z biblioteki cesarskiej publicznej, pomimo protestu dyrektora; występowano przeciw epikureizmowi „Damskawo żurnała"; zabroniono drukować rozpraw o wolności i niewoli chłopów, o działaniach rządu i t. p. „nieprzyzwoitości"; rzeczy te można drukować tylko wówczas, gdy rząd tego sobie życzy, pozatem w podobnych materyach niewolno wypowiadać się ani za, ani przeciw. Cenzorowie „poprawiali" styl, wyrażenia, myśli nawet, w dziełach najznakomitszych pisarzy. Cenzura postępowała arbitralnie wbrew obowiązującemu prawu.

W Królestwie na sejmie r. 1820 ujawniło się ostateczne rozdwojenie między królem i rządem a społeczeństwem. Aleksander w mowie otwierającej sejm, groził, iż gotów jest wykorzenić zarodki rozprzężenia, skoroby się tylko postrzegać dały. Pomimo to na sejmie wystąpiła opozycya, co wywołało wielki gniew cesarza, a że chodziło Aleksandrowi I, jadącemu do Opawy jeszcze w charakterze monarchy liberalnego, o opinię Europy, stąd zakaz ogłoszenia drukiem zupełnych obrad sejmowych.

Sprawa wolności druku i cenzury była zbyt żywotną i popularną, by można ją było pominąć milczeniem na sejmie. Komisya Wyznań i Oświecenia wygotowała projekt do prawa o wolności druku, niezależnie od urzędowej odpowiedzi lipcowej dla Namiestnika. Był to projekt ułożony na wiosnę r. 1820 czyli przed otrzymaniem i rozpatrzeniem projektu ministra rosyjskiego, charakterystyczny jednak właśnie jako wyraz szczerej opinii ministra polskiego, harmonizującej częściowo z opinią ogólno-społeczną w okresie sejmowym.

Komisya Oświecenia stanęła na stanowisku reskryptu cesarskiego z 13 grudnia 1819 r., uznając go za dowód pieczołowitości króla o swobody polskie, rozwinęła go jednak zgodnie z zamierzeniami rządu Królestwa. Komisya proponowała mianowicie ustanowienie cenzorów doradczych, którzyby byli upoważnieni do przeglądania wszelkich pism; autorzy, drukujący swe prace bez lat aprobaty, mieli być pociągani do odpowiedzialności, wedle kodeksu karnego, za przestępstwa drukiem popełnione; apelacyę od nich zostawiała komisya sobie, ona także miała wyznaczyć cenzorów doradczych.

Komisya określała przepisy, dotyczące materyi drukiem poruszanych oraz kary za nadużycia prasowe; nie wolno mianowicie drukować książek: 1) wypowiadających się przeciw religii i obrządkom, 2) pobudzających do występków, 3) znieważających króla i jego rodzinę, 4) podżegających do jawnego nieposłuszeństwa prawu i rządowi. Całkowicie z pod cenzury powinny być zwolnione dzieła obszerne, powyżej 20 ark. liczące, dzieła naukowe, prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdyż takie prace muszą być zabezpieczone przed pobudkami osobistemi cenzorów, ich obawą przed odpowiedzialnością wobec władz wyższych; prace te są zabezpieczone przed cenzurą nawet w krajach niekonstytucyjnych.

Dzienniki i pisma peryodyczne bywają często zbyt nieostrożne i porywcze, dlatego muszą być pod nadzorem, ale zakaz, aby nie poruszały spraw rządowych, uwłacza samemu rządowi; nie dojdą doń skargi na jego podwładnych, zaś dzienniki staną się jałowe, stracą czytelników. Potrzebne jest wędzidło, lecz ograniczanie wolności mówienia i pisania jest szkodliwe i dla monarchów i dla społeczeństw, zwłaszcza, że trwanie w błędzie utajonym niebezpieczniejsze jest, niż wyznanie błędu.

Walcząc z opinią, że Polacy nadużywali wolności druku, przeciwnie bowiem nie używali jej, gdyż druk opanowali jezuici; odwołując się do przykładu Anglii i Hiszpanii, z których porównania wynika, że właśnie wolność daje powodzenie, przypominał w stosunku do chwili niedawnej, że gazety obce wydrukowały rozporządzenia Namiestnika z uszczypliwemi uwagami; objaw bynajmniej niedziwny, a mógł zachwiać powagę majestatu. Opierając się na powyższem, dowodził minister, że postanowienia Namiestnika muszą być tymczasowe, czyli muszą uledz zmianie, zwłaszcza, że niebezpieczeństwo nie grozi ze strony wolności druku, gdy w roku wychodzi cztery lub pięć dzieł naukowych i czyta je jedynie garść szlachty. Co do prasy peryodycznej przyznawał Potocki, że „Orzeł Biały“ zawinił, umieszczając artykuły nieprzyzwoite, był jednak zdania, że nie należy go niszczyć całkowicie, gdyż przez to wyrządzi się krzywdę i czytającym i piszącym, zresztą wszelkie zakazy uczynią pismo więcej popularnem. Przepisy konstytucyjne i sąd karny uważał autor projektu za zupełnie wystarczające do ukrócenia nadużyć, zwłaszcza, gdy naród kocha monarchę i jest mu wdzięczny, Namiestnik zasłużony jest kochany, administracya tak gorliwa, że krytyka jej nie może być zbyt ostra.

Już dziesiąty miesiąc, skarżył się minister, upływa od obostrzeń cenzuralnych, sześć deputacyi wyznaczono dla określenia wydania prasy, gdy społeczeństwo chce w niej jedynie użalać się, skoro mu co dolega. W konkluzyi stwierdzał Potocki z naciskiem raz jeszcze, że postanowienie Namiestnika nie może być trwałe, zaś projekt Komisyi Wyznań i Oświecenia łączy w sobie wszystko, co potrzeba dla zabezpieczenia od nadużyć wolności druku. Cenzorowie, o ile instytucya ta musi istnieć, powinni ograniczyć się jedynie do pism peryodycznych i przestrzegać spraw wyżej wzmiankowanych.

Projekt komisyi, która usiłowała nie schodzić ze stanowiska rządowego, a jednocześnie wraz z opozycyą występowała przeciw samowolnym rozporządzeniom Namiestnika, pozostał projektem, nie odpowiadał bowiem intencyom władz wyższych, nie odpowiedziałby całkowicie pragnieniom społeczeństwa. właściwie zaś opozycyjnie nastrojonej jego reprezentacyi sejmowej, zwłaszcza w sprawie cenzury pism peryodycznych, jest jednak charakterystyczny dla stanowiska Potockiego w okresie walki o cenzurę, wykazuje mianowicie jego dbałość o rozkwit literatury, co nie pozwoliło mu podpisać rozporządzenia o cenzurze, ogarniającej wszystkie dzieła, z drugiej zaś strony umiarkowanie polityczne, dzięki któremu, wprawdzie po ostrej walce, zgodził się przed rokiem na cenzurę dzienników i z pewnemi zastrzeżeniami decydował się na przeprowadzenie jej na sejmie, na oddanie jej władzom policyjnym. Opierał się w projekcie z r. 1820 na swym pierwszym z r. 1816, przystosowując go w szczegółach do ujawnionej woli monarszej; odzyskał tu głos, wypowiedział szczerze, aczkolwiek nie schodząc ze stanowiska ministra, swój pogląd na wolność druku i cenzury, pogląd zbliżony bardzo do opinii Mostowskiego w tejże sprawie.

Wobec układu spraw w Królestwie i ogólnego nastroju w Cesarstwie i w Europie Zachodniej sprawa druku nie mogła być załatwiona na sejmie, gdy jasne było, że izby nie uchwaliłyby prawa w myśl projektu rządowego. Mostowski, zdający sobie sprawę z sytuacyi, usiłujący pośredniczyć między życzeniami reprezentacyi narodowej a królem, wyraźnie zaznaczył w swej mowie sejmowej, iż sprawę wolności druku należy odłożyć, albowiem rozporządzenie tymczasowe znośniejsze jest, niż złe prawo stanowcze; należy umieć czekać! ostrzegał minister opozycyę.

Raport Rady stanu o działalności rządu w czasie od 1818 do 1820 r. w sprawie wolności druku wyjaśniał, że ta materya w większej części Europy jest tak nadużywana, omawiana, iż

cierpliwość w oczekiwaniu skutków i rozwaga w wyborze wzorów nie mogą wypaść na szkodę krajowi. Izby prosiły na poprzednim sejmie o uchwalenie prawa odnośnego; chwile jednak, w której Europie wolność druku pod pewne zakresy ująć uznano za konieczną potrzebę, nie jest tą, w którejby rząd pragnął wyjść z obecnego w tej materyi stanu, zwłaszcza, iż tymczasowe urządzenia, mogące przyjąć środek, któryby ani rozsądnej swobody nie ścieśniał, ani na skutki jej nadużycia nie narażał, są najzdolniejsze i umysły mieszkańców przygotować i prawidła rządu udoskonalić.

Motywy rządu były jasne; w Europie walka prądów reakcyjnych z rewolucyjnemi jeszcze trwała; choć blizkim był tryumf reakcyi, społeczeństwa w poważnej części zdobyły prawo wolności słowa; władze wyższe miejscowe nie zgodziłyby się na żadne ustępstwa w tej dziedzinie, przeciwnie parły stale naprzód w kierunku ograniczeń, w społeczeństwie organizowała się opozycya przeciwrządowa i stawała do walki; w takiej atmosferze ideowej rząd nie chciał regulować sprawy wolności druku, wolał czekać i nawoływał do czekania.

Do mającego się podać królowi zdania izb sejmowych o raporcie Rady stanu w r. 1820, nakreślił ks. Adam Czartoryski dla wydziału szkolnego, między innemi następujące myśli, analogiczne do poglądów ministrów wyżej wskazanych, ale mocniej wypowiedziane. Obowiązek izb nie pozwoli im zataić, iż gdy konstytucya, wolność druku zapewniając, nadużycia jego przez prawo tylko opisać i skarcić pozwoliła, obejście się rządu i postanowienia jego o cenzurze są przeciwne literze konstytucyi. Rozkaz króla przepisywał, by wolność druku zostawić in statu quo (powoływał się tu autor na reskrypt z 13 grudnia 1819 r.), stan zaś ówczesny był, iż Komisya Oświecenia miała dozór nad drukiem umiarkowany. Więc to postanowienie i rozkazowi królewskiemu wbrew idzie, tembardziej, że kodeks karny przewidział przestępstwa przez druk popełnić się mogące.

Podobne ukrócenia wolności druku po jej ogłoszeniu, jeśli gdziekolwiek bywają dopuszczane, to chyba w czasie zaburzeń całego kraju i wyraźnego niebezpieczeństwa rządu, a i wtenczas jeszcze tylko pisma peryodyczne są dosięgane. Tu zaś bez żadnej podobnej przyczyny potrójne i coraz surowsze rozkazy poddały pod cenzurę aż do dzieł nawet naukowych, co w kraju tak mało czytającym i piszącym jest wyrokiem śmierci na wszelki postęp umysłowy. Wystarcza zresztą, że postanowienie to narusza konstytucyę, by izby czuły się obowiązane zanieść do króla

prośbę, żeby teraźniejsze więzy druku zwolnił i kazał podać projekt do prawa, które, określiwszy, co jest wolność druku, uzupełni brak, jakiby się okazał w przepisach kodeksu kryminalnego i formy postępowania szczególne przepisze.

Stanowisko izby poselskiej w sprawie wolności druku zarysowało się wyraźnie w uwagach jej, omawiających raport stanu, przedstawionych przez Godlewskiego, członka Komisyi Skarbowej. „Druk jest rodzajem pisma, pismo jest obrazem mowy, mowa jest wyrazem myśli, a myśl to jest sam Człowiek"; rozwijając tę myśl, można powiedzieć, „myślę wolnie, więc jestem wolny," „prawo obwieszczenia swoich opinii jest prawem przyrodzonem, gdyż niewola myśli suponuje lub sprowadza wszelką inną niewolę." Po takim filozoficznym wstępie, uwagi przypominały, że wszystkie konstytucye uświęciły to prawo i konstytucya Królestwa również jaknajuroczyściej je zaręczyła.

Ponieważ art. 16 zastrzegł, że prawo ma wskazać środki do ukrócenia ewentualnych nadużyć, a zatem prawa takie mógł postanowić jedynie monarcha wespół z Izbami, gdyż władza prawodawcza, wedle art. 86 Konstytucyi, rezyduje w osobie króla i w dwu Izbach sejmowych. Stąd wypływało, że postanowienia Namiestnika o niewoli druku były nieprawne. Więcej, były Konstytucyi zupełnie przeciwne, gdyż zaprowadzając cenzurę, skróciły nie nadużycia, jak chciał art. 16, lecz używanie wolności druku, którą ten paragraf zaręczył; wolność druku polega na tem, aby nie kłaść żadnych restrykcyi przed ogłoszeniem dzieła, które może potem podlegać śledztwu kryminalnemu. Dalej postanowienia Namiestnika sprzeciwiały się pełnomocnictwu, jakie mu król dekretem z 29 kwietnia 1818 r. nadał; art. 9 tego dekretu głosił, że żadna uchwała przez Namiestnika wydana nie może być zmieniona lub modyfikowana bez królewskiego upoważnienia: tymczasem postanowienie Namiestnika z 16 lipca modyfikowało samowolne postanowienie jego z 22 maja. Z tych powodów komisye uważały za swój obowiązek przedstawić Izbie poselskiej potrzebę prośby do króla o uchylenie powyższych postanowień. Ponieważ zaś rząd powoływał się na czasy przeszłe i głosił status quo w danej sprawie, komisye zarysowały ów stan rzeczy za dawnych czasów Rzeczypospolitej i w Księstwie Warszawskiem.

Rzplita nie stanowiła praw o wolności druku, gdyż uważała je za prawo przyrodzone, jak np. wolność chodzenia. Rząd Księstwa Warszawskiego przy końcu istnienia dopiero, w r. 1812, na wezwanie ministra wojny wprowadził cenzurę, lecz tylko na pisma peryodyczne. Gdyby jednak nawet istniały w dawnej Pol-

sce prawa ograniczające, to wszystkie one, stosownie do art. 165 Ustawy, jako jej przeciwne, zostały zniesione.

Wreszcie, jakie powody miał rząd do wprowadzenia cenzury? czy grozi jakie niebezpieczeństwo jednostce lub społeczeństwu? czy wyszły książki niebezpieczne? Oczywiście nie. Zresztą Anglia, wzmiankowały uwagi, która utrzymała wolność druku pomimo wielu zaburzeń społecznych, dała dowód, że wolność druku leczy rany, które zadaje. Gdy zaś rząd znosi lub modyfikuje ulubione przez naród prawo, daje dowód nieufności, a ta nie rodzi zaufania. W końcu komisye przypominały, że jeszcze przed zaprowadzeniem cenzury, bo już 13 czerwca 1818 r. Namiestnik decyzyą, zapadłą w Radzie Administracyjnej, zabronił drukować w dyaryuszu sejmowym uwag Komisyi Izby poselskiej, pomimo że druk Izba jednomyślnie uchwaliła. Taka krzywda, wyrządzona Izbie, taka obraza Konstytucyi ledwie się pojąć może. Zdanie Komisyi było, aby prosić króla o zniesienie uchwały Rady Administracyjnej.

O raporcie Rady Stanu w imieniu połączonych komisyi sejmowych Senatu r. 1820 skreślono następujące uwagi w sprawie wolności druku. Wolność druku, ta wskazówka opinii powszechnej, co jest istotnem znamieniem rządu konstytucyjnego, została zawieszona przez rozporządzenie tymczasowe dla ukrócenia nadużyć, które już kodeks karny wymienił i na nie kary przepisał. Mniemaniem było Komisyi, iż dzieła, przynajmniej obszerne, naukowe, historyczne, z zastrzeżeniem odpowiedzialności, z pod cenzury mogłyby być wyjęte. W każdym razie nie należy obawiać się w Królestwie nadużyć, gdyż nie dopuściłby ich duch narodowy, wdzięczność i przywiązanie do króla i do Konstytucyi, a szczupła liczba dzieł wychodzących i drukarni w raporcie Rady Stanu wymienionych, dowodzi niedostatku piszących.

Ks. Czartoryski w swych myślach, a zwłaszcza Izba poselska w uwagach Komisyi, stanęli stanowczo na gruncie swobód, poręczonych przez Konstytucyę, i wszelkie ich ograniczenia traktowali jako samowolę administracyi, gwałt, czyniony Ustawie, darowi cesarza, bez żadnych usprawiedliwiających go motywów; żądali zaś inicyatywy ze strony króla do prawa, któreby sejm uchwalił, a któreby określało dokładnie, na czem wolność druku polega; zaś nadużycia druku miały podlegać karom, określanym przez kodeks kryminalny, który, jeśli posiadał pewne niedokładności, winien być uzupełniony. Komisye Senatu użyły tonu o wiele bardziej umiarkowanego i one jednak zwróciły uwagę, że rzeczą kodeksu karnego jest określać kary za nadużycia wolności

druku, lecz nie należy samej wolności znosić; w każdym zaś razie żądały wyłączenia z pod cenzury przynajmniej dzieł naukowych.

W czasie obrad nad projektem kodeksu postępowania karnego (na sesyi 23) Bon. Niemojewski, poseł pow. wieluńskiego, występując w obronie sądu przysięgłych i jawności postępowania w sądownictwie, zarzucał również kodeksowi, iż nie obejmuje przepisów postępowania w razie nadużyć wolności druku, iż przepisy te ustawami administracyjnemi zastąpione być nie mogą i że stąd właśnie wynikają nadużycia urzędników policyjnych z obrazą domowej spokojności. Wincenty Niemojewski, poseł kaliski, stojąc na stanowisku cenzury represyjnej, kładąc nacisk na odpowiedzialność sądową, by uchronić przed cenzurą prewencyjną, żądał również, by kodeks określał dokładnie sposób postępowania przeciw autorom, wolności druku nadużywającym; żądał prawa stałego, nie tymczasowego i szczególnemi postanowieniami określonego; żądał przedewszystkiem, by ministrowie przed niem się korzyli; do spraw prasowych szczególniej uważał za konieczne ustanowienie sądów przysięgłych, motywując to wedle Constanta, że tylko tacy sędziowie mogą ocenić wartość prawdziwą wyrazów, zrozumieć ich znaczenie właściwe, przeniknąć myśl pisarza.

Wogóle opozycya sejmowa walczyła o utrzymanie różnicy między prawem a zarządzeniami administracyjnemi (art. 90 Konstytucyi), zwracając uwagę, że brak tego przedziału naraża Konstytucyę i swobody narodowe na uszczerbek, z jednej strony wywołuje agresyę, z drugiej ciągłą obawę, nieufność, stąd spory wzajemne; władza wykonawcza może rozwijać prawo w razie potrzeby, ale zgodnie z jego duchem, poprawki prawa zaś mogą być dokonywane tylko przez władzę prawodawczą, tu sumienność i odpowiedzialność urzędników nie jest dostateczną rękojmią. Krytykowano Radę Stanu, że nadużywała imienia monarchy w swych rozporządzeniach, co jest przeciwne monarchii konstytucyjnej, gdyż wciąga władzę królewską w wir walk, czyni ją odpowiedzialną zamiast ministra; że w przedmiotach próśb i życzeń z poprzedniego sejmu nie zaspakajała ich, motywując to niezdolnością mieszkańców do używania praw i swobód konstytucyjnych, gdy tymczasem naród wyćwiczył się w używaniu wolności, a gdy zbytnio jej używał, nie był nikomu szkodliwy, zachowywał uległość prawu, wierność monarsze, miłość ojczyźnie. Przedstawiciele sejmowi wyrażali wdzięczność dla Aleksandra I za byt polityczny i konstytucyę liberalną, tudzież zapewniali, że naród

pragnie spokoju, ogranicza się w pragnieniach do swobód zaręczonych przez Konstytucyę, ale żąda całości tych swobód.

Wśród petycyi, podanych przez Izbę rządowi, pomieszczono prośbę o kontrasygnowanie postanowień rządu przez właściwych ministrów z wyłączeniem radców stanu takowe w zastępstwie ministrów podpisujących; występowano tu zwłaszcza przeciw Staszicowi, który usłużnie zastępował w podpisach rozporządzeń, dotyczących cenzury, Mostowskiego i zwłaszcza Potockiego.

Wreszcie W. Niemojewski złożył u laski marszałkowskiej zaskarżenie przeciw ministrowi Obrządków Religijnych i Oświecenia Publicznego, Potockiemu, i radcy stanu Staszicowi, o zakontrasygnowanie postanowień administracyjnych z 22 maja i 16 lipca 1819 r., podciągających pod cenzurę najprzód pisma peryodyczne, następnie wszystkie inne bez wyjątku dzieła. Izba zamieniła się natychmiast dla uniknięcia rozgłosu sprawy w wydział tajny, akta sprawy zostały złożone w archiwum Senatu.

Jeszcze przed rozpoczęciem burzliwych obrad sejmowych 10 września Sobolewski oznajmił Namiestnikowi wolę cesarską, w której, zastrzegając, że król chce dać Izbom sejmowym dowód zaufania, jakie w ich roztropności pokłada, upoważniał Namiestnika do porozumienia się z prezydującymi w Izbach, ażeby kazali układać pod własnym kierunkiem dziennik posiedzeń, obejmujący krótko zebrane zdanie sprawy o obradach Izb, tudzież treść zdań rozmaitych, na jakie zgromadzenie godziłoby się, z wyszczególnieniem członków, którzy je oświadczali. Prezydujący winien dać baczenie, ażeby w dzienniku „nic się nie mieściło, coby mogło ubliżać godności Izby lub tym względom uwłaczać, jakie mieć powinny wzajemnie jedne dla drugich publiczne władze, albo też coby mogło przeciwić się zachowaniu dobrego porządku“. Tak ocenzurowany przez prezydujących Izb dziennik został drukowany bez podlegania zwyczajnej cenzurze, a później umieszczony w pismach publicznych.

Oprócz tej reglementacyi protokółów sejmowych, a raczej wbrew niej, Aleksander I, niezadowolony z mów Wybickiego i Kochanowskiego, wzbronił ich drukowania; Zajączek natychmiast wstrzymał dokonujące się właśnie ich drukowanie „do wyjaśnienia sprawy“, pomimo, że na rękopisie znajdowała się uwaga sekretarza stanu, że można go drukować.

Jednocześnie Nowosilcow zabiegał o to, by wiadomości o prawdziwym przebiegu obrad nie przedostawały się zagranicę. Mianowicie, gdy jeszcze przed otwarciem sejmu „Gazeta Berlińska“ przepowiadała, że posiedzenia sejmowe będą burzliwe, No-

wosilcow skłonił gazety krajowe do ogłoszenia zaprzeczenia tej wieści. Gdy w dalszym ciągu gazety „Hamburska“ i „Berlińska“ podały wiadomości o przebiegu burzliwym pierwszego posiedzenia sejmowego, rząd przesłał zaprzeczenie do konsula pruskiego, zaś Nowosilcow na własną rękę zwrócił się do Struvego, konsula w Hamburgu, z prośbą o odkrycie źródła wiadomości, zwłaszcza o informacyę, czy pochodzi ona z Warszawy; okazało się, że korespondencya ta przysłaną była nie z Warszawy, lecz z Berlina. Jednocześnie senator zawiadomił o swem postępowaniu Capo d'Istrię, który w odpowiedzi na dwie jego odezwy przysłał mu z Opawy kopię instrukcyi, jaką ministeryum cesarstwa wręczyło Alopeusowi wskutek rozkazu cesarza w sprawie artykułów w gazetach pruskich o pierwszych posiedzeniach sejmu Królestwa. Starano się usilnie, by zgodnie z wolą Aleksandra I, jadącego do Opawy, Europa nie wiedziała o zatargach króla z reprezentacyą sejmową.

Po ukończeniu sejmu, który ujawnił opozycyę przeciwrządową w społeczeństwie, Aleksander I w orędziu, zamykającem sejm, dał wyraz niezadowoleniu z obrad: „Opóźniliście w jego postępach dzieło przywrócenia ojczyzny waszej“; wyjeżdżając zaś z Warszawy, zostawił bratu swemu, W. Księciu, carte blanche w stosunku do zaręczeń wolnościowych Konstytucyi; wreszcie w liście Sobolewskiego do Zajączka 17 listopada 1820 r. przedstawiał sposoby, „jak lepiej i skuteczniej współdziałać poważnej i trudnej sprawie odbudowania ojczyzny“, wyrażał żal, że Polacy sami się gubią, nadzieję, że się w przyszłości poprawią; zły duch naśladownictwa wśród Polaków bowiem, oskarżenie rządu to dzieło partyi, garści ludzi, którzy krzewią niebezpieczne marzenia. List ten dodano do cyrkularza ministra Spraw Wewnętrznych dla przeczytania niektórym osobom, ale bez czynienia kopii dla zapobieżenia zbytniemu rozpowszechnieniu się powyższej opinii cesarza. Zajączek donosił Sobolewskiemu 25 czerwca 1821 r., że wiadomości owe podane zostały komisyom wojewódzkim i Radzie, przesyłał otrzymane w odpowiedzi adresy z hołdem dla cesarza. Dnia 12 sierpnia cesarz wyrażał swe uznanie z tego powodu, zaznaczając, że niebezpieczeństwo grozi Polakom tylko od nich samych, gdy będą naśladowali zagranicę; społeczeństwo powinno mieć zaufanie do rządu, kierować się ostrożnem umiarkowaniem; cesarz zaś będzie dusił wszelkimi środkami każdą próbę zachwiania spokoju lub urządzenia skandalu.

Natalia Gąsiorowska.

KRONIKA LITERACKA.

II.

Samoudręka w literaturze. — Nasz humor i satyra dzisiejsza. — Jowialność staroszlachecka i humor szubieniczny. — Humoryści i satyrycy: Zygmunt Bartkiewicz, Włodzimierz Perzyński, Kornel Makuszyński, Ludwik Stanisław Liciński, Jan Lemański. — Smutny spadek po modernizmie. — Zmysłowość a pornografia. — „Obrzydzenie temu wszystkiemu". — Alkowa i kabaret, jako „znamiona czasu". — Kilka przykładów: Mieczysław Srokowski, Bolesław Gorczyński, Stefan Kiedrzyński, Maciej Wierzbiński, Ludwik Romocki, Leda Śnieżyńska, H. O. Garlikowska, Bohowityn, B. S. Herbaczewski. — Garść ogólnych uwag i pobożnych życzeń. — Kilka debiutów: „Świty" Z. Kisielewskiego, „Zdarzenie" P. Choynowskiego, Tadeusza Rittnera „Głupi Jakób" i „W obcem mieście", „Galerya moich bliźnich" Adama Grzymały-Siedleckiego, Bogusława Adamowicza „Tajemnica długiego i krótkiego życia" i „Nieśmiertelne głupstwo", Jana Powalskiego „W słońcu", „Partya" Edwarda Słońskiego. — „Stepowa panienka" H. Zbierzchowskiego. — „Młode Podhale": T. Lenart, F. Gwiżdż, J. Jedlicz, A. Galica. — Powieści kresowe: „Rozbitki" E. Paszkowskiego, „Jego żarłoczna mość... burak" A. hr. Rzewuskiego, „Hakata" L. Romockiego, „Pod mysią wieżą" M. Wierzbińskiego. — Powieści historyczne: W. Gąsiorowski, L. Romocki, W. Przyborowski, K. Gliński, W. Gomulicki, St. Ostrowski. — Pióra kobiece: H. Kordzikowska, Br. Włodkówna, H. Romer, T. Lubińska, Hajota, E. Żmijewska, E. Jeleńska, A. Suszczyńska, Z. Rabska.

Jest trosków, kolców, bólów niemało w tem życiu
I więcej, niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.

Te słowa poety jakże często przychodzą mi na myśl, gdy wezmę pod lupę rozwagi wnętrzną istotę dzisiejszej twórczości polskiej.

Skąpana w styksowych wodach pesymizmu, prócz „trosków, kolców, bólów“ nic wokół siebie nie widzi, nie słyszy. A jakgdyby istotnie złego nie dość było w życiu, w naszem zwłaszcza życiu, sama sobie, dla tem doskonalszej samoudręki, nowe, urojone, wprost nieprawdopodobne wymyśla męczarnie i, jak joga indyjski, zamiera w rozkoszy bólu...

A pokorny czytelnik iść musi w ślady za oszalałym stygmatykiem nowoczesnym i biczować się aż do krwi.

Mroczna zwyrodniałość „schyłkowców“ Zachodu, zabłąkanych w posępnym lesie współczesności i daremnie poszukujących drogi, i dzika nienawiść do światła, które nie grzeje poprzez lodową skorupę, genialnych „bosiaków“ Wschodu, oto prądy i oddziaływania, które wypełniły treść literatury naszej w ostatniem ćwierćwieczu.

A dusza polska, ta dusza, która jest tchem i serca biciem płodów piśmiennictwa, nie zeszłaż na manowce na rozdrożu wieków i rozdrożu wpływów cywilizacyjnych?

Niestety, zeszła! Nie jestże bowiem modernizm odchyleniem od pnia rodzimego tysiącoletniej cywilizacyi polskiej? Sami nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak coraz bardziej oddalamy się od prażródeł duszy polskiej, tych źródeł, z których pełną dłonią czerpała jeszcze literatura t. zw. okresu pozytywistycznego.

Jeden przykład wystarczy dla zobrazowania naszej myśli.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedną z wybitnych cech umysłowości polskiej jest — humor. Od bezimiennych wierszyków z początku XV stulecia, od „Zwierzyńca“ Reja i „Fraszek“ Kochanowskiego do „Pana Tadeusza“, do „Trylogii“ i „Lalki“, do obrazków wiejskich Junoszy i Dygasińskiego, krzesał on złote iskry natchnienia z duszy sarmackiej, wznosząc się nieraz na najwyższy poziom artyzmu. Przecież Rej, Pasek, Wojski i Zagłoba z jednego pnia wyrośli.

Dzisiaj — zapomnieliśmy się śmiać. Dziś „kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa“, ma wszelkie pozory „szalonego w szpitalu“. Literatura nasza, która rzadko uciekała się do ostrej broni sarkazmu (Opalińscy, czasem Naruszewicz i Krasicki, Zabłocki, Niemcewicz), w ostatnich czasach jęła wydobywać z siebie jakieś gardłowe, chrapliwe dźwięki. Owo nabrzmiałe bólem i goryczą: he, he, he! Przybyszewskiego, zdaje się, odebrało nam wszelką radość życiową. A jeśli od czasu do czasu i buchnęła kaskada hulaszczej, studenckiej wesołości, był to istotnie jakgdyby śmiech szaleńca, albo człowieka, maskującego śmiechem bolesne

skurcze duszy (nowela Żeromskiego „Mojra“, scena ze „Swawolnym Dyziem“ w „Ludziach bezdomnych“ itp.).

Śmiać się w świątyni modernizmu surowo było wzbronione.

W ostatnich latach dopiero wystąpiło na arenę literacką kilku autorów, którychby można nazwać humorystami. Ale humor ich jakże inny od dawniejszego: jest to humor, że tak powiemy wisielczy, szubieniczny, kawiarniany, czy kabaretowy. On rodzi się ze zgrzytu i bolesnego rozdarcia, a nie z pełni harmonii wewnętrznej; wyłania się, jak brzydki gad, z jaskiniowych mroków pesymizmu dzisiejszego, a nie jest dziecięciem tego pogodnego, jasnego spojrzenia na świat miłującego ten świat optymisty, jakim był np. Dickens lub Prus; jest często fajerwerkiem dowcipu i pomysłowości, po którym dym gryzący pozostaje, ale nigdy dobroczynnem ogniskiem, przy którem ogrzaćby się mogły wyziębione serca.

O kilku tych humorystach mówić mi dzisiaj wypada.

*

* *

Z pomiędzy nich najbliższy jest duszy polskiej Zygmunt Bartkiewicz. Ten pisarz nawskroś nowoczesny, często wydaje się zakapturzonym sarmatą. Ze wsi polskiej, z dworu polskiego rodem jest Bartkiewicz. Miasta i „łyczków“ szczerze nie lubi, ma wstręt do panoszących się dorobkiewiczów, Niemców, Żydów i wszelkiego rodzaju obieżysasów, niekłamaną czuje pogardę do wywiędłych i wybladłych nad księgami biurowemi i inkaustem, zgarbionych nad kantorkiem gryzipiórków, których żywot nędzny upływa w pracy mozolnej, w dusznych i ciemnych wertepach miejskich, zdala od jasnego słońca i ożywczego powietrza.

A niechno jeden i drugi taki mieszczuch o zakurzonej duszy wyprawi się za rogatki, spróbuje udawać junaka—Boże, zmiłuj się! grzech tylko i pośmiewisko ludzkie!

Rozumie też Bartkiewicz, jeden z niewielu dzisiejszych pisarzy, ducha przeszłości: umie bujnym stylem Paska opowiadać przygodę w Marsie i w Wenerze porówno dziarskiego starościca, lub językiem starych raptularzy prawić o grzeszkach bogobojnej babuni.

Ale Bartkiewicz-sarmata jest jednocześnie i modernistą. Mało kto, tak jak on, umie kreślić sceny i nastroje życia wielkomiejskiego: przelewająca się falą ludzką kawiarnia nowoczesna, gwarna ulica, czy ciche przedmieście, milcząca otchłań nędzy wielkomiejskiej, znajdują w nim utalentowanego malarza. On zna równie dobrze duszę przesiadującego godzinami nad „czarną w cienkiej raz“ nad-człowieka, jak i dziewczyny ulicznej. I wszędzie umie znaleźć—człowieka.

Najlepiej mu jednak na wsi, z naturą, którą ukochał instynktem prawego dziecka wsi, z ludem, którego psychologię zna i rozumie doskonale, a odtwarza — bez uprzedzeń i fałszów ideologa.

Humor Bartkiewicza nie nasiąkł jeszcze atmosferą knajpy, margaryny, piwa i dymu tytuniowego, ma w sobie coś z szerokich tchnień pól i łąk, niziny mazowieckiej, wesołego nahukiwania się w lesie.

Zbyt mało jeszcze Bartkiewicz napisał (dramat p. t. „Stare gniazda—nowe ptaki“, wydany w r. 1909, dwa cykle nowel i obrazków: „Słabe serce“ — 1907 r. i „Psie dusze“ — 1909 r., wreszcie, ostatnio, artystyczny szkic felietonowy o Łodzi, p. t. „Złe miasto“ — 1911 r.), aby można nakreślić pełny wizerunek jego istoty twórczej.

Skłonny raczej jestem mniemać, że Bartkiewicz—jeszcze się nie wypowiedział, że stać go na większe pomysły literackie, że nie zamknie się w ciasnych ramach felietonu literackiego (w tym rodzaju jest doskonały) i noweli o akcyi nieskomplikowanej.

To, co dał nam dotąd, charakteryzuje go, jako sympatyczne ogniwo między staroświecczyzną a aktualnością, między dawnym a najnowszym sposobem tworzenia.

Inni, współcześni mu, zerwali z przeszłością stanowczo i nieodwołalnie.

*

* *

Gdy przed pięciu laty rozpoczynał Włodzimierz Perzyński powieścią p. t. „Sławny człowiek“ (1907 r.) i cyklem nowel, p. n. „Pamiętnik wisielca“ (1908 r.) swój zawód beletrysty, już przedtem zdobywszy sobie uznanie na deskach scenicznych

(„Lekkomyślna siostra“—1905 r., „Aszantka“—1906 r.), witaliśmy w nim z niekłamaną radością nową siłę, i to na niwie, która tak długo leżała u nas ugorem—na niwie satyry obyczajowej. I mogliśmy się spodziewać, sądząc z tych pierwszych prób, wiele dobrego po talencie ich autora.

Obosieczna satyra Perzyńskiego mierzyła dobrze i trafiała w sedno bolączek obyczajowości dzisiejszej. Z jednej strony, w większości nowel, zawartych w tomiku „Pamiętnik wisielca“ („Widmo nędzy“, „Bomba“, „Dla kraju“, a zwłaszcza „Pogrom“) drwi niemiłosiernie z marnych duszyczek filisterskich, nie umiejących zdobyć się ani na jeden gest wielkości, nawet w obliczu groźnych i tragicznych wydarzeń rewolucyi. Mała, nędzna, a przytem obłudna psyche mieszczańska, „na miarę krawca, nie Fidyasza“, wije się w tych drobnych, ale pełnych treści obrazkach, jak owad na szpilce. Z umiejętnością zręcznego reżysera teatru maryonetek przesunął tu przed nami Perzyński szereg figurek komicznych w zabawnych pozach i gestach. Humor „szubieniczny“, humor „plującego“ na wszystko i na wszystkich wykolejeńca losu, rzadko odzywa się tu zgrzytliwym akordem.

W „Sławnym człowieku“ stawia nam widomie kabotyna, w którym piękny gest zastąpić musi szlachetne drgnienie serca, brzmiący frazes — szczerość uczucia, wymarzone bohaterstwo — prawdziwą wielkość duszy i odwagę cywilną. Bohater tego utworu, Wacław Porecki, podobno pisarz utalentowany, jest człowiekiem bardzo poziomym, z wyszarganem po wszystkich knajpach warszawskich sumieniem, łapigroszem, w pogoni za rublem popełniającym czyny wcale nieetyczne, tchórzem, udającym dżentelmana, gadułą i plotkarzem, który sam sobie wydaje się Bajardem bez zarzutu, a przy tem wszystkiem, wzniosłym marzycielem, który ciągle widzi sam siebie w jakichś sytuacyach niezwykle tragicznych lub romantycznych.

Tak przedstawia się wyobraźni Perzyńskiego typ Fantazego czy hrabiego Henryka współczesności, mocno zdemokratyzowany i przybrukany kurzem wielkomiejskim.

Filister i kabotyn, dwa bieguny obyczajowości dzisiejszej, oto jak zarysowała się synteza życia współczesnego w najwcześniejszych utworach powieściowych autora „Aszantki“.

Zdawało się, że w tych dwu kierunkach pójdzie satyra Perzyńskiego. A nie trzeba mówić, jak pożądane byłoby dla naszego społeczeństwa takie przejrzenie się w zwierciadle prawdy; ileż bowiem grzechów śmiertelnych i małych śmieszności domaga się natychmiastowego wyjawienia na światło dzienne! Lite-

ratura, jeśli chce być istotnie pulsem narodu, powinna tę potrzebę odczuć i—zaspokoić.

Jakiż np. bogaty materyał dla satyryka zawiera w sobie sama już rewolucya ostatnia! Kabotynizm konspiratorski, taki sam dobry, a raczej taki sam śmieszny, jak i każdy inny, nie znalazł dotąd swego — Arystofanesa. Tragedyę rewolucyi odczuli i w kształty mniej lub więcej artystyczne wcielali różni — i różnie: Sienkiewicz, Prus, Weyssenhoff z jednej strony, Niemojewski, Sieroszewski, Daniłowski, Strug—z drugiej; komizm rewolucyi (który przeplatał się i wikłał dziwnie z istotną grozą i szczytnem bohaterstwem) czeka jeszcze na swego malarza.

Perzyński chodził (w „Pogromie“ i inn.) i chodzi około tego przedmiotu, ale w oczy mu dotąd jeszcze nie zajrzał. Natomiast jest w jego ostatnich utworach to, co w poprzednim artykule nazwałem newrozą po-rewolucyjną, jest dramat ludzi, wytrąconych z kolei życia, zbłąkanych w wirze krzyżujących się haseł, ludzi— bez drogi, bez wiary, bez jutra. I jeszcze jedno. W ostatnich powieściach Perzyńskiego spotykamy się z ciekawym i znamiennym objawem naszej współczesności: daje on w nich obraz naszej emigracyi najświeższego stempla, z roku 1905 – 1906, na bruku paryskim. Do długiego szeregu dramatów polskich, przeżywanych na bulwarach stolicy nadsekwańskiej, przybywają nowe ogniwa.

Przyjrzyjmy się tym dzisiejszym „tułaczom“ polskim na obczyźnie. Najwięcej ich znajdziemy w powieści p. t. „Michalik z P. P. S.“ (1910). Oto przy jednym stoliku w jakiejś kawiarni paryskiej zasiedli i gawędzą za pan-brat i Michalik-bojowiec, i Pchlarz, i Grążewski, i Ostapenko, syn popa z pod Stanisławowa, głośno wyrzekający na niegodziwości kleru... katolickiego, i Kusy pepeesowiec, i Ryszard Magenbaum, przesyłający z Paryża korespondencye do pism polskich pod pseudonimem Leszka Boruty, i eserów kilku, i Herszek z „Bundu“.

Cóż robią ci ludzie, siłą odśrodkową wiru rewolucyjnego wyrzuceni poza koło codziennych spraw i warunków bytu powszedniego? Politykują po dawnemu, niepoprawni romantycy anarchizmu, ale głównem ich zajęciem jest—poszukiwanie franka na obiad dzisiejszy i dachu nad głowę na noc najbliższą. Nic też dziwnego, że przy takiem przepędzaniu nocy na ławkach w ogrodach publicznych i oszukiwaniu głodu dymem tytuniowym, paczą się charaktery, marnieją ludzkie jestestwa. Ten i ów gotów nawet na najgorsze, nawet na „informowanie zagranicznej ajentury“, oczywiście, policyjnej, gotów „sypać“ własnych „towarzyszy“,

byleby raz już zakończyć z tym nędznym żywotem bezdomnego włóczęgi.

A przedewszystkiem kruszy się i rozsypuje w proch wola, owa dźwignia czynów zarówno wzniosłych, jak i nikczemnych. Tak ów bojowiec Michalik, bohater tytułowy, w którym autor zebrał najznamienniejsze rysy naszej emigracyi 1905 roku, na nic zdobyć się nie potrafi: wstąpił do policyi tajnej, ale—nikogo nie zdradził; pokajawszy się przed przyjaciółmi, otrzymał od nich polecenie zabicia tego z „towarzyszy", który go do złego namówił, ale—nie uczynił tego, z lenistwa myśli i czynu, choć miał brauning nabity w kieszeni. Wreszcie, najgłupiej w świecie, najniespodziewaniej—dla siebie i dla czytelnika, daje się schwytać *in flagranti* na zbrodni morderstwa, popełnionego dla rabunku na osobie jakiejś awanturnicy, Greczynki.

Wszystko to może prawdziwe i wierne, jako odzwierciedlenie pewnego odłamu naszego życia współczesnego, ale gdzież się podział dawny Perzyński, Perzyński-satyryk i pustak wesoły, swawolny postrzegacz słabostek ludzkich? Czasem tylko przypomina się dawna jego werwa humorysty (np. wyborna rozmowa tęskniącego do kraju Michalika i Herszka z „Bundu", z myślą wiecznie zajętą sprawami politycznemi, z sercem, niedostępnem żadnym wzruszeniom uczuciowym — „Jojne parchate" i „sentymentalnik", oto co jeden o drugim myśli i mówi; doskonała też jest ta panna z Warszawy, którą podnieca znajomość z bojowcem). Ale naogół powieść jest raczej posępna, niż wesoła, a Perzyński zdaje się tu raczej objektywnym malarzem, niż satyrykiem współczesności, a na pytanie, które mu każdy myślący czytelnik mimowoli zadaje: „I cóż dalej?"—zdaje się odpowiadać z rezygnacyą, rozwodząc rękami: „A no, jak dotąd, nic!"

Nic—i nic, oto *signum temporis*. Byleby dzień dzisiejszy zepchnąć, byleby o jutrze nie myśleć! A fala zdarzeń sama nas poniesie na swoim grzbiecie, a czy ku obłokom wyrzuci, czy w otchłań strąci—wszystko jedno. Oto rozpaczliwy wniosek, wysnuwający się z „Michalika", a bardziej jeszcze z ostatniej powieści Perzyńskiego, p. t. „Wiosna" (1911).

Tytuł zdaje się zapowiadać świeży, ożywczy prąd życia, przypływ nowej energii, radosne odrodzenie... Nic z tego! to tylko—bolesna ironia! Cóż bowiem zapowiadać może dla przyszłości bohater tej „Wiosny", Zygmunt Bojanowicz, student jednego z uniwersytetów zagranicznych, młodzieniec bez żadnych porywów, niezdolny już nie tylko do ulatywania „nad poziomy", ale nawet do pełnienia najprostszych obowiązków człowieka, w naj-

pospolitszem tych wyrazów znaczeniu? Egoista o wystudzonem sercu, marnej duszy i słabej, jak nitka pajęcza, woli, trochę pozer, z dużemi pretensyami do jakiejś urojonej wyższości, z silnie rozwiniętą samowiedzą, która jednak, poza jałowym autokrytyzmem, nie sprowadza żadnych następstw, przemijająca czkawka sumienia. W Warszawie zapomina o chorej siostrze, więzionej w cytadeli, o matce, pogrążonej w rozpaczy, o przyjacielu, powołanym na wojnę japońską, i bawi się przepysznie, romansując z jakąś aktoreczką kabaretową. A w Paryżu (znowu więc obrazy z życia emigracyjnego) z tąż aktorką trwoni lekkomyślnie pieniądze partyjne, które przypadkiem dostały się do jego rąk i — na tyle tylko zdobywa się energii, by palnąć sobie w łeb, zresztą dość nieszkodliwie. Powieść, podobnie jak i „Michalik z P.P.S.“, urywa się dość nieoczekiwanie, pozostawiając po sobie nieodparte wrażenie smutku i pustki.

Taka więc ma być nasza „Wiosna“? taka jest nasza dzisiejsza, zaledwie wchodząca w życie młodzież? I co dalej?

„A no, jak dotąd, nic!“—znowu powraca ta sama zimna odpowiedź. Nasza satyra dzisiejsza nie zdobędzie się na szlachetny rumieniec zapału, ni na ogień namiętny oburzenia; ona umie tylko uśmiechać się blado lub wykrzywiać twarz bolesnym grymasem chorobliwego podniecenia. Jest kilka bladych uśmiechów w „Wiośnie“ (rozmowa Zygmunta z „kolegą“ Jakubkiewiczem z Genewy, przygody bogobojnej pary państwa Bołkowskich w Paryżu), nie zdołają one wszakże rozświecić ponurych mroków pesymizmu, zionących z tej powieści.

Uczyni mi może ktoś zarzut, że zbytnio uogólniam zawarte w „Wiośnie“ postrzeżenia? Odpowiem na to, że przedewszystkiem sam tytuł upoważnia do takiej syntezy, a potem—gdzież są w ostatnich utworach Perzyńskiego owe dodatnie strony obyczajowości współczesnej, które moglibyśmy przeciwstawić objawom rozkładu i upadku? Niewesołe otwiera horoskopy przed nami literatura dzisiejsza.

Wydany wreszcie ostatnio zbiór nowel p. t. „Miłość, sztuka i pieniądze“ (1912) przypomina metodą twórczą i rodzajem powołanych do życia osób i sytuacyi utwory, zawarte w cyklu „Pamiętnik wisielca“, chociaż słabszy jest nierównie od niego pod wielu względami. Ostrze dowcipu jakgdyby stępiało, komizm sytuacyi nie dochodzi już do takiego napięcia, plastyka figur rozpływa się w niedbałem szkicowaniu. Jedna tylko, dłuższa nowela, p. t. „Na marginesie“, przypomina dawną werwę satyrycz-

ną (kilka dobrze nakreślonych postaci); zresztą, mamy tu do czynienia raczej ze szkicem, niż z dojrzałem dziełem sztuki.

Po Perzyńskim - satyryku możemy się czegoś więcej spodziewać.

*

* *

Z pośród naszych humorystów doby dzisiejszej jest Kornel Makuszyński typem niewątpliwie najbardziej współczesnym. Ewolucya życia polskiego od białego dworku szlacheckiego do brudnej i dymnej knajpy i świecącego szychem i elektrycznością kabaretu znalazła w nim ostatni swój wyraz. I humor Makuszyńskiego, w pierwszym zwłaszcza zbiorze jego satyr, p. t. „Rzeczy wesołe“ (1909) w niczem nie przypomina szlachecko-rubasznej jowialności naszych przodków. To humor raczej kawiarniany, cygański, „kawalerski“, skłonny do szarży i karykatury, lubujący się, że użyjemy wyrażeń z żargonu knajpowego, w „kawałach“ i „wicach“, niezrównanych zresztą i pobudzających do szczerego śmiechu.

Takim był Makuszyński w „Rzeczach wesołych“: żywy i zwinny, tu go uchwycisz, tam ci się wymknie—i znowu w szyderczym geście ukaże; niespodziewane jego zestawienia, porównania, zwroty i zręczne przeskoki wprawiały w podziw, jak sztuki ekwilibrystyczne.

Aliści -dziwnego coś dzieje się z naszymi humorystami: zarówno Makuszyński, jak i Perzyński, wnet po pierwszym występie na niwie satyry, naraz zachmurzyli się i sposępnieli.

W wydanych w roku 1910 „Romantycznych historyach“ więcej już goryczy, niż dowcipu, a śmiech coraz rzadziej rozświeca twarz młodego satyryka. Natomiast często bróździ się czoło, przyćmiewa wzrok, oblicze wykrzywia boleśnie. A i śmiech jego staje się jakiś piołunowy, jakby z wątroby szedł, nie z serca, upojonego radością życia...

„Romantyczne“ to w samej rzeczy „historye“, nie tyle dlatego może, że wyprowadza w nich autor na scenę pierwiastek nadzmysłowy, dziwnie poplątany z szarą powszedniością, jak za dobrych czasów Jean Paula lub Hoffmanna. Ale zasadą ich jest przeciwstawienie iście romantyczne, przeciwstawienie t. zw. po-

rządnym ludziom, statecznym obywatelom, płacącym komorne i podatki, sytym i obutym, wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa: złodziejów, włóczęgów, wykolejeńców, rozbitków życiowych, zbiegów z więzienia czy z pod szubienicy, wreszcie — stałych gości podejrzanych nor i szynkowni z pod najciemniejszej gwiazdy. Mimo całej swej nędzy moralnej i fizycznej są oni przedstawieni w nowelach Makuszyńskiego sympatycznie, jako natury szczere, nie znające obłudy konwenansu, i otoczeni aureolą swoistego męczeństwa. Nie obeszło się przytem bez gryzącego sarkazmu, nieodstępnego towarzysza zgorzknienia.

Mija znowu rok—i oto z pod pióra Makuszyńskiego wychodzą „Dziwne powieści“ (1911).

Dziwne, bo, w znaczniejszym jeszcze stopniu, niż „Romantyczne historye“, opowiadają nam o wypadkach nadzwyczajnych lub zgoła fantastycznych („Muzyk“, „Strach oczu“); dziwne — bo ludzi, których autor wyprowadza na scenę, nie codziennie spotyka się w życiu, bo to, co oni czynią, na tak niezwykłych dzieje się manowcach, zdała od utartych szlaków spłowiałej powszedniości; dziwne—bo tak działają na wyobraźnię czytelnika, jak trunek rzadki a upajający, o osobliwym smaku i odurzającej woni.

Ale te „dziwne“ historye są nie tylko dziwne, ale i—smutne zarazem. Więcej nawet: niekiedy wprost — straszne („Filemon Fijoł“, „Nowa metoda obłędu“, „Muzyk“, „Strach oczu“, „Morderca“). Gdzieś się podział bez śladu dawny Makuszyński, „kawalarz“ i szaławiła, a na dnie kielicha z pieniącym się napojem pozostał—gorzki osad.

„Kiedyś mieszkała we mnie pustota — mówi autor w jednej z dziwniejszych powieści — i drwiłem z tego, co było straszne. Śmiałem się—z trwogi. Wierz mi, przyjacielu mój, że mnie bolał mój własny śmiech. Aż raz nocą ujrzałem dziwne rzeczy, chciałem się śmiać zwyczajem łobuzów, i śmiech mi zamarł na ustach... Jeśli mnie kiedy ujrzysz śmiejącego się, przysięgam ci, że się wtedy będę śmiał fałszywie... Nikt się już do końca świata nie będzie śmiał szczerze. Ach! chyba dobry Pan Bóg, kiedy zasiądzie na Sądzie Ostatecznym“.

To oświadczenie, włożone w usta jednego z narratorów, dość chyba jest wymowne. I nie zdoła go osłabić zakończenie tejże noweli, w tych słowach zawarte: „O, wejdźże, słońce promieniste! Duszę już mam skostniałą od zimna... Noc, noc i noc... Zbrodnia i podłość... Zło i występek... Czy taka jest tylko opo-

wieść o ludziach? Przyjacielu, któryś widział łąki i wyzłocone pola: pójdźmy szukać słońca!"

Słońca? gdzie słońce? na jakich dalekich drogach przyszłości? Coś głucho brzmi to pożądanie, niejasno wyraża się nadzieja! I sparaliżowany Oswald woła słońca w ostatnich wyrazach „Upiorów" Ibsena... Takiż więc byłby symbol współczesności?

Tymczasem otaczają nas nieprzebyte mroki, mroki nędzy i zbrodni. Jakieś poszarpane, krwią oślizgłe istnienia ludzkie, wlokące swój ból i wspomnienie jakiejś okropnej winy czy samobójczej rozpaczy po najohydniejszych norach wielkomiejskich. Jakieś jedno i drugie nieszczęsne zwierzę ludzkie, zaszczuwane przez los i „bliźnich", w oszalałym przestrachu uciekające przed męką, przed męką życia—czasem w objęcia śmierci. Jakieś wytrącone z kolei życia, wdeptane w błoto miejskie istoty podobno rozumne, złamane pod ciężarem bólu czy tajemnicy, próżno błagające nienawistne życie o chwilę, o jedną, krótką chwilę spokoju, odetchnienia, szalone cierpieniem nad siłę, trwogą nad wyraz ludzki, obłędem rozpaczy, której nic niemasz równie strasznego...

Oto są „dziwne powieści" Makuszyńskiego. Tak żali się w nich życie stargane; tak obnaża swe rany duchowe przed ciekawem okiem czytelnika człowiek upadły; takie krwią i żółcią przepojone karty kreśli w nich romantyzm „byłych ludzi", romantyzm szynkowni.

Dodajmy nawiasowo, że wydana niedawno baśń Makuszyńskiego p. t. „Szewc Kopytko i kaczor Kwak" (1912 r.), niby dla dzieci przeznaczona, nie świadczy korzystnie o zdolnościach autora w tym właśnie kierunku twórczości.

Od typu dawnego humoru polskiego jakżeśmy niezmiernie daleko! Znajdowaliśmy okruchy tego rodzimego złota w Bartkiewiczu, drobne ziarenka—w Perzyńskim; w Makuszyńskim już ich ani śladu: bohaterowie jego mogą przeżywać swoje cierpienia równie dobrze we Lwowie, jak i w Paryżu. Z naszych satyryków dzisiejszych jest autor „Dziwnych powieści" typem najbardziej kosmopolitycznym.

Tak w rozpacznym humorze i krwawym śmiechu kończy swój żywot nasza najmłodsza satyra. Czy kończy istotnie? Wszyscy trzej wyżej scharakteryzowani autorowie mają przed sobą długą jeszcze zapewne drogę życia i twórczości, niepodobna więc dziś przesądzać, w którą stronę uniesie ich natchnienie.

Radzibyśmy tylko trochę więcej widzieć słońca, mniej zaś skłębionych mroków piwnicznych, mniej słyszeć skowytów potępieńczych, mniej bezradnego pesymizmu, a więcej energii życia. Czas już, czas wielki przewietrzyć zatęchłe zakamarki naszej beletrystyki współczesnej i wpuścić nowy zapas krwi do rozmiłowanego w swoich własnych niedomaganiach organizmu!

Satyra zdrowym jest objawem życia duchowego narodu, byleby przyświecał jej słoneczny blask ideałów i — wiary w możność ich ziszczenia na ziemi.

* *

* *

Nie zmieni też zasadniczo naszego poglądu na twórczość Makuszyńskiego najnowszy tom jego utworów, wydany niedawno p. t. „Zabawa w szczęście“ (1912). W tytule, oczywiście, zawiera się gorzka ironia: „zabawa“ w szczęście to rozpaczliwe, obłędne, pijane strachem i rozpaczą poszukiwanie na rozstajnych drogach teraźniejszości już może nawet nie szczęścia, które od dzisiejszego człowieka uleciało gdzieś, w bezkres niebytu, ale—wprost możności życia.

— Czy jest na świecie człowiek szczęśliwy? — pyta król Azis, potężny władca jakiejś bajecznej krainy bogactwa wschodniego i przepychu starego, mądrego człowieka.

— Myślałem o tem, królu Azisie—odpowiada starzec—przez wszystkie noce mego życia, zanim mnie zmógł sen, i poznałem, że niema pośród żyjących takiego, któryby był szczęśliwy.

Oto myśl zasadnicza noweli p. t. „Król Azis“, której tytułowy bohater, mimo egzotycznej szaty dusza nawskroś nowoczesna, doszedł kresu wszystkiego na ziemi i czuje lęk, lęk nieopisany, trwogę przed trwogą, przed śmiercią za życia. On już „wszystko w sobie przepalił i wszystko strawił w śmiertelnej nudzie; przestał pożądać, gdyż miał już wszystko; przestał pragnąć, bo wypił puhar do dna, zapomniał śmiechu, bo trwoga się nie śmieje, co potem uczyni, będzie z lęku, co potem zdziała, będzie szaleństwem z trwogi“.

I nie pozbędzie się tej trwogi nigdy, nigdy, chyba razem z życiem...

Pogodniejsze nieco horyzonty otwiera przed nami druga nowela w zbiorze p. t. „Zabawa w szczęście“ p. t. „Ballada o św. Jerzym“. I tu kręgosłupem utworu jest straszne pytanie: gdzie szczęście? Ale odpowiedź brzmi nieco przychylniej dla rodzaju ludzkiego: szczęście nie cudem jest, lecz czynem... szczęście jest blizko... ujrzysz je, zamknąwszy oczy...

Wymotawszy myśl z kokonu błyskotliwej cudowności, otrzymamy wskazówkę, że szczęście ludzkie polega na wewnętrznej zgodzie z samym sobą, z tem, co w duszy ludzkiej woła wielkim głosem o swoje prawa.

Zasada, zapewne, słuszna. Ale czyż trzeba było dla jej stwierdzenia aż takich nadzwyczajności: kamienny posąg św. Jerzego ożywia się, porywa ukochaną księżniczkę-zakonnicę, mknie na swym rumaku w zaświaty, skacze z gwiazdy na gwiazdę, ścigany przez groźnego „mściciela nieprawości“, św. Marcina, aż spotyka zbiegów Bóg-Wódz na czele orszaku konnego, powstrzymuje nieubłaganego prześladowcę, mówiąc mu, że ma serce kamienne i spraw ludzkich nie rozumie, księżniczkę każe odwieść w „niebieskie zacisze“, a św. Jerzego bierze z sobą na polowanie na dzika Erydańskiego...

Gdy czytamy podobne „dziwne powieści“, chcielibyśmy zapytać autora: po co ten aparat fantazyi nieokiełznanej? czy nie jest to może rozwiązywanie najprostszych zadań w zakresie arytmetyki elementarnej za pomocą formuł wyższej matematyki.

A chociaż tętni w tych utworach przyśpieszony puls teraźniejszości, jakże to wszystko w samej rzeczy dalekie od istotnego życia! Od życia, które ma swoje troski, ale i swoje radości, od życia, w którem śmiech roztęcza się we łzach, jak słońce w kroplach rosy...

Nie chcą o tem wiedzieć nasi najmłodsi.

*

* *

Otwórzmy np. na chybi trafi zbiorek utworów, zmarłego przed trzema laty w sanatoryum dla gruźliczych w Otwocku, Ludwika Stanisława Licińskiego p. t. „Halucynacye“ (1911), pośmiertną puściznę młodego, o niezwykłych zdolnościach autora.

Oto zaraz na wstępie czytamy taką zapowiedź:

„Ludzie! boję się, czym nie obłąkał wam fantazyi i nie popsuł trzeźwości.

„Miast wypudrowanych miłostek, oczom waszym otwierałem groby... Czyliż pójdziecie za mną na te strychy i cmentarze?...

„Chodźcie! nerwy wam popękają i zbieleją oczy... Chodźcie, uczynię was zdolnymi do niespania choć jednej nocy w życiu...

„O ludzie, ludzie! jakże z was zadrwiłem!...“

I spełnia swą okrutną obietnicę Liciński. Daje nam halucynacye...

Halucynacye! Straszne zwidy trawionej obłędem gorączki imaginacyi, krwawe szmaty umęczonej cierpieniem duszy, zgniłe powiewy trupiarni i cmentarzy, stęchlizna sal szpitalnych, pełnych trupów i konających, wściekły charkot ironii przedśmiertnej, patrzącej już „z tamtego brzegu“ na nędzę spraw ludzkich, piekąca gorycz rozkładu w ustach pół-trupa—oto czem są „Halucynacye“ Licińskiego.

Ale są i czemś więcej jeszcze: to protest nędzy ciała i nędzy ducha przeciw sytym i cnotliwym, to obrazy zgrzęzów ludzkich tak okropnych, tak wyzutych ze wszelkich cech człowieczeństwa, że od ich oglądania istotnie mogą „pękać nerwy“ i „bieleć oczy“ „porządnym“ obywatelom.

Tamte wizye okropne były w gorączce, a to jest — na jawie...

Liciński, autor „Pamiętników włóczęgi“ i „Halucynacyi“, zakończył już swe rachunki życiowe. Talent dziwny, chorobliwy, ale niezaprzeczony, zgasł przedwcześnie, skłócony z życiem, nie wypowiedziawszy ostatniego słowa.

Ale jego obrazy z nad progu obłędu czy śmierci służyć mogą za pewnego rodzaju symbol: wskazują, dokąd dojść może literatura współczesna w poszukiwaniu tematów, od których „pękają nerwy“ i „bieleją oczy“. O krok dalej rozpoczyna się literatura obłąkanych lub... przedrzeźnianie jarmarcznych błaznów. To zależy—od stopnia szczerości.

Taką smutną puściznę pozostawił nam nasz modernizm: nieprzejrzana noc rozpaczy, oszalały dygot mrącej w bólu i przerażeniu duszy, cały czyściec mąk, którym niemasz ulgi, ni kresu...

Słońca, słońca, słońca!...

* * *

A teraz—jedno spojrzenie wstecz. Od tych najmłodszych przedstawicieli naszej satyry zwróćmy się ku tym, co od początku już stulecia pracowali na tej niewdzięcznej i jałowej niwie, a spotkamy się z Janem Lemańskim, który w ciągu dziewięciu z górą lat pozostał wierny raz obranej drodze i puścił już w świat 11 tomów powieści, nowel i powiastek, obrazków i piosenek satyrycznych.

A że zadaniem mojem jest odnalezienie duszy polskiej w naszej beletrystyce dzisiejszej, jak Maciek nad Maćkami szukał polskiego bohatera, „Piasta, Jana albo Józefa lub Maćka“ w tłumie „fizylierów, saperów, grenadyerów i kanonierów“, z cudzoziemska nazwanych i postrojonych, nie mogę i nie powinienem pominąć milczeniem autora „Ofiary królewny“ nie tylko ze względu na jego płodność, ale i odrębny charakter twórczości.

Gra słów i kalambur—oto narzędzia, któremi cyzeluje Lemański subtelne kształty swych satyr w prozie i w wierszu. Środek dobry, niezawodny, a przytem szczerze polski: jeszcze w XVI wieku, za czasów zwłaszcza zażartej polemiki religijnej, obie strony, katolicy i protestanci, używali tej ostrej broni, i przezywano katolików—„kątolikami“ (pokątnej wiary), a jezuitów—„wyzuwitami“ (wyzutymi ze wszystkiego), a w XVII stuleciu, w dobie rozpanoszenia się kultyzmu i „concettli“, kalambur stał się ulubioną igraszką, i Kochowski np. w „Epigramatach“ bawi się takiemi zestawieniami dźwiękowemi: „bankiet“ — „bankret“, „biesiada“ — „bies siada“, ten „pan“, co daje „panem“ (t. j. chleb). Przypomnijmy dalej, że i Kochanowski nie gardził uciesznią grą słów i pisał „Raki“, t. j. wiersze, które można czytać od końca, a wtedy nabierają wprost przeciwnego znaczenia, że wreszcie mistrzem kalamburu był taki typowo polski humorysta, jak Aloizy Żółkowski.

Słowem, w „concettli“ Lemańskiego spodziewamy się znaleźć więcej pierwiastka rodzimego, niż w piosenkach kabaretowych Boy'ów, Leszczyńskich, Adamowiczów, Modrzejewskich *e tutti quanti* zielono-balonikarzy i momusiaków.

Punkt wyjścia satyry Lemańskiego, zaznaczony wyraźnie w jego najwcześniejszych utworach („Bajki“ 1902, „Proza ironiczna“ 1905), chociaż także nie najnowszego stempla, dąży do wyższego życia duchowego, gardzi wszelką małością i nędzą moralną, wszystkiem, co czcze i obłudne, śmieszne i pospolite, słowem, gardzi prozą życia, pragnąłby nadać poezyi, a i wogóle sztuce, należne jej w społeczeństwie stanowisko, żyć pełnią życia, pragnąłby zwalczyć to wszystko, co jest jedynym celem i dźwignią

życia przeciętnej naszej „porządnych obywateli“ społeczności. Słowem, całym frontem atak na filistrów, obrona wydziedziczonych i głupich Kainów przeciw „dobrze sytuowanym“ i mądrym Ablom.

Pierwsze tomy satyr Lemańskiego szczerze bawiły subtelną grą nieprzewidzianych zestawień lingwistycznych i zwrotów, wnosiły przytem pożyteczny i pożądany ferment w zastałe w bezruchu ciasto społeczne.

Ale niebawem zaczęło być tego—za dużo: nie sposób przecież przez dziesięć lat karmić publiczność — biszkoptem kalamburu! I najcierpliwszy zatęskni wreszcie do chłopskiego, rubasznego razowca.

Nie wyzbył się autor tych usterek, które dały się zauważyć już w pierwocinach jego twórczości: brak dostatecznego skojarzenia dydaktyzmu i walorów artystycznych, symbolu i jego formy literackiej, brak siły i jędrności słowa.

Raz tylko zdobył się Lemański na syntezę filozoficzno-poetycką („Ofiara królewny“, 1906), zresztą oddał się cały analizie drobnowidzowej pojęć i—wyrazów.

Tak jest, i wyrazów. Ulubioną jego metodą stała się owa barokowa szermierka słów, o której mówiliśmy powyżej, groteskowe etymologie, aż w końcu w tych fioryturach słowa myśl przewodnia zbłąkać się musi, jak samotny wędrowiec w labiryncie bez nici Aryadny.

Leżą przed nami dwa ostatnie cykle utworów prozaicznych Lemańskiego: „Noc i dzień“ (1910) i „Kamień filozoficzny“ (1911). Chcielibyśmy odnaleźć w nich zapowiedź nowego kierunku twórczości, wydarcie się z subtelnych więzów lian, bogato ukwieconych, by wzlecieć, poszybować ptakiem w błękit bezkresny. Dyalektyka i kwiecistość, paradoks i eufonia—oto co panuje niemal wyłącznie w twórczości Lemańskiego z lat ostatnich.

A literatura nasza ma prawo domagać się czegoś więcej po jego talencie, a dzisiejsze czasy tak potrzebują satyry rzetelnej! Ale do tego trzeba natchnienia, ekstazy, nie zaś lupy i mikrotomu do rozłupywania wyrazów na najdrobniejsze cząstki, atomy-litery, by z nich tajną treść całości odgadnąć. Trzeba gorącej wyobraźni, nie zaś zimnego intelektu. Trzeba wzlecieć w niebo orłem królewskim, nie zaś wyszukiwać w błocie i gatunkować glisty rodzaju ludzkiego.

Mamy i dwa zbiorki poezyi. Oto „Jasełka“ (1911). Na karcie tytułowej reprodukcya znanego obrazu L. Wyczółkowskiego: na pierwszym planie tragiczna postać królewskiego błazna, Stań-

czyka, oczy i twarz dłonią zasłania, w czarnej zadumie czy w niezmożonym bólu. A za nim, na ławie, rząd lalek jasełkowych w strojach narodowych: kołpaki i konfederatki, kontusze i czamary—lalki polskie!

Taki też był, oczywiście, zamiar autora: zamknąć w szeregu zręcznych sylwetek, świetnie naszkicowanych skrótów portretowych obraz obyczajów Polski dzisiejszej. Zamiar godzien pochwały.

Czy jednak wywiązał się należycie ze swego zadania? czy spełnił to, co zapowiedział, kładąc na czele „Jasełek“ motto z „Genesis z Ducha“ Słowackiego: „Gdzie się kończy praca twoja, duchu roślinny? Oto w zamyśleniu się twojem nad doskonalszym organizmem“?

„Jasełka“ składają się ze 120 z górą 12-wierszy, z których każdy jest charakterystyką jednej „lalki“, najczęściej satyryczną, czasem, jakby dla przeciwwagi, pochlebną. Idą więc długim szeregiem, na czele, jak w szopce, król, śmierć, ksiądz, czort, kat, Żyd, za nimi zaś takie typy ze świata współczesnego, jak: obywatel ziemski, kamienicznik, sędzia, rewirowy, mecenas, kupiec, szlachcic, doktór, aptekarz, karawaniarz, dziennikarz itd., itd., aż do dziesięciu tuzinów.

Zamknąć w krótkim wierszu charakterystykę typu, stanu, zawodu, objawu społecznego rzecz to niełatwa: na to trzeba niemałego daru zwięzłości i dobitności słowa, daru syntezy artystycznej, którego Lemański w znaczniejszej mierze zdaje się nie posiadać. Te jasełkowe figurki w jego interpretacyi nie mają siły wyrazu, dosadności charakterystyki humorystycznej, rozlewają się w zatartych konturach, w jednostajnem, miarowem rymowaniu. Posłuchajmy np. historyjki o karawaniarzu:

Następująca lalka
Jest sługą katafalka.
Gdy już z człowieka trup,
Odwozi tegoż w grób.
Z paradą jedzie miastem
W pierogu trójgraniastym,
We cztery lub sześć szkap
W liberyi z czarnych kap.
Goreją ci pochodnie,
Kłaniają się przechodnie,
Przed trumną idzie krzyż.
Ty sobie w trumnie śpisz.

Albo o krawcu:

Ta lalka to typ krawca.
Odzieży naszej sprawca
I jak sam dobrze wiesz—
I długów naszych też.
Kamgarnem oraz kortem
Ubiera cię z komfortem.
Chce, by człek miał ten dar
I suknie darł i darł.
Powiada: niech ubrania
Pan bardzo nie ochrania,
Bo sam on—mówi, że
Co tylko sił ma—„drze.“

Takich lalek jest dużo, a nim doczytamy do setnej, dziesięć razy zapytujemy sami siebie: i co z tego? Ani to zadziwia trafnością spostrzeżeń, częstogęsto nie wyrastając ponad poziom najpospolitszych komunałów, ani porywa świetnością szaty artystycznej, ani wreszcie pociąga wysokim poziomem pożytku społecznego.

Uzupełnia zbiorek „Jasełek“ baśń alegoryczna p. t. „Złote miasto“, obraz pragnień i marzeń poety o przyszłem szczęściu ludzkości. Lemańskiemu nie brak najwidoczniej szczytnych dążeń ku dobru i prawdzie, ale jakby nie umiał znaleźć dla nich odpowiedniego wyrazu *propter egestatem linguae*, dla ubóstwa słowa.

Ten wniosek narzuca się nam nieustannie podczas czytania drugiego zbiorku poezyi z pomiędzy wydanych w roku ubiegłym, p. t. „Czyn, poezye, satyry, piosenki“ (1911). Wyżej on stoi niewątpliwie od „Jasełek“, więcej w nim werwy satyrycznej, więcej zastosowania bezpośredniego do naszych stosunków i obyczajów, nie brak i podkładu społecznego, przybierającego nieraz ostre formy zgrzytu i zatargu („Dobry uczynek“, „Sielanka“, „Nikt nie wie“), nie brak wreszcie i głębszych tonów narodowo-uczuciowych („Czyn“, „Pro patria mori“), ale—to wszystko jeszcze nie stoi na tym poziomie, jakiego mamy prawo wymagać od autora „Colloquiów“. Czy spełni on te oczekiwania—przyszłość okaże.

Oto obraz humorystyki dzisiejszej. *Difficile est satiram non scribere!* trudno nie pisać satyry!—wołał niegdyś Juwenal w rozkładającym się Rzymie cezarowym; trudno nie pisać satyry—o satyrze, moglibyśmy dziś powiedzieć, patrząc na zanik humoru i dowcipu w dzisiejszej naszej literaturze. Niewesoło wprawdzie u nas naokół, aleć—i śmiech nie zawsze musi być bezmyślny, przeciwnie, nieraz bywa potężnym środkiem wychowawczym, dźwignią do poprawy obyczajów.

Zwróćmy np. uwagę na to, że u nas, w kraju, który wydał tylu świetnych i zasłużonych karcicieli, w kraju Babińczyków i Szubrawców, „Monitora“ i „Wiadomości brukowych“, „Momusa“ i „Dzwonu literackiego“, niema dziś ani jednego pisma, poświęconego satyrze i humorowi, o poziomie prawdziwie literackim i artystycznym.

Gdybyśmy mogli cieszyć się tem silnem, wewnętrznem przekonaniem, że dusza polska spoważniała w niedoli! Niestety, nie łudźmy się! nic nas nie upoważnia do takich przypuszczeń, a codzienne objawy życia mówią nam o czemś wręcz przeciwnem.

Tem więcej potrzebna nam uczciwa, zdrowa satyra; niechaj nawet będzie piołunem zaprawna, byleby była szczerze i prawdziwie polska, we wszystkich węgłach na mocnym fundamencie istotnych przeżyć narodowych oparta.

Niechaj więc narodzi się nam „naprawiacz wszelkiego bezprawia".

*

* *

A teraz rzućmy okiem na inną jeszcze, niemniej uwagi godną stronę naszej literatury współczesnej, na jeszcze jedną pozycyę spadku po zgasłym modernizmie.

Mówię tu—o rozpanoszeniu się w beletrystyce naszej dzisiejszej niezdrowego erotyzmu.

Nie chcę być źle sądzonym. Dlatego też z góry zastrzedz się muszę, że nie powoduje mną fałszywa pruderya, wstrętne mi jest obłudne *lex Heinze*. Rozumiem, że, jak w sztukach plastycznych nagość nie obraża moralności, tak i w literaturze zmysłowość nie może być wyłączona, jako jedna z pobudek i czynników twórczości.

Ale między zmysłowością a rozwiązłością otchłań cała, której nie zasypią piękne frazesy o wszechwładnych prawach natury, o wolnej miłości, o moralności niezależnej itp. Zmysłowa była Grecya, rozwiązły Rzym za Cezarów, zmysłowe Odrodzenie, rozwiązły wiek XVIII ze swemi *histoires galantes*. A co najważniejsze, rozwiązłość w życiu i literaturze cechowała zawsze kultury, epoki i narody—w upadku.

I u nas, niestety! dzieje się coś podobnego. Czego już nie wypisują dzisiejsi beletryści! To, co u Przybyszewskiego (np. w „De profundis") lub u Żeromskiego (w „Dziejach grzechu") miało przynajmniej podkład metafizyczny, dziś staje przed nami w całej nagości—aktu fizyologicznego.

Całe urządzenia pokojów sypialnych, nie wyłączając najdrobniejszych, nie tyle poetyckich, ile niezbędnych szczególików, wszystkie części *dessous*, męskich i damskich, nazywane po imieniu, jak w rachunku praczki, przeróżne akcesorya rozpusty, których dotąd nie znajdowaliśmy nawet w anonsach zakładów optycznych, terminy, pochwytane z podręczników fizyologii dla studentów medycyny, i ciągłe, ciągłe,

wijące się przez dziesiątki tomów zapytanie: która z którym spać się położy?

Oh, le dégoût de tout cela, le dégoût, le dégoût! — woła, parafrazując Maeterlincka, p. Bolesław Gorczyński przez usta jednego z bohaterów swej powieści: „Na tropie trucizny“ (1912).

W samej rzeczy, nie „smutek temu wszystkiemu“, lecz „obrzydzenie temu wszystkiemu“! Dokąd nas zaprowadziła literatura?

Gdybyż przynajmniej te utwory były istotnemi dziełami sztuki! Gdybyż były szczerymi okrzykami rwącego uczucia!

Ale nie! często nie mają one nic wspólnego z artyzmem, są pisane na zimno, uderzają rozmyślnie w najniższe instynkty żądnego sensacyi tłumu dla zyskania—pokupności.

Jakiż świat przedstawiają w swoich utworach nasi dzisiejsi sadyści... na papierze?

Zapuszczając już zasłonę na to, co się tam dzieje w sypialniach, zwróćmy uwagę na to, że trzy czwarte scen w naszych powieściach i nowelach doby dzisiejszej odbywa się w kawiarni, knajpie, barze, cukierni, kabarecie, szansonie, czy jak tam zwać te wszystkie przybytki taniej a niewybrednej uciechy. Jest to *signum temporis*, nad którem godzi się zastanowić naszym lekarzom zdrowia narodowego. Kawiarnia zastępuje nam dzisiaj dom, rodzinę, wieczorne pogawędki przy kominkowym ogniu, „tańcujące herbatki“, słowem wszystko, co cechowało patryarchalność życia codziennego i stosunków towarzyskich naszych ojców.

A potem—wiarołomstwa mężów i żon słowem, myślą i uczynkiem, pół i ćwierć-dziewice, szukające, gdzieby mogły zgubić swą cnotę, panny z domów „obywatelskich“ w drodze na estradę kabaretową lub — jeszcze niżej, łączące się i rozłączające na jedną noc pary, a to wszystko bez łez, bez tragedyi, cicho, łatwo, spokojnie i wesoło, z drwiącym uśmiechem na ustach.

Jeżeli to ma być obraz dzisiejszej Polski, zaiste, niewiele jej już brak do ostatniej zagłady! Bo „narodu duch zatruty to dopiero bólów ból“.

O cóż walczą ci młodzi, ci najmłodsi, przyszłość narodu, ci, których ojcowie i dziadowie ulatywali „nad poziomy“? O wolność, o równe prawa dla wszystkich? Tak, o wolność bezwzględną w swawoli, o równe prawa używania dla wszystkich...

I niechaj nikt z nich nie tłómaczy się tem, że wolno każdemu pisać, co mu się podoba, że nikt nie ma prawa krępować ducha twórczego, bo przedewszystkiem szczerość natchnienia gra tu najmniejszą rolę, a potem—zgódźmy się przecież raz na to, że każda książka, drukiem ogłoszona, jest nie tylko objawem w dzie-

dzinie sztuki, ale i czynnikiem życia społecznego, wywiera swój wpływ, dodatni czy ujemny. Z tem liczyć się należy. I dlatego też wołamy za bohaterką „Liścia figowego“, powieści p. Ludwika Romockiego (1912): „Jakto wogóle można coś podobnego drukować?“

Do jakich uciec się środków dla zapobieżenia rozszerzaniu się drogą druku anarchii moralnej, to zagadnienie pozostawiam publicystyce; krytyk literacki może tylko wskazać pewne objawy, określić, jak życie odbija się w literaturze, jak literatura oddziaływa na życie.

Ten obraz ogólny pragnę uzupełnić kilku szczegółami, zaczerpniętymi z książek, które w pokaźnej liczbie zebrały się na moim stole recenzyjnym.

Zmarły przed dwoma laty Mieczysław Srokowski posiadał talent istotny. Stwierdziłem to w swoim czasie na innem miejscu, z powodu pierwszej jego powieści, „Epigoni“ (1904 r., obecnie ukazało się drugie wydanie). Po „Epigonach“ poszły inne utwory: „Krew“ (1906), „Ich tajemnica“ (1908), „Jak łza“ (1909), „Kult ciała“ (1910), obecnie zaś, wydani już po zgonie autora, „Anachroniści“ (1911).

W utworach Srokowskiego znajdziemy wiele, nazbyt wiele scen drastycznych. I tego niepodobna zaliczyć na jego dobro. Ale miał on i chwile szczerego natchnienia, nie brak w jego utworach przekradających się przez grubą powłokę pospolitej zmysłowości promyków prawdziwej poezyi. Można było mniemać, że autor „Kultu ciała“, ze wzmożeniem się samokrytyzmu i stężeniem talentu da nam dzieła trwałej wartości artystycznej. Śmierć przedwczesna zniweczyła te nadzieje.

Powieści Srokowskiego czynią wrażenie czegoś nie ukończonego, nie opracowanego w szczegółach. Tak np. ostatnia z nich, wyżej wspomniani „Anachroniści“, ma pomysł doskonały, ale wykonanie nie odpowiada założeniu. Bohater główny powieści, młodzieniec o bujnym temperamencie i gorącej wyobraźni, Jur Hodylewicz, porzuca mury szkoły, nie mogąc się zmieścić w ramach jej bezdusznego rygoru, i wstępuje do wojska (rzecz się dzieje w Galicyi), by niecić iskry świadomości i tęsknoty ku lepszej doli w piersiach prostaczych, w mundur żołnierski zakutych. Ale w drobnej zaledwie cząstce udaje mu się uskutecznić to „szalone dzieło“: w pierwszym zatargu z wyjaławiającą ducha machiną biurokratyzmu militarystycznego Jur buntuje się, za co czeka go surowa kara, od której ratuje go ucieczka.

Ta część powieści jest nowa i ciekawa. Czy istotnie w armii austryackiej panują tak opłakane stosunki (torturowanie niekarnych żołnierzy!), z tego nie mogę zdać sobie sprawy. Ale sceny koszarowe w „Anachronistach“ mają swoją siłę i plastykę, każą czytelnikowi wierzyć w swoją prawdziwość.

Nie można tego powiedzieć o dalszych rozdziałach powieści, zwłaszcza o jej ostatniej części (na zamku ks. Maksymiliana Gonzagi), ani o pół-fantastycznej postaci Jana Getki, nie tłómaczącej się należycie, ani wreszcie o trzech „romansach“ Jura: z młodą Żydóweczką, córką „promnika“, z dziewczyną wiejską i z księżną Gonzaga. Wszystkie te epizody bądź nie wiążą się organicznie z główną treścią, która wyczerpuje się zbyt wcześnie, w połowie tomu, bądź też nie czynią wrażenia rzeczy dobrze wyczutych i podpatrzonych, nie trzymają się ziemi.

Tytuł powieści tłómaczy się w ten sposób, że Jur jest w dzisiejszem życiu „anachronistą“, gdyż przybył zawcześnie, jak anachronistą jest też stary powstaniec z 1863 roku, Saksagański, bo już jest na teraźniejsze czasy „za dawny“. Wniosek ten mógłby mieć za sobą wiele słuszności, gdyby go autor staranniej w przebiegu akcyi wymotywował.

Całą nędzę świata dzisiejszego odtworzył p. Bolesław Gorczyński w powieści p. t. „Na tropie trucizny“ (1912). Smutno czytać utwór podobny, którego bohaterowie i bohaterki rzucają się w odmęt życia bez steru i wiosła—niech się, co chce, stanie! Cynizm słowa walczy o lepsze z anarchią pojęć etycznych, a „trucizna“ ta, ten trąd „bezwładu moralnego“, pada nie tylko na kabotynów-zbijbruków, nie tylko na przeróżne „Lole“ i „Maniutki“, które niczego lepszego nie mogą już spodziewać się od losu, ale i na taką pannę Annette z „białego dworku“ i Hankę, pół-dziecko, pół-wampira.

W miłości, jaką te kobiety obdarzają swoich kochanków, niemasz nic wznioślejszego. To tylko—instynkt (czasem chwilowy kaprys), który dziwne płata psoty i w tragi-komicznych *chassé-croisé* łączy i rozdziela pary, jak w kontredansie!

Mówiąc: tragi-komiczny, popełniam pewną nieścisłość. Tragedyi bowiem w tej powieści bardzo niewiele, chociaż działa tu trucizna (realna i symboliczna, t. j. kabotynizm literacko-artystyczny). Zmienia się przedmioty miłości, jak rękawiczki. Zresztą, te panny są już na wszystko zrezygnowane i nie mają żadnych złudzeń. Cnota to wyraz przestarzały! „I nawet najcnotliwsza z najpoprawniejszych—mówi gdzieś jeden z bohaterów powieści—gdyby się nie bała mamy, babci i cioci“...

Tak się przedstawia życie przez zakopcone szkiełka p. Gorczyńskiego. Nie chcemy przez to powiedzieć, że autor solidaryzuje się pod względem ideowym ze swymi bohaterami, jest nawet gdzieś w końcu przyczepiony [illegible] jakby morał, ale rozpatrując „Na tropie trucizny", jako objaw społeczny, uważać go musimy za czynnik ujemny, a jego strona artystyczna nie stoi tak wysoko, by mogła kazać zapomnieć o bezdni moralnej, jaka otwiera się tu na każdej niemal stronicy, w przemówieniach wyprowadzonych na scenę osób... *Oh! le degoût de tout cela!*..

Nie rozjaśni też nikomu zasępionej smętnemi refleksyami nad życiem współczesnem duszy powieść jednego z „najmłodszych" naszych autorów, laureata ostatniego konkursu Warszawskich Teatrów Rządowych, p. Stefana Kiedrzyńskiego, p. t. „Śladem kobiety, romans trzech kochanków" (1912). Akcya niezłożona — aż do naiwności: mąż filister, przywykły do wygód „ogniska rodzinnego", żona — bogata we wdzięki i temperament samiczka, i dwóch kochanków: jeden postawny i barczysty, drugi — poeta. Dodajmy do tego kilka scen kawiarniano-kabaretowych (bez tego nie obejdzie się dziś żadna powieść!), uzupełnijmy galeryę typów wygadującym, jak nakręcona pozytywka, przeróżne herezye ku uciesze gustujących w ostrych przyprawach cynikiem, dorzućmy jeszcze ten szczegół, że mąż, dowiedziawszy się o dwu swoich „wspólnikach", z początku pieni się, ale potem daje się udobruchać podczas pierwszej nocy, spędzonej z żoną po przybyciu jej z letniego mieszkania—i już będziemy wiedzieli, czem jest powieść p. Kiedrzyńskiego.

Nie będziemy też zajmowali się nią dłużej, powiemy natomiast po kilka słów o innych jeszcze utworach z tegoż działu.

A jest ich coraz więcej, i coraz korzenniej i pieprzniej przyprawiają autorowie (i autorki!) swoje potrawy. Nawet pisarze, którzy niejednokrotnie dowiedli kiedyindziej, że umieją poważnie patrzeć na życie, imają się tego rodzaju twórczości. Tak np. p. Maciej Wierzbiński pisze powieść o aktorce, wyzyskującym ją koledze, kanalii z pod ciemnej gwiazdy, i rozkochanym w niej bezinteresownie malarzu p. t. „Bies i skarbonka" (1912), rzecz psychologicznie i życiowo płytką, a w szczegółach drastyczną. Jeszcze mniej oszczędza poczucie dobrego smaku swoich czytelników p. Ludwik Romocki w powieści o wymownym tytule: „Liść figowy" (1912), rzeczy, w której bezceremonialność scen alkowianych zabawnie kojarzy się z powagą gęsto rozsianych refleksyi i uwag o literaturze, sztuce, muzyce itp.

O „szkicu powieściowym“ p. Ledy Śnieżyńskiej p. t. „Szał“ (1912), opowiadającym, jak pewna panna z towarzystwa kochała się w pewnym mężczyźnie żonatym i dzietnym, z początku za maską (na maskaradach) i—przez telefon, a potem bez maski, bez telefonu i bez wielu innych jeszcze rzeczy, nie mówiłbym wcale, gdyż rzecz to niedołężna pod każdym względem, gdyby nie to, że jest to utwór w swej naiwności rozpusty, w swem dziewictwie zepsucia prawdziwie typowy.

Może dlatego też będzie poczytny? Powinszować tedy p. Śnieżyńskiej takiego tryumfu!

O zbiorze nowel p. H. O. Garlikowskiej p. t. „W odmęcie“ (1912) niewiele też jest do powiedzenia. W każdym razie stawia sobie ona większe wymagania, niż dopiero co wymienieni autorowie, stara się wniknąć w duszę swych bohaterów (psychologia rozwódki, tęskniącej do dzieci z pierwszego męża, psychologia cnotliwej żony na pierwszej schadzce miłosnej); ale jednostronność tematów mści się na p. Garlikowskiej, skazując ją na jałowość myśli i nużącą jednostajność tematów.

Wreszcie powieść Bohowityna p. t. „Kobieta z przeszłością“ (1912) jest bardzo ciekawym okazem z tej samej niewonnej grządki. Pozornie jest to rzecz, zakrojona szeroko, z pretensyami na utwór o charakterze społecznym: podnosi sprawę kobiecą, ujmuje się za pokrzywdzonemi, mówi o strasznym losie dzieci nieprawych i ich matek, o obłudzie świata dzisiejszego, o wyzyskiwaniu kobiety przez mężczyznę, o potrzebie zrównania w prawach obu płci itp.

Ale nie dajmy się złudzić pozorom! Pod płaszczykiem wabiących słówek kryje się tu propaganda bezładu moralnego, a samo życie w powieści p. Bohowityna przedstawia się w dziwnie powyginanych kształtach. P. Bohowityn ucieka się do środka niezawodnego: tak np. chcąc zohydzić rodzinę, jako instytucyę przestarzałą, po jednej stronie ustawia same postacie szlachetne i nieszczęśliwe, po drugiej zaś—takie karykaturki, jak herod-baba, p. Muśkiewiczowa, i jej dwie córeczki, wyszturgane „mumijki“. Przy pomocy takiej sofistyki można dowieść, co się komu podoba.

Nie szczędzi przytem p. Bohowityn pikanteryi bielizny damskiej i scen erotycznych, przemycanych pod banderolą „kwestyi społecznych“...

Oh! le degoût de tout cela!

Uzupełnię ten poczet jednym jeszcze tytułem: „Jak bogowie“, zbiór nowel Bolesława Szczęsnego Herbaczewskiego (1912).

Ale o utworach tych nic powiedzieć nie umiem, uległy bowiem konfiskacie, jako obrażające moralność publiczną.

Tyle o naszym masochizmie literackim, tyle o jednej i drugiej „mademoiselle“ czy „madame Baudelaire“, jak Francuzi nazywają Rachildę. Od czasu, gdy Sienkiewicz potępiał „ruję i porubstwo“ w piśmiennictwie, poszliśmy już w tym kierunku bardzo daleko; i niewiadomo, dokąd można już iść dalej. Przed dziesięciu laty niktby nie pomyślał nawet o czemś podobnem.

A ponieważ niejeden z tych utworów nie odpowiada najskromniejszym nawet wymaganiom artystycznym, nie pozostaje z nich nic innego, prócz grubej, często ordynarnej sensacyi zarówno w epizodach odrębnych, jak i w ogólnym toku myśli i założeń.

Czem się skończy ta walka z moralnością tradycyjną, walka, powiedzmy wprost, z instytucyą społeczną rodziny? Trudno to powiedzieć. Ogólne jednak wrażenie jest takie: że pogłębia się coraz bardziej przepaść, dzieląca życie od literatury, nie tak dawno jeszcze wiernej towarzyszki codziennych trosk bytu narodowego, że młodzież nasza szlachetniejsza jest od tych głosicieli rozkładu i przyziemności, szczytniej myśli i goręcej czuje, że wielkie hasła romantyzmu nie wygasły jeszcze w duszach młodocianych.

Ona też odpowiedzieć powinna na te zakusy nihilizmu moralnego, jak to już niedawno w Galicyi uczyniła, protestując w imię zdrowia narodowego przeciw szerzącej się zarazie pornografii.

Dość już tej stęchlizny i mroków piwnicznych! Dalej na powietrze i światło! Wznieśmy wysoko sztandar literatury narodowej, niechaj, jak dawniej, prowadzi nas do zwycięstw i chwały! Orłem niech nam będzie, nie zaś nietoperzem, lwem, a nie kretem!...

*

* *

Nie jest orłem, niestety, młody autor, p. Zygmunt Kisielewski, który rok temu puścił w świat powieść p. t. „Świty“ (1911), obecnie zaś wydał zbiór nowel p. n. „Wędrowiec“ (1912). Już mniejsza o to, że nowele te nie są dość zwarte w swej budowie, że roz-

wiązanie w nich jest dowolne, nie wypływa logicznie z wypadków poprzednich; i to mniejsza, że akcya ich często toczy się poza granicami kraju, że przez to zaliczyćby je można do literatury „emigracyjnej“, o której mówiliśmy powyżej.

Najważniejszą rzeczą w utworach Kisielewskiego jest to, że erotyzm ich bardzo już pośledniego gatunku, czasem zaś kryminałem trąci („W parku“), że ten Polak, obnoszący swą tężyznę męską po krajach Zachodu, wcale nieciekawie wygląda, że ten student zurychski, romansujący z koleżanką-żydóweczką i opuszczający ją za namową bogobojnej rodziny, jest nędzną i pogardy godną kreaturą, że ta panna Róża, uciekająca z domu do doktora, ordynującego w Zakopanem, a od doktora do malarza, syna chłopskiego, ani nas wzrusza, ani bawi itd.

Niepodobna odmówić autorom prawa odtwarzania zła w literaturze, skoro zła tego dosyć jest w życiu. Ale mamy prawo, a nawet obowiązek, pytać za każdym razem: i co z tego? w jakim celu zmusza nas autor do taplania się w błocie?

U p. Kisielewskiego nic z tego właśnie nie wychodzi. Tak np. w noweli p. t. „Feliks Żwardoń“ uwiedzenie przez studenta koleżanki doprowadza... do groteskowej sceny, w której ośmieszony i wydrwiony zostaje uwodziciel i jego rodzina. I na tem koniec!

I bagno może być przedmiotem sztuki, ale trzeba na nie patrzeć *sub specie aeternitatis*, pod kątem nieskończoności. Inaczej będzie tylko stekiem nieczystości, niczem więcej.

Nasi najmłodsi beletryści zdają się nieraz o tem zapominać.

*

* *

Inaczej nieco zapatruje się na życie inny debiutant literacki, p. Piotr Choynowski, który wystąpił niedawno ze zbiorem nowel p. t. „Zdarzenie“ (1912).

I on również nie szczędzi nam smutnych, nawet strasznych obrazów nędzy życia (np. „Barowska“, odznaczona na konkursie „Tygodnika Illustrowanego“, „W cukierni“, „Straszny dzień Janka“). Ale wie i rozumie, że są to rzeczy smutne, bardzo smutne, i ma dla nieszczęśliwych politowanie. Wymownym tego

dowodem jest właśnie „Barowska“: upadek moralny dziewczęcia ze średnio-mieszczańskiej rodziny—jakże ta nuta ograna przez wszystkie pozytywki literackie! A jednak p. Choynowski umiał wydobyć z tego pospolitego przedmiotu tyle akcentów bólu i rzewnego liryzmu, że utwór ten zbliża się do poziomu prawdziwej sztuki.

I jeszcze jedno: p. Choynowski lubi przedstawiać stany duchowe dzieci. Nie zawsze drobne te sylwetki kreślą się w naszej wyobraźni z dostateczną wyrazistością konturów, ale bądź co bądź, świadczy to o szlachetnych dążeniach młodego autora, który, jakby pragnąc zapomnieć o ohydzie życia, z lubością odtwarza dzieci niewinne i czyste, a czasem—wprost bohaterskie.

Nie wszystkie nowele p. Choynowskiego stoją na jednakim poziomie, ale jako pierwociny literackie, dobrze każą wróżyć o przyszłości autora.

*

* *

To, co mówiliśmy powyżej o charakterze egzotycznym naszej literatury współczesnej z powodu Perzyńskiego i Kisielewskiego, da się w zupełności zastosować do p. Tadeusza Rittnera. Zdolny dramaturg, autor odznaczonej pierwszą nagrodą na konkursie dramatycznym im. Sienkiewicza „Maszyny“ (1903) oraz melodramatycznej nieco sztuki p. t. „W małym domku“ (1904), wystawił wiosną r. b. na scenie warszawskiej komedyę trzyaktową p. t. „Głupi Jakób“. Napisany początkowo dla scen niemieckich, później zaś przez samego autora w polską szatę przybrany, „Głupi Jakób“ nie pozbył się charakteru kosmopolitycznego. Ułomności ludzkie i ludzki ból, wszędzie jednaki, przemawiają do nas ze scen i postaci tej doskonale wytrzymanej, ściśle, według zakreślonego z góry planu przeprowadzonej komedyi. Autor zajrzał głęboko w duszę człowieka, chociażby tak nieznośnego i zgryźliwego egoisty, jak Szambelan, stary kawaler, zatruwający życie sobie i innym, a jednak godny współczucia w tragizmie swej starczej, zmysłowej miłości dla dziewczyny z ludu, płochej i zalotnej, którą zaślubia, choć przeszłość jej zna doskonale. „Głupi Jakób“, rządca majątku Szambelana, natura prosta i szczera, nie znająca kompromisu i obłudy, brzydząca się kłamstwem i wyzyskiwaniem sytuacyi, sta-

nowi wyborny kontrast z atmosferą śledziennictwa i fałszu, panującą w domu Szambelana. Kunsztu scenicznego jest p. Rittner świadom, umie prowadzić akcyę, zajmującą w każdym szczególe, tworzy całość, z małymi wyjątkami, logiczną i efektowną, zrównoważoną i spokojną, słowem, rzecz pod każdym względem dojrzałą.

Na polu beletrystyki p. Rittner, o ile wiemy, pierwsze dopiero stawia kroki. To też zbiór jego nowel, wydany niedawno p. n. „W obcem mieście“ (1912), chociaż świadczy o bogactwie wyobraźni i oryginalnej pomysłowości autora „Maszyny“, nie zawiera utworów, które przejdą bezwzględnie do literatury. Mamy tu szkice i obrazki o charakterze egzotycznym („W obcem mieście“, „Sezon“, „Chłopcy“) lub zgoła fantastycznym, baśniowym („Zagadka“, „Serce Kory, baletnicy, waryacka historya“, „Z piekła“). Utwory te są zajmujące i godne uwagi chociażby dlatego, że tak inne od zwykłej szarzyzny życia, ale brak im dostatecznej plastyki i harmonijności budowy.

Dotychczasowe utwory Rittnera, świadcząc o dużej kulturze umysłowej i estetycznej autora, stawiają go w rzędzie tych pisarzy, od których mamy prawo wiele się jeszcze spodziewać.

*

* *

Dowodem niemałej też kultury jest cykl nowel p. Adama Grzymały-Siedleckiego p. t. „Galerya moich bliźnich, nowele i fraszki“ (1911). Autor, krytyk i były kierownik literacki teatru krakowskiego, po raz pierwszy staje przed publicznością, jako beletrysta.

Debiut to ze wszech miar udatny. P. Siedlecki umie się tak samo swobodnie obracać w rycersko-feudalnem średniowieczu („Dlaczego zamilkł Pierre Vidal?“, „Smukła Ivenna“, „Prawdziwe dzieje Don Juana“), jak i w świecie dzisiejszym, na wsi („Łabęsio“ z kilku doskonałymi typami ze świata obywatelskiego) i w mieście (doskonały obrazek z życia rzemieślników, pełny plastyki, barwności, humoru, z wybornie pochwyconymi typami szumowin wielkomiejskich, p. t. „Imieniny Konika“, niemniej ciekawa nowela z dobrze oddaną psychologią dziecięcą p. t. „Jego pierwszy romans“ itd.).

Nowele p. Grzymały-Siedleckiego nie są może owocem bezpośredniego natchnienia, ale zwracają na siebie uwagę, jako utwory dobrze przemyślane i starannie wykonane we wszystkich szczegółach, pod strażą czujnej rozwagi i smaku estetycznego. Pisać byle co i byle jak, autor „Galeryi moich bliźnich“ nie umie i nie chce.

*

* *

Ciekawą organizacyą twórczą jest p. Bogusław Adamowicz. Nowele jego, zebrane w tomik p. t. „Tajemnica długiego i krótkiego życia“ (1911), należą do najoryginalniejszych płodów beletrystyki naszej w ostatnim roku. Takiej efektownej fantastyczności, takiego bogactwa pomysłów najnieprawdopodobniejszych, takiego przepychu barw i świateł dawno już nie spotykaliśmy w naszej beletrystyce.

Nowele te to istne baśnie, może nawet cudowniejsze od baśni, bo zrodzone w wyobraźni subtelnej, kontrolowanej przez umysł dojrzały, powiedziałby kto może, dziwaczne, gdyby nie to, że w każdej z nich pod połyskliwą tkanką cudowności kryje się myśl dostojna, owoc rozwagi i doświadczeń życiowych (np. „Potworek“, „Zegarmistrz“, „Tajemnica długiego i krótkiego życia“).

Nie można tego w równej mierze powiedzieć o najnowszej powieści p. Adamowicza p. t. „Nieśmiertelne głupstwo“ (1912). Pióro autora „Tajemnicy długiego i krótkiego życia“ tutaj jakgdyby ociężało, bujnie szybująca wyobraźnia jakgdyby obniżyła lotu.

Powieść należy rozumieć, jako alegoryę, i to właśnie jest jej nieszczęściem. Myśl alegoryczna bowiem, jak ołowianka, ciągnie za sobą w przepaść wątły stateczek akcyi fantastycznej. Rzecz dzieje się jakoby w dalekiej przyszłości, a zawiera aluzye do dzisiejszych stosunków politycznych. Wolno np. domyślać się, że „Miasto Umarłych“ to Polska, sekta Popielników to Polacy, Ona zaś, Piękna nieznajoma, to symbol Ojczyzny. Dziwna sekta Skarabejczyków, zamieszkujących wieś Sąsiedztwo, z takimi przedstawicielami o dziwacznych nazwach, jak Skarabeusz Wielki czyli Fryc, Cień, Ręka, Chyrchoł, Bakałarz, Pupu, jest alegoryą opartych na biurokracyi i absolutyzmie rządów zaborczych.

Tak pisano u nas za nieboszczki cenzury: Sienkiewicz przedstawił Polskę w postaci okrętu „Purpura“, Świętochowski, przestawiwszy zgłoski, dał jej miano: Skapol. Było to jakby pismo sympatyczne, tajemnicza symbolika konspiracyjna, wypukiwanie się wzajemne więźniów w celach. Ale dziś, przy względnej swobodzie prasy, maskarada taka zgoła zbyteczna.

Dodać należy, że alegorya w „Nieśmiertelnem głupstwie“ nie jest dość przejrzysta, a wątek powieściowy zbyt nikły i mało zajmujący: przygody miłosne Emanuela, Jany, Estelki, Eryka i Katoda mają zapewne pewien wdzięk sielanki, ale ramy powieści wypełnić nie mogą, same zaś te postacie zaledwie naszkicowane.

Czekamy na nowe, doskonalsze utwory p. Adamowicza.

*

* *

Sympatycznym debiutem jest powieść p. Jana Powalskiego p. t. „W słońcu“ (1912). Jest widoczne w tym utworze silne oddziaływanie modernizmu, zwłaszcza Żeromskiego i Daniłowskiego, powieść rozpada się na kilkanaście luźnych, myślą tylko przewodnią i postaciami głównemi, dwu młodych chłopaków, synów obywatelskich, związanych scen, epizodów i nastrojów. Ale w tem wszystkiem odbija się słońce prawdziwej poezyi, obrazy z życia i przyrody pod piórem p. Powalskiego nabierają cech istotnego, wiecznotrwałego piękna.

Nie dość na tem. Psychologię swych młodocianych bohaterów autor rozumie i odczuwa doskonale: ich umysł i serce budzą się dopiero do życia, oczy otwierają się szeroko na spotkanie fali wrażeń. Od pól i lasów, od bijącego uroczyście i miarowo tętna przyrody, od obcowania z ludem, od robót i zajęć około uprawy ukochanej ziemi, od niedawnych wspomnień bohaterskich idą ku nim wzruszenia wielkie i szlachetne, a dusza krzepnie i dojrzewa. Nie są to dzieci przeczulone i chorowite, jakie nieraz lubiła kreślić nasza beletrystyka modernistyczna, przeciwnie, natury to zdrowe, głowy otwarte, serca czyste i szlachetne, współczujące żywo każdej niedoli, a przepoczwarczanie ich z dziecka w młodzieńca odbywa się w sposób naturalny, zgodny z prawdą psychologiczną.

P. Powalski jest dotąd cudzem echem, jeżeli nie pod względem myśli zasadniczych, to przynajmniej form artystycznych, w które wlewa te myśli. Nie wątpimy wszakże, że niebawem znajdzie własną drogę, ku szczytom, czego zdaje się pragnąć z głębi zdolnej do wstrząśnień uszlachetniających duszy.

*

* *

Nowicyuszem na polu powieściopisarstwa jest utalentowany poeta i nowelista, autor licznych cyklów lirycznych, oraz zbiorów nowel: „Bezimieńce“ (1907) i „W więzieniu“ (1910), p. Edward Słoński. Z ciekawością i współczuciem śledził on przebieg wypadków tragicznych ostatniej naszej rewolucyi i skreślił w nowelach, przemawiających do serca nietylko „sympatyków“ i zwolenników przewrotu.

Nie jest wszakże p. Słoński, jak wielu innych przedstawicieli „młodej Polski“ (Żeromski, Daniłowski, Sieroszewski, Niemojewski, Andrzej Strug), bezwzględnym wielbicielem burzycieli porządku społecznego, nie przypisuje im wyłączności wszelkich cnót i zalet, nie przedstawia przeciwników radykalizmu, jako istoty nędzne i pogardy godne. Umie zachować miarę i sprawiedliwość.

Dowodem tego powieść p. t. „Partya, romans rewolucyjny“ (1912). Smutku tu i współczucia dla niedoli „bezimieńców“ wiele, ale niema bezgranicznego zachwytu dla wszystkiego, co oni czynią. Przeciwnie, przedstawiając, jak młody, zapalny chłopak z bojowca jednej z partyi wywrotowych staje się bandytą, a potem ginie od kul swych własnych niegdyś towarzyszy, występuje tu p. Słoński jakby z krytyką działań konspiratorskich, wciągających niebacznie, straszną grą o honor i życie osobniki w niedostatecznie przygotowane do tej niebezpiecznej służby, w której wielkie tylko i hartowne duchy nie uginają się i nie paczą.

Nie kusząc się o psychologię całego ruchu rewolucyjnego, p. Słoński dał w „Partyi“ opowieść dobrze pod względem literackim napisaną, potoczystą i ciekawą, choć wolną od niezdrowej sensacyi konspiratorskiej.

*

* *

Niewiele jest do powiedzenia o ostatniej powieści p. Henryka Zbierzchowskiego, p. t. „Stepowa panienka“ (1912). Autor jej, obracający się swobodnie w dziedzinie fantazyi i baśni, w obrazach nawpół widmowych („Na złotej przełęczy“, 1904, „Grający las“, 1908, poczęści „Pająk“, 1909), na niwie powieściopisarstwa obyczajowego o wiele mniejsze budzi zaciekawienie („Literat“, 1907, „Malarze“, 1910).

„Stepowa panienka“ niczem nie świadczy, że wyszła z pod pióra poety-modernisty. Uboga w postacie i pomysły, pospolita w treści, pisana stylem poprawnym, ale bezbarwnym opowieść o niedobranem małżeństwie stepowego hulaki-szaławiły z dziewczyną subtelną i uczuciową, wygląda, jakby była pisana w tych czasach, gdy powieść obyczajowo-społeczna pierwsze u nas stawiała kroki; lepsze nierównie pisywała Orzeszkowa na ten sam temat w pierwszych latach swej twórczości („Na prowincyi“, „Ostatnia miłość“, „Wesoła teorya i smutna praktyka“, „Pan Graba“ i inne).

Wolimy już p. Zbierzchowskiego, jako poetę, puszczającego cugle płomiennej wyobraźni.

* *

* *

Należy teraz powiedzieć kilka słów o literaturze „młodego Podhala“. Młodzi literaci, którzy wyszli z łona ludu podgórskiego, nie tworzą, zapewne, spójnej grupy, ale to, co w nich jest wspólnego, zrodziło się w nich samo, z poszarpanych szczytów i uroczych jezior tatrzańskich, z ubogiej, a mimo to ukochanej gleby podhalańskiej, z ciemnych i ciasnych chat gazdowskich, z umiłowania ludu. A chociaż różnemi poszli drogami, nie zerwali spójni serdecznej ze swą najbliższą ojczyzną, spłacając zaciągnięty względem niej dług ważką monetą talentu i natchnienia.

A oto kilka przykładów.

Młodziutki poeta, po raz pierwszy występujący na niwie literackiej, p. Teofil Lenart, napisał dramat trzyaktowy na tle powstania chochołowskiego w r. 1846, p. t. „Podhalanka“. To jedyne powstanie narodowe wśród ludu polskiego w tym smutnej pamięci roku wzniecili, jak wiadomo skądinąd, ks. Leopold Kmie-

towicz, wikary z Chochołowa, przy pomocy tamtejszego organisty, Jana Andrusikiewicza, oraz ks. Michała Głowackiego z Poronina i ks. Michała Janiczaka z Szaflar; posłużyło ono już za wątek Tetmajerowi we fragmencie V seryi „Skalnego Podhala“ p. t. „Za sytko“. Dramat p. Lenarta, szlachetny w pomyśle, mniej doskonały w wykonaniu, wzorowany na utworach Wyspiańskiego (symboliczna postać „Podhalanki“), świadczy dodatnio o szlachetnych porywach młodocianego autora, który ma jeszcze długą przyszłość przed sobą.

P. Feliks Gwiżdż, autor momentu dramatycznego w jednej odsłonie p. t. „Podcięty dąb“ (1906), oraz cyklu poezyi „Fale“ (1907), wydał niedawno zbiorek nowel i szkiców p. n. „Dobrzy ludzie“ (1912). Na nazwę noweli zasługuje najbardziej utwór najdłuższy ze wszystkich, nadający tytuł całemu zbiorkowi, „Dobrzy ludzie“, prosty i prawdziwy obraz życia rodzinnego we wsi na Podhalu, nieporozumień, intryg i waśni, których celem jest, jak zawsze i wszędzie w Polsce, chata, symbol dostojnej przynależności do gminy i tradycyi rodzinnych, i ziemia, czarna wszystkich karmicielka. Inne utwory w tymże zbiorku („Piosnka Gajdosia“, „Pan Jezus przyszedł“, „Powrót“, „Pogański Bóg“, „Zawierucha“) to dopiero notatki, które mogą autorowi posłużyć jako materyał do przyszłej, większej całości. P. Gwiżdż rozgląda się po świecie, podpatruje objawy życia, a czy stanie mu talentu na stworzenie z tych obserwacyi dzieła sztuki, dzień jutrzejszy dopiero pokaże.

Odstrychnął się pozornie od pierwotnej wspólnoty poeta podhalański, p. Józef Jedlicz. W zbiorku liryk p. t. „Nieznanemu bogu“ (1912) występuje, jako rzecznik ogólno-ludzkich uczuć i przeżyć duchowych. Subtelny smutek, wiejący z opustoszałych pól jesiennych i spadających liści, łagodna melancholia dusz młodocianych na progu śmierci, żałoba życia, nie rozjaśnionego żadnym promykiem nadziei, „zakrzepły w mrokach ludzki ból i ludzka krew“, oto zasadnicze motywy liryki p. Jedlicza.

Ale wspomnienie stron ojczystych powraca natrętnie: czy to w obrazie groźnie wezbranego Dunajca („Powódź“), czy też w rzewnym cyklu p. t. „Marzenia o kraju rodzinnym“, w „Żalach Hanusi“, wyśpiewanych na nutę góralską, w tragicznej „Muzyce pijanego kowala“, w wierszach, pełnych serdecznego uczucia p. t. „Wychodźcy“, „O ludu mój królewski“... itd. I te właśnie utwory są najszczersze, najszczytniejszym płoną ogniem miłości i dumy.

P. Andrzej Galica w dramacie czteroaktowym p. t. „Robert Szporn“ (1912) również występuje w obronie praw ludu. Rzecz dzieje się w kopalni, w jednym z rewirów węglowych, a wątkiem dramatycznym jest tu nieszczęsna dola ludu roboczego, którego potu, krwi, a nieraz i życia nie szczędzą łakomi zysku właściciele kopalni i ich dyrektorowie. Nie jest to jeszcze praca z gruntu samodzielna: słychać tu echa Ibsena („Podpory społeczeństwa“), Hauptmanna („Tkacze“), Heijermansa („A Pippa wciąż tańczy“, „Nadzieja“), z oceną więc talentu p. Galicy zaczekać jeszcze należy aż do chwili, kiedy poczuje się on samym sobą, zdobędzie niezależność duchową. Z urodzenia należąc do „młodego Podhala“, przedmiotem swego dramatu odbiegł od rodzinnych hal, niemniej jednak zaliczymy go do tej grupy, której ojcem duchowym jest Tetmajer, która już wydała z pośród siebie Orkana-Smreczyńskiego, a której przyszłość, jako gałąź literatury nawskroś ludowej, może być bardzo ciekawa i pouczająca.

*

*

*

Od „młodych Podhalan“ krok tylko jeden do powieści, które nazwać można „kresowemi“, boć i Podhale to kresy nasze, granitową ścianą Tatr od Węgrów oddzielone. Dawno już, zda się, minęły czasy, kiedy na traktach Krzemieńca, Dubna, Kamieńca, Berdyczowa, Kijowa rojno było i gwarno polską mową, kiedy powieść nasza obyczajowa równie często, w osobach Kraszewskiego i Korzeniowskiego, jeździła po kontraktach kijowskich i dubieńskich, jak i zaglądała do salonów i saloników, poddaszy i suteryn warszawskich, krakowskich czy lwowskich.

Dziś — zmieniły się czasy. Nienormalne warunki, w jakich płynie życie nasze społeczno-polityczne na kresach wschodnich od lat niemal pięćdziesięciu, zrobiły swoje: życie polskie na Ukrainie, Wołyniu, Podolu przygasa, karleją charaktery, zwęża się sfera zainteresowań i odczuwań, wzrasta, panoszy się, bujnie krzewi chwast egoizmu i karyerowiczowstwa, a patryotyzm zamyka się, w najlepszym razie, w ciasnym kręgu już nie swego powiatu, ale wprost—swojej wioski. Słowem, Polakom w krajach zabranych

grozi materyalne i moralne wynarodowienie: materyalne, bo, raz straciwszy grunt pod nogami, w dosłownem znaczeniu tych wyrazów, może go już nie odzyskają, moralne, gdyż takie obniżenie ideałów prowadzi wprost do—zwyrodnienia.

Takie niewesołe obrazy roztacza przed nami p. Edward Paszkowski, autor „Podniebia“ i „Jasnych wód“, w swej najnowszej powieści p. t. „Rozbitki, z kroniki kresowej“ (1911). A choć nie jest to utwór, poczęty w wyobraźni twórczej poety, chociaż strona artystyczna schodzi tu na drugi plan, jednak, jako dokument życia narodowego w pewnym okresie czasu i w pewnej cząstce dawnej Rzeczypospolitej, powieść ta ma do pewnego stopnia znaczenie historyczne.

„I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie“... Po dawnych nastrojach „kontraktowych“ i śladu nie zostało. A jeśli przypomni je nam jakaś skromna książeczka, jakby wypadkowo w dzisiejsze czasy zabłąkana, jak np. garść szkiców, obrazków i gawęd Adama hr. Rzewuskiego, trochę smętnych, trochę bałagulskich, p. t. „Jego żarłoczna mość... burak“... (1912), to brzmią one jakoś dziwnie, jakby nie z tego świata...

Nie lepiej dzieje się na kresach zachodnich. Nie bez znaczenia jest równoczesne niemal ukazanie się dwu powieści, na stosunkach polskich pod zaborem pruskim osnutych: „Hakaty“ Ludwika Romockiego (1912) i „Pod mysią wieżą“ Macieja Wierzbińskiego (1912). Obie one, utwory publicystyczne raczej, niż literackie (zwłaszcza „Hakata“), powołała do życia troska o niepodległość duchową Polaków na kresach zachodnich: w Poznaniu („Hakata“) i na Kujawach („Pod mysią wieżą“).

Jakże to smutno pisarzowi polskiemu nazywać kresami prastarą dzielnicę piastowską, kolebkę naszej organizacyi politycznej, Poznań, Gniezno i Kruszwicę! A jednak tak jest, a raczej tak to wygląda w powieściach pp. Romockiego i Wierzbińskiego.

To samo, co w „Rozbitkach“ p. Paszkowskiego, płaszczenie się przed siłą i nikczemne tchórzostwo, ten sam zanik opinii publicznej, godności osobistej i narodowej, to samo sprzedawczykostwo, które przestało już kogokolwiek szczerze oburzać, to samo odrzucanie balastu ideałów, bodaj najbardziej przyziemnych, w pogoni za chlebem powszednim.

P. Wierzbiński jest nastrojony, pomimo wszystko, bardziej optymistycznie: daje przekrój zacnego domu polskiego, który będzie promieniował ducha polskiego na całą okolicę; obraz, nama-

lowany przez p. Romockiego w „Hakacie“, jest wprost rozpaczliwy, a wyrażona na ostatniej karcie powieści nadzieja na przyszłość brzmi jakoś sztucznie i nieszczerze.

Takie to horoskopy stawia przed naszemi oczami powieść „kresowa“.

*

* *

A powieść historyczna? Ta nie przeżywa się, zawsze bowiem znajduje pożądających tego rodzaju strawy duchowej czytelników. Przyzwyczaili nas do tego zrazu Kraszewski, a potem Sienkiewicz, by znajdować w powieściach z dziejów narodowych barwne obrazy przeszłości minionej, dostojne postacie królów, mężów stanu, rycerzy: nietylko to zachwyca wyobraźnię, ale i „pokrzepia serca“.

Wypłynąwszy z dwu źródeł: romansu historycznego Walter-Scotta i Dumasa-ojca, oraz gawędy czy pogadanki szlacheckokontuszowej, złączywszy swe wody, potoczyły się one szerokiem korytem beletrystyki dziejopisarskiej Kraszewskiego, zajaśniały całą gamą barw na wspaniałej katarakcie „Trylogii“ i „Krzyżaków“, by potem ruszyć znów w dalszą drogę leniwym biegiem i obracać młynki użyteczności publicznej. Jeszcze jeden zakręt i wir niespokojny: powstaje powieść-nastrój w „Popiołach“ Żeromskiego—i znowu fale toczą się równie i spokojnie.

Po Żeromskim nasza powieść historyczna nie poszła ani na krok dalej, ma wszelkie cechy epigonizmu. Gawęda, romans, nastrój—w tem zamyka się wszystko.

Ton i rozmach gawędy mają wszystkie powieści i powiastki Wacława Gąsiorowskiego, który wyspecyalizował się, jako dostarczyciel brawurowych obrazów z życia obozowego i zyskał tem dość nawet rozległą popularność u żądnej tanich wzruszeń artystycznych publiczności. Ostatnie jego powieści: „Szwoleżerowie gwardyi“ (1910, początek kampanii 1812 roku) i „Bem“ (1912, z czasów wojny 1831 roku) nowych motywów twórczych nie zawierają.

Tomik „historyi z dawnych lat“ p. Ludwika Romockiego p. t. „Żołnierz W. Ks. Konstantego“ (1912) podobny jest pod każdym względem do wydanego przed dwoma laty cyklu charakterystycz-

nych obrazków z przeszłości p. t. „Pan kawaler“ (1910). Ta sama plastyka, ta sama rodzajowość w odtwarzaniu scen i postaci z niedawnej i dalszej przeszłości, ten sam humor w traktowaniu szczegółów, to samo zacięcie gawędziarskie, mile usposabiające czytelnika. W drobnym obrazku obraca się p. Romocki o wiele zręczniej, niż w dłuższych powieściach („Hakata“, „Liść figowy“). Ten rodzaj snać najlepiej odpowiada jego temperamentowi.

Na poziomie gawędy stoją też utwory powieściowe Walerego Przyborowskiego, chętnie zwłaszcza w pokoikach dziecięcych czytane. Najwcześniejsze z nich („Bitwa pod Raszynem“) miały pewien polot poetycki, jakiś pióropusz bohaterstwa i sławy wojennej: późniejsze (ostatnie: „Zdobycie Sandomierza“, 1911, „Rycerze Barscy“, 1912) nużą jednostajnością pomysłów i figur, a także niewczesnem, zwłaszcza w utworach, przeznaczonych dla młodzieży, wprowadzaniem pierwiastka satyrycznego, rzucają zbyt głębokie cienie na przeszłość szanowną. W każdymbądź razie, Przyborowski, jako autor licznych powieści historycznych dla młodzieży, ma niezaprzeczoną zasługę i uznanie, których nie wolno mu nadużywać.

Na wyższym od gawędy poziomie stoją powieści: Kazimierza Glińskiego („Kniahini Anna“, z czasów wojen kozackich, 1911, i „Ślub krwi“, panowanie Władysława Jagiełły, 1911), nie troszczące się o ścisłość dziejopisarską, ale pełne polotu poetyckiego i fantazyi, nastrojone na romantyczną nutę, oraz Wiktora Gomulickiego („Grandmuszkieterzy“, z czasów Augusta II, 1912) i dwie powieści dla młodzieży: „Życie dla ojczyzny“, z ostatnich lat Rzeczypospolitej, 1911, i „Rok 1812“, na tle wyprawy Napoleona na Moskwę, 1911), o fabule zajmującej i barwnych obrazach z epok minionych.

P. Stanisław Ostrowski wreszcie, idąc śladami Żeromskiego („Wielki rok, powieść na tle 1812 r.“, 1912), układa swe powieści historyczne z szeregu nastrojów, kreśli stany duchowe swych bohaterów pod wpływem kontemplacyi natury, obcowania z ludźmi, tragicznych i wzniosłych wypadków dziejowych.

*

* *

Rozszerzyły się, ponad zamiar pierwotny, ramy niniejszego przeglądu. Już więc tylko krótką wzmianką zbyć mi wypada kilka utworów kobiecych, tem więcej, że dzieł większej wartości literackiej jest wśród nich niewiele.

Mamy i tutaj kilka mniej lub więcej udanych debiutów. Tak np. Helena Kordzikowska w tomie p. t. „Rozita kosę niech rozplecie“ (1912) zebrała garść opowieści, gawęd, dyalogów, najczęściej gwarą ludową pisanych i mowę żywą wiernie odtwarzających; twórczość samodzielna autorki, która spisuje raczej, co słyszała, odgrywa tu bardzo nieznaczną rolę, stąd opowieści te należą bardziej do folkloru, niż do literatury.

P. Bronisława Włodkówna zadebiutowała powieścią, zatytułowaną młodzieńczo-szumnie: „Orlińscy, historya ludzi szalonych w czasach ostatnich“ (1912). Dużo temperamentu pisarskiego, mało doświadczenia życiowego, wiele bujnej fantazyi, zupełne nieopanowanie artystyczne przedmiotu i dowolność w stwarzaniu sytuacyi nieraz mocno melodramatycznych—oto „Orlińscy“, którzy rozbrajają nieraz panieńską naiwnością zarówno w kreśleniu scen erotycznych, jak podejmowaniu kwestyi społecznych, ale każą, mimo to, dobrze mniemać o przyszłości autorki.

„Majaki“ powieść p. Heleny Romer (1911), również dalekie są od doskonałości: brak im mianowicie dostatecznego ustosunkowania między myślą przewodnią a jej wcieleniem artystycznem w powieści, w jej ludziach i perypetyach, a bohater główny utworu, dzielny i zacny działacz narodowy na Litwie, jest doskonałością mocno... papierową. Mimo to jednak, „Majaki“ nie są bez wartości, mają kilka momentów szczęśliwych, dobrze odtworzone typy i środowiska (np. krakowska studencko-dekadencka bohema, nazywająca siebie „Demonami Młodej Polski“).

Pierwsze również kroki na niwie beletrystycznej stawia p. Teresa Lubińska. Jej powieść p. t. „Nie wiedziała“ (1912) i tom nowel: „Historya niemoralna i inne powiastki dla dużych dzieci“ (1912) nie z potrzeby wyobraźni twórczej początek wzięły; zrodziła je myśl etyczno-społeczna, troska o zdrowotność publiczną, o dobro i całość rodziny, tej najdrobniejszej komórki organizmu narodowego. Są to więc nie dzieła sztuki, owoce natchnienia, ale raczej literackie ilustracye zgubnych skutków rozwiązłości męskiej, przed ślubem i po ślubie, dla zdrowia i życia żony i potomstwa. Można na tem tle osnuć wstrząsający dramat (np. „Upiory“ Ibsena); p. Lubińska napisała, ściśle biorąc, rozprawkę

w kształcie powieściowym, a potem poszczególne jej rozdziały przerobiła na nowele. Poezya ma z tem wszystkiem bardzo niewiele wspólnego.

Przypomniały się też autorki, mające już swoją kartę w dziejach literatury. Hajota np. w tomie p. t. „Dar Heliogabala“ (1911) dała kilka zręcznie nakreślonych sylwetek starych, wynędzniałych i poszarzałych w walce z przeciwnościami losu kobiet, umiała wniknąć w ich umęczone dusze, zjednać dla nich serdeczne współczucie czytelnika.

P. Eugenia Żmijewska napisała powieść p. t. „Młodzi“ (1912), bardzo dobrze pomyślaną, jako dokument dziejowy, nie bez wartości: takie bowiem usiłowanie zgłębienia psychologii młodego pokolenia nie może nie budzić jak najżywszego zainteresowania. Powieść obfituje w dobrze pochwycone typy i epizody, rozpierzchłe nieco, nie zestrojone z sobą należycie pod względem artystycznym, i świadczy chlubnie o żywem i serdecznem odczuwaniu współczesności polskiej u autorki „Płomyka“ i „Doli“.

Cykl nowel p. Emmy Jeleńskiej, p. n. „Jubileusz“ (1912), zawierający opowiadania, obrazki, wrażenia z podróży, nie wznosi się nad poziom poprawnych wypracowań literackich. Że autorka „Panienki“ umie „wypisać się“, o tem nie wątpiliśmy nigdy, ale popularność, jaką cieszyły się i cieszą jej utwory, obowiązują wszak do staranniejszego wyboru i opracowywania przedmiotów.

Nowele p. Aleksandry Suszczyńskiej, ujęte w tom p. t. „Wrogowie“ (1912), nie są pozbawione pewnych zalet: znajdziemy w nich dobrze pochwycone postacie (np. „Lazzarone“) i sceny rodzajowe (np. „Chrzciny“). Wogóle, o ile p. Suszczyńska trzyma się ziemi, pozostaje na gruncie twardej rzeczywistości, radzi sobie wcale dobrze. Mniej znacznie udają się jej wzloty w krainę fantazyi: świat nadzmysłowy we „Wrogach“ to sztywne, suche alegorye sił przyrody lub pojęć oderwanych.

P. Zuzanna Rabska wreszcie, która przed trzema laty zadebiutowała cyklem nowel p. t. „Zanim światła pogasną“ (1909), obecnie wystąpiła z nowym zbiorem, zatytułowanym „Dogaressa“ (1912). W p. Rabskiej powitaliśmy autorkę inteligentną, z dużą kulturą literacką i artystyczną, z rozległą i wielostronną erudycyą, operującą obszerną skalą pojęć, wrażeń i myśli, które wylewa na papier w formie, czyniącej zadość wszelkim wymaganiom artystycznym.

Walka pomiędzy złudzeniem a rzeczywistością, zmyśleniem a prawdą—oto treść przeważnej ilości nowel, zawartych w tomie p. t. „Dogaressa“; inaczej mówiąc, jestto współzawodnictwo Literatury i Natury. Pierwszą ukochać mogą tylko istoty zwiędłe w dusznej atmosferze miejskiej („Dogaressa“, „Linia“, „Bohaterka dnia“, kompanowie kawiarniani w „Dziedzicu“, „Zemsta Literatury“), przywiązać się całem sercem do drugiej dane jest tylko jednostkom prawym i czystym (np. sam „Dziedzic“, emigrant polski w noweli p. t. „Listy do niej“).

Przeciwstawność tę p. Rabska rozumie i odczuwa doskonale, tezę swą przeprowadza umiejętnie, stwarzając szereg utworów, zaciekawiających badawczy zmysł czytelnika. A gdy zasili swą wyobraźnię nowym materyałem bezpośrednich obserwacyi życiowych, da nam w przyszłości dzieła nierównie jeszcze cenniejsze.

Tyle o beletrystyce naszej ostatniej doby. O utworach lirycznych powiemy innym razem.

Henryk Galle.

WIELICZKA.

Wieliczka staje na progu nowej ery, w której dotychczasowa jej wytwórczość przekształci się najzupełniej. Dotychczas synonimem Wieliczki była sól kamienna, a jej najwyższym ideałem czystości i przezroczystości: kryształ, którego sześciany ogromnych dosięgały rozmiarów. Kryształy te łączyły się w kopalni sposobem naturalnym w grupy, piękności nadzwyczajnej, których wspaniałe okazy podziwiać możemy w muzeach; dokoła nich i dzięki jednolitej łupliwości tego materyału wytworzył się najzupełniej odrębny, wyłącznie miejscowy przemysł figurkowy, nie uczony w żadnej szkole, stworzony samorzutnie drogą naśladownictwa i dziedziczności z dziada-pradziada tego kunsztu, który u niewielu indywidualności wybitniejszych dosięgał nawet wyżyn artystycznych.

Kopalnie wielickie wydawały przez długi szereg wieków przeważnie sól kamienną, a mianowicie: *sól zieloną* i *szybikową*. Głównym, rzec można zakładowym kapitałem tamtejszych złoży solnych były olbrzymie bryły soli t. zw. zielonej, o których dają nam pojęcie, stworzone ich odbudową wprost otchłanne komory, przypominające rozmiarami wyniosłe, gotyckie katedry, jak podziwiane przez zwiedzających podziemia: „Steinhauser“ (gdzie odbywała się dawniej t. zw. jazda piekielna), „Michałowice“ zabudowane kunsztownem wiązaniem belek, które podtrzymują strop spękany, chroniąc w ten sposób komorę od zawalenia, a piękne dzieło od zagłady, „Drozdowice“, „Saurów“, „Wałczyn“, „Łętów“ i inne.

Z brył tych wydobyto miliony centnarów soli spożywczej, która w prześwietleniu miała jak szyba gruba, ze szkła zwyczaj-

nego cień zielony—stąd jej nazwa, polegająca także na kontraście w porównaniu ze solą „szybikową“, posiadającą wygląd biały. Nazwa soli „szybikowej“, która szczególnie jako przyjęty już i utarty termin niemiecki: „Schybiker Salz“ przedstawia trudności etymologiczne, jest w pochodzeniu swem nader prostą, bo wywodzi się od „szybików“ podziemnych, głębionych w kopalni, gdzie po raz pierwszy znaleziono sól tę białą i czystą. Sprawdzianem pierwszego i drugiego gatunku są naturalne domieszki chlorku sodu, które w handlu mają procent zastrzeżony.

Oprócz soli spożywczych posiada Wieliczka w pokładach, ogromnej miąższości: sole fabryczne, zmieszane z piaskiem drobnoziarnistym t. zw. „spiżowe“. Nazwa ta związana jest najprawdopodobniej z przybyciem do Wieliczki górników ze Spiżu; mniej do przekonania przemawia pochodzenie jej od słowa łacińskiego: *spissum sal* (sól zbita, twarda).

Dawniej wydawano sól z kopalni wielickiej przeważnie w kawałkach, złamkach t. zw. fragmentach, które otrzymywano przez zbijanie ścian solnych (ław t. zw. kłapci). Miałczyznę ładowano w beczki „solówki“, które dostawały klasztory, urzędnicy żupni, miały one także walory monety, bo uzyskiwano za nie drogą zamiany potrzebne do kopalni żelazo. I w dawnych czasach jednak, mimo że o wyczerpaniu pokładów soli nikt nie myślał jeszcze, dufając bezgranicznie w ich nieskończoność, wyrabiano w Wieliczce sól „warzonkę“. Wydobywano wówczas solankę z kopalni szybem „Lois“, „Wodna Góra“ i „Lubomierz“, który należał do księcia Lubomirskiego, a później przeszedł na własność królewską.

Solankę z kopalni wydobytą kieratem (rotą) w workach z wołej skóry, wywarzano na 6 panwiach co odbywało się bez przerwy przez kilkanaście tygodni. Na niezmiernie cennych planach kopalni wielickiej, narysowanych z początkiem wieku XVII-go przez geometrę kopalni Marcina Germana, a wydanych przez Wilhelma Hondiusa w Gdańsku, które dziś już do białych kruków należą, znajduje się dokładny obraz [1]) ówczesnej warzelni, zwanej także „Karbaryą“. Jestto zwyczajna szopa, pod którą spoczywają na omurowaniu panwy warzelniane; obok drzewo na opał ułożone w sągi, dalej kadzie wypełnione solanką, wlewaną przez dwóch

[1]) Obrazy te są w pomniejszeniu, lecz z wiernością oryginału reprodukowane w bardzo pięknem dziele wydanem przez J. Czerneckiego: „Otchłanie Wielickie“.

ludzi wiadrami do panwi, słowem urządzenia jak najpierwotniejsze, bez należytego wyzyskania cieplika, z zupełnem lekceważeniem t. zw. efektów pyrotechnicznych.

Drzewa było poddostatkiem, sił ludzkich także nie brakło, więc nie troszczono się wcale o uproszczenie manipulacyi mechanizmem dziś tak kunsztownym i skomplikowanym. Musieli jednak być i naonczas bezwzględni zwolennicy soli wywarzonej, kiedy wytwarzano ją nawet w Wieliczce, posiadającej takie bezcenne skarby czystej soli kamiennej.

O tem, że Wieliczka wytwarzała niegdyś „przed wiekami“ warzonkę, tak dalece zapomniano, że na wiadomość o mających tam powstać na wielką skalę warzelniach soli, podniesiono nawet głośny protest ze strony *sui generis*—konserwatorów, którzy w tego rodzaju „bezcelowem nowatorstwie“ widzieli brutalne naruszenie wiekowej tradycyi najstarszej polskiej kopalni. Byli to ci sami niepoprawni fałszerze historyi, którzy mimo istniejących niezbitych dokumentów, świadczących o istnieniu Wieliczki (Magnum sal) już w roku 1044 za Kazimierza I, zawsze jeszcze przypisują wyłącznie jej odkrycie żonie Bolesława Wstydliwego św. Kindze, w r. 1253—krzywdząc w ten sposób z uporem maniaków—jej, zamierzchłą sędziwość, aż o całe dwa wieki! Winę całą ponosi niewątpliwie żal za utratą pięknego podania o rzuconym w studni na Węgrzech złotym Kingi pierścieniu, z którego rzeczywistość, stwierdzona kroniką Długosza i dokumentami klasztoru Tynieckiego, zdziera cały urok poezyi.

Wieliczka wytwarzała sól miałką już od lat dziesiątków; był to jednakże produkt młynów, których Wieliczka posiadała kilka: rządowy, krajowy i właścicieli, t. j. odbiorców soli prywatnych. *Miał* ten, mimo to, że wyrabiany jest z soli najlepszej, t. j. najczystszej, posiada przecież wygląd szary, który w stosunku do śnieżnej białości „warzonki“ nazwaćby można „brudnym“.

Tymczasem wymagania spożywców pod tym względem w ostatnich latach bardzo się wysubtelniły. W Niemczech i w austryackich salinach alpejskich zaczęto wyrabiać „sól stołową“ (Tafelsalz), która czyni zadość najwybredniejszem podniebieniom smakoszów. Jestto przedewszystkiem najzupełniej wolny od jakichkolwiek przymieszek, chemicznie czysty chlorek sodu (NaCl) czego o żadnej poprzedniej t. zw. „soli“ a właściwie mięszaninie haloidów, siarkanów i węglanów, i chlorku potasu, wapnia, magnezyi—bez skrupułów rzec nie było można. Nie jest to jedyną tej „soli stołowej“ zaletą. Główną i niewątpliwie najważniejszą rolę odgrywa tu, bardzo w ostatnim czasie respektowana, o bakteryolo-

gię wsparta hygiena, której sól ta przeczysta i nieskazitelna jest— bez przesady—ostatnim wyrazem!

Dość powiedzieć, że od wydobycia surowicy z łona ziemi, aż do wsypania wytworzonej maszynami miałkiej, drobno krystalicznej jak śnieg białej soli, do torebki alluminowej, nie dotknie ręka ludzka.

Dziwić się nie można, że tego rodzaju produkt stał się poważnym nieprzyjacielem mełtej soli kamiennej, a nawet i warzonki na wielkoświatowych rynkach, szczególnie w tych sferach wyrafinowanej pod każdym względem kultury, które chcą mieć zawsze i wszystko najlepsze i najdoskonalsze. Doszło do tego, że w bezpośredniem sąsiedztwie Wieliczki, podawano na stołach wykwintnych, w kryształowych solniczkach „Tafelsalz“ wyprodukowaną w salinach alpejskich.

Tej detronizacyi, obrazy—jej, otoczonego wiekową sławą majestatu, królowa żup: „Magnum sal alias Wieliczka“ znieść nie mogła i pożegnawszy się z tradycyą „soli kamiennej“, stanęła odważnie, w poczuciu swych niewyczerpanych zasobów i olbrzymiej siły twórczej, do walki konkurencyjnej:

Daremne żale — próżny trud
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!

Pomiędzy dawną „Karbaryą“ (warzelnią), szopą przy ulicy Krakowskiej, uwiecznioną na obrazku Germana a ogromną fabryką do wytwórczości soli jadalnej w aparatach z rozrzedzonem powietrzem, piętrzą się etapy nieustannego rozwoju wiedzy technicznej, która znalazła tu najwyższy zdobyty dotychczas stopień swego praktycznego zastosowania.

Trzeba koniecznie zobaczyć na miejscu te wspaniałe urządzenia, ażeby zdać sobie sprawę; dlaczego tylu milionów wymagało stworzenie tak potężnego dzieła. Dzieło to znajduje się obecnie w stadyum ukończenia, które potrwa jeszcze przez czas pewien, więc dopiero w roku przyszłym (1913) zakład zostanie niewątpliwie w bieg puszczony; w ciągu kilku tygodni uruchumioną będzie jedynie centrala elektryczna do wytwarzania światła i siły popędowej.

Całe *etablissement* rozmieszczone jest w trzech zabudowaniach, ustawionych jedną stroną przy ulicy Stanisława Kuczkiewicza, obok parku Mickiewicza, a drugą przytykających do obszaru sa-

linarnego, okalającego największy w Wieliczce szyb wydobywalny im. cesarzowej Elżbiety.

W pierwszem zabudowaniu znajduje się kotłownia. 8 kotłów podwójnych systemu Fischbeina, ulokowanych ponad sobą o powierzchni ogrzewalnej 250 m². Niezmiernie zajmujące jest samoczynne urządzenie zasilania rusztów kotłowych węglem ziarnistym, systemu „Plutostocker“. Ponad kotłami i w kanałach podziemnych idą przewody izolowane na parę i powietrze ogrzane: do maszyn, aparatów i suszarń soli. W tem zabudowaniu znajduje się także patentowany odoliwiacz, co wobec zapotrzebowania tak znacznej ilości smaru, jest nader ważnym czynnikiem ekonomicznej pracy machin.

W drugiem zabudowaniu jest 5 kolosów, pędzonych parą, w połączeniu z dynamo: do wytwarzania światła elektrycznego i sił motorowych 3 maszyny o mocy 800 k. p., 2 o mocy 400 k. p., t. j. łącznie o mocy 3,200 k. p. Zapotrzebowanie wynosić będzie narazie około 2,000 k. p. więc z przezornością zarezerwowano około 1,000 k. p. dla przyszłych urządzeń. Dynamo wytwarzać będą prąd zmienny, pracując bez przerwy, więc akumulatory nie będą w zastosowaniu. Na rozdzielnicy jest instalacya dla 40 silników. Nadmienić przytem trzeba, że hala maszyn przedstawia się okazale; zajmuje przestrzeń o wymaganych do obsługi tego rodzaju maszyn rozmiarach, oświetlonych prawdziwie *a giorno*. W budowie przeważa żelazo-beton; ściany są okładane kaflą porcelanową, posadzka z płytek fajansowych.

Mijając w podwórzu „chłodnię“ i olbrzymie kominy firmy „Custodzi“ wchodzimy do trzeciego zabudowania, t. j. do właściwej warzelni soli, która nie tylko z dawną „Karbaryą“, lecz także z dzisiejszemi udoskonalonemi panwiami warzelnianemi nie ma nic wspólnego.

Od stropu wyniosłego zwieszają się w kształcie olbrzymich gruszek, zwróconych ku dołowi cieńszym końcem, żelazne aparaty, których jest dwanaście, służące do wywarzania soli. Każda taka gruszka waży 15,000 kg.

Nasycona do stopnia najwyższego w ługowniach kopalni solanka, przechodzi do zbiorników, których jest 22, z czego 8 żelazno-betonowych, gdzie najpierw będzie chemicznie, a także mechanicznie odczyszczoną. Jako reagencya używane bywa mleko wapienne, które drogą przemiany siarkanów w węglany strąci inne składniki surowicy, pozostawiając chlorek sodu (NaCl) jako jedyną zawartość solanki.

Tak odczyszczona solanka przechodzi następnie, do aparatów gruszkowych, gdzie za pomocą maszyn ssących wytwarza się próżnię (vacuum), nie zawsze jednakową.

Stopień wrzenia solanki w aparatach ogrzewanej parą spada od + 100°C do + 60°C. Z otrzymanej soli bywa następnie wilgoć częściowo wyssana, a zupełne osuszenie soli gorącem powietrzem, odbywa się w osobnych przyrządach. Rozumie się, że ług macierzysty (Mutterlauge) po poprzedniem chemicznem strąceniu innych składników i po wywarzeniu soli jest prawie czystą, szczerą wodą. Sól wysuszona drobnoziarnista, jak puch łabędzi śnieżnobiała, dostaje się samoczynnym mechanizmem na wagę i do pakietów zamkniętych szczelnie, w których, zaopatrzona w etykietę z podaniem ceny, przechodzi w handel, jako produkt bez zarzutu.

Nietylko znakomita jakość soli spożywczej jest zaletą tego rodzaju wytwórczości. Na uwadze mieć trzeba, że węgiel, którego zapotrzebowanie wynosić będzie około 4 wagonów dziennie, służy do opalania kotłów, dostarczających parę na cele oświetlenia, na popęd rozlicznych silników; 5 pomp na szybie Franciszka Józefa, młyny, warsztaty maszynowe i in. pędzone będą elektrycznie. Ze względu na ponowne zużytkowanie cieplika, możnaby prawie sól tę uważać za produkt uboczny. Przytem maszyny pracują nader ekonomicznie, bo z kondensacyą tak staranną, że zużywać się będzie tylko 30% wody, a uzyskany popiół z węgla, który kolejką linewkową przewieziony zostanie do kopalni, posłuży jako znakomity materyał na „podsadzkę“.

Do tych urządzeń wzięto z fabryk krajowych to co się tylko wziąć dało, t. j. kotły i rurociągi, które pochodzą z fabryki Zieleniewskiego w Krakowie.

Inwestycye te na tak szeroką, świadomą celu przedsięwzięte skalę, stawiają znowu Wieliczkę na czele żup światowych, nie tylko co do jakości wytworzonej soli spożywczej, lecz także co do jej długowieczności, ze względu na olbrzymią miąższość i niezmierne zapasy pokładów, wprawdzie domieszkami zanieczyszczonych, lecz mimo to znakomicie do ługowania przydatnych.

Więc nawet po dziesięciu wiekach pracowitego dorobku nie przypadł jej w udziale smutny odzew: *sic transit gloria mundi!*— lecz idąc śmiało z postępem czasu rozpoczyna w dwudziestem stuleciu swego istnienia, nową drogę: *ad astra*—w daleką, długowieczną przyszłość!

W artykule moim przed laty zwróciłem uwagę na to, że patrzenie na Wieliczkę, jedynie przez pryzmat jej sławnej kopalni

jest w wysokim stopniu krzywdzące dla tego historycznego, ze wszechmiar godnego widzenia miasta. Nie należy jednak patrzeć na to odwieczne miasto tylko pod kątem retrospektywnym, lecz trzeba „z żywymi naprzód iść“ wpisując skwapliwie i z zasłużonem uznaniem wyniki nowej o dobro miasta dbałości. Odrodzenie z upadku i gruzów ma równie wielkie znaczenie, jak ujęte w symbol, mitologiczne powstanie Feniksa z popiołów. Nie tylko o tem powinniśmy pamiętać: że Wieliczka oparta jest przeszłością o tradycyę bardzo poważną, o czem świadczy niewątpliwie kodeks dyplomatyczny miasta Wieliczki, że Kazimierz Wielki obdarzył jej mieszczan przywilejem prasólstwa, czyli prawem zakupna soli z pierwszej ręki, co stało się powodem dobrobytu obywateli, a miasto dosięgło rozkwitu; że Zygmunt August nie tylko zabronił Żydom zajmować się handlem solą (prawdopodobnie z powodu nadużyć), lecz zakazał im mieszkać w Wieliczce; że król ten wpisał Wieliczkę w szereg miast sześciu (Kraków, Bochnia, Sącz, Kazimierz, Olkusz, Wieliczka) rządzonych prawem magdeburskiem; że Władysław IV-ty uwolnił górników od służby wojskowej... lecz i o tem także myśleć trzeba, służąc poczciwie sławie, by wnukowie i nas także wpisać mogli na zaszczytnej karcie dziejów tego miasta.

Miło mi stwierdzić po latach, że w tym kierunku zdążają stale i wydatnie zabiegi i starania wybitnych obywateli Wieliczki a w szczególności ich głowy p. Franciszka Aywasa, który umie to cenić należycie, że zasiada na stolcu wójtowskim, zajmowanym ongiś przez tak znamienitych mężów, jak Mikołaj Wierzynek, Wapowski i inni.

Miło mi zaznaczyć, że zgodnie z autonomią żywi najchwalebniejszą troskę o dobro i piękno miasta, także Zarząd żupy tutejszej, którego członkowie w znacznej liczbie zasiadają na krzesłach radzieckich, by rozsądnie i rozważnie, w poczuciu swej obywatelskiej godności wraz z aborigenami stanowić o jego przyszłych losach...

Ile razy przybywam do tego miasta, które jest dla mnie najmilszem i najukochańszem na świecie, korzystam z chwili pogodnej, by z punktu najwyniośleszego spojrzeć na Wieliczkę. Można to zrobić od strony cmentarza, skąd bliższem jest dla oka miasto, nad którem jakby trzymał straż Kazimierzowski zamek z jedyną od zagłady ocaloną basztą, imponującą koronką strzelnicy na szczycie wieży; można także mieć lepsze i rozleglejsze spojrzenie w dal z pod kościoła St. Sebastyana, na wzgórzu. Wystarczy stanąć na tem wzgórzu w dzień słoneczny i świąteczny,

gdy ani mgły nie kryją widoku, ani dymy licznych szybowych kominów nie brudzą przezrocza widnokręgu; wzrok dobry sięga wtedy bez szkieł aż po Wawel i wieżę Maryacką... doznaje się wrażenia, jakby Wieliczka była tylko przedmieściem Krakowa. I niezawodnie także z okien Wawelu spoglądano ku Wieliczce w wieku XVI-tym na kościół St. Sebastyana, jako na najwyższy znak widomy niewyczerpanego królewskiego spichrza, który kraj nieraz ratował w potrzebie.

Budowa kościoła St. Sebastyana sięga roku 1598. Pisałem w poprzednim artykule o niezwykle pięknej tej świątyni ze wszech miar godnej widzenia, nie z powodu monumentalnej budowy, lecz ze względu na cechę tej prastarej, pleśnią wiekową pokrytej swojskości, która tak bierze za serce.

Kościołek dzięki tej samej zawsze: równie gorliwej, równie troskliwej pieczy swego odnowiciela p. Adolfa Scheuringa, otrzymał nowe ozdoby niezwykłej piękności. Do okien w presbiterium przybyły witraże, wykonane według wzorów Matejki w zakładzie Żeleńskiego w Krakowie. Kolorystyka subtelna, w odcieniach wytworna, w słonecznem prześwietleniu niezmiernie żywa; oblicza Chrystusa i Matki Boskiej przepiękne i przesłodkie w wyrazie. Witraże tak są starannie wykonane, tak chwytają za oczy, że barwnością swą odrywają wzrok od polichromii kościoła, wspaniałego dzieła p. Włodzimierza Tetmajera, któremu słusznie osobny należy się podziw.

Renowacya kościoła datuje się od r. 1907 i oczywiście postępować może jedynie w miarę zasobów pieniężnych na ten cel drogą składek i subwencyj zebranych. Z uznaniem podnieść należy, że i Ministeryum Skarbu poparło znaczniejszym zasiłkiem zabiegi konserwatora. Znaleźli się także hojni prywatni ofiarodawcy, którzy zafundowali dzwony o tonach kojarzących się w dwójśpiew harmonijny. Pierwszy z tych dzwonów ochrzczono imieniem St. Sebastyana i taki dano mu napis:

„Ku tobie me wołanie,
Twą chwałę śpiewam, mnożę:
Wydzwonić daj mi Boże"...

Drugi dzwon jest pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży; odlano na nim wiersz następujący:

Dzwonie!
Bij z wieży

W kraju przestrzenie:
Daj serc zbratanie, dusz wyzwolenie
Polskiej młodzieży
Święty patronie [1]).

Gdy odnawiano wieżę kościelną, znaleziono w mosiężnej kuli szczytowej, na pergaminie miejscami zniszczonym, pismo w łacińskim języku, które tak brzmi w przekładzie dosłownym:

„Poświadczamy wszystkim wobec i każdemu z osobna, do kogo tylko te nasze pismo dojdzie, że to ostrze włóczni zawieszone tu na tasiemce koloru miedzianego i opatrzone znakiem naszej małej pieczątki, wyciśniętej na laku hiszpańskim, potarte zostało o ostrze włóczni, którym otwarto bok Sprawcy ludzkiego zbawienia na krzyżu wiszącego, które to ostrze obok innych cennych relikwii znajduje się w posiadaniu naszego kościoła katedralnego św. Cyryaka i w cudowny sposób rozbudza i potęguje cześć wiernych ku sobie. Na dowód tego poleciliśmy wystosować niniejsze pismo i naszą pieczęcią zaopatrzyć.

Dane w pałacu biskupim w Ankonie

Październik 1531 (data niewyraźna)

B. Massei".

To ostrze włóczni, które zaginęło, wisiało tam zapewne na pamiątkę, że św. Sebastyan włócznią był zabity. Szczegół ten wyzyskany został przez Włodzimierza Tetmajera w ornamentacyi malowidła na stropie, przedstawiającego moment męczenia św. Sebastyana.

Polichromia kościoła mieniąca się, jak wstęgi u krakuski, wydaje się najlepiej, gdy staniemy na chórze.

P. Scheuring, który jako biegły w swym zawodzie kościelny oprowadzał mnie po wszystkich zakamarkach, zatruwa sobie życie nową troską: skąd wziąć, t. j. w jaki sposób zdobyć fundusze na organy, bo te co są mają tylko 3 oktawy, a przytem astmę i chrypkę chroniczną. Niewątpimy, że znajdą się potrzebne środki niebawem, by zbożne dzieło uwieńczone zostało.

---

[1]) Wiersze te są utworem górnika z zawodu i rymodzieja piszącego pod kryptonimem „Kazet".

— Do uwieńczenia daleko jeszcze — przerywa mi gestem przeczącym p. Scheuring — jeszcze stylowe ołtarze boczne, nowy obraz w głównym ołtarzu, pająk, lichtarze etc.

Pan S. nie myśli odpocząć póki marzenia dziecka Wieliczki, skrystalizowane w mocnem postanowieniu: odrodzenia skazanego na zagładę kościoła w szacie od przedwiekowej piękniejszej—nie spełnią się co do joty.

I w mojem sercu odżyły wspólne nam obu wspomnienia na widok tych na oścież otwartych wierzei świątyni:

W kościółku skrytym w lipy cień,
Na sielskiem w dali tle,
Jam w porze mych dziecięcych śnień
Ze skruchą modlił się.

Blask wnikał w głąb słonecznych bram
I ptasząt słodki śpiew...
U wrót świątyni stałem sam
Pod cieniem starych drzew.

Sam... w ciszy zatopiony, tak
Pobożny, wesół, rad;
Myśl rwała się, jak złoty ptak:
W niebiański, rajski świat!

W niebiański świat, anielski ten,
Gdzie Tron najwyższy lśni,
Unosił mię tęczowy sen
Wśród szczęsnych życia dni.

Pierś wzbiera dumą i uczuciem radości, że szare widmo przeszłości, zmartwychwstało w szacie godowej, czaruje, za oczy chwyta tą gamą barw przecudnych rozgranych w blaskach południowego słońca. Oto się natłoczyło mrowisko ludzkie na sumę w niedzielę: ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, obłękitnione dymem kadzielnic.

A dokoła szumią kłosy na zagonach, pachną skoszone trawy, kwiat wonny otrząsają lipy rozłożyste!

Zamajaczył wśród mgły wysoko na chwilę opłatek—św. Hostyi i z piersi tysiącznej buchnęła pieśń:

Święty Boże, Święty mocny, Święty Nieśmiertelny!
O, Ty łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny

od nagłej niespodziewanej śmierci
i od szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi —
zachowaj nas Panie![1])

Płynie pieśń potężną falą: rozlewa się z wnętrza kościoła na tłumy, co go klęcząc obległy i spada stokami, przełęczami, potem w dal równiną, aż do murów Wawelu, skąd już w mgłach rozpylona ulata ku Stwórcy.

Czasem wypełnia cały kościół do ostatniego miejsca, pozbawiona barwnych ludowych strojów rzesza w kitlach ciemnych.

Dobywa się wtedy błagalna z piersi górnika modlitwa:

Ojcze! ja wzywam Cię!
. . . . . .

Gdy zjeżdżam w szybu głębiny
U kruchej zwieszony liny,
Na słabych szczeblach drabiny:
Ojcze! Ty prowadź mię!

Gdy gaz wybuchnie złowrogi,
A wszystkie odcięte drogi,
W godzinę śmiertelnej trwogi:
Ojcze! Ty ocal mię!

Gdy żywioł strasznej powodzi
Zabójczą falą w nas godzi,
Gdy niema ratunku, łodzi:
Ojcze! Ty ratuj mię!

Gdy droga stroma i śliska,
Gdy czeluść wązka i nizka,
Nad głową stropu urwiska:
Ojcze! Ty osłoń mię![2])

Przed laty, gdy kościół był w zaniedbaniu i opuszczeniu i drzwi miał deskami zabite, otaczały go w dzień sabatu tłumy żydziaków, które urządzały sobie na wzgórku krzykliwe „majówki“ wraz ze wszystkiemi „wygodami“. Majówki te nie ustawały wcale, mimo, że stary budynek zmieniony został wewnętrz-

[1]) Jan Kasprowicz: „Ginącemu światu“.
[2]) „Modlitwa górnika“. Kazet.

nie w dom Boży, mimo, że w czasie renowacyi odkopywano trumien szczątki i szkielety, stwierdzające dowodnie istnienie dawnego cmentarza obok kościoła. Wszystko to jednak nie powstrzymało tych, którzy ongiś za króla Zygmunta Augusta mieli zakaz mieszkania w Wieliczce, od dalszego czynnego i najbrutalniejszego bezczeszczenia popiołów naszych pradziadów. By zapobiedz zniewadze graniczącej wprost z świętokradztwem, zmuszony był magistrat umieścić tablicę przy drodze z napisem następującym: „Uprasza się o poszanowanie tego cmentarza, jako miejsca poświęconego. Innowiercom wstęp wzbroniony“. Oczywiście powstały zaraz protesty, ze strony w prawach swych zwyczajowych uszczuplonej: dano temu podkład antysemityzmu, który najniesłuszniej identyfikuje się u nas zawsze z chęcią zachowania choćby najprymitywniejszego porządku, lub utrzymania w godziwym stanie miejsc, którym się to jednak niewątpliwie należy. Oburzenie malkontentów niweczy epigram, który tu stał się popularnym.

Opodal wzgórza św. Sebastyana znajdują się zbiorniki na wodę słodką, które rurociągami zasilają rozległe miasto wodą znakomitą, do niedawna dla wybranych tylko przywożoną beczkami ze wsi Grabówek. Dziś na niepokaźnych nawet wązkich uliczkach są studnie i hydranty, zmniejszające niebezpieczeństwo ognia do minimum. Wielkie to zaiste dzieło, które długo jeszcze nie przestanie być pobożnem życzeniem wielu miast galicyjskich, jest owocem długich zabiegów i mozolnych starań obecnego burmistrza p. Aywasa. Ma on plany szerokie i śmiałe, znajdując w odstraszających przeciwieństwach i trudnościach, jedynie mocną w działaniu ostrogę. W ten sposób powstała z dużym nakładem wybudowana cegielnia, według najnowszych wymagań technicznej wiedzy, co w przewidywaniu licznych budowli w miejscu i okolicy może stać się dla miasta lukratywnem źródłem dochodu... Zdobytą została szkoła średnia, której brak odczuwać się dawał tylu rodzinom, zmuszonym, albo utrzymywać dzieci w Krakowie, albo wysyłać je tam codziennie pociągiem na naukę.

Oto w grubszych rysach dorobek tego sprężystego człowieka, który w krótkim stosunkowo czasie zdołał naprawić długoletni zastój swych poprzedników i ani myśli spoczywać na laurach.

Wieliczka ma więcej takich dzielnych ludzi, pełnych samorzutnej inicyatywy i niepożytej energii...

Przez utrzymany jaknajstaranniej park salinarny, obok zjazdowego szybu Rudolfa (dawniej Daniłowicza), przed którym na

powitanie zawsze tłumnie zwiedzających kopalnię gości rozpostarł kunszt ogrodniczy wzorzysty dywan kwiatowy—idziemy ku ogrodowi Mickiewicza. Poza żelazną bramą skręcamy obok przydrożnej kapliczki w wązką uliczkę i znajdujemy się za chwilę w Zakładzie sadowniczo-ogrodniczym „Piast“, utrzymywanym przez Radę powiatową wielicką, obok którego jest prywatny zakład drugi: Tow. ogrodniczego, pod tym samym zarządem i kierownictwem.

Pisałem już o tem przed laty nie tając podziwu nad ziemią z ugoru w ogród pełen drzew owocowych i kwiatów zmienioną; nad wolą silną jednego człowieka, co potrafił glebę jałową, na której rosły marne owsy, przeistoczyć w bujne rozrodcze łany, pełne najszlachetniejszych jabłoni i róż najkraśniejszych.

Dziś znalazłem dalszy postęp, rozwój i nieustanne dążenie wzwyż; dziś wierzyć się nie chce, że to te same pola, po których przed laty obojętnie ślizgało się oko. Na szerokich zagonach wzorowo i umiejętnie prowadzone szczepy drzew owocowych, których na tysiące wyszło już w kraj z zakładu, a obok łany nizkopiennych róż: wonnych, pełnych, szkarłatnych i białych, ciętych codziennie setkami i znajdujących chętnych hurtownych odbiorców... Czy wy co tkwicie jeszcze z uporem niepoprawnych zacofańców w opleśniałej tradycyą siedmio-polówce macie, choćby słabe tylko pojęcie ile przynosi dochodu skrawek takiego różanego pola?!...

„Piast“ trwa w stadyum, jak najpomyślniejszego rozwoju, którego mu szczerze życzyć należy. „Piast“ i Tow. ogrodnicze jest dziełem tego samego człowieka, którego dał nam już poznać kościół św. Sebastyana—p. Adolfa Scheuringa. Miło jest wyrazić należne uznanie ludziom, którzy nie potrzebują reklamy, nie pragną taniej sławy. P. Aywas nie przyjął przed laty odznaczenia, a p. Scheuringa zasklepionego w kole swej umiłowanej pracy, obchodzą prócz najbliższej rodziny tylko gniazda pożytecznych ptaków, które gwoli drzew owocowych ochrony, gorliwie pielęgnuje i strzeże. W tym celu rozpoczął także od lat szeregu zawziętą walkę z najnierozsądniej protegowanym u nas próżniakiem i darmozjadem: wróblem, który tylko dzięki naszemu nieuctwu i indolencyi tak się wszędzie rozmnożył, że pożyteczne ptaki z gniazd wypiera: energicznie też wystąpił p. S. przeciw bezkarnemu łupiestwu kotów, faworytów, które jak już z opisów Brehma wiemy nieobliczalne w świecie ptaszęcym czynią spustoszenia. Rzecz

łatwa do pojęcia: iłe p. S. ma z tego powodu wśród piękniejszej rodu ludzkiego połowy wrogów nieprzejednanych!

Wieliczka posiada ludzi wyjątkowych, organizmy fenomenalnie samorzutne, które według słów poety: „chcą czegoś chcieć“ i mimo marnego zaszeregowania ze strony losu w hierarchii społecznej jedynie gorącą żądzą działania i niezłomną siłą woli wybijają się ponad głowy wybranych i uprzywilejowanych.

Któż dziś nie zna w kraju i daleko poza jego granicami artystycznych kart widokowych i licznych pięknych albumów J. Czerneckiego z Wieliczki?!

Kiedy go poznałem przed laty był tylko amatorem-fotografem, któremu udało się zrobić kilka zdjęć bardzo dobrych przy magnezyowem świetle w podziemiach wielickich... Odbite na pocztówkach znalazły wielu amatorów, co zachęciło p. Czerneckiego do dalszych prób w tym kierunku. W poprzednim artykule o Wieliczce pisałem, jak się ten przemysł kartkowy rozwinął; jaki wywołał ruch w szeregach artystycznych i w sferach kupieckich, stwarzając ogromny obrót kapitału, który ni to lawina powstał z rzuconej na tor właściwy garsteczki groszy, przez człowieka nie mającego żadnego majątku.

Dziś p. Czernecki posiada w Wieliczce w domu własnym (dawna poczta) księgarnię nakładową z własną tłocznią wielobarwnych kart artystycznych, które dawniej odbijał u Anczyca w Krakowie. Ogromny katalog na 26 arkuszach druku, wydany w ostatnim czasie z kilkuset reprodukcyami najcelniejszych kart widokowych, dał nam dopiero poznać tę potężną gałęź prawdziwie artystycznego przemysłu. Do katalogu tego napisał przedmowę p. Adam Łada Cybulski i słusznie w niej zaznacza, że zbiór artystycznych kart Czerneckiego: to nader bogaty i różnorodny materyał do poznania naszego współczesnego malarstwa, czem spełnia p. Cz. wobec sztuki naszej wielkie zadanie, które może przyszłość dopiero oceni należycie.

P. Cz. także i z tego względu zasłużył na uznanie, że karty jego siłą wdzięku i subtelnego kolorystycznego wykończenia wyrzuciły z rąk naszych obcą, wstrętną, na efekt robioną tandetę; często z podkładem skrycie lub jawnie pornograficznym. Któż dziś z odrobiną poczucia artystycznego namyślać się będzie; gdy mu z jednej strony podadzą: „Osterhasy“, „Krampusa“, czy banalne koncepty „des deutschen Michael“ w guście „Dackla“ kiwa-

jącego sprężynowym ogonem—a z drugiej: czarem poezyi tchnące obrazy Stachiewicza, uduchownione główki kobiece Axentowicza, pejzaże Stanisławskiego, kwiaty Filipkiewicza, arcydzieła Wyczółkowskiego, wizye Malczewskiego, studya Żmurki i tylu, tylu innych, których wyliczyć niepodobna, bo jest w tym zbiorze całe niemal muzeum sztuki polskiej!

Lecz droga po której stąpa p. Czernecki jest w całem słowa znaczeniu ciernista i znojna, bo nie hasłami lecz konkurencyą rozumną i tęgą—ludzi brać trzeba!

Z daleka wydaje się to tylko: „robieniem pieniędzy na swój sposób“... Tymczasem kto bliżej wniknął w sprawę, widzi, że jestto jedynie przesypywanie pieniędzy z miejsca na miejsce; operowanie kredytami, bez których nikt nic wziąć nie chce i najfatalniejsze zawsze dla kupca u nas: borykanie się ustawiczne z bajeczną niepunktualnością dłużników, co szczególnie w dzisiejszej dobie jest kamieniem obrazy konjunktur handlowych...

Jeżeli mowa o sztuce, to nie podobna pominąć milczeniem p. Erazma Barącza, zamieszkałego w Wieliczce, który niech mi wybaczyć raczy, że wkraczam w jego czarowne ustronie, chronione od profanów zaciszem niedostępnego dla wszystkich parku.

Zwiedzałem jego piękne i cenne zbiory przed laty; dziś znalazłem taką mnogość obrazów, okazów rzadkich i drogich, że mieszkanie tego nowoczesnego Petroniusza zmienione jest w muzeum sztuki godne widzenia. Nie podobna na szpaltach tych poświęcić mu tyle uwagi na ile zasługuje; wspomnę tylko o portrecie Wyczółkowskiego (znanej artystki dramatycznej Siennickiej) z niezrównanym rozmachem rzuconym od ręki na karton... żywym, wprost bezcennym! Wyczółkowski jest może najmocniej w zbiorze p. E. Barącza reprezentowany, w portretach znakomitej wartości, kwiatach i w. in.

Mój wzrok pociągnął najmocniej krajobraz dobrze mi znany z wschodniego Beskidu; pastel, który widziałem w chwili tworzenia we dworze p. Makarewicza w Jaremczu. Tam już nauczyłem się cenić wielką inteligencyę tego artysty, wytworność jego smaku i tę bezpośredniość w odczuciu przyrody. Wyczółkowski robił wówczas wrażenie, jakby chciał chwytać w drgające spazmem ekstazy dłonie—powietrze, słońce, wody i rzucał je żywiołowo na papier, krusząc dopóty kredy, aż ujrzał cząstkę życiem tchnącej przyrody...

Powiało na mnie od Gorganów[1]) świeżem, górskiem powietrzem!...

Galerya obrazów p. Barącza to jeszcze nie wszystko z cennych rzeczy, które w swym bogatym zbiorze posiada. Wśród starych mahoni i misternych tkanin widziałem tam wyrobu Paschalisa: pas do stroju polskiego, zaiste czarodziejski, jakby go wróżki z tęczy rozwitej uprzędły i perski modlitewnik (sziras) wprost bezcenny z wieku XIV-go, z ornamentyką w kształcie stylizowanych zwierząt niezmiernie rzadki.

To co w Wieliczce podoba się ogólnie, co bywa rzadkością po mniejszych miastach galicyjskich, które powstały przez skupienie, około głównego środowiska byle jakich budowli, stłoczonych obok siebie, jak ludzie w ścisku—to jest: jej malownicze rozłożenie na szerokiem płaskowzgórzu — dworków, przeważnie oddzielnych, wśród zieleni ogrodów prywatnych. Są także duże publiczne parki i plantacye. Pod tym względem Zarząd żupy solnej szlachetnie współzawodniczy z władzą autonomiczną.

Od starej Kazimierzowskiej sadyby, gdzie w dawnych salach tak obszernych, że „czwórką“ w nich obrócić można, mieszczą się obecnie biura Zarządu salin — ciągną się plantacye i ogrody, utrzymane jak najstaranniej, z trawnikami strzyżonemi, klombami kwiatów, pielęgnowanych nieustannie i umiejętnie i najpiękniejszemi ze wszystkiego grupami drzew rozłożystych, w których gęstwinie z szczególnem umiłowaniem gnieżdżą się z wiosną słowiki, co w księżycową noc majową ponad zwierciadłem stawu w głębi, stwarza nastrój dla poetów jedyny. Wrażenie estetyczne podnosi nawet łuk mostu kolejowego, osłonięty koronką z listewek drzewnych, dalej zgrabny w pośród zieleni kiosk dla muzyki górniczej i żardinierki, pełne świeżych kwiatów zdobiące słupy latarń łukowych.

Mimo to wszystko w rekordzie o piękno pobite zostały saliny miejskim ogrodem Mickiewicza, którego pomnik dłutem artysty T. Błotnickiego z piaskowca wykuty, na podłożu mozaiki kwiatowej, na tle grabowej alei, czyni w pozie z szlachetnym gestem skupienia myśli, wrażenie nader dodatnie, zwiększone nawet cechą zewnętrzną, tą mchu zielenią na

[1]) Łańcuch gór wschodniego Beskidu (P. A.).

głazie, co niema martwoty spiżu, lecz stworzyć jeszcze może życie nowe.

Obszerne miejsce w ogrodzie zajmuje staw z dużą kępą w pośrodku, pełną drzew cienistych, zwieszających swe długie gałęzie ku wodzie. Ku tej ustroni płyną w czółnach z ukrytej w gęstwinie zatoki najczęściej ludzie młodzi i zakochani, których skrajny pesymista o szarej godzinie mógłby wziąć za cienie na obrazie wyspy Böcklina... Rzecz tem mniej prawdopodobna, że to prucie wiosłami cichego zwierciadła wody, odbywa się zazwyczaj przy akompaniamencie wybornej orkiestry górniczej, która raz w tygodniu daje koncert w ogrodach publicznych.

Dokoła stawu idą szerokie ulice, wydłużające się w park młody, gdzie narazie więcej jest kwiatów niż cienia. Park ten wielomorgowy, gdzie odbywają się festyny, w czasie których ponad stawem pyrotechnicy kopalni produkują swe płomienne dzieła, łączy się z zakładem sadowniczo-ogrodniczym, co zajął dalszy obszar gruntów w kierunku Kosocic i Krakowa.

Z każdym rokiem będzie tu piękniej, gdy się te łany, pielęgnowane tak jak dotąd starannie rozdrzewią i barwistymi zagonami wonnych róż rozkwiecą.

Na tem miejscu stwarza kojarzenie myśli, wizyę przyszłości Wieliczki, którą podnieca w tej chwili właśnie spieszący od dworca kolei dorożkami i pieszo, długi korowód turystów z całego świata, zwiedzających nieustannie i z niesłabnącą wcale frekwencyą podziemne arcydzieła mrówczej, wiekowej pracy polskiego górnika.

Wizyą tą jest przyszły, na wielką planowany skalę: Zakład kąpieli solankowych miasta Wieliczki.

Wiem, że widok ten cudowny odbiera sen p. Aywasowi, że nosi w duszy projekt, który zrealizować mogą tylko — miliony.

Dziś się już nie mówi wcale o tem: czy kąpiele te będą skuteczne, bo to jest rzeczą oddawna przesądzoną, znaną z wielu analiz i uznaną przez powagi lekarskie, począwszy od r. 1838, t. j. od zbudowania pierwszych łazienek w Wieliczce, staraniem doktora salinarnego ś. p. Feliksa Boczkowskiego, który napisał o nich w r. 1843 osobną i dziś jeszcze cenioną rozprawę p. t. „O Wieliczce pod względem historyi naturalnej, dziejów i kąpieli“. Tu nie o łazienki chodzi, bo tych było już w Wieliczce w różnych miejscach i budowlankach — dosyć dużo. Tu idzie o wielki, wytworny zakład leczniczy, któryby pod każdym

względem stał na wysokości jej rozgłośnej, zasłużonej, wszechświatowej sławy.

Taki zakład może niewątpliwie liczyć na powodzenie, więc powinien stanąć co rychlej w otoczeniu miejskiego parku. Od parku w dal ku płaskowyżom powstanie wtedy, jak w Bad-Nauheim rząd wspaniałych willi, gdzie bujna fala turystyki zostawiać będzie czasowo swych osiedleńców... Napełni się wówczas krociami skarbiec miasta Wieliczki, ku pożytkowi jej obywateli i ku większej jeszcze chlubie kraju!

Zdzisław Kamiński.

Ruch literacki w Niemczech.

Ze wszystkich narodów, posiadających niezawisły byt, jeden niemiecki należy do dwóch państw. Ze stanowiska politycznego racyonalizmu jest to poniekąd niedorzecznością, że Niemcy nie są zjednoczeni pod jednem berłem, ale częściowo tworzą Rzeszę niemiecką, częściowo wchodzą w skład państwa austryackiego. Byłoby to wytłomaczonem, gdyby granicą obu tych mocarstw przechodziła również granica, rozdzielająca Niemcy na dwa wielkie kompleksy religijne: protestancki i katolicki. Tak jednak, jak wiadomo, nie jest: jeżeli Niemcy austryaccy w ogromnej większości zaliczają się do wyznania katolickiego, to do tego samego kościoła należą przecież Niemcy nadreńscy i bawarscy. Stąd nic dziwnego, że oddawna istnieją tam prądy i stronnictwa, dążące do zjednoczenia całego narodu niemieckiego pod jednem berłem, a przynajmniej teoretycznie proklamujące to hasło. Oczywiście z dwóch ustrojów państwowych ten wywiera przyciągającą siłę na drugiego, który jest silniejszym: nie słyszano nigdy, by n. p. bawarczycy tęsknili za panowaniem habsburskiem, natomiast nie milknie nigdy wśród austryackich Niemców hasło „Heil Hohenzollern!“

W polityce ucichło ono lub tylko przycichło w obecnej chwili: powszechne prawo głosowania do wiedeńskiego parlamentu usunęło kilku zagorzałych nacyonalistów, których całym politycznym programem był ów okrzyk; prawda, że równocześnie utworzyła się rozważniejsza, ale też i znacznie liczniejsza partya polityczna t. zw. „narodowo-niemiecka,“ szczerze czy z oportunizmu godząca się na panowanie Habsburgów a głosząca tylko duchową wspólność z rodakami w Rzeszy, partya bardzo poważna, zwłaszcza że dla popularności wprzęgło się w jej rydwan tak-

że stronnictwo antysemickie, odkąd po śmierci Luegera straciło i swoją głowę i swój indywidualny program. W życiu duchowem Niemców austryackich nigdy może nie podkreślano tak dobitnie ogólnych idei narodowych, jak właśnie za dni naszych.

Literatura niemiecka na ziemiach austryackich ma swoją historyę, bardzo dawną ale nie rozwijającą się organicznie, jeno ustawicznie przerywaną, pozbawioną związku pomiędzy poszczególnemi okresami, wśród których nieraz sąsiadują z sobą bezpośrednio czasy rozkwitu z latami, a nawet wiekami zupełnego zastoju. W wiekach średnich wiedeński dwór Battenbergów był siedzibą poezyi i literackiej kultury Niemiec: najgłośniejszy „minnesänger“ Walter von der Vogelweide z Austryi był rodem, w Austryi—jak sam stwierdza — „nauczył się mówić i śpiewać;“ najwspanialsze niemieckie epos narodowe, Nibelungi, rozgrywa się częściowo na ziemi habsburskiej. Po tym złotym, ale krótkim okresie nastają całe wieki martwoty, dopiero za Maryi Teresy i Józefa II budzi się w Wiedniu nie tyle sama literatura niemiecka, ile myśl o niej, pragnienie jej, koncentrujące się około powstającego cesarskiego nadwornego teatru. Wojny napoleońskie, konieczność powołania szerokich mas do obrony tronu przeciw obcemu najezdcy, powodują, że rząd toleruje, nawet popiera literaturę niemiecką, patryotycznym duchem owianą. Ale ostateczne zwycięstwo „świętego przymierza“ czyni tę pomoc zbędną, reakcyjny zaś kierunek rządów wietrzy wszędzie niebezpieczne liberalne i demagogiczne idee. Raz jednak rozbudzona literatura uśpić się nie da, żyje i rozwija się dalej, bez poparcia rządu, zwykle nawet prześladowana a przynajmniej tłumiona przez niego. Taki Austryak do szpiku kości, jak Grillparzer, pisze patryotyczny austryacko-habsburski dramat „Króla Ottokara szczęście i koniec“ z wyraźną antinapoleońską tendencyą i z propagandą potulności i spokoju, a podejrzliwa cenzura wiedeńska mimo to wszystko długo broni mu wstępu na deski sceniczne. Samo jednak istnienie wielkiego teatru podnieca pisarzów do twórczości, to też literatura austryacko-niemiecka tych lat jest przeważnie dramatyczna: a więc Grillparzer, który, o ile od poety tragicznego wymaga się szekspirowskiego rozmachu, szekspirowskiego ukochania olbrzymów, jest zaprzeczeniem tego pojęcia, chociaż tyle tragedyi napisał; więc Bauernfeld, na owe czasy bystry obserwator towarzyskiego życia, zwłaszcza wyższych sfer; więc Raimund nie dążący bezsilnie w górę, ale trzymający się nizin miejskiego ludu, któremu podaje zręcznie moralizatorskie baśni sceniczne; więc jeszcze niżej od niego schodzący Nestroy, w dra-

stycznym humorze stojący już na granicy, gdzie się kończy literatura a zaczyna się błazeństwo; więc nieco później, pierwszy Jan Chrzciciel zbliżających się poważniejszych czasów w Austryi, jak zawsze z konfliktami złączonych, Anzengruber, budujący na wiejskim gruncie twarde, realistyczne dramaty: więc wreszcie z północnych Niemiec pochodzący, w Wiedniu osiadły Hebbel, jedyny w Europie poprzednik Ibsena, stąd przez nikogo w owych czasach jeszcze nie rozumiany, czekający daremnie na uznanie, którem obdarzyć miano dopiero nieboszczyka. Obok tych autorów dramatycznych zrzadka tylko zjawia się wybitniejszy talent z innej dziedziny poezyi: taki Lenau, jak cygańska muzyka melancholijny i ognisty zarazem, najznakomitszy austryacki liryk; taki Hamerling w epickich poematach wypowiadający pesymistyczną myśl filozoficzną pod formą barwnych, ale w kolorycie jak Makart nietrwałych obrazach; taki Stifter, nowelista, rozmiłowany w tem, co w przyrodzie jest drobnem, cichem i niepozornem; później taki Anastasius Grün, pierwszy poeta-polityk, pierwszy „czerwony“ arystokrata, śmiały radykał, oczywiście w ówczesnem znaczeniu.

Po tym drugim, świetnym okresie nastaje znowu szarzyzna. Z początku jest ona, co prawda, w całych Niemczech, które w latach 1860—1880 po za Wagnerem, należącym tylko częściowo do literatury, nie mają w tych czasach żadnej znakomitości. Ale nawet, gdy na północy i na zachodzie, w Berlinie i w Monachium budzi się nowe życie, Wiedeń pozostaje martwym. Jest wtedy cesarski teatr, owszem ma nawet swe najlepsze lata, ale wyłącznie jako przybytek sztuki aktorskiej, w literaturze nie znaczy nic. Hauptmann i Sudermann i cały ruch realistyczno-naturalistyczny przez kilka lat w Austryi nie odzywają się żadnem echem. Dopiero, gdy naturalizm traci swą pierwotną jaskrawość, gdy wybladłe swe oblicze poczyna malować neoromantyczną szminką, gdy z zachodu i południa nadciągają wpływy Maeterlincka i d'Annunzia, wypychając ibsenowski upór myślowy i zolowską prawdomówność, Wiedeń już nie rywalizuje z Berlinem na polu literackiem—jak przestał z nim, lecz nie dobrowolnie, współzawodniczyć na innych polach—ale wytwarza sobie odrębną literaturę. Hermann Bahr nietyle jako krytyk, ile jako entuzyasta, ogłasza renesans niemiecko-austryackiej literatury, zanim się on właściwie w rzeczywistości dokonał. Artur Schnitzler wprowadza do dramatu „słodką dziewczynę“ wiedeńską, biedną ćmę, goniącą za słońcem a zazwyczaj ginącą w świetle lampy, młodego wytwornisia, znudzonego przedwcześnie życiem, a przecież nim bawią-

cego się (i dlatego znudzonego, że się niem tylko bawi)—i tę parę ustawia w nieskończonych waryantach w powieściach i dramatach. Hugo von Hofmannsthal, więcej esteta niż poeta, odtwarza cały świat literackich reminiscencyi od Sofoklesa do d'Annunzia, od Otway'a do Maeterlincka. I tak powstaje nowa wiedeńska literatura; wiedeńska dlatego, że w wiedeńskich kawiarniach, w wiedeńskich garçonnière'ach pisana, ale z Wiedniem, dwumilionową stolicą Austryi, niczem po za tem nie związana, cieplarniany kwiat, trzymany w oszklonych, dusznych przestrzeniach, dokąd nie dochodzi ani zimno, ani wiatr życia.

Długo tak trwać nie mogło. W polityce ministeryum hr. Taaffe'go, wspierające się na konserwatywnych Niemcach, Staroczechach i Kole polskiem (wówczas konserwatywnem) czyli na t. zw. żelaznym pierścieniu przygotowywało reakcyę radykalno-niemiecką. Rzucone przez sam rząd hasło reformy wyborczej nie dało się już ująć w karby, piąta kurya hr. Badeniego na chwilę tylko dała uspokojenie, jego zatarg z antysemitami zaognił się wprost żywiołowo, przybrał wbrew jego woli rozmiary walki Słowian z Niemcami, a gdy rząd chciał dyabła wypędzić z pomocą Belzebuba i przeprowadził powszechne prawo głosowania, walki szczepowe nie osłabły, owszem spotężniały, gdy zaś ze wszystkich stronnictw niemieckich jedni tylko klerykalni antysemici przypuszczeni zostali do misy, agitatorzy rzucili w tłum hasło „Los von Rom," nie w imię obcych masom, przebrzmiałych wierzeń staro-germańskich, jak to czynili niedawno Wszechniemcy z pod znaku Schönerera, ale z konkretnym programem protestantyzacyi niemieckiej części Austryi. Co było w polityce, odbiło się doniosłem echem i w literaturze pięknej. Dokonało się to tem łatwiej, że równocześnie po bankructwie naturalizmu, a jeszcze w ciągu nieszkodliwego ale też nieużytecznego wegetowania neoromantyzmu, powstało dążenie do stworzenia „sztuki rodzimej." W Niemczech, gdzie specyficzne etnograficzne, a nawet językowe różnice, poszczególnych ziem, dochowały się do ostatnich czasów, to hasło „sztuki rodzimej" było i naturalnem i mogło być płodnem: pojęcie literatury „niemieckiej" nieraz jest tam abstrakcyą, konkretem jest literatura „bawarska" lub „ślązka," czasem nawet „berlińska" lub „weimarska." A więc niech będzie i literatura austryacka. Nie wiedeńska, jak niedawno, przeciwnie, Wiedeń jako miasto w części slawizacyi uległe (tylu tam Czechów), jako miasto klerykalnych Niemców, wreszcie jako stolica monarchii wielojęzycznej, a więc z natury rzeczy nie mogące tak jaskrawo akcentować swego narodowego charakteru, Wiedeń został *a priori*

z tej „sztuki rodzinnej“ wyłączony lub przynajmniej na trzeciorzędne stanowisko zepchnięty. Pierwsze zajęły bądź kraje czysto niemieckie, jak Austrya górna, bądź inne z ludnością mieszaną, będące terenem jakichkolwiek gwałtownych starć narodowościowych lub religijnych. Więc Tyrol trochę jako pole walki niemczyzny z włoszczyzną, bardziej jako punkt starcia się pomiędzy katolicyzmem czy ultramontanizmem, a liberalizmem, kraje alpejskie, jako widownia walk pomiędzy Niemcami a Słowianami (uderzyć musi nieobecność Czech, chociaż tam przecież ten zatarg jest i najstarszym i najgłębszym; ale zaznaczyć trzeba, że tam wobec zupełnej niemal kulturalnej równości obu przeciwników, istnieje uparte współzawodnictwo polityczne i ekonomiczne, ściśle biorąc jednak nie ma walki szczepowej, jako takiej, a więc nie ma też jej obrazu w literaturze).

I tak powstał w ostatnich latach dramat, a zwłaszcza powieść górno-austryacka, tyrolska i styryjska. Zapomniano o schnitzlerowskiej „słodkiej dziewczynie“ i jego wytwornych kawalerach, Schnitzler sam na ostatku w „Młodym Medardzie“ usiłował wspiąć się na wyżyny wielkiego dramatu historycznego, a w innej znowuż powieści podmalował szerokie tło społeczno-kulturalne; Hofmannsthal stał się autorem tekstów do oper Ryszarda Straussa, Bahr z krytyka literackiego przeobraził się w publicystę, z entuzyasty w zjadliwego społeczno-politycznego satyryka, na horyzoncie wystąpili nowi ludzie, powieściopisarze lub autorowie dramatyczni, ale zawsze przedewszystkiem narodowi działacze. Z przedmiotowego stanowiska dla tej przemiany niemiecko-austryackiej literatury trzeba mieć duże uznanie. Jej program narodowy, polityczny, religijny może nam, Polakom, być niesympatycznym lub obojętnym, jako bezstronni obserwatorowie przyznać musimy, że teraz dopiero niemiecko-austryacka belletrystyka nabrała męskiej siły, przestała być „sztuką kameralną,“ związała się z narodem czy bodaj z jedną jego częścią, odrzuciła dawny egotyzm i egzotyzm, rozbrzmiewa poważnemi ideami, ma swoją osobistą fizyognomię. Porównawszy jej obecny stan z literaturą Rzeszy niemieckiej, stwierdzić i to trzeba, że jeśli Niemcy mają więcej talentów, ale luzem idących, to Austrya ma więcej narodowej literatury, rozwijającej się pod jednym sztandarem.

Scharakteryzowawszy ogólny ten prąd nie mamy już potrzeby omawiania szczegółów; wystarczy tylko wskazać na dwa typowe zjawiska. Pierwsze znane już jest naszym czytelnikom z poprzednich sprawozdań: to Karol Schönherr, autor dramatu

„Wiara i ojczyzna," przedstawiającego krwawy ucisk protestantów austryackich w dobie t. zw. kontrreformacyi. W tem miejscu obchodzi nas przedewszystkiem jaką drogą Schönherr doszedł do tego stanowiska. Oto zaczął on jako uczeń wymienionego już tutaj Anzengrubera: jego dramaty ludowe miały brutalny, silny realizm jego mistrza, oczywiście z uwzględnieniem różnicy, jaka w pojęciu realizmu zaszła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Tendencya ich była wyłącznie socyalna, streszczała się wyłącznie w litości nad nędzą, pogardzie i nienawiści ucisku. Jak jednak w politycznem życiu Austryi, w t. zw. ludowym parlamencie wbrew oczekiwaniu krótkowidzów, siedzących na ławie rządowej a nawet i wyżej, kwestye socyalne rychło cofnęły się na dalszy plan przed zagadnieniami narodowościowo-religijnemi, tak i Schönherr z poety socyalnego niebawem stał się poetą politycznym: zatrzymał altruistyczne podłoże swoich dramatów, jest nadal ludowym w treści, ale porusza już nie starcia biednych z możnymi, lecz walki pomiędzy dwoma wyznaniami. Spowodowało to u niego również zmianę epoki: póki był poetą socyalnym, tworzył dramaty współczesne, z chwilą, gdy przeobraził się w poetę polityczno-religijnego pisze sztuki historyczne, nietyle dlatego, by w przeszłości jedynie widział zatargi wyznaniowe, ale raczej przez wzgląd na cenzurę: w Austryi bowiem z jednej strony z daleko większą swobodą wolno pisać o przeciwieństwach społecznych niż o religijnych, z drugiej—argusowe oko cenzury przegląda najskrupulatniej utwory literackie na tle współczesnem, więcej wybaczając powieściom i dramatom historycznym.

Drugim zaś przykładem owej niemiecko-austryackiej literatury pięknej dni naszych jest nieznany jeszcze czytelnikom polskim Rudolf Hans Bartsch. Przykład to z wielu względów odmienny od poprzedniego: Schönherr wsławił się opracowywaniem sporów wyznaniowych, Bartsch zyskuje rozgłos jako epik walk narodowościowych; tamten był już przedtem poetą tendencyjnym, aczkolwiek w innym zakresie, ten ze sfery czystej poezyi przeszedł do literatury „stosowanej," do polityki. Bartsch jako styryjczyk pokrewnym jest znanemu i w naszych kołach Roseggerowi, zarazem jednak nic tak plastycznie nie przedstawia zmiany stosunków austryackich w ostatnich kilku dziesiątkach lat, jak właśnie zasadnicza różnica, zachodząca pomiędzy tymi dwoma pisarzami styryjskiemi. Rosegger był dotąd klasycznym malarzem epickim „chłopa niemieckiego" zielonej Marchii: przedstawiał go bardzo szczegółowo, w jego zewnętrznem i wewnętrz-

nem życiu, starał się być objektywnym realistą bez szczególnej tendencyi po za wychwalaniem barwności i zdrowia, lecz w przeciwieństwie do dusznego i zatęchłego powietrza wielkomiejskiego, problematów narodowościowych nie poruszał nigdy, bo mówił zawsze tylko o niewielkich mieszkańcach Styryi, słowiańskiej ludności nie tykając; zagadnienia religijne bardzo często się w jego książkach zjawiają, lecz są to tylko indywidualne, niezależne od wszelkiej doktryny wynurzenia samouka, z jedyną zaczepną i odporną tendencyą: protestu przeciw jakimkolwiek przepisom, przez prawną hierarchię ustanowionym. Bartsch jest od niego zgoła odmiennym: jako artysta wyszedł z neoromantyzmu, powieść uważa w duchu goethowskiego „Wilhelma Meistra“ za mieszaninę wszystkich trzech głównych rodzajów poezyi ze szczególnem uwzględnieniem liryzmu; jego najgłośniejszy tego rodzaju utwór „Dwunastu ze Styryi“ jest typowym romantycznym lirycznym romansem, rozbitym na epizody, owianym wysoce poetycznym nastrojem. Malując chłopów lub małomieszczan styryjskich Bartsch akcentuje nietyle przeciwieństwo miasta i wsi, ile raczej walkę dwóch szczepów, słowiańskiego i niemieckiego, zarazem zaś, wzorem politycznych agitatorów dzisiejszych, słowiańszczyznę łączy z Rzymem, protestantyzm uważając za najsilniejszą i naturalną ostoję niemieckości. Połączenie tego polityczno-religijnego charakteru z tamtym neoromantycznym wydaje w wyniku pisarza i dzieła, godne rzeczywiście ciekawości poważnego obserwatora, w powieści widzącego nie tylko belletrystykę zabawie służącą, ale i odźwierciedlenie życia współczesnego.

Taką jest ostatnia w tej chwili w Niemczech bardzo rozgłośna książka Bartscha, charakterystycznie zatytułowana „Cierpieniem niemieckiem“ („Das deutsche Leid“). Stolica Styryi, Graz, o którym powszechnie wie się tyle tylko, że jest ulubionem miejscem pobytu emerytów i stąd żartobliwie zwie się „pensyonopolis“ tutaj okazane jest w szanownej i interesującej szacie renesansowych i barokowych wspomnień; piękność kraju, łagodnie górzystego, bardziej już znana, tutaj występuje w całej pełni; ponad jednem i drugiem wznosi się jednak postać Jerzego Botzenhardta, jako przedstawiciela narodowo-religijnej tezy powieści. Syn oficera austryackiego, poległego pod Königgrätzem, pupil generała Benedeka, tragicznego bohatera nieszczęśliwej wojny pruskiej w r. 1866, obdarzony z natury niejakim talentem muzycznym, Jerzy poświęca się temu zawodowi, przedewszystkiem jednak, chociaż nie odrazu, jeno w miarę zdobywania doświadczenia ży-

ciowego, jest patryotą niemieckim i rzekomo uciśnionych swoich rodaków wspiera nietylko materyalnie, koncertując na szkoły niemieckie, ale wydatniej jeszcze, działając dla sprawy narodowej jako agitator, podniecający obojętnych, podtrzymujący słabych, potępiający wyrodnych synów ojczyzny. Autor usiłuje zachować bezstronność wobec kwestyi walki niemiecko-słowiańskiej, a z drugiej strony pragnie z góry odeprzeć możliwe zarzuty. Umyślnie wkłada w usta jednej z osób usprawiedliwienie ekspansyi słoweńskiej w Styryi tym argumentem historycznym, że Słowianie nie dążą przecież do innego celu, jak tylko do odzyskania ziemi, która niegdyś była słowiańska, i dopiero później została zgermanizowaną. Zaraz jednak przez usta samego bohatera romansu, Jerzego Botzenhardta, autor odpowiada, że tamta kolonizacya niemiecka była dziełem kulturalnem, połączonem z karczowaniem lasów, zakładaniem miast i t. p., natomiast dzisiejsza ekspansya słowiańska jest podstępnem nadużywaniem kultury do czynów marnej zawiści i złości. Bartsch słabych używa argumentów, ale jest typowym wyrazem zapatrywań swoich rodaków w parlamencie wiedeńskim, gdy z jednej strony zastrzega się stanowczo przeciw zakładaniu słowiańskich szkół średnich i ludowych, z drugiej gniewa się na fakt, że ze szkół niemieckich wychodzą późniejsi słoweńscy patryoci. Ta dorabiająca się inteligencya jest wraz z klerem głównym celem pocisków autora: lud słowiański jest mu nawet sympatycznym, bo jako poeta nie może nie uznawać świeżości jego uczuć, malowniczości jego wyobraźni, ale księża, zwłaszcza młodsi, są mu wstrętni, jako agitatorzy słowiańszczyzny w odróżnieniu od starszej generacyi, pielęgnującej troskliwie pokojowe współżycie obu szczepów. I tu prowadzi pomost od jednej tezy autora do drugiej, od tendencyi narodowej do religijnej: ponieważ po wiejskich parafiach rządzą przeważnie scharakteryzowani wyżej młodzi księża słoweńscy, dlatego... lud niemiecki powinien przechodzić na protestantyzm. Symptomatycznem jest jednak, że o ile Bartsch tamtą narodową tezę wypowiada z całą szczerością i stanowczością: „pamiętaj, że jesteś Niemcem!“, o tyle w religijnej propagandzie jest charakterystycznie połowicznym. Czy to dlatego, że nie wierzy, by we wszystkich swoich czytelnikach niemieckich zdołał wpoić przekonanie, że dobry Niemiec musi być koniecznie protestantem, czy też, że jako artysta musi w religijnym kulcie katolików widzieć choćby więcej estetycznego piękna niż w protestantyzmie, dość, że daje receptę na jakieś mieszane, katolicko-protestanckie wyznanie: katolik modli

się w katolickim kościele na luterskiej biblii, protestantka z protestanckiego kościoła spieszy do katolickiego przed figurę Matki Boskiej.

* * *

W duchowym mroku zakończył dwanaście lat temu życie Fryderyk Nietzsche, w czasie gdy gwiazda jego jako filozofa właśnie najbłyskotliwiej jaśniała w Niemczech i sąsiednich krajach. I dawniejsi niemieccy filozofowie oddziaływali na sfery, stojące po za obrębem ich nauki: Kant ze swoim „kategorycznym imperatywem“ i krytycyzmem był wykładnikiem całego niewielkiego, a zwłaszcza pruskiego, społeczeństwa tak w życiu prywatnem jak i w polityce, Fichte w epoce napoleońskiej rzucał w masy zarzewie patryotyzmu a równocześnie wraz z Schellingiem budował zasadnicze konstrukcye romantyzmu, jako ogólnego światopoglądu, Hegel w polityce odegrał kto wie czy nie większą rolę niż w ścisłej filozofii, jako źródło mądrości pruskich królów i mężów stanu. Schopenhauer zaznaczył swe ślady w etyce i w kwestyi kobiecej. Ale ich wpływ wyda się znikomym wobec oddziaływania Nietzsche'go na współczesne społeczeństwo.. „Tak rzecze Zarathustra“ stało się ewangelią tego pokolenia. Objawy tego kultu Nietzschego wśród kół, z filozofią bezpośrednio się nie stykających, mimo a może właśnie dla swej jaskrawości należą już do przeszłości: ogień tak oślepiający nie mógł się długo palić, zwłaszcza, że podsycał go nie twardy, solidny materyał, ale wiotka i pusta słoma. Nietzsche, jako filozof, należy już do historyi tej nauki i, na ogół przynajmniej jest już dokładnie zbadanym. Lecz pamiętać trzeba o tem, że było w nim jeszcze dwóch ludzi: był filolog i poeta. Filolog podobno genialny: młodziutki wiekiem obejmuje bazylejską katedrę uniwersytecką i wprawia zarówno słuchaczów jak i uczonych kolegów w zdumienie. Jego dzieło o „Narodzinach tragedyi z ducha muzyki“ z r. 1872, chociaż dzisiaj uważane jest przedewszystkiem za wstęp do filozofii Nietzschego, w istocie było przedewszystkiem genialnem filologicznem objawieniem. I nie było ostatnią jego filologiczną pracą: i „Państwo Greckie“ jest niem, a w wydanych niedawno z pośmiertnych autora papierów dziełach Nietzschego

przeważna część odnosi się właśnie do tej jego ulubionej nauki tak, że załatwiwszy się z filozofem nauka będzie się musiała staranniej niż dotychczas zaopiekować Nietzschem jako filologiem.

Potrzebuje takich badań jeszcze i Nietzsche poeta. W znakomitej książce „Nietzsche i romantyzm“ sławny filozof Karol Joël wykazuje przekonywające pokrewieństwo autora „Dytyrambów dyonizyjskich“ z romantyzmem z przed stu lat, łącząc go również i ze współczesnym neoromantyzmem. Ten ostatni temat wymaga jednak jeszcze uzupełnienia, a wtedy okaże się, że Nietzsche słuszniej niż do zawodowych filozofów zaliczonym być powinien do poetów filozoficznych, że jest wśród nich jeśli nie najznakomitszym, to najgłośniejszym i najbardziej wpływowym, i że przewyższa pod tym względem znacznie takiego n. p. Schillera, a choćby nawet i Shelleya. W tem świetle dopiero zrozumiałemi staną się wszystkie jego jako filozofa głębie i powierzchowności, wszystkie piękności i puste frazesy, wszystkie skargi i żądania, wszystkie olśniewające paradoksy i cały nadmiar patosu, iście dyonizyjskiego. Równocześnie zaś dopiero wtedy poznamy dokładnie całą wczorajszą literaturę piękną, bo poezya okresu około r. 1900 jest w zupełności pod wpływem Nietzschego nie tyle jako filozofa ile właśnie jako poety (wtedy i Stanisław Przybyszewski, w równej mierze uczeń Nietzschego jak i romantyka Fryderyka Schlegla, przestanie być dla nas niepokojącą zagadką).

Wspomniałem już, że obecnie ogłasza się pośmiertne wydanie pism Nietzschego, dokonywa go siostra Fryderyka, pani Elżbieta Förster-Nietzsche. Jak Ryszard Wagner w żonie, pani Kosimie, znalazł po śmierci strażniczkę swego kultu, tak Nietzschemu pełnej miłości i entuzyazmu opieki użyczyła siostra. Póki filozof-poeta był jeszcze zdrowym, stosunek pomiędzy rodzeństwem podobno nie zawsze bywał niezamąconym, odkąd jednak brat wpadł w obłąkanie, siostra nie opuszczała go ani na chwilę za życia, a po śmierci oddała się w zupełności jego pamięci. Jak w zacytowanym analogicznym wypadku z Wagnerem tak i tutaj nieraz kult dochodził do przesady, siostra nie dopuszczała nikogo do spuścizny brata, niektórym badaczom podejrzywanym o zbytnią chęć krytyki, wprost jak mogła pracę utrudniała, ekskomunikowała ich osobiście i z pomocą zaufanych zauszników, gdy to nie pomagało wodziła ich nawet po sądach. Dwa olbrzymie tomy korespondencyi Nietzschego z Overbeckiem, materyał pierwszorzędnego znaczenia, wydane zostały dopiero po długim i gorszącym procesie wbrew woli pani Förster-Nietzsche i są poniekąd „curiosum“ w bibliografii niemieckiej. Całe bowiem ustępy zamazane zo-

stały czernidłem drukarskiem jak niebezpieczne dzienniki zagraniczne, przekraczające granicę sąsiadującego z Niemcami mocarstwa za „dobrych“ czasów wszechwładnego panowania cenzury. Ale obok tych objawów śmiesznych lub szkodliwych, kult siostry dla brata z Weimaru wychodzący, przynosi także poważne i cenne skutki. Takiem jest wspomniane już wydanie pism Nietzschego, takiem są biograficzne prace o nim. Już dawniej pani Förster ogłosiła wielką biografię brata, teraz świeżo ukazał się pierwszy tom nowego, poprawionego i uzupełnionego jej wydania p. t. „Młody Nietzsche“ obejmujący czasy aż do zerwania z Wagnerem (w przyszłym roku ma wyjść drugi i ostatni tom „Samotny Nietzsche“). Autorka rozumie trafnie swoje zadanie: wie, że nikt nie oczekuje od niej niczego innego, jak tylko biografii Fryderyka i tę dać zamierza, zapewniając, że dzięki Bogu brat jej takie prowadził życie, iż niczego z niego nie potrzeba ani zatajać, ani fałszować. I, o ile można to stwierdzić, autorka rzeczywiście prawdę mówi, oczywiście z siostrzaną, w tym wypadku tak niezwykle serdeczną życzliwością, ale jednak prawdę. W każdym razie jedno już dzisiaj nie ulega wątpliwości: dla niej zawoalowana autobiografia Nietzschego, ogłoszona przed kilku laty pod tytułem „Ecce homo“ nie jest absolutną powagą. Owszem, siostra niejednokrotnie poprawia tutaj brata w znanem jego twierdzeniu, jakoby pochodził od polskiego szlachcica, Nieckiego. Pani Förster-Nietzsche „nic o tem nie wie“ i Nieckiego uważa za „mityczną postać.“

*

* *

Z powieściowych występów młodego jeszcze dwudziestego stulecia dwa przybrały rozmiary prawdziwych „sensacyi“ literackich: „Listy, które go nie doszły“ i „Jörn Uhl“, pierwsze będące dziełem kobiety, żony dyplomaty niemieckiego, wnuczki romantycznej wielbicielki Goethego, Betting von Arnim; drugi pióra nieznanego dotąd nikomu pastora. Jeżeli Elżbieta von Heyking reprezentowała najkulturalniejsze ale zarazem i najbardziej „europejskie“ sfery społeczeństwa niemieckiego, to wywodzący się z północy Gustaw Freussen uchodził może za przedstawiciela patryarchalnego, konserwatywnego, szczerze ludowego rdzenia tego narodu. Oczywiście oba dzieła wypadły według tej różnicy

swych twórców: „Listy, które go nie doszły“ miały poniekąd międzynarodową treść, na tle tragicznego położenia Europejczyków w stolicy Chin podczas osławionego powstania bokserów opowiadały o żonie zamkniętego w Pekinie dyplomaty; „Jörn Uhl“ był prozaiczną epopeją chłopa północno-niemieckiego, przesiąkniętą czystą atmosferą niemiecko-protestancką. To też pierwsza z powieści obiegła w tłómaczeniach cały cywilizowany świat, druga pozostała zjawiskiem wyłącznie niemieckiem, z daleka tylko przez cudzoziemców obserwowanem. Miłośnik literatury w jednym i w drugim wypadku mógł stwierdzić, że dzieło jest istotnie znamienitem, równocześnie jednak był w niepewności, czy ma się tu do czynienia z wyjątkowej wartości dwoma dziełami, czy też zyskuje się dwóch trwale wybitnych autorów. Obecna chwila pozwala już na pewniejszy w tej sprawie sąd, niemal równocześnie bowiem zarówno Elżbieta von Heyking jak i Gustaw Freussen wystąpili z nowemi powieściowemi utworami.

Autorka „Listów, które go nie doszły,“ wydanych w roku 1903, po nich przypomniała się tylko małym zbiorem opowiadań, będących poniekąd powtórzeniem motywów tamtej większej powieści, a zatem nie uprawniającym do żadnego stanowczego sądu o jej talencie. Tegoroczny dwutomowy romans „Ille mihi“ już do niego daje podstawę. Absolutną nowością i on także nie jest: i tutaj tłem fabuły, przynajmniej w drugim tomie, jest świat dyplomatyczny. Z drugiej jednak strony *res repetita* nie jest z pierwowzorem identyczną: przed laty autorka kładła nacisk niemal wyłącznie na towarzyskie stosunki międzynarodowej dyplomacyi, obecnie wprawdzie również maluje to „pracowite próżnowanie,“ lecz przenosi punkt ciężkości na rzecz ważniejszą, ograniczając się dobrowolnie przeważnie do niemieckiego świata dyplomatycznego daje obraz nietylko całej kategoryi funkcyonaryuszów niemieckiego ministeryum spraw zagranicznych od najwyższych „prezydyalistów“ berlińskich do najmłodszego attaché jakiegoś afrykańskiego poselstwa, ale ponad to usiłuje odtworzyć ducha dyplomacyi niemieckiej jako takiej. Obraz to malowany, jak przystało na to środowisko, spokojnie, bez wszelkiej affektacyi, z lekką tylko ironią i łagodną goryczą, ale obraz smutny. Jeżeli powszechnie z pełnym zawiści oburzeniem śledzi się mniemane tryumfy dyplomacyi niemieckiej, to p. Elżbieta Heyking, chociaż kobieta, będąca jednak w tej sprawie kompetentną, wydaje sąd bez porównania bardziej sceptyczny i wyraża przekonanie, że w zestawieniu z ogromem i potęgą militarnych i ekonomicznych zasobów, jakiemi Niemcy dzisiejsze rozporządzają, ich *prestige* i ich

zagraniczne sukcesy dyplomatyczne są z własnej ich winy zbyt skromne i nikłe — przekonanie, które nie wyda nam się fałszywym paradoksem, gdy sobie przypomnimy, że niedawno w sprawie marokańskiej Niemcy bądź co bądź poniosły dyplomatyczną klęskę i dały słabszej przecież Francyi tryumf cichy ale istotny, wynikający zapewne z większej zręczności tamtejszej dyplomacyi. Zdaniem autorki w takich stosunkach winę ponoszą nie tyle przedstawiciele państwa niemieckiego zagranicą, ile biurokratyczny berliński urząd centralny; jego zaś znowu główne winy, to nieufność względem kompetentniejszych przecież relacyi własnych posłów, decydowanie o dalekich sprawach z po za zielonego stolika, buńczuczność w groźbach a brak stałości w obronie honoru państwa, wreszcie kierowanie się osobistemi uprzedzeniami, dzięki którym np. zdolny, ale w Berlinie niemile w sferach najwyższych dam dworu widziany dyplomata, posyłany jest z rozmysłu na drobne posterunki, aby się przypadkiem na wybitniejszym zbytnio nie odznaczył.

To wszystko jest jednak dopiero w drugim tomie. Plan pierwszej części powieści jest świat inny, już w samych Niemczech zamieszkały. Stary szlachecki ród, średnią fortuną obdarzony i zawsze średnie zajmujący w wojsku czy w urzędzie stanowisko, ogromnie za to dumny i w zapatrywaniach skostniały od kilku wieków, życie pojmujący tylko jako spełnienie obowiązków, kobietę poddający bezwzględnie pod panowanie męża, wrogi wszelkiej radości i swobodzie, bezduszny w swym oschłym protestantyzmie, pogardzający nawet katolicyzmem jakoby jakąś libertyńską doktryną, w miłości dostrzegający tylko drogę do zapewnienia rodowi potomków, ten świat panów von Zehren przedstawiony jest w powieści Elżbiety von Heyking, wprawdzie nie po raz pierwszy wogóle, ale kto wie, czy nie po raz pierwszy tak wypukle i charakterystycznie.

Na tych dwóch tłach autorka rozwija życie swej bohaterki. Ilza, nieświadoma miłości, wychodzi za mąż za Teobalda von Zehren. Smutno jest jej zaraz w pierwszych miesiącach małżeństwa, ale jeszcze są w tym mroku promienie światła. Ilza sama spodziewa się, że po babce odziedziczyła piękny głos, wart kształcenia, rodzina Zehrenów zaś spodziewa się, że ona da im przyszłego dziedzica majoratu. Jedna chwila rozświeca tamtą ułudę, niszczy tę nadzieję. Ilza, z „obowiązku“ przez teściową zaprowadzona do chorej położnicy, wpada w nerwowy „choc,“ później w chorobę, a gdy do zdrowia wraca, jasnem jest, że ona straciła złudzenie co do swego głosu, rodzina — nadzieję potomka. Odtąd jest jeszcze smutniej w zamku Teofila. Jeszcze raz zjawia się

możliwość lepszych dni: Zehren kandyduje z obozu konserwatywnego na posła do sejmu Rzeszy, a żona gorliwie za nim agituje: nie z politycznych przekonań, nie z małżeńskiej miłości, lecz w nadziei, że za mężem przeniesie się do Berlina i bodaj część roku odtąd przepędzać będzie wśród pogodniejszych ludzi. Rzecz się udaje, Zehren jest w parlamencie, żona bywa w towarzystwach, czemu mąż się nie sprzeciwia, także jedynie z własnego interesu: młoda, ładna i miła żona wyrabia politykowi stanowisko w świecie. Ale niebawem nadchodzi „ten trzeci," który już poprzednio kilka razy przelotnie się na horyzoncie ukazywał: Wolf von Walden, młody attaché poselstwa. Jeszcze między nim a Ilzą nie stało się nic zdrożnego, gdy mąż i teściowa przez denuncyantów powiadomieni brutalnie lżą Ilzę, swojemi potężnemi wpływami, powodując przeniesienie Waldena na daleki zamorski posterunek dyplomatyczny. Ona odpowiada na to opuszczeniem domu męża. Kosztem wielkich ofiar pieniężnych dostaje rozwód, jest wolną, poślubia Wolfa. Zaczyna się drugi tom powieści. Zrazu jakby idylla. Jeszcze narzeczoną będąc i dążąc na spotkanie Wolfa zwiedza pod Florencyą uroczą willę, niegdyś klasztor zakonników pod wezwaniem św. Krzysztofora. Na ścianie widać jeszcze zarysy jakiegoś herbu, a wokoło resztki napisu, który niegdyś brzmiał: „Ille terrarum mihi praeter omnes angulus ridet"—„ze wszystkich zakątków na ziemi ten jeden uśmiecha mi się" — napis, z którego dzisiaj odczytać można tylko dwa wyrazy „Ille... mihi." Piękność i spokojny smutek tego miejsca przemawiają do serca Ilzy. Ale już czeka na nią narzeczony, już ślub, już oboje są razem. Zaraz z początku odczuwają obok róż i kolce. Opinia publiczna zwraca się przeciw Ilzie, berlińskie wpływy Zehrenów działają przeciw Wolfowi. Rząd przenosi go z miejsca na miejsce, powierza mu podrzędne stanowiska; Walden czuje, że im się dzieje krzywda, ale nie ustępuje, aby nie okazać się tchórzem. Mają dziecko i dobrze im w trójkę. Podzwrotnikowa febra zabiera im to jedyne szczęście. Smutno im, ale trzymają się siebie tem serdeczniej. Wolf sądzi, że nareszcie przełamał uprzedzenia berlińskie, bo rząd powierza mu daleki wprawdzie, ale samodzielny i ważny posterunek poselski. Handlowe interesa Niemiec są tu bardzo zagrożone przez miejscowe władze, popierane przez rywalizujące z Niemcami mocarstwo. Walden, wypełniając ściśle polecenia berlińskiego ministeryum spraw zagranicznych, zwraca się do rządu obcego kraju z ultimatum. Gdy czeka niecierpliwie na odpowiedź, otrzymuje nagle z Berlina depeszę, by złożył czynności poselskie w ręce zastępcy, a sam natychmiast

wyjechał parowcem do Europy na nieograniczony urlop: rząd berliński przeląkł się sam własnego ultimatum i dla zapewnienia sobie drogi odwrotu poświęca swego posła... Przygnębiony i upokorzony i jako człowiek i jako Niemiec Wolf, wraca do Europy. Pierwsze dzienniki niemieckie, które do rąk jego dochodzą, mówią już o jego dymisyi: jedne widzą w nim ofiarę niekonsekwencyi rządu, inne—niezręcznego dyplomatę, który zapewne wpływem tropikalnego gorąca uległ zdenerwowaniu i przeszedł po za berlińskie instrukcye. Walden dziennikarskim reporterom odmawia wszelkich wyjaśnień, ale postanawia zażądać ich w Berlinie od ministeryum. Uprzedza go w tem wysłannik przełożonej władzy, radząc mu, ale z gestem rozkazu, aby trzymał się zdala od Berlina, a za to „w nagrodę“ może już po roku na nowo zostanie posłem, zapewne w... Bugota! Wolf z oburzenia drętwieje, wreszcie nie mogąc już dłużej znieść tych udręczeń, dostaje obłędu. Ilza w bezgranicznem poświęceniu pielęgnuje go w sanatoryum, później wywozi do Florencyi, do dawnego „Rifugio di san Cristuforo.“ Tu nie odstąpi go już do śmierci: „ille mihi“...

Książka, w samej fabule powieściowej przypomina najlepszą szkołę niemiecką, bo Teodora Fontane jest mimo powagi treści, dziełem czysto kobiecem i stawia autorkę w rzędzie pierwszych niemieckich talentów powieściopisarskich kobiecych. A pochwała ta wiele znaczy, bo w obecnej chwili w tym szeregu obok Elżbiety Heyking stoją zaledwie dwie jeszcze autorki: sędziwa, raczej do przeszłości należąca Marya Ebner-Eschenbach, i młodsza, bardziej męska niż kobieca w swym bezwzględnym realizmie, Klara Viebig.

Tak więc „Ille mihi“ dowodzi, że dawne „Listy, które go niedoszły“ były nietylko same przez się książką bardzo cenną, ale i dziełem rzeczywiście wybitnego talentu. A jak jest z „Jörn Uhlem“ i Gustawem Freussenem? I tu ostatnie miesiące dostarczyły podstawy do podobnego sądu. „Zatonięcie Anny Hollmann“ jest pozornie jedynie żeglarską powieścią i w kilku szczegółach akcyi przypomina nawet trochę zbytnio rozgłośny w całej Europie dramat Heijermansa, „Nadzieję“: tu i tam autor przeciwstawia sobie wzajem dwa światy, bogatych i niesumiennych, a nawet wprost zbrodniczych właścicieli okrętów i biednych, od Boga tylko wyczekujących pomocy, Bogu tylko się skarżących marynarzy; tamci dla zysku wypuszczają na morze zniszczone, dziurawe okręty handlowe, ci giną w falach morza bez ratunku, bez wspomnienia nawet. Co więcej, chociaż Heijermans jest so-

cyalistycznym żydem holenderskim, a Freussen niedawno jeszcze był konserwatywnym pastorem niemieckim, konflikt powyższy podkreślony jest jeszcze wyraźniej: Hollmannowie nie tylko wypuszczają na ocean „pływające trumny“ ale w starszej generacyi dla zysku trudnią się haniebną sprzedażą murzyńskich niewolników i wtedy jeszcze, gdy ten handel ludzkiem mięsem oficyalnie jest powszechnie zniesiony, musi się ukrywać i bywa surowo karanym. Ale po za temi analogiami Freussen tworzy dzieło wewnętrznie zgoła odmienne, dzieło, jak mniemam, również zasadniczo wyższe od „Nadziei“ a wyższe ideą, przenikającą tę zwyczajną z pozoru powieść. Porównywano tę ideę do wzniosłości myśli „Ksiąg Joba“ a porównanie może tak bardzo megalomanią nie grzeszy.

Oto Jan Guldt, młody chłopak ze starej biednej żeglarskiej rodziny w Blankenese pod Hamburgiem wychowuje się bez ojca u matki, która mu opowiada, że Hollmannowie, u których jego ojciec i dziad służyli, w znany nam już sposób wyzyskiwali swoich marynarzy, że zwłaszcza jego dziadek zginął marnie na takim dziurawym okręcie. Jan postanawia pomścić się za dziada, ale pomścić zarazem na Hollmannach ich zbrodnie, ich nikczemność, na świecie pewnie największą. Sposobność mu się zdarza: werbują go na okręt „Anna Hollmann,“ z nim pojedzie do Madeiry, tam zabierze obecnego właściciela statku, a potem zginie on sam, ale zatopi z sobą i ze statkiem także zbrodniczego Hollmanna. Tymczasem w drodze jak grom spada na niego wiadomość, że dziadek jego żyje, ale że wraz ze starym Hollmannem są gdzieś w angielskiem więzieniu na odludnej wyspie, bo obaj handlowali“ niewolnikami, dzieląc się „uczciwie“ zyskiem. Cały świat etycznych pojęć chłopca rozwiewa się; jak to, więc Hollmannowie nie sami jedni, byli tacy występni, więc ten dziadek jego był nie ich ofiarą, ale ich wspólnikiem! więc czemże jest teraz on, który chciał mścić się w imię praw Bożych za krzywdę dziada, za obrazę uczciwości! Jest teraz na tym okręcie, jest z Hollmannem, ale nie tamtym starym, tylko z małym chłopczykiem, ostatnio suchotami beznadziejnie zagrożonym dziedzicu majątku Hollmannów. I okręt się istotnie rozbija, ale nie z rozmyślnego działania Guldta, tylko z dopustu Bożego. Jan się ratuje, pod wpływem przeżytych wrażeń jednak traci zupełnie świadomość przeszłości, nie zna nawet swego nazwiska. Dobija się pracą stanowiska w zawodzie, pchany jakąś nieznaną tęsknotą odwiedza jako kapitan okrętu—rodzinne strony, spotyka nawet dawną kochankę, która mu wierną mimo tylu lat pozostała, ale on jest

jej obcym, ona mu obcą. Odchodzi w daleki świat, jako współczesny „latający hollender“ bez fantastyczności tamtego, zato z jego smutkiem, z jego zadumą.

Artystycznie powieść Freussena nie jest wolną od wad i to nieraz nawet znacznych, ale jako utwór ideowy jest dziełem bardzo poważnym, z koncepcyą szeroką, z nastrojem będącym przytem nie tylko osobistą cechą autora ale zarazem dalszym etapem tej myśli niemieckiej, która już w średniowiecznym poemacie o Parsifalu z fabułą romansową złączyła religijny światopogląd, w „Mesyaszu“ Klopstocka dała wspaniałe na owe czasy epos religijne, a nawet w tak bardzo indywidualnym i współczesnym Hebblu od tego głównego szlaku zbytnio nie odbiega i dopiero w ostatnich czasach porzuciła niemal zupełnie ten kierunek tak, że Freussen jest dzisiaj już wyjątkowem zjawiskiem.

Po za nim bowiem obecna powieść niemiecka jest na ogół dość czcza i przeważnie, jedynie rozrywce służy. Exempli gratia przytoczymy przy tej sposobności dwa jej najnowsze okazy, zapewne wznoszące się nieco po nad typowy poziom, ale dające też o nim dostateczne wyobrażenie i to zarówno w zakresie romansu historycznego, jak i powieści współczesnej.

Rocznica napoleońskiej wyprawy na Moskwę wywołała nowe wydanie starej i słusznie cenionej powieści o r. 1812 Rellstata, z nowych jednak dzieł jedno tylko wybitniejsze, Ottona Ludwiga „Cesarza.“ W ujęciu przedmiotu autor jest istotnie oryginalnym. Obejmując w swojej powieści dłuższy rozdział z działalności Napoleona, od konsulatu do „bitwy narodów“ i zachowując dla cesarza naczelną rolę, pokazuje go przeważnie nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem osoby trzeciej, która zrazu jest Bonapartego przyjacielem, a później go tylko zdaleka obserwuje. Tą osobą jest Hardenberg. Historya zna w tych czasach jedną wybitną osobistość tego nazwiska: to Karol August, książę Hardenberg, pruski mąż stanu, wróg Napoleona, wzajem przez niego znienawidzony, kierownik pruskiej antinapoleońskiej polityki w r. 1813 i 1814, jej gorliwy, chociaż nie zawsze szczęśliwy przedstawiciel na kongresie wiedeńskim w r. 1815, jeden z tych niemieckich polityków, których się zwykło uważać za pierwszych pionierów odnowionej narodowej i państwowej jedności Niemców, wyznawca liberalnych i konstytucyjnych idei. Hardenberg Ludwiga nie jest z nim identycznym, jest tylko jego dalekim krewnym; niemniej jednak, jeżeli autor tej fikcyjnej postaci nadał historyczne nazwisko i to tak charakterystyczne, to nie uczynił tego bez pewnego zamiaru. Jasnem jest, że ten Alzatczyk zrazu we

Francyi przebywający i niemal za Francuza się uważający, z Francuską ożeniony, później wracający do ojczystej ziemi swoich niemieckich przodków, że jest on nie tyle indywidualnością ile typem, prawie że symbolem. Czego? Otóż to właśnie nie jest zupełnie jasnem. Hardenberg czasem zdaje się być jedynie jakby zwierciadłem, w którem odbija się postać Napoleona; to znowu możnaby w nim widzieć rezonera ze starego francuskiego dramatu, krytykującego i oświetlającego postępowanie bohatera; nieraz przypomina ową ulubioną postać Przybyszewskiego, Ruszczyca w „Złotem runie," wcielenie sumienia czy też fatum, przed czynem ostrzegającego, po czynie robiącego wyrzuty, wreszcie ku końcowi powieści Hardenberg w znaczeniu wznosi się jeszcze o stopień wyżej, jest reprezentantem narodowych idei niemieckich, o tyle bardziej przekonywującym, że nie z młodzieńczej porywczości i z wrodzonej nienawiści przeciw Napoleonowi walczącym, ale wbrew własnej woli zniewolonym do tego działalnością samego cesarza, który własnemi rękami grób sobie kopie. I ta niejasność roli Hardenberga jest główną wadą powieści Ludwiga, oczywiście o ile zdołamy przemódz wewnętrzną wątpliwość, czy wogóle ta fikcyjna osobistość, zwłaszcza z obcego pochodzenia, mogła zająć obok Napoleona takie stanowisko, że zasadniczo nadawała się na te wszystkie role.

Poza tem książka ma niepoślednie, a zarazem niebywałe zalety. Być może, że Ludwig znalazł nieznany innym powieściopisarzom o Napoleonie opowiadającym sekret, jak czytelnikowi uzmysłowić jego wielkość. Bezpośrednio nie udało to się może nikomu, Ludwig popróbował zatem drogi pośredniej, mogąc wskutek tego, w razie niebezpieczeństwa przygany, że w jego powieści ta wielkość maleje, tłómaczyć się wymówką, że on nie pokazuje Napoleona takim, jakim w rzeczywistości był, ale jakim się Hardenbergowi przedstawiał. Autor osiągnął nadto drugą także korzyść: nie potrzebuje iść krok w krok za Bonapartem, mówić o każdem wydarzeniu w jego życiu, o każdym jego czynie, może zatrzymywać się tylko przy ważnych, przełomowych chwilach, zwracających na siebie szczególną uwagę Hardenberga. Dzięki temu niema tu przeładowania a jest wszystko, od pierwszych usług, oddanych w r. 1795 Konwentowi do lipskiego pogromu w r. 1813, małżeństwo z Józefiną i wyprawa włoska, powrót do Paryża i walki w Egipcie, obalenie Dyrektoryatu i ustanowienie Konsulatu, ogłoszenie cesarstwa i zwycięstwa „boga wojny," rozwód z Józefiną i zaślubiny Maryi Ludwiki, nowe zwycięstwa i moskiewska wyprawa; starczy miejsca także i na spra-

wy administracyi wewnętrznej, od nawiązania nici z papiestwem poprzez plany reorganizacyi Francyi do systemu kontynentalnego, przeciw Anglii zwróconego; wreszcie obok uwydatnienia wielkości i małości bojownika i cesarza jest także portret człowieka prywatnego. Autor, za pośrednictwem Hardenberga, w kilku momentach widzi fatalizm dziejowy, popychający Napoleona do błędów, powodujących mściwą katastrofę: odtrącenie Józefiny, sprzeciwiające się rewolucyjnym tradycyom ogłoszenie się cesarzem, nieszczęsna wyprawa na Rosyę, poruszająca po raz pierwszy narodowe masy przeciw obcemu najezdzcy — oto kamienie milowe fatum a zarazem i winy bohatera. Hardenberg ma przy końcu powieści dwie znaczące rozmowy: po długich latach niewidzenia, mówi znowu, tym razem na ziemi niemieckiej, z Napoleonem i rzuca mu w twarz swą tezę, że ludzkość nie znosi już olbrzymów, tratujących ją, poczem zwraca się do swego krewnego, późniejszego ministra i księcia. Jeżeli w schillerowskim „Fiescu“ ostatnie słowa twardego republikanina Verriny: „Ja idę do Andrzeja“ oznaczają bankructwo idei republikańskiej, to w powieści Ludwiga illustracyą tezy jest ten zwrot Hardenberga, reprezentanta niewiadomo czy całej ludzkości czy tylko narodu niemieckiego, zwrot od Napoleona do ks. Hardenberga, ministra pruskiego, przywódzcy narodowych patryotów niemieckich. Rozprawiać się z tą tezą nie wydaje mi się rzeczą potrzebną: spór Polaka z Niemcem w tych sprawach byłby tylko bezpłodną kłótnią. Im poważniej się kto zapatruje na powieść Ludwiga, tem bardziej nabierze przekonania, że nie jest to strawa dla przeciętnych czytelników. Przeszkadza jej w tem zresztą i styl, wymagający współpracownictwa z autorem.

Wszystkie zalety popularnego w kołach inteligencyi powieściopisarza posiada Jerzy von Ompteda. Krytyka literacka zajmuje się nim natomiast wtedy tylko, gdy Ompteda lekkością fabuły i stylu wkupuje się niejako w łaski przeciętnego czytelnika, wprowadzając jako kontrabandę poważniejsze myśli. Tak było przed laty z wielką trylogią o „Niemieckiej szlachcie około r. 1900,“ tak było kilkakrotnie jeszcze potem, tak jest też obecnie z jego powieścią o „Córce wielkiego Georgiego.“ Gawiedź „inteligentna“ znajdzie w niej opowiadanie o córce znakomitego aktora, która uciekłszy z domu wrogiej teatrowi matki, poświęca się karyerze scenicznej, kocha się i doznaje rozczarowania w miłości, aż postanawia się jej wyrzec i żyć tylko dla sztuki. Głębiej czytający znajdą tu przedewszystkiem kontrastowy rysunek dwóch figur, ktore aczkolwiek obie

są aktorami, różnią się przecież od siebie ogromnie. Erich Georgi i Otto Rueff obaj są aktorami, ale na tem też kończy się podobieństwo pomiędzy nimi. Mniejsza o to, że pierwszy jest aktorem tragicznym, drugi charakterystycznym. Dzieli ich bardziej jeszcze odmienne pojęcie aktorstwa i jego stosunku do życia w ogólności. Georgi, chociaż tragik, jest komedyantem w starym stylu, jest zawsze i wszędzie aktorem i tylko nim być może, zawsze „gra komedyę," choćby nawet jadł kolacyę z przyjacielem lub rozmawiał z własną córką. Rueff natomiast jest przedewszystkiem człowiekiem; aktorstwo, chociaż on ma do niego i pociąg i zdolności, jest dla niego zawodem, dającym mu utrzymanie tak, jak dla kogoś innego jest nim sądownictwo lub nauczycielstwo; po za sceną jest on człowiekiem, panem, gentlemanem. Georgi nawet w najpotoczniejszych chwilach życiowych przybiera pozy aktorskie, Rueff nawet na scenie stara się grać, jak mówić w życiu. Odmienne są też koleje ich losu: tamten starzejąc się, nie chce tego spostrzedz, trzyma się uparcie swoich młodszych ról, gdy je przecież oddać musi, jest smutny i zgorzkniały, rozpacza zaś, gdy już nawet ich dobrze grać nie może, stacza się na dno alkoholizmu, gdy wogóle grać nie może, bo życie jego po za aktorstwem treści nie miało; ten rozumie działanie czasu, raczej go uprzedza niż mu na przekór staje, nie czeka na okres niedołęstwa fizycznego i duchowego, ale jeszcze prawie w pełni sił dobrowolnie usuwa się ze sceny i żyć odtąd będzie jako człowiek prywatny, wygodne prowadząc życie, czerpiąc z kapitałów, dzięki oszczędności zebranych w długich latach pracy aktorskiej. Słowem, dwa pokolenia aktorów, jedno z przeszłości a z teraźniejszości drugie, przedstawiające tę ewolucyę stanu aktorskiego, jaką i u nas w Polsce w ostatnich latach można obserwować.

*

* *

Teatralna powieść Omptedy mogłaby posłużyć za przejście do omówienia bilansu zakończonego właśnie sezonu teatralnego w Niemczech. Odkładając jednak ten dłuższy ustęp do następnego sprawozdania zajmiemy się tutaj jeszcze dwoma wybitnemi dziełami scharakteryzowanej ogólnie dawniej beletrystyki mówiącej o Polsce i Polakach. Oba należą do literatury historycznej,

jedno jest dramatem, drugie powieścią; jedno wyda się mimo historycznej treści jakby powtórzeniem aktualnych haseł dzisiejszej polityki państwa niemieckiego wobec Polaków, drugie mile zadziwi entuzyastycznem uwielbieniem drogiej każdemu Polakowi postaci.

Konrad von Klinggräf, pisarz nieznany zresztą, wystawił świeżo w nadwornym teatrze w Gera wielką tragedyę wierszem o Henryku Pobożnym p. t. „Bitwa z Tatarami pod Lignicą," przyczem w zakres omówionych wydarzeń wciągnął nietylko tę pamiętną katastrofę, lecz także inne momenty, blizkie chronologicznie jak powołanie Krzyżaków przez Konrada mazowieckiego, zamordowanie Leszka przez Świętopełka, śmierć Henryka Brodatego i t. d. W pierwszej chwili możnaby Klinggräfa wziąść za przyjaciela Polaków, tyle im oddaje pochwał, szczególnie na temat ich waleczności w boju i szczodrości w życiu prywatnem, a nawet wbrew naszemu przysłowiu, że „póki świat światem, Polak Niemcowi nie będzie bratem," stawia tezę, że dopiero w zgodzie z Polakiem Niemiec może zapanować nad Europą. W miarę rozwoju akcyi spostrzega się, że te sympatye do Polaków objawia autor jedynie z warunkiem, że Polacy zaprzestaną rozwoju własnej narodowości i państwowości, przejmą się w zupełności kulturą niemiecką, wejdą do państwa niemieckiego w stosunek wasalskiej zależności, kulturę niemiecką szerzyć będą wśród innych Słowian. Henryk Brodaty jest głównym przedstawicielem tych poglądów i z ust jego pada dziwaczne hasło, zawierające oczywistą „contradictio in adjecto" o „Polsce niemieckiej." Autor sam jednak spostrzega, jak niedorzecznem jest to hasło, a spostrzegłszy to — dość rychło, bo w połowie sztuki — miasto niedawnych pochwał obrzuca Polaków samemi wyrzutami i oskarżeniami, nie cofając się nawet przed oszczerstwem. Polacy w swej lekkomyślności zmuszają Henryka Pobożnego, że wbrew własnemu rozumowi, wbrew radom rycerstwa niemieckiego i rozkazowi cesarza rzuca się na oślep na Tatarów, dziesięćkroć razy liczniejszych, co gorsza, w bitwie pod Lignicą Polacy—niedawno jeszcze przez samego autora za bohaterstwo w boju chwaleni — pierwsi podle z pola uciekają i nie mają nawet tyle poczucia honoru, by starać się wydrzeć poganom zwłoki księcia chrześcijańskiego. Lecz Klinggräf rzuca jeszcze cięższe oszczerstwo na Polaków: przedstawiwszy księcia pomorskiego Świętopełka jako narodowego polskiego „exaltado" i powołując się na rzekomą tradycyę historyczną, mówiącą o tem, jakoby Tatarów do Europy nasłał jakiś polski wojewoda, autor tę haniebną rolę przekazuje

właśnie Świętopełkowi „sposobem Sarmatów“ mszczącemu się na książętach niemieckich lub polskich, ale Niemcom sprzyjających. A tak dramat zaczęty niemal że polonofilstwem kończy się zdecydowaną polonofobią z chwilą gdy autor musi zwinąć swój szumny sztandar „Polski niemieckiej.“ Klinggräf jest więc w tej historycznej sztuce wykładnikiem dzisiejszej niemieckiej teoryi hakatystycznej, oświadczającej uroczyście, że pokocha Polaków, jeżeli oni... przestaną być Polakami.

Polonofobii nie ma ani śladu w wielkiej rozmiarami, na trzy tomy zakrojonej powieści Heleny Wachsmuth „Fatum Poloniae“ osnutej na tle dziejów Polski w XVII stuleciu. Polonofilstwa w ścisłem tego słowa znaczeniu także tu niema, bo autorka o Polakach jako narodzie powierzchowne tylko wydaje sądy, pochwałę z naganą łącząc zwykle w umiarkowanej dozie, a na ogół słusznie. Powierzchownem są także wiadomości autorki o dziejach całej Polski, wskutek czego co krok spotyka się tutaj rażące nieniekiedy i śmieszne omyłki jak n. p. tytułowanie szlachty polskiej książętami (jest n. p. „książę“ Andrzej Potocki) albo sensacyjne twierdzenie, że w grobach królewskich na Wawelu spoczywa ciało... Krakusa. Natomiast nie są już powierzchownemi wiadomości pani Heleny Wachsmuth o Sobieskim, a sąd o nim jest wprost entuzyastyczny. Noc jego urodzenia zwie autorka pamiętną po wszystkie czasy i dobroczynną dla Polski, w późniejszem zaś życiu bohatera widzi same niemal świetne, wyjątkowe cnoty i zalety. Dzielność jego i patryotyzm, poświęcenie dla rodziny i ojczyzny, a zaparcie się siebie samego, rozum polityczny i ujmujące obchodzenie się z ludźmi — to wszystko nigdy może przez pisarza polskiego nie zostało z takim zapałem podniesionem jak przez tę autorkę niemiecką. I tylko dwie plamy są na tem słońcu: zbytnia łatwowierność i dobroduszność, a nadewszystko uleganie zbytnie płci pięknej.

W samej fabule Helena Wachsmuth nie jest zbyt wybredną, zwłaszcza w pierwszym tomie. W stylu podrzędnych romansów sensacyjnych opowiada tam o intrygach jezuickich dążących do tego, by ogromną fortunę Żółkiewskich zdobyć dla kościoła, przyczem zatrute sztylety i inne straszliwe rekwizyta odgrywają pierwszorzędną rolę. W drugim tomie znać już pewien postęp. Miejsce fanatycznego Padra Carlo zajmują intrygi kobiece, wynikające z nienasyconej ambicyi. Marya Kazimiera już za życia męża, wojewody sandomierskiego Zamojskiego, zdradzała go z hetmanem wielkim koronnym, Janem Sobieskim. Teraz, zostawszy wdową, nie traci ani chwili, aby usidlić ostatecznie tego, w któ-

rym widzi wschodzącą na polskim horyzoncie świetną gwiazdę. Zostawszy jego żoną, dąży do dalszego celu: do tronu. Pokornie utrzymuje przyjaźń z dworem królewskim, zwłaszcza z Maryą Ludwiką, po cichu jednak intryguje przeciw Janowi Kazimierzowi. Gdy król dobrowolnie się tronu zrzeka, ona nalega na męża, aby postawił swą kandydaturę na tron. Sobieski się gwałtownie opiera: właśnie dlatego, że umie i chce rządzić, woli pozostać hetmanem. Na elekcyę nie przybywa, aż po dokonanym wyborze Michała Korybuta. Marysieńka w nim, w jego żonie i matce znajduje przeciwników. Ale trwa to krótko, bo Michał umiera. Teraz Marya Kazimiera jeszcze energiczniej nalega na męża: niechaj już sam nie stawia kandydatury swojej, niech tylko ofiarowany sobie tron przyjmie. Sobieski ciągle jest nieugięty, popiera Kondeusza, gdy szlachta jego samego wybiera, wyboru nie przyjmuje aż się za nim wszyscy nawet i panowie oświadczają. Marysieńka tryumfuje, ale na razie przedwcześnie. Panowie polscy żądają od elekta, by rozwiódł się z żoną, która go zdradza z Jabłonowskim, a poślubił wdowę po Korybucie, Eleonorę. Król z oburzeniem żądanie odrzuca. Jeszcze jeden wysiłek przeciwnej partyi: usiłowane otrucie Maryi Kazimiery przez Eleonorę austryacką (!), jeszcze jedna wyprawa króla na Turków, by zmyć hańbę pokoju buczackiego i Marysieńka jest nareszcie u celu swoich marzeń: w katedrze wawelskiej prymas koronuje ją wraz z królem.

Pierwszy tom trylogii wyszedł przed dwoma laty; może za dwa ukaże się trzeci, a wtedy dopiero zrozumie się, co autorka właściwie określa jako „fatum Poloniae.“ Na razie te dwa tomy nie są przyczynkiem do historyozofii naszych dziejów, ale jedynie stwierdzeniem, że w czasach kiedy w Niemczech dopuszcza się do istnienia tylko „Polskę niemiecką“ są i Niemcy pozwalający nam bodaj w przeszłości na... Polskę polską.

Dr. Józef Flach.

ZAGADNIENIE STRONNOŚCI

w twórczości filozoficznej.

Szkic metodologiczny.

Gdy się orzeka o jakiejś danej treści filozoficznej, że jest przynależna do któregoś stanowiska lub kierunku, do którejś szkoły czy epoki, to wydaje się sąd o jej stronności. Sąd taki, o ile nie jest prostym informacyjnym uprzyrządnieniem, podobnie jak wskazanie, stwierdzające, że ci a ci zajmowali się daną sprawą, zawiera w sobie charakterystykę porównawczą jakiegoś osobliwego zapatrywania, jakiegoś wyłącznego sposobu brania rzeczy, jakiegoś swoistego opracowania. Piętnując stronność, mamy na myśli, że dana treść jest, jeżeli nie przezwyciężona, to przynajmniej niedostateczna i częściowo mylna. Stwierdzanie stronności myśli filozoficznych stanowi, można powiedzieć, zadanie historyi filozofii. Spełniane ono zostaje nietylko dla odleglejszej przeszłości, lecz i dla najbliższej, a ujawnia się nietylko w rozprawach o nagłówkach historycznych, lecz wchodzi też w skład wszelkiej krytyki recenzyjnej czy dyskusyjnej i również w skład polemicznie snującej się twórczości samodzielnej. Nieubłaganie wyznacza nieodzowne stanowisko historyczne stronność wszelkiej danej treści filozoficznej. Gdyby się to jej kiedyś udać nie miało, ujrzałaby przerwę w ciągłości dziejowej i znalazłaby się w położeniu takiem, jak przyrodoznawstwo, gdyby zawiedzione zostało w swej wierze w praworządność i regularność zjawisk.

A jednak, gdy tworzymy samodzielnie, to pomimo, że korzystamy z danych nam dziejowo wyników i posiłkujemy się literaturą, skazaną na stronność, wierzymy przecież w swoją własną bezstronność. Oczywiście nie przeciwstawiamy siebie w ten spo-

sób wszystkim poprzednikom, gdyż nikt nie jest na tyle samodzielny i odważny, aby wszystką treść dziejową zmiótł na tabula rasa. Ale dla podtrzymania wiary w swoją własną bezstronność przyznajemy ją w pewnej mierze naszym poprzednikom wybranym i tę wspólną, przez nas dalej opracowywaną treść, podajemy za filozoficzną i naukową „par excellence", za prawdziwą, bo bezosobową. Filozofia i nauka w takiem ujęciu nabierają w oczach naszych cech bezstronności, t. zn. prawdziwości, przedmiotowości, powszechnej wartości. Mówimy, że filozofia i nauka są bezstronne, aczkolwiek zniewoleni jesteśmy do przyznania, że każdy filozof jest stronny. Jak wyrównać tę sprzeczność? W jaki sposób stronna twórczość wydawać może wyniki bezstronne? Innemi słowy: jak powstaje powszechna wartość myśli filozoficznej?

Dla rozwiązania tego zagadnienia rozejrzyjmy się w warunkach twórczości filozoficznej i pochwyćmy czynniki stronności, by zobaczyć, w jakiem znaczeniu jesteśmy stronni oraz o ile możemy być wolni od stronności.

Zważmy przedewszystkiem, że myślenie filozoficzne jest dalszym ciągiem myślenia naukowego, że nauka urabia się z wiedzy, a wiedza z doświadczenia, doświadczenie ze spostrzegania itd. aż do doznania, postrzegania i czucia. Jest to jedna drabina rozwojowa poznania, której szczeble różnią się pomiędzy sobą pod względem złożoności czyli opracowania umysłowego. We wszystkich, od najwyższego do najniższego, przejawia się nasza twórczość. Biorąc więc twórczość w najobszerniejszem znaczeniu, zobaczmy przedwstępnie pokrótce, jak się przedstawia sprawa stronności na niższych stopniach poznania.

Gdzie chodzi o bezpośredniejsze opracowanie materyału zmysłowego, tam zgodność czyli wartość powszechna istnieje w znacznym stopniu. A jednak nie jest ona zupełna. Daltonista nie odróżnia czerwieni od zieleni. W pewnych stanach chorobowych odmieniają się całkiem wyobrażenia, nawet czucia. Przy afekcie obawy można ujrzeć krew przy dotknięciu nożem ciała. Badanie wypowiedzi wykazuje, jak się ludzie mylą co do faktów spostrzeganych [1]). Nie zatrzymując się tu dłużej, zauważymy tylko, że przypadki takie uważamy za nieprawidłowe, nieregularne, wyjątkowe, anormalne i, doszukując usilnie przyczyn, warunkujących swoistość ich, odnajdujemy wady ustrojowe, choroby, dyspozycye,

[1]) Ob. w „Przegl. Filozoficznym" VII, 1 i VII, 3 „Psychologia wypowiedzenia".

afekty, zainteresowania. Oto są czynniki stronności na niższych stopniach poznania. Nie nazywamy tylko twierdzeń w tych przypadkach stronnemi, lecz dobitniej, ponieważ ich jaskrawa odmienność przy rzadkości ich rażąco się odbija od twierdzeń ludzi przy zdrowych zmysłach i zdrowym rozsądku. Twierdzenia większości, nie będąc podawane w wątpliwość, uchodzą za bezstronne, przedmiotowe, zgodne z rzeczywistością. Atoli bezstronność ta rozpada się przed teoryą poznania, urabiającą fenomenalizm. Okazuje się, że wszelkie doznania nasze są uwarunkowane podmiotowo, że więc pozostajemy z wszystkiemi myślami naszemi w obrębie naszej świadomości. Zdawałoby się, że takie twierdzenie zbyt wiele dowodzi, a więc niczego nie dowodzi i na nic się nie przyda. Jednakże ma ono ogromną doniosłość. Poucza ono, że świat naszej świadomości jest względny, zależny od naszego ustroju, w którym nie posiadamy narządów do bezpośredniego ujmowania pewnych sił, jak elektryczność, promienie ultrafioletowe itd., następnie chroni nas ono od metafizycznych twierdzeń o rzeczach samych w sobie, ujawniając tutaj błąd ὕστερον πρότερον. Istnieje więc stronność wszechludzka w tem znaczeniu, że gdyby nasze narządy zmysłowe były inne, zupełnie inaczej ukształtowałaby się nasza twórczość umysłowa. Tak myślał już *Locke*.

Przejdźmy do bardziej złożonych czynności poznania. Psychologia elementarna uczy, w jaki sposób odbywają się i przebiegają rozmaite czynności poznawcze, ale nie objaśnia ona, dlaczego twórczość nasza zmierza w tym, a nie w innym kierunku, dlaczego takie a nie inne treści urabiamy. To stanowi zadanie teoryi poznania. Nikt nie zajmie się poważnie obliczeniem ilości ziarnek w jakiejś kupie piasku nad Wisłą, czy ilości kwiatków na tapetach swego pokoju, czy ilości rudowłosych w Warszawie, nikt nie zajmie się zbadaniem wpływu wypitego alkoholu na pewne uchwały w niejakim parlamencie. Wyniki, które dałyby się tutaj niewątpliwie osiągnąć, nie są nikomu na nic potrzebne. Teorya poznania musi dla zrozumienia doboru treści faktycznie urabianych wprowadzić kategoryę ważności, opartej na potrzebach[1]). Wyobraźmy sobie, że do jakiegoś lasu zjeżdżają w interesach

[1]) „Ważności“ odpowiada tutaj wyraz „Wichtigkeit“, nie zaś „Gültigkeit“, który zwykle tłómaczy się tak samo, jako też „Allgemeingültigkeit“ = „powszechna ważność“, pomimo, że ma się tutaj na myśli nie potrzebę, lecz uznanie, przyjęcie. Może lepiej byłoby mówić „powszechna wartość“, jak to uczynione jest w pracy niniejszej.

swych leśnik, handlarz drzewny, budowniczy, malarz, botanik, geograf. Jakże różne sądy wydawać oni będą o tym lesie! A jak różne są zapatrywania rozmaitych stronnictw parlamentarnych na projekty praw, na polityczne stosunki, na dzieje kultury. Nie zatrzymując się dłużej i tutaj, możemy, zdaje się, powiedzieć, że treści sądów o rzeczywistości, jakie każdy człowiek urabia, są dla niego ważne, odpowiadają jego interesom, powstałym z potrzeb. Sądy takie osiągają faktycznie powszechną wartość wyłącznie w rzeczach zainteresowanych jednakowo czy solidarnie.

Przejdźmy teraz do twórczości naukowej i filozoficznej, której wyniki ubiegają się o wartość powszechną czyli bezstronność w całej pełni. Gdy się w tej dziedzinie poznania mówi o stronności, to równa się to zarzutowi, wyrzutowi, potępieniu, ponieważ bezstronność uchodzi za warunek konieczny, za probierz naukowości samej, za hasło, wypisane rzekomo na sztandarze postępu nauki.

Co do pojęcia nauki, różnego w różnych czasach i dziś niezupełnie ustalonego, to możemy tutaj zadowolnić się jej cechą badania rzeczywistości i dlatego pominąć różnorodne odróżniania nauk teoretycznych i praktycznych, przyrodniczych i humanitarnych, przedmiotowych i normatywnych, nomotetycznych i idyograficznych, tembardziej, że wszędzie tutaj istnieją stopnie przejściowe, a nam chodzi wogóle o wszelką naukowość. Natomiast uwzględnimy metodycznie początek i koniec naukowej pracy, czyli z jednej strony ustanowianie zadania, postawienie zagadnienia, wybór tematu, ułożenie punktu wyjścia, zajęcie stanowiska i punktu widzenia, z drugiej zaś rozstrzygnięcie, rozwiązanie, osiągnięty wynik, zdobytą treść badania.

Uczony, stojący u początku pracy naukowej o tyle jest podobny do pracującego nad wynalazkiem, że posiada jak tamten pomysł, czyli także połączenie intuicyi z myśleniem, które stanowi bodziec do pracy. Wynalazca buduje, próbuje, aby stworzyć przyrząd, uczony zaś docieka, stwierdza, dowodzi, aby wykazać prawdę naukową. Jest tutaj więcej niż analogia, albowiem wytwór techniczny jak i zdobycz naukowa, posiadają wartość środków zaspakajania potrzeb naszych. Jak narzędzie techniczne, tak i prawda naukowa są narządami człowieka, dopełnieniem i przedłużeniem jego narządów ustrojowych, pomocą w walce o byt z przyrodą i z innymi ludźmi. Życie praktyczne, gospodarcze w najszerszem znaczeniu, cała zabiegliwość, dotycząca fizycznego i duchowego dobrobytu człowieka, posługuje się nauką i bezustannie oczekuje od niej wyników, które mogłaby stosować. Te-

orya służy praktyce, żywi się jej krwią, otrzymuje od niej pierwotnie wskazania, w niej ma swoje źródło. Poszczególny pomysł teoretyczny, jak wynalazczy, jest właśnie intuicyjno-myślowem ujęciem potrzeby praktycznej, wyrażeniem zadania, przeobrażającym się z pytania w sformułowanie naukowe zagadnienia. Widocznie jest to w pismach, stojących na pograniczu praktyki i nauki, a poświęconych pomysłom, np. w pismach *Wellsa*, *Mengera*, w najlepszej publicystyce, w naukach stosowanych starych, jak medycyna, prawoznawstwo i nowopowstających, jak sejsmologia, pedologia.

Jak we wszelkiej pracy, tak i w naukowej, środki i cele rozciągają się w łańcuch, w którym dalsze ogniwa zatracają widoczność swego związku z pierwszemi. Podział pracy powodować może złudzenie, że praktyka i teorya stanowią dwa całkiem odrębne pola działania, gdy tymczasem teorya jest przedłużeniem praktyki i sama jest praktyką. Zagadnienie bowiem powstaje stąd, że potrzeby pierwszego rzędu wywołują potrzeby drugiego rzędu itd., które są coraz liczniejsze, a którym coraz mniej podołać może praca ograniczona jednostki. Im dalej od potrzeb podstawowych, powszechnych, społecznych, tem większa rozbieżność i zróżnicowanie usamodzielniających się potrzeb. Zanim człowiek zdąży się w tym związku rozejrzeć i zanim jego porządek ogarnie, już we wczesnej młodości przystępuje do pracy naukowej. Stąd się bierze, że punkty wyjścia pracy naukowej samodzielnej mogą zostać podchwytywane w sposób oderwany i bieg tej pracy może zostać spaczony. Tem się objaśnia cały szereg stronności anormalnych: tworzą się zagadnienia sztuczne i naciągane (np. osławione dyssertacye niemieckie), roztrząsane zostają przerozumowane t. zw. „zagadnienia akademickie“, powstają owoce jałowo-kompilującej erudycyi, hodują się kwiaty cieplarniane pomysłów, z całą powagą, jak gdyby to nie było grą tylko, opracowuje się sztucznie naciągnięte zagadnienia. Wszędzie przebijają interesy bardzo osobiste i prywatne autorów, którym właśnie się wydaje, że są zupełnie bezstronni. Ale nad powiązaniem łańcuchowem pracy naukowej w całokształcie kultury czuwa Ananke *Heraklita*, a Erynnie ścigają te zaślepione w osamotnieniu swem spekulacye, które zeszły na manowce. A tymczasem odbywa się w świadomie stronnem ustosunkowaniu potrzeb w porządku należytym, praca konsolidująca ciągłość teoryi w stosunku do praktyki. Rozwijają i kształtują się nauki, wpływając wzajemnie na siebie, udzielając sobie nawzajem pojęć, teoryi, metod, a każde przedsięwzięcie poszczególne uniezależnia się tylko względnie wsku-

tek świadomości o ograniczeniu sił człowieka i konieczności podziału pracy. Praca ta ma za hasło *Comte'a:* „savoir pour prévoir, prévoir pour pouvoir".

Zboczenia od naturalnej stronności powoduje w znacznej mierze szkoła. Dając nam od dzieciństwa wrastać w naukę, wywołuje w nas odrazu potrzeby wyższego rzędu, które błąkają się, nie będąc na uwięzi. Donioślejszy jeszcze wpływ osiąga szkoła, zarówno wyższa, jak i niższa, przez to, że stanowi instytucyę, której naukowa twórczość się przysługuje. Otóż człowiek w przeciwieństwie do zwierzęcia, które nie stawia zagadnień, by ustalać wiedzę, tworzy ją, gromadzi i ekonomicznie opracowuje. Ekonomizacya ta czyni zadość nie tylko potrzebom oryentowania się i opanowania treści, ale i potrzebie przekazania doświadczenia młodemu pokoleniu. W tym celu śpiesznie układamy wiedzę zgruba w nauki, nie mogąc ich jeszcze ujednostajnić, usystematyzować, uporządkować, wewnętrznie i zewnętrznie powiązać i pogodzić, a układamy tak, że na wstępie umieszczamy to, co jest najbardziej problematyczne lub co stanowi wynik, mieszamy co jest naukowe z tem co nie jest naukowe, co jest pewne z tem co jest sporne, przypuszczalne, możliwe, niezbadane, zagadkowe. Tak silnie ulegamy stronności ubocznie faktycznej, ponieważ na naukę czeka szkoła. Odbywa się w niej „nauczanie", daje się „nauka", jak się po polsku wyrażamy, utożsamiając nabywanie wiedzy, jako tako ułożonej, z dociekającym metodycznie badaniem. Nasz język w przeciwieństwie do innych języków, odróżniających np. science i instruction, Wissenschaft i Lehre (Unterricht) zaznacza przez to utożsamienie (choć posiadamy wyraz „umiejętność") praktyczny charakter wszelkiej nauki. Praktyczność jednak zostaje w środowisku szkoły silnie zamącona, wskutek czego szkoła hoduje doktrynerskie i dogmatyczne sposoby myślenia. Stronność tego rodzaju jest najsilniejszym hamulcem postępu nauki, a w stopniu tem znaczniejszym, im bardziej oddala się szkoła od swego właściwego przeznaczenia. Szkoły starożytne miały na celu ukształcanie ludzi doskonałych w metafizycznem zrozumieniu, szkoły średniowieczne dążyły do wpojenia dobrze ugruntowanej wiary w zbawienie, a dopiero szkoły nowoczesne zmierzają do wyrobienia zawodowców i obywateli społecznych. A przecież nauka badająca rozwijała i rozwija się przeważnie w uczelniach i przy uczelniach. Dopiero w ostatnich czasach *Ostwald* wskazuje na potrzebę oddzielenia zakładów kształcących od poświęconych badaniom, co już w znacznym stopniu urzeczywistnione jest w Anglii i we Francyi, a początek ma w zakładaniu akademii nauk w XV

i XVI w. Godne uwagi jest, że *Ostwaldowi* nie chodzi o rozszczepienie naukowości lub dwojakie jej pojmowanie, lecz jedynie o podział pracy, jest on bowiem zdecydowanym popleczni-kiem praktycznej wartości nauki.

Praca naukowa jest tedy dalszym ciągiem pracy gospodarczej, wytwórczej, a więc udoskonaleniem instynktowych pierwotnie sposobów zaspakajania naszych potrzeb. Oczywiście tylko potrzeby ogólnoludzkie prowadzą do nauki skoro ma ona mieć powszechną wartość, jednakże potrzeby w swych przejawach konkretnych nigdy tego piętna nie noszą, występują bowiem zawsze jako potrzeby jednostek, warstw, klas, partyi, instytucyi, społeczeństw i narodów zawsze indywidualnie, tak iż dopiero *ex post facto* można się dowiedzieć, które z nich są ogólnoludzkie lub takiemi dopiero się stają. Sprawa ma się tak jak z wynalazkami, które w mniejszym lub większym zakresie zdobywać mogą i muszą ludzkość. Przytem potrzeby ludzkie nie są bynajmniej ustalone, lecz ustawicznie powstają nowe i, szerząc się, wstępują w konkurencyjną walkę o byt, z której dobór naturalny wyłącza i ustala potrzeby ogólnoludzkie, oddzielając je od partykularnych, przejściowych i nienormalnych. Naukowa praca, która jest usiłowaniem rozwiązania zagadnień ogólnych i powszechnych, okazuje się w tem świetle twórczością rozumową, stanowiącą szczebel najwyższy na drabinie potrzeb myślowych, której szczebel najniższy zajmują bezpośrednio potrzebne najzwyklejsze pytania i odpowiedzi banalne, wiedza informacyjna, znajomość zwykła rzeczy. Tę wiedzę powszednią tworzą wszyscy ludzie, powodowani żądzami i interesami swego prywatnego, codziennego życia, wiedzę naukową zaś tworzą uczeni. Talenty prowadzą pomysły praktyczne dalej i wgłąb, zbliżając teoryę do praktyki i odwrotnie, a tem przygotowują grunt dla geniusza. Geniuszem zaś jest nietylko ten, kto dał zupełne rozwiązanie, lecz znacznie częściej ten, kto zagadnienie trafnie ujął, drogę do rozwiązania wskazał, sprawę postawił, pomysł płodnie zbudował. Geniusz jest przedstawicielem ludzkości, ale nie, jak sądził artystycznie *Emerson*, w znaczeniu typu pięknego, odmiany czystej człowieka, lecz jako uświadomiony wyraziciel potrzeb ogólno-ludzkich, drogowskaz kultury i cywilizacyi, gdyż na tem polega istotna jego wartość. Można więc powiedzieć, że nauka z powodu swego pochodzenia jest stronna, albowiem jest ludzka, ludzkości przydatna, niebezinteresowna. Tak rozciągłą stronność gieniusza możnaby chcieć nazwać bezstronnością. Ale jak należy rozumieć tę bezstronność wyświetla biografia. Objaśnia ona twórczość geniusza,

wykazuje, że rozkwit jego energii umożliwiony zostaje na podłożu życia kulturalnego w środowisku jego, dzięki urabiającemu się tutaj uświadomieniu potrzeb życiowych, które w jego umyśle się krystalizują ostatecznie. Nie jest on rozmyślnie bezstronnym, jak nie jest meteorem, który spadł na ziemię. Nie przeciwstawia się on kulturze swego otoczenia, nie wyłącza się z niej, nie unika jej, lecz, chociażby w celi był zamknięty, jak *Campanella*, kocha i cierpi za miliony, aby pogłębić i wykończyć w idei to, czem środowisko jego żyje i co tegoż kulturę stanowi. Jest on więc bezstronny o tyle, o ile kultura ta jest bezstronna. A kultura każdego środowiska składa przez swoje wielkie duchy stalszą i powszechniejszą od niej samej daninę dla przyszłości, która drogą przyczynków się tworzy. Historya kultury śledzi ten rozwój, a wyznaczając stronność poszczególnych kultur rozmaitych środowisk, społeczeństw i epok, wyrokuje o tem, co jest bezstronne, a raczej takiem się staje.

Geniuszom zawdzięczamy urabianie nauki ale i pojęcie naukowości, które ma swoją ewolucyę. Odmiany jej dają się objaśnić w monografiach historycznych przez potrzeby i zainteresowania współczesnych epok dziejowych. Nauka dla *Platona*, pozostającego pod wpływem przeważającym pobudek moralnych, była dyalektycznem zdobywaniem idei bezwzględnych, dla *Arystotelesa* pod wpływem idealizowania metafizycznego budowaniem układu systematycznego form substancyalnych, dla *Stoików*, żyjących w czasie rozkładu społecznego, zbawienną wiarą w istotę świata, zawierającą normy życiowe, dla scholastyki religijnej wiedzą o stworzeniu boskiem, dla handlowego wieku XVII-go poznaniem racyonalnem i matematycznem praw rządzących w świecie, dla pozytywizmu przemysłowej epoki XVIII i XIX w. ujęciem doświadczalnem i ścisłem stosunków stałych w przyrodzie dla opanowania jej i przewidywania, dla naszych już czasów, nacechowanych walkami społecznemi, objaśnianiem analitycznem, genetycznem, ewolucyjnem, historycznem. Powoli dojrzewa uświadomienie, że nauka jest organem władzy człowieka dla urządzenia się w przyrodzie i społeczeństwie, środkiem jego potrzeb, i bywało to nieraz prawie dojrzale wypowiadane. *Pytagoras* twierdził, że miarą wszechrzeczy jest człowiek, co znaczyło, że jest twórcą swej wiedzy. *Stoicy* i *Epikurejczycy* uczyli, że nauka jest środkiem pozyskania błogiego żywota, *Bacon* upewniał, że wiedza to potęga praktyczna, myśliciele wieku oświecenia, a śród nich nasz *Jan Śniadecki*, przekonywali, że nauka służy doskonaleniu, umoralnieniu się ludzkości, jej pożytkowi, cywilizowaniu

się. Ostatnie dziesiątki lat były tak zajęte wypracowaniem nauk w szczegółach i rozciąganiem jej na nietknięte dotąd przez naukę zjawiska, że zatraciły z oczu powiązanie nauki z życiem praktycznem i jego potrzebami. Przypomina to posługujący się „nową nazwą dla niektórych dawnych sposobów myślenia“ (jak mówi *James* w tytule głównej swej pracy) pragmatyzm, który, rzecz znamienna, rozbudził się w najpraktyczniejszym ze wszystkich kraju amerykańskim.

Fichte twierdził, że przyjęcie jakiejś filozofii zależne jest od tego, jakim się jest człowiekiem. Od charakteru człowieka, jego uzdolnień, jego wartościowania, jego potrzeb i zainteresowań zależy, jak się wykształci, w jaką stronę się zwróci, czego będzie szukać, jakie i jak zagadnienia postawi i jak je będzie rozwiązywać. Dlatego mówimy o myślicielu, że jest synem swego czasu, uczniem, zwolennikiem, wyznawcą, stronnikiem, mając na myśli pewne dogmaty, powagi, instytucye, prądy i stanowiska, mówimy o jego przedsięwzięciu naukowem, że jest stronne, jednostronne, że nosi piętno zależności i przynależności, że posiada uprzedzenia, przesądy, swoiste założenia, cechy wyłączności klasowej, narodowej, że nosi charakter religijny, artystyczny, o pewnej odmianie. Wszędzie i zawsze, jak widać z krytyk, daje się stwierdzić swoistość w obraniu i zabraniu się do przedmiotu pracy i tej niepozbawione są prace nawet w dziedzinach logiki, teoryi poznania i matematyki. Bezstronność jest ideałem, do którego przybliżamy się z rozwojem szerzenia się wpływów i niwelowania przez nie kultury powszechnej. Pracujemy wszyscy przy niepewności, jaką wartość osiągnie nasza praca pod względem stałości i powszechności, które osiągnąć pragniemy. Dopiero po upływie czasu, kiedy zagadnienia podjęte przejdą przez wszystkie próby, historya zawyrokuje, które z nich są możliwie bezstronne. Bezstronność znaczy tyle co genialność, dlatego powoływanie się na bezstronność, wymaganie jej i przypisywanie jej sobie jest, co najmniej, niestronnością. Jesteśmy wszyscy stronni, bośmy synowie swego narodu, swego czasu, swej kultury, swej tradycyi i każdy z nas zależnie od swej sytuacyi i przynależności jest przedstawicielem poszczególnych stron i potrzeb. Jest to ze stanowiska genialności i ideału nauki ograniczenie. Przezwyciężenie go nie ten osiąga, kto się ograniczenia i uwarunkowania swego zapiera, albowiem kosmopolityzm czyli absolutyzm naukowy, jak i wszelki wogóle, jest albo frazesem kryjącym brak uświadomienia, albo pokrywką doktrynerstwa czy dogmatyzmu, lecz ten, kto, przeciwnie, swych zależności i stronności doszukuje i je

stwierdza a, oddając hołd wdzięczności okolicznościom swego pochodzenia i swej przynależności, usiłuje je zgłębić i dotrzeć do momentów typowych, powszechnych, przedstawicielskich, czyli do potrzeb ogólnoludzkich. Postępuje on tak, jak biograf i historyk kultury, zastosowując metody tych nauk do siebie samego. I istotnie, czemże są autobiografie, dedykacye, podziękowania, a w pracach samych wykazywanie powstania, zależności, łączności i celowości wystawionych zagadnień, jeżeli nie uświadamianiem się autorów o swej zależności i stronności. Uświadamianie się takie ześrodkowuje uczonego, pomaga dojrzewaniu jego i podnosi wydajność jego pracy. Zwężające nas uświadamianie się jest w rzeczy samej wzbogacaniem nas, rozszerza nam bowiem widnokręgi i wyciąga perspektywy, pozatem uczy nas tolerancyi dla konkurentów i skromności, właściwych w wysokim stopniu gieniuszom. Świadomy swej stronności był *Kant*, który w czasie wypracowania swego krytycyzmu w wykładach swoich stosował się, o ile tylko mógł, do zwalczanej przez niego panującej metafizyki, by uniknąć stronności swego własnego stanowiska. Świadomy swej stronności był *Schleiermacher*, który, jak *Leibniz*, każdemu stanowisku filozoficznemu przyznawał w pewnym stopniu słuszność, a w obawie przed własną stronnością zaprzeczał temu, aby miał być filozofem. A *Hegel*, który uznawał względną wartość systematów, nie dążył bynajmniej do własnego, lecz usiłował stanąć na stanowisku rozumienia tej względności czyli stronności. Poprzez stronność usiłowali oni wszyscy zdobyć tę bezstronność, która jest stronnością wszechludzką.

Przejdźmy teraz do rozpatrzenia twórczości filozoficznej w jej końcu i celu, t. j. o ile daje ona rozwiązania i wyniki. Możnaby sądzić, że nawet przyznając słuszność poprzednim wywodom, utrzymywać należy, że nauka z tej strony wzięta jest bezstronna, ponieważ zawiera treść bezwzględnie daną, przedmiotową, niezależną od potrzeb i zainteresowań, wogóle od podmiotu. I tak jak poprzednio porównywaliśmy stawianie zagadnień z wynalazkami, tak, zdawałoby się, należy wyniki naukowe porównać z odkryciami, przedtem zgoła nieznanemi i nieoczekiwanemi.

To drugie porównanie jest rzeczywiście tak trafne, jak pierwsze, atoli dowodzi ono nie bezstronności, lecz stronności. Odkrycia nie różnią się zasadniczo od wynalazków, o ile uwzględnimy nie charakter odmienny ich faktyczności, tam sztucznej, tutaj zaś przyrodzonej, lecz samą ich treść oraz sposoby dochodzenia do nich. Jedne jak drugie są wynikiem poszukiwań, wyrastających z potrzeb, i tego stosunku nie zmieniają przypadki, w których

wynik nie odpowiada żywionym oczekiwaniom, lecz innym zgoła potrzebom, czyli takim, w których się czegoś szuka, a co innego znajduje. Odkrycie, które nie posiada znaczenia i wartości, nie jest właściwie odkryciem. Niektóre zjawiska, siły przyrody, fakty poznawano na długie wieki przedtem, zanim zajęto się ich użytkowaniem i badaniem, a gdy odpowiednie potrzeby się pojawiły, wtedy jakby na nowo je odkryto; tak było z elektrycznością, siłą pary, kulistym kształtem ziemi. Odkryć dokonywa człowiek właściwie od młodości do starości a ludzkość stale w swym rozwoju. Całe doświadczenie składa się z odkryć i stale powiększa się ich zasób. Przy nizkim stanie kultury doświadczenie, poznanie, wiedza, nauka obejmują tylko część zakresu narzucającej się rzeczywistości, gdyż człowiek czy społeczeństwo niema zainteresowania dla reszty. Na wyższym stopniu wiadomo, czego się szuka, czego potrzeba, zawsze się jest przygotowanym do przyjęcia odkrycia zupełnie, jak wynalazku, choć tym oczekującym może być na początku tylko jeden człowiek lub niewielka ilość ludzi. Na wyższym jeszcze stopniu zbieramy materyał, zliczamy, składamy, chronimy, odszukujemy, i przechowujemy go w przewidywaniu, że przydać się może dla przyszłych potrzeb i zagadnień. Charakterystyczne jest opowiadanie, prawdziwe czy nie, o *Newtonie*, któremu widok spadającego jabłka nasunął odkrycie ciążenia ziemi, po wielu latach pracy gromadzącej materyał w tym kierunku. Zresztą same odkrycia jako fakty nie stanowią jeszcze nauki, lecz tylko materyał dla niej surowy, pozostając przedmiotem znajomości, dopóki nie staną się przez opracowanie metodyczne odpowiedzią na zagadnienia naukowe.

Od postawienia pytania zależy, jak wypadnie odpowiedź; od postawienia zagadnienia zależy, jakie będzie rozwiązanie. Jak natura boi się próżni, tak umysł nasz ani chwili nie może pozostawać bez odpowiedzi na pytanie ważne i poważne i tworzy natychmiast, jakby instynktowo, domysł, pomysł, przypuszczenie, wiarę, ukazuje w perspektywie rozwiązanie. Życzenie jest ojcem myśli, tak to wyraził Szekspir. Początek nauki, t. j. zajęcie stanowiska czyli punktu widzenia zawiera już in nuce całe bogactwo pomysłów. Twierdzeniu, że jest wiele rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło nawet filozofom, można przeciwstawić twierdzenie, że więcej się śni nawet filozofom, niż się dzieje na niebie i ziemi. Jesteśmy aż nadto skłonni do antropomorfizowania wskutek uczuciowości, do fantazyowania wskutek niezaspokojenia potrzeb, do uogólniania wskutek schematyzmu mowy i dogmatyzowania wskutek rutyny. Bardzo długiej wpra-

wy potrzeba, aby się nauczyć powściągliwości i krytyczności w myśleniu i odróżnianiu stopni pewności, a najtrudniej jest zdobyć się na szczere: nie wiem. Można paradoksalnie powiedzieć, że wiemy, czyli że mamy treści myślowych za dużo, więcej, niż utrzymać się daje, niż ostać się może. Dlatego urabianie się naukowej wiedzy jest więcej wyzbywaniem się mylności, wyzwalaniem się z domniemań, niż ilościowym wzbogacaniem się. Odbywa się dobór myśli w toku doświadczenia; tylko część ich okazuje się wiadomością, wiedzą, poznaniem, a z tych znów godność prawd naukowych otrzymują takie, które można w ich uogólnieniu uzasadnić, dowieść, a przynajmniej wysoce uprawdopodobnić. Wynikami naukowej pracy są takie twierdzenia, których treścią są ustosunkowania stałe, zwane prawami. Praca naukowa jest takim wyborem, wyprostowaniem i formułowaniem metodycznem myśli, które czyni ją wyrazem, odpowiednikiem stałości w zjawiskach rzeczywistości, tak zwaną prawdą naukową, na którą możemy liczyć, przewidując i stosując ją w praktyce gospodarczej. Nawet w matematyce ustalające wykrywanie stosunków jest ich wyborem i doborem, jak utrzymuje *Poincaré*, choć on za czynnik twórczości matematycznej, kierujący wyborem materyału, uważa intuicyę piękna intellektualnego. Empiryokrytycyzm zaznaczył, że prawda naukowa jest opisem, a więc, że jest taką samą w istocie myślą, jak każda myśl najpowszedniejsza, mająca swe źródło w potrzebach praktycznych; zapuścił się nawet za wiele w to regressywne upraszczanie, zaniedbując zawiłą metodykę pracy naukowej.

Długą i zmudną drogę od stanowiska praktycznego do rozwiązania zagadnień najsubtelniejszych, przebywa się w ciągu minut—w odwrotnym kierunku, przyczem ujawnia się całkowite powiązanie twierdzeń naukowych z potrzebami życiowemi i obnaża się całkowicie stronność uczonych. Dzieje się to w polemikach i dyskusyach, które od niby czystej przedmiotowości staczają się do przeciwstawienia interesów praktyczno życiowych i odtąd są już sporem osobistym. Jeżeli te starcia rzadko wartość mają dla nauki samej, to jednak zawsze dają uczestnikom korzystne dla nich uświadomienie się pod względem ich stronności.

Zastanówmy się teraz nad pytaniem, jak powstaje możliwość przypuszczenia, że nauka jest bezstronna. Rodowód tego dogmatycznego przekonania sięga do *Pytagorasa*, *Anaksagorasa*, *Demokryta* i *Arystotelesa*, którzy urobili pojęcie θεωρία w znaczeniu pozbawionej względów praktycznych, czystej, cel w sobie samej mającej kontemplacyi, jaką miała być filozofia. A że filo-

zofia zawsze układała się w systemacie nauk, przekonanie o jej czystości czyli bezstronności rozciągało się na nie. U podstawy tego poglądu leży metafizyczne założenie istnienia bezwzględnika (absolutu), odpowiednika bezwzględnej prawdy i czystej przedmiotowości. Analiza tego pojęcia wykazuje, że jest ono ułudną hipostazą wszechideału, jednoczącego w sobie najwyższe wartości nauki, sztuki i religii. Okazuje się, że stanowisko metafizyczne nie jest bynajmniej oderwaniem się od padołu potrzeb życiowych, lecz przeciwnie akordem ich wszystkich, wołającym o panaceum. Jest ono ryczałtowem dążeniem po jeden klucz do wszystkich spraw, nad któremi trudzi się cała ludzkość w całym swym rozwoju. O ile w metafizycznem stanowisku przeważa żywioł naukowy, bezstronność ukazuje się jako racyonalizm, dążący do czystej wiedzy bezwzględnej, o ile przeważa żywioł artystyczny, bezstronność występuje w postaci przeświadczenia o doskonałej harmonii, pięknie i systematyczności w przedmiocie naszej wiedzy, o ile wreszcie przeważa żywioł religijny, bezstronność występuje w postaci wiary w zależność wszystkiego, co się dzieje, od potęgi doskonałej. Ponieważ praktyka prawdziwie i czysto naukowa do takiego stanowiska nie prowadzi, metafizycy wskutek swej zachłanności, sprzeciwiającej się podziałowi pracy, ugrzęzli w niepokonanych trudnościach. Musieli ustanawiać odpowiadające bezwzględnikowi osobne potrzeby, władze duchowe, pojęcia i prawdy, wszystko to klinem w nasze życie wbite, tworząc liczne dualizmy: arystokratyzmu inteligencyi wobec zdrowego rozsądku, ekstazy intuicyjnej wobec doświadczenia, świata myślnego wobec świata zjawisk, prawd wiecznych wobec prawd doświadczalnych, czystej teoryi wobec praktyki, apryoryzmu wobec aposteryoryzmu itd. Wszystko to sprzeciwia się jak ciągłości, którą ciągle stwierdzamy, tak i logice, mogącej stwierdzić tu błędne koła i tautologie. Dobitnie napiętnował już stoik *Chryzippos* stanowisko bezstronności metafizycznej jako samolubne hołdowanie przyjemności, hedonizm myśliciela, a miał on na myśli samego *Arystotelesa*. Słuszność tego sądu znajduje potwierdzenie w tem, że metafizycy zmuszeni zostają w końcu do zrzeczenia się uroszczeń do powszechnej wartości jakiegokolwiek systematu, oddając twórczość metafizyczną na pastwę osobistego upodobania.

Stwierdziliśmy zależność prawd naukowych od zagadnień, a tych znów od potrzeb życiowych. Jest to tylko jedna strona sprawy, albowiem istnieje też i odwrotne oddziaływanie. Rozwiązania wpływają na zagadnienia, bądź prostując je, bądź wy-

wodząc z nich ogólniejsze, czy szczegółowsze. Wie o tem każdy pracownik naukowy z własnego doświadczenia. Rozwiązania i zagadnienia wpływają dalej wstecz na potrzeby aż do najpierwotniejszych, a im kulturalność w osobniku czy społeczeństwie jest większa, tem łacniej poddają się tym wpływom. Prawdy naukowe wpływają decydująco na bieg życia kulturalnego zdrowy i pomyślny i one właśnie dokonywują tego doboru potrzeb, o którym była mowa poprzednio, normując je, kształtując, rugując jedne, wywołując drugie. Tej ewolucyi potrzeb nie uwzględnił jeszcze pragmatyzm, który nie wyszedł poza utylitaryzm XVIII wieku, liczący się z domniemanie stałemi, typowemi, gatunkowemi potrzebami człowieka wogóle. To też przyznaje on racyę bytu każdej myśli, sądząc, że nie powstałaby, gdyby nie była użyteczna. To prowadzi nie do zrozumienia twórczości, dającej wyniki o powszechnej wartości, lecz do równouprawnienia wszelkich wykolejeń, błędów, zabobonów, dziwactw, słowem do anarchii (*Pappini* i *Prezzolini*). Należy zważyć, że wszystko, co jest prawdziwe, jest też pożyteczne, ale nie wszystko, co jest pożyteczne, jest też prawdziwe zawsze w znaczeniu powszechnej wartości.

Osobny dział należy się stronności, którą można nazwać patologiczną. Przywiązanie do stanowisk naukowych, które należałoby odmienić wobec odmieniających się potrzeb i zagadnień wytwarza stronność, zwaną doktrynerstwem i dogmatyzmem. Odwrotnie znów opieranie się wymogom nauki wskutek nałogu, rutyny, konserwatyzmu, ciasnego interesu daje powstanie zacofaniu i ucieczce w stronę wygodniejszej mistyki. Jeżeli te ciemne żywioły posiadają za sobą opiekę i pomoc władz, natenczas stronność przechodzi w stan zapalny. Pod groźbą kar i obietnicą karyery narzucone zostają przesłanki, do których stosując się pseudouczeni propagują tendencyjną „naukę“ dla interesów partyi, kliki, instytucyi, ad usum delphini, ad majorem gloriam (przykładów dość w Prusiech spółczesnych). Wynikiem jest deprawacya nauki i walka o jej wolność.

Praca filozoficzna, której wrogie są wszelkie narzucone jej przesłanki, nie jest pozbawiona przesłanek koniecznych, których sama doszukuje. Są to założenia, pierwiastki, pewniki, zasady. Zarówno, czy wypowiadane one będą doświadczalnie, czy racyonalnie, jeżeli tylko będą one konwencyonalnemi, czy dogmatycznemi ustanowieniami, to choćby pozwalały na budowanie wielotomowych gmachów, będą ze wszystkiem wisieć w powietrzu na podziw zdolności konstrukcyjnych ich budowniczych. Natomiast

gdy będą one wynikami badania jakiejś nauki, której podstawy dostarczone zostają przez inną znów naukę itd. w stopniowem przechodzeniu do wiedzy zwykłej i do doznań, innemi słowy, gdy powiązanie łańcuchowe nauk, właśnie w zasadach tkwiące, szeregować się będzie według wskazania potrzeb praktycznych, wówczas będzie dana gwarancya należytego i właściwego kierunku postępowania, który wyznaczy wszędzie założenia. *Kant* przedsięwziął odszukanie założeń ostatnich całej naukowości czyli a priori, które pomyślał jako rozszerzenie fenomenalizmu na całą umysłowość ludzką. Zrozumiał on, że jak ustrój nasz zmysłowy warunkuje nasze postrzeżenia, tak jakieś a priori musi warunkować naszą twórczość myślową. Aby odszukać ten czynnik stronności wszechludzkiej, wkroczył on na drogę zupełnie niewłaściwą. Bo przejęty mistycznem pojęciem powszechnej wartości i konieczności nauki, jął się skonstruowanych ad hoc schematów logicznych, przeciwstawił podmiot przedmiotowi i w sztuczny sposób wyprowadził kategorye, które okazały się tautologią podatną do zdolności utajonych średniowiecza lub idei platońskich, a w końcu sprowadził je do syntetycznej apercepcyi, która okazała się bezwzględnikiem metafizycznym. Już półtora wieku aprioryzm ten podlega komentowaniu, z którego same ciosy nań spadają. Ta zabawnie bezpłodna gorliwość utrzymuje się dzięki tkwiącemu w głębi przeświadczeniu, że *Kant* dobrze zagadnienie postawił. Wszak apriori posiada w gruncie znaczenie i wartość zasad heurystycznych i kierowniczych, wstrzymujących od metafizyki i nakazujących nieustannie doszukiwać uwarunkowania podmiotowego naszej twórczości poznawczej. Przenieśmy więc to zagadnienie na najwłaściwszy dlań grunt pragmatyzmu. *Wtedy wartość powszechna otrzyma znaczenie socyologiczne i historyczne, koniecznie doświadczalne, podmiot antropologiczne, przedmiot fizykalne i etyczne, wtedy apriori będzie oznaczało ten grunt potrzeb ludzkich, który tutaj mamy na myśli.* Zapuszczając się w tak postawione badanie potrzeb, przeobrażających się w myśli, będące pytaniami i zagadnieniami, zrozumiemy dobór naszej wiedzy, stanowiący twórczość, zrozumiemy ten warunek naukowości, który stanowi stronność naturalną, normalną, czy jak ją nazwiemy, a którą *Stoicy* nazywali zgodnością z naturą, pojmując tę ostatnią metafizycznie jako istotę wszechrzeczy.

Zagadnienie stronności prowadząc nas do fenomenalizmu, rozszerzonego do aprioryzmu, wskazuje nam drogę do nauki o potrzebach życiowych, czyli do teoryi wartości. Naukę tę zapoczątkowali już Stoicy, poczem zamarła ona do naszego czasu. Podjęli ją

ekonomiści w XIX wieku, a w ostatnich latach dopiero etycy i ekonomiści zabrali się do niej gruntownie. Na uwagę zasługuje, że w r. 1846 ukazała się u nas praca *Wojciecha Jastrzębowskiego* p. t. „Układ świata, zastosowany do potrzeb powszechnych“, w której podany jest zarys nauki o potrzebach, nazwanej przez autora „anankonomią“. Dalecy jesteśmy jeszcze od wglądu w statykę powiązania i dynamikę doboru całej skali naszych potrzeb. Gdy ją posiędziemy, będziemy mogli rozumieć naukę jako organ życiowy a unikać zboczeń i utworzyć hygienę umysłu naukowego, będziemy mogli doskonalej tworzyć biografie i historyę kultury, będziemy wiedzieli, jak stosować się do przepisu starodawnego „primum vivere deinde philosophari“, będziemy musieli uznać za naczelną prawdę filozoficzną *Pytagorasa:* „πάντων χρημάτων μέτρον ἄνδρωπος.“

Dr. Ignacy Halpern

PIŚMIENNICTWO.

S. WOJCIECHOWSKI. *Jak założyć stowarzyszenie spożywcze.* Z udziałem zapomogi z funduszu Władysława Pepłowskiego, będącego w zawiadywaniu kasy imienia Mianowskiego. Stronic 224. Warszawa 1911. Skład główny w Biurze Stowarzyszeń Spożywczych.

„W stowarzyszeniach spożywczych, instytucyach demokratycznych, ludowych, niema miejsca ani dla malowanych, ani dla niemych członków zarządu. Miejsce w zarządzie należy tylko prawdziwym oraczom i siewcom".

Taką dewizę wysuwają wydawcy, to jest Biuro Informacyjne Stowarzyszeń Spożywczych w przedmowie do swej książki. Tych oraczy i siewców wyrobić—oto cel omawianej pracy.

„Jaki pan—taki kram", rozpoczyna znany działacz na polu kooperatywy p. St. Wojciechowski swój wykład, pisany stylem jędrnym, dosadnym i treściwym, trafiającym do przekonania czytelnika i wbijającym się w jego pamięć. Polskie to przysłowie w zastosowaniu do ruchu współdzielczego tłómaczy zdaniami zasłużonych kierowników kooperatyw angielskich, Holyoka i Maxwela. „Największe sklepy współdzielcze, jakie dziś posiadamy—powiada pierwszy z nich — mogą stać się dwa razy bogatsze, jeżeli ich członkowie będą dwa razy mądrzejsi". Drugi zaś dodaje do tych słów, że „najlepszą i najwyższą formę stowarzyszenia współdzielczego otrzymujemy tam, gdzie kształcenie charakteru członków jest traktowane narówni z robieniem oszczędności". Autor rozwija te myśli, wskazuje na ścisły związek pomiędzy interesem materyalnym sklepu współdzielczego a oświatą i wychowaniem. Stowarzyszenie demokratyczne, gdzie ogół rządzi, bez podniesienia umysłowego i moralnego poziomu członków nie mo-

że się wznieść na wyższy stopień rozwoju ekonomicznego i pozostaje lichym kramem bez znaczenia i przyszłości.

Dość porównać jednocześnie powstałe w Warszawie stowarzyszenie spożywcze „Merkury“ i „Bazylejskie stowarzyszenie spożywcze“ w Szwajcaryi. Pierwsze po 40 latach istnienia wlecze żywot suchotniczy, posiada na papierze niby 2 tysiące członków, z których na zebrania ogólne przychodzi zaledwie 30-u, aby było przynajmniej z kogo zarząd wybrać. Przez ten czas Bazylejskie stowarzyszenie objęło 29 tys. członków z liczby 125 tys. mieszkańców miasta, robi 7 milionów rubli rocznego obrotu, stało się wzorem i pobudką do działania dla całego kraju.

Wbrew dawnemu samolubnemu hasłu wojującego kapitalizmu: „każdy dla siebie“, wiek nasz stał się wiekiem stowarzyszeń. W trudnych i zagmatwanych stosunkach społecznych jednostka, pozostawiona sama sobie, stawała się coraz bezradniejsza i musiała szukać oparcia w łączności z innymi. Zwycięża bezwzględną zasadę współzawodnictwa zasada współdziałania, wzajemnej pomocy w myśl hasła: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“. W tym powszechnym prądzie stowarzyszania się wybitne miejsce zajęły współdzielcze stowarzyszenia spożywcze.

Maluśkie w swych zaczątkach przed laty 60-iu, stały się już dziś potężnym ruchem, kładącym wybitne piętno na życiu społecznem. W 1908 r. liczono ich w Europie 18 tys., obejmujących 7 milionów członków, a więc razem z rodzinami 28 milionów osób. W Królestwie w tym samym roku liczono przeszło 650 stowarzyszeń spożywczych, obejmujących 90 tys. członków i sprzedających towarów za 12 milionów rocznie.

Liczby te wskazują, że stowarzyszenia spożywcze to nie jakiś sztuczny objaw miejscowej agitacyi, ale powszechny i silny ruch społeczny. Stale wzrastająca drożyzna środków utrzymania obudziła w szerokich kołach ludności myśl o potrzebie organizacyi, któraby stawiała tamę wzrostowi cen na artykuły codziennego użytku. Stowarzyszeni, nabywając odrazu produkty w większej ilości, otrzymują towar po niższej cenie. Dalej zabezpieczają się od oszustw, jakie bywają w handlu detalicznym, dostając artykuły spożywcze niesfałszowane i rzetelnej wagi. Stowarzyszenie, osiągając zyski i dzieląc je pomiędzy członków, daje im również możność robienia oszczędności.

Aby w coraz większem stopniu uniezależnić spożywców od spekulacyi handlarzy, stowarzyszenie dąży do rozszerzenia swych operacyi, do zaspokojenia potrzeb swych członków w coraz szerszym zakresie. Część zysków odkłada się na powiększenie ka-

pitału obrotowego, a sklep stowarzyszenia przeobraża się w wielki magazyn z najrozmaitszymi towarami. W dalszym ciągu stowarzyszenia łączą się z sobą w jeden związek, żeby prowadzić własną hurtownię i uniezależnić się w ten sposób od hurtowników. Napotykane tutaj przeszkody: zmowy hurtowników i fabrykantów na niekorzyść spożywców, potrzeba rozciągnięcia kontroli nad produkcyą artykułów spożywczych, podlegających zafałszowaniom—wszystko to stawia przed stowarzyszonymi w miarę rozrastania się ich sił nowe zadania i skłania ich do zakładania własnych fabryk.

W ten sposób stowarzyszenia spożywcze występują, jako nowy gospodarz w życiu ekonomicznem kraju i stają się narzędziem doniosłej reformy społecznej. Tworząc narodową organizacyę spożycia, opanowują bezładne dziś siły ekonomiczne i skierowują je na drogę celowego służenia dobru powszechnemu.

Główne zasady stowarzyszenia spożywczego zostały sformułowane i wprowadzone w życie już w r. 1844 przez pionierów tego ruchu—28 biednych tkaczy w miasteczku Rochdale w Anglii, których stowarzyszenie stało się wzorem dla innych i którzy wytworzyli cały tak zwany „system rochdalski".

Podstawowe różnice pomiędzy handlem prywatnym a współdzielczym wykłada autor w czterech punktach. Gdy w handlu prywatnym motorem jest żądza zysku, w stowarzyszeniu spożywczem jest nim chęć lepszego zaspokojenia swoich potrzeb i osiągnięcia przez to oszczędności w wydatkach. Handel prywatny oddala spożywcę od wytwórcy i zwiększa koszty pośrednictwa, tymczasem stowarzyszenie spożywcze upraszcza pośrednictwo i przez skupianie spożywców w większe organizacye zbliża ich do wytwórców. Handel prywatny opiera swe operacye na spekulacyi i wyzysku, stowarzyszenie zaś działa na podstawie znajomości potrzeb swych członków. Handel prywatny wreszcie uprawia sprzedaż na kredyt, a stowarzyszenie spożywcze ją tępi.

Do założenia stowarzyszenia spożywczego niezbędne są dwa warunki. Po pierwsze, aby w danej miejscowości można było pozyskać dostatecznie wielką liczbę członków. Po drugie, aby na miejscu byli ludzie zdolni do zarządzania sprawami stowarzyszenia.

Autor zapoznaje czytelnika z pracami przygotowawczemi około organizacyi stowarzyszenia, daje szczegółowe wskazówki co do pierwszego zebrania organizacyjnego, co do zebrań zarządu i jego organizacyi wewnętrznej, informuje o związku stowarzyszeń spożywczych, wykazuje potrzebę dokładnej rachunkowości

i konieczności zebrania odpowiedniego kapitału. Oddzielne rozdziały poświęcone są radom i informacyom praktycznym o zwolnieniu od podatku przemysłowego i patentu na tytoń, o lokalu na sklep, o urządzeniu sklepu, o odbiorze towarów i ich przechowywaniu, o kalkulacyi cen sprzedażnych, o otwarciu sklepu, o kontroli zakupów, o sprawozdaniu rocznem, o podziale czystego zysku, o instrukcyi dla komisyi rewizyjnej, o regularności zebrań ogólnych, wreszcie o obowiązkach członków. W końcu książki podana jest ustawa normalna, wzory protokółów, umów ze sklepowym, podań do władz, umieszczony został nawet krótki słowniczek terminologii handlowej i wskazane materyały do odczytów na zebraniach stowarzyszeń.

Książka ta daje pełny obraz działalności stowarzyszenia spożywczego i stanowi nieocenione źródło informacyjne dla jego kierowników. Ma ona zapewniony zbyt wśród szybko zwiększającego się grona pracowników na polu kooperacyi spożywczej i niejedno stowarzyszenie skieruje na właściwe tory, utrwalając jego istnienie i rozwój.

Wacław Dunin.

STANISŁAW BUKOWIECKI. *O urządzaniu hypotek dla drobnej własności i o zabezpieczaniu hypotecznem należności spółek pieniężnych.* Staraniem Banku Towarzystw Współdzielczych. Warszawa. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł).

Okres obecny znamionuje u nas szybki rozwój spółek wszelkiego rodzaju, których zakładanie było dawniej bardzo utrudnione, choć potrzeba dawno już dojrzała. Postępy współdzielczości w dziedzinie kredytu udostępniły go szerszym masom wiejskim, jednocześnie zaś wysunęła się ważna sprawa zabezpieczenia hypotecznego należności spółkowych.

Wiejskie towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe i drobnego kredytu, obok pożyczek krótkoterminowych, mają prawo udzielania kredytu i długoterminowego na czas do lat 5. Na przeszkodzie jednak rozwojowi tego rodzaju operacyi stoi brak hypoteki, którą posiadają wyjątkowo tylko grunta włościańskie.

Wprawdzie obecna ustawa normalna drobnych spółek pieniężnych, pisana dla Rosyi i nieuwzględniająca wcale naszych stosunków, nic nie mówi o zabezpieczaniu pożyczek na nieruchomościach, nie wynika jednak stąd bynajmniej, by spółki nie miały prawa udzielania pożyczek hypotecznych. W praktyce spółki oddawna udzielały u nas kredytu pod zastaw majątku nieucho-

mego. W końcu i rząd musiał uwzględnić istniejący stan rzeczy i zgodził się przy zastawie majątku nieruchomego stosować najwyższą normę kredytu, przyznawanego dotychczas tylko przy zabezpieczeniu zastawem ruchomym.

Włościanie nie mogą korzystać z kredytu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, kasy gminne są prowadzone zbyt formalistycznie, aby tę potrzebę zaspakajać mogły, Bank Włościański daje pożyczki tylko na zakup ziemi, więc jedynem źródłem taniego kredytu są drobne spółki pieniężne. Aby mogły one tę swoją ważną rolę spełnić, niezbędnem jest rozszerzenie hypoteki na grunta włościańskie.

Niektóre władze sądowe i administracyjne przez czas dłuższy utrudniały u nas urządzanie hypotek dla własności t. zw. ukazowej, t. j. dla gruntów, które przeszły na rzecz włościan na mocy ukazu z r. 1864. Wszelka jednak wątpliwość co do dopuszczalności hypoteki na gruntach włościańskich została usunięta z chwilą wydania prawa z dn. 11 czerwca 1891 r. o sprzedaży, dzierżawie, zastawie i rozdrabnianiu gruntów włościańskich, gdzie wyraźnie w jednym z artykułów powiedziane jest, że właściciele osad mają prawo zabezpieczać na nich hypoteczne zobowiązania na rzecz osób wszelkiego stanu.

Wprowadzenie hypoteki dla większych posiadłości w r. 1818 ogromnie podniosło gospodarkę narodową, takie same znaczenie może wywołać rozszerzenie jej na stan włościański.

Polska należy do rzędu tych krajów, w których znaczenie hypoteki najdawniej zrozumiano i najlepiej urządzenie to rozwinięto. Wydane przez sejm Królestwa Polskiego prawa hypoteczne powszechnie uznano za najlepsze w Europie. Powinniśmy pójść w ślady naszych poprzedników i wykazać taki sam rozum, zabiegliwość i przezorność, rozwijając dalej dzieło przez nich poczęte.

Autor daje szczegółowe wskazówki, jak należy przystępować do urządzenia hypoteki, przytacza odpowiednie prawa i przepisy oraz informuje co do utartej praktyki w tym względzie. Tłómaczy również rodzaje zabezpieczenia hypotecznego, przedstawiając różnicę między kaucyą a obligiem, udziela wreszcie rad spółkom co do udzielania kredytu i egzekwowania należności.

Z pożyteczną tą książeczką powinni obowiązkowo zapoznać się działacze społeczni, pracujący w spółkach ludowych, i zachęcać jaknajwięcej włościan do wprowadzania w czyn zasadniczej jej idei—rozpowszechnienia u nas hypoteki włościańskiej.

W. D.

BALZER OSWALD. *Skartabelat w ustroju szlachectwa polskiego.* Kraków. Akademia Umiejętności. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza, 1911.

W dziejach społeczeństwa polskiego rolę dominującą grała szlachta nietylko dzięki swym przywilejom, ale również i wskutek swej ekonomicznej przewagi nad innemi klasami. Wobec tego kwestye takie, jak geneza szlachty, jak sprawa wsiąkania do sfer szlacheckich żywiołów obcych, mają w studyach nad dziejami Polski znaczenie pierwszorzędne i dziwić się nie można, że pociągały one zdawna badaczy naszych. Opuszczoną niedawno placówkę przez prof. Piekosińskiego, zasłużonego badacza dziejów rycerstwa polskiego, zajął dr. Władysław Semkowicz, który, zakroiwszy swą pracę na wielką skalę, stworzył już szereg monografii poszczególnych rodów polskich. Monografie te staną się niewątpliwie podwaliną, na której Semkowicz zbuduje pierwotne dzieje szlachty. Semkowiczowi zawdzięcza również swe powstanie „Miesięcznik heraldyczny“, organ o szerokich aspiracyach naukowych, który skupił około siebie pierwszorzędne siły, że wymienimy tu ze starszej generacyi barona Gustawa Manteuffla i d-ra Lubę Radzimińskiego, a dalej d-ra M. Wąsowicza, ks. Kozickiego, wreszcie z pośród najmłodszych ks. Józefa Puzynę, d-ra Polaczkównę, autorkę poważnego studyum o „Liber Chamorum“.

Położeniem prawnem żywiołów obcych, którym udało się przeniknąć drogą nobilitacyi do warstw szlacheckich zajął się obecnie prof. Balzer, ogłaszając swą monumentalną monografię o „Skartabelacie“.

Wyraz „skartabellus“ spotyka się raz jeden tylko w statutach kazimierzowskich i, jak wykazały badania nad zapiskami sądowemi, oznaczał on pierwotnie klasę władyków. Terminu scartabellus nie zna łacina klasyczna i, jak przypuszcza prof. Balzer, wyraz ten, właściwy średniowiecznym gwarom łacińsko-polskim, wprowadzony został do tekstu ustaw kazimierzowskich przez ich domniemanego redaktora Janusza Suchegowilka, doktora dekretów, który stopień akademicki nabył na jednym z uniwersytetów włoskich. Obok szlachty właściwej „milites Samosi“ i władyków „scartabelli“ wymieniają jeszcze trzecią warstwę rycerzy kreowanych z chłopów i sołtysów. Z biegiem czasów, gdy klasa władyków ostatecznie istnieć przestała, juryści pomieszali dwie niższe warstwy rycerstwa, odróżniane przez statuty kazimierzowskie i zaczęli uważać, że „scartabellami“ nazywał prawodawca osoby

świeżo uszlachcone. W ten sposób „skartabellów“ ze szlachtą nową zmieszał Przyłuski w roku 1553 i tłómaczenie jego przyjęło się ostatecznie w terminologii polskiej. A właśnie w końcu wieku XVI dla oznaczenia „nowej szlachty“ zachodziła potrzeba odpowiedniego terminu, gdyż stopniowo stawała się ona warstwą, mającą inne prawa, niż reszta ziemiaństwa. Ograniczenia świeżo nobilitowanych zjawiły się wprawdzie już na przełomie w. XV i XVI, odnosiły się jednak wówczas wyłącznie do stosunków hierarchiczno-kościelnych, wytworzone zaś zostały, jak przypuszcza Balzer, pod wpływem naśladownictwa wzorów zachodnich. Natomiast ograniczenia szlachty nowej w pełnieniu urzędów świeckich ukazywać się zaczęły od ostatniej ćwierci wieku XVI, by skrystalizować się ostatecznie w paktach konwentach 1669 r., wyraźnie już odmawiających szlachcie nowej w trzech pierwszych pokoleniach dostępu do urzędów i legacyi Rzeczypospolitej. Ograniczenia skartabelów usiłowano rozszerzyć jeszcze w r. 1674, odbierając im prawo dzierżawienia i użytkowania dóbr z dochodów publicznych. Przepis ten jednak wkrótce cofnięto, natomiast w r. 1764 postanowiono, że szlachta nowa nie może otrzymywać w dożywocie wójtostw i leśnictw w dobrach królewskich. Rzeczą jest jednak godną uwagi, że niejednokrotnie przy nobilitacyi usuwano odrazu ograniczenia, nakładane przez skartabelat, przyznając uszlachconym wszystkie prerogatywy, tak np. sejm r. 1673 na 73 nobilitacye udziela ich 4 z usunięciem ograniczeń skartabelatu, sejm 1768 r.—23 na ogólną liczbę 198 i t. d.

„I tak skartabelat—kończy swe piękne dzieło prof. Balzer—instytucya w znacznej części z nieporozumień poczęta, przez długi czas chwiejna i niewykończona, ukształtowana ostatecznie pod wpływem i oddziaływaniem przypadkowych zdarzeń politycznych, nawet kiedy już uzyskała wyraźną sankcyę ustawową, znalazłszy się w sprzeczności z naczelną zasadą organizacyjną ówczesnych urządzeń szlacheckich, nie doszła nigdy do pełnego ustalenia i rozwoju i skazana została na żywot połowiczny“.

I. B.

ADAM CHMIEL. *Zródła do historyi sztuki i cywilizacyi w Polsce.* Tom I. Kraków 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

Narzekamy często na siebie samych, wyrzucamy sobie brak przedsiębiorczości i inicyatywy i dużo pewnie w tych biadaniach jest słuszności. Mamy jednak dwa pola pracy, które nawet przy

porównaniu z działalnością innych, szczęśliwszych narodów przedstawiają się pomyślnie. Nasza sztuka dawno zajmuje miejsce poczesne w dorobku europejskim, a obok niej coraz lepiej, coraz wspanialej rozwija się i nauka polska. Rozwój ten produkcyi naukowej naszego narodu zauważyć można we wszystkich kierunkach, między innemi i na polu badań nad dziejami. Każdy rok przynosi nam szereg świetnych monografii historycznych, a równolegle z niemi ukazują się coraz nowe tomy źródeł historycznych. I właśnie na polu wydawnictwa źródeł nauka nasza robi coraz większe postępy. Dzisiaj śmiało rzec można, że wydawnictwa nasze źródeł nie ustępują niemieckim, a o wiele przewyższają francuskie. Nasi wydawcy galicyjscy i warszawscy doprowadzili wydawnictwa do nieznanej przedtem u nas doskonałości. Obok dokładności wydawnictwa, polskie źródła ostatniej doby cechuje wielka różnorodność. Obecnie niemal wszystkie objawy życia narodu odzwierciadlają się w naszych wydawnictwach źródeł.

Oto np. nawet Francya nie wydaje obecnie źródeł do historyi cywilizacyi, tymczasem u nas w końcu ubiegłego wieku zainicyował wydawnictwo podobne ś. p. profesor Maryan Sokołowski, uczony wielkiej miary, którego wiedza, intuicya naukowa i kultura wywarła wpływ nie mały na ostatnie pokolenia polskich historyków i historyków sztuki. Pierwszy tom zainicyowanego przez siebie wydawnictwa „Źródeł do historyi sztuki i cywilizacyi w Polsce“ pragnął prof. Sokołowski zapełnić „Rachunkami dworu królewskiego z lat 1544—1562“. Rachunki te spisane zostały przez sekretarza królewskiego Justa Ludwika Decyusza, syna autora dziejów Zygmunta Starego, częścią zaś przez Stanisława Włoszka, a zawierają one materyał nadzwyczaj cenny do historyi dworu królewskiego, a dalej do dziejów sztuki i przedewszystkiem rzemiosł w Polsce. Dość powiedzieć, że „Rachunki dworu“ wskrzeszają przed nami 16 budowniczych, 8 malarzy, 36 złotników i t. d.

Druk „Rachunków dworu królewskiego“ ukończył prof. Sokołowski już w r. 1897, lecz przed wypuszczeniem w świat pragnął je uzupełnić wstępem i indeksem. Nawał pracy nie pozwolił mu doprowadzić tego przedsięwzięcia do zamierzonego końca, zmarł, nie wypuściwszy w świat tomu pierwszego wydawnictwa, którego był inicyatorem. Dopiero po śmierci nieodżałowanego uczonego ukończone zostało wydawnictwo przez p. Adama Chmiela, który uzupełnił je indeksem i przypisami.

W ten sposób, dzięki uczonym krakowskim, posunęła się nakoniec naprzód praca, rozpoczęta ongi przez Aleksandra Przeź-

dzieckiego, który w r. 1854 wydał rachunki dworu Władysława Jagiełły i Jadwigi.[1]) Wydawnictwo Przeździeckiego, podające rachunki w tłómaczeniu polskiem, nieopatrzone indeksem, porównane z wydawnictwem Sokołowskiego dokończonem przez Chmiela, wykazuje właśnie najlepiej, jaki postęp uczyniła umiejętność wydawnicza w ciągu pół wieku. Regestra Przeździeckiego kończą się na roku 1407, pomiędzy więc nimi a Rachunkami dworu, wydrukowanymi przez Akademię, jest 125 lat przerwy. Będzie wielką zdobyczą nauki, jeśli się uda tę lukę zapełnić i wydrukować wszystkie rachunki dworu Jagiellońskiego.

I. B.

[1]) Życie domowe Jadwigi i Jagiełły z regestrów skarbowych z lat 1388—1417. Warszawa 1854.

Kronika miesięczna.

Kilka uwag w sprawie żydowskiej. — Statystyka Żydów w Polsce i na świecie.—Nastrój opinii żydowskiej. — Antysemityzm, jako cecha życia współczesnego.—Jego przyczyny gdzieindziej i u nas. — Podstawy samoobrony narodowej i ekonomicznej.—Polski kongres przeciwalkoholiczny we Lwowie. — Spożycie alkoholu w Polsce i ruch abstynencki.

Odbyły się nie tak dawno wybory do gminy żydowskiej w Warszawie, zakończone zwycięstwem asymilatorów. Ani do tryumfu, ani do ubolewania niema powodu; fakt zwycięstwa asymilatorów można zakwalifikować, jako pomyślny, bez żadnych wszakże superlatywów, za pomyślny dlatego, że na czas jakiś usuwa wrogi nacisk ludności, która stanowi w życiu Warszawy czynnik dość poważny, skoro nasza niegdyś stolica jest drugiem na świecie wielkiem miastem żydowskiem po New-Yorku, liczącym 800,000 Żydów.

Cyfra ta sprowadza nas odrazu na podstawowy grunt do traktowania sprawy żydowskiej u nas — na grunt statystyczny. Ułatwi to zadanie cenna praca statystyczna p. Bohdana Wasiutyńskiego „Ludność żydowska w Królestwie Polskiem“, zawierająca umiejętne zestawienie i oświetlenie bardzo nieraz niedokładnych i niedostatecznych danych jedynego źródła urzędowego, prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego oraz danych spisu jednodniowego z r. 1897-go.

Autor stwierdza na wstępie, że w okresie czasu od r. 1816 do r. 1909 odsetek ludności żydowskiej w Królestwie blizko podwoił się, wzrósł bowiem z 7.8% na 14.64%. Na ten wzrost wpłynęło w ciągu blizko stulecia przyczyn kilka: wojny napoleońskie, następnie dwa powstania wpływały na zmniejszenie się gwałtowne i jedno-

razowe tylko ludności chrześciańskiej; w okresie czasu od r. 1831 do r. 1855-go, który wykazuje największy stosunkowo przyrost ludności żydowskiej, spowodowany był on większą odpornością na choroby oraz lepszemi warunkami ekonomicznemi; wreszcie już za naszej pamięci zastosowanie w państwie rosyjskiem granicy osiadłości żydowskiej sprowadziło nieprzejrzane tłumy Żydów na ziemie dawnej Rzeczypospolitej, a zwłaszcza do Królestwa. Cyfry absolutne z dwóch granic obserwacyjnych są następujące: w r. 1816 ludność Królestwa wynosiła 2,732,324 głów, z czego było 212,244 Żydów; w r. 1909 zaś miało Królestwo 11,935,318 mieszkańców, z czego 1,747,655 Żydów.

Największe skupienie Żydów na jednem miejscu mamy w Warszawie: 281,754 głów czyli 26.88% ; z gubernii prym pod tym względem trzyma Piotrkowska z cyfrą 298,062 głów, czyli 15.67% ogółu ludności tej gubernii. W Łodzi na ogólną liczbę 408,442 mieszkańców było w r. 1910-ym 92,558 Żydów, czyli 22.7% ogółu. W obu największych miastach Królestwa w Warszawie i w Łodzi mieszkało w 1909-ym 21.2% ogółu Żydów w Królestwie, gdy w r. 1893-cim było tam 16.3% ogółu. Świadczy to o naturalnem i istotnem ciążeniu ludności żydowskiej do największych ośrodków handlu i przemysłu, ale jest również wynikiem imigracyi Żydów z Rosyi.

To naturalne ciążenie ludności handlowej do miast wogóle wyraża się i w tem, że w miastach mieszka 87.3% ogółu ludności żydowskiej, gdy 12.7% przypada na gminy wiejskie; a i tu zastrzedz się trzeba, że większość Żydów mieszka nie po wsiach właściwych, ale w osadach, zaliczanych do gmin wiejskich. Jeżeli weźmiemy teraz powiaty, jako całości, to największą stosunkowo ilość Żydów znajdziemy w powiatach Bialskim i Siedleckim, gdzie stanowią 22.3% ogółu ludności, najmniejszą zaś w powiatach: Nieszawskim i Warszawskim, gdzie stanowią 4.1% ogółu. Największy przyrost procentowy Żydów stwierdzamy w powiatach pogranicznych gub. piotrkowskiej, zwłaszcza w pow. będzińskim, jako terytoryalnie najdogodniejszych pod względem handlowym, szczególnie kontrabandy. Procenty ludności żydowskiej w różnych miastach Królestwa podawaliśmy już przy omawianiu ograniczeń Żydów w samorządzie, powtarzać więc jej tu nie będziemy, a ciekawych do odnośnego zeszytu „Biblioteki“ odsyłamy.

Najważniejszą oczywiście kwestyą jest stosunkowy przyrost ludności żydowskiej i chrześciańskiej. W latach od r. 1816—1834 ludność kraju wzrosła o 49%, gdy sama ludność żydowska wzrosła

o 93%, czyli w stosunku prawie podwójnym do całości. Od r. 1816—1854 liczba Żydów wzrosła o 169%, liczba zaś przedstawicieli innych wyznań o 72%, czyli Żydzi wzrastali prawie 2½ raza szybciej. W latach 1855 — 1861 przeciętna ilość urodzeń chrześcian wynosiła na tysiąc 43.9%, Żydów zaś 44.3%, a przeciętny przyrost naturalny wynosił 5.1% i 7.4%, również na tysiąc. Od r. 1885-go do 1909-go przyrost ludności żydowskiej Królestwa był również większy niż ludności ogólnej, ale różnica jest już znacznie mniejsza: ludność Królestwa wzrasta w tym okresie czasu o 124%, specyalnie żydowska zaś o 143%. Za pomocą różnych ciekawych obliczeń, których tu przytaczać nie możemy, p. Wasiutyński stwierdza, że w latach 1890—1909 przyrost naturalny ludności żydowskiej jest w rzeczywistości nie wyższy od przyrostu naturalnego ludności chrześciańskiej, innemi słowy, wzrost odsetka Żydów należy przypisać imigracyi przybyszów ze Wschodu. Ciekawe są dane dla Warszawy w latach 1884—1908: na tysiąc przybywało przeciętnie Żydów 13.43‰, katolików zaś 14.61‰, czyli że przyrost naturalny ludności żydowskiej był mniejszy od katolickiej. Przeciętny przyrost naturalny ludności żydowskiej w latach 1904—1908 dla całego kraju wynosił 13.6‰, czyli był nieco mniejszy od przyrostu naturalnego całej ludności i osobno ludności katolickiej.

Emigracya do różnych krajów zamorskich, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych i do Argentyny, jest zjawiskiem stałem. Dane Biura Informacyjnego Żydowskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego (*Ica*) wykazują, że z państwa rosyjskiego wyemigrowało Żydów: w r. 1901 — 38,600, 1902 — 57,600, 1903 — 63,500, 1904 — 104,800, 1905—88,500, 1906—156,900, 1907 — 106,900, 1908 — 45,000, 1909—61,000. Znaczne zwiększenie emigracyi w latach 1904—1907 przypisać należy wojnie japońskiej (ucieczki przed wojskiem) oraz następstwom t. zw. rewolucyi, znaczną obniżkę w r. 1908 i 1909 przesileniu ekonomicznemu w Stanach Zjednoczonych. Od r. 1903 Żydzi stanowią blizko połowę emigrantów z państwa rosyjskiego; gdyby nawet przypuścić, że drugą połowę stanowią Polacy, to i tak stosunkowy odsetek emigrantów danego wyznania do ogółu ludności tegoż wyznania byłby dla Żydów większy, niż dla Polaków, czyli że przez emigracyę bardzo a bardzo nieznacznie przecież jednak spada ilość ludności żydowskiej w Królestwie.

Jeżeli weźmiemy teraz pod uwagę terytoryum dawnej Rzeczypospolitej, to największa ilość Żydów przypada na Litwę i Ruś; *Jewish Year Book* podaje ogólną ilość Żydów w państwie rosyjskiem na 5,100,000; jeżeli dwa miliony odtrącimy na Królestwo

i na część państwa poza granicą osiadłości, to na Litwę i Ruś przypadnie z górą trzy miliony. Jak już widzieliśmy wyżej, odsetek ludności żydowskiej w Królestwie wynosi 14.64%; w Galicyi odsetek Żydów spada w ostatniem dziesięcioleciu z 11.6% na 11.1%, w Wielkopolsce odsetek ten spada do 1.5%, w Prusach Zachodnich do 1%, pomimo to, że w r. 1831-ym wynosił on w Księstwie 6.7%, w Prusach zaś 2.2%. Przykład Wielkopolski i Prus stwierdza znane zresztą prawo, że ludność żydowska pleni się na organizmach ekonomicznie słabych, które po wzmocnieniu eliminują ją niejako samorzutnie, jako obce ciało w organizmie; drobne zmniejszenie odsetka ludności żydowskiej w Galicyi także nieznacznemu wzmożeniu się ekonomicznemu żywiołu polskiego przypisać można, i tejże przyczynie w Królestwie —nie powiększanie się odsetka tego w ciągu ostatnich lat paru. Spostrzeżenie to wszakże niweczy tak drogie nam zawsze rozwiązywanie kwestyi żydowskiej obcemi rękami, czyli zapomocą zniesienia linii osiadłości, bowiem ludność rosyjska jest handlowo wyrobiona, posiada własny rdzenny stan kupiecki, a zatem do rozplenienia ludności żydowskiej stanowi grunt daleko mniej podatny, niż Litwa, Ruś i Królestwo.

Według cytowanego już wyżej *Jewish Year Book* ilość Żydów na całym świecie wynosi 11,081,000. Z tej cyfry przypada na Europę 8,748,000, na Amerykę 1,556,000, Afrykę 354,000, Azyę 242,000, Australię 17,000. Na poszczególne kraje europejskie przypada: Rosya 5,100,000, Austro-Węgry 2,100,000, Niemcy 600,000, kraje bałkańskie 400,000, Belgia i Holandya 105,000, Anglia 90,000, Francya 100,000, Włochy 40,000. Królestwo Polskie liczy 1,800,000 Żydów, z tego sama Warszawa 300,000, Warszawa zajmuje tedy pod względem ilości mieszkańców żydowskich drugie miejsce po New-Yorku, liczącym 800,000 Żydów. W innych miastach przedstawia się ludność żydowska następująco: Wiedeń 180,000, Budapeszt 160,000, Berlin 100,000, Londyn 80,000, Paryż 50,000, Jerozolima 40,000, Kraków 30,000. W r. 1900 było w Galicyi 811,183 Żydów, czyli o 42,338 więcej, aniżeli w r. 1890. Przyrost wynosi tedy w owym 10-leciu 5.5%. Z krajów bałkańskich przypada na Serbię 5,729, na Bulgaryę 33,661 Żydów, między nimi 3,437 krajowców (1,726 mężczyzn, 1,711 kobiet).

To proste zestawienie cyfr wskazuje jasno i wyraźnie dlaczego kwestya żydowska nabiera u nas szczególnej ostrości i znaczenia; przytoczone miliony doskonale to tłómaczą. A jak dalece znaczna ilość Żydów niepokoi państwa, o tem świadczy postawiony na porządku dziennym przez opinię publiczną Stanów

Zjednoczonych projekt zamknięcia granicy dla imigracyi żydowskiej.

Jakież jest stanowisko tych milionów wobec społeczeństwa polskiego? Nie mamy tu oczywiście na myśli czarnej, nieoświeconej masy, przywiązanej przedewszystkiem do starej wiary przodków, ale te koła, które masą tą kierują lub kierować usiłują. Najidealniejszym, najpiękniejszym w teoryi jest ten odłam opinii, który marzy o odzyskaniu dawnej ojczyzny, ze świętą arką Syonu, a kulturę opiera na szerzeniu prastarego języka, w którym układana była i część ksiąg świętych Chrześciaństwa; niestety w praktyce ten odłam urządza się doskonale tam, gdzie jest, w myśl starego określenia, że „tam mi ojczyzna, gdzie mi dobrze“, i ostro przeciwstawia się żywiołowi polskiemu. Gorszy od niego wszakże jest nacyonalizm żydowski, stwierdzający bez ogródek, że wszędzie tam jest państwo żydowskie, gdzie są Żydzi, że wszędzie mają prawo samookreślania i samodzielności, za podstawę kultury przyjmujący żargon, a u nas reprezentujący ubocznie zewnętrzne cechy rosyjskie.

Najbliższy Polakowi, bo stykający się z nim na różnych polach pracy społecznej i kulturalnej polskiej, jest ten odłam opinii, który na sztandarze swoim wypisał hasła asymilacyi. Wszakże ilość mieszkających wśród nas Żydów jest zbyt znaczna, abyśmy ją zasymilować mogli. Chemia uczy, że w danej ilości płynu może się rozpuścić tylko pewna nieznaczna ilość ciała obcego, poczem roztwór jest już nasycony. Można na to odpowiedzieć argumentem, że podniesienie temperatury podnosi granicę nasycenia, ale podnoszenie temperatury bez końca może zmienić ciekły stan roztworu na gazowy. Przetłómaczone na język społeczny będzie to brzmiało tak: podniesienie temperatury społecznej nie może być zjawiskiem stałem, grozi rozkładem, a zresztą uczucia przywiązania do cech odrębnych nietylko nie godzą się, ale często wręcz sprzeciwiają się owemu podniesieniu temperatury społecznej.

Jeżeli asymilacyę pojmować będziemy mniej ściśle, jako chęć wpojenia masom żydowskim przekonania o wspólności ich interesów z interesem narodowym polskim, to, oddając, co należy, usiłowaniom tym w przeszłości, musimy stwierdzić, że dziś na coraz mniejsze liczyć mogą powodzenie. Wyjątki z pism żargonowych, rozchodzących się w pozazdroszczenia godnych dla polskich ilościach egzemplarzy, świadczą, dowodnie, że na szerokie masy żydowskie asymilatorzy większego wpływu nie mają. Tak więc w trzech odłamach opinii żydowskiej kierowniczej i świadomej

stwierdzamy cele utopijne, bo utopią jest wskrzeszenie państwa judzkiego czy izraelskiego, utopią — marzenie, aby żywy naród pozwolił obcemu stwarzać pośród siebie obcą i samoistną organizacyę, utopią wreszcie—asymilacya.

Gdyby chodziło o określenie jednem słowem nastroju olbrzymio przeważnej części współczesnej opinii polskiej wobec kwestyi żydowskiej, nazwalibyśmy ten nastrój antysemickim, zastrzegając się zresztą co do różnych znaczeń wyrazu. Rozwój antysemityzmu jest cechą lat ostatnich wogóle i wszędzie. Różne na to wpłynęły czynniki.

Na pierwszem miejscu postawić należy współczesne wzmorzenie się prądów nacyonalistycznych. Badacze krótkowzroczni, zapatrzeni w jutrzenkę „wiosny ludów", nie zdają sobie sprawy z tego, że mamy tu do czynienia jedynie z drugim, logicznym wynikiem ówczesnego założenia. Pierwej trzeba chcieć coś posiadać, gdy się zaś już posiada, trzeba posiadłości bronić, a to się nie dzieje bez walki i bez przeciwstawności interesów. Z idealnego patryotyzmu powstało państwo niemieckie i chce dziś rosnąć i wzmagać się; z idealnego patryotyzmu powstały Włochy, prowadzące dziś konieczną wojnę zaborczą w Trypolisie. Nacyonalizm zatem jest tylko drugą realizacyą patryotyzmu.

Błędne również byłoby mniemanie, że rozwój antysemityzmu jest tylko wynikiem wzrostu nacyonalizmu środowiska narodowego, otaczającego Żydów, bo i na nich oddziaływa silnie prąd wieku. Dawniej mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem znacznie uproszczonem: z ciemną i bierną masą, oraz kierownikami jej, ciążącymi silnie, czasem zgoła szczerze należącymi do kultury otaczającej. Dziś — syoniści, terytoryaliści i nacyonaliści żydowscy są wymownym dowodem rozpowszechnienia prądu współczesnego także i w społeczeństwie żydowskiem, które zatem, jako takie, zyskuje na międzynarodowości.

Na drugiem miejscu wymienimy walkę ekonomiczną. Nie u nas urodził się ryzykowny aforyzm, że „antysemityzm jest socyalizmem głupców", ale tam, gdzie Żydzi dzierżą w swych ręku wielki handel pieniężny. Ryzykowny—bo socyalizm stoi na gruncie zwalczania przedewszystkiem obecnych form wielkiej produkcyi fabrycznej, Żydzi zaś w tym charakterze wielkich przemysłowców rzadko kiedy występują, jeżeli odróżnimy — jak to koniecznie robić trzeba—kierownictwo samą produkcyą od handlu jej uruchomionemi cząsteczkami—akcyami. Monopol handlu pieniędzmi prawie wszędzie, oraz monopol pośrednictwa wogóle w krajach niżej ekonomicznie rozwiniętych, wskazywałby raczej, że

antysemityzm ogólnie biorąc jest protestem przeciw pośrednictwu.

Te przyczyny istnieją wszędzie, u nas zaś przybywa do nich kilka szczególnych. Więc—nadmierne nagromadzenie Żydów na małem terytoryum. Dalej — zupełnie świeżej daty i bardzo powolny i bardzo częściowy rozwój ekonomiczny żywiołu polskiego, wyrażający się, niestety, nie w samodzielnym handlu jednostek, lecz tylko w stowarzyszeniach kredytowych i innych współdzielczych. Pomimo bardzo słabego rozwoju, Żydzi zajmują wszędzie wobec tego ruchu stanowisko bezwzględnie wrogie; im nawet trudno się może dziwić: boją się przyszłości, na którą my przecież patrzymy dosyć pesymistycznie. Swojem postępowaniem wszakże zmieniają radykalnie ludzi. Znamy na prowincyi pewną panią, wyraźną do niedawna filosemitkę, która stała się zażartą antysemitką, kiedy w małem miasteczku, gdzie wszystkie prawie nieruchomości są w rękach żydowskich, odmówiono wszędzie wynajęcia lokalu na założony przez nią sklep współdzielczy. Znamy w innem miasteczku lekarza, który stracił całą klientelę żydowską za to, że założył kilka stowarzyszeń kredytowych; nastąpiła zmiana równie radykalna. Możnaby fakty takie mnożyć bez końca; dowodzą one tylko, jak samo życie codzienne stwarza antysemityzm.

W liczbie czynników, rodzących ten nastrój uczuciowy, należy jeszcze wymienić u nas stosunek do religii większości narodu — do katolicyzmu. Inteligencya, wychodząca z pośród Żydów, i zupełnie skądinąd już spolszczona, traci zupełnie związek z religią ojców. To jest ich rzecz, ale ostrze krytycyzmu wobec wszystkich religii wogóle zwraca się nie przeciw dawnej ich wierze, lecz przeciw chrześciaństwu wogóle, a katolicyzmowi w szczególności. Niewątpliwie jest to widok dość dziwny i rażący, gdy na czele agitacyi bezwyznaniowej i na czele krytyki katolicyzmu kroczą Żydzi, skoro zdawałoby się, że podobne zadania krytyczne mogliby spełniać bliżej. W każdym razie odwrotnego zjawiska nie mamy, prócz jednego wyjątku: pewien publicysta, wróg wszelkich religii wogóle, był bardzo popularny w obozie postępowym dopóty, dopóki zwalczał tylko „przesądy“ chrystyanizmu; znacznie odwróciła się karta, gdy z kolei począł obrabiać „przesądy“ judaizmu. Ten brak taktu ze strony postępowej inteligencyi polskiej pochodzenia semickiego wpłynął nawet na wytworzenie się nieznacznego odłamu t. zw. „antysemitów postępowych“ i zrodził pewien krytycyzm nawet w kołach radykalnych. Istotnie—żeby wziąć przykład najbliższy—lepiej byłoby zapewne i trafniej, gdyby

niektóre podpisy z protestów przeciw listowi biskupów o „Zaraniu“ figurowały na protestach np. przeciw stosunkowi „cadyków“ do ciemnej masy żydowskiej, który nas znowu bezpośrednio nic obchodzić nie może, bo sprawy nie znamy. Dowodem wielkiego nietaktu, żeby nie powiedzieć więcej, było także podczas wyborów do pierwszej Izby Państwowej, rzucenie w wir walki ciemnej masy żydowskiej, jako podłoża liczebnego mięsa wyborczego postępowców polskich. Ten akt, potem, kiedy minął kurz walki, spowodował także pewne otrzeźwienie i niesmak w obozie postępowym, oraz zwrot w części jego opinii. W najskrajniejszych obozach znane rewelacye byłego socyal-demokraty o działalności i wpływie t. zw. „socyal-litwactwa“ także odegrały swoją rolę. Na stanowisko wreszcie opinii zachowawczej i narodowej oddziaływała także odrębność cech rasowych: umysłowość aryjska jest przedewszystkiem syntetyczna, gdy semicka jest pierwiastkiem analitycznym, krytycznym i w niewielkiej dozie może nawet działać na dany organizm tak, jak środki podniecające działają w medycynie. Natomiast w większej ilości ferment może się zmienić na rozkład, a obawa rozkładowej działalności jest u nas także jednym z czynników potęgujących wzrost antysemityzmu, zwłaszcza po smutnych doświadczeniach 1905 i 1906 r.

Przechodząc obecnie do naszego stanowiska wobec antysemityzmu, pragnęlibyśmy odrazu stwierdzić, że stosunek nasz do Żydów określamy zgóry względami samoobrony narodowej, nie nadając mu zgoła charakteru zaczepnego, charakteru agitacyi, mogącej wywołać w danym razie następstwa barbarzyńskie. Odrzucamy także wszelkie kwalifikowanie jednostek i ich patryotyzmu polskiego wedle pochodzenia rasowego czy wyznania, pozostawiając to w zupełności ich sumieniu.

Wskazanie obrony interesów narodowych brzmiałoby tak: stać na zajętych placówkach, bronić ich do upadłego, wszelkiemi siłami rozszerzać stan posiadania ekonomicznego, bronić do upadłego polskiego charakteru kraju. Dwa przykłady wyjaśnią to wskazanie. W Lublinie, przed sądem obywatelskim, rozegrała się ciekawa sprawa o sprzedaż łąk podmiejskich Żydom, gdy chciało je kupić miasto; sąd postępowanie sprzedającego potępił i skazał go na karę pieniężną. Zdania co do tej sprawy są podzielone, ale olbrzymia większość opinii stoi po stronie sądu. Dlaczego? Oto dlatego, że naród, który ziemi własnej, realnej, uprawianej czy użytkowanej nie posiada w ręku własnem, stacza się na poziom narodu cudzych parobków, czy panami będą w Prusach—Niemcy, na Litwie i Rusi—Rosyanie, a w Królestwie—Żydzi. Tak samo,

jak potępiamy w Prusach sprzedawczyków majątków, tak samo w miastach Królestwa musimy potępiać sprzedawczyków domów. Oto w Warszawie np. prowadzona jest ze strony Żydów celowa akcya wykupywania nieruchomości w kierunku południowym miasta; z bynajmniej nie podejrzanego o antysemityzm źródła słyszeliśmy niedawno uwagę, że Marszałkowska ulica staje się codzień podobniejszą do Nalewek. Czy powinniśmy, czy możemy na to się zgodzić, na to pozwolić, aby stolica kraju stała się kiedyś miastem naprawdę żydowskiem? Oto, o co dbać trzeba przy zachowaniu placówek i zdobywaniu nowych.

Drugi przykład — to sprawa ograniczeń Żydów w samorządzie. Oświadczyliśmy się za niemi w imię najwyższego interesu narodowego, zachowania polskiego charakteru miast naszych, jako ognisk życia danych okolic. Pogląd ten obszernie uzasadnialiśmy w r. z., mówiąc o deklaracyi Koła Polskiego, co nas uwalnia od powtarzania poraz drugi tych samych argumentów. Warto tylko przypomnieć, że przedsmakiem tego, jakie stanowisko mogłyby zajmować rady miejskie miast polskich przy równouprawnieniu żydów w samorządzie, była znana uchwała Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Łodzi, odmawiająca dorocznej subwencyi miejscowemu teatrowi polskiemu.

Gorzej, rozpaczliwie nawet przedstawia się najważniejszy akt samoobrony, rozwój ekonomiczny i handlowy żywiołu polskiego. Tutaj naczelnem hasłem musi być kupowanie u swoich z jednej strony, z drugiej zaś usilne wytwarzanie posterunków handlu polskiego. Zadania te w chwili obecnej na szerszą skalę spełnia tylko ruch współdzielczy i to przeważnie w branży kolonialnej, gdzie stosunkowo jeszcze mamy najwięcej samodzielnych kupców Polaków. Należałoby zatem, popierając go wszystkiemi siłami, skierowywać ku przerzucaniu na inne branże, przedewszystkiem na bławatną, w której dotąd po miastach i miasteczkach naszych Żydzi dzierżą jeszcze prawie monopol. Obok tego trzeba zreformować wykształcenie handlowe tak, aby szkoły nie wychowywały proletaryatu urzędników bankowych, lecz samodzielnych pracowników sklepowych, względnie kupców, a do tak zreformowanych szkół posyłać dzieci nasze, aby one kiedyś stworzyły silny polski stan kupiecki. Droga to ciężka i długa, ale pewna. W skromnym zakresie życia prywatnego może wskazania te wcielać każdy, a jako cel zupełnie osiągalny, bo osiągniony już przez naszych rodaków w zaborze pruskim, widzimy przed sobą konieczne zmniejszenie odsetka ludności żydowskiej, jako następstwo ekonomicznego wzmocnienia organizmu narodowego.

Gdybyśmy żyli w czasach, kiedy ludzie życie całe spędzali nad rozwiązaniem kwadratury koła, albo nad wynalezieniem *perpetuum mobile*, czy zamianą żelaza na złoto, czytelnicy mogliby wymagać od nas rozwiązania kwestyi żydowskiej. Dziś — oczywiście nie. Nie chodziło nam tu nietylko o rozwiązanie, ale nawet o wyczerpanie tej nad wszystkie skomplikowanej kwestyi, ale jedynie o podkreślenie zaledwie najważniejszych jej czynników, wskazanie niektórych środków samoobrony narodowej, wreszcie o wyraźne zaznaczenie stanowiska naszego pisma w jednej z najważniejszych spraw naszego wewnętrznego życia narodowego.

*

* *

Nie wchodząc nawet w *meritum* uchwał polskiego kongresu antyalkoholicznego we Lwowie, które zależnie od treści, jaką wypełni je lub nie ofiarna praca jednostek, zostaną martwą papierową manifestacyą, lub szeregiem owocnych czynów zaznaczą się w życiu narodu,— stwierdzić trzeba, że sam fakt odbycia kongresu, jego poważny skład i przebieg, są już poważnymi krokami na drodze rozwoju polskiego ruchu wstrzemięźliwości od napojów wyskokowych. Dotąd przekleństwem tego ruchu w Polsce było, że używali go za trampolinę publiczną różni kuglarze, mistycy, żeby nie powiedzieć oszuści, wreszcie dziwacy. Tymczasem ruch abstynencki da się pojąć zupełnie realnie, bez wszelkich sztuczek, poprostu, jako protest przeciw niepotrzebnemu podniecaniu się, działającemu szkodliwie na organizm w postaci różnych zboczeń, odbijających się nawet na wielu pokoleniach. Trzeba tylko, aby opinię przekonali o tem uczeni specyaliści, a ziarno dobre wśród mas ludowych rzucili ci, którzy najbliżej i najbezpośredniej się z nim stykają. Opinia uczonych specyalistów jest i w tej sprawie, jak w innych, różną; dość już wszakże poważnych osób, zwłaszcza wśród psychiatrów i neurologów, oświadczyło się stanowczo przeciw alkoholowi, pod wszelkiemi postaciami, aby z zamkniętemi oczami, pomimo nielicznych argumentów przeciwnych, zdanie ich uznać za dogmat, tembardziej, że ma ono niewątpliwie doniosłe znaczenie społeczne. Pozostają propagatorzy. W krajach, gdzie ruch abstynencki najświetniejszemi pochlubić się może wynikami, więc w Skandynawii i w Szwajcaryi, zrozu-

miano już dawno, że propagatorami tymi mogą być przedstawiciele dwóch skrajnych odłamów opinii, które obydwa wszakże dzierżą w swych ręku dusze mas ludowych, a więc duchowieństwo i przywódcy radykalnego ruchu robotniczego: oni to, wraz z uczonymi, stanowią ośrodek i motor kierowniczy antyalkoholizmu. U nas pierwszy raz dopiero w tym roku widzieliśmy na kongresie zgodne współdziałanie tych poważnych czynników i rokujemy stąd najlepsze dla pożytecznej pracy nadzieje.

Ziemie polskie nie zajmują bynajmniej wydatnego miejsca w spożyciu alkoholu na świecie. Statystyki specyalnie polskiej niema, ale, jeżeli przyjmiemy, że Polacy piją tyleż co inni mieszkańcy państw rozbiorczych, jeżeli przypomnimy dalej, że pierwsze miejsca w spożyciu alkoholu na głowę zajmują Belgia, Francya i Anglia, to zdanie powyższe zostanie dostatecznie uzasadnionem. To proste stwierdzenie faktu nie zmienia zresztą w niczem istnienia i rozmiarów wielkiego zła społecznego. A zewnętrzne objawy pijaństwa, coraz pospolitsze w Królestwie a niespotykane w krajach o większem spożyciu alkoholu, świadczą poprostu z jednej strony, że zatrucie bywa u nas ostre a nie chroniczne, z drugiej zaś, że ludność nasza uboższa odżywia się znacznie gorzej, niż na Zachodzie, więc też objawy pijaństwa występują znacznie prędzej i wyraźniej.

Co gorsza, że w Królestwie wzmaga się zastraszająco spożycie wódki. W całem państwie rosyjskiem—pisze poseł Żukowski—na czele idzie kraj nadbałtycki z przyrostem przeszło 12.5% spożycia wódki i zaraz po nim Królestwo z przyrostem 11.1%. Szczegółowe liczby, dotyczące Królestwa, tak się przedstawiają w tysiącach wiader:

Nazwa gubernii:	1907	1908	1909	1910	1911	% przyr. spoż.
Warszaw. i siedlecka	1732	1775	1711	1780	1924	8%
Piotrkow. i kaliska	1644	1706	1687	1783	1935	17.7
Łomż., płock. i suwals.	439	450	440	426	443	1
Lub., radom. i kiel.	940	965	926	945	1038	10
Ogółem	4805	4846	4764	4934	5340	11.1%

Trzeba sobie uświadomić, że pięciolecie 1900 do 1905 r. odznaczało się w Królestwie niższym przyrostem spożycia od średniego w państwie i naturalnie niższym od gub. wschodnich, centralnych, południowych, to więc wysunięcie się kraju naszego na miejsce naczelne jest bezwątpienia objawem nowym. Nie znaczy

to jeszcze, żeby alkoholizm przybrał już w Królestwie tak zatrważające rozmiary, jak w niektórych prowincyach rosyjskich, ale wykazuje zgubną w tym kierunku tendencyę. Naturalnie oddziaływa tu głównie wzrost spożycia w gub. piotrkowskiej, która w całem państwie bierze drugie miejsce po Rydze i Infantach, ale fakt przyrostu o 10% w ciągu pięciu lat, t. j. o 2% rocznie w takich ściśle rolniczych guberniach, jak lubelska, radomska i kielecka, t. j. przyrostu silniejszego, niż w Moskwie i Petersburgu, jest stanowczo objawem groźnym i na pilną uwagę społeczeństwa zasługuje.

Najgorzej zaś w Królestwie przedstawia się Łódź. Z danych statystycznych, obejmujących czas od 1898 — 1910 r., a więc lat 13, okazuje się, iż Łódź wraz z okolicą wypiła wódki 7,700,601 wiader, wydatkując na ten cel 60,521,470 rb. 92 kop. Oto plon, jaki od chwili wprowadzenia rządowej sprzedaży napojów wyskokowych—pochłonął alkoholizm. Z tego zaś na samą Łódź przypada 5,884,029 wiader (40%), czyli 46,243,455 rubli. Spożycie alkoholu wzrasta, jak stwierdzają ostatnie dane. Okaże się z nich, iż gdy od 1 stycznia do 1 lipca 1910 r. sprzedano w Łodzi wódki na sumę 3,295,216 rb. 92 kop., w r. b., w tym samym okresie czasu, zdołano już zapłacić za wódkę 3,631,444 rb. 84 kop., a więc o 336,228 rb. więcej.

Straszne te cyfry aż nadto uzasadniają konieczność społeczną najszerszego rozwoju ruchu abstynenckiego. Tem straszniejsze, gdy uprzytomnimy sobie, że rozwój alkoholizmu to jednocześnie pomnożenie liczby samobójstw, zbrodni, nieszczęśliwych wypadków, to pogłębienie owego dna nędzy, które i bez tego jest tak rozpaczliwie głębokie...

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie.

1. Konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza:

„Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy".

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzplitej, przyłączonych do cesarstwa rosyjskiego z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem: wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do cesarstwa austryackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk, jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi

rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą mieć pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedyńczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nietylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadać dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje: *a*) za część 1 i 2-gą po 2,000 koron; *b*) za część 3-cią 3,200 kor.; *c*) za część 4-tą 2,400 kor.; *d*) za część 5-tą 2,800 kor.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2,600 koron; gdyby ten fundusz nie wystarczał na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do końca grudnia 1912 r.

2. Konkurs im. Lindego.

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi, mogące w jakibądź sposób służyć za dopełnienie Słownika Lindego. Prace te mogą być, według aktu fundacyi, drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość. Nagroda 675 rubli. Termin konkursu upływa 31 grudnia 1912 r.

3. Konkurs im. Józefa Majera na temat: „Stosunki mineralogiczno-petrograficzne północnego trzonu Tatr".

Nagroda wynosi 2,000 koron. Termin konkursu upływa 31 grudnia 1913 r.

4. Konkurs im. Mikołaja Kopernika, a mianowicie:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzinnym".

Nagroda wynosi 1,200 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1913 r.

Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii. Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

5. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza na trzy następujące tematy:

1) „Historya ustroju Królestwa Kongresowego (1815—1830)".

Nagroda 2,500 franków. Termin 31 grudnia 1912 r.

2) „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (conajmniej województwa Rzeczypospolitej)".

Nagroda 2,500 franków. Termin 31 grudnia 1912 r.

3) „Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej".

Nagroda 2,500 franków. Termin 31 grudnia 1912 r.

Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części.

6) W celu uczczenia 60-letniego jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie „Historyi Galicyi w okresie lat 1848—1908".

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1912 r. Nagroda wynosi 1,200 koron; objętość dzieła conajmniej 20 arkuszy druku. Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honoraryum, oprócz nagrody, dalsze 1,200 kor.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

7. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs z fun. ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy:

1) „Historya ustroju Księstwa Warszawskiego".

2) „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej".

Nagroda wynosi 1400 koron i może być podzielona na dwie, niekoniecznie równe części. Termin konkursu 31 grudnia 1912 r.

8. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie „Historyi sztuki w Polsce". Warunki konkursu są następujące:

1) Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią. 2) Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire. 3) Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane. 4) Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi. 5) Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu. 6) Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi. 7) Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1912 r. Nagroda wynosi 1,000 rubli.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademi Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty

opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na dwa stypendya im. bł. p. Henryka Wohla.

Stypendya wynoszą po 900 koron rocznie i będą wypłacane w dwóch ratach, z początkiem zimowego i letniego półrocza każdorazowego roku szkolnego.

Petenci powinni wykazać, że są albo pochodzenia włościańskiego, a to z Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego, lub też są Polakami wyznania mojżeszowego i stałymi mieszkańcami Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego. Jedno stypendyum musi zawsze przypaść dla petenta pochodzenia włościańskiego, a drugie dla petenta wyznania mojżeszowego. Nadto petenci winni wykazać, że są zapisani na jeden z uniwersytetów galicyjskich lub na uniwersytet warszawski lub też na inny jaki uniwersytet, znajdujący się w granicach dawnej Polski i że się specyalnie poświęcają studyom nad językiem polskim, literaturą polską lub historyą polską; przyczem przez historyę polską należy także rozumieć studya nad historyą prawa polskiego i stosunków wewnętrznych dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Kandydat, który uzyska stypendyum, będzie obowiązany przed pobraniem następnej raty przedstawić świadectwa kollokwialne, albo inne, im równoznaczne uniwersyteckie świadectwa z dobrym postępem.

Kandydat, który stypendyum uzyskał, może je zachować przez cały przeciąg studyów uniwersyteckich, oraz, o ile zamierza zdawać doktorat, przez dwa lata jeszcze po normalnem ich ukończeniu, o ile jednak w tym czasie nie uzyskał posady z pensyą conajmniej równającą się rocznej kwocie stypendyalnej. O przedłużenie na przeciąg dwóch lat po uzyskaniu absolutoryum należy wnieść osobne podanie i załączyć do niego poparcie tego lub tych profesorów, pod których kierunkiem kandydat studya swe odbywał.

Podania zaopatrzone: *a*) w metrykę chrztu, *b*) świadectwo ubóstwa, *c*) świadectwo przynależności, *d*) dowody uczęszczania na uniwersytet i *e*) świadectwa kollokwialne albo inne im równoznaczne świadectwa uniwersyteckie z dobrym postępem — należy wnosić do Zarządu Akademii Umiejętności do dnia 20 października 1912 r.

— Konkurs na pracę naukową. Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie, który postawił sobie za cel podnosić i szerzyć kulturę polską w Stanisławowie, aby ożywić ruch naukowy w tem mieście, ogłasza niniejszem konkurs na pracę naukową objętości 3—12 arkuszy druku, formatu większej 8-ki z zakresu krytyki literackiej, estetyki, psychologii, historyi, nauk przyrodniczych, społecznych i t. p., tyczącą się zagadnień współczesnych, a nadającą się tak ze względu na temat, jak i opracowanie, do roz-

powszechnienia. Za pracę uznaną przez sąd konkursowy (którego skład później będzie podany do publicznej wiadomości), jako najlepszą, wyznacza się nagrodę w kwocie 150 koron, z warunkiem, że wszelkie prawa własności do niej przywiązane przechodzą na Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie. Prace z godłem i nazwiskiem autora w kopercie, należy przysyłać do podpisanego Związku na ręce prof. Maryana Piątkiewicza w Stanisławowie, ul. Kilińskiego l. 31 do dnia 1 listopada 1912 r. Nienagrodzone na konkursie prace zostaną autorom zwrócone.

— Muzeum narodowe im. Jana III we Lwowie. Ze sprawozdania budżetowego lwowskiej Rady miejskiej dowiadujemy się interesujących szczegółów o Muzeum narodowem imienia Jana III. W Muzeum tem, mieszczącem się w Rynku, w domu Sobieskiego, nabytym przez miasto od spadkobierców ś. p. Kaliksta Ponińskiego, postanowiono zgromadzić razem pamiątki historyi i kultury polskiej, rozproszone we Lwowie i południowo-wschodnich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej, jako świadectwa misyi cywilizacyjnej Polski na Wschodzie.

Zaczęto od restauracyi gmachu. Odnowiono i utrwalono dach, sklepienia piwnic, zrekonstruowano sień wchodową, przywrócono pierwotny wygląd pięknym komnatom po obu stronach sieni, naprawiono żebra sklepień, dano posadzki, drzwi, okna, kraty, przywrócono kamienne supraporty, zrestaurowano oficyny, odsłonięto pierwotne komnaty z końca XVI wieku na I piętrze z profilowanym stropem. Jeszcze należy przywrócić dwupiętrowy krużganek arkadowy, ozdobić salę gotycką sklepieniami i uzupełnić ornamentacye.

Zbiory składają się przedewszystkiem z portretów polskich w liczbie przeszło 30 sztuk, od XVI do XIX w., będących bądź własnością miasta, bądź danych mu w depozyt trwały przez kościoły, klasztory i osoby prywatne. Samych portretów Jana III i rodziny królewskiej jest 14. Są też inne pamiątki, odnoszące się do osoby króla Jana, jak medale, monety, pieczęcie, sztychy, druki, dyplomy, autografy i t. d. Po odrestaurowaniu zupełnem sal, pomieszczą one jeszcze inne przedmioty z tejże epoki, jak broń, zabytki drukarstwa i dziennikarstwa i t. d. Włączono też do Muzeum narazie zabytki, odnoszące się do historyi Lwowa, jak widoki miasta, ulic, budynków, sceny historyczne, zabytki cechowe i gminne, medale i monety bite we Lwowie, portrety mężów związanych z przeszłością Lwowa i t. d. Wszystkie te zbiory zapełniły 14 sal na I i II piętrze domu.

Muzeum cieszy się liczną frekwencyą. Zamknięte obecnie z powodu dalszych prac restauracyjnych, będzie otwarte nanowo w kwietniu. Od r. 1908 do 1911 rozporządzało na nabytki kwotą 25,000 koron. Zakupiono za to 78 polskich portretów (od XVI do XIX w.), 6 obrazów historycznych, między nimi K. Szlegla „Jan III na weselu w Jaworowie“, 126 okazów broni (od XVI do XIX w.), dwa garnitury starych mebli, zbiór 18 widoków Galicyi wschodniej z początku XIX w., wykonanych gwaszem przez Kronbacha, cztery wykopaliska monet polskich z XVI do XVII w., w ilości 4,734 srebrnych sztuk, 21 medali i 24 monet Jana III (sztychów i litografii), 86 różnych innych zabytków historycznych i pamiątkowych, a nadto sprawiono szereg ram, stalowych

gablot, oszklonych szaf i t. d. W depozyt otrzymano 147 portretów polskich, 9 sztuk broni, 23 innych zabytków. Otrzymano w darze 25 portretów, 144 sztuki broni i około 500 sztuk innych zabytków.

Wśród ofiarodawców najwięcej powiększyli zbiory pp. Tadeusz Cybulski, Antonina Sulima Daymowa, grono konserwatorów zabytków starożytności, architekt Alfred Kamienobrodzki, księżniczka Wanda Lubomirska, Roman Łoziński, Aniela ze Szczepańskich Matczyńska, ś. p. Mieczysław Szydłowski, wreszcie p. Helena z Dąbczańskich Budzynowska, która nieustannie składa dary i wzbogaciła Muzeum kilkuset różnorodnymi okazami, w tem cennym zbiorem starych materyi i wielu zabytkami ruskiej sztuki cerkiewnej. Zbiory p. Budzynowskiej pomieszczone będą w osobnej sali.

Zbiory będą naukowo opracowane i ugrupowane umiejętnie, tak, aby uprzystępnić je zarówno zwiedzającym, jak pracującym naukowo. Muzeum wzięło za specyalne zadanie zbierać portrety historyczne i broń polską. W ten sposób, przy szczególnem uwzględnianiu czasów Sobieskiego, utworzą zbiory te wraz z innymi przedmiotami Muzeum jego epoki, świadczące zabytkami o kulturze polskiej wieku XVII.

— Katolicki Zjazd skargowski. Łącznie z uroczystościami jubileuszowemi w Krakowie, w dniach 25, 26 i 28 września r. b., odbędzie się w dn. 25 i 26 września katolicki Zjazd, w którym wezmą udział rodacy z całej Polski. W czasie, w którym cały naród staje u grobu Skargi i czci pamięć jednego z największych swoich przedstawicieli, wielkiego obywatela, potężnego mówcy i pisarza — katolicka Polska, pomna na spuściznę duchową wielkiego kapłana i apostoła, skupi się u trumny Skargi po to, by wielkie myśli jego i zasady odświeżyć w duszach i wnieść je ponownie w zbiorowe życie narodu. To jest indywidualne znamię tego Zjazdu, znamię, które wyciśnie się także na szczegółowych obradach, odnoszących się bezpośrednio do dzisiejszego życia katolickiego w Polsce.

Program Katolickiego Zjazdu skargowskiego w Krakowie.

Dn. 24 września. 8 godzina wieczorem. Towarzyskie zebranie uczestników Zjazdu. Sala Towarzystwa strzeleckiego ul. Lubicz.

Dn. 25 września. 9 godzina rano. Msza św. w katedrze na Wawelu. 10 godzina rano. Pierwsza sesya kwestyi zasadniczych (Duch Skargi a obecne położenie katolicyzmu w Polsce).

1) Zagajenie Zjazdu (Stanisław hr. Tarnowski).
2) Katolicyzm a polski duch obywatelski (Referent Stanisław Henryk hr. Badeni).
3) Siła i odwaga przekonań katolickich (Referent poseł dr. Włodzimierz Kozłowski).

3 godzina popołudniu. Pierwsza sesya kwestyi praktycznych.

1) Domy ludowe na wsi (Referent ks. A. Tyczyński z Albigowej).
2) Domy katolickie w mieście (Referent ks. prałat Laubitz z W. Ks. Poznańskiego).
3) Częste urządzanie zgromadzeń i wieców katolickich (Referent Karol Holeksa).

4) Ważniejsze potrzeby prasy katolickiej (Referent książę Franciszek Radziwiłł).

Dn. 26 września. Godzina 8 rano. Msza święta i Komunia generalna w kościele św. Barbary. Godzina 10 rano. Druga sesya kwestyi zasadniczych (Duch Skargi a obecne położenie katolicyzmu w Polsce).

1) Katolicyzm Skargi a katolicyzm polski dzisiejszy (Referent ks. prałat dr. Wł. Chotkowski).

2) Polski typ katolicki (Referent prof. dr. Bronisław Dembiński). Godzina 3 popołudniu. Druga sesya kwestyi praktycznych.

1) Akcya antypornograficzna (Referent szambelan Adam Konopka).

2) Wspólna akcya w sprawie wychodźtwa (Referent dr. Leopold Caro).

3) Wykształcenie społeczne duchowieństwa (Referent ks. dr. Kazimierz Zimmermann).

4) Zakończenie Zjazdu. Książę biskup Adam Sapieha.

Dn. 27 września projektowaną jest poufna konferencya przedstawicieli prasy katolickiej. Szczegóły będą oznajmione w czasie Zjazdu.

A. Posiedzenia Zjazdu odbywać się będą w Krużgankach Dominikańskich.

B. We wszystkich sprawach, odnoszących się do Zjazdu — jak w sprawie nabycia karty wstępu, w sprawie zamówienia mieszkania, w sprawie zasięgnięcia informacyi o Zjeździe — udawać się należy pod adresem:

Kancelarya Katolickiego Zjazdu Skargowskiego, Kraków, ul. św. Tomasza 35 (Redakcya „Głosu Narodu").

Stosownie do rodzaju sprawy, Kancelarya odpowie sama, albo przez jedno ze swoich biur:

Biuro prasowe, Kraków, ul. św. Tomasza 35.

Sekcya mieszkaniowa, Kraków, ul. św. Tomasza 28.

Sekcya administracyjna, Kraków, ul. Kilińskiego 18.

C. Karta wstępu, w cenie 4 korony, daje prawo wstępu na zebranie towarzyskie, na posiedzenia Zjazdu i prawo do pamiętnika Zjazdu, który w dwa miesiące po Zjeździe uczestnikom będzie doręczony.

„Upominałem, aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali."

Skarga.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, lipiec, 1912. Treść: Historyk życia polskiego. Krytyka: Bogusławska Marya: Król chłopków; — Gabryl prof. ks. dr.: Logika ogólna; — Gerżabkowa Marya: Z dziejów krzywdy kobiecej (Starożytność); — Gomulicki Wiktor: Rok 1812; — Hartingh Zofia: Wiązanka majowa na cześć Matki Bożej; — Janowski Kazimierz dr.: Wolnomularstwo (Masonerya) na podstawie najnowszych źródeł; —

Jaroszyński Tadeusz dr.: O metodzie psycho-analitycznej Freuda i jego teoryi powstawania nerwic na tle zaburzeń płciowych; — Kosiński Ignacy dr.: Uprawa i nawożenie w świetle doświadczeń polowych; — Krynicki Władysław ks.: Krótkie nauki homiletyczne na niedziele i uroczystości całego roku; — Krzyżanowski Adam: Pieniądz; — Kutrzeba Stanisław dr.: Przywilej jedlneński z r. 1430 i nadanie prawa polskiego Rusi; — Lazarusówna F.: Złoty pokoik; — Makuszyński Kornel: Dziwne powieści; — Mickiewicza Adama Pisma; — Niedzielski K. dr.: Plaga samobójstw; — Orkan Władysław: Pomór; — Perzyński Włodzimierz: Michalik z P. P. S.; — Tenże: Wiosna; — Tenże: Miłość, sztuka i pieniądze; — Podręczna Encyklopedya Kościelna; — Świętochowski Aleksander: Źródła moralności; — Tarnowski St.: Zygmunt Krasiński; — Weyssenhoff Józef: Znaj pana. Pani Teodora. Pod piorunami. Wyroki. Dwa sumienia; — Witkowski August prof.: Zasady fizyki. Elektryczność i magnetyzm; — Żukowski Jan ks. dr.: Marya tarczą wiary, czyli stanowisko Bogarodzicy w apologii chrystyanizmu; — Pod prasą; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

— Przegląd Polski. Miesięcznik naukowo-literacki. Rok czterdziesty szósty. Miesiąc czerwiec 1912 r. Kraków. Treść: Ludwik Chmaja: Wyznanie św. Augustyna, ich rozbiór i znaczenie; — Dr. Józef Flach: Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec; — Dr. Franciszek Klein: Wystawa sztuki we Włoszech w r. 1911; — Dr. August Sokołowski: General Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencyi i nowszych badań (ciąg dalszy); — Konrad Ostrowski: Listy z Francyi XXIII (dokończenie); — Kronika literacka; — Teatr krakowski; — Przegląd polityczny; — Stanisław Tarnowski: Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) wspomnienie pośmiertne.

— Sfinks. Maj i czerwiec, 1912. Warszawa. Treść: Ign. Chrzanowski: Resurrecturis i Psalm dobrej woli; — Władysław Bukowiński: Bolesław Prus, jako powieściopisarz; — Stanisław Przybyszewski: Mocny człowiek (c. d.); — Dr. Bronisław Biegeleisen: Wpływ filozofii Bergsona na współczesną literaturę francuską; — Julia Dicksteinówna: Nieboska — Irydion (c. d.); — Dr. Adolf Chybiński: Karol Szymanowski; — Zuzanna Rabska: Malarz wzruszenia intelektualnego; — Antoni Złotnicki: Z cyklu symfonii: Wiosna; — Maksym Gorkij (przekład L. Stępowskiego): Człowiek; — Eliasz: Jak odłamana gałąź (c. d.); — Kazimierz Gliński: Z nocy bezsennych (dokończenie); — L. Jahołkowska-Koszutska: Z oddali (dokończenie); — Poezya; — Przeglądy i Sprawozdania; — Dodatki artystyczne.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Bayer F.: Parana. Warszawa. Skład główny w księg. K. Treptego.

Bolesławita B.: Bezimienna. Powieść z końca XVIII w. w 2-ch tomach. Tom II z 6-ciu illustracyami. „Ciekawe Powieści", bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego". Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Brodnicki Alfred: Język w utworach Z. Krasińskiego (cz. I). Drohobycz, 1912. Odbitka ze sprawozdania gimnazyalnego.

Chyliński Kazimierz: Droga Ducha. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Hartingh Zofia: Ku światłu! Pokłosie myśli z niwy życia i ducha. Z dzieł: Karola Wagnera, Emersona, Maeterlincka, Sedira, Johna Lubocka, Drumonda, Maze Sanciera, Ruskina, Tołstoja, Jouberta, Dori Meleggre, prof. Hitty, Guiberta, Ed. Schürre i innych. Księga życia i ducha. Warszawa. Nakładem M. Arcta.

Jaworski Jan, ks.: Współczesna myśl naukowa. Kijów, 1912. Drukarnia polska.

Kakowski A., ks. dr., rektor Akademii rzymsko-katolickiej w Petersburgu: Biskupa Stanisława Karnkowskiego Zbiór Konstytucyi Synodalnych. Przyczynek do historyi ustawodawstwa kościelnego w Polsce. Włocławek, 1912.

Kebesa: Obraz w świątyni Kronosa. Z greckiego przełożył Władysław Ludwik Podobiński. Odbitka ze Sprawozdania. Nowy Sącz, 1912.

Kraszewski J. I.: Nera. Powieść z życia współczesnego. Część I i II. Warszawa, 1912. „Biblioteka dzieł wyborowych".

Króliński Kazimierz: Zwycięstwo. Powieść współczesna. Brody, 1912. Nakładem księgarni Feliksa Westa.

Kuchnia Polska. Nagrodzona medalami na wystawach hygieniczno-kucharskich i wszechświatowych. Praktyczny podręcznik, zawierający 1601 przepisów dla gospodyń i kucharek. Ułożyła Jadwiga Izdebska. Wydanie nowe opracowała i powiększyła Marya Gałecka. Warszawa. Nakład i własność M. Arcta.

Łucki Aleksander, dr.: Zapomniana korespondencya Krasińskiego. We Lwowie, 1912.

Miłkowski Z.: Nie zawadzi historyi nieco. Warszawa, 1912.

Nowicki Brunon: Meira. Dramat w 3-ch aktach z życia żydowskiego, osnuty na tle dążeń do asymilacyi. Łomża 1912.

Olszewicz Venceslas: Documents polonais sur J. J. Rousseau et Thérèse Levasseur.

Pamiętniki ks. Radziwiłłowej (Ludwiki ks. pruskiej): Czterdzieści pięć lat mojego życia (1770 — 1815). W przekładzie Konstantyny Białeckiej. Część II. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych."

Podręczna Encyklopedya Kościelna. S. Tom 35 i 36. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich".

Powalski Jan: W słońcu. Powieść. Warszawa, 1912. Wydawnictwo M. Arcta.

„Praca Społeczna." Biblioteczka „Słowa." Dodatek bezpłatny do „Słowa." Warszawa, 1912. Wydawnictwo „Słowa."

Przed pół wiekiem. Biblioteczka „Słowa". Odbitka wybitniejszych artykułów. Dodatek bezpłatny do „Słowa". Warszawa 1912. Wydawnictwo „Słowa".

Reiss Józef Władysław, dr.: Melodye psalmowe Mikołaja Gomółki, 1580. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Savitri. Dramat. Kraków, 1912. Nakładem księgarni literackiej Karola Kwaśniewskiego. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

Sinnett A. P. (Prezydent Towarzystwa Teozoficznego Eklektycznego w Simii): Świat tajemny. Wiedza transcendentalna na Wschodzie, w opracowaniu i z przedmową Z. Skorobohatej-Stankiewicz. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Wyborowych."

Sprawozdanie zakładów naukowych żeńskich Zofii Strzałkowskiej we Lwowie za rok szkolny 1911—12. Lwów, 1912. Nakładem Zofii Strzałkowskiej.

Tołstoj Leon N. Hr. Anna Karenina. Przekład z siódmego wydania oryginału przez J. Wołowskiego. Część I. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Vademecum pro Nuntiis apostolicis in Polonia a Galeazzo Marescotti Nuntio Apostolico circa a 1670 exaratum quod apad Ciampi inscribitur L'instruzione ad nuovo Nunzio di Polonia. Editionem curavit ac praemio auxit dr. Alexander Kakowski, Rector Academiae Romano-Catholicae Petropolitanae. Petropoli, 1912.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

ZE WSPOMNIEŃ
Józefa hr. Krasińskiego

1783—1841.

XIII.

Przededniem doszedł nas rozkaz dalszego marszu na czele kolumny, a więc, po krótkim tylko spoczynku, znowu wyruszywszy, minęliśmy masę zgrai już nie wojska, lecz bandy rozbójniczej.

O parę mil, pod niespaloną jeszcze i porządną wsią Radziwiłłowem, spotkaliśmy szczątki dywizyi Dąbrowskiego, maszerującej od Borysowa naprzeciw nas po przecięciu drogi do Mińska. Gdym ją pierwszy ujrzał i zobaczył w całych i czystych mundurach, chłopy czerstwe, zdrowe i wyżywione, a na ich czele całe muzyki, dobosze, tamburmetry, sapery i t. p. rozpłakałem się, jak małe dziecko, tak, żem się ze wstydu chował, lecz utulić płaczu nie mogłem, myśląc, że i my byliśmy tacy, a i oni będą tacy, jak my teraz. Przywitawszy się z naszymi kolegami z niejaką dumą nędzy, minęliśmy ich i poszli dalej, zostawiając świeżych rycerzy, żeby doczekali się Napoleona.

Od czasu, jak Rosyanie zabrali Mińsk i szaniec przedmostowy w Borysowie, oraz most tamże spalili, zostały wszystkie komunikacye z Europą przecięte i żaden kuryer z Polski ani Francyi nie mógł się do armii przedrzeć. Dochodząc do Radziwiłłowa, spotkaliśmy przebranego za chłopa oficera gwardyi lansyerów — młodego Konopkę, który od czasu naszego ze Smoleńska wyruszenia był pierwszym kuryerem francuskim, któremu udało się przedrzeć przez wojska rosyjskie z ważnemi z Francyi do Napoleona depeszami.

Poraz pierwszy w Radziwiłłowie, dlatego żeśmy znowu szli w awangardzie, znaleźliśmy za wsią na górze dom obszerny, wygodny i cokolwiek żywności dla nas i ludzi, a odebrawszy rozkaz pozostania, roztaborowaliśmy się dość wcześnie. Ja około południa, nie wiedzieć z jakiej przyczyny nagle zachorowałem na mocną dyaryę, a przytem gorączkę, bicie serca i jakby maligne. Nie pamiętam, jak przeszła reszta dnia i noc, tylko wiem, że mi wciąż w rądlu herbatę gotowano i żem ją z chciwością pił, mając niezmierne pragnienie. Tej nocy nadeszła armia francuska do nas i w tej samej wsi stanęła główna kwatera Napoleona.

Skoro dzień nastał, przysłał Bertier do Zajączka rozkaz, ażeby natychmiast przysłał mu swego adjutanta, a że mnie jedynie miał, i to jeszcze pożyczanego, więc mnie zbudzono. Ocknąłem się, jakby po przepiciu, do nitki zmoczony z potu, ale już zupełnie zdrów, i udałem się do głównej kwatery cesarskiej, gdzie tym razem nie spotkałem Napoleona; natomiast sam Bertier dał mi rozkaz i instrukcyę, ażebym się o dwie mile stamtąd udał do wsi Pańskie i tamtejszego dziedzica pana Zambrzuskiego, czy to dobrowolnie za rozkazem, czyli też gwałtem, gdyby nie chciał, zabrał i do głównej kwatery przywiózł. Zambrzuski nie stary, wysoki, chudy, po polsku ubrany, był to człowiek majętny a zarazem nadzwyczajnie przebiegły i z wszelkich okoliczności umiejący korzystać, potrafił też od wszelkich okolicę niszczących wybiegać się ciosów. Wszystko dookoła niego było spustoszone, a jego dobra, Pańskie, o parę mil od traktu głównego odległe, były nietknięte; za najdrobniejsze produkty kazał sobie sam i jego małżonka na wagę złota płacić, tak, że z ogólnych nieszczęść okolicy wielki zrobił majątek. Zastałem u niego dom napełniony nie żadnymi, jak inne, maruderami, lecz naszymi, przemyślnymi generałami, którzy, utraciwszy wojsko, sami wymykali się bokami, lepszym gościńcem. Tam znalazłem generałów: Dziewanowskiego, Małachowskiego Stanisława, Sułkowskiego, z ich sztabami, spoczywających i odżywiających się, płacących Zambrzuskiemu co tylko zażądał. Zmieszał się niezmiernie dziedzic, gdym mu powód mojej wizyty wyjawił, wymawiał się, wyraźnie zdawało się, że miał się ku rejteradzie, lecz nie spuścili go z oczu moi towarzysze żandarmi i póty na krok nie odstąpiliśmy go, aż wsiadł z nami do bryczki i pojechał. Pożegnaliśmy naszych spoczywających na laurach rycerzy, radząc im, żeby nie zostawali na miejscu. W drodze zmieszany Zambrzuski nie przestawał się troszczyć i mnie wypytywać, poco go wiozą, i widać było wyraźnie, że smutnego oczekiwał końca tej tak znaczącej misyi, a ra-

czej silnego i zbrojnego wezwania; odwiozłem go i odprowadziłem do Bertiego i odtąd nie wiem, co się z nim dalej stało, dowiedziałem się tylko, iż gdy wiadomość doszła cesarza, że i droga do Mińska została przecięta przez Rosyan, a most w Borysowie spalony, użyty był Zambrzuski, jako najlepiej obznajmiony z krajem, do rady, gdzieby na Berezynie most stawiać.

Chciał zrazu Napoleon iść prosto traktem na Borysów i tam pod ogniem nieprzyjacielskim most zreparować, co gdyby cokolwiek wcześniej było wykonane, łatwo byłoby można zrobić i z daleko mniejszą stratą i zniszczeniem mas ludzi, aniżeli to nastąpiło w parę dni później, albowiem mały tylko korpus gen. Lamberta osadzał lewy brzeg rzeki, a wielki korpus wołyński, dowodzony przez gen. Czyczagowa, admirała, jeszcze nie nadszedł, oraz drugi wielki korpus, nadeszły od Rygi i Witebska, nie tak był blizko jak później, z naszego tyłu. Czego chcąc uniknąć, przez czas, gdyśmy stali w Radziwiłłowie, posłał Napoleon wprost do Borysowa dwie dywizye francuskie, mniej od innych zniszczone, to jest naprzód generała Parteneau, a za nią Dąbrowskiego, połączonego z inną francuską, lecz Parteneau zamiast się udać wprost traktem, udał się w lewo, druga, idąc drogą wskazaną, nigdzie jej nie doszedłszy, działać nie mogła. Parteneau sam w pojeździe wzięty został przez kozaków, a jego dywizya zmęczona, bez dowódcy, bez rozkazów, widząc z daleka ognisko obozowe i sądząc, że to druga, mająca ją wspierać, wprost się tam udała, lecz zastała korpus rosyjski i od niego otoczona i wzięta została bez strzału. Dąbrowski zaś, nigdzie nie spotkawszy gen. Parteneau, którego miał wspierać, doszedł do Borysowa i stanął nad spalonym mostem pod ogniem oszańcowanego nieprzyjaciela, stojącego na lewym brzegu rzeki.

Zaraz nazajutrz rano wyruszyliśmy wprost do Borysowa, już nie w awangardzie, lecz prawie na końcu, albowiem wojska francuskie eszelonami postępowały dla wsparcia dywizyi Parteneau, i dla tego tak były drogi pozawalane, że więcej musieliśmy stać niźli maszerować; lecz nic w życiu okropniejszego nie widziałem nad widok samego Borysowa, gdyśmy pod noc do niego przymaszerowali. Zastaliśmy miasto tak przepełnione ludźmi, kobietami, dziećmi, wozami, taborami i rzeczami, że nietylko nie było miejsca, gdzieby można się schronić, lecz i takiego, którędyby przejść można było. Nic nie dodaję ani zmieniam, gdy powiem, iż wchodząc do miasta, odebraliśmy rozkaz natychmiastowego udania się na błonia po lewej stronie Borysowa. W noc już ciemną, oświeceni jedynie gdzieniegdzie zdaleka błyskającemi

się biwakowymi ogniami, przeciskając się z końmi naszymi i działami przez tłumy chroniących się nieszczęśliwych ofiar, zmuszeni byliśmy przechodzić przez ludzi i przez konie, tratując padających i umierających. Pamiętam jak przez jedną ciemną uliczkę maszerując, wydobyłem dziecko z pościelą, na środku drogi leżące z pod nóg koni, a zaraz dalej na małym mostku wózek kantynierski z kobietą, trzymającą małe dziecko, rzucone przez pchających się przed nami Francuzów pod tenże most i wołającą ratunku, którego nikt z nas nie był w możności dania tym nieszczęśliwym.

Za miastem stanęliśmy na błoniu w błocie, czekając dalszego rozkazu. Przeziębnięci, zmoczeni, zgłodniali, bez dachu, bez słomy a nawet ognia, widzieliśmy z zazdrością dookoła przez Francuzów porozkładane ogniska. Nasi żołnierze przy świetle ogniska ujrzeli przy domach oddalonych przedmieścia porządnie ułożone stosy rąbanych drzewek i poszli po nie dla rozpalenia ogni w naszym korpusie, choć przynajmniej dla osuszenia się, lecz zakwaterowani po tych domach Francuzi lubo tego drzewa mieliby poddostatkiem na parę tygodni, obstawili je wartami i ruszyć nie dali, co gdy zaraportowano Zajączkowi wykomenderował mnie z kompanią piechoty, żeby wziąć choć gwałtem to drzewo, tak nam koniecznie potrzebne, lecz to nam się nie udało, gdyż przewidując to zapewne, Francuzi także kompanię z bronią przed stosami uszykowali i nietylko nam ruszyć drzewa nie pozwolili, lecz bronili dostępu, dając do nas ognia jakby do nieprzyjaciela. Nie mogąc więc wojny wypowiadać i krwi nie chcąc rozlewać, musieliśmy bez skutku wrócić i noc całą w błocie bez ognia przepędzić. Nazajutrz rano udałem się piechotą do Borysowa do mojej dobrze znajomej i tyle nam niegdyś radej i gościnnej gospodyni pani profesorowej Sucheckiej, u której, jadąc na tę nieszczęśliwą kampanię, stałem kwaterą; ledwom zdołał przedrzeć się przez nawał nieszczęśliwych chroniących się i ich wozów, rzeczy, oraz po drodze i koło drogi rozłożonych trupów i umierających; nareszcie doszedłem do tego domu na rynku, który mieszcząc w sobie komendanta placu i będąc licznemi wartami obstawiony, nie był tak, jak inne zapchany; dostałem się do pani Sucheckiej, mając nadzieję, że w tej nędzy i głodzie znajdę u niej, jak dawniej, pożywienie, lecz przyjęła mnie, jak można najzimniej, i jakby nie poznając, ledwo że nie wypraszała za drzwi. Gdym dawną jej gościnność i moją osobę przypominał, odpowiedziała te pamiętne mi słowa: „Ja pana poznaję, ale zmieniły się czasy, zmieniają się i obyczaje, a więc proszę sobie iść dalej".

Jakież jednak było moje zadziwienie, gdy w czasie tej naszej rozmowy otwierają się drzwi i wchodzi mój podkomendny podoficer Jeger, po cywilnemu ubrany i jak widać burmistrzujący w domu! Z gniewem zapytałem, co tu robi, lecz ten mi z flegmą odpowiedział: „Ja nie mam racyi panu pułkownikowi się tłómaczyć, bo ja nie uciekam z placu, jak panowie, lecz zostaję“. W każdym innym razie byłbym go pewnie aresztował i oddał pod sąd, lecz w tej chwili byłem daleko od swoich, sam jeden pomiędzy zgrają ledwo że nie powiem bandytów, i bardziej mi chodziło o mnie i o siebie i o żywność, niż o wymiar sprawiedliwości, więc do niego obróciwszy się tyłem, odezwałem się do gospodyni, przedstawiłem jej, że mi nie braknie pieniędzy i że zapłacę za żywność, co sama zechce, a lepiej, że co ma, sprzeda, aniżeli ma darmo stracić, bo prędzej czy później pewnie jej resztę zabiorą. Odpowiedziała, że się wcale tego nie lęka, jednak przyniosła mi i sprzedała za 10 dukatów bochenek chleba, zabitą starą kurę, garczek masła i worek może dwugarcowy kartofli; zapłaciłem, wziąłem z sobą i obładowany wracałem do naszych, lecz nie udało mi się donieść wszystkiego, bo zaraz na pierwszej ulicy porwano mi kurę z pod pachy i anim widział, gdzie mi się podziała, a gdym dochodził już do naszej dywizyi, francuski żołnierz od kawaleryi uderzył pochwą od pałasza w garnek z masłem, który w ręku starannie trzymałem, rozbił go, a kilku przypadło i w mgnieniu oka z ziemi pozbierało, tak, że ledwo zdołałem nieco masła, wielkości orzecha włoskiego, ze skorupką z ziemi porwać, nie mogąc przy zbieraniu reszty położyć chleba i kartofli, bo byłbym to również niezawodnie stracił.

Skoro wróciłem, odebraliśmy rozkaz udania się dalej w prawą stronę ku wsi Studziance. Od samego rana dnia tego trwała kanonada i tyraliada po lewej stronie Borysowa przez Berezynę, między Francuzami i nieprzyjacielem, która nie .była niczem innem, jak jedynie fałszywym atakiem i niby demonstracyą stawiania mostu, a w rzeczy samej do budowania dwóch mostów, tam, gdzie nasz korpus poszedł, to jest w Studziance wzięto się. Naprzód kompania Szwoleżerów Polskich gwardyi przepłynęła w bród przez rzekę i tam za nią poszły nasze polskie ułany i szasery dla asekurowania budowy.

Z razu z otaczających drugą stronę rzeki lasów nie ukazał się wcale nieprzyjaciel, aż wieczór, gdy się już i trochę piechoty wpław przeprawiło, zaczęło się lekkie tyraliowanie forpocztów. Przez ten dzień i noc budowano dwa mosty przez rzekę, ale mosty, jak sami Francuzi mówili, z biszkopcików, albowiem gdy nie

było żadnego innego drzewa do budowy w blizkości, rozebrano całą wielką wieś Studziankę, jedną tylko zostawiwszy chatkę, gdzie stał Napoleon i z tego nędznego drzewa wystawiono na kobyliczkach dwa nędzne mosty, na tej szerokiej i bystrej rzece, mostki, jakich bym u siebie na wsi mieć nie chciał, a przez które miała przejść armia całej Europy i jej ogromne parki, działa i treny! Lecz niestety, jakie były mosty, takie było i to sławne w historyi przejście; bo się co chwila mosty załamywały, ludzie tonęli, przejście opóźniało i można powiedzieć, iż ledwo połowa zdołała przejść na drugą stronę w całości. My stalismy blisko tej budowy mostów spokojnie, półtora dnia, a mając już cokolwiek drobnego drzewa z rozebranych domów, mogliśmy i osuszyć się u ognia i upiec końskiego mięsa. Ja miałem dla siebie i moich kolegów prawdziwy bankiet Lukullusa z moich kartofli i chleba, piekliśmy kartofle w popiele i jak wilki, rzucające się na mięso, jeszcze niedopieczone wygarniali i pożerali. W tej właśnie chwili do ognia naszego nadjechała kareta, wiozaca chorego księcia Józefa Poniatowskiego. Przypadł do nas jego adjutant, Kicki, zaklinając, czy dla chorego księcia nie mamy czego ciepłego. Co miałem, to sam do karety zaniosłem, to jest chleba kawałek, kilka gorących kartofli w mojej bermycy i ową próbeczkę masła w skorupce na ziemi zebraną, co książę z wdzięcznością przyjął, rozpłakał się i uścisnął mnie, a Kicki za mnie powiedział, że dałem wszystko, com miał i to jest krótka bardzo, lecz ważna nader w mojem życiu chwila zupełnego mojego pogodzenia się z księciem Poniatowskim po długiej ku mnie nienawiści z powodu jeszcze dawnych niesnasek między nim a panem Wincentym.

XIV.

Nakoniec nazajutrz, skoro jeden most już został skończony, zaczęło wojsko po trochu przechodzić na drugą stronę, gdzie, gdy już zbliżał się korpus Czyczagowa, powiększyły się strzały.

Lecz ten pierwszy most był słabszy i inżynierowie osądzili, iż ciężkich dział by nie wytrzymał, więc korpus nasz odebrał rozkaz maszerowania, ale tylko sama piechota i lekkie konnej artyleryi działa. Generał Zajączek dał mi rozkaz zostania, aż do ukończenia drugiego mostu, który miał być mocniejszy, co w parę godzin później nastąpiło i stosownie do zostawionych mi rozkazów udało mi się cały park naszej artyleryi i amunicye w naj-

większym porządku przez most przeprowadzić. Znowu Napoleon w swoim szaraczkowym surducie stał cały czas przy moście, pilnując, żeby się nikt nie ważył jakimkolwiek pojazdem lub wozem przecinać parki, znowu wielką liczbę bryk i pojazdów na bok stoczono, spalono lub też z rzeczami w rzekę rzucono. Szczęściem dla mnie zrobił się wielki jakiś rejwach ku Borysowowi, francuskie trenery uciekać ku rzece zaczęły a Napoleon z flegmą oraz jego sztabowi odwrócili oczy od mostu i zaczęli ku wzgórzom Borysowa pilnie wymierzać lunety, z czego, ja korzystając, pomiędzy nasze kiesony amunicyjne wcisnąłem moją bryczkę i kocz Zajączka tak, iż uszły orlego wzroku Napoleona i przeszły przez rzekę, lecz dwa smutne przy moście, z mojego powodu, zdarzyły się wypadki, które sobie zawsze wyrzucam: jeden iż pułkownika francuskiego, który chciał moją bryczkę zatrzymać, ażeby swoją wprowadzić, uderzywszy silnie konie, wepchnąłem w rzekę; drugi, żem z szeregu wozów amunicyjnych kazał wypchnąć jednokonną bryczkę poczciwego naszego kapelana Majewskiego, który ją przez to utracił, a resztę drogi musiał odbywać piechotą. Przeszedłszy i bez żadnej straty przeprowadziwszy do ostatniego nasz korpus, zastaliśmy na drugim brzegu gen. Stasia Potockiego, czekającego nas, aż się przeprawim. Dał on nam potem rozkaz z całym parkiem i taborem maszerowania na groble, idącą przez błota, jakoż cała linia tak artyleryi jak parku, amunicyi i kawaleryi tam się udała; ja zaś, widząc nasz korpus piechoty, po lewej stronie stojący na błoniu pod lasem, w którym trwał nieustający huk dział i ręcznej broni, dopełniwszy już zlecenia, jakie mi dał Zajączek, przeprowadzenia w porządku korpusu przez most, opuściłem parki i bagaże i udałem się do naszego wojska, gdzie zaraz generałów Zajączka, Kniaziewicza i Dąbrowskiego razem połączonych znalazłem. Akcya trwała między francuską dywizyą, a czołem armii Czyczagowa, ciągle od rana zawsze na jednej pozycyi, to jest na tym bitym szerokim gościńcu, ciętym przez wielki las wysokiemi sosnami i świerkami zarosły.

Było około południa, gdym do Zajączka wrócił, a dotąd oba wojska w jednym miejscu stały. To jednych, to drugich forpoczty awansowały i znowu się cofały, jednak strata nasza musiała być większa, gdyż Rosyanie mieli i górniejszą pozycyę i daleko większe działa i świeższe, a liczniejsze wojsko. Właśnie, gdym połączył się z naszemi, odebrał Zajączek rozkaz z całym korpusem udania się w lewą stronę na trakt dla odparcia z niego nieprzyjaciela, jakoż sam na czele korpusu, piechotą, z dobytą szablą poszedł w ten bardzo wówczas obfity ogień. Ja zaraz obok

niego szedłem. Widzieliśmy wyraźnie, że przed nami ucierający się Francuzi, gdyśmy dochodzili, bardzo się już cofać zaczynali, a za nimi szedł w masie pułk piechoty jegierski, trzymając broń na bagnety, lecz i Francuzi i oni, gdy nasz korpus z wolna nadchodzący ujrzeli, nagle stanęli, a wtenczas świeża dywizya Dąbrowskiego, wykomenderowana naprzód do ataku, gdy poszła na bagnety ku temu pułkowi i Francuzi, już słabiejący, rzucili się za nimi, pierwszy batalion pułku rosyjskiego broń rzucił na ziemię, drugi zaś czemprędzej się cofnął. My znowu postąpiliśmy z korpusem naprzód i zluzowali bardzo już zmęczonych i zniszczonych Francuzów, którzy otoczywszy batalion, który się poddał, cofnęli się w tył i udali za manewrującą w przeciwnej dyrekcyi armią i od tego czasu, aż do późnej nocy my sami jedynie zasłanialiśmy całą retretę armii francuskiej. Że, jak mówiłem, trakt ten lubo szeroki szedł jednakże przez gęsty i wysoki bór, więc nieprzyjaciel nie mógł działami wziąć nas z boku, lecz jedynie na wzgórzu na środku samego traktu, usypawszy bateryą i mocnemi ją obsadziwszy wałowemi działami, nie dał nam ani przystąpić, ani nawet użyć naszej artyleryi. Gdy pułk jegierski masą szedł ku nam, zamilkły ich działa na bateryi, gdyż między niemi i nami byli ich żołnierze, lecz gdy się jeden ich batalion poddał, a drudzy w bok pierzchnęli, dopiero razem ze wszystkich dział dali do nas ognia. Stanęliśmy na miejscu. Bardzo się przerzedziły szeregi, gdyż wielu nam ludzi zginęło. Natychmiast dał Zajączek rozkaz rozstąpienia się w las na prawo i lewo, a lubo kartaczami nie przestawano obficie na nas sypać, sam Zajączek z nami zszedł z traktu, aż dywizye porządnie rozeszły się: Kniaziewicza w lewą, a Dąbrowskiego w prawą stronę lasu. Już miał się Zajączek za nimi udać, gdy rozgniewany na batalion pułku Blumera, że zaczynał się wahać, a nie szedł na wskazane miejsce za dywizyą, postąpił ku nim, gdy w bliskości nas, może o 20 kroków pada granat, w mgnieniu oka pęka, mnie całego ziemią i śniegiem obsypuje, a o kilka kroków przedemną będącego Zajączka kawałem swego pęknięcia trafia i nogę mu gruchocze.

Przyznaję, że w tej chwili straciłem głowę i choć nie ranny wcale, padłem na ziemię, lecz zerwałem się natychmiast, a widząc leżącego starego generała i krew się tak obficie toczącą, przyskoczyłem do niego z kilku żołnierzami, porwaliśmy go z drogi i zanieśli na prawą stronę do boru. W momencie przytomność odzyskał i te do mnie słowa wymówił: „Aujourd' hui c'est fini pour moi," a mając się już za bliskiego końca, pożegnał się ze mną, dziękując za przychylność moją przez ciąg służby. Odpo-

wiedziałem mu, że tak źle nie jest i że go nie odstąpię. „Niech i tak będzie, kiedy tak chcesz koniecznie,“ rzekł. Zebrałem czemprędzej co mogłem ludzi pozostałych w tyle, ci z karabinów i gałęzi zrobili nosze, pokryli płaszczami i ułożyli Zajączka, który wtenczas prosił mnie, ażebym mógł zaraz udać się do samego Napoleona z prośbą od niego, ażeby pozwolił ranę jego opatrzyć swojemu chirurgowi, sławnemu Larrey, temu samemu, który mu już opatrywał rany, gdy był z Napoleonem w Egipcie. Wsiadłem natychmiast na konia i udałem się galopem do cesarza, a przez ten czas po maleńku za mną nieśli Zajączka. Jak mówiłem dawniej, zostawiłem był Napoleona z tamtej strony Berezyny, stojącego na brzegu przy moście, a więc tam wprost dążyłem, gdy lecąc spotkałem znajomego mi Szymanowskiego, któregom nie poznał, zawołał, a zapytawszy się, gdzie i po co lecę, uwiadomił, że mosty są zerwane, a cesarz oddawna już jest na tej stronie i pokazał mi nawet dyrekcyę, w której widział go jadącego ze sztabem, a to było w kierunku lasu na końcu, wprost obu gościńców, lecz za armatniemi strzałami, na płaszczyźnie. Jakoż zbliżając się do wskazanego mi miejsca, ujrzałem parę baraków na prędce z gałęzi splecionych, a widząc stojącą starą gwardyę, poznałem, iż tam znajdę cesarza. Stał sam jeden bez żadnej świty przed barakiem. Poznałem go zaraz po jego surducie popielatym, który przed kilku godzinami u mostu widziałem, zaraz zsiadłem z konia i śmiało do niego przystąpiwszy, oświadczyłem iż jestem adjutantem Zajączka, że ten jest mocno ranny i że go o Larreya prosi. Wiadomość ta, widać było, iż mocno go przeraziła, pytał mnie gdzie jest ranny, od jakiego strzału i t. p., nakoniec „c'est bien, faites l'apporter ici, chez moi, l'entendez Vous, chez moi ici.“

Wsiadłem czemprędzej na konia, żeby wybiedz naprzeciw ludzi, niosących generała, lecz zaraz w bliskości ich napotkałem, oświadczyłem mu odpowiedź Napoleona i zsiadłszy z konia, przy nim szedłem. Rozmawiał ze mną wesoło i spokojnie, mówiąc, że widzi teraz, iż bez amputacyi się nie obejdzie, bo czuje, że kości są zgruchotane, że cierpliwie zniesie amputacyę lubo jest przekonany, że w tym wieku i przy tak wycieńczonych siłach jej nie wytrzyma; kazał mi zaraz jechać do Dąbrowskiego i donieść od niego, że mu oddaje komendę, oraz pożegnać kolegów i przyjaciół. Odprowadziłem go aż do baraku Napoleona, którego nie zastaliśmy, lecz gdzie już czekał Larrey ze swymi pomocnikami i instrumentami. Kazał Zajączka zaraz złożyć na składanem łóż-

ku cesarza, a gdy się zabierał do operacyi, ja wsiadłem na konia i pojechałem.

Wracając prosto ku bijącej się ciągle naszej resztce korpusu, ponieważ i koń mój i ja byliśmy niezmiernie zmęczeni i zbici, zsiadłem i konia oddałem ordynansowi, a sam będąc jeszcze za armatnim strzałem, szedłem pomału prosto szerokim, bitym traktem, gdyż las, z obu stron drogi będący, był niezmiernemi zawałami drzewa pokryty i ciężki bardzo do przejścia. Spotkałem kapitana od artyleryi, idącego do swojej bateryi, która jeszcze była została w lesie na boku po cofnięciu się dywizyi francuskiej, a po którą szedł, żeby ją ściągnąć. Obaj razem szliśmy sobie wolno, rozmawiając, coraz bliżej przystępując i już niekiedy widząc w powietrzu kręcące się lub pękające granaty, a nawet czasami zdaleka po ziemi toczące się wielkiego kalibru kule, (balles mortes), na które widać mój ordynans ostrożniejszy, już się był z końmi w bok do lasu schronił i za nami po śniegach i zawałach przedzierał się; zrobiłem uwagę staremu kapitanowi, że mi się zdaje, iż byłoby i dla nas już lepiej, a przynajmniej bezpieczniej, choć nie wygodniej, iść bokiem, a przynajmniej jeżeli nie lasem, to choć za rowem, a nie samym szerokim i prostym traktem, na który były wszystkie działa wymierzone. Stary Francuz zwyczajem swych rodaków odpowiedział żarcikiem, że jeszcze nie jest czas bania się, bo widno: „il faut donc croire à l'oeil expert d'un vieux troupier.“ Lubo szedłem do ognia, a nie od ognia, zawstydził mnie jednak tą odpowiedzią i szliśmy razem środkiem drogi. On wciąż mi gadał, gdzie się bił i gdzie był, i jak doświadczony artylerzysta może zdaleka poznać dyrekcyę nieprzyjacielskiego strzału. Wkrótce widzimy ku nam rykoszetującą kulę wielkiego kalibru i prosto po trakcie śnieg odbijającą, spojrzał na nią bystro stary kapitan i żywo krzyknął: „à droite,“ i zaraz w prawą stronę drogi odskoczył. Wyznać teraz muszę, że straciłem głowę, czy też źle zrozumiałem i może być, że sądząc, iż on mówi, że kula idzie „à droite,“ nie patrząc na niego, co robi, sam zamiast za nim na prawo, odskoczyłem na lewo i słyszę tylko uderzenie, oglądam się, a z kapitana artyleryi masa tylko nieruchoma została. Uderzony kulą w samą pierś, ani drgnąwszy nawet, żyć przestał. Wiedząc, iż dywizya Dąbrowskiego stoi po prawej stronie gościńca i mając do niego zlecenie Zajączka, przeszedłem znowu gościniec, by być dalej ognia i już przez las pomału kroczyłem, lecz wkrótce spotkałem samego Dąbrowskiego, którego rannego w rękę kilku ludzi prowadziło. Oświadczyłem mu rozkazy Zajączka. Przyjął

mnie z furyą. „Widzisz W. Pan, żem ranny, idź sobie do djabła“ rzekł, a potem znać, że się spostrzegł i posłał za mną adjutanta z doniesieniem, że oddał już komendę Kniaziewiczowi.

Szedłem zatem dalej ciągle, spotykając idących rannych, lub niesionych bardziej rannych i umierających. Zaraz wkrótce po Dąbrowskim napotkałem kilku żołnierzy z 16-go pułku piechoty dywizyi Zajączka, niosących na płaszczu mocno rannego swego oficera. Mając w pułku tym wielu znajomych, zatrzymałem żołnierzy dla zapytania ich kogo niosą: „Oh naszego kapitana“ odpowiedzieli — „i cóż to ranny?“ — „nie“ odpowiedzieli „zabity“ i położyli go z płaszczem na ziemi. Poznałem go, był to mój przyjaciel, a nawet daleki krewny Ignacy Dembowski z Nacpolska, karabinową kulą przez piersi na wylot przestrzelony, nie dający już żadnego znaku życia. „I gdzież go niesiecie, kiedy już zabity?“ zapytałem. „A juścić panie majorze“ odpowiedzieli, „musimy go pochować uczciwie, żeby go Rosyanie nie obdarli.“ Żal mi się go bardzo zrobiło, lecz idąc tam, gdzie ludzie, jak muchy padają, byłem pewny, że i mnie to wkrótce czeka, a więc ja w moją a oni ze swoim ciężarem w swoją stronę poszli. Znowu przeszedłem trakt na lewą stronę do mojego generała Kniaziewicza i mojej tak na początku, jak i w końcu kampanii, dywizyi. Posterunek całego naszego korpusu, tak po lewej jak i po prawej stronie traktu, był najokropniejszy dla żołnierza, gdyż będąc jedynie korpusem asekurującym retretę armii, staliśmy ciągle w ramię broń, pod ogniem nieprzyjacielskim, forpoczty jedynie nasze odstrzeliwały się po lesie ich forpocztom, a do nas leciał grad kul i kartaczy, w górę na wiatr między drzewa ciskanych; wielkiego kalibru kule łamały gałęzie i te naszych przybijały, granaty nad nami pękały a i piechotne kule flankierujące po lesie przerzedzały nam ciągle szeregi, tak iż do wieczora, pamiętam, iż parę razy kazał Kniaziewicz o kilka kroków postąpić dla odsunięcia się od trupów. Parę też razy nieprzyjacielska piechota znowu na nas z bagnetami poszła po lesie, żeby nas z niego wyprzeć i parę razy wzajemnie nasza na nich poszła dla odparcia ich od siebie i zniesienia ze stanowiska, zgoła w całym tym dniu nie była to porządna, regularna i mogąca wsławić bitwa, lecz zabójczo fajerwerkowa utarczka, daleko więcej zabijająca ludzi niż inna, choć wsławiona w historyi — a do tego ludzi tak, jak my wtenczas wystawionych na zgubę, dla ochronienia uciekającej armii.

Stałem godzin dwie ani widząc nieprzyjaciela, lecz wśród huku dział i ręcznej broni oraz walących się gałęzi — huku, mó-

wię, tak blizkiego i mocnego, iż własnej komendy ciężko było usłyszeć. Obok mnie padali ludzie ze wszech stron i we mnie kilka kul karabinowych trafiło to w płaszcz, to w bermycę, a jedna obiła się o pochwę żelazną mego pałasza. Opatrzność zdawała się czuwać nademną, iż żadna mnie nie raniła, Tym razem mogę to z własnego doświadczenia a nie z żadnej chełpliwości powiedzieć, iż będąc w pośrodku największego niebezpieczeństwa i wśród dokoła mnie padających ludzi, a więc w chwili gdy w każdej minucie wyraźnej się spodziewałem śmierci, nietylko, iż żadnej nie doświadczałem bojaźni, lecz przeciwnie, rany, ciosy i śmierci ludzi około mnie umierających lub cierpiących, zupełnie mi były obojętne, i możebym teraz mniej mógł spoglądać na zabicie kurczęcia, jak wtenczas zimno spoglądałem na umierających ludzi i mogę każdego zapewnić, iż zbytek otaczających niebezpieczeństw, nędzy i nieszczęść zdołają tak przytępić wszelkie człowieka uczucia, iż te stają się martwe i jakby sparaliżowane. Aż do tej bitwy tak morderczej nie raz czułem, wyznaję, i bojaźń, i wstręt, i litowanie się nad cierpieniem drugich ludzi. Nie dawniej, jak przed dwoma dniami, drżało mi serce w Borysowie na widok niewinnych kobiet i dzieci zrzucanych z mostu lub końmi i działami tratowanych, od tej zaś bitwy zupełnie wygasły były moje wszelkie uczucia i stałem się niejako machiną, działającą, ale już nic nie myślącą ani czującą, lecz na wszystko tylko gotową. I teraz nie dziwię się, iż niekiedy okoliczności robią człowieka dzikiem, krwiożerczem zwierzęciem,—człowieka który może w życiu swem był dobrym i czułym obywatelem, którego najmniejsze bliźniego cierpienie obchodziło i nerwy jego wzruszało. Wkrótce po mojem przybyciu do sztabu naszego, kolega mój Orsetti, gadając ze mną, zaczął jęczeć, mówiąc, że jest w krzyż ranny, obaj z Wodzyńskim odprowadziliśmy go nie daleko za linię dla obejrzenia rany, lecz rozebrawszy go żadnej nie znaleźliśmy, tylko mocną plamę czerwoną, kula bowiem karabinowa trafiła go w sam guzik od szelki i wbiła go mocno w ciało, żadnej nie zrobiwszy rany. Skończyło się na śmiechu, jednak na ten guz długo potem w drodze cierpiał. Nadeszła noc, strzały ręczne się zmniejszyły a i działowe na trakcie już były rzadsze; jednakowoż i my staliśmy na miejscu trupami zasłanemi i Rosyanie kroku więcej nie postąpili. Przybiegł adjutant marszałka Ney'a do generała Kniaziewicza, ażeby natychmiast do niego po rozkazy przyjechał. Oddał generał komendę generałowi Izydorowi Krasińskiemu, rozesłał swych adjutantów do dwóch drugich dywizyi z uwiadomieniem o tem, a sam jedynie ze mną piechotą, drapiąc

się po zwaliskach leśnych poszedł do marszałka z korpusem w tyle nas stojącym. Już było ciemno, oba prowadziliśmy się pod ręce nie śmiejąc wyjść na drogę, którą jeszcze niekiedy nieprzyjaciel kule i granaty puszczać nie przestawał. Nakoniec wielki kawał uszedłszy już lasem, znużeni, bez sił, a sądząc, że już jesteśmy za armatnim strzałem poszliśmy oba na gościniec. Przechodzimy przez rów nie zbyt szeroki, ja podaję generałowi rękę, gdy w tym momencie słyszę uderzenie jakieś koło siebie jakby złamanie drewna. Pewny byłem, iż drąg jaki położony przez rów złamał się, gdy generał na niego nastąpił, lecz generał krzyknął tylko i powalił się na ziemię. Armatnia kula już tylko wolno się tocząca, trafiła go w nogę i tę strzaskała.

XV.

Wśród nocy i lasu zostaliśmy sami, kolosalny Kniaziewicz, leżący i jęczący na ziemi, i ja, stojący jak martwy koło niego. Żadnego ratunku, żadnej pomocy, sam, ledwo nogami powłócząc, nie mógłbym generała wziąść na plecy. Napróżno wołałem na przechodzących, którzy znać z obawy mojego znanego im głosu, przypuszczali, że ich przywołuję na linię i omijali nas zdaleka, udając że nie słyszą. Wreszcie przecie, może z ostrożności, brnąc przez las tą samą co my drogą, nadszedł mały, lecz zdrowy woltyżer drugiego pułku, krakowiak, nazwiskiem Rosołek. Ten poczciwy człowiek zaraz do nas się zbliżył, ze mną dźwignął z rowu Kniaziewicza, a nie mogąc nikogo więcej przywołać, nie porzucając broni, przyniósł z lasu gałąź grubą i na nią posadził generała, gdy tenże się nas silnie za szyje rękami uchwycił, na tejże gałęzi ponieśliśmy go we dwóch traktem o kilkaset kroków sami, aż napotkawszy więcej naszych żołnierzy, sam, już bezsilny, oddałem im rannego generała, którego zanieśli do pierwszego chrustowego baraku, jaki się przy drodze znalazł. Na szczęście nasze nie mogliśmy lepiej trafić, albowiem był to właśnie ambulans szwoleżerów Gwardyi Polskiej, a przy nim znany nam dobrze Girardet naczelny doktór tegoż pułku; rozciął zaraz but mocno już nabrzmiałej nogi generała, nie znalazł żadnej rany, lecz nogę od mocnej kontuzyi czarną, oraz kość spękaną, zaczął więc od tego, że nogę rozpłatał wzdłuż, żeby krew wypuścić, i opatrzył. Wszystko to działo się w mojej nieobecności, gdyż Kniaziewicz choć ranny i cierpiący, jednak zawsze równie czyn-

ny, jak gdy był zdrów, mając w tym momencie (jak mówiłem) samego mnie przy sobie, skorośmy tylko weszli do baraku ambulansu, natychmiast posłał mnie, żebym szukał marszałka Neya i doniósł mu, iż z powodu otrzymanej rany nie może rozkazów jego wypełnić.

Noc była ciemna, pełno w nieładzie snujących się części rozmaitego wojska, wszędzie błyskające się tylko ogniska, trwające wciąż jeszcze strzały od strony nieprzyjaciela, a na drodze prowadzącej ku Kamiennej krzyki pchającej się zgrai, na obu zaś brzegach Berezyny, gdzie były mosty, jęki i wołania o ratunek. Ja od 24 godzin w ciągłej pracy, bez najmniejszego pożywienia, ani napoju prócz śniegu, buty nawet oba miałem zepsute, a jeden już nawet pozbawiony podeszwy. Taki był stan sztabs-oficera pod-szefa sztabu dywizyi, który rozpoczął kampanię z dziesięciu końmi, a któremu teraz kazano w tym chaosie i zamięszaniu szukać piechotą po nocy marszałka, jakby szpilki w furze siana.

Z rozpaczą w sercu wyszedłem z baraku. Już teraz nie wiem, ani pamiętam (bom działał bez namysłu) jak długo chodziłem, błądziłem i szukałem, oraz jakim sposobem, wracając znowu do baraku z kilku gałęzi skleconego (a jakich pełno było) w którym zostawiłem generała, znowu trafiłem, dosyć, żem marszałka Neya znalazł, zdałem mu raport, na który mi tenże odpowiedział tylko te słowa: „Comment, encore un?“ i zrobiwszy, co mi kazano, wróciłem. Zastałem już przecie nagromadzonych moich kolegów sztabowych oraz wielu oficerów z korpusu, który już otrzymał rozkaz cofnięcia się—rzuciłem się koło ognia na ziemię bezsilny i zasnąłem kamieniem. Jakiś biedny, znędzniały francuski żołnierz chciał się koniecznie wcisnąć przezemnie do ognia. Lubo już śpiący, pamiętam, jakem go nogami odpychał. Krótko bardzo trwał mój sen, bo najdalej w godzinę obudzono mnie do nagłego marszu, a gdy odurzony pierwosnem, wstałem, uczułem coś pod mojemi kolanami, ruszam, popycham—rzecz nieruchoma, wstaję i przy blasku ognia oglądam; był to ów Francuz, który wcisnął się pod moje kolana i umarł. Mówię, że mnie obudzono do nagłego marszu, inaczej być nie mogło, a do tego już nie marszu z wojskiem, lecz marszu osobnego czyli raczej pielgrzymki, którą odbywaliśmy sami w łachmanach z rannym generałem.

Będąc w tym ambulansowym baraku, byliśmy w najbliższym punkcie nieprzyjaciela, już tylko zasłonięci forpocztami korpusu Neya, które zluzowały naszych niedobitków; my bez koni, bez żadnej powózki, byliśmy wystawieni na niezawodną zgubę, nie

mogąc nawet piechotą iść razem z tłumami pchającej się armii, w czasie więc mojej niebytności, po operacyi i opatrzeniu rany generał ze zgromadzonym sztabem oraz wielu cząstkowo do ogniska się zgromadzającymi sztabs-oficerami naszego korpusu zdecydowali, iż żadnego innego nie było ratunku, jak korzystać z ciemności nocy, póki maszerująca armia może spoczywa, a blizko nas stojący korpus nieprzyjacielski dalszego nie rozpoczyna ataku. Lecz i to nie mogło byłoby nastąpić, gdyby nie łaskawa pomoc poczciwych naszych kolegów. Podpułkownik jeden dał konia wierzchowego, drugi Zdżarski wielką futrzaną szubę. Kapitan Dąbrowski koc, nasz poczciwy woltyżer Rosołek zkądsiś z lasu przywlókł saneczki, któremi chłopi zwykli drwa wozić, a na nie pokładłszy gałęzie i kocem okrywszy, położyli generała, w braku wszelkiej uprzęży, przywiązawszy sznurkami do strzemion od siodła i okrywszy rannego szubą, Rosołek poprowadził konia i my poszliśmy za nim piechotą traktem za armią francuską. Ta nasza nocna droga zostanie mi na zawsze w pamięci wyrytą. Już więcej 24 godzin, jak armia przeszedłszy mosty, nie powiem, maszerowała, lecz masą płynącej rzeki tłumnie się pchała tym jednym traktem, a za nią druga masa, jaka się tylko mogła wyratować od zguby na Berezynie, trenerów, parków, powózek, pojazdów. Lubo wśród tej ciemnej nocy większa część snuła się, posuwała i przeciskała, tak, iż ta wielka grobla i mosty były wszędzie zawalone i zapchane nieporządną zgrają, a gołoledź jeszcze bardziej jej przepływ wstrzymywała. Nieraz na tej dość wązkiej grobli, gdy koń, ciągnący wóz, ślizgając się stanął, lub przewrócił, cała masa stanąć musiała: będący z tyłu, w obawie opóźnienia, a zatem napadu nieprzyjaciela, krzyczeli na stojących, często bez żadnej uwagi przypadali do stojącego, a jeśli nie mogli natychmiast go naprzód popchnąć, zrzucali poprostu z grobli lub z mostu na bok, często chorych czy rannych choćby generałów, a nawet cesarskie bagaże. Cóż dopiero mogło nas spotkać, idących w łachmanach za sannociążkami wiozącemi rannego. Wszędzie my, otaczający generała ze wszech stron, odzywaliśmy się do tej zgrai błagalnym głosem: „Ayez pitié d'un général blessé.“ Były to wszystko próżne słowa, wyrzeczone do dusz bez czucia i serc kamiennych.

Przecie nakoniec szczęśliwie przejechaliśmy najgorszą drogę, to jest tę blizkomilową groblę, z której żadnym sposobem zjechać nie było można. Pierwsza obszerna wieś za temi groblami przepełniona była armią, która i wokoło niej obozując, spoczywała. Przejeżdżając spotkaliśmy generalskiego furgonistę, krakowiaka,

na mojej wierzchowej klaczy Minerwie, szukającego nas wszędzie. Powiedział, że i bryka była niedaleko, lecz napróżno i on i my szukaliśmy jej wszędzie, bo ani śladu nie zostało po niej, ludziach naszych i koniach. Sądząc, że może dalej poszli, a nie chcąc drogiego czasu tracić, żeby póki armia zgrai spoczywa, ile możności ją mijać, poszliśmy dalej traktem.

Od tej wsi już nam lepiej było postępować naprzód, bo i tłumy były mniejsze, a szersza daleko droga i kraj płaski pozwalały wymijać drugich. Idąc tak bokiem traktu, gdy jeszcze ciemność nocy nie minęła, doszliśmy do gęstego lasu, nie spotykając już nikogo, co sprawiło w nas bojaźń, czyśmy czasem, rozstając się z gościńcem, nie zbłądzili. Mróz brał coraz to większy, wracać się było daleko, stać gorzej, więc szliśmy dalej, bądź gdzie bądź, byle prędzej.

Nakoniec, wśrodku boru, przychodzimy do miejsca, w którym się rozchodziły dwa zupełnie różne trakty—rada wojenna, którym się udać—nikt nie wie, a nikogo się nie masz zapytać, stajemy... Wodzyński i Orsetti idą każdy inną drogą, na rekonesans, a my czekamy ich powrotu. Ja znużony, bezsilny, dwie noce i dwa dni nie śpiący, nic przez ten czas w ustach nie mając, siadam na klocu, między drogami leżącym i w momencie zasypiam.

Nie wiem, jak długo spałem, lecz nie musiał być krótki mój letarg, gdy powracający koledzy ze swego rekonesansu chcąc mnie obudzić, podnoszą mnie, jak trupa; nakoniec Wodzyński poczciwy i kijem mnie bije, i śniegiem pociera, lecz nie może mnie ocucić; wreszcie biorą mię oba pod ręce i biegną za sankami generała, wlekąc prawie z sobą, aż wreszcie się obudziłem, jakby odurzony i powoli przyszedłem do sił i zmysłów.

Gdyby nie ten, choć gwałtowny, lecz jedyny ratunek, trochę później byłbym przemarzł, czego zawsze senność bywa początkiem, a od czego w tej kampanii wielu Francuzów, a osobliwie Włochów, zginęło. Jakoż dobrą wzięliśmy dyrekcyę i doszliśmy nareszcie do zniszczonej już wioski bezludnej, będącej między lasami. Wielka liczba maruderów i trenerów rozbierała resztki domostw i te paliła dla ogrzania się i pieczenia końskiego mięsa. Jedna tylko karczma stała w całości, lecz i ta była przepełniona komisarzami wojennymi, doktorami, kilkoma kobietami, dziećmi i wogóle ludźmi śpiącymi.

Ze zdziwieniem znaleźliśmy tam kilku naszych ułanów w porządnej postawie, a gdyśmy się dowiedzieli, że w alkierzu nocuje pułkownik Stokowski, poprostu udaliśmy się do niego i oświad-

czywszy, iż rannego generała wieziemy, wkwaterowaliśmy się prawie gwałtem i prawie nieżywi pokładli na gołej ziemi, aż nadto szczęśliwi, iż po takiej pracy i po ujściu piechotą blizko trzech mil, znaleźliśmy dach i spoczynek. Lecz niedługo to trwało. Liczba maruderów coraz się zwiększała, wszyscy, jak i my, chcieli się wcisnąć do karczmy, a rozgniewani, że ich ułany Sułkowskiego odganiali, zwyczajem francuskim, zapalili karczmę. Nasze to było szczęście, że zapalili od drugiego końca i że nas ułani wcześnie obudzili, tak, żeśmy mogli się z życiem ratować i generała wynieść do sanek, włożyć, i nic nie straciwszy, w dalszą naszą drogę w tym samym porządku wyruszyć.

Był też już i czas po temu, bo zaczynało dnieć, a z licznych kup armii niektóre już nas były minęły, a inne dochodziły. Spotkaliśmy pułkownika Kobylińskiego, który jeszcze pod Moskwą nogę stracił. Nieśli go grenadierzy, którym ze swego łoża komenderował, jakby na placu bitwy. Później minęły nas porządne sanie, futrami obesłane, a zaprzężone cesarskiemi końmi, na których ostrożnie wieziono generała Zajączka, już z amputowaną nogą, który mnie poznał i kazawszy stanąć, do siebie przywołał. Przez Mieroszewskiego, z którym się spotkał, wypytywał o koniec bitwy i o Kniaziewicza, nareszcie uściskał serdecznie, mówiąc, że mi nigdy nie zapomni, żem go w ciężkim razie nie odstąpił, jak inni, oraz, że gdy go Napoleon po amputacyi odwiedził, mnie podał do Krzyża Legii honorowej, polecając mi, żebym go w Wilnie odwiedził.

XVI.

Nim się jeszcze dzień zrobił, usłyszeliśmy przed sobą dość blizko strzały ręcznej broni, a nawet lekkich dział, lecz wówczas było to dla nas rzeczą tak zwyczajną, iż, mało na to uważając, postępowaliśmy dalej. Nakoniec przyszliśmy rano około 9-tej godziny do miasteczka Kamionny, mniej zrujnowanego od tych, cośmy dotąd widzieli i zajechaliśmy do dość porządnego domu, przed którym stała kareta zaprzężona polskiemi furgonowemi końmi. Był to generał Mielżyński, ranny jeszcze za Smoleńskiem, który dopiero co zajechał, albowiem zatrzymał się na drodze, słysząc w miasteczku Kamionnie kanonadę. Tu dopiero dowiedzieliśmy się, iż niedawniej jak przed godziną wpadł był oddział kozacki z dwoma lekkiemi armatkami, że dał z nich kilka razy ognia, potem się

z trenerami z ręcznej broni strzelał i właśnie, do tego domu, gdzieśmy zajechali, wpadłszy, zabrał rannego generała Kamińskiego, i wielu trenerów i z tymi uciekł. Na domu były nawet znaki kul armatnich, wielkości kartacza. Generał Mielżyński przyjął Kniaziewicza do swojej karety, lecz gdy wyraźnie było widać, iż są przed nami latające korpusiki kozackie, żeby nam retretę szarpać, postanowiono już się dalej nie puszczać samym i zaczekać choć na mały korpusik naprzód idący, a więc parę godzin w ciepłym domu spoczęliśmy, pokrzepieni nieco wódką i chlebem, któremi nas Mielżyński obdarzył.

Nakoniec nadszedł pułk Hessów, prowadzący między sobą batalion Jegrów, wziętych w niewolę w bitwie nad Berezyną, a zaraz za nim i my ruszyliśmy. Włosy na głowie powstają, gdy sobie przypomnę stan tych nędznych ofiar, jeńców wojennych. Zbiedzeni jak zawsze, żołnierze rosyjscy przyszli byli z korpusem Czyczagowa do Borysowa śpiesznemi marszami i znużeni, a jeszcze nawet nie pożywieni, wysłani zostali do boju i zabrani w niewolę przez wojsko, które same było zgłodniałe i nie miało żadnej żywności, pędzeni byli do tego przez korpus, najgorszy z całej armii co do konduity. Te nędzne ofiary padały z nędzy, głodu i przeziębienia jak muchy po drodze, nie żeby umierały, lecz że ich opuszczały siły, a wtenczas z największą flegmą hescy żołnierze, który z nich miał broń nabitą, to ją przykładał do głowy lub piersi leżącego i dobijał, który zaś nie miał lub żałował naboju, to poprostu wkładał bagnet na karabin i dokłuwał go, potem rozbierał do naga, zabierał odzież i szedł dalej. Później minąwszy ten krwiożerczy konwój, jużem ich nigdzie nie spotkał, lecz jeśli ich gdzie Rosyanie nie odbili w drodze, to wątpię czy choć jeden żywy doszedł do Wilna.

Razu jednego widząc młodego, przystojnego żołnierza, który upadł na drodze z wycieńczenia, a obok niego Hessa, który pomimo prośb nieszczęśliwego i zapewnień, że pójdzie, byle mu pozwolono odpocząć, nakładał bagnet dla dobicia tej na śmierć skazanej istoty — zeskoczyłem z konia, żeby temu przeszkodzić, lecz Niemiec, równie nienawidzący Polaków jak Rosyan, zaklął po niemiecku i krzyknął, że takie ma rozkazy i do mnie bagnet obrócił. Nie mogąc bliźniego uratować, a mogąc natomiast samemu paść ofiarą, wolałem wsiąść na konia i uciec, żeby nie patrzeć na te barbarzyńskie postępki tej niby części ucywilizowanej Europy.

Przecie raz jedyny udało mi się jedną nieszczęsną ofiarę uratować. Zbliżył się do mnie młody, przyjemny chłopczyna i zaczął mnie piękną francuszczyzną prosić o kawałek chleba, gdyż od

dwóch dni nic nie miał w ustach, wprawdzie i ja nic nie miałem, lecz miałem przy sobie ze 200 dukatów w złocie, z których mu jednego dałem. Ten ze łzami włożył go do ust i oddał mówiąc, że go nie ugryzie. Opowiedział mi, że jest dobrej familii, świeżo wyszedł ze szkoły kadetów w Petersburgu na oficera (praporszczyka) do tego pułku i w pierwszem spotkaniu został w niewolę wzięty. Z duszy byłbym chciał w czem mu usłużyć, lecz prędzejby mi się może to udało z Francuzami niż z Hessami. Biorę się jednak do innego sposobu. Czoło kolumny prowadził Hesski major, także Niemiec. Rozpasuję się z pasa krajkowego, który mi kożuch okręcał, a nawet sam kożuch zsuwam z ramion, żeby było widać, żem i ja jest sztabs-oficer i jadąc koło Hessa i wciąż z nim płynnie po niemiecku rozmawiając, wkrótce takem się z nim zapoznał, że mi bez żadnej trudności kazał wydać wskazanego jeńca, praporszczyka, za mojem słowem i zaręczeniem, że go na każde wezwanie dostawię mu napowrót. Wkrótce nasi generałowie z karetą i my—Sztab, za niemi postępujący, stanęliśmy na spoczynek, a kolumna hesska dalej poszła. Posiliłem trochę mego jeńca jeszcze z łaski Mielżyńskiego, a gdyśmy ruszyli dalej i minęli spoczywających Hessów, już odtąd nigdzieśmy ich więcej w tym marszu nie napotkali.

Pod wieczór minął nas pułk kawaleryi bawarskiej, znać wyprawiony jako awangarda do oczyszczenia drogi, a więc mogliśmy już iść bezpieczniej, nie czekając na ten obrzydliwy eskortowy korpus heski pomału się za nami wlokący, a postępujący wszędzie drogą, usłaną zamordowanymi jeńcami. Znałem dobrze moich poczciwych kolegów, lecz, że nie we wszystkich zdaniach zgadzaliśmy się, więc nie zapoznałem ich z moim jeńcem i zostawiłem go w towarzystwie nie odstępujących nas ciągle poczciwego Rosołka, woltyżera, mego Karola i krakowiaka furgonisty generalskiego, który mu nawet stary mój kożuch dał do okrycia.

Dojechawszy do lasu, pozłaziliśmy z koni, które były znużone równie jak i te, co generałów rannych ciągnęły, i szliśmy pomału. Zbliżyłem się do mego jeńca, który przez drogę gadał mi, ile jest nieszczęśliwy i zwierzył się, że ma matkę wdowę, a nawet w dalszej rozmowie, że tu w blizkości miał ciotkę i familię i że nawet poznaje ten las, w którym nieraz w dzieciństwie bywał na polowaniu. Zapytałem się go, czy by trafił do ciotki. Rozpłakał się i powiedział, że jest tego pewien. Ośmielony tym pomysłem, oraz nadzieją, że nas już nie napotka eskortowy korpus heski, powiedziałem mu te słowa: „Bądź zdrów, ruszaj z Bogiem w świat, a nie bij się z Polakami.“ Upadł mi do nóg,

a następnie poczciwy młodzieniec prosił mnie i o uwolnienie od danego słowa, na co się zgodziłem. Dodał przytem, że ma kożuch pożyczany. Odniósł go krakowiakowi, mówiąc, że mu ciężko w nim chodzić; jeszcze raz z płaczem mnie pożegnał i z szybkością młodego konia drapnął do lasu. Straciłem go zaraz z oczu i ani wiem co się z nim stało.

Na noc stanęliśmy we wsi, już na pół, przez maruderów zrujnowanej, ale znaleźliśmy jeszcze jeden dom cały, a przy nim wyborną studnię czystej wody, której nam i naszym koniom bardzo było potrzeba, lecz i szwadron Bawarów przed nami się w resztkach tej wsi rozlokował i zwyczajem swoim jak do wszystkiego tak i do wody nie dał dostąpić. W końcu, gdym sam bez kożucha, już w moim sztabs-oficerskim mundurze, zdołał dla nas nabrać garnek czystej wody, rozgniewany o to Bawar tak mnie pałaszem o garnek uderzył, że mi go rozbił i wodą oblał. Miałem już dosyć tego i udałem się wprost do ich oficera, a wytłómaczywszy mu po niemiecku rozboje jego ludzi, uzyskałem to, że i żołnierza do kozy wsadzono i generałom rannym wartę dodano—lecz jakże okropnie Bawary tej samej nocy zemściły się na mnie za tę skargę. Gdy znużeni nasi ludzie posnęli, oni zakradli się do naszej stajni i mojej klaczy angielskiej Minerwie żywcem wykroili całe udo i z krzyżów obie polędwice, a gdyśmy się pobudzili, już ich nie było. Mojej biednej klaczy musieliśmy przez litość sami w łeb strzelić, a ja znowu zostałem bez konia.

Żywności w tej wioszczynie jużeśmy nic nie znaleźli po maruderach prócz wielkiej ilości rozrzuconych kwaszonych buraków, które snać nie smakowały Francuzom, a więc je porozrzucali, nam zaś bardzo smakowały i dlategośmy je starannie ze śniegu zbierali i jedli, co może było przyczyną, iż nazajutrz dostałem dyaryi, która się później w dyzenteryę zmieniła. Nazajutrz rano wyruszyliśmy wcześnie. Po drodze spotkałem podoficera Szwoleżerów gwardyi, który gdzieś, zyskawszy piękne moskiewskie saneczki, zaprzągł do nich swego konia i tęgim nas kłusem mijał. Na moje wezwanie stanął, a gdym mu szlejfy okazał i oświadczył, że jestem bratem ich dowódcy, zabrał mnie do saneczek. Dowiedziałem się od niego, że jest z tych stron—Litwin—że jedzie naprzód do miasteczka Wilii zapisać kwaterę dla swego generała, i że zna drogi manowcami i prędzej od nas, a nawet od Bawarów, tam stanie. Jakoż opuścił trakt i jak gdyby spacerem bocznemi drogami z całą pewnością pojechał. Czas był śliczny, mróz zelżał, słońce świeciło.

Dojeżdżamy do wsi, całej i wcale nie zrujnowanej, gdy słyszymy we wsi gęste strzały karabinowe. Stanął mój woziciel

i „tu widzę są kozaki“ rzekł cicho, dobył karabinka z sanek, lecz nie zawracał, mówiąc: „siedź tu Pan, ja muszę rekonesans zrobić.“ Jakoż krzaczkami doszedł do wsi. Widziałem jak wymierzył i strzelił, znowu nabił, wymierzył i strzelił, a zaraz na mnie kiwał i wołał, żeby do niego przyjechać; chociaż nie ustawało strzelanie—pojechałem. Nie było tam ani znaku nieprzyjaciela, choć po polu i we wsi pełno leżało trupów—ale nie ludzi, lecz świń, wieprzów, baranów, cieląt i drobiu. Była to wieś w lasach odległa od traktu i dlatego chłopi, na trakcie mieszkający, słysząc o nadchodzącej armii, co mogli uratować, w lasy i dalekie wsie dobytek swój pozapędzali, lecz przemyślne marudery, zwąchawszy drogę i tam trafili i wydali zwierzętom domowym zabójczą walkę, po której każdy z placu tej bitwy wychodził, niosąc w zdobyczy cielaka, barana, lub prosię, a na bagnecie pozadziewane ptactwo. Mój konduktor upolował dwa spore wieprzaki i kilka sztuk drobiu, ze mną się podzielił i tak bez narażenia życia obładowani, w dalszą puściliśmy się drogę. Szybko i bliższą jadąc drogą, na parę godzin przed naszym sztabem, a nawet dobrze przed awangardą bawarską stanęliśmy około południa w Wilii. Było to miasteczko dość wielkie nad rzeką Wilią, wcale jeszcze nie zrujnowane, gdyż zastaliśmy bardzo małą liczbę maruderów, oraz ku zdziwieniu naszemu oddział Szaserów polskich pierwszego pułku kawaleryi (w którym ja się liczyłem) wraz z moim pułkownikiem Prebendowskim, który ani wiem skąd i jakim tu traktem przyszedł, bo nigdzie nas nie minął, a gdyśmy przyjechali, już był z żołnierzami porządnie rozkwaterowany. Zajął był Prebendowski wielki folwark na górce, za miastem, zwany Wójtowszczyzną, że zaś wiedziałem, iż abyśmy dzień spoczęli, dojdzie nas zgraja armii i że wobec tego będzie nam lepiej za miastem, niż w mieście, tembardziej, że tam postawił przy sobie i swoją liczną eskortę Prebendowski—więc zaraz udałem się do niego i, lubo się skrzywił na mnie, jednak nie mógł odmówić mojego wezwania, i dla generałów rannych i ich sztabu ustąpił pół dworu, stajni i furażu, ile że tej nocy jeszcze miał zamiar w dalszy marsz wyruszyć.

Niepotrzebnie ze zwierzęcej bitwy rannej przywiozłem z sobą zdobycz, bo pierwszy raz od początku naszej retrety znaleźliśmy tutaj dostatek wszystkiego nie tylko jadła, furażu, ale i napojów, a nawet delikatesów. Po wyjściu z pustyni i głodu, zdała mi się Wilia stolicą Europy. Miałem czas i zadysponowałem obiad dla sztabu. Posłałem miękkie łoża dla generałów i wsiadłszy na szaserskiego konia pojechałem naprzeciw generałom i wędrującym ze schylonemi głowami kolegom, którzy byli zdziwieni, spotyka-

jąc mnie wracającego na porządnym koniu, — mnie o którym nie wiedzieli, gdzie im się w drodze podziałem, a byli wielce uradowani dowiedziawszy się jakie dla nich przygotowałem „używantes.“ Jakoż przybywszy na kwaterę rozgościliśmy się i najedli wszyscy i za wszystkie czasy. Pamiętam, z jakim zapałem zjadłem wielką miskę piwa grzanego ze śmietaną i serem, co mi też może najwięcej zaszkodziło po tak ścisłej i długiej dyecie. Nim noc nadeszła, zaczęła też i armia się zbliżać po trochu, a miasteczko coraz więcej się napełniać. Póki Prebendowskiego eskorta stała przy nas, póty lekkie korpusiki debandady ogólnej nie śmiały nas rugować, lecz że Prebendowski miał do dnia wychodzić, a przytem nadeszli później generałowie francuscy już nie znaleźli w mieście miejsca i zaczęli się do nas gwałtem wciskać, przeto nasi generałowie, nie chcąc już dalej w tyle zostawać, postanowili także do dnia wraz z eskortą wyruszyć. Dostałem od Prebendowskiego konia luźnego i wymaszerowaliśmy.

XVII.

O pół mili za Wilią, już o wschodzie słońca stanęliśmy we wsi i wstąpili do obywatela pana Bończy, który nas bardzo ludzko i grzecznie przyjął, częstował, a nawet na konia wsiadł i o ćwierć mili aż do nowej granicy odprowadził. Tu się rozchodzą dwie drogi, obie prowadzące do Wilna, jedna w lewo na Mołodeczno, przez którą idzie wielki wojenny gościniec, a druga o dwie mile krótsza w prawo przez lasy, zwana Czarny Szlak wprost do Smorgoń. Nastąpiła wielka wojenna rada nad tem, którą się mamy udać drogą, Bończa radził dalszą, jako pewniejszą, albowiem niedawno na Czarnym Szlaku pokazywali się kozacy, i Prebendowski był jego zdania i zaraz tam ze swoim oddziałem pomaszerował, Kniaziewicz zaś i nasi sztabowi byli zdania, że im krótsza tem lepsza, byle być prędzej w Wilnie, i że, gdy tamtym wielkim traktem cała się armia rzuciła, więc łatwiejsze i wygodniejsze mieć będziemy marsze. Tak się też stało. Pożegnawszy się, tuśmy się na dwie strony rozdzielili, i okazało się, że starzy generałowie mieli słuszność, bośmy nazajutrz pod noc bez żadnego przypadku ani spotkania jak najwygodniej stanęli w Smorgoniach, Prebendowski zaś, doszedłszy do Mołodeczna i tam spokojnie zanocowawszy, a konie rozkulbaczywszy, został przez Rosyan napadnięty i zabrany w niewolę. My zaś znowu o jeden dzień uprzedziliśmy w Smorgoniach armię, by odpocząć, w ogłodzonem wprawdzie, bo na wielkim gościńcu położonem mieście. Słabość też

moja się bardzo wzmagała, tak żem musiał co moment dla niej stawać a mrozy znowu się coraz bardziej wzmacniały. Nazajutrz gdy już czoło armii zaczęło zasypywać miasto, wyruszyliśmy w dalszą drogę ku Wilnu.

Doszedłszy do stacyi Miedniki, tak byłem już przez moją chorobę osłabiony, iż dalej iść nie mogłem. Nająłem więc sobie pocztowe sanie i z poleceniem od generała bym mu zamówił kwaterę, położywszy się w saniach i ciepło okrywszy, naprzód do Wilna pojechałem, co mi przecie cokolwiek dodało siły. Stanąwszy w mieście udałem się na poszukiwanie kwatery, lecz było wielu kompetytorów, którzy mnie w tej samej rzeczy ubiegli, bo skoro tylko armia z niebezpieczeństwa wyszła, za kwaterami naprzód polecieli; nie mając braku pieniędzy, a nie chcąc się pchać, prosić i cisnąć do Placu, gdzie większej części osobom odmawiano nawet biletów kwaterniczych, wolałem raczej sam za tem chodzić. Gdym wychodził z Ratusza, zbliżył się do mnie prezydent chcąc mnie o wojsko zapytać, a dowiedziawszy się o mojem nazwisku zapytał, czy nie znam syna starego Obożnego, gdym mu powiedział, że to ja, zawołał „to być nie może.—Co, Józio?“ „tak jest, ten sam“. Rozpłakał się, gdy się przekonał, iż teraz, zarośnięty, brudny, obdarty i wynędzniony ten sam jestem, którego znał przed 18-tu laty, młodego, świeżego jak róża i pieszczonego przez rodziców Józia Obożnica. Przypomniałem go sobie, gdy mi opisał, iż jest stary Tyzenhauz, niegdyś pułkownik, domownik i przyjaciel moich rodziców w czasie rewolucyi, a później po rozbiorze kraju, bez chleba siedzący u krewnych, a od wnijścia Francuzów prezydent miasta Wilna. Z nim poszliśmy zaraz za pomieszkaniem, które ledwośmy z wielką trudnością i to w oddalonej ulicy znaleźli u Aszpergera, majstra kominiarskiego, w dwóch izdebkach na facyatce pod dachem, lecz z kuchenką i stajnią na konie. Nie myśląc o niczem, zapewne sądząc, że kto jest w wielkiem mieście, ten o niczem nie potrzebuje myśleć, wyprawiłem Karola, który ze mną przyjechał, żeby czekał przed bramą na generała i do kwatery go doprowadził, sam się spać położyłem i jak kamień spałem, aż się nasz sztab przywlókł i generała wnieśli na górę.

Kwatermistrz, naprzód wysłany zwykle winien o wszystkiem myśleć—a ja nie pomyślałem o niczem, więc gdy zgłodniałe koleżki nad wieczorem się zgromadzili, wyprawili mnie po żywność, lecz gdym wyszedł na miasto tak je zastałem już zapchane armią, że ciężko się było przedrzeć a tem mniej w traktyerniach i sklepach czegokolwiek dostać, tak że jedynie udało mi się do cukierni się wepchnąć, wypić szklankę gorącego trunku, sam nie wiem ja-

kiego i kupić chustkę cukierków za dukata. Powróciwszy z tem kupnem wystawiłem się jedynie na pośmiewisko, a koledzy sami poszli szukać żywności, lecz z próżnemi rękami powrócili. Przecie Tyzenhauz przysłał dla mnie obiad, parę bochenków chleba i świeże masło, a i nasz gospodarz, poczciwy kominiarz, czem mógł nas obdarzył. Tegoż dnia, choć już późno, wysłał mnie generał do księcia Poniatowskiego, któregośmy zastali w Wilnie, z raportem o stanie generała i po dalsze rozkazy. Zastałem go leżącego, a przy nim jedynie stojącego Krukowieckiego. Zaraz mnie książe zaczął dopytywać o detale bitwy nad Berezyną i naszej retrety—nim zacząłem mówić, rzekł do niego Kruk zcicha, lecz tak, że mogłem go usłyszeć „ne le croyez pas“. Powtórzył zapytanie książe i gdy mu wszystko opisałem, ściśle trzymając się prawdy, jak teraz ją opisuję, widać było po twarzy księcia zadowolenie z mojej relacyi, a pożegnawszy się ze mną rzekł do Krukowieckiego, gdym jeszcze nie wyszedł z pokoju „et moi je crois à tout ce qu'il a dit, plus qu'a Vous“. Widać więc, że przedemną przyszedł Krukowiecki z relacyami od rozmaitych osób powziętemi ze słuchu, bo sam był od nas daleki od czasu jak mu się udało ze Smoleńska z furgonami się wymknąć i na Mińsk przejechać. Wracając od księcia do domu, przechodzę koło domu pięknego, przed którym stoi na warcie ślicznej urody, świeży, młody grenadier, jak z igły zdjęty, bo widocznie nie był w boju. Pytam się, kto tu mieszka a dowiedziawszy się, że Chodkiewicz, mój dawny przyjaciel i znajomy, nie meldując się wpadam do jego kwatery. Nie było go w domu, lecz do pokoju żony wszedłem, i łatwo można sobie wystawić, jak musiałem wówczas wyglądać i do czego być musiałem podobny, kiedy wrzasła okropnie, rozumiejąc, iż to jakiś bandyta i uciekła, a ludzie i ordynanse się zeszli, żeby mnie schwycić. Rzecz się łatwo wyjaśniła, i Pani wróciła, lecz długo wierzyć nie chciała, iż całe wojsko nasze jest w takim stanie, gdyż z bijących się nad Berezyną, a którzy najwięcej ucierpieli, my byliśmy najpierw przybyli. Nie prosiłem, lecz prawie żebrałem u niej żywności dla kolegów i mogę wyznać, iż najsowiciej nas zaopatrzyła.

W nocy i Napoleon przybył, lecz nie długo bawił i małemi saneczkami z jednym oficerem w dalszą się drogę puścił do Francyi. Bertier dzień dłużej zabawił, czekając aż korpusy armii i resztki starej gwardyi nadejdą, co niedługo nastąpiło, bo były one parte z dwóch stron, to jest przez armię Czyczagowa z lewej strony, oraz przez drugą, mocniejszą jeszcze, od Rygi.

Nazajutrz rano poszedłem odwiedzić Zajączka, którego zastałem bardzo słabego i w mocnej gorączce, a lubo tak cierpiący

jednak mnie przyjął i oddał „lettre d'avis" Bertiego, donoszący mi, iż jestem kawalerem legii honorowej mianowany. Pamiętam iż mi powiedział: „Jeżeli Kniaziewicz tylko może, to niech czemprędzej odjeżdża z Wilna, ja wiem, że za kilka dni to miasto będzie wzięte przez nieprzyjaciela, ale ja muszę zostać bobym drogi nie wytrzymał, a czy tak, czy inaczej mam umierać, to wolę spokojnie".

Rozstaliśmy się z płaczem i czule się pożegnali. Zaraz dałem znać Kniaziewiczowi o zdaniu Zajączka, a więc postanowiono jaknajprędzej wyruszyć. Ale jak? nie było czem. Mielżyński zaraz pierwszego dnia był wyjechał, a my mieliśmy dla nas wszystkich osób 7-miu trzy tylko nędzne i pokaleczone szkapy, a dostać, kupić lub nająć było niepodobieństwem. Poczciwy Rosołek i Krakowiak w momencie gdzieś wyszukali wielkie sanie moskiewskie kryte, bez dyszla, nawiązali sznurków, nakładli worków i t. p. i na poczekaniu zaprzęgli trzy nasze szkapy, wsiedliśmy jak Żydy na jarmark, generała w budzie położyli i pojechali.

Zaraz za Wilnem spotkaliśmy wlekące się szczątki naszego korpusu. Rosołek widząc swych kolegów, zeskoczył do nich, mając zamiar powrócić, bo rzeczy nawet i broń, której nigdy nie opuszczał, zostawił, lecz nigdy go już nie widziałem, ani od jego kolegów nie mogłem się nic o nim dowiedzieć.

Niedaleko Wilna jest wielka i przykra góra zwana Ponarską, tam dogoniliśmy wielki tabor wojskowy. Ślizgota była wielka, nikt nie miał czasu kuć koni, a więc się wszystkie wywracały i myśmy więcej, niż pół dnia stracili nimeśmy na ową górę wjechali, czyli raczej mogę powiedzieć, żeśmy na nią z generałem sanie wnieśli, a wiele wozów i koni przewróconych zostało. Nakoniec dojechaliśmy na noc do Trok, gdzie zabawnie wjechał generał z saniami bez koni, albowiem sanie bez dyszla, nie kute, z góry dość przykrej do miasta spuszczając się jak się zatoczyły, tak się obróciły naprzód, improwizowana na prędce uprząż się oberwała i my z saniami wielkim pędem wśliznęliśmy się do miasta, a konie z ludźmi na górze zostały.

Od tego noclegu już nigdy i nigdzie nie spotkaliśmy, i nie widzieliśmy nawet armii francuskiej, która się wprost udała do Kowna, a my, żeby czemprędzej granice Litwy przejść bocznemi lecz najbliższemi drogami, udaliśmy się do wsi Balwierzyszki, gdzie po lodzie rzekę Niemen przejechawszy, już zanocowaliśmy na Polskiej ziemi spokojnie...

POLSKA FILOZOFIA ROMANTYCZNA

a mesyanizm.

(Zarys porównawczy).

Utarło się zdanie, że mesyanizm polski to ten prąd ożywczy doby polistopadowej 1830/1 roku, który wyraził się w natchnionej apoteozie Polski, jako Chrystusa narodów. W ten sposób zredukowano cały okres myśli polskiej do kilku tylko minionych objawów poetycznych, religijno-społecznych i narodowych. Sprowadzono całość do pewnej części, najwięcej spopularyzowanej i dostojnie przez najznakomitsze jednostki reprezentowanej. Ten objaw częściowy, tak górny i szczytny, był momentem chwili, wypływał *z ducha czasu*, z powrotu dawnych zagadnień filozoficznych. Oświetleniu całej tej doby mistycznej poświęcono u nas w ostatnich latach obszerniejsze studya, żeby chociaż wspomnieć o jubileuszowem, z roku Juliusza, wydaniu pierwszej na razie części studyów prof. J. G. Pawlikowskiego nad „Królem-Duchem“ Słowackiego. Jest więc na czasie i inne pytanie, a mianowicie: w jakim stosunku pozostawała do tej mistyki romantycznej i patryotycznej filozofia romantyczna wogóle, a polska filozofia romantyczna i spekulatywna w szczególności?

Wśród przyczyn, które sprowadziły mesyanizm, można odróżnić specyalne. Te, jak np. nasze nieszczęścia narodowe i tułaczka na obcej ziemi, złożyły się na właściwą formę mesyanizmu polskiego, tego zwłaszcza, który do idei królestwa Bożego na ziemi wprowadził czynnik religijnego samoubóstwienia narodu. Podstawy jednak mesyanizmu wyszły z dawniejszych systematów filozoficznych, zwłaszcza panteistycznych, odżyły wraz z deizmem szczególnie w wieku oświecenia i przez romantyzm Rousseau'a, przez

wzmożony ruch naukowy weszły w krew nowej filozofii: absolutnej, (doba Hegla i Trentowskiego), która co do swej istoty była wcale starą. Romantyzm w literaturze był tylko skromną odpowiedzią wobec filozofii, szukającej absolutu; dopiero mesyanizm wyraził w sobie pragnienia filozofii absolutnej. Filozofia pierwszej połowy XIX-go wieku nie jest bynajmniej zjawiskiem wtórnem wobec rozwoju romantyzmu. Wprost przeciwnie. Koroną ducha czasu, a więc i istotą, była filozofia, która w swem przekonaniu zdobyła absolut, filozofia t. zw. absolutnego idealizmu. Kant stanowi punkt zmagania się empirystycznego poglądu na świat z metafizycznym. Mimo całego krytycyzmu komentują po dziś dzień jego „Krytykę praktycznego rozumu“ i „Krytykę władzy sądzenia“, a idealizm nie został tu wcale pokonany, zredukowany—w sposób zadowalający. Następcy Kanta są właśnie malkontentami i to właśnie w imię tego „ducha czasu“. Gdyby nie ten duch czasu, nie byłoby takiego właśnie, jak się stało, powrotu do życia Spinozy, nie byłoby miejsca na Fichtego (ojca), Schellinga, Krausego, Hegla, na Wrońskiego i Trentowskiego. Nawet nie byłoby i na fazę krytyczną w filozofii, bo tylko na tle specyficznego starcia się kierunków Locke'a, Leibniza, Hume'a i Berkeleya wyrósł filozoficzny duch czasu pierwszej połowy XIX-go wieku.

Był to cały łańcuch przyczyn, złożonych z wysileń ludzkiego umysłu i z silnych pobudek uczuciowych, które jakby czekały tylko na stosowną chwilę, by wejść i jaśniej, i szerzej i widoczniej. W ten sposób cała t. zw. filozofia romantyczna nabrała znaczenia i stała się aktualną dzięki specyalnym warunkom, ale była już niejako potencyalnie naszkicowana w przeszłości zagadnień filozoficznych. „Deus ex machina“ nie zjawiło się tu wcale. Żyła filozofia życiem własnem.

Rzecz oczywista przeto, że w epoce, w której mesyanistyczne prądy zyskują charakter uprzywilejowany w życiu jednostek i narodów, i filozofia była i musiała pozostawać w związku z zagadnieniami bieżącemi. Pytanie więc: *w czem* wyrażała się ta łączność spekulacyi filozoficznej z prądem literackim, religijno-mistycznym, z utopiami socyologicznemi tych czasów i z życiem?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba równocześnie patrzeć zarówno na przedmiot ówczesnej historyozofii. jak i na ustalanie się systematów filozoficznych. Ale trzeba patrzeć pod pewnym kątem widzenia. I zdaje się nam, że ten kąt widzenia charakteryzuje ówczesne życie umysłowe i społeczne, że będzie on zarazem wyrazicielem bardzo starego przekonania, a mianowicie,

że największe zagadnienia powstawały na rozdrożu samego życia i w przeciwieństwach dróg poznania ludzkiego.

Przeciwieństwa rodziły zawsze niepokój, namiętność. Zagadnieniem bodaj zasadniczem była w dziejach myśli ludzkiej rzeczywistość, a więc pytania: co jest rzeczywistością i czem jest ta rzeczywistość? A jeśli już Heraklit głosił, że wszystko „przepływa", ale w tym przepływie rzeczywistości jest i pewien sens, pewne prawo: „logos", to nie było to rozwiązaniem ani tego pytania, które szukało odpowiedzi dla teoryi poznania: co znamy z doświadczalnej rzeczywistości, ani też pytania, mającego wartość dla systematów wiedzy moralnej, pytania: czem jest właściwie rzeczywistość? Bo stwierdzenie wielkiego przepływu rzeczywistości, jakby dzisiaj powiedział Bergson i wyszukanie jednej takiej rzeczywistości, która „trwa", t. j. naszego „ja", nie godzi jeszcze wcale tych sprzeczności, które więcej odczuwa, niż uchwyca w poznaniu czysto-empirycznem jednostka poznająca. I dlatego też można wróżyć wielkie nadzieje dzisiejszym prądom metafizyki, reprezentowanym zwłaszcza przez prof. Bergsona, ale nie można jej wróżyć jednego, t. j., że zdoła ta metafizyka współczesna usunąć *wszelkie* sprzeczności, o jakie każdy z nas uderza, stosunkując się do rzeczywistości, a nawet wchodząc, zatapiając się *„w głąb"* samej rzeczywistości. Takie artystyczne zdobycie „głębi" daje ukojenie tylko na pewien czas. Umysł dąży do nowości.

I to jest właśnie jeden tryumf intellektualizmu, że natura naszego poznania prowadzi do postulatu: jedności. O tę to jedność właśnie toczyły się owe wielkie myślowe boje w dziejach ludzkości. O taką jedność walczył duch nowożytnego romantyzmu. Zajrzyjmy do t. zw. transcendentalnej filozofii niemieckiej, a zobaczymy jakiś gwałtowny, impulsywny wysiłek, by stworzyć taką naczelną jedność, jako wyraz logiczny całości wszechświata. Stwarza się nawet sztucznym sposobem przeciwieństwa, by z nich konstruować Absolut. Fichte (starszy) np. daje trzy t. zw. „Grundsätze", będące tezą, antytezą i wreszcie syntezą. To właśnie jego: ja, nie-ja, z czego wypływa kategorya limitacyi, (jako synteza) prowadząca raz do wiedzy teoretycznej, „Wissenschaftslehre", („das Ich setzt sich als beschränkt oder bestimmt durch das Wicht-Ich",) drugi raz zaś do wiedzy praktycznej. (Das Ich setzt das Nicht Ich als bestimmt durch das Ich). Od pierwszej syntezy idzie już rozwój dalszy: przez tezy i antytezy aż do ostatniej syntezy; — głosił to przedewszystkiem Jan Bogumił Fichte, nie zaś Hegel.

I znów ta sama dążność do pogodzenia idealnego z realnem, podmiotu z przedmiotem, wystąpiła silnie u Schellinga w jego filozofii tożsamości, filozofii jedni przedmiotu z podmiotem w Absolucie. Natura i Duch są identyczne w Absolucie, więc niema między nimi rozdźwięku. Tę identyczność można poznać za pomocą intellektualnego oglądu. (Intellektuelle Anschauung). Wtedy byt pozytywny (duch) zlewa się w jedno z negatywnym (natura). Hegel rozwija ową pozytywność ducha na drodze dyalektycznego procesu dziejowego. Jego panlogizm będzie szczytowym wyrazem tendencyi filozoficznych, szukających łatwego wyjścia z przeciwieństw między naturą a duchem, pokusi się o zamknięcie całej sprawy w jednem zdaniu: myśleć to znaczy być, („Alles wirkliche ist vernünftig") i w postawieniu naczelnej, bezwzględnej Idei zamiast Absolutu. („Die sich denkende Idee"). W ten sposób stała się logika metafizyką. Absolut, który zdaniem Hegla spadł u Schellinga z księżyca, („sei wie aus der Pistole geschossen"), zyskał trwałe uzasadnienie. [1])

Przechodząc zaś do filozofii polskiej tych czasów, znajdziemy nawet u zdecydowanych przeciwników wszelkiego, nie tylko filozoficznego, romantyzmu, np. u Jana Śniadeckiego, naśladownika u nas szkockiej szkoły Reida, owo dążenie do zcałkowania myślowych wysiłków przy pomocy idealizmu. Oczywiście jednak, ponieważ nie mamy u Śniadeckiego do czynienia z romantyzmem występuje ta dążność prościej i mniej szumnie, oraz górnolotnie. Ale jest bądź-co-bądź, a przez to dowodzi, że dla filozofii, czy ona była romantyczną, czy empiryczno-krytyczną, zagadnienie jedności było zawsze aktualne. Mam na myśli te eklektyczne wywody „Filozofii umysłu ludzkiego", które szukając harmonii między nauką i filozofią w ograniczeniu nauki i filozofii do fenomenów, mówią jednak zarazam i o „zasadzie" nieudolności naszego umysłu, naszej natury, czyli mówią o t. zw. „konstytucyi ludzkiej". Śniadecki, który wszelkie pojęcia wrodzone uważał za „asylum ignorantiae", a związek między myślami naszemi oddawał na los przypadku lub refleksyi, następującej dopiero po zapisaniu wrażeń na białej karcie umysłu, (ślad Locke'a) ten sam nasz myśliciel uciekał się wreszcie do ujemnego pojęcia „konstytucyi ludzkiej", mającej oddać znane „common sense". Ale i na dnie romantyzmu naszego i jego wykwitu: mesyanizmu, widać walkę,

[1]) Mówić można przy Heglu tylko o uzasadnianiu, bo cały świat jest dla niego (w myśl jego filozofii) jednym olbrzymim wnioskiem.

zaczętą z przeciwności dwóch zasad, dwóch potęg. Wystarczy przypomnieć improwizacyę Adamową, ten przeciwstawny konflikt pomiędzy wszechmiłością narodu—wieszcza, a wszechwiedzącym rozumem Boga, konflikt, który poeta doprowadza do przesilenia w obelżywem nazwaniu Boga, a do harmonii w widzeniu ks. Piotra.

Tym punktem widzenia więc, którego nie narzucamy tu wcale, ale który daje się wydobyć zupełnie indukcyjnie, idąc szlakami ludzkiej wiedzy, punktem widzenia, z którego obejmując całą t. zw. romantyczną filozofię XIX wieku, można dopiero odpowiedzieć na pytanie: w czem wyrażała się istotna łączność tej filozofii z szerokiem życiem ówczesnem, z kierunkami i prądami ogólnymi tego życia, tym punktem jest dążność do skonstruowania całości, usuwającej rozbieżność, dającej ukojenie i spokój, rozsnuwającej przepiękny obraz nadziei, jest pragnienie zdobycia Absolutu za życia. To jest właśnie wyraz łączności i jądro treści zarówno filozofii romantycznej, jak i ówczesnego życia, to łącznik polskiej filozofi absolutnej z mesyanizmem.

I dlatego mówić o mesyanizmie, to nie dosyć mieć przed oczyma apoteozę Polski, jako Chrystusa narodów. Trzeba z myśli ówczesnych ludzi wyjąć ten znamienny rys, zbliżający jednostkę do Boga, ujrzeć mesyanizm w bogatej swojej rozmaitości, mesyanizm bynajmniej—jak zobaczymy—niejednolity i nie jeden i ten sam zawsze, a jednak co do istoty swej zgodny i zbieżny. I to nie tylko trzeba zwrócić się do tego mesyanizmu, który stanął daleko od samoubóstwienia (w ewangelicznej formie) Polski, ale i do tego, który wychodząc od koncepcyi na wskroś filozoficznych rozwinął się wspaniale i niedwuznacznie w teoryi specyalnego posłannictwa polskiego.

Dajemy tem samem wszystkiemu wspólny mianownik. Liczniki jednak pozostaną sobą i oddzielnie. Byłaby tylko rzecz w tem jeszcze, ile przyjąć tych liczników?

Jedną wszakże należy jeszcze zrobić uwagę. Wskazaliśmy powyżej na to, że romantyzm filozoficzny da się nawiązać w czasowej odległości do filozofii Spinozy. Z tego nie wynika jednak, by tem samem cały idealizm transcendentalny musiał być doktryną czysto-panteistyczną. Wprawdzie Hegel uchodzi za sofistę panteizmu, ale nie można już mierzyć naszego Trentowskiego taką miarą panteizmu. Bo ten „panteizm“ autora „Chowanny“, „Panteonu“ i „Bożycy“ jest zgoła różnym i od Spinozy i od Hegla. Sam Trentowski daje temu nieraz bardzo silny wyraz, żeby chociaż przypomnieć pierwszy tom „Panteonu“ (str. 93). Ta uwaga ma swoje znaczenie i dla mesyaniz-

mu. Bo nic łatwiejszego, jak podciągnąć albo cały polski mesyanizm, albo przynajmniej to stanowisko, które reprezentował tu wspaniale Trentowski, pod wspólny mianownik—ale naturalistycznego panteizmu, jego metod, jego teoryi. Byłby to sąd równie powierzchowny, jak swego czasu krytyka „Chowanny“, napisana przez ks. F. Kozłowskiego. I dzisiejszy wzmożony zapęd metafizyczny, a zwłaszcza t. zw. pluralizm James'a, filozoficzny pogląd, oparty o wielość we wszechświatowej rzeczywistości, pozwala nam rozumieć rzeczy podobne inaczej, t. j. że mistycyzm niekoniecznie musi być panteizmem, zwłaszcza, gdy — jak to ma miejsce np. u Słowackiego — twórcza ewolucya *ducha*, „dla którego i przez którego“ wszystko się dzieje, jest jedynem zagadnieniem tej mistycznej wiary. Zasada *jakiegoś* monizmu jest ostatecznie wspólnym wyrazem wszelkiej spekulacyi mistycznej. Ale nie każdy objaw mistyki romantycznej i mesyanizmu zdążał do swego celu na drodze naturalistycznego panteizmu. Wystarczy choćby przypomnieć Mickiewicza, który oparłszy się w swej filozofii, głównie na pismach szewca-filozofa Jakóba Boehme'go, był zdecydowanym dualistą.

Chcemy poprostu zrobić to zastrzeżenie, że mesyanista musi być ostatecznie wyznawcą metafizyki *jedności*. Dualista Mickiewicz wierzył w Stwórcę-Boga, a w Chrystusowej roli Polski widział jednego tylko posłannika Bożego.[1]) Mesyaniści: jeden głoszący teoryę rozwoju ducha (Słowacki), lub drugi oświetlający kształtowanie się bóstwa-osobowości (Trentowski), stoją blisko siebie, niezależnie od definicyi panteizmu, ale na tle spekulacyi „jedności“.

Można to jeszcze udowodnić innymi przykładami. Leibniz uratował się od Spinozizmu tylko przez przyjęcie swej harmonii przedustawnej (harmonia praestabilita). Mistyka Słowackiego niema na pozór nic wspólnego z monizmem, chyba raczej z pluralizmem, gdyż przyjmuje mnogość indywidualnych duchów, czyli zamiast jedności świata przyjmuje węzeł solidarności między duchami; duchy te jednak stanowią dla siebie jedność (odwieczne wyroki!).

Możemy teraz pokusić się o definicyę mesyanizmu. Usuwa on sprzeczność przeciwległych biegunów w myśl zasady jedności. Tą sprzecznością, a raczej tem przeciwstawieniem się jest np.: jednostka—Bóg, chrześcijanin—Chrystus. Biegunami jest wedle mesya-

[1]) Słowa Mick.: „Mesyanizm polski przyznaje swemu narodowi posłannictwo, które ma reprezentować jeden człowiek.“

nizmu różnica ilościowa w doskonałości wewnętrznej; nie zna on natomiast różnicy jakościowej. I stąd też wiara i możliwość udoskonalenia się *docześnie*, już tu na ziemi, wiara w zdobycie doskonałości Boskiej—jest cechą mesyanizmu. „Moc Chrystusowej natury“ przyświeca niejako wierze mesyanistów. Licznikami natomiast wspólnego mianownika są typy mesyanizmu, różnice, oparte na tem, czy ubóstwienie się lub u-Chrystusowienie się ma być dziełem całego narodu„ czy też jednostki, — czy uzyskanie najwyższego stopnia doskonałości dokona się w życiu jednostki, narodów, lub ludzkości, czy też w dziedzinie wiedzy czystej, — czy wreszcie to udoskonalenie się bardziej będzie umożliwione na tle stosunków socyalnych, klasowych, czy też na podstawie innych czynników—cech życia zbiorowego lub indywidualnego.

Ustaleniu pewnych typów mesyanizmu poświęcił prof. Pawlikowski, końcowe wywody swojej „Mistyki Słowackiego“. Znajdujemy tam rozróżnienie mesyanizmu: zbiorowego od indywidualnego, oraz narodowego od klasowego. (Dwa ostatnie rodzaje są zdaniem prof. Pawlikowskiego poddziałami mesyanizmu zbiorowego). Widoczne jednak z ostatnich słów naszych, że mesyanizm ma w sobie bogatszą różnorodność, że miał miejsce przedewszystkiem w zagadnieniach filozoficznych (Trentowski, Wroński), że więc trzeba w samej filozofii polskiego romantyzmu przyjąć rodzaj osobny mesyanizmu filozoficznego. A powtóre należy w zamknięciu liczby typów mesyanizmu umiejscowić i ten rodzaj, który nie pochodzi od walk społecznych, ale od zagadnienia uduchowionej pracy. Taki mesyanizm stoi na pograniczu mesyanizmu zbiorowego i indywidualnego.

Dla nas oczywiście najważniejszym jest stosunek polskiej filozofii romantycznej do mesyanizmu. Znając już platformę mesyanizmu i jego istotę, możemy teraz illustrować owe typy mesyanizmu na przykładach określonych, na samej romantycznej filozofii. Przegląd ten (w zarysie) utwierdzi słuszność zdania, że i na polu czystej wiedzy spekulatywnej, zdała od dreszczów mistyki religijnej, która była udziałem większości naszych mesyanistów, odbył się rozwój *idei mesyanizmu*. I ten mesyanizm był także wyrazem ducha czasu. Nie wywołał jednak takich skutków, nie zabarwił się tak żywo, jak mesyanizm, np. Mickiewicza lub Towiańskiego. Uznając to w zupełności, możemy tylko mimochodem zaznaczyć, że nie było celem naszym pisać o praktycznej wartości mesyanizmu, lub szukać wniosków (także praktycznych) z pytania: co nam dał i dać mógł, a co powinien był dać mesyanizm? Pytania te

(nie mniej ciekawe) wychodzą po za ramy tego szkicu filozoficzno-historycznego.

Najliczniej jest u nas reprezentowany i najsilniej ten typ mesyanizmu, który obdarza naród polski pewną dziejową misyą, przeważnie o religijnym charakterze, przy równoczesnem podkreśleniu roli wybrańców, posuwających rozwój dziejów naprzód. Można typ ten uważać za syntezę mesyanizmu zbiorowego i indywidualnego; ale charakter zbiorowy jest tu stanowczo silniejszy. Misya Towiańskiego redukuje się bodaj że do tego, co na innem podłożu, np. we Francyi, widać w St. Simonizmie. Słowa takie, jak „papież scientyficzny“, lub „Christ du second avénement“, były tam dosyć popularne w odniesieniu do osób takich, jak Enfantin, Glouton i inni, a jednak chodziło w tych utopiach mistyczno-socyalnych o odrodzenie się chrześcijaństwa na nowo, z ogłoszeniem nowożytnej „nowiny dobrej“ dla ludzkości, z założeniem nowego powszechnego kościoła katolickiego, obejmującego całą ludzkość (Lamennais, Michelet). Charakter zbiorowy jest w tej utopii zupełnie wyraźny, mimo wysuwania na czoło owych nowoczesnych papieży i nowego Chrystusa. Towiański głosi także nową ewangelię dla ducha wybranego. Bodaj że rad był wznowić dzieje apostolstwa, a siebie wyobrażać także jako mistrza tych apostołów. [1]) Porównywano wprawdzie z lubością Towiańskiego tylko do Napoleona. „Bracia“ znajdywali zupełne podobieństwo w rysach zewnętrznych jednego i drugiego. To porównanie było jednak również charakterystyczne i na wskroś mesyanistyczne, jeśli się przypomni, jaką rolę grał w umysłach ówczesnych reformatorskich duchów Napoleon. Ten sam geniusz stanie się osią, naokoło której i Wroński będzie snuł swoje mesyanistyczne pomysły.

Mickiewicz dał nam trzecią część „Dziadów“ i „Księgi pielgrzymstwa“, a pozatem cały szereg artykułów, jako wyraz swojej wiary. To mesyanistyczne posłannictwo Polski, Chrystusa narodów. I tu nie mogą nas mylić jego słowa, przytoczone już przez nas w przypisku. Albowiem tego przeobrażenia ludzkości, tego oczyszczenia się zupełnego z wszystkiego, co ludzkie—znikome, już na ziemi, miała dokonać Polska cała. (Była chwila w życiu

[1]) Wyspiański podsuwa w „Legionie“ Mickiewiczowi taką rolę w scenie „Via Appia“. Owo dzielenie chleba i rybek mówi o tem wiele. Otóż jeśli komu świtały w owym czasie i na tle owych czasów podobne myśli, to chyba Towiańskiemu.

Mickiewicza, gdy do wybranych narodów i on, śladem Towiańskiego, zaliczał nietylko Polaków).

Formę mesyanizmu zbiorowego, nie zamąconego rolą indywidualną proroków, którzy są pośrednikami w odbieraniu ostatniego objawienia Bożego, znajdujemy u Krasińskiego. (Pomijam tu wzgląd, że filozofia Krasińskiego była eklektyzmem filozoficznej lektury jego). Wystarczy wskazać na jego pojęcie o życiu, które jest nieprzerwane, bo śmierć nie jest niczem istotnem—tak, że wogóle jest tylko życie i wieczna przemiana, oraz na jego pogląd na cierpienie, jako na dźwignię rozwoju duszy, na formę tego cierpienia, jako: chrześcijańskiej ofiary. Widoczne z tego, że Krasiński dawał teoryę o indywidualnej roli jednostek w zbliżaniu do epoki przyszłości, do tego Królestwa Bożego, które głosił Cieszkowski, ale ta rola indywidualna zrozumiałą jest tylko na tle pokory. Krasiński przyjmuje czynnik samodoskonalenia się, a czując na sobie wpływ decydujący samotnego krzyża z Coliseum, podnosi do niebywałej wysokości rolę chrześcijańskiej pokory. Ale to nie jest celem. To środek tylko wobec celu: przedświtu, który wróci Polskę Chrystusową. promieniejącą, Polskę—wodza narodów.

Cieszkowski August polemizując w „Gott und Palingenesie“ z Heglem (nie co do formy, lecz co do treści), zaprzecza historyozofii Hegla i jej wartości. Chrystus był przesileniem historyi, bo wszystko, co było przed Nim, do Niego zmierzało, a wszystko, co po Nim, z Niego wyszło. Chrystus także będzie przesileniem drugiej ery chrystyanizmu, gdy w zakonie trzecim, t. j. woli i wolności (następującym po zakonie natury i zakonie kościelnym), spełni się w życiu jednostek, narodów i całej ludzkości w sposób żywy na ziemi. „Ojcze nasz“ przynosi nam ważne słowa, że „Słowo absolutne wyrzeczone zostało przez Chrystusa i w Chrystusie“. Ale w naszym świecie, w doczesności „nie stało (się) ciałem, jeszcze się społecznym nie objawiło *czynem*. Owo Słowo ma się więc stać na ziemi ciałem. Człowiek—jednostka ma tu swą rolę. Oto zdążać powinien do tego świętego celu przez modlitwę „Ojcze nasz“, rozumiejąc głębokość każdego słowa tej modlitwy i stosując ją rzetelnie w życiu. To była także obok natchnienia Mickiewicza ewangelia mesyanizmu, głoszącego Polskę Chrystusa narodów.

Królikowski Ludwik, autor słynnej „Polski Chrystusowej“, podnosi wysoko ton chrystusowo-apostolski. Prawdę widzi tylko w wierze, nie w nauce i umiejętnościach. Religia jest powiązaniem ludzi na ziemi w Królestwo Boże; kościół to społeczeństwo. Ale modlić się, to oznacza przedewszystkiem kształcić się (modła=postać, kształt). Człowiek i ludzkość przechodzi od stanu

dzikości i barbarzyństwa do chrystyanizmu przez swobodne modlenie się, wzorowanie się samodzielne. Dlatego też jest człowiekowi wrodzona wolność apostołowania. Nadchodzi czas, by głosić ewangeliczne braterstwo. Komunia św. to tylko uświęcenie zasad społecznego kommunizmu. Dlatego też najzgubniejszym przywilejem ludzi jest własność osobista. Bo ona tylko jest powodem chciwości i nienawiści. Królestwo Boże i sprawiedliwość na ziemi już się zbliża i dokona się w Polsce. Dla tego też Polska musi dać początek, t. j. zniszczyć przywileje, znieść zwierzchność wszelką, jako wyraz przemocy. Oto, jak biegną myśli Królikowskiego, zapalone i apostolskie co do tonu, myśli, które i Mickiewicza wprawiły w pochlebne dla Królikowskiego zdumienie. Mesyanizm Królikowskiego jest więc klasowy. Tendencye są tu widoczne. Według sądów emigrantów naszych po roku 1831 miał być Cieszkowski antytezą Królikowskiego, dając w swoim mesyanizmie pierwszeństwo innym, niż u Królikowskiego warstwom narodu, jako motorom odrodzenia. Na tem też tle uznano dopiero mesyanizm Krasińskiego za czysto narodowy, pozbawiony pierwiastków dysharmonii społecznej. O ile ma się na myśli Psalmy Krasińskiego i Niedokończony poemat, rzecz ta i jej słuszność nie ulega żadnej wątpliwości.

Mówiliśmy dotychczas o dwóch typach mesyanizmu: o mesyanizmie zbiorowym (ludzkość, naród) i o klasowym. Mesyanizm ściśle indywidualny nie miał jeszcze w tych urywkach swego przedstawiciela. Ale zanim przejdziemy do dalszego zobrazowania mesyanizmu, musimy jeszcze wskazać, że te formy mesyanizmu już przez nas uwzględnione, są walką przeciwieństw i ostatecznem zwycięstwem jedności. Ten bowiem rys jest wspólny zarówno mesyanizmowi w popularnem tego słowa znaczeniu, jak i filozofii polskiej romantycznej. Jest widoczne z dotychczasowych słów, że jest tu wszędzie przeciwieństwo nie tylko między niedoskonałością człowieka a nieskończoną doskonałością Boga-Chrystusa i że nietylko to przeciwieństwo ma się wyrównać przez ostateczne objawienie Ducha św., lub przez osobistą albo zbiorową pracę nad uczynieniem raz rzuconego Słowa żywem ciałem na ziemi. Sama wiara mesyanistyczna była wyprowadzana z pewnych antynomii. Taką widzieliśmy w improwizacyi Mickiewicza; Królikowski wydobywa na wierzch antynomię społeczną w części religijną; Cieszkowski nie jest również obcy antynomiom, mówiąc, że u jednych panuje rozkosz, u drugich cierpienie, że raz święci tryumf prawda, to znów kłamstwo i t. p Na tem tle właśnie uzupełnia Cieszkowski rolę modlitwy potrzebą pracy,

czynu. (Orare et laborare). A historyozofia Cieszkowskiego jest także obrazem przeciwstawiania się sobie epok poszczególnych i dążności, aż wreszcie „czynne życie w Bogu“ spełni się w epoce Ducha św. Tylko że Cieszkowski głosił w myśl swojej historyozofii, podobnie zresztą jak wszyscy prawie nasi mesyaniści, hasło ewolucyjnego, nie zaś rewolucyjnego zdobycia tej wielkiej budowy przyszłości. W tem znaczeniu i on mówi o kommunii światów, jako rezultacie kommunii indywidyów. Czy Krasiński podlega również jakim sprzecznościom, z których wypływa jego pieśń przyszłości? „Nieboska komedya“ i „Irydyon“ daje na to odpowiedź zdecydowaną. Krasiński odczuł cały tragizm walk społecznych i narodowych. Dał temu wyraz i w „Niedokończonym Poemacie“. Ale nie ulega wątpliwości, że i inny tragizm wewnętrzny był dla Krasińskiego aktualny, a mianowicie: konflikt w uczuciu, zrodzonem pod wpływem samotnego, a jednak wiecznie panującego krzyża [1]).

Tak wyrastał Chrystus-Naród; mądrość nauki Chrystusa miał w ten sposób wyłożyć Paraklet, zesłany z niebios.

Nierównie ciekawym jest i ten typ mesyanizmu, który reprezentuje Słowacki. Jest to mesyanizm indywidualistyczny. Tu Polska, jako Słowo-Naród, jest tylko materyałem dla występujących na widownı duchów. Jest to porządek rzeczy odwieczny.. Jeśli można tak rzec, to przyszłość mesyanistyczna Polski jest tylko etapem dla ewolucyi twórczej Ducha, jest terenem—realnością, na której może dopiero wyrazić się i zjawić widocznie dla wszystkich nosiciel cech wiecznych, boskich. Mesyanizm Słowackiego, tak odrębny w swoim rodzaju, tkwi także w duchu czasu. Ma liczne wzory i uzupełnienia poza sobą. Dla naszego szkicu filozoficzno-historycznego ma tem większą wartość, że cała ta mistyka Słowackiego jest co do swej istoty spekulacyą filozoficzną.

Był Słowacki samotny samotnością serca. Król-duch nosi też piętno tworu samotnika. Jeśli Hegel mówił, że myśleć to istnieć zarazem, to dla Słowackiego silnie chcieć znaczyło realizować. Teraźniejszość tłómaczy się więc przez przeszłość duchów. Narody dźwigają w pewnej epoce na sobie sprawę Bożą—ale w ten sposób, że są one narzędziem realizacyi idei jednostki—typu, wodza. Historya (jak uczy „Genezis z Ducha“) zaczyna się z głębi genezyjskiej natury, nie od człowieka. „Podobnie jak

[1] Mogę tu tylko wskazać na dzieło Kallenbacha, poświęcone młodości Krasińskiego. Tam konflikt ten jest niezmiernie źródłowo uchwycony.

przed światem stworzone było Słowo, czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnież poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla której następnie ludzie, w formę pewną, tej idei właściwą, skrystalizowani pracowali" — napisał własną ręką na rękopisie „Króla-Ducha" Słowacki. Naród-Słowo to Polska. A więc nie Chrystus narodów i nie kordyanowski Winkielried narodów—można powiedzieć, czytając te słowa. Demokracya, komunizm będą więc cielesnemi tylko formami. Jedno tylko istnieje w życiu narodów—prawo veta indywidualnego, a mianowicie, o ile ono jest zaprzeczeniem z ducha, nie z ciała. Tak pojęte (z genezyjskiej przeszłości) veto jest środkiem zachowania indywidualnej wolności duchowej. Nadczłowiek Słowackiego nie jest jednak koncepcyą przeciwspołeczną lub arystokratyczną, jak np. może być nadczłowiek Nietzschego. Jego nadczłowiek to człowiek-Chrystus, człowiek-Bóg. Duch indywidualny, będący jednostką w świecie duchów, musi szukać formy cielesnej, bo dopiero przez opór, napotkany w materyi cielesnej, ma poczucie siły i zbliża się do celu. Jest to „radosna ofiara" tego ducha, (porów. to z ofiarą chrześcijańską Krasińskiego!). Takie pojęcie ducha prowadzi do metampsychozy. Indywidualna nieśmiertelność ducha łączy się z jego ewolucyą i daje palingenezę, naukę o wielokrotnem wcieleniu, o powrocie — aż do spełnienia celu, aż się spełnią nad nim wyroki.

Duch ten ma w sobie pierwiastek woli (siła cudotwórcza) i intellektu. Nie jest więc Schopenhauerowską wolą, ani *nous* lub *pneuma* starożytnych. W dziejowej swej ewolucyi odrzuca duch coraz to inne cechy cielesne człowieka, które stają się w pewnej chwili już mniej potrzebne. Tak—uzupełnić to można—człowiek przyszły stanie się nieśmiertelny, będzie z duchem jednością. Tak jak Buddha oznacza oświecony, t. j. ten, co zlał się wewnętrznie z bóstwem, taksamo człowiek zdobędzie takie oświecenie. (Tu rozwijają się pomysły przyszłego, wyższego ustroju człowieka i w ogóle następują pomysły nawskroś mistyczne i symboliczne, które nie wiążą się bezpośrednio z naszym tematem).

Warto wspomnieć, że o ostatecznem „oświeceniu" (w innem nieco znaczeniu) mówił i Fichte, kreśląc swoich 5 epok procesu historycznego. Królestwo Boże na ziemi polskich mesyanistów znajdowało u zagranicznych reprezentantów prądu romantycznego wyraz w „ziemi obiecanej" („Chanaan" Condorcet'a), lub w wierze w powrót Chrystusa i panowanie Jego (w myśl zapowiedzi św. Jana) przez 1000 lat na ziemi, (millenaryści-chiliaści). Słowacki mówi także o epoce św. Jana, poprzedzonej Antychrystem,

przyjmuje powrót na ziemię Chrystusa. (Listy do Rembowskiego). Właściwem jednak jego „credo“ jest teorya o ewolucyi ducha, znosząca w sposób mistyczny różnicę (czasową) między duchem a materyą, niwelująca rozdźwięk między dobrem a złem, (teorya ta bowiem głosi: wypełnienie się wyroków ostatecznych, tak, że wszelkie zło musi w końcu po wielu wcieleniach zginąć i zniknąć), sprowadzająca do jednego mianownika wszelkie walki społeczne i największe choćby cierpienia, zadane jednemu narodowi przez drugi. Bo wszystko jest misyą wieczną świata duchów, których posłannictwo, występujące w typach cielesnych ludzkich, musi się na mocy wyroków spełnić. Teorya ta zarazem odrzuca pojęcie Polski-Chrystusa narodów, Polski niewinnie ukrzyżowanej (głosi to i „Anhelli“) i umęczonej, Polski zmartwychwstającej, a daje pojęcie Polski-Słowa, przechodzącej etapami (moralnie dobrymi i złymi) w dziejach swoich, spełniającej misyę wyższą i ideę, przez naród polski najdoskonalej wchłoniętą. Słowacki nie głosi więc tego samou-Chrystusowienia się, jak inni polscy mesyaniści; ale i on jest wyznawcą samooświecenia się, zlania się z Bóstwem w jedno. A rdzeniem całej tej teoryi, punktem centralnym syntezy mistyczno-mesyanistycznej Słowackiego jest wiara w prawo indywidualnego veta „z ducha“ i wiara w rolę posłanniczą jednostki—wodza—typu.

Bardzo bliskim tego odłamu mesyanizmu jest pod jednym względem Norwid. Jego teorya stygmatów czeka na takie opracowanie (dostosowane do ówczesnego stanu umysłów), jak doczekała się już teorya o „Królu-duchu“. Schodzący do grobu, gdy Nietzsche myślał o Zarathustrze, spokrewniony duchowo ze Słowackim, a poniekąd i z Hoene-Wrońskim, od którego uczył się filozofii Jakóba Boehme'go i starej Kabbały, uduchowił Norwid naturalizm swoją idealistyczną filozofią. Zmarły w przytułku ubogich potomek Jana III, śle z oddali swoim ziomkom „śmiech przez łzy“— i jest to bodaj, że wyraz jego stanowiska filozoficznego, oraz stosunku do mesyanizmu III-ej części „Dziadów“. Mesyanizmu takiego nie uznawał. Nie podzielił zapału emigracyjnej drużyny w Rzymie w r. 1848, wystąpił przeciw legionowi Mickiewicza. Nawet ofiara jednostki dla narodu nie znajdowała u niego uznania. I słusznie zauważa Krechowiecki [1]), że podczas, gdy Mickiewicz i inni nie mieli szczęścia, bo „go nie było w ojczyźnie“, Norwid głosił, że „szczęście ojczyzny ma być tylko procentem

[1]) Krechowiecki „O Cypr. Norwidzie“. Lwów, 1909. Tom II, str. 138 sq.

od szczęścia ludzkości". A takie słowa padały z piersi jeszcze młodzieńczej i w latach dla Polski tak niezwykłych. Dla Norwida ludzkość, nie ojczyzna własna, była realnością, dla której pracować należy. Nie był jednak wcale mesyanistą zbiorowym, wnoszącym ewangelię Królestwa Bożego dla ludzkości całej. Jedynie jego teorya stygmatu, teorya symbolów kultur i narodów, nosi w sobie charakter jakiegoś prawa ewolucyi; naród interesuje go w chwili, gdy wyosabia się w indywidualność. Z tego płyną t. zw. cechy dziedziczne. W tem widać podobieństwo do teoryi Słowackiego o „Królu- duchu". Ale tylko podobieństwo. Upoetyzowanym bohaterem narodowym będzie dla Norwida jednostka tem większa, im cichsza i skromniejsza. I tu miejsce na jego antynomie, na jego filozofię pracy. Stwarza mianowicie, wyznaje gorąco ideał chrześcijańsko-katolicko-bohaterski, który wciela w życie. Zapatrzyć się w majestat Boga, ale i w majestat człowieka, szukać powiązania między jednostką a Bogiem w pracy — modlitwie sztuki, oto jego ideał. Bo celem życia jest stworzyć syntezę, harmonię między słowem a czynem. Do takiej harmonii dochodzi się przez osobiste cierpienie—i stąd najbliższą harmonią jest harmonia własnej duszy. Dążyć do prawdy, „obejmującej życie", to znaczy znać życie samo, ludzką duszę. W „Promethidionie" rzuca myśl uduchowienia ręcznej pracy, którą trzeba najpierw podnieść do godności czynnego myślenia, a potem uświęcić modlitwą sztuki. To właśnie ów „podniosły ton" w życiu, który daje spokój duszy w formie choćby śmiechu przez łzy. W historyi zaś ogólnej tkwi zawsze pewna fatalność; każda epoka dziejów ma swoją fatalność, zależnie od stygmatu, znaku odziedziczonego. Ratunek z tego tylko w katolicyźmie. I Norwid był gorącym katolikiem-mistykiem.

Norwid tkwi w ówczesnym ruchu umysłowym i w ówczesnym prądzie ogólnym. Rys zasadniczy mesyanizmu, t. j. stosunek jednostki do Boga, pojęcie cierpienia, wreszcie odczuwanie dysharmonii w życiu, cechuje i jego. A jednak nie jest on wyrazicielem ani zbiorowego, ani jednostkowego mesyanizmu. Jest to raczej mesyanizm jednostkowego cierpienia i wszechludzkiego zrezygnowanego pessymizmu, mesyanizm zbudowany na bolesnej opoce pracy codziennej

Ostatnie dwa rodzaje mesyanizmu noszą już w zanadrzu cechę megalomanii, znacznie mniej oczywiście u Norwida, który w swoim mistycyzmie albo zgłębia tajemnice, albo przyjmuje je (nie zgłębiwszy) z pokorą. Dalekim był od tego i Słowacki, któremu podszepnął niejako Duch całą „Genezis" i „Króla-Ducha".

Ale rodzaj takiego mesyanizmu ułatwia, podobnie jak i filozofia Nietschego, megalomanię. Spotykamy ją u innego myśliciela, bardzo znakomitego i niedocenionego, który dał zamknięty system filozoficznego, naukowego mesyanizmu, u Hoene-Wrońskiego. Megalomania jego nie na tem może polega, (jakby się na pozór zdawało), że stosuje w praktyce wyśmiane np. przez Trentowskiego, lecz nie tylko przez niego nowości, lecz na tem, że Wroński przystąpił do wykonania niezwykłego bądź co-bądź zamiaru. Bo gdy mesyaniści nasi porzucali szybko teren filozofii i nauki i wchłaniali się całkowicie w natchnionej *wierze* i nadziei, że Królestwo Boże, zapowiedziane i oznaczone realnie spełnić się musi, to Wroński zapowiada, że naukowo, matematyczną metodą, a więc nieodwołalnie i nienaruszalnie, zamieni prawdę objawioną *w prawdę* przyrodzoną, *naukową*. A więc to, w co wierzono wówczas powszechnie, to co odnoszono do epoki przyszłej, choć tak już bliskiej, a więc przekonanie, iż prawdy objawione staną się „ciałem"—ale dopiero z chwilą nastania nowej ery, to samo ma się wyrazić zupełnie i zrozumiale filozofii — mesyanizmie Wrońskiego z chwilą, gdy np. dał wzór matematyczny absolutnego, czyli achrematycznego prawa. Ta cecha megalomanii, może dla Wrońskiego niewidoczna, występuje także u Hegla. Pod tym względem są to dwa duchy zupełnie pokrewne.

Wychodzi Wroński także z antynomii. Tak nazywa na wzór Kanta, którego stara się poprawić, przeciwieństwo, wyrażane w dwóch zawsze obozach, np. wigowie—torysi, protestantyzm — katolicyzm, republikanie—monarchiści; antynomiami są doświadczenie i objawienie; pierwsze związane z poznaniem cechuje ludzi „wyzwolonych", drugie, oparte na przeświadczeniu, na uczuciu, jest właściwością „niewolnych". A ponieważ konflikt między wyzwolonymi a niewolnikami jest wyrazem rozwoju dziejów, więc i walka między rozumem a wiarą, prawdą a cnotą, jest ostateczną, najwyższą antynomią. Rozum doprowadza do racyonalizmu, wiara do mistyki. Racyonalizm zaś i mistyka nosi w sobie cechy t. zw. chrematyczności (odtworzone, znikome). Rozum twórczy musi być więc achrematyczny, być twórcą i doświadczenia i objawienia. To będzie synteza.

Mimowoli nasuwa nam się teorya Słowackiego, zapożyczona zresztą z dawnej mistyki, teorya o tem, że człowiek przyszłości, zlany w jedno z duchem, będzie już sam twórcą. Doskonałość jego będzie tak szczytna, że rozmnażanie ludzkości będzie na prawdę cechą twórczą. Taki przywilej musiał przysługiwać w zasadzie i pierwszemu człowiekowi, przed jego upadkiem w grzechu.

Wroński wyprowadza daleko namacalniejsze wnioski. Ma on 3 pojęcia człowieka: człowieka doświadczenia (poznanie), człowieka objawienia (uczucie), wreszcie człowieka wiedzy absolutnej (rozum twórczy). Niewolnicy walczą o tryumf ostateczny cnoty, wyzwoleni o tryumf prawdy. Obydwa obozy mają swoją misyę w dziejach. Tak rodzi się historyozofia Wrońskiego. Era pierwsza wykazuje dążność ludzkości od cielesnego do duchowego dobrobytu; kresem jest tu rewolucya francuska z końca XVIII w. Era druga staje wobec zdecydowanej i zcałkowanej niejako walki wyzwolonych z niewolnikami, a w ten sposób prowadzi do ery trzeciej, wyczekiwanej z tęsknotą, przynoszącej tryumf mesyanizmu w nabyciu, wykształceniu rozumu achrematycznego, Bożego. Ta reforma przyszłości wyjdzie od chrześcijaństwa. Dlaczego? Bo chrześcijaństwo musi spełnić się całkowicie. Dotychczas przyobiecywano np. żywot wieczny, ale ludziom, jednostkom. Musi być on udziałem ludzkości, całych ludów. Nieśmiertelność nie była należycie zrozumiana. Chrystus nie był zrozumiany. Bo trzeba spoić węzłem nierozerwalnym i koniecznym z nieśmiertelnością pracę i zasługę całoludzką. Religia stanie się filozofią. Przyszłość zamknie w sobie wszystko, co było w jednym harmonijnym, absolutnym wyrazie. Daje na to Wroński wzór matematyczny.

Widać (mimo wysiłku naszego, by zrozumieć tę filozofię absolutną jaknajpraktyczniej), że Wroński nie rozwiązał teoretycznie postawionego zagadnienia mimo, iż uciekł się do formuły matematycznej. Właśnie ta formuła wykazuje, że w niej ginie zupełnie walka między (przyjętemi w założeniu), prawdą a wiarą i że rozum achrematyczny ma być prostem zsumowaniem nieokreślonego bliżej stosunku dwóch zasadniczych czynników. Dlatego chcąc rozumieć Wrońskiego, trzeba zostawić na boku właśnie owe matematyczne pretensye, a wglądnąć w jego pomysły znacznie prostsze i zrozumiałe, które on wyprowadza z części teoretycznej zagadnienia. Mamy więc wogóle antynomię społeczną. Stowarzyszenia antynomiczne, to kościół i państwo. Nad tem ma się wznieść „unia mesyaniczna“. Wroński zakłada biuro tej unii, ogłasza adres tego biura i pisze listy do panujących i papieża, żądając posłuchu. Unia ta jednak, jakkolwiek zdobyła już we Wrońskim achrematyczność, t. zn. jakkolwiek jej twórca przeistoczył już prawdę objawioną w przyrodzoną, jest tylko terenem dla przyjęcia się zasady unii w całej ludzkości. Przyjdzie jednak mocarz, który posunie dzieło błyskawicznie naprzód. Lecz to nie powrót Chrystusa, jakby tego oczekiwali millenaryści i to nie

Polska, jako Słowo-Naród, spełnia wyroki dziejów, (Słowacki), ani wreszcie Polska, jako Zbawiciel narodów ma nadejść, lecz — prorokuje Wroński, — powróci do władzy dynastya Napoleona I, która spełni wszystko ostatecznie. Wroński jest tu wyrazem prądu, panującego wśród mistyków francuskich, dla których Napoleon I był zapowiedzią przyszłości. I kult Mickiewicza dla Napoleonidów miał tu z pewnością także swoje źródło.

Jedna jedyna znajduje się u Wrońskiego wzmianka, wyróżniająca ponad wszelkie narody w ludzkości — jednak nie Polskę, lecz Słowiańszczyznę całą. Francya bowiem urabia jako naród to posłannictwo w ludzkości: praktycznie, Niemcy teoretycznie; Słowiańszczyzna zaś przez Wrońskiego spełnia je w rozumie twórczym, achrematycznie. Za Wrońskiego więc rządzą ludzkością trzy wielkie „stowarzyszenia“: prawnicze (państwo), etyczne (kościół) i mesyaniczne (unia absolutna). Ostatni jednak związek jest formą przyszłości. Przyszłość zaś pojęta została jaknajszerzej. Gdy Zamoyski wzywał Wrońskiego do czynu dla ojczyzny, odpisał Wroński odmownie, bo „na tej drodze dobije się tylko Polskę“.

Mesyanizm Wrońskiego jest istotnie oryginalny. Dowodzi bystrości i siły tego umysłu, który jakby wyczuł i przewidział najrozmaitsze formy mesyanizmu; dowodzi umysłu, który jakby zrozumiał wszelkie odcienia ówczesnych prądów mistycznych, a który znał się na wiedzy przyrodniczej i ścisłej. I jego mesyanizm ma w sobie coś z każdego ze znanych nam już odmian mesyanizmu, ujmuje dalej ówczesne nadzieje polityczne w wyraźną formę kultu Napoleona I, wreszcie ogarnia, stara się ogarnąć w jednem absolutnem wypowiedzeniu wszechświat i wszechprawdę. On bowiem przeprowadza ostateczną zgodę religii i filozofii w pojęciu rozumu achrematycznego (a więc Boskiego), zgodę pomiędzy państwem a kościołem i pomiędzy prawdą a cnotą. Hegel mógłby mu pozazdrościć takiego najszerszego możliwie horyzontu myśli! Nie mniej jednak był to wyraz niezwykłej megalomanii, jakbyśmy *dzisiaj* powiedzieli. Inni bowiem samoubóstwiali się, przyrównywali naród do Chrystusa. Ale na dnie tych mistyk spoczywała gorąca wiara, nieprzeparty prąd czynu, wielka kontemplacya i prawie że nie nowoczesna pokora. I jeśli nie powiemy o Wrońskim, że był megalomanem, to tylko dlatego, że fakt częściowego przyjęcia się i wziętości owego biura mesyanicznego świadczy także o tem, że i ten wyraz był wtedy na czasie.

A Trentowski czy był mesyanistą? Nikt przecież nie mówi i nic mówił o tem! Prawda, ale bo też dziwnie zapomnieliśmy o tak znakomitym myślicielu i polityku!

Powiedzieliśmy dopiero co, że w filozoficznym mesyanizmie Wrońskiego niema „Jeremiaszowego bólu". Niema go także i u Trentowskiego, jak nie było również (w tej formie) i u Norwida. Był jednak u autora „Chowanny" ból inny—*prawdy*. On istotnie bolał, że wiedza jest na każdym kroku krępowana, lub niedołężna, żądał głosem stanowczym i męskim wolności dla nauki, zdążał przez „wewnętrzny rozwój dojrzałości". I on jest mesyanistą—i to *jedynym u nas*, który odpowiadał w sposób filozoficzny na zagadnienia wieków, jedynym, który wykazał łączność filozofii absolutnej (uniwersalnej) z życiem, jedynym, który zjawił się z tak samodzielnym poglądem na świat. To myśliciel prawdziwie nowoczesny, który daleko w tyle poza sobą zostawił Hegla i naszych filozofów — romantyków, który w pewnym czasie zdystansował nawet Mickiewicza w wpływie na naród. Nie znamy dzisiaj tego myśliciela, który targnął się na „dziecinny" mesyanizm Mickiewicza, wysnuwając natomiast swój własny, do tamtego podobny, ale i od niego w pochodzie myśli i w konsekwencyi różny i niezależny ideał mesyaniczny Chrystusa-narodu. Trentowski snuje całą swoją filozofię z idei bożo-człowieczeństwa, a antynomią jest dla niego stosunek nauki i religii, które godzi tylko i jedynie filozofia (teozofia).

Rozwija Trentowski w swoich licznych dziełach stare hasło: Γνῶθι σαυτόν. A przeprowadza to w ten sposób: człowiek jest w poznaniu swojem najpierw realistą. Rzeczywistość pojmuje w sposób naiwny, a wiedzę opiera na zmysłach. To jest stopień poznania pierwszy: *sentio, ergo mundus est.* (Nazwalibyśmy to sensualizmem). Następnie staje się człowiek idealistą, (powiedzielibyśmy: racyonalistą). To drugi stopień poznania: *cogito, ergo sum.* W końcu zostaje człowiek jednym i drugim „w jedni". To najwyższy stopień poznania, (synteza): *animadverto, ergo Deus est.* „Poznaj samego siebie", to znaczy: *poznaj Boga i siebie, jako bóstwo.* To jest właśnie jedyna prawda absolutna, to jest *rzeczywistość.* Poczuć się bóstwem, „zbożać się" jest celem życia jednostki i narodu. Zbliżać się do doskonałości w prawdzie, cnocie i pięknie, zdobyć w życiu doczesnem „Kalokagatię" — oto treść wykształcenia „bóstwa" w sobie i innych, na drodze *istoty* chrześcijaństwa. Istota ta nie może przeczyć istocie innych religii — bo jedna jest tylko prawda. Filozofia wznosi się ponad jednostronności, powinna ogarnąć wszechświat uniwersal-

nie, wszechstronnie. Tu tylko pogodzenie antynomii. Ma zaś człowiek w sobie boski pierwiastek, a więc może rozwijać bóstwo, czyli może wypracować sam swoją wieczność, bo składa się nie tylko z materyi i ducha, lecz i z boskiego, wiekuiście rzeczywistego pierwiastka: *z jaźni*. To, co w istocie swej jest człowiekiem, jego osobowością (*seitas pura*), nie może być ani cielesnego wyłącznie, ani duchowego pochodzenia pierwiastkowego. Osobowość jest rezultatem *życia konkretnego*, a więc współdziałania wzajemnego ciała i duszy. Więc osoba jest wynikiem przenikającej się siły: duszy i ciała, jest skutkiem istnienia jaźni. Poznaje człowiek sam siebie, t. zn. poznaje się jako bóstwo, czyli poznaje cel swój: dobro, doskonałość. Taki jest ideał bożo-człowieczeństwa.

Tej właśnie idei filozoficznej, zrozumianej u nas zupełnie opacznie i niejednokrotnie nawet tendencyjnie wykrętnie, bo człowiekowi tak pełnemu religii, jak Trentowski, zarzucało się t. zw. „doktrynę pychy“, zawdzięczał Trentowski atak na jego filozofię tak silny, że aż zapomniano o nim. Idea ta jednak jest typem filozoficznego mesyanizmu, pojętego na podłożu konkretnego życia jednostki i narodu, przez co Trentowski wiązał swoją filozofię bezpośrednio z życiem samem. Że wyrażał prawdę „absolutną“, nic dziwnego. Było to przecież w epoce, w której wyobrażano sobie—jak wiemy—że stosunek jednostki do Boga da się ułożyć (w znaczeniu doskonałości) tylko w jeden sposób, t. j. że jednostka *zleje się w jedno z Bogiem*. Trentowski wyraża myśl, wówczas panującą w ramach filozofii uniwersalnej. Nie chodzi tu oto, czy to panteizm, czy nie, lecz oto, że Trentowski jest pierwszorzędnym mesyanistą [1]). Trentowski zresztą stawia Boga ponad ludzkością (ponad „bóstwami“), jako „jaźń najwyższą, bezwzględną“. Powiada wyraźnie przecież: „w nas jest bóstwo od Boga zawisłe, a Bóg jest *za nami* i nie zawisł od nikogo“. („Bożyca“ i „Stosunek filozofii do teologii“). Mesyanizm Trentowskiego jest przytem filozofią narodową. Oto w „Panteonie“, gdy mówi o bożo-obrazowości, o tem, że czem jesteśmy już *in potentia*, (jako zaród i zdolność), tem powinniśmy się stać *in actu*, podnosi Trentowski w etyce najwyższy ideał, t. j.: „Naród — ideał etyczny“. Czytamy tam słowa: „Nie dość, że kilkunastu rodaków umiłuje Bożo-obrazowość i kształcić się pocznie, patrząc na ideał etyczny. Wszystek naród uczynić to powinien“. Naród ca-

[1]) Omówieniu panteizmu i mesyanizmu poświęcam specyalne rozdziały w dziele o Trentowskim, które wyjdzie niebawem drukiem.

ły ma być tak doskonały i stać się zbiorowo, „jako jeden wielki Syn Boży“. Tu już zamknąć można mesyanizm Trentowskiego. Naród jego powinien się stać Chrystusem, nie tylko *poetycznie*, ale konkretnie. To właśnie bożoobrazowość *in sempiterno* (warunkiem: brak jednostronności, tolerancya i t. p.). Lecz dlaczego naród, nie jednostka, bo przecież wywiódł Trentowski swoją filozofię uniwersalną od poznania jednostkowego i od pojęcia osoby-bóstwa? Zdaje się to tłómaczyć nasz filozof w tych znamionujących „ducha czasu“ słowach: „Jeżeli Chrystus sam jeden podołał zbawić świat, to Chrystus-Naród podniesie to zbawienie do wyższej potęgi. Czy może być coś górniejszego i świętszego nad Naród, Ideał etyczny?“ („Panteon“ III, str. 208). Tym ideałem, opartym o zdanie, że nie wyznanie religijne stanowi naród, bo Polak byłby wtedy bratem Hiszpana i t. d., działał Trentowski na Krasińskiego, na cały, świetny i wspaniały, a zapomniany *wiek Trentowskiego*.

Trentowski (podobny pod niejednym względem do Słowackiego, którego zupełnie nie znał) powtórzył cały zapał minionego mesyanizmu i w latach spóźnionych. Trzeba nie zapominać o tem, że gdy pisał „Panteon“, była to już druga połowa XIX w. Duch czasu tak się już wtedy przeistoczył, że nasz Kremer odcinał się od pierwotnego swego hegelizmu, a kierunek przyrodniczy święcił już swój tryumf. Już w „Chowannie“ jednak (piąty dziesiątek lat) pisał Trentowski o przeznaczeniu szczepu indo-słowiańskiego, który „dzisiaj przedstawia *czyn*“. To przeznaczenie zostało ujęte w słowach: „stać się pełnym kwiatem narodów dawnych i teraźniejszych“. Czyn ten będzie słowiański, a „bliżej polski“.

Oto obraz mesyanizmu filozoficznego, typ filozofii uniwersalnej. I Trentowski — podobnie jak Wroński — daje „wzorzec“ na dziejowe prawo rozwoju. Jest ono znacznie prostsze, a wyraża formułę teraźniejszości, która przechodzi w wieczność. Wzór ten: D=JW, t. j. „Dziś“-teraźniejszość, równa się iloczynowi, wogóle związkowi „jutra“-przyszłości z „wczoraj“-przeszłością.

Wymieniliśmy najgłówniejszych przedstawicieli romantyzmu filozoficznego w Polsce, o ile on miał związek z mesyanizmem. Z konieczności pominięte zostały myśli drobniejsze, nie mniej ciekawsze, ale niezharmonizowane w mesyanistyczną całość. Gołuchowski Józef, np. oparłszy się na Schellingu i na Chalybaeusie, pragnie także znieść walkę między wiarą i rozumem. Mówi o „intuicyi wieczności“; doskonałość państwa widzi w wolności powszechnego „osiedlania się idej wśród ludzi“; wola jest religijną. W tem znaczeniu tezą Gołuchowskiego jest: *volo, ergo cogito, ergo*

sum, („Dumania“ tom II.), a Królestwo Boże jest tylko Królestwem pokoju i błogości. („Filozofia i życie“).

Cały ten bogaty romantyzm filozoficzny, nurzający się w pomysłach mesyanizmu, oscylował w przeciwnościach rozumu i uczucia, co cechuje cały, nietylko filozoficzny, romantyzm. Im silniej zarysowywała się ta sprzeczność w życiu, im silniej były targane wnętrza serc naszych wielkich romantyków i metafizyków, im większe dawała pole filozofia spekulacyjna walkom systematów i poglądów, im wreszcie dotkliwsze spadały na nas klęski narodowe, tem potężniej wzbijał się w górę lot pegazowy naszych mesyanistów. A równocześnie i poza Polską rozgrywała się tragedya. Nadzieje wiązane do ery Napoleońskiej, runęły niepowrotnie. Wróciła najpierw reakcya, a potem konieczność dalszej walki. A tymczasem wyrosła wiara w posłannictwo czyjeś, w konieczność tego posłannictwa. Można uważać rok 1848 za punkt kulminacyjny tej wiary i tego nastroju. Jeden Trentowski, trzeźwy wobec Napoleońskiej idei, żądał od każdego nie posłannictwa, ale życia *rzeczywistego*.

A i nastrój ten był sam w sobie ciekawy. Zaczęła się jeszcze ongiś, za św. Augustyna, pierwsza właściwa historyozofia, pierwsza próba filozofowania dziejów. Wówczas, gdy upadająca monarchia uniwersalna rzymska szerzyła w umysłach popłoch, bo tak niezbicie wierzono w niezniszczalność uniwersalnej potęgi, że z jej końcem przepowiadano zarazem i koniec świata wogóle, wówczas właśnie zjawiła się ta historyozofia Augustyańska, pokazująca w dziele „De civitate Dei“ promienną jutrzenkę Królestwa Bożego, jako okresu ostatniego (siódmego) rozwoju dziejów. Ale gdy to Królestwo Boże miało nastąpić w świecie drugim, świecie dobra, kędy króluje rzeczywiście Chrystus, wierzyli nasi romantycy, utopiści mistycy i filozofowie XIX wieku w Królestwo Boże—lecz na ziemi, gdzie panować będzie albo Chrystus sam, wracając na lat 1000, albo Jego prawda wieczna, zdobyta przez narody i ucieleśniona w wybranych jednostkach, w narodzie lub w ludzkości. Tem żywiej przeto działała myśl o bliskiem już Królestwie Bożem na ziemi, im większą była nadzieja, że świat nasz dostanie Króla-Ducha, że się „zboży“, a więc, że niema nastąpić koniec świata, ale jego właściwe wypełnienie się.

Dr. Władysław Horodyski.

Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI.

Krasiński a Norwid.

I.

„Klaskaniem mając obrzękłe prawice,
Znudzony pieśnią, lud wołał o czyny;
Wzdychały jeszcze dorodne wawrzyny,
Konary swemi wietrząc błyskawice.
Było w ojczyźnie laurowo i ciemno
I już ni miejsca dawano, ni godzin
Dla nieczekanych powić i narodzin,
Gdy Boży palec zaświtał nade mną,
Nie zdając liczby z rzeczy, które czyni,
Żyć mi rozkazał w żywota pustyni!...“

Słowa te, chociaż wyszły z pod pióra poety w późniejszych latach jego życia—bo w cyklu *Vade mecum* ich miejsce—przytoczyć można w zupełności, jeśli idzie o określenie ogólne stosunku Norwida do świata, w którym dane mu było żyć, i ludzi, z którymi splótł się bieg jego losów. „W ojczyźnie było laurowo i ciemno“, gdy witał światło dnia ten poeta o niezwykłej wszechstronności twórczej, działa listopadowe przygrywały pierwszym latom jego dzieciństwa, „lud, znudzony pieśnią, wołał o czyny“, gdyż miał już „obrzękłe klaskaniem prawice“, a „dorodne wawrzyny“ poetów „wzdychały jeszcze wietrząc błyskawice“ narodowych przejść i doświadczeń—gdy „Boży palec“ powołał poetę do życia, które było dla niego „pustynią“. Lecz chociaż „pustynią“ mógł nazwać Norwid swe życie, gdy rodził się wspaniały cykl *Vade-mecum*, bo osamotnienie prawie zupełne w pustelni pa-

ryskiej było jedyną przyjaciółką chwil twórczych i miało nią do końca Norwidowego życia pozostać, bywały jednak w tem życiu chwile jaśniejsze, bardziej świetlane, kiedy „prawice ludu“ obrzękły od oklasków dla jego chwały. Takim okresem chwały w życiu poety, niezwykle szybkiego rozgłosu jego imienia, tryumfów wprost młodocianych, „dorodnych wawrzynów“ i cudnie zapowiadającej się przyszłości—były lata młodości poety. Od pierwszych wystąpień w Warszawie, w latach jeszcze zupełnie młodzieńczych, przez Berlin, Bruksellę i Rzym, aż do przybycia na emigracyę paryską w początkach r. 1849 — to czas zdobywczego pochodu Norwida. Poeta, malarz i rysownik, zdumiewający rozległością myśli twórczej i bogactwem horyzontów myślowych, olśniewający wszystkich niesłychaną łatwością, z jaką dokonywał się u niego wszelki proces twórczy, głuszył zrazu wokoło siebie niezwykłością talentu nawet głosy uprzedzeń i krytyki. A towarzyszyła ona Norwidowi od wczesnej młodości, jakby jakaś linia równoległa do rozgłosu twórcy i potęgująca się w miarę jego rozwoju. Miał lat dwadzieścia, gdy pisano już doń ody. Głośną była w Warszawie i z ust do ust podawaną oda, jaką Antoni Czaykowski wystosował do Norwida, gdy ten po podróży odbytej po kraju w r. 1842 wraz z Władysławem Wężykiem „czytał w niedzielę u Leona hr. Łubieńskiego wiersz przecudowny, w którym opowiedział to co widział“:

„Orle! rodzinne przemierzasz obszary,
Pijesz słońce, a nad ziemią
Dwa się twoje skrzydła ciemią;
Skrzydła miłości i wiary...
. . . . . :
Orle Norwidzie.
. . . . . .
O, ty Noe! W arce twojej
Przyszły zaród świata stoi.
Bóg świat stary w arkę schował,
By nim nowy odbudował.
Niema dębu bez korzenia,
Biją źródła przy ruczajach,
A na starych obyczajach,
Wiek się nowy rozzielenia.
I Norwidzie, twoje fale,
Gdzieś z odwiecznych źródeł płyną,
To tak tęskne jako żale
Tkliwej matki za dzieciną;
To znów męskie i ogniste
Topisz potem na łzy czyste,
To nam niesiesz stare drzewa
Wybujałe i omszone,
To znów słońce się rozlewa
Na twe nurty zapienione
I uperla malowanki
Jako jasne sny kochanki;
Nurt rozlany i głęboki,
A twa siła wyżej sięga.
Lecisz—pryskasz pod obłoki,
A jaskrawa uczuć pręga
Z ziemi w niebo pędzi wiry,
Jakby struny boskiej liry...“[1])

[1]) Wiersz ten, współcześnie bardzo znany i powtarzany, pojawił się poraz pierwszy drukiem w „Słowie“. Zeszyt I. Miesiąc styczeń 1859 r., Peters-

Odę tę, która z czasem miała stać się podkładem trawestacyi i dowcipów ze strony niechętnych Norwidowi ludzi, jak A. E. Koźmiana[1]) i Gaszyńskiego[2]), powtarzano współcześnie w Warszawie i uważano za wymiernik przyszłej poetyckiej sławy Norwida. Rodziła się ona rychło a wraz z nią głosy uprzedzeń i niechęci do poety. Pewna, już w najwcześniejszych wierszach widoczna, twórcza ekskluzywność poety, rzucenie szablonu a szukanie dróg własnych, silnie określony indywidualizm, wiodący łatwo ku niezrozumieniu, ciemności, a nawet manierze stylowej, wraz z czysto impulsywnym tej twórczości charakterem — były materyałem podatnym do powolnego wytwarzania separatyzmu, rozdziału poety z otoczeniem i czytelnikami.

Obok licznych zrazu wielbicieli poety, zwłaszcza w czasie pierwszych występów poetyckich na terenie warszawskim, rośli jego przeciwnicy. Zdania o samym Norwidzie były tak podzielone, że świadectwa współczesnych, które nas doszły, różnią się nieraz bardzo znacznie. „Cypryan Norwid—pisał o nim w r. 1882 Teofil Lenartowicz, przyjaciel jeszcze z czasów warszawskich — zapowiadał coś wielkiego i oryginalnego, więcej niż my wszyscy; pochwały i pycha szalona otumaniły go; uwierzył w swoją Najwyższość w epoce po Byronie, zapomniał o warunkach poezyi, że ta w pięknej tylko szacie, świątecznie ma się pokazywać, i filozofię swojego pomysłu, niby chrześciańską i platońską, a pełną goryczy utajonej i zwątpienia, w najniezrozumialszej formie i zaniedbanym wierszem, począł w formie poematów pisać; nie oceniony, bo są tam pod dziwactwem formy głębokie i piękne myśli. Coraz bardziej oddzielał się od świata, artysta niepospolity jako rysownik, dusza rozdarta i jakby z pajęczyny cała, gorzko się uśmiechając z wyrazem: Mieliście jedną wielkość i czyście ją zrozumieli?... osiadł w domu starców, głuchy... i ot

burg. str. 144—9. Nie zwrócono do tej pory uwagi, że wszystkie ówczesne wierszyki puszczane w świat z kół Norwidowi nieprzychylnych i osławiających go z powodu odrębnego charakteru jego poezyi, były ironiczną parafrazą tej właśnie ody. Dwa mamy tego świadectwa A. E. Koźmiana i Konstantego Gaszyńskiego.

[1]) Por. Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana (1829—1864). II. Część pierwsza (1830—1856). We Lwowie 1894 r. str. 73—4 i 78.

[2]) Por. Listy Konstantego Gaszyńskiego do Lucyana Siemieńskiego (1851—1866). (Kossowski Stan., „Przyczynki i materyały do dziejów literatury polskiej". I. Listy romantyków), str. 32—8.

tam zakończy zapewne swoje lata"..." [1]) Chociaż w słowach tych, pisanych jeszcze przed śmiercią Norwida, widać pewnego rodzaju przesunięcie linii w ocenie poety, gdyż pisząc je w r. 1882 miał Lenartowicz w pamięci późniejsze ułożenie się stosunku Norwida do społeczeństwa mimo to nie mogą one podlegać wątpliwości w tem, co stanowi ich treść, bo pochodzą od człowieka, który jeden z nielicznych dochował Norwidowi pamięci i przyjaźni do ostatnich, bardzo smutnych lat życia. A zdanie to samo powtórzy Lenartowicz i uzupełni charakterystykę Norwida, opisując swój przyjazd do Paryża w r. 1849: „Cypryan Norwid, który służył mi za kornaka w Paryżu—raz szalenie pyszny, raz dobry jak anioł, czuły i pełen serca"...[2]).

Że poeta już od najwcześniejszych chwil działania stanął w stosunku do swego otoczenia dość sprzecznem — to pewne. Sprzęgało się na to czynników wiele: zdeklarowany już od pierwszej chwili indywidualizm poetycki, ogromnie rychły proces dojrzewania talentu, który odrazu zaznaczył to wszystko, co później tylko uległo rozwojowi, samoistny rodzaj twórczości, który musiał wydawać się obcym pokoleniu wsłuchanemu w dźwięki romantycznej Muzy i łączył Norwida bardziej z hasłami doby epigonów romantyzmu, niż pierwiastków składowych w epoce jego świetności, a nadto atmosfera literacka Warszawy w latach około r. 1840—oto dane, które odegrały niemałą rolę w czasach pobytu Norwida w kraju, a to w kierunku urobienia stosunku poety do społeczeństwa.

Raz wytworzona atmosfera towarzyszyła Norwidowi dalej; że tak było, dowodem niezwykła jednomyślność sądu o poecie ze strony tych wszystkich, którzy zetkną się z nim jeszcze w kraju, potem w czasie podróży zagranicznej, a nawet w Rzymie i Paryżu. Rzecz naturalna, że rozdźwięk ten w latach następnych musiał wzrastać; krzepniejący w swych siłach talent poetycki Norwida uwydatniał coraz bardziej własny rodzaj i znamiona; rozszerzyła się arena poetyckiego działania; wyfrunięcie na szeroki świat złączyło Norwida z rozmaitymi ludźmi, dopuściło do uczestnictwa w gotujących się czynach. W takich warunkach indywidualizm

---

[1]) Witte Kazimierz, „Cyganerya warszawska" i Teofil Lenartowicz. „Tyg. ill.", 1904 r. T. II. nr. 27, str. 526 (Z listu Lenartowicza do K. Wittego z Bolonii, z kwietnia 1882).

[2]) Wspomnienie o Bohdanie Zaleskim z listu T. Lenartowicza do A. Pługa. „Kłosy" 1886 № 1091, str. 332.

poety musiał ulegać coraz silniejszemu uwypukleniu; Norwid stawał się sam sobą, wzmagał się natomiast rozdział z tymi, którzy stanowili otoczenie poety i naturalne tło jego działania. Nie może również ulegać wątpliwości, że do tego stanu rzeczy przyczyniły się czynniki natury czysto-życiowej. Nieszczęśliwa miłość do pani Kalergis, a potem Maryi Trembickiej, odsuwała twórcę coraz bardziej od życia, prąc naturalnym rzeczy porządkiem w świat własny, wolny od niedoli życiowej, i zmuszała do tworzenia własnego ideowego kręgu myśli. A ten fakt życiowy, tak znamienny i dotkliwy w skutkach dla umysłów twórczych, przypadł u Norwida właśnie na chwilę największego rozwoju poglądów artystycznych, urabiania siebie samego w centrach nauki i sztuki. Więc zaród boleści i smutku życia, wypowiadający się nie łzami i sentymentem, lecz goryczą piołunu i ironią nad sprzecznością życia z ideałem, musiał opanować tkliwą i już w uposażeniu swem pozbawioną wszelkiej spoistości duszę poety. Są to kwestye, których przy ocenie talentu i charakteru Norwida pominąć nie wolno.'

Tymczasem artysta opuszcza kraj. Kalejdoskopowym ruchem w przeciągu lat trzech (od r. 1843—6) przesuwają się przed jego oczyma miejsca i ludzie: Włochy, a głównie Florencya i Neapol, tu nauka u sławnych mistrzów; Berlin—znajomość z Augustem Cieszkowskim, Stanisławem i Janem Koźmianami, w życiu tragedya miłosna; Bruksella—przyjaźń ze starym generałem, Janem Skrzyneckim; wreszcie Rzym, od początków r. 1847, a tu zetknięcie z Bohdanem Zaleskim, Stefanem Witwickim, Krasińskim i Mickiewiczem. Norwid miał wówczas lat 26.

Jeśli zbliżenia się niezwykłych ludzi nie pozostają prawie nigdy bez echa dla historyi i dorobku twórczości ludzkiej, jeśli stosunki wielkich ludzi ze sobą, to osobna karta dziejów ducha i literatury każdego narodu — fakt ten nabiera jeszcze większej wagi, gdy ma miejsce między ludźmi rzeczywiście wielkimi, i w niecodziennych warunkach ich życia, a do tego w szczególnej chwili historycznej. Tak było z Norwidem i Krasińskim. Poznaniu ich i przyjaźni tłem był Rzym, pobudką i przyśpiewem wiosna ludów. Na tronie rzymskim zasiadł Pius IX, wielki papież; radość życia opanowała serca polskie, bo w myśl wierzeń duchowych przewodników narodu zbliżała się epoka czynów, przepowiadana w poetyckiej wróżbie. I Krasiński i Mickiewicz dążyli do Rzymu w jednakim prawie celu, lecz zasadniczo różniły się drogi, na których pragnęli doń dojść; w Rzymie bawił już Norwid.

I w dziejach romantyzmu polskiego stosunki poetów ze sobą pierwszorzędną zajmują rolę; Mickiewicz — Słowacki, Słowacki — Krasiński, Mickiewicz — Krasiński — oto najważniejsze spojenia ludzi i duchów, tak różnych między sobą i wielkich nawet w swem przeciwieństwie. Jako czwarty wciska się dziś w ten zawrotny wir wymiany myśli i fali zdarzeń, w których brali udział, i w historyę duchowej łączności poetów — Cypryan Kamil Norwid. Znany i głośny, rozmaicie, a często niesprawiedliwie, oceniany przez współczesnych, zapomniany przez pokolenie pierwsze, odżywa w pokoleniu drugiem. Zdarzenia życiowe i dziejowe złączyły go z wielkimi ludźmi; odgrzebanie i wskrzeszenie jego współudziału przydaje laurów i pomnaża wieniec ich chwały. „Że poeta ten—powiada o Norwidzie Aleksander Niewiarowski, który zetknął się z nim na emigracyi — posiadał talent wielki i oryginalny razem, dowodzi tego między innemi uznanie, jakie dla niego okazywali trzej najwięksi geniusze mowy naszej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. O takiem uznaniu pierwszego świadczy syn jego Władysław w liście, jaki wkrótce po zgonie Norwida napisał do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“; drugi, to jest Słowacki, wprawdzie bardzo późno, bo dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią poznał się z Cypryanem osobiście, lecz utwory jego znał dawniej, a niektóre z nich jak np. „Pióro“ wysoko cenił [1]). Krasiński wreszcie najbardziej się zajmował Norwidem, a oprócz talentu cenił w nim pilną, niezachwianą wiarę, pod której sztandarem obadwaj służyli wiernie. Norwid też szczycił się przyjaźnią autora „Irydyona“ i z upodobaniem pokazywał mi kilka listów jego, świadczących o tem wymownie“ [2]). A było to w chwili, gdy autor wspomnienia „raz ostatni spotkał się z Cypryanem na wędrówce po szerokim świecie — a było to w Paryżu w r. 1849 w miesiącu styczniu“. Norwid był wówczas „w położeniu materyalnem nie świetnem“ [3]).

Jak się rozwijał stosunek Krasińskiego z Norwidem, jakie dzieje tej przyjaźni, jej rozkwit, rozwianie i przedśmiertne odżycie—oto pytanie, które domaga się odpowiedzi. A do niedawna mogła historya literatury powiedzieć o tem zaledwie słów kilka.

---

[1]) Patrz: Cypryana Norwida Pisma zebrane, wydał Zenon Przesmycki. Warszawa—Kraków, 1911 r. T. A. str. 55—6.

[2]) Aleksander Półkozic, Cypryan Norwid. „Kłosy“, 1886 r., № 1116, str. 336.

[3]) Tamże.

Jeszcze w r. 1904 w pamiątkowym tomie „Chimery“, poświęconym Norwidowi, pisał Zenon Przesmycki, że wśród postulatów Norwidowskich wyłania się jako jeden, nie małej wagi, stosunek jego z Krasińskim; lecz również nie wiele potrafił o tem powiedzieć: „W Rzymie zapewne również poznał się młody poeta i sprzyjaźnił głęboko z Zygmuntem Krasińskim. Korespondencya, która później przez lat szereg toczyła się między nimi, i której epiłogiem wydaje się datowana z r. 1859 przedmowa do poematu „Quidam“, byłaby dokumentem literackim wagi niezmiernej. Niestety z listów Norwida, według łaskawie udzielonej mi informacyi, nie przechował się ani jeden. Wszystkie natomiast odnośne listy Zygmunta, które Norwid odesłał mu podobno w przystępie rozdrażnienia, istnieją w ręku rodziny“...[1]) To też już Adam Krechowiecki w swej publikacyi o Norwidzie, wydanej w r. 1909, uważał za stosowne ująć stosunki Norwida z Mickiewiczem i Krasińskim w jeden samoistny, choć niedługi rozdział (T. I, VI rozdz.) i przydał do dziejów tego stosunku nieco nowego materyału z papierów po Bohdanie Zaleskim[2]). W ostatniej niemal chwili ukazało się do tej kwestyi kilka źródeł nowych. Rok 1911 przyniósł listy Krasińskiego do Koźmiana[3]), w ostatnich zaś miesiącach wyszły listy do Cieszkowskiego[4]); i jedne i drugie zawierają szereg szczegółów do dziejów stosunku Krasińskiego z Norwidem. Historya przyjaźni poetyckiej poczyna powoli nabierać życia, szczegóły wypełniają dotychczasowe braki, a wspaniałem tłem całości jest rozpoczęte wydawnictwo Pism zebranych Norwida, pozwalające nam patrzeć na poetę właśnie w chwili zawiązania i rozwoju przyjaźni z Krasińskim. Postulat Przesmyckiego, który jest w społeczeństwie polskiem odbudowcą Norwidowej pamięci, może się spełnić. Dzieje przyjaźni z Krasińskim dadzą się powoli ująć w całość i przedstawić w jaśniejszem świetle. Braków

[1]) Z. P. (rzesmycki), Z notat o C. Norwidzie. „Chimera“, T. VIII, str. 443.

[2]) Adam Krechowiecki, O Cypryanie Norwidzie. Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i pracy poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych. T. I—II. We Lwowie, 1909.

[3]) Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Koźmiana. Pamiętnik literacki 1911. Rocznik X. W cytowaniu tych listów powołuję się zawsze na paginacyę w Pamiętniku.

[4]) Listy Zygmunta Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego, z autografów wydał Józef Kallenbach. T. I—II. (T. II listy z lat 1848—1859). Kraków, 1912 r.

pozostanie tu wprawdzie jeszcze wiele, lecz te wobec zaguby pewnych materyałów może już nigdy nie będą wypełnione i wyjaśnione. Przyjaźń więc Krasińskiego z Norwidem wchodzi do historyi problematu naznaczonego powyżej, i staje obok stosunków jego z Mickiewiczem i Słowackim. Można śmiało przytoczyć zakończenie wiersza, w którego początku określał Norwid swe tragiczne położenie wobec świata:

„Syn minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku,
Co znika dzisiaj (iż czytane pędem)
Za panowania pantheizmu — druku,
Pod ołowianej litery urzędem —
I, jak zdarzało się na rzymskim bruku,
Mając pod stopy katakumb korytarz,
Nad czołem słońce i jaw ufny w błędzie,
Tak znów odczyta on, co ty dziś czytasz,
Ale on spomni mnie... bo mnie nie będzie![1])

II.

„Teraz powiem ci, mój drogi—pisał Krasiński do Stanisława Koźmiana z Nicei dnia 21 kwietnia 1847 r.—że tłómaczenie Danta jest dobre, a przydałbym miernie dobre. Pierwsze dwa wiersze, mojem zdaniem, zmienić trzeba. Poco to *Jak*, które drugi wiersz rozpoczyna. W Dancie tej formy zapytawczej niema. To zupełnie barwę zmienia i nic potem. Zresztą dobre. Trudność, jedna z najnieprzezwyciężeńszych, więc żądać więcej nie można. Kłaniaj się mu odemnie i powiedz, że bardzo żałuję, iż nigdy się z nim nie zeszedłem, ale żem czytał wiele jego wierszy—że mam go za mistrza w robocie zewnętrznej wiersza, ale że mniemam, iż nieraz zanadto tej robocie poświęca wewnętrzną treść, która nie dość jasno wygląda z pod tej dźwięcznej i ślicznie utoczonej powłoki,—że zresztą w tłómaczeniu Danta tego zarzutu mu nie czynię, bo jasne,—żądałbym tu zawsze trochę więcej energii zewnętrznej w wierszu samym. Uważasz, szczere zdanie tu mówię. Znasz człowieka lepiej odemnie. Jeśli to ma go obrazić, to nic nie mów—tylko że bardzo dobre“[2]). Oto pierwsza, najwcześniejsza i dość

[1]) „Chimera“, T. VIII. Wiersz wstępny (Z cyklu: „Vade-mecum“).
[2]) Listy do St. Koźmiana. l. c. s. 300.

dyskretna wiadomość o Norwidzie, jaką znajdujemy w listach Krasińskiego, a zarazem pierwsza z jego strony ocena twórczości Norwida. List ten, jak wszystkie inne listy Krasińskiego do siebie, opatrzył Koźmian w późnych latach życia objaśnieniem, pragnąc, aby kiedyś, gdy ujrzą tłocznię drukarską, wyszły opatrzone wiarygodnym komentarzem; znajdujemy tu słowa: „Wyjątki z przekładu Danta, o których (Krasiński) mówi, udzielone mu przezemnie, pochodziły od Norwida“[1]). Pierwsze więc zetknięcie Krasińskiego z Norwidem, narazie duchowe, nastąpiło na terenie zagadnień literackiej natury. Pośrednikiem był tu Stanisław Koźmian, z którym od końca r. 1846 zawiązał Krasiński korespondencyę serdeczną i obfitą. Donosząc przyjacielowi o rozmaitych sprawach i ludziach i wprowadzając go listownie w zakres własnych zagadnień myślowych, przesłał mu Koźmian w liście z pierwszych dni kwietnia 1847 r. rękopiśmienny przekład pierwszej i drugiej pieśni „Piekła“, dokonany przez Norwida w r. 1846 lub najdalej na początku r. 1847[2]); samego tłómacza poznał Koźmian w Berlinie, gdy w maju r. 1846 zawitał tu na ślub brata. Wówczas także nastąpiło poznanie Norwida z Janem Koźmianem i Augustem Cieszkowskim. Poeta przeżywał w tym czasie smutne chwile życia; nad studyami artystycznemi zawisła, jakby tragiczna zmora, nieszczęśliwa i nieziszczalna miłość ku Maryi Kalergis, budząc zamęt w myślach poety i rozstrój w duszy artysty. Miarę nieszczęść miało dopełnić uwięzienie Norwida i nagły wyjazd z Berlina, połączony z przymusowem odstawieniem do granicy. Koźmian podążył z Berlina do Rzymu, Norwid do Brukselli; z Rzymu też przesłał Koźmian Krasińskiemu wspomniany przekład. Musiał niezawodnie w tym samym liście donosić Krasińskiemu o drażliwościach artystycznych Norwida, skoro Krasiński ocenę przekładu podawał w formie tak dyskretnej. Zawierał jednak wspomniany list również polecenie Norwida, znanego zresztą

[1]) Listy do St. Koźmiana str. 301.

[2]) Przekład ten w druku pojawił się bardzo późno, bo dopiero w r. 1862 w „Pokłosiu“, zbiorance literackiej na korzyść sierot. Poznań, str. 49—60; dziś: Pisma zebrane... T. A. str. 289—300. Wydawca Pism w przypisach (str. 853) powiada: „Mimo późnej daty pierwodruku, odnosimy z całą stanowczością do r. 1848 powstanie tego tłómaczenia“. List jednak do Koźmiana stwierdza, że datę powstania przekładu trzeba przesunąć na chwilę wskazaną powyżej. Por. także w tej sprawie notatkę: Notz Karol, Pamiątki po C. Norwidzie. Tydzień, Dod. liter. nauk. do „Kuryera lwowskiego“. 1905 r., № 27, str. 220.

Krasińskiemu już z czasopism warszawskich, gdyż w „Piśmiennictwie polskiem“ Skimborowicza, „Przeglądzie warszawskim“ i „Bibliotece warszawskiej“ ukazywały się młodociane utwory poety już od r. 1840[1]). Pewne jest, że Koźmian był pośrednikiem nie tylko w zainteresowaniu Krasińskiego osobą Norwida, lecz także w ich poznaniu w Rzymie. W uwagach bowiem do jednego z listów Krasińskiego z r. 1851, gdy już stosunek przyjaźni Norwida z Krasińskim się zerwał, pisze: „Jakżem żałował, żem przynaglił Zygmunta do bliższej znajomości z Norwidem[2])“. Należy przypuszczać, że Koźmian nie omieszkał donieść również Norwidowi, co Krasiński powiedział o jego poezyach. Był bowiem Norwid przedmiotem rozmowy między Koźmianem a Krasińskim w czasie ich zjazdu w Heidelbergu w październiku r. 1847 [3]), może jeszcze przedtem w Nicei w maju tego roku[4]), i Koźmian pchnął Norwida, który od początków r. 1847 przebywał w Rzymie, jak również Krasińskiego, gdy ten pod koniec tego roku do Rzymu

[1]) Nadto w r. 1847 w „Przeglądzie poznańskim“ T. V. ukazała się w Wiadomościach bieżących (str. 670—78) korespondencya z Rzymu (pisana, jak przypuszczam, przez Stanisława Koźmiana), omawiająca artystów polskich, zamieszkałych w Rzymie w r. 1847. Krasiński, stały czytelnik „Przeglądu“, wspierający go materyalnie i moralnie, mógł w korespondencyi tej znaleść również wiadomość o Norwidzie. Jest to wogóle najwcześniejsza a dotąd nieznana ocena Norwida jako artysty. Korespondent wymieniał i charakteryzował cały szereg artystów Polaków, a o Norwidzie pisał: „Nie wiemy, gdzie, w jakiej kategoryi postawić Norwida. Belletrysta, krytyk, poeta, rzeźbiarz, rysownik, malarz; daje on codzień dowody nieprzebranej obfitości i twórczości. Rozproszenie podobne nie może istnieć bez uszczerbku na wewnętrznej sile, i co w takim razie zyskuje się na rozciągłości, to się na głębi tracić musi. Lecz u niego przeciwnie. Zdaje się, że jedno drugie wzmacnia, rozpłomienia, i tworząc równowagę, pewną nienaruszalną jedność stanowi. Myślimy jednak, cała siła w jeden musi pójść kierunek, i że wtedy wszystko dzisiejsze okaże się tylko przygotowawczem do pojedyńczego, ale pełnego powołania. Dziś Norwid zajmuje się najwięcej malarstwem. Widzieliśmy w jego pracowni karton wielkiej piękności, przedstawiający Chrystusa dającego błogosławieństwo z krzyża. Pomysł i rysunek arcyśmiały. O bogactwie szkiców, ilustracyi, ozdób do różnych poematów, to do modlitw i psalmów, tyle wszyscy pochlebnego słyszeli, iż dobrze zrobiłby autor, gdyby je w sztychu wydał na widok publiczny“.

[2]) Listy do Stan. Koźmiana l. c. str. 381.

[3]) Por. tamże str. 322.

[4]) Tamże str. 306.

się wybierał, do wzajemnego zbliżenia się. W Rzymie bowiem nastąpiło powtórne spotkanie Koźmiana z Norwidem.

Miał jednak Norwid i drugiego informatora co do osoby Krasińskiego, a był nim Józef Bohdan Zaleski, który zetknął się z Norwidem również w Rzymie w r. 1847, pokochał go i zawarł przyjaźń serdeczną i jedyną dozgonną w życiu Cypryana. Zaleski był—jak wiadomo—dość sceptycznie usposobiony w sądach o Krasińskim i liczne tego dowody znajdujemy w korespondencyi Bohdana; sąd ten zmienił się nieco dopiero po wydaniu *Resurrecturis*, lecz stosunki Zaleskiego z Krasińskim nie były nigdy zbyt blizkie. Już w r. 1845 po wydaniu Trzech psalmów ocenił je Zaleski jako „dobre kawałki, ale i mnóstwo miernych", a samego autora nazwał wiecznym „rewelatorem"[1]); później, w styczniu r. 1848, donosząc Norwidowi o wyjeździe Mickiewicza do Rzymu nazwie go „antypodem Zygmunta"[2]), a po śmierci Krasińskiego poda następującą krótką charakterystykę autora „Nieboskiej" i swoich z nim stosunków: „Wyczytałem w dzienniku „Constitutionel" wieść o śmierci Zygmunta Krasińskiego. Artykuł nędzny, podnoszący głównie arystokratyczne pochodzenie zmarłego. Rozczuliłem się jednak w duszy i pomodliłem się za nieboszczyka. Krótkie moje z nim stosunki w Rzymie, raził mnie swą pańskością, ale genialny człowiek, dobry Polak i podobno nawrócony do prawowierności"[3]).

Nieraz musiał być Krasiński na ustach obu przyjaciół w czasie ich rozmów w Rzymie, skoro po wyjeździe Zaleskiego donoszą sobie obaj, co Krasiński robi i gdzie się znajduje. W jednym z listów z ostatnich tygodni r. 1847, gdy Zygmunta jeszcze w Rzymie nie było—przybył tu bowiem dopiero 30 grudnia tego roku[4])—donosił Norwid Zaleskiemu, że „Zygmunt jeszcze nie przybył"[5]).

[1]) Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Wydał Dyonizy Zaleski. T. II. Lwów 1901, str. 38 (List do Ludwika Jankowskiego z Paryża, 9 września 1845 r.).

[2]) Tamże str. 91 (List do Cypryana Norwida z 27 stycznia 1848 r.).

[3]) Korespondencya J. B. Zaleskiego. T. III. Lwów, 1902, str. 18 (List z Fontainebleau z 27 lutego 1859 r. do Franc. Duchińskiego w Paryżu).

[4]) Ulegając życzeniu ojca, by spędził zimę w Rzymie, przybył Krasiński do wiecznego miasta 30 grudnia 1847 r., bo 1 stycznia 1848 r. donosił Sołtanowi z Rzymu: „Zawczorajem tu stanął". Por. Listy Zygm. Krasińskiego. T. II. Do Adama Sołtana, z przedmową J. I. Kraszewskiego. Lwów 1883 r. str. 366.

[5]) Por. Krechowiecki, O Cypryanie Norwidzie. T. I. str. 72.

W odpowiedzi Bohdana na ten list znalazł Norwid słowa, że „Adam to antypod Zygmunta“ [1]). W międzyczasie jednak w styczniu r. 1848 poznał się Norwid z Krasińskim. Przekonamy się, że znajomość przybrała odrazu charakter serdeczny, gdyż Norwid już w liście z 9 lutego 1848 r. broni Zygmunta przed Zaleskim: „To, co mi piszesz o Zygmuncie, zmodyfikowałbyś sam zapewne, gdybyś go widział po pobycie w sercu ziemi naszej, tak nieustannie zakrwawionem. Nie przeczę ci, ile owszem jako dobrą nowinę piszę, iż Zygmunt jest jednym z niezwyczajnych przykładów trzeźwości w mistycyzmie, którą tylko znajomość katolicyzmu zrodzić może. I (nie wiem jak było), ale dzisiaj widzę w nim miarę wyrobioną, a ku rzeczom Bożym i Ojczystym miłość szczerze gorącą“ [2]). Zapewne więc pewien sceptycyzm religijny, pewna „trzeźwość w mistycyzmie“ — jak ją Norwid nazywa — była przyczyną dość chłodnego odnoszenia się Zaleskiego do Zygmunta. Zdziwić nas to nie może, skoro — jak wiadomo — nawrót ku szczerej religijności odbył się u Krasińskiego dopiero po r. 1846, a Zaleski przepalał się w żarze religijnego uczucia już od pierwszych lat pobytu na emigracyi, i uczucie to w nim rosło i wzmagało się w miarę lat, rozwoju zdarzeń emigracyjnego życia i kłębienia się fali wypadków dziejowych.

Tymczasem Krasiński przybył do Rzymu. „Tu stan rzeczy— donosił w dwa dni po przybyciu Sołtanowi—na dwoje babka wróżyła, albo starosta, albo kapucyn. Chrystus niewidomy, a św. Piotrowi niemniej trzeba umieć chodzić po falach i nie utonąć, trudna sztuka. Z jednej strony tłumy, coraz liczniejsze i śmielsze, po dziedzińcach dolnych; z drugiej, nad gankiem, w górze, dwie ręce zbrojne tylko błogosławieństwem. Oto sceny, aktory, a zdaleka tło czarne, szerokie, kędy błyszczą bagnety, gotowe do pochodu za lada nieporządkiem. Czy się wszystko odbędzie harmonijnie, czy też zamęt nastąpi, a dopiero z zamętem strój po długim rozstroju? To Bóg wie jeden. Co pewnego uważaj, to to: wiek, który dotąd drzemał i leżał, już przetarł oczy i ruszył w pochód; tego ruchu nikt i nic już nie wstrzyma, ale może być to pochód pijanego, zataczającego się, albo też stąpanie miarowe, pewne swego, i prędzej, a bez krwi, zwycięskie, o czem jednak wątpię“ [3]). Przewidywania Krasińskiego miały się spełnić w r.

[1]) Korespondencya J. B. Zaleskiego. T. II. Lwów 1901. str. 91, list do C. Norwida z 27 stycznia 1848 r.

[2]) Krechowiecki l. c. str. 86, ustęp przytoczony z manuskryptu.

[3]) Listy do Adama Sołtana str. 367.

1848 z przedziwną prawdą. „Wiek, który dotąd drzemał i leżał... przetarł oczy i ruszył w pochód...“; ruszył do Rzymu również Krasiński, bo przeczuwał zbliżający się bieg wypadków, który kołem swem musiał ogarnąć naród polski i duchowych sterników jego łodzi. Prócz względów na zdrowie, które w zimie wymagało klimatu południa, pędziło go do Rzymu przekonanie, że nadchodzący rok będzie brzemienny w wypadki, które oczyszczą atmosferę Europy, położą kres zmateryalizowanej polityce jej państw i z zamętu wyłonią nową epokę miłości Bożej wśród społeczeństw, tryumfu idei chrześciańskiej nad światem, uosobionej w stolicy Piotrowej i jej rządcy, a przez to zmianę w położeniu jego ojczyzny. Zdawało się mu, że wizya Przedświtu poczyna przyjmować realne kształty, że blizkie zwycięstwo ducha nad materyą, że myśli wszystkich katolickich państw ześrodkują się u stóp nowego namiestnika Chrystusowego, który przyszedł, by wszcząć politykę czynu, wyswobodzić tych, którzy cierpieli dla idei Bożej i wprowadzić nowy układ rzeczy w świecie polityki. Chwila taka zdawała się zbliżać. Na tronie rzymskim po Grzegorzu XVI, zapisanym tak smutno w pamięci Polaków, zasiadł Pius IX, którego przyjaźń dla Polski nie mogła podlegać wątpliwości. Duszę poetę przejęła radość; przebaczał Rzymowi wszystkie krzywdy wobec jego narodu spełnione, darowywał, że polityka tronu papieskiego za rządów Grzegorza XVI, nie zawsze umiała iść w zgodzie z dążeniami jego narodu, który w swym historycznym rozwoju niósł stale świadectwo myśli Bożej[1]). Radosną i jedną z najszczęśliwszych chwil w życiu przeżywał wówczas Krasiński; nad zgorzkieniem i żałobą, jaką wniósł do serca poety r. 1846, brzaski poczynały świtać, a ostatnie miesiące r. 1847 i pierwsze pobytu w Rzymie to okres wyjątkowego wprost panowania optymizmu u Krasińskiego w poglądach na losy świata i jego ojczyzny. Ewolucya duchowa poety, która zatrzymała się przy ostatecznem przeświątczeniu, że zbliża się epoka czynu, zdawała się iść w parze z rozwojem zdarzeń. „Ach do Romy dniem i nocą spieszy duch—pisał już w sierpniu r. 1847 do Stan. Koźmiana. Ach! daj mi podporucznikostwo w strzelcach papieskich! Cała emigracya, jeśli o pierwszym wystrzale tam się nie rzuci, jeśli, gdy dzwon Ś-go Piotra zadzwoni o wolność świętą w świecie, nie zapomni

[1]) Por. Tarnowski Stan., Zygmunt Krasiński. T. II. Kraków 1912. str. 248 i n. i Kleiner Juliusz, Zygmunt Krasiński, Dzieje myśli. T. II. Lwów 1912, str. 162 i n.

ona wszystkiego głupiego i nie obaczy, że Polska tam, gdzie zarazem i w jedni: i Bóg ojców i wnuków swoboda, przeszłość i przyszłość, ziemia i niebo, po długim rozbracie pobratanie nazad—to gorzko i litośnie trza będzie zapłakać nad nią i wyrzec: Nic—to: ona!..“[1]). W tem przeświadczeniu, do którego przywiodło go i rozmyślanie filozoficzne, i wiara ojców, i bystrość patrzenia w wypadki dziejowe, w tej niezwykłej radości życia przybywał do Rzymu. Rok nowy będzie rokiem burz i wstrząśnień; ruszą się państwa w posadach, zadrży od rewolucyjnych drgnień stara Europa, wytworzą się nowe formy życie dla ludów. Srodze się łudził. Ogarniał go tylko lęk, by to, co się stanie, nie stało się na gruzach kopuły Piotrowej, by radykalizm i demagogia nie wzięły góry, bał się Towianizmu i jego tendencyi panslawistycznej, lękał się centralizacyi emigracyjnej. Już 15 maja 1848 r. dał temu wszystkiemu silny wyraz w liście do Stan. Małachowskiego[2]). Ten stan optymizmu, jaki obecnie zapanował, minie już po kilku miesiącach; nie przejdzie pół roku a wypadki włoskie potępi Krasiński dosadnie, potępi Mickiewicza i rewolucyę paryską i utwierdzi się w mniemaniu, że burza wypadków r. 1848 i zrodzony z niej zamęt pojęć to nowe doświadczenie ludzkości i jego narodu przez Boga. Narazie, gdy przybywał do Rzymu, był dobrej myśli; bawiła już tu ta przedziwna mniszka, matka Makryna Mieczysławska, chodziły słuchy, że Mickiewicz ma ruszyć z Paryża do wiecznego miasta.

Współudział Norwida w gotujących się wypadkach rzymskich nie był zrazu tak żywy. Gorąca wiara i prawowierny duch katolicki, który potrafi go w latach najbliższych powstrzymać od błędów Towiańszczyzny, łączyły ściśle jego myśli i sympatye z rolą i losami papiestwa. Sam w swej autobiografii, pisanej w latach późniejszych, określi swój współudział w wypadkach rzymskich, w sposób lakoniczny: „był przytomnym atakowi na Kwirynał w Rzymie, a zachowanie się jego ówdzie zjednało mu, iż J. Ś. Pius IX w pokorze swej raczył pisać do Norwida apostolski zapieczętowany list“[3]).

---

[1]) Listy do Stan. Koźmiana. l. c. str. 312 (list z Heidelbergu. 19 sierpnia 1847 r.).

[2]) Listy Zygm. Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego. W Krakowie 1885. str. 143.

[3]) Por. Kopera Feliks, Nieznana autobiografia Cypryana Norwida. Wiadomości numizmat. archeol. T. III. Kraków 1898. str. 354—8. Fakt ten miał—jak się zdaje miejsce—29 kwietnia 1848 r. Por. Nieznane listy A. Mickiewi-

Nie wiemy nic bliżej, jakie było zachowanie się Norwida wobec zdarzeń w Rzymie. To pewne, że nie brał udziału w legionie Mickiewicza i że był świadkiem walki ulicznej, ataku na Kwirynał, ucieczki papieża z Rzymu i zamordowania ministra Rossiego. Czy spełniał jakąkolwiek rolę czynną—świadectw pewnych niema. Jedynem wyjaśnieniem mogłyby tu być słowa Krasińskiego, zanotowane w liście do Stan. Małachowskiego z Rzymu w dniu 15 maja 1848 r.: „Odpisuję tak późno, bo sił, palców, myślim nie miał do pisma, a potem dni te straszne nastąpiły. Rzeź i rabunek co chwila zaglądały przez bramę, przez okna. Czuwaliśmy po nocach z Norwidem i Orpiszewskim, otoczeni dubeltówkami i pistoletami. Lojola ściśle się powiązał z Mazzinim, obaj starali się o anarchię i upadek Piusa. Biedny Pius, dał sumienie święte i czyste uwieść pierwszemu, a wtedy pierwszy rzekł do drugiego: „obal a zemścij mnie“. Taka prawda dziejów tutejszych. Lękam się o kopułę, by porysowawszy się, nie runęła“ [1]). Ustęp ten możemy rozumieć zarówno jako akt samoobrony wobec rewolucyi ulicznej, jak też widzieć w opisanym fakcie czynny współudział w obronie walącego się tronu papieża; słowa z autobiografii Norwida przemawiałyby za pojmowaniem ostatniem. Jestem jednak skłonny przypuścić, że czynnikiem pobudzającym do wystąpienia z bronią w ręku był Krasiński; cały bowiem pobyt Norwida w Rzymie przez r. 1848 uprawnia do mniemania, że aspiracye artystyczne brały w nim górę nawet wobec tak ważnych zdarzeń dziejowych.

Wśród tego rodzaju gotujących się wypadków nastąpiło poznanie Norwida z Krasińskim. Stało się to przed 25 stycznia 1848 r., a więc wnet po przyjeździe Krasińskiego, w miejscu dla życia i twórczości Zygmunta tak znamiennem, bo w Koloseum. „Kiedy poraz drugi cię widziałem — pisał Norwid 9 lutego tego roku do Bohdana Zaleskiego, wspominając fakt zaprzyjaźnienia się w Rzymie—stało się jakoś, iż do Colosseum (pomnisz) szliśmy. Podobnie i z Zygmuntem przypadek nas tamże zaprowadził. Radbym, aby podobnie z panem Adamem, po tej ziemi, tak do Polski podobnej, krótką odbyć pielgrzymkę“ [2]). Pisał to Nor-

---

cza i Z. Krasińskiego, wydał Józef Kallenbach. Pamiątkowa księga 1866—1906 (Prace byłych uczniów Stan. Tarnowskiego). T. I. Kraków 1904. str. 269. (Tu str. 255—81: Listy Z. Krasińskiego do L. Orpiszewskiego).

[1]) Listy do Stan. Małachowskiego. l. c. str. 144.

[2]) Krechowiecki. l. c. T. I. str. 65.

wid po wiadomości, jaką otrzymał od Krasińskiego, że Mickiewicz trzy dni przedtem (6 lutego) przybył do wiecznego miasta; w dniu pisania listu nastąpiło właśnie spotkanie Zygmunta z Adamem. Norwid poznał go niezawodnie w dniach najbliższych.

Od pierwszej chwili spotkania się z Krasińskim przylgnął Norwid do wybitnego przyjaciela. Przyjaźń weszła odrazu w stadyum serdeczne i młody poeta wchodzi w kółko osób najbliższych, grupujących się około autora „Irydyona". Zeszli się bowiem nie tylko dwaj ludzie, lecz dwaj poeci, i to w niezwykłej chwili historycznej, w jakiej zwykła łączyć ludzi nietylko wspólność przekonań, lecz nawet przynależność do tego samego narodu. Krasińskiego z Norwidem związało i jedno i drugie. Obaj opierali się w tym czasie o podkład wierzeń ściśle katolickich, stali zdala od dążności emigracyi paryskiej, zetknęli się w wiecznem mieście: jeden poeta młody, o duszy niesłychanie wrażliwej i łatwo chłonącej, wobec starszego brata po lutni, który siłą swej myśli, mocą poetyckiego imienia i rozległością doświadczenia życiowego musiał wywierać nań wpływ wybitny. Poetycka struna nieraz zadrgała w tych pierwszych miesiącach przyjaźni. Już 25 stycznia tego roku donosił Krasiński Stan. Koźmianowi: „Z Norwidem zapoznałem się -to nie z kaleczących ni raniących—owszem. Skarb mu wielki dan od Boga — byle go umiał użyć — co najtrudniejsze. Kolory i światło—to nic—ale tęcza uwita, rozpostarta na niebie z nich, foremna, rytmiczna, istna przepaska niebios, to wszystkiem, to trudnem — i w każdej sferze ludzkiej, nie tylko w artystycznej! Miły i uprzejmy duch ten Norwidowy—ale zdaje mi się, że jeszcze sam siebie nie stworzył! Nie wyrzekł w głębiach swych własnych *fiat lux!* ale przyjdzie ta chwila i stanie się on potęgą!"[1]). Silne więc było pierwsze wrażenie poznania, a utrzymuje się ono w miesiącach następnych. Norwid—jak zaznaczyłem—należy do najściślejszego otoczenia Krasińskiego wraz z Ludwikiem Orpiszewskim, Wład. Zamojskim i Kajsiewiczem. Tymczasem od Koźmiana przyszła odpowiedź, a w niej jakieś słowa obawy o Norwida, skoro Krasiński w następnym liście z 20 lutego powraca do jego osoby: „Co do orlikowego oka Norwidowego, nie lękaj się. Spadł wzrok jego w pracowni Castelbianca na leżące broszurki—wziął w palce—koniuszkiem palców samych kilka kartek przewrócił a oczyma w sufit patrzał — potem nazad położył i wyszedł. Nader uprzejma natura, bez namiętno-

[1]) Listy do Stan. Koźmiana. l. c. str. 331.

ści żadnej, bez stronniczości. Brat jego się stowianił i tu przyjeżdża w tych dniach"[1]). Ze słów tych możemy wnioskować, że wymiana myśli z Koźmianem na temat osoby Norwida musiała dotyczyć jego artystycznych dążności i poetyckiej strony duszy, co do których zapewne Koźmian wyrażał jakieś obawy i powątpiewania[2]).

W tym więc czasie, gdy w Rzymie wypadki poczynają się kłębić, Norwid oddany jest jeszcze przeważnie swym artystycznym marzeniom. Wkrótce jednak musiał je przerwać i uledz fali wypadków. Nie mogła w tem pozostać bez wpływu przyjaźń z Krasińskim, który—jak wiadomo brał udział we wszystkich ówczesnych wystąpieniach Polaków wobec papieża i wypadków włoskich. Krasiński był przedstawicielem dążności wręcz przeciwnych tym, jakie reprezentował Mickiewicz. Pozorna zgoda w pierwszych tygodniach pobytu Mickiewicza w Rzymie przeszła wnet w wyraźne potępienie czynów i kroków Adama przez Krasińskiego; potępiał w nim nietylko Towiańczyka, lecz nie godził się na metodę działania, zwłaszcza od chwili rozbratu Mickiewicza ze Zmartwychwstańcami; widział w nim demagoga, będącego zaprzeczeniem wszystkich myśli i pragnień, jakie sam w duszy swej wytworzył. Już 28 marca pisał Koźmianowi: „Tu niesłychanych dokazuje wysileń p. Ad.(am), by wyrwać błogosławieństwo i sztandar z rąk Piusowych, a za pomocą tego uświęcić Towiańszczyznę. Walka między nim a duchem Makryny rozpoczęta. Dużo zgorszenia — dużo nieładu, niezgody. 60-ciu jest naszych, a wszystko między nimi wre wojną cywilną. Nieboska już i tu. 20-tu p. Ad. przeciągnął na swoją stronę. Jest w Towiańszczyźnie ono piekło, o którem w Apokalipsie: „Ma rogi podobne barankowym, ale jak mówi smok", bo nienawiść wre w ich sercach, a wielkie prawdy mówią. Bóg od ich zwycięstwa Polskę strzeż— rosną w potęgę i liczbę"[3]). Rozdział między Mickiewiczem a Krasińskim, poczęty w tych czasach, miał się—jak wiadomo—pogłębiać coraz bardziej i doprowadził do zupełnego zerwania i całkowitego potępienia działalności Mickiewicza. Dotknięty do ży-

---

[1]) Listy do St. Koźmiana l. c., str. 334.

[2]) Tak należałoby wnioskować ze złączenia osoby Norwida z Castelbianco. Castelbianco — rzeźbiarz, później żołnierz w obronie papieża; o nim w liście do Koźmiana z 25 stycznia (l. c. str. 332): „Castelbianco pracuje nad Chrystusem fale uśmierzającym".

[3]) Listy do Koźmiana. l. c. str. 335.

wego w swych katolickich przekonaniach nie oszczędzał Krasiński Mickiewicza ani obecnie, ani później, gdy ów po powrocie do Paryża przystąpił do Trybuny ludów, a swemu bezwzględnemu oburzeniu dla roli Mickiewicza w wypadkach włoskich i rewolucie paryskiej dał wielokrotnie otwarty zupełnie wyraz w listach do przyjaciół. „Czerwony sztandar“ Mickiewicza — jak sam nazwie jego działalność—budził w nim odrazę i oburzenie.

Jakże się w tej walce dwu potężnych duchów polskich zachował Norwid? Porwany siłą indywidualizmu Mickiewicza należał w pierwszej chwili do tej dwunastki, która stanowiła zawiązek legionu polskiego; lecz już w trzy dni po posłuchaniu Mickiewicza u papieża, na sejmiku emigracyjnym, odbytym pod przewodnictwem ks. Aleks. Jełowickiego, gdy Mickiewicz żądał, by przy wyborze wodza legionu polskiego uwzględniono tylko takiego człowieka, któryby nie należał do żadnej partyi i wyobrażał *ideę nową*, wyłączając przez to wszystkich przedstawicieli „przeszłych, niepowrotnych czasów“, wystąpił przeciw temu Norwid wraz z Edwardem Łubieńskim, mówiąc, „iż do takiego legionu polskiego, któryby chciał zerwać z przeszłością narodową, on żadną miarą należeć nie może. Co rzekłszy, z listy legionistów, na poprzedniem posiedzeniu spisanej, wymazał się“[1]). Zajął więc Norwid wobec Mickiewicza stanowisko zupełnie takie same, jak Krasiński, i rodzą się przypuszczenia, że na krok ten zdobył się może nie bez wpływu swego przyjaciela. Od tej chwili łączyło ich także potępienie działalności Mickiewicza.

Krok stanowczy, na jaki zdobył się Norwid wobec Mickiewicza, nie musiał mu przyjść łatwo. Nazajutrz bowiem po zerwaniu „w liście najwyraźniej przedstawił wszystko, co przeciw kierunkowi przez Mickiewicza programowemu miał na sercu“, a nadto gdy ten wydał swój znany „Skład zasad“, w obszernym liście do Bohdana Zaleskiego, z daty 24 kwietnia[2]), a następnie do generała Jana Skrzyneckiego starał się swój krok wyjaśnić i poprzeć. W liście do Zaleskiego zbijał szczegółowo wywody Mickiewicza, w piśmie natomiast do Skrzyneckiego dawał tylko ogólną ocenę sytuacyi. Lecz pismo to jest tem ciekawsze, że w jego tonie i treści dźwięczą myśli te same, jakim dawał wyraz Krasiński w osądzeniu postępowania Mickiewicza w listach do

[1]) Smolikowski Paweł, Historya zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. W Krakowie 1896. T. IV. str. 189.

[2]) Patrz: Krechowiecki. l. c. T. I. str. 95 i n.

przyjaciół. Zgoda między Krasińskim a Norwidem, oparta o tożsamość myśli, a nawet wyrażeń, panuje w ocenie Mickiewicza i jego działania tak zupełna, że trudno ją uważać za coś przypadkowego, lecz raczej musimy w niej widzieć wynik wspólnych rozmów i zupełnej łączności duchowej w odnoszeniu się do przywódcy legionu polskiego. „Długo mógłbym pisać o osobistych mych cierpieniach — czytamy w liście do Skrzyneckiego z dnia 15 kwietnia 1848 r. — które były powodem, iż ze wszystkimi prawie mą korespondencyę zerwałem. Pomijam to wszakże i zatrzymam się tylko nad ostatnią (do dziś licząc) boleścią. Generał wie zapewne, iż Mickiewicz przybył tu—że pragnął (szczerze, jak sądzę) się ukorzyć przed Naczelnikiem Chrześciaństwa i wieku tego i narodów. Trudno zapewneby opisać, jak się tu znalazł, jaką formę względem Kościoła i Polaków ten poeta wielki zająć raczył; dość, że (smutno mi wyrzec) znalazłem go albo nałogowo tak już ugrzązłym w tym kierunku *radykalizmu mistycznego*, że się wydobyć zeń nie może, albo najpotężniejszym oszukańcem, jakiego przykładu dotąd niema. Ten człowiek straszny jest dla Polski... *Dobre i złe* mięsza się w subtelności mistycznych formuł jego—na niczem osadzić się nie można w stosunkach z nim, i chyba niewolnikiem jego zostać trzeba...“[1]) Zbyt przejrzyście przeziera w tych słowach zdanie, jakie miał Krasiński o udziale Mickiewicza w zdarzeniach rzymskich, by przyjąć je za samoistny sąd Norwida.

Miał jednak Norwid w Rzymie prócz zdarzeń, które rozgrywały się na arenie dziejowej i dotykały jego narodu, także osobiste swoje cierpienia. Zgorzknienie i ironiczne wejrzenie na wypadki i ludzi wkradło się do serca młodego artysty. Nieszczęśliwa miłość, potęgowana świadomością, że w życiu jego pozostanie uczuciem nigdy niezaspokojonem, brak wieści przez czas dłuższy ze strony Maryi Trembickiej o ukochanej, starcie z Mickiewiczem i rozwianie planów artystycznych, które rozbijały się o jakiś bezwład duchowy artysty, niepowodzenia poetyckie,—wszystko to sprawiało, że pragnął z Włoch wyrwać się i uciec gdzieś w świat daleki. Już w roku poprzednim nie czuł się w Rzymie dobrze i wówczas namawiał go Zaleski, by przeniósł się do Paryża. Obecnie niezadowolenie z życia i miejsca pobytu wzmogło się jeszcze bardziej i w marcu już, a więc w czasie, kiedy

[1]) T. (J. Barański), Z teki generała Skrzyneckiego. Przegląd polski. 1886. T. 81. str. 560.

nastąpiło poróżnienie się z Mickiewiczem, pragnął Norwid Rzym opuścić, w chwili, w której — jak pisał Krasiński 28 marca do Koźmiana—„gromowym nawałem spieszą wypadki“, zbliżają się „dni sądu nad epoką całą“, „kilka tysięcy ochotników poszło do Lombardyi“, „Król sardyński wszedł z wojskiem do Lombardyi“, a my „od dni 12-tu zupełnieśmy przecięci od wszelkich nowin paryskich lądową drogą przybywalnych“... A „Norwid dotąd tu“[1]).

„Zaskoczony wypadkami, bezpieniężny“ musiał pozostać w Rzymie.

„Opasaniśmy wojną zewsząd—pisał Krasiński 9 kwietnia do Augusta Cieszkowskiego—w Lombardyi wre—na drodze z Tryestu do Wiednia powstanie słowiańskie—w Genui 200 rodzin angielskich czeka dla braku koni wziętych pod zaprzęgi wojenne... Norwid wybiera się ze mną, innych kilku także, ale wszyscy tak jak ja, zaskoczeni wypadkami, bezpieniężni“[2]); chciał wyruszyć i „nad Ren kierować się przez Genuę i Genewę“ w chwili, gdy w Rzymie „na każdy dzień zapowiedzian rabunek, rzeź, abominacya w świętych miejscach. *Śmierć Piusowi!* piszą po wszystkich rogach ulic. Życie stało się udręczeniem. Miejsce każde drży pod stopami“. „Tu od tygodnia dni i nocy opłakane pędzim (list do Cieszkowskiego z 23 kwietnia). Co chwila grożą nam rabunkiem i zgonem,—papieżowi śmiercią“[3]). Lecz plan podróży wkrótce się zmienił; już nie nad Ren, lecz do Paryża chce Krasiński podążyć, a wraz z nim Norwid. „Norwid Ci się kłania—czytamy w tym samym liście—ze mną jedzie“[4]). Tymczasem rozstrój społeczny się wzmagał, w maju — jak widzieliśmy powyżej — musieli „wraz z Norwidem i Orpiszewskim czuwać, otoczeni dubeltówkami i pistoletami“, sytuacya polityczna wikłała się coraz bardziej, we Francyi gotowała się rewolucya. „Od dnia do dnia“ wyjeżdżał Krasiński z Rzymu, „były atoli pewne rzeczy“, które go zatrzymywały. Skądinąd wiemy, że miewał tajne audyencye u Piusa IX, któremu radził, aby stanął przeciw Austryi na czele zjednoczonych Włoch[5]). 31 maja jest jeszcze w Rzymie i wyjeżdża dopiero w pierwszej połowie czerwca, lecz sam

[1]) Listy do Stan. Koźmiana. l. c str. 335.
[2]) Listy do Cieszkowskiego. T. II. str. 16—17
[3]) Tamże, str. 21.
[4]) Tamże, str. 24.
[5]) Tamże, str. 27.

bez Norwida, który pozostał w wiecznem mieście z Ludwikiem Orpiszewskim.

Co było przyczyną, że Norwid nie opuścił Rzymu — nie potrafię powiedzieć. Czy niepewność ze strony Krasińskiego, dokąd się uda, gdyż po przyjeździe do Paryża pobyt swój okrywa tajemnicą, czy brak środków finansowych, czy też zmiana postanowienia w ostatniej chwili, wywołana jakimś innym powodem, nie jestem w stanie rozstrzygnąć wobec braku danych. 20 czerwca jest Krasiński w Genui, 22-go w Turynie, a 3 lipca widzimy go już w Paryżu. Stąd też pisząc natychmiast po wyjeździe do Orpiszewskiego do Rzymu dodaje, by „przyłączony—do listu—bilecik oddał Norwidowi i prosił go, by nikomu nie wspominał, że stąd pisany“ [1]). Następny list, również do Orpiszewskiego, z dnia 14 lipca, daje już obraz położenia w Paryżu. „Dotądem tu—odwlekany termin strasznego rozruchu mnie wstrzymał od dnia do dnia. Na dziś naznaczona zguba Babylonu. Myślę, że nic nie będzie, alem się został. Zawczoraj Towiańskiego i Guta zaaresztowano—o tej samej godzinie cud się zdarzył, bo o tej samej zjawił się tu brat Adam i wziął znów rządy i zastępstwo! Wierz teraz tym ludziom i ich wyznaniom, legiom itd. Oczywiście, com twierdził milion razy, oczywistem się pokazuje. Towianizm w ścisłem połączeniu z podziemiami, w których się knują spiski szatańskie przeciw ludzkości. Nigdy wyobraźnia nie zdoła wymarzyć okropności tu się dziejących po pewnych lochach...“ [2]). Ten czarny z apokaliptyczną grozą malowany obraz stosunków w Paryżu i roli w nich Mickiewicza i Towiańczyków, nie miał pozostać obcy Norwidowi. List bowiem zawierał dopisek: „Udziel tych wiadomości Norwidowi“, a dalej słowa, już wprost dla Norwida przeznaczone: „Pani Kalerdżi stąd jedzie do Niemiec zdrowiusieneńka“ [3]).

III.

W przygnębieniu i rozterce ducha pozostał Norwid w Rzymie. Jak widzieliśmy, na smutny stan poety złożyło się czynników wiele, a wyjazd Krasińskiego nie był bez wpływu na wzmo-

[1]) Listy do Orpiszewskiego. l. c. str. 259.
[2]) Tamże, str. 260.
[3]) Tamże, str. 259.

żenie tej jakiejś marzycielskiej bezczynności, rozstroju, a nawet melancholii. Jeszcze w liście z 8 kwietnia pisał Norwid do Maryi Trembickiej, że „ma zamiar sztuk ojczyznę na jakiś czas opuścić — i sztuk sferę może na czas jakiś — potrzebuję podróży od cyprysów do świerków — ku szaremu niebu i piasczystym polom, aż tam może, gdzie samotnych wieczorów kilka przed laty spędziliśmy“[1]). Tęsknił więc poeta do ojczyzny, uczucie nostalgii zapanowało nad sferą artystycznych dążności, pragnął być na Mazowszu, tam, gdzie przed laty spędził z przyjaciółką „kilka samotnych wieczorów“. I to może było przyczyną, że nie wyjechał z Krasińskim, gdyż ten kierował swe kroki przedewszystkiem ku Lozannie, gdzie przebywała w tym czasie p. Krasińska z dziećmi, a następnie ku Paryżowi, miejscu pobytu Delfiny Potockiej[2]). On zaś pragnął świerków, nieba szarego i pól piasczystych. Rozłąka z Krasińskim zwiększyła boleść duchową Norwida, a brak środków do życia nie mógł nań również działać dodatnio[3]). Żalił się ze swej niedoli przed Koźmianem i Skrzyneckim, wspominał nieobecnego przyjaciela, „z którym miał wiele chwil dobrych i korzystnych“[4]), a po głowie chodziły mu nawet rojenia o śmierci. Stan zwątpienia w siebie samego, rozdźwięku i przybicia, odźwierciedla się dokładnie w liście do Skrzyneckiego z dnia 1 lipca, gdy stary generał listopadowy strofował poetę za bezczynność ducha, jaką wyczuwał z jego listu. „Serdecznie i najszczerzej dziękuję za pamięć i strofowanie, które mi p. Ge-

[1]) Listy Cyprana Norwida do Maryi Trembickiej. Przygotował do druku Stan. Kossowski. Chimera, VIII, str. 353.

[2]) Por. list do Cieszkowskiego z 4 lipca z Paryża (Babylon): „Jestem tu—w Lauzanniem był, gdy huk dział stąd, przygnał mnie tu, bo się bardzo lękałem, by się sny czerwone Towiańczyków nie ziściły“... Listy do A. Cieszkowskiego. II. str. 33.

[3]) Zwracał się w tej sprawie Koźmian do Krasińskiego; w liście bowiem Zygmunta z dnia 30 lipca 1848 r. z Heidelbergu znajdujemy: „Co do onego, o którym mówisz, że w Rzymie w wielkiej biedzie, to wyjeżdżając zostawiłem mu—ogółem 1,300 fr. od kwietnia. Brat go morduje Towiańczyk, osiadł mu na karku i on go musi żywić. Dobrze, będę pamiętał, ale później“. Koźmian w objaśnieniu do listu dodał od siebie: „Widać z tego listu jak Z. hojnie Norwida wspierał“. Por. Listy Z. Kr. do St. Koźmiana. l. c. str. 340, 341.

[4]) Por. F. (J. Barański), Z teki generała Skrzyneckiego. Przegląd polski, 1886. T. 81. str. 369. Przytoczone słowa pochodzą z listu Norwida z dnia 1 lipca 1848, o którym mowa następnie.

nerał przesyła—pisał Norwid. W tem wszystkiem bowiem widzę oddźwięk opiekuńczej przyjaźni, czego już od jakże dawna pozbawiony jestem. Niestety! może najprawdziwiej, najdokładniej, najszczerzej znam wszystkie błędy i przymioty tego pokolenia sierocego, do którego przyszło mi należeć. Z wielu też względów stary jestem aż wstyd, i gorzko mi na świecie. Od lat też wielu powtarzałem bliższym moim znajomym, że w prologu do dramy steram siły żywotne, i że tym sposobem akt jej pierwszy będzie aktem ostatnim. Całe to pokolenie jest na hekatombę dla przyszłości — *zniszczy się jak narzędzie potrzeby jakiejś, co nie była.* I szczęśliwi jeszcze, którym dano nie rozumieć tego położenia. Zarozumiałość ich pocieszy, hardość się uda za odwagę, za filozofię stanie cynizm, a wyobraźnia schorowana, religii postać weźmie na się. Mimo to wszystko, proszę wierzyć, *iż nie ja tracę czasu, ale czas mię traci.* Obrazu wielkiego, który Bohdanowi i Zygmuntowi Krasińskiemu pokazywałem w kompozycyi, nie zrobię dlatego, iż zniszczyłem karton i rozpoczęte dzieło, a zniszczyłem dlatego, że gmach, do którego ów obraz przeznaczono, z ziemią został zrównany, a właściciel na dobie nie jest w stanie o dziełach sztuki myśleć. Powód dość jasny. Muszę ustać i dalej ciągnąć szarą nić losu. Podobno, że cała młodość moja na tem przejdzie, iż od każdego owocu pracy mojej wstawać muszę i rzucać. Pisma moje niektóre zaczęły się drukować w Paryżu i wybuchnęła rewolucya — wszystko dla mnie *zapóźno*, tak pierwsza młodość przeszła. Ale może ostatnie dzieło moje, to jest śmierć, to jest śmierć przynajmniej *na czas* przyjdzie, w czem niech się stanie wola Boża...

Pierwszą młodość przeżywszy w taki sposób, byłoby może niestosownem w chwilową nie wpaść obojętność, zwłaszcza dodawszy jeszcze tysiąc przeciwności materyalnych, tysiąc cierpień serdecznych i nieszczęścia krajowe, i to, że wczora wieść mię doszła, iż brat mój najmłodszy emigrował: słowem, niema miesiąca, żeby mię nieszczęście nie spotkało...

Proszę wszakże nie myśleć, jakobym w gnuśną wpadł *inercyę*; owszem, zatrudniony jestem ciągle, lecz jedynie dlatego, abym chwili wolnej nie miał. Samotność, której potrzebuję tak, jak powietrza i napoju, daje obszerne miejsce sztuce, a sztuka tak jest nieskończoną! ciągle można się uczyć..."[1]).

[1]) F. (J. Barański), Z teki generała Skrzyneckiego. Przegląd polski. l. c. str. 566—7, list z Rzymu, Via Felice 1 lipca 1848 r.

Te same uczucia, jakim Norwid dawał ujście w przywiedzionych wyjątkach z listu do Skrzyneckiego, odbijały się również w korespondencyi z Krasińskim. Był ich wyrazem list poety, wysłany—jak należałoby przypuszczać — około połowy miesiąca lipca do Krasińskiego, który tymczasem opuścił już Paryż i osiadł w Heidelbergu. Do listu dołączył Norwid „wiersze bardzo ładne, gdzie sobie śmierć wróżył". Wiersze te podobały się Krasińskiemu bardzo; nie omieszkał przesłać ich Delfinie Potockiej[1]), odpowiedź swą na nie przytaczał w liście do Cieszkowskiego na dowód „że sąd Boży zawisł nad wszystkimi"[2]). Otrzymał też na nie odpowiedź i Norwid w liście z Heidelbergu, wysłanym około 26 lipca. Donosił w nim Krasiński „szczegóły o Towiańskim i Mickiewiczu"[3]), gdyż właśnie dopiero dwa dni przedtem po-

[1]) W liście do Delfiny Potockiej z dnia 10 sierpnia 1848 r. z Heidelbergu pisał Krasiński: „Pamiętasz wiersze Norwidowe, bardzo ładne, którem ci przesłał niedawno, gdzie sobie śmierć wróży? Takimi na nie odpowiedziałem". Ustęp przytoczony przez wydawcę prof. Jana Czubka jako objaśnienie do wiersza Krasińskiego, który poraz pierwszy w całości ukazał się w Pismach Zyg. Krasińskiego. Wydanie jubileuszowe. T. VI. Utwory liryczne. Kraków 1912. (Por. str. 232—3 i w Dodatku krytycznym str. 374). Poprzednio jedną zwrotkę wiersza ogłosił H Biegeleisen (a więc nie pierwodruk, jak l. c. str. 374 oznacza wydawca) w „Kuryerze lwowskim" z r. 1907 № z 9 lutego, z papierów po Mieczysławie Pawlikowskim. Prof. Czubek w wydaniu podaje jako datę wiersza Krasińskiego „10 sierpnia 1848. Heidelberg", czyli datę listu do Delfiny Potockiej. Data ta jest jednak błędna. Sam bowiem Krasiński powiada, że „takimi wierszami na wiersze Norwida *odpowiedziałem*", a więc przedtem, w liście zaś do Cieszkowskiego z 8 sierpnia z Heidelbergu przytaczając pewną część wiersza podaje: „niedawnom pisał do Norwida". Z pomocą przychodzą nam tu listy do Orpiszewskiego ogłoszone w Księdze pamiątkowej... Stan. Tarnowskiego. T. I. Kraków 1904. W liście do Orpiszewskiego z Heidelbergu 26 lipca 1848 r. jest wzmianka o liście do Norwida, w którym Orpiszewski ma znaleść szczegóły o Mickiewiczu i Towiańskim, w liście zaś następnym z 23 sierpnia z Badenu jest zapytanie, czy Norwid otrzymał „list ostatni w dużej kopercie", wyprawiony przed „kilku dniami", czyli: wiersz do Norwida musiał powstać przed 26 lipca, skoro mieścił się w liście do Norwida, wysłanym około tego czasu.

[2]) List do Cieszkowskiego z 8 sierpnia. Por. Listy do A. Cieszkowskiego. II. str. 49—50.

[3]) Por. list do Orpiszewskiego z 26 lipca 1848 r. z Heidelbergu. l c. str. 261.

wrócił do Heidelbergu „z babylońskiej wycieczki“ (do Paryża)[1], przesyłał również poetycką odpowiedź na wiersze Norwida.

Taka jest geneza wiersza Krasińskiego do Cypryana Norwida. Zaprzeczał w nim Krasiński przeczuciom Norwidowym o śmierci; on nie może być jej łupem, lecz wzleci jeszcze „skrzydlnym lotem“ nad światem.

Ty wytrzymasz sądy Pańskie
Na czas—czasów zwrót,
Rzeczpospolity szatańskie
I północny knut,
Co zatrzęsną każdym krajem,
Ścigając się wzajem...

A kto zacny — ocaleje —
A kto zacny — święte dzieje,
Święty rozpocznie świt!
Wejdzie — z skał Tarpejskich bolu
Do żywota Kapitolu —
Wejdzie na wieków szczyt!

Zamęt minie, powróci ta, która wzgardziła „czerwonym sztandarem“, powróci „miła Bogu“, a „kata swego poświęci Chrystusowi“. On, Krasiński, tego nie doczeka, lecz tylko tę chwilę przeczuwa; dożyje jej jednak Norwid:

Co ja widzę w przeczuć mroczy,
To ty ujrzysz na twe oczy —
Nie odchodzisz na zniknięcie —
Snów twych ujrzysz wżywotwzięcie —
Tyś nie śmierci łup!
Skrzydlnym jeszcze wzlecisz lotem,
Gdy z trupami ja pokotem
Leżeć będę trup! —

Był ten wiersz nie tylko odpowiedzią na śnienia Norwida o śmierci, ale niósł otuchę i wiarę. Malowały się w nim silnie wierzenia Krasińskiego, że świat ten idzie ku ruinie, wierzenia, utwierdzone właśnie świeżo pobytem „w Babylonie“, gdzie powiewał „czerwony sztandar“; ale biła z niego nadzieja, że duchy takie, jak Norwid, nawet w zamęcie idei i walce dobrego ze złem

[1]) Por. list do Orpiszewskiego z 26 lipca z 1848 r., l. c. str. 261.

muszą wyjść zwycięsko i ujrzeć „wżywotwzięcie swych snów“. Nie wolno mu więc wątpić. A na tę niezwykłą siłę słowa, tak widoczną w wierszu, na zamkniętą w nim tak wielką moc ducha, zdobył się Krasiński wobec Norwida w chwili, gdy pisał do Orpiszewskiego, że „demagogia nas zarżnęła, a Mickiewicz tej zimy odjął mi na czas jaźń moją własną“[1]); a Cieszkowskiemu w kilka dni później donosił, że ginąc „wśród najnawalniejszych burz, od gromów apokaliptycznych“ można „śmiercią swą zbawić wielu, świadectwo składając Bogu, Ludzkości, Ojczyznie, świętości i zacności, czy przed tryumfującym knutem, czy przed tryumfującą purpurową Rzecząpospolitą“[2]).

Po powrocie z Paryża, gdy Krasiński osiadł zrazu w Heidelburgu, a Norwid bawił ciągle w Rzymie, rozpoczęła się korespondencya przyjaciół. Nie mogła ona być regularna, bo Krasiński zmieniał w roku 1848 jeszcze kilkakrotnie miejsce pobytu (Heidelberg, Bad-Baden, Dieppes. Paryż, Bad-Baden, Heidelberg, Bad-Baden), a Norwid opuścił także chwilowo Rzym, podejmując jakąś—bliżej dziś nieznaną—wycieczkę morską, która w każdym razie dłużej nad kilka tygodni nie trwała. Kiedy się odbyła — dokładnie nie wiemy, lecz powrócił z niej Norwid znowu do Rzymu i pozostał tu aż do końca roku 1848, a może nawet do pierwszych dni stycznia r. 1849[3]). Był świadkiem wszystkich ówczesnych wypadków w Rzymie i obok Orpiszewskiego drugim o nich informatorem Krasińskiego. Nie jesteśmy dziś w stanie, z powodu braków wszelkich świadectw, odbudować ściśle tego okresu stosunków Norwida z Krasińskim. Jak wiadomo bowiem, wszelkie listy Norwida do Krasińskiego zaginęły, a najwcześniejszy list Krasińskiego do Norwida—jakim się możemy posłużyć—ma datę dopiero 30 listopada tego roku. Tylko z listów do Orpi-

[1]) Por. list do Orpiszewskiego z 26 lipca 1848 r. l. c. str. 262 i 263.

[2]) Por. list do Cieszkowskiego z 5 sierpnia. l. c. II. str. 45.

[3]) Wprawdzie Zenon Przesmycki twierdzi, że już w grudniu r. 1848 przybył Norwid z Rzymu do Paryża, jednak zdanie to utrzymać się nie da wobec następującego faktu: W odcinku „Czasu“ krakowskiego, w №№ 6 i 7 z 9 i 10 stycznia 1849 r., zjawiła się korespondencya Norwida z Rzymu p. t. „Zarysy z Rzymu“, podpisana: Rzym, 28 grudnia 1848 r. W dniu tym był więc Norwid jeszcze w Rzymie. Por. Cypryana Norwida, Pisma zebrane, wydał Z. Przesmycki. Warszawa-Kraków 1911, T. A. str. 786 i 860 (Przypisy). Co należy myśleć o przedsięwziętej z Rzymu wycieczce patrz: tamże str. 849 w przypisach do wiersza: Z listu (do Włodz. Łubieńskiego).

szewskiego da się wyłowić tu i ówdzie jakieś echo korespondencyi Krasińskiego z Norwidem w czasie, o którym mówimy; nawet bowiem listy do Koźmiana i Cieszkowskiego, tak zresztą cenne dla dziejów przyjaźni obu poetów, nie zawierają w tym względzie żadnych wskazówek. To, co jako pewne da się określić, jest fakt, że ze wspomnianej wycieczki morskiej powrócił Norwid do Rzymu już przed miesiącem listopadem r. 1848[1]), że stan jego ducha, jaki przezierał z listu do Skrzyneckiego, nie polepszył się, że Orpiszewski bywał często pośrednikiem w korespondencyi z Krasińskim, a niektóre z listów zarówno Norwida, jak i Krasińskiego, współcześnie już poginęły, nie dochodząc rąk przeznaczonych.

Po liście z lipca, o którym była mowa powyżej, był list Krasińskiego do Norwida z Badenu, wysłany przed 23 sierpnia tego roku[2]). Następnie wzmianka o Norwidzie znajduje się w liście do Orpiszewskiego z 3 września, w którym Krasiński donosił mu o znanej aferze z Romanem Czarnowskim; ów groził Krasińskiemu „latarnią jako największemu arystokracie i poecie“. Powiadamiając o tem zdarzeniu Orpiszewskiego dodawał Krasiński: „udziel Norwidowi tych szczegółów i donieś mu, że u tych panów poezya przeznaczona do latarni — niech się więc on strzeże...“[3]). Niezawodnie więc w tym czasie Krasiński osobnego listu do Norwida nie pisał, skoro polecał uwiadomić go o wszystkiem. Podobna wzmianka znajduje się w liście do Orpiszewskiego z 29 października: „Posłałem ci *sous bande* to coś lubił, nie mów nikomu o autorze, a o rzeczy jeśli chcesz, mów—udziel też i Norwidowi“[4]). Była to druga edycya psalmów, wydanych w październiku tego roku pod pseudonimem Spirydiona Prawdzickiego[5]).

[1]) Dowodzi tego list Krasińskiego do Stan. Małachowskiego z 9 listopada z Badenu. Por. Listy Zyg. Krasińskiego do St. Małachowskiego. Kraków 1885. str. 153.

[2]) Por. Listy do Orpiszewskiego. l. c. str. 265.

[3]) Tamże, str. 266.

[4]) Tamże, str. 268.

[5]) Że szło tu o drugą, powiększoną edycyę psalmów, uzyskujemy pośredni dowód z listu Krasińskiego do Bron. Trentowskiego, pisanego mniej więcej w tym samym czasie, bo 20 października z Paryża: „Musiałeś też odebrać *coś drugiego sous bande*, co jest powtórzeniem tego samego innokształtowem. Zachowaj na pamiątkę i ani słowa nikomu subjektywnego o tem, bo co do objektywnego sądu, toć na objektywność puszczone“. Por. Listy Zyg. Krasińskiego. T. III. Lwów 1887. str. 244.

Skłaniałbym się do przypuszczenia, że właśnie na te miesiące, w których Orpiszewski był drogą porozumienia między Krasińskim a Norwidem, przypada Norwidowa „wycieczka morska“ z Rzymu. W każdym razie z przytoczonych wzmianek należałoby wnioskować, że w tym czasie osobnych listów Krasińskiego do Norwida nie było.

Dopiero w liście Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego z 9 listopada znajdujemy pierwszy ślad listu Norwida do Krasińskiego[1]); następny list z 21 listopada zawierał już wiadomości o wszystkiem, co się stało w Rzymie[2]). Donosił w nim Norwid o zamordowaniu ministra Rossiego i ucieczce Piusa do Gaety.

Stanowisko, jakie zajął Norwid wobec wypadków rzymskich, zdumiało Krasińskiego. To też list ten posłał Koźmianowi wraz z swym własnym listem z 4 grudnia dodając: „Łączę ci tu list z Rzymu pisany Norwida—spal go, ale zadziw się nad charakterem człowieka. Módz list taki pisać w Romie 21-go Novembra 1848! Ah to trzeba być z marmuru kutym, lecz tylko pedantem siebie samego“[3]). Sam zaś odpowiedział Norwidowi listem z 30 listopada, pisanym „na brzegu oceanowym“, w Dieppes. Z listu tego możemy podać tylko wyjątki[4]).

---

[1]) „*Norwid pisze*—czytamy w wspomnianym liście, że wrócił do Rzymu jeden z dwunastu Mickiewicza, i opowiadał, że przed wyjściem na linię bojową Gierycz i kilku innych Towiańczyków, przybyłych z Paryża, by podnosić ducha wyżej, odebrawszy listy z Paryża, wrócili tam, dla ważnych, jak mówili, przyczyn (dni czerwone — to miały zaświtać wtedy) itd.“. Por. Listy Z. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego. Kraków 1885. str. 153.

[2]) Por. Listy do Koźmiana. l. c. str. 347.

[3]) Por. Listy do Stan. Koźmiana. l. c. str. 347, list z Badenu z dnia 4 grudnia 1848 r.

[4]) Przytoczone tu z kolei wyjątki z 7 listów Krasińskiego do Norwida (30 Novemb. 1848, 12 luty 1849, 9 marzec 1849, 17 marzec 1849, 1 kwiecień 1849, 11 maj 1849, 1 czerwiec 1849) pochodzą z rękopisu № 701 Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie. Tytuł rękopisu brzmi: Wyciągi z listów Z. Krasińskiego do Cypryana Norwida (przepisane z kopii Adamowej hr. Potockiej). Odpis sporządzony ręką Wandy hr. Krasińskiej, wdowy po ordynacie Adamie, zachowuje wszystkie cechy charakterystyczne pisowni Krasińskiego. Pierwotne źródło tych listów jest to samo, z którego Zenon Przesmycki otrzymał listy i utwory Norwida z ostatniej epoki życia poety (por. „Chimera“, T. VIII. str. 443). Autografy przeto, czy też kopie, dochowane są w archiwum Potockich w Krzeszowicach.

Krasiński pisał[1]):

„Wiedz, co świata rzeczywistość — z kryształu ideał, zdarzenia z błota, czyn ze cnoty dyjamentowej — oto są trzy integralne części wszechdziejów. Jak w zwierciedle duszę w pierwszym odbijać, jak z potworem walczyć z drugim, a w Bogu zaczerpywać sił do trzeciego! Szczególnie dziś i teraz ta prawda, gdy Germanie wstąpili na scenę działań. U nich albowiem między kryształem a błotem, ideałem a wydarzeniem przepaść. Z drugiej strony, i to trza wiedzieć, że nieraz kto w samym zwierciedli się krysztale, ten przywyka być sam marą—i wszystko za mary uważać — a gdy przyjdzie mu do czynów na skalistych i żwirnych drogach planety tego, nie dorównywając siłą potrzebie, jak najłacniej stacza się w burzę i wir i kip wydarzeń. W imie Idei przystawa na zupełnie nie idealne środki i sposoby — ją widzi w oddali — dla niej gardzi potocznością, a jednak czynem istotnym, w potoczność, ją, tą Ideą co chwilnie wcielać — nie skakać dla jej miłości przez strumienie czarne—ale zaraz, natychmiast— dla jej miłości gorętszej odczerniać te pomyje dziejów, złotemi jej blaski! To zwie się cnotą—tego nigdzie nie ma dzisiaj—dlatego źle i dlatego jeszcze gorzej będzie...

...We wszystkiem co się stało w Romie widzę absolutne błazeństwo, błazeństwo posunięte aż do szczytności—nikt nie uczynił tego co był winien sobie, wiekom, nawet stronnictwu swemu, nawet passyi swej, nawet zbrodni swej. Jeden tylko Rossi — bo upadł i skonał przy dokonywaniu swej myśli, swej powinności— a upadł i skonał jak żył z pogańską ironią i spokojem[2]). Lecz

W wyciągach, które podaję, usunięto z tych listów wszystko, co mogłoby rzucić jakiekolwiek światło na osobiste stosunki przyjaciół; pozostała we fragmentach tylko część ideowa listów, wypowiedzenia się Krasińskiego na sprawy ogólne, zawikłania czasu i rozgrywające się wypadki dziejowe. Że listów Krasińskiego do Norwida było znacznie więcej, to pewne, i jak wykazałem powyżej, wynika to z listów do Orpiszewskiego i Koźmiana. Czy jednak nie przechowało się ich więcej w archiwum Krzeszowickiem, czy też nie dokonano z nich nawet wyciągów, ze względu na czysto osobistą ich treść, nie potrafię powiedzieć, bo dotarcie do rękopisów jest dziś niemożliwe.

[1]) W kopii Krasińskich list ten ma mylną datę: 30 Septemb. 1848, zamiast Novembra, jak to wynika z jego treści, gdzie mowa o dniu 15 Novembra w Rzymie. Że był pisany z Dieppes stwierdzić można z Listów do Sołtana C. L. II. (Por. Listy Z. Krasińskiego. T. II. str. 384. Lwów 1883).

[2]) Pelegrino Rossi, uczony i mąż stanu, znany Krasińskiemu, gdyż był profesorem prawa w Genewie i tam go Zygmunt słuchał; był ambasadorem

Pius IX z krucyfixem w ręku nie wyszedł do zbójców ostrzeliwających Kwirynał—nie rzekł do nich „W imieniu Boga, nie!“— nie zatryumfował z nich czy obaleniem ich przed sobą na kolana, czy też własnem obaleniem się ciała swego przed niemi, przebi-

---

francuskim w Rzymie, pozostał tu po upadku Orleanów, a Pius IX powierzył mu utworzenie ministeryum. 15 listopada 1848 r. padł ofiarą skrytobójczego morderstwa w Rzymie. Postać Rossiego, padającego pod ciosami morderców nasłanych przez przeciwników politycznych, w chwili, gdy wśród zamętu sumień spełniał swój obowiązek, utkwiła głęboko w duszy Krasińskiego; w listach współczesnych mówi też o nim kilkakrotnie. I tak w liście do Cieszkowskiego z 1 grudnia 1848 r., a więc pisanym nazajutrz po liście do Norwida, czytamy: „Rossi zamordowan, a konający spokojnie i ironicznie, po starożytnemu“ (por. Listy do A. Cieszkowskiego. t. c. II. str. 83); w liście następnym z 3 grudnia powraca Krasiński do tej samej myśli: „Pius IX otoczony wszystkiemi posłami chrześciaństwa — spokojny — gotowy na śmierć — tylko na rozlew krwi własnych katów, *nie!* Ta zatrata zupełna zmysłu moralnego, przemieniająca miasto wieczne całe na jedną illuminacyę nad trupem zamordowanego znakomitego człowieka (ś. p. Rossiego)“ (tamże str. 87). Por. także tamże str. 104, list z 5 stycznia 1849 r.

Tak samo w liście do Trentowskiego z 3 grudnia: „W Rzymie obrzydliwość spustoszenia na świętem miejscu“ jak w Piśmie stoi! Całe miasto radujące się bezczelnie, to jest dozwalające się radować bezczelnie niegodziwej mniejszostce terrorystycznej, ponad trupem zamordowanego *Rossiego*, człowieka znakomitego w europejskich dziejach tego stulecia! Co za ubytek zmysłu moralnego! Potem szturm dopuszczony do pałacu bezbronnego starca, który ich błogosławieństwami obsypał i tylko dobro przyniósł. *Sterbini*, zabójca, ministrem ogłoszon i tryumfuje nad ciałem zamordowanego poprzednika. Jak to bezdennie pogańskiem, niechrześciańskiem!..“ Por. Listy Zyg. Krasińskiego, T. III. Lwów 1887, str. 255.

W liście zaś do Małachowskiego z 26 listopada 1848 r.: „Rossi biedny, a zginął estetycznie, po starożytnemu, chustką ranę zakrywając z uśmiechem, jak togą Cezar niegdyś. Zabójca ministrem! Papież zabójcę ministrem mianował. Lepiej było zginąć, roztworzywszy bramy Kwirynału przebite od kul i oddawszy się na pastwę motłochowi. Konspiracya radykalistów, *Sterbiniego*, Guerazziego, Mazziniego, się udała, ujrzysz wkrótce skutki“... Por. Listy do St. Małachowskiego. str. 164, i list do Koźmiana z 4 grudnia t. r. (Listy do St. Koźmiana. t. c. str. 346).

Także Norwid dał dwukrotnie wyraz swoim zapatrywaniom na wypadki w Rzymie, o których mowa; raz w przytoczonej już powyżej korespondencyi z Rzymu z dnia 28 grudnia 1848 r. („Czas“, 1849. №№ 6 i 7: „Zarysy z Rzymu“), powtórnie zaś po latach kilku w utworze p. t. „Białe kwiaty“, wydrukowanym w Dodatku miesięcznym do „Czasu“ (Rok drugi. T. V. 1857, str. 362—3). („Kiedy—o południu wśród tłoku i gwaru an wschodach do izby po-

tego od nich kulami męczeństwa[1]). Wtedy byłby zmartwychwstał potężniejszy daleko—a teraz, acz żyw, czy też zmartwychwstanie?

Książęta i szlachta rzymska warta Gemonii — ani się jeden nie opowiedział przy Papieżu, a niektórzy strachem gnani, szpad dobyli przeciw niemu. Kazałbym bosych, w śmiertelnej koszuli z powrozem u szyi poprowadzić przed własne herby, gdziebądź sterczą z murów, czy pałacowych, czy cmentarzowych, czy kaplicznych i lizać bym im kazał te herby własnemi języki, ażby wylizali, choćby przez rok cały lizać przyszło — a potem zaprowadzić na szczyt Kapitolu i jednego po drugim przywiązać do ogona konia bronzowego Marka Aureliusza, z napisem na czole: „Tak zwał się jeszcze 15-go Novembra 48 roku“. Przekonanym, że się w Rzymie wszystko rozlezie. Może przy tem będą zawieruchy uliczne, mordy, rabunki—lecz nic wielkiego nie powstanie. Mamieni pedantem — pedanty nigdy w dziejach nie znaczą nic. Lepszy najprostszy generał co umie brygadę poprowadzić, niż najuczeńszy i frazesów najpełniejszy, a bez Ducha erudyt! Sterbini zaś tchórzem—mógłby wygrać rolę Robespiera jak każden tchórz—ale czasu nie będzie miał ni materyału[2]). Że Zucchi przy-

---

selskiej wiodących *śmiercią Cezara* upadł Minister Rossi, a krew wstęgą krzywą, od szyi mu się na ścianę zatoczyła do odpasanej szarfy podobna...“). — W obu opisach, Norwida i Krasińskiego, uderza podobieństwo wyrażeń i analogia w dekoratywnej stronie samego faktu. Nie ulega wątpliwości, że opisując zamordowanie Rossiego w listach do przyjaciół miał Krasiński przed oczyma ten obraz morderstwa, jaki przedstawił mu w swym liście Norwid.

Jak wiadomo, list Norwida i stanowisko w sprawie tych wypadków, dość zdaje się spokojne, gdy przeciwnie u Krasińskiego — jak widzieliśmy — godziło w samo serce, wywołało u Zygmunta podany powyżej ustęp w liście do Koźmiana. Stanowisko to stara się wyjaśnić i usprawiedliwić Przesmycki. Patrz w tym względzie Pisma zebrane. T. A. str. 858—9 (Przypisy).

[1]) Por. w liście do Orpiszewskiego z dnia 26 grudnia (l. c. str. 270): „16 nov. trza było z krucyfixem w ręku stanąć przed bramą obleganą i w imieniu Boga powiedzieć: „nie“! Zwyciężyłby był! Bo kto przez śmierć odważy się iść w nieśmiertelność, ten najczęściej nie umiera, ale zwycięża na ziemi!“ —i analogiczne miejsce w liście do Koźmiana z 11 stycznia 1849 r. (l. c. str. 349): „Biada, biada światu, że Pius IX-ty 16 Nov. nie wystąpił z krzyżem w ręku przed Kwirynału bramę i szukając śmierci nie znalazł zwycięstwa, bo byłby zwyciężył, nawet docześnie“...

[2]) Por. co powiedziano o nim powyżej w przypisach a nadto w liście do Cieszkowskiego z 14 stycznia 1849 r. (l. c. str. 111): „Sterbini i Canino z Guerazzim widzieli się pod koniec Oktobra we Florencyi i tam ułożyli za-

wróci Papiestwo—wszystko smutnem! U starych żadnej Idei — u młodych żadnego charakteru — Epoka nikczemna — Z robaków jej dopiero gdy przestaną się wić i rozgniją, wiosna jakaś tchnieniem z góry wyprowadzi kwiaty!...“

Na list ten, w którym Krasiński wypowiadał w sposób zupełnie jasny i bardziej dokładny, niż we wszystkich współczesnych listach do przyjaciół, co myśli o anarchii rzymskiej i jej ofiarach, przyszła odpowiedź Norwida — dziś nam bliżej nieznana — donosząca jednak, że zamyśla Rzym opuścić. Gdzie chce Norwid wyjechać—Krasiński nie wiedział. Bo wysyłając pod koniec tego pamiętnego roku, w dniu 26 grudnia, list do Orpiszewskiego dołączał również „ważne“ pismo dla Norwida i zlecenie: „Norwidowi, gdziebądź on jest, list ten dość dla niego ważny, zaraz przeszlij“[1]). Co ten „dość ważny list“ zawierał, czy pomoc materyalną — co jest bardzo prawdopodobne, — czy może jakie wiadomości o pani Kalergis—nie wiadomo, jak również i to, czy zastał jeszcze Norwida w Rzymie. W międzyczasie jednak, t. j. po wysłaniu tego listu a przed następnym do Orpiszewskiego z 9 stycznia 1849 r. z Badenu, nadeszły wiadomości od Norwida—dziś nam także zupełnie nieznane—i to dość liczne, gdyż wspomniany list do Orpiszewskiego zawierał już następującą wzmiankę: „Norwida listy częstsze, ale coraz niezrozumialsze. To sztuka tak pisać, lecz sztuka nikomu na nic nie przydatna. Biedny, biedny człowiek...“[2]). Nie miał jednak Krasiński pewności, czy „ważny list“ do Norwida z 26 grudnia doszedł jego rąk, listy zaś samego Norwida nie zawierały żadnej wiadomości w tym kierunku; to też 27 stycznia pisząc do Orpiszewskiego zapytuje: „Czyś Norwidowi list odesłał? Co też za styl nierozgmatwany u tego chłopca? Gdy list odbiorę, to rozpaczam o jego przyszłości!“[3]). Słowa te są bardzo charakterystyczne dla oceny stosunków obu przyjaciół. Mamy w nich bowiem dowód, jak doskonale przewidywał Krasiński, że ten „nierozgmatwany styl“ Norwidowy będzie przyczyną rozdźwięku między artystą i poetą Norwidem a tymi, wśród których przyjdzie mu pracować; stanowisko wreszcie, jakie zajął Krasiński wobec tej niejasności Nor-

---

rznięcie Rossiego“. Patrz także: Mickiewicz Wład., Żywot A. Mickiewicza. Poznań 1895. T. IV. str. 6 i cytowany list do Koźmiana z 4 grudnia 1848 r.

[1]) Listy do Orpiszewskiego. l. c str. 270.

[2]) Tamże str. 274.

[3]) Tamże str. 276.

widowego stylu, wzywając go, by miał więcej w sobie „prostoty“, stanie się po kilku zaledwie miesiącach niemałym czynnikiem nieporozumienia między przyjaciółmi.

Nie ulega wątpliwości, że w tem osądzeniu formy pisarskiej Norwida nie pozostawało bez wpływu na Krasińskiego“ już w tym czasie stanowisko prasy poznańskiej, a głównie „Przeglądu“ poznańskiego wobec Norwida, stanowisko dotkliwe dla młodego poety, pełne lekkiej wobec niego ironii i godzące w jego poetyckie aspiracye. W „Przeglądzie“ bowiem, organie Koźmianów, zjawiały się utwory Norwida, tu też okazały się pierwsze sarkastyczne ataki na poetę[1]). Był to dopiero początek nagonki, jaką urządziły na Norwida czasopisma poznańskie w latach następnych. I one narzekały na niejasność stylistyczną Norwida, odnosząc się z tego powodu do poety dość lekko, tem bardziej jednak boleśnie[2]). Krasiński, którego stosunki z „Przeglądem“

---

[1]) Już w r. 1848 mógł tam Krasiński wyczytać taką notatkę: „Cypryan Norwid napisał wiersz pod tytułem: „Wigilia“. Jest to tylko kilka zwrotek podobnych do pierwszej, której początek przytaczamy... Na końcu znajduje się niby przepowiednia o przyjściu *Pańskiego* żołnierza. Coś nieprostego, wymarzonego, w całym wierszu uderza; myśli głównej jasno nie rozumiemy, czujemy tylko, że poczciwa“... Por. „Przegląd“ poznański. Pismo miesięczne. T. VII. 1848 (Wiadomości bieżące, str. 661). „Przegląd“, założony przez Jana Koźmiana w porozumieniu z jego teściem gener. Dezyderym Chłapowskim, wychodził od r. 1845. Od samego początku był „Przegląd“ szermierzem katolicyzmu — i to łączyło Krasińskiego i Norwida z kierunkiem pisma. Zrazu jednak miał „Przegląd“ również charakter literacki, i wtedy ukazywały się w nim wiersze Norwida. Od czasu jednak, gdy Jan Koźmian — znany Norwidowi z Berlina — został księdzem, sprawy dogmatyczne i kościelne zajęły w „Przeglądzie“ szersze miejsce.

[2]) Por. Erzepki Bol. Dr., C. K. Norwida pisma nieznane (Literatura i sztuka. Dodatek do „Dziennika“ poznańskiego. R. II, № 26): „W latach 1849—51 ogłaszał Norwid pomniejsze płody ducha swego, bądź to wiersze, bądź też różnej treści artykuły prozą napisane w politycznych czasopismach, naówczas w Poznaniu wychodzących, jak „Gazeta polska“ „Dziennik polski“, a mianowicie i przedewszystkiem „Goniec polski“, z którego redaktorem Wład. Bentkowskim łączyły Norwida stosunki ścisłej przyjaźni i najserdeczniejszej zażyłości... Na ogół nie trafiały jednak do gustu czytającej publiczności poznańskiej przedziwne kwiaty Muzy Norwidowej i niejednokrotnie na łamach tych samych pism poznańskich ukazywały się przykre i cierpkie dla poety głosy, że utwory jego są ciemne i niezrozumiałe“. Takie głosy zjawiły się np. w „Gazecie polskiej“ № 104, z 6 maja 1849 r. (Listy z Poznania); w „Dzienniku polskim“ № 129, z 9 listopada 1849 (zobacz dopisek redakcyi

poznańskim były ścisłe, gdyż wydawnictwo to wspierał nawet materyalnie i był stałym jego czytelnikiem—jak to widać z korespondencyi z Koźmianem—znajdował w organie tym już wówczas narzekania na „nieprosty, wymarzony“ styl Norwida.

Tymczasem z drogi przychodziły listy Norwida „częste, ale coraz niezrozumialsze“, lecz nie mówiły nic, dokąd artysta dąży i gdzie ostatecznie osiądzie. Dopiero w pierwszych dniach lutego 1849 r. otrzymał Krasiński od Norwida list już z Paryża, sam odpisał nań 12 lutego, a 16 tego miesiąca donosił Orpiszewskiemu: „Norwid w Paryżu, obiecali mu jakąś robotę rysunkową tam, więc pisz doń *poste restante*“ [1]).

Odpowiedź Krasińskiego, wysłana z Badenu [2]) 12 lutego przedstawia się w dostępnym mi wyjątku jak następuje:

„...Więc w Babylonie! ach! strzeż się—to otchłań! Zrazu się nią gardzi, depta się po tym bruku, a powoli bruk tak się przypodchlebi podeszwom, tak zacznie szeptać dziwnych pełno powieści im, że przylgniewają coraz bardziej — i wreszcie zlepią się z asfaltem—człowiek cały stanie się niby rośliną, gdyby drzewem tego wszechpotężnego bruku! Tak do Oceanu słonego co z piersi serce mu wymiatał z początku, później przywiązuje się marynarz—Ach! strzeż się tego oceanu kamieni i serc zkamienionych lub rozwściekłych—tam ludzie stają się albo katami z niemiłosierdzia, albo katami z miłosierdzia. Pierwszymi bo tyle oglądają podłości i wszeteczeństw potocznych—drugimi bo tyle oglądają nędzy i ucisków retorycznych i fałszu, i sprosności, i przewrotności ducha — a wszyscy, wszyscy egoistami! O! nieraz zapłaczesz za Romą! czekają Cię w Paryżu co krok sztychy w ser-

---

pod artykułem Norwida: Do obywatela Dmochowskiego—rzeźbiarza); w „Gońcu polskim“ № 48, z 27 lutego 1851 (Błędny ognik, artykulik salonowy), a nawet w „Czasie“ (Dodatek literacki 1849 № 7, z 1 grudnia: Wiadomości bibl. i artyst.). Co do wymienionych powyżej czasopism poznańskich por. Karwowski Stan. Dr., Czasopisma wielkopolskie. Cz. I od roku 1796—1859. „Dziennik poznański“ 1908, № 98 i n.

[1]) Listy do Orpiszewskiego. l. c. str. 278; por. także w liście do Cieszkowskiego z 10 marca (l. c. str. 139): „Norwid z Romy przeniósł się do Paryża — *46 rue de Verneuil*“ — i list do Koźmiana (l. c. str. 354) z 29 marca tego roku.

[2]) W kopii rękopisów, z których ogłaszam wyciągi z listów Krasińskiego do Norwida, niema nigdzie podanych miejsc, skąd były te listy wysyłane; da się to jednak stwierdzić na podstawie itinerarium życia Krasińskiego.

ce niesłychane—zawody, oburzenia, zwątpienia—co pycha może—co wiotkość potrafi, oglądać będziesz“[1]).

Już w jednym z przytoczonych poprzednio listów do Orpiszewskiego—jak widzieliśmy—dawał Krasiński smutny ogromnie obraz stosunków we Francyi, a zwłaszcza w jej sercu Paryżu, którego anarchia społeczna kazała mu przyrównywać nawet to miasto do nowożytnego Babylonu lub Sodomy[2]). Rok 1848 odbił się tu nie mniejszym odruchem rewolucyjnym; tu było miejsce „czerwonego sztandaru“, owej zaguby świata i Polski w oczach Krasińskiego, tu gniazdo centralizacyi emigracyjnej i siedziba Towiańczyków z Mickiewiczem na czele; tu wreszcie jawi się Trybuna ludów, ów organ, dla którego działalności Krasiński nie znajdował dość słów potępienia. W mieście tem osiada Norwid, nie dziw też, że Krasiński maluje mu je w słowach pełnych jakiejś apokaliptycznej grozy.

Dr. Stanisław Kossowski.

---

[1]) Z manuskryptu.

[2]) Por. np. list do Stan. Małachowskiego z Badenu 24 lutego 1849 (l. c. str. 180): „W Babylonie cicho, Bugeaud i Changarnier są jak na dziś *Patres Patriae*, bez nich jużby Babylon doznał co deszcz siarczysty Sodomy. Lecz tak naprężone położenie w *status quo* zamienić się nie potrafi; przyjdzie do bójki i niejednej, bo każda krwią płynącą z siebie zaród rzuci następnych!“

Uwięzienie ks. Adama Sapiehy

w roku 1863.

Stosunek mocarstw zachodnio-europejskich do powstania styczniowego dotąd jeszcze, mimo dość obszernej literatury, nie jest w całej pełni wyświetlony, z tego głównie powodu, że archiwa tych państw, któreby najwięcej materyału faktycznego dostarczyć mogły, są jeszcze dla badań nad tą epoką w przeważnej części niedostępne.

A zatem również i stanowisko, jakie zajmowała w sprawie polskiej Austrya, nie jest w zupełności wyjaśnione. Nie mogąc więc przedstawić w tym kierunku jakiejś całości, pragnę skreślić obecnie, na podstawie nieznanych materyałów dobytych z archiwów Namiestnictwa we Lwowie, ks. ks. Sapiehów i ks. ks. Czartoryskich, jeden szczegół ważniejszy, mianowicie postępowanie rządu austryackiego z jednym z najwybitniejszych podówczas przodowników ruchu w Galicyi—z ks. Adamem Sapiehą.

Choć młody, bo niespełna 35 lat liczący, ks. Adam Sapieha, syn zasłużonego i ogólnym szacunkiem cieszącego się Marszałka kraju, ks. Leona, należał już w przededniu powstania do najczynniejszych i najgorliwszych propagatorów polskiej myśli politycznej na terenie galicyjskim. Z tego też powodu niejednokrotnie popadał on w konflikt z władzami rządowemi.

Nie tak to dawno było, bo w roku 1860, gdy wytoczono mu śledztwo z powodu rozszerzania adresu, przeznaczonego dla trzech posłów galicyjskich, powołanych do t. zw. wzmocnionej Rady Państwa, w którym domagano się głównie wprowadzenia języka polskiego do szkół i urzędów w Galicyi. Następnie omal, że

nie padł ofiarą pospołu z Zygmuntem Kaczkowskim dochodzeń sądowych i więzienia z powodu wydawanego przez księcia a przez rząd po paromiesięcznej egzystencyi zamkniętego dziennika „Głos“. W końcu mocno księcia kompromitowała ostatnia jego po powrocie z Warszawy działalność, mianowicie utworzenie w łonie galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego instytucyi korespondentów z podwójnem przeznaczeniem, jawnem—ekonomicznem i tajnem—społeczno-narodowem.

O ile więc z jednej strony ks. Adam z powodu tej swojej działalności skupiał na swojej osobie uwagę całego społeczeństwa, o tyle też znowu z drugiej strony był z tegoż samego powodu ustawicznie przez władze miejscowe, a w szczególności przez przemyskiego starostę Karola Neussera, w którego okręgu leżał Krasiczyn, zwykłe miejsce zamieszkania księcia, pilnie śledzony, zwłaszcza, że i w otoczeniu jego znajdowali się ludzie, którzy również za dawniejsze przewiny natury politycznej pozostawali pod dozorem policyjnym. Taki wypadek zaszedł np. z literatem, Henrykiem Nowakowskim, który w r. 1862 starał się o posadę sekretarza księcia. Z powodu właśnie jego sprawy Namiestnictwo poleciło lwowskiej dyrekcyi policyi pismem z dn. 11 września 1862 r., by wobec niedostatecznych jeszcze danych, odnoszących się do ks. Adama — osoby tak wybitnej z powodu swej pozycyi obywatelskiej i z powodu swej wydatnej działalności politycznej— policya tutejsza baczniejszy nad nim rozciągnęła nadzór.

Tymczasem nadeszły wypadki styczniowe następnego roku. Rząd austryacki, podobnie jak w czasie poprzednich powstań, tak i teraz, zrazu wyczekującą przybrał postawę. Zresztą zmuszał go do niej cały szereg przyczyn. Austrya bowiem wskutek swej niezdecydowanej i dwulicowej roli, jaką odegrała w czasie ostatniej wojny krymskiej, została następnie w zupełności opuszczoną i przez swych dawnych aliantów, Prusy i Rosyę i przez mocarstwa zachodnie. Ten stan odbił się fatalnie już wkrótce, bo oto w cztery lata później Austrya w wojnie z Włochami i Francyą utraciła jedną ze swych prowincyi na rzecz jednoczących się Włoch. Na to odosobnienie nie wielki tylko wpływ wywarła podróż warszawska cesarza Franciszka Józefa, bo oto oba państwa, Rosya i Prusy, w konwencyi petersburskiej 8 lutego 1863 r. zawartej, Austryę znowu pominęły.

A do tych trudnych warunków zewnętrznych dodać jeszcze należy i kłopoty wewnętrzne, które znacznie krępowały ruchy Austryi i trzymały rząd w pozycyi wyczekującej, mianowicie, dotkliwy po ostatniej wojnie brak gotówki i ciągle niezałatwiona

jeszcze sprawa węgierska, którą kampania włoska nanowo uczyniła aktualną i dla wewnętrznego spokoju bardzo groźną. W końcu zaś obok niezałatwionych jeszcze definitywnie domagań włoskich, specyalnie w stosunku do kwestyi polskiej pewną i to dość znaczną rolę grała, mimo uspakajających przykładów r. 1846, wciąż jeszcze obawa utraty Galicyi.

Owóż właśnie na te okoliczności wewnętrznej natury zwracał całkiem trafnie uwagę Hotelu Lambert wytrawny znawca stosunków austryackich, marszałek ks. Leon Sapieha. W pierwszych miesiącach r. 1863 bawił on właśnie w Wiedniu w sprawie wciąż odraczanego sejmu galicyjskiego, ponieważ zaś miał tam wyrobione oddawna stosunki w sferach najwyższych, przytem dokładnie znał zapatrywania polityczne osób pozostających na naczelnych stanowiskach, korzystał z tego i udzielał obszernych wskazówek ks. Władysławowi Czartoryskiemu w Paryżu, nalegając głównie, by wobec zbliżenia, jakie nastąpiło w ostatnich czasach między Austryą a Francyą, tę ostatnią nakłonić do silniejszej w Wiedniu na rzecz Polski akcyi.

Zresztą i ze strony polskiej nieomieszkano w tym kierunku wpływać na sfery decydujące w Wiedniu. Głównie zaś miano tam na oku ministra spraw zagranicznych hr. Rechberga, którego też powiadamiano o wszystkich ważniejszych w obozie polskim wydarzeniach.

Interesujące w tej mierze szczegóły i roztropne co do dalszego postępowania rady, mieszczą się w liście ks. Leona Sapiehy, wysłanym 19 marca 1863 r. do ks. Władysława Czartoryskiego.[1])

„Hr. Rechberg—donosił w nim ks. marszałek—został zawiadomiony o powodach, które były przyczyną ogłoszenia dyktatury. Sądzi on, że knowania Mierosławskiego nie ustały, że on gotuje nowe baterye. Przedewszystkiem pragnie on, aby Austryi nie kompromitowano i to zdaje się być w interesie powstania. Gdyby mówiono o jakiembądź pobłażaniu lub ułatwianiu ze strony Austryi, byłoby to zmusić ją do udowodnienia czynem, że tak nie jest. Pobyt ks. Metternicha w Wiedniu spowodował znaczne zbliżenie się gabinetów francuskiego i austryackiego. Puszczono pogłoskę, że ks. Metternich ma sobie dane instrukcye i pełnomocnictwo do zawarcia traktatu. Do tego jeszcze daleko. Zakomunikowano sobie główne myśli i dążności, przekonano się, że jest możność porozumienia się, ale brak zawsze zaufania, a Anglia

[1]) Arch. ks. ks. Czartoryskich, fasc. Vienne, Cracovie, Léopol 1863.

ciągle pracuje, by tę nieufność utrzymywać... Przeczyć nie można, że od dwóch tygodni nastąpiło znaczne zbliżenie się Austryi do Francyi, ale od tego do przymierza jeszcze bardzo daleko, a jeszcze dalej do wspólnego działania. To działanie, gdyby nastąpiło, nie miałoby cechy wojennej. Oparłoby się ono na traktatach, a może później dopiero nabrałoby poważnej barwy. Możeby się zgodzono na zwołanie konferencyi mocarstw, które podpisały traktaty wiedeńskie, aby one postanowiły zmianę tychże traktatów. O jednym wszakże punkcie mówią, jako już ugodzonym, że gdyby Polska miała być przywróconą, Austrya wtenczas Galicyę odda, gdy ekwiwalent już w jej posiadanie oddanym będzie. Jest tu stronnictwo nam przeciwne, które chciałoby zaprowadzenia w Galicyi stanu oblężenia. Chociaż ono silne, mam przecież nadzieję, że nie przemoże. Jest to stronnictwo starych wojskowych i urzędników, zwolenników Rosyi. Ministeryum temu zupełnie przeciwne. Ze wszystkiego widać, że teraz negocyacye na tem stoją, na czemby stać powinny przynajmniej rokiem przed aktem powstania, że powstanie niezawodnie je przyśpieszy, ale i tak dużo czasu przeminie, zanim przyjdzie do jakiego stanowczego działania... Sympatye za nami są tu dość rozbudzone. Nie potrzeba się jednak łudzić. Jest w tem więcej nienawiści ku Rosyi i Prusom, niż miłości ku nam. Z rozmaitych narodowości najbardziej nam nieprzychylni są Słowianie. Widzą w nas ciągłą przeszkodę w rozwinięciu swych planów. Madziarzy tyle się nami zajmują, ile wojną meksykańską lub Stanów Zjednoczonych, a nawet oni nas unikają. Liberały widzą w nas opóźnienie rozwoju konstytucyonalizmu. Jedna partya katolicka pragnie związku państw katolickich wspólnie działających, nietylko w naszej, ale i w wielu innych katolickich kwestyach. Prócz nieufności do Francyi, wstrzymuje jeszcze rząd austryacki strach, aby się nie skończyło na wojnie europejskiej. Wojna byłaby ciosem śmiertelnym dla finansów. Sprawa węgierska niezałatwiona. Nie trudnoby Rosyi pobudzić tam niepokoje. Mogłaby się także ruszyć kwestya włoska, a więc jedną tylko neutralnością myślą się z tych trudności wywinąć. Przedstawiano, że przy dzisiejszej słabości Rosyi nie potrzebaby toczyć wojny. Dosyć byłoby korpusu obserwacyjnego w Galicyi, takiegoż francuskiego na wschodniej granicy Francyi, aby Prusy utrzymać. Niech przytem Francya dostarczy broni i amunicyi powstaniu i ruszy Szwecyę, a do sześciu miesięcy korpus austryacki wejdzie do Polski bez trudności, a wtenczas Austrya może prawa dyktować...“

Tymczasem pogłoski o neutralności, a nawet o sprzyjaniu powstaniu przez Austryę coraz częściej poczęły się rozchodzić i znajdować w Galicyi posłuch. Co więcej wskutek tych pogłosek poczęto tam roboty przygotowawcze przeprowadzać bez należytej oględności, co pociągało za sobą dość liczne aresztowania, dokonywane przez władze austryackie. Ta rzekoma zresztą zmiana postępowania ze strony rządu austryackiego sprawiła przykre wrażenie nietylko na miejscu w samej Galicyi, ale także niemniej i u przedstawicieli sprawy polskiej w Paryżu. Ks. Władysław Czartoryski zapytywał ks. Leona Sapiehę o powody takiej zmiany frontu ze strony władz austryackich. Na to odpisał mu ks. Leon 19 kwietnia 1863 r.[1]) znowu wyczerpująco, przedstawiając stanowisko w sprawie polskiej rządu austryackiego.

„List z dn. 14 mnie doszedł — pisał ks. marszałek. Zawiera zapytania, co znaczą aresztowania w Galicyi i ogólne postępowanie Austryi? Bardzo niełatwa na to odpowiedź. Wyznać potrzeba, że jest w tem dużo i naszej winy. Skoro rząd choć trochę pobłaża, zaraz się wszystko z największym hałasem robi, jakby tego rząd nietylko nie zabraniał, ale owszem pochwalał. Już głośno mówiono o rządzie rewolucyjnym w Krakowie. Miał się o to uskarżać Bałabin,[2]) który ma w Galicyi lepszą policyę, niż Austrya. Przeczono temu, lecz on miał odpowiedzieć złożeniem wielu rozporządzeń i nominacyi tego rządu rewolucyjnego. To miało być powodem teraźniejszych aresztacyi, mianowicie Kruszewskiego i Chrzanowskiego. *Relata refero*, nie będąc o tem pewny. Zadziwia wszystkich to, że gdy umiarkowanych aresztują, Mierosławski chodzi wolny po Krakowie i Kurzynę wypuszczono. Gdy tę uwagę robiono władzom, odpowiedziały, iż nie mogą na jego wichrzenie uchwycić dowodów. Lękam się, czy go nie trzymają w odwodzie, aby go w razie potrzeby puścić do powstania, a wtenczas módz powiedzieć, że to jest socyalnem, a więc musi rząd przeciw niemu działać.

„Będzie to rzeczą bardzo trudną, jeśli zupełnie nie niemożliwą, namówić Austryę do otwartej wojny. Jak dawniej pisałem, trzy rzeczy ją wstrzymują — kwestya finansowa głównie, potem węgierska, nakoniec włoska. Łączy się niechęć oddania Galicyi za nadzieję wynagrodzenia. Co do kwestyi pieniężnej możnaby ograniczyć żądania tak, aby one przynajmniej niewiele kosztowały.

[1]) Archiwum ks. ks. Czartoryskich, fasc. Vienne, Cracovie, Léopol 1863.

[2]) Poseł rosyjski w Wiedniu.

Niech Austrya niekoniecznie zaczepnie występuje. Niech tylko w Galicyi postawi korpus obserwacyjny 60 do 80,000, niech pozwoli się formować i zbroić. Niech pozwoli swoim oficerom i żołnierzom przejść do służby polskiej, zachowując im ich stopnie i bezkarność. To byłoby do jesieni dosyć. Przytem Szwedzi, wylądowanie francuskie na Bałtyku i coś jeszcze od Turcyi, byłoby dosyć, aby Rosyę zmusić do odstąpienia całkowicie lub przynajmniej w wielkiej części Polski.

„Co do Węgier i Włoch byłyby środki dyplomatyczne do zaspokojenia Austryi, co do Galicyi, w najgorszym razie możnaby ją Austryi czasowo zostawić póki jej ekwiwalent nie był w ręce oddany; z tem jednak zastrzeżeniem, że uzna obowiązek oddania i stosownie do tej niewątpliwej przyszłości kraj administrować będzie, t. j. da urzędników Polaków, język polski w szkołach, kanclerza Polaka i ogólnie pewną odrębność od administracyi austryackiej, która to odrębność byłaby cechą przyszłego przeznaczenia Galicyi. Możnaby jednak żądać oddania zaraz dawnej Rzeczypospolitej krakowskiej. Tym sposobem na pierwszą chwilę możnaby mieć Polskę mniej więcej, jak była po pierwszym podziale 1772 r., z pewnością, że przybędzie Galicya w krótkim czasie. W tych ramach możeby się dało coś z Austryą zrobić. Gdyby dołączyć można warunek, aby zaraz oddała pułki galicyjskie avec armes et bagages, byłoby to na początek 80-tysięczne dobre wojsko. Z tem pewna byłaby wygrana. Są to może marzenia. Wam o tem sąd zostawiam.“

Podczas gdy nawet najtrzeźwiejsi i najbardziej przewidujący politycy ze strony polskiej, snuli takie szerokie i naprawdę marzycielskie plany, podczas gdy na miejscu w Galicyi przygotowywał komitet obywatelski, w którym główną rolę odgrywał właśnie syn ks. Leona, ks. Adam, szereg oddziałów, mających nieść pomoc Kongresówce—władze austryackie w Galicyi ze swej strony sprawy również nie zasypiały. Pilnie śledziły one ruch, jaki się tu począł wytwarzać, niejednokrotnie nawet siły jego przeceniały, wietrząc intrygę spiskową nawet tam, gdzie jej faktycznie nie było.

Książę Adam Sapieha, osobistość, jak zaznaczyliśmy wyżej, już z poprzedniej działalności wybitnie znana i w dodatku niekorzystnie w protokółach policyjnych zapisana i po wybuchu powstania był przedewszystkiem, naturalnym zresztą rzeczy porządkiem, pilnie strzeżony, zwłaszcza, że władze widziały w nim nie bez słuszności jednego z przywódców ruchu galicyjskiego.

Pierwszą obszerniejszą relacyę, odnoszącą się do ks. Adama, a po części także i do ogólnego ruchu, przysłał starosta przemyski Neusser do prezydyum Namiestnictwa dn. 11 marca 1863 r. Wskazywał on w niej na wzmożenie się w ostatnich czasach agitacyi rewolucyjnej w Galicyi, jako następstwo podszeptów ministra Walewskiego. Wzmocnienie bowiem powstania i zrobienie go narodowem było nieodzowną rzeczą do poparcia robót dyplomatycznych, zmierzających do odbudowania Polski. W tym właśnie kierunku miał, według opinii Neussera, najusilniej działać ks. Adam przez zwoływanie zebrań w Krasiczynie i we Lwowie, przez wciąganie szlachty do powstania i wogóle przez popieranie tego ruchu wszelkimi sposobami, dostarczając mu ludzi, broni i t. p. Zbieraniem składek zajmują się właściciele dóbr—Bogdański z Zabłociec, bar. Horoch z Moraniec i Borowski. Dzierżawca dóbr Konstantyn Jounga z Zapałowic ukrywa przechodzących przez granicę. Na jedną w końcu ważną okoliczność zwrócił w swym raporcie starosta przemyski uwagę Namiestnictwa, mianowicie podkreślił on, że te wszystkie przygotowania dzieją się pod pozorem sprzyjania im przez rząd austryacki.

Relacya ta dała powód do obfitszej wymiany zdań. Ówczesny namiestnik, a zarazem i komenderujący Galicyi i Bukowiny, generał hr. Aleksander Mensdorff-Pouilly, w odpowiedzi na nią, natychmiast, bo 12 marca, polecił Neusserowi wdrożyć postępowanie karne przeciw tym wszystkim osobom, którym się udowodni niesienie czynnej pomocy powstaniu. Dodatkowo zaś zalecał, by w takich wypadkach z całą stanowczością występować, ażeby właśnie nie wzbudzać żadnej wątpliwości co do intencyi rządu.

Obok tych wskazówek, tegoż samego dnia 12 marca, wysłał Mensdorff odpis raportu Neussera ministrowi policyi Mecsery'emu i ministrowi stanu Schmerlingowi wraz z odpowiednim od siebie komentarzem. W nim zwracał namiestnik uwagę, jako na znamienny szczegół, na sprzyjanie tej rewolucyi ze strony szlachty i zaznaczał, że ruch ustawicznie wzrasta i w końcu, mimo wysiłków władz, nie da się uniknąć tej ewentualności, że powstanie będzie otrzymywało z Galicyi pokaźne posiłki w ludziach, rekrutujących się z rozmaitych stanów, w pieniądzach i wogóle wszelkim materyale wojennym.

W Wiedniu, jak się zdaje, raport ten i uwagi Mensdorffa nie były niespodzianką. To też Schmerling żądał tylko bliższych objaśnień ze Lwowa co do tych zgromadzeń u ks. Sapiehy i co do środków zaradczych, zarządzonych przez Namiestnictwo. To

zapytanie dało znowu namiestnikowi asumpt do szerszego omówienia dotychczasowej działalności ks. Adama w osobnym elaboracie, który wysłał dn. 25 marca do ministeryum stanu. Zapewniał więc przedewszystkiem Mensdorff, że ks. Sapieha jest z powodu jego knowań (Umtriebe) ustawicznie śledzony, jednakże ani w Krasiczynie, gdzie stale przebywał, ani w jego pałacu we Lwowie nie odbyły się większe zgromadzenia szlachty. „Jest za chytry i za ostrożny — zaznacza namiestnik — ażeby nastręczyć władzom powodów do czynnego wkroczenia. Rząd wprawdzie wie, że od czasów objęcia dyktatury przez Langiewicza, ks. Sapieha stara się szlachtę na stronę ruchu pociągnąć, że zajmuje się nakładaniem podatków, zbieraniem pieniędzy i kupnem broni, jakoteż ukrywaniem przekradających się w Przemyskiem przez granicę do Królestwa, jednakże niema mimo to dowodów tej jego działalności, któreby dały podstawę do ingerencyi władzy bezpieczeństwa, ponieważ nie prowadzi on żadnej korespondencyi, a wszystkich rozkazów udziela ustnie. Wobec jego przezorności także i rachunki nie będą w jego mieszkaniu ani we Lwowie, ani w Krasiczynie. Rewizya więc domowa na nicby się tu nie przydała, zresztą książę unika dozoru przez częste w rozmaitych kierunkach przedsiębrane podróże. Przeprowadzona na podstawie poufnego donosu rewizya u rzekomego zastępcy ks. Sapiehy, hr. Adama Golejewskiego, nie przyniosła również nadzwyczajnego rezultatu, ponieważ znaleziono ledwo jedną karteczkę, na której wypisane były ołówkiem pierwsze litery, jak się zdaje, nazwisk, jakoteż dochody i wydatki na odzież dla powstańców.

Choć więc, jak to w dalszym ciągu swego raportu namiestnik zaznaczał, władze niczego nie zaniedbały, przecież z powodu braku dowodów nie można położyć tamy „niebezpiecznej“ działalności księcia. Niestety, nie można było zakazać, jak to z ubolewaniem zaznacza raport, odwiedzin szlachty u księcia, choćby nawet one miały za cel narady w sprawach powstania. „Ostatnia ta okoliczność — kończy namiestnik — jest tem więcej pożałowania godną, ponieważ książę jest właśnie tą osobistością, która na tutejszą szlachtę wywiera największy nacisk i umie skłonić do ofiar pieniężnych nawet mniej chętnych powstaniu.“

Dotychczas przeprowadzona korespondencya w sprawie ks. Adama, na tem jednak się nie zakończyła. Raczej był to wstęp do dalszej w tym względzie wymiany zdań głównie między namiestnictwem lwowskiem a władzami centralnemi w Wiedniu.

Do stolicy monarchii schodziły się relacye o sprawach polskich z różnych stron, których prawdziwość sprawdzano potem

zwykle za pośrednictwem namiestnictwa galicyjskiego. Jeden z takich raportów, mianowicie kierownika krakowskiej komisyi namiestnictwa, radcy dworu Merkla, zwrócił także uwagę na działalność ks. Adama, podnosząc, że po upadku dyktatury Langiewicza, cała działalność partyi ruchu przeniosła się do Galicyi wschodniej, a na czele jej stoi ks. Sapieha, czynny zwłaszcza w tej chwili przy formowaniu oddziałów powstańczych w czortkowskiem i tarnopolskiem, które mają wyruszyć na Podole.

Minister Schmerling zawiadomił o tem dn. 25 marca Mensdorffa i znowu zapytywał, co on w tym względzie zarządził. Z tem pismem krótko się namiestnik załatwił, ponieważ w odpowiedzi swej z dn. 29 marca zaznaczył, że o tych ruchach wie jeszcze od lutego, że wysłał tam nawet swych agentów, a co do osoby ks. Sapiehy, powołał się na swój poprzedni z dn. 25 marca raport.

Tymczasem podróż, jaką ks. Adam przedsięwziął w Rzeszowskie w drugiej połowie kwietnia, znowu zaostrzyła czujność organów rządowych. Namiestnictwo sygnalizowało tę podróż przemyskiemu staroście Neusserowi, który nie omieszkał najpierw telegraficznie, a potem pisemnie dn. 19 kwietnia zdać o niej relacyę. Owóż według niej książę miał pojechać wprost do Rzeszowa, gdzie wydawał dyspozycye do wymarszu wyprawy t. zw. rzeszowskiej. Następnie udał się na zebranie szlachty do Przeworska.

Całkiem natomiast inaczej pobyt księcia przedstawił również powiadomiony przez Neussera o tej podróży starosta rzeszowski, Abrahamsberg. Ten bowiem w swej relacyi, wysłanej dnia 20 kwietnia, podał tylko, że książę przybył do Rzeszowa dn. 18 kwietnia o godzinie 10 i pół rano, odbył w cukierni w sprawach prywatnych konferencyę z adwokatem Zbyszewskim, a poprzednio pojechał do Przeworska.

Tak wielka rozbieżność sprawozdań obu tych starostów nie uszła uwagi namiestnictwa, zwłaszcza zaś, że Abrahamsberg był już poprzednio posądzany o ściślejsze stosunki z wymienionym przez niego adwokatem Zbyszewskim, któremu miał komunikować różne tajne zarządzenia władz w sprawie powstania. Namiestnictwo więc, opierając się na relacyi Neussera, posłało staroście rzeszowskiemu ostry nakaz nietylko rozciągnięcia nad Zbyszewskim baczniejszego nadzoru, ale i zerwania z nim zażylszych stosunków. Przyczem wymieniono, jako powód tego zarządzenia, tę okoliczność, że Zbyszewski od Abrahamsberga dowiaduje się o zarządzeniach władz, tyczących się powstania.

W każdym razie ks. Adam, mimo wcale jasnych i niedwuznacznych wskazówek Neussera, z tej opresyi, dzięki relacyi Abrahamsberga, wychodził cało.

Sprawa sprzyjania niektórych urzędników austryackich ruchowi powstańczemu stała się wkrótce aktualną, przyczem znowu wymieniono nazwisko ks. Adama. Minister policyi bowiem zwrócił na ten fakt uwagę Mensdorffa i w piśmie z dn. 4 czerwca zaznaczył, że ks. Adam Sapieha i Jan Dobrzański, jako stojący blizko Rządu Narodowego, mają wybornie zorganizowaną policyę, a w skład jej wchodzą też i urzędnicy austryaccy.

I znowu w odpowiedzi na to poszły relacye o ks. Adamie do Wiednia, lecz co już z góry zaznaczyć należy, choć naogół stwierdzały one wybitny udział księcia w robotach przygotowujących powstanie, to jednak dotąd jeszcze nie wykazywały na to dostatecznych i pozytywnych dowodów.

I tak, zapytywany w tej sprawie przez Namiestnictwo o opinię dyrektor lwowskiej policyi Hammer, podał w swem sprawozdaniu z dn. 14 czerwca, że jest to publiczną tajemnicą, iż na czele obecnego ruchu narodowego stoi ks. Adam Sapieha i zapewne jest zaopatrzony w tym celu nadzwyczajnemi pełnomocnictwami. „Niemożliwem było jednak wobec jego i Dobrzańskiego chytrości, oględności i przebiegłości stwierdzić fakta, któreby mogły uzasadnić wystąpienie przeciw nim.“ W dalszym ciągu Hammer przyznaje, że partya ta ma doskonale zorganizowaną policyę, która uwiadamia ich o wszystkich zamiarach rządu, a w której skład wchodzą też niektórzy urzędnicy, sympatyzujący z powstaniem, zwłaszcza zaś oficyaliści kolei Karola Ludwika, którzy po największej części ułatwiają transporty broni, amunicyi i ludzi. W końcu dodaje dyrektor, że partya narodowa szczególnie silną jest w Przemyskiem, bo ma tam trzy ogniska: u Sapiehów w Krasiczynie, u Pawlikowskich w Medyce i u Zamoyskich w Wysocku.

Raport ten posłużył znowu jako substrat do relacyi namiestnika, wysłanej dn. 17 czerwca do ministra policyi, w której stwierdzał Mensdorff, że ks. Adam, jak już poprzednio parę razy donosił, stoi na czele tutejszego tajnego komitetu i z tego też powodu musi utrzymywać ścisłe stosunki z t. zw. Rządem Narodowym.

Jeżeli już mowa o pomocy, niesionej przez niektórych urzędników austryackich sprawie powstania, pomocy częstokroć bardzo wydatnej, w formie bądźto rozmaitych informacyi o zamiarach rządu, bądźto ułatwianiu kontrabandy, broni i ludzi i t. p., nie

sposób pominąć jednakże jednej strony ich działalności — tej mianowicie, która w przyszłych badaniach historycznych musi uledz bardzo szczegółowym i uważnym roztrząsaniom krytycznym. Mam tu na myśli owe wszystkie wiadomości, które były dostarczane przez odnośne wtajemniczone organa z odpowiednio odcyfrowanych tajnych depesz rządowych. Sprawa ta nie jest, jakby się napozór zdawało, małej wagi, choćby dlatego, że na podstawie głównie takich odcyfrowanych depesz wydano wyrok na znanego publicystę Zygmunta Kaczkowskiego.

Te uwagi krytyczne co do prawdziwości tego rodzaju odczytywanych depesz, nasunęły mi się przy rozważaniu właśnie sprawy ks. Adama Sapiehy. Oto bowiem w dziele Stelli-Sawickiego (pułkownika Strusia) p. t.: „Galicya w powstaniu styczniowem“ (Lwów 1909) podane są na str. 71 i 72 dwie odcyfrowane depesze rządowe z czerwca 1863 r. W jednej z nich minister policyi, Mecsery, polecał namiestnikowi roztoczyć nad ks. Sapiehą baczny nadzór, a nawet pod jakimkolwiekbądź pozorem nakazywał go aresztować, z tego powodu, że książę przygotowuje wymarsz oddziału Jordana. W drugiej Mensdorff odpowiada, że o powód do aresztowania ks. Adama nietrudno — radzi tylko wstrzymać się z uwięzieniem, dopóki sprawa dojrzeje.

Owóż z poprzednio przytoczonej autentycznej korespondencyi rządowej ministra policyi i galicyjskiego namiestnika dowodnie się okazuje, że tekst obu przytoczonych przez pułkownika Strusia depesz jest conajmniej mocno podejrzanej wartości, jeżeli już nie w zupełności zmyślony, zwłaszcza, że w archiwum Namiestnictwa nawet śladu podobnej wymiany depesz nie udało mi się znaleźć. Najbardziej zresztą kwestyonuje ich autentyczność ten ustęp odpowiedzi Mensdorfa, w którym on powiada, że nie brak powodów uwięzienia ks. Sapiehy, gdy rzecz się miała przeciwnie, bo właśnie brak dowodów wstrzymywał policyę od energiczniejszych w tym względzie kroków.

Lecz wreszcie i dowody się znalazły. Nadpłynęły one niemal równocześnie z dwu stron. Najprzód dostarczyły ich władze rosyjskie. Wśród papierów bowiem skonfiskowanych przez rząd rosyjski oddziałom Langiewicza i Czachowskiego znalazł się i list Stefana Zamoyskiego do pułkownika Czachowskiego datowany 15 marca, w którym autor jego omawiał coraz trudniejsze położenie w Galicyi z powodu przeszkód, jakie stawiał tamtejszemu ruchowi rząd austryacki. Do tego listu była dołączona kartka ołówkiem przez ks. Adama Sapiehę pisana, zawierająca tylko wskazówkę, by oddział trzymał się granicy galicyjskiej i by o ru-

chach swych powiadamiał codziennie oddawcę tej kartki, t. j. Stefana Zamoyskiego.

Oba te pisma w kopii przysłano z Warszawy ambasadorowi rosyjskiemu w Wiedniu, który je wręczył austryackiemu ministeryum spraw zewnętrznych. Stąd dn. 4 lipca wysłane, dostały się w tłómaczeniu niemieckiem Mensdorffowi do dalszego użytku. Namiestnik otrzymał posyłkę dn. 7 lipca i zaraz posłał oba te pisma wiceprezydentowi sądu krajowego we Lwowie baronowi Karolowi Pohlbergowi, z zapytaniem, czy nie potrzebaby mu było, na wypadek sądowego postępowania, obu tych listów w oryginale.

W rzeczy samej Pohlberg, mimo że treść obu tych interceptów, a zwłaszcza kartki ks. Adama, była dość błahą, zażądał przecież dostarczenia sobie oryginałów, nie chcąc nawet puszczać z rąk tak marnej zresztą zdobyczy.

Przyczyniła się zaś do tego jeszcze inna okoliczność, która znacznie podnosiła wartość obu tamtych listów w oczach sądu. Oto bowiem w dwa dni po otrzymaniu ich przez namiestnika, znalazł się ks. Adam w więzieniu sądu karnego.

Stało się to niezależnie od kompromitującej go kartki, z zupełnie innych powodów. W końcu czerwca mianowicie szykowała się wielka wyprawa z Galicyi wschodniej trzech skombinowanych oddziałów Wysockiego, Miniewskiego i Horodyńskiego na tuż obok granicy położony Radziwiłłów. Impreza ta z rozmaitych powodów nie udała się. Rozbite oddziały musiały cofnąć się z powrotem na terytoryum austryackie. Bitwa toczona tuż nad granicą, w obecności austryackiej straży granicznej i rozmaitych ludzi, mogła nadto bardzo łatwo skompromitować wybitniejsze osoby, biorące w niej udział. Tak właśnie stało się z ks. Adamem Sapiehą.

Wprawdzie w samej walce on nie brał czynnego udziału, działał tam tylko jako komisarz cywilny przyłączony do oddziału Horodyńskiego. Widziała i poznała go jednak austryacka straż skarbowa i od niej to wpłynęło na księcia doniesienie do policyi lwowskiej. Dyrektor jej Hammer nie omieszkał naturalnie ze sposobności tej korzystać. Rozpoczął śledztwo, którego ostatecznym wynikiem była rewizya w pałacu księcia przy ulicy Kopernika i aresztowanie ks. Adama.

O tych wszystkich zdarzeniach zdał Hammer bardzo obszernie sprawę w swym raporcie do Namiestnictwa, pisanym przez dwa dni 9 i 10 lipca 1863 r., bardzo ciekawym, bo szczegółowo opisującym cały przebieg zdarzeń, które spowodowały uwięzienie

księcia. Jak zwykle, tak i tym razem dyrektor policyi lwowskiej zaczął swój raport od zaznaczenia, że według ogólnego mniemania ks. Adam Sapieha stoi na czele istniejącego we Lwowie komitetu, będącego ekspozyturą warszawskiego Rządu Narodowego, na którą to jednak okoliczność dotąd jeszcze niema dowodów.

Dalej mówi Hammer w swem piśmie, że w ostatnich czasach ogólnie wskazywano na księcia, jako na przygotowującego wyprawę wołyńską i napad na Radziwiłłów. Poszlaki w rzeczy samej są w tym względzie, bo książę na kilka dni przed aferą radziwiłłowską opuścił Lwów i udał się w kierunku Żółkwi, a ten wyjazd powszechnie tłómaczono wyruszeniem wyprawy wołyńskiej. Odtąd zaczynają się jednak już bardziej konkretne co do działalności ks. Sapiehy wskazówki. Oto bowiem w czasie ataku na Radziwiłłów widziała go straż graniczna. Skoro się o tem Hammer dowiedział, polecił natychmiast komisarzowi Zateckiemu, kierownikowi ekspozytury policyjnej w Brodach, przeprowadzić na miejscu drobiazgowe śledztwo w sprawie udziału księcia w tej wyprawie.

W odpowiedzi na to Zatecki przesłuchał niektórych strażników skarbowych i trzech mieszkańców Brodów. Na podstawie ich zeznań, a w szczególności respicyenta straży skarbowej Deblessena, zdołano ustalić niektóre szczegóły. I tak, w czasie bitwy pod Radziwiłłowem i Lewiatynem stał książę w pobliżu generała Wysockiego, a u boku księcia znajdował się uzbrojony ks. Sanguszko. Co do czynnego udziału księcia, zdołano ledwo tyle stwierdzić, że książę polecił dowódcy jednego z małych oddziałów pomaszerować zamiast w lewą stronę, w prawą do lasu w kierunku Radziwiłłowa. Nadto, według krążących wersyi, miał Wysocki powierzyć ks. Adamowi kasę oddziału. Miano też widzieć księcia w Brodach i okolicy jeszcze przez dwa dni po bitwie radziwiłłowskiej, t. j. 2 i 3 lipca.

Wszystkie te szczegóły zostały według relacyi Hammera dodatkowo stwierdzone przez poufne doniesienia i przez artykuł „Gońca“ z 7 lipca 1863 r. № 145, w którym opisana była bitwa radziwiłłowska, z tym, zresztą bardzo ogólnym dodatkiem, że rozkaz do bitwy wyszedł od „władzy cywilnej“ czyli, jak policya sądziła, od ks. Adama.

Zebrany w ten sposób materyał dowodowy odstąpiła dyrekcya policyi sądowi krajowemu do spraw karnych, przyczem zaznaczała, że ks. Sapieha, jako prezes Towarzystwa gospodarczego, ma swoje biura w zakładzie Ossolińskich i że tam znajduje się

też poufny sekretarz księcia, Józef Grelinger, który posiadać ma klucz tajnej, cyframi pisanej korespondencyi księcia.

Sąd, po otrzymaniu tego doniesienia policyi, odbył zaraz w tej sprawie naradę, na której uchwalono przeprowadzić rewizyę w pałacu księcia, w biurach Towarzystwa gospodarczego i u Grelingera, a nadto, bez względu na rezultat poszukiwań, aresztować księcia. Rewizyę miano przeprowadzić dn. 9 lipca o godzinie 4-ej popołudniu.

Odbyła się ona z wyjątkowym aparatem ostrożnościowym, bo oprócz zwykłej komisyi sądowej i asystencyi policyjnej, jeszcze otoczono pałac dookoła kordonem wojskowym. Ulice Kopernika i Sykstuską aż po kościół św. Maryi Magdaleny zaległo wojsko, puszczające ledwo pojedyńczych przechodniów. Oprócz tego na odwachu skonsygnowany był silny oddział piechoty, gotowy każdej chwili do wymarszu.

Komisya rewizyjna zastała księcia Adama w jego pracowni. Palił on papierosy i wraz z drugim nieznanym mężczyzną przeglądał rozłożoną na stole mapę okolic Rawy. Wobec tego, że dotychczasowa rewizya w pałacu nie przyniosła poważniejszych rezultatów, komisarz policyi Wagner skierował całą niemal uwagę na nieznanego towarzysza ks. Adama. Podejrzenia tembardziej wzrastały, ponieważ indagowany, począł się w swych zeznaniach wikłać. Uderzająca w oczy nieprawda jego zeznań, przedstawił się bowiem zrazu jako czeladnik stolarski, spowodowała Wagnera do aresztowania go. Przeprowadzona na nim zaraz rewizya dostarczyła paru szczegółów obciążających go. Znaleziono bowiem przy nim dwa paszporty: jeden wystawiony przez lwowską dyrekcyę policyi na nazwisko Juliusza Małuszyńskiego, drugi przez cyrkuł przemyślański dla Karola Bartoszewskiego, z których pierwszy uznano za prawdziwy, drugi za sfałszowany. Prócz tego wpadła w ręce policyi kartka, znajdująca się w jednym palcu rękawiczki z napisem: „Oddawca niniejszego ma zupełne moje zaufanie. Generał Antoni Jeziorański“.

W dalszym ciągu indagowany, zmienił poprzednie swoje zeznania; powiedział, że nazywa się Ignacy Bogdanowicz, pochodzi z Wilna, odbył ostatnią kampanię turecką i przybył do Lwowa, przysłany przez warszawski komitet narodowy celem objęcia stopnia majora w tutejszych oddziałach. Wspomnianą kartkę otrzymał od Ordęgi w Paryżu, obie legitymacye w Krakowie, a przyszedł do ks. Sapiehy, aby się wywiedzieć o miejscu pobytu generała Wysockiego.

Ponieważ pismo Bogdanowicza było nieco podobne do pisma znalezionej u niego kartki, a zarazem rysy wskazywały pewne podobieństwo do fotografii Jeziorańskiego, więc komisya była przekonaną, że rezultat jej wypadł świetnie, bo za jednym zamachem udało jej się pochwycić i głównego naczelnika cywilnego i jednego z najwybitniejszych dowódców wojskowych powstania.

Do uwięzienia Bogdanowicza komisya z tego jeszcze powodu przykładała szczególniejszą wagę, że zresztą właściwy jej rezultat poza samemi aresztowaniami był bardzo marny. Zabrano wprawdzie wiele papierów, których treści, a tem samem wartości dowodowej nie umiano, przynajmniej w pierwszej chwili, podać. Między księgami Towarzystwa gospodarczego znalazł komisarz policyi Wagner kajet, do którego szczególniejszą komisya przywiązywała wagę, ponieważ miał on, według jej mniemania, dostarczyć niezbitych dowodów na tę pierwszorzędną w tym wypadku okoliczność, że ks. Adam był w istocie kierownikiem narodowego komitetu w Galicyi. Nadto z aktów, które odrazu miały dla celów rządowych dużą wartość, dyrektor policyi wymieniał raport Wysockiego z dn. 4 kwietnia 1863 r. do komitetu narodowego we Lwowie, list w języku angielskim, jak się domyślano prawdopodobnie przez angielskiego agenta w Brodach pisany do ks. Adama o stosunkach w Radziwiłłowie, wreszcie obszerną relacyę o siłach i położeniu powstańców koło Radziwiłłowa i w powiecie złoczowskim. Z sytuacyi, w jakiej zastano księcia w chwili wejścia komisyi do jego pracowni, wnoszono też, że książę był zajęty wraz z Bogdanowiczem przygotowywaniem wymarszu oddziału powstańczego do Królestwa w okolicach Rawy.

Jak się z tego pobieżnego, w pierwszej chwili zrobionego spisu okazuje, komisya niewiele znalazła materyału kompromitującego wprost samego księcia. Przyczem dodać należy, że przeprowadzona równocześnie rewizya w zamku książęcym w Kraśiczynie zgoła żadnego nie przyniosła rezultatu. Przeszukano tam wszystko, z wyjątkiem kasy wertheimowskiej, którą tylko opieczętowano, ponieważ klucze miał nieobecny na miejscu książę Adam.

Zdaje się wszelako, że i ten naogół niewielki rezultat rewizyi zawdzięczał rząd głównie gorliwości komisarza Wagnera i jednego z radców sądowych, osławionego i zabitego wkrótce potem Kuczyńskiego.

Zresztą właściwe akta księcia, a więc wszystkie rachunki, relacye i notatki, odnoszące się do działalności jego, jako członka komitetu, miała wręczyć na drugi dzień po rewizyi Ziemiałkowskiemu żona ks. Adama księżna Jadwiga Sapieżyna.[1])

Aresztowanego ks. Adama odstawiono o godz. 7-ej wieczór do sądu karnego, a wraz z nim oddano tam i wszystkie papiery znalezione u niego w czasie rewizyi.

Hammer zakończył swój skrupulatny raport z dn. 10 lipca dodatkową uwagą, że tak sama rewizya, jak i aresztowanie ks. Adama, odbyły się w zupełnym porządku, ale w każdym razie wywarły w mieście wielkie wrażenie.

Uwięzienie ks. Adama, zabranie jego papierów, tudzież rozpoczęte w jego sprawie śledztwo, było też jednym z głównych powodów, dla którego wiceprezydent sądu, Pohlberg, zwrócił się do namiestnika z żądaniem zarekwirowania także i obu interceptowanych przez rząd rosyjski listów hr. Stefana Zamoyskiego i ks. Sapiehy w ich oryginalnem brzmieniu.

Myśl jednak podobnej propozycyi, choć wyszła od namiestnika, podjęta przez Pohlberga, została przedstawioną przez Mensdorffa w świetle zgoła odmiennem, a bardzo interesującem ze względu na politykę austryacką.

W swej relacyi z dn. 14 lipca zawiadamiał namiestnik ministra policyi o oddaniu obu przysłanych listów do dalszego użytku sądowego, dalej donosił o aresztowaniu ks. Adama i rozpoczętem przeciw niemu śledztwie z powodu wydatnego popierania przez niego powstania. Następnie, stosownie do żądań Pohlberga, prosił o wystaranie się u rządu rosyjskiego o oba oryginały przysłanych interceptów. Jednakże od siebie zwracał w tym względzie uwagę przedewszystkiem na pogłoski, jakie się zjawiły w wiedeńskich dziennikach, a które łatwo znajdują posłuch i w Galicyi, mianowicie, że aresztowanie ks. Adama Sapiehy nastąpiło wskutek nacisku rządu rosyjskiego. A następnie dowodził, że pogłoska ta, choć w gruncie rzeczy fałszywa, jeszcze łatwiej znalazłaby ogólną wiarę, gdyby w czasie rozprawy, ks. Adamowi wytoczonej, użyto, jako argumentu dowodowego przeciw niemu, oryginalnych aktów, będących w posiadaniu rządu rosyjskiego.

Argumentacya w tej sprawie galicyjskiego namiestnika znalazła w Wiedniu w zupełności uznanie i aprobatę. Wskutek tego

[1]) Ziemiałkowski, Pamiętniki. Kraków, 1904. Część III, str. 164.

też Mecsery, po porozumieniu się z ministrem spraw zagranicznych, Rechbergiem, odpisał Mensdorffowi dn. 2 sierpnia 1863 r., że rezultat, jaki mogą przynieść żądane przez sąd lwowski z Warszawy papiery, jest problematyczny i nie stoi w żadnym stosunku do przykrego wrażenia, jakie może wywołać, o ile dostanie się do wiadomości publicznej fakt, że rząd austryacki żąda od rosyjskiego obciążających dowodów przy osądzaniu sprawy więźniów narodowości polskiej. „Niema bowiem żadnej gwarancyi— pisał w dalszym ciągu minister policyi—żeby w zupełności zatajone zostało źródło, skąd nas te informacye doszły, bo gdybyśmy nawet liczyli z całą pewnością na milczenie dopuszczonego do tajemnicy prezydenta sądu lwowskiego, jednak nie sposób przeszkodzić temu, iżby sam rząd rosyjski przy nadarzającej się odpowiedniej sposobności nie odsłonił owego źródła.“ Mecsery więc radził tej sprawy już nie tykać. I w rzeczy samej, choć sąd, badając różne u ks. Adama znalezione papiery, miał co do prowenienicyi przynajmniej pewnej ich liczby, poważne wątpliwości i choć imieniem jego radca Kuczyński kilkakrotnie jeszcze zgłaszał się za pośrednictwem Namiestnictwa do ministeryum policyi o wyszukanie za granicami Austryi, czy to w Niemczech, czy w Rosyi, czy we Francyi adresatów lub korespondentów księcia, zawsze na tego rodzaju żądania przychodziła z Wiednia, w myśl raz przyjętej zasady, odpowiedź odmowna, mimo, że parokrotnie nie o Rosyę chodziło.

Tymczasem śledztwo w sprawie ks. Adama Sapiehy przewlekało się; wśród gęsto aresztowanych starano się doszukać współwinnych w jego sprawie, jakoteż zgromadzić jaknajwięcej dowodów lub przynajmniej poszlak jego winy. Najmniejszy świstek był przez sąd lwowski skrupulatnie badany. Uwaga sądu zwłaszcza była zwrócona na tekę, będącą własnością barona Engeströma, znalezioną u ks. Sapiehy, a mającą rzekomo zawierać bardzo ważne papiery, odnoszące się do spraw powstania. Prowadzący w tej sprawie śledztwo radca Kuczyński pragnął koniecznie dopatrzeć się w zabranych luźnych notatkach, listach i telegramach śladów jakiegoś porozumiewania się powstania z rządem francuskim. Dowodów na to miały mu dostarczyć, obok innych, dwie zwłaszcza kartki—jedna z podpisem Mocquard, senator i szef gabinetu w Paryżu, druga skierowana pod adresem agenta Findeisena w Paryżu.

Tłómaczenie treści tych i kilku innych depesz jednak przez sąd lwowski było tak naciągane, że nawet same władze centralne uznały przedstawione pisma za nic nie znaczące i nie mogące

przynieść jakichś rezultatów, gdyby się nawet zwrócono o ich wyjaśnienie, czy to do rządu pruskiego czy francuskiego. „Całkiem nieokreślona i niezrozumiała treść dostarczonych telegramów—pisał dn. 10 września 1863 r. w tej sprawie minister Mecsery do zastępującego podówczas namiestnika generała Schmerlinga — zdaje się nie przedstawiać żadnego punktu zaczepienia, ażeby módz żądać ze strony rządu pruskiego albo francuskiego jakichkolwiek wyjaśnień, ponieważ gdyby nawet zawarte w nich wzmianki rzeczywiście odnosiły się do spraw polskich, czego można się coprawda domyślać, lecz co nie da się z tych tylko pism udowodnić, to jednak braknie jakiegokolwiek określonego faktu, co do którego mogłyby być spowodowane bliższe wyjaśnienia. Tak samo kartka—pisał w dalszym ciągu minister policyi—z napisem Mocquard zawiera tylko oderwane notatki, które choć wprawdzie zdają się dotyczeć polskiego powstania, to jednak z powodu braku jakiegoś związku między sobą nie dają żadnego odpowiedniego materyału do jakiegokolwiek dyplomatycznego zapytania.“

Tymczasem gdy śledztwo tak skrupulatnie prowadzono, gdy co więcej z początkiem r. 1864 poczęły się coraz częściej powtarzać pogłoski, że już lada dzień, wobec zaprowadzić się mającego stanu oblężenia, sprawa przedstawioną zostanie sądowi wojennemu do rozstrzygnięcia, ks. Adam Sapieha wieczorem dn. 18 lutego 1864 r. uciekł z więzienia.

Według relacyi dyrektora policyi książę udał się o godz. 7 wieczorem dn. 18 lutego na przesłuchanie do prezydenta sądu Mochnackiego. Stamtąd wyszedł do registratury, gdzie właśnie matka jego, księżna Jadwiga, rozmawiała z urzędnikiem sądowym. Następnie zaś, korzystając z nieuwagi tego ostatniego, wyskoczył książę przez nizkie parterowe okno na ulicę i wsiadł na czekający go powóz, którym uciekł w kierunku niewiadomym policyi.

Wszczęte zaraz poszukiwania na miejscu w sądzie i w pałacu książęcym nie przyniosły żadnego rezultatu. Rozesłano telegramy do stacyi kolejowych i starostów, lecz i to było napróżno, książę bowiem skierował się na południe i przez Turcyę udał się do Francyi.

Przybywszy bezpiecznie na miejsce, objął książę w Paryżu funkcyę pełnomocnego komisarza Rządu Narodowego we Francyi i Anglii, o czem też zawiadomił ogół odezwą z dn. 21 kwietnia 1864 r. Następnie zaś rozwinął szeroką i wydatną działalność na rzecz powstania.

Mimo jednak tak znacznej odległości władze austryackie i nadal bardzo pilnie interesowały się wszystkiem, co tylko się osoby księcia tyczyło.

I tak już w cztery dni po wydaniu odezwy przez ks. Adama o jego nominacyi na pełnomocnego komisarza, dyrektor policyi Hammer dn. 25 kwietnia 1864 r. podał jej odpis do wiadomości Namiestnictwa, a wkrótce potem przysłał minister policyi również kopię tego aktu nowemu namiestnikowi generałowi Paumgartenowi.

Wogóle w Wiedniu niezbywało na informacyach o życiu Polonii w Paryżu, owszem spływały one stamtąd wcale gęsto do ministeryum, zwłaszcza policyi, które znowu donosiło o tem do Lwowa. Naturalnie, że w tym czasie bardzo wiele stosunkowo mówiono o działalności ks. Adama, dlatego też i w poufnych donosach do Wiednia bardzo często stawał się on ośrodkiem opowieści rozmaitych konfidentów austryackich w Paryżu.

Nie dziw więc, że wśród aktów znalazły się i listy otwarte ks. Adama Sapiehy do i od ks. Władysława Czartoryskiego i rozmaite, przeważnie podejrzanej wartości, wiadomości o stosunku ks. Adama do emigracyi i o jej zapatrywaniach na osobę księcia. Niejednokrotnie też poufni donosiciele rządu austryackiego nie żałowali barw czarnych i podawali wiadomości wprost fantastyczne.

Tak np. jeden z takich anonimów, przysłanych dn. 6 czerwca 1864 r. za pośrednictwem ministeryum policyi do Namiestnictwa we Lwowie, donosił, jakoby ks. Adam wydał rozkaz, by dla przykładu wymordować wszystkich nie stosujących się do poleceń Rządu Narodowego, wszystkich nie chcących płacić nałożonych podatków lub unikających osobistego udziału w powstaniu. Rząd Narodowy bowiem jakoby postanowił prowadzić dalej walkę, by skorzystać z zamieszek, wybuchłych na Wołoszczyźnie. Agenci polskiej partyi ruchu mają, według tej relacyi, wyruszyć do ziem polskich, uzbrojeni w sztylety i truciznę i na wszystko zdecydowani. Między innymi mają zamordować w podobny, jak Kuczyńskiego, sposób, także i obecnego namiestnika.

Inny znowu agent rządu austryackiego, choć nie podawał tak sensacyjnych nowin, przecież wiadomościami swojemi potrafił zainteresować władze. Donosił on mianowicie, że ks. Adam wyjechał dn. 8 maja do Drezna, celem wysłania stamtąd emisaryuszów swoich do Galicyi i że z początkiem maja wyjechał z Paryża hr. Ludwik Skrzyński, wioząc depesze księcia do Krakowa i Lwowa. W kilkanaście zaś dni później sygnalizował, że w Dreznie odbył się zjazd członków Rządu Narodowego i rozmaitych

wybitnych osobistości, na którym uchwalono nie bez opozycyi oświadczyć się za dalszem trwaniem powstania. Uchwałę tego rodzaju przeforsować miał głównie ks. Adam, przedstawiając sytuacyę polityczną i ważne następstwa dla sprawy polskiej, jakie wyniknąćby mogły z wojny, mającej wkrótce wybuchnąć między Rosyą a Francyą. Wskutek też tej uchwały miano rozwinąć ożywioną działalność w obozie polskim znowu przeważnie za sprawą ks. Adama, przyczem Galicya miała być ustawicznie wciągana w plany powstańców.

Nie wchodząc tu w faktyczną ocenę więcej niż podejrzanej prawdomówności tych na podstawie najrozmaitszych wersyi koncypowanych relacyi, możemy stwierdzić, że w każdym razie tak w Wiedniu, jak i we Lwowie, nie mijały one bez wrażenia, zaostrzając czujność władz tak w sprawach powstania wogóle, jak co do osoby ks. Adama Sapiehy w szczególności. Minister policyi chciał nawet wskutek wiadomości o pobycie księcia w Dreznie zażądać od władz tamtejszych urzędowego wydania go i w tym celu telegrafował dn. 13 maja 1864 r. do lwowskiego Namiestnictwa o szybkie nadesłanie odnośnych dokumentów sądowych.

Zwłaszcza wszelki materyał, odnoszący się do działalności księcia zagranicą, był dla władz austryackich bardzo pożądany do dalszych dochodzeń. Choć bowiem z chwilą ucieczki księcia śledztwo w sprawie karnej przerwano,[1]) a akta oddane zostały sądowi wojennemu, to przecież suspensya nastąpiła tylko chwilowo. Po zniesieniu stanu oblężenia zwrócono cały materyał w sprawie ks. Adama zebrany sądowi karnemu i on też w dalszym ciągu rozpoczął dochodzenia.

W tym celu też prokurator państwa, Bauch, pismem z dn. 30 sierpnia 1865 r. domagał się od Namiestnictwa bliższych danych co do działalności ks. Adama zagranicą. Namiestnictwo za-

[1]) Osobno prowadził sąd karny śledztwo w sprawie ucieczki ks. Adama z więzienia, lecz i tę rzecz oddał następnie do decyzyi sądu wojennego. Ponieważ jednak sąd ten nie znalazł podstaw do dalszego postępowania sądowo-karnego, przekazał tę sprawę z powrotem sądowi karnemu, który przeprowadził tylko śledztwo dyscyplinarne. Wynikiem jego było odprawienie jednego z dozorców, Kazimierza Jezuity, mimo że nie dowiedziono mu winy. Drugiego obwinionego klucznika Franciszka Wilhelma z powodu jego długoletniej 36 lat trwającej nienagannej służby, po udzieleniu nagany za lekkomyślność i brak nadzoru, przeniesiono do kancelaryi sądowej. Prezydent wyższego sądu krajowego Ignacy Strojnowski do zast. namiestnika generała Bamberga dn. 3 sierpnia 1864 r.

żądało odpowiedniego materyału od obu dyrekcyi policyi w Krakowie i Lwowie, a gdy te żądaniu zadosyć uczyniły, dostarczone tą drogą akta odesłało do sądu karnego.

Ponieważ jednak do ścisłych dochodzeń sądowych tamte poufne relacye z powodu braku odpowiedniego realnego materyału dowodowego nienazbyt się nadawały, więc choć Namiestnictwo posiadało ich pewną ilość, użytku z nich obecnie zgoła nie uczyniło. Ograniczyło się więc do przesłania prokuratoryi dn. 21 listopada 1865 r. odezwy księcia z dn. 21 kwietnia 1864 r., oznajmiającej o nominacyi na komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego, dalej odezwy jego z dn. 29 maja t. r., zawiadamiającej emigrantów o wstrzymaniu im zapomóg, wypłacanych dotąd z funduszów narodowych, wreszcie dwu numerów 44 i 54 z r. 1864 „Głosu Wolnego“ i „Echa z Polski“.

Zresztą niezależnie od tego poufnego zbierania szczegółów i dat, odnoszących się do działalności ks. Adama na emigracyi, rozesłano jeszcze dodatkowo za nim listy gończe. Nawiasem dodać tu należy, że wśród tego ogólnego zamieszania, jakie panowało po ucieczce księcia, przypomniano sobie o tym środku prawnym całkiem przypadkowo, przy innej zupełnie sposobności.

Oto bowiem dn. 9 maja 1864 r. wpłynęło do prezydyum Namiestnictwa podanie żony ks. Adama, księżny Jadwigi Sapieżyny, o jednoroczny paszport na podróż do Francyi i Niemiec dla dwu synów, mianowicie ks. Władysława i ks. Leona, tudzież dla ich nauczyciela Augustyna Chyżewskiego. Wtedy to dopiero zauważono, że paszport wydany dla ks. Adama dn. 12 sierpnia 1862 r. na przeciąg jednego roku już dawno stał się nieważnym.

Polecono więc dn. 17 maja 1864 r. staroście przemyskiemu rozpisać wobec tego za księciem listy gończe. Do tego polecenia Neusser zaraz się zastosował i już pod datą 19 maja przysłał do Namiestnictwa jeden egzemplarz takiego listu. Brzmiał on jak następuje: „Książę Pan Adam Sapieha z Krasiczyna w Galicyi, przebywając nieprawnie za granicą państwa austryackiego, niniejszem zawezwanym zostaje, aby w przeciągu trzech miesięcy od ogłoszenia tego edyktu w „Gazecie Krajowej“ powrócił i nielegalny pobyt zagranicą usprawiedliwił, w przeciwnym bowiem razie przeciw Księciu Panu postępowanie, w myśl najw. patentu z dn. 24 marca 1832 r., zarządzone byćby musiało. Od c. k. władzy obwodowej, Przemyśl dnia 19 maja 1864 r.“

Naturalnie, że to wezwanie, acz parokrotnie jeszcze z końcem r. 1864 i początkiem 1865 ponawiane, na nic się nie przyda-

ło, bo książę wciąż jeszcze bawił zagranicą, oczekując wolnego powrotu do Galicyi.

A starania w tej mierze były przez ojca, księcia marszałka, wdrożone już zaraz po aresztowaniu jego. W Wiedniu mianowicie czynił zabiegi o uwolnienie ks. Adama hr. Alfred Potocki. Te usiłowania jednak natrafiały na rozliczne przeszkody. Na dość długi okres czasu przerwała je nadto ucieczka ks. Adama z więzienia. Podjął je napowrót ks. Leon dopiero po zawieszeniu wszystkich dochodzeń w Galicyi i po ogłoszeniu dn. 18 listopada 1865 r. ogólnej amnestyi. Zaraz też skorzystał z tego ks. Adam i wniósł na ręce posła austryackiego w Karlsruhe podanie do cesarza o pozwolenie na wolny powrót do kraju. Tę prośbę poparł ks. marszałek najprzód na audyencyi u cesarza w Burgu, a następnie w osobnej prośbie do cesarza wniesionej od siebie. Tę też ministeryum policyi wysłało dn. 5 lutego 1866 r. do Lwowa celem zasięgnięcia bliższych informacyi w Namiestnictwie.

Ówczesny namiestnik Paumgartten sam jednak tej sprawy nie załatwił, lecz zwrócił się po opinię w tym względzie do prezydenta sądu. Dopiero na podstawie stamtąd otrzymanych wskazówek odpisał namiestnik ministrowi policyi, Belcrediemu, pod datą dn. 14 marca 1866 r. Naturalnie, że tak opinia sądu, jak i namiestnika, wypadła dla ks. Adama z powodu działalności jego w Galicyi i na emigracyi—bardzo ujemnie. To też i w tem piśmie Paumgartten, przedstawiając pokrótce akcyę księcia i dowody jej zebrane przez sąd, wyraził zdanie, że nie sądzi, by książę w ostatnich czasach mógł uledz co do sposobu myślenia i zapatrywań, jakimś poważniejszym zmianom. Z tego powodu nie byłby za udzieleniem mu pozwolenia na wolny powrót do Galicyi.

Natomiast były inne względy, przemawiające za prośbą ks. Adama. Oto bowiem pozwolenie powrotu, udzielone księciu, mogłoby być uważane, według mniemania namiestnika, w obecnych warunkach za łaskę monarszą, za nowy dowód, że cesarz przyjmuje z całą ufnością zapewnienia wierności poddańczej, wyrażone ostatnio przez sejm, wreszcie, że za uwolnieniem ks. Adama przemawiają wielkie zasługi, położone przez jego ojca, ks. Leona.

„Nie ze względu więc na syna—kończył swój referat Paumgartten—ale tylko ze względu na ojca, pozwalam sobie postawić wniosek o łaskawe uwzględnienie prośby, przyczem sądzę, iż obowiązkiem moim jest zwrócenie uwagi na jedną okoliczność, że wprawdzie ma być zawieszone dalsze ściganie księcia sądowo-karne, lecz może być ono każdej chwili, skoro tylko ks. Adam

Sapieha brałby udział w jakichś politycznych knowaniach, na nowo podjęte.“

W Wiedniu do uwag powyżej wyrażonych w zupełności się zastosowano. To też najwyższe postanowienie cesarskie z dn. 12 maja 1866 r. pozwalało wprawdzie powrócić ks. Adamowi do Galicyi i uwalniało go od kary, lecz dawne śledztwo w sprawie zbrodni zakłócenia porządku publicznego zawieszało tylko na tak długi czas, dopóki książę znowu o coś podobnego poraz wtóry nie zostanie oskarżony. Rząd więc w ten sposób pozostawiał sobie zawsze furtkę otwartą do dalszego śledztwa. Nad księciem zaś zawieszał miecz Damoklesa rozmaitych szykan policyjno-biurokratycznych, które każdej chwili mogły sprawę w ten sposób umorzoną wznowić. [1])

O tych zarządzeniach zawiadomiło Namiestnictwo dn. 20 maja dyrektorów policyi we Lwowie i Krakowie, tudzież starostwo przemyskie z poleceniem pilnego baczenia na dalsze zachowanie się ks. Adama.

Tymczasem książę skorzystał z udzielonego sobie pozwolenia i na jego podstawie powrócił do Galicyi. Rozwinął wtedy szeroką i owocną działalność obywatelską. A choć później niejednokrotnie jeszcze wpływały na niego najrozmaitsze donosy o przygotowaniach powstańczych, przez niego i hr. Działyńskiego w latach 1869 i 1870 planowanych, przecież już wówczas zawieszonej sprawy sądowej nie wznawiano, za wybitnym był bowiem obywatelem, by znowu bez namacalnych dowodów wytaczać można było przeciw niemu zarzuty o „zbrodnię zakłócania porządku publicznego.“

Bronisław Pawłowski.

---

[1]) Nota Strojnowskiego dn. 18 maja 1866 r.: „Seine K. K. apostolische Majestät haben mit a. h. Entschliessung vom 12. Mai d. J. allergnädigst zu bewilligen geruht dass die gegen den Fürsten Adam Sapieha wegen des Verbrechens der Störung der öffentlichen Ruhe anhängige Untersuchung, auch wenn er aus dem Auslande nach Galizien zurückkehrt einstweilen sistirt werde. S. M. haben jedoch gleichzeitig zu verordnen geruht, dass diese Untersuchung allsogleich wieder aufzunehmen sei wenn Inzichten einer neuerlichen strafbaren Thätigkeit des Fürsten vorkommen sollten.

ŚPIEWAK DUSZY.

I.

Od liryki idei — do liryki duszy.

Mieliśmy ongi „śpiewaka serca,“ Karpińskiego, o niezbyt, co prawda, silnym i głębokim, choć bardzo czystym tonie, — mieliśmy niedawno w Asnyku i Konopnickiej śpiewaków uczucia, myśli, idei, o wielkiej sile lotu i formie niezrównanie artystycznej; w nowszych zaś czasach w Janie Kasprowiczu posiedliśmy śpiewaka duszy, co w pieśni lirycznej zdołał ją wyrazić, uzewnętrznić całą pełnią i mocą indywidualnego jej we we własnym swym jestestwie czucia, życia i ruchu.

Prawda, na liryzmie nie zbywało nigdy naszej poezyi. Od samego jej zarania, od czasów Kochanowskiego bujnie się plenił i cudnie zakwitał na artystycznych jej niwach, nie mówiąc już o odwiecznych jego rozkwitach w samorodnej twórczości ludowej. A jednak, rzecz dziwna, poetów wyłącznie lirycznych, którzyby w lirycznej pieśni wyśpiewali całą głąb swej duszy w czterowiekowym przeszło rozwoju naszej literatury od Jana z Czarnolasu aż do Jana Kasprowicza mieliśmy stosunkowo niewielu.

Wspomnijmy oto wielkich wieszczów doby mickiewiczowskiej. Liryzmu u nich bezmiar; ale, patrzmy: czyż nie poza obrębem właściwych mu form wypowiedzieli to, co z największych głębi ich dusz wynikało, to w czem naród uznał najistotniejszą treść własnej swej duszy, „swych myśli przędzę i swych uczuć

[1]) Jan Kasprowicz. Dzieła poetyckie, tomów 6. Lwów 1912. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. E. Wende i Sp.

kwiaty"?—Wyjątkiem są poniekąd „Przedświt" i „Psalmy Krasińskiego." Ale pamiętać trzeba, że te czysto liryczne utwory stanowią tylko harmonijny finał pełnej bolesnych rozdźwięków tragedyi „Irydiona" i „Nieboskiej," w której głównie uprzytomnia się nam wieszcza myśl poety. U Mickiewicza i Słowackiego stosunek analogiczny, choć odwrotny: indywidualna liryka pierwszych części „Dziadów," „Kordyana" i rzeczy im współczesnych stanowi nie dopełnienie, ale wstęp twórczości o dramatycznej i tragicznej osnowie i o wspaniałych finałach epickich. Natchnienie twórcze trzech owych mistrzów naszej poezyi nie mogło się zamknąć w podmiotowym świecie duszy. Otaczająca rzeczywistość narodowa, w pełni swych niezmiernie wytężonych dążeń, domagała się od nich jakichś uprzedmiotowań zewnętrznych, jakichś tyrteuszowskich haseł i wezwań, któreby podniecały w narodzie siły do walk zwycięskich, lub też do heroicznych dla przyszłych zwycięstw ofiar. Spełniając to zadanie, dawali oni narodowi swe dusze uprzedmiotowione w kolizyach konradowych, kordyanowych, irydyonowych dramatów, w epickiem obrazowaniu umiłowanej ojczyzny, czy to na realnych poziomach mickiewiczowskiej „historyi szlacheckiej," czy to na idealno-mistycznych wyżynach duchowego eposu Słowackiego.

Skoro następnie po katastrofie roku 63 przeminęła w życiu naszego narodu ta epoka bohatersko-tragicznych wysiłków i pieśń narodowa zniżyła swój ton, zacieśniła swój widnokrąg. Ale i teraz nie mogła się zamknąć w indywidualnym życiu duszy; zawsze była pobudką do walki, wezwaniem do czynu, na innym tylko poziomie i w innym zakresie. Stała się ona teraz (w twórczości np. Asnyka i Konopnickiej) niemal wyłącznie liryczną, gdy epika i dramat całkiem przeszły do dziedziny prozy;—ale ta liryka zbyt była przesiąknięta ideowością, zbyt tendencyjnie nieraz zabarwiona, aby mogła się stać bezpośrednim wyrazem duszy, odgłosem żywiołowych jej głębi. Żywiołowość z natury rzeczy obca być musiała tej poezyi przemyślanego uczucia, czy uczuciem przeniknętej myśli.

Nie twierdzę oczywiście, aby na duszy zbywać miało takim silnym i natchnionym, jak wyżej wspomniane, talentom twórczym; sądzę wszakże, że śpiewne struny ich dusz, jak harfy eolskie, drżały raczej od potrącającego je z zewnątrz powiewu ideowych prądów epoki, aniżeli od rwących się z ich wnętrza samorzutnie indywidualnych wichrów uczucia i namiętności. A czy nie w tych ostatnich właśnie ujawnia się głównie istotna dusz ludzkich natura?—Dusza nie jest li tylko myślą, uczuciem, ideą, dążeniem

ideowem, ani tych różnych pierwiastków połączeniem, ustosunkowaniem. Jest ona tem wszystkiem wprawdzie, lecz i czemś więcej jeszcze, jakiemś nieuchwytnem specyficznem *czemś*, stanowiącem podmiotową jej odrębność, indywidualną, jedyną w swoim rodzaju istotę człowieka wewnętrznego. To *coś* niezawsze, nieczęsto w poezyi i w sztuce wogóle z należytą ujawnia się wyrazistością w bezpośredniej żywiołowej sile swego działania. Są genialne nawet indywidualności twórcze, są całe epoki twórczości, w których dusza wypowiada się nietyle przez czysto osobiste z najgłębszego jej wnętrza rwące się pragnienia, ile przez pewne na zewnątrz zwrócone dążności ku celom i zadaniom społecznym, narodowym, ogólno-ludzkim.

Czyż nie taki ma charakter co tylko upłyniona, tak nam bliska jeszcze epoka pozytywizmu i realizmu wraz z typowymi swymi przedstawicielami w literaturze, sztuce, poezyi?

Mając na uwadze tę ostatnią, zważmy jak zasadniczo różnią się od swych następców genialni jej mistrze z doby mickiewiczowskiej. Jakże wyraźnie wypowiadają się oni w swych tworach w całej odrębności indywidualnych, czysto osobistych swych znamion i przymiotów duchowych! Zbiorowe życie narodu porywa ich potężnym wirem swych wybujałych dążeń, ale niezaciera wcale ich odrębnych fizyognomii psychicznych; owszem, poniekąd samo się do nich przystosowywa, przywdziewa je jako charakterystyczne, pełne wyrazu maski znamienitych kreacyi poetyckich.

Inaczej przedstawiają się ich następcy z drugiej połowy zeszłego wieku. Jakże bezosobistą jest liryka Asnyka lub Konopnickiej,—oczywiście bezosobistą w znaczeniu psychicznem, osobowość bowiem artystyczna w tworach tak znamienitych talentów dobitnymi musiała się zaznaczyć rysami. Niewiele wszakże rysów indywidualnej charakterystyki życiowej możnaby w nich odnaleźć, a te które są, jak bezwzględnie podporządkowują się ideowości życia zbiorowego, społecznej, narodowej, czy filozoficznej.

A oto przeciwległy kraniec twórczości poetyckiej, która ostatnimi czasy w tak zwanej „młodej Polsce“ zda się otwierać nowe widnokręgi, nowy zgoła okres swego rozwoju. Osobowość bardzo konkretna, indywidualna, podmiotowa, na pierwszy plan teraz występuje i to we wszystkich działach i rodzajach poezyi: w dramaturgii Wyspiańskiego, której każdy poszczególny twór daje się odnieść do ściśle określonego momentu i faktu z życia poety, w powieściach historycznych Żeromskiego, tak wyraźnie zabarwionych czysto osobistym stanem i nastrojem uczuciowym

autora, w dramatach Przybyszewskiego, przenoszących na naszą głębię psychiczną motywy czysto osobistych przeżyć w obcym naszemu ogółowi (i wszelkiemu wogóle ogółowi społecznemu) środowisku literacko-artystycznej dekadencyi współczesnej.

Tym i innym pokrewnego typu poetom doby obecnej wszystko prędzej zarzucić można, aniżeli brak duszy. Skoro Przybyszewski rzucił w świat słynne swoje hasło „nagiej duszy," poczęto żartem o niej mówić, jako o równoznaczniku nagiego ciała w zmysłowych jego orgiach. Żartownisie nie domyślali się może jak wiele w ich koncepcie było prawdy, w innem wszakże znaczeniu aniżeli sądzili—w znaczeniu nie przeciwieństwa, lecz owszem analogii, współrzędności.

Czyż zboczenia i wybryki moralne cielesnej nagości możliwe byłyby bez udziału duszy?—I naodwrót: czyż nagość duszy może się nam inaczej ujawnić aniżeli w cielesnej realizacyi? — Dusza obnażona, t. j. wypowiadająca się bez osłonek w całej wewnętrznej swej prawdzie, nie jest to zaiste jakaś ideowo-uczuciowa świątynia człowieczeństwa, lecz żyjący splot myśli, uczuć, namiętności, złych nałogów i dobrych popędów o bardzo nieraz jaskrawych przeciwieństwach uwartościowań moralnych i duchowych.

Wynalazca doktryny „nagiej duszy" daje nam ją w zamęcie przeciwieństw rozwijającego się na pewnych poziomach intelektualno-kulturalnych zwyrodnienia moralnego; — inni poeci współcześni odsłaniają nam tragiczne głębie jej zwątpień, zaprzeczeń, beznadziejnych porywów i rozpacznych upadków. A wszyscy szczerzy jej rzecznicy w dobie obecnej, jakże dalecy są od tych harmonijnych akordów wiary, nadziei, miłości, którymi grzmiał „Przedświt" Krasińskiego, które dźwięczały w mistycznych ekstazach towianizmu i przenikniętych nimi ostatnich myślach, ostatnich dążeniach Mickiewicza i Słowackiego — obce im też te pogodniejsze odbłyski realnych poziomów życia, które rozjaśniają niekiedy poezyę doby pozytywizmu. Zbyt oni głęboko wejrzeli w dusze własne i w odźwierciadlającą się w nich duszę narodu, rozstrojoną, zamąconą okropnym nawałem walących się na nią od wieku nieszczęść, klęsk i zawodów.

Przyszła chwila, kiedy ta umęczona dusza zbiorowa przez usta swych poetyckich rzeczników, musiała się wypowiedzieć nietylko w blaskach swego wzniosłego *Confiteor*, brzmiącego bądź na idealnych szczytach, bądź na realnych poziomach, lecz także w okropnej nagości swych zwątpień i rozczarowań, pozostałych jej po tylu daremnych porywach, upadłych nadziejach.

Tę smutną chwilę za dni obecnych przeżywa nasza poezya, nasza literatura; nie dziw, ze tak tragicznymi brzmi rozdźwiękami. Nie dziw, że i pieśń jej liryczna — pieśń śpiewaka duszy współczesnej, Kasprowicza, najsilniejsza może w tonie, najgłębsza w nastroju ze wszystkich, jakie kiedykolwiek brzmiały w liryce polskiej, tyle nie harmonijnych ma w sobie akordów i głównie pięknością swej grozy tragicznej z duszy do duszy tak potężnie przemawia.

II.

Pieśń ludowa na wyżynach artyzmu.

Wyjątkowe w poezyi naszej znaczenie liryki Kasprowicza, wynika przedewszystkiem z wyjątkowego charakteru jedynej w swoim rodzaju indywidualności twórczej.

Pierwszy u nas artystyczny poeta z ludu wzniósł się do szczytów sztuki i kultury, nieprzeniewierzając się przytem wcale naturze, tradycyom i wspomnieniom rodzimej swej dziedziny.

Słusznie mógł on powiedzieć o sobie w jednym ze swych utworów, w hymnie „Święty Boże,“ że:

zabrał z jej chat
żalniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwny, przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat,
jak wielką świętość niósł.

Prawdziwie, i urok przyrody swojskiej, jedynej wiejskiego, rolnego ludu piastunki i mistrzyni, i ciężką, łzawą ludu tego dolę uniósł poeta z chaty rodzinnej i zawarł w swej pieśni, pomnażając te proste, sielskie motywy, bogactwem współbrzmiących tonów uczucia, myśli, idei, rozsnuwające w jakiejś symfonii lirycznej o wielkiej mocy tonu i głębi psychicznego nastroju. A ta moc, ta głębia nie skądinąd rodem, jeno z duszy poety, z silnego i pełnego wypowiedzenia całej jej treści wewnętrznej, rozśpiewanej odwiecznymi cechami zbiorowej duszy ludu i wielogłosową, różnobrzmiącą

wrzawą współczesnego życia duchowego, tak szeroko ogarniętą, w akordach liryki kasprowiczowskiej.

Słyszymy w tej liryce szczerą, rodzimą pieśń ludową, wzniesioną do wysokich sfer artyzmu, rozbrzmiewającą w harmoniach—częściej w rozdźwiękach—naszej bogatej, a tak, niestety, rozstrojonej kultury. Na jej wyżynach dochodzi tu do głosu ktoś, co nam przynosi prawdziwe wieści z nizin bytu i czucia ludowego od źródeł samorodnej twórczości, zakw.tającej kwieciem rodzimej poezyi.

Głosy z tych nizin, głosy sławionej przez Mickiewicza „wieści gminnej“ i dawniej brzmiały nam mile i swojsko, ale bądź co bądź z daleka, z innej, nie naszej sfery. Lud był nam „młodszą bracią,“ z którą chętnie radzibyśmy iść razem, ale postępując zawsze na przodzie, w charakterze opiekunów, wodzów, którym z wieku i urzędu miejsce przodownicze się należy. A oto od niedawna, z roku na rok niemal stosunek ten zasadniczej ulega przemianie. Lud coraz więcej okazuje chęci i zdolności do samoistnej po drogach postępu wędrówki, coraz częściej jednostki wybitniejsze, niekiedy i grupy całe, naprzód ze zbiorowej jego masy się wysuwają, na pierwszy plan, na górujące nawet stanowiska. Dawne hasła starszego braterstwa, przyrodzonego przodownictwa tracą stopniowo na znaczeniu, powoli, ale stale wypierane są przez nową zasadę obywatelskiego równouprawnienia.

Nie wszystkim to przeobrażenie przypada do gustu i przekonania, ale wszyscy mniej lub więcej muszą się z nim liczyć, jako z prądem życiowym bardzo znaczącym, a nieprzepartym — z nim i z jego konsekwencyami w różnych dziedzinach kultury.

Jedną z tych konsekwencyi jest poezya Kasprowicza. Określiłbym ją jako pieśń ludową, przemawiającą językiem wysokiej kultury artystycznej, jako „wieść gminną“ w swem spotęgowaniu ideowem, zdobywającą sobie niejako prawo obywatelstwa na wyżynach twórczej myśli współczesnej. A zaznaczam z naciskiem, że nie fakt pochodzeniu poety z ludu nadaje jego twórczości to określone powyżej znaczenie, lecz fakt duszy ludu, przemawiającej w jego pieśniach, szczeroludzkiej duszy, mającej w sobie żywiołową samorzutność rodzimych źródeł życia wewnętrznego i szeroką rozlewność najbujniej rozwiniętych jego prądów kulturalnych.

Oto dlaczego Kasprowicz jest wybitnym w naszej poezyi współczesnej (a może i w całej poezyi polskiej) lirycznym śpiewakiem duszy. Jeśli przebijająca w jego pieśniach kultura duchowa jest zjawiskiem normalnem, choć niezwykłem na tych na-

wet wyżynach artyzmu, do jakich one przynależą — to właściwa im duchowa żywiołowość stanowi tu objaw prawdziwie wyjątkowy, rażący nawet niekiedy subtelniejszą wrażliwość wybuchami jakiejś szorstkiej, nieokiełznanej mocy. Są ludzie co z tego powodu dotąd niemogą się pogodzić z poezyą Kasprowicza: widzą w niej jakieś barbarzyńskie wyuzdanie dekadencyi współczesnej, lub też skarżą się na niejasność i zawiłość ideowego jej wątku, artystycznych jej form.

Czy te rzekome braki nie są raczej objawem nadmiernej pełni duszy w liryce kasprowiczowskiej?

Dusza na swej powierzchni intelektualnej i w swych pojęciach, ideach, uczuciach, wspólnych wielu ludziom jednej sfery psychicznej, jednego poziomu umysłowego, daje się łatwo ująć i wypowiedzieć, ale w swej żywiołowej głębi, w swej odrębnej istotowości, w tem coby dawny scholastyk nazwał *quid proprium*, jakżeż jest nieuchwytna, jak zawiła i chaotyczna, zwłaszcza dusza nowoczesna, prawowita córka umysłowego i moralnego chaosu dni naszych i dusza ludowa bezpośredni objaw żywiołowych sił bytu. Nie dziw, że żywiołowo zamąconą wydać się nam musi tak silna tej i tamtej wyrazicielka: poezya Kasprowicza.

Tembardziej zaś taką się wydaje, że poprzedzająca ją bezpośrednio twórczość poetycka epoki pozytywizmu tak daleka była od wszelkiej żywiołowości podmiotowej, tak nawskroś przesiąknięta intelektualizmem przedmiotowym, jasnymi jego koncepcyami ideowymi, wyraźnie na ich tle zarysowującą się grą uczuć i wrażeń.

Mimowoli nastręcza się tu porównanie z liryką Konopnickiej, genialnej śpiewaczki doli i niedoli naszego ludu. Nie mówiąc wszakże o tej bijącej w oczy różnicy, że gdy autorka „Pana Balcera“ ożywiona była głębokiem dla ludu współczuciem, śpiewak „Ginącego świata“ wprost żył jego czuciem, w niem i przez nie do nas przemawiał — zachodzi tu inna jeszcze, czysto psychiczna różnica, polegająca na odwrotnym stosunku duszy poetyckiej do motywów jej twórczości. U Konopnickiej dusza się w nich odzwierciadla, ożywia sobą idee, myśli, wyobrażenia, wzięte niekiedy z zimnego świata abstrakcyi, ale rozgrzane ciepłem własnego serca poetki. U Kasprowicza odwrotnie: one odzwierciadlają się w duszy, a raczej rodzą się z niej, z czysto podmiotowych jej tonów i poruszeń. W pierwszym wypadku indywidualne życie psychiczne ujawnia się przeważnie lub wyłącznie w ideowej swej osnowie—w drugim jest ono samorzutnie pierwotnem

zjawiskiem, z którego ideowość jako wtórny, pochodny objaw wynika.

Jak widzimy, stosunek ten sprowadza się do zaznaczonego już wyżej przeciwieństwa: podmiotowej, nawskroś osobistej liryki Kasprowicza i mniej lub więcej bezosobistej, przedmiotową ideowością nawskroś przenikniętej, twórczości nietylko Konopnickiej, lecz i ogółu zarówno współczesnych jak i dawniejszych liryków polskich.

Trzeba bardzo daleko wstecz wieków się cofnąć, aby napotkać w naszej poezyi najwyższej miary talent liryczny, wypowiadający się również bezpośrednio, podmiotowo, osobiście jak nasz pieśniarz wielkopolski. Od czasu „Trenów“ Kochanowskiego aż do pieśni „Nad przepaściami“ lub „Ginącemu światu“ nikt u nas tak szczerze, samorzutnie i z takim artyzmem duszy swej nie wyśpiewał. Przeciwieństwo w stanie i nastroju duchowym zachodzi tu ogromne, jak ogromne jest przeciwieństwo tak dalekich, tak różnych epok; ale analogia zupełnego, samorzutnego wypowiedzenia się duszy indywidualnej w słowie poetyckim uderzająca.

Ani mi teraz snadno dowiadać się o tem,
Jaka mię z mego płaczu czeka cześć na potem

mówi Kochanowski w jednym ze swych „Trenów.“

Kasprowicz tak dalece nie myśli o czci, jaką mu śpiewny jego płacz zjednać może, iż nieraz wybucha w nim gwałtownie rozpacznem samooskarżeniem, w dzikich, namiętnych tonach śpiewa hańbę swą własną i swego wieku, zapadającego w chaos zwyrodnienia i rozkładu, — śpiewa nie jak chce, lecz jak musi, porywany żywiołową siłą natchnienia lirycznego.

Oczywiście o takich rozstrojonych tonach u Jana z Czarnolasu ani mowy być nie może. I tutaj właśnie zaznacza się istotna między obu pieśniarzami różnica, wynikająca z analogicznego ich stosunku do odmiennych środowisk społecznych z jakich wyszli. Pieśń Kochanowskiego to pierwszy w poezyi głos duszy polskiej, budzącej się do pełniejszego życia kulturalnego, ściśle mówiąc, duszy szlachecko-polskiej, którą przez szereg wieków żyła i odżywiała się duchowa kultura narodu. Z tego, co powyżej powiedziano, czy nie należy wnosić, że pieśń Kasprowicza to pierwszy poetycki głos rozbudzonej do wyższego życia duszy naszego ludu?

Oto na czem polega istota wskazanej powyżej analogii: — dwa przełomowe momenta w rozwoju psychicznym naszego narodu i odpowiadające im dwa samorzutne żywiołowe wybuchy z głębi duszy płynących natchnień lirycznych. A jaskrawe różnice, przeciwieństwa, jakie między nimi zachodzą, czyż nie tłómaczą się niezmierną odmiennością czasów ich powstania: czasu pogodnych harmonijnych rozbłysków zorzy, złotego wieku zygmuntowskiego i czasu zmierzchu i zachodu współczesnej kultury, który dla nas jest czasem żelaznych okowów, straszliwym uciskiem gnębiących całe nasze życie zbiorowe.

W taki to smutny, tragiczny moment wypadło wkroczyć ludowi naszemu na szerszą tego życia widownię. Nie dziw, że śpiewak jego duszy, powiedzmy: śpiewak nowej polskiej duszy, jawiącej się nam jako synteza różnych duchowych uwarstwowień naszego plemienia, tragiczne tylko tony mógł wydobyć ze swej lutni, tragicznie brzmiącymi odgłosami swego życia wewnętrznego przemówił w nich do pokolenia, które w nim uznało i uczciło jednego z najwymowniejszych swych rzeczników.

Cóż nam przynosi ten nowy głos, bijący z rodzimych naszych nizin aż po szczyty naszej kultury? Jakie nowe siły, nowe żywioły brzmią w potężnych, choć często tak okropnie rozstrojonych, jego dźwiękach? W życiu, jak w muzyce, dysonanse bywają często zapowiedzią wyższych, doskonalszych harmonii.

Zobaczmy, czy i o ile dadzą się one wysnuć z rozdźwięków życiowych liryki Kasprowicza.

III.

Poezye młodzieńcze.—Poemat „Chrystus.“ — Cykl sonetów „Z chałupy.“

Przedewszystkiem jedno ważne zastrzeżenie. Jeśli nazwałem naszego liryka śpiewakiem duszy, to nie w tej myśli, abym go poczytywał za naturę szczególnie uduchowioną, o nadzmysłowo-idealistycznym nastroju. Dość rzucić okiem na portret poety, umieszczony na czele zbiorowego wydania jego dzieł. Zwykła fotografia, średniej dobroci, o niezbyt wielkiej sile wyrazu i o dość ogólnikowej charakterystyce, wystarczy jednak, aby nam uprzytomnić istotne rysy odbitego w niej oblicza.

Nie jest to zaiste twarz ascety, ani przeduchowionego idealisty. Silna, szeroka, mięsista o wyniosłym, choć nisko zarośnię-

tem czole i niewielkich wydłużonych pod gęstemi brwiami oczach nawet w tem dość martwem fotograficznem odbiciu, świadczy bolesnym w oczach i pewnych zmarszczkach czoła wyrazem o bardzo wytężonem życiu duszy, niewyłączającem wszakże bujnego życia zmysłów. Dusza nie wyrywa się tu z twarzy po za ciało, jak się to nieraz zdarza w nadzmysłowych jej objawach, lecz cielesność sobą napełnia, przenika.

Czy nie ujawnia się tu typowe przeciwieństwo duchowości nowoczesnej i ascetyczno-średniowiecznej?

Nawet św. Franciszek z Assyżu, tak gorąco miłujący życie w całej pełni jego objawów, bratem-osłem zwał ciało w swej naiwnej, serdecznie-żartobliwej terminologii. Dla człowieka nowoczesnego, wychowańca starożytno-klasycznej i nowożytno materyalnej cywilizacyi jest ono raczej siostrą—zmysłowością, zasługującą nie na pogardliwe gnębienie przez duchowość, lecz raczej na podniesienie i uszlachetnienie przez nią.

Nikt pewno lepiej nieokreślił tego ostatniego zadania, jak Andrzej Towiański, gdy kazał „duchem przeć na ciało“, czyli wysiłkiem myśli i woli duchowość realizować cieleśnie, ideał jej wcielać w rzeczywistość. W zakresie twórczości poetyckiej nigdzie chyba nie zostało to spełnione z większą mocą talentu i natchnienia, jak w liryce Kasprowicza.

W tem znaczeniu nazwałem go śpiewakiem duszy. Istotnie, duszy bezmiar w jego pieśniach, ale i zmysłowości w nich nie brak. Często ta ostatnia tak dobitnie się zaznacza, iż zdaje się wyłącznie panować, dość jednak przerzucić kilka kartek książki, aby się przekonać do jakich górnych wzlotów ducha zdolny jest czasem ten, jakby przeciążony materyą poeta.

Z połączenia tych dwóch pierwiastków wynika u naszego liryka wrażenie realizmu, siły i szorstkości pewnej, przechodzącej niekiedy w brutalną bezwzględność. Kasprowicz to nie poeta-gładysz, ani poeta-Ariel ne motylich skrzydłach, bujający ponad życiem. Jest w nim raczej coś z tytana, czasem nieomal coś z cyklopa, krańcowe przeciwieństwo wszelkiej gładkości, wszelkiego motylkowania.

Oczywiście te charakterystyczne cechy nie odrazu występują u niego w całej wyrazistości. Obecne zbiorowe wydanie dzieł, poprzedzone przez szczegółowe bibliograficzne notatki wydawcy p. Ludwika Bernackiego, pozwala śledzić stopniowy rozwój tej indywidualności twórczej.

Na wstępie 1-go tomu, mamy szereg poezyi z czasów najrańszej młodości, po raz pierwszy z rękopisu drukiem tu ogłoszo-

nych. Jak „Zima miejska“ i inne tego rodzaju młodociane utwory Mickiewicza, nie mają one jeszcze znamion samoistnego geniuszu twórczego, stanowią tylko przebłyski budzących się uzdolnień poetyckich. Ale już pierwszy w r. 1878 drukowany w poznańskim „Lechu“ (Dzieła t. IV, str. 46) sonet p. t. „Poranek“, w swej pięknej zwięzłej formie i wyraziście w obrazowaniu przyrody, oddanym nastroju uczuciowym kasprowiczowski jest w całem, wiele mówiącem, słowa tego znaczeniu.

Pierwsze, zbiorowe wydanie dzieł poety (we Lwowie, w roku 1889, z przedmową T. T. Jeża), daje nam już poznać bardzo wyraźną i wybitną jego indywidualność psychiczną i artystyczną zarazem.

Przedewszystkim jest to indywidualność urodzonego liryka, pieśniarza z bożej łaski, który (jak mówi Kochanowski) „sobie śpiewa a Muzom, swe, nie cudze rzeczy“—śpiewa o tem, co bezpośrednio, w najbliższem otoczeniu struny jego duszy potrąca, a niekiedy i z dalszych sfer, nagłym powiewem silniej o nie uderzy. Dziecię wsi polskiej jej rodzimą przyrodę wysławia w swej pieśni. Sam mówi o „żywiołowej czarów jej potędze, co go odrazu w pieśniarza przemienia“. [1])

Owocem tej przemiany dwa cykle liryczne na czele pierwszego wydania poezyi: „Melodye wiosenne“ i „Melodye jesienne“.[2]) Melodyi w nich istotnie dużo; niebrak też wyrazistego i barwnego obrazowania zjawisk przyrodzonych; ale co w nich najbardziej dla naszego liryka charakterystyczne, to ów rozbrzmiewający od czasu do czasu akord własnej jego duszy z duszą przyrody sharmonizowanej. Spotkamy się z nim jeszcze nieraz u Kasprowicza, w nierównie wyższym stopniu—tutaj słyszymy go w takiej np. apostrofie do wiosny:

Czuję cię matko, której dech mię broni
Od lodowatej rozpaczy, od chorej
Ducha bladości, w niezgłębionej toni
Życia, co w nowe wciąż się łamie wzory.

Wzorzystość życia odzwierciadla się w liryce młodego, poczynającego twórczy swój zawód pieśniarza, wielką różnorodnością barw i odcieni. Prądy czasu z różnych stron uderzają na umysł jego i serce, zawsze jednak napotykają w nich na mocny grunt

[1]) Dzieła, IV, 37.
[2]) W „Dziejach“ t. IV.

rodzimy, który wchłania je i skupia w jednolitej, a nawskroś swoistej i swojskiej organizacyi duchowej.

Naturalną jest rzeczą, że poeta, co z ludowych poziomów wszedł na wyżyny kultury, nie mógł pozostać obcy postępowym dążeniom swego czasu i silny dał im wyraz w podnoszonym wielokrotnie proteście przeciw ideowej ciasnocie i życiowemu zacofaństwu klas uprzywilejowanych. Dobitnie dźwięczy on już w pierwszym zbiorze poezyi w wierszu „Oni i my“, [1]) w którym *oni* to zaciekli obrońcy etycznej i religijnej formalistyki wstecznictwa, zapewniającej im przywileje władzy, znaczenia, używania. W zwartej, dobitnej strofie zwraca się przeciw nim poeta:

Wam przyodzianym w samowładztwa delje,
Trudno się wyrzec złocistej poduszki,
Trudno ubóstwa przyjąć ewangielię:
Milej kornymi otoczyć się służki,
Milej się zakuć w zbroicę dogmatu,
Ludzkie rozumy zmienić na podnóżki
I tak panować zgłupiałemu światu
I, z rafineryą, w szaleństwie zaciekłem,
Wyroki swoje pieczętować piekłem.

Wszelako wróg dogmatu formalistycznego, wielbiciel buntowniczych przeciw niemu duchów (wiersze: „Giordano Bruno“ i „Cieniom Shelley'a. Dzieła IV, 62, 69), wyznawca klasyczno-pogańskiego kultu piękna (poemat „Anadyomene“. Dzieła IV, 78) nie jest poeta ani trochę wrogiem wiary, religii, chrześcijaństwa. Owszem, należy do bardzo religijnych i chrześcijańskich natur. Motywy religijne od samych zaczątków aż po najdalsze jej kresy wciąż odzywają się w jego liryce. W pierwszem wydaniu „Poezyi“ znalazły się już piękne poematy biblijne: „Niebo i ziemia“, „Hagar“, „Rebeka“, Ezechiel“ [2]); a w następnem, 1890 r. ukazał się w tercynach ułożony poemat „Chrystus“, zabroniony swojego czasu w Austryi przez cenzurę, z racyi zapewne swobodnej w nim parafrazy tekstów i tematów ewangielicznych, ale niemniej w przenikającej go walce wiary i zwątpienia głęboki i natchniony twór, szczerze religijnego nastroju duszy.

Wymowne stwierdzenie religii, jako nieodzownej potrzeby duchowego życia poety, znajdujemy w tych oto kilku wstępnych

[1]) Dzieła III, 31.
[2]) Dzieła III.

strofach, które określają różnych duchów różne stanowiska w chwilach zwątpienia:

Są wówczas duchy co straszne gorycze
Chłoną z spokojem, co z przedziwną ciszą
Patrzą w rozpaczy oblicze...

Lecz są znów duchy, co gdy „nic"! usłyszą,
Jęczą jak dęby, gdy dzikie wichury
Ich konarami kołyszą.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści
I krew rzucają z ropiejącej rany,
By znów zamilknąć w boleści...
. . . . . .

Gdy drzewo rwie się, syczą tylko płazy,
Widz, co ma serce, jękiem mu zawtórzy
Na gromów chłoszczące razy... [1])

Czy strofy te nie wyjaśniają wielu późniejszych bluźnierstw poety?—i wielu syków przez nie wywołanych?...

Kult przyrody rodzimej, myśl wolna rwąca się na drogi postępu, nieodłączny od niej, choć często w walce z nią religijny nastrój duszy:—wszystko to bardzo znamienne, bardzo zasadnicze rysy fizyognomii twórczej Kasprowicza, nie one jednak określają głównie indywidualny, swoisty jej charakter. Rysem jej najistotniejszym, jak to już wynika z rozpoczynającego pracę niniejszą ogólnego na twórczość poety poglądu, jest rodzimy ton ludowy, z chaty ojczystej przez poetę wyniesiony i nieodłącznie towarzyszący mu na wszystkich, najwyższych nawet poziomach jego rozwoju duchowego i artystycznego.

Oto za lat młodzieńczych w pełni swego uświadomienia ideowego, poeta rzuca takie hasło ludowości w wierszu p. t. „Excelsior":

Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Niby w popiele skra ukryta;
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę bożą aż łun spłonie wstęgą.

Z tegoż samego co wiersz ten roku 1888, a zatem z najpierwszego okresu twórczości, pochodzi cykl czterdziestu sonetów

[1]) Dzieła III, 145, 146.

p. t. „Z chałupy“, jeden z tych tworów poety, na jakie on sam tylko mógł się zdobyć, dzięki odrębnym, swoistym, jemu tylko właściwym przymiotom duszy i siłom natchnienia.

Trudno o lepsze dzieła tego określenie, jak to, które dał sam poeta w umieszczonym na czele dwuwierszu Goethego:

Natura i sztuka zda się wciąż przed sobą uchodzą,
Ani się jednak spostrzegły, gdy się razem znalazły.

Znalazły się razem na wyżynach artyzmu zwycięsko opanowanych, w owym kasprowiczowskim cyklu „Z chałupy.“

Sonety—jedna z form poetyckich, najbardziej artystycznych, skończonych w sobie, jednolitych, zwartych; a treść, co je tu wypełnia, wyrwana żywcem z rzeczywistiego bytu naszej wiejskiej „chałupy“, jej środowiska i otoczenia—jakby jakieś rodzajowe obrazki w prozie powieściowej swobodnie rozwinięte, a tak głęboko liryczne w zasadniczym tonie. Oto we wstępnym sonecie po arcyrealistycznym w dwóch pierwszych zwrotkach obrazie chat, rzędem usadzonych na piaszczystem wzgórzu, taką czytamy apostrofę poety:

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy.

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

Czegoż bo tam niema w tych łzawych wspomnieniach. I pola szerokie, szumiące zbożem rozmaitem, wiara religijna w tradycyonalnych praktykach kultu stwierdzona, podania, baśni, legendy, tęskne pieśni dziewczęce, naiwne miłowania i szumne weseliska; a wślad za tem ciężka dola wieśniaczej rodziny, i praca nad siły, i bieda, i nędza, i srogi nieraz ucisk od losów wrogich i ludzi bezlitośnych; na zakończenie zaś nowoczesne porywy do oświaty, do lepszego bytu, tak rzadko ziszczane, tak podległe zawodom, zboczeniom przeróżnym. Któż lepiej może o nich świadczyć, jak nie ten, co osobiście je przeżył, co, jeden z niewielu zdołał je zrealizować zwycięsko.

A wszystko to w tej kunsztownej sonetowej formie, z jaką wypowiedziane prostotą, z jaką lapidarną iście zwięzłością.

Oto przykład, jeden z wielu. Po obrazie ciężkiej, znojnej pracy kosiarzy, następująca gorzka refleksya w dwóch ostatnich zwrotkach sonetu:

Ale trudno—to boże przykazy,
Dane ludziom już w Raju przed wiekiem,
W przeznaczeniach nie zachodzą zmiany:

Drzewo drzewem, a głazami głazy,
Woda wodą, a człowiek człowiekiem,
Więc pracować mu trzeba—na pany... [1])

Jaki bezmiar smutnej rezygnacyi chłopskiej w tych kilku wierszach—jaka moc ironii w ostatnim silnie akcentowanym wyrazie.

IV.

Powieści i obrazki wiejskie. — Dramat wiejski.

Wkrótce po obrazkach-sonetach ukazały się obrazki-poematy z życia ludu wiejskiego. [2]) I one, podobnie jak tamte, to „skarb wspomnień, ale wspomnień, co łzawią obficie“. Ton liryczny nawskroś je przenika, głęboki, minorowy ton, rozwijający się niekiedy w silnie brzmiących akordach grozy tragicznej.

Zawsze mamy tu do czynienia z urodzonym, żywiołowym lirykiem, co, opuszczając chatę rodzinną, zabrał z niej „żalniki łez“, co zgarnął w swej duszy i w dum swoich treść zamknął, wraz z przejmującym szumem zbóż, wszystkie smutki swej ziemi, wszystkie skargi i żale jej ludu.

Nie mógł on, jak prawowierny epicki narator, cieszyć się różnokształtną i różnobarwną pełnią rzeczywistości życiowej i obrazowo ją w poezyi swej odtwarzać. Dobywające się z niej tony i odgłosy wciąż mu w duszy brzmiały—smętne przeważnie tony, bolesne, rozpaczne niekiedy odgłosy.

Obrazowania kolorystycznego w wiejskich jego opowieściach stosunkowo niewiele, mniej jeszcze zdarzeń zajmujących i powikłanej kunsztownie fabuły; ale odczucia ludzkich bólów i cier-

[1]) Dzieła I, 36.

[2]) Z chłopskiego zagonu, opowiadania wierszem. Lwów, 1891. W części w późniejszem wydaniu: Anima lachrymans. Lwów, 1894. Dzieła, tom I.

pień, żalu i jęku nad ludzką niedolą co niemiara. Przez stany i poruszenia uczuciowe, określone są głównie, wyłącznie nieomal charaktery w powieściach zarysowane; a właściwie niema w nich wyraźnych charakterów, rozwijających się na tle akcyi, są tylko wrażenia i uczucia przez jakiś jej moment, lub szereg momentów wywołane. Są to więc poematy, pomimo swej formy powieściowej, nawskroś liryczne, tylko że liryzm ich nie ma w sobie ani trochę miękkiej czułostkowości, ani patosu deklamatorskiego. Właściwy zawsze Kasprowiczowi dosadny, niekiedy szorstki, brutalny nawet realizm i tutaj występuje jako najwydatniejszy rys jego stylu, nadającego się, dzięki temu, szczególnie do wiernego odtworzenia poruszeń serca i duszy prostaków, którzy w ciągłych starciach i zderzeniach z najbardziej realnymi, bo najbardziej poziomymi warunkami życia, niemogą sobie pozwolić na zbytek idealnych wzlotów i uczuciowego patosu.

Oto np. stan dobrego, serdecznego człowieka po stracie głęboko ukochanej małżonki:

W długie się nie wdawał rozpacze,
Jęknął głucho, łzę otarł sukmaną.
„Nie ma plemię“, tak mówił, „prostacze
Nawet czasu, by nad ukochaną
Wypłakać się do syta łzą z duszy wylaną“.

I na pole szedł prosto z pogrzebu,
Zerwał kłosek i ważył go w ręce,
I, źrenicę podniósłszy ku niebu,
Rychło serce utopił w podzięce.

Ustęp ten wzięty z najobszerniejszej wśród tych wiejskich opowieści p. t. „Salusia Orczykówna“. Jest to włożona w usta chłopa poznańskiego, poważnego gospodarza, historya biednej uwiedzionej dziewczyny, która, staczając się wciąż w przepaść upadku i nieszczęścia, wypędzona z domu ojczystego, tuła się po szerokim świecie, staje się zbrodniarką i w obłędzie smutne życie kończy. Wszelako, jak sam poeta uprzedza, nie tyle tu chodzi o samą opowieść, co o duszę opowiadającego, którego poeta zowie „swym przyjacielem i sąsiadem dawnym ojczystej zagrody“. Jak w tej duszy chłopskiej odbiły się smutne dzieje naszej dzielnicy wielkopolskiej w czasach najnowszych: oto co poeta chciał tu uprzytomnić na tle osobistych wspomnień, z ojczystej zagrody wyniesionych. Jest tu i ciężka dola ludu poznańskiego, znojna jego praca w obronie ojczystego zagona, są zbytki panów, marnotrawstwo, upadek majątkowy i w końcu przymusowa sprzedaż

Niemcom ziemi rodzinnej. Wszystko to powiedziane w dziewięciowierszowych strofach z wielkim artyzmem i z wielką prostotą zarazem, przy doskonałem utrzymaniu się w tonie naiwnej chłopskiej gawędy, pełnej swoistego realizmu i dosadnej charakterystyki.

Podobnie i inne opowieści: „Jewka Orliczka“, „Na służbie“, „Dwaj bracia rodzeni“ mnóstwo zawierają rysów charakterystycznych z bytu ludowego, choć nie odznaczają się wcale zaletami epickimi: siłą inwencyi, pomysłowem rozwinięciem osnowy, wyrazistym rysunkiem figur, — głównie swym liryzmem głębokim i szczerymi w nim odgłosami duszy budzą żywsze echo nietyle w wyobraźni, co w sercu czytelnika.

Odrębne między opowieściami znaczenie ma „Wojtek Skiba“, fragment obszernego poematu, o podmiotowym przeważnie nastroju, w treści swej zawierający dzieje wiejskiego chłopięcia, od dzieciństwa rwącego się do światła, wiedzy i wyższego życia kulturalnego. Jest tu dużo rysów z wiejskiego środowiska, w części w humorystycznym rozwiniętych tonie, dużo łzawej ironii i serdecznego uczucia,—naogół jednak, wskutek zbyt słabo zarysowującego się wątku epickiego, rzecz wśród utworów poety mniej udatna i dla tego może porzucona, jako nieodpowiadająca naturze i rodzajowi twórczych jego uzdolnień.

Bardzo interesujące natomiast, pełne wyrazistej charakterystyki rzeczy, znajdujemy wśród krótszych rodzajowo-powieściowych obrazków wiejskich, o lirycznym podkładzie w cyklach: „Na rozdrożu“, „Typy“ (osobliwie wyborny w swym rodzimym wiejsko-prostackim tragizmie „Król Lear z Biedaczewa“), a nadewszystko w oryginalnym niezmiernie, zarazem symbolicznym i arcyrealistycznym cyklu p. t. „Z flory swojskiej“. Kasprowicz często bardzo w swych poezyach wspomina kwiaty i zioła naszych łąk, pól i przydroży. Tutaj bierze je za symbole pewnych momentów, pewnych skłonności, usposobień i rysów charakterystycznych bytu chłopskiego. Kolejno: rumianek, niezapominajka, bieluń, psianka, żmijowiec stają się takimi symbolami, skupiającymi w sobie charakter i nastrój odnośnych obrazków życiowych. Oto biedna matka, przy łóżeczku chorego dziecka daremnie usiłuje wydrzeć je śmierci wątłym środkiem rumiankowego napoju. Oto dziewczyna, żegnając się z kochanym chłopcem, co go do wojska biorą, kwiat niezapominajki mu daje, by o niej pamiętał.

A tam znów innego rodzaju scena miłosna: namiętne, oszalałe żądzą zaloty młodego parobczaka do wioskowej kokietki, co,

niby jadowity owoc bieluniu, dzikim czarem zmysłowych swych uroków duszę mu zatruwa.

Dalej niższy jeszcze objaw roznamiętnienia zmysłowego przez psiankę usymbolizowany: rozmowa dwóch sąsiadów o dziewczynie „rozpuśnicy“, co każdego kto jej się nawinie djabelsko kusi i do grzechu przywodzi. Wreszcie w ostatnim obrazku: żmijowiec pospolity—karczemna przy kieliszku narada z „panem hadwokatem“ nad jakąś pieniacką sprawą, co na szkodę i zgubę obu zapewne wyjdzie stronom.

Wszystko to przedstawione w dyalogach dosadnych, barwnych, rodzajowo-realistycznych, jakby żywcem z powszedniego bytu wioski naszej wyrwanych, tu i owdzie na tle zwięźle zarysowanych krajobrazów rodzimych.

Oto np. tło takie w scenie pożegnania dziewczyny z kochankiem:

Gdy go tak w drogę daleką żegnała
Za wsią, co stała
W jakiemś zamgleniu zasępionem, głuchem,
Za wsią przy „błocie“, przy bagnie —
Przy tem „jeziorku“, przy tym grząskim stawie,
Co w miękkiej trawie,
Między sitowiem,
W spokojnym śnie,
Czysto, by jagnie
Pomiędzy sianem, spoczywa.

A oto przykład dosadnego dyalogu w relacyi sąsiada o kusicielskich sposobach przewrotnej „rozpuśnicy“:

I ta bezwstydna wam suka po tyle —
Aż po kolana w te tropy,
Jak snopy
Żywej pszenicy, odsłoni
Na jawnej drodze
Golasy...

Gdy się spotyka u Kasprowicza podobne próbki dyalogu charakterystycznego o tak zwięzłej i dosadnej stylizacyi realistycznej, nie można się dziwić, że nieraz ciągnęło go coś do twórczości dramatycznej. A jednak z uzdolnień w tym kierunku to jedno tylko posiadał, pozostające w związku z liryzmem — to jedno bardzo niewątpliwie w dramacie, ważne, ale nie jedyne, nie najważniejsze nawet. Umiał tworzyć ludzi dobrze mówiących —

nie umiał tworzyć działających. Jak w powieściowym i w dramatycznym rodzaju brak mu inwencyi, brak konstrukcyjnej wyobraźni, pozwalającej figury silnie na scenie postawić, kazać im się ruszać, działać, charakter swój w czynach ujawniać, w logicznym ich następstwie rozwijać. Pisał tedy nie dramaty, ale jak sam słusznie je zwał obrazy dramatyczne, posiadające udatne sceny poszczególne, wyborny na ogół dyalog, ale bez zwartej, jednolitej akcyi, bez konsekwentnie rozwiniętych charakterów.

Najdawniejszy z tych obrazów dramatycznych nosi tytuł „Świat się kończy“ i pochodzi z tej samej epoki, co omówione powyżej opowieści (wydany we Lwowie r. 1891). Ta sama w nim sfera życiowa, te same stosunki, typy, charaktery,—tylko oczywiście szerzej rozwinięte, bardziej bezpośrednio uwidocznione w kolizyach uczuć, namiętności, interesów. Dramat napisany prozą stanowi, jak wszystkie dotąd rozpatrywane utwory Kasprowicza, bardzo wierny, bardzo realistyczny obraz z życia ludu wielkopolskiego.

Dyalog pod względem kolorytu rodzajowego i siły poetyckiej wyborny, przy braku jednak odpowiedniego wytężenia akcyi i wyrazistej w niej gry charakterów traci na skupieniu i u tego poety tak zwięzłego w swej liryce, a także i w owych obrazkach rodzajowych „Z flory swojskiej“ bywa niekiedy rozwlekłym, a mało mówiącym.

Pomysł sam dramatu w układzie poszczególnych jego czynników i momentów bardzo szczęśliwy, tylko rozwinięcie w działaniu mniej udatne. Powtórne małżeństwo starego ojca, stające na drodze miłości syna, wikłające tę sytuacyę, chciwe zabiegi wioskowego lichwiarza, a na dalszym planie Niemcy – fabrykanty, czyhający na ziemię polskiego chłopka; przytem charaktery przewrotnej kandydatki na macochę, ulegającego jej ponętom starego pijaka gospodarza, poczciwca-kościelnego i hipokryty-lichwiarza:— wszystko to w szczegółach zajmujące, w ustosunkowaniu wzajemnem bardzo znamienne dla czasu i miejsca akcyi—w rozwinięciu nie daje całości o silniejszym tonie dramatycznym i wyrazistszej plastyce scenicznej. Dzieło znakomitego poety, ale nie poety-dramaturga w pełnem tego słowa znaczeniu.

Kasprowicz zbyt jest jednolitym, skończonym w sobie poetą lirycznym, aby twórczość jego poza obrębem liryki w pełnej swej sile ujawnić się mogła.

Pamiętajmy, że nawet tak bezmierny i wyjątkowo wszechstronny geniusz Goethego, geniusz przeważnie liryczny, w dra-

macie, pomimo nawet swych tak zdecydowanych upodobań teatralnych, nigdy nie mógł się wznieść do prawdziwej doskonałości.

V.

„Anima lachrymans". Poezye miłosne.

Zbiór poetycki zatytułowany „Anima lachrymans" (wydany 1894 r.), oprócz kilku rozpatrywanych powyżej szkiców i obrazków, zawiera szereg mniejszych i większych pieśni czysto lirycznych w oddzielne zgrupowanych cykle.

Na czele cykl, do którego tytuł całego zbioru w ściślejszym stosuje się znaczeniu—znamienny, wiele mówiący tytuł dla śpiewaka duszy, co z „żalnicą łez" wędrował po drogach swego natchnienia. *Anima lachrymans*, dusza płacząca, jakże często odzywa się w jego pieśniach. Ale, baczmy, ten płacz duszny nic w sobie niema niewieściego, miękkiego, ani śladu czułostkowości, roztkliwionych nad sobą lirycznych mazgajstw, To męski płacz, świadczący nie o słabości duszy, lecz o bezmiernej mocy przenikających ją cierpień, wyłaniających z siebie wyższą jeszcze, przezwyciężającą je moc szlachetnej męskiej dumy.

A oto dowód w pierwszej zaraz pieśni wspomnianego cyklu, głoszący pozdrowienie boleści, w spiżowych iście dźwiękach, takim zakończonych akordem:

Bądź pozdrowiona o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia
Boleści!..

Siła i godność wewnętrzna są to stałe cechy tej duszy płaczącej po przez gęstą zasłonę łez, orgarniającej jeszcze wzrokiem serdecznego umiłowania rozległe widnokręgi ludzkości:

Tak! niech ukocham to co jest w wszechświecie
I to co w sercu człowieka się mieści:
Rozpacz, co duszę kamieniem mu gniecie,
Rozkosz, co widmem słonecznem go pieści,
Niech się skrysztalą w hymnu mego treści
Jego nadzieje, porywy, zachwyty,
Jego upadki wśród jęków boleści.

Podobnie i w następnym cyklu „Circulus vitiosus“, pełno smutku, żalu, gorzkiego zwątpienia, ale w tem wszystkiem zawsze męska siła i godność, a ponad tem wszystkiem dobrowolne, a zatem tryumfujące przyjęcie boleści, kończące ten cykl jak roz poczynało tamten:

Ty nie otwieraj wnętrza dla rozpaczy,
W której się ducha osłabienie mieści,
Tylko błogosław, błogosław boleści!

W rok po zbiorze *Anima lachrymans*, czyli 1895 r. we Lwowie również ukazał się zbiór p. t. „Miłość“, z dodatkiem kilku innych utworów, stanowiący też odrębny 5 tom obecnego zbiorowego wydania dzieł poety.

Kasprowicz ze swoją silną duszą i namiętnym temperamentem nie mógł oczywiście być obcy porywom miłości dla kobiety, tak w jaskrawo zmysłowych, jak i w najpodnioślejszych duchowych jej objawach. Ale męskość jego poezyi w tem właśnie się ujawnia, że nigdy nie tonie ona w rozbujałych fluktach erotyzmu, które u wielu śpiewaków miłości świat cały dokoła zdają się zatapiać. Miłość u niego, to nie podnieta lirycznych rozczuleń, ani bawidełko anakreontycznych igraszek, lecz wielka siła życiowa i kosmiczna, silna jak śmierć, a zwycięska jak życie, wiodąca bądź do najniższych upadków, bądź do najwyższych wzniesień, żywiołowa potęga bytu.

Poświęcone jej pieśni w dwóch głównych skupiają się działach, o jednakiej sile natchnienia, ale nie jednakiej wartości artystycznej. Różnica w tej ostatniej polega na odmiennym charakterze przedmiotowym i podmiotowym obu działów. Owóż poeta, jako czystej wody liryk, mistrz w oddaniu wszelkich poruszeń własnej duszy, z głębi jej wynikających, mniej szczęśliwie wyraża te, co ze świata zewnętrznego do niej przenikają i w objektywnem odtworzeniu zjawisk tego świata znaleźć mają swą realizacyę. A taki do pewnego stopnia charakter ma trylogia miłosna I-ej części zbioru: „L'amore desperato“, „Miłość—grzech“, „Amor vincens.“

Pomysł zasadniczy bardzo znamienny tak dla danej epoki, jak i dla indywidualnego charakteru poety. Kasprowicz wyszedł z doby pozytywizmu, wzrastał i rozwijał się jeszcze pod jej wpływami, ale duchem daleko, po za nie i ponad nie sięgał. Odbicie tego stosunku mamy w omawianej tu trylogii, a szczególnie w dwóch pierwszych poematach. Miłość zjawia się tu nietyl-

ko jako popęd zmysłowy, czem we właściwej mierze jest ona i być musi, lecz także jako doktryna sensualistyczna, co już jest wynikiem jednostronnych w sprawach erotycznych sądów i mniemań. Skutkiem tego jednostronnego sensualizmu: miłość, stająca się rozpaczą w duszy męskiej, owładniętej odurzającym czarem zmysłowej kobiecości, w gruncie niewinnej, bo z instynktu wynikłej, ale w swem wyuzdaniu przez fałszywą doktrynę podniecanej, oraz miłość stającą się grzechem w postępowaniu doktrynera-uwodziciela, który teoryami swemi doprowadza do upadku swą ofiarę (jak w słynnym „Uczniu“ Bourgeta), a siebie samego wtrąca w chaos najokropniejszych zgryzot.

Przyczyną rozpaczy i upadku jest tu nie zmysłowość sama przez się, lecz, jak się poeta wyraża „ta łącząca ciała grzesznych żądz opiłość“—opiłość, wynikła ze sfałszowanej przez doktrynę istotnej treści życia, z wyuzdanej przez świadomość gry żywiołowych instynktów.

Rozwiązanie powstałych na tym gruncie konfliktów, mamy w trzeciej części trylogii, opiewającej zwycięstwo czystej miłości kobiecej, odniesione nad zamętem rozstrojonej duszy męskiej.

We wszystkich trzech częściach, to co czysto liryczne, piękne, to co czysto ideowe, głęboko pomyślane — to zaś, co ma być odbiciem życia zewnętrznego, bardzo zawiłe w rysunku, nieuchwytne w kształcie, nieokreślone w wyrazie.

Jak w pierwszej części w stosunku do idei moralnej—tak w drugiej ukazuje poeta uczucia i porywy miłosne w stosunku do przyrody i wspaniałego tła jej zjawisk—tła górskich ogromów i leśnych tajników, rozwiniętego tu w przepysznem obrazowaniu poetyckiem. Po raz pierwszy spotykamy tu u Kasprowicza poezyę gór, którą on, syn równin wielkopolskich, z najwyższem w swoim rodzaju odtwarzał mistrzowstwem [1]). Ten fakt dziwny na pozór, zrozumiałym się okaże przy bliższem w rzecz wejrzeniu. Poeta żywiołowej siły, gdy się znalazł w obec majestatu grozy i potęgi gór, czyż nie musiał stać się entuzyastycznym ich piewcą?— A z drugiej strony urodzony śpiewak duszy, czyż nie musiał dążyć zawsze do przełożenia na ton jej zasadniczy wszelkich dochodzących go z zewnątrz odgłosów życia i przyrody?

---

1) Podkreślam tu mistrzowstwo *w swoim rodzaju*, niewyłączające równorzędnego, tylko innego rodzaju mistrzowstwa w odtwarzaniu górskiej przyrody, np. u Kazimierza Tetmajera.

Z zestawienia tych dążeń i konieczności wewnętrznych wynika odrębny charakter kasprowiczowskich pieśni „z gór".

Nigdzie słuszniej jak w tych pieśniach krajobraz nie może być nazwany *stanem duszy*; nigdzie pono niedałoby się stwierdzić równie głębokiego przenikania się nawzajem przyrody i duszy poety. Jest to pono najwydatniejszy, najbardziej znamienny rys twórczości Kasprowicza wogóle, a osobliwie tych we współbrzmieniu z odgłosami górskimi, rozlegających się szeroko w przestworzu pieśni miłosnych:

Rozwiały się twoje włosy,
Złote włosy twoje,
Jak jutrzniane
Blaski ranne
Tak Ci się rozwiały.

Na wstępie zaraz napotykamy przykład jakiegoś jakby kosmicznego rozpostarcia się motywu uczuciowego w bezmiarach przyrody, albo jeśli kto chce przeniknięcia tych bezmiarów do duszy poety.

Najwyższem wytężeniem tego wzajemnego stosunku przyrody i duszy ludzkiej dźwięczy druga tego cyklu pieśń „Przy szumie drzew". Jest to wogóle może najdoskonalszy twór liryki Kasprowicza. Symfonia szumów leśnych zharmonizowana tu we współbrzmieniu z uczuciową symfonią, ogarniętych miłością dwojga serc ludzkich. Wszystko tu gra i śpiewa w harmoniach słowa:

I jedno drzewo zaczęło drugiemu
Podawać dziwne akordy prastarej
Utraconego Raju tajemniczym echem
Będącej pieśni, ze słów ułożonej,
Co pozostały z języka praświata,
Ludziom dzisiejszym nieuchwytne dźwięki,
Lecz zrozumiałe dla duszy poety.

Dodajmy: poety, który wyjątkowo wydoskonalił, na wszelkie dźwięki wszechświata wrażliwym uczynił słuch swej duszy.

Pieśni, co dźwięczą w cyklu „Z gór" do najpiękniejszych niewątpliwie należą—i do najgłębszych. Są to pieśni miłosne; ale, patrzmy, jak mało stosunkowo miejsca miłość w nich zajmuje, jak przyroda ze wszech stron ogarnia ją, pochłania, nieomal zaprzepaszcza w sobie. Kochankowie giną w otaczających bezmiarach, jak dwa drobne atomy zaledwie dostrzegalni pod wy-

niosłem sklepieniem odwiecznego lasu, na wirchach i szczytach podniebnych, u stóp kolosalnych grani.

Wspomnijmy „Szwajcaryę“ Słowackiego. Co za różnica!— co za przeciwieństwo!

Tam potężna alpejska przyroda zda się tylko ramą i tłem miłości, jakby dla niej, ku jej upiększeniu, uświetnieniu była stworzona,—tu przyroda króluje, włada przemożnie, miłość jest tylko jednym z jej objawów.

Czy ta różnica nie dałaby się wyprowadzić z odmiennego obu poetów pochodzenia?—Czy osobliwy, niezwykły, wśród piewców miłości, stosunek do niej Kasprowicza nie jest objawem zdrowego instynktu życiowego, jaki nasz liryk wyniósł z rodzimej dziedziny wieśniaczej?—Uprzywilejowane klasy społeczne, pod wpływem kulturalnego przerafinowania, niejeden zdrowy instynkt zatraciły, między innymi i zdrowy instynkt miłości, z której w swem chorobliwem przeczuleniu nieraz czyniły sobie bożyszcze, całopalnemi serc czczone ofiarami. „Pracowity“ nasz kmieć, przy swym zdrowym chłopskim rozumie, czyż ma czas, serce i głowę na takie romansowe bałwochwalstwa.

W dołączonym do cyklu „Miłości“, osnutym na legendzie staroindyjskiej, poemacie „Savitri“ [1]), ta łączność sięga aż do praaryjskich zaczątków plemienia. Jest w tej pieśni sławiącej ofiarny heroizm miłosny taki jakiś egzotyczny ton w tysiącoleciach zamierzchłej oddali czasu—tyle w niej żywiołowego entuzyazmu serca i śmiałego polotu myśli, iż tylko prawowierny, czystej krwi Aryjczyk w ten sposób oddać mógł ten starodawny motyw podaniowy. Właściwa Kasprowiczowi z głębi duszy wynikająca żywiołowość uczucia, jakże dobitnie tu się zaznacza w tak głębokiem ujęciu go i tak świetnem wystylizowaniu.

VI.

Poezya gór: „Z wirchów i hal“, „Nad przepaściami“. — Inne cykle liryczne. — Dramat: „Kostka Napierski“.

Poezya gór swą wzniosłą grozą i pięknością porwała duszę całą pieśniarza: rozpętała jego wyobraźnię, uczuciem do głębi wstrząsnęła, przed myślą szerokie otworzyła widnokręgi.

[1]) Dzieła V, 151.

Twórczość stąd wynikła znalazła odbicie w pieśniach nowego zbioru poetyckiego w r. 1898 we Lwowie, wydanego pod ogólnym tytułem „Krzak dzikiej róży“ (w „Dziełach“ przeważnie tom IV).

Cykl owych górskich poezyi „Z wirchów i hal“ z dwóch składa się części, opiewających czary Alp szwajcarskich i naszych Tatr rodzimych. W obu częściach pierwszorzędne napotykamy piękności w plastyce obrazowania, w głębokiem odczuciu przyrody i górnym locie myśli. Niewątpliwem jest wszakże, że wszystkie te zalety bogatsze są treścią i silniejsze natężeniem w pieśniach „z Tatr“. Bliższa sercu poety przyroda silniej działała na twórcze jego natchnienie, rozleglejsze budziła w nim odgłosy ideowe i uczuciowe.

Rozwój natchnienia okazuje tu wogóle stopniowe wzmaganie się właściwej śpiewakowi duszy zdolności do uduchowiania, przeduchowiania przyrody, do zlewania otrzymanych od niej wrażeń przedmiotowych z nurtującymi w głębinach uczucia i myśli czysto podmiotowymi ich prądami. W pieśniach: z „Alp“ przemaga jeszcze wspaniale rozwinięta obrazowość, niekiedy ideową przeniknięta dążnością, czasem nagle przerwana spojrzeniem rzuconem wdal ku rodzinnej ziemi:

Dusza na skrzydłach znużonych uchodzi
W kraj łąk i lasów rodzinnych. Lecz błogi
Sen rychło rzuca i wraz z śmiercią brodzi
W kaskad, przepadlisk i lawin powodzi.

Wśród czarów i uroków Tatr, dusza poety czuje się w swoim żywiole, całem swem jestestwem pogrąża się w morze wrażeń i pobudzona przez nie, snuje myśli i uczucia samorzutnie z niezmiernych głębi ku wyniosłym bijące wyżynom. Obraz najczęściej staje się tu symbolem, a w tym symbolu bije żywe serce poety. Oto „Krzak dzikiej róży“ w ciemnych Smreczynach:

Między zielska i wykroty,
Jak jęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.

Przy nim ofiara ach! zamieci
Czerwonem próchnem limba świeci
Na wznak rzucona świstem burzy.

Nie darmo główny motyw tego obrazu umieszczony został na tytule całego zbioru. Ta róża dzika wśród pustki skalnej czy

nie symbolizuje odgłosów jęku, żalu i tchnienia tęsknoty przewiewających pieśni poety?—A owa obok limba próchniejąca, czy nie symbol to próchna życiowego, które w świecie otaczającym poeta spostrzegał, odczuwał i w późniejszych swych pieśniach tak tragicznie opiewał?

Mamy tu pierwszy donioślejszy przykład symboliki Kasprowicza, co na wskroś prawie przenika całą późniejszą jego poezyę i stanowi naturalny, nieodzowny wyraz napełniającej tę poezyę treści duszy z biegiem czasu coraz bogatszej, coraz więcej wymagającej środków wyrazowych... W pieśniach „Z wirchów i hal“ symbolika stosunkowo rzadka, zjawia się chwilowo tylko, w poszczególnych obrazach i przenośniach, obok których mamy inne obrazy, bądź czysto wrażeniowe, bądź napełnione charakterystycznymi kształtami i zjawami życia.

Jest rzeczą oczywistą, że poeta z ludu, z ludowem środowiskiem takimi trwałymi nićmi sympatyi duchowej związany, nie mógł pozostać obojętny na objawy życia ludowego, wśród górskiej wykwitającego przyrody. Jakoż dał jego obraz w swym poemacie p. t. „Taniec zbójnicki“, wysnutym ze starodawnych podań i tradycyi o Janosiku, przesławnym tatrzańskim herszcie. Bardziej wszakże oczywistą jeszcze i nieuniknioną konsekwencyą twórczego rozwoju śpiewaka duszy, musiało być coraz większe z biegiem czasu zagłębianie się w wewnętrznych jej tajnikach, coraz bezwzględniejsze podporządkowanie im zjawisk i obrazów świata zewnętrznego.

Bezpośrednio po poezyi gór, cyklu „Z wirchów i hal“, zjawia się cykl „Nad przepaściami“, który możnaby nazwać poetycką filozofią gór. Niewiedzieć co w nim więcej podziwiać: czy siłę natchnienia poetyckiego, czy głębię myśli filozoficznej, a oba te czynniki tak ściśle złączone, tak organicznie współdziałające w żywym, pełnią życia tętniącym całokształcie duszy poety.

Jesteśmy tu też wśród gór, nad przepaściami.

> Ciała przytulił ogrom skał,
> W przepaściach śmierć pod nami,
> A duch, zrzuciwszy brzemię ciał,
> Zawisł nad przepaściami.

Na wstępie zaraz zarysowuje się w tej zwrotce droga lotu poetyckiego.

Dałoby się ją też określić słowami końcowego chóru z Fausta Goethego, które mogłyby posłużyć wogóle za godło całej późniejszej poezyi Kasprowicza:

Alles Vergängliche
Ist nur ein Gleichniss
Das Unzulängliche
Hier wird's Ereigniss.

Podobieństwem tu tylko skały, szczyty, przepaści — jak podobieństwem cała przyroda widzialna z doczesnem swem trwaniem i życie w niej do śmierci wciąż dążące — a prawdą jedyną wieczne trwanie, żywot wieczny, w nadziemskiej dziedzinie śmierć zwyciężający:

Ponad łańcuchy lśnistych gór,
Płynąc falami słońca,
Śpiewa anielski wieszczy chór,
Że trwaniom nie ma końca.

Śpiewa — a pieśń ta jest jak chrzest,
Odradzający wiarą —
Że tylko życie prawdą jest,
A śmierć jest złudną marą.

Pieśni „Nad przepaściami", zakończone inwokacyą do hinduskiego Waruny i hymnem prabytu, są najsilniejszym wiary poety wyrazem, wiary w boskość unoszącą się ponad istnieniem i w nieśmiertelność, jako nieodzowny jej objaw.

Im bardziej jednak utwierdzała się jego wiara w nieśmiertelność nadziemską, tem bardziej też rosło zwątpienie o znikomej ziemskiej doczesności, a równocześnie potęgował się tragiczny ton liryki duszy, z coraz większych jej głębi snującej wątek swych natchnień. W zbiorze „Dzikiej róży" mamy już tego zwątpienia rozdźwięki, tego tragizmu wybuchy—zwłaszcza w cyklu, którego sam tytuł, tak wiele mówiący: „W ciemności schodzi moja dusza".

Jest w tym cyklu pieśń o straszliwej iście grozie tragicznego zwątpienia, w ustach poety takiego właśnie, jak Kasprowicz charakteru. Oto pierwsza tej pieśni zwrotka:

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mi trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie może
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Pomyślmy jeno. Kasprowicz jako poeta z ludu, gdzież miał stanąć, do kogo miał się przyłączyć w charakterze wyznawcy i piewcy ideałów i dążeń życiowych? Stanął oczywiście na lewicy

społecznej, przyłączył się do liberalnej demokracyi współczesnej, której hasła brzmiące wiarą w postęp, rozwój i zdobycze myśli wolnej głosił, jak widzieliśmy wyżej, w wielu młodzieńczych swych pieśniach. Jakże w wieku męskim zwątpić musiał o tych hasłach i o zwiastowanych przez nie ideałach, skoro mógł napisać ten wiersz o bożyszczu-tłumie, gdzie, między innymi taką czytamy zwrotkę;

Jest wielki ołtarz! Cały złotem błyszczy!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste.
Między pierwszymi, najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę.

Łatwo rozpoznać w tym bożyszczu tryumfującą demokracyę mieszczańską, która w imię wolności gnębi wszelkie żywioły obce jej koteryi, w imię równości rozpiera się na złotych ołtarzach zbytku i użycia, w imię braterstwa syci wciąż tłusty swój brzuch krwią i potem braci—nędzarzy proletaryackich: Kasprowicz ciska jej tu na głowę grom straszliwego tragizmu.

W pięknym cyklu „Akordów jesiennych“ (również należącym do zbioru „Dzikiej róży“) taką zwrotką kończy pełną znaczenia apostrofę do swego „Snu młodości“:

Wszakże w mgle jesiennych dni
Niestraciła swego blasku,
Mimo wichrów, mimo słot,
Matka twoja, duma święta,
Żem jest z ludu łez i krwi.

W następnym tegoż cyklu wierszu, w przeciwieństwie do tłumu cielsk opasłych, mówi nam o „bożym tłumie“ przyszłości, co z pieśni jego plon obfity ma zbierać:

Rój żniwiarzy zbiera plony,
Co wyrosły z moich dum,
A mych zwątpień, mych zachwytów
Niedaremny wszak był trud;
Kłosom z moich ziarn powstałym
Błogosławi boży tłum,
W mych zwątpieniach, w mych zachwytach
Była jego krew i moc.

O silniejsze jeszcze, rewolucyjnie brzmiące struny w innych wierszach, potrąca poeta grzmiąc pieśnią sądu i zagłady na temat

dies irae, który niebawem miał rozwinąć w hymnie, na wstępie ostatniego okresu swej twórczości.

W tym obecnie rozpatrzonym okresie lat męskich, podobnie jak w poprzednim młodzieńczym, usiłował też poeta w dramatycznej formie odtworzyć zajmujące go tematy życia i motywy dążeń życiowych. Jak poprzednio dramat „Świat się kończy“, w akcyi scenicznej miał ukazać, opiewane przez poetę życie wsi wielkopolskiej — tak obecnie w dramacie „Bunt Napierskiego“ (wyd. r. 1899), chciał przedstawić na tle historycznem obraz sceniczny walki o prawa ludu, którą, jak co tylko widzieliśmy, zwiastował współcześnie w kilku pieśniach cyklu „Akordów jesiennych“.

Idea tej walki była naturalną konsekwencyą zaprzecznego stanowiska poety względem istniejącego w świecie współczesnym porządku rzeczy, który niebawem jako zamęt i chaos świata ginącego miał przedstawić. W lirycznym swym wyrazie idea wspomniana ujawnia się u Kasprowicza z wielką nieraz siłą, w dramatycznem rozwinięciu i uplastycznieniu. Wszelako w liryce, czy w dramacie śpiewak duszy, śpiewak jej walk i burz wewnętrznych, nie może być rzecznikiem zwróconych na zewnątrz dążeń, głosicielem haseł epoki. Inne jest prawdziwe jego powołanie twórcze. W spotęgowaniu wyrazu, tak tragicznie skłóconych żywiołów duszy współczesnej, spełnił je poeta w następnym okresie swej twórczości „ginącemu światu“, głoszącej pieśń zagłady.

VII.

Pieśni: „Ginącemu światu“. — Dramat: „Uczta Herodiady“.

Tytuł: „Ginącemu światu“ oznaczający pierwotnie jeden tylko w r. 1902, wydany niewielki zbiór poezyi Kasprowicza („Dies irae“, „Święty Boże“, „Salome“, „Moja pieśń wieczorna“) rozciągnięty został następnie na cały ostatni VI-y tom zbiorowego wydania dzieł poety, zawierający wszystkie większe rzeczy ostatniego okresu jego twórczości. Możnaby tu jeszcze dodać wszystkie mniejsze poezye tej najnowszej (od r. 1902) doby, z racyi systematycznego układu pomieszczone w tomach III i IV poezyi lirycznych.

Pojęcie zwyrodnienia, rozkładu upadku świata unosić się zdaje ponad wszystkimi tymi, z mocy natchnienia zrodzonymi tworami poety.

Czy on jeden tylko wróży mu ten los tragiczny?

Czy on jeden śpiewa „ginącemu światu“ złowrogą pieśń zagłady?

Wsłuchajmy się dobrze. Dźwięki tej pieśni usłyszymy dobywające się z wielu dusz współczesnych, zrozpaczonych bezdusznością świata współczesnego, przytłoczonego potwornem brzemieniem materyi, materyalnej kultury, w którym cała treść, cała istota jego skupiać się zdaje.

Jak może żyć świat bez duszy, świat „kościotrup nagi“, jak mówi Gustaw z „Dziadów“, świat-mechanizm, poruszany li tylko popędem ciężaru zawieszonego u kółek i trybów jego kultury?

Takie pytanie zadaje niejeden z tych, co w duszę jeszcze wierzą, co duszę żywą i życia spragnioną w swym łonie jeszcze czują. Postawił je też śpiewak duszy i przeczącą dał na nie odpowiedź. Z tej odpowiedzi powstały pełne grozy wewnętrznej dzieła ostatniej doby.

Najdawniejsze z nich to misteryum „Na wzgórzu śmierci“:— symboliczny obraz duszy ludzkiej, z raju pierwotnej niewinności wygnanej, z objęć demona grzechu, Lucyfera wyrywającej się do życia i zbawienia, co na Golgocie, na wzgórzu śmierci w męce krzyżowej ma się dopełnić. Daremne wysiłki! Chwilowo ku Zbawcy wzniesione jej ramiona, bezwładnie wnet opadają; demoniczna moc lucyferowa ponownie lubieżnym zła uściskiem ją ogarnia.

Poemat ten w kilku rysach skupiający tragedyę duszy ludzkiej, co ku ideałowi chrześcijańskiemu się wyrywa, ale doścignąć go nie może, stanowi niejako wstęp do trylogii lirycznej: „Dies irae“, „Święty Boże“ i „Moja pieśń wieczorna“, opiewającej grozę w zatraceniu swej duszy ginącego świata. Pesymizm wszechwładnie tu panuje; grzmiąca piorunami rozpaczy chmura zagłady rozpościera dokoła czarne swe skrzydła; chaos mąk okropnych, zamęt zmieszanych głosów skargi, żalu, bluźnierstwa napełnia przestwór. Wreszcie po wybuchu zgrozy w dniu gniewu i sądu, po straszliwym jęku z milionów serc, bijącym do tronu Bożej Świętości i Mocy, kończy się wszystko w pełnej rozpacznego ukojenia „Pieśni wieczornej“, martwym spokojem bezczucia i bezruchu.

Trylogią nazwałem te trzy poematy, choć autor nie złączył ich wcale tym mianem, owszem wtrącił, między nie czwarty „Salome“, jak bibliografia dołączona do „Dzieł“ świadczy, rzeczywiście po „Dies irae“ bezpośrednio napisany.

Pytanie: czy i o ile zachodzi tu istotna trylogiczna łączność? Zważmy przedewszystkiem, że trzy te poematy, jako wspólny rys przenikającego je nawskroś tragizmu, zawierają poczucie i świadomość grzechu rozpościerającego się wszechwładnie w świecie ludzkości—poczucie rzadkie w dobie współczesnej, swymi teoryami deterministycznymi, znoszącej wszelkie nawet grzechu pojęcie. Co jednak zbliża poetę naszego do współczesności, to pesymistyczna i buntownicza przeciw opatrznym rządom bożym litość nad grzesznikami,—litość wybuchająca niekiedy istnym szałem okropnego, bluźnierczego rządów tych oskarżenia, jak ów strzał przeciw bożej naturze, padający w zakończeniu Konradowej Improwizacyi.

Istna to Apokalipsa nowoczesna, pełna wiary, straszliwym szarpanej zwątpieniem, pełna ducha religijnego, ale próżna religijnej rezygnacyi, religijnego oddania się Bogu.

Dlaczego jednak nowoczesna, skoro roztoczony w niej obraz grozy wszechczasowy i wszechludzki?

Niezależnie od zaznaczonej dwoistości wiary i zwątpienia grzechowej skruchy i buntowniczej litości—dlatego przedewszystkiem, że z duchowej gleby czasów naszych powstała, ich wstrząśnień duchowych i zamętu moralnego będąca wyrazem. Poeta staje się tu rzecznikiem zbiorowego ludzkiego sumienia,—sumienia, miotającego się rozpacznie w niepewności dróg swych i celów. Czuje ono okropność winy i większą jeszcze okropność kary, ale nie ma w sobie zasady, normy wzajemnych między tą i tamtą ustosunkowań, harmonijnego w sferze nadziemskiej ziemskich dysonansów rozwiązania. Niezdoła ono, to sumienie epoki zwątpień, jak wcielone ongi w Dantem sumienie epoki wiary, z czeluści piekielnych wznieść się na rajskie wyżyny. Czuje, widzi dokoła siebie piekło dni naszych, — ale kto mu wskaże drogę do raju dni przyszłych?...

Niemożność znalezienia tej drogi, oto istotna przyczyna męki podobnych Kasprowiczowi duchów,—duchów z gruntu religijnych, bez wiary żyć niezdolnych, o których on sam mówi, że „gdy *nic*! usłyszą, jęczą i rwą się z rozpaczy“. Nie czem innem tylko jękiem takim i rwaniem się rozpacznem jest cała poezya „ginącemu światu“ poświęcona; złożyły się na nią: duch wiary, wyniesiony przez poetę z rodzinnej, wiejskiej zagrody i duch zwątpienia, który nim owładnął na wyżynach kultury.

Sądzę, że tylko poeta z ludu mógł dać tak silny i pełny wyraz tym duchów wielkich wojnom wielkim, toczącym się na całym obszarze życia współczesnego. Trzeba było tak[illegible]go, na

najżyzniejszej ludowej glebie wiary urodzonego śpiewaka duszy, aby odczuł i wyraził całą grozę szarpiących ją na gruncie kultury współczesnej zwątpień i zaprzeczeń.

Obraz tej walki duchowej rozwija się jakby w koncentrycznych około duszy poety, coraz bardziej zacieśniających się kręgach. I w tem widzę właśnie trylogiczną trzech poematów łączność.

Pierwszy z nich to krąg myśli ogólno-chrześcijańskiej w grozie jej przerażenia wśród niewysłowionych okropności dnia sądu i kary;—drugi, to rodzimy ludowo polski krąg błagalnej modlitwy, brzmiącej od wieków wśród powodzi klęsk, kornem wezwaniem Świętości i Mocy bożej;—trzeci wreszcie już samym swym tytułem: „Moja pieśń wieczorna“ wskazuje na krąg podmiotowych wrażeń i uczuć poety, skupionych głównie w pragnieniu ciszy, spokoju,—choćby ciszy milczącej rozpaczy, choćby spokoju powolnego w sobie zamierania.

Czemże w takim razie będzie „Salome“, czwarte ogniwo cyklu, na drugiem po „Dies irae“ postawione miejscu?

W poemacie sądu, wśród różnych motywów grzechowego upadku i zwyrodnienia, najsilniej uwydatniony jest motyw zwyrodniałej zmysłowości płciowej, jako najgroźniejsza rana moralna świata współczesnego, jako ta okropna „żądz grzesznych opiłość“, którą nieraz z obrzydzeniem wspomina poeta. Owóż „Salome“ jest rozwinięciem tego motywu; postać demonicznie roznamiętnionej córki Herodiady, staje się niejako uosobionym symbolem moralnego w zmysłowości zdziczenia. W tym względzie ten poemat erotycznych szałów jest niejako uzupełnieniem trylogii „Ginącego świata“, uzupełnianej jeszcze w różnych kierunkach przez inne poematy wkrótce po niej powstałe: z jednej strony „Judasz“, będący w dziedzinie zła i grzechu odpowiednikiem „Salome“, jako symboliczne uosobienie krańcowego upadku i zwyrodnienia duszy doszczętnie spodlonej; z drugiej strony zaś piękne, podniosłe poematy wiary i świętości: „Salve Regina“, „Hymn św. Franciszka z Assyżu“ i „Marya Egipcyanka“.

Wszystkie te dzieła, wraz z trylogią „Ginącego świata“ stanowią odrębny, bardzo oryginalny, a pełen doniosłego znaczenia, typ liryki Kasprowicza. Pod względem treści są to, najbogatsze ideowo i uczuciowo objawy duszy współczesnej w interpretacyi jej śpiewaka; pod względem formy, to szczyt samorodnego artyzmu, o szczególnie charakterystycznych dlań cechach z pewnych bardzo istotnych stron sztuki współczesnej wynikłych, a u Kasprowicza bardzo dobitnie uwydatniających się.

Główną z nich określiłbym nazwą poetyckiej symfoniczności, czyli wielogłosowej harmonii, bogatej, pełnej, mnóstwem dyssonansów zakłóconej. Dusza współczesna, tak bardzo zawiła, złożona, o mnóstwie przeciwieństw i rozdźwięków, potrzebowała dla swego wypowiedzenia się muzyki symfonicznej, ogarniającej coraz rozleglejszą sferę brzmień, aż po najdalsze krańce możliwego ich współbrzmienia. Nie dziw, że i tak blizka muzyce poezya liryczna, tej samej odpowiadając potrzebie, coraz bardziej wielogłosową i różnogłosową stawać się musi. U Kasprowicza stała się też zdolną do wypowiedzenia bardzo rozległej skali uczuć, od najprostszych aż do wielce złożonych, od czysto melodyjnych, aż do zmąconych, rozwichrzonych w istnym szale ścierających się ze sobą polifonicznych akordów.

Patrzmy oto jak symfonicznie zbudowane są poematy „Ginącego świata". W pierwszym z nich dokoła trzywierszowej zwrotki średniowiecznego hymnu kościelnego, w drugim dokoła błagalnego wezwania kościelnej pieśni ludu naszego, niby dokoła głównych motywów, owijają się sploty rymów, rytmów, strof w najrozmaitszym układzie i sharmonizowaniu. Różna długość wierszy, ciągłe zmiany rytmów, okresy szerokie i pełne, lub urywkowe, dziwacznie poszarpane, stek obrazów i przenośni, stłoczonych chaotycznie, lub zachodzących w siebie: — oto główniejsze środki techniki polifoniczno-kompozycyjnej, z samorzutnie żywiołowem mistrzowstwem przez poetę zastosowanej.

Skarżą się nieraz na zawiłość i niejasność powstałej stąd osnowy poetyckiej. Skargi istotnie niebezzasadne. Ale pamiętajmy: jest to osnowa duszy współczesnej. Cóż na to począć, że ta tak jest chaotyczna, zmącona w sobie. I środki jej wyrazowe nie mogą być inne, o ile wyrażają coś z głębi, z otchłani. Na powierzchni życia współczesnego, w układzie materyalnych jego stosunków ład większy niż kiedykolwiek; ale w duchowych jego głębinach jakaż anarchia!

Kto w nie spojrzał, kto się w nie wpatrzył, jak nasz śpiewak duszy, czyż może ze słoneczną jasnością wypowiedzieć zgrozą i przerażeniem omroczone swe wizye?...

Z tegoż co one nastroju zrodził się dramat „Uczta Herodyady" (wydany 1905 r.). będący rozwinięciem motywu lirycznej pieśni „Salome" czyli wielokrotnie uwydatnianego przez poetę w obrazie zwyrodnienia świata ginącego, motywu wyuzdanej żądzy erotycznej. W dramatycznem przedstawieniu dziki szał miłosny córki Herodyady występuje na szeroko zakreślonem tle dekadencyi starożytnej, która z nowożytną dekadencyą tak wiele ma analo-

gii. Figury rozpustnych kobiet i zniewieściałych mężczyzn, obłudnych kapłanów żydowskich i sceptycznych wykwintnisiów rzymskich, nakreślone tu często w rysach dosadnej charakterystyki, w scenach o wyrazistem tle obyczajowem, wśród których przeciwstawione są główne postaci demonicznej Salome i natchnionego proroka.

Jak zwykle w dramatch Kasprowicza ustępy liryczne pełne piękności, dyalog często wyrazisty i barwny, momenty czysto dramatyczne, nie pozbawione odpowiedniego napięcia i siły plastycznej.

VIII.

Satyra i najnowsze liryki.

Dusze, głęboko odczuwające tragizm życia, satyryczne nieraz przywdziewają maski.

Ma swoje granice w najwyższym nawet wytężeniu poczucie wzniosłej grozy przez wichry i burze zamętu życiowego wzbudzane — sam ów zamęt żadnych granic niema. Gdy kamienieje wobec niego wreszcie oblicze zgrozy, nic nie pozostaje jak pokryć je maską satyry. *Difficile est satiram non scribere*, mówił starorzymski Juvenalis, jedna z najtragiczniejszych dusz, jakie wypowiedziały się w poezyi wszechświatowej.

Czyż mógł jej niepisać nasz poeta „ginącego świata"?

Satyryczną maską Kasprowicza jest rzecz, a raczej są rzeczy „O bohaterskim koniu i walącym się domu", [1]) jedyny utwór jego prozą napisany, pełen jednak poezyi—smutnej i gorzkiej poezyi pesymistycznego o życiu zwątpienia, lub pesymistycznej negacyi. Tam w pieśniach „Ginącemu światu" mieliśmy wylewające się z głębi duszy istne morze rozszalałej zgrozy—tutaj w tych dziwnych szkicowych obrazkach, zagubionego w swej małości i marności świata współczesnego, widzimy omywające tu i ówdzie jego powierzchnię strumyki ironii i sarkazmu, krótkie, urywkowe, ale bystre i silnie bijące.

Nie odznaczają się one wszakże wielką przejrzystością. Zarysowujące się w ich nurtach satyrycznych obrazki życiowe

[1]) Wydana we Lwowie 1906. Dzieła VI.

w zewnętrznych swych kształtach i barwach dość niewyraźnie na ogół się przedstawiają. Nie powinno nas to dziwić. Wiemy, że śpiewak duszy niezbyt szczęśliwym jest malarzem świata zewnętrznego. Ale jak umie odtwarzać wnętrzne jego tajniki, z jaką intuicyą wnika do duszy nietylko ludzi, ale także rzeczy, zjawisk, zdarzeń. Nie żądajcie tylko od niego zbyt wielkiej jasności. Dusza to zawsze zagadka. Nie dziw, że zagadkowość pewna musi być też w poetyckich jej odtworzeniach.

Niejedno daje nam do odgadnięcia poeta w symbolice swych pieśni tragicznych—nie jedno w głęboko sięgającej grze ironii i sarkazmu swych obrazków satyrycznych. Przedewszystkiem w samym ich tytule, będącym właściwie tytułem dwóch poszczególnych szkiców. Szkic o „bohaterskim koniu“, to sarkastyczna reklama, wsławionego pod jakimś generałem angielskim, w wojnie Transwalskiej konia bojowego, który po wielu zmianach losu kończy swą karyerę—w cyrku, gdzie różnymi sztukami popisuje się przed P. T. publicznością.—Historya „walącego się domu“, to historya wznoszonej przez poetę świątyni ideału. Miał w niej zamieszkać „Ten co serce ma z ognia i jednym tylko przemawia wyrazem: Wieczność“. Zda się wszedł do jej wnętrza, obrał w niej swą siedzibę—aż oto świątynia walić się poczyna w oczach zwołanego, by ją podziwiał, a urągającego jej tłumu.

Oba te szkice uzupełniają się nawzajem w jednym tak charakterystycznym dla naszej epoki wyrazie: profanacya — profanacya bohaterstwa, jako czynu zewnętrznego, profanacyą ideału, jako rwącego się z głębi duszy dążenia. Zanik, a przynajmniej zanikanie stopniowe pietyzmu, rys znamienny wszystkich epok „ginącego świata“, czyż nie jest rysem wydatnym naszych czasów?

Wszystkie szkice cyklu bohaterskiego konia i walącego się domu, czyli cyklu poniżonego, skarykaturowanego bohaterstwa i upadającego ideału, zwrócone są ostrzem swej satyry przeciw płaskości filistersko-mieszczańskiej, która szczególnie wstrętna i nienawistna być musiała poecie, co odziedziczył w krwi plemiennej i tradycyi ojczystej tak wyjątkowo silne poczucie czci religijnej dla wszystkiego, co wielkie i święte na ziemi i na niebie.

Spotkaliśmy się już raz u Kasprowicza z wybuchem satyrycznym przeciw tłumowi spodlonemu, co mu był niegdyś bożyszczem—tutaj mamy w innym ironiczno-sarkastycznym rodzaju niemniej dosadną satyrę na ów współczesny tłum demokratyczny w swym „socyalnem tłustem położeniu“, rozpierający się na wyżynach naszej kultary, czasem zgoła na pozłocistych jej ołtarzach. „Modlitwa episiera“ i „Sąd o sądzie ostatecznym pana Antoniego

C., współwłaściela firmy Antoni C. i Sp.“, to dwie satyry o bogatej treści w prostej formie.

Jak to już było zaznaczone, Kasprowicz nie ma daru tworzenia charakterów rozwijających się w szeregu momentów powieściowych lub dramatycznych, ale za to umie czasem w jednym momencie, w jednym stanie i nastroju psychicznym skupić całego człowieka, całą duszę ludzką ze wszystkiemi najwydatniejszemi jej właściwościami. Dowodem dwa wspomniane szkice, a szczególnie „Modlitwa episiera“. Cała powieść, cała komedya przy najzręczniej przeprowadzonej w akcyi charakterystyce nie może dać chyba nic więcej nad to, co nam tu daje Kasprowicz z typu burżuja francuskiego, jako prototyp wszecheuropejskiego burżujstwa.

W przeciwieństwie do tej sarkastycznej satyry, znajdujemy liryzm w szkicach: „List“, „Chata“, „Cień“, „Główki“ pełnych podmiotowych nastrojów i osobistych wspomnień. Całość, stanowiąca w swoim rodzaju utwór ironiczno-satyryczny na tle lirycznym, obejmuje niezmiernie rozległy zakres życia od wsi wielkopolskiej i tatrzańskiego Podhala aż do paryskich bulwarów, a pomimo rozerwanych szkicowo swych części i różnorodnych tematów jest jednolitą całością, szeroko na moralnym okręgu świata współczesnego zakreśloną.

Satyryczny zwrot ostatniego okresu twórczości poety z prawdziwą siłą, choć w zagadkowej dość, symbolicznej formie, uprzytomnia się nam w „Balladzie o słoneczniku“, której tytuł użyty został dla oznaczenia ostatniego wydania najnowszych jego utworów. [1]) Jest w tej balladzie rozpaczliwy iście humor samoironii i samosarkazmu, będący wynikiem rozczarowań życiowych. Słonecznik, co w słońce ongi spozierał, kona wśród innych zwiędłych kwiatów w zachwaszczonym ogródku poety, gdy on sam „w izbie pełnej zapachu wina“, myśli tylko jakby swój smutek pijacką choćby spoić radością i drwiąc z siebie samego, z kwiatów żywych i ze spojrzeń ku słońcu lecących, przyśpiewuje sobie z udanym humorem zobojętniałego na wszystko podchmielenia.

Lepiej się puścić w tan.

Jest to istotnie humor udany, jeśli go uważać jako stały rys usposobienia poety, choćby w tej ostatniej dobie pesymistycznego zniechęcenia, ale niewątpliwie szczery, jako nastrój władnącej nim chwilowo sarkastycznej samoironii. Kasprowicz zbyt świeżą,

[1]) Ballada o słoneczniku i inne nowe poezye. Lwów, 1908. Dzieła t. IV i III.

wierzącą duszę wyniósł z rodzinnej swej dziedziny wieśniaczej, aby podobna samoironia, wraz z orszakiem w ślad za nią zwykle idących sceptycyzmów i cynizmów duchowych wszechwładnie mogła go opanować jak ongi Heinego, a za dni obecnych Anatola France'a. „Czucie i wiara", które Mickiewicz zawsze poczytywał za istotne czynniki polskiej duszy i polskiej sztuki, skupiły się w tym poecie-liryku, przedstawicielu najżywotniejszej dziś ludowej warstwy narodu, która jest podporą naszej teraźniejszości, do której przyszłość nasza należy. Dlatego mimo wszystko wiemy dobrze, że wiara i miłość mieszkają zawsze w jego sercu, a ufność w wyższy święty, nadziemski cel życia krzepi wciąż zbolałą nadmiarem zawodów jego duszę.

Dowodem liryka ostatniej doby.

W zbiorze poezyi z r. 1908, zawierającym „Balladę o słoneczniku", znajdujemy pieśni, pełne takiej świeżości uczucia, tak opromienione wiarą i miłością, jakby je stworzył nie autor pieśni „Ginącego świata", mający już za sobą tragiczny swój „wiek męski, wiek klęski", lecz poeta w pełni zapału przeżywający jeszcze swą „młodość górną i chmurną".

Najprzód pięknie wystylizowane w swej charakterystycznie naiwnej prostocie odtworzenia podań ludowych: „Sierotka", „Pieśń o burmistrzance", „Pieśń o Waligórze";—następnie parafraza staroindyjskiego mytu Savitri, w której była już mowa poprzednio w związku z innymi utworami poety; — dalej cykl poezyi lirycznych w IV-tym tomie zbiorowego wydania dzieł oznaczony ogólnym tytułem: „Nie zgasłaś pieśni";—wreszcie najważniejszy może ze wszystkich poemat liryczny „Drogi krzyżowe" (Dzieła t. III, str. 64, cykl „Z padołu walki").

Ten ostatni utwór, jeden z najnowszych, (powstały przy schyłku 1906 r., gdy tegoroczne zbiorowe wydanie Dzieł sięga tylko po r. 1907), w pięknej formie uprzytomnia nam całą moc i głębię wiary pieśniarza, którą, jako najdroższy skarb duszy, z wioski rodzinnej zebrany, szczęśliwie przeniósł przez odmęty rozpaczy, zwątpień, bluźnierstw i w całości dotąd zachował.

Za punkt wyjścia, a zarazem za symbol obrazowy służy tu poecie na poły historyczny, na poły legendowy fakt średniowiecznej krucyaty dziecięcej, wziętej tu jako wzór i prototyp wiary co własną tylko siłą wewnętrzną, choćby w najbardziej naiwnej postaci ujawnioną, odpiera skutecznie wszelkie ataki zwątpienia. Czyż w naszej sceptycznej epoce wiary takiej ślad wszelki zaginął? Oto poeta uprzytomnia sobie własną swą, bolesną po przez życie wędrówkę w jej imieniu podjętą—widzi w wyobraźni wiele,

wiele, całe zastępy takich jak on dzieci wsi polskiej, co, z wiarą niezłomną w duszy, iść mają przez drogi cierpienia do dalekiej, dalekiej krainy, gdzie skarb ideału i świętości zdobyć muszą.

Skarb, który ojce wypuścili z rąk,
Wy macie odbić przez ofiarę mąk.

Czy go zdobędą?—czy moc wiary starczy na przezwyciężenie bezmiernych trudów i mąk, jakie ich oczekują na drogach krzyżowych dni naszych? W ostatnich strofach gromy potępienia rzuca poeta na wątpiących i przeczących, co z wiary i z ducha płynącą moc ofiarną tłumią w duszach współbraci:

Ktoby zaś kiedy chciał powiedzieć wam,
Że w tej ofierze był-li złudny kłam
Że poryw Ducha wiedzie na bezdroże,
Że li Rozsądek prawdą zwać się może —
Ktoby z podstępnym tak uśmiechem rzekł,
Ten ci jest głupi i nikczemny człek.

Tchórz to i podlec, zapłacony zbir
Wyznawca cnoty bękarciej, kto mir
Bożych orędzi, zlecających duszy,
Bronić krwi swojej, fałszami naruszy,
Z zakonodawczych wysnutymi kart,
Które napisał uwodziciel, czart.

To zakończenie poematu „Dróg Krzyżowych“ jest ostatniem, jakie nas doszło, wielkiem słowem poezyi Kasprowicza—jak widzimy słowem wiary, zwycięskiej wiary, co z tryumfem wyszła z takiej straszliwej burzy zwątpień i zaprzeczeń.

Co nam powiedzą następne, w przyszłości mające zabrzmieć jeszcze jej słowa?

Któż to zdoła przewidzieć! Przypuszczać jednak wolno, że będą to słowa wyższej harmonii życiowej. Symfoniczną nazwałem powyżej formę poetycką najznamienitszych utworów, genialnego liryka naszego; ale i całą poezyę jego nazwać można jedną wielką symfonią. Osnuta na motywach miłości ziemi rodzinnej i wiary w unoszący się nad nią święty, chrześcijański ideał życia, w swej wspaniałej, przebogatej polifonii, zagarniała ona nieraz sfery pełnych grozy dysonansów tragicznych; a jednak harmonia musi być ostatecznem jej rozwiązaniem. Taka jest logika wewnętrznej jej natury, takie jest prawo duszy rządzące twórczością urodzonego jej śpiewaka.

Walery Gostomski.

Chateaubriand.

Prelekcye, wygłoszone tej zimy w Paryżu przez Juliusza Lemaître i poświęcone rozbiorowi twórczości i charakterystyce postaci Chateaubrianda, uczyniły niemal aktualnym tego autora dziś już mało czytanego, ale otoczonego zawsze pewną tajemniczą nieco aureolą uroku, jaki w swoim czasie wywarł na współczesnych.

Pomimo odległości, jaka nas dzieli od czasu, gdy królował Chateaubriand, pomimo przedawnienia i prawie zapomnienia, jakiemu uległy jego dzieła, urok ten, obecnie legendowy, nie przestał dotąd osłaniać prawdziwych rysów tej imponującej postaci. Stąd sądy a bardziej jeszcze przekonania zarówno o charakterze twórczości Chateaubrianda, jak i o charakterze jego osobistym, oraz o znaczeniu i wartości głoszonych przezeń ideałów, pozostały po dziś dzień nie tyle może podzielone, ile nieścisłe, nieokreślone, niejasne.

To wszystko, jak zobaczymy dalej, tłómaczy się szczególnemi właściwościami jego natury, które są powodem sprzeczności, w jego pismach, działalności i życiu, pozwalających widzieć go w świetle nader różnem i dających podstawy do sądów o nim niemal wprost sobie przeciwnych. Na jednym wszakże punkcie zgadzają się wszyscy, mianowicie, że jestto postać niepospolita, natura niezwykle obdarzona—człowiek, który, jako pisarz i poeta otworzył literaturze francuskiej nieznane jej dotąd horyzonty i zwrócił ją na nowe tory.

O Chateaubriandzie wiele pisano, za jego życia i później. Sławiono go pod niebiosa lub krytykowano nader ostro, a nawet potępiano (zwłaszcza z powodu „Le Génie du Christianisme“), w obu wypadkach jednostronnie, gdy dla zrozumienia go i wy-

dania prawdziwego o nim sądu, trzeba było wziąć pod uwagę wszystkie jego właściwości, warunki, w jakich się wychował i okoliczności, które wpłynęły na urobienie się jego ducha, lub sprzyjały później rozwojowi w pewnym kierunku jego talentu i dążeń uczuciowo-moralnych. W taki też sposób traktował ten przedmiot Juliusz Lemaître i dał w swych konferencyach nie tylko krytyczny rozbiór dzieł wielkiego pisarza, lecz całkowity jego portret duchowy. Zresztą to samo uczynił już przed nim, bo w r. 1849 Sainte-Beuve, lecz o wiele więcej wyczerpująco, w swem wybornem studyum, p. t. „Chateaubriand et son groupe“ (w dwóch tomach). Ale nie tylko inni pisali o nim — sam Chateaubriand komentował swe dzieła i swą działalność w licznych przedmowach i odpowiedziach na krytyki, oraz w pamiętnikach wydanych, stosownie do woli autora, po jego śmierci („Mémoires d'outre tombe“). Jednem słowem materyały do studyów nad Chateaubriandem, zwłaszcza po pracach dwu ostatnio wymienionych autorów, są nader obfite. Korzystając z tego, postaramy się w krótkim szkicu niniejszym, określić rolę i znaczenie tego pisarza wogóle dość mylnie ocenianego, a u nas chyba pomimo swej sławy znanego bardzo mało i głównie z nazwiska.

„Chateaubriand!—mówi na wstępie swych prelekcyj Juliusz Lemaître—Ile obrazów budzi natychmiast to górnie brzmiące nazwisko! Wspaniały szereg póz i strojów. Dziecko zadumane, pośród wrzosów, u stóp starego zamku... Młody oficer francuski u Czerwonoskórych, w pierwotnych lasach i w towarzystwie czarujących dzikich dziewic... Książka, która otwiera kościoły i wyprowadza procesye... Blask księżyca, nieokreślone szczyty lasów, bursztynowa woń krokodylów... Pisarz zazdrosny o sławę Napoleona... Monarchista, który służy królowi z najbardziej pogardliwą wiernością... Głuchy starzec obok fotelu staruszki, pięknej i ślepej... Grobowiec, wykuty w nadbrzeżnej skale morza...

„I co jeszcze? Miał on najpiękniejszą w świecie głowę, której nie można sobie wyobrazić inaczej, jak z włosami szarpanemi od wichru. Potrafił wyrazić słowami więcej uczuć i wrażeń, niż ktokolwiek przed nim. Jest on człowiekiem, który „odnowił francuską wyobraźnię“ (określenie E. Fagueta). Jest ojcem romantyzmu i prawie całej literatury dziewiętnastego wieku. Jest wynalazcą nowego rodzaju smutku“.

„A potem? Co się tyczy sławy, ma on szczęście niesłychane prawie równe temu, jakie miał cesarz[1]). Jest on, z pośród na-

[1]) Napoleon I.

szych wielkich pisarzów, jedynym, który usiadł naprawdę na krawędzi dwóch światów, jedynym, który należał do dawnego ustroju[1]) i do nowego i który żył prawie tyleż czasu w jednym co i w drugim jedynym także, który tyle podróżował i napatrzył się tylu różnych widoków świata. Urodził się w r. 1768, na lat dziesięć przed śmiercią Voltaire'a i Rousseau. Umarł w r. 1848, gdy Taine i Renan już pisali. Jak stara i nowa Francya, zaznał on twardego przejścia od jednej do drugiej i ucierpiał skutkiem tegoż na swej duszy i ciele. Widział Rewolucyę i widział Cesarstwo. Geniusz jego doznał najpiękniejszych wstrząśnień od rzeczywistości. „Przeziewał życie“ (jak sam mówi o sobie) — zgoda. Ale nikt nie był więcej kochany, nikt więcej nie użył swej sławy i swego smutku. Duma, żądza, nuda — to cała jego dusza. Przekazał nam sposoby odczuwania, w których dotąd jeszcze znajdujemy rozkosze“.

I niepodobna lepiej i dokładniej, w kilku rysach zasadniczych, scharakteryzować portretu autora i człowieka, wraz z tłem i atmosferą, które tłómaczą i ożywiają jego fizyognomię. Te kilka zwięzłych, ale wymownych i barwnych słów wstępu Lemaître'a dają odrazu ogólne pojęcie o tem, czem był i czem jest Chateaubriand. Nie pozostaje nam zatem, jak wejść w szczegóły, rozwinąć i dopełnić, co w powyższym szkicu jest ukazane w sposób schematyczny, przy czem znajdziemy znakomitą pomoc, we wskazówkach, jakie nam dają, prócz świetnych prelekcyj Juliusza Lemaître, gruntowne studyum Saint-Beuve'a, szczegółowe poszukiwania Wiktora Giraud, a także mniej obszerne, ale równie trafnego sądu prace: E. Fagueta (Le XIX siècle—études littéraires), Piotra Lasserre (w Le Romantisme Français) i Karola Maurras (Trois idées politiques)[2])“.

Wszystko w życiu Chateaubrianda od samego początku składa się na wytworzenie i rozwinięcie tych właściwości jego ducha i charakteru, które czynią zeń postać tak odrębną i niezwyczajną, pełną sprzeczności, które są w istocie logicznym wynikiem jego psychicznego ustroju.

---

[1]) „Ancien régime“.

[2]) Prócz wymienionych, istnieje jeszcze kilka innych, mniej lub więcej wyczerpujących studyów o Chateaubriandzie, z pośród których najbardziej znanem jest współczesne pracy Sainta-Beuve'a dzieło Villemain'a, traktujące przeważnie stronę publiczną i polityczną działalności tego pisarza.

Kawaler[1]) Franciszek-René de Chateaubriand urodził się 4 września 1768 r., w Saint-Malo, jako najmłodsze z dziesięciorga dzieci wicehrabiego René de Chateaubriand, ze starożytnego rodu, którego członkowie grali w ciągu wieków znaczną rolę w Bretanii. Jego urodzeniu, jak mówi w swych pamiętnikach, towarzyszyło huczenie fal morskich, wzburzonych skutkiem zbliżającego się jesiennego porównania i zagłuszających jego krzyki.

Wszedł do życia pod znakiem rozszalałego żywiołu. Burza kołysała pierwszy jego sen. Za ojca chrzestnego miał swego starszego brata, który zginął na rusztowaniu. Niebo połączyło jakoby te różne okoliczności, by włożyć mu do kołyski obraz przyszłych jego przeznaczeń. I smutek tych pierwszych chwil odbił swe piętno na całem jego następnem życiu. Tak przynajmniej sam on sądzi.

W istocie więcej na ten smutek, a raczej egzaltacyę, bo na prawdę Chateaubriand był smutnym tylko w wyobraźni, wpłynąć mogło spędzenie pierwszych lat życia w Combourg, średniowiecznym obronnym zamku, położonym wśród gęstych lasów. Zamek ten, w którym znalazłoby wygodne pomieszczenie stu rycerzy, z damami, koniuszymi, hajdukami, końmi i psiarnią króla Dagoberta[2]), zajmowała rodzina Chateaubriandów, złożona wówczas z czworga obecnych w domu osób — ojca, matki, młodego Franciszka i jego siostry Lucylli, oraz kilku służących, psa i pary starych klaczy. A więc była to pustka, ponura i smutna, ale imponująca wspomnieniami potęgi, uosobionej w olbrzymich basztach i pełna tego tajemniczego uroku, jakim tchną odwieczne mury tych gniazd rycerskich, żywy jakoby zabytek czasów minionych, świadczący, że ten wymarzony w naszej wyobraźni i znany nam tylko z legend i historyi świetny i bohaterski świat średniowieczny, istniał naprawdę.

Wkoło tej pustki starych murów, cisza równie może smutna starych lasów. Obok zastygłego pomnika siły i dumy człowieka, świadectwo potęgi i niespożytości przyrody odwiecznej, ale zawsze żywej, zawsze odnawiającej się, zawsze młodej. W takiem otoczeniu, pod grozą ojca oryginała, który był postrachem rodziny i służby, w zupełnej prawie samotności i wolności bez kontroli, zdala od świata i towarzystwa, którego zaznał tylko chwilowo w domu babki, a zwłaszcza w wesołym i hucznym domu

[1]) Chevalier, później wicehrabia, skutkiem śmierci starszego brata.
[2]) Mémoires d'outre tombe.

wuja, hrabiego de Bedée—wytwarzała się awanturnicza wrażliwość młodzieńca. Nudną i uciążliwą monotonię życia domowego pod surowym despotyzmem ojca, nagradzała nieograniczona wolność lasów, które przebiegał w towarzystwie o rok od siebie starszej siostry Lucylli. Tu przyszły poeta nauczył się widzieć i odczuwać piękno i poezyę przyrody, tu wymarzył swą idealną sylfidę, której pierwowzorem była Lucylla i którą pod różnemi imionami (Céluta, Atala, Amélia, Cymodocée, Velléda) znajdujemy w zrodzonych w jego twórczej wyobraźni postaciach kobiecych. Tej to również sylfidy poszukiwał on, ale napróżno, w licznych boginiach ziemskich, które ofiarowały mu swe serca i wdzięki, czem się tłómaczy jego niestałość.

Gdy niepogoda nie pozwalała na wycieczki do lasu, wtedy zamykał się w swym pokoju, w jednej z wież i oddawał się czytaniu. Czytał bez porządku, co mu wpadło pod rękę w bibliotece zamkowej. Dzieckiem jeszcze, bo w roku pierwszej komunii, zagłębiał się z namiętnością w książkach ponad swój wiek —w Eneidzie i Telemaku (Fénelona), w dziełach Horacego i Tybula, w kazaniach Massillona. I we wszystkiem znajdował wzruszenia zmysłowe (jak mówi Lemaître), oraz powód do egzaltacyi wyobraźni. Nauki odbył dość nieporządnie i niezupełnie—w Dol, w Rennes i w Dinan, poczem, stosownie do tradycyi rodów bretońskich, miał, jako młodszy syn, wstąpić do marynarki. W tym celu posłano go do Brest, skąd wszakże wkrótce powrócił do domu. Zamiar zostania marynarzem nie doszedł do skutku, dla niewyjaśnionych powodów, bo morze zawsze go pociągało. Przez chwilę myślał o stanie duchownym. Tworzył także bajeczne projekta karczowania lasów w Kanadzie lub zaciągnięcia się do służby wodzów indyjskich. Wreszcie ojciec wyrobił mu patent podporucznika w pułku nawarskim.

Dzięki przywilejowi, jaki dawało mu urodzenie, został przedstawiony królowi Ludwikowi XVI, uzyskał wstęp do dworu, widział czarującą królowę Maryę-Antoninę i to wszystko, jak melancholijnie wspomina w swych pamiętnikach, na sześć lat przed katastrofą, która zmiotła ten dwór najświetniejszy w Europie i pozbawiła tronu i życia tę szlachetną i wówczas jeszcze tak ubóstwianą parę monarszą.

Ale Rowolucyę, jak zbliżający się kataklizm, czuć było w powietrzu. „Wszystko się psuło w umysłach i obyczajach. Sędziowie wyśmiewali powagę swych ojców... Ksiądz na ambonie, unikał imienia Jezusa Chrystusa i mówił tylko o prawodawcy chrześcijan... Szczytem dobrego tonu było być: w mieście Ame-

rykaninem, u dworu—Anglikiem, w wojsku—Prusakiem, wszystkiem, tylko nie Francuzem. Cokolwiek czyniono, cokolwiek mówiono, było tylko szeregiem niekonsekwencyj“ [1]). Ale wszystko, co wychodziło ze zwyczajnych torów, co się wyłamywało z regularnego porządku rzeczy miało zawsze dla Chateaubrianda nieprzezwyciężony urok — niekonsekwencya nie gorszyła go, burza go pociągała. Idee rewolucyjne zajmowały go, a sama Rewolucya, pomimo całej swej ohydy, pomimo nieszczęść, jakie sprowadziła na kraj, pomimo, iż go dotknęła najboleśniej w jego najbliższych—zabiła mu matkę, siostrę i brata, a jego samego wyzuła i naraziła na okropne przejścia—nieznalazła w jego pismach zupełnego potępienia. W gruncie jej sprzyjał, nie dlatego, by spodziewał się po niej poprawy stosunków społecznych i doli człowieka, lecz dla tego, że była rewolucyą, a więc przewrotem, nieładem, zniszczeniem. Rewolucya, któraby zaprowadziła jakiś ład stały, straciłaby jego sympatye (dla tego też był przeciwnikiem Cesarstwa), bo ład jest stanem zwyczajnym, a on lubował się tylko w warunkach nadzwyczajnych.

W tych początkowych chwilach Rewolucyi Chateaubriand zbliżył się do koła literackiego, które wydawało pismo peryodyczne p. t. „Almanach des Muses“, gdzie po raz pierwszy próbował pióra. Tu wszedł w stosunki z przedstawicielami ówczesnego życia umysłowego Francyi, jak Parny, Ginguené, Flins, Le Brun, La Harpe i Chamfort. Tu również poznał swego najlepszego w przyszłości przyjaciela i doradcę Fontanes. Z tem wszystkiem, na wiosnę (w kwietniu) r. 1791, a więc w pełni okresu rewolucyjnego, kawaler de Chateaubriand wyjeżdża nagle do Ameryki i czyni to, jak pisze w swych pamiętnikach, za namową swego krewnego p. de Malesherbes, z fantastycznym celem odbycia podróży exploracyjnej w szerz i wzdłuż lądu Ameryki północnej i wokoło jej północnych brzegów, od cieśniny Behringa poprzez ocean Lodowaty, do zatoki Hudsońskiej, Labradoru i Kanady. Podróż poprzez ocean odbył w towarzystwie kilku księży i seminarzystów francuskich, udających się do Baltimore, i pozostawił im wrażenie narwańca i nieporównanego kłamcy.

W Filadelfii przedstawił swój projekt Washingtonowi, który widząc, że ma do czynienia z młodym i naiwnym fantastykiem, zbył go z dobrotliwą pobłażliwością, z jaką się traktuje dzieci lub waryatów.

---

[1]) Słowa Chateaubrianda, przytoczone przez J. Lemaître'a.

Wtedy, „nie mając żadnych środków dokonania tak wielkiego zamiaru, postanawia poświęcić poezyi, co miała stracić nauka“ i puszcza się w podróż mniej odległą, dociera do Niagary w towarzystwie tłómacza Holendra, znającego narzecza indyjskie przebywa w gościnie u plemion czerwonoskórych, przyłącza się do karawany, z którą podąża z biegiem rzeki Ohio, dociąga do rzeki Mississipi i przybywa do kraju Florydy, gdzie bawi się z dziewczętami pół krwi kastylskiej i indyjskiej. Wreszcie napotkawszy jakąś fermę kolonistów, wyczytuje tam w dzienniku angielskim wiadomość o aresztowaniu Ludwika XVI w Varennes i formowaniu wojska książąt, skutkiem czego powraca do Filadelfii, skąd 10 grudnia 1791 r. odpływa do Hawru.

Wszystkie szczegóły tyczące pobytu młodego Chateaubrianda w Ameryce, znane są wyłącznie tylko z jego własnych notatek, umieszczonych częścią w „Memoires d'outre-tombe“, częścią zaś wydanych w r. 1827 p. t. „Voyage en Amerique“, przeto też wiarogodność ich nie może być stwierdzoną żadnem świadectwem. Krytycy (J. Bédier) dowodzą, na zasadzie błędów i niekonsekwencyj, znalezionych w opisach jego podróży, że Chateaubriand większej części krajów, o których mówi, wcale nie widział i nie mógł być ani na wybrzeżach Mississipi, ani we Florydzie tak, iż całe tło natury jego powieści-poematów amerykańskich jest tylko wytworem jego wyobraźni, na podstawie prac innych podróżników. Zapewne taki zarzut, uczyniony autorowi „podróży“, jest dość poważny, ale, gdy idzie o Chateaubrianda, jestto rzeczą podrzędną, bo uważamy i cenimy go, jako poetę, a nie dla żadnych innych względów, zaś sferą poety jest fantazya—ścisłość prawdy go nie obowiązuje i warunkiem wartości jego tworów nie jest. Z punktu moralnego, ma to jednak swe znaczenie, ukazuje bowiem pewną stronę charakteru autora, który wzniósł się dość wysoko, by cokolwiek go dotyczy i może służyć do wyjaśnienia jego psychicznego ustroju, mogło pozostać obojętnem.

Wedle uwagi Lemaitre'a, twórczość kawalera de Chateaubriand, rozpoczyna się w takim razie od kłamstwa, które ten podtrzymuje do ostatka, powołując się we wszystkich niemal swych następnych dziełach i pracach, na te kwestyonowane szczegóły ze swego pobytu w Ameryce. Jak zobaczymy dalej, prawda i nieprawda, szczerość i sztuczność do tego stopnia łączą się i mięszają wzajemnie u tego autora, że nie można zawsze znaleźć wyraźnego ich rozgraniczenia. Najczęściej jest on prawdomównym, gdy mówi nieprawdę, szczerym, gdy wyraża uczucia, których w danym momencie nie doznawał. To spotyka się zwłaszcza na

każdym kroku i jest najwidoczniejsze w jego pamiętnikach, gdzie często opowiada fakta, które wydarzyły się dwadzieścia lub trzydzieści lat przedtem i przedstawia je istotnie tak, jak były, ale w świetle sądu, jaki mógł sobie o nich wyrobić o wiele później. Jest to jeszcze jaskrawszem, gdy mówi o uczuciach doznawanych niegdyś. Stąd też tyle u niego sprzeczności. Prócz tego należy on do tych natur, które same siebie obałamucają tak, iż w końcu szczerze wierzą w prawdę wytworów własnej fantazyi. Ma to być cechą rasy celtyckiej, której Chateaubriand jako czystej krwi Bretończyk, jest jednym z charakterystycznych przedstawicieli.

Notatki z podróży, umieszczone później w pamiętnikach, oraz „Voyage en Amérique“ są to zatem pierwsze pisma młodego poety, mocno nacechowane, w sposobie odczuwania przyrody i jej malowania, oraz w duchu ideowym, jaki się z nich dobywa, wpływami Jana Jakóba Rousseau i Bernardyna de Saint-Pierre.

Niektóre z tych notatek (w pamiętnikach) są, jak twierdzi J. Lemaître, przerobione później przez autora i przystosowane do jego maniery własnej, ale w „Voyage en Amérique“ pozostały w stanie pierwotnym i dają miarę ówczesnej wartości pisarskiej dwudziestodwuletniego młodzieńca, wartości, która nie będąc jeszcze zupełnie oryginalną, jest już bardzo dużą ze względu na piękną harmonię stylu i jego obrazowość poetycką i malarską, którą nie ustępuje swym mistrzom.

Wróciwszy do Francyi, kawaler de Chateaubriand, udaje się do Saint-Malo i tu ni stąd ni zowąd żeni się na prędce z młodą, piękną i bogatą panną Celestą Buisson de la Vigne, którą opuszcza prawie natychmiast, by od tej chwili nie widzieć jej przez lat dwanaście. Na razie były do tego powody polityczne i honorowe, kawaler de Chateaubriand, oficer wojsk królewskich, uważał sobie za obowiązek honoru stanąć w szeregu obrońców tronu, pomimo, iż, jak mówi „czuł mało pociągu do monarchii absolutnej“. „Ale, mówi dalej, punkt honoru nakazywał mi połączyć się z wygnańcami, dwukrotnie już skazanymi (przez rząd rewolucyjny). Groźba mocniejszego skłaniała mię zawsze do przejścia na stronę słabszego“. I tak było rzeczywiście. Tej cechy rycerskiej charakteru Chateaubrianda zaprzeczyć nie można. Niemniej widzimy, co zasługę jego czyniłby mogło większą, gdyby nie odbierało zapału dla sprawy, której się poświęcał, że ten punkt honoru stawiał go najczęściej w sprzeczności z własnemi uczuciami, upodobaniami lub przekonaniami. Wogóle sprawa królewska, z tylu względów jego własna, jako szlachcica i arystokraty, którego Rewolucya zniszczyła, jest mu najwidoczniej dziwnie obo-

jętna, a nawet niesympatyczna. Mówiąc o swem małżeństwie, wypowiada takie zdanie: „Ożeniono mię dla dostarczenia mi środków (t. j. pieniędzy), bym się dał zabić za sprawę, której nie lubiłem“. Życie żołnierskie podczas tej smutnej i niedołężnie prowadzonej kampanii, nazywa on „zabawnem“, podobnem do „życia Indyan“, rozwodzi się nad pieczonemi kiełbasami, obficie popijanemi winem, którego dostarczali chłopi okoliczni (pod Thionville) itp. libacyami, podczas których najspokojniej przepowiadał śmierć króla.

Wreszcie, zraniony odłamem kartacza w udo i po rozbiciu jego oddziału, Chateaubriand dostaje się przez Ostendę do Jersey, do swego wuja, który się tam schronił i, wyleczony z trudem ze swej rany, po kilku miesiącach, jedzie do Londynu, już po zgonie Ludwika XVI.

W Jersey widział śmierć z blizka, w Londynie pozna się z nędzą. Mieszka na poddaszu na współkę z innym rodakiem Bretończykiem, cierpi chłód i głód, nie ma czem sobie zaświecić wieczorem, śpi na lichym sienniku i okrywa się płaszczem. W takich to warunkach podejmuje olbrzymią pracę p. t. „Essai historique, politique et moral sur les Révolutions anciennes et modernes considerées dans leurs rapports avec la Révolution française“—dzieło wielkiego zakroju, wymagające iście benedyktyńskiej erudycyi i wytrwałości. I rzeczywiście, pomimo nauk, odbytych dość nieporządnie, okazuje on tu, w tak młodym wieku, obszerną znajomość autorów starożytnych i filozofów XVIII wieku i, pomimo, że ta wiedza jest u niego niezmiernie chaotyczną, nieusystematyzowaną, daje w swych uwagach, tyczących się wypadków i ludzi w starożytności, często bardzo trafnych, a nawet głębokich, dowody wielkiej bystrości umysłu, inteligencyi niezmiernie przenikliwej, sądu nad wiek dojrzałego, co nie przeszkadza, że razem wziąwszy ta jego praca jestto chaos myśli sprzecznych, twierdzeń przesadnych lub nieuzasadnionych, porównań sztucznych i niespodziewanych. I to wszystko przeciążone cytatami, z których możnaby złożyć tom oddzielny. Sainte-Beuve nazywa to „erudycyą fałszywą“ (érudition à faux“) człowieka, który czyta po to tylko, by z nabytych wiadomości wyciągnąć korzyść natychmiastową, a także niemniej, by olśnić czytelników i zaimponować im swą wiedzą[1]).

[1]) Ta uwaga odnosi się zresztą o wiele właściwiej jeszcze do „Génie du Christianisme“.

Myślą przewodnią „Essai sur les Révolutions“ jest ta, że niema nic nowego w stosunkach ludzkich. Historya jest niczem innem, tylko nieustannem powtórzeniem tych samych sytuacyj. Krwawe doświadczenia, przez które przechodzi Francya nie są też niczem nowem; to samo bywało już w rewolucyach narodów starożytnych—Greków i Rzymian.

Należy zauważyć pięć momentów głównych w historyi starożytnej: 1) założenie rzeczypospolitych w Grecyi; 2) ich podbój przez Filipa i Aleksandra Macedońskich; 3) upadek królow w Rzymie; 4) wywrócenie rządów ludowych na korzyść Cezarów; 5) obalenie rzymskiego Imperyum przez Barbarzyńców. Te pięć momentów historycznych dają według niego podstawę do porównań matematycznej ścisłości.

„Człowiek—mówi autor „Essai“—słaby w swych środkach i geniuszu, powtarza się nieustannie, krąży on w kole, z którego napróżno stara się wyjść. Wydarzenia nawet, które od niego nie zależą i zdają się być wynikiem gry losu, powtarzają się nieustannie w tem, co w nich jest zasadnicze“. Jak już z tego sądzić można Chateaubriand, pisząc tę rozprawę, nie wierzył wogóle w żaden postęp, czy to w znaczeniu poprawy w stosunkach społeczno-politycznych, czy tembardziej postępu moralnego człowieka. Wprawdzie nauki, wedle słów jego, są to niewiadome, które się ciągle odkrywają, ale ułomność i cnota zdają się, jak to wskazuje historya, być daną niezmienną, która nie powiększa się, ani zmniejsza.

Stoi on więc pod tym względem w przeciwieństwie do doktryn rewolucyjnych, których „wielką podstawą był słynny system doskonałości, co znaczy, że ludzie dojdą kiedyś do nieznanej czystości rządu i obyczajów“. On też stwierdza, na sto lat przed Tainem (jak mówi Lemaitre), że „drogi spekulatywne i doktryny oderwane“ są w dużym stopniu przyczyną Rewolucyi francuskiej i że jestto nawet jej rysem wyróżniającym. „System ten—mówi on w jednej ze swych notatek — nie jest prawie wcale znanym publiczności. Przypuszczeni do tej wielkiej tajemnicy religijnie ją ukrywają przed profanami. Wiem o tem z ust sławnego Chamforta, który wygadał się niechcący przedemną, pewnego razu, gdym poszedł go odwiedzić. Ten system doskonałości przyjął się bardzo dobrze w Anglii“.

„Nie zapominajmy — dodaje Lemaitre, — że Anglia była ojczyzną wolnomularstwa i zwróćmy uwagę historyków, którzy sądzą, że Rewolucya francuska była tajnem dziełem masonii, na tę notatkę Chateaubrianda“.

Gdzieindziej mówi autor „Essai“ co się tyczy J. J. Rousseau: „Wyznanie wiary wikaryusza sabaudzkiego, zasady moralne i polityczne tego utworu, stały się machinami, które nadwerężyły gmach rządów dzisiejszych w Europie, a szczególniej rządu Francyi, obecnie w gruzach. Z tego wynika, że prawda nie jest dobrą dla ludzi złych, że powinna pozostać pogrzebaną w łonie mędrca, jak nadzieja na dnie puszki Pandory. Gdybym był żył za czasów Jana Jakóba, byłbym chciał być jego uczniem, ale radziłbym memu mistrzowi tajemnicę. Jest o wiele więcej filozofii niżeli się wogóle sądzi, w systemie tajemnicy, przyjętym przez Pitagorasa i dawnych kapłanów Wschodu“. Jednem słowem zgadza się on z wielu względów w głębi z filozofami XVIII wieku, zwłaszcza co się tyczy religii. Pod tym względem idzie on dalej, niż Rousseau, jest bowiem wówczas już nie deistą, lecz wprost ateuszem, nie wierzy nawet w nieśmiertelność duszy, ale niemniej różni się od Encyklopedystów, którzy podkopują tradycyjny gmach moralności chrześciańskiej, gdy im mówi: „Po co? Cóż wam z tego przyjdzie, że po dopełnieniu zniszczenia, dowiedziecie ruiny?“ Pomimo wszystko, uczuciowość, a nawet umysłowość jego pozostała chrześcijańską. W autorze „Essai sur les Révolutions“ można już odnaleźć przyszłego autora dzieła, na pozór tamtemu odwrotnego: „Le Génie du Christianisme“. Po za tem zbliża go jeszcze do Rousseau wiara w szczęśliwość stanu pierwotnego człowieka w naturze, wiara wzorowana zapewne na legendzie biblijnej, ale zastosowana do warunków bytu współczesnych mu dzikich. I, rzecz dziwna, na tym punkcie nie został on rozczarowanym nawet po bliższem poznaniu ich życia (jeżeli je poznał naprawdę?). To prowadzi go ostatecznie do wyrażenia zdań, w których tkwi zasada dzisiejszego anarchizmu i które usprawiedliwiają w zupełności określenie Karola Maurras: „Chateaubriand ou l'Anarchie“[1]). „Wolność!—mówi autor „Essai“—wielkie słowo! I cóż to jest ta wolność polityczna? Zaraz to wam wytłómaczę. Człowiekiem wolnym w Sparcie nazywa się człowiek, którego każda godzina jest oznaczona regulaminem, podobnie do ucznia pod szkolnym rygorem... Mówi się: obywatele są niewolnikami, lecz niewolnikami prawa.

[1]) K. Maurras nie opiera się w tem tylko na zdaniach Chateaubrianda, których ten autor wypowiedział tyle wprost sobie wzajemnie zaprzeczających, lecz na całej jego działalności politycznej i właściwym mu nastroju ducha.

„Proste bałamuctwo słów. Co mi na tem zależy, czy to prawo, czy król ciągnie mię pod gilotynę? Na nic nie zda się wysilać umysł, budować frazesy i ostrzyć rozum—największem nieszczęściem dla ludzi jest mieć prawa i rząd". Co zaś do chrześcijaństwa, ten przyszły jego obrońca i apologista tak się o nim wyraża: „Jaka religia zastąpi chrześcijaństwo"?

A więc nie wierzy w trwałość chrześcijaństwa, jest nawet przekonany, że rola jego się skończyła. Na to pytanie nie znajduje on odpowiedzi. Może przyjdzie jeszcze człowiek, który będzie nauczał nowej wiary? Ale narody są już nadto obojętne w sprawach religijnych i zbyt zepsute. Czy może też narody dojdą do takiego stopnia światła i świadomości moralnej, by nie potrzebować wcale żadnego kultu? I to nie. Narody powrócą stopniowo do barbarzyństwa, by znowu kiedyś się zeń wydobyć, dojść napowrót do tejże fazy cywilizacyi i tak dalej nieustannie i bez końca.

To wszystko nie przeszkodzi mu wszakże napisać w przedmowie do nowego wydania „Essai sur les Révolutions" z r. 1826, że „znajdzie się tu młodzieńca podnieconego raczej, niż przygnębionego nieszczęściem, oddanego całem sercem swemu królowi, honorowi i ojczyźnie". To nowe wydanie opatrzył autor licznemi notatkami, w których krytykuje, dyskutuje lub wyśmiewa wypowiedziane niegdyś zdania, ale czyni to z jakiemś wewnętrznem zadowoleniem z siebie samego, w którem czuć pochwałę, często nawet wyraźnie wypowiedzianą, coś w rodzaju pobłażliwości połączonej z dumą, z jaką ojciec wyraża się o zdolnym synu, którego zdania sprzeciwiają się jego własnym przekonaniom. Bo Chateaubriand ma zawsze dla siebie taką pobłażliwą, ojcowską przychylność. W gruncie rzeczy wie on doskonale, że wszystkie wypowiedziane przezeń kiedykolwiek zdania, chociaż na razie szczere, bo wynikające z chwilowego nastroju jego zmiennego usposobienia, są zawsze szarżowane i przesadzone w rozmachu myśli, podnieconej tak łatwo biorącą na kieł jego wyobraźnią, do czego bodźcem jest w dodatku chęć zadziwienia i olśnienia czytelnika śmiałością lub nowością. To też naprawdę choć tego nie przyznaje otwarcie, nie bierze on sam siebie bardzo na seryo.

W sądach o nim trzeba więc mieć to na uwadze; a zatem wszystko cokolwiek mówi w kwestyach poważnych przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza i uważać go jedynie za artystę, który, gdy mówi, więcej dba o to, jak to jest powiedziane i jakie to sprawi wrażenie, aniżeli o istotne znaczenie tego, co powie-

dział. To ciągłe staranie o efekt we wszystkiem, jest też powodem nieustannie i rozmyślnie popełnianych przezeń nieścisłości, a nawet wprost fałszów, czasem bardzo niewłaściwie zastosowanych i dowodzących szczególnego braku skrupułów i uczuć delikatnych u człowieka, posiadającego skądinąd tyle poczucia wyniosłej szlachetności. Jak wszystko w tej dziwnie sprzecznej naturze, ta szlachetność istotna idzie w parze z tym brakiem delikatności i miary. Tę ostatnią właściwość, którą znajdziemy za chwilę szczególnie rażącą w samej osnowie jego słynnej powieści — poematu „René“ spotykamy również z samego brzega, bo w przedmowie, w dziele, które postawiło go na świeczniku, przyniosło mu największą sławę i znaczenie i które on sam uważał za swe arcydzieło—w „Le Génie du Christianisme“. Podczas, gdy pracował nad swym „Essai sur les Révolutions“ doszła go wiadomość o śmierci jego brata i bratowej, teściowej tegoż, pani de Rosambo, oraz krewnego i przyjaciela swego p. de Malesherbes, którzy zginęli w tym samym dniu pod nożem gilotyny. Jednocześnie dowiedział się, że jego matkę zaciągnięto z głębi Bretanii do więzienia w Paryżu, zaś żona jego i siostra Lucylla oczekują wyroku w więzieniu w Rennes. Jak mógł w tych okolicznościach oddawać się tej olbrzymiej pracy pisarskiej, trudno sobie wyobrazić. Jakkolwiekbądź, ta praca wyczerpująca i absorbująca umysł—Chateaubriand pisał po dwanaście godzin dziennie—była dlań lekarstwem przeciw rozpaczy. W każdym razie wiadomo, że przy tem, nawet w tak okrutnych chwilach, w których człowiek żyje tylko bólem, myśl o sławie, o własnem wywyższeniu nie była mu obcą.

Jeszcze mniej zrozumiałą jest możliwość wówczas romansu, wprawdzie zupełnie niewinnego, z piętnastoletnią córką pewnego pastora angielskiego Charlottą Ives. Ale przejdźmy do rzeczy. W r. 1798 t. j. w rok po wydaniu „Essai sur les Révolutions“ otrzymał następujący list od swej siostry pani de Farcy: [1])

[1]) List ten zasługuje na przytoczenie w oryginale:

„Saint-Servan, 1-o Juillet 1798

„Mon ami, nous venons de perdre la meilleure des mères; je t'annonce a regret ce coup funeste... Quand tu cesseras d'être l'objet de nos sollicitudes, nous aurons cessé de vivre. Si tu savais combien de pleurs tes erreurs ont fait répandre à notre respectable mère, combien elles paraissent déplorables à tout ce qui pense et fait profession non seulement de piété, mais de raison; si tu le savais, peut-être cela contribuerait-il à t'ouvrir les yeux, à te

„Saint Servan, 1 lipca 1798.

„Mój kochany, straciliśmy najlepszą naszą matkę: z żalem donoszę ci o tym nieszczęsnym ciosie... Gdy przestaniesz być przedmiotem naszej życzliwości, przestaniemy żyć. Gdybyś wiedział ile łez twoje błędy wycisnęły naszej czcigodnej matce, do jakiego stopnia wydają się one godne pożałowania wszystkim, którzy myślą i rządzą się nie tylko pobożnością, ale rozumem; gdybyś to wiedział, możeby się to przyczyniło do otworzenia ci oczu, byś wyrzekł się pisania; i gdyby Niebo, przychylając się do naszych pragnień, pozwoliło się nam połączyć, znalazłbyś wśród nas całe szczęście, którego można doznać na ziemi, dałbyś nam to szczęście, bo niemasz go dla nas, dopóki nam brak ciebie, póki mamy powód niepokoić się o twój los".

Zauważmy jak wielką szlachetnością, w swej tragicznej prostocie, tchnie ten list siostry; jaki, w położeniu tak okrutnem, w cierpieniu moralnem i fizycznem w nieustannem zagrożeniu własnego życia, brak tu zupełny egoizmu, troski o siebie. Żadnej skargi na los własny u tej, która miała też wkrótce umrzeć z wycieńczenia, tylko niepokój o los jego!

To prawdziwe bohaterstwo chrześcijańskie. I mimowolne porównanie, jakie się tu nasuwa, nie wychodzi na korzyść brata. Ale list ten nie był bezskutecznym. Wzruszył nie tyle czułe, ile wrażliwe serce poety. Chateaubriand się nawrócił. Oto, co mówi on sam o tem, w owej przedmowie do „Génie du Christianisme":

„Matka moja, po jej wtrąceniu do więzienia, w siedemdziesiątym drugim roku życia, gdzie widziała śmierć części swych dzieci, zmarła nakoniec na barłogu, na który rzuciło ją nieszczęście. Wspomnienie mych błędów napełniło goryczą ostatnie jej chwile; umierając zobowiązała jedną z mych sióstr, by mię przywołała do wiary, w której byłem wychowany. Siostra doniosła mi ostatnie życzenie mej matki.

Gdy list ten mię doszedł z za morza, siostry mojej już też nie było; zmarła z powodu skutków swego uwięzienia. Te dwa głosy, wychodzące z grobu, ta śmierć, pośrednicząca śmierci—uderzyły mię.

---

faire renoncer à écrire; et si le Ciel touché de nos voeux permettait notre réunion, tu trouverais au milieu de nous tout le bonheur qu'on peut goûter sur la terre; tu nous donnerais ce bonheur, car il n'en est point pour nous tandis que tu nous manques, et que nous avons lieu d'être inquiètes de ton sort".

Zostałem chrześcijaninem. Przyznaję, żem nie uległ wielkiemu nadprzyrodzonemu światłu: moje przekonanie wyszło z serca. Zapłakałem i uwierzyłem". Wzruszenie, jakiego musiał doznać wskutek tego listu siostry, jest aż nadto naturalne, by uwierzyć w szczerość słów jego i zwłaszcza w szczerość nawrócenia, ale nawrócenia sui generis, pochodzącego z serca być może, lecz więcej jeszcze z wyobraźni i nie mającego nic wspólnego z przekonaniem i z wiarą, w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nawrócił się nie tyle do wiary, ile do pewnych form myśli i uczucia, mających swe źródło w wychowaniu chrześcijańskiem, z któremi, pomimo bluźnierstw zawartych w „Essai"—skutek raczej chwilowego rozdrażnienia i zamętu w umyśle—właściwie nigdy się w zupełności nie rozstawał. Wyobraźnia zrobiła tu swoje i niewątpliwie więcej, niż uczucie. Ale w opowieści autora jest coś nieprawdziwego, mianowicie, gdy mówi, że list ten doszedł go po śmierci siostry, kiedy tak nie było, bo pani de Farcy zmarła później, gdy „Le Génie du Christianisme", to dzieło ekspijacyjne, powzięte pod wpływem tego listu, było już znacznie posunięte. Cóż z tego wynika? Oto, że Chateaubriand swe nawrócenie zaczyna od kłamstwa, zapewne nieszkodliwego, ale popełnionego rozmyślnie, dla efektu, jaki sprawiają te „dwa głosy, wychodzące z grobu", ta „śmierć, pośrednicząca śmierci", co, zważywszy, że dotyczy okrutnego losu matki i siostry, wydać się musi co najmniej niegodnem serca szlachetnego. Wiemy przecież, że był on szlachetnym, ale szlachetność jego zawsze podsycana przez próżność, nie zawsze mogła się oprzeć tej ostatniej, gdy ją miała przeciw sobie.

Nim przejdziemy do „Génie du Christianisme", wypadnie nam zapoznać się z „René" i z „Atalą", utworami, wyjętemi przez autora z jego pierwszego i kolosalnego dzieła wyobraźni p. t. „Les Natchez".

Cóż to są te „Natchez"? Autor sam nas o tem objaśni w swych pamiętnikach: „Byłem jeszcze bardzo młody—mówi on, —gdym powziął myśl napisania epopei człowieka natury, albo odmalowania obyczajów dzikich, wiążąc je z jakiemś znanem wydarzeniem".

Jestto zatem epopeja, ale epopeja o charakterze nader złożonym, pomimo, że ma opiewać życie pierwotne. „Les Natchez" —mówi Sainte-Beuve, to coś w rodzaju niezmierzonego dziewiczego lasu, w który autor z brzega wrzucił, bez ładu, wszystkie zapasy swego ducha i wyobraźni, tak, iż później mógł zeń

czerpać do wszystkich swych następnych kompozycyj prawie go nie naruszając".

Juliusz Lemaître mówi o temże dziele:

„Jestto utwór młodego ucznia Rousseau, który widział świat; to poemat epicki; to powieść historyczna i egzotyczna; to bajka filozoficzna i nie wiem co jeszcze. Przypomina to, w dłuższym ustępie „Hurona" Voltaire'a i wszystkie historye dzikich i ludzi natury, które zachwycały wiek osiemnasty. Przypomina również, niekiedy, ze względu na „styl poetycki"—„Inkasów" Marmontela, ze względu na „cudowność"—Miltona i Klopstocka i wreszcie, ze względu na melancholię i zamiłowanie do smutku—niektóre listy młodego Saint-Preux w „Nowej Heloizie", oraz „Werthera", który wyszedł w r. 1774. Jestto, po za tem, co się tyczy wydarzeń i prócz czterech ksiąg podróży Chactasa do Europy, prawie nieprzerwany szereg nadzwyczajnych nieszczęść i wprost okropności".

Po tej prezentacyi przez znakomitych krytyków, nie będziemy wchodzili w szczegóły tego zdumiewającego dzieła, w których, jak w puszczy amerykańskiej, która mu była wzorem, moglibyśmy zabłądzić.

Trzeba wiedzieć tylko, że wśród tych wszystkich nadzwyczajności, które dzieją się w dziewiczych lasach Florydy, w Niebie lub u dworu Ludwika XIV w Wersalu snuje się historya syna jednego z wodzów indyjskiego plemienia Natchez, Chactasa, którego poznamy z jego własnego opowiadania w „Atala", oraz historyi owego René, młodego Francuza, dotkniętego „chorobą wieku", który przybył do Ameryki, by dla swej duszy znudzonej i rozczarowanej mniej lub więcej urojonemi nieszczęściami znaleźć schronisko w samotności, na łonie wspaniałej i pierwotnej natury, wśród prostoty obyczajów dzikich ludów. René, przyjęty za syna przez Chactasa i zaprzyjaźniwszy się ze szlachetnym Ontongamizem, żeni się z siostrą tegoż, słodką Celutą, której nie kocha i po niezliczonych wydarzeniach, zostaje zdradziecko zamordowany, w dniu rzezi białych przez zazdrosnego współzawodnika Ondouré, który gwałci Celutę i pada wreszcie pod siekierą Ontongamiza. W to wszystko są wmieszane homeryczne walki Indyan z Francuzami z Nowego-Orleanu. Ostatecznie utwór ten, przedsięwzięty jakoby z celem ukazania wyższości życia dzikich, na łonie natury, nad życiem człowieka, skrępowanego prawami i obowiązkami, w społeczeństwie cywilizowanem celu tego nie osiągnął, przeciwnie — ukazał je jako szereg nieszczęść, zdrad, mordów i zbrodni. Jednem słowem obraz, jaki

daje tej pierwotnej szczęśliwości, nie tylko nie jest zbyt zachęcający, ale nadto jest w gruncie bardzo podobny do tego, jaki przedstawia świat cywilizowany, którego ma być przeciwieństwem.

I jakże mogłoby być inaczej? Cokolwiek bowiem tyczy się człowieka, musi z konieczności zamykać się w nader szczupłym obrębie jego zasadniczych potrzeb, dążeń i namiętności. Te, u człowieka, czy go nazwiemy dzikim, czy cywilizowanym—są zawsze jednakowe. Cała różnica pomiędzy jednym a drugim polega na większej lub mniejszej przewadze strony moralnej nad fizyczną i materyalną, czyli ducha (a więc rozumu) nad instynktem i na wynikającej stąd większej samowiedzy, większej świadomości dążeń i celów. To, co zwie się kulturą, ze wszystkiemi jej objawami, jest już tylko dalszym tego rezultatem. Ludzi dzikich w ścisłem tego słowa znaczeniu, tj. takich, w których życiu strona duchowa nie brałaby żadnego udziału—niema. Człowiek na najniższym nawet stopniu swego rozwoju, żyje gromadnie, a zatem tworzy społeczeństwo, które wymaga pewnej organizacyi i musi być rządzone pewnemi zasadami, czyli prawami, jakim każdy z członków gromady lub plemienia musi ulegać. Człowiek dziki naprawdę, byłby zwierzęciem, a więc nie byłby człowiekiem i trzeba było szczególnego obłędu i zarazem nieznajomości natury ludzkiej u tych teoretycznych zwolenników natury, by wymyślić paradoks doskonałości stanu dzikiego — doskonałości polegającej na braku tego właśnie, co różni człowieka od zwierzęcia.

To też, jak widzimy w „Les Natchez“, ci dzicy, którzy zresztą są tylko istotami fantazyjnemi, mają swój ustrój społeczny i polityczny, oraz zasady moralne, a więc kulturę, czyli to samo, co według doktryny Rousseau, którą pragnie poprzeć Chateaubriand, jest przyczyną nieszczęścia i zepsucia człowieka cywilizowanego.

Całość „Les Natchez“, poprawiona i zapewne znacznie przerobiona przez autora, wyszła dopiero w całkowitem wydaniu jego dzieł, w r. 1836, ale, jak już powiedziano, ustępy tego dzieła, zatytułowane „Atala“ i „René“, wyszły wcześniej — pierwszy oddzielnie, w r. 1801, drugi, jako rozdział wstawiony do „Le Génie du Christianisme“ — w r. 1802. W innych wydaniach „Génie“, obie te opowieści znajdują w nim pomieszczenie. Wreszcie, w r. 1805 „Atala“ i „René“ tworzą razem wydanie oddzielne. „Les Natchez“ ułożył Chateaubriand w Londynie w r. 1799, zaraz po „Essai“, według manuskryptu przywiezionego z Ameryki, ale, opuszczając Londyn w r. 1800, pozostawił tę pracę na przecho-

wanie u pewnej Angielki, która mu odnajmowała mieszkanie i której zapomniał w następstwie nazwisko i adres. Zabrał zsobą do Paryża tylko te dwa wyżej wymienione ustępy. Pomimo te trudności, rękopis „Les Natchez“ został później odnaleziony i tem tłómaczy się wielkie opóźnienie w ogłoszeniu drukiem tego dzieła.

Jak widzieliśmy Chateaubriand, pomimo, iż minął się ze swem założeniem, był w „Les Natchez“ tj. w r. 1799 zupełnym wyznawcą Rousseau. W r. 1800, w przedmowie do „Atala“ nie tylko tych zapatrywań nie podziela, lecz surowo krytykuje i gani genewskiemu filozofowi to jego zamiłowanie do stanu dzikości: „Nie jestem bynajmniej, jak J. J. Rousseau, entuzyastycznym zwolennikiem dzikich i chociaż mam może tyleż powodów skarżyć się na społeczeństwo, ile ich miał ten filozof, by mu być wdzięcznym, nie wierzę wcale, by czysta natura była czemś najpiękniejszem w świecie. Znajdowałem ją zawsze bardzo brzydką każdym razem, gdym miał sposobność ją widzieć“.

Większe jeszcze może zarzuty czyni swemu mistrzowi w ustępie „Obrony Ducha Chrześcijaństwa“, odnoszącym się do „René“. W utworze tym—mówi Chateaubriand[1])—„autor zwalcza między innemi szczególne dziwactwo, dotykające młodzieńców wieku, które prowadzi wprost do samobójstwa. To J. J. Rousseau pierwszy wprowadził do nas te nieszczęsne i karygodne rojenia. Oddalając się od ludzi, puszczając wodze swym marzeniom, przekonał mnóstwo młodych, że pięknie jest rzucić się w ten sposób w czczą niepewność życia“. I to prawda, co mówi o Rousseau, tylko nie jest prawdą, by autor „René“ zwalczał tę zgubną skłonność. Przeciwnie—jeżeli Rousseau pierwszy wprowadził do Francyi tę nową chorobę, to Chateaubriand pierwszy ją sławił, wyegzaltował, rozszerzył, wzbudził dla niej zajęcie, współczucie i podziw i mocą swego talentu podniósł do wyższej, jakoby nadludzkiej godności ten stan znudzenia, wstrząsanego z pod spodu namiętnościami, jak na wpół wygasły wulkan. Interpretacya autora nie zgadza się tu bynajmniej z prawdziwym duchem jego dzieła. Ale wiemy już, że Chateaubriand, gdy idzie mu o przeprowadzenie tego, co mu się podoba, nie liczy się wcale z takiemi drobnostkami, a w danym razie chodziło mu o uzasadnienie pomieszczenia „René“ w swej apologii Chrześcijaństwa i przekonaniu, że ten utwór służy temu celowi.

---

[1]) „Défense du Génie du Christianisme“.

Szczęściem obok tego daje on inne czysto praktyczne tłómaczenie dlaczego to uczynił. Oto liczył na przynętę, jaką będzie stanowiła ta powiastka dla tych zwłaszcza czytelników, którzy bez tego, książki sławiącej chrześcijaństwo, nie wzięliby do ręki. „Czyż autor tak źle znał serce ludzkie, — mówi Chateaubriand — gdy przygotował tę niewinną zasadzkę na niewierzących“. I rzeczywiście nie pomylił się w swych obliczeniach — te dwa utwory: „Atala“, jako zwiastun, i „René“, w samym tekście, przyczyniły się bardzo wiele do niesłychanego powodzenia „Ducha Chrześcijaństwa“. Tylko powodzenie to jest powodzeniem autora, nie zaś idei, którą chce głosić. Przypomina to pewne nabożeństwa, na które uczęszcza wielka liczba osób, ze względu na piękną muzykę. Zapewne kościół wypełnia się wtedy ludźmi, którzy przychodzą rozkoszować się gruchaniem operowych sopranów i tenorów, ale którzy inaczejby tam nie weszli. Co wszakże zyskuje na tem kościół?—Że ma „publiczność“, jak teatr?—Tak, tylko publiczność, to nie to samo, co wierni. Ale taką właśnie jest cała owa apologia Chateaubrianda.

Czem jest „Atala“, objaśnia bardzo dobrze sam autor, i daje tem dowody, że rozumie doskonale na czem polega oryginalność i znaczenie jego dzieł w nowej literaturze francuskiej. „Nie wiem, czy publiczność zasmakuje w tej historyi, która wychodzi ze wszystkich znanych dróg i która przedstawia naturę zupełnie nieznaną Europie. Niema żadnych wydarzeń w „Atali“. Jestto rodzaj poematu, na poły dramatycznego i opisowego. Wszystko polega tu na odmalowaniu dwojga kochanków, którzy idą i rozmawiają w samotności; wszystko spoczywa w obrazie wzburzeń miłości pośród ciszy pustyni i spokoju wiary. Drobne to dziełko składa się z prologu, opowiadania i epilogu“.

Treść „Atali“ przedstawia epizod z młodości owego Chactasa, który ten, jako ślepy starzec, opowiada młodemu René. Gdy Outalissi, jeden z wodzów szczepu Natchez, sprzymierzonego z Hiszpanami, zginął w bitwie przeciw Muskogulgom, syn jego Chactas, który liczył wówczas siedemnaście „listopadów“ i walczył przy boku ojca, został przyjęty za syna przez pewnego starego Hiszpana, nazwiskiem Lopez, zamieszkałego w mieście Świętego Augustyna. Ten szlachetny starzec chce mu dać wychowanie człowieka cywilizowanego i chrześcijanina, ale niezadaje gwałtu naturze młodzieńca i aczkolwiek z żalem, pozwala mu odejść, gdy ten pragnie powrócić do życia koczującego i myśliwskiego swego szczepu. Chactas jeszcze niedoświadczony błądzi w puszczach i dostaje się w ręce wrogów, którym śmiało oświadcza kim jest.

Ci postanawiają spalić go żywcem w dniu wielkiego narodowego święta i w tym celu, związanego prowadzą pod strażą do „wielkiej wsi“. Gdy doszli już do miejsca przeznaczenia, do Chactasa mężnie oczekującego chwili swej męki, zbliżyło się cudnej piękności dziewczę. Chactas bierze ją za „dziewicę ostatniej miłości“, którą, według obyczaju Czerwonoskórych, ofiarowują skazańcom, ale dowiaduje się od niej, że się myli. Jest ona córką wodza Simaghana, imieniem Atala i wzruszona młodością więźnia pragnie go uwolnić. W tym celu upoiła straż „wodą ognistą“ i przychodzi powrócić mu wolność.

Chactas zgadza się na to jedynie pod warunkiem, że ona z nim ucieknie.

Po oporze i wahaniu z jej strony, widząc, że inaczej nie uratuje młodzieńca od zguby, Atala, która, jak się tego domyślamy, kocha go, ucieka z Chactasem w lasy dziewicze. Długo bardzo błądzą oboje w puszczy, wyznając sobie wzajemnie miłość, która wzrasta w ich sercach do prawdziwego szału namiętności. Mimo to Atala odmawia Chactasowi zostania jego kochanką lub małżonką. Jednakże w chwili, gdy rozszalała straszna burza podzwrotnikowa i piorun zapalił lasy, Atala omal nie uległa własnym ogniom miłosnym i naleganiom kochanka. Uderzenie piorunu w najbliższe drzewo uchroniło ją od tego i powróciło jej panowanie nad sobą. Wtedy wśród potoków łez wyznała Chactasowi, że jej matka była chrześcijanką i po wydaniu jej na świat, pragnąc uchronić od nieszczęść jej wątłe życie ofiarowała królowej Niebios dziewictwo córki. Na łożu śmierci, kazała jej przysiądz, że dochowa ślubu, dokonanego w jej imieniu. W razie, gdyby Atala sprzeniewierzyła się tej przysiędze i ślubu nie dotrzymała, matka jej musiałaby to odpokutować na tamtym świecie. Po tem wyznaniu oboje wylewają łzy żalu z powodu nieszczęśliwego losu, który kazał im się kochać wzajemnie, nie pozwalając się połączyć. Atala zmęczona i wyczerpana, fizycznie i duchowo, nie może iść dalej. Szczęściem Bóg przysyła im niespodziewaną pomoc. Oto pustelnik, ojciec Aubry, który poświęcił się ratowaniu zbłąkanych w puszczy i nawracaniu ich do prawdziwej wiary, znajduje Chactasa i Atalę i zabiera ich do swego szałasu. Atala wyznaje wszystko ojcu Aubry. Pustelnik, mając po temu, jako kapłan, moc daną mu od Boga, chce zwolnić Atalę od przysięgi i unieważnić uczyniony przez jej matkę ślub, by umożliwić ich połączenie w chrześcijańskiem małżeństwie. Niestety już zapóźno, bo Atala z obawy, by nie uledz pokusie, przyjęła truciznę, podczas owej burzy i teraz umiera. W ostatnich chwilach i w obec-

ności misyonarza, Atala, przy całej skrusze, czyni Chactasowi szczególne oświadczenia. Mówiąc o walce, jaką musiała toczyć przeciw miłości, tak się wyraża: „Ach, gdybyż trzeba było opuścić rodziców, przyjaciół, ojczyznę; gdyby nawet (rzecz okropna!) chodziło *tylko o zatratę mej duszy!...* Ale cień twój o moja matko! Cień twój był zawsze obecny, wyrzucając mi swe cierpienia!“ I dalej: „Niekiedy, zatrzymując spojrzenie na tobie, posuwałam się aż do tworzenia życzeń równie szalonych, jak występnych: to byłabym pragnęła być wraz z tobą, jedyną żyjącą istotą na świecie; to znowu, czując bóstwo, powstrzymujące mię w mych okropnych porywach, *byłabym życzyła, by to bóstwo zostało zniszczone, abym mogła w uścisku twego objęcia toczyć się z przepaści w przepaść, wraz ze szczątkami Boga i świata!...* I teraz nawet, powiem! Teraz, gdy wieczność mię pochłonie, gdy stanę przed nieubłaganym Sędzią, w chwili, gdy, by być posłuszną matce, widzę z radością, że moje dziewictwo pożera me życie, teraz, skutkiem strasznej sprzeczności, unoszę z sobą żal, żem do ciebie nie należała“ !...

Po tej spowiedzi, przeplatanej takiemi wybuchami zmysłowej namiętności i bluźnierstwami, po dość długiej i budującej, choć miejscami mocno nacechowanej pesymizmem autora, zresztą w duchu chrześcijańskim, przemowie pustelnika, Atala słabnącym głosem zaleca Chactasowi, by został chrześcijaninem, aby mogli połączyć się w niebie i doręcza mu krzyżyk, który nosiła na piersiach, pamiątkę po matce, którą ta otrzymała po jej narodzeniu od Hiszpana Lopeza, prawdziwego ojca Atali. Wtedy ojciec Aubry udziela jej Św. Sakramentów i córka Lopeza umiera w religijnem zachwyceniu. Następuje opis pogrzebu Atali, dokonanego przez Chactasa wespół z misyonarzem. Sainte-Beuve wskazuje na tę scenę, która, jeśli w swem znaczeniu jest tragiczną, to jednak piękno przeważające w jej odmalowaniu, nastrój poetyczny i wyszukany artyzm w pozornej prostocie, sprawiają, że wzruszenie uczuciowe ustępuje tu wrażeniu estetycznemu. Autor „Poniedziałków literackich“ porównywa i do pewnego stopnia przeciwstawia pogrzebowi Atali zakończenie „Manon Lescaut“, gdzie w podobnych okolicznościach, kochanek zrozpaczony musi sam osobiście pogrzebać przedmiot swej najgorętszej miłości, jedynego na świecie przywiązania. W scenie pogrzebu Manon, poezya i sztuka są nieobecne. Niema tu nic, prócz wyrazu czystej namiętności i rozpaczy, powstrzymanej realną koniecznością pogrzebania zwłok ukochanej, w tem obnażonem ze wszelkich efektów i na pierwszy rzut oka suchem, ale do głębi przejmującem, bo idącem wprost

z serca opowiadaniu. W „Atali“ uderza nas i czaruje piękno, którego odczuwamy wyrafinowaną sztuczność, gdy cała historya „Manon“ wzrusza nas bezpośrednio, a jej zakończenie, swą nagą, skoncentrowaną prawdą wywołuje wrażenie wprost wstrząsające.

Z drugiej strony „Atala“ przypomina też „Paul et Virginie“ Bernardyna de Saint-Pierre, ale to dzieło—czysta idylla tragiczna—różni się od „poematu“ prozą Chateaubrianda zarówno głęboką, lecz spokojną tkliwością uczucia, jak i obrazowością, poetyczną również i nastrojową, lecz pozbawioną artyzmu, opartego na porównaniach, analogiach i kontrastach, który stanowi cechę charakterystyczną wyrazu i stylu autora „Atali“. Zresztą Chateaubriand objaśnia najwyraźniej czytelnika w przedmowie, że nie poszukuje wzruszenia, którego tak nadużyto w osiemnastym wieku: „Powiem jeszcze, że nie mam na celu wycisnąć dużo łez. Sądzę, że jestto niebezpiecznym błędem, głoszonym, jak tyle innych, przez p. de Voltaire, że dobremi są te utwory, które powodują najwięcej płaczu. Są dramaty, których nikt nie pragnąłby być autorem, a które rozdzierają serce o wiele więcej, niżeli „Eneida“. Nie jest się dobrym autorem dla tego, że się przyczynia duszy męczarni. Prawdziwe łzy wywołuje poezya i trzeba, by w nich było tyleż podziwu, ile bólu“.

Sainte-Beuve zwraca jeszcze uwagę na ducha starożytnego, który po przez nowożytne i chrześcijańskie cechy uczuciowe dobywa się zarówno z „Pawła i Wirginii“, tego dziełka przypominającego Teokryta swym rodzajem poezyi w odczuwaniu natury, jak z Atali, gdzie, pomimo puszcz amerykańskich i obozów Czerwonoskórych wojowników, są ustępy natchnione z Wirgiliusza.

Wracając do treści Atali, dodajmy, że ojciec Aubry, założył w pobliżu swej pustelni kolonię idealną, złożoną z nawróconych Indyan, tworzących rodzaj społeczeństwa prymitywnego, rządzonego prawami Ewangelii, którego był on prawodawcą, naczelnikiem, sędzią i proboszczem,—rodzaj teokracyi wedle ideałów Jana-Jakóba, przypominającej zarazem rządy Jezuitów w Paragwaju. Z epilogu, w którym autor opowiada bezpośrednio, jakoby całą tę historyę i jej zakończenie słyszał z ust Indyan i między innymi od wnuczki Renégo i Celuty, dowiadujemy się, że cała ta kolonia została wymordowaną przez wrogie Francuzom plemię Szerokich. Ojciec Aubry został wtedy spalony żywcem. Podobny los spotkał też Chactasa i Renégo — obaj zginęli podczas rzezi, dokonanej na plemieniu Natchez przez Francuzów. Opowiadanie kończy się krzykiem beznadziejnego smutku i rozczarowania, oraz

skargą na los własny wygnańca i tułacza: „Tak tedy mija na tem świecie, wszystko, co było dobre, cnotliwe, współczujące! Człowieku, tyś snem tylko krótkim, bolesnem marzeniem; istniejesz tylko przez nieszczęście, jesteś czemś tylko przez smutek swej duszy i wieczną melancholię twej myśli“!

„Indyanie nieszczęśni, których widziałem błądzących w pustyni Nowego-Świata, z popiołami waszych przodków! Wy, którzyście mi dali gościnność, pomimo waszej nędzy! Nie mógłbym wywzajemnić się wam dzisiaj, bo, jak wy, tułam się, zdany na łaskę ludzką i, mniej od was szczęśliwy na mem wygnaniu, nie uniosłem z sobą kości moich ojców“!

W tym głębokim pesymizmie ideowym i w tej skardze serca, doświadczonego nieszczęściem istotnem, znajdujemy nastrój, który panować będzie w drugiej powiastce — poemacie autora „Atali“—w „René“.

W jednym z rozdziałów „Ducha Chrześcijaństwa“ [1]), zatytułowanym „Du vague des passions“, który autor przytacza we wzmiankowanej już powyżej przedmowie do wspólnego i ostatecznego wydania „Atali“ i „René“ daje on sam tłómaczenie, czem jest ten nastrój.

„Pozostaje nam mówić o stanie ducha, który, zdaje się, nie był dotąd dobrze obserwowany: jestto stan, który uprzedza rozwój wielkich namiętności, gdy wszystkie władze młode, czynne, pełne, ale zamknięte, wyprobowały się tylko na sobie samych, bez celu i bez przedmiotu. Im dalej posuwają się narody w cywilizacyi, tem więcej ten nieokreślony stan namiętności wzrasta, bo dzieje się wtedy coś bardzo smutnego: wielka liczba przykładów, które się ma przed oczyma, mnóstwo książek, traktujących o człowieku i jego uczuciach dają biegłość, bez doświadczenia. Jest się objaśnionym, nie zakosztowawszy; pozostają jeszcze pragnienia, ale niema już złudzeń. Wyobraźnia jest bogata, obfita, świetna, istnienie—nędzne, suche, pospolite. Z sercem pełnem, zamieszkuje się świat pusty; niczego nie doznawszy, jest się rozczarowanym do wszystkiego.

„Gorycz, która ten stan ducha rozpościera na życiu jest nie do uwierzenia. Serce skręca się i kurczy, by spożytkować siły, których czuje nieużyteczność dla siebie. Starożytni mało znali ten tajny niepokój, to skwaszenie stłumionych namiętności, fermentujących wspólnie: obszerne życie polityczne, ćwiczenia w gim-

[1]) „Le Génie du Christianisme“ II-e partie, liv. III chap. IX.

nazyum i na polu Marsowem, sprawy na forum i na placu publicznym, wypełniały wszystkie chwile i nie pozostawiały miejsca tęsknocie serca. Skądinąd nie byli oni skłonni do przesady, do nadziei, do obaw bez powodu, do ruchliwości myśli i uczuć, do ciągłej niestałości, będącej tylko wstrętem do stałości — usposobienia, którego nabywamy w poufałem towarzystwie kobiet. Kobiety u narodów nowożytnych, niezależnie od namiętności, jakie wzbudzają, wpływają jeszcze na wszystkie inne uczucia.

Mają one w swem istnieniu pewną niedbałość, której nam udzielają; czynią nasz charakter męski mniej stanowczym i namiętności nasze, osłabione skutkiem zetknięcia z ich namiętnościami, przybierają zarazem coś niepewnego i miękkiego. Wystarczyłoby dodać do tego nieokreślonego stanu namiętności trochę niedoli, by mógł posłużyć za podstawę do najpiękniejszego dramatu. Dziwne to, że nowożytni pisarze nie pomyśleli dotąd o odmalowaniu tego szczególnego położenia duszy. Ponieważ brak nam przykładów, może nam będzie pozwolone dać czytelnikom epizod, wyjęty, jak „Atala“ z naszych dawnych „Natchez“?

I w ten sposób wprowadza autor swego „René“ do „Génie du Christianisme“. Ale myli się Chateaubriand, zresztą świadomie, gdy mówi, że pisarze nowocześni nie zajęli się dotąd tym nastrojem ducha, który mu się wydaje nowym, a który w istocie istniał zawsze, bo tęsknota, skłonność do zwątpienia i rozczarowania, są to właściwości pewnej strony duszy człowieka, u niektórych ras mocniej zaakcentowane, i rozwijające się szczególniej w okresach klęsk, dotykających narody, lub w chwilach przejściowych zepsucia i rozkładu, gdy wiara zanika, zasady się chwieją, dyscyplina moralna ustaje i człowiek, pozostawiony samemu sobie, błąka się, szuka wyjścia z nieznośnych ciemności, które go przejmują trwogą i nie znajduje innego, prócz przepaści, jaka rozwiera się naraz u jego stóp. Zniechęcenie do życia, wynikające z takiej skłonności wrodzonej lub nabytej nie było również obcem okresom najżywszej wiary, tylko wtedy stawało się tęsknotą za niebieską Ojczyzną i prowadziło do mistycznych zachwyceń i do ascetyzmu, do zaparcia się siebie i poświęcenia Bogu i bliźnim swych sił, zdrowia i życia. I wtedy chroniło się zwykle w murach klasztornych.

Jeśli cofniemy się dalej wstecz, do świata starożytnego, to znajdziemy to samo usposobienie u Hioba w salomonowem „vanitas vanitatum“, w poezyi Lukrecyusza i Wirgiliusza; u św. Augustyna i św. Chryzostoma; w poezyi i sztuce średniowiecznej, jak u słynnego minnesängera Waltera von der Vogelweide

lub w „Melancholii“ Alberta Dürera[1]), w tegoż „Pustelniku“ i licznych drzeworytach, przedstawiających taniec szkieletów, śmierć grającą na skrzypcach, obok pogrążonej w zamyśleniu własnej postaci artysty itp.; wreszcie, w okresie nowożytnym u Shakespeare'a („Hamlet“), u Goetego („Werther“), nieco później u Byrona („Manfred“, „Child Harold), u J. J. Rousseau (Rêveries du promeneur solitaire“) i najbliżej Chateaubrianda—u Sénancour'a, który swego „Obermana“ wydał na dwa lata przed ukazaniem się „René“. Te zaś dwie postacie są to jakoby dwie strony tego samego typu: Oberman, to René na codzień—René, to Oberman od parady. Oberman zamyka się sam w sobie i unika ciekawości mas, René jeśli stroni od ludzi, to w dużej części dla tego, by się wyróżnić. Wybiera też dla swej samotności takie miejsca, gdzie z pewnością zostanie dostrzeżonym, np. na szczycie wulkanu, a jeśli chroni się u dzikich, w pustyni, to jeszcze z przekonaniem, że wzbudzi tem podziw swych ziomków. René jest rozczarowany i znudzony, ale chce, by o tem wiedziano; ma bujną wyobraźnię, wierzy w poezyę, kocha i odczuwa naturę, którą widzi, jak w obrazie lub scenie z opery, wreszcie chce być podziwianym i pragnie sławy. Oberman kocha również naturę, ale tylko dla nastrojów wewnętrznych, które w nim ona wywołuje.

Oberman analizuje swe uczucia, lecz czyni to dla siebie; René analizuje je również i rezultat ogłasza „urbi et orbi“ — pierwszy jest filozofem, drugi artystą. I René jest też pierwszym prawdziwym i zupełnym typem romantycznym w literaturze francuskiej[2]).

Ta powiastka, którą autor przedstawia, jako ustęp z „Natchez“ jest, według zdania J. Lemaître'a, prawdopodobnie najpierwszym utworem wyobraźni Chateaubrianda, naszkicowanym jeszcze w Combourg, przed wstąpieniem do pułku. Wskazuje to przedewszystkiem styl, który nie ma tu jeszcze pełni i oryginalności, jakiemi odznacza się już styl „Natchez“. Następnie rzecz ta niema właściwie prawdziwego związku z treścią tego dzieła, jest widocznie wstawioną. Nadto w opowiadaniu René'go znajdujemy najwyraźniej i najdokładniej przedstawioną własną historyę autora z jego lat młodzieńczych.

René-Europejczyk przybył do dzikich od lat kilku i pojął za żonę, wedle obyczaju miejscowego, Célutę, jak już wiemy o tem z „Natchez“, ale z nią nie żyje. Smutek i melancholia nie opusz-

[1]) Sainte-Beuve „Chateaubriand et son groupe“.

[2]) Id.

czały go nigdy, lecz od czasu, gdy otrzymał list ze swej ojczyzny, za pośrednictwem misyi, stan ten jeszcze się pogorszył — René unikał zupełnie wszelkiej styczności z ludźmi tak, iż swem zachowaniem zwrócił uwagę na siebie i zaniepokoił swych przyjaciół, a zwłaszcza starego Chactasa. Na prośby tego, który mu opowiedział koleje własne, René postanowił otworzyć mu swe serce i odkryć tajne uczucia, które stały się przyczyną jego nieszczęścia. W tym celu wezwał również ojca Souël, misyonarza z fortu Rozalii, by wysłuchał tej jego spowiedzi.

Zasiadłszy pomiędzy dwoma poważnymi starcami, na wzgórzu, skąd roztaczał się nieporównany widok, René przemówił w te słowa: „Nie mogę, rozpoczynając mą opowieść, powstrzymać uczucia wstydu. Pokój waszych serc, czcigodni starcy, i spokój otaczającej mię przyrody każą mi rumienić się z powodu wzburzenia i niepokoju mej duszy. Jakże litować się będziecie nademną! Jakże marnemi wydadzą się wam me wieczne troski! Wy, którzyście wyczerpali zmartwienia życia, co pomyślicie o młodzieńcu bezsilnym i niecnotliwym, który w sobie samym znajduje swe udręczenie i może się skarżyć tylko na cierpienia, które sam sobie przyczynia? Niestety! Nie potępiajcie go: został on aż nadto ukarany“!

Dalej następuje własna historya młodości autora i jego siostry Lucylli, którą tu nazywa Amelią, w zamku Combourg,—ich wspólnych wycieczek po lasach, ich szalonych marzeń, ich nieokreślonych smutków. Później śmierć ojca, opuszczenie zamku, który stał się własnością starszego brata. Potem podróż do krajów klasycznych, gdzie pośród ruin, grobowców i pomników drzemią wspomnienia świata starożytnego, i na Wschód, skąd wyszło światło nowej cywilizacyi,—podróż, którą autor odbył naprawdę dopiero później. René „nie dowiedział się nic pewnego pośród starożytnych i nic pięknego pośród współczesnych“. Zauważył tylko, że „przeszłość i teraźniejszość to dwa posągi nie zupełne: jeden wydobyto uszkodzonym z pośród rumowisk wieków, drugi nie otrzymał jeszcze od przyszłości swych skończonych kształtów“. Był na szczycie Etny i to nasuwa mu uwagę, zwróconą do słuchaczów: „Młodzieniec pełen namiętności, siedzący na krateize wulkanu i płaczący nad losem śmiertelnych, których siedziby u stóp swych zaledwie spostrzega, jest zapewne, o starcy! przedmiotem godnym waszego politowania; ale cokolwiek pomyślicie o nim, obraz ten przedstawia wam odbicie charakteru Renégo i jego istnienia: w taki to sposób, przez całe życie, miałem przed oczyma stworzenie zarazem bezbrzeżne i niedostrzegalne

i otchłań rozwartą przy moim boku". René powraca do ojczyzny i spostrzega, że siostra jego Amelia unika go pod różnemi pozorami. Nie mogąc przystosować się do towarzystwa ludzi w mieście, wynosi się on do odludnego przedmieścia. Samotność, którą z początku się rozkoszował, wkrótce stała mu się do tego stopnia nieznośną, iż postanowił zakończyć życie. Tymczasem Amelia, zwykła czytać w jego sercu, przeczuła coś z listu brata, przybyła niespodzianie i odwiodła go od tego zamiaru. Przez jakiś czas oboje mieszkali razem, ale pewnego dnia Amelia znikła, pozostawiając list do brata z objaśnieniem, iż wstąpiła do klasztoru i prośbą, by jej nie szukał ani starał się widzieć. Pomimo to René pojechał do owego klasztoru i nie mogąc widzieć siostry, napisał do niej. Amelia odpowiedziała mu, że decyzya jej jest nieodwołalną. Nazajutrz René jest obecnym przy uroczystości obłóczyn siostry. Po obcięciu jej włosów ułożono ją w trumnie, jako umarłą światu. Podczas żałobnego obrzędu, René klęczący przy trumnie dosłyszał nagle te słowa, wyszeptane pod całunem: „Boże miłosierdzia uczyń, bym nigdy nie powstała z tego śmiertelnego posłania i obdarz Twemi dobrodziejstwy brata, który nie podzielał mej występnej namiętności"! Co usłyszawszy, René już ledwie żyw z żalu i wzruszenia, nie wiedząc co czyni chce zerwać całun okrywający Amelię i pada bez przytomności. Ceremonia, na chwilę przerwana, odbywa się bez niego. Amelia jest na zawsze odgrodzona od brata, którego kochała nie siostrzaną miłością.

René odpływa do Ameryki, by w pustyni, wśród dzikich pogrzebać straszną tajemnicę, którą nosi w sobie. I to jest owo tajemnicze nieszczęście Renégo, nieszczęście, nakoniec rzeczywiste, ale, jak mówi, „wskutek swego charakteru nadzwyczajnego, zawierające samo w sobie swe lekarstwo: smakuje się w tem, co nie jest pospolite, nawet, gdy jestto nieszczęście"! List, który w ostatnich dniach pogrążył go w taki smutek, przyniósł mu wiadomość o śmierci siostry Amelii—zmarłej skutkiem zarażenia się przy pielęgnowaniu chorych. Siostra Amelia była przykładem dla zakonnic za życia, a w chwili śmierci opuściła ten świat utrapień z zupełną radością. René podał ten list misyonarzowi do przeczytania. Ten nie rozczulił się nad młodzieńcem, jak Chactas, lecz raczej skarcił go surowo za jego pychę, za żywienie się chimerami, za uchylanie się od obowiązków i ciężarów społecznych, by zastąpić je w samotności niepotrzebnemi lub występnemi marzeniami. Co zaś do Amelii, to mówi ojciec Souël: „siostra twoja odpokutowała za swój błąd; ale jeśli mam powiedzieć całą moją

myśl, to, obawiam się, czy, wskutek strasznej sprawiedliwości, wyznanie które wyszło z grobu, nie skaziło również i twojej duszy". Taką jest historya René i Amelii prawie we wszystkich szczegółach identyczna z własną historyą autora i jego siostry Lucylli, opowiedzianą przez niego samego w „Memoires d'outre-tombe", z wyjątkiem uczuć, które w opowiadaniu Amelia żywi dla brata. Ale przypisanie takich uczuć Amelii, która jest ścisłym portretem Lucylli, rzuca dziwne światło na pamięć tej ostatniej i na stosunek, jaki istotnie zachodził między nimi. Krytyka, która u autorów tej miary, co Chateaubriand, musi wchodzić we wszystko, uczyniła mu z tej szczególnej jego niedelikatności, czy jak to nazwać, słuszny zarzut. Ale, co za cel mógł on mieć w podsunięciu tej myśli, że on i René (zresztą jego własne imię), Amelia i Lucylla, to jedne i te same osoby? Uczynił to—odpowiada J. Lemaître—przez zamiłowanie do nadzwyczajności, przez pychę przypisywania sobie zajęć i uczuć wyjątkowych, czyli, mówiąc inaczej, przez romantyzm.

Autor tłómaczy (w Défence du Génie du Christianisme), że te dwa epizody: Atala i René, mają na celu wzbudzić miłość do religii i dowieść jej użyteczności. Tak więc ma tu być według niego niezbicie dowiedziona „potrzeba klasztorów, w pewnych nieszczęścia h życiowych, oraz potęga religii, która sama jedna może zamknąć rany, jakich wszystkie lekarstwa świata nie są w stanie zagoić". Jak zaś pojmuje tę potrzebę klasztorów, to widzimy z listu Amelii, który otrzymał René przed odjazdem do Ameryki: „Tutaj to jest święta góra... Tutaj to religia łagodnie *oszukuje* duszę wrażliwą: najgwałtowniejszą miłość zastępu e rodzajem palącej czystości, w której łączą się kochanka i dziewica; w boski sposób mięsza swój spokój i niewinność z resztkami wzburzeń i rozkoszy serca, poszukującego spoczynku, i życia, które się usuwa".

Po za słowami ojca Souël i tym podejrzanej próby pokostem religijnym, jakim autor zlekka pociągnął powierzchnię tego utworu, „René" jest historyą namiętności zaprawnej kazirodztwem i o wiele więcej apoteozą, niż napiętnowaniem tego stanu namiętnego znudzenia", tych „marzeń zgubnych i występnych", tych cierpień bezpodstawnych, wynikających z egoistycznego zamknięcia się w sobie, z pogardą świata i ludzi i zapomnieniem wszelkich obowiązków[1]).

[1]) Jeden z przyjaciół Chateaubrianda, Chênedollé wyraził się o „René", że jestto „trucizna w hostyi".

Ale „René“ jest tworem wielkiego poety-czarodzieja i artysty i dlatego, pomimo surowych i z tych względów słusznych krytyk, lecz nie biorących pod uwagę zawartego w nim piękna, z któremi spotkał się na razie—krótki ten poemat prozą wywarł na współczesnych niewypowiedziany urok, stał się prototypem francuskiego romantyzmu i zapewnił tryumf „Duchowi Chrześcijaństwa“.

„Duch Chrześcijaństwa“ — „Le Génie du Christianisme“ jest dziełem, któremu Chateaubriand zawdzięcza, jeżeli nie w przyszłości, to przynajmniej na razie i natychmiast największą sławę i wywyższenie. Bo też nie było nigdy dzieła, któreby przyszło do tego stopnia w porę, gdy myśl ogółu zmęczona nadużyciem filozofii XVIII wieku i przejęta wstrętem dla ohydy jej wyników, jakie przyniosła Rewolucya, zwracała się w stronę wyższych ideałów; gdy uczucie wysuszone sceptycyzmem pragnęło odświeżenia w wierze i obrzędach religijnych, które Rzeczp spolita rewolucyjna zniosła w imię rozumu. Zapewne książka Chateaubrianda nie „otworzyła kościołów“, jak się on sam wyraził—otworzył je Bonaparte, przez zawarcie konkordatu, w dzień Wielkiejnocy 18 kwietnia 1802 r., ale ukazując się w takiej chwili była jednocześnie wyrazem aspiracyj ogółu i dawała im jasno określony kierunek powrotu do tradycyj katolickich, wyśmianych i zohydzonych przez filozofów i zniszczonych przez Rewolucyę. To też dzieło to zostało przyjęte z niesłychanym zapałem przez publiczność i nader przychylnie przez Pierwszego Konsula, który widział w niem poparcie swych własnych widoków. Odtąd też datuje się zbliżenie zresztą krótkotrwałe pomiędzy tym ostatnim i autorem „Génie du Christianisme“. Drugie wydanie swego dzieła w r. 1803 zadedykował Chateaubriand Pierwszemu Konsulowi i tegoż roku został mianowany sekretarzem ambasady w Rzymie, przy kardynale Fesch. Z początkiem r. 1804 powrócił do Paryża, by objąć obowiązki posła w Valais (w Szwajcaryi), ale po rozstrzelaniu księcia d'Enghien posłał Napoleonowi dymisyę i odtąd stronił od nowego władcy, który pomimo to nie przestał mu być przychylnym, czego dał dowód wyraziwszy Instytutowi francuskiemu życzenie, by go wybrano na członka tegoż Instytutu.

Wiemy już, że „Le Génie du Christianisme“ jest dziełem apologii, ale apologii raczej strony zewnętrznej Chrześcijaństwa, gdyż stara się wykazać nie tyle prawdę, którą głosi nauka Chrystusa, ile piękno moralne i plastyczne, jakiego jest źródłem i dowieść wyższości na tym punkcie cywilizacyi chrześcijańskiej nad kulturą świata starożytnego; przekonać, że ze wszystkich religii,

jakie kiedykolwiek istniały, religia chrześcijańska jest najpoetyczniejszą, najbardziej ludzką, najwięcej sprzyjającą wolności, sztukom i literaturze; że świat nowożytny zawdzięcza jej wszystko, począwszy od rolnictwa, aż do nauk oderwanych; od przytułków dla nędzarzy, aż do świątyń budowanych przez Michała Anioła i zdobionych przez Rafaela; że nie ma nic bardziej wzniosłego, jak jej moralność, nic bardziej pociągającego i wspaniałego, jak jej dogmaty, jej doktryna i jej kult; że wspiera geniusz, oczyszcza smak, rozwija cnoty, daje moc myśli, przedstawia szlachetne wzory pisarzowi i doskonałe kształty artyście, że nadaje się doskonale do polotów ducha i może czarować umysł równie, jak bogowie Wirgiliusza i Homera; że niema ujmy wierzyć z Newtonem i Bossuetem, z Pascalem i Racinem. „Wreszcie—mówi autor—trzeba było wezwać wszystkie czary wyobraźni i wszystkie potrzeby serca na ratunek tej Religii, przeciw której je uzbrojono... Śmiemy sądzić, że spoglądanie z tego punktu na Chrześcijaństwo przedstawia mało znane stosunki: szczytne przez starożytność swych wspomnień, które sięgają kolebki świata, nie wypowiedziane w swych tajemnicach, godne uwielbienia w swych sakramentach, zajmujące w swej historyi, niebieskie w swej moralności, bogate i zachwycające w swych uroczystościach—przywołuje ono wszelkiego rodzaju obrazy". Autor stawia sobie zadanie przeciwdziałać szczególnego rodzaju prześladowaniu, jakiemu uległ Kościół niegdyś za Juliana Apostaty i które zostało wznowionem przez Voltaire'a.

„Ten filozof miał dar zgubny uczynić u kapryśnego i przyjemnego narodu, niedowiarstwo modnem. W tym celu powołał wszystkie miłości własne do tej bezsensownej ligi. Religia została napadniętą ze wszelką bronią, począwszy od pamfletu do in-folio, od epigramatu do sofizmatu. Tak tedy ta fatalność, która zwyciężyła sofistów za Juliana, oświadczyła się za nimi w naszym wieku. Obrońcy Chrześcijan popadli w błąd, który ich już był zgubił: nie spostrzegli się, że nie szło już o dyskutowanie tego lub innego dogmatu, gdyż odrzucano zupełnie podstawy... Trzeba było obrać drogę przeciwną: przejść od skutku do przyczyny, nie dowodzić, że Chrześcijaństwo jest doskonałe, bo pochodzi od Boga, lecz, że pochodzi od Boga dla tego, że jest doskonałe". „Le Génie du Christianisme" dzieli się na cztery części, z których pierwsza i ostatnia zawiera po sześć ksiąg, a druga i trzecia — po pięć, od czasu wyłączenia z nich „Atali" i „René".

Część pierwsza traktuje o dogmatach i doktrynie; część druga o poetyce chrześcijańskiej; część trzecia mówi o sztukach pięknych i literaturze w ich stosunku z religią; część czwarta traktuje o kulcie, czyli o wszystkiem, co dotyczy obrzędów Kościoła oraz kleru świeckiego i zakonnego.

Jak wywiązał się z tego zadania Chateaubriand? Mówiąc ściśle niezbyt fortunnie, bo praca jego nie przyczynia się ani do wzbudzenia wiary, ani nawet nie wykazuje dostatecznie tej wyższości Chrześcijaństwa i tych jego przymiotów, o jakich autor mówi we wstępie. Ogranicza się często do traktowania rzeczy jednostronnie, trudności zręcznie wymija, niejedno objaśnia niedokładnie lub nawet niezgodnie z nauką Kościoła. Zresztą wszystko polega tu na porównaniach i przytaczaniu mnóstwa tekstów, na poetycznych opisach, wspomnieniach i wrażeniach własnych z podróży itp. rzeczach nie mających z religią nic wspólnego. Razem wziąwszy, czyta się to jak romans lub poemat, nieco obszerny i trochę przeciążony cytatami i erudycyą.

Ale czytelnicy Chateaubrianda nie byli na punkcie religii, ani zbyt oświeceni, ani zbyt wymagający, ten rodzaj apologii światowej zupełnie im wystarczał, a na sprzecznościach, niedokładnościach i pewnem eskamotowaniu przedmiotu się nie poznali. Wprawdzie krytycy, i to dość surowi, znaleźli się tak po stronie katolickiej (ks. Morellet)[1]), jak i po przeciwnej (J. M. Chénier), ale nikt na nich nie zważał. Zresztą znaleźli się i obrońcy. „Duch Chrześcijaństwa“ zachwycił i wzruszył tych, dla których był przeznaczony i to wystarczyło, aby dzieło i jego autora uczynić sławnym. Jak niegdyś Voltaire niedowiarstwo, tak teraz Chateaubriand religijność zrobił modną i w ten sposób, tą drogą światową, przez salony, przyprowadził ogół do szacunku i sympatyi dla religii i Kościoła, a wielu, przez tę fazę, do prawdziwej wiary. I taką była, bądź co bądź i bez względu na głębsze jej znaczenie, skuteczność i dobry wpływ tej książki, która, jeżeli nie otworzyła kościołów, to przyczyniła się do ich napełnienia. Oto co da się w ogólności powiedzieć o tem dziele, bo wchodzić w szczegóły tak obszernej i wszechstronnej, przy swej powierzchowności, pracy, tutaj niepodobna.

Przypominamy sobie, w jaki sposób Chateaubriand, nie wierzący za swego pobytu w Londynie, nawrócił się po otrzymaniu

[1]) Więcej umiarkowana jest krytyka ks. Sicard, zaś obrońcą „Ducha“ ze strony katolickiej jest ks. Bertrin.

listu z wiadomością o śmierci matki w tragicznych okolicznościach.

„Zapłakałem i uwierzyłem—mówi—i taki jest początek „Ducha Chrześcijaństwa“. Otóż, wobec zdań tu i ówdzie wygłoszonych, a zwłaszcza wobec głośnych i z pewnych względów nie budujących okoliczności jego życia, aż do końca, to jego nawrócenie podawano w wątpliwość. Słynne są jego niezliczone romanse i romansiki, a z pośród tych trzy jego najbardziej znane kochanki: pani de Beaumont, pani Récamier, sławna z piękności za czasów cesarstwa, oraz Hortensya Allart[1]) przeszły w charakterze przyjaciółek wielkiego człowieka do historyi. To wszystko było powszechnie wiadome, a dodajmy, że pani de Chateaubriand żyła i poeta nie był z nią w formalnej separacyi. Niemniej nawrócenie jego było szczerem, bo na to są dowody w listach do przyjaciół, z którymi był na stopie zupełnie otwartej, zwłaszcza w jednym z listów do pana de Fontane, pisanym na razie z Londynu, gdy powziął myśl, a nawet zaczął już pisać swe dzieło „expijacyjne“. Ciż przyjaciele Fontane, Joubert, Chênedollé, Géneau de Mussy i inni, trzej pierwsi zwłaszcza, poeci, uczeni i myśliciele, ludzie szlachetni i wybornego smaku, którzy sami, pod wpływem okoliczności zewnętrznych (ekscesów Rewolucyi itp.), powrócili do religii i byli doskonałymi doradcami i poufnymi krytykami Chateaubrianda, nie wątpili bynajmniej o szczerości jego uczuć religijnych. Sam on był za dumnym, by miał się poniżyć do udawania.

Inna rzecz, jak daleko sięgało jego nawrócenie i jakiego rodzaju była jego religijność. Otóż niewątpliwie był on więcej przywiązanym do tego co w religii jest pięknem, wzniosłem, wspaniałem, co uderza przedewszystkiem wyobraźnię, a przez wyobraźnię dopiero uczucie, aniżeli głęboko i świadomie wierzącym we wszystkie jej tajemnice i dogmaty. Jeszcze mniej z pewnością był on zwolennikiem przynajmniej w zastosowaniu z pewnych względów do siebie samego surowej dyscypliny moralnej, jaką nakazuje Kościół, chociaż doskonale rozumiał jej wysoką wartość, a nawet piękno, bo ona to, dając ścisłą regułę w życiu powszedniem i codziennem, jest zarazem podstawą chrześcijańskiego bohaterstwa, czy to cichego — w wyrzeczeniu, czy tryumfalnego — w męczeństwie, które tak pięknie opisał w swoich „Les Martyrs“.

---

[1]) André Beaunier „Trois Amies du Chateaubriand“.

Wiadomo skądinąd, że Chateaubriand przygotowywał swą apologię Chrześcijaństwa w najgorętszej fazie swego stosunku z panią de Beaumont, z którą spędził wspólnie sześć miesięcy w ustroniu wiejskiem niedaleko Paryża. Pani de Baumont była mu nawet nader pomocną przy tej pracy, kopiowała bowiem te niezliczone cytaty, które zawiera „Le Génie du Christianisme". Wiadomo również, że mimo to wszystko, miał on spowiednika. Zapewne powie kto bardzo słusznie, że są to sprawy osobiste, nie mające nic wspólnego z wartością literacką pisarza i poety; ale, gdy mowa o Chateaubriand'zie, niepodobna oddzielić człowieka od pisarza, bo przedewszystkiem działalność jego i wpływy wychodzą po za granicę twórczości literackiej, a następnie należy on do tych autorów, którzy swoje życie sami najściślej wmieszali w swą twórczość, dając w niej najdokładniejsze jego odbicie. I to jest ogólną cechą romantyzmu, którego Chateaubriand był pierwszym najpotężniejszym i najbardziej charakterystycznym przedstawicielem we Francyi.

Wracając jeszcze do „Ducha Chrześcijaństwa" przytoczymy tu bardzo trafne określenie tego dzieła i jego wpływu przez księdza de Pradt, zawarte w jego pracy p. t. „Les Quatre Concordats"[1]).

„Można powiedzieć, — mówi ks. de Pradt — że ze wszystkich prac, do których Religia wchodzi, jako przedmiot główny, „Le Génie du Christianisme" jest najmniej gruntownie chrześcijańskim... „Jestto muzeum religijne, w którem doznawana przyjemność wchodzi przez zmysły, jak na wystawie malarskiej — przez oczy"... „Le Génie du Christianisme" jest również nieustanną metaforą, koszykiem kwiatów"... „Dzieło to uzupełniło najście świata do Religii przez pomięszanie stosunków religijnych z rzeczami światowemi. W miarę usuwania się Religii z umysłów, wkładano ją do przedmiotów zewnętrznych; im mniej korzystano z niej dla oczyszczenia i kierunku życia, tem więcej posługiwano się nią dla jego ozdoby. I w samej rzeczy, wygodniej było dać jej miejsce w swych ogrodach, aniżeli w regule życia. Ks. Delille przyczynił się do tego przez wszystko, co rozpowszechnił w swych poezyach. Od czasu jego „Ogrodów" („Jardins") żadne miejsce rozrywki i willegiatury nie mogło się obejść bez jakichś ruin religijnych: wszędzie słyszało się lub spotykało jakąś Heloisę i podziwiało schronisko jakiego mieszkańca klasztorów lub pustyni. Wynikło stąd,

[1]) Zacytowane przez Sainte Beuve'a w „Chateaubriand et son groupe".

że Religia stała się przedmiotem przemysłu i że mieliśmy Chrześcijaństwo w stylu angielskich ogrodów". Jako autor apologii Chrześcijaństwa, Chateaubriand czuł się obowiązanym do napisania chrześcijańskiego dzieła wyobraźni, któreby było arcydziełem. Przykład Miltona i Tassa dawno go już pociągał w tym kierunku, wybrał więc jak oni formę najwspanialszą, jaką przedstawia literatura, t. j. epopeję i okres bohaterski i tryumfalny Kościoła — czas, gdy prześladowanie i męczeństwo Chrześcijan w Rzymie było zapowiedzią blizkiego zwycięstwa nauki Chrystusa nad upadającem pogaństwem, kiedy zarzewie wiary, wzniecone przez apostołów, żarzyło się już w jego własnem łonie i miało niebawem wybuchnąć płomieniem, który objął Rzym Cezarów, a z nim świat cały.

Trzy są rodzaje epopei, według Sainte-Beuve'a: Epopea pierwotna, czyli ludowa lub narodowa, której typem są: Iliada, Odyssea i Niebelungi. Poeta składa w jedną całość legendy przechowane w tradycyach ludowych i tworzy dzieło, które, jeżeli geniusz łączy się z naiwnością obyczajów, sięga najwyższych szczytów wzniosłości, jest zarazem najbardziej ludzkiem i najbliższem Bogów. Drugim rodzajem epopei jest epopea „uczona", gdy w okresie literatury mocno rozwiniętej, człowiek wielkiego talentu lub geniuszu, obrawszy przedmiot wysoki lub wspaniały, opracowuje go, jak dzieło sztuki, wprowadzając doń stopione razem naśladowania tworów przeszłości, tradycye narodowe, namiętności ludzkie i własną uczuciowość. Do tego rodzaju należą epopee: Apolloniusza z Rodos, Wirgiliusza, Tassa, Miltona, Klopstocka. Epopea tego typu w jej arcydziełach nie ma wyższej nad się, prócz Iliady i Odyssei. Te dwa rodzaje obejmują właściwie wszystkie twory tego gatunku. Wyjątkiem, stanowiącym sam przez się trzeci rodzaj, są „Męczennicy"—„Les Martyrs"[1]) Chateaubrianda— dzieło nie tylko sztuki, wiedzy i myśli, ale w dodatku utwór zbudowany umyślnie dla poparcia teoryi. „Jeżeli — mówi Sainte-Beuve—Iliada i Odyssea są arcydziełami epopei ludowej, a Eneida—arcydziełem epopei uczonej, to dlaczegoby nie nazwać „Les Martyres" feniksem epopei *systematycznej?*

W „Les Martyrs" Chateaubriand chce tedy dać przykład tej wyższości Chrześcijaństwa, jako poezyi i piękna, której starał się dowieść w „Le Génie du Christianisme"; wyższości jego strony cudownej i legendowej, nawet przyjętej w znaczeniu li tylko

[1]) Wyszło z druku w r. 1809.

mitologii, nad baśniami starożytnemi; chce pokazać, że Chrześcijaństwo wzbogaciło ducha ludzkiego.

Czy w swej epopei dowiódł poeta tego wszystkiego lepiej, niż w swej apologii, to jest co najmniej wątpliwem. Niemniej „Les Martyrs“ jest jego arcydziełem i wogóle arcydziełem w swoim rodzaju. W tym utworze Chateaubriand opanował całkowicie swój talent i swój temperament twórczy, dosięgnął szczytu doskonałości klasycznej, do jakiego wznieść się był zdolny, jednem słowem dał całą miarę swego geniuszu. Niema już tu dążeń nadmiernych i przesadnie nadzwyczajnej wyobraźni, jakiemi odznacza się pierwsze jego dzieło o charakterze epickim „Les Natchez“[1]), ale niema też tej pewnej przesady wykończenia, pewnego manierycznego przerysowania konturów, jakie daje się zauważyć, pomimo szlachetnego i rycerskiego nastroju tego dzieła, w następnym i ostatnim jego utworze tegoż rodzaju „Le Dernier Abencérage“.

Aby zbliżyć i postawić obok siebie ducha chrześcijańskiego i świat pogański autor rozwinął akcyę swego dzieła pod koniec III wieku, gdy Chrześcijaństwo nie było jeszcze religią panującą w państwie Rzymskiem, lecz, gdy ołtarze jego wznosiły się już obok ołtarzy bogów pogańskich, w czasie ostatnich prześladowań Chrześcijan za Dyoklecyana. Nadto prowadzi autor czytelnika do różnych prowincyj rzymskich: do kraju Gallów i Franków; do Grecyi, Judei, Egiptu; daje mu poznać miasta: Rzym, Neapol, Ateny, Spartę, Jerozolimę, Memfis itd.

Osoby — mówi Chateaubriand w przedmowie do pierwszego wydania — są prawie wszystkie historyczne. Dyoklecyana robi nieco lepszym i większym, aniżeli przedstawia się ten władca u współczesnych mu autorów i czyni to, by dowieść swej bezstronności. Całą zaś niecność prześladowania zrzuca na Galeriusa, którego przedstawia jako potwora, i na Hieraklesa, sofistę i prokonsula Egiptu, Bitynii i Achai. Autor przytacza świadectwa licznych pisarzów starożytnych i nowożytnych, na dowód, że postaci Hieraklesa nie przeczernił. Wreszcie popełnia rozmyślne anachronizmy, o których uprzedza czytelnika i tłómaczy, że ponieważ wszyscy najwięksi ludzie, których wydał Kościół, lub prawie wszyscy, zjawili się w końcu III i w IV wieku, zatem, by przeprowadzić przed oczyma czytelnika te znakomitości, autor uznał za stosowne przyśpieszyć nieco czas ich bytu. Tak więc

[1]) Ogłoszone dopiero w wydaniu z r. 1826.

czyni rówieśnikami św. Hieronima i św. Augustyna i umieszcza ich jednocześnie w Rzymie za Dyoklecyana. Podobnież czyni z mniej więcej legendowymi władcami Franków Faramondem, Klodyonem i Meroveuszem, gdy umieszcza ich na jednym planie i każe im żyć o przeszło półtora wieku wcześniej. Ale o to zapewne nikt do autora zbyt wielkiej pretensyi nie miał.

Bohaterem w „Les Martyrs“ jest Eudor, młody Grek, syn rodziny chrześcijańskiej z Arkadyi i potomek Filopomoenona, który pobudził Grecyę do zbrojnego oporu przeciw Rzymianom. Z tego powodu Eudor, jako starszy syn rodu, jest zakładnikiem cezara i musi udać się do Rzymu. Tu, w towarzystwie Hieronima i Augustyna, przyszłych doktorów Kościoła, pędzi życie młodego patrycyusza w zabawach i rozpuście, i zostaje wskutek tego wyłączony z grona wiernych. Jako przyjaciel Konstantyna, otrzymuje stopień w legionach, którymi później będzie dowodził. Walczy przeciw Frankom, zostaje niewolnikiem Meroweusza. Przebiega z nim całą Germanię i Sarmacyę aż do grobowca Owidyusza. Zostaje wyprawiony przez Franków do Konstancyusza z zaofiarowaniem zawarcia pokoju. Otrzymuje godność naczelnika Armoryki, gdzie tragiczne zajście miłosne z córką druida, dziewicą-kapłanką, Velledą, zakończone buntem Bretonów, śmiercią druida i samobójstwem Velledy, budzi jego sumienie chrześcijanina, skutkiem czego opuszcza wojsko, udaje się do Egiptu do Dyoklecyana, by uzyskać zwolnienie, powraca do ojca Lastenesa do Arkadyi, gdzie poznaje córkę kapłana Homera, Domodocusa—Cymadocę. Pod wpływem miłości, jaka zawiązuje się pomiędzy nimi, Cymadocea zostaje chrześcijanką i dla uniknięcia złości Hieroklesa, prokonsula Achai, udaje się do Jerozolimy, gdzie przebywa pod opieką św. Heleny, matki Konstantyna. Tymczasem Eudor, wezwany przez cezara, powraca do Rzymu. Tu oświadcza się głośno przeciw rozpoczętemu prześladowaniu chrześcijan i zostaje skazany na pożarcie przez dzikie bestye w amfiteatrze. W chwili jego męczeństwa Cymodocea, uwięziona, jako chrześcijanka, wykradłszy się z więzienia, dostaje się niepostrzeżenie na arenę i ginie w objęciach narzeczonego, wraz z nim, śmiercią męczeńską.

To są główne linie treści anegdotycznej tego utworu. By powiedzieć prawdę, przykład, który autor chciał dać wyższości rodzaju piękna, wynikającego z ducha chrześcijańskiego, nie jest tu bynajmniej przekonywającym. Przeciwnie, na każdym kroku widzi się, że autor daleko naturalniej i swobodniej odczuwa piękno pogańskie, klasyczne i mitologiczne; że mimowoli popada pod jego urok, gdy tylko się doń zbliży. Natomiast sili się na

wywołanie piękna chrześcijańskiego, w którem daje się odczuć przymus. Niestety, jestto zwykły rezultat wszystkich tworów wyobraźni, powziętych z zamiarem popierania jakiejś teoryi, choćby w zasadzie najsłuszniejszej. Czy jest potrzeba takiego klasyfikowania rodzajów piękna, dawania pierwszeństwa jednemu nad drugim? Piękno o tyle do nas przemawia, o ile je odczuwamy. W dziele sztuki lub wyobraźni twórczej będzie ono zależało od stopnia, w jakim je odczuwał twórca. Rzeczą jego jest tedy poszukiwać piękna tylko tam, gdzie je odczuwa naprawdę, mimowolnie, bez wysiłku, bo pod tym tylko warunkiem je znajdzie. Chateaubriand znajduje je zawsze w obrazach natury, zwłaszcza natury imponującej i potężnej, jak puszcze amerykańskie i ciemne bory Germanii, lub groźnej, jak burze na oceanie, szturmujące wybrzeża Armoryki, niemniej zresztą i w melancholijnej lub harmonijnej, jak tego daje dowód w cudnym opisie zatoki neapolitańskiej, której widokiem upajał się młody Eudor. Znajduje je również w stopniu najwyższym, gdy odtwarza burze namiętności, gwałtowne uniesienia zmysłów, jak w epizodzie Velledy, lub potężne i krwawe starcia legionów z barbarzyńcami. To wszystko zawierają w obfitości „Les Martyrs“. To też utwór ten jest prawdziwem dziełem sztuki, sztuki może więcej, niż poezyi, chociaż te pojęcia przeważnie się tu łączą. Nie znaczy to wszakże, by był sztucznym, pomimo pewnych zwłaszcza ustępów, jak opis nieba i piekła, które trzymają się na poziomie tylko dzięki sztuce, nieco przymuszonej.

Razem wziąwszy, jestto dzieło wysokiego, ale dość równego nastroju poetyckiego z licznymi ustępami, w których czar i geniusz poety objawia się ze szczególnym urokiem lub potęgą. Napisane nieporównaną prozą poetycką, przewyższającą swą harmonią niejedno pierwszorzędne dzieło wierszowane, „Les Martyrs“ czyta się z wielką łatwością i nieustannem zajęciem. Jak Chactas, jak René—Eudor jest odbiciem uczuć i temperamentu autora. Jak Atala i Amelia—Velleda posiada egzaltowaną duszę Lucylli. Nawet ta natura armorykańska, która służy za tło tego tragicznie namiętnego epizodu, pochodzi ze wspomnień młodości autora, syna tej ziemi i tej rasy.

Te wspólne rojenia młodzieńcze, i być może uniesienia, pozostawiły w duszy poety ślady niezatarte. Lucylla, ten geninsz żeński, [1]) jak ją nazywali ci, którzy mieli sposobność znać ją bli-

[1]) Lucylla de Chateaubriand, hrabina de Caud, pisała *wyłącznie dla siebie* drobne utwory poetyckie prozą, z których dwa zostały wydrukowane

żej, była cząstką jego ducha i tem tłómaczyć można, dlaczego Chateubriand, który w swych bohaterów włożył własny temperament i uczucia, tchnął w swe bohaterki jej duszę poetyczną i melancholijną, ukrywającą dno natury namiętnej. Namiętność, stłumiona nadludzką siłą woli i mocą przysięgi u Atali, objawiająca się krótką błyskawicą pod welonem Amelii, wybucha u Velledy, jak huragan, który rozbija jej życie, gubi jej duszę, pociąga w odmęt i omało nie przyprawia o zgubę duszy Eudora.

I rzecz dziwna, ta wspólność ducha poety i jego siostry Lucylli, wyraża się we wszystkich tworach jego wyobraźni jakąś fatalną dążnością do połączenia zmysłowego.

W „Les Martyrs“ Chateaubriand pożegnał Muzę w pięknej i patetycznej apostrofie. Dzieło to miało być ostatnim płodem jego wyobraźni twórczej. Odtąd postanowił pisać pamiętniki własne, wspomnienia z podróży i historyę, żywiąc w głębi duszy ambicyę jej tworzenia. Tego postanowienia nie trzymał się wszakże zupełnie ściśle, napisał bowiem jeszcze poemat rycerski p. t. „Aventures du dernier Abencérage“, utwór, przypominający swym charakterem pieśni trubadurów, natchniony poecie wspomnieniem pobytu w Grenadzie i miłosnych uniesień (pani de Noailles), doznanych wśród czarów Alhambry, w nagrodę zapewne za odbytą, jak pisze w pamiętnikach, z „uczuciami pielgrzyma“ podróż do Ziemi Świętej, skąd przez Tunis przybył do Hiszpanii, której wybrzeża ujrzał „z większem może biciem serca“, aniżeli przy zbliżaniu się do Jerozolimy. „Le Dernier Abencérage“ jest rodzajem turnieju szlachetności i utworem wdzięku nieco manierycznego, ale niezmiernie pociągającego swą nutą wyniośle uczuciowej poezyi. Treść jego wypełnia miłość i honor—te dwa czynniki uczuciowe, stanowiące istotę natury Chateaubrianda.

Aben-Hamet, ostatni potomek Abenceragów, którzy panowali niegdyś w Grenadzie, przybywa do tego miasta, by odwiedzić grobowce swych przodków. Tu poznaje piękną Hiszpankę szlachetnego rodu, Blankę, której oddaje swe serce i otrzymuje jej wzajemność. Ale różnica wyznania stoi na przeszkodzie ich połączeniu, bo każde z nich stawia za warunek drugiej stronie, by przyjęła jego wiarę. Po dwakroć Aben-Hamet odjeżdża do Tunisu i powraca do Grenady, ale stosunek jego do Blanki pozostaje

---

w „Mercure de France“ bez jej wiadomości i bez podpisu, staraniem jednego z przyjaciół jej brata (zapewne p de Chênedollé, który się w niej kochał). Sainte-Beuve przytoczył je w swem studyum „Chateaubriand et son groupe“.

niezmienionym i pomimo uczuć, jakie ich wiążą, ani jedno ani drugie nie może ustąpić. Za trzecim razem młody Maurytanin poznaje brata Blanki, Don-Carlosa, i współzawodnika swego do jej ręki, francuskiego rycerza Lautreca. Don-Carlos żąda, by Aben-Hamet zaprzestał starań około Blanki i wyzywa go na pojedynek. Aben-Hamet zwycięża, ale wspaniałomyślnie oszczędza życie przeciwnika. Wtedy Blanka, chcąc pogodzić trzech rycerzy, żąda, by sobie podali ręce, ale wszyscy trzej odmawiają.

Don-Carlos oświadcza: „Nienawidzę Aben-Hameta," „Ja mu zazdroszczę" — mówi Lautrec, „A ja — odpowiada Aben-Hamet — poważam Don-Carlosa i żałuję Lautreca, ale nie mogę ich kochać." Pomimo to, na życzenie Blanki, pozostają czas jakiś razem, w nadziei, że przyjaźń przyjdzie w ślad za szacunkiem. Aben-Hamet blizkim już jest porzucenia swej wiary wzamian za rękę damy swego serca, ale powstrzymuje go w tem odkrycie, że Blanka pochodzi z rodu Cyda, wroga jego przodków. Wtedy zwraca się do Lautreca z temi słowami: „Rycerzu nie trać nadziei, a ty, Blanko, opłakuj na zawsze ostatniego z Abenceragów". Na to Lautrec: „Nie myśl Aben-Hamecie zwyciężyć mię w szlachetności. Jeżeli zostaniesz z nami, będę błagał Don-Carlosa, by oddał ci rękę swej siostry."

Aben-Hamet, którego serce znagla do tego, jest blizkim kapitulacyi, tylko cień znieważonych myślą takiego połączenia przodków sprzeciwia się temu. W bolesnej rozterce dobywa z siebie ten okrzyk: „Ach! trzebaż mi było spotkać tutaj tyle dusz wzniosłych, tyle szlachetnych charakterów, bym lepiej odczuł, co tracę! Niech Blanka rozstrzygnie; niech powie, co trzeba, bym uczynił, abym stał się godniejszym jej miłości!" Blanka odpowiada: „Wracaj do pustyni!" — i pada zemdlona. Aben-Hamet oddał pokłon, uwielbił Blankę więcej jeszcze, niż niebo i odszedł, nie powiedziawszy słowa.

I otóż honor wychodzi zwycięsko z tego turnieju. Miłość w osobie Blanki wieńczy go, ale przed nim ustępuje. Honor przedewszystkiem! Honor nadewszystko! To dewiza i reguła, może jedyna, której trzymał się w swem życiu Chateaubriand. Blanka, gdy mówi: „Powracaj do pustyni!" — wypowiada sąd autora, że Aben-Hamet, sprzeniewierzając się wierze Mahometa i tradycyom swych przodków, popełniłby czyn, uwłaczający honorowi, czyn, który, pomimo iż powodem jego jest miłość dla niej, obniżyłby go w jej oczach. Blanka kocha go takim, jakim jest i jakim powinien pozostać, chociaż to właśnie ją od niego dzieli i woli poświęcić ich wzajemną miłość, aniżeli ją okupić kosztem jego ho-

noru. Ale stąd wnosimy też, że Blanka, wydając ten sąd, podszepnięty jej przez autora, przekłada honor nietylko nad popęd swego serca, ale i nad swą wiarę, jeżeli w nawróceniu się do niej niewiernego widzi dlań ujmę jego godności. I to wszystko doskonale charakteryzuje Chateaubrianda, który, czy to jako chrześcijanin-katolik, czy w polityce, w swej wyniosłej wierności monarchii i prawej dynastyi, rządził się o wiele więcej honorem lub ściślej—punktem honoru, aniżeli głębokiem przekonaniem i naturalnym porywem serca.

Jeżeli „Le Dernier Abencérage“ jest ostatniem dziełem wyobraźni twórczej Chateaubrianda, w znaczeniu ściślejszem i co do formy, to niemniej wszystkie inne jego pisma są to z pewnej strony utwory wyobraźni, bo wyobraźnia, bo poezya i sztuka, a przez nie uczuciowość, indywidualność autora odgrywają u niego rolę pierwszorzędną nawet w pismach najbardziej realnego założenia, jak w „Itinéraire de Paris a Jerusalem“[1]) lub w „Mémoires d'outre-tombe“, z których pierwsze jest opisem podróży w notatkach, podanych jako wynik zupełnie ścisłej obserwacyi; drugie zaś ma być również zupełnie ścisłą historyą jego własną, od urodzenia aż do ostatnich prawie dni życia, w związku z historyą jednego z najbardziej niezwykłych okresów w dziejach Francyi i Europy, tak obfitującego w przewroty i wypadki nadzwyczajne i w ludzi wyjątkowych. Od upadku Napoleona zaczyna się właściwa rola polityczna Chateaubrianda. Pisma, odnoszące się do tej epoki jego życia, należą też wyłącznie do dziedziny politycznej lub historyczno-politycznej. Do tych zalicza się najpierw pamflet przeciw Napoleonowi, którego zawsze uważał za swego rywala, co też dowodzi, że go cenił — „De Buonaparte et et des Bourbons“, broszura, która, według słów Ludwika XVIII przytoczonych i wiele razy powtarzanych przez autora, „przyczyniła się więcej do odzyskania mu tronu, aniżeli stutysięczna armia“; następnie również zaliczają się tu: „Le Congrès de Vérone“, gdzie sławi „swoje“ dzieło—wojnę hiszpańską, przedsięwziętą dla przywrócenia Bourbonów w Hiszpanii w osobie Ferdynanda VII; „Mémoires sur le Duc de Berry“ i „La Monarchie selon la Charte“.

Nie będziemy wchodzili w szczegóły działalności politycznej Chateaubrianda. Zaznaczymy tylko główne jej momenty. Za drugim powrotem Ludwika XVIII został mianowany członkiem Izby Parów i otrzymał tytuł ministra Stanu. To nie mogło za-

[1]) Grecya, Palestyna, Egipt, Tunis, Hiszpania.

spokoić jego ambicyi. Jak nie przestał twierdzić do końca, że on to wskrzesił chrześcijaństwo i otworzył kościoły za pomocą swego „Génie du Christianisme“, tak również zdawało mu się, że Ludwik XVIII zawdzięcza tron jego broszurze „De Buonaparte et des Bourbons“ i nie jako nagrodę, bo tą jego duma i wielkoduszność gardziła, lecz dlatego, iż sądził, że tron, że król, że Francya potrzebują jego głowy, wymagał poprostu, aby mu oddano kierunek rządów. W jego naiwnie ambitnem przekonaniu król, którego jakoby osadził na tronie, powinien był poddać się jego kierunkowi, jego kurateli.

Ponieważ Ludwik XVIII tego nie uczynił, zatem był, wedle niego, głupi, nieudolny, niewdzięczny i „zazdrosny o jego sławę literacką“, podobnież, jak Napoleon! Chateaubriand przeszedł tedy do opozycyi ultra-monarchicznej. Pomimo to, a może dlatego właśnie, by się go pozbyć, dano mu ambasadę w Berlinie, gdzie pozostał rok tylko (1821). W styczniu r. 1822 przeniesiono go do Londynu, gdzie, jak pisze w swych pamiętnikach: „Słabość ludzka sprawiła mi przyjemność powrócić sławnym i możnym, gdziem był niegdyś nieznany i biedny“. Jako ambasador francuski w Londynie, brał on udział w kongresie w Weronie. Wreszcie ambicya jego i żądza działalności otrzymała większe zadośćuczynienie, gdy został ministem spraw zagranicznych i miał sposobność przeprowadzić swoje wielkie dzieło — wojnę hiszpańską, z którego, jak to widać w pamiętnikach, jest więcej dumny, aniżeli z całej swej twórczości i sławy literackiej, i naturalnie powodzenie tego przedsięwzięcia, które nazywa kolosalnem, przypisuje wyłącznie sobie. To nie przeszkadza, że o Ferdynandzie VII, którego przywrócenie na tron hiszpański uważa za swoje dzieło i swój tryumf, wyraża się z największą pogardą.

Ale swemi pretensyami, grymasami i zachowaniem pogardliwem Chateaubriand naprzykszył się królowi. W czerwcu r. 1824, pod jakimś dość małej wagi pretekstem, podziękowano mu za jego usługi. Chateaubriand czuje się boleśnie dotkniętym w swej największej ambicyi, bo nie wątpi o swym geniuszu politycznym i o wielkich dziełach, którychby dokonał, gdyby mu oddano kierunek władzy, co, w jego przekonaniu, mu się należało, ale pokrywa to godnością. Tylko w pamiętnikach, które miały wyjść po jego śmierci, nie żałuje sobie napiętnowania na wszelki sposób niewdzięczności, niezdolności, braku szlachetności Ludwika XVIII i jego doradców, zwłaszcza ministra de Villèle. To samo zresztą, pomimo godności w słowach, czynił w swych artykułach politycznych w „Journal des Debats“, którymi, jak sądzi J. Le-

maître, Chateaubriand przyczynił się nie mało do upadku Restauracyi.

Karol X, jeszcze aby się pozbyć tego niewygodnego stronnika, daje mu ambasadę w Rzymie. Z nastaniem ministeryum Polignac, Chateaubriand podaje się do dymisyi, przechodzi do opozycyi liberalnej i otwarcie zachęca ruchy rewolucyjne. To nie przeszkadza, że po abdykacyi Karola X, odmawia uznania Ludwika-Filipa, króla elekcyjnego i uzurpatora, i pozostaje wiernym małemu księciu de Bordeaux,[1]) wnukowi króla prawowitego, na którego korzyść ten ostatni abdykował. Nie przeszkadza mu to również wylewać wspaniałych łez nad losem monarchii i króla wygnańca, którego jedzie nawet odwiedzić w czeskim Hradczynie (pod Pragą).

Za rządów Ludwika-Filipa zbliża się do stronnictw wrogich nietylko temu królowi-uzurpatorowi (ojciec—Filip-Egalité podpisał wyrok śmierci na Ludwika XVI, syn—Ludwik-Filip zdradził i wyzuł jego brata, Karola X), lecz wogóle zasadzie monarchicznej; zadaje się z Bérengerem i Carrelem i w ideach republikańsko-rewolucyjnych, które oni wyobrażali, widzi przyszłość cywilizacyi. Wchodzi również w stosunki z księdzem Lamennais z chwilą, gdy ten wniósł hasła buntu do sfer religii i Kościoła. I nie dość na tem, autor broszury „De Buonaparte et des Bourbons“ pisze do Ludwika-Napoleona te słowa: „Jeżeli Bóg w swych niezbadanych wyrokach odsunął ród św. Ludwika, jeżeli obyczaje naszej ojczyzny czynią dla niej niemożliwem państwo republikańskie, niema imienia, któreby lepiej odpowiadało sławie Francyi, jak imię Napoleona.“ [2])

Pomimo to wszystko, Chateaubriand pozostaje do końca legitymistą i katolikiem, bo tego wymagał jego punkt honoru, który położył w tej rzekomej jedności ideowo-politycznej swego życia. W jaki sposób mógł on to pogodzić w swym umyśle i sumieniu, to trudno zrozumieć. Faktem jest w każdym razie, że równie otwarcie sprzyjał teoryom liberalno-republikańskim, jak zapewniał o swych uczuciach wierności dla prawej dynastyi i monarchii. I miał dziwne szczęście: w sferach liberalnych i przewrotowych uwielbiano go niemal, a w katolickich i legitymistycznych, do których się sam zaliczał, nie przestano, pomimo pewnego zgorszenia, jakie budził, darzyć go zaufaniem i uważać za swego.

[1]) Późniejszy hrabia Chambord.

[2]) Ustęp przytoczony przez Lemaître'a.

Wreszcie umarł w r. 1848, w chwili, gdy do uszu jego dolatywały echa nowej burzy rewolucyjnej, która, pochłaniając uzurpatora, miała zniszczyć zarazem resztki form monarchicznych i zerwać (przynajmniej do czasu) ostatnie węzły, łączące jeszcze Francyę z równie starym, jak ona, jej domem panującym.

Takim był ten potomek rycerzów, ziomek Du Guesclina, poeta genialny, wielki mistrz literatury, szermierz tradycyi i prawowitej monarchii; obrońca Kościoła, nagabywany przez demona rewolucyi; kochanek dzikiej, wspaniałej natury i bezgranicznej wolności; faworyt Erosa i ulubieniec pięknych kobiet—duch szlachetny i dumny, ale ambitny, rogaty i nieokiełznany, z wielu względów przypominający tych polskich panów, którzy chcieli mieć króla, ale pod warunkiem, by służył ich zachciankom, i zbyt dumnych, by uznać jego nad sobą wyższość.

Jak przez ciąg długiego, bo obejmującego blizko wiek cały, swego żywota zamykał się w wyniosłem duchowem odosobnieniu, tak i po śmierci spoczął w wybranem przez się zawczasu, w pobliżu Saint-Malo, miejscu dzikiem i samotnem, w grobie, wykutym w nadmorskiej skale, gdzie ta sama grzmiąca falami oceanu nawałnica, która niegdyś zbudziła go do życia, śpiewa mu teraz wieczną kołysankę.

K. O.

PIŚMIENNICTWO.

JULIUSZ KLEINER. *Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli.* Tom I, str. 380. Tom II, str. 318. Lwów 1912. Nakładem Tow. Wydawniczego.

Zbadanie i ustalenie związków, łączących naszą twórczość literacką z twórczością zachodnio-europejską, określenie wzajemnych pokrewieństw i wpływów, ich rodzaju i stopnia, postawienie całej naszej literatury, zwłaszcza romantycznej, na tle prądów umysłowych Zachodu, jest jednem z najpilniejszych zadań, jakie ma do spełnienia nasza historya literatury.

Wynikną stąd korzyści różnolite, a wszystkie będą miały mniej lub więcej doniosłą wartość nietylko dla dziedziny historyczno-literackiej, ale wprost dla sprawy organizacyi świadomości narodowej. Nietylko bowiem pozna się w ten sposób pewne zależności i pokrewieństwa literackie, nietylko będzie można określić stopień oryginalności naszej produkcyi duchowej, o ile ona dotrzymuje kroku Zachodowi, o ile cofa się wstecz, jakie wartości wnosi do skarbnicy ogólno-ludzkiej, jakie zaś z niej czerpie i czerpać powinna — ale będzie można również w tym związku poznać i zrozumieć lepiej i gruntowniej naszą własną spuściznę duchową, ocenić jej wartość życiową, zastosować na większą skalę, niż dotychczas, historyczno-socyologiczny punkt widzenia, umiejętniej zbadać i wyjaśnić pewne prądy umysłowe, ustosunkować się jednem słowem w sposób jedynie racyonalny do naszej przeszłości, która musiała zaciężyć nad naszą teraźniejszością. Przy takiem historyczno-porównawczem traktowaniu zjawisk literackich, niejeden prąd umysłowy (jak np. mesyanizm), który uważamy za naszą wyłączną własność i na którym skłonni jesteśmy czasami budować gmach przyszłości, ukaże nam się ściśle złączo-

ny z odpowiednimi objawami kultury zachodnio-europejskiej; przestaniemy go uważać za coś wyłącznego, patologicznego, chorobliwego, temsamem przestaniemy ciskać nań gromy czy też leżeć przed nim w prochu, z chwilą, gdy się przekonamy na mocy doświadczenia historycznego, że prądy pokrewne nietylko u nas, ale w całej Europie zjawiały się i zjawiać musiały w pewnych warunkach. Zyska na tem nietylko nauka (w danym wypadku historya literatury), ale zyska i świadomość ogółu, który tym sposobem otrzyma pewne niewzruszone wskazania oryentacyjne, według których będzie mógł zacząć ustalać stosunek swój do poszczególnych momentów przeszłości.

Potrzebę podobnej pracy rozumiano u nas już dawniej, rozumieć się ją zaczyna coraz bardziej w chwili obecnej. Prace porównawcze Zdziechowskiego, pełne olbrzymiej erudycyi studya Porębowicza, nie mówiąc już o dorywczo podejmowanych pracach porównawczych innych historyków literatury [1]) — świadczą o tem dobitnie. W ostatnich czasach dzieło Pawlikowskiego o mistyce Słowackiego podjęło znowu na szeroką skalę pracę zbadania ukrytych źródeł i powinowactw natchnień poety, wyjaśnienia ich związków z myślą zachodnio-europejską, udowodnienia ich logiki i konieczności. Literatura, dotycząca Mickiewicza, posiada również kilka prac, z tego stanowiska oceniającego poszczególne epoki jego twórczości, jakkolwiek brak dotychczas dzieła obejmującego jej całość. Tak samo przedstawiał się pod tym względem stan badań w stosunku do Krasińskiego, który przez europejski horyzont swej filozofii i twórczości wymaga szczególnie takiej metody traktowania i inaczej ani zrozumiany ani oceniony być nie może.

Książka p. Kleinera jest właśnie próbą ujęcia całokształtu rozwoju duchowego Krasińskiego, dziejów jego myśli w związku z filozofią i literaturą zachodnio-europejską. Autor, obrawszy metodę ogólną scharakteryzowaną przez nas powyżej, umyślnie jednak zacieśnił ramy swej monografii, wysuwając na plan pierwszy treść ideową utworów Krasińskiego, inne pierwiastki natomiast usuwając w głąb. Wydaje mi się, że to rozróżnienie rozmaitych pierwiastków, poświęcanie szczegółowej uwagi jednym, a pomijanie innych było niepotrzebne a nawet szkodliwe dla całości monografii. Jakkolwiek bowiem niewątpliwą jest rzeczą, że „dzieje twórczości Krasińskiego są przedewszystkiem dziejami

[1]) Jak Tretiak, Kawczyński, Chlebowski, Kallenbach i inni.

myśli—historyą problemów, wyłaniających się z życia narodowego, społecznego i osobistego“ — to jednak z drugiej strony również nie ulega kwestyi, że są one w równej mierze dziejami pewnej skomplikowanej i wyjątkowej organizacyi *poetyckiej*, że trudno jest oddzielić Krasińskiego-filozofa od Krasińskiego-poety, bo przecież obydwie te cechy łączą się *organicznie* w jednej, żywej postaci; a więc wszechstronne zbadanie tej żywej postaci we wszystkich jej cechach i pierwiastkach powinno być celem monografii, nie zaś sztuczne wyodrębnianie „myśli“ i kreślenie jej dziejów w oderwaniu z jednej strony od tego wszystkiego, co tę myśl stworzyło, z drugiej zaś od materyału poetyckiego, w jaki się wcieliła.

P. Kleiner sam to dobrze rozumie i uznaje, nie wpada też w ostateczności, ani w niebezpieczeństwa powyżej zaznaczone. Samo jednak założenie jego pracy, sztuczne nieco w zasadzie, przeszkadza mu w pełnem rozwinięciu niektórych kwestyi, tamuje swobodę jego ruchów, zmusza do robienia bardzo elastycznych rozróżnień między tem, co w poecie jest myślą, a co uczuciem, co należy do filozofii, a co do poezyi, co jest treścią, a co wymaganiem formy, a to znowu wprowadza pewien chaos i brak konsekwencyi w wysuwaniu jednych a usuwaniu innych pierwiastków. Stąd również płynie, że nie może on — jak to zapowiada w przedmowie—uwzględniać równomiernie wszystkich czynników twórczości poety. Analizy estetycznej np. jest bardzo mało, kwestye genezy, przerabiania pomysłów poetyckich, wcielania ich w kształty takie, a nie inne—poruszane są tylko z racyi niektórych utworów, przeważnie epoki późniejszej, podczas gdy okres wcześniejszy (z „Nieboską“ i „Irydyonem“ wyłącznie) tego rodzaju rozbiorów jest prawie zupełnie pozbawiony.

Następstwem tego jest, że nie wszystkie momenty rozwoju duchowego Krasińskiego występują w pracy p. Kleinera z równą plastyką i wyrazistością. Przyczynia się do tego jeszcze wzgląd inny, a raczej szereg względów, które tu pokrótce rozpatrzeć należy, gdyż mają one znaczenie ogólniejsze.

A więc przedewszystkiem olbrzymi nawał materyału, który niezawsze jest należycie przetrawiony i przemyślany, niezawsze należycie rozsegregowany i wyzyskany. Materyału tego dostarczają przedewszystkiem same utwory poety, potem ogromna jego korespondencya i bardzo obszerna lektura, przez którą bezpośrednio lub pośrednio zapoznaje się Krasiński ze wszystkimi główniejszymi prądami filozoficznymi epoki, a często nawet z dość podrzędnymi wyskokami umysłowości ludzkiej. Chcąc tak ogro-

mny materyał należycie zużytkować, trzeba go oczywiście wprzód w myśl jakiejś zasady ogólnej ocenić, podzielić i wybrać zeń to, co dla zakreślonego celu jest potrzebne. Zasada „ograniczania się“ (Beschränkung) powinna tutaj tak samo obowiązywać, jak w sztukach pięknych. Jest to bowiem jedno z najważniejszych wymagań metody: wszystko, co bezpośrednio lub chociażby pośrednio do danego tematu nie należy, trzeba zeń wyłączyć, choćby z bólem serca, choćby te sprawy, do tematu nie należące, były bardziej interesujące niż temat sam.

W danym wypadku, jeżeli chodziło o Krasińskiego, to materyałem pierwszorzędnym są przedewszystkiem jego utwory, w nich bowiem krystalizuje się najwyraźniej jego myśl i uczucie. Już trochę inaczej ma się rzecz z korespondencyą. Jest ona naturalnie równie ważnem świadectwem i równie cennym dokumentem, ale w korzystaniu z niej trzeba być ostrożnym, zwłaszcza u Krasińskiego i zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieje jego myśli, o określanie poszczególnych etapów jej rozwoju. Nie można mianowicie kusić się o zrozumienie i wyjaśnienie wszystkich tych chwilowych, minutowych niemal stanów duszy, jakich wyrazem jest korespondencya, tembardziej nie można ich wszystkich włączać do ogólnej syntezy. Trzeba tu umieć wybierać i dobierać, bo inaczej grozi niebezpieczeństwo podzielenia człowieka na szereg dni, szereg momentów, to zbieżnych, to rozbieżnych, to łączących się z sobą, to rozchodzących, a wśród tego labiryntu stanów chwilowych rozpłynie się i zatraci linia rozwojowa. Jeszcze większa ostrożność obowiązuje w stosunku do lektury poety i wpływów literackich, jakie nań działać mogą. Tu najważniejszą rzeczą jest właściwie nie to, *co* przyjmuje z zewnątrz, ale *jak* przyjmuje i przekształca na swoim gruncie. W określaniu pokrewieństw i wpływów nie możemy spuszczać z oka *różnic* i kto wie, czy nie ważniejsze są różnice niż podobieństwa, bo one to właśnie oświetlają najlepiej osobistość autora. Z drugiej zaś strony strzedz się tu należy zbytniej skrupulatności i pedanteryi w wyszukiwaniu wpływów i podobieństw drobnych, tyczących się jakichś poszczególnych myśli, obrazów czy nawet sformułowań stylistycznych. Mogą to być bowiem zarówno zapożyczenia świadome, jak i analogie czysto przypadkowe—w obydwu wypadkach zaś rzeczy nie pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza w monografii, obejmującej całokształt twórczości pisarza.

P. Kleiner jest badaczem zbyt wyrobionym metodycznie, aby popełniać jakieś rażące odstępstwa od tych zasad. Mimo to jednak niezawsze ściśle i skrupulatnie się ich trzyma. A mam wra-

żenie, że płynie to w części z nawału nieprzebranego należycie materyału, a nieprzebranego z obawy, aby się nie narazić na zarzut opuszczenia czegokolwiek, w części zaś z pewnych nałogów odziedziczonych po dawnej szkole historyczno-literackiej, która lubowała się w regestrowaniu rozmaitych zapożyczeń literackich i pozatem nie widziała często twórczości.

Wiemy już z jakiego stanowiska rozpatruje autor twórczość Krasińskiego. Zarówno z utworów poety, jak i z jego listów, wyłowić chce wszystkie „myśli“, wybadać wszystkie ich złączenia i kombinacye, złapać niemal na gorącym uczynku każdy najsubtelniejszy odcień czy najlżejsze odchylenie i w ten sposób zbudować rozwijający się zwolna systemat filozofii Krasińskiego. Trudno nie zdumiewać się nad sumiennością i skrupulatnością autora, z jaką prowadzi swą pracę, trudno nie przyznać, że wyzyskał wszystko, co mu tylko było dostępne. Ale z drugiej strony równie trudno nie zauważyć braku przejrzystości w niektórych działach jego pracy (np. w całej części I-ej), braku, wypływającego z nadmiaru nagromadzenia szczegółów i szczególików (czerpanych głównie z listów poety), wyprowadzanych bez wyboru na plan pierwszy i niejednokrotnie zasłaniających swym chaosem i nawałem tezę, którą autor stara się przeprowadzić. Wynika stąd, że pewne szczegóły czy momenty formułowane są bardzo jasno i precyzyjnie, całość jednak zaciera się z powodu braku perspektywy i umiejętnego grupowania części składowych konstrukcyi. Włączanie do ogólnego obrazu rozwojowego pewnych chwilowych tylko i wobec tego pozbawionych głębszego znaczenia stanów, wywołuje złudne wrażenie jakoby na powierzchni życia duchowego poety zjawiały się nieustannie, często w bardzo krótkich odstępach czasu, nowe poglądy i ideały, nowe sformułowania, „światopoglądy“ i t. p. Czy tak jest rzeczywiście? Stwierdzić tego ani udowodnić nie można. Można tylko ustalić, że w tym nad wyraz podatnym i ruchliwym umyśle kłębią się ciągle roje myśli, domagających się wypowiedzenia, że umysł ten ciągle pracuje i wiecznie jest czynny—ale czy te *wszystkie myśli*, wypowiadane w listach poufnych, często tylko okruchy myśli, odblaski jakichś przeżyć niejednokrotnie rychło zapominane, często zwalczane zaraz w następnym liście—czy wszystkie te myśli stanowią rzeczywiście jakieś przełomy moralne, jakieś nowe ideały, nowe epoki, jak to często przedstawia p. Kleiner—o tem można grubo powątpiewać.

Taki sam mniej więcej brak przejrzystości z powodu nagromadzenia szczegółów i nawału materyału panuje i w podmalowy-

waniu tła ogólno-filozoficznego, na które rzucone są idee Krasińskiego. Jak w przedstawieniu rozwoju myśli poety uległ autor zamiłowaniom do zbytniej drobiazgowości, tak i tło literatury i filozofii zachodnio-europejskiej zajmuje zbyt wiele miejsca ze szkodą zwartości i ciągłości wykładu. Oczytanie autora w tej dziedzinie jest równie imponujące, jak znajomość dzieł Krasińskiego, nie umiał jednak przezwyciężyć pędu do streszczania i omawiania rozmaitych systematów filozoficznych tam, gdzie wystarczyłoby zaznaczenie tylko pewnych idei, poglądów czy wyobrażeń, bezpośrednio dotyczących twórczości Krasińskiego. Jest to dla całości podwójnie szkodliwe. Przedewszystkiem bowiem trudno na kilku czy kilkunastu stronicach „streścić“ całego Hegla albo Schellinga — trzeba więc podać tylko ogólny bardzo i z konieczności symplistyczny schemat, znany z jednotomowych podręczników historyi filozofii. Nie twierdzę bynajmniej, że p. Kleiner korzystał w tym względzie tylko z podręczników, a nie z pierwszej ręki — owszem daje na to dowody, że sięgał do źródeł, ale mimo to jego streszczenia w większości wypadków nie różnią się niczem od podręcznikowych, choć są samodzielne i choć z nich nawet wiele nauczyć się można. To jedno. Powtóre te kilko- czy kilkunastostronicowe omawiania rozmaitych systemów wciskają się, jako zamknięta w sobie całość, w całość inną, t. j. w przedstawianie systematu Krasińskiego. Ponieważ te dwie całości tylko w pewnych punktach łączą się ze sobą, więc powstaje znów dysproporcya i chaos, w którym najuważniejszemu czytelnikowi trudno będzie się zoryentować. Czyż nie byłoby prościej zaprowadzić i tutaj pewne ograniczenie, nie porywać się na jeszsze jedną charakterystykę już po tysiąckroć charakteryzowanych filozofów, nie zapuszczać się w wywody zbyt daleko odbiegające od właściwego tematu—lecz poprostu zaznaczyć lub w miarę potrzeby omówić szerzej tylko te idee i poglądy, które mają bezpośredni związek z Krasińskim, zwłaszcza, że chodzi tu raczej o zależność od pewnych ogólnych prądów, aniżeli określonych dzieł i książek. Tymczasem autor charakteryzuje nietylko różnostronną działalność filozofów, którzy mogli mieć wpływ na Krasińskiego, ale streszcza niemal całą jego lekturę, wszystkich niemal pisarzy, jakich kiedykolwiek czytał, o jakich wspomina w swoich listach, o jakich słyszał od swoich przyjaciół i znajomych. Że mu to niezawsze jest potrzebne do wytłómaczenia jakiegoś momentu twórczości Krasińskiego — o tem można się przekonać choćby z następujących dwóch przykładów: List Krasińskiego z 26 stycznia r. 1836, zawierający gwałtowne potępienie przeszło-

ści Polski, poprzedzony jest, między innemi, obszernym rozbiorem dzieła Straussa o Chrystusie (tom I, str. 252). Jaki związek zachodzi między jednem a drugiem — trudno się domyśleć. Bo przecież to zdanie łączące, jakie autor wstawia pomiędzy rozbiór Straussa a rozbiór listu o Polsce „Skarżył się Krasiński na wiele wiar zatrutych, I wiara w Polskę uległa zatruciu“—to zdanie żadnego związku przecież nie wyraża.

Drugi przykład (t. I, str. 290): kilkustronicowy wywód o historyozofii Thierry'ego, Tocqueville'a, Micheleta, a nawet Schillera służy tylko do tego, aby zacytować jedno zdanie z „Nocy letniej“, mające być dowodem mniej pesymistycznego zapatrywania na przeszłość, a więc przejęcia się pismami powyżej wymienionych autorów.

W przeciwieństwie do tego, zdarzają się znowu ustępy, gdzie należałoby ściślej i szczegółowiej sformułować pewien pogląd, subtelniej rozróżnić pewne idee, chodzi bowiem o kwestye sporne i skomplikowane. Tak przedstawia się sprawa np. z „Synem cieniów“ i jego stosunkiem do Hegla i Schellinga. Pisano już u nas o tem kilkakrotnie (Zdziechowski, Porębowicz), dochodzono do rozmaitych rezultatów—i ostatecznie kwestya czy wpłynął tutaj decydująco Hegel czy Schelling pozostała nierozstrzygnięta. P. Kleiner przechyla się w stronę Hegla, ale wywody jego w tym względzie wywołują wątpliwości i nie mogą mieć znaczenia decydującego, właśnie z tego powodu, że w tym wypadku autor niezupełnie precyzyjnie i wyczerpująco ustala różnice pomiędzy hegelianizmem a schellingianizmem (porówn. t. I, str. 333 i 346 sq.).

Stanowisko autora wobec istoty, roli i znaczenia wpływów literackich jest również niezbyt wyraźnie określone i zdecydowane. Zaznacza często i podkreśla samodzielność Krasińskiego, osobiste i oryginalne przemyślanie i przeżywanie przez niego rozmaitych problematów, walkę z ideami, które sprzeciwiają się jego najgłębszym instynktom (np. panteizm i zaprzeczanie nieśmiertelności duszy), przezwyciężanie ich, a często też włączanie w zmodyfikowanej nieco formie we własny system. To wszystko świadczy niezbicie o tem, że wpływy wszelkie są tu tylko uświadamianiem własnych, nieuświadomionych dotąd stanów duszy, nie są więc niczem przypadkowem ani nawet decydującem. P. Kleiner jednak niezawsze utrzymuje się na tem jedynie racyonalnem stanowisku. Często daje się unieść owemu staremu nałogowi, o którym wspominałem powyżej, nałogowi doszukiwania się zależności i zapożyczeń wszędzie, gdzie tylko drobna choćby analogia, cień podobieństwa może do tego uprawniać. Tak więc na-

ród, jako odrębna kategorya, wchodzi w system Krasińskiego dopiero pod wpływem Herdera, tak rozmaite myśli, obrazy, porównania, zwroty przejmuje Krasiński z rozmaitych Boissierów, Malanów, Zagoskinów, Damironów i całego szeregu innych jeszcze drobniejszych i jeszcze mniej znaczących pisarzy. Są zapewne między temi odkryciami ciekawe i nowe, jest skrupulatność i sumienność w docieraniu do wszelkich możliwych źródeł, jest ogromna erudycya i oczytanie, ale jest również czasami pedanterya i schematyczność zbyt daleko posunięta, doprowadzająca do rezultatów, które powinny były obudzić czujność autora swoją, powiedziałbym, drewnianością, nic nie mającą wspólnego ze sprawą twórczości.

Jeszcze na jedno chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie na stosunek osobisty autora do rozpatrywanych zagadnień. Jest to rzecz ogromnej wagi, bo od tego zależy ton ogólny książki, jej charakter, do pewnego stopnia i jej znaczenie. Krótko mówiąc, chodzi o to, że dla krytyka wszelkie kwestye, jakie bada, muszą być do pewnego stopnia jego własnemi kwestyami, musi on je uznać za swoje, choćby czasowo tylko, musi umieć stanąć na stanowisku badanego przez siebie poety czy filozofa, przeżyć z nim i przemyśleć wszystkie jego sprawy; dopiero wówczas może go nietylko zrozumieć i poznać, ale może go również należycie ocenić. „Tam, gdzie się serca palą“—nie wystarcza erudycya, oczytanie, znajomość metody i umiejętne posługiwanie się nią; chłód i obojętność, niesłusznie podszywające się pod pojęcie objektywizmu—nie zdołają nigdy dotrzeć do samego jądra jakiegokolwiek zagadnienia, choćby nawet czysto „myślowego“ i najzupełniej oderwanie-logicznego. Otóż wywody p. Kleinera mają często charakter takiego suchego, chłodnego, obojętnego regestrowania faktów, bez brania udziału w ich życiu, często jakby niedostrzegania, że są one wytworem jakiegoś życia, a nie beztreściowemi formułkami. Jest to już nietylko jeden z nałogów „starej szkoły“, ale pewna indywidualna cecha. Historyczność staje się tutaj właściwie obojętnością. Wszystko jest „historyczne“, to znaczy wszystko już minęło i niema właściwie żadnego znaczenia na dziś. A czem jest dzień dzisiejszy? Jest tak samo powstawaniem i mijaniem rozmaitych teoryi i poglądów, które można znać, opisywać, badać, ale które niebawem znowu staną się „historyczne“, aby ustąpić miejsca innym.

Takie tony dźwięczą nam z paru zdań przedmowy autora: „Oświetlenie idei epoki ze stanowiska dzisiejszego znajdzie czytelnik dość rzadko. Dla jednolitości obrazu, dla zbliżenia się do

toku myśli owych czasów, jest może rzeczą pożyteczną, by tonów obcych, dzisiejszych nie mieszać zbyt często... Jeśli bowiem monografia niniejsza poza chęcią wniknięcia w myśli poety stawia sobie jakiś cel inny, jeśli o jakiemś oddziaływaniu na czytelników mówićby w niej można, to w takim razie nie jest tym celem ani propagowanie poszczególnych idei poety, ani ich zwalczanie."

Otóż to właśnie: oświetlanie ze stanowiska dzisiejszego, propaganda albo zwalczanie, wszystko to musi być usunięte, aby praca miała charakter czysto naukowy. Nie rozumieją ludzie tego typu, że tu nie chodzi o propagandę albo zwalczanie, ale o *ocenę wartości życiowej* i ta ocena dokonywana być musi jako ukoronowanie badań, jako ostatnie ich słowo i zamknięcie. Dla nich wszelkie wartościowanie, wybiegające poza kryterya czysto literackie, jest już ocenianiem ze stanowiska dzisiejszego, jest już mieszaniem tonów obcych, jest już propagandą albo zwalczaniem. To też niema u nich naogół oceny z *żadnego* stanowiska, jest tylko mniej lub więcej wyczerpujące „wniknięcie w myśl poety" bez zadawania sobie pytania, co ta myśl jest warta jako wyraz pewnego prądu czy pewnej formy życiowej, co ona wyraża i co reprezentuje, czy wreszcie wśród danych warunków historycznych jest objawem życia czy też zastoju; *wśród danych warunków*—powtarzam, a więc nie w dniu dzisiejszym, ani jutrzejszym. Wartość idei mierzy się nie wartością aktualną na dziś, ale wartością dla tej epoki, w której powstała. To jest jedynie prawdziwe i jedynie racyonalne stanowisko historyczne. Kto zaś nie odróżnia go od propagandy czy publicystyki, ten wogóle do żadnej oceny pozaliterackiej nie jest zdolny.

Tem się tłómaczy, że gdy p. Kleiner zaczyna mówić o *znaczeniu* jakiegoś dzieła Krasińskiego, wychodzi to u niego blado i jest przepełnione komunałami. Znać, że go to właściwie nie obchodzi, że uważa zadanie swoje za spełnione, gdy poprzestanie na opisie i objaśnieniu, że nad kwestyą wartości nie zastanawiał się ani nie odczuwa jej znaczenia.

Tak przedstawia się książka p. Kleinera wzięta jako całość, jej założenie, kompozycya, metoda i charakter ogólny. Jeżeliśmy co do tych punktów formułowali pewne zarzuty, stanowisku autora przeciwstawiali inne, według nas, szersze, metodzie jego zaś inną, według nas, skuteczniejszą—to z drugiej strony nie możemy zamilczeć, że praca jego w stosunku do dotychczasowych monografii o Krasińskim jest wielkim krokiem naprzód, że nawet w tem co stanowi niektóre jej usterki, jest świadectwem niemałego po-

głębienia i rozszerzenia horyzontów naszych badań historycznoliterackich. Tak jest np. z ogromnym nawałem materyału i nadmiernie rozszerzonem tłem historycznem. Większość dotychczasowych prac naszych cierpiała właśnie na szczupłość materyału i prawie zupełny brak tła historycznego. Gdy więc książka p. Kleinera ma tego za dużo, to jest to zaiste pocieszające pod pewnym względem—szczególnie w naszych warunkach. Nie cierpimy bowiem nigdy na nadmiar nauki i oczytania, tak, że przyjemnie jest czasem zauważyć taki nadmiar i zwrócić uwagę na to, że rozpycha on ramy kompozycyi.

Pozatem przynosi książka ta ogromne bogactwo szczegółów, które coprawda niezawsze łączą się ze sobą organicznie, ale których wartość sama w sobie nie przestaje być przez to znaczna.

Krótkie choćby streszczenie tej pracy unaoczni czytelnikowi jak wiele z niej może skorzystać i nauczyć się.

Autor podzielił swą monografię na pięć części. W pierwszej, zatytułowanej „Przygotowanie“, obejmuje czas do r. 1830. Mowa w niej o atmosferze, wśród której wyrósł Krasiński, o racyonalizmie i śladach, jakie pozostawił w poecie, o twórczości jego początkowej, przełomie, jaki w niej zachodzi po wyjeździe z kraju, kiedy lektura poety obraca się około Lamennais'go, Chateaubrianda, Schlegla i innych. Rośnie wykształcenie filozoficzne, zaczynają się wyłaniać samodzielne problematy.

Część druga zajmuje się „filozofią cierpienia i walki społecznej“, której wyrazem „Nieboska“ i „Irydyon“. Omówiono tu dokładnie wpływ Ballanche'a, dotychczas bardzo mało znany, jak również doktryny saint-simonistów. Do najlepszych rozdziałów tej części należą te, które traktują o „Nieboskiej“ i „Irydyonie“. Tu przedstawiony też wpływ Herdera.

Część trzecia wprowadza nas w epokę „przezwyciężania pesymizmu i kształtowania systemu“. Jest to czas przemożnego wpływu filozofii niemieckiej, widoczny w części w „Modlitwach“ dla Bobrowej (opracowanych bardzo pięknie), a wyraźnie już w „Trzech myślach Ligęzy“.

Część czwartą stanowi: Filozofia ducha i Polski. Przedstawiono tu rolę Cieszkowskiego w kształtowaniu się poglądu Krasińskiego, powolne przezwyciężanie dysonansów życiowych i myślowych nowym własnym systematem filozoficznym, którego ostatecznym wyrazem jest „Traktat o Trójcy“. Poświęca mu autor cały jeden rozdział i szczegółowo omawia wszelkie poruszone w nim kwestye. W drugim rozdziale tej części poznajemy „Przedświt“, który należy również do najlepiej opracowanych w książce.

Część piąta zamyka epokę „propagandy i polemiki“, propagandy haseł „Traktatu“ i „Przedświtu“ w nowych utworach poetyckich i polemikę z tymi, którzy haseł tych przyjąć nie chcą. A więc „Psalmy przyszłości“, „Resurrecturis“, „Dzień dzisiejszy“, „Niedokończony poemat“ i cały szereg memoryałów Krasińskiego, którymi chciał on wpłynąć na możnych tego świata i zwrócić ich uwagę na sprawę polską.

Książkę zamyka „Zakończenie“, w którem autor daje jakby ostateczny, syntetyczny rezultat swoich pracowitych i rozległych studyów nad Krasińskim. Jest ono jednak, naszem zdaniem, stanowczo za krótkie i za pobieżne. Tutaj właśnie było odpowiednie miejsce na uzupełnienie do pewnego stopnia braków poprzednich części, t. j. danie w jednolitym, nieprzerywanym już niczem ciągu zwięzłej i treściwej charakterystyki poszczególnych etapów rozwoju Krasińskiego i wyraźniejsze sformułowanie jego roli i znaczenia w literaturze i życiu polskiem. Tutaj możnaby też głębiej zastanowić się nad pewnemi cechami organizacyi duchowej poety, które w samej monografii były tylko zlekka poruszane, jak jego „strach przed rzeczywistością“, sympatye dla arystokracyi, powrót do pesymizmu po „Przedświcie“, wogóle stosunek optymizmu do pesymizmu w jego życiu duchowem, dalej pewne zasadnicze w niem rozdźwięki, które jednak olbrzymią wolą przezwycięża i tworzy w sobie nowe organy wiary, czucia i poznania.

W ten sposób cała postać zyskałaby na wyrazie i plastyce i silniej wystąpiłaby na tle zarówno literatury polskiej, jak i filozofii zachodnio-europejskiej.

M. K.

Dr. JÓZEF WŁAD. REISS. *Melodye Psalmowe Mikołaja Gomółki z roku 1580.* Wyd. Akademii Umiejętności w Krakowie. 1912.

Trzecią pracę z zakresu historyi muzyki polskiej wydała Akademia Umiejętności w przeciągu jednego roku. Jest to najlepsza prognoza dla rozwoju muzykologii polskiej, która, ciesząc się poparciem Akademii, ma nadzieję uzyskania w jej łonie najsilniejszej podstawy w formie komisyi dla badań z zakresu umiejętności muzycznych.

Praca d-ra J. Wł. Reissa jest wynikiem długich i sumiennych studyów nad Psałterzem Gomółki, których właściwym owocem była imponująca rozmiarem i treścią rozprawa doktorska, przedłożona w r. 1910 w uniwersytecie wiedeńskim. Ścieśniając granice zewnętrzne do ostatecznych wymiarów, podał dr. Reiss w rozprawie niniejszej samą kwintesencyę swoich dociekań nad

stylem muzyki Gomółki, nad techniczną stroną psalmów i nad wyróżniającemi je właściwościami. Poza przedstawione w pracy d-ra Reissa wyniki nie można dalej posunąć się, gdyż wyczerpane tu zostało wszystko, co o wiekopomnem dziele Gomółki da się powiedzieć. Atomistyczna skrupulatność badania psalmów, która odkryła przed d-rem Reissem wszystkie tajniki indywidualności twórczej Gomółki i pozwoliła poprawić wszystkie, nawet czysto drukarskie omyłki w psalmach, nie zasłoniła przed autorem ducha tej muzyki i idei Gomółki. W sądach d-ra Reissa przebija się wyraźnie prawdziwie naukowa trzeźwość, nie ulegająca żadnym złudzeniom, i wypróbowany smak artystyczny. Głęboka znajomość stylu muzyki współczesnej Gomółce, dokładna oryentacya w aparacie techniki kompozytorskiej tych czasów, stały się silną podstawą dla słów, przyznających Gomółce wybitne zalety jako artyście. W dotychczasowej literaturze o Gomółce sąd ten nie był ogólnie uznawanym. Niemniej także nie chcieli niektórzy historycy muzyki polskiej stwierdzić narodowych tendencyi, tkwiących w psalmach Gomółki, które dr. Reiss z całym naciskiem, rozporządzając wystarczającą ilością argumentów i przykładów, podnosi i udowadnia. Jest więc praca d-ra Reissa podwójną rehabilitacyą Gomółki u pokolenia, które, wymieniając często nazwisko kompozytora, nie zdawało sobie sprawy z jego historycznego znaczenia lub je lekceważyło.

Nie brakło w ostatnich czasach usiłowań, zdążających do tego samego celu co i znakomita praca d-ra Reissa, mamy zaś wiarę, że mrówcza pracowitość i szeroki pogląd badania doprowadzą czytelnika do przekonania, odpowiadającego przekonaniu autora i przekonanego przezeń recenzenta. Ogólny ton rozprawki zasługuje na szczególne uznanie. W kolizyach polemicznych przestrzega dr. Reiss subtelnie taktu, należnego pracom naukowym; nie jest ani zbyt czerwonym prokuratorem odmiennych poglądów, ani zbyt wyniosłym obrońcą kompozytora. Styl zaś pracy jest jasny i barwny.

Rezultatem pracy jest ustalenie sądów o randze artystycznej dzieła Gomółki i jego przewodniej idei. Rozprawa, pouczająca w wysokim stopniu czytelnika, chlubne świadectwo wystawia autorowi, którego, jako bardzo poważnego pracownika, pozyskała sobie muzykologia polska. Z wielkiem uznaniem i wdzięcznością musi nakoniec wspomnieć referent o współudziale d-ra Reissa w pracy nad wydaniem dzieła Gomółki w pomnikowej publikacyi „Denkmäler der Tonkunst in Oesterreich“.

Dr. Zdzisław Jachimecki.

Kronika miesięczna.

Losy „synów chłopskich“. — Inteligencya z warstw ludowych i wychowańcy szkół rolniczych.—Wady wychowania i wykształcenia.—Wzorowa wieś polska: Albigowa. — Zakończenie zatargu Rapperswylskiego. — Ruch młodokaszubski.

Dawno utrwalonem już w życiu stanowiskiem jest dążenie do najpowszechniejszej oświaty. Wolno jednak, strzegąc się niebezpiecznego wszędzie dogmatyzmu, i do tej sprawy z oświetleniem krytycznem przystąpić. A nie będzie tu oczywiście chodziło o samą zasadę, ale o jakość oświaty, o to komu ma służyć, o to, by wszelkiego unikała szablonu i w każdym indywidualnym wypadku zdawała sobie sprawę, jakim celom służy i najlepiej służyć może. Setna rocznica urodzin J. J. Rousseau przypomniała stary przesąd pedagogiczny końca osiemnastego wieku, jakoby człowiek, względnie dziecko, był *tabula rasa*, z której wychowanie i wykształcenie wszystko zrobić może; jako wniosek wychowawczy mamy tu idealne koszary, jak strychulec do wszystkich różnych indywidualności przystosowane. My, współcześni, traktujemy dziś tę sprawę zupełnie inaczej: wiemy, że człowiek jest splotem instynktów dziedzicznych, tworem otoczenia przyrodniczego, klasowego, domowego, że wychowanie i wykształcenie winno rozwinąć w nim tylko te właściwości przyrodzone tak, aby dobru społeczności jaknajlepiej służyły.

Wiedząc o tem, niedostatecznie przecież zasadę stosujemy w życiu. W dziedzinie wychowawczej prowadziłaby ona do najszerszego różniczkowania typów zakładów naukowych, jak się to powoli dzieje w krajach cywilizacyjnie wyższych, gdy my ciągle kostniejemy w rutynie paru typów szkół. A skoro czas od czasu robimy bilans społeczny tego, co nam te szkoły dają, otrzy-

mujemy zawsze niedobory. Nieraz już mieliśmy sposobność na tem miejscu stwierdzać braki naszego wykształcenia średniego, wytwarzanie przezeń proletaryatu urzędników i zawodów wyzwolonych, a nie przygotowywanie do samodzielnej pracy handlowej, rzemieślniczej, przemysłowej. Cierpią na tem wszystkie warstwy narodu; najbardziej t. zw. wyższe, albo inteligentne, mniej ludowe, które mniejszą ilość synów swoich do rzeczonych szkół posyłają. O tych, „synów chłopskich“ chodzi nam dziś: o dalsze losy ich w życiu, o to, czy kulturę warstwy swojej podnoszą i jakiemi drogami kroczyć należy, aby ten właściwy, kulturalny cel oświaty ludowej osiągnąć.

Zasługa poruszenia tej ważnej kwestyi przypada p. Wiktorowi Ambroziewiczowi, redaktorowi „Dziennika Kujawskiego“; zamieścił on na szpaltach „Tygodnika Ilustrowanego“ artykuł p. t. „Syny chłopskie“, który szerokim niezwykle echem odbił się w prasie polskiej wszystkich trzech zaborów, przez co wymownie zaświadczył, że sprawa jest ważna i aktualna na całym obszarze ziem polskich. Oto zasadnicza myśl artykułu: „Całemi gromadami tułają się po ziemi naszej syny chłopskie, co się oderwały od wsi własnej, co to nie mają rodziny, bo się nad swoją wynoszą, co to nie mają progu, bo pod słomianą strzechą im za nizko, za ciasno, co też bez zagonu własnego, bo za opłotkami ojcowie w parciance, a nie w złotogłowiu własną dłonią chleb zdobywają. Tułają się takie bezdomne sieroty chłopskie bez radości życia w sercu, omroczone żalem i zgryzotą. A wszystko dlatego, że oderwały się od pnia rodzimego, że zeszły z wązkiej ścieżyny swej wsi na ugorny szmat ziemi, kędy obojętność miasta się chwaści. Znam takie sieroty chłopskie i w księżej sukience, i w cienkim surducie, i w mundurze wyrobnika-urzędnika, i w samodziale rolnika. Wszyscy, choć rożnią się wzajem stanowiskiem, karyerą życiową, jednako smutni, jeśli zaparli się własnego pnia, jednako straceni dla własnej gromady, która ich z takim wysiłkiem, kosztem setek pozostałych, wyedukowała“.

Wtóruje temu zdaniu najmocniej „Dziennik Poznański“, mówiąc, co następuje: „Takich, którzyby zdobytą trudem wiedzę poświęcili tej ziemi, która ich wychowała i wykarmiła, pośród synów włościaństwa naszego, niestety, niema. Nie mamy *ani jednego* „chłopa“ z wyższem wykształceniem rolniczem, nie mamy ani jednego „inteligenta“, któryby powrócił na ojcowski zagon i pośród swoich braci stanął jako świecznik oświaty, nauczając nietylko słowem, ale przykładem codziennego życia—a nie mamy dlatego, że nie przedarło się jeszcze do szerokich warstw włoś-

ciaństwa to poszanowanie wielkie, ta uprawniona duma z „chłopskiego“ stanu.

„Dzisiaj, kiedy wobec tak szybkich postępów rolnictwa nauka jego gruntowna stała się już koniecznością, a włościanie nasi poważne nieraz obszary ziemi w ręku swem posiadają, „chłop“ wykształcony, któryby z ziemią swą stosunku nie zerwał, powrócił do niej i osiadł na niej i pracował, byłby wprost apostołem zdrowego postępu, a zarazem łącznikiem nierozerwalnym z innemi klasami społecznemi. Wykształcenie pozwoliłoby mu ocenić należycie potrzeby jaknajszybszego postępu we wszystkich dziedzinach gospodarstwa wiejskiego, a przykład jego działałby podobnie, tylko wiele jeszcze dodatniej i szybciej, niż dzisiaj działa przykład gospodarstw większych“. Pisma galicyjskie, które zabrały głos w rozprawach, stwierdzają tylko fakt zresztą ogólnie znany, że, z powodu ułatwień wszelkich w wykształceniu średniem, we wszystkich sferach życia tej prowincyi biorą górę ludzie, których kolebki stały pod strzechami wieśniaczemi.

Sprawa, postawiona w ten sposób, jak ją traktuje p. Ambroziewicz i „Dziennik Poznański“, wydaje nam się oświetloną nieco jednostronnie. Posyłanie dzieci chłopskich do szkół średnich i uniwersytetu, połączone z olbrzymiemi ofiarami, jest i będzie jeszcze długo u nas wypadkiem dość wyjątkowym. Mamy tu do czynienia z bardzo naturalnem i uprawnionem dążeniem do podwyższenia się w hierarchii społecznej, z nadzieją świetlaną lepszego bytu, bez tak znojnego trudu. Wyrazem tego dążenia jest i ów chłopiec, sprzedający zapałki na ulicach, który zostaje później miliarderem amerykańskim, i Wittington, kończący swoją karyerę życiową, jako lord-major Londynu, których stawiamy słusznie za przykład dzieciom naszym, opowiadając o nich historyjki w różnych wypisach. Więc krytykować można i należy nie dążenie, lecz cel tego dążenia, dlatego, że nie jest on wyrazem energii i samopomocy życiowej, ale tylko mozolnie osiąganym krańcem dróg bardzo utartych. W takim razie jednak krytykę stosować musimy nie wyłącznie do warstw ludowych i do synów chłopskich, ale do całego ogółu. W społeczeństwie tak na wskroś szlacheckiem jeszcze, jak nasze, w którem trwają zwłaszcza przesądy i przywary, warstwie niegdyś przodującej właściwe, a giną niestety jej niewątpliwe zalety, ideał wdrapującego się usilnie chłopa będzie ten sam, co sąsiadującego z nim szlachcica, co inteligenta miejskiego. Określając ten ideał życiowy obrazowo, nazwiemy go białemi rękami i twardym kołnierzykiem, gdy nazywają go zwykle urzędem, adwokaturą, medycyną i inżynieryą. A kry-

tyka musi zawsze i nieustannie iść ciągle w tym kierunku, że nie to społeczeństwo jest potężne, które ma nadmiar białorękich, eleganckich urzędników, inżynierów, adwokatów i lekarzy, klepiących mniej więcej biedę, ale to, które posiada znaczną ilość samodzielnych, zamożnych wytwórców na różnych warsztatach samodzielnych, które jednak wymagają nieraz i zdjęcia błyszczącego kołnierzyka i zasmolenia białych rączek. Dopóki to istotnie demokratyczne przekonanie — nie demokratyczny frazes, którego mamy pełne usta—nie przeniknie w krew i ducha warstw inteligentnych, dopóty nie przeniknie i do ludu, który przecież tylko naśladuje wzory, widziane obok i wyżej. A wymaganie, aby lekarz, inżynier, adwokat powracał—po pobycie w mieście i z przyzwyczajeniami wielkomiejskiemi—na kilko- czy kilkunastomorgową gospodarkę, jest wymaganiem od niego cnót nadludzkich, apostolstwa, do którego zdolne są tylko rzadkie i wyjątkowe jednostki. Rozwiązanie takie kwestyi trąci zanadto literaturą, nie jest życiowe.

Dlatego nie to jest ważne i decydujące, co się dzieje z tymi „synami chłopskimi“, którzy idą do szkół średnich i do uniwersytetu, bo ci świadomie skazani są na wyjście ze swojej sfery, ale to, co się dzieje z tymi, którzy przygotowywani są specyalnie do szerzenia i podnoszenia kultury w swojem właściwem otoczeniu, z wychowańcami niższych szkół rolniczych. I tu jest źle. Posłuchajmy, co mówi dodatek do „Zarania“, „Młodzi idą!“ „Emigracya najdzielniejszych jednostek ze wsi niedawno się zaczęła, rozszerza się jednak szybko. Wieś traci na tem dużo, a kraj czy zyskuje wiele?“ Inne, nowe, dobre pismo dla młodzieży ludowej, „Drużyna“, pisze: „Potrzeba nam jest w kraju wielu działaczy ludowych, kierowników w pracy oświatowo-społecznej. Praca ta jest najodpowiedniejsza dla nas, bo, jako pochodzący ze wsi i tam mieszkający, stykamy się z ludem, znamy jego życie, potrzeby i dążenia... Stwórzmy całe zastępy działaczy, pochodzących z ludu i żyjących z nim bezpośrednio... Musimy wytworzyć inteligencyę ludową, chłopską, któraby, zasilając szeregi dotychczasowe, wniosła świeżość zapału, moc i siłę nową“.

I p. Ambroziewicz konkluduje, że trzeba „nadewszystko szerzyć wśród młodzieży chłopskiej ideę powrotu po ukończeniu nauki na własny zagon i możliwie częściej zwracać uwagę szkoły polskiej na odrębność psychologii dziecka polskiego“.

Otóż można wytworzyć inteligencyę ludową chłopską tylko z tych, którzy na własnym zagonie pracują i stosują tu bezpośrednio wiedzę, jaką w szkole nabyli. Nie wśród zawodów wyzwolo-

nych, lecz tylko wśród tego typu uczniów można i trzeba szerzyć ideę powrotu na własny zagon, inaczej bowiem wszelkie próby, wszelkie nawoływania skazane są z góry na bezskuteczność. Tymczasem, cóż się dzieje? Marzeniem przeważnej części wychowańców naszych szkół rolniczych są znowu urzędy pisarzy, ekonomów, rządców, a nie praca u ojców, na własnym kawałku ziemi. Skoro szkoły marzeń tych nie zabijają, przeciwnie rozwijają je, skoro nie szczepią idei wyższości wszelkiej samodzielnej pracy, muszą mieć jakieś niedomagania wychowawcze, gruntownej domagające się reformy. Sprawę mało znamy, i dlatego pozwolimy sobie tylko na dwa przypuszczenia, nie twierdzenia, gdzie owe wady mieścić się mogą.

Pierwsza — to może zbytnia długotrwałość nauki i zbyt dobre warunki otoczenia. Niestety, sposób życia naszych włościan daleki jest od niewysokiego nawet poziomu cywilizacyjnego; jednostka, oderwana od tego życia na czas dłuższy, postawiona w warunkach bezwarunkowo lepszych, niechętnie powraca potem do niskiej chaty, do zaduchu domowego, do nędznej strawy. Wymagania jej wzrosły—i w tem samem tylko niema nic złego, bo wzrost wymagań jest motorem wszelkiego postępu; ale nie wzrosła energia, nie wzrosła możność zaspokojenia owych wymagań; i tu jest złe, że szkoła tej energii i pracy, tego mocnego, twardego przekonania, że człowiek i to człowiek sam jest kowalem swego własnego losu,—w uczniach nie zaszczepiła, że, mimo szkoły, szukają zawsze szczęścia na stanowiskach zależnych.

Druga—mówimy z całą ostrożnością i z wszelkiemi zastrzeżeniami — to szczepienie uczniom poczucia ich posłannictwa społecznego. I znowu rzecz sama w sobie jest dobra, ale podawana, albo rozumiana źle. Uczeń powinien wiedzieć i rozumieć, że jego rola społeczna podnoszenia kultury na wsi wynika nie z tego, że szkołę ukończy, co mu da prawo do wywyższania się i kierowania otoczeniem, lecz tylko z jego osobistej wartości wewnętrznej, jako jednostki, z jego wiedzy, z jego pracy fachowej przedewszystkiem, bo tylko czynami, a nie pięknemi słowami, może zdobyć sobie wpływ na otoczenie. Tymczasem, jednostki, które ze szkół rolniczych wychodzą, zbyt często nie chcą się imać dawnej pracy, nie rozumieją, że w szkole byli nie po to, żeby ją zmienić, lecz po to, by nauczyć się, jak ją lepiej wykonywać, i mają nieuzasadnione ambicye kierownicze. A te ambicye bardziej zaspakaja urząd rolniczy, niż praca na zagonie własnym, gdzie nieraz trzeba przezwyciężać wpływy ojca lub brata.

Dlatego nie dzielimy przekonania, że jednym ze środków zaradzenia złemu byłoby pomnożenie ilości szkół rolniczych jedno, dwu i trzyletnich. Przeciwnie raczej—uważalibyśmy za lepsze ogromne rozmnożenie ilości nie szkół, lecz kursów rolniczych, kilkodniowych, kilkotygodniowych, kilkomiesięcznych, jako bardziej praktycznych, bardziej bezpośrednio celowych, nie podlegających wyłuszczonym wyżej złym stronom. Oczywiście — przy normalnej szkole ludowej, której przecież brak nam jeszcze. A opieramy się w tym względzie na przykładzie Danii, kraju najbardziej demokratycznego rolnictwa, gdzie także kursy rolnicze krótkotrwałe trzymają prym przed szkołami.

Niejednokrotnie stwierdzaliśmy na tem miejscu zupełną jednolitość naszego narodu, czyli cechy wspólne, wady i zalety wspólne wszystkim jego warstwom. Stojąc na tem stanowisku, wyobraźmy sobie bystrego, zdolnego i spostrzegawczego „syna chłopskiego“, który rozgląda się po okolicy i widzi synów „dziedziców“, synów inteligentów z najbliższego miasteczka, rzucających ziemię, ojcowskie warsztaty pracy, by iść drogą życia na łańcuchu zależności od innych; wyobraźmy sobie dalej, że przeczytał wszystko, co teraz o „synach chłopskich“ napisano. Jakież będzie wrażenie? Oczywiście uśmiech ironiczny i rada, by lekarz kuracyę rozpoczął od siebie. Dopóki my, inteligencya, nie zrozumiemy, że daleko pełniejszem godności jest życie, oparte na pracy samodzielnej twórczej, niż pospolite służenie u wszystkich, często obcych, za parobków, wszelkie nawoływania ludu do zmiany kierunku karyery jego synów, będą zbędne i echa nie znajdą.

*

* *

Sława, rozgłos dziwnemi zawsze kroczy drogami. Mury jerychońskie milczenia i obojętności rozbija reklama, stugębna fama, upostaciowana dziś realnie w setkach dzienników. A uwagę ich zwraca tylko to, co jaskrawe dla oka, lub dla ucha; barwą i wrzaskiem najłatwiej się rozgłos zdobywa. Dlatego najsławniejsi, najgłośniejsi są ci, którzy sztuki pokazują, którzy dla publiczności żyją i ją zabawiają, od linoskoka do polityka włącznie, przechodząc przez aktora. Twórcza praca, ta, co naprawdę podwaliny lepszej przyszłości kładzie, niema sławy i rozgłosu.

Znajduje zadowolenie w spełnieniu obowiązku i we własnem przekonaniu o dobrej służbie.

Zróbmy wyjątek od tej zasady. W Galicyi, w pow. łańcuckim istnieje wzorowa wieś polska, która nazywa się Albigowa. Przed ćwierć wiekiem była to wieś zaniedbana pod każdym względem. Cechowały ją analfabetyzm, pijaństwo i lenistwo, kurne chaty, nędzne bydło i konie, a przytem zarozumiałość i skłonność do awantur. Ludność, nie posiadająca wśród siebie jednostek zdolniejszych i pojętniejszych, nie mogła mieć w sobie żadnego pędu do zmian w swoim trybie życia i wszelkim usiłowaniom zmiany tego starego porządku, „starych zwyków“, jak mówiła, stawiała opór bierny.

W r. 1889-ym powstało kółko rolnicze i czytelnia Towarzystwa oświaty ludowej; kółko, wbrew zwyczajowi galicyjskiemu, sklepu własnego nie założyło, natomiast poparło inicyatywę prywatną, dzięki czemu powstały trzy sklepiki włościańskie. Czytelnia była nietylko wypożyczalnią książek, ale prócz tego odbywały się tam co niedziela pogadanki różnej treści, na które ludność uczęszczała z początku niechętnie, a potem chodziła tłumnie, bo były bardzo zajmujące. W r. 1898 powstała tam szkoła i pracownia koszykarska, która wyrabia dziś towaru za kilkanaście tysięcy koron. W r. 1900 przeniesiona została do Albigowej z Gorliczyna szkoła gospodyń wiejskich, której budżet wynosi obecnie 15,000 koron. Wyszło dotąd ze szkoły albigowskiej około 350 uczenic z całego kraju pochodzących, uświadomionych narodowo, rozwiniętych kulturalnie, dobrych gospodyń wiejskich; z samej Albigowej jest co rok po parę uczenic. Ze szkołą była od początku związana mleczarnia, albowiem mleczarstwo jest głównym przedmiotem nauk w półroczu letniem. Mleczarnia albigowska, mieszcząca się w osobnym budynku murowanym, przerobiła w 1904 r. 157,000 litrów mleka, później mniej, w r. 1911 163,000 litrów. W r. 1901-ym założona została spółka pożyczkowo-oszczędnościowa, systemu Raiffeisena. Liczba członków spółki wynosiła początkowo 53, obecnie doszła do 235, a więc więcej niż połowa gospodarstw do spółki należy. Już w trzecim roku istnienia spółki (1903) było wkładek oszczędności 40,000, w roku 1907—76,700, w roku 1911—115,500 koron (na 1 mieszkańca wsi 51 kor. oszczędności). Pożyczki od r. 1904 wahają się między 30—45,000 kor., zapotrzebowanie kredytu w Albigowej jest więc znacznie mniejsze, niż zdolność oszczędzania. Spółka albigowska należy do silniejszych spółek w kraju, od wkładek bowiem daje 4½%, od pożyczek bierze 6%.

W r. 1903-im powstała spółka drenarska. Drenowanie postępuje odtąd w szybkiem tempie; do jesieni r. 1911 już połowa gruntów została zdrenowana. Na gruntach tych włościanie stosują już orkę płaską zamiast zagonowej.

W r. 1905-ym powstała spółka rolniczo-przemysłowa do prowadzenia młyna i cegielni, która zresztą w następstwie została zlikwidowana. Przy kółku rolniczem powstał szereg instytucyi: straż ogniowa, kółko kobiece, spółka spożywcza. Wybudowano piękny murowany kościół i szkołę, która z jednoklasowej zamieniona została, z biegiem czasu, na czteroklasową. Obecnie uczy w niej siedmiu nauczycieli, a uczęszcza 366 dzieci, prócz 60 obowiązanych do nauki nadobowiązkowej. Już w r. 1887 należało do szkoły 108 dzieci, w 1890 r.—163, w 1895 r.—207, w 1900 r.—269, w 1905 r.—316. Dzisiaj liczba dzieci, nieuczęszczających do szkoły, nie przekracza tuzina. Wcześnie rozwinął się w Albigowej ruch w kierunku zastępowania starych chat kurnych i małemi okienkami opatrzonych dużemi nowemi chatami, z lepszym rozkładem wewnętrznym, z dużemi oknami i kominami, dotąd jednak wyjątkowo tylko murowanymi. Zaczęto dalej stawiać studnie, zamiast brać wodę z potoka, płynącego przez wieś. Zaczęto się zwracać o poradę lekarską do lekarzy, zamiast do znachorów; zdecydowała się wreszcie gmina wyznaczyć płacę akuszerce egzaminowanej. Równocześnie następował rozwój kultury rolnej, nabywanie nawozów sztucznych na wspólny rachunek, korzystanie z obory i chlewni zarodowej. Weszło w zwyczaj wysadzanie dróg drzewami i wogóle sadzenie drzew, jako sposób uczczenia rocznic narodowych i wielkich wydarzeń; w ten sposób uczczono np. pięćsetlecie Grunwaldu.

W cyfrach przedstawia się Albigowa, jak następuje: Według ostatniego spisu ludności (1910) liczyła Albigowa 2,291 mieszkańców (w r. 1900—1,990), 426 domów, (w r. 1900—373 domów, przed 25 laty było niewiele więcej nad 300 domów). Wśród mieszkańców jest 64 Żydów. W r. 1911 było w Ameryce na zarobku 134 osób, około 20 na Węgrzech i w dalszych stronach kraju, a 17 na służbie w okolicy, emigracya zarobkowa jest więc stosunkowo mała. Stan zdrowotny ludności jest tak korzystny, że liczba urodzonych w ostatniem 10-leciu jest 2 razy większa (35%) niż liczba zmarłych (17%). Emigracya stała jest mała, wynosi bowiem zaledwie 3%, a przyrost rzeczywisty ludności w tem 10-leciu 15%. Zdumiewająco mała jest ilość dzieci nieślubnych we wsi, bo wynosi zaledwie 2% ogółu urodzonych. Chat kurnych pozostało zaledwie kilka, zaczęto budować domy murowane. Jaskrawą ilustra-

cyą zmiany jest, że gdy między r. 1870 — 1890 Żydzi nabyli od chłopów około 150 morgów gruntu często za bezcen (tak np. jeden za 30 morgów zapłacił tylko 3,200 kor.), to od r. 1891 nie nabyli już ani jednego morga, przeciwnie, w ostatnich 12 latach wykupili chłopi straconą przez pijaństwo ojców ziemię, oczywiście po cenach kilkakrotnie wyższych, w końcu nawet najlepsze grunty płacili po 2,800 koron za mórg. Jest jeszcze dwóch Żydów posiadających ziemię (jeden 12, a drugi 8 morgów), ale ci już nie myślą jej sprzedawać, bo ją własnemi rękami uprawiają.

Jakież czynniki wpłynęły na rozwój tak niezwykły? Widzieliśmy w założeniu, że materyał rozporządzalny nie był zbyt doskonały. A jednak z tego materyału stworzyła wzorową wieś polską energia dzielnej jednostki, ks. Antoniego Tyczyńskiego, miejscowego proboszcza od lat dwudziestu pięciu. Oto, jak go charakteryzuje prof. Franciszek Bujak, z którego pracy czerpaliśmy przytoczone wyżej dane: „Jest to bezwątpienia człowiek dużej miary, człowiek rozumu praktycznego i wytrwałej woli. Z usposobienia racyonalista chłodny, ale obcy wszelkiemu doktrynerstwu, biorący rzeczy tak, jak są, daleki od przesadnego entuzyazmu i optymizmu, ale pełen ofiarności, zapału i wewnętrznego pędu do czynu twórczego, który wyraża się w sposób typowy i bezpośredni zamiłowaniem do budownictwa. Nad ogółem naszych działaczy społecznych góruje ks. Tyczyński tem, że pracował przez cały czas konsekwentnie i bez przerw, że pracował systematycznie, według z góry obmyślanego planu, że przed trudnościami nieprzewidzianemi nie kapitulował, ale starał się je przezwyciężyć. Ks. Tyczyński umiał trafić włościanom do przekonania, przedstawiając im każdą rzecz w sposób praktyczny, przedtem gruntownie obmyślaną i wystudyowaną. Często musiał się posługiwać dosadnemi słowami i ciętą ironią, często musiał traktować chłopów z góry, niemal despotycznie, narzucając im swą wolę, nie dając im czasu do namyślania się, aby się nie rozmyślili, ale nigdy tego nie robił dla dania folgi popędliwości, tylko zawsze dla osiągnięcia pewnego pożytecznego celu. Pozatem najlepszym dowodem, że ks. Tyczyński, posiadając zupełne zaufanie całej ludności wsi, nie stłumił samodzielności swoich parafian, jest to, iż wbrew jego życzeniom przeważna część ludności głosowała przy ostatnich wyborach do parlamentu na chłopa ludowca zamiast na powszechnie wysoko i przez włościan cenionego ks. A. Lubomirskiego (konserwatystę). Obok ludowców (obu odcieni dzisiejszych) są tu Stojałowczycy, a nawet zwolennicy narodowo-demokratycznej „Ojczyzny“, choć ten kierunek polityczny

zarówno jak i działalność Tow. Szkoły ludowej, nie cieszy się sympatyą ks. Tyczyńskiego".

O wszystkich dziełach kulturalnych, których spis podaliśmy, może ks. Tyczyński powiedzieć, że nietylko w stworzeniu ich był *pars magna*, ale że był także ich głównym nadzorcą i kierownikiem. W Polsce, gdzie tylu ludzi, nawet dobrej woli, zakłada ręce, bo jakoby nie mają odpowiednich warunków do pracy, pozostanie on wzorem do naśladowania i żyjącym przykładem, czego może dokonać energiczna jednostka. Gdyby takich było więcej— inna byłaby postać kraju i inna moc społeczeństwa, mimo wszelkich wrogich zakusów.

*

* *

Właśnie rok temu na tem samem miejscu pisaliśmy o sprawie Rapperswylskiej; niezależnie od uwag naszych, zamieściła jeszcze „Biblioteka" artykuł fachowego specyalisty, sprawa jest więc czytelnikom dobrze znana. Wiedzą, jak wielką rolę odegrała w niej specyficznie emigracyjna, małostkowa zaciekłość, jak niedokładności i niedobory fachowe rozdęła złośliwa plotka do rozmiarów zbrodni. Sprawcy dziwili się starej jak świat zasadzie mechaniki, że wszelka akcya wywołuje reakcyę, wszelki nacisk—opór, że dotychczasowi przezorni rządcy muzeum nie rzucili stanowisk i zbiorów w ich ręce nie oddali. Ostatecznie, akcya sanacyjna, rozpoczęta w roku ubiegłym przez samą Radę muzealną, w tym roku została pomyślnie do skutku doprowadzona. Spór można uważać za zamknięty.

Przyjrzyjmy się szczegółom. Najpierw—sprawozdanie. Wykazuje ono—zwiększenie frekwencyi osób zwiedzających. Gdy w r. 1910-ym było 4,499 zwiedzających, w r. 1911 liczba ta wzrosła o 3,716 i wynosiła 8,215 osób. Dalej—koszty administracyi wynosiły 10,222 fr., czyli niecałe cztery tysiące rubli; ciekawa rzecz, czy w tych granicach można będzie pozyskać do kierownictwa wybitne siły fachowe, chociażby z tych, w krytyce najgłośniejszych. Wreszcie księga darów wykazuje w r. 1911-ym 1244 pozycye; liczba mniejsza od lat poprzednich, ze względu na kampanię, przeciw Muzeum prowadzoną, która także przeszkodziła zapisom na rzecz jego; w liczbie tych darów najbogatszy przypadł

w udziale bibliotece muzealnej od szkoły Polskiej w Paryżu, obejmujący kilka tysięcy aktów i listów, dotyczących spraw emigracyi polskiej w latach 1864-ym i 1871-ym.

Doroczny zjazd Rady muzealnej poprzedził bardzo sensowny, bardzo urzeczywistnialny i bardzo spokojny memoryał dwudziestu wybitnych obywateli z Warszawy, których słuszne żądania Rada muzealna zaspokoiła. Memoryał ten ogłosiły niektóre pisma, szkoda, że bez podpisów, że nazwiska owych obywateli nie zostały przekazane ogółowi. Rąbek zasłony uchyliły obrady; obok nazwiska wybitnego uczonego-artysty, człowieka bez skazy, którego absolutnie ani o partyjność, ani o osobiste względy posądzić nie można, i którego autorytetowi fachowemu i moralnemu, taktowi, zimnej krwi, pracy i niewątpliwej dobrej woli w znacznej mierze z pewnością przypisać należy pomyślne zakończenie sprawy, obok paru poczciwych ludzi, spotykamy i takich, którzy odrazu, ni stąd ni zowąd w znakomitych znawców zatargu i znakomitych przyjaciół Muzeum się przedzierzgnęli. Mniejsza zresztą i o nich—skoro sprawa jest skończona.

Reformy poszły w dwóch kierunkach: fachowym i statutowym. We względzie pierwszym powołano do życia dobrze dobraną komisyę rzeczoznawców, jako organ stały, odnawiający się co trzy lata, która ma Muzeum uporządkować, liczne błahostki pousuwać i czuwać nadal nad przestrzeganiem najogólniejszych zasad wiedzy muzealnej. Komisya ta odrazu do dzieła przystąpiła i dokonała czynu dobrego, a zarazem pracy syzyfowej wyrzucenia z Muzeum rzeczy nie autentycznych, nie historycznych, poczciwem sercem ale niewłaściwie ofiarowanych darów. Ułożyła przytem cały system ugrupowania zbiorów, które zawsze przedstawiały się bardzo chaotycznie. Nareszcie!

Nowy statut opiewa na czele, że siedzibą Muzeum jest Rapperswyl i że Rada nie ma prawa przeniesienia go w inne miejsce; tym sposobem raz na zawsze ustaje obawa sfałszowania woli fundatorów, na co już w roku ubiegłym kładliśmy nacisk największy. Stanowisko prezesa Rady nie może być złączone ze stanowiskiem dyrektora, który jest urzędnikiem Muzeum, mianowanym razem z kustoszem i bibliotekarzem przez Radę na przedstawienie komisyi rzeczoznawców; konkursy na te posady mają być ogłoszone niebawem. Nowością w statucie jest zjazd członków. Postanowienie to jest następujące: Obecni w Rapperswylu podczas obrad rady muzealnej członkowie Muzeum (fundatorzy, wieczyści, honorowi i korespondenci) tworzą wraz z Radą zjazd członków. W zjeździe tym nie biorą udziału członkowie wspierający (kate-

gorya świeżo utworzona), opłacający 5 franków rocznie, otrzymujący za to sprawozdanie i posiadający wolny wstęp do Muzeum. Członkom zjazdu służy prawo brania udziału w dyskusyi i stawiania wniosków do Rady, dalej prawo wyboru do komisyi. Zjazdowi członków Rada muzealna komunikuje następnie swoje uchwały. Na miesiąc przed zjazdem Rada ma w dziennikach ogłosić termin zjazdu i w ogłoszeniu tem przedstawić wszystkim kategoryom członków o prawie ich wzięcia udziału w zjeździe.

Słusznie nazwano to załatwienie zatargu Rapperswylskiego tryumfem kompromisu. Słusznie zwrócono uwagę, że obie strony przesadzały: jedna w uporze utrzymania *status quo ante*, druga w zaciekłości ataku, albo też obie miały częściową słuszność. Zasługa rozjemcza przypada niewątpliwie osobom zrównoważonym, nie ogarniętym namiętnością w żadnym kierunku. Zwrócono wreszcie uwagę, że może wiele jest w Polsce zagadnień palących, wywołujących gorące spory, które podobnie jak zatarg Rapperswylski możnaby drogą kompromisu załagodzić, gdyby zabrali się do tego ludzie przedmiotowo myślący, chłodni, umiarkowani i bezstronni—niestety, zwykle ci są bezczynni. Może niepodobna inaczej? Czyn jest przeważnie wyrazem poprzedzającego go silnego afektu, który zbyt rzadko chodzi w parze z równowagą, umiarkowaniem i przedmiotowością.

*

* *

Nad polskiem morzem, zaniedbanem i oddanem Niemcom przez dziadów naszych, w ślicznej „kaszubskiej Szwajcaryi“, na łagodnych wzgórzach w okolicach Kartuzów, nad jeziorami Wdzickiem i innemi mieszkają resztki dawnych niegdyś Pomorzan, dziś Kaszubami zwanych, w liczbie paruset tysięcy, podlegający podmywaniu coraz silniejszemu przez falę niemiecką. Czy mówią językiem osobnym, czy tylko narzeczem, miejscową gwarą ludową—zdania uczonych są podzielone: Brückner i Karłowicz oświadczali się za cechami gwarowemi, Baudouin de Courtenay i Ramult za odrębnością językową; najnowsi badacze, jak prof. Nitzsch—jedność kaszubszczyzny i polszczyzny widzą dopiero w dalekiej perspektywie historycznej, a co do dzisiejszego stanu wypowiadają twierdzenie, że mowa kaszubska jest ostatnim zabytkiem

dawnej lechickiej mowy Pomorzan, wymarłej na początku XVIII wieku, i stanowi przejście między nią a czystą polszczyzną.

Były swego czasu silne prądy separatystyczne wśród tej ludności. Reprezentował je w r. 1848 dr. Cejnowa, jeden z najbardziej zasłużonych działaczy miejscowych marzeniem o odrębnem państwie kaszubskiem od Wisły do Odry i od Noteci do morza i gromadził nawet szlachtę kaszubską, aby z bronią w ręku napaść na załogę pruską Starogardy, a którego w końcu panslawizm doprowadził do ideału zlania się z wielkiem morzem, co zarzutem zdrady zatruło mu schyłek życia. Pewien separatyzm znać także w koloniach kaszubskich w Stanach Zjednoczonych, może on być jednak tylko poprostu wyrazem zwykłego grupowania się emigrantów prowincyami a nawet powiatami.

Wobec tego niewątpliwego dawnego zalążka separatyzmu, wobec tego dalej, że wszelkie separatyzmy klinami wbijają się w żywy organizm narodu, pewne obawy wywołał ruch młodej inteligencyi polskiej z Kaszub, t. zw. ruch młodokaszubski, który rozporządza dziś dwoma pismami polskiemi, miesięcznikiem „Gryfem“ i „Gazetą Gdańską“ i niedawno zorganizował zjazd w Gdańsku. Ruch ten ma przedewszystkiem na celu przeciwdziałanie dalszej germanizacyi i odniemczanie już zniemczonych. Germanizacya zresztą nie jest tu zjawiskiem wyłącznie czasów ostatnich, jakkolwiek teraz państwo pruskie prowadzi ją planowo i celowo. Jak twierdzi prof. Sosnowski „łączność kulturalna Kaszubów z Polską była dość luźna i zawsze więcej ulegali wpływom kultury niemieckiej, niż polskiej. Jeszcze za czasów Rzeczypospolitej odbywał się tu dziwny proces: szlachta kaszubska zaczęła się niemczyć, a wsie niemieckich kolonistów poczęły się polszczyć. Nie działała w tem zjawisku siła żadnego przymusu: szlachta uległa sile atrakcyjnej wyższej kultury, chłopi niemieccy w szarzyźnie codziennego życia, w zetknięciu z chłopami kaszubskimi, w znacznej ilości zlali się z polskością. Wiele wsi, dawniej niemieckich, do których rząd polski w niemieckim języku się odnosił, dziś ma charakter czysto kaszubski i katolicki.

„Znikła w tym kraiku polskość ze dworów, znikła i z miast; obecnie już ani jedna dziesiąta część wielkiej własności ziemskiej nie znajduje się w rękach naszych, a w miastach widzi się tylko szczątki polskości; zachowała się ona jedynie tam, gdzie zawieruchy dziejowe najmniej robią spustoszeń — w chłopskiej chałupie“.

Dr. Aleksander Majkowski, znany poeta kaszubski i jeden z przywódców ruchu, protestuje przeciw zarzutom separatyzmu

i pisze wyraźnie, że „inteligencya młodokaszubska jako ojczyznę uważa całą Polskę, na co najlepszym dowodem, że młodokaszubi są najgorliwszymi pracownikami w ogólno-polskich instytucyach na Kaszubach. Nikt gorliwiej od młodokaszubów nie pracuje w towarzystwach wyborczych, ludowych, śpiewackich, sokolich, w których często młodokaszubi zajmują stanowiska kierownicze. My, młodokaszubi, nie bawiliśmy się nigdy tajną robotą. Pracowaliśmy i pracujemy w oczach całego społeczeństwa. W pracę zaś kładziemy krew naszą serdeczną i najlepsze siły".

Niepewność wywołuje obawa, czy, utrwaliwszy się na podstawach pracy kulturalnej, młodokaszubi nie zechcą wystąpić w charakterze seperatystów na gruncie politycznym; odnośny artykuł statutu opracowany jest bardzo niejasno i na zjeździe w Gdańsku nie został też przyjęty, lecz zwrócony komisyi do przedstawienia na zjazd następny. My ze swej strony obaw tych tymczasem nie dzielimy. W dotychczasowej działalności młodokaszubów nie widzimy żadnych cech, dla polskości niebezpiecznych; pisma ich i enuncyacye ogłaszane są w języku polskim, w tym więc języku uczą czytać i myśleć ludność miejscową; z ruchliwością młodych rozwijają działalność we wszystkich instytucyach miejscowych—można patrzeć na ich pracę z sympatyą i życzyć im powodzenia.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, sierpień 1912. Treść: Pisma Antoniego Szandlerowskiego. Krytyka: d'Abancourt de Franqueville Helena: Linia i plama w malarstwie; — Arrhenius Svante: Obraz wszechświata w dziejach ludzkości; — Bajki Ezopa w opracowaniu Or-Ota; — Binet A.: Dusza i ciało; — Bizoń Franciszek: Konarskiego Stanisława Ustawy szkolne (Ordinationes); — Brzostowski Aleksander Bolesław: Ze wspomnień o Kraszewskim, w setną rocznicę jego urodzin a dwudziestą piątą zgonu; — Chrząszcz Tadeusz: Gorzelnictwo; — Ernst Marcin: Budowa świata; — Finot Jan: Nauka szczęścia; — Fouard C. ks.: Święty Paweł i jego prace misyjne; — Frąckiewicz Michał: Józef Ignacy Kraszewski w Krakowie i we Lwowie w r. 1867 i odczyty jego o Dantem; — Gębarski Stefan: Polak bohater; — Gomólicki Wiktor: Grandmuszkieter; — Grossman Henryk: Polityka przemysłowa i handlowa rządu terezyańsko-józefińskiego w Galicyi 1772—1790; — Jastrzębiec Maryan: W obronie czci Jasnogóry; — Jaworski Franciszek: Uniwersytet lwowski; — Kołłątaj Hugo ks.: Wybór pism; — Könn Józef: Czyń mężnie i żyj; — Kot w butach; — Kuratow Marek: Projekt jednostajnego prawa czekowego; — Łada Jul. rejent: Ulgi stemplowe dla rolników przy nabywaniu ziemi; — Mar Jan Stanisław: Struny; — Moszczeńska Iza: Zdradne sieci; — Ogniwo, zbiór pożytecznych wiadomości dla gospodyń; — Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego; — Przerwa-Tetmajer Kazimierz: Poezye, VII; — Rafałowiczówna Marya: Ze studyów nad Henrykiem Ibsenem, dramaturgiem; — Romer Helena: Majaki; — Romocki Ludwik: Żołnierz W. Ks. Konstantego; — Rybarski Roman dr.: Organizacya kredytu przemysłowego w Galicyi i Królestwie Polskiem; — Starowieyski Franciszek X.: Mąż stanu francuski z epoki „Restauracyi"; — Swift Jonatan: Podróże Guliwera; — Thomas H. Huxley: Zasady fizyologii; — Żak Jan St. ks.: Życie katolickie w pouczających przykładach; — Żukowski Jan ks. dr.: Tajemnicza miłość, zagadkowa nienawiść, czyli uczucia ludzkości względem Chrystusa; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

— Sfinks. Miesięcznik artystyczno-literacki. Warszawa, lipiec 1912. Treść: Maryan Wawrzeniecki: Artysta-malarz i poeta bez rąk;—Julia Dicksteinówna: Nieboska—Irydion (dokończenie); — Józef Jankowski: Szlakami absolutu;—F. Jabłczyński: Czy będzie kiedyś taka sztuka w przyszłości? — Mieczysław Smolarski: Święto leśne;—Antoni Gawiński: Wrota wczasów;—Zofia Wojnarowska: W zapasach z nadzieją;—Ksymena Wasilewska: Białe róże oceanu;—Eliasz: Jak omdlała gałąź (c. d.); — Stanisław Przybyszewski: Mocny człowiek (c. d.);—Władysław Bukowiński: Teatr; — Przeglądy i Sprawozdania;—Dodatki artystyczne;—Książki nadesłane;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Bunikiewicz Witold: Złote czasy. Komedya w III aktach. 1912. Wende i Spółka Warszawa. Karol Juffy. Lwów.

Dickens Karol: Oliwer Twist. Dziwne przygody sieroty. Romans. Tom trzeci. Warszawa 1912. Wydawnictwo „Biesiady Literackiej".

Eustachiewicz Bolesław: Hannibal. Dramat w 3 sprawach. Lwów 1912. Nakładem księgarni Karola Juffy'ego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Hello Ernest: Studya i szkice. Wybrał i przełożył Walery Gostomski. Z przedmową tłómacza. Lwów 1912. Nakładem księgarni polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Kleiner Juliusz: Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli. Tom I. Lwów, 1912. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Mickiewicz Adam: Pisma. Wydał, objaśnił, wstępem poprzedził Józef Kallenbach. Tom V. Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie. Historya szlachecka z r. 1811 i 1812. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911. Warszawa E. Wende i S-ka.

Rok 1812. Powieść historyczna w 2-ch tomach według Ludwika Rellstaba. Tom I z 6-iu illustracyami. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. „Ciekawe powieści". Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1912.

FILOZOFIA.

Str.

HENRYK STRUVE I JEGO FILOZOFIA, — przez *d-ra Adama Zieleńczyka* 1

PSYCHOLOGIA PANIKI PODCZAS WOJNY, — przez *Adama Cygielstrejcha* 128

ZAGADNIENIE STRONNOŚCI W TWÓRCZOŚCI FILOZOFICZNEJ, — przez *d-ra Ignacego Halperna* 361

POLSKA FILOZOFIA ROMANTYCZNA A MESYANIZM, — przez *d-ra Władysława Horodyskiego* 434

HISTORYA.

ZE WSPOMNIEŃ JÓZEFA HR. KRASIŃSKIEGO . . . . . 46, 209 i 409

USTANOWIENIE CENZURY W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM, — przez *Natalię Gąsiorowską* . . . . . 107 i 243

OBRONA I ZAMKI UKRAINNE OD POŁOWY XV w., — przez *Fr. Rawitę-Gawrońskiego* 143

UWIĘZIENIE KS. ADAMA SAPIEHY w r. 1863, — przez *Bronisława Pawłowskiego* 490

HISTORYA LITERATURY.

Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI, KRASIŃSKI A NORWID, — przez *d-ra Stanisława Kossowskiego* 455

Str.

SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez *d-ra Józefa Flacha* 338
KRONIKA LITERACKA,—przez *Henryka Gallego* 280
CHATEAUBRIAND,—przez *K. O.* 551
ŚPIEWAK DUSZY,—przez *Walerego Gostomskiego* 513

SZKICE SPOŁECZNE.

DOLA I NIEDOLA IRLANDYI,—przez *Kazimierza Hellego* 86
WIELICZKA,—przez *Zdzisława Kamińskiego* 320

KRYTYKA.

Bronisław Chlebowski: „Pisma,“ — przez *M. K.* 162
Dr. Zdzisław Jachimecki: „Ryszard Wagner“ — przez *d-ra Józefa Władysława Reissa* 169
S. Pietraszkiewiczówna: „Dzieje Filomatów w zarysie,“ — przez *Henryka Mościckiego* 174
Hilchen Henryk Dr.: „Historya drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.“ — przez *d-ra Żelisława Grotowskiego* 179
S. Wojciechowski: „Jak założyć stowarzyszenie spożywcze,“ — przez *Wacława Danina* 377
Stanisław Bukowiecki: „O urządzaniu hypotek dla drobnej własności i o zabezpieczaniu hypotecznem należności spółek pieniężnych,“ — przez *W. D.* 380
Balzer Oswald: „Skartabelat w ustroju szlachectwa polskiego,“ — przez *I. B.* 382
Adam Chmiel: „Źródła do historyi sztuki i cywilizacyi w Polsce,“ — przez *I. B.* 383
Juliusz Kleiner: „Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli,“ — przez *M. K.* . . 594
Dr. Józef Wład. Reiss: „Melodye Psalmowe Mikołaja Gomółki z r. 1580,“ przez *d-ra Zdzisława Jachimeckiego* 604

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:
Zamknięcie roku szkolnego.— Czy szkoły nasze dosyć uczą? — Kwestya egzaminów. — Prądy wśród młodzieży. — Zasiew nienawiści. — Polityka bezpłodna. — Winy starszych.— „W chwili ciężkiej i trudnej.“— Jubileusz uniwersytetu lwowskiego. — Sprawa Chełmska w Radzie Państwa. — Zamknięcie Izby i jej bilans. — Zastraszające wieści z Parany 185

Str.

SIERPIEŃ:

Kilka uwag w sprawie żydowskiej.—Statystyka Żydów w Polsce i na świecie. — Nastrój opinii żydowskiej. — Antysemityzm, jako cecha życia współczesnego. — Jego przyczyny gdzieindziej i u nas. — Podstawy samoobrony narodowej i ekonomicznej.—Polski kongres przeciwalkoholiczny we Lwowie. — Spożycie alkoholu w Polsce i ruch abstynencki 386

WRZESIEŃ:

Losy „synów chłopskich".—Inteligencya z warstw ludowych i wychowańcy szkół rolniczych.—Wady wychowania i wykształcenia. Wzorowa wieś polska: Albigowa. Zakończenie zatargu Rapperswylskiego.—Ruch młodokaszubski . . 606

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska i ś. p. Jan Purwin.—przez *L. W.* . . 202

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC 205
SIERPIEŃ 398
WRZESIEŃ 620

